

DIANA
GABALDON



Uwięziona w bursztynie

Wyrwana z własnych czasów przez sily,
których nie rozumie, trafia w świat niebezpieczeństwa
i płomiennej namiętności.

Świat Książki

Diana Gabaldon
UWIEŻIONA W BURSZTYNIE

(Dragonfly in Amber)

Tłumaczyły Ewa Błaszczyk, Karolina Bober,
Agata Puciłowska, Lidia Rafa, Iwona Rutkowska

Dla mojego męża Douga Watkinsa

W podziękowaniu za materiały historyczne

Przed świtem obudziłam się trzykrotnie. Najpierw z uczuciem żalu, potem radości, w końcu samotności. Łzy głębokiego smutku budziły mnie powoli. Delikatnie obmywały mi policzki. Wtuliłam twarz w mokrą poduszkę i pozęglowałam słoną rzeką w jaskinię żalu, w podziemne głębie snu.

Drugiemu mojemu przebudzeniu towarzyszyła szalona radość. Ciało wygięte w łuk w ekstazie spełnienia. Na skórze czułam jego dotyk, a gdzieś ze środka promieniowały dreszcze rozkoszy, mknęły ścieżkami nerwów i słabły. Nie chciałam wracać na jawę. Obróciłam się znowu. Szukałam ostrego, ciepłego zapachu zaspokojonej żądzy mężczyzny w objęciach mego kochanka, snu.

Trzeci raz obudziłam się samotna, poza zasięgiem miłości i żalu. W myślach widziałam kamienie. Niewielki krąg na stromym, zielonym wzgórzu. Craigh na Dun, Wzgórze Wróżek. Niektórzy mówią, że to miejsce zaczarowane. Inni, że przeklęte. Jedni i drudzy mają rację. Ale nikt nie zna prawdziwej mocy kamieni.

Nikt prócz mnie.

SZKŁO POWIĘKSZAJĄCE INVERNESS, 1968

1

WYKAZ

Roger Wakefield stał pośrodku pokoju. Czuł się osaczony. Uznał, że to uzasadnione wrażenie. Otaczał go las przedmiotów: stoły zavalone bibelotami i papierami; ciężkie wiktoriańskie meble zasłonięte przed kurzem prześcieradłami, pluszem i wełnianymi szalami; małe, plecione dywaniki na wypolerowanej podłodze, tak niebezpieczne dla nieostrożnego przechodnia. Dwanaście pokoi pełnych mebli, ubrań i papierów. I książek – mój Boże, książek!

Gabinet, w którym stał, na trzech ścianach miał półki z książkami, wszystkie zapchane poza granice pojemności. Horrorzy w papierowych okładkach tworzyły kolorowe, nierówne stosy. Oprawione w skórę tomy stałyściśnięte jak sardynki wraz z książkami z klubów wysyłkowych, starymi woluminami ukradzionymi z nie istniejących już bibliotek, tysiącami broszur, papierków i zszywanych rękopisów.

W pozostałych częściach domu było podobnie. Książki i papiery pokrywały każdą poziomą powierzchnię. Wszystkie szafy aż trzeszczały i pękały w szwach. Jego zmarły przyszywany ojciec przeżył długie, pełne życie. O dobrych kilkadziesiąt lat przekroczył biblijny wiek trzydziestu trzech wiosen. I przez ten czas wielebny Reginald Wakefield nigdy niczego nie wyrzucił.

Roger stłumił nieodpartą chęć natychmiastowego

powrotu do Oksfordu, zostawienia domu i całej jego zawartości na łaskę i niełaskę losu. Spokojnie, powiedział do siebie.

Zrobił głęboki wdech. Poradzisz sobie. Z książkami pójdzie łatwo: wystarczy posortować i wezwać kogoś, żeby je zabrał. Na pewno będzie potrzebna ciężarówka. Ubrania – nie ma sprawy. „Oxfam” weźmie wszystkie.

Nie miał pojęcia, co też „Oxfam” zrobi ze stosem garniturów z czarnej serży, rocznik mniej więcej tysięcy dziewięćset czterdziesty ósmy. Może biedni nie będą aż tak krytyczni?

Zaczął oddychać nieco spokojniej. Żeby zająć się rzeczami wielebnych, wziął miesięczny urlop na wydziale historii w Oksfordzie. Czy starczy czasu? W chwilach zwątpienia Roger się obawiał, że porządkowanie zajmie całe lata.

Podszedł do jednego ze stolików i podniósł chińską czarkę. Były w niej niewielkie metalowe prostokąty; ołowiane *gaberlunzies* – plakietki wydawane przez parafie osiemnastowiecznym żebrakom jako coś w rodzaju licencji. Przy lampie stała kolekcja kamiennych butelek, a obok rogowa tabakierka ze srebrnymi okuciami. Oddać wszystko do muzeum? – pomyślał z powątpiewaniem. W domu aż kipiało od przedmiotów z okresu działania jakobitów; wielebny był historykiem-amatorem, a jego ulubiony teren łowiecki to osiemnasty wiek.

Roger bezwiednie pogłaskał tabakierkę. Wyczuł czarne linie napisów – nazwiska i daty przewodniczących oraz skarbników Stowarzyszenia Krawców z Canongate, z Edynburga, z tysiąc siedemset dwudziestego szóstego roku.

Może powinienem zatrzymać część doborowych nabytków wielebnego... Cofnął dłoń. Zdecydowanie potrząsnął głową.

– Nic z tego, palancie – powiedział głośno. – To prowadzi do obłądu. – Gdyby zaczął wybierać przedmioty, w końcu zachowałby wszystko i zamieszkał w tym potwornym domu, otoczony masą niepotrzebnych rzeczy. – Mówienie do siebie również – mruknął.

Myśl o stertach zabytkowych śmieci przypomniła mu o garażu. Nogi się pod nim ugięły. Wielebny, stryjeczny dziadek, adoptował pięcioletniego Rogera. Rodzice chłopca zginęli w czasie drugiej wojny światowej: matka podczas Blitzkriegu, ojciec nad ciemnymi wodami kanału. Wiedziony instynktem zbieracza wielebny zatrzymał wszystkie rzeczy rodziców Rogera. Schował je w skrzynkach i kartonach w garażu. Roger miał pewność, że nikt nie otwierał żadnego z pudeł przynajmniej od dwudziestu lat.

Na myśl o grzebaniu w rzeczach rodziców Roger aż jęknął.

– O, Boże! Tylko nie to!

W tym samym momencie rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi. Roger z przerażenia ugryzł się w język.

Otworzył drzwi. Zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały głośno.

– Słucham panią – powiedział do stojącej za progiem kobiety.

Była średniego wzrostu, bardzo ładna. Drobną sylwetką, cera biała jak len, masa brązowych, kręconych włosów upiętych w luźny kok i... najniezwyklesze w świecie, jasne oczy koloru dojrzalej czereśni.

Kobieta przeniosła wzrok z jego butów numer jedenaście, z gumowymi podeszwami, na twarz ponad trzydzieści centymetrów nad jej głową. Uśmiechnęła się szerzej.

– Przepraszam, że zaczynam od banalnego spostrzeżenia – odezwała się łagodnym głosem. – Ale... Rogerze, jak ty wyrosłeś!

Roger poczuł, że się rumieni. Kobieta zaśmiała się i wyciągnęła rękę.

– Pan jest Rogerem, prawda? Nazywam się Claire Randall; byłam starą znajomą wielebnego. Ostatni raz widziałam pana, gdy miał pan pięć lat.

– Ee... znajomą mojego ojca? To pewnie już pani wie...

W miejsce uśmiechu pojawił się wyraz szczerego żalu.

– Tak, słyszałam. Serce?

– Mhm, tak. To się stało tak nagle. Dopiero przyjechałem z Oksfordu, żeby się zająć...

wszystkim. – Zatoczył ręką półkole na znak, że chodzi mu o śmierć wielebnego, dom i całą jego zawartość.

– Jeśli dobrze pamiętam bibliotekę wielebnego, to będzie pan miał sporo roboty – zauważyła Claire.

– W takim razie może nie powinniśmy przeszkadzać – powiedział miękki głos z amerykańskim akcentem.

– Ach, przepraszam. Zapomniałam. – Claire odwróciła się do stojącej w kącie ganku dziewczyny, niewidocznej dla Rogera. – Roger Wakefield, moja córka Brianna.

Brianna Randall podeszła bliżej z nieśmiałym uśmiechem. Roger wpatrywał się w nią przez chwilę. W końcu przypomniał sobie o dobrych manierach. Otworzył drzwi na oścież. Zastanawiał się, kiedy ostatnio zmieniał koszulę.

– Ależ nie, ależ nie! – powiedział serdecznie. – Przerwa dobrze mi zrobi. Zechcą panie wejść?

Wskazał drogę do gabinetu wielebnego. Córka, niezbyt atrakcyjna, była jedną z najwyższych kobiet, jakie Roger kiedykolwiek widział z bliska. Co najmniej metr osiemdziesiąt, pomyślał.

Gdy dziewczyna przechodziła przez hol, jej głowa sięgała górnej krawędzi boazerii.

Roger podświadomie się wyprostował, aby osiągnąć pełną wysokość stu dziewięćdziesięciu centymetrów. Wchodząc za kobietami do gabinetu, w ostatniej chwili się schylił, żeby nie uderzyć głową o framugę drzwi.

– Chciałam przyjechać wcześniej – rzekła Claire, sadowiac się wygodniej w ogromnym fotelu. Jedną ze ścian gabinetu wielebnego zajmowało okno. Wpadające przez nie promienie słoneczne igrały na perłowej spince w jasnobrązowych włosach.

Z upiętej fryzury wymykały się niesforne loki; Claire bezwiednie odgarnęła kosmyk za ucho.

– W zeszłym roku już wszystko zorganizowałam, żeby przyjechać, ale w szpitalu w Bostonie mieliśmy gorący okres. Jestem lekarzem – wyjaśniła i uśmiechnęła się leciutko na widok zaskoczonego spojrzenia Rogera. – Bardzo żałuję, że nie udało się uratować pańskiego ojca; ogromnie chciałam się z nim spotkać.

Roger zastanawiał się, dlaczego przybyły teraz, po śmierci wielebnego. Uznał jednak, że niegrzecznie byłoby o to pytać.

– Miały panie okazję trochę pozwiedzać... – odezwał się po chwili.

– Tak, przyjechałyśmy samochodem z Londynu – odrzekła Claire. Uśmiechnęła się do córki. – Chciałam pokazać Bree jej ojczysty kraj. Ma amerykański akcent, lecz jest Angielką, tak jak ja, chociaż nigdy tu nie mieszkała.

– Naprawdę? – Roger rzucił okiem na Briannę. Nie wygląda na Angielkę, pomyślał.

Duży wzrost, gęste, rude włosy opadające na ramiona, twarz o mocnych, zdecydowanych rysach, prosty nos, może odrobinę za długi.

– Urodziłam się w Ameryce – wtrąciła się Brianna – ale zarówno mama, jak i tata są... Byli... Anglikami.

– Byli?

– Mój mąż zmarł dwa lata temu – wyjaśniła Claire.
– Sądzę, że go pan znał. To Frank Randall.

– Frank Randall! Oczywiście! – Roger uderzył się w czoło, a gdy Brianna zachichotała, poczuł, że pałą go policzki. – Zapewne uznają mnie panie za skończonego durnia, ale dopiero teraz dotarło do mnie, kim panie są.

Nazwisko wiele wyjaśniło; Frank Randall był znakomitym historykiem i przyjacielem wielebnego; przez całe lata wymieniali się informacjami na temat jakobitów. Od ostatniej wizyty Franka Randalla w domu wielebnego minęło jednak co najmniej dziesięć lat.

– Czyli... zamierzają panie zwiedzać historyczne

miejsca w pobliżu Inverness? – spytał niepewnie Roger. – Były już panie w Culloden?

– Jeszcze nie – odrzekła Brianna. – Wybieramy się tam pod koniec tygodnia. – Uśmiechnęła się uprzejmie.

– Na dzisiejsze popołudnie kupiłyśmy bilety na wycieczkę nad Loch Ness – wyjaśniła Claire. – A jutro może pojedziemy do Fort William albo pokręcimy się po Inverness; bardzo się zmieniło od mojego ostatniego pobytu.

– Czyli od kiedy? – Roger zastanawiał się, czy powinien zaoferować swoje usługi jako przewodnik. Nie miał zbyt wiele czasu, ale Randallowie byli przyjaciółmi wielebnego.

Poza tym wycieczka do Fort William w towarzystwie dwu atrakcyjnych kobiet wydawała mu się o wiele ciekawsza niż sprzątanie garażu.

– Och, od przeszło dwudziestu lat. Minęło dużo czasu. – W głosie Claire zabrzmiała dziwna nuta. Roger rzucił okiem na panią Randall. Odpowiedziała uśmiechem.

– Cóż, jeśli mogę paniom służyć podczas zwiedzania okolic... – zaproponował nieśmiało.

Claire wciąż się uśmiechała, ale w jej twarzy coś się zmieniło. Można byłoby pomyśleć, że tylko czekała na tę propozycję. Spojrzała na córkę, potem na Rogera.

– Skoro pan o tym wspomniał... – rzekła i uśmiechnęła się szerzej.

– Ależ, mamó! – wykrzyknęła Brianna, prostując się na krześle. – Nie zamierzasz chyba przeszkadzać panu Wakefieldowi! Spójrz, ile ma roboty! – Wskazała gabinet zastawiony kartonami i niebotycznymi stosami książek.

– To żaden kłopot! – zaprotestował Roger.

Claire znacząco popatrzyła na córkę.

– Nie miałam zamiaru ciągnąć pana siłą – powiedziała szorstko. – Ale może pan znać kogoś, kto mógłby nam pomóc. Szukam osoby, która dobrze zna historię osiemnastowiecznych jakobitów.

Zaciekawiony Roger pochylił się w jej stronę.

– Nie specjalizuję się w tym okresie, ale co nieco wiem – odparł. – Trudno zresztą nie wiedzieć, mieszkając tak blisko Culloden. Tam rozegrała się ostatnia bitwa wyjaśnił Briannie. – Zwolennicy księcia Karola zaatakowali księcia Cumberland i zostali wyrżnięci w pień.

– Zgadza się – potwierdziła Claire. – Właśnie z tym wydarzeniem wiążą się moje poszukiwania. Sięgnęła do torebki i wyciągnęła kartkę.

Roger rozłożył papier i szybko przebiegł wzrokiem. Lista około trzydziestu nazwisk, samych mężczyzn. U góry napisano: „Powstanie jakobitów w tysiąc siedemset czterdziestym piątym roku, Culloden”.

– Ci ludzie walczyli pod Culloden, prawda? – spytał Roger.

– Tak – odparła Claire. – Chcę się dowiedzieć, ilu z nich przeżyło bitwę.

Wczytując się w listę, Roger pocierał dłonią podbródek.

– Pytanie jest proste – powiedział. – Ale z odpowiedzią może być kłopot. Pod Culloden poległo tak wielu popierających księcia Karola członków klanów, że nie grzebano ich osobno. Kopano zbiorowe mogiły, na których stawiano jedynie kamień z nazwą klanu.

– Wiem – mruknęła Claire. – Brianna tam nie była, ale ja tak. Bardzo dawno temu. – Wydawało mu się, że dostrzegł cień w jej oczach. Szybko spuściła wzrok i sięgnęła do torebki. Tak, Culloden to wzruszające miejsce, pomyślał. Jemu samemu łzy napływały do oczu na widok rozległej, podmokłej przestrzeni i na wspomnienie szlachetności oraz odwagi szkockich górali, poległych podczas rzezi, spoczywających teraz pod zieloną trawą.

Claire podała mu jeszcze kilka zapisanych na maszynie kartek. Długi, biały palec przesuwał się po marginesie jednej z nich. Piękne ręce, zauważył Roger; delikatne, wypielęgnowane, z jednym pierścionkiem na każdej dłoni. Szczególnie uderzający był srebrny pierścionek na prawej ręce: szeroka, jakobicka obrączka z przeplatany wzorem szkockich górali, ozdobiona kwiatami ostu.

– Z tego, co wiem, są to nazwiska żon. Pomyślałam, że taki spis może się przydać.

Wdowy prawdopodobnie ponownie wyszły za mąż lub wyemigrowały. Informacje o nich z pewnością znajdują się w księgach parafialnych. Wszyscy mieszkali w obrębie tej samej parafii; kościół znajdował się w Broch Mordha, spory kawałek na południe stąd.

– Dobry pomysł – ocenił Roger, nieco zaskoczony.
– Tak właśnie rozumię historię.

– Trudno mnie uznać za historyka – odparła sucho Claire Randall. – Ale mieszkając pod jednym dachem z historykiem, przyswoiłam sobie jego metody.

– Naturalnie. – Roger poderwał się z krzesła pod wpływem nagłej myśli. – Jestem potwornym gospodarzem.

Proszę pozwolić, że zrobię paniom drinka, a potem opowiedzą mi panie więcej o swoich poszukiwaniach. Może sam będę mógł pomóc.

Na szczęście wiedział, gdzie w tym bałaganie znajdują się karafki. Szybko podał gościom whisky. Dolał sporo wody do szklanki Brianny, ale zauważył, że dziewczyna sący napój, jakby był to środek owadobójczy, a nie najlepsza Glenfiddich z jęczmienia słodowanego. Natomiast Claire, która nie życzyła sobie wody, alkohol smakował o wiele bardziej.

– Cóż. – Roger usiadł i ponownie sięgnął po kartkę.
– To bardzo interesujący problem z punktu widzenia badań historycznych. Powiedziała pani, że mężczyźni należeli do jednej parafii? Byli więc członkami jednego klanu. Widzę, że wielu nosiło nazwisko Fraser.

Claire przytaknęła. Siedziała z dłońmi splecionymi na kolanach.

– Pochodzili z tej samej posiadłości, niewielkiej góralskiej farmy zwanej Broch Tuarach, znanej w okolicy jako Lallybroch. Należeli do klanu Fraserów, chociaż nigdy nie uznali lorda Lovata za swego pana. Wcześniej przyłączyli się do powstania. Walczyli w bitwie pod Prestonpans, podczas gdy ludzie Lovata wstąpili w powstańcze szeregi tuż przed bitwą pod Culloden.

– Naprawdę? Ciekawe. – W osiemnastym wieku, gdy panował pokój, posiadacze niewielkich majątków zwykle umierali tam, gdzie żyli. Potem chowano ich w porządnym grobach na cmentarzu, a daty śmierci skrzętnie rejestrowano w księgach parafialnych.

Jednak próba odzyskania szkockiego tronu przez

księcia Karola w tysiąc siedemset czterdziestym piątym roku brutalnie przerwała ustalony porządek.

Po klęsce pod Culloden nastął głód. Wielu górali wyemigrowało do Nowego Świata; inni odeszli do miast w poszukiwaniu żywności i pracy. Bardzo niewielu uparcie trzymało się swojej ziemi i tradycji.

– Fascynujący temat na artykuł – myślał głośno Roger. – Warto prześledzić los tej grupy ludzi. Sprawdzić, co się z nimi stało. Gorzej, gdyby wszyscy polegli pod Culloden.

Istnieje jednak szansa, że kilku z nich przeżyło. – Chętnie by się tym zajął. Zrobiłby sobie miłą przerwę w przykrych obowiązkach. Nawet gdyby nie prosiła o to Claire.

– Tak, chyba mogę paniom pomóc – oświadczył. Ucieszył się na widok ciepłego uśmiechu, którym go obdarzyła pani Randall.

– Naprawdę? Cudownie!

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Roger złożył kartkę i położył na stole. – Ale proszę najpierw powiedzieć, jak się udała podróż z Londynu.

Rozmowa zeszła na tematy ogólne. Panie Randall opowiedziały o wrażeniach z transatlantyckiej podróży oraz z jazdy samochodem z Londynu. Roger nie słuchał zbyt uważnie, ponieważ już zaczął planować badania. Trapiło go lekkie poczucie winy: naprawdę nie miał czasu. Z drugiej strony jednak zagadnienie wydawało się bardzo interesujące. Poza tym praca nad nim będzie wymagała przejrzenia materiałów wielebnych. Roger wiedział, że w garażu stoi czterdzieści osiem kartonów z napisami:

„Jakobici, różne”. Na samą myśl o nich robiło mu się słabo.

Zmusił się, żeby przestać myśleć o składzie rupieci. Rozmowa nagle przeszła na inny temat.

– Druidzi? – Roger był oszołomiony. Podejrzliwie łypnął do szklanki, czy aby na pewno dołał wody.

– Nie słyszał pan o druidach? – spytała Claire, lekko rozczarowana. – Pański ojciec wiele o nich wiedział. Ale może uznawał to za żart, o którym nie warto mówić.

Roger podrapał się w głowę, rozczochrując sobie gęste, czarne włosy.

– Ma pani rację, pewnie nie podchodził do tego serio.

– Cóż, sama nie wiem, czy to poważna sprawa. – Założyła nogę na nogę. Promień słońca zaśnił na jej pończosze, podkreślając delikatność długiej łydki.

– Kiedy po raz ostatni byłam tu z Frankiem... Boże, dwadzieścia trzy lata temu!

Wielebny wyznał, że w okolicy działa grupa... Współczesnych druidów, tak chyba można ich nazwać. Nie mam pojęcia, w jakim stopniu są wierni tradycji. Prawdopodobnie nie bardzo. – Teraz Brianna wykazała zainteresowanie tematem.

– Wielebny nie mógł uznawać ich oficjalnie. Pogaństwo, tajemnicze rytuały, sam pan wie. Ale do grupy należała jego gospodyni, pani Graham, więc od czasu do czasu dopytywał się, co się tam dzieje. Kiedyś wspomniał Frankowi o jakiejś ceremonii, która miała się odbyć o świcie Beltane, czyli pierwszego maja.

Roger potaknął. Próbował oswoić się z myślą, że

starsza pani Graham, bardzo przyzwoita osoba, mogłaby brać udział w pogańskich ceremoniach i tańczyć o świcie w kamiennym kręgu. Słyszał, że podczas niektórych druidycznych obrzędów palono poświęcone ofiary w wiklinowych klatkach. Wizerunek leciwej, szkockiej prezbiterianki jeszcze mniej pasowała mu do tego obrazu.

– Na szczycie pobliskiego wzgórza znajduje się krąg stojących głazów. Poszliśmy tam przed świtem, żeby ich, no cóż, szpiegować. – Przepraszająco wzruszyła ramionami. – Wie pan, jacy są naukowcy; zrobią wszystko, by zgłębić wiedzę na interesujący ich temat.

Postępują niedelikatnie i nie mają wyrzutów sumienia. – Roger leciutko się skrzywił, ale skinął głową, niechętnie przyznając Claire rację.

– Byli tam – ciągnęła. – Pani Graham też, wszyscy okryci prześcieradłami. Śpiewali i tańczyli w kamiennym kręgu. Frank był zafascynowany – dodała z uśmiechem. – To robiło wrażenie, nawet na mnie.

Zamilkła na chwilę. Patrzyła na Rogera w zamyśleniu.

– Słyszałam, że pani Graham zmarła parę lat temu. Ale zastanawiam się... Nie wie pan, czy nie miała rodziny? Sądzę, że członkostwo w takich grupach często jest dziedziczne; może żyje córka lub wnuczka, która mogłaby mi coś powiedzieć.

– Cóż... – zaczął powoli Roger. – Jest wnuczka. Ma na imię Fiona. Fiona Graham.

Przyjechała tu po śmierci babci, żeby pomagać w domu. Wielebny był już zbyt wiekowy, żeby zostać sam.

Myśl o dziewiętnastoletniej Fionie odgrywanej

rolę strażniczki starej mistycznej wiedzy odpędziła wizję pani Graham tańczącej w prześcieradle. Roger szybko się opanował i mówił dalej:

– Niestety, teraz nie ma jej w domu. Ale mógłbym ją sprowadzić.

Claire lekceważąco machnęła delikatną dłonią.

– Proszę sobie nie robić kłopotu. Innym razem. Już i tak zabrałyśmy panu zbyt wiele czasu.

Postawiła pustą szklankę na stoliku pomiędzy dwoma krzesłami. Brianna z wyraźnym entuzjazmem dostawiła swoją, pełną. Zauważył, że panna Randall obgryza paznokcie. Ten mały dowód niedoskonałości dał mu odwagę do uczynienia następnego kroku. Intrygowała go. Nie chciał, żeby odeszła, nie pozostawiając mu pewności, że znów ją zobaczy.

– A propos kamiennych kręgów – powiedział pośpiesznie. – Sądzę, że znam ten, o którym pani wspomniała. Jest bardzo efektowny i znajduje się niedaleko miasteczka. – Uśmiechnął się do Brianny Randall. Automatycznie zarejestrował fakt, że dziewczyna ma trzy pieprzyki na jednym policzku. – Pomyślałem, że moglibyśmy zacząć poszukiwania od wycieczki do Broch Tuarach. To w tym samym kierunku, co kamienny krąg... Ach!

Nagłym ruchem swej wypchanej torebki Claire Randall strąciła obie szklaneczki whisky ze stolika. Alkohol ze sporą ilością wody zalał Rogerowi uda.

– Bardzo przepraszam – powiedziała, wyraźnie zakłopotana. Schyliła się i zaczęła zbierać kawałki rozbitego kryształu, mimo że Roger próbował ją

powstrzymać.

Brianna rzuciła się na pomoc z garścią lnianych serwetek z kredensu.

– Ależ, mam, jak oni pozwalają ci operować? – gderała. – Jesteś taka nieostrożna.

Spójrz, przez ciebie pan Wakefield ma mokre buty! – Uklękała na podłodze i zaczęła szybko ścierać rozlaną szkocką i zbierać okruchy kryształu. – I spodnie.

Wzięła świeżą serwetkę ze stosu, który przytrzymała ramieniem i sprawnie wycierała buty Rogera. Jej ruda grzywka powiewała przy jego kolanach. Brianna podniosła głowę i zaczęła energicznie trzeć mokry sztruks. Roger zamknął oczy i gorączkowo myślał o straszliwych wypadkach samochodowych, formularzach podatkowych, kosmitach – o czymkolwiek, żeby tylko się nie skompromitować, gdy ciepły oddech Brianny Randall delikatnie przenikał przez jego mokre spodnie.

– Może resztę wytrze pan sam? – Głos dochodził z bardzo bliskiej odległości. Roger uniósł powieki i zobaczył parę oczu w kolorze głębokiego błękitu oraz szeroki uśmiech.

Niemrawo wziął od Brianny serwetkę. Dyszał, jakby przed chwilą gonila go lokomotywa.

Pochylając głowę nad spodniami, napotkał wzrok Claire Randall. Kobieta przyglądała mu się z politowaniem, a zarazem rozbawieniem. W jasnych oczach nie było już iskry, którą, jak mu się zdawało, zauważył tuż przed katastrofą. A może widział ją tylko w wyobraźni?

– Odkąd to interesujesz się druidami, mam? – Briannę chyba to bawiło; zauważyłam, że zagryzała wargi,

kiedy rozmawiałam z Rogerem Wakefieldem. Uśmiech, który wtedy ukrywała, teraz wykwitł na jej twarzy. – Ubierzesz się w prześcieradło i pójdziesz z nimi tańczyć?

– To na pewno o wiele weselsze niż czwartkowe spotkania personelu szpitala – odparłam. – Chociaż można się przeziębic.

Brianna wybuchła śmiechem, płosząc z chodnika dwie sikorki.

– Nie – powiedziałam poważnie. – Nie, interesują mnie same druidki. Kiedyś znałam w Szkocji osobę, którą chciałabym odszukać. Nie mam jej adresu. Nie kontaktowałyśmy się przez przeszło dwadzieścia lat. Ciekawiły ją takie dziwactwa: czary, stare wierzenia, folklor. Mieszkała kiedyś w pobliżu. Pomyślałam, że jeśli tu jeszcze jest, może należeć do takiej grupy.

– Jak się nazywa?

Potrząsnęłam głową. Spinka zsunęła mi się z loków i wpadła w wysoką trawę przy chodniku.

– Cholera! – krzyknęłam. Ręce mi się trzęsły, gdy przeszukiwałam gęstą trawę. Myśl o Geillis Duncan wciąż wytrącała mnie z równowagi. Nawet teraz.

– Nie wiem – powiedziałam, odgarniając włosy z zarumienionej twarzy. – To znaczy... Minęło tak dużo czasu, że na pewno nosi już inne nazwisko. Była wdową; mogła ponownie wyjść za mąż albo wrócić do nazwiska panińskiego.

Brianna straciła zainteresowanie tematem. Przez chwilę szła w milczeniu. Nagle zapytała:

– Co myślisz o Rogerze Wakefieldzie, mam?

Spojrzałam na nią badawczo. Miała zaróżowione

policzki, ale może z powodu wiosennego wiatru.

– Wydaje się bardzo miłym młodym człowiekiem – odpowiedziałam ostrożnie. – Z pewnością jest inteligentny. To jeden z najmłodszych profesorów w Oksfordzie. – Nie wątpiłam w jego inteligencję; zastanawiałam się tylko, czy ma wyobraźnię. Akademikom często jej brakuje. W tym przypadku jednak wyobraźnia by się przydała.

– Ma przepiękne oczy – stwierdziła z rozmarzeniem Brianna. Całkiem ignorowała kwestię jego intelektu. – Chyba są najbardziej zielone na świecie?

– Tak, zwracają uwagę – przyznałam. – Zawsze takie były; pamiętam, że je zauważyłam, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, miał wtedy pięć lat.

Brianna spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

– No właśnie, mamó! Czy musiałaś powiedzieć: „Jak ty wyrosłeś?”, kiedy otworzył drzwi? Ale wstyd!

Zaśmiałam się.

– Cóż, kiedy go ostatni raz widziałam, sięgał mi do pępka. A teraz musiałam zadzierać głowę – broniłam się. – Nie mogłam nie dostrzec różnicy.

– Mamó! – Parsknęła śmiechem.

– Ma też bardzo ładne pośladki – dodałam, żeby ją jeszcze bardziej rozśmieszyć. – Zauważyłam, kiedy schylił się po whisky.

– Mamooo! Ktoś usłyszy!

Byłyśmy tuż przy przystanku autobusowym. Stały tam dwie lub trzy kobiety oraz starszy mężczyzna w tweedowym garniturze; odwrócili się do nas i patrzyli, jak podchodzimy.

– Czy stąd odjeżdżają autobusy wycieczkowe

„Loch-side”? – zapytałam, patrząc na oszołamiające mrowie ogłoszeń przyklejonych do tablicy.

– Tak – odpowiedziała grzecznie jedna z pań. – Autobus przyjedzie za jakieś dziesięć minut. – Obrzuciła wzrokiem Briannę, która w dzinsach i białej wiatrówce wyglądała bardzo amerykańsko. A na dodatek miała całą twarz czerwoną od hamowanego śmiechu.

– Wybierają się panie nad Loch Ness pierwszy raz?
Uśmiechnęłam się do niej.

– Żeglowałam po tym jeziorze z mężem, dwadzieścia parę lat temu, ale moja córka nigdy wcześniej nie była w Szkocji.

– Naprawdę? – Głośno wyrażone niedowierzanie zwróciło uwagę pozostałych pań.

Podeszły do nas, nagle bardzo przyjacielskie. Udzielały życzliwych rad i zadawały pytania. W końcu z za rogu wyłonił się duży, sapiący, żółty autobus.

Brianna zatrzymała się, zanim weszła na stopnie. Przez chwilę podziwiała rysunek, przedstawiający zielone, wężowe zwoje na tle niebieskiego jeziora otoczonego czarnymi sosnami.

– Zapowiada się niezła zabawa – powiedziała ze śmiechem. – Myślisz, że zobaczymy potwora?

– Nigdy nic nie wiadomo – odrzekłam.

Przez resztę dnia Roger nie mógł się skupić. Bezmyślnie wykonywał różne prace.

Książki czekające na spakowanie i przekazanie towarzystwu ochrony antyków wysypywały się z kartonu; stara ciężarówka wielebnego stała na podjeździe z podniesioną maską; kierowca dłubał coś przy silniku. Do

połowy opróżniona filiżanka herbaty z mlekiem stała przy łokciu Rogera, a on wpatrywał się tępo w deszcz. Zapadał wieczór.

Wiedział, że powinien się zająć porządkowaniem samego serca gabinetu wielebnego.

Książki nie nastroczały mu problemów: zadanie było ogromne, ale polegało jedynie na decydowaniu, co zachować dla siebie, a co przekazać towarzystwu lub bibliotece szkolnej.

Prędzej czy później będzie się musiał wziąć za ogromne biurko. Stosy papierów nie mieściły się w wielkich szufladach i wystawały z tuzinów schowków. Trzeba też zdjąć wszystkie ozdoby przypięte do wyłożonej korkiem ściany i zdecydować, co z nimi zrobić.

Na myśl o tej robocie zadrżałoby najtwardsze serce.

Oprócz ogólnej niechęci do tej żmudnej pracy Rogera męczyło coś jeszcze. Nie chciał robić tego wszystkiego, choć było to konieczne. Wolał się skupić na zadaniu powierzonym mu przez Claire Randall, na szukaniu członków klanów spod Culloden.

Zajęcie wydawało się ciekawe, choć prawdopodobnie nie wymagało wiele wysiłku.

Ale nie chodziło o to. Nie, pomyślał, jeśli mam być ze sobą szczerzy, muszę przyznać, że chcę się zająć sprawą Claire Randall, żeby pójść do pensjonatu pani Thomas i złożyć rezultaty swojej pracy u stóp Brianny. Randall jak rycerz, który przynosi swej damie głowę smoka. Nawet gdyby wyniki nie były zachwycające, potrzebował pretekstu, żeby znów zobaczyć tę dziewczynę i z nią porozmawiać.

Brianna przypomina obraz Bronzina, pomyślał. Ona i jej matka wywierały dziwne wrażenie. Wyglądały tak, jakby namalowano je gwałtownymi pociągnięciami pędzla, a jednocześnie starannie zaznaczono szczegóły. Odcinały się od tła niczym wygrawerowane w nim postacie. Ale w Briannie było tyle fizyczności, jakby dziewczyna zaraz miała przemówić z ram obrazu Bronzina czy wodzić wzrokiem za oglądającym.

Roger nigdy nie widział malowidła Bronzina przedstawiającego kobietę krzywiącą się nad szklaneczką whisky. Gdyby jednak istniało takie dzieło, z pewnością wyglądałoby tak, jakby pozowała do niego Brianna Randall.

– A, do diabła – powiedział na głos. – Chyba przejrzenie zapisków w muzeum Culloden nie zajmie mi jutro dużo czasu? Ty – zwrócił się do biurka i jego zawartości – możesz poczekać jeden dzień. Ty też – poinformował korkową ścianę. Zuchwale wziął z półki horror. Rozejrzał się gniewnie, jakby rzucał wyzwanie meblom, ale nie usłyszał nic poza mruzeniem elektrycznego kominka. Wyłączył go, zgasił światło i z książką pod pachą wyszedł z gabinetu.

Po minucie wrócił, przeszedł przez ciemny pokój, wziął ze stołu listę nazwisk i włożył ją do kieszeni koszuli.

– Żebym rano nie zapomniał o tym cholerstwie.

Poklepał się po kieszeni, usłyszał miękki szelest papieru tuż nad sercem i poszedł się położyć.

Wróciłyśmy z Loch Ness owiane wiatrem i zmarznięte od deszczu. Powitała nas ciepła kolacja. W salonie napalono w kominku. Brianna zaczęła ziewać nad

jajecznica.

Chwilę potem przeprosiła i poszła wziąć gorącą kąpiel. Wdałam się w pogawędkę z panią Thomas, właścicielką pensjonatu. Dopiero o dziesiątej umyłam się i przebrałam w koszulę nocną.

Brianna wcześniej wstawiała i kładła się spać. Gdy otworzyłam drzwi sypialni, usłyszałam spokojny oddech córki. Staralam się cichutko chodzić po pokoju, wieszać i składać rzeczy. Tak czy inaczej niewielkie było niebezpieczeństwo, że ją obudzę. Miała mocny sen. W domu panowała głucha cisza. Kiedy zabrałam się do pracy, szelest moich własnych ruchów wydawał się hałasem.

Przywiozłam kilka książek Franka z zamiarem podarowania ich bibliotece w Inverness. Leżały równo na dnie mojej walizki. Stanowiły dobrą podstawę dla delikatniejszych rzeczy. Wyciągnęłam książki, po jednej, i położyłam na łóżku. Pięć tomów w sztywnej oprawie. Ładne, konkretne rzeczy; każda po pięćset, sześćset stron, nie licząc indeksów i ilustracji.

Dzieła wszystkie mojego zmarłego męża, w pełnym wydaniu. Na obwolutach wydrukowano fragmenty pochwalnych opinii i komentarzy wszystkich znanych historyków. Imponujące dzieło. Prawdziwy powód do dumy. Solidne, ciężkie, mądre.

Przeniosłam książki na stół, żeby rano ich nie zapomnieć. Tytuły na grzbietach były oczywiście różne, ale ja ułożyłam książki, tak, żeby napis „Frank W. Randall” na każdej z nich znajdował się po jednej stronie. Obwoluty lśniły w małym snopie światła lampki nocnej.

W pensjonacie było cicho; o tej porze roku nie

przyjeżdżało wielu gości, a nieliczni, którzy jednak przybyli, już dawno spali. Brianna westchnęła przez sen i obróciła się na drugi bok. Długie pasma rudych włosów udrapowały się na jej twarzy. Spod koca wystawała długa stopa, więc delikatnie ją przykryłam.

Impuls, który każe dotknąć śpiącego dziecka, nigdy nie ginie. Nawet gdy dziecko jest już młodą kobietą. Odgarnęłam włosy z twarzy córki. Delikatnie pogłaskałam Briannę.

Uśmiechnęła się przez sen. Wyraz zadowolenia zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Patrząc na nią, uśmiechałam się dalej. Jak wiele razy przedtem szepnęłam: „Boże, jesteś do niego taka podobna”.

Głośno przełknęłam ślinę. Wzięłam szlafrok z oparcia krzesła. Kwietniowe noce na szkockich wyżynach były okropnie zimne, ale ja nie byłam jeszcze gotowa, żeby schować się w ciepłym sanktuariumłóżka.

Poprosiłam właścicielkę pensjonatu, żeby zostawiła ogień w kominku w salonie.

Zapewniłam, że zgaszę go przed wyjściem. Cicho zamykając drzwi, wciąż widziałam zarys długich nóg i masę miękkich rudych włosów na niebieskiej, pikowanej kołdrze.

– Też imponujące dzieło – szepnęłam do ciemnego korytarza. Salonik był ciemny i przytulny. Ogień w kominku płonął stałym płomieniem wzdłuż kłody. Przyciągnęłam niewielki fotel i oparłam stopy o barierkę przed kominkiem. Słyszałam wszystkie zwykłe, ciche odgłosy współczesnego życia: delikatne mruczenie lodówki

w piwnicy, szum i syczenie grzejników centralnego ogrzewania. Kominiek był raczej dekoracją niż koniecznością. Od czasu do czasu z ulicy dobiegał warkot przejeżdżającego samochodu.

Ale nad wszystkim panowała głęboka cisza górskiej nocy. Siedziałam nieruchomo, pogrążając się w niej. Minęło dwadzieścia lat, odkąd doświadczałam tej ciszy. Kojąca ciemność wciąż jednak tu była, kołysana pomiędzy górami. Z kieszeni szlafroka wyciągnęłam złożoną kartkę-kopię listy, którą dałam Rogerowi Wakefieldowi. Światło z kominka było zbyt nikłe, by przy nim czytać, ale ja nie musiałam widzieć nazwisk.

Rozłożyłam papier na moim osłoniętym jedwabiem kolanie. Ślepo wpatrywałam się w nieczytelne linie maszynopisu. Powoli przesuwalam palec wzdłuż każdego wersu, mrużąc poszczególne nazwiska jak modlitwę. Ciemność z zewnątrz wypełniła pustkę we mnie. Wypowiadając nazwiska zmarłych, zrobiłam pierwszy krok wstecz. Weszłam do pustej ciemności, gdzie czekali.

2

SPISEK SIĘ ZACIEŚNIA

Następnego ranka Roger wyszedł z muzeum w Culloden z dwunastoma stronami notatek i poczuciem rosnącego oszołomienia. To, co z początku wyglądało na zwykłą pracę dla historyka, zdecydowanie przybierało bardzo dziwny obrót. W spisach poległych pod Culloden znalazł tylko trzy nazwiska z listy Claire Randall. To nie było jeszcze nic niezwykłego. W armii Karola Stuarta rzadko prowadzono spójne wykazy zaciągu.

Niektórzy przywódcy klanów dołączyli do księcia chyba wiedzeni kaprysem. Wielu odeszło z jeszcze bardziej błahych powodów, zanim ktokolwiek zdążył umieścić nazwiska ich ludzi w oficjalnych rejestrach. Dokumentacja armii górali, w najlepszym okresie dość przypadkowa, pod koniec była niekompletna. Zresztą prowadzenie listy żołdów i tak nie miało większego sensu, skoro brakowało pieniędzy. Roger ostrożnie wsiadł do starego mini-morrisa. Odruchowo schylił głowę, żeby się nie uderzyć. Wyjął spod ramienia teczkę, otworzył ją i zmarszczył czoło nad stronami, które skopiował. Prawie wszystkie nazwiska Claire figurowały w spisie innej armii. W szeregach danego regimentu klanu żołnierze mogli zdezerterować, gdy rozmiar nadchodzącej katastrofy stał się oczywisty.

Niezrozumiałe jednak było to, że wszystkie nazwiska z listy pojawiły się w regimencie lorda Lovata, przysłanego w późniejszym okresie kampanii, w ramach spełnienia obietnicy wsparcia, złożonej Stuartom przez Simona Fasera. Ale Claire wyraźnie powiedziała, co potwierdziło szybkie spojrzenie na jej zapiski, że wszyscy ci ludzie pochodzili z Broch Tuarach – posiadłości na południowym zachodzie ziem Faserów, właściwie na granicy z ziemiami klanu MacKenziech. Co więcej, mówiła, że wymienieni mężczyźni służyli w armii górali od bitwy pod Prestonpans, która odbyła się na samym początku kampanii. Roger potrząsnął głową. To nie miało sensu. Oczywiście, Claire mogła pomylić daty. Sama przecież powiedziała, że nie jest historykiem. Ale nie myliła się przecież co do miejsca? A jak to możliwe, żeby mężczyźni z Broch Tuarach, którzy nie składali przysięgi

wierności przywódcy klanu Fraserów, byli do dyspozycji Simona Frasera? To prawda, lord Lovat nie bez powodu nosił przydomek „Stary Lis”, Roger wątpił jednak, żeby nawet tak szanowany książę miał dość sprytu, żeby zorganizować podobną akcję. Roger wyjechał z parkingu. Archiwa w muzeum w Culloden były zniechęcająco niekompletne; w większości zawierały krasomówcze listy George’a Murraya, w których lord bełkotliwie rozwodził się na temat problemów z dostawami żywności. Roger potrzebował o wiele więcej. Czekał, głupku mruknął sam do siebie. Masz sprawdzić, co się stało z ludźmi, którzy nie zginęli pod Culloden. Jakie ma znaczenie, jak się tam dostali, skoro opuścili pole bitwy w jednym kawałku? Nie mógł jednak przestać myśleć o poległych. Sprawa była bardzo dziwna. Imiona powtarzały się bardzo często.

W górach chyba połowę chłopców urodzonych w danym okresie nazywano Aleksander.

Ludzi zwyczajowo kojarzono z miejscem zamieszkania. Czasami nazwy miejscowości używano zamiast nazwiska. Lochiel, jeden z największych przywódców jakobitów, w rzeczywistości był Donaldem Cameronem z Lochiel, co bardzo wyraźnie odróżniało go od innych Cameronów o imieniu Donald. Wszyscy górale, nie będący Donaldami lub Alekami, mieli na imię John. W archiwalnych wykazach znalazł trzy osoby z listy Claire: Donalda Murraya, Aleksandra MacKenziego Frasera i Johna Grahama Frasera. Nie było nazw miejscowości, tylko nazwisko i regiment, w którym służyli. Regiment pana Lovata, regiment Fraserów.

Bez nazwy miejscowości nie mógł być pewien, że

byli to ludzie z listy Claire. W spisie poległych figurowało przynajmniej sześciu Johnów Fraserów, a wykaz ten również był niekompletny; Anglicy nie przywiązywali zbyt wiele wagi do dokładności – większość dokumentów została sporządzona po fakcie, przez przywódców klanów, liczących ludzi i sprawdzających, kto nie wrócił do domu. Często sami przywódcy nie wracali do domu, co komplikowało sprawę.

Sfrustrowany mocno pocierał dłonią głowę, jakby masaż mógł stymulować pracę jego mózgu. Jeśli trzy nazwiska nie należały do ludzi z jego listy, tajemnica była jeszcze głębsza. Ponad połowa armii Karola Stuarta zginęła pod Culloden. Ludzie Lovata walczyli w samym środku. Było nie do pomyślenia, żeby trzydziestu żołnierzy przeżyło w takim miejscu, bez żadnej ofiary. Ludzie pana Lovata późno przyłączyli się do powstania; podczas gdy dezercja szalała w innych regimentach, które służyły dość długo, żeby wiedzieć, po co tam są, Fraserowie byli bardzo lojalni – i w konsekwencji cierpieli.

Głośny dźwięk klaksonu przerwał jego skupienie. Roger zjechał na bok, żeby przepuścić dużą ciężarówkę. Myślenie nie idzie w parze z prowadzeniem samochodu, uznał. Jeśli będę tak robić dalej, wjadę na mur.

Przez chwilę siedział nieruchomo, zastanawiając się. Impuls nakazywał mu jechać do pensjonatu pani Thomas i powiedzieć Claire o wynikach dotychczasowych poszukiwań.

Fakt, że mogłoby się to wiązać ze spędzeniem paru chwil z Brianną Randall, uatrakcyjniał jeszcze ten pomysł.

Z drugiej strony jednak, instynkt historyka domagał

się danych. Roger nie był pewien, czy Claire może mu ich dostarczyć. Nie miał pojęcia, dlaczego miałyby powierzyć mu to zadanie, a jednocześnie przeszkadzać mu, podając niedokładne informacje. To nie było rozsądne, a Claire Randall była uderzająco rozsądną osobą.

Był jednak incydent z whisky. Roger zarumienił się na samo wspomnienie. Był pewien, że zrobiła to celowo – a że nie wyglądała na skorą do takich dowcipów, był zmuszony założyć, że zrobiła to, żeby nie zaprosił Brianny do Broch Tuarach. Czy chciała, żeby sam trzymał się z dala od tego miejsca, czy żeby tylko nie zabierał tam Brianny? Im więcej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że Claire Randall ukrywa coś przed córką. Nie mógł jednak sobie wyobrazić, o co chodziło. Nie miał również zielonego pojęcia, jaki to miało związek z nim albo z zadaniem, którego się podjął.

Nie zamierzał rezygnować z dwóch powodów: Brianny i czystej ciekawości. Chciał wiedzieć, co się dzieje, i był zdecydowany to sprawdzić.

Zamyślony lekko uderzał pięścią w kierownicę, ignorując hałas przejeżdżających samochodów. Wreszcie podjął decyzję, włączył silnik i wyjechał na drogę. Na następnym rondzie skręcił w stronę centrum Inverness i stacji kolejowej.

Pociągiem „Flying Scotsman” mógł zajechać do Edynburga w ciągu trzech godzin.

Kustosz zajmujący się dokumentami Stuartów był bliskim przyjacielem wielebnego.

Roger miał punkt zaczepienia, choć bardzo zadziwiający. Z listy zawierającej nazwiska żołnierzy

regimentu pana Lovata wynikało, że tych trzydziestu ludzi służyło pod kapitanem Jamesem Fraserem z Broch Tuarach. Człowiek ten był jedynym ogniwem łączącym Broch Tuarach i Fraserów z Lovat. Roger zastanawiał się, dlaczego Jamesa Frasera nie było na liście Claire.

Świeciło słońce, co rzadko zdarza się w połowie kwietnia, więc Roger opuścił szybę po stronie kierowcy, żeby wpuścić ciepły wiatr.

Musiał zostać na noc w Edynburgu. Po powrocie późnym popołudniem następnego dnia, był tak zmęczony długą jazdą pociągiem, że tylko zjadł gorącą kolację, którą wmusiła w niego Fiona, i padł na łóżko. Dziś jednak wstał pełen energii i determinacji.

Pojechał samochodem do miasteczka Broch Mordha, w pobliżu posiadłości zwanej Broch Tuarach. Może i Claire Randall nie chciała, żeby pojechała tam jej córka, ale jego nie mogła powstrzymać od powęszczenia w tej okolicy.

Znalazł samo Broch Tuarach albo przynajmniej tak założył; zobaczył ogromny stos kamieni, otaczający zawałone szczątki jednej ze starych *brochs*, czyli wież, używanych w zamierzchłej przeszłości do mieszkania i obrony. Znał celtycki dość dobrze, żeby wiedzieć, że nazwa ta oznacza „wieżę zwróconą na północ”, więc zastanawiał się przed chwilę, jak można było nadać taką nazwę okrągłej wieży.

W pobliżu znajdował się dwór i budynki gospodarcze, również w ruinach, choć sporo z nich się zachowało. Na palu przy drzwiach widniała tablica agenta nieruchomości, z wyblakłymi, prawie nieczytelnymi

napisami. Roger stanął na wzniesieniu obok domu i rozejrzał się. Na pierwszy rzut oka nie dostrzegał nic, co mogłoby tłumaczyć, dlaczego Claire nie chciała, żeby przyjechała tu jej córka.

Zaparkował przy drzwiach i wysiadł. Miejsce było piękne, ale bardzo odległe; ostrożne – żeby nie uszkodzić miski olejowej – przejechanie morrisem wyboistą ścieżką od głównej drogi zajęło mu trzy kwadransy.

Dom był opuszczony i może niebezpieczny. Roger nie wszedł do środka – niczego by tam nie znalazł. Nad drzwiami wygrawerowano nazwisko FRASER, które widniało również na większości małych kamieni nagrobnych na dawnym cmentarzu rodzinnym.

Nie dostrzegł tam żadnego innego nazwiska z listy. Musiał jechać dalej; według mapy miasteczko Broch Mhorda było oddalone o sześć kilometrów.

Tak, jak się obawiał, mały, miejski kościół został zamknięty wiele lat temu. Roger wypatrywał okolicznych mieszkańców, ale w odpowiedzi otrzymał jedynie tępe lub wrogie spojrzenia. W końcu jakiś wiekowy rolnik oświadczył z powątpiewaniem, że stare zapiski parafialne mogły zostać przekazane muzeum w Fort William, a może w Inverness, gdzie mieszkał duchowny, który kolekcjonował takie śmieci.

Zmęczony i zakurzony, ale nie zniechęcony Roger powłókł się do samochodu zaparkowanego przy miejskim pubie. Takie sytuacje często zdarzają się podczas naukowych badań. Był do tego przyzwyczajony. Jedno piwo – no, może dwa, bo dzień był wyjątkowo upalny – i z powrotem do Fort William.

Ale bym się czuł, pomyślał kwaśno, gdyby dane, których szukam, były w archiwum wielebnego. Zostałbym w ten sposób ukarany za zaniedbywanie pracy i fanfaronadę przed dziewczyną. Podczas pobytu w Edynburgu zdołał wyeliminować tylko trzy nazwiska, które znalazł w muzeum w Culloden. Okazało się, że wszystkie trzy osoby należały do innych regimentów i nie służyły w grupie z Broch Tuarach.

Dokumenty Stuartów zajmowały kilka sal oraz niezliczone skrzynki w podziemiach muzeum, więc oczywiście nie przeprowadził wyczerpujących badań. Ale znalazł duplikat jednej z list żołdów, którą widział w muzeum w Culloden. Według tego spisu wszyscy mężczyźni służyli w regimencie pod dowództwem pana Lovata, czyli młodego Simona – syna Starego Lisa. Stary drań nieźle się ustawił, pomyślał Roger; wysłał dziedzica do walki za Stuartów, a sam został w domu i cały czas twierdził, że jest lojalnym poddanym króla Geordiego. Nie wyszło mu to na dobre.

W dokumencie napisano, że dowódcą był Simon Fraser Młodszy. Nie wymieniono natomiast Jamesa Frasera. Jednakże imię i nazwisko pojawiało się w wielu rozkazach armii, memorandach i innych dokumentach. Niestety, samo nazwisko nie potwierdzało jednoznacznie, że był to James Fraser z Broch Tuarach; imię James wśród górali było imieniem równie popularnym, jak Duncan czy Robert. Tylko w jednym dokumencie znalazł Jamesa Frasera z drugim imieniem, które mogłoby pomóc w identyfikacji, ale nie podano z kolei danych jego ludzi.

Roger wzruszył ramionami. Z irytacją odpędził

nagłą chmurę natrętnych komarów.

Dokładne przeszukanie zbiorów w Edynburgu zajęłoby kilka lat. Roger wszedł do ciemnego pubu, wypełnionego zapachem piwa.

Sącząc zimne, gorzkie ale, analizował dotychczasowe wyniki poszukiwań oraz możliwości, które mu zostały. Miał jeszcze czas, żeby jechać do Fort William, chociaż to oznaczałoby, że wróci do Inverness bardzo późno. A jeśli nie znajdzie nic w muzeum Fort William, to, jak na ironię, następnym logicznym posunięciem będzie porządne przeszukanie archiwum wielebnego.

A potem? Wypił ostatnie krople piwa i poprosił o następny kufel. Prawdopodobnie najlepszym, najszybszym rozwiązaniem byłoby przeszukanie wszystkich cmentarzy i obszarów pochówków w okolicy Broch Tuarach. Wątpił, żeby panie Randall zostały w Inverness przez następne dwa lub trzy lata i cierpliwie czekały na wyniki.

Dotknął schowanego w kieszeni notesu, wiernego towarzysza historyka. Przed opuszczeniem Broch Mhorda powinien przynajmniej rzucić okiem na stary cmentarz.

Nigdy nie wiadomo, co może tam znaleźć, a przynajmniej nie trzeba będzie wracać.

Następnego popołudnia Roger zaprosił panie Randall na podwieczorek połączony ze sprawozdaniem z dotychczasowych dokonań.

– Odszukałem kilka nazwisk z naszej listy – powiedział Claire w drodze do gabinetu.

– To bardzo dziwne; nie potwierdziłem, żeby którykolwiek z żołnierzy na pewno zginął pod Culloden. Myślałem, że mam takich trzech, ale okazało się, że to

tylko zbieżność nazwisk. – Spojrzał na doktor Randall; stała nieruchomo, mocno ściskając oparcie fotela, jakby zapomniała, gdzie jest.

– Może pani usiądzie? – zaproponował Roger. Claire nieznacznie drgnęła, kiwnęła głową i przysiadła na skraju fotela. Roger spojrział na nią z ciekawością. Podał jej swoje notatki i mówił dalej:

– Jak już mówiłem, to dziwne. Nie znalazłem wszystkich nazwisk; będę chyba musiał powęszyć w rejestrach parafialnych i na cmentarzach w pobliżu Broch Tuarach.

Większość tych zapisków znalazłem wśród papierów ojca. Przypuszczałem, że wpadnę na trop przynajmniej kilku poległych w bitwie. Jeśli, jak pani twierdzi, wszyscy służyli w jednym z regimentów Frasera, to byli prawie w środku ognia walki.

– Wiem – odparła dziwnym głosem. Schyliła się nad biurkiem, więc nie widział wyrazu jej twarzy. Większość dokumentów Roger przepisał ręcznie. Technologia fotokopii jeszcze nie dotarła do archiwum rządowego, w którym znajdowały się dokumenty Stuartów. Było jednak parę oryginalnych kartek, wykopanych ze stosów osiemnastowiecznych zbiorów wielebnego Wakefielda. Claire bardzo delikatnie i ostrożnie przewracała kartki.

– Ma pan rację, to jest dziwne. – Teraz w jej głosie rozpoznał emocję: ekscytację z nutką satysfakcji i ulgi.

– Proszę mi powiedzieć... – zawahała się. – Co się stało z tymi ludźmi, którzy nie zginęli pod Culloden?

Zaskoczyło go trochę, że ta sprawa jest dla niej tak

istotna, ale posłusznie wyjął i otworzył teczkę z notatkami.

– Dwóch zaciągnęło się na statek; wyemigrowali do Ameryki wkrótce po Culloden.

Czterech zmarło śmiercią naturalną około roku później. Nic dziwnego, po bitwie panował straszliwy głód. Nazwisko ostatniego znalazłem w dokumentach parafii, ale innej niż ta, z której pochodził. Jestem jednak pewien, że to jeden z poszukiwanych przez panią ludzi.

Dopiero kiedy jej ramiona się rozluźniły, zauważył, jaka była spięta.

– Szukać dalej? – zapytał w nadziei, że usłyszy twierdzącą odpowiedź. Znad ramienia Claire obserwował Briannę. Stała przy korkowej ścianie, zwrócona bokiem. Sprawiała wrażenie zupełnie nie zainteresowanej sprawą. Roger dostrzegł jednak pionową zmarszczkę między jej brwiami.

Może, podobnie jak on, czuła dziwną atmosferę tłumionego podekscytowania, która otaczała matkę jak pole elektryczne. Był tego świadom od chwili, kiedy Claire weszła do pokoju, a prezentowane rewelacje tylko nasiliły wrażenie. Pomyślał, że gdyby jej dotknął, przeskoczyłaby pomiędzy nimi iskra.

Jego myśli przerwało pukanie do drzwi gabinetu. Weszła Fiona Graham. Pchała barek z imbrykiem, filiżankami, ozdobnymi serwetkami, trzema rodzajami kanapek, ciasteczkami z kremem, biszkoptem, tartinkami z dżemem oraz placuszkami z mąki jęczmiennej.

– Ooo! – zawołała na ten widok Brianna. – Czy to wszystko dla nas, czy spodziewa się pan jeszcze tuzina gości?

Claire Randall z uśmiechem przyglądała się przygotowaniom. Napięcie jeszcze nie ustąpiło, ale stłumiła je z ogromnym wysiłkiem. Roger spojrzął na jej dłoń, zaciśniętą w fałdach spódnicy tak mocno, że krawędź pierścionka wbijała się w ciało.

– Po tak obfitym podwieczorku nie będziemy jeść przez następnych kilka tygodni – rzekła Claire. – Wygląda cudownie!

Twarz Fiony pojaśniała. Dziewczyna była niska, pulchna i ładna. Przypominała małą, brązową kurkę. Roger westchnął cicho. Cieszył się, że może tak wystawnie przyjąć gości, ale doskonale wiedział, że podwieczorek ma wyrzeć wrażenie na nim, nie na paniach Randall. Dziewiętnastoletnia Fiona miała jedną, wielką życiową ambicję: wyjść za męża.

Najlepiej za człowieka sukcesu. Przed tygodniem, gdy Roger przyjechał zająć się sprawami wielebnego, uznała, że asystent na wydziale historii jest najlepszą partią w Inverness.

Od tego momentu tuczyła go jak świąteczną gęś, czyściła mu buty, układała kapcie i szczoteczki do zębów, ścieliła łóżko, czyściła płaszcz, kupowała wieczorną gazetę i kładła obok talerza, masowała mu kark, gdy pracował parę godzin przy biurku. Ciągle też pytała, czy jest mu wygodnie, czy ma dobry nastrój i czy jest zdrow. Nigdy przedtem nie doświadczył tyle domowej troski. Co więcej, czuł jej nadmiar.

Krótko mówiąc, Fiona doprowadzała go do szału. Niedbałe ubieranie się, noszenie dwudniowego zarostu było z jego strony raczej reakcją na te jej wszystkie zabiegi niż

naturalnym zachowaniem człowieka chwilowo uwolnionego od wymogów pracy i otoczenia.

Sama myśl o świętym związku małżeńskim z Fioną Graham przeszywała go strachem do szpiku kości. Ciągłym naprzykrzaniem się Fiona w ciągu roku wpędziłaby go w paranoję. Oprócz tego była jeszcze Brianna Randall. W tej chwili z namysłem patrzyła na barek z podwieczorkiem, jakby zastanawiała się, od czego zacząć.

Tego popołudnia Roger starał się jednak skupić na Claire Randall i jej sprawie. Claire była śliczna. Dzięki filigranowej budowie i świetlistej skórze w wieku sześćdziesięciu lat zachowała wygląd dwudziestolatki. Ale widok Brianny Randall zapierał mu dech w piersiach.

Nosiła się jak królowa, nie garbiąc się, jak wiele wysokich dziewczyn. Widząc proste plecy i pełną wdzięku postać matki, wiedział, po kim odziedziczyła tę postawę. Ale nie wysoki wzrost, kaskadę opadających do talii rudych włosów, iskrzących miedzią i złotem, muśniętych bursztynem i cynamonem, wijących się niedbale wokół twarzy i ramion. Nie oczy, tak ciemnoniebieskie, że czasami prawie czarne. Nie szerokie usta, z pełną dolną wargą, zapraszającą do namiętnych pocałunków. To zapewne odziedziczyła po ojcu.

Roger był raczej zadowolony z nieobecności jej ojca, który rodzicielskim sposobem niewątpliwie utemperowałby myśli młodego asystenta, niestety, chyba widoczne na jego twarzy.

– Podwieczorek? – powtórzył z roztargnieniem. – Wspaniały. Cudowny. Wygląda przepyszenie. Dziękuję, Fiono. Chyba, hm... niczego już nie potrzebujemy.

Fiona zignorowała prośbę o wyjście. Wdzięcznie skinęła głową w podzięcie na komplementy i zaczęła rozstawiać spodeczki oraz filiżanki. Nalała herbaty, poczęstowała panie ciasteczkami. Wydawało się, że zamierza tu zostać w nieskończoność, pełniąc rolę pani domu.

– Proszę położyć sobie śmietanki na placuszki, Rog... To znaczy, panie Wakefield – zaproponowała i nie czekając na odpowiedź, nałożyła mu śmietankę. – Jest pan zdecydowanie za chudy, powinien pan przytyć. – Rzuciła konspiracyjne spojrzenie Briannie Randall. – Wie pani, jacy są mężczyźni. Sami nie potrafią się dobrze odżywiać.

– Szczęście, że ma panią – odpowiedziała Brianna.

Roger wziął głęboki wdech i kilkakrotnie wygiął palce, aż pragnienie uduszenia Fiony minęło.

– Fiono, czy mogłabyś mi wyświadczyć przysługę? – odezwał się z wymuszonym spokojem.

Pojaśniała jak wydrażona dynia ze świeczką w środku. Szeroko uśmiechnęła się na myśl o zrobieniu czegokolwiek dla niego.

– Oczywiście, Rog... panie Wakefield! Czego tylko pan sobie życzy!

Roger lekko wstydził się za siebie, ale przecież, tłumaczył sobie, robił to również dla jej dobra. Gdyby nie wyszła, wkrótce straciłby cierpliwość i powiedział coś, czego potem oboje by żalowali.

– Dziękuję, Fiono. Zamówiłem trochę... trochę... – Gorączkowo przypominał sobie nazwisko któregoś ze sklepikarzy z miasteczka. – Trochę tytoniu. U pana Buchana, przy High Street. Zechciałabyś mi przynieść? Po

tak wspaniałym podwieczorku z przyjemnością zapalę fajkę.

Fiona już zdejmowała fartuszek – plisowany, rozszywany koronką. Gdy zamknęły się za nią drzwi, na moment zamknął oczy. Przez chwilę nie myślał o tym, że nie pali.

Z westchnieniem ulgi wrócił do rozmowy z gośćmi.

– Pytał pan, czy szukać reszty nazwisk z mojej listy – przypomniała prawie od razu Claire. Roger miał dziwne wrażenie, że i ona z ulgą przyjęła odejście Fiony. – Tak, proszę... Jeśli nie sprawi to panu kłopotu.

– Ależ skąd! – zapewnił Roger, kłamiąc tylko odrobinę. – Zrobię to z przyjemnością.

Roger zatrzymał dłoń nad barkiem z podwieczorkiem. W końcu sięgnął po kryształową karafkę dwunastoletniej whisky Muir Breame. Czuł, że należy mu się to po potyczce z Fioną.

– Kropelkę whisky? – zapytał grzecznie. Widząc niesmak na twarzy Brianny, dodał szybko: – A może herbaty?

– Herbaty – odpowiedziała Brianna.

– Nie wiesz, co tracisz – zwróciła się Claire do córki. Z przyjemnością wdychała aromat trunku.

– Ależ wiem – odparła Brianna. – Dlatego właśnie nie piję. – Wzruszyła ramionami i mrugnęła do Rogera.

– Żeby legalnie pić alkohol w Massachusetts, trzeba ukończyć dwadzieścia jeden lat – wyjaśniła Rogerowi Claire. – Bree brakuje ośmiu miesięcy, więc nie jest jeszcze przyzwyczajona do whisky.

– Tak jakby nielubienie whisky było zbrodnią –

zaprotestowała Brianna i uśmiechnęła się do Rogera znad filiżanki.

W odpowiedzi uniósł brwi.

– Moja droga – zaczął surowo. – Jesteśmy w Szkocji. Tu nielubienie whisky jest wielką zbrodnią!

– Och, naprawdę? – powiedziała słodko Brianna, doskonale naśladowując jego lekki szkocki akcent. – Miejmy nadzieję, że nie tak poważną, jak morrrderrrrstwo.

Zaskoczony parsknął śmiechem, przy czym zakrztusił się whisky. Kaszłąc i uderzając się w pierś, spojrział na Claire. Jej usta rozciągnęły się w wymuszonym uśmiechu, ale twarz mocno pobladła. Claire zamrugała, uśmiech zrobił się bardziej naturalny, bladość ustąpiła.

Roger był zdziwiony, że tak łatwo im się rozmawiało – zarówno o niczym, jak i o sprawie Claire. Brianna wyraźnie interesowała się pracą ojca. Wiedziała o jakobitach o wiele więcej niż jej matka.

– Zadziwiająco, że dotarli aż do Culloden – powiedziała. – Wiedział pan, że w bitwie pod Prestonpans uczestniczyło zaledwie dwa tysiące górali? I pokonali ośmiotysięczną armię Anglików? Niesamowite!

– Cóż, bitwa pod Falkirk przedstawiała się podobnie – wtrącił Roger. – Mniejsza liczebność, gorsze uzbrojenie, warunki walki... Teoretycznie nie powinni wygrać.

A jednak!

– Mhm – mruknęła Claire i pociągnęła spory łyk whisky. – Zwyciężyli.

– Pomyślałem sobie – zwrócił się do Brianny Roger z wystudiowaną swobodą – że może zechciałyby pani odwiedzić ze mną kilka miejsc, na przykład dawnych pól

bitewnych? To bardzo ciekawe, a poza tym jestem pewien, że ogromnie by mi pani pomogła w badaniach.

Brianna zaśmiała się i odgarnęła włosy.

– Nie wiem, czy potrafią pomóc, ale bardzo chętnie się przyłączę.

– Wspaniale! – Zachwycony zgodą sięgnął po karafkę i omal jej nie upuścił. Claire odebrała mu naczynie i napełniła szklaneczkę.

– Tyle przynajmniej mogę zrobić po tym, jak ostatnio narozlewałam – powiedziała z uśmiechem, gdy jej podziękował.

Widząc ją teraz zadowoloną i rozluźnioną, Roger zaczął wątpić w swoje wcześniejsze podejrzenia. Może to jednak był przypadek? Ze ślicznej, spokojnej twarzy nie mógł nic wyczytać.

Pół godziny później na stoliku panował nieporządek. Karafka była pusta, a Roger, Claire i Brianna siedzieli wygodnie, syci i odprężeni. Brianna parę razy niespokojnie się poruszyła. Spojrzała na Rogera. W końcu zapytała, czy mogłaby „przypudrować nos”.

– Toaleta? Naturalnie. – Z trudem wstał, ocieęzały od ciasta i migdałowych placuszków. Jeśli szybko nie odprawi Fiony, do Oksfordu wróci jako stu pięćdziesięciokilogramowy tłusciuch.

– Jest bardzo staromodna – wyjaśnił, wskazując łazienkę. – Z rezerwuarem pod sufitem i łańcuszkiem do pociągania.

– Widziałam takie w British Museum – oznajmiła Brianna, kiwając głową. – Ale nie na wystawie, tylko w toalecie dla pań. – Zawahała się, potem zapytała: – Nie ma

pan takiego papieru toaletowego, jak w muzeum, prawda? Bo jeśli tak, to od razu wezmę chusteczki higieniczne.

Roger zamknął jedno oko.

– Albo sama pani sobie przeczy, albo wypilem o wiele więcej, niż myślałem. – On i Claire nie żalowali sobie whisky.

Claire zaśmiała się, słysząc ich rozmowę. Wstała, żeby wyjąć z torebki kilka chusteczek.

– Może to nie woskowany papier z pieczętką „Własność Rządu Jej Królewskiej Mości”, ale prawdopodobnie niewiele lepszy – powiedziała córce. – Brytyjski papier toaletowy jest zazwyczaj sztywny.

– Dziękuję. – Brianna wzięła chusteczki i ruszyła do drzwi. Nagle się odwróciła. – Dlaczego właściwie ludzie robią papier toaletowy, który wygląda jak folia aluminiowa? – zapytała.

– „Dębowe serca mają nasi ludzie” – zaintonował Roger – „Z nierdzewnej stali zadki”. To podkreśla charakter narodowy.

– W przypadku Szkotów jest to chyba dziedziczne obumieranie nerwów – dodała Claire. – Ludzie, którzy jeździli konno w kiltach, mieli pośladki jak skóra siodła.

Brianna prychnęła ze śmiechu.

– W takim razie wołałabym nie widzieć, do czego używali papieru toaletowego.

– Nie było tak źle. – Tym stwierdzeniem Claire całkowicie zaskoczyła swoich rozmówców. – Liście dziewanny są bardzo miłe w dotyku, jak dwuwarstwowe chusteczki do rąk. A zimą lub w domach posługiwano się zwykle wilgotną szmatką. Niezbyt higieniczna metoda, ale

wygodna.

Roger i Brianna przez chwilę gapili się na nią w osłupieniu.

– Ee... Czytałam o tym – wyjaśniła, niespodziewanie się rumieniąc.

Gdy Brianna, wciąż chichocząc, poszła wreszcie do toalety, Claire nie ruszyła się od drzwi.

– Ogromnie miło z pana strony, że tak wspaniale nas pan zabawia – powiedziała z uśmiechem do Rogera. Chwilowe zakłopotanie zastąpiła zwykła równowaga. – I bardzo dziękuję, że zechciał pan się dowiedzieć o te nazwiska.

– Cała przyjemność po mojej stronie – zapewnił Roger. – To zbawienna odmiana po uprzążeniu pajęczyn. Dam znać, jak tylko zdobędę trochę więcej informacji o pani jakobitach.

– Dziękuję. – Claire zawahała się, spojrzała przez ramię i zniżyła głos. – Właściwie skoro Bree na chwilę wyszła... Chcę pana o coś poprosić. Ale niech to zostanie między nami.

Roger odchrząknął i poprawił krawat, specjalnie założony z okazji wizyty pań Randall.

– Proszę bardzo – zachęcił uprzejmie. Czuł się radośnie pewny siebie po udanym podwieczorku. – Jestem całkowicie do pani usług.

– Pytał pan Bree, czy ma ochotę pomóc w badaniach. Chciałam prosić... żeby nie zabierał jej pan w jedno miejsce.

W głowie Rogera rozdzwonił się dzwonek alarmowy. Czyżby miał się dowiedzieć o jakiejś tajemnicy

związanej z Broch Tuarach?

– Chodzi o krąg stojących kamieni Craigh na Dun. – Claire lekko się pochyliła.

Bardzo spoważniała. – Mam istotny powód, w przeciwnym wypadku bym o to nie prosiła. Chcę jej sama pokazać krąg. Na razie wołałabym panu nie mówić dlaczego.

Zrobię to w swoim czasie. Obieca pan?

Myśli kłębiły się w głowie Rogera. Czyli jednak nie chodziło o Broch Tuarach! Jedna tajemnica się wyjaśniła, tylko po to, żeby pogłębić drugą.

– Jeśli pani sobie życzy – powiedział w końcu. – Naturalnie.

– Dziękuję. – Delikatnie dotknęła jego ramienia i odwróciła się, żeby odejść. Widząc jej sylwetkę w świetle, nagle coś sobie przypomniał.

– Och, doktor Randall... Claire?

Odwróciła się i spojrzała na niego. Gdy nie rozpraszała go Brianna, doskonale widział, jak piękną kobietą jest pani Randall. Twarz miała zaróżowioną od whisky, a jej oczy były niezwykle, jasnego, złotobrązowego koloru jak bursztynowy płyn w kryształowej karafce.

– We wszystkich dokumentach – zaczął, starannie dobierając słowa – wymieniano kapitana Jamesa Frasera. Był chyba dowódcą. Ale on nie figurował na pani liście. Czy wiedziała pani o jego istnieniu?

Zamarła na moment. Znow wyglądała tak, jak tuż po przyjsciu na podwieczorek.

– Tak, oczywiście. – Mówiła spokojnie, ale nagle

popładła. Roger dostrzegł na jej szyi pulsującą żyłkę. – Nie umieściłam go na liście, bo już wiedziałam, co się z nim stało.

Jamie Fraser zginął pod Culloden.

– Jest pani pewna?

Claire podniosła torebkę, jakby koniecznie chciała wyjść. Spojrzała w kierunku łazienki, skąd dobiegał klekot starej klamki, znak, że Brianna próbuje się wydostać.

– Tak – potwierdziła, nie patrząc na Rogera. – Nie mam żadnych wątpliwości. Och, panie Wakefield... To znaczy Rogerze. – Dopiero teraz się odwróciła i popatrzyła na niego swoimi niesamowitymi oczyma. W tym świetle są prawie żółte, pomyślał. To oczy wielkiego kota, lamparta. – Proszę, nie mów mojej córce o Jamiem Fraserze.

Było późno. Roger już od dawna powinien leżeć w łóżku, ale nie mógł zasnąć. Czy to z powodu kłopotów z Fioną, czy zagadkowych zakazów Claire Randall, czy z radości na myśl o prowadzeniu badań z Brianną Randall... Nieistotne. Zamiast przewracać się z boku na bok albo liczyć barany, postanowił wykorzystać swoją przytomność umysłu.

Przeglądanie papierów wielebnego prawdopodobnie uśpi go w mgnieniu oka.

W pokoju Fiony jeszcze paliło się światło. Roger zszedł po schodach na palcach, żeby jej nie przeszkadzać. Włączył światło w gabinecie i przez chwilę stał, kontemplując ogrom czekającego go zadania.

Jedna ze ścian idealnie odzwierciedlała umysłowość i charakter wielebnego Wakefielda. Była pokryta od podłogi do sufitu ogromną korkową płytą o wymiarach

sześć na cztery metry. Ani kawałek korka nie prześwitywał spod warstw papierów, notatek, zdjęć, kopii z powielacza, rachunków, wykazów, ptasich piór, oddartych kawałków kopert z ciekawymi znaczkami pocztowymi, naklejek adresowych, kółek na klucze, pocztówek, gumek i innych zbędnych rzeczy przyczepionych pinezkami lub przywiązanych kawałkami sznurka.

Miejscami ścianę pokrywało kilkanaście warstw papierków z notatkami, ale wielebny zawsze bezbłędnie sięgał po karteczkę, której szukał. Roger pomyślał, że ścienne zbiory zostały zorganizowane według jakiejś zasady, tak skomplikowanej, że nie rozszyfrowałiby jej nawet amerykańscy naukowcy z NASA.

Roger z powątpiewaniem przyglądał się ścianie. Od czego zacząć? Sięgnął po powieloną listę dat spotkań zgromadzenia, ale rozproszył go widok wiszącego pod spodem, narysowanego kredkami smoka. Artystyczne kłęby dymu wydobywały się z rozpalonych nozdrzy potwora, zielone płomienie strzelały z otwartej paszczy.

U dołu kartki, dużymi, koślawymi literami, podpisano ROGER. Jak przez mgłę pamiętał swoje tłumaczenie, że smok miota zielone płomienie, bo je tylko szpinak. Puścił listę zgromadzenia i odwrócił się od ściany. Weźmie się za to później.

Uprzątnięcie ogromnego, dębowego biurka z odsuwającym blatem i przynajmniej czterdziestoma wypełnionymi po brzegi skrytkami w porównaniu z uporządkowaniem karteczek na ścianie wydawało się drobiazgiem. Roger z westchnieniem odsunął zniszczony fotel i usiadł, żeby przejrzeć dokumenty, które zdaniem

wielebnego warte były zachowania.

Stos nie zapłaconych rachunków. Obok sterta urzędowych dokumentów: książka wozu, raporty nadzorców, świadectwa inspekcji budowlanej. Dalej plik historycznych notatek i danych. Kolejny stos – sprawy rodzinne. Ostatni – zdecydowanie największy – śmieci.

Pogrążony w pracy nie usłyszał odgłosu otwieranych drzwi ani zbliżających się kroków. Nagle pojawił się przed nim duży imbryk z herbatą.

– O! – Wyprostował się i zamrugał.

– Pomyślałam, że chętnie napiłby się pan herbaty, panie Wake... Rogerze. – Fiona postawiła niewielką tacę z filiżanką, dzbanuszką i talerzem ciasteczek.

– Och, dziękuję. – Rzeczywiście był głodny. Obdarzył Fionę przyjaznym uśmiechem, który wywołał rumieniec na jej pełnych policzkach. Wyraźnie zachęcona nie odeszła.

Oparła się o róg biurka i pogryzając czekoladowe ciasteczko, patrzyła, jak Roger pracuje.

Roger czuł, że powinien jakoś zareagować na obecność Fiony. Podniósł nadgryzione ciastko i wymamrotał:

– Dobre.

– Naprawdę? Sama upiekłam. – Fiona zarumieniła się jeszcze bardziej. Atrakcyjna dziewczyna, pomyślał. Niska, zaokrąglona, z ciemnymi, kręconymi włosami i dużymi, brązowymi oczyma. Uświadomił sobie, że się zastanawia, czy Brianna Randall umie gotować. Potrząsnął głową, żeby pozbyć się tej myśli.

Fiona uznała ten ruch za oznakę niedowierzania.

Pochyliła się bardziej.

– Naprawdę? – powtórzyła. – Skorzystałam z przepisu babci. Zawsze mówiła, że to ulubione ciasteczka wielebnego. – Przez duże, brązowe oczy przebiegł cień. – Zostawiła mi wszystkie książki kucharskie. Byłam jej jedyną wnuczką.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci twojej babci – powiedział szczerze Roger. – Zmarła zupełnie niespodziewanie?

Fiona smutno pokiwała głową.

– Och, tak. Przez cały dzień czuła się świetnie. Po kolacji powiedziała, że jest trochę zmęczona i poszła się położyć. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – I już się nie obudziła.

– Dobry sposób na odejście – stwierdził Roger. – Przynajmniej nie cierpiała.

Pani Graham mieszkała w dworku jeszcze przed przybyciem Rogera – przerażonego, osieroconego pięciolatka. Była wdową w średnim wieku, z dorosłymi dziećmi. Zawsze jednak, gdy przyjeżdżał na ferie, okazywała mu wiele matczynego uczucia. Ona i wielebny tworzyli dziwaczną parę, ale dzięki nim w starym dworku panowała atmosfera prawdziwego domu.

Wzruszony wspomnieniami Roger uściśnął dłoń Fiony. Dziewczyna odwzajemniła uścisk, a brązowe oczy nagle zaszyły mgłą. Różowe usteczka lekko się rozchyliły.

Przysunęła się bliżej, tak, że Roger czuł na uchu jej ciepły oddech.

– Och, dziękuję – wybełkotał Roger. Jak oparzony wyrwał dłoń z jej uścisku. – Dziękuję bardzo. Za... ee...

herbatę. Ciasteczka. Dobrze. Wyśmienite. Dziękuję. – Odwrócił się i szybko sięgnął po kolejny stos papierów, żeby ukryć zakłopotanie. Chwycił zwinięte wycinki gazet z pierwszej z brzegu skrytki.

Rozwinął poźółkle karteczki i rozłożył je na biurku. Zmarszczył brwi w pozornie głębokim skupieniu, pochylił głowę nad zamazanym tekstem. Po chwili Fiona wstała z głębokim westchnieniem. Roger usłyszał jej kroki zmierzające w stronę drzwi. Nie podniósł wzroku.

On również westchnął. Zamknął oczy i zmówił krótką modlitwę dziękczynną za to, że w ostatniej chwili udało mu się opanować. Tak, Fiona wyglądała atrakcyjnie.

Niewątpliwie też wyśmienicie gotowała. Była również wścibska, irytująca i zdecydowana na ślub. Jeszcze raz położył dłoń na tym różanym cieple, a za miesiąc usłyszysz zapowiedzi, przestrzegł sam siebie. Ale gdyby miały zostać ogłoszone jakiegokolwiek zapowiedzi, to tylko Rogera Wakefielda i Brianny Randall – gdyby Roger mógł sam zdecydować.

Otworzył oczy i zamrugał. Zobaczył przed sobą nazwisko, które wyobraził sobie na akcie ślubu – Randall.

Oczywiście nie Brianna Randall. Claire Randall. W nagłówku napisano:

POWRÓCIŁA ZE ŚWIATA ZMARŁYCH. Pod spodem znajdowało się zdjęcie Claire Randall, o dwadzieścia lat młodszej, ale nie różniącej się zbytnio od tej, którą poznał.

Może z wyjątkiem wyrazu twarzy. Na fotografii siedziała prosto w szpitalnym łóżku, z rozczochranymi, przypominającymi porpore włosami. Delikatne usta

zaczisnęły się jak stalowa pułapka, a niezwykle oczy patrzyły prosto w obiektyw.

Roger szybko przejrzał stos wycinków i zabrał się do uważnej lektury. Chociaż gazety starały się nadać sprawie jak najbardziej sensacyjny charakter, podały też kilka ważnych faktów.

Claire Randall, żona znanego historyka, doktora Franklina W. Randalla, zaginęła podczas wakacji w Inverness w Szkocji, późną wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Znalaziono jej samochód, ale ona sama zniknęła bez śladu. Wszelkie poszukiwania spełzły na niczym. Policja i zrozpaczony mąż uznali w końcu, że Claire Randall została zamordowana. Może przez jakiegoś włóczęgę, który ukrył ciało gdzieś na skalistych wzgórzach tego obszaru.

A w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku, niemal trzy lata później, Claire Randall wróciła. Potargana i ubrana w łachmany wałęsała się w pobliżu miejsca, gdzie zniknęła. Stan zdrowia pani Randall oceniono jako zadowalający. Była tylko trochę niedożywienia. Poza tym mocno dezorientowana.

Roger lekko uniósł brwi. Czy Claire Randall kiedykolwiek mogła być dezorientowana? Przejrzał resztę wycinków. Znalazł w nich niewiele ponad informację, że pani Randall przeżyła wstrząs i jest leczona w lokalnym szpitalu. Zobaczył zdjęcia uradowanego – jak napisano – męża, Franka Randalla. Wygląda raczej na zaskoczonego niż uradowanego, pomyślał krytycznie Roger. Zresztą trudno się dziwić.

Uważnie przyjrzał się zdjęciom. Frank Randall był

ciemnowłosym, szczupłym, przystojnym mężczyzną o arystokratycznym wyglądzie. Z jego sylwetki emanował zawadiacki wdzięk. Doktor Randall stał w drzwiach szpitala. Został zaskoczony przez fotografa w chwili, gdy siedł złożyć wizytę odzyskanej żonie.

Roger przyjrzał się zarysowi długiej, wąskiej szczęki oraz kształtowi głowy. Szukał podobieństwa do Brianny. Zaintrygowany tą myślą wstał i przyniósł jedną ze stojących na półce książek Franka Randalla. Na wewnętrznej stronie obwoluty znalazł lepsze zdjęcie. Fotograf ujął Franka w kolorze, en face. Nie, włosy były zdecydowanie ciemnobrązowe, nie rude. To oszałamiające piękno musiała odziedziczyć po dziadkach, tak jak ciemnoniebieskie oczy, skośne jak u kota. Cudowne, ale nie przypominające oczu matki. Ani ojca. Mimo usilnych starań w twarzy sławnego historyka nie dostrzegł ani śladu cech charakterystycznych dla ognistej bogini.

Z westchnieniem zamknął książkę i zebrał wycinki. Naprawdę muszę natychmiast wziąć się do roboty. Inaczej będę tu siedział przez następny rok, pomyślał.

Miał już odłożyć wycinki na stosik przeznaczony do zatrzymania, kiedy w oko wpadł mu nagłówek: **PORWANA PRZEZ WRÓŻKI**. Zainteresowała go właściwie napisana tuż nad artykułem data. Szósty maja tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku.

Delikatnie położył wycinek, jakby to była bomba, mogąca wybuchnąć mu w dłoni.

Zamknął oczy. Próbował sobie przypomnieć pierwszą rozmowę z paniami Randall.

„Trzeba mieć skończone dwadzieścia jeden lat, żeby

legalnie pić alkohol w Massachusetts”, powiedziała Claire. „Briannie brakuje jeszcze ośmiu miesięcy”. Czyli Brianna Randall miała dwadzieścia lat.

Spojrzał na kalendarz wikarego obejmujący okres stu lat. Znalazł datę. Przez chwilę stał z palcem przy kalendarzu. Krew odpłynęła mu z twarzy.

Claire Randall wróciła po swoim tajemniczym zniknięciu potargana, niedożywiona, dezorientowana – i w ciąży.

Roger w końcu zasnął. Obudził się późno, z ciężkimi powiekami i nieznośnym bólem głowy, którego nie ukoił ani zimny prysznic, ani świergot Fiony przy śniadaniu.

Porzucił więc pracę i wyszedł na spacer. Świeże powietrze złagodziło ból. Niestety rozjaśniło też Rogerowi w głowie na tyle, że znów mógł myśleć o znaczeniu wczorajszego odkrycia.

Brianna nie знаła prawdy. To było dość oczywiste. Wynikało ze sposobu, w jaki mówiła o swoim zmarłym ojcu czy raczej o człowieku, którego uważała za ojca, o Franku Randallu. Najwyraźniej Claire nie chciała, żeby córka się dowiedziała. Inaczej sama zdradziłaby jej tajemnicę. Chyba że szkocka wyprawa miała być wstępem do takiego wyznania. Prawdziwy ojciec to zapewne Szkot; Claire zniknęła przecież i pojawiła się z powrotem w Szkocji.

Czy ojciec Brianny jeszcze tu jest? Czy Claire przywiozła córkę do Szkocji, żeby przedstawić jej prawdziwego ojca? Roger z powątpiewaniem potrząsnął głową. To by było cholernie ryzykowne. Bardzo kłopotliwe

dla Brianny i bolesne jak diabli dla samej Claire. I przerażające dla ojca. Dziewczyna uwielbiała Franka Randalla. Jak się poczuje na wieść, że człowiek, którego kochała i stawiała na piedestale przez całe życie, w ogóle nie był z nią spokrewniony?

Roger żałował wszystkich zainteresowanych, w tym siebie samego. Nie prosił o udział w całej sprawie i wolałby pozostać w stanie błogiej ignorancji z poprzedniego dnia. Lubił Claire Randall, i to bardzo; uznał jednak, że myśl o jej cudzołóstwie jest mu wstrętna.

Jednocześnie beształ się w duchu za ten staromodny sentymentalizm. Kto wie, jak wyglądało jej życie z Frankiem Randallem? Może miała powody, żeby odejść z innym mężczyzną? Ale dlaczego wróciła?

Spocony i przygnębiony Roger wrócił do domu. Zostawił kurtkę w holu i poszedł na górę, do łazienki. Czasami kąpiel przynosiła mu ulgę. A czuł, że bardzo potrzebuje ukojenia.

Przesunął dłonią po rzędzie wiszących ubrań w szafie. Po omacku szukał kosmatego rękawa swojego znoszonego, białego szlafroka. Zatrzymał się na chwilę, sięgnął głębiej.

Znalazł to, czego szukał.

Ze wzruszeniem spojrzał na zniszczony, jedwabny szlafrok. Żółte tło z czasem przybrało wyblakły kolor ochry, ale wielobarwne pawie były dumne jak zwykle.

Rozpościerały ogony z prawdziwie lordowską nonszalancją i spoglądały czarnymi paciorkami oczu. Podniósł miękki materiał do nosa. Zamknął oczy i wdychał delikatny zapach Borkum Riffi whisky. Aromat

przypominał wielebnego Wakefielda nawet bardziej niż pokryta różnościami ściana.

Wielokrotnie czuł ten sam miły zapach, z nutką wody kolońskiej „Old Spice”, gdy wtulał twarz w gładką materię, a mocne ramiona wielebnego obejmowały go, dając bezpieczeństwo. Inne ubrania starszka oddał „Oxfamowi”, ale nie mógł się rozstać ze szlafrokiem.

Wiedziony impulsem włożył go na nagie ramiona. Przyjemne ciepło przywodziło na myśl delikatny dotyk palców. Z lubością owinał się szlafrokiem i zawiązał pasek w niedbały węzeł.

Rozejrzał się uważnie, żeby uniknąć ewentualnych nagabywań Fiony. Przeszedł przez hol do łazienki na piętrze. Gazowa terma stała u szczytu wanny jak strażnik świętego źródła, ciężka i wieczna. Pamiętał z dzieciństwa cotygodniowy lęk przed zapaleniem termy zapalniczką iskrową, gdy trzeba było podgrzać wodę do kąpieli. Nad głową Rogera złowrogo syczał gaz, a dłonie chłopca, spocone ze strachu przed wybuchem i pewną śmiercią, ślizgały się na metalowej zapalnicze.

Od dawna zautomatyzowana terma bulgotała cicho. Instalacja gazowa u dołu pomrukiwała i syczała, gdy rozniecał się płomień, niewidoczny pod metalową osłoną.

Roger odkręcił do oporu porysowany kurek z napisem „Gorąca”, znacznie lżej kurek z napisem „Zimna”. Stał przed lustrem. Czekał, aż wanna się napełni.

Nie jest ze mną tak źle, pomyślał. Wciągnął brzuch. Mocno wyprostowany przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze pokrywającym całe drzwi. Umięśniony. Szczupły. Długie, lecz nie patykowate nogi. Może troszkę niezbyt

rozbudowany w ramionach? Krytycznie zmarszczył brwi. Wygiął szczupłe ciało w przód i w tył.

Przesunął dłonią po gęstych, czarnych włosach, aż stanęły dęba, jak włosie pędzla do golenia. Próbował sobie wyobrazić, jak by wyglądał z brodą i długimi włosami. Tak nosili się niektórzy jego studenci. Czy wyglądałby oszałamiająco, czy niechlujnie? A może kolczyk? Wyglądałbym jak pirat. Zmarszczył brwi i wyszczerzył zęby.

– Grrr... – zawarczał do swojego odbicia.

– Panie Wakefield? – odpowiedziało odbicie.

Roger z przerażenia odskoczył w tył i boleśnie zawadził stopą o wystającą nogę staroświeckiej wanny.

– Och!

– Wszystko w porządku, panie Wakefield? – zapytało lustro. Zaklekotała porcelanowa klamka.

– Oczywiście! – burknął i spojrzął na drzwi. – Odejdź, Fiono, kąpię się!

Z drugiej strony drzwi dobiegł chichot.

– Oo? To już drugi raz tego dnia! Dandys z pana? Chce pan aromatyczne mydło? Jest w szafce.

– Nie, nie chcę – odwarknął. Woda sięgała już do połowy wanny, więc zakręcił kran.

Nagle zapadła kojąca cisza; wciągnął w płuca głęboki haust pary. Wszedł do wody i z radością się zanurzył. Czuł, jak na twarz występuje mu lekki pot, a ciepło przenika całe ciało.

– Panie Wakefield? – odezwał się znowu głos. Świergotał pod drzwiami jak ruzdzik w zalotach.

– Odejdź, Fiono – powiedział rozkazującym tonem.

Wyciągnął się w wannie.

Parująca woda była miła jak ramiona kochanki. – Mam wszystko, czego mi potrzeba.

– Nie, nie ma pan – odpowiedziała.

– Tak, mam. – Przebiegł wzrokiem po imponującej kolekcji buteleczek, słoiczków i innych rzeczy ustawionych na półce nad wanną. – Szampon, trzy rodzaje. Odżywka do włosów. Krem do golenia. Maszynka. Mydło do ciała. Mydło do twarzy. Płyn po goleniu.

Woda kolońska. Dezodorant. Niczego mi nie brakuje, Fiono.

– A ręczniki? – zapytała słodko.

Roger rozejrział się dziko dookoła. Rzeczywiście, ręczników nie było. Zamknął oczy, zacisnął zęby i powoli policzył do dziesięciu. Kiedy i to nie pomogło, doliczył do dwudziestu. Potem, gdy już się nieco opanował, rzekł spokojnie:

– Dobrze, Fiono. Połóż je przy drzwiach. A potem, proszę, błagam, Fiono... odejdz.

Za drzwiami rozległ się szelest i odgłos niespiesznie oddalających się kroków. Roger z westchnieniem ulgi oddał się radości bycia samemu. Spokój. Nie ma Fiony.

Teraz mógł myśleć nieco obiektywniej o swoim niepokojącym odkryciu. Coraz bardziej go intrygowała postać tajemniczego, prawdziwego ojca Brianny. Sądząc po wyglądzie córki, człowiek ten musiał być wyjątkowo atrakcyjny fizycznie; czy samo to wystarczyłoby do omamienia kobiety takiej, jak Claire Randall?

Zastanawiał się już wcześniej, czy ojciec Brianny był Szkotem. Czy mieszka – lub mieszkał – w Inverness?

Przypuszczał, że to wyjaśniałoby niepokój Claire i wrażenie, że coś ukrywa. Ale czy mogło być powodem jej dziwnych próśb? Nie chciała, żeby zabrał Briannę do Craigh na Dun, żeby mówił jej o kapitanie z Broch Tuarach. Dlaczego?

Tknięty nagłą myślą gwałtownie usiadł prosto. Woda rozchlapała się po żelaznych, odlewanych ścianach wanny. A może Claire niepokoił nie osiemnastowieczny jakobicki żołnierz, lecz tylko jego nazwisko? A jeśli mężczyzna, który począł Briannę w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, również nazywał się James Fraser? Było to dość popularne nazwisko w Szkocji.

Tak, pomyślał, to może wszystko wyjaśniać. A fakt, że Claire chciała sama pokazać córce Craigh na Dun, świadczyłby, że kamienny krąg jest również związany z tajemnicą ojca; może tam właśnie poznała tego człowieka i poczęli Briannę. Roger dobrze wiedział, że w kamiennym kręgu często umawiano się na randki; on sam, w czasach liceum, zabierał tam dziewczyny. Uważał, że atmosfera pogańskiej tajemnicy pomoże przełamać ich opory. Zawsze się udawało.

Nagle nawiedziła go zadziwiająca wizja. Delikatne, jasne nogi Claire Randall oplatały w szaleńczym uniesieniu nagie, prężące się ciało rudowłosego mężczyzny; dwa ciała zmoczone deszczem i ubrudzone trawą wiły się w ekstazie pośród stojących kamieni.

Obraz był tak szokujący, że Roger zaczął drżeć. Na piersi pojawiły mu się krople potu, które spływały do parującej wody w wannie.

Chryste! Jak jutro spojrzysz w oczy Claire Randall?

Co powie Briannie? „Czytała pani ostatnio jakieś dobre książki?”, „Oglądała pani jakieś ciekawe filmy?”.

Potrząsnął głową. Rozpaczliwie próbował zebrać myśli. Nie wiedział, co dalej robić.

Sytuacja była kłopotliwa. Nie chciał brać w tym udziału, a jednak brał. Lubił Claire Randall; Briannę również – nawet bardzo. Chciał ją chronić. Oszczędzić jej bólu.

Wydawało się jednak, że nie ma żadnego sposobu. Mógł tylko trzymać język za zębami, aż Claire Randall zrobi to, co zaplanowała. A potem być w pogotowiu, żeby wesprzeć oszołomioną dziewczynę.

3

MATKI I CÓRKI

Zastanawiałam się, ile jest w Inverness maleńkich herbaciarni. Po obu stronach High Street, jak okiem sięgnąć, roi się od kawiarenek i sklepów z pamiątkami. Kiedy królowa Wiktoria sprawiła, że Szkocja stała się bezpiecznym miejscem dla podróżników, dając temu obszarowi swoje królewskie poparcie, turyści gromadnie ruszyli na północ, a ich liczba wciąż rosła. Szkoci, nieprzyzwyczajeni do przyjmowania z południa niczego poza zbrojnymi inwazjami i politycznymi wtrętami, podjęli wyzwanie.

Nie można przejść więcej niż kilka metrów po głównej ulicy w dowolnym góralskim mieście i nie trafić na sklep, gdzie sprzedaje się kruche ciasto, edynburskie skały, chusteczki do nosa haftowane w osty, miniaturowe dudy, aluminiowe brosze klanów, noże do otwierania listów

przypominające obosieczne miecze claymore, portmonetki w kształcie sporratów oraz jaskrawe kraty różnych klanów, dekorujące chyba każdy przedmiot wykonany z tkaniny, od czapek, krawatów i serwetek, po szczególnie obrzydliwy żółty wzór „Buchanan” ozdabiający przody nylonowych męskich slipek.

Patrząc na kuchenne ściereczki z przyprasowaną wyjątkowo nierzetelną podobizną potwora z Loch Ness śpiewającego „Auld Lang Syne”, pomyślałam, że Wiktorija ma wiele na sumieniu.

Brianna powoli przechadzała się bocznym skrzydłem sklepu. Wysoko zadzierała głowę, żeby obejrzeć najprzeróżniejsze towary wiszące na belkach stropu.

– Myślisz, że prawdziwe? – zapytała, wskazując poroże jelenia wystające z masy miniaturowych dud.

– O, tak. Nie sądzę, żeby technologia plastyku zaszła aż tak daleko – odparłam. – Poza tym spójrz na cenę. Wszystko powyżej stu funtów jest prawdopodobnie autentyczne.

Brianna wytrzeszczyła oczy i opuściła głowę.

– Jezu. Chyba kupię Jane spódniczkę w szkocką kratę.

– Wełna dobrej jakości nie będzie o wiele tańsza – skomentowałam sucho. – Za to o wiele łatwiej zawieziemy ją do domu samolotem. Chodźmy do sklepu naprzeciwno, tam mają najlepsze materiały.

Zaczęło padać. Oczywiście. Zapakowane zakupy włożyłyśmy pod płaszcze przeciwdeszczowe, które zapobiegliwie zabrałam z domu. Brianna prychnęła z nagłym rozbawieniem.

– Tak się przyzwyczaiłaś do nazywania ich macami, że chyba nie pamiętasz prawdziwej nazwy. Nie dziwi mnie, że wynalazł je Szkot – dodała, patrząc na wodę spływającą ze skraju markizy. – Czy tu pada cały czas?

– Często – przyznałam. Przez strugi deszczu spoglądałam na przejeżdżające samochody. – Zawsze uważałam, że pan Macintosh był bojaźliwy; większość znanych mi Szkotów nic sobie nie robiła z deszczu. – Nagle zagryzłam wargę, ale Brianna się nie zorientowała; przyglądała się głębokiemu po kostki strumieniowi płynącemu rynsztokiem.

– Wiesz co, mamó? Może lepiej pójdziemy do świateł na skrzyżowaniu. Nie ryzykujemy.

Kiwnęłam głową i poszłam za nią w górę ulicy, pod osłoną maca. Serce waliło mi jak młotem. Kiedy wreszcie z tym skończysz? – pytał mój umysł. Nie możesz wciąż uważać na słowa i nagle urywać wypowiedzi. Dlaczego po prostu jej nie powiesz?

Jeszcze nie, pomyślałam. Nie jestem tchórzem – a może i jestem, to bez znaczenia.

Ale najpierw musi zobaczyć Szkocję. Nie miasta – właśnie przechodziłyśmy obok sklepu z kraciastymi dziecięcymi bucikami na wystawie – ale wieś. I Culloden. Przede wszystkim chcę opowiedzieć jej zakończenie historii. A do tego potrzebny mi jest Roger Wakefield.

Nagle, jakby w odpowiedzi na moje myśli, pojawił się jaskrawo-pomarańczowy dach zniszczonego morrisa na parkingu po lewej stronie. Lśnił jak ognik we mgle.

Brianna również go zobaczyła. W Inverness niewiele samochodów było tak specyficznego koloru i w

tak fatalnym stanie.

– Spójrz, mamó! Czy to nie auto Rogera Wakefielda?

– Tak sędę – odparłam. Po prawej stronie była kawiarnia. Zapach świeżych placuszków, starych tostów i kawy mieszał się ze świeżym, deszczowym powietrzem.

Chwyciłam Briannę za ramię i pociągnęłam ją w tamtą stronę.

– Chyba zgłodniałam – wyjaśniłam. – Napijmy się kakao i przegryźmy kilka herbatników.

Wciąż na tyle dziecinna, żeby nie oprzeć się pokusie wypicia czekolady, i na tyle młoda, żeby czuć głód o każdej porze, Bree nie sprzeciwiła się ani słowem. Od razu usiadła i podniosła poplamioną herbatą, zieloną kartkę, która służyła za jadłospis.

Nie miałam ochoty na kakao, ale musiałam chwilę pomyśleć. Na betonowej ścianie po drugiej stronie ulicy widniał wyraźny napis: **PARKING TYLKO DLA KORZYSTAJĄCYCH Z USŁUG SCOTRAIL.** Zamieszczono tam również kilka uwag o tym, co czeka kierowców, którzy zaparkują, a nie wybierają się w podróż pociągiem. Albo Roger wiedział o sprawności służb porządkowych w Inverness coś, czego ja nie wiedziałam, albo pojechał koleją. Chociaż mógł się udać dokądkolwiek, to jednak najprawdopodobniej wyruszył do Edynburga lub Londynu. Przejął się moimi badaniami, kochany chłopak.

My same przyjechałyśmy pociągiem z Edynburga. Próbowałam sobie przypomnieć rozkład jazdy, ale bez skutku.

– Ciekawe, czy Roger wróci wieczornym pociągiem

– zagadnęła Bree. Tak niesamowicie dokładnie wyraziła moje myśli, że aż zakrztusiłam się kakao. Przez chwilę się zastanawiałam, w jakim stopniu Brianna jest zainteresowana młodym panem Wakefieldem.

Chyba w dużym.

– Pomyślałam – zaczęła od niechcienia – że może powinniśmy kupić coś Rogerowi Wakefieldowi w ramach podziękowania za pomoc.

– Dobry pomysł – przyznałam ubawiona. – Jak myślisz, co by mu się spodobało?

Zmarszczyła brwi nad filiżanką kakao, jakby szukała natchnienia.

– Nie wiem. Coś ładnego; zdaje się, że ta sprawa jest bardzo pracochłonna. – Nagle spojrzała na mnie, unosząc brwi. – Dlaczego go o to poprosiłaś? – zapytała. – Przecież po informacje na temat ludzi z osiemnastego wieku można się zwrócić do odpowiednich instytucji, które zajmują się genealogią. Tatuś zawsze korzystał z pomocy Scot-Search, jeśli musiał ustalić czyjeś pochodzenie, a nie miał czasu zrobić tego sam.

– Tak, wiem. – Wzięłam głęboki wdech. Wkroczyliśmy na grunt. – Ta sprawa... była bardzo ważna dla... twojego ojca. Na pewno by chciał, żeby zajął się nią Roger Wakefield.

– Aha.

Milczała przez chwilę. Patrzyła, jak krople deszczu perlą się na oknie kawiarni.

– Tęsknisz za tatą? – zapytała nagle. Schyliła się nad filiżanką i spuściła wzrok, żeby na mnie nie spojrzeć.

– Tak – odrzekłam. Przesunęłam palcem po

krawędzi filiżanki, ścierając kroplę kakao. – Nie zawsze się nam układało, ale... Szanowaliśmy się, a to niezmiernie ważne.

I mimo wszystko bardzo się lubiliśmy. Tak, bardzo mi go brakuje.

Bez słowa skinęła głową i delikatnie uściśnęła mi dłoń. Zamknęłam rękę na jej długich, ciepłych palcach i przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, sącząc kakao.

– Wiesz – odezwałam się w końcu. Odsunęłam nieco krzesło. Metal zaskrzypiał na linoleum. – Zapomniałam o czymś. Muszę wysłać list do szpitala. Miałam to zrobić w drodze do miasta, ale wyleciało mi z głowy. Jeśli się pośpieszę, może jeszcze zdążę. Idź do sklepu z kiltami. To kawałek dalej, po drugiej stronie ulicy. Ja skoczę na pocztę i zaraz do ciebie dojdę.

Bree była zaskoczona, ale pokiwała głową.

– Dobrze. Czy poczta jest daleko? Przemokniesz.

– Drobiazg. Wezmę taksówkę. – Położyłam na stoliku funtowy banknot i wbiłam się w płaszcz przeciwdeszczowy.

W czasie deszczu taksówki zwykle znikają, jakby się bały, że się rozpuszczą. Ale nie w Inverness. Ciągłe ulewy pozbawiłyby pracy taksówkarzy. Zobaczyłam dwie wielkie taksówki przy pobliskim hotelu. Wślizgnęłam się do ciepłego, pachnącego tytoniem wnętrza, przytulnego i znajomego. Brytyjskie taksówki poza tym, że obszerniejsze od amerykańskich, miały też inny zapach; był to jeden z drobiazgów, za którymi bezwiednie tęskniłam przez ostatnich dwadzieścia lat.

– Numer sześćdziesiąt cztery? To stary dworek, tak?

– Mimo włączonego ogrzewania kierowca był opatulony szalikiem i miał grubą kurtkę. Płaska czapka chroniła głowę przed przeciągiem. Współcześni Szkoci są mięczakami, pomyślałam; dawno minęły czasy, gdy dziarscy górale spali na wrzosowisku w samej koszuli. Skinęłam głową do kierowcy. Ruszyliśmy. Woda z kałuży rozbryzgnęła się na boki.

Czułam się trochę jak konspirator, zakradając się do domu Rogera pod jego nieobecność, żeby porozmawiać z gospożą, a do tego okłamując Bree. Z drugiej strony byłoby mi trudno wyjaśnić każdemu z nich, co naprawdę robię. Nie ustaliłam, jak i kiedy wyjawię im prawdę, ale wiedziałam, że jeszcze nie nadszedł czas.

Sięgnęłam do wewnętrznej kieszeni maca. Poczułam kopertę ze Scot-Search. Chociaż nie interesowałam się zbytnio pracą Franka, wiedziałam o tej instytucji. Zatrudniała kilku profesjonalnych badaczy, którzy specjalizowali się w szkockiej genealogii. Oni nie poprzestawali na narysowaniu drzewa genealogicznego, wykazującego związek klienta z Robertem The Bruce.

Jak zwykle solidni i dyskretni na moje zlecenie zajęli się Rogerem Wakefieldem.

Dowiedziałam się, kim byli jego rodzice, dziadkowie i przodkowie do siedmiu czy ośmiu pokoleń wstecz.

Zapłaciłam taksówkarzowi i ruszyłam mokrą ścieżką w stronę drzwi domu starego duchownego. Stałam na osłoniętym ganku. Zadzwoiłam. Zdążyłam strząsnąć sporo wody z płaszcza, zanim otworzyły się drzwi.

Fiona powitała mnie radośnie. Miała okrągłą, wesołą, zawsze uśmiechniętą twarz.

Ubrana była w dzinsy i plisowany fartuszek, rozsiewający jak kadzidło zapach cytrynowego środka do czyszczenia oraz świeżych ciasteczek.

– Pani Randall! – wykrzyknęła.

– Chciałabym z tobą porozmawiać o babci – powiedziałam bez żadnych wstępów.

– Na pewno nic ci się nie stanie, mamó? Mogę zadzwonić do Rogera i przełożyć wyjazd na jutro, jeśli chcesz, żebym z tobą została. – Brianna stała w drzwiach sypialni pensjonatu, z niepokojem marszcząc brwi. Była ubrana sportowo, w wygodne buty, dzinsy i sweter, ale założyła też jaskrawą, pomarańczowo-niebieską, jedwabną apaszkę, którą Frank kupił jej w Paryżu, dwa lata temu, tuż przed śmiercią. – W kolorze twoich oczu, moja mała, piękna córeczko – powiedział wtedy, z uśmiechem drapując apaszkę na jej ramionach. „Mała córeczko” to był ich żart, ponieważ Bree już w wieku piętnastu lat przerosła Franka, który mierzył metr siedemdziesiąt pięć centymetrów.

Apaszka – niebieska część – rzeczywiście miała kolor oczu Brianny; barwę szkockich jezior i letniego nieba oraz zamglony błękit odległych gór. Wiedziałam, że apaszka jest jej skarbem, więc do skali zainteresowania córki Rogerem Wakefieldem, dodałam kilka punktów.

– Nie, nic mi nie będzie – zapewniłam. Wskazałam dłonią na stolik przy łóżku. Stał tam niewielki imbryczek we włóczkowym pokrowcu trzymającym ciepło oraz platerowany pojemnik na tosty, równie dobrze trzymający zimno. – Pani Thomas przyniosła mi herbatę i tost; może za

jakiś czas trochę skubną. – Miałam nadzieję, że kołdra tłumi burczenie w moim pustym żołądku, głośno wyrażającym niezadowolenie z tej perspektywy.

– Cóż, w porządku. – Z ociąganiem odwróciła się do drzwi. – Ale wrócimy od razu po zwiedzeniu Culloden.

– Nie śpieszcie się z mojego powodu – zawołałam.

Zaczekałam, aż na dole zamkną się za Brianną drzwi. Dopiero wtedy sięgnęłam do szuflady szafki nocnej i wyciągnęłam dużą tabliczkę czekolady „Hershey” z migdałami, którą ukryłam tam poprzedniego wieczoru.

Zaspokoiliam nieco głód, oparłam się o poduszkę i zaczęłam się gapić na szare chmury zasnuwające niebo. Obsypana pączkami gałązka lipy co chwilę uderzała w szybę; wiatr się wzmaczał. Piecyk centralnego ogrzewania brzęczał u stóp łóżka. W sypialni było dość ciepło, ale ja drżałam. Na polu Culloden na pewno panował ziąb.

Może nie aż taki, jak w kwietniu tysiąc siedemset czterdziestego szóstego roku, kiedy książę Karol prowadził swoich ludzi na pole bitewne. Powitał ich wtedy lodowaty deszcz i ryk angielskich armat. Ze sprawozdań z tego dnia wynikało, że było przenikliwie zimno.

Ranni górale leżeli wraz z poległymi, przemoczeni krwią i deszczem. Czekali na ostateczny cios ze strony angielskich pogromców. Ale książę Cumberland, dowódca armii Anglików, nie okazywał pokonanym łaski.

Poległych zbierano w stopy i palono, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się choroby.

Historia mówi, że podobny los spotkał wielu rannych. Wszyscy leżeli teraz poza zasięgiem wojny i pogody, pod zieloną trawą pola Culloden.

W Culloden byłam tylko raz, niemal trzydzieści lat temu. Frank zawiózł mnie tam w czasie podróży poślubnej. Teraz Frank również nie żył, a ja przywiozłam córkę do Szkocji. Chciałam, żeby Brianna zobaczyła Culloden, ale żadna ziemska siła nie zmusiłaby mnie do postawienia stopy na tym polu noszącym piętno śmierci.

Pomyślałam, że powinnam zostać w łóżku, żeby uwiarygodnić nagłą niedyspozycję, która nie pozwoliła mi towarzyszyć Briannie i Rogerowi; gdybym wstała i poprosiła o lunch, pani Thomas mogłaby wszystko wygadać. Zajrzałam do szuflady: jeszcze trzy tabliczki czekolady i powieść sensacyjna. Może dzięki temu uda mi się przetrwać ten dzień.

Książka okazała się dość dobra, ale wycie wiatru za oknami hipnotyzowało mnie, a ciepłe łóżko było tak zachęcające. Spokojnie zapadłam w sen. Śniłam o góralach w kiltach. Słyszałam miękkie głosy Szkotów, szemrzących przy ogniu jak pszczoły na wrzosowisku.

4

CULLODEN

– Cóż za paskudna, prosięca twarz! – Brianna zatrzymała się. Zafascynowana patrzyła na odziany w czerwień manekin, groźnie spoglądający na jedną stronę foyer w muzeum w Culloden. Miał jakieś metr siedemdziesiąt. Pudrowana peruka bojowo stroszyła się nad niskimi brwiami i obwisłymi, rumianymi policzkami.

– Był małym grubaskiem – zgodził się ubawiony Roger. – Ale i świetnym generałem, przynajmniej w porównaniu z jego eleganckim kuzynem. – Machnął ręką w

kierunku wyższej figury Karola Edwarda Stuarta po drugiej stronie foyer. Postać dumnie patrzyła w dal spod czapki z niebieskiego aksamitu ozdobionego białą kokardą. Z wyższością ignorowała księcia Cumberland.

– Nazywali go „Rzeźnikiem Billym”. – Roger wskazał księcia w białych spodniach i płaszczu wyszywanym złotem. – Nie bez powodu. Oprócz tego, co stało się tutaj – machnął dłonią w kierunku wiosennie zazielenionego pola na zewnątrz, przytłoczonego ołowianym niebem – ludzie Cumberlanda ponoszą odpowiedzialność za najgorszy okres angielskiego terroru w górach. Ścigali resztki armii spod Culloden aż na wzgórze. Palili i płądrowali wszystko, co napotkali na drodze. Kobiety i dzieci zostawiali na pewną śmierć głodową. Mężczyzn zabijali na miejscu. Nawet się nie wysilając, żeby sprawdzić, czy akurat ci górale walczyli za Karola. Jeden ze współczesnych księcia powiedział o nim:

„Zostawił po sobie pustynię. Siłą zaprowadził pokój”. Obawiam się, że książę Cumberland wciąż jest niepopularny w tym regionie.

Opinię tę potwierdził kustosz muzeum, a zarazem przyjaciel Rogera. Opowiadał, że figurka księcia Karola była traktowana z należnym szacunkiem, natomiast z kurtki księcia Cumberlanda wciąż ginęły guziki, a sama postać niejednokrotnie padała ofiarą niewybrednych żartów.

– Pewnego ranka kustosz przyszedł wcześniej. Gdy zapalił światło, zobaczył prawdziwy góralski sztylet wbity w brzuch Jego Miłości – rzekł Roger, wskazując przysadzistą figurę. – Mówiono, że dopiero wtedy książę odpowiednio wyglądał.

– Nie wątpię – mruknęła Brianna. Uniosła brwi i ponownie spojrzała na podobiznę księcia. – Ludzie wciąż traktują to poważnie?

– Och, tak. Szkoci mają dobrą pamięć i nie są skorzy do wybaczenia.

– Naprawdę? – Spojrzała na niego ciekawie. – Jesteś Szkotem, Rogerze? Nazwisko raczej na to nie wskazuje, ale kiedy mówisz o księciu Cumberland... – W kącikach jej ust igrał uśmiech. Roger nie był pewien, czy dziewczyna po prostu się z nim nie drażni, ale odpowiedział całkiem poważnie.

– Oczywiście, jestem Szkotem. Wakefield to nie jest moje prawdziwe nazwisko; wielebny dał mi je przy adopcji. Był wujem mojej mamy. Gdy rodzice zginęli na wojnie, zabrał mnie do siebie. Moje prawdziwe nazwisko brzmi MacKenzie.– Wskazał widoczne za ogromnym oknem pole Culloden. – Tam stoi kamień klanu, z wykutym nazwiskiem MacKenzie, pod którym leży wielu moich krewnych. – Sięgnął ręką i trącił złoty epolet. – Nie podchodzę do tego tak emocjonalnie, jak niektórzy, ale również nie zapomniałem. – Podał jej ramię. – Wyjdziemy na zewnątrz?

Było bardzo zimno. Porywisty wiatr smagał dwa sztandary na masztach ustawionych po obu stronach pola. Jeden żółty, drugi czerwony. Oznaczały pozycje dwóch dowódców, stojących za wojskami w oczekiwaniu na zakończenie i wynik bitwy.

– Bezpiecznie schowani z tyłu – zauważyła sucho Brianna. – Nie mogła ich osiągnąć zbląkana kula.

Roger spostrzegł, że dziewczyna drży. Przesunął jej

rękę pod swoim ramieniem i przyciągnął bliżej. Bał się, że wybuchnie z nagłej radości, jaką sprawiał mu dotyk Brianny. Próbował jednak ukryć ekscytację. Wrócił do historycznego monologu.

– W tamtych czasach generałowie podczas boju pozostawali z tyłu. Szczególnie Karol; po bitwie uciekał tak szybko, że nie zdążył nawet zabrać swojej srebrnej zastawy stołowej.

– Zastawy stołowej? Zrobił sobie piknik na polu bitwy?

– Och, tak. – Roger uznał, że z powodu Brianny cieszy się ze szkockiego pochodzenia.

Zwykle z trudem trzymał w ryzach swój akcent, żeby dostosować się do wszechobecnej mowy Oxbridge. Teraz jednak puścił wodze, żeby wywołać uśmiech na jej twarzy.

– Wiesz, dlaczego, mówiąc o księciu Karolu, używano zdrobniałej formy jego imienia? – zapytał Roger. – Anglicy sądzą, że to świadczyło o wielkiej miłości ludzi do tej postaci.

– Nie było tak?

Roger potrząsnął głową.

– Nie. Jego ludzie nazywali go księciem *Tcharlach*. – Starannie przeliterował. – Czyli po celtycku Karol. *Tcharlach mac Seamus*, „Karol, syn Jakuba”. Niezwykle formalne.

Tylko że celtyckie *Tcharlach* bardzo przypomina angielskie „Charlie”.

Brianna uśmiechnęła się szeroko.

– Czyli nigdy nie był „Bonnie Prince Charliem”?

– Nie wtedy. – Roger wzruszył ramionami. – Teraz oczywiście nim jest. To jeden z drobnych, historycznych błędów, które zostały uznane za fakty.

– A ty jesteś historykiem! – powiedziała zaczepnie Brianna.

Roger uśmiechnął się chytrze.

Przechadzali się niespiesznie żwirowymi ścieżkami, przecinającymi pole bitwy. Roger pokazywał pozycje różnych regimentów. Tłumaczył, jak przebiegała bitwa. Opowiadał anegdoty o dowódcach.

Gdy tak spacerowali, wiatr ustał. Na polu bitwy zapanowała cisza. Ich rozmowa również stopniowo zanikała. W końcu odzywali się tylko od czasu do czasu, cicho, prawie szeptem.

Niebo zasnuły szare chmury, a wszystko pod jego kopułą zdawało się przytłumione.

Tylko porastające pole rośliny szemrały głosami ludzi, którzy pod nimi spoczywali.

– To miejsce nazywają Źródłem Śmierci. – Roger zatrzymał się przy źródelku. Było bardzo małe. Ciemna woda biła spod krawędzi głazu. – Zginął tu jeden z przywódców górali. Wodą z tego źródła jego ludzie obmyli mu twarz z krwi. A tam są groby klanów.

Ogromne głazy z szarego granitu, oszlifowane deszczem, z plamami porostów stały na łąkach miękkiej trawy, szeroko rozrzucone po obrzeżach pola. Na każdym z nich widniało jedno wykute nazwisko. Niektóre napisy były tak zamazane, że prawie nieczytelne. MacGillivray. MacDonald. Fraser. Grant. Chisholm. MacKenzie.

– Spójrz – wyszeptła Brianna. Wskazała na jeden z

głazów. Leżała przed nim niewielka wiązanka szarozielonych gałązek z kilkoma zwiędłymi wiosennymi kwiatami.

– Wrzos – powiedział Roger. Latem, gdy wrzos kwitnie, takie wieńce można znaleźć przed każdym głazem klanu. Purpurowy wrzos, gdzieś z gałązką białego. Biały wrzos jest symbolem szczęścia i władzy królewskiej; był emblematem Karola, obok białej róży.

– Kto je tu kładzie? – Brianna ukucnęła przy ścieżce i delikatnie dotknęła gałązek.

– Zwiedzający. – Roger ukucnął przy niej. Przesunął palcami po zmurszałych literach na głazie: FRASER. – Ludzie pochodzący z rodzin poległych tu mężczyzn. Albo ci, którzy chcą o nich pamiętać.

Spojrzała na niego z boku, włosy powiewały wokół jej twarzy.

– Czy ty kiedykolwiek to robiłeś?

Uśmiechnął się i utkwiał wzrok w swoich dłoni, zwieszonych między kolanami.

– Tak. Przypuszczam, że zachowuję się sentymentalne, ale to robię.

Brianna spojrzała na bujną roślinność porastającą krawędź ścieżki po drugiej stronie.

– Pokaż mi wrzos – poprosiła.

Gdy wracali do domu, melancholia wywołana wizytą pod Culloden ustąpiła, ale wrażenie wspólnego doznania pozostało. Rozmawiali i śmiali się razem jak starzy przyjaciele.

– Szkoda, że mama nie przyjechała tu z nami – zauważyła Brianna, gdy skręcili w ulicę, przy której stał

pensjonat, gdzie mieszkały panie Randall.

Choć Roger bardzo lubił Claire, wcale nie podzielał zdania Brianny. Troje, pomyślał, to już tłum. Zamruczał coś w odpowiedzi, a po chwili zapytał:

– Jak się czuje twoja matka? Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Ależ nie, tylko lekkie zatrucie pokarmowe. Tak przynajmniej mówi. – Brianna na moment zmarszczyła brwi, potem spojrzała na Rogera i delikatnie położyła mu dłoń na nodze. Poczuł drżenie mięśni od kolana do pachwiny. Z trudem starał się skoncentrować na słowach dziewczyny. Wciąż mówiła o matce.

– ...Myślisz, że nic jej nie będzie? – skończyła. Potrząsnęła głową. Włosy zalśniły miedzianym blaskiem, widocznym nawet w mroku samochodu. – Wydaje mi się czymś zatroskana. Właściwie nie chora, raczej zmartwiona.

Roger poczuł nagle ciężar w żołądku.

– Mhm – mruknął. – Może tak reaguje na rozstanie z pracą. Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze. – Brianna uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Podjechali pod kamienny domek pani Thomas.

– Wspaniała wyprawa, Rogerze – powiedziała. Delikatnie dotknęła jego ramienia. – Ale nie zdziałaliśmy wiele w sprawie mamy. Czy mogłabym ci pomóc przy najcięższej pracy?

Rogerowi bardzo poprawił się nastrój.

– Sądzę, że tak. – Uśmiechnął się szeroko. – Wpadniesz jutro, żeby poszperać ze mną w garażu? Trudno sobie wyobrazić gorszą robotę.

– Świetnie. – Pochyliła się, żeby jeszcze raz na

niego spojrzeć. – Może mama też zechce nam towarzyszyć?

Roger poczuł, jak twarz mu sztywnieje, ale zdołał utrzymać grzeczny uśmiech.

– Świetnie – powiedział z wymuszoną grzecznością.

Następnego dnia przyszła sama Brianna.

– Mama jest w bibliotece publicznej – wyjaśniła. – Wertuje stare książki telefoniczne.

Szuka jakiegoś dawnego znajomego.

Serce Rogera podskoczyło. Poprzedniego wieczora przejrzał książkę telefoniczną wielebnego. Figurowały w niej trzy osoby, które nazywały się James Fraser. Byli jeszcze dwaj Fraserowie, o innych pierwszych imionach, ale ze środkowym inicjałem „J”.

– Mam nadzieję, że go znajdzie – powiedział, wciąż siląc się na swobodę. – Jesteś pewna, że chcesz pomóc? To nudna, brudna praca. – Roger spojrział z powątpiewaniem na Briannę, ale ona kiwnęła głową, ani trochę nie zniechęcona tą perspektywą.

– Wiem. Czasami z ojcem porządkowałam stare notatki. Poza tym chodzi o sprawę mamy; najmniej, co mogę zrobić, to trochę ci przy tym pomóc.

– Dobrze. – Roger zerknął na swoją białą koszulę. – Przebiorę się tylko i pójdziemy do garażu.

Drzwi garażu zaskrzypiały, zajęczały, aż w końcu uległy. Nagle otworzyły się na oścież z brzękiem sprężyn. Wokół wzniosł się tuman kurzu.

Brianna machała dłońmi przed twarzą, kaszląc.

– Kurczę! – wyksztusiła. – Kiedy ostatni raz ktoś tu zaglądał?

– Przed wiekami, jak sądzę – odpowiedział

automatycznie. Świecił latarką po garażu, wydobywając z mroku stopy kartonów i drewnianych skrzynek, starych marynarskich pudeł z odklejającymi się naklejkami oraz nieokreślone, pokryte plandekami przedmioty.

Tu i tam było widać sterczące nogi odwróconych mebli. Kształty przypominały szkielety niewielkich dinozaurów, wystające ze skał.

Roger ruszył przez graciarnię i natychmiast zniknął w tunelu kurzu i cieni. Miejsce jego pobytu wskazywało światło latarki. Od czasu do czasu biała plamka pojawiała się na suficie. W końcu Roger z tryumfalnym okrzykiem chwycił zwisający z powały sznurek.

Garaż oświetliła duża żarówka.

– Tędy – powiedział, pojawiając się nagle i biorąc Briannę za rękę. – Po drugiej stronie jest trochę miejsca.

Pod tylną ścianą stał staroświecki stół. Może kiedyś stanowił centralny element jadalni wielebnego Wakefielda. Nie ulegało jednak wątpliwości, że kilkakrotnie zmieniał funkcję: był stołem kuchennym, ławą narzędziową, podkładką do piłowania i stołem do malowania, zanim przeszedł na zasłużony odpoczynek w tym zakurzonym sanktuarium.

Nad stołem znajdowało się zasnutę pajęczynami okno. Przyćmione światło oświetlało wyszczerbiony, poplamiony farbą blat.

– Tu możemy pracować – oznajmił Roger. Z płataniny gratów wyciągnął taboret i z grubszą wytarł go chusteczką do nosa. – Usiądź, a ja sprawdzę, czy da się otworzyć okno; w przeciwnym razie się podusimy.

Brianna pokiwała głową, ale zamiast spocząć,

zaczęła się przyglądać najbliższym stosom rupieci. Tymczasem Roger szarpał się z wypaczonym oknem. Słyszał, jak Brianna czyta napisy na niektórych pudłach.

– Tysiąc dziewięćset trzydzieści-trzydzieści trzy. Tysiąc dziewięćset czterdzieści dwa-czterdzieści sześć. Co to jest?

– Dzienniki – wysapał Roger, zapierając się łokciami o brudny parapet. – Mój ojciec... to znaczy wielebny od zawsze prowadził dziennik. Pisał codziennie po kolacji.

Zdaje się, że miał mnóstwo tematów. – Brianna przesunęła kilka pudeł i ustawiła je z boku, żeby przejrzeć następną warstwę. – Tu stoją paczki z nazwami: „Kerse”, „Livingston”, „Balnain”. Parafianie?

– Nie. Wioski – wydyszał Roger. Na chwilę przerwał zmagania z oknem. Otarł czoło.

Na rękawie została smuga brudu. Na szczęście oboje ubrali się w mocno użyte rzeczy, odpowiednie do grzebania w starociach. – To notatki dotyczące historii różnych górskich wiosek. Niektóre z zapisków przybrały postać książek; można je znaleźć w sklepach dla turystów w całym tym regionie.

Odwrócił się do skrzyni, z której wystawały najprzeróżniejsze narzędzia. Wybrał duży śrubokręt, żeby skuteczniej zaatakować okno.

– Szukaj pudeł z napisem „Rejestry parafialne” – poradził. – Albo nazw wiosek z okolicy Broch Tuarach.

– Nie znam żadnych tutejszych wiosek – powiedziała Brianna.

– Ach, tak. Zapomniałem. – Roger z trudem przebił

się przez warstwy starej farby i wcisnął koniec śrubokręta pomiędzy framugę i ramę okna. – Broch Mordha... mm, Mariannan i... St. Kilda. Są też inne, ale miały spore kościoły, które potem zostały zamknięte lub zburzone.

Brianna odsunęła kawał zwisającej plandeki. Nagle odskoczyła w tył i krzyknęła przeraźliwie.

– Co? Co się stało? – Roger odwrócił się od okna, gotowy do zadania ciosu śrubokrętem.

– Nie wiem. Coś uciekło, kiedy dotknęłam plandeki.

– Brianna wskazała dłonią, a Roger z ulgą opuścił broń.

– Tylko? Najprawdopodobniej mysz. Może szczur.

– Szczur! Są tu szczury? – Brianna była roztrzęsiona.

– Mam nadzieję, że nie, bo mogłyby pogryźć zapiski, których szukamy – odpowiedział. Podał jej latarkę.

– Oświetlaj ciemne miejsca, przynajmniej cię nie zaskoczą.

– Wielkie dzięki. – Dziewczyna przyjęła latarkę, ale wciąż przyglądała się kartonom z pewną niechęcią.

– No to do roboty – zakomenderował Roger. – Chyba że chcesz usłyszeć szczurzą satyrę.

Na twarzy Brianny pojawił się szeroki uśmiech.

– Szczurzą satyrę? Co to takiego?

Roger zwlekał z odpowiedzią. Nadal mocował się z oknem. Pchał, aż poczuł, że jego biceps napręża się pod koszulą. W końcu okno ustąpiło ze skrzypieniem. Przez kilkunastocentymetrową szparę do garażu dostało się orzeźwiające, chłodne powietrze.

– Nareszcie. – Przez chwilę wachlował się z afektem, uśmiechając się do Brianny. – Zaczynamy?

Podawała mu latarkę i cofnęła się o krok.

– A może ty znajdziesz pudła, a ja przeszukam ich zawartość? I co to jest szczurza satyra?

– Ale z ciebie tchórz – powiedział, schylając się nad gratami przykrytymi plandeką. – Szczurza satyra wiąże się ze starym, szkockim zwyczajem; gdybyś w domu czy stodole załęgły ci się myszy albo szczury, mogłabyś je odstraszyć, układając wierszyk lub piosenkę, mówiący, jak ubogo jest pod twoim dachem, a jak dostatnio gdzie indziej.

Podobno, jeśli satyra była dobra, odchodziły.

Wyciągnął karton z napisem: „Jakobici, różne”, i przeniósł go na stół, śpiewając:

*Szczury, szczury, dużo was,
tu nie dostaniecie nic,
a kysz, a kysz!*

Z hukiem postawił karton i skłonił się w odpowiedzi na chichot Brianny. Potem odwrócił się z powrotem do półek i śpiewał dalej na cały głos: *Idźcie do Campbellów domu,*

*kot go żaden nie pilnuje,
a kapusta jest zielona.
Tam napchajcie sobie brzuchy
I nie obżerajcie mnie,
a kysz, szczury, a kysz!*

Brianna prychnęła z zachwytu.

– Ułożyłeś to na poczekaniu?

– Oczywiście. – Roger rzucił na stół kolejne pudło. – Dobra szczurza satyra musi być oryginalna. – Zerknął na ściśnięte szeregi kartonów. – Po takim występie nie uświadczysz szczura w promieniu kilku kilometrów.

– Świetnie. – Brianna wyciągnęła z kieszeni

scyzoryk i przecięła taśmę, którą był zaklejony górny karton. – Powinieneś dać koncert w pensjonacie; mama mówi, że w łazience na pewno są myszy. Znalazła nadgryzione mydło.

– Bóg jeden wie, jaki wiersz trzeba ułożyć, żeby przepędzić myszy zdolne do jedzenia mydła; obawiam się, że to przekracza moje możliwości. – Przytoczył zniszczony taboret zza chybotliwego stosu starych encyklopedii i usiadł obok Brianny. – Proszę, weź rejestry parafialne. Trochę łatwiej je odczytać.

Pracowali cały ranek w atmosferze przyjaznego partnerstwa. Od czasu do czasu odkrywali interesujące fragmenty, ale nie znaleźli właściwie niczego, co wiązałoby się ze sprawą Claire.

– Lepiej zróbmy sobie przerwę na lunch – zaproponował w końcu Roger. Nie miał ochoty wracać do domu, do troskliwej Fiony, ale w brzuchu Brianny burczało prawie tak głośno, jak w jego własnym.

– Dobrze. Możemy popracować po jedzeniu, jeśli nie jesteś zbyt zmęczony. – Brianna wstała i przeciągnęła się. Jej pięści prawie dotykały stropowych belek starego garażu.

Wytarła ręce o dzinsy i zniknęła pomiędzy stosami pudeł.

– Hej! – Zatrzymała się nagle w pobliżu drzwi. Idący za nią Roger omal nie uderzył nosem w tył jej głowy.

– Co się stało? Chyba nie trafiłaś na kolejnego szczura? – Z zadowoleniem patrzył na gruby warkocz połyskujący w słońcu miedzią i złotem. Z niewielką jasną aureolą kurzu i rzymskim profilem, uwydatnionym w

południowym świetle Brianna wyglądała jak średniowieczna święta; Nasza Pani Archiwalna.

– Nie. Spójrz na to, Rogerze! – Wskazała kartonowe pudło mniej więcej w środku stosu. Z boku widniała naklejka z napisem „Randall”.

Roger poczuł ukłucie podniecenia i obawy. Brianna nie kryła radości.

– Może tu są rzeczy, których szukamy! – wykrzyknęła. – Mama powiedziała, że tą sprawą interesował się mój ojciec. Może już pytał o to wielebnego?

– Możliwe. – Roger stłumił nagły strach, wywołany widokiem nazwiska. Ukłąkł, żeby wyciągnąć pudło. – Zanieśmy je do domu. Po lunchu zajrzemy do środka.

Gdy otworzyli pudło w gabinecie wielebnego, znaleźli dziwną kolekcję. Stare fotokopie stron z kilku rejestrów parafialnych, dwa czy trzy wykazy armii, sporo listów i poszarpanych papierków, niewielki, cienki notes w szarych, kartonowych okładkach, paczka pożółkłych zdjęć oraz sztywna teczka z napisem „Randall”.

Brianna otworzyła teczkę.

– Przecież to drzewo genealogiczne taty! – zawołała z entuzjazmem. – Spójrz. – Podała Rogerowi dwa arkusze grubego pergaminu, z równo wyrysowanymi liniami pokrewieństwa. Pierwszą datą był rok tysiąc sześćset trzydziesty trzeci; ostatni napis, na dole drugiej strony, głosił: Frank Wolverton Randall x Claire Elizabeth Beauchamp,

tysiąc dziewięćset trzydzieści siedem.

– Wykres sporządzono przed twoim urodzeniem – mruknął Roger.

Brianna spoglądała mu przez ramię, gdy jego palec przesuwiał się powoli wzdłuż linii drzewa genealogicznego.

– Podobne drzewo genealogiczne tatuś miał w swoim gabinecie. Pokazywał mi je cały czas. Ale dopisał mnie na dole; to pewnie jest wcześniejsza wersja.

– Może wielebny prowadził dla niego jakieś badania? – Roger oddał Briannie teczkę i podniósł jedną z kartek ze stosu na biurku. – To będzie twój rodzinny skarb – powiedział. Przesunął palcami po herbie u góry dokumentu. – List z rozkazem armii, podpisany przez Jego Wysokość króla Jerzego II.

– Jerzego II? Jezu, to nawet przed amerykańską wojną secesyjną.

– Znacznie wcześniej. To pismo pochodzi z tysiąc siedemset trzydziestego piątego roku. Do Jonathana Wolvertona Randalla. Słyszałaś o kimś takim?

Brianna skinęła głową. Kosmyki włosów opadały jej na twarz. Odgarnęła je niedbale i wzięła list.

– Tatuś mówił o nim od czasu do czasu; był to jeden z nielicznych przodków, o których sporo wiedział. Jonathan Randall to kapitan armii pod Culloden. – Podniosła wzrok na Rogera, zamrugęła. – Sądzę, że zginął w bitwie. Ale chyba nie został tam pochowany?

Roger potrząsnął głową.

– Po bitwie Anglicy wywieźli większość swoich poległych, żeby zrobić im godziwy pogrzeb. Na pewno oficerów.

Od dalszych obserwacji oderwało go nagłe pojawienie się w drzwiach Fiony.

Dziewczyna niosła miotełkę do kurzu jak bitewny

sztandar.

– Panie Wakefield – zawołała. – Przyjechał człowiek po samochód wielebnego. Pyta, czy pomoże mu pan uruchomić auto?

Roger spojrzął z poczuciem winy. Miał zawieźć akumulator do warsztatu, ale nie wyjął go nawet z tylnego siedzenia morrisa. Nic dziwnego, że wysłużony pojazd wielebnego nie chciał ruszyć.

– Muszę się tym zająć – powiedział Briannie. – Obawiam się, że to chwilę potrwa.

– W porządku. – Uśmiechnęła się, a jej oczy zwęziły się w trójkąci. – Ja też powinnam już iść. Mama pewnie wróciła; miałyśmy jechać do Clava Cairns. Dziękuję za lunch.

– Cała przyjemność po mojej stronie... i Fiony. – Roger poczuł lekki żal, że nie może jej towarzyszyć, ale wzywały go obowiązki. Rzucił okiem na papiery rozłożone na biurku, po czym schował je z powrotem do pudełka. – Proszę – powiedział. – To zapiski dotyczące rodziny Randallów. Weź je. Z pewnością zainteresują twoją matkę.

– Naprawdę? Dziękuję, Rogerze. Jesteś pewien, że mogę to zabrać?

– Jak najbardziej. Ostrożnie położył na samej górze teczkę z drzewem genealogicznym. – Zaczekaj. – Spod listu z rozkazem wystawał róg szarego notesu. Roger wyciągnął zeszytik i wyrównał papiery w pudełku. – To wygląda na dziennik wielebnego.

Nie mam pojęcia, co tu robi, ale lepiej schowam go z innymi. Towarzystwo historyczne wyraziło chęć zabrania całości.

– Och, jasne. – Brianna przycisnęła pudełko do piersi i wstała, żeby odejść, ale zawahała się. Spojrzała na Rogera. – Czy... Czy chcesz, żebym wróciła?

Roger uśmiechnął się szeroko. Miała pajęczyny we włosach i ubrudzony nos.

– Niczego więcej nie pragnę – powiedział – Zatem do jutra?

Myśl o dzienniku wielebnego nieodłącznie towarzyszyła Rogerowi, gdy oddawał się żmudnej pracy polegającej na uruchomieniu starego samochodu. Nie opuszczała go również wtedy, gdy przyjmował rzeczoznawcą mebli. Specjalista oddzielał cenne antyki od rupieci. Ustalał wartość różnych przedmiotów należących do wielebnego, które miały zostać wystawione na aukcję.

Rozporządzanie rzeczami przybranego ojca wprawilo Rogera w melancholijny nastrój. Pozbywał się przecież nie tylko bezużytecznych przedmiotów, ale także pamiątek z młodości. Kiedy po kolacji usiadł w gabinecie, nie mógł już stwierdzić, czy do zabrania dziennika skłoniło go zainteresowanie rodziną Randallów, czy też kierował się koniecznością utrzymania więzi z człowiekiem, który przez wiele lat był jego ukochanym opiekunem.

Wielebny prowadził dzienniki bardzo starannie. Równymi, atramentowymi literami spisywał najważniejsze wydarzenia z życia parafii lokalnej i społeczności. Widok szarej okładki i zapisanych stron natychmiast wywołał w Rogerze wizję wielebnego z łysą głową lśniąca w świetle lampy na biurku, rzetelnie rejestrującego wydarzenia dnia.

– Chodzi o dyscyplinę – wyjaśnił kiedyś Rogerowi.
– Regularne robienie czegoś, co porządkuje myśli, przynosi

ogromne korzyści. Katolicycy mnisi codziennie o tej samej porze odmawiają modlitwy. Obawiam się, że nie jestem zdolny do aż takiego poświęcenia, ale zapisywanie codziennych wydarzeń rozjaśnia mi umysł; wieczorem mogę się modlić ze spokojnym sercem.

Spokojne serce. Roger chciałby osiągnąć taki stan, ale spokój był mu obcy od dnia znalezienia wycinków w biurku wielebnego.

Na chybił trafił otworzył notes. Powoli odwracał strony w poszukiwaniu nazwiska Randall. Na okładce widniała data „styczeń-czerwiec tysiąc dziewięćset czterdziesty ósmy”. To, co powiedział Briannie o towarzystwie historycznym, nie było główną przyczyną zatrzymania dziennika. W maju tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku Claire Randall wróciła po swoim tajemniczym zniknięciu. Wielebny dobrze znał państwa Randallów; takie wydarzenie z pewnością było warte odnotowania.

I rzeczywiście – Roger znalazł zapiski z siódmego maja:

Wieczorem wizyta u Franka Randalla; sprawa jego żony. Ależ przygnębiające! Widziałem Claire wczoraj – taka delikatna, lecz o przenikliwych oczach – nie mogłem przy niej siedzieć, biedna kobieta. Mówiła od rzeczy.

Każdego by wytrąciło z równowagi to, co przeszła. Straszne plotki. Doktor Bartholomew beztrząsco powiedział wszystkim, że Claire jest w ciąży. To takie trudne dla Franka – i oczywiście dla niej! Serce mi się kraje z powodu ich obojga.

Pani Graham jest chora – mogła wybrać lepszy

moment; w przyszłym tygodniu wyprzedaż, ganek pełen starych ubrań...

Roger szybko przebiegł oczami strony. W końcu znalazł następną wzmiankę o Randallach, pod datą z tego samego tygodnia.

Dziesiątego maja – Frank Randall na kolacji. Staram się często pokazywać publicznie z nim i jego żoną; w większość dni spędzam z Claire godzinę, w nadziei rozwiania części plotek. To godne pożałowania; rozeszła się wieść, że jest niespełna rozumu. Znając Claire Randall, nie jestem pewien, czy nie byłaby bardziej urażona, gdyby uważano ją za szaloną niż za niemoralną – czy jednak musi być albo jedno, albo drugie?

Wielokrotnie próbowałem rozmawiać z Claire o jej przejściach, ale ona milczy na ten temat. O wszystkim innym mówi bez zahamowań, ale cały czas mam wrażenie, że myśłami jest gdzie indziej.

Muszę zapisać, żeby w niedzielnym kazaniu powiedzieć o tym, jak złe są plotki – chociaż obawiam się, że zwracanie uwagi na ten fakt tylko pogorszy sprawę.

Dwunastego maja – Nie mogę się pozbyć uczucia, że Claire Randall nie jest obłąkana. Słyszałem plotki, oczywiście, ale nic w jej zachowaniu nie wskazuje na brak równowagi psychicznej.

Myślę, że ma jakiś straszliwy sekret, którego nikomu nie wyjawia. Rozmawiałem – ostrożnie – z Frankiem; jest małomówny, ale na pewno coś wie. Próbowałem wyjaśnić, że chcę im pomóc, i zrobię, co tylko w mojej mocy.

Czternastego maja – Wizyta Franka Randalla.

Bardzo dziwna. Prosił mnie o pomoc. Trzyma się w karchach, ale najwyraźniej coś go gryzie. Obawiam się wyładowania – jeśli nastąpi.

Claire czuje się dość dobrze, żeby podróżować – Frank chce ją w tym tygodniu zabrać do Londynu. Zapewniłem go, że wszystkie wiadomości prześlę mu listownie pod adres uniwersytetu. Ani słowa żonie.

Mam kilka interesujących wieści na temat Jonathana Randalla, chociaż nie rozumiem związku przodka Franka z tą przykrą sprawą. Co do Jamesa Fräsera – jak już powiedziałem Frankowi – nic, całkowita tajemnica.

Całkowita tajemnica. I to pod wieloma względami, pomyślał Roger. O co poprosił wielbego Frank Randall? Chyba o znalezienie informacji o Jonathanie Randallu i Jamesie Fraserze. Zatem Claire powiedziała mężowi o Jamesie Fraserze – przynajmniej części.

Ale co łączyło angielskiego kapitana, poległego pod Culloden w tysiąc siedemset czterdziestym szóstym roku, z człowiekiem, którego nazwisko nierozzerwalnie wiązało się ze zniknięciem Claire w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku – i z dalszą tajemnicą pochodzenia Brianny?

Resztę dziennika wypełniały zwykle różnice z życia parafii. Chroniczny pijak Derick Gowan utopił się w rzece Ness. Jego zwłoki wyłowiono pod koniec maja. Maggie Brown i William Dundee wzięli pospieszny ślub miesiąc przed chrztem ich córki June. Pani Graham usunęła wyrostek. Wielbny otrzymał w tym czasie ogromne ilości jadła od szczodrych parafianek. Herbert, pies wielbego, skorzystał chyba na tym najbardziej.

Czytając te strony, Roger uśmiechał się do siebie. Pamiętał żywe zainteresowanie wielebnego losami trzódki wiernych. Jeszcze długo przeglądał dziennik i omal nie przegapił ostatniego zapisku dotyczącego prośby Franka Randalla.

Osiemnastego czerwca – Dostałem liścik od Radalla. Frank powiadamia mnie o ciężkim stanie żony; ciężka jest zagrożona, prosi o modlitwy.

Zapewniłem go, że będę się modlił. Przekazałem najlepsze życzenia dla niego i małżonki. Dołączyłem również informacje, które znalazłem. Nie wiem, czy mu się przydadzą, oceni to sam. Powiedziałem o zaskakującym odkryciu grobu Jonathana Randalla w St. Kilda. Zapytałem, czy życzy sobie, żebym sfotografował nagrobek.

I to wszystko. Żadnych dalszych wzmianek o Randallach ani o Jamesie Fraserze.

Roger odłożył notes i zaczął masować sobie skronie; czytanie pochylego pisma przyprawiło go o lekki ból głowy.

Oprócz potwierdzenia podejrzeń, że w sprawę był wmieszany niejaki James Fraser, nic więcej nie zyskał. Na miłość boską, co miał z tym wspólnego Jonathan Randall?

Dlaczego został pogrzebany w St. Kilda? W rozkazie armii podano miejsce urodzenia Jonathana Randalla – posiadłość w Sussex; jak więc mógł zostać pochowany na odległym, szkockim cmentarzu? Prawda, to nie aż tak daleko od Culloden, ale dlaczego nie przewieziono jego ciała do Sussex?

– Czy będzie pan jeszcze czegoś dziś potrzebował, panie Wakefield? – Z bezowocnych medytacji wyrwał go

głos Fiony. Usiadł i zamrugał. Zobaczył dziewczynę z mopem i ściereczką do polerowania.

– Co? Eee, nie. Dziękuję, Fiono. Ale co ty wyprawiasz? Chyba nie zamierzasz sprzątać o tak późnej porze?

– Nie pamięta pan? Panie z kościoła chcą tu jutro zorganizować swoje comiesięczne zebranie – wyjaśniła Fiona. – Pomyślałam, że lepiej trochę posprzątam.

Panie z kościoła? Roger zadrżał na myśl o czterdziestu matronach, gruchających litościwie i wkraczających do dworku jak lawina tweedowych kostiumików-bliźniaków oraz hodowlanych pereł.

– Wypije pan z nimi herbatę? – zapytała Fiona. – Wielebny zawsze tak robił.

Roger nie mógł myśleć spokojnie o zabawianiu Brianny Randall i pań z kościoła jednocześnie.

– Eee, nie – powiedział. – Jestem... Jestem jutro umówiony. – Jego dłoń opadła na telefon, zakopany w śmieciach na biurku wielebnego. – Wybacz, Fiono, muszę zadzwonić.

Brianna wróciła do sypialni, uśmiechając się do siebie. Spojrzałam znad książki i pytając uniosłam brew.

– Dzwonił Roger? – zapytałam.

– Skąd wiesz? – Przez chwilę była oszołomiona, potem uśmiechnęła się szeroko i zdjęła szlafrok. – A, bo jest jedynym znanym mi facetem w Inverness?

– Nie sądzę, żeby któryś z twoich kolegów dzwonił tu z Bostonu – odparłam.

Rzuciłam okiem na zegar na stole. – W każdym razie nie o tej porze. Teraz są na treningu piłkarskim.

Brianna zignorowała moją uwagę i schowała stopy pod kołdrę.

– Roger zaprosił nas na jutro do wioski St. Kilda. Mówi, że jest tam ciekawy, stary kościół.

– Tak, słyszałam – powiedziałam, ziewając. – Dobrze, czemu nie? Wezmę pojemnik na rośliny i sekator. Może znajdę wykę. Obiecałam doktorowi Abernanthy’emu.

Potrzebna mu do badań. Ale jeśli cały jutrzejszy dzień mamy spędzić na łożeniu i czytaniu starych nagrobków, to ja idę spać. Grzebanie w przeszłości to żmudna praca.

Przez twarz Brianny przebiegł nagły skurcz. Myślałam, że córka coś powie. Ale ona tylko kiwnęła głową i wyciągnęła rękę, żeby zgasić światło. W kącikach jej ust wciąż igrał tajemniczy uśmiech.

Leżałam, patrząc w ciemność. Brianna przewracała się z boku na bok, ale wkrótce zapadła w sen. Słuchałam jej równomiernego oddechu. St. Kilda? Nigdy tam nie byłam, ale wiedziałam o tym miejscu; i o starym, opuszczonym kościele. Znajdował się z dala od turystycznego szlaku. Rzadko się zdarzało, aby do tego zabytku zawitał jakiś badacz.

Dobra okazja.

Będę miała Rogera i Briannę. Samych. Nikt nam nie przeszkodzi. I może to odpowiednie miejsce, żeby im zdradzić tajemnicę – pośród starych grobów parafian z St.

Kilda. Roger nie sprawdził jeszcze, co się stało z resztą ludzi z Lallybroch. Wydawało się jednak prawie pewne, że przynajmniej przeżyli bitwę pod Culloden. A w tej chwili tylko to mnie interesowało. Nadarzała się więc

okazja, aby przedstawić Briannie zakończenie.

Na samą myśl o jutrzejszym spotkaniu poczułam, że mam suche wargi. Czy znajdę odpowiednie słowa? Próbowałam sobie wyobrazić, jak się to odbędzie: co im powiem i jak zareagują. Wyobraźnia jednak mnie zawiodła. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem żałowałam danej Frankowi obietnicy, że nie napiszę do wielebnego Wakefielda. Gdybym to zrobiła, przynajmniej Roger już by wiedział. A może nie – przecież wielebny wcale nie musiałby mi uwierzyć.

Przewracałam się z boku na bok, zastanawiając się nad tym wszystkim. W końcu zmoгло mnie zmęczenie. Położyłam się na plecach i zamknęłam oczy. Tak jakby myśli o wielebnym przywołały jego ducha, w mojej gasnącej świadomości zabrzmiał biblijny cytat. „Dostyc ma dzień swojej biedy”, mruzczał wielebny. Zasnęłam.

Obudziłam się w ciemności. Dłonie miałam zacisnięte na kołdrze. Serce biło mi tak gwałtownie, że cała drżałam jak werbel.

– Jezu – westchnęłam.

Jedwabna koszula nocna przykleiła się do ciała; spójrzałam w dół. Rysujące się pod delikatną tkaniną sutki były twarde jak marmur. Wciąż wstrząsały mną dreszcze. Miałam nadzieję, że nie krzyczałam. Prawdopodobnie nie: z drugiego końca pokoju dobiegał równy oddech Brianny.

Opadłam na poduszkę. Cała się trzęsłam z osłabienia. Skronie zalał mi pot.

– Jezu Chryste – wymamrotałam. Wzięłam kilka głębokich oddechów, żeby uspokoić serce.

Jednym z efektów przerywanego snu jest to, że

człowiek przestaje śnić spójnie. Przez długie lata wczesnego macierzyństwa, a potem stażu, praktyki lekarskiej i nocnych wezwań przyzwyczałam się do usypiania, kiedy tylko przyłożyłam głowę do poduszki; moje sny były zaledwie przebłyskami, iskierkami w ciemności.

Ostatnimi laty, gdy życie nieco mi się unormowało, znów zaczęłam śnić zwykłe sny – czasami koszmarne, czasami przyjemne. Długie sekwencje obrazów, przechadzka po lesie umysłu. Do snów erotycznych też byłam przyzwyczajona; stanowiły charakterystyczny element tak zwanych okresów deprawacji.

Zwykłe jednak takie sny płynęły, miękkie jak satynowa pościel. Jeśli mnie budziły, to natychmiast zasypiałam ponownie, z gasnącym wspomnieniem, który trwało tylko do rana.

Ten sen był inny. Zapamiętałam z niego niewiele, tylko niejasne wrażenie dotyku dłoni. Chwyciły mnie gwałtownie. I głos, prawie krzyk, który odbijał się echem wraz z biciem słabnącego serca.

Położyłam rękę na piersi, nad nierówno bijącym sercem. Brianna kilka razy zachrapała, ale po chwili jej oddech wrócił do równego rytmu. Pamiętałam, jak dawno temu wsłuchiwałam się w ten spokojny, chrapliwy, miarowy odgłos rozbrzmiewający w ciemnym pokoju.

Teraz moje serce zwalniało pod dłonią i ciemnoróżowym jedwabiem koloru zarumienionych od snu, dziecięcych policzków.

Dzieci są miękkie. Wie o tym każdy, kto na nie spojrzy i zobaczy ich delikatną, różaną skórę, która aż się

prosi, by ją dotknąć. Ale gdy żyjesz z dzieckiem i kochasz je mocno, czujesz, że miękkość sięga samego wnętrza. Okrągłe policzki są niczym budyń, a maleńkie rączki jak pulchne ciasteczka. Nawet gdy mocno je całujesz, wyrażając całą swoją miłość, twoje usta nie wyczuwają kości. Gdy przytulisz dziecko do siebie, odnosisz wrażenie, że się rozpływa, jakby w każdej chwili mogło z powrotem wnikać do twojego ciała.

Ale od samego początku w każdym dziecku istnieje maleńki kawałek stali, który tworzy jądro osobowości.

W drugim roku kości twardnieją i dziecko stoi prosto. Czaszka jest szeroka i mocna jak hełm. „Osobowość” również dojrzewa. Patrząc na dziecko, prawie ją widzisz, twardą jak sęk.

Gdy dziecko ma sześć lat, uwypuklają się kości twarzy. Proces kondensacji trwa kilkanaście lat. A gdy osiąga szczyt, cała miękkość nastolatka kryje się już pod narosłą, jak macica perłowa, nową osobowością.

W następnych latach twardnienie promieniuje ze środka, aż ostateczny kształt osobowości znieruchomieje, delikatny i pełny szczegółów jak owad zatopiony w bursztynie.

Myślałam, że już dawno minęłam ten etap, że straciłam wszelkie ślady miękkości i byłam na dobrej drodze do wieku średniego z nierdzewnej stali. Ale teraz pomyślałam, że śmierć Franka spowodowała pęknięcie mojej skorupy. Co więcej, szczeliny się poszerzały. Przywiozłam do Szkocji córkę. Miała kości mocne jak górskie łańcuchy.

Sądziłam, że pancerz Brianny jest dość twardy, żeby

ochronić delikatne wnętrze, choć wciąż można było sięgnąć środka jej „jestem”.

Zasnęłam i śniłam raz jeszcze w chłodnym, górskim powietrzu. Głos z mojego snu odbijał się echem w uszach i sercu, wraz z oddechem śpiącej Brianny.

– Jesteś moja – powiedział. – Moja! I nie pozwolę ci odejść!

5

UKOCHANA ŻONA

Cmentarz w St. Kilda oświetlało słońce. Znajdował się na płaszczyźnie wyrzeźbionej w zboczu wzgórza, za sprawą jakiegoś geologicznego kaprysu. Teren był falisty, więc nagrobki kryły się w niewielkich wgłębieniach albo wyrastały nagle ze wzniesień.

Wypiętrzanie terenu poruszyło wiele z nich tak, że poprzeczylały się jak pijane albo leżały jedne na drugich, połamane w wysokiej trawie.

– Trochę zaniedbany teren – powiedział przepraszająco Roger. Zatrzymali się u bramy cmentarza. Patrzyli na niewielkie zbiorowisko starych grobów, ocienionych szeregiem ogromnych cisów, zasadzonych dawno temu jako osłona przed pomocnymi wichrami nad morza. Teraz daleko, aż za odległą cieśninę kłębiły się chmury, ale na wzgórze padały promienie słoneczne. Powietrze było nieruchome i ciepłe.

– Mój ojciec raz czy dwa razy w roku zbierał grupę mężczyzn z parafii i przywoził ich tutaj, żeby sprząkali cmentarz. Obawiam się jednak, że ostatnio nikt tu nie zaglądał. – Lekko pchnął skrzydło bramy. Zauważył, że

zawias trzyma się na jednym gwoździu.

– To urocze, ciche miejsce. – Brianna ostrożnie przeszła obok chybotliwych wrót. – Naprawdę stare.

– Tak. Tata sądził, że sam cmentarz powstał na miejscu dawnego kościoła albo nawet starszej świątyni; dlatego właśnie jest tak źle usytuowany. Jeden z kolegów wielebnego zawsze groził, że przyjedzie z Oksfordu i rozkopie to miejsce. Chciał sprawdzić, co się kryje pod spodem, ale oczywiście nie mógł zdobyć pozwolenia od władz kościoła, chociaż cmentarz już od wielu lat nie jest miejscem świętym.

– Spora wspinaczka. – Z twarzy Brianny ustępował rumieniec wysiłku. Wachlowała się przewodnikiem. – Ale warto. Jest tak pięknie! – Z uznaniem patrzyła na fasadę kościoła. Mieścił się w naturalnej skalnej wyrwie; kamienie i podpory postawiono ręcznie, szczeliny wypełniono torfem i błotem. Całość wyglądała jak naturalna część zbocza. Belkę nad bramą oraz okna zdobiły stare płaskorzeźby. Niektóre przedstawiały symbole chrześcijaństwa, inne były bez wątpienia starsze.

– Czy jest tu grób Jonathana Randalla? – Machnęła ręką w kierunku cmentarza, widocznego za bramą. – Ależ mama się zdziwi!

– Przypuszczam, że jest, choć sam go nie widziałem. – Miał nadzieję, że niespodzianka będzie przyjemna. Gdy podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej wspomniał Briannie o nagrobku, wzbudził w niej wielki entuzjazm.

– Wiem o Jonathanie Randallu – oznajmiła. – Tatuś zawsze go podziwiał. Mówił, że to jeden z nielicznych

ciekawych ludzi w naszym drzewie genealogicznym. Kapitan Randall był chyba dobrym żołnierzem. Tatuś miał wiele jego odznaczeń.

– Naprawdę? – Roger spojrzął za siebie, aby poszukać Claire. – Czy nie powinniśmy pomóc twojej mamie?

Brianna potrząsnęła głową.

– Nie. Znalazła przy ścieżce jakąś roślinkę i nie mogła się powstrzymać. Zaraz nas dogoni.

Miejsce było ciche. Nawet ptaki umilkły. Zbliżało się południe. Ciemne świerki okalające teren stały nieruchomo, ich gałęziami nie poruszał nawet najlżejszy wietrzyk.

Tu i ówdzie leżały sztuczne kwiaty świadczące o nie ukojonym jeszcze żalu. Cmentarz tchnął spokojem zmarłych przed wiekami. Uwolnieni od konfliktów i trosk, tylko przez fakt swego istnienia zaznaczyli ludzką obecnością samotne wyżyny pustej ziemi.

Troje zwiedzających powoli przechadzało się po starym cmentarzu. Roger i Brianna zatrzymywali się czasem, czytali na głos zamazane napisy na zniszczonych nagrobkach.

Claire przyklękała, żeby wykopać niewielką, kwitnącą roślinę lub obciąć jej część.

Roger pochylił się nad jednym z nagrobków i z szerokim uśmiechem poprosił Briannę o odczytanie napisu.

Podejdź, przechodniu, i kapelusz zdejmij,

Bo Bailie William Watson tu leży

Znany z przenikliwego umysłu

I wstrzemięźliwości w picciu

Brianna wstała znad grobu, z twarzą zaróżowioną od śmiechu.

– Żadnych dat. Ciekawe, kiedy żył William Watson.

– Najprawdopodobniej w osiemnastym wieku – odparł Roger. – Siedemnastowieczne groby są na ogół zbyt zniszczone, żeby można było odczytać litery.

Poza tym od dwustu lat nikogo tu nie pochowano: od tysiąc osiemsetnego roku cmentarz ten nie jest miejscem świętym.

Chwilę później Brianna wydała zdławiony okrzyk.

– Jest! – Pomachała do Claire, która stała w odległym końcu i przyglądała się trzymanej w dłoni roślinie. – Mamo! Chodź tu i popatrz!

Claire również pomachała. Ostrożnie omijając groby, podeszła do płaskiego, kwadratowego nagrobka.

– Co się stało? – zapytała. – Znaleźliście jakiś ciekawy grób?

– Tak sądzę. Poznaje pani nazwisko? – Roger odsunął się, żeby lepiej widziała.

– Jezu Chryste! – Lekko oszołomiony Roger spojrział na Claire. Bardzo zbladła.

Patrzyła tępo na zmurszały nagrobek i nerwowo przełykała ślinę. Bezwiednie mięła w dłoni zerwaną roślinę.

– Doktor Randall... Claire... Nic ci nie jest?

Bursztynowe oczy patrzyły bez wyrazu. Wydawało się, że kobieta go nie słyszy. Nagle zamrugała i podniosła wzrok. Wciąż była blada, ale wyglądała lepiej; odzyskała panowanie nad sobą.

– Wszystko w porządku – szepnęła bezbarwnym głosem. Ukucnęła i przesunęła palcami po kamiennych

literach, jakby czytała w alfabecie Braille'a. – Jonathan Wolverton Randall – powiedziała miękko. – Tysiąc siedemset pięć – tysiąc siedemset czterdzieści sześć. Mówiłam ci, prawda? Łajdaku, mówiłam ci! – W jej głosie, tak spokojnym chwilę przedtem, teraz brzmiała ostra nuta powstrzymywanej furii.

– Mamo! Co się z tobą dzieje? – Zdenerwowana Brianna pociągnęła matkę za ramię.

Roger odniósł wrażenie, że oczy Claire zasnuł cień. Uczucie, które przed chwilą w nich lśniło, nagle znikło, a ona sama z przerażeniem uświadomiła sobie obecność dwojga ludzi. Zdobyła się na krótki, wymuszony uśmiech i skinęła głową.

– Nic. Absolutnie nic.

Brianna spojrzała na nią z niepokojem.

– Czy to nie ten przodek taty? Żołnierz poległy pod Culloden?

Claire raz jeszcze wbiła wzrok w nagrobek.

– Tak, to on – potwierdziła. – I naprawdę nie żyje.

Roger i Brianna wymienili spojrzenia. Roger czuł się odpowiedzialny za całe zajście.

Dotknął ramienia Claire.

– Dzień jest dość upalny – powiedział, siląc się na swobodę. – Wejdźmy do kościoła, żeby się trochę ochłodzić. Jest tam wiele interesujących inskrypcji wartych obejrzenia.

Claire uśmiechnęła się do niego. Tym razem był to prawdziwy uśmiech, trochę zmęczony, lecz całkowicie naturalny.

– Idźcie sami. – Kiwnęła do Brianny głową. – Ja

jeszcze tu pobędę.

– Zostanę z tobą. – Brianna wahała się. Wyraźnie nie chciała zostawić matki samej.

– Wykluczone – ucięła stanowczo Claire. – Czuję się doskonale. Posiedzę chwilę w cieniu drzew. Idźcie. Wolalabym być sama – dodała zdecydowanie. Roger nie zdążył zaprotestować.

Odwróciła się i odeszła w kierunku rzędu ciemnych cisów, okalających cmentarz od zachodu. Roger wziął zdezorientowaną Briannę za łokieć i pociągnął w stronę kościoła.

– Lepiej nie przeszkadzajmy – mruknął. – W końcu jest lekarzem. Dobrze wie, czy nic jej nie jest.

– Tak... Tak sądzę. – Brianna ostatni raz spojrzała z niepokojem na oddalającą się sylwetkę Claire. Potem pozwoliła się poprowadzić do kościoła.

Kościół był pustym pomieszczeniem z drewnianą podłogą i potężną chrzcielnicą, która została tylko dlatego, że nie dało się jej wynieść. Płytkie wgłębienie wykuto w kamiennej półce, biegnącej po jednej stronie pomieszczenia. Nad chrzcielnicą znajdowała się wyrzeźbiona twarz świętej Kildy z pobożnie wzniesionymi oczami, pusto patrzącymi w sklepienie.

– Prawdopodobnie najpierw był tu pogański bożek – wyjaśnił Roger. Przesunął palcem po rzeźbie. – Widać, w którym miejscu dodali welon, drapowany kaptur i... oczy.

– Wyglądają jak jajka sadzone – skomentowała Brianna. – Co to za znaki?

Przypominają wzory na piktyjskich głazach w Clavie.

Przechadzali się wzdłuż ścian kościoła. Wdychali pełne kurzu powietrze, oglądali stare płaskorzeźby i czytali napisy na drewnianych plakietkach umieszczonych przez dawnych parafian na pamiątkę przodków. Rozmawiali półgłosem. Ciągłe nasłuchiwali, czy nic nie dzieje się na cmentarzu. Dookoła panowała cisza, więc zaczęli się odprężać.

Roger poszedł za Brianna w kierunku frontowej ściany kościoła. Patrzył, jak kręcone kosmyki, które wymknęły się z warkocza, wiją się na szyi.

W przedniej części zabytkowej budowli została tylko półka z litego drewna. Osłaniała dziurę, w której kiedyś stał ołtarz. Roger poczuł nagły dreszcz, gdy stanął obok Brianny, żeby spojrzeć na to miejsce.

Miał nadzieję, że Brianna tego nie dostrzegła. Znali się zaledwie od tygodnia i właściwie prawie ze sobą nie rozmawiali. Zapewne by się przeraziła, gdyby się dowiedziała, co on czuje. Albo, co gorsza, mogłaby się roześmiać.

Ale gdy rzucił na nią okiem, zobaczył spokojną i poważną twarz. Brianna patrzyła na niego ciemnoniebieskimi oczami. Nie myśląc, co robi, odwrócił się, żeby ją objąć.

Pocałunek był krótki i delikatny, prawie jak formalność, która pieczętuje ślub, lecz tak wymowny, jakby w tej chwili się zaręczyli.

Roger puścił dziewczynę, ale jej ciepło pozostało: w dłoniach, ustach i ciele. Czuł, jakby wciąż trzymał ją w ramionach. Stali przez chwilę, blisko siebie, oddychając swoim oddechem. Brianna się cofnęła.

Nagle ciszę przeszył przeraźliwy krzyk. Wielokrotnie odbił się echem i wzniecił chmury kurzu. Roger bez zastanowienia wybiegł na zewnątrz. Potykając się o zwalone groby, pędził w stronę rzędu cisów. Odginał zawadzające gałęzie. Nawet ich nie przytrzymał przed Brianna, która biegła tuż za nim.

W cieniu drzew zobaczył kredowoblada twarz Claire Randall. Na tle ciemnych gałęzi cisu kobieta wyglądała jak duch. Stała chwiejnie, potem opadła na kolana, jakby nogi nie mogły jej już utrzymać.

– Mamo! – Brianna uknęła przy skulonej postaci i zaczęła rozcierać jedną z bezwładnych dłoni. – Mamo, co ci jest? Zemdlałaś? Opuść głowę między kolana. Może się połóżysz?

Claire oparła się zabiegom córki. Z trudem podniosła głowę.

– Nie chcę się kłaść – wykrztusiła. – Chcę... o, Boże. Święty Boże. – Sięgnęła drżącą ręką w stronę nagrobka. Był prosty, granitowy.

– Doktor Randall! Claire? – Roger przykłęknął po drugiej stronie. Wsunął dłoń Claire pod swoje ramię, żeby podtrzymać nieszczęsną kobietę. Był bardzo zaniepokojony. Na jej skronie wystąpił pot. Wyglądała tak, jakby za moment miała zemdleć. – Claire – powtórzył z mocą. Próbował wyrwać ją z transu. – Co się stało? Znałaś kogoś o tym nazwisku? – Gdy to mówił, w uszach zadźwięczały mu jego własne słowa: „Nikogo nie pochowano tu od osiemnastego wieku”, powiedział niedawno Briannie. „Nikt nie został pochowany na tym cmentarzu od dwustu lat”.

Claire odsunęła jego rękę i dotknęła kamienia. Głaskała granit jak ludzkie ciało.

Długie palce delikatnie przesuwały się po literach, płytkich, lecz wyraźnych.

– James Aleksander Malcolm MacKenzie-Fraser – przeczytała głośno. – Tak, znałam. – Odgarnęła bujną trawę przy nagrobku, zasłaniającą linię mniejszych liter. – Ukochany mąż Claire – przeczytała. – Znałam – powtórzyła tak cicho, że Roger prawie jej nie słyszał. – Ja jestem Claire. On był moim mężem. – Podniosła wzrok na pobladłą córkę. – I twoim ojcem – dodała.

Roger i Brianna patrzyli na nią w osłupieniu. Na cmentarzu panowała cisza. Tylko cisy szeleściły lekko.

– Nie! – powiedziałam gniewnie. – Po raz piąty, nie! Nie chcę się napić wody. Nie mam porażenia słonecznego. Nie zemdleję. Nie jestem chora. I nie straciłam rozumu, chociaż wyobrażam sobie, że tak myślicie.

Roger i Brianna wymienili spojrzenia. Rzeczywiście, tak właśnie myśleli.

Wyprowadzili mnie z cmentarza i wsadzili do samochodu. Nie pozwoliłam się zawieźć do szpitala, więc pojechaliśmy do pensjonatu. Roger zamówił whisky. Doskonałe lekarstwo na wstrząsy. Często spoglądał na telefon, jakby się zastanawiał, dokąd zadzwonić po pomoc – pewnie w formie kaftana bezpieczeństwa, jak sądziłam.

– Mamo – mówiła kojąco Brianna, próbując odgarnąć mi włosy z twarzy. – Jesteś rozdrażniona.

– Oczywiście! – warknęłam. Wzięłam głęboki wdech. Zaciskałam usta tak długo, aż miałam pewność, że

zdołam mówić spokojnie. – Z pewnością jestem rozdrażniona – zaczęłam. – Ale nie szalona. – Przerwałam. Znów starałam się opanować. Nie tak wyobrażałam sobie moment wyznań. Nie wiedziałam do końca, jak chciałam im to powiedzieć, ale na pewno nie zamierzałam wykrzykiwać prawdy bez przygotowania i zastanowienia. Widok tego cholernego grobu zaprzepaścił każdy plan.

– Niech cię diabli, Jamie Fraserze! – powiedziałam wściekła. – Co ty tu robisz? To wiele kilometrów od Culloden!

Brianna wybałuszyła oczy, a dłoń Rogera zawisła nad telefonem.

Przerwałam i próbowałam wziąć się w garść. Spokojnie, Beauchamp, nakazałam sobie. Oddychaj głęboko. Raz, dwa... Tak lepiej. Już. To bardzo proste; musisz tylko powiedzieć im prawdę. Przecież właśnie po to przyjechałaś do Szkocji, pamiętasz?

Otworzyłam usta, ale nie popłynął żaden dźwięk. Zaciśnęłam wargi, zamknęłam oczy.

Miałam nadzieję, że odzyskam głos, jeśli nie będę widzieć przed sobą dwu popielatych twarzy. Tylko... pozwól... mi... powiedzieć... prawdę, modliłam się, choć nie wiedziałam, do kogo się zwracam. Chyba do Jamiego.

Już raz wyznałam prawdę. Nie wyszło najlepiej.

Mocniej zaciśnęłam powieki. Znów poczułam zapach szpitala i dotyk nieprzyjemnej, krochmalonej poduszki pod policzkiem. Z korytarza dobiegał głos, z którego przebijała tłumiona wściekłość. – Jak to nie męczyć? – pytał Frank. – Mojej żony nie było prawie przez trzy lata. Wróciła brudna, zmęczona i ciężarna! Na miłość

boską, a ja mam nie zadawać pytań?

Kojące mruczenie lekarza. Usłyszałam „halucynacje” i „stan traumatyczny” oraz „proszę to przełożyć na później – za jakiś czas”. Słowa spokojnie, lecz zdecydowanie łagodziły gniew Franka. Zaczepny ton męża od nowa wzbudzał we mnie burzę żalu, wściekłości i przerażenia.

Skuliłam się i mocno przycisnęłam poduszkę do piersi. Gryzłam bawełnianą powłoczkę najmocniej, jak potrafiłam, aż zorientowałam się, że rozszarpałam materiał.

Usłyszałam skrzyp jedwabistego pierza między zębami.

Otworzyłam oczy.

– Posłuchajcie – zaczęłam możliwie racjonalnym głosem. – Przykro mi, wiem, jak to brzmi. Ale taka jest prawda. Nic na to nie poradzę.

Brianna, wcale nie uspokojena moimi słowami, przysunęła się do Rogera. On nie był już taki błądy. Przejawiał nawet oznaki ostrożnego zainteresowania. Czy to możliwe, że miał tyle wyobraźni, żeby pojąć prawdę?

Jego mina dodała mi otuchy. Rozluźniłam pięści.

– To wszystko przez te cholerne kamienie – powiedziałam. – Kamienny krąg na Wzgórzu Wrózek, na zachodzie.

– Craig na Dun – wymamrotał Roger.

– Właśnie. – Wypuściłam powietrze. – Znasz legendy o tym miejscu? O ludziach, którzy dostawali się w pułapkę skalistych wzgórz i budzili się dwieście lat później?

Brianna wyglądała na bardziej zaniepokojoną.

– Mamo, naprawdę sędzę, że powinnaś się położyć – stwierdziła. Zaczęła podnosić się z krzesła. – Pójdę po Fionę...

– Nie, zaczekaj – powstrzymał ją Roger. Spojrzał na mnie z wyraźną ciekawością, jak naukowiec, który wsuwa nowy preparat pod mikroskop. – Mów dalej – poprosił.

– Dziękuję – rzekłam sucho. – Nie przejmujcie się, nie zacznę opowiadać o wróżkach.

Pomyślałam tylko, że może chcecie wiedzieć, iż w legendzie tkwi ziarno prawdy. Nie mam pojęcia, jak racjonalnie wytłumaczyć to, co się stało, ale faktem jest, że... – Wzięłam głęboki wdech. – Przeszłam przez cholerny, pęknięty kamień w tym kręgu w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku i znalazłam się na zboczu poniżej, w roku tysiąc siedemset czterdziestym trzecim.

To właśnie powiedziałam Frankowi. Gapił się na mnie przez chwilę. Potem podniósł ze stolika wazon z kwiatami i rzucił nim o podłogę.

Tym razem Roger wyglądał jak naukowiec, którego nowy mikrob okazał się wspaniały. Starannie dobierałam słowa, by choć częściowo tworzyły wypowiedzi osoby zdrowej na umyśle.

– Pierwszą osobą, którą napotkałam, był angielski dragon – ciągnęłam swoją opowieść. – Od razu pomyślałam, że coś jest nie tak.

Nagły uśmiech rozświetlił twarz Rogera. Brianna wciąż wyglądała na przerażoną.

– Nie wątpię – skomentował Roger.

– Problem polegał na tym, że nie mogłam wrócić,

rozumiesz? – Pomyślałam, że lepiej będę się zwracać do Rogera. Przynajmniej chciał mnie słuchać, niezależnie od tego, czy mi wierzył, czy nie.

– Chodzi o to, że kobiety wówczas nie chodziły bez eskorty. A przede wszystkim nie były ubrane w sukienki z nadrukiem i tenisówki – wyjaśniłam. – Każdy, kogo spotkałam, poczynając od kapitana dragonów, czuł, że coś jest ze mną nie tak. Nikt jednak nie wiedział, co. Bo niby skąd? Wtedy nie mogłam tego wytłumaczyć lepiej niż teraz, a miejsca odosobnienia dla obłąkanych były kiedyś o wiele mniej przyjemne niż obecnie.

Żadnych pasiastych piżamek – dodałam, siląc się na dowcip. Raczej mi się nie udał:

Brianna skrzywiła się i wyglądała na jeszcze bardziej zaniepokojoną.

– Z początku sądziłam, że mam halucynacje, bo ten dragon ogromnie przypominał Franka. Na pierwszy rzut oka byli tacy sami. Myślałam nawet, że to Frank. – Rzuciłam okiem na stół, gdzie leżała jedna z książek Franka, ze zdjęciem śniadego, przystojnego mężczyzny o szczupłej twarzy. Na wspomnienie Jonathana Wolvertona Randalla, kapitana Ósmego Pułku Dragonów Jego Królewskiej Mości, przeszył mnie nagły dreszcz.

– Ciekawy zbieg okoliczności – wtrącił Roger. Patrzył na mnie bardzo czujnie.

– Tak i nie – powiedziałam. Z wysiłkiem odwróciłam wzrok od stosu książek. – Wiesz, że był przodkiem Franka. Wszyscy mężczyźni w tej rodzinie są do siebie bardzo podobni. Przynajmniej fizycznie – dodałam, myśląc o znacznych różnicach charakteru.

– Jaki... Jaki był? – Oszołomienie Brianny chyba ustępowało, przynajmniej odrobinę.

– Cholernie zboczony – odparłam bez namysłu. Dwie pary oczu otworzyły się szeroko i zwróciły do siebie z identycznym wyrazem konsternacji.

– Nie patrzcie tak. W osiemnastym wieku też istniały zboczenia. To przecież nic nowego. Tylko że wtedy nikt się tym nie przejmował, dopóki wszystko ukrywało się pod płaszczkiem przyzwoitości. A Czarny Jack Randall był żołnierzem; kapitanem garnizonu w górach, osobą odpowiedzialną za utrzymywanie klanów w ryzach. Miał dużą swobodę działania, oczywiście oficjalnie usankcjonowaną. – Pociągnęłam whisky ze szklanki, którą wciąż trzymałam w dłoni. – Lubił krzywdzić ludzi – powiedziałam. – Bardzo lubił.

– Czy on... skrzywdził ciebie? – zapytał Roger po dłuższej przerwie. Bree zamknęła się w sobie, skóra na jej kościach policzkowych wyraźnie się napięła.

– Nie bezpośrednio. A przynajmniej nie bardzo. – Potrząsnęłam głową. Nawet whisky nie mogła rozpuścić bryły lodu, która zalegała mi w żołądku. Jack Randall kiedyś mnie uderzył, raz. Czułam to we wspomnieniach, jak ból dawno zagojonej rany.

– Miał różne gusta. Chodziło mu o Jamiego. Jego... pragnął. – Za żadne skarby świata nie użyłabym słowa „kochał”. Gardło miałam jak zasznurowane. Przełknęłam ostatnie krople alkoholu. Roger wziął karafkę. Pytająco uniósł brew, a ja skinęłam głową i podałam mu szklankę.

– Jamie. Czyli Jamie Fraser? I był...

– Moim mężem – dokończyłam.

Brianna potrząsnęła głową niczym koń opędzający się od much.

– Ale ty przecież miałaś męża – wydusiła. – Nie mogłaś... nawet gdyby... to znaczy...

nie mogłaś.

– Musiałam – powiedziałam beznamiętnym tonem.
– Nie zrobiłam tego celowo.

– Mamo, za mąż nie wychodzi się przez przypadek!

– Brianna traciła postawę grzecznej pielęgniarki w szpitalu dla obłąkanych. Pomyślałam, że to chyba dobrze, chociaż teraz kiełkował w niej gniew.

– To nie był przypadek – odparłam. – Ale najlepszy sposób, żeby nie dostać się w łapy Jacka Randalla. Jamie ożenił się ze mną, żeby mnie chronić. Postąpił bardzo wspaniałomyślnie. – Spoglądałam na Briannę znad szklaneczki. – Nie musiał tego robić, ale zrobił.

Odephnęłam wspomnienie naszej nocy poślubnej. Był prawiczkim; dotykał mnie drżącymi dłońmi. Ja też się bałam – miałam powody. A potem o świcie trzymał mnie nagą w ramionach, przytulał do piersi. Między nogami czułam jego ciepłe umięśnione uda, a on mruczał w moje włosy: „Nie bój się. Teraz jest nas dwoje”.

– Widzisz – zwróciłam się znów do Rogera. – Nie mogłam postąpić inaczej. – Gdy uciekałam przed kapitanem Randallem, znaleźli mnie Szkoci. Grupa pastuchów bydła.

A wśród nich Jamie, bo byli to ludzie jego matki, z klanu MacKenziech z Leoch. Nie wiedzieli, co ze mną zrobić. W końcu zabrali mnie ze sobą jako brankę.

Pamiętałam swoje bezskuteczne próby ucieczki z

zamku Leoch. I dzień, kiedy powiedziałam Jamiemu prawdę. Wierzył mi nie bardziej niż Frank, ale przynajmniej udawał, że wierzy. Zabrał mnie z powrotem na wzgórze, do kamieni.

– Podejrzewał, że jestem czarownicą – dodałam z zamkniętymi oczami.

Uśmiechnęłam się do tej myśli. – Teraz uważają mnie za wariatkę, wtedy posądzono o konszachty z diabłem. Kwestia kulturowa – wyjaśniłam. Otworzyłam oczy. – Dzisiejsza psychologia jest odpowiednikiem ówczesnej magii. Nie ma dużej różnicy. – Roger kiwnął głową, lekko oszołomiony.

– Wytoczyli mi proces o czary – ciągnęłam. – W wiosce Cranesmuir, pod zamkiem.

Jamie jednak mnie uratował. Wtedy wyznałam mu prawdę. Zaprowadził mnie na wzgórze i kazał wracać. Do Franka. – Przerwałam i wzięłam głęboki wdech.

Przypominałam sobie to październikowe popołudnie, gdy nagle przywrócono mi kontrolę nad własnym losem. I nie dano wyboru, lecz nakazano.

Wracaj! – polecił. – Nic tu dla ciebie nie ma! Nic poza niebezpieczeństwem.

Czy naprawdę nic tu dla mnie nie ma? – zapytałam. Zbyt honorowy, żeby coś powiedzieć, milczał. A ja dokonałam wyboru.

– Było za późno – powiedziałam. Spojrzałam na swoje dłonie, leżące na kolanach.

Zrobiło się ciemno, jak zwykle przed deszczem, ale moje dwie obrączki, srebrna i złota, wciąż lśniły w przyćmionym świetle. Nie zdjęłam złotej obrączki Franka z

lewej dłoni, gdy wyszłam za Jamiego. Srebrną obrączkę Jamiego nosiłam na serdecznym palcu prawej ręki codziennie od dwudziestu kilku lat. Od chwili, gdy ją na niego wsunął.

– Kochałam Franka – wyszeptałam, nie patrząc na Bree. – Nawet bardzo. Ale wtedy Jamie był moim całym światem. Nie mogłam go opuścić. Nie mogłam – powtórzyłam i nagle podniosłam wzrok na Bree. Gapiła się na mnie z kamienną twarzą.

Znów spojrzałam na ręce i ciągnęłam:

– Zabrał mnie do swojego domu, do Lallybroch. Piękne miejsce. – Znów zamknęłam oczy, żeby nie widzieć wyrazu twarzy Brianny. Przywołałam w pamięci obraz posiadłości w Broch Tuarach oraz jej mieszkańców. – Piękna góralska farma, z lasami i strumieniami; był nawet kawałek żyznej ziemi. W górach to rzadkość. Śliczna, spokojna dolina, zamknięta wśród wysokich wzgórz nad przełęczą, ukryta przez ciągłymi konfliktami, które targały tym regionem. Ale nawet Lallybroch okazało się tylko czasowym schronieniem.

– Jamie był banitą. – Pod zamkniętymi powiekami widziałam blizny po chłoście wymierzonej przez Anglików. Sieć cienkich, białych linii na szerokich ramionach wyglądała jak wypalona kratka. – Wyznaczono nagrodę za głowę Jamiego. Jeden z jego własnych ludzi zdradził go Anglikom. Jamie został pojmany i wywieziony do więzienia Wentworth. Tam czekała go śmierć przez powieszenie.

Roger gwizdnął przeciągle.

– Wentworth to niesamowite miejsce – zauważył. –

Widziałaś je kiedyś? Mury mają chyba trzy metry grubości!

Otworzyłam oczy.

– Tak – powiedziałam kwaśno. – Byłam w środku. Ale nawet najgrubsze mury mają drzwi. – Poczułam rozbłysk desperackiej odwagi, który zaprowadził mnie do więzienia Wentworth w pogoni za własnym sercem. Jeśli zdołałam zrobić to dla ciebie, zwróciłam się w myśli do Jamiego, to dam radę i teraz. Ale pomóż mi, cholerny Szkocie. Pomóż!

– Wyciągnęłam go stamtąd – kontynuowałam. Wzięłam głęboki wdech. – To, co z niego zostało. Garnizonem w Wentworth dowodził Jack Randall. – Nie chciałam pamiętać obrazów, które napłynęły po tych słowach, ale nie mogłam ich zatrzymać.

Jamie, nagi i zakrwawiony, na podłodze dworku Eldridge, gdzie znaleźliśmy schronienie.

Nie pozwolę, żeby znowu mnie zabrali, Angielko – powiedział do mnie. Zgrzytał zębami z bólu, gdy nastawiałam pogruchotane kości jego ręki i przemywałam rany. – Angielko... – tak się do mnie zwracał od początku. W języku celtyckim słowo to oznaczało też cudzoziemkę, obcą. Najpierw mówił tak do mnie żartobliwie, potem czule.

Nie pozwoliłam im go odszukać; z pomocą jego krewnego, członka klanu Fraserów o imieniu Murtagh, przewiozłam Jamiego przez kanał do Francji, do opactwa Świętej Anny de Beaupre. Opatem był jeden z jego stryjów, również Fraser. Ale gdy już bezpiecznie tam dotarliśmy, uświadomiłam sobie, że uratowanie Jamieu życia nie było jedynym wyznaczonym mi zadaniem.

Krzywdy wyrządzone przez Jacka Randalla zapadły mu w duszę tak głęboko, jak uderzenia biczem, które pozoczyły skórę na plecach. Blizny pozostały na zawsze. Nawet wtedy nie byłam pewna, co robię. Przyzywałam drzemiące demony. Walczyłam z nimi w ciemnościach umysłu Jamiego. W niektórych przypadkach niewielka jest różnica między medycyną a magią.

Wciąż czułam zimny, twardy kamień, który mnie posiniaczył, siłę wyzwolonej furii, dłonie zaciśnięte na mojej szyi i rozpalone stworzenie ciągnące mnie w ciemność.

– Wyleczyłam Jamiego – zakończyłam miękko. – Wrócił do mnie.

Brianna powoli kiwała głową. Była oszołomiona, lecz minę miała upartą. Dobrze znałam ten wyraz twarzy.

– Grahamowie są głupi, Campbellowie fałszywi, MacKenzie uroczy, lecz zdradliwi, a Fraserowie uparci. Tak Jamie scharakteryzował członków poszczególnych klanów. Nie mylił się; Fraserowie byli wyjątkowo uparci. Wszyscy.

– Nie wierzę – odezwała się bezbarwnie. Bree wyprostowała się na krześle i nadal przyglądała mi się uważnie. – Chyba za dużo myślałaś o ludziach spod Culloden – zasugerowała. – W końcu ostatnio przeżywałaś bardzo napięty okres. A może śmierć taty...

– Frank nie był twoim ojcem – wtrąciłam ponuro.

– Był! – odparła natychmiast tak gwałtownie, że oboje się przestraszyliśmy.

Swego czasu Frank nagiął się do zaleceń lekarzy, którzy utrzymywali, że każda próba „zmuszenia mnie do

przyjęcia rzeczywistości”, jak to ujął jeden z medyków, mogłaby zaszkodzić ciąży. Na korytarzu słyszałam wiele szeptów – a czasami i krzyków – ale w końcu Frank przestał o cokolwiek pytać. A ja, osłabiona i zrozpaczona, już nie powtarzałam prawdziwej wersji wydarzeń.

Tym razem nie zamierzałam się poddać.

– Obiecałam Frankowi – zaczęłam znowu. – Dwadzieścia lat temu, kiedy się urodziłaś. Próbowałam od niego odejść, a on się nie zgadzał. Kochał cię. – Mój głos zmiękł, gdy spjrzałam na Briannę. – Nie mogłam uwierzyć w to, co się zdarzyło, ale wiedział, że nie jesteś jego córką. Prosił, żebym ci tego nie mówiła, dopóki żyje. Dla ciebie chciał być ojcem. Potem, powiedział, decyzja należy do mnie. – Głośno przełknęłam ślinę i oblizałam zaschnięte wargi.

– Byłam mu to winna. Bo cię kochał. Ale teraz Frank nie żyje, a ty masz prawo wiedzieć, kim jesteś.

– Jeśli wątpisz w moje słowa, idź do Narodowej Galerii Portretów – dodałam. – Wisi tam portret Ellen MacKenzie, matki Jamiego. Na jej szyi zobaczysz tę ozdobę. – Dotknęłam sznura pereł, którego nie zdejmowałam od lat. Barokowe, słodkowodne perły ze szkockich rzek, z kuleczkami złota. – Jamie dał mi je w dniu naszego ślubu.

Spjrzałam na Briannę. Siedziała sztywno, z wyrazem protestu na twarzy.

– Weź też lustro – doradziłam. – Uważnie przyjrzyj się portretowi, a potem popatrz na siebie. Nie jesteście identyczne, ale bardzo przypominasz swoją babcie.

Roger gapił się na Briannę, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Potem spoglądał to na nią, to na mnie. Wyraźnie podejmował decyzję. Nagle wstał z sofy.

– Mam coś, co chyba powinnaś zobaczyć – rzekł zdecydowanie. Szybko podszedł do starego biurka wielebego. Z jednego ze schowków wyciągnął zwitek pożółkłych wycinków z gazet związanych gumką. Podał go Briannie.

– Zwróć uwagę na daty – powiedział. Potem odwrócił się i utkwiał we mnie długie, pozbawione emocji spojrzenie akademika, którego domeną jest obiektywizm. Jeszcze nie wierzył, ale miał dość wyobraźni, by wątpić.

– Tysiąc siedemset czterdziesty trzeci – mruknął do siebie. Z namysłem potrząsnął głową. – A ja myślałem, że był to mężczyzna, którego poznałaś tutaj, w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku. Boże, nigdy bym nie pomyślał... Zresztą, kto by przypuszczał?

Zaskoczył mnie.

– Wiedziałaś? O ojcu Brianny?

Wskazał głową wycinki. Brianna jeszcze nie zaczęła ich przeglądać. Patrzyła na Rogera trochę oszłomionym, a trochę gniewnym wzrokiem. Widziałam w jej oczach zbierającą się burzę. Roger zapewne też. Pośpiesznie przeniósł spojrzenie na mnie i zadał pytanie:

– Czyli znałaś ludzi, których nazwiska podałaś, tych spod Culloden?

Nieco się odpreżyłam.

– Tak. – Na wschodzie zagrzmiało. Deszcz zabębnił w wysokie okna gabinetu.

Brianna pochyliła głowę nad wycinkami. Jej włosy

zakryły niemal całą twarz. Z rudej gęstwiny wystawał jedynie czubek poczerwieniałego nosa. Jamie zawsze się rumienił, gdy był zdenerwowany. Zbyt dobrze wiedziałam, jak wygląda Fraser tuż przed wybuchem emocji.

– I byłeś we Francji – wymamrotał Roger, wciąż przyglądając mi się uważnie. Szok ustąpił miejsca pewnej ekscytacji. – Ale chyba nie znałaś...

– Tak – przerwałam. – Dlatego właśnie pojechaliśmy do Paryża. Opowiedziałam Jamiemu o Culloden w tysiąc siedemset czterdziestym piątym roku. O tym, co miało się stać. Wyruszyliśmy do Paryża, żeby spróbować powstrzymać Karola Stuarta.

PRETENDENCI

HAWR, FRANCJA

LUTY 1744

6

ZIARNO NIEPEWNOŚCI

– Chleba – wymamrotałam z zaciśniętymi oczami. Coś dużego i ciepłego obok mnie nie odpowiedziało, słyszałam tylko cichy oddech.

– Chleba! – powtórzyłam nieco głośniejszym głosem. Nagle coś poruszyło się pod kocem.

Chwyciłam brzeg materaca. Napięłam wszystkie mięśnie, żeby choć trochę opanować chaos targający moimi wnętrznościami.

Z drugiej strony łóżka dobiegło pochrząkiwanie, potem szmer wyciąganej szuflady, stłumione celtyckie przekleństwo, miękki odgłos bosych stóp na deskach. W

końcu materac zapadł się pod ciężkim ciałem.

– Proszę, Angielko – powiedział zaniepokojony głos. Na dolnej wardze poczułam kawałek suchego chleba. Nie otwierając oczu, chwyciłam go ustami i zaczęłam żuć.

Zmuszałam się do przełykania kawałków. Wiedziałam, że lepiej nie prosić o wodę.

Okruchy chleba przesuwwały się przez przełyk do żołądka. Tam zaległy jak balast.

Mdłości powoli ustępowały, moje wnętrzności wreszcie się uspokoiły. Otworzyłam oczy.

Parę centymetrów nad sobą zobaczyłam zatroskaną twarz Jamiego Frasera.

– Ach! – westchnęłam oszołomiona.

– Już dobrze? – zapytał. Skinęłam głową. Usiłowałam usiąść. Objął mnie ramieniem, żeby mi pomóc. Usiadł obok mnie na łóżku w gospodzie, przytulił delikatnie i głaskał moje potargane od snu włosy.

– Moje biedne kochanie – szepnął czule. – Czy pomoże ci łyk białego wina? W jukach mam butelkę.

– Nie. Nie, dziękuję. – Zadrżałam na myśl o winie. Od razu poczułam ciężki, owocowy aromat. Wyprostowałam się.

– Zaraz mi przejdzie – powiedziałam, zmuszając się do wesołości. – Nie martw się, kobiety w ciąży zawsze źle się czują rano.

Jamie patrzył na mnie z powątpiewaniem. Wstał i wziął ubranie z taboretu przy oknie. W lutym we Francji jest zimno jak w lodowatym piekle; szyby pokrywała gruba warstwa szronu.

Jamie był nagi. Na ramionach pojawiła mu się gęsia

skórka, podniosły się rudozłote włoski na rękach i nogach. Przyzwyczajony jednak do zimna nawet nie drżał. Bez pośpiechu włożył pończochy i koszulę. Przerwał ubieranie, wrócił do łóżka i szybko mnie przytulił.

– Połóż się – zaproponował. – Poślę po pokojówkę. Rozpali w kominku. Odpocznij trochę po jedzeniu. Nie będzie ci słabo? – Tego nie byłam pewna, ale kiwnęłam głową.

– Nie sędzę. – Rzuciłam okiem na łóżko; pościel, jak zwykle w gospodach, nie była zbyt czysta. Ale srebro z sakiewki Jamiego zapewniło nam najlepszy pokój, a na wąskim łóżku leżała pierzyna z gęsiego puchu, a nie z plew czy wełny.

– Może jednak położę się na chwilę – mruknęłam. Oderwałam stopy od lodowatej podłogi i wtuliłam się w jeszcze ciepłą kołdrę. Żołądek uspokoił się na tyle, że mogłam zaryzykować łyżeczkę wody. Nalałam sobie z wyszczerbionego dzbanka.

– Na co nadepnąłeś? – zapytałam, ostrożnie pijąc. – Nie ma tu pajaków?

Opasując się kiltem, Jamie potrząsnął głową.

– O, nie – odparł. Skinął głową w kierunku stołu. – Tylko szczur. Pewnie przyszedł do chleba.

Spojrzałam na podłogę i zobaczyłam szary kształt, z maleńką perełką krwi na końcu nosa. W ostatniej chwili wyskoczyłam z łóżka.

– Wszystko w porządku – powiedziałam słabo chwilę później. – Nie mam już czego zwracać.

– Wyplucz usta, Angielko, ale nie przełykaj, na miłość boską. – Jamie przytrzymał kubek, otarł mi usta

szmatką, jakbym była małym, nieporządnym dzieckiem, a potem podniósł mnie i ostrożnie położył na łóżku. Zmarszczył brwi ze zmartwienia.

– Lepiej zostanę z tobą – stwierdził.

– Nie, nie, nic mi nie jest – zapewniłam. Nie kłamałam. Co prawda, każdego ranka z największym trudem próbowałam się powstrzymać przed wymiotowaniem i nie mogłam niczego dłużej utrzymać w żołądku, ale gdy mdłości mijały, byłam w doskonałej formie. Oprócz kwaśnego posmaku w ustach i lekkiego bólu mięśni brzucha czułam się zupełnie normalnie. Odrzuciłam kołdrę i wstałam, żeby to udowodnić.

– Widzisz? Wszystko w porządku. A ty musisz jechać; nie każ kuzynowi czekać.

Było mi trochę weselej mimo lodowatego powietrza, które wpadało pod drzwiami i wślizgiwało się w fałdy mojej koszuli nocnej. Jamie wciąż się wahał. Podeszłam do niego i mocno się przytuliłam. Chciałam go uspokoić. A poza tym poczuć cudowne ciepło jego ciała.

– Brr. Jak możesz być gorący niczym grzanka, jeśli masz na sobie tylko kilt?

– Jeszcze koszulę – zaprotestował i uśmiechnął się do mnie.

Tuliliśmy się przez chwilę. Cieszyliśmy się naszym ciepłem w zimny, francuski poranek. Z korytarza dobiegał szcęk metalu i odgłos kroków pokojówki, niosącej wiadro z opałem.

Jamie wyprostował się i jeszcze mocniej przycisnął mnie do siebie. Od ostatniej nocy w opactwie prawie się nie dotykaliśmy. Nasza podróż do Hawru trwała już prawie

tydzień. Zimno, postoję w nieprzyjemnych karczmach, zmęczenie, nasilające się mdłości – wszystko to nie sprzyjało bliskim kontaktom.

– Pójdziemy do łóżka? – zaproponowałam miękko.

Zawahał się. Siła jego pożądania wyraźnie rysowała się pod kilem, jego dłonie spoczywające na moim chłodnym ciele były gorące, ale nie ruszył się, żeby wziąć mnie w ramiona.

– Cóż... – zaczął z powątpiewaniem.

– Przecież chcesz, prawda? – zapytałam i wsunęłam zimną dłoń pod kilt, żeby się upewnić.

– Och! Eee... Tak, chcę. – Miałam w dłoni dowód. Jamie jęknął cicho, gdy lekko zacisnęłam palce między jego nogami. – O, Boże. Nie rób tego, Angielko; nie mogę utrzymać rąk z dala od ciebie.

Objął mnie swoimi długimi ramionami i wtulił moją twarz w śnieżnobiałe fałdy koszuli, pachnącej lekko krochmalem, którego używał brat Alfons z opactwa.

– A niby dlaczego miałbyś się powstrzymać? – zapytałam zaplątana w biały len. – Masz chyba trochę czasu? Doki są niedaleko.

– Nie o to chodzi.

Przyglądził moje potargane włosy.

– Och, jestem za gruba? – Brzuch wciąż miałam płaski, a nawet z powodu częstych wymiotów byłam szczuplejsza niż zwykle. – Czy może...?

– Nie – powiedział z uśmiechem. – Za dużo mówisz. – Pochylił się i pocałował mnie, a potem podniósł i usiadł na łóżku. Położyłam się i zdecydowanie pociągnęłam go na siebie.

– Claire, nie! – zaprotestował, gdy zaczęłam odpinać kilt.

Spojrzałam ze zdumieniem.

– Dlaczego?

– Cóż... – powiedział z zażenowaniem, nieco się rumieniąc. – Dziecko... Rozumiesz...

Nie chcę go skrzywdzić.

Zaśmiałam się.

– Jamie, nie zrobisz żadnej krzywdy. Nie jest większe niż koniuszek palca. – Wyciągnęłam palec, żeby mu pokazać, a potem przesunęłam czubkiem po pełnej, wygiętej linii dolnej wargi Jamiego. Chwycił moją dłoń i pochylił się, żeby mnie namiętnie pocałować, jakby chciał uśmierzyć łaskotanie mojego dotyku.

– Na pewno? – zapytał. – To znaczy... Cały czas myślę, czy by nie podskakiwało...

– Nie zauważy – zapewniłam i znów zabrałam się do odpinania kiltu.

– W takim razie... Jeżeli jesteś pewna.

Nagle rozległo się zdecydowane pukanie. Pokojówka energicznie weszła do pokoju tyłem. Gdy się odwracała, uderzyła polanem w drzwi. Szczerby na drzwiach i framudze świadczyły, że był to jej zwykły sposób działania.

– *Bonjour* monsieur, madame – mruknęła. Lekko skinęła głową w kierunku łóżka i od razu ruszyła w stronę paleniska. Niektórym to dobrze, mówiła jej postawa głośniejsza niż słowa. Przyzwyczajona do obojętności, z jaką służba odnosiła się do widoku gości w dezabilu, odmruknęłam tylko:

– *Bonjour*, mademoiselle.

Puściłam kilt Jamiego i wysoko naciągnęłam na siebie kołdrę, żeby ukryć szkarłatne policzki.

Jamie potrafił zachować zimną krew. Strategicznie położył sobie na kolanach poduszkę, oparł na niej łokcie, złożył podbródek na odwróconych dłoniach i wdał się w pogawędkę z pokojówką.

– A skąd bierzecie wino, mademoiselle? – zapytał grzecznie.

– Stąd i stamtąd. – Wzruszyła ramionami. Szybko i pewnie wsuwała drobne polana pod kłody. – Gdzie najtaniej. – Spojrzała z ukosa na Jamiego. Jej pełna twarz lekko się wykrzywiła.

– Zauważyłem – odparł z szerokim uśmiechem. Kobieta prychnęła wesoło.

– Założę się, że znajdę dla was wino po tej samej cenie, ale dwa razy lepszej jakości – zaproponował. – Przekaż to swojej pani.

Jedna brew uniosła się sceptycznie.

– A co pan z tego będziesz miał, monsieur?

Machnął ręką.

– Nic, mademoiselle. Jadę do krewnego, który handluje różnymi trunkami. Może dam mu powitalny prezent w postaci nowych klientów?

Kiwnęła głową na znak aprobaty dla tej rozsądnej propozycji. Chrząknęła i wstała z kolan.

– Dobrze, monsieur. Porozmawiam z *patronne*.

Zatrzasnęła za sobą drzwi jednym, zręcznym ruchem biodra. Jamie odłożył poduszkę, wstał i zaczął zapinać kilt.

– Dokąd się wybierasz? – zaprotestowałam.

Spojrzał na mnie. Szerokie usta wykrzywił wstrzymywany uśmiech.

– Och. Cóż... Na pewno chcesz, Angielko?

– Tak, jeśli ty też – powiedziałam.

Spojrzał na mnie srogo.

– Właśnie dlatego powinienem już iść – odparł. – Ale słyszałem, że trzeba pocieszać kobiety przy nadziei. – Kilt spadł na podłogę, a Jamie usiadł obok mnie. Łóżko zaskrzypiało przeraźliwie.

Chmurka pary wydobywała się z ust Jamiego przy każdym oddechu. Odkrył mnie i rozsunął mi koszulę. Całował moje piersi. Delikatnie przesunął językiem po sutkach.

Ciemnoróżowe punkty twardniały jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Są takie śliczne – wymamrotał. Wziął w dłonie obie moje piersi i zaczął je podziwiać. – Zrobiły się cięższe – stwierdził. – Troszeczkę. A sutki są ciemniejsze. – Przesunął palcem po zakręconym cieniutkim włosku przy ciemnej aureoli, srebrnym w zimnym, porannym świetle.

Położył się, a ja wtuliłam się w niego z radością. Gładziłam mocne plecy, dotykałam jędrnych pośladków. Jego nagie ciało było chłodne, ale gęsia skórka ustępowała pod moim dotykiem.

Próbowałam od razu wprowadzić Jamiego w siebie, ale on oparł się tym zabiegom.

Całował mnie w szyję i ucho. Jedna dłoń przesunęła się po moim udzie, fałdując cienki materiał koszuli.

Pochylił głowę niżej. Delikatnie rozłożyły moje uda. Zimne powietrze dotknęło nagich nóg. Zadrżałam. Za chwilę jednak całkowicie się odprężyłam, gdy poczułam ciepłe usta Jamiego.

Jeszcze nie związał włosów, co robił każdego ranka. Jedno miękkie, rude pasmo łaskotało mnie w uda. Ciężkie ciało spoczywało wygodnie między moimi nogami, szerokie dłonie obejmowały mnie w biodrach.

– Mmm? – dobiegł mnie pytający dźwięk.

W odpowiedzi wygięłam się lekko. Krótki śmiech spłynął ciepłem na skórę.

Jamie uniósł moje biodra. Przeszył mnie dreszcz rozkoszy, po którym opadłam i dyszałam. Jamie nadal trzymał głowę na moim udzie. Czekał chwilę, głaszcząc mnie po nodze. Gdy już doszłam do siebie, wrócił do poprzedniego zajęcia.

Odgarnęłam w tył jego potargane włosy. Muskałam palcami uszy, małe i delikatne w porównaniu z dużym, potężnie zbudowanym ciałem. Górna część ucha lśniła bladym, przejrzystym różem. Przesunęłam po niej kciukiem.

– Mają szpiczaste końce – zauważyłam. – Troszeczkę. Jak u fauna.

– Tak? – Przerwał na chwilę. – Znaczy jak u jelonka? Albo postaci ze starych obrazów z nogami kozłów? Podobno te stwory ścigały nagie kobiety.

Podniosłam głowę. Ponad fałdami pościeli, koszulą nocną i nagim ciałem spojrzałam w ciemnoniebieskie kocie oczy, lśniące nad wilgotnymi, brązowymi zwojami.

– Jeśli but ci pasuje, to go noś – skomentowałam. I

opuściłam głowę na poduszkę, gdy tłumiony śmiech wprawił w ruch powietrze nad moją zbyt wrażliwą skórą.

– Och – westchnęłam, przeżąc się. – Och, Jamie, chodź.

– Jeszcze nie – odpowiedział. Końcem języka robił coś, co sprawiło, że nie potrafiłam opanować drżenia.

– Teraz – błagałam.

Nie zadał sobie trudu, żeby się odezwać choć słowem, a ja nie mogłam złapać tchu, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Och – szepnęłam jakiś czas później. – To jest...

– Mmm?

– Przyjemne – wymamrotałam. – Chodź tu.

– Nie, ja może... – rzekł, z twarzą ukrytą w płataninie orzechowo-cynamonowych włosów. – Czy chciałabyś, żebym...

– Jamie, pragnę cię.

Westchnął z rezygnacją, podniósł się na kolana i w końcu pozwolił się pociągnąć w przód. Opierał się na łokciach, żeby mnie nie przygnieść. Czułam jednak na sobie jego ciało. Brzuch dotykał mojego brzucha, a wargi moich warg. Otworzył usta, żeby dalej protestować, ale pocałowałam go szybko. Wsunął się między moje uda. Jęknął lekko z rozkoszy, gdy we mnie wchodził. Jego mięśnie napięły się.

Był delikatny i powolny. Zatrzymywał się od czasu do czasu, żeby mnie pocałować.

Ruszał się dopiero na moje milczące ponaglenia. Przeciągnęłam dłońmi po jego plecach.

Staralam się nie naciskać świeżych ran po

uderzeniach. Mięśnie ud Jamiego drżały, ale on cały czas się wstrzymywał. Nie chciał ruszać się tak szybko, jak potrzebował.

Naparłam na niego biodrami, żeby wszedł głębiej.

Zamknął oczy i lekko zmarszczył brwi w skupieniu. Miał otwarte usta, oddychał ciężko.

– Nie mogę... – westchnął. – O, Boże, nie zdołam się powstrzymać. – Jego pośladki nagle się napięły pod moimi dłońmi.

Westchnęłam z zadowoleniem i przytuliłam go do siebie.

– Nic ci nie jest? – zapytał parę chwil później.

– Nie rozpadnę się – odparłam. Z uśmiechem patrzyłam mu w oczy.

Zaśmiał się chrapliwie.

– Ty może nie, Angielko, ale ja tak. – Przytulił mnie mocno. Jego policzek dotykał moich włosów. Zarzuciłam Jamiemu kołdrę na ramiona. Ciepło ognia jeszcze nie dotarło do łóżka, ale lód na oknie topniał. Zamrożona skorupa zamieniała się w lśniące diamentyki.

Przez jakiś czas leżeliśmy w milczeniu. Słuchaliśmy trzasków płonących szczap jabłoni w palenisku i cichych dźwięków gospody, w której budziło się życie. Ktoś krzyczał z balkonu, kopyta stukały na kamieniach, od czasu do czasu z dołu dobiegało kwiczenie prosiąt, trzymanyh w kuchni, za piecem.

– *Tres francais, n'est-ce pas?* – powiedziała z uśmiechem. Przez podłogę dobiegały odgłosy kłótni, czyli przyjacielskiego wyrównania rachunków między żoną karczmarza a lokalnym dostawcą wina.

– Parszywy synu ospowatej dziwki – krzyczała kobieta. – Brandy z zeszłego tygodnia smakowała jak końskie szczyny.

– Skąd pani wie, madame? Po szóstej szklance wszystko smakuje tak samo – padła odpowiedź, której zapewne towarzyszyło wzruszenie ramion.

Łóżko lekko się zatrzęsło, gdy razem z Jamiem wybuchnęliśmy śmiechem. Jamie podniósł głowę z poduszki i z zadowoleniem wciągał zapach smażonej szynki, dolatujący przez wypaczone deski podłogi.

– Tak, to jest Francja – zgodził się. – Jedzenie, picie... i miłość. – Poklepał mnie po nagim udzie, zanim opuścił na nie pogniecioną koszulę.

– Jamie – odezwałam się miękko. – Jesteś zadowolony? Z dziecka? – Wgnany ze Szkocji, wyrzucony z własnego domu, z bardzo nieciekawymi perspektywami we Francji, mógł, co zrozumiałe i wybaczone, nie być zadowolony z dodatkowego zobowiązania.

Przez chwilę milczał, tuląc mnie mocniej. Westchnął lekko.

– Tak, Angielko. – Duża dłoń delikatnie pogłaskała mój brzuch. – Jestem szczęśliwy.

I dumny jak ogier. Ale przede wszystkim się boję.

– O poród? Wszystko będzie dobrze. – Rozumiałam niepokój Jamiego. Ellen Fraser zmarła przy porodzie. Poza tym komplikacje poporodowe stanowiły główną przyczynę śmierci młodych kobiet w osiemnastym wieku. Aleja trochę się na tym znałam i nie miałam zamiaru oddawać się w ręce tutejszej opieki medycznej.

– Owszem, o to... I o wszystko – powiedział łagodnie. – Chcę cię chronić, Angielko.

Rozścielić się jak płaszcz i własnym ciałem osłonić ciebie i dziecko – mówił cichym, chrapliwym, lekko łamiącym się głosem. – Zrobiłbym dla ciebie wszystko... Ale... Nic nie mogę zrobić. Nieważne, jak jestem silny i jakie mam chęci; nie mogę z tobą iść tam, dokąd musisz iść... Ani ci pomóc. Gdy pomyślę o swojej bezsilności... Tak, boję się, Angielko. A jednak... – Odwrócił mnie do siebie i delikatnie zamknął dłoń na mojej piersi. – Kiedy pomyślę o tobie z moim dzieckiem przy piersi... To czuję, że zaraz wybuchnę z radości.

Przycisnął mnie mocno, a ja odwzajemniłam uścisk ze wszystkich sił.

– Och, Claire. Z miłości do ciebie pęka mi serce.

Spałam jakiś czas. Budziłam się powoli, słysząc głos kościelnego dzwonu, dobiegający z pobliskiego placu. Świeżo po pobycie w opactwie Świętej Anny, gdzie rytm życia wyznaczały dzwony, automatycznie spojrzałam w okno. Chciałam zgadnąć, jaka jest pora dnia. Jasne, czyste światło i okno wolne od lodu. Czyli dzwoniли na Anioł Pański. Było południe.

Przeciągnęłam się zadowolona, że nie muszę od razu wstawać. Męczył mnie początkowy okres ciąży, a trudy podróży sprawiały, że czułam się jeszcze bardziej wyczerpana. Dlatego podwójnie cieszyłam się odpoczynkiem.

Przez całą naszą podróż bezustannie padał deszcz i śnieg. Zimowe sztormy smagały francuskie wybrzeże. Ale mogło być gorzej. Z początku zamierzaliśmy jechać do

Rzymu, nie do Hawru. Przy takiej pogodzie podróż potrwałaby trzy, może cztery tygodnie.

W obliczu konieczności zarabiania na życie za granicą, Jamie postarał się o list polecający go jako tłumacza Jakubowi Francisowi Edwardowi Stuartowi, wygnanemu królowi Szkocji – albo zaledwie Rycerzowi Świętego Jerzego, pretendentowi do tronu, w zależności od punktu widzenia i sympatii. Ustaliliśmy, że dołączymy do dworu pretendenta w pobliżu Rzymu.

Mało brakowało. Mieliśmy już wyruszać do Włoch, kiedy wuj Jamiego, Aleksander, przeor opactwa Świętej Anny, wezwał nas do gabinetu.

– Mam wieści od Jego Wysokości – powiedział bez wstępu.

– Którego? – zapytał Jamie. Rodzinne podobieństwo pomiędzy dwoma mężczyznami podkreślała jeszcze postawa: obaj siedzieli sztywno, z wyprostowanymi ramionami.

Opat, jak przystało na ascetę, trzymał się tak zawsze. Jamie z kolei nie chciał, żeby świeżo zagojone rany na plecach zetknęły się z drewnianym oparciem fotela.

– Jego Wysokości Króla Jakuba – odparł wuj i posłał w moim kierunku srogie spojrzenie. Staralam się nie okazywać żadnych emocji; moja obecność w gabinecie opata Aleksandra była oznaką okazanego mi zaufania, którego w żaden sposób nie chciałam zachwiać. Znał mnie zaledwie sześć tygodni, od wigilii Bożego Narodzenia. Wtedy właśnie stanęłam u bramy z Jamiem, bliskim śmierci z powodu tortur i ciężkich warunków w więzieniu. Opat z czasem przekonał się do mnie, ale przecież nie przestałam

być Angielką. A imię angielskiego króla brzmiało Jerzy, nie Jakub.

– Tak? Czyli nie potrzebuje tłumacza? – Jamie wciąż był wychudzony. Aby wrócić do formy, dużo pracował na świeżym powietrzu. Pomagał mnichom zajmującym się oborami i polami opactwa. Po kilku dniach jego twarz zaczęła odzyskiwać zwykły, rumiany kolor.

– Potrzebuje lojalnego sługi i przyjaciela. – Opat Aleksander stukał palcami w złożony list, leżący na biurku, z przełamaną pieczęcią. Ściągnął usta. Spoglądał to na mnie, to na swojego siostrzeńca. – Tego, co teraz powiem, nie wolno nikomu powtarzać – oznajmił surowo. – Wkrótce będą o tym wiedzieć wszyscy, ale na razie... – Próbowałam wyglądać na osobę godną zaufania i dyskretną; Jamie tylko skinął głową z lekkim zniecierpliwieniem.

– Jego Wysokość Księżę Karol Edward opuścił Rzym. W tym tygodniu przybędzie do Francji – rzekł opat, lekko pochylając się w przód, jakby chciał podkreślić znaczenie swoich słów.

Było to rzeczywiście bardzo ważne. Jakub Stuart podjął nieudaną próbę odzyskania tronu w tysiąc siedemset piętnastym roku. Rozpoczęta pod wpływem złego doradztwa operacja wojskowa prawie od razu upadła z powodu braku poparcia. Od tego czasu – według Aleksandra – wygnany Jakub Szkocki uwijał się jak w ukropie. Słał list za listem do swoich przyjaciół – monarchów, a szczególnie do kuzyna Ludwika Francuskiego.

W pismach podkreślał, że jego pretensje do tronu Szkocji i Anglii są zasadne, a jego syn, księżę Karol, jest w

tej sytuacji prawowitym następcą tronu.

– Ludwik pozostaje, niestety, całkowicie głuchy na te słuszne prośby – ciągnął opat, marszcząc brwi nad listem. – Jeśli uświadomi sobie, jak wielką spoczywa na nim odpowiedzialność, to niewątpliwie wywoła to wielką radość pośród tych, którzy czczą święte prawa monarchii.

Chodziło o jakobitów, zwolenników Jakuba. Aleksander Fraser ze Szkocji, czyli przełożony opactwa Świętej Anny, należał do tej grupy. Jamie powiedział mi kiedyś, że wuj prowadził ożywioną korespondencję z wygnanym królem i kontaktował się ze wszystkimi zainteresowanymi sprawą Stuarta.

– Jest w dobrej sytuacji – wyjaśnił mi Jamie podczas omawiania sprawy, do której właśnie mieliśmy przystąpić. – Papiescy kurierzy przebywają Włochy, Francję i Hiszpanię szybciej niż wszyscy inni. Nie mogą ich zatrzymać celnicy rządowi, więc maleje prawdopodobieństwo przechwycenia wiezionych listów.

Jakuba Szkockiego na wygnaniu w Rzymie popierał papież. Przywrócenie katolickiej monarchii w Anglii i Szkocji leżało w interesie Watykanu. Dlatego też większą część prywatnej korespondencji Jakuba była przewożona przez kurierów papieskich i przechodziła przez ręce lojalnych popleczników w hierarchii kościoła – takich jak opat Aleksander z opactwa Świętej Anny de Beaupre – co pociągało za sobą mniejsze ryzyko niż wysyłanie listów z Rzymu do Edynburga i na wyżyny.

Z zainteresowaniem przyglądałam się Aleksandrowi, gdy wyjaśniał nam znaczenie wizyty księcia Karola we Francji. Opat był przysadzisty, mniej więcej

mojego wzrostu, miał ciemne włosy. Znacznie niższy od siostrzeńca przypominał go lekko skośnymi oczami, błyskotliwą inteligencją i analitycznym sposobem myślenia, co charakteryzowało wszystkich Fraserów, których poznałam.

– Zatem... – rzekł na zakończenie, gładząc swą gęstą, ciemnobrązową brodę. – Trudno powiedzieć, czy Jego Wysokość jest we Francji na zaproszenie Ludwika, czy też przybył nieproszony, w imieniu ojca.

– Jest drobna różnica – zauważył Jamie. Sceptycznie unióśł jedną brew.

Wuj kiwnął głową, a w gąszczu jego brody pojawił się na chwilę chytry uśmiech.

– Prawda, chłopcze – przyznał ze szkockim akcentem, który wymknął się spod zwykłego, formalnego angielskiego. – Oj, prawda. Tu możecie się przydać, ty i twoja żona, jeśli tylko zechcecie.

Propozycja była prosta; Jego Wysokość Król Jakub miał nam dać pieniądze na podróż i skromną pensję, gdyby siostrzeniec najbardziej lojalnego i szanowanego przyjaciela, Aleksandra, zgodził się przyjechać do Paryża, żeby pomagać jego synowi, Jego Wysokości Księżciu Karolowi Edwardowi we wszystkim, czego ten ostatni zażąda.

Czułam się oszołomiona. Zamierzaliśmy jechać do Rzymu, ponieważ wydało się to najlepsze miejsce do rozpoczęcia naszego zadania, czyli próby zapobieżenia powstaniu jakobitów z czterdziestego piątego roku. Z tego, co wiedziałam z historii, powstanie, finansowane przez Francję i przeprowadzone przez Karola Edwarda Stuarta,

okazało się bardziej skuteczne niż nieudana próba podjęta przez Jakuba w tysiąc siedemset piętnastym roku – ale nie tak skutecznie, jak powinno. Gdyby wszystko miało się stać zgodnie z moją wiedzą historyczną, to wojska księcia Karola poniosłyby klęskę pod Culloden w tysiąc siedemset czterdziestym szóstym roku, a szkoccy górale przez dwa kolejne stulecia byłiby ofiarą reperkusji tej przegranej.

Teraz, w tysiąc siedemset czterdziestym czwartym roku, chyba sam Karol zaczął szukać wsparcia we Francji. Gdzie lepiej powstrzymać rebelię niż przy jej przywódcy?

Spojrzałam na Jamiego. Przyglądał się niewielkiemu ołtarzykowi na ścianie, widocznemu nad ramieniem wuja. Wzrok spoczywał na złożonej figurze Świętej Anny i złożonym u jej stóp bukietu wyhodowanych w herbarium kwiatów, ale twarz Jamiego była bez wyrazu. Wiedziałam, że w głowie kłębią mu się myśli. W końcu zamrugął i uśmiechnął się do Aleksandra.

– Chyba mogę pomóc Jego Wysokości – powiedział cicho. – Pojedziemy.

I pojechaliśmy. Jednak zamiast udać się prosto do Paryża, ruszyliśmy wzdłuż wybrzeża do Hawru, żeby najpierw spotkać się z kuzynem Jamiego, Jaredem Fraserem.

Ten dobrze prosperujący szkocki emigrant był importerem win i mocniejszych alkoholi. Miał niewielki magazyn i duży dom w Paryżu oraz ogromny skład w Hawrze.

Tam właśnie nas zaprosił, gdy otrzymał list, zawiadamiający o naszej podróży do Paryża.

Wreszcie wypoczęta zaczęłam odczuwać głód. Na stole stało jedzenie; Jamie najwyraźniej poprosił o nie pokojówkę, gdy spałam.

Nie miałam szlafroka, ale mój aksamitny płaszcz podróżny był bardzo poręczny.

Usiadłam i naciągnęłam ciepły ciężar na ramiona. Potem wstałam, żeby załatwić fizjologiczną potrzebę, dołożyć kłodę do ognia i zasiąść do późnego śniadania.

Z zadowoleniem żułam twarde kawałki chleba i pieczoną szynką. Popijałam mlekiem.

Miałam nadzieję, że Jamie również coś zje. Podkreślał, że Jared jest jego przyjacielem, ale ja już poznałam paru krewnych Jamiego i wątpiłam w ich gościnność. To prawda, Aleksander przyjął nas bardzo dobrze – tak, jak szanujący się opat może przyjąć wyjętego spod prawa bratanka z podejrzaną żoną, kiedy niespodziewanie zjawiają się w jego domu. Ale zeszłej jesieni omal nie przypłaciłam życiem pobytu u krewnych matki Jamiego, MacKenziech z Leoch, kiedy aresztowano mnie i sądzono jako czarownicę.

– Oczywiście – powiedziałam. – Jared to Fraser, a oni wydają mi się nieco bezpieczniejsi niż twoi krewni MacKenzie. Ale czy ty chociaż raz go widziałeś?

– Mieszkałem z nim przez pewien czas, kiedy miałem osiemnaście lat – wyjaśnił.

Rozlał wosk świecy i przycisnął obrączką swojego ojca do zielonoszarej płamy. Rubinowy kaboszon miał wygrawerowane motto klanu Fraserów, *y'e suisprest*: „Jestem gotowy”.

– Musiałem u niego zamieszkać, gdy przyjechałem

do Paryża, żeby skończyć nauką i dowiedzieć się czegoś o świecie. Był dla mnie bardzo miły. A nikt nie wie o środowisku paryskim więcej niż ten, kto sprzedaje wino – dodał i wrywał obrączkę ze stwardniałego wosku. – Chcę porozmawiać z Jaredem, zanim wejdem na dwór Ludwika u boku Karola Stuarta; chciałbym czuć, że mam szansę się stamtąd wydostać – zakończył chytrze.

– Dlaczego? Spodziewasz się kłopotów? – zapytałam.

Uśmiechnął się na widok mojej zmartwionej miny.

– Nie, nie podejrzewam, że napotkam jakieś trudności. Ale co mówi Biblia, Angielko?

„Nie ufaj książętom”. – Wstał i szybko pocałował mnie w brew. Potem wcisnął obrączkę do sporranu. – Nie wolno lekceważyć słów Boga.

Spędziłam popołudnie na czytaniu jednej z książek o ziołolecznictwie. Mój przyjaciel, brat Ambroży, wcisnął mi je jako prezent pożegnalny. Potem zajęłam się cerowaniem.

Żadne z nas nie posiadało wielu ubrań. Podróżowanie z niewielkim bagażem miało swoje zalety, ale trzeba było natychmiast zaszywać podarte skarpetki i poszarpane brzegi koszul. Przybornik z igłami i nićmi okazał się dla mnie prawie tak cenny, jak kuferek, w którym trzymałam zioła i lekarstwa.

Igła lśniła w świetle wpadającym przez okno. Zastanawiałam się, jak przebiega wizyta Jamiego u Jareda. Jeszcze bardziej ciekawiło mnie, jaki będzie książę Karol. To pierwsza sławna postać historyczna, z jaką miałam się zetknąć. Wiedziałam jednak, że lepiej nie wierzyć

wszystkim legendom, które wokół niego narosły (to znaczy narosną, poprawiłam się w myśli), dlatego prawdziwe oblicze księcia stanowiło dla mnie zagadkę. Losy powstania z czterdziestego piątego roku zależały prawie wyłącznie od osobowości tego jednego, młodego człowieka. Natomiast, czy do powstania w ogóle dojdzie, mogło zależeć od wysiłków innego młodzieńca – Jamiego Frasera. I moich.

Byłam całkowicie pochłonięta cerowaniem i rozmyślaniami. Dopiero odgłos ciężkich kroków w korytarzu uświadomił mi, że zrobiło się późno. Temperatura na zewnątrz spadała. Krople wody kapały z gzymsów coraz wolniej, a promienie zachodzącego słońca lśniły na soplach zwisających z dachu. Do pokoju wszedł Jamie.

Uśmiechnął się niewyraźnie w moim kierunku. Potem stanął nieruchomo przy stole, z takim wyrazem twarzy, jakby próbował sobie coś przypomnieć. Zdjął płaszcz, złożył go i powiesił równo na poręczylóźka. Wyprostowany podszedł do taboretu, usiadł i zamknął oczy.

Siedziałam nieruchomo. W jednej chwili zapomniałam o leżącej na kolanach robótce.

Przyglądałam się temu pokazowi precyzyjnego działania ze sporym zainteresowaniem.

Jamie otworzył oczy i uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Zaczął patrzeć na mnie z niezwykłą uwagą, jakbyśmy się nie widzieli od kilku tygodni. W końcu po jego twarzy przemknął wyraz nagłego olśnienia. Jamie rozluźnił się, opuścił ramiona i oparł łokcie na kolanach.

– Whisky – stwierdził z ogromną satysfakcją.

– Widzę – odpowiedziałam ostrożnie. – Dużo?

Powoli potrząsał głową, jakby była bardzo ciężka.

Wydawało mi się, że zaraz usłyszę kołatanie jej zawartości.

– Nie ja – oznajmił bardzo wyraźnie. – Ty.

– Ja? – zapytałam z oburzeniem.

– Twoje oczy – rzekł. Uśmiechnął się błogo.

Spojrzenie miał rozmarzone i zamglone jak sadzawka z strągami w deszczowy dzień.

– Co moje oczy mają wspólnego z...

– Są koloru doskonałej whisky, kiedy pada na nią słońce. Dziś rano myślałem, że wyglądają jak sherry, ale się myliłem. Nie sherry. Nie brandy. Tylko whisky. – Mówił to z takim zadowoleniem, że nie mogłam powstrzymać śmiechu.

– Jamie, jesteś potwornie pijany. Co robiłeś?

Lekko zmarszczył brwi.

– Nie jestem pijany.

– Nie? – Odłożyłam robótkę i podeszłam, żeby położyć mu dłoń na czole. Było chłodne i wilgotne, choć twarz pałała. Jamie od razu objął mnie w tali i przyciągnął do siebie. Zapach alkoholu unosił się wokół niego jak mgiełka, tak gęsty, że prawie widoczny.

– Chodź tu do mnie, Angielko – wymamrotał. – Moja dziewczyno o oczach koloru whisky, moja miłości. Zanioś cię do łóżka.

Zastanawiałam się, kto kogo zanieś do łóżka, ale wolałam się nie spierać. W końcu nieważne, jak tam dotrze, byleby to zrobił. Schyliłam się i włożyłam Jamiemu swoje ramię pod pachę, żeby pomóc mu wstać, ale on się odchylił,

po czym powoli i majestatycznie podniósł się o własnych siłach.

– Nie potrzebuję pomocy – oświadczył i sięgnął do troków koszuli. – Mówiłem ci, nie jestem pijany.

– Masz rację – odrzekłam. – „Pijany” to niewłaściwe słowo. Nawet w przybliżeniu nie oddaje twojego stanu. Jamie, jesteś kompletnie zalany.

Jego wzrok powędrował w dół, przez kilt, potem podłogę, aż do mojej sukni.

– Wcale nie – upierał się z wielką godnością. Zrobił krok w moim kierunku. W jego oczach aż lśniła namiętność. – Chodź tu do mnie, Angielko; jestem gotowy.

Pomyślałam, że się przecenia. Guziki rozpiął tylko do połowy. Koszula wisiała mu na ramionach. Prawdopodobnie tylko tyle mógł zrobić bez pomocy.

Chociaż pod innymi względami... Odsłonił szeroką pierś z małym wgłębieniem pośrodku, gdzie zwykle opierałam podbródek. Wokół jego sutków radośnie sterczały krótkie, kręcone włoski. Zobaczył, że na nie patrzę, więc chwycił moją dłoń i przycisnął sobie do piersi. Był zadziwiająco ciepły, więc instynktownie się do niego przysunęłam.

Objął mnie drugim ramieniem i pochylił się, żeby pocałować. Zamroczyło mnie od samego jego oddechu.

– No dobrze – powiedziałam ze śmiechem. – Skoro jesteś gotowy, to ja też. Pozwól jednak, że cię najpierw rozbiorę. Dość się już dziś naszyłam.

Stał spokojnie, kiedy zdejmowałam z niego ubranie. Nie drgnął także wtedy, gdy zrzuciłam z siebie suknię i pościeliłam łóżko.

Wsunęłam się pod kołdrę i popatrzyłam na niego: rudowłosego i wspaniałego w świetle zachodzącego słońca. Wyglądał jak grecki posąg. Długi nos i wysokie kości policzkowe przywodziły na myśl oblicze postaci na rzymskiej monecie. Szerokie, miękkie usta ułożyły się w rozmarzony uśmiech, a przymrużone oczy patrzyły w dal. Był całkowicie nieruchomy.

Spoglądałam na niego z pewnym niepokojem.

– Jamie – odezwałam się po chwili. – Jak dokładnie stwierdzasz, kiedy jesteś pijany?

Poruszony moim głosem, niebezpiecznie się przechylił, ale przytrzymał się barierki przed kominkiem. Powiódł oczami po pokoju, potem utkwiał wzrok w mojej twarzy. Na chwilę jego oczy stały się jasne i przejrzyste, zalśniły inteligencją.

– Och, to bardzo proste, Angielko. Jeśli ktoś może ustać, nie jest pijany. – Puścił barierkę, zrobił krok w moim kierunku i powoli osunął się w samo palenisko. Znów miał tępy wzrok i szeroki, słodki uśmiech na rozmarzonej twarzy.

Nazajutrz o świcie obudziło mnie pianie kogutów. Słyszałam też szcęk garnków.

Figura obok mnie drgnęła, po czym zamarła, jakby szybki ruch wywołał ból głowy.

Podniosłam się na łokciu. Ogarnęłam wzrokiem ofiarę wieczornego pijaństwa. Niezłe, pomyślałam krytycznie. Jamie miał zaciśnięte oczy, by nie dopuścić do nich promieni słońca. Włosy sterczały mu we wszystkich kierunkach jak kolce jeża. Skóra wyglądała zdrowo. Dłonie leżały spokojne na kołdrze.

Uniosłam jedną powiekę, spojrzałam w źrenicę i zapytałam żartobliwie:

– Jest tam kto?

Drugie oko otworzyło się powoli, żeby dodać ponurego blasku pierwszemu.

Opuściłam dłoń i uśmiechnęłam się uroczo.

– Dzień dobry.

– Jak dla kogo, Angielko – odparł i znów zamknął oczy.

– Masz pojęcie, ile ważysz? – zapytałam od niechcienia.

– Nie.

Nagła odpowiedź świadczyła o tym, że nie tylko nie wiedział, ale i wcale go to nie obchodziło. Ja jednak nalegałam.

– Około stu kilogramów. Tyle, ile spory dzik. Niestety, nie było w pobliżu nikogo, kto powiesiłby cię do góry nogami i zaniósł do wędzarni.

Jedno oko znów się otworzyło i spojrzało z zamyśleniem najpierw na mnie, a potem na palenisko pod drugiej stronie pomieszczenia. Kącik ust z trudem uniósł się w uśmiechu.

– Jak zdołałaś zanieść mnie do łóżka?

– Niestety, nie mogłam cię ruszyć, więc po prostu przykryłam kołdrą i zostawiłam w palenisku. Przebudziłeś się i doczołgałeś do łóżka o własnych siłach, mniej więcej w środku nocy.

Wydawał się zaskoczony. Znów otworzył oko.

– Naprawdę?

Kiwnęłam głową, starając się przygładzić włosy

sterczące zza lewego ucha.

– Och, tak. Jedno ci było w głowie.

– Jedno mi było w głowie? – Zmarszczył brwi i przeciągnął się mocno. Nagle spojrzął na mnie osłupiały. – Nie. Niemożliwe.

– Tak. Możliwe.

Rzucił okiem w dół, jakby szukał potwierdzenia tego nieprawdopodobnego stwierdzenia, potem znów popatrzył na mnie.

– Naprawdę? Cóż, skoro tak mówisz; nic z tego nie pamiętam. – Wahał się przez chwilę. Wyglądał na onieśmiałego. – Nie zrobiłem nic głupiego?

Położyłam się i wtuliłam głowę w jego ramię.

– Głupiego? Nie.

– Dzięki Bogu za drobne łaski – szepnął, a jego pierś zatrzęsa się od śmiechu.

– Poza tym nie byłeś zbyt rozmowny. Zapomniałeś, jak się mówi cokolwiek innego poza „kocham cię”. To powtarzałeś wielokrotnie.

Znów się zaśmiał, tym razem głośniej.

– Och, tak? Cóż, chyba mogło być gorzej.

Wziął wdech i nagle zamarł. Odwrócił głowę i powąchał podejrzliwie miękkie, cynamonowe włosy pod swoim uniesionym ramieniem.

– Chryste! – zawołał. Spróbował mnie odepchnąć. – Nie kładź mi głowy pod pachą, Angielko. Śmierdzą jak zdechły dzik.

– I zapeklowany w brandy – dodałam i pociągnęłam nosem. – Jak to możliwe, że się tak... hmm... śmierdząco upiłeś?

– Gościnność Jareda nie zna granic. – Usadowił się na poduszkach z głębokim westchnieniem i objął mnie czule. – Pokazał mi magazyn w dokach. I pomieszczenie, w którym trzyma rzadkie wina, portugalską brandy i jamajski rum. – Na wspomnienie lekko się skrzywił. Wina tylko próbowaliśmy, potem pluliśmy na podłogę. Ale żaden z nas nie mógł pozwolić na takie marnowanie mocniejszych trunków. Poza tym Jared powiedział, że brandy musi połaskotać w gardło, żeby można było ją w pełni docenić.

– Ile doceniłeś? – zapytałam z ciekawością.

– Straciłem rachubę w połowie drugiej butelki. – W tym momencie w pobliżu rozdzwonił się kościelny dzwon, wzywający na poranną mszę. Jamie usiadł prosto i utkwiał wzrok w oknie prześwietlonym słońcem.

– Chryste, Anielko! Która godzina?

– Około szóstej, jak sądzę – odpowiedziałam oszołomiona. – Dlaczego pytasz?

Odprężył się.

– To dobrze. Bałem się, że dzwonią na Anioł Pański. Straciłem rachubę czasu.

– Rozumiem. Ale czy to ma znaczenie?

W przyptywie energii odrzucił pierzynę i wstał. Przez chwilę się chwiał, ale utrzymał równowagę. Chwycił się obiema rękami za głowę, jakby chciał sprawdzić, czy wciąż jest przymocowana do tułowia.

– Owszem – wysapał z trudem. – Ty i ja jesteśmy umówieni rano w dokach, w magazynie Jareda.

– Naprawdę? – Sama wygramoliłam się z łóżka i sięgnęłam po nocnik. – Jeśli zamierza skończyć robotę, chyba nie chce świadków.

Jamie zmarszczył brwi.

– Skończyć robotę?

– Cóż, większość twoich krewnych chyba chce zabić ciebie lub mnie; czemu nie Jared? Dobrze zaczął, od podtrucia.

– Bardzo śmieszne, Angielko – skomentował sucho.

– Masz jakieś porządne ubranie?

W podróży nosiłam praktyczną, szarą, wełnianą suknię. Dostałam ją od mnicha z opactwa Świętej Anny. Miałam również suknię, w której uciekłam ze Szkocji, prezent od lady Annabelle MacRannoch. W zielonym jak liście aksamicie wyglądałam trochę blado, ale dość stylowo.

– Tak sądzę. Jeśli nie ma na tym pięknym stroju zbyt wielu plam.

Uklękałam przy niewielkim kufrze podróżnym i rozwinęłam aksamitną kreację. Jamie przykucnął obok. Otworzył mój kuferek z lekami i uważnie oglądał rzędy buteleczek, pudełeczek i ziół owiniętych w kawałki gazy.

– Masz tu coś na bardzo duży ból głowy, Angielko?

Spojrzałam mu przez ramię, potem sięgnęłam i dotknęłam buteleczki.

– Szanta mogłaby pomóc, choć nie jest najlepsza. Herbatka z kory wierzby i kopru dobrze działa, ale długo się zaparza. Wiesz co? Zrobimy ci lekarstwo na wątrobę guzkowatą. Wspaniały środek na kaca.

Spojrzał na mnie podejrzliwym, niebieskim okiem.

– Brzmi obrzydliwie.

– Bo takie jest – przyznałam wesoło. – Ale kiedy już zwymiotujesz, poczujesz się o wiele lepiej.

– Mhm. – Wstał i stopą podsunął mi nocnik.

– Poranne zwracanie to twoja domena, Angielko – powiedział. – Załatw to szybko i ubierz się. Zniosę ból.

Jared Munro Fraser był niewysokim, szczupłym i czarnookim mężczyzną, bardzo podobnym do dalekiego kuzyna, Murtagha Fräsera, który towarzyszył nam w drodze do Hawru. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam Jareda, stojącego majestatycznie w szeroko otwartych drzwiach magazynu i zagradzającego drogę noszącym baryłki robotnikom, podobieństwo było tak uderzające, że zamrugałam i przetarłam oczy. Ale z tego, co wiedziałam, Murtagh był wciąż w gospodzie. Doglądał rannego konia.

Jared miał takie same długie, ciemne włosy i przenikliwe oczy; identycznie umięśnioną, nieco małą sylwetkę. Ale na tym podobieństwo się kończyło. Gdy podeszliśmy bliżej – Jamie grzecznie robił mi przejście, rozpychając się w tłumie łokciami – dostrzegłam także różnice. Twarz Jareda była owalna, a nie w kształcie siekierki; wesóły, zadarty nos burzył dystygowany wygląd, nadawany przez doskonale uszyty strój i wyprostowaną sylwetkę.

Dobrze prosperujący handlarz umiał również się śmiać – w przeciwieństwie do Murtagha, który najczęściej miał nieuleczalnie ponurą minę – więc gdy wreszcie dopchnęliśmy się przed jego oblicze, powitał nas szeroki uśmiech.

– Moja droga! – wykrzyknął. Chwycił mnie za ramię i zręcznie usunął z drogi dwóch barczystych robotników, przetaczających gigantyczną beczkę przez wielkie drzwi. – Tak się cieszę, że wreszcie cię widzę! –

Beczka hałasowała na deskach. Słyszałam przelewanie się jej zawartości, gdy mnie mijała.

– Tak można się obchodzić z rumem – zauważył Jared – ale nie z porto. Zawsze osobiście doglądam transportu porto i butelek wina. Właśnie miałem się zająć nową dostawą Belle Rouge. Może chcecie mi towarzyszyć?

Rzuciłam okiem na Jamiego. Skinął głową, więc od razu ruszyliśmy za Jaredem.

Omijaliśmy beczki, baryłki, antałki i wózki; mężczyzn i chłopców wszelkich ras i o najprzeróżniejszym wyglądzie, przenoszących bele tkanin, skrzynie z ziarnem i żywnością, zwinięte arkusze klepanej miedzi, worki mąki oraz wszystko, co tylko można przetransportować statkiem.

Hawr był ważnym centrum handlu przewozowego, a doki stanowiły serce miasta.

Z solidnego nabrzeża długości czterystu metrów wystawały mniejsze doki. Tam stały zakotwiczone trójmasztowe barki i brygantyny, płaskodenne łodzie i małe galery; wiele rodzajów statków, które zaopatrywały Francję.

Jamie usuwał mnie z drogi przejeżdżającym wózkom, toczącym się beczkom oraz niedbałym kupcom i marynarzom, którzy nie patrzyli pod nogi i przepychali się przez tłum.

Gdy szliśmy peronem rozładunkowym, Jared uprzejmie krzychał mi do ucha.

Pokazywał ciekawe obiekty i tłumaczył historię różnych statków oraz ich właścicieli niespójnym, rwanym staccato. „Arianna”, którą zaraz mieliśmy zobaczyć, była jedną z jednostek pływających Jareda. Statki należały do

jednego człowieka lub, częściej, do kompanii kupieckiej, reprezentującej wspólną własność, albo, rzadko, do kapitana, który oferuje załogę i usługi. Statków kompanii było znacznie więcej niż jednostek należących do indywidualnych posiadaczy. Zaczęłam więc wyrabiać sobie pełne szacunku pojęcie o majątku Jareda.

„Arianna” stała w środku rzędu zakotwiczonych statków, w pobliżu dużego magazynu z nazwiskiem FRASER, wymalowanym pochyłymi literami lekko już spłowiały. Nagłe uczucie związku i przynależności, sprawiło mi dziwną przyjemność. Pojawiła się miła świadomość, że to również moje nazwisko i że zostałam uznana za rodzinę tych, którzy je noszą.

„Arianna” była blisko dwudziestometrowym trójmasztowcem z szerokim dziobem.

Z burty zwróconej do doku wystawały dwa działa, zamieszczone na wypadek ataków piratów na otwartym morzu, jak przypuszczałam. Na pokładzie krzątało się mnóstwo ludzi. Pewnie mieli jakiś cel, choć sprawiali wrażenie mrówek w zaatakowanym mrowisku.

Wszystkie żagle były zwinięte i przywiązane. Przypływ delikatnie poruszał statkiem, przesuwając bukszpryt w naszym kierunku. Na dziobie widniał raczej szpetny aflaston: popiersie kobiety ze wspaniałym, nagim biustem, spletanymi lokami, poznaczonymi plamkami soli i z ponurą twarzą. Kobieta wyglądała, jakby nie przepadała zbyt za morskim powietrzem.

– Ślicznotka, co? – zapytał Jared i zatoczył ręką duże półkole. Zakładałam, że chodzi mu o statek, a nie o aflaston.

– Bardzo ładna – przyznał grzecznie Jamie. Zauważyłam, jak niechętnie patrzy na linię zanurzenia, gdzie małe fale rozbijały się o burtę. Zapewne miał nadzieję, iż nikt nie każe mu wchodzić na pokład. Jamie Fraser, świetny żołnierz, błyskotliwy, odważny i waleczny, był również szczurem lądowym.

Zdecydowanie nie należał do tych twardych, pływających po morzach Szkotów, którzy polowali na wieloryby lub opływali świat w poszukiwaniu fortuny. Jamie cierpiał na tak ostrą chorobę morską, że nasza grudniowa podróż przez kanał omal go nie zabiła, osłabionego od tortur.

Widziałam na jego twarzy, że dopadły go ponure wspomnienia, gdy słuchał kuzyna.

Jared wychwalał siłę i szybkość „Arianny”.

– Chyba nie zechce nam tego wszystkiego udowodnić? – Szepnęłam do Jamiego.

– Nie wiem, Angielko. – Spojrzał na statek z wyrazem niechęci połączonej z rezygnacją. – Ale zaraz się przekonamy. – Jared był już w połowie trapu. Witał kapitana głośnymi okrzykami. – Gdybym nagle zzieleniał, możesz udać, że mdlejesz? Nie chcę zwymiotować Jaredowi na buty i zrobić na nim złego wrażenia.

Uspakajająco poklepałam go po ramieniu.

– Nie martw się. Wierzę w ciebie.

– Nie chodzi o mnie, tylko o mój żołądek. – Rzucił tęskne spojrzenie na twardey ląd.

Statek jednak okazał się przyjemnie nieruchomy pod naszymi stopami, więc i Jamie, i jego żołądek zachowywali się odpowiednio – może za sprawą brandy,

której nalał nam kapitan.

– Niezła – ocenił Jamie. Szybko podsunął sobie szklankę pod nos i z zamkniętymi oczami wdychał bogaty, aromatyczny bukiet. – Portugalska, prawda?

Jared zaśmiał się radośnie i szturchnął kapitana.

– Widzisz, Portis? Mówiłem ci, że ma talent. Próbował jej tylko raz!

Zagryzłam policzek i unikałam wzroku Jamiego. Kapitan, duży i zarośnięty mężczyzna, wyglądał na znudzonego, ale wykrzywił się grzecznie w stronę Jamiego.

W uśmiechu odsłonił trzy złote zęby. Człowiek, który lubił nosić swój majątek przy sobie.

– To on będzie doglądał interesu, tak? – spytał.

Jared nagle jakby się zawstydził. Na jego twarzy pojawił się lekki rumieniec.

Zauważyłam zafascynowana, że ma przekłute jedno ucho. Zastanawiałam się, jaka była droga kuzyna Jamiego do obecnych sukcesów.

– Cóż... – zaczął, po raz pierwszy zdradzając lekki szkocki akcent – To się jeszcze okaże. Ale sądzę... – Spojrzał przez port na krzątaninę w doku, potem na szklankę kapitana, opróżnioną trzema haustami. – Słuchaj, Portis, czy mógłbym na chwilę skorzystać z twojej kabiny? Chciałbym porozmawiać z moim bratankiem i jego żoną.

Poza tym, jeśli dobrze słyszę, na rufie są jakieś kłopoty z rozładunkiem. – Ta zręcznie dodana uwaga wystarczyła, żeby kapitan Portis wyskoczył z kabiny jak szarżujący dzik.

Wykrzykiwał szorstkim, podniesionym głosem słowa we francusko-hiszpańskim dialekcie patois, których

na szczęście nie rozumiałam.

Jared zamknął drzwi za zwałistą sylwetką kapitana. Hałas przycichł. Jared wrócił do stolika i ceremonialnie napełnił nam szklanki. Spojrzał na Jamiego i na mnie. Posłał nam uroczy przepraszący uśmiech.

– Może za szybko składam tę propozycję – powiedział – ale widzę, że dobry kapitan zdradził moje zamiary. Prawda jest taka, że potrzebuję pomocnika. – Uniósł szklankę w kierunku Jamiego. Rozbłyśki na wodzie od strony portu przeświecały przez brandy, odbijając plamki migotliwego światła z mosiężnych elementów kabiny.

– Dobrego pomocnika – dodał. – Widzisz, moja droga... – skłonił się ku mnie. – Jest okazja na świetną inwestycję w nowe winnice w regionie Mozeli. Ale sprawa jest tak ważna, że nie chciałbym jej powierzać podwładnemu; powinienem zobaczyć urządzenia osobiście i doradzić, co dalej robić. Potrwałoby to kilka miesięcy.

Zamyślony wbił wzrok w szklankę. Delikatnie kręcił wonny, brązowy płyn. Zapach trunku wypełnił maleńkąabinę. Ja wypiałam nie więcej niż kilka łyżków, ale zaczynałam się czuć lekko zamroczone, raczej z ekscytacji niż od alkoholu.

– Takiej okazji nie można przepuścić – ciągnął Jared. – Jest też szansa na kilka dobrych umów z winnicami nad Rodanem; tamtejsze produkty są wyśmienite, ale dość rzadkie w Paryżu. Sprzedają się wśród szlachty jak śnieg w lecie. – W jego czarnych oczach przez moment lśniło skąpstwo, ale gdy na mnie spojrzał, pojawiły się w nich wesołe iskierki.

– Ale... – powiedział.

– Nie możesz zostawić tu interesu bez nadzoru – dokończyłam.

– Inteligencja, uroda i czar. Gratuluję żony, kuzynie.

– Skinął wypielęgnowaną głową w kierunku Jamiego i w ramach aprobaty uniósł jedną brew. – Przyznaję, że nie wiedziałem, jak sobie poradzę. Postawił szklankę na stole z miną człowieka, który odsuwa na bok towarzyską frywolność na rzecz poważnych spraw. – Kiedy jednak napisałeś ze Świętej Anny, że zamierzacie pojechać do Paryża... – Zawahał się, ale zaraz uśmiechnął się do Jamiego i dziwnie machnął dłońmi. – Wiem, że ty, mój chłopcze, masz głowę do cyfr. Twoje przybycie uznałem więc za odpowiedź na moje modlitwy.

Pomyślałem jednak, że powinniśmy się najpierw spotkać i odnowić znajomość, zanim złożę ci ostateczną propozycję. – Chciałeś powiedzieć, że musiałeś mnie sprawdzić, pomyślałam cynicznie, ale uśmiechnęłam się do Jareda. Dostrzegłam wzrok Jamiego i uniesioną brew. Ten tydzień najwyraźniej stał pod znakiem propozycji. Jak na wywłaszczonego banitę i podejrzaną o szpiegowanie Angielkę, pybot na nasze usługi był całkiem spory.

Oferta Jareda była niezwykle hojna; w zamian za prowadzenie francuskiej gałęzi firmy przez najbliższych sześć miesięcy Jared nie tylko płaciłby Jamiemu pensję, ale i oddałby nam do dyspozycji swój paryski dom ze służbą.

– Nic nie mów – nakazał, kiedy Jamie próbował zaprotestować. Przycisnął palec do końca nosa i uroczo się do mnie uśmiechnął. – Piękna kobieta, wydająca kolacje, to wielki przymiot w winiarskich interesach, kuzynie. Nie

masz pojęcia, ile wina sprzedasz, jeśli najpierw pozwolisz go spróbować klientom. – Zdecydowanie potrząsnął głową. – Nie, bardzo bym się ucieszył, gdyby twoja żona zgodziła się kłopotać zabawianiem gości.

Myśl o wydawaniu kolacji dla paryskiego światka była nieco onieśmielająca. Jamie spojrział na mnie i pytająco uniósł brwi. Przełknął głośno i z uśmiechem pokiwałam głową. Propozycja była bardzo korzystna; jeśli on uważał, że jest w stanie poprowadzić tak wielki interes, ja mogłam zamawiać kolacje i trochę odświeżyć swój francuski.

– Oczywiście – wymamrotałam. Jared nie miał wątpliwości, że się zgodzę, więc mówił dalej, wbijając w Jamiego swe czarne oczy.

– Pomyślałem też, że może będziecie potrzebować odpowiedniego miejsca. Przecież do Paryża sprowadza was też inna sprawa.

Jamie uśmiechnął się niezobowiązująco, a Jared krótko się zaśmiał i podniósł szklaneczkę brandy. Każde z nas miało również szklankę wody, żeby przepłukać podniebienie pomiędzy łykami alkoholu. Drugą ręką Jared uniósł swoją.

– Wznieśmy toast! – wykrzyknął. – Za naszą współpracę, kuzynie. I za Jego Wysokość! – Ostentacyjnie przeniósł szklaneczkę z brandy nad szklanką wody i przyłożył do ust.

Z zaskoczeniem obserwowałam to dziwne zachowanie, ale chyba musiało coś znaczyć dla Jamiego. Uśmiechnął się do Jareda i również przeniósł nad wodą swoją szklaneczkę brandy.

– Za Jego Wysokość – powtórzył. Potem, widząc moje osłupienie, wyjaśnił z uśmiechem: – Za Jego Wysokość, przez wodę, Angielko.

– Aha? – powiedziałam, lecz dopiero po chwili zaczęłam rozumieć. Król za wodą, to król Jakub. Dopiero pojęłam też, dlaczego wszyscy chcieli, żebyśmy już znaleźli się w Paryżu.

Jeśli Jared również był jakobitą, to jego korespondencja z opatem Aleksandrem była prawdopodobnie czymś więcej niż zwykłą wymianą rodzinnych grzeczności. Istniała szansa, że list Jamiego zapowiadający nasze przybycie dotarł do Jareda z listem od Aleksandra, tłumaczącym rozkazy króla Jakuba. A skoro nasza obecność w Paryżu odpowiadała również Jaredowi – tym lepiej. Z nagłym uczuciem podziwu dla złożoności jakobickiej sieci uniosłam szklankę i wypiłam za Jego Wysokość za morzem – i za współpracę z Jaredem.

Jared i Jamie zaczęli rozmawiać o interesach. Wkrótce obaj pochylili się nad zapisanymi kartkami papieru, które ewidentnie były manifestami okrętowymi i kwitami załadunku. Małą kabinę przesiąkał zapach tytoniu, brandy i niemytych żeglarzy.

Znów poczułam lekkie mdłości. Widząc, że przez chwilę nie będą mnie potrzebować, wstałam cicho i wyszłam na pokład.

Uważałam, żeby ominąć zamieszanie na rufie, związane z rozładunkiem. Między zwojami lin, knagami oraz stosami płótna żaglowego przeszłam w spokojne miejsce na dziobie. Stąd miałam dobry widok na wybrzeże.

Usiadłam na skrzyni przy relingu. Cieszyłam się

słoną bryzą, zapachem smoły i ryb, roztaczającym się ze statków i nabrzeża. Ciasno owinęłam się płaszczem, więc mimo chłodu było mi dość ciepło. Przyływ lekko kołysał statkiem. Skupiska glonów na pobliskich palach doków podnosiły się i wirowały pośród lśniących, czarnych plam maź.

Widok ten przypomniiał mi małże w maśle, które jadłam poprzedniego dnia na kolację. Poczułam nagły głód. Absurdalna zmienność odczuć w okresie ciąży nie pozwalała mi zapomnieć o trawieniu; gdy nie wymiotowałam, byłam głodna jak wilk.

Pomyślałam o kolacjach dla francuskich gości. Hm, był to może dziwny sposób na rozpoczęcie ratowania Szkocji, ale naprawdę nic lepszego nie przychodziło mi do głowy.

Gdyby Karol Stuart jadał ze mną, mogłabym mieć go na oku. Uśmiechnęłam się.

Gdyby natomiast w jakiś sposób okazał zamiar popłynięcia do Szkocji, dodałabym mu czegoś do zupy.

Może to wcale nie było takie śmieszne. Przypomniałam sobie Geillis Duncan. Mój uśmiech zbladł. Żona prokuratora w Cranesmuir zamordowała męża. Podczas bankietu dosypała mu do jedzenia cyjanku. Oskarżono ją o czary. Niedługo mnie samej wytoczono proces. Przed egzekucją uratował mnie Jamie. Wspomnienie kilku dni spędzonych w zimnym, ciemnym pomieszczeniu w Cransemuir było jeszcze bardzo świeże. Wiatr wydał mi się nagle lodowaty.

Zadrżałam, ale nie z zimna. Zawsze gdy myślałam o Geillis Duncan, po kręgosłupie przebiegał mi dreszcz. Nie

chodziło o to, co zrobiła, lecz o to, kim była. A była jakobitką; w ferworze popierania sprawy Stuartów chyba pomieszało jej się w głowie. Co gorsza, oprócz tego tak jak ja podróżowała przez stojące kamienie.

Nie wiedziałam, czy odwiedziła przeszłość przypadkowo, czy też zrobiła to celowo.

Nie miałam też pojęcia, skąd przybyła. Ostatni raz widziałam ją wykrzykującą zuchwale na sędziów. Została skazana na spalenie na stosie. Była wysoką, bladą kobietą. Gdy wyrzuciła w górę ramiona, na jednym z nich zobaczyłam okrągłą bliznę po szczepionce.

Automatycznie sięgnęłam do małej plamki na skórze własnego ramienia, pod ciepłymi fałdami płaszcza. Zadrżałam.

Od tych smutnych wspomnień odciągnęło mnie poruszenie na pobliskim placu rozładunkowym. Przy trapie statku zebrało się sporo ludzi. Krzyczeli i przepychali się.

Nie była to jednak walka. Wydawało mi się, że jacyś mężczyźni próbują rozepchnąć tłum, zrobić przejście do drzwi dużego magazynu. Zgromadzeni uparcie opierali się wszelkim takim wysiłkom; po każdym pchnięciu wracali na poprzednie miejsce jak fala przyływu.

Nagle stanął za mną Jamie. Potem nadszedł Jared. Zmrużonymi oczami przypatrywali się scenie. Pochłonięta krzykami nie usłyszałam ich kroków.

– Co się dzieje? – Wstałam i oparłam się o Jamiego, żeby utrzymać równowagę, bo „Arianną” bujało coraz mocniej. Czułam z bliska jego zapach; wykąpany pachniał czystością i ciepłem, z lekką nutką słońca i kurzu. Wyostrzenie węchu też chyba było efektem ciąży; czułam

zapach Jamiego nawet wśród natłoku zapachów portu, tak jak odróżnia się niski głos w tłumie.

– Nie wiem. Chyba jakieś kłopoty z innym statkiem.

– Położył mi dłoń na łokciu, żeby mnie uspokoić. Jared odwrócił się i gardłowym francuskim rozkazał coś jednemu ze stojących obok żeglarzy. Ten szybko przeskoczył przez reling i zaczął zsuwać się po linie na plac rozładunkowy; ciemny warkocz wilka morskiego zwiślał tuż nad wodą.

Patrzyliśmy z pokładu, jak mężczyzna podchodzi do tłumy, szturcha jakiegoś marynarza i otrzymuje odpowiedź, popartą pełnymi ekspresji gestami.

Jared zmarszczył brwi, gdy wysłannik wdrapał się po zatłoczonym trapie i po francusku przekazywał mu wiadomości. Niestety, nic nie mogłam wyłowić z potoku słów.

Po krótkiej rozmowie Jared odwrócił się i stanął przy mnie. Szczupłe ręce chwyciły reling.

– Mówi, że na pokładzie „Patagonii” jest choroba.

– Jaka choroba? – Nie pomyślałam o zabraniu kuferka z lekami, więc niewiele zdołałabym zdziałać, ale byłam ciekawa. Jared wyglądał na zmartwionego i niezadowolonego.

– Boją się, że może to być ospa, ale nie wiedzą. Wezwali już nadzorcę i komendanta portu.

– Chcesz, żebym tam poszła? – zaproponowałam. – Mogę przynajmniej ocenić, czy to choroba zakaźna, czy nie.

Brwi Jareda zniknęły pod czarną grzywą. Jamie wyglądał na lekko zakłopotanego.

– Moja żona jest dobrze znana jako uzdrowicielka,

kuzynie – wyjaśnił, ale potem odwrócił się do mnie i potrząsnął głową. – Nie, Angielko. To niebezpieczne.

Dobrze widziałam trap „Patagonii”, bo tłum nagle się rozstał. Wszyscy odskakiwali i deptali sobie po palcach. Z pokładu zeszło dwóch żeglarzy z prowizorycznymi noszami z kawału płótna. Biały materiał napiął się pod masą człowieka, którego nieśli. Z jednej strony wysunęło się nagie, opalone ramię.

Żeglarze mieli usta i nosy zawiązane paskami materiału. Odwracali twarze od noszy, potrząsali głowami i warczeli na siebie, przenosząc swój ładunek nad deskami. Przeszli przed zafascynowanym tłumem, po czym zniknęli w pobliskim magazynie.

Szybko podjęłam decyzję. Ruszyłam w kierunku tylnego trapu „Arianny”.

– Nie martw się – zawołałam przez ramię do Jamiego. – Nie zarażę się, jeśli to ospa.

– Jeden z żeglarzy, słysząc moje słowa, zatrzymał się z szeroko otwartymi ustami.

Z uśmiechem ominęłam osłupiałego mężczyznę.

Tłum stał teraz spokojnie. Bez trudu przeszłam między pomrukującymi żeglarzami.

Wielu na mój widok marszczyło brwi albo robiło zdziwioną minę. Magazyn nie był używany; w zacienionym pomieszczeniu nie stały żadne beczki ani baryłki. Wśród wielu zapachów wyróżniała się woń trocin, wędzonego mięsa i ryb.

Chorego szybko położono na słomie, obok drzwi. Ludzie, którzy go przynieśli, potrącili mnie, wybiegając.

Podeszłam ostrożnie. Zatrzymałam się kilkadziesiąt

centymetrów od chorego. Był rozpalony, jego skóra, gęsto usiana krostami, miała dziwny, ciemnoczerwony kolor.

Jęczał i wciąż przewracał głowę z boku na bok. Spieczone usta otwierały się i zamykały.

– Przynieś wody – poleciłam jednemu ze stojących obok żeglarzy. Mężczyzna, niski i muskularny, z kilkudniowym zarostem, spojrzał na mnie, jakby nagle przemówiła do niego ryba.

Ze zniecierpliwieniem odwróciłam się do niego plecami. Uklękałam przy chorym i rozpięłam jego brudną koszulę. Potwornie cuchnął; prawdopodobnie od początku nie był zbyt czysty, a potem pozostawiono go we własnym brudzie, bo wszyscy bali się dotknąć zarażonego. Ramiona miał stosunkowo gładkie, ale krosty gęsto pokrywały klatkę piersiową i brzuch.

Podczas badania przyszedł Jamie i Jared. Towarzyszyło im jeszcze trzech mężczyzn:

niski jegomość o figurze gruszki, w wyszywanym złotem płaszczu, i dwóch innych nieznanym. Jeden wyglądał na szlachcica lub bogatego mieszczanina, drugi, wysoki i smukły, prawdopodobnie był żeglarzem, o czym świadczyła jego cera. Pewnie kapitan statku, na którym panowała zaraza.

Wielokrotnie widziałam przypadki ospy w niecywilizowanych częściach świata, gdzie zabierał mnie w dzieciństwie wuj Lamb, znany archeolog. Chory marynarz nie siusiał krwią, jak czasami się zdarza, gdy choroba zaatakuje nerki, ale oprócz tego miał wszystkie klasyczne objawy.

– Obawiam się, że to ospa – oznajmiłam.

Kapitan „Patagonii” nagle krzyknął z niepokojem. Podszedł z wykrzywioną twarzą i uniósł rękę, jakby chciał mnie uderzyć.

– Nie! – wrzasnął. – Głupia kobieta! Chcesz mnie zrujnować?

Ostatnie słowa zmieniły się w charkot, gdy dłoń Jamiego zacisnęła się na jego gardle.

Druga ręka chwyciła kapitana za koszulę i podniosła w górę.

– Wolałbym, żeby zwracał się pan do mojej żony z należnym szacunkiem – powiedział dość łagodnie Jamie.

Kapitan, którego twarz zrobiła się już purpurowa, zdołał kiwnąć głową, więc Jamie go opuścił. Żeglarz cofnął się o krok. Syknął i schował się za swoim towarzyszem. Cały czas masował obolałą szyję.

Niski, korpulentny urzędnik ostrożnie pochylił się nad chorym. Przy nosie trzymał dużą, aromatyczną kulkę na srebrnym łańcuszku.

Na zewnątrz znów zrobiło się głośniejsze. Tłum odsunął się od drzwi magazynu, żeby przepuścić kolejne nosze.

Chory nagle usiadł. Niski urzędnik tak bardzo się przestraszył, że omal nie upadł.

Mężczyzna rozejrzał się dziko po magazynie, przewrócił oczami i padł na słomę jak ugodzony toporem.

– Nie żyje – powiedziałam niepotrzebnie.

Urzędnik odzyskał godność. Po raz kolejny podniósł do nosa aromatyczną kulkę, przyjrzał się ciału i oświadczył:

– Ospa. Pani ma rację. Przykro mi, panie hrabio, ale zna pan prawo.

Człowiek, do którego się zwrócił, westchnął ze zniecierpliwieniem. Spojrzał na mnie, zmarszczył brwi, potem kiwnął głową do urzędnika.

– Jestem pewien, że to się da jakoś załatwić, panie Pamplemousse. Proszę o chwilę rozmowy na osobności... – Wskazał ręką opuszczony domek nadzorcy. Malutka konstrukcja stała kawałek dalej. Pan hrabia był szczupły i elegancki. Miał ciężkie brwi i wąskie usta. Jego postawa świadczyła o tym, że zawsze egzekwował swoją wolę.

Niski urzędnik cofał się z wyciągniętymi rękami jakby w samoobronie.

– *Non*, panie hrabio – powtarzał. – *Je le regrette, mais c'est impossible** [*Żałuję, ale to niemożliwe.]. Zbyt wielu ludzi już wie. Wiadomość rozniesie się po całym porcie. – Spojrzał bezradnie na Jamiego i Jareda. Potem machnął dłonią w kierunku drzwi magazynu, gdzie rysowały się głowy gapiów, otoczone złotymi aureolami południowego słońca.

– Nie – powiedział ponownie. Na jego pełnej twarzy malował się wyraz zdecydowania. – Wybaczy pan... i pani – dodał, jakby dopiero mnie zauważył. – Muszę wydać polecenie zniszczenia statku.

Kapitan znów jęknął. Chwycił urzędnika za rękaw, ale mężczyzna wyrwał się i wybiegł z budynku.

Atmosfera po jego odejściu była napięta. Pan hrabia i jego kapitan patrzyli na mnie, Jamie na nich, a zmarły gapił się niewidzącymi oczami w sklepienie dwanaście metrów powyżej.

Hrabia zrobił krok w moim kierunku. Oczy mu błyszczały.

– Ma pani pojęcie, co zrobiła? – warknął. – Ostrzegam, madame, zapłaci mi pani za wszystko.

Jamie nagle ruszył na hrabiego, ale Jared był szybszy. Chwycił kuzyna za rękaw, popchnął mnie delikatnie w stronę drzwi i wymruczał coś niezrozumiałego do kapitana, który w odpowiedzi tylko tępo kiwał głową.

– Biedaczysko – powiedział na zewnątrz Jared. – Tfu! – Było zimno od wiatru, który kołysał statkami na kotwicy, ale Jared wyciągnął z kieszeni płaszczą dużą chusteczką do nosa z czerwonego płótna i otarł z potu twarz oraz szyję. – Chodźcie, poszukajmy jakiejś tawerny. Muszę się napić.

Ukryliśmy się w górnym pomieszczeniu jednej z portowych tawern. Na stole szybko pojawił się dzbanek wina. Jared opadł na krzesło, wachlując się, i głośno odetchnął.

– Boże, co za szczęście! – Nalał sobie sporo wina do szklanki, wypił i nalał znowu.

Widząc, jak się na niego gapię, uśmiechnął się szeroko i pchnął dzbanek w moim kierunku.

– Oto wino, dziewczyno – wyjaśnił. – Przełknij szybko, żeby nie poczuć smaku, i gotowe. – Postępując zgodnie z własną radą, wypił kolejną porcję cienkusa i znów sięgnął po dzbanek.

– Szczęście? – zapytałam ostrożnie. Myślałam, że raczej pech, ale jowialna radość niskiego kupca wydawała się zbyt wielka, żeby być efektem czerwonego wina, które smakiem przypominało kwas z akumulatora. Odstawiłam kubek. Miałam nadzieję, że nie uszkodziłam sobie emalii na trzonowcach.

– Pech dla St. Germaina, szczęście dla mnie – odparł krótko. Wstał i wyrzwał przez okno. – Dobrze – powiedział z zadowoleniem. – Wyładują wino i zanoszą do magazynu przed zachodem słońca. Bezpiecznie.

Jamie oparł się na krzesło. Patrzył na kuzyna z uniesioną brwią i uśmiechem na ustach.

– Czy to znaczy, że statek pana hrabiego St. Germaina również przewoził alkohol?

Uśmiech od ucha do ucha odsłonił dwa złote zęby w dolnej szczęce, przez co Jared jeszcze bardziej upodobił się do pirata.

– Najlepszy rocznik porto – oznajmił radośnie. – Zapłacił fortunę. Połowa zbiorów z winnic w Noval. I w tym roku więcej nie będzie.

– Przypuszczam, że drugą połowę porto z Noval właśnie przynoszą do twojego magazynu? – Zaczynałam rozumieć przyczynę radosnego nastroju Jareda.

– Tak, dziewczyno, to jasne jak słońce! – Wyglądał tak, jakby sam siebie chciał uściskać i ucałować. – Wiecie, jak drogo sprzedam je w Paryżu? – Pochylił się w przód i z hukiem postawił szklankę na stole. – Ograniczona dostawa, a ja mam monopol! Boże, zapewnione dochody na cały rok!

Wyrzłałam przez okno. „Arianna” stała na kotwicy. Wyraźnie się podnosiła, gdy ogromne sieci z ładunkiem, wiszące na bomie na tylnym pokładzie, ostrożnie przeładowywano, butelka po butelce, na ręczne wózki, które miały zawieźć towar do magazynu.

– Podzielam twoją radość – odezwałam się trochę nieśmiało. – Ale czy powiedziałaś, że twoje porto pochodzi

z tego samego miejsca, co ładunek St. Germaina?

– Tak. – Jared stanął obok mnie. Zmrużonymi oczami przyglądał się rozładunkowi. – W Noval robią najlepsze porto w całej Hiszpanii i Portugalii; chciałem kupić cały zapas, ale nie miałem pieniędzy. A o co chodzi?

– Jeśli statki przybywają z tego samego portu, istnieje możliwość, że któryś z twoich marynarzy też może mieć ospę – powiedziałam.

Zaróżowione od wina policzki Jareda poblady. Łyknął wina, żeby dojść do siebie.

– Boże, co za myśl! – wykrzyknął i odstawił szklankę. – Ale uważam, że wszystko jest w porządku – rzekł z mocą, zapewne, żeby samemu utwierdzić się w tym przekonaniu. – Porto jest w połowie rozładowane. Lepiej porozmawiam z kapitanem – dodał, marszcząc brwi. – Każę mu zapłacić ludziom po rozładunku. A jeśli ktoś wygląda na chorego, niech natychmiast bierze pieniądze i zmiata. – Odwrócił się gwałtownie i wyszedł. W progu zatrzymał się jednak i zawołał przez ramię:

– Zamówcie kolację! – Na schodach rozległ się tupot, jakby pędziło stado słoni.

Jamie gapił się w nie wypite wino.

– Nie powinien tego robić! – wykrzyknęłam. – Jeśli ma ospę na pokładzie, poprzez wyrzucanie ludzi może ją rozprzestrzenić w całym mieście.

Jamie powoli pokiwał głową.

– Miejmy więc nadzieję, że nikt nie jest zarażony na jego statku – odparł spokojnie.

Odwróciłam się niepewnie w kierunku drzwi.

– Ale... Czy nie powinniśmy jakoś zareagować?

Mogłabym przynajmniej zbadać marynarzy Jareda. I powiedzieć, co zrobić z ciałami z tamtego statku.

– Angielko... – Głęboki głos wciąż był łagodny, ale pobrzmiewała w nim nuta ostrzeżenia.

– Co?

Jamie pochylił się i patrzył na mnie znad kubka. Przyglądał się tak przez chwilę, zanim wreszcie się odezwał:

– Myślisz, że zadanie, które sobie postawiliśmy, jest ważne?

Moja dłoń zsunęła się z klamki.

– Powstrzymanie Stuartów przed rozpoczęciem powstania w Szkocji? Oczywiście, że tak sądzę. Dlaczego pytasz?

Skinął głową cierpliwie jak nauczyciel opornego ucznia.

– No dobrze. Jeśli tak, to chodź tu, usiądź i pij ze mną wino do powrotu Jareda.

A jeśli nie... – przerwał i mocno wypuścił powietrze, aż poruszyła się rudawa fala włosów na jego czole. – Jeśli nie, to wracaj do portu pełnego żeglarzy i kupców, którzy uważają, że kobieta w pobliżu statku to największy możliwy pech. Zapewne już plotkują, że rzuciłaś klątwę na statek St. Germaina. Idź i powiedz im, co mają robić. Przy odrobinie szczęścia nie zostaniesz zgwałcona, bo się będą bali. Poderżną ci więc gardło i porzucą twoje zwłoki na nabrzeżu, a moje zaraz potem. Jeśli sam St. Germain nie udusi cię pierwszy. Nie widziałaś jego miny?

Wróciłam do stołu i usiadłam nieco gwałtownie. Po

prostu ugięły się pode mną kolana.

– Widziałam. Ale czy mógłby... Czy by...

Jamie uniósł brwi i pchnął szklanę wina przez stół.

– Tak, zrobiłby to, gdyby uznał, że zdoła zatrzeć ślady. Na miłość boską, Angielko, zaprzepaściłaś prawie roczny dochód St. Germaina! A on nie wygląda na członka, który odniósłby się do takiej straty filozoficznie. Gdybyś nie powiedziała nadzorcy portu, że to ospa, głośno i przy świadkach, kilka dyskretnych łapówek załatwiłoby sprawę. Jak myślisz, dlaczego Jared przyprowadził nas tu tak szybko? Z powodu dobrego wina?

Miałam odrętwiałe usta, jakbym naprawdę napiła się wotriolu.

– Jesteśmy w niebezpieczeństwie?

Oparł się o blat i przytaknął.

– Teraz rozumiesz – powiedział łagodnie. – Jared nie chciał cię niepokoić. Pewnie oprócz tego, że zajmie się załogą, załatwi dla nas jakąś straż. On prawdopodobnie będzie bezpieczny: wszyscy go znają, a w pobliżu są jego marynarze i ładowacze.

Potańczałam swoje przedramiona, które pokryły się gęsią skórą. Wesóły ogień buzujący w palenisku wypełniał pomieszczenie ciepłem, ale mnie było zimno.

– Skąd tyle wiesz, co mógłby zrobić St. Germain? – Nie włączyłam w słowa Jamiego.

Zbyt dobrze pamiętałam podłe spojrzenie hrabiego. Ciekawiło mnie jednak, skąd znał tego człowieka.

Jamie wypił łyżeczek wina, skrzywił się i odstawił szklanę.

– Po pierwsze, słynie z bezwzględności. Ma też

wiele innych wad. Słyszałem o nim trochę, kiedy mieszkałem w Paryżu, chociaż wtedy miałem szczęście nie wejść mu w drogę. Po drugie, wczoraj ostrzegł mnie przed nim Jared; w Paryżu St. Germain jest jego głównym rywalem w interesach.

Oparłam łokcie o zniszczony stół i położyłam brodę na splecionych dłoniach.

– Chyba bardzo narozrabiałam – mruknęłam ponuro. – Zepsułam ci początek świetnego interesu.

Uśmiechnął się, wstał i podszedł do mnie z tyłu. Pochylił się, żeby mnie objąć. Wciąż byłam zdenerwowana jego nagłymi rewelacjami, ale było mi o wiele lepiej, gdy czułam za sobą jego siłę i masę. Pocałował mnie lekko w czubek głowy.

– Nie martw się, Angielko – powiedział. – Potrafię o siebie zadbać. O ciebie też, jeśli mi na to pozwolisz. – W jego głosie słyszałam uśmiech, ale i pytanie. Skinęłam więc głową, po czym oparłam ją o jego pierś.

– Pozwolę – odparłam. – Obywatele Hawru będą sobie musieli sami poradzić z ospą.

Minęła prawie godzina, zanim wrócił Jared. Uszy miał czerwone z zimna. Poza tym jednak – jak oceniłam na pierwszy rzut oka – był cały i zdrowy. Ucieszyłam się na jego widok.

– Wszystko w porządku – oświadczył rozpromieniony. – Na pokładzie tylko brud, zwykłe grypy i przeziębienia. Żadnej ospy. – Rozejrzał się po pomieszczeniu i roztarł sobie dłonie. – Gdzie kolacja?

Zaróżowiona od wiatru twarz promieniowała radością. Najwyraźniej użeranie się z rywalami o

morderczych zapędach było codziennym zajęciem kupca.

Jared zamówił posiłek, posłał do swojego magazynu po doskonale wino, a po kolacji zasiadł z Jamiem do serdecznej rozmowy o tym, jak radzić sobie z francuskimi kupcami.

– Bandydzi – powiedział. – Każdy chętnie wbiłby ci nóż w plecy. Brudni złodzieje. Nie ufaj im ani trochę. Połowa zadatku, połowa przy dostawie. I nie pozwól nigdy szlachcicowi brać na kredyt.

Chociaż Jared zapewniał, że na dole zostawił dwóch ludzi na straży, wciąż trochę się denerwowałam. Po kolacji usadowiłam się obok okna, skąd widziałam nabrzeże. Co drugi człowiek w doku wyglądał mi na mordercę.

Nad portem gromadziły się chmury; znów zanosilo się na śnieg. Opuszczone żagle powiewały dziko na wzmagającym się wietrze. Klekot masztów prawie zagłuszał krzyki ładowaczy. Port załśnił na chwilę ponurym, zielonym światłem, gdy chmury ostatecznie zepchnęły do wody zachodzące słońce.

W miarę zapadania ciemności, krzątania zamierała. Ładowacze z wózkami znikali na ulicach miasta. Żeglarze przepadali w oświetlonych drzwiach tawera. Jednak port nie był opuszczony; w pobliżu przekłetej „Patagonii” wciąż gromadził się tłumek. Przy trapie ustawił się kordon ludzi w mundurach; bez wątplenia po to, żeby nie dopuścić do wchodzenia na pokład ani do wynoszenia ładunku. Jared wyjaśnił, że zdrowi członkowie załogi będą mogli wyjść na brzeg, ale nie wolno im wynosić ze statku nic poza ubraniami, które mają na sobie.

– Tu i tak jest lepiej niż w Holandii – powiedział,

drapiąc się po twardych, czarnych włoskach na brodzie. – Gdy przyplywa statek z portu, w którym panuje jakaś choroba, przekłęci Holendrzy każą marynarzom płynąć na brzeg nago.

– Skąd biorą ubrania, kiedy już dopłyną? – zapytałam zaciekawiona.

– Nie wiem – odparł odruchowo Jared. – Ale skoro po kilku chwilach od wyjścia na ląd są już w burdelu, to chyba ich nie potrzebują... Przepraszam, moja droga – dodał pośpiesznie. Nagle sobie przypomniał, że rozmawia z damą.

Chwilowe zakłopotanie pokrył wylewną serdecznością. Podeszedł do okna, stanął obok mnie i wyjrzał.

– Ach – westchnął. – Przygotowują się do podpalenia statku. Lepiej niech go odholują spory kawał od brzegu. Ze względu na ładunek.

Do potępionej „Patagonii” przymocowano liny holownicze. Kilka łodzi czekało już na sygnał. Dał go komendant portu, którego złoty łańcuch leciutko lśnił w gasnącym świetle.

Mężczyzna krzyknął i powoli zamachał obiema rękami nad głową, co przywodziło na myśl semafor.

Okrzyk urzędnika powtórzyli kapitanowie łodzi i galer. Liny holownicze podniosły się i naprężyły. Woda spływała po ciężkich zwojach juty z pluskiem, doskonale słyszalnym w nagłej ciszy. Tylko krzyki z łodzi holowniczych towarzyszyły odgłosom wydawanym przez wielką masę przekłętego statku. „Patagonia” zaskrzypiała, zadrżała i zwróciła się pod wiatr. Z jękiem żagli wyruszała

w ostatnią, krótką podróż.

Zostawili statek pośrodku portu, w bezpiecznej odległości od innych żaglowców.

Pokład był nasączony oliwą. Zwinięto liny holownicze. Galery odpłynęły. Niski, korpulentny komendant portu podniósł się z ławki na łódce. Schylił się przy jednej z siedzących postaci, po czym wstał. W dłoni trzymał jasno płonąca pochodnię.

Siedzący za komendantem wioślarz odchylił się, gdy mężczyzna rzucił pochodnię.

Ciężka pałka owinięta w nasączone oliwą szmaty obracała się w powietrzu. Ogień zmienił się w niebieskie lśnienie. W końcu pochodnia wyładowała gdzieś za relingiem.

Komendant portu nie czekał na efekty swojego czynu; od razu usiadł, gwałtownie machnął do wioślarza, który natychmiast naparł na wiosła. Łódeczka pomknęła po ciemnej wodzie.

Przez długie chwile nic się nie działo. Tłum w doku stał nieruchomo i cicho pomrukiwał. W ciemnej szybie widziałam blade odbicie twarzy Jamiego nad moim własnym. Szyba była zimna, więc szybko zamgliła się od naszego oddechu; przetarłam ją skrajem płaszcza.

– Już – powiedział miękko Jamie. Nagle za relingiem pojawił się płomień, niewielka, niebieska linia. Potem błysnęło i wyskoczyły inne płomienie. Pomarańczowo-czerwone języki zatańczyły na nasączonym oliwą nadburciu. Jeden związany żagiel zaiskrzył i wybuchnął ogniem.

W ciągu niecałej minuty ogień przeniósł się na

żagle średniego masztu. Przepaliły się liny wiążące główny żagiel. Wielka płachta rozwinęła się. Przypominała ścianę płomieni.

Ogień rozprzestrzeniał się zbyt szybko, żeby można było obserwować jego postępowanie; wszystko się rozświetliło.

– Teraz – zawołał nagle Jared. – Chodźcie na dół. Zaraz wszystko wybuchnie. To najlepszy moment na ucieczkę. Nikt nas nie zauważy.

Miał rację; gdy ostrożnie wykradliśmy się z tawerny, za Jaredem zmateriałizowało się dwóch mężczyzn – jego własnych żeglarzy, uzbrojonych w pistolety i marszpikie. Nikt inny nie zauważył naszej obecności. Wszyscy byli zwróceny w kierunku nabrzeża. Patrzyli na czarny szkielec w drżących płomieniach. Usłyszałam serię wybuchów. Następowały po sobie tak szybko, że przywodziły na myśl strzały z karabinu maszynowego. Potem powietrzem wstrząsnęła ogromna eksplozja. Ze środka statku wytrysnęła fontanna iskier i płonących belek.

– Chodźmy. – Dłoń Jamiego silnie trzymała moje ramię. Nie protestowałam.

Pilnowani przez żeglarzy uciekaliśmy z portu, jakbyśmy to my podłożyli ogień.

7

KRÓLEWSKA AUDIENCJA

Paryski dom Jareda stał przy rue Tremoulins, w bogatej dzielnicy, gdzie tłoczyły się trzy-, cztero – i pięciopiętrowe budynki o kamiennych fasadach. Tylko gdzieś tam stał samotnie jakiś dom otoczony parkiem. W większości jednak wyćwiczony włamywacz mógłby bez

trudu przeskakiwać z dachu na dach.

– Mhm. – Tak zareagował Murtagh na widok posiadłości Jareda. – Sam znajdę sobie mieszkanie.

– Jeśli denerwuje cię przyzwoity dach nad głową, możesz spać w oborze – zaproponował Jamie. Uśmiechnął się do swojego niskiego, ciągle skwaszonego ojca chrzestnego. – Każemy lokajowi przynosić ci owsiane placki na srebrnej tacy.

Dom urządzono wygodnie i elegancko. Wkrótce przekonałam się jednak, że był spartański w porównaniu z większością siedzib szlachty i bogatego mieszczaństwa.

Przypuszczałam, że przynajmniej częściowo jest to rezultat kawalerskich upodobań kupca. Jared nigdy się nie ożenił. Nie wyglądał też jak ktoś, komu brakuje żony.

– Cóż. Ma oczywiście kochankę – wyjaśnił Jamie, gdy spekulowałam na temat prywatnego życia jego kuzyna.

– Och, oczywiście – mruknęłam.

– Ale mężatkę. Jared powiedział kiedyś, że człowiek interesów nigdy nie powinien się wiązać z niezamężnymi kobietami. Pochłaniają zbyt wiele czasu i pieniędzy. A jeśli się z nimi ożenisz, przepuszczą cały twój majątek i zrobią z ciebie nędzarza.

– Ma wspaniałą opinię o żonach – skomentowałam.

– Co myśli o tym, że się ożeniłeś, mimo jego rady?

Jamie się zaśmiał.

– Nie mam pieniędzy, więc gorzej być nie może. Uważa, że jesteś bardzo dekoracyjna; mówi jednak, że muszę ci kupić nową sukienkę.

Rozciągnęłam spódnicę z jabłkowo-zielonego aksamitu. Zdecydowanie nie nadawała się już do noszenia.

– Tak sądzę – zgodziłam się. – Bo już niedługo będę chodzić owinięta w prześcieradło; ta sukienka już jest za ciasna w talii.

– I nie tylko. – Obejrzał mnie od stóp do głów. – Odzyskałaś apetyt, prawda, Angielko?

– Głupcze – warknęłam lodowato. – Doskonale wiesz, że Annabelle MacRannoch jest wielkości i kształtu trzonka od łopaty, a ja nie.

– To prawda – przyznał uprzejmie. – Dzięki Bogu. – Poklepał mnie przyjaźnie po pośladku. – Muszę się spotkać z Jaredem w magazynie, żeby przejrzeć książki. Potem przedstawi mnie kilku klientom. Dasz sobie radę sama?

– Tak, oczywiście. Obejrzę dom i zaznajomię się ze służbą. – Poznałam służbę *en masse*, gdy przyjechaliśmy poprzedniego popołudnia. Kolację zjedliśmy w pokoju, więc widziałam tylko lokaja, który przyniósł jedzenie. Potem wcześniej rano przyszła pokojówka, żeby odsłonić zasłony, rozpałiła w kominku i wynieść nocnik. Trochę się bałam roli pani domu zarządzającej „personalem”. Otuchy dodawała mi myśl, że nie może się to bardzo różnić od kierowania sanitariuszami i młodszymi pielęgniarkami. A to już robiłam jako przełożona pielęgniarek we francuskim szpitalu polowym w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku.

Po wyjściu Jamiego niespiesznie zajęłam się toaletą. Maksymalnie wykorzystywałam grzebień i wodę, ponieważ były to jedyne dostępne środki pielęgnacyjne. Jeśli Jared mówił poważnie, że mam urządzić przyjęcia, kupno nowej sukienki stanowiło zaledwie początek.

W bocznej przegródce kuferka z lekami miałam

cieniutkie gałązki wierzby, którymi czyściłam zęby. Wzięłam jedną witekę i zabrałam się do roboty. Ciągle myślałam o tym, jaki to szczęśliwy los nas tu sprowadził.

Wygnani ze Szkocji musielibyśmy się gdzieś osiedlić: albo w Europie, albo w Ameryce. Wiedziałam, jak Jamie reaguje na statki. Nie dziwiłam się więc ani trochę, że wołał zacząć poszukiwania od Francji.

Fraserowie byli mocno związani z tym krajem. Wielu z nich, jak opat Aleksander oraz Jared Fraser, mieszkało tu na stałe. Rzadko, jeśli w ogóle, wracali do rodzimej Szkocji.

Było tu również sporo jakobitów, jak powiedział mi Jamie. Podążyli za królem na wygnanie, a potem radzili sobie, jak mogli najlepiej, we Francji lub we Włoszech i czekali na restaurację jego monarchii.

– Zawsze się mówi o powrocie króla – oznajmił Jamie. – Głównie jednak w domach, nie w tawernach. Dlatego nic z tego nie wychodzi. Kiedy sprawa dociera do tawern, wiadomo, że jest poważna.

– Czy wszyscy Szkoci rodzą się ze znajomością polityki, czy tylko ty? – spytałam, patrząc, jak otrzepuje kurz z płaszcza.

Zaśmiał się, ale zaraz posmutniał. Powiesił płaszcz w wielkiej szafie. Znoszone okrycie wyglądało żałośnie, samo w ogromnej, pachnącej cedrem przestrzeni.

– Wolałbym się na tym nie znać, Angielko. Urodziłem się jednak pomiędzy klanem MacKenziech i Fraserów, nie miałem więc wyboru. Spędziłem rok we francuskiej socjocie i dwa lata w armii. Nauczyłem się, jak słuchać tego, co mówią ludzie, żeby wiedzieć, co mają na

myśli. W dzisiejszych czasach wielu jest takich, jak ja. Nie znajdziesz na wyżynach lorda ani dzierżawcy, który odsuwa się na bok od tego, co ma się stać.

– Co ma się stać – powtórzyłam. Co miało się stać? Jeśli nasze wysiłki spełzną na niczym, wybuchnie zbrojna insurekcja. Zostanie podjęta próba restauracji monarchii Stuartów. Wojska poprowadzi syn wygnanego króla, księcia Karola Edwarda (Casimira Marię Sylvestra) Stuarta.

– Książę Karol – powiedziałam cicho do siebie, patrząc na swoje odbicie w wielkim lustrze. Był tu teraz, w tym samym mieście, może całkiem blisko. Jaki jest? Myślałam o nim tylko w kategoriach jego historycznego portretu, który przedstawiał przystojnego, nieco kobiecego szesnastolatka, z miękkimi, różowymi ustami i włosami upudrowanymi zgodnie z panującą modą. Były też wymaginowane obrazy. Ukazywały bardziej barczystą wersję tego samego człowieka. Dobywał szerokiego miecza i schodził z łodzi na brzeg Szkocji.

Szkocji, którą zrujnuje i zostawi odłogiem, w wyniku swoich starań o odzyskanie jej dla ojca i siebie samego. Skazany na niepowodzenie zdobędzie dość poparcia, żeby podzielić kraj, i poprowadzi zwolenników przez wojnę domową do krwawego końca pod Culloden. Potem znów ucieknie do Francji, a jego wrogowie zemszczą się na tych, których pozostawił.

Przybyliśmy tu, żeby nie dopuścić do tej klęski. Wydawało się to niestłuchane, gdy myślałam o tym w spokoju i luksusie domu Jareda. Jak zapobiec rebelii? Cóż, jeśli powstania zaczynają się w tawernach, to może da się je powstrzymać przy kolacji?

Wzruszyłam ramionami do swojego odbicia w lustrze. Odgarnęłam niesforny kosmyk z oka i poszłam przekabacić kucharkę.

Służba z początku patrzyła na mnie podejrzliwie i z lekkim przerażeniem. Wkrótce jednak uświadomiła sobie, że nie mam zamiaru wtrącać się w ich pracę, i nieco się odprężyła. Zaczęto odnosić się do mnie gościnnie, choć nie bez ostrożności. Tuż po przyjeździe byłam tak zmęczona, że odniosłam tylko niejasne wrażenie, iż powitał mnie co najmniej tuzin służących, ustawionych w holu. W rzeczywistości było ich szesnaścioro, licząc stajennego, jego pomocnika i pomywacza, których nie zauważyłam w ogólnym zamieszaniu. Sukcesy Jareda w interesach imponowały mi coraz bardziej, dopóki nie zdałam sobie sprawy, jak niewiele płaci służbie. Nowa para butów i dwa funty rocznie dla lokaja, odrobina mniej dla pokojówek i pomocy kuchennych, trochę więcej dla tak ważnych osób, jak madame Vionnet, kucharka, oraz rzeźnik, Magnus.

Gdy ja badałam mechanizmy działania gospodarstwa i zbierałam informacje z plotek pokojówek, Jamie codziennie wychodził z Jaredem. Odwiedzał klientów, spotykał się z ludźmi. Przygotowywał się do „pomagania Jego Wysokości” poprzez zawieranie znajomości, które mogłyby się przydać wygnanemu księciu. Wśród gości zapraszanych na kolację mogliśmy znaleźć sprzymierzeńców lub wrogów.

– St. Germain? – powtórzyłam ze zdziwieniem, gdy usłyszałam znajome nazwisko w paplaninie Marguerite polerującej parkiet. – Hrabia St. Germain?

– Oui, madame. – Margerite była niską, grubiotką

dziewczyną. Miała dziwnie spłaszczoną twarz i wylupiaste oczy, które nadawały jej wygląd karpia. Poza tym odnosiła się do mnie przyjacielsko i lubiła się przypodobać. Teraz ściągnęła usta w kółeczko, jakby szykowała się do powiedzenia czegoś naprawdę skandalizującego. Uśmiechnęłam się zachęcająco.

– Hrabia, madame, ma bardzo złą reputację – oznajmiła złowieszczo.

Podobnie wyrażała się niemal o każdym, kto przychodził na kolację, więc uniosłam brwi i czekałam na dalsze szczegóły.

– Zaprzedał duszę diabłu. – Ściszyła głos i rozejrzała się wokół, jakby groźny dżentelmen mógł się czaić za kominkiem. – Celebryje czarne msze, podczas których źli ludzie dzielą się krwią i ciałem niewinnych dzieci!

Niezły okaz wybrałaś sobie na wroga, Claire, pomyślałam.

– Och, wszyscy o tym wiedzą, madame – zapewniła Marguerite. – Ale to nie ma znaczenia; kobiety za nim szaleją. Rzucają się na niego, gdziekolwiek się pojawi. W końcu jest bogaty. – Najwyraźniej ta cecha równoważyła złe uczynki hrabiego. Jeśli w ogóle ich nie zacierają.

– Bardzo interesujące – skomentowałam. – Myślałam jednak, że pan hrabia jest rywalem monsieur Jareda; przecież St. Germain również importuje wina. Dlaczego więc monsieur Jared go tu zaprasza?

Marguerite podniosła głowę znad posadzki i zaśmiała się.

– Ależ, madame! Monsieur Jared serwuje do

posiłku najlepsze Beaune. Mówi panu hrabiemu, że właśnie nabył dziesięć skrzynek, a na odchodne daje mu butelkę do domu.

– Rozumiem – powiedziała z szerokim uśmiechem. – Czy monsieur Jared jest również zapraszany na kolację do pana hrabiego?

Kiwnęła głową. Biała chusteczka podskoczyła nad butelką z oliwką i szmatą.

– Oczywiście, madame. Ale nie tak często!

Hrabia St. Germain na szczęście nie był zaproszony na dzisiejszy wieczór. Jedliśmy sami, żeby Jared mógł przekazać Jamiemu ostatnie instrukcje przed wyjazdem. Rzecz jasna najważniejsze było *lever* króla w Wersalu.

Zaproszenie do asystowania przy *lever* monarchy było oznaką znacznej łaski, co wyjaśnił nam przy kolacji Jared.

– Nie dla ciebie, chłopcze – powiedział miło i machnął widelcem w stronę Jamiego. – Dla mnie. Król chce mieć pewność, że wrócę z Niemiec. Albo że wróci przynajmniej Duverney, minister finansów. Ostatnia fala podatków mocno ugodziła kupców. Wielu cudzoziemców wyjechało. A to wszystko, jak możesz sobie wyobrazić, bardzo źle wpłynęło na królewski skarbiec. – Na myśl o podatkach skrzywił się do małego węgorza na widelcu.

– Zamierzam wyjechać przed przyszłym poniedziałkiem. Czekam tylko na wiadomość, że „Wilhelmina” dotarła bezpiecznie do Calais; potem wyruszam. – Jared odgryzł kolejny kawałek węgorza i skinął na Jamiego. – Zostawiam interes w dobrych rękach, chłopcze – mówił dalej z pełnymi ustami. – O to się nie

martwię. Przed moim wyjazdem porozmawiamy jednak o innych rzeczach. Umówiłem się z księciem Marischałem. Za dwa dni pójdziemy z nim na Montmartre, żebyś złożył wyrazy szacunku Jego Wysokości Księciu Karolowi Edwardowi.

Poczułam w żołądku nagle ukłucie podniecenia. Wymieniłam spojrzenia z Jamiem.

Kiwnął głową Jaredowi, jakby usłyszał całkiem zwyczajne wiadomości, ale gdy spojrział na mnie, oczy mu błyszczały. To był początek.

– Jego Wysokość wie, że w Paryżu bardzo samotne życie – ciągnął Jared, polując na ostatni kawałek węgorka, śliskiego od masła. – Nie powinien się pokazywać w towarzystwie, dopóki król Francji nie przyjmie go oficjalnie. Zatem Jego Wysokość rzadko opuszcza dom i widuje się z niewieloma osobami. Tylko zwolennicy ojca czasami przychodzą złożyć księciu wyrazy szacunku.

– Słyszałam co innego – wtrąciłam.

– Tak? – Dwie pary zdziwionych oczu zwróciły się ku mnie, a Jared odłożył widelec z ostatnim kawałkiem węgorka.

Jamie uniósł brew.

– Co słyszałaś, Angielko? I od kogo?

– Od służby – odparłam krótko i skoncentrowałam się na moich przysmakach.

Wcześniej zauważyłam jednak, że Jared zrobił groźną minę. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że może nie jest to właściwe, żeby pani domu plotkowała z pokojówkami. Cóż, do diabła, pomyślałam buntowniczo. Niewiele więcej mam tu do roboty.

– Pokojówka twierdzi, że Jego Wysokość Księżę Karol składa wizyty księżniczce Luizie de La Tour de Rohan – oznajmiłam. Wzięłam z widelca węgorka i zaczęłam powoli przeżuwać. Malutkie węgorki były pyszne, ale gdy połykało się je w całości, odnosiło się nieprzyjemne wrażenie, że jeszcze żyją. Przełknęłam ostrożnie. Na razie wszystko w porządku.

– Pod nieobecność męża księżniczki – dodałam delikatnie.

Jamie wyglądał na ubawionego, Jared na przerażonego.

– Księżniczka de Rohan? – powtórzył Jared. – Maria Luiza Henrietta Janina de La Tour d’Auvergne? Rodzina jej męża jest bardzo blisko króla. – Potarł usta palcami, rozmazując masło wokół warg. – To może być bardzo niebezpieczne – wymamrotał. – Zastanawiam się, czy ten mały głupiec... ale nie. Z pewnością ma więcej rozsądku. Jego postępowanie musi wynikać jedynie z niedoświadczenia; niewiele bywał w towarzystwie, a w Rzymie jest zupełnie inaczej. Ale... – Przestał mruzczyć i zdecydowanie zwrócił się do Jamiego.

– To będzie twoje pierwsze zadanie, chłopcze, w służbie Jego Wysokości. Jesteś mniej więcej w wieku księcia. Masz jednak doświadczenie i orientację z czasów pobytu w Paryżu. Poza tym sam cię szkoliłem. – Uśmiechnął się do Jamiego. – Możesz się zaprzyjaźnić z Jego Wysokością; przetrzeć mu właściwe ścieżki, skontaktować go z ludźmi, którzy będą przydatni; większość z nich już znasz. I wyjaśnisz Jego Wysokości, najtaktowniej, jak potrafisz, że źle skierowana galanteria

może stanowić poważne zagrożenie dla celów jego ojca.

Jamie machinalnie kiwnął głową, zamyślony nad czym innym.

– Skąd nasza pokojówka wie o wizytach Jego Wysokości, Angielko? – zapytał. – Dziewczyna wychodzi z domu tylko raz w tygodniu na mszę.

Potrząsnęłam głową i przelknęłam węgorza, żeby odpowiedzieć.

– Dziewczyna kuchenna słyszała to od pomywacza, on z kolei słyszał od chłopca stajennego, a ten zna wiadomość od stajennego sąsiadów. Nie wiem, jak wielu ludzi jest pomiędzy, ale dom Rohanów znajduje się kawałek dalej na naszej ulicy. Sądzę, że księżniczka również wie o nas wszystko – dodałam radośnie. – Jeśli rozmawia z pomocnicą kucharki.

– Damy nie plotkują z pomocnicami kucharki – powiedział zimno Jared. Spojrzał na Jamiego zmrużonymi oczyma. Milcząco nakazał mu doprowadzić żonę do porządku.

Widziałam, że kącki ust Jamiego zadrżały, ale on spokojnie sęczył Montrachet.

Potem zmienił temat rozmowy. Pytał o najnowsze przedsięwzięcie Jareda – transport rumu z Jamajki.

Gdy Jared zadzwonił, żeby sprzątnięto ze stołu i przyniesiono brandy, przeprosiłam panów i wyszłam. Przy brandy Jared zwyczajowo delektował się krótkimi, czarnymi cygarami, obciętymi z obu stron, a ja miałam wyraźne przeczucie, że węgorze, nawet starannie przeżute, nie chcą być wędzone.

Położyłam się na łóżku i próbowałam, z niewielkim

skutkiem, zapomnieć o zjedzonym posiłku. Zamknęłam oczy. Starłam się przywołać obraz Jamajki i jej przyjemnych, białych plaż pod tropikalnym słońcem. Ale myśl o Jamajce wywołała myśl o „Wilhelminie”, myśl o statku wywołała myśl o morzu, co prowadziło prosto do wielkich węgorzy, wijących się w ciężkich, zielonych falach. Z ulgą powitałam wejście Jamiego.

– Tfu! – Oparł się o drzwi i zaczął wachlować się żabotem. – Czuję się jak wędzona kiełbasa. Lubię Jareda, ale byłoby mi bardzo miło, gdyby zabrał swoje przekłete cygara do Niemiec.

– Nie podchodź do mnie, jeśli pachniesz tytoniem – poprosiłam. – Węgorze nie lubią dymu.

– Nie mam im tego za złe. – Zdjął płaszcz i odpiął koszulę. – Myślę, że to jego plan – szepnął i machnął głową w kierunku drzwi. – Tak jak z pszczołami.

– Z pszczołami?

– Jak przenieść ul – wyjaśnił. Otworzył okno, zdjął koszulę i powiesił ją na klamce ramy. – Bierzesz fajkę z bardzo mocnym tytoniem, wdmuchujesz dym do ula. Pszczoły padają oszołomione. Wtedy możesz je przenieść, gdzie tylko zechcesz. Chyba to właśnie robi Jared z klientami: odurza ich dymem tak, żeby byli nieprzytomni. Zanim odzyskają rozum, podpisują zamówienia na trzy razy więcej wina, niż zamierzali.

Zachichotałam, a on uśmiechnął się szeroko. Przyłożył palec do ust, bo z korytarza dobiegł odgłos lekkich kroków Jareda, który szedł do swojego pokoju.

Gdy niebezpieczeństwo minęło, Jamie wyciągnął się obok mnie, ubrany tylko w kilt i pończochy.

– Nie przeszkadza ci mój zapach? – zapytał. – Jeśli tak, mogę spać w garderobie.

Albo wystawić głowę przez okno, żeby się wywietrzyła.

Powąchałam jego włosy. W rudawych falach tkwił jeszcze aromat tytoniu. Blask płomienia świecy przydał rudemu kolorowi złotego połysku. Z lubością pogłaskałam miękkie włosy Jamiego.

– Nie, może być. Nie martwisz się, że Jared już wkrótce wyjeżdża?

Pocałował mnie w czoło, uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nie. Poznałem wszystkich głównych klientów i kapitanów. Znam pracowników magazynów i urzędników, mam w pamięci listę cen i inwentarz. Resztę muszę opanować sam. Jared nie powie mi niczego więcej.

– A księżę Karol?

Przymknął oczy i mruknął z rezygnacją.

– Cóż, w tej sprawie muszę ufać Bogu, nie Jaredowi. Powiedziałbym, że będę czuł się swobodniej bez nadzoru Jareda.

Położyłam się przy Jamiem. Odwrócił się do mnie i mocno objął w talii.

– Co zrobimy? – zapytałam. – Masz jakiś pomysł?

Czułam na twarzy ciepły oddech pachnący brandy. Przekrzywiłam głowę, żeby pocałować miękkie, szerokie usta.

– Och, mam pomysły – powiedział po chwili i odsunął się z westchnieniem. – Jeden Bóg wie, ile są warte, ale mam.

– Uchyliś rąbka tajemnicy?

– Mhm. – Usadowił się wygodniej i przytulił mnie ręką. Położyłam mu głowę na ramieniu. – Cóż – zaczął. – Moim zdaniem jest to kwestia pieniędzy, Angielko.

– Pieniądzy? Myślałam, że chodzi raczej o sprawę polityczną. Jeśli dobrze pamiętam, Francuzi nie chcą powrotu Jakuba, ponieważ narobi to kłopotów Anglikom. Ludwik chciał... będzie chciał – poprawiłam się – żeby Karol Stuart odciągnął króla Jerzego od tego, co Ludwik planuje zrobić w Brukseli.

– Wydaje mi się, że tak – przyznał – ale restauracja monarchii kosztuje. A sam Ludwik nie ma tyle, żeby toczyć wojny w Brukseli i jednocześnie finansować inwazję Anglii. Słyszałaś, co powiedział Jared o królewskim skarbcu i podatkach?

– Tak, ale...

– Nie, to nie Ludwik do tego doprowadzi – poinstruował mnie. – Choć oczywiście ma na ten temat coś do powiedzenia. Są inne źródła pieniędzy, do których będą próbowali dotrzeć Jakub i Karol: francuskie rodziny bankierskie, Watykan i dwór Hiszpanii.

– Myślisz, że Jakub zajmuje się Watykanem i Hiszpanią, a Karol francuskimi bankierami? – zapytałam z ciekawością.

Przytaknął, z wzrokiem utkwionym w rzeźbione belki sufitu. Orzechowe deski w migocącym blasku świecy miały miły, jasnobrązowy kolor. W każdym rogu znajdowały się ciemniejsze rozety i wstążki.

– Tak. Wuj Aleks pokazał mi listy od Jego Wysokości. Wynika z nich jasno, że współpraca z

Hiszpanią jest dla króla Jakuba najlepszą okazją. Watykan musi go wspierać, jako katolickiego monarchę; papież Klemens popierał Jakuba przez wiele lat, a teraz Benedykt to kontynuuje, ale na mniejszą skalę. Za to zarówno Filip Hiszpański, jak i Ludwik są kuzynami Jakuba; Burbonowie mają obowiązek sobie pomagać. – Uśmiechnął się do mnie chytrze. – A z tego, co widziałem, mogę ci powiedzieć, że królewska rodzina niechętnie wspiera się finansowo.

Zdjął pończochy jedną ręką i rzucił je na stół.

– Przed trzydziestu laty Jakub dostał z Hiszpanii trochę pieniędzy – zauważył. – Małą flotę statków i ludzi. W trakcie powstania w tysiąc siedemset piętnastym roku. Ale miał pecha. Jego siły zostały pokonane pod Sheriffsmuir. Król nawet nie zdążył przybyć na pole bitwy. Hiszpanie nie są więc zbyt skorzy do opłacania drugiej próby restauracji Stuartów. Zwłaszcza gdy ci nie mają bardzo dobrego planu, który mógłby się powieść.

– Karol zatem przyjechał do Francji, żeby popracować nad Ludwikiem i bankierami – zastanawiałam się głośno. – I zgodnie z tym, co wiem z historii, odniesie sukces. A my?

Jamie przeciągnął się i zdjął rękę z moich ramion. Materac głębiej zapadł się pod jego masą.

– Ja muszę sprzedawać wino bankierom, Angielko – powiedział, ziewając. – A ty rozmawiaj z pokojówkami. Jeśli narobimy dość dymu, może oszołomimy pszczoły.

Tuż przed wyjazdem Jared zabrał Jamiego do małego domu na Montmartrze, gdzie rezydował książę Karol Edward Ludwik Filip Kazimierz etc. Stuart. Tam Jego Wysokość czekał cierpliwie, żeby zobaczyć, co

Ludwik zrobi lub czego nie zrobi dla biednego kuzyna pretendującego do tronu.

Widziałam, jak wychodzili ubrani w najlepsze stroje. Próbowалам sobie wyobrazić spotkanie. Zastanawiałam się nad jego przebiegiem.

– Jak poszło? – zapytałam Jamiego po powrocie, gdy tylko zostałam z nim sama. – Jaki on jest?

Podrapał się w głowę zamyślony.

– Cóż – odezwał się w końcu. – Bolał go ząb.

– Co takiego?

– Tak powiedział. Rzeczywiście wyglądał na zbolełego; odwracał twarz w jedną stronę, miał trochę spuchniętą szczękę. Nie wiem, czy zawsze zachowuje się tak sztywno, czy po prostu za bardzo go bolało, ale nie mówił wiele.

Po formalnych prezentacjach starsi, czyli Jared, książę Marischal i osobnik o chorobliwym wyglądzie, nazywany „Balhaldym”, zajęli się rozmową o szkockiej polityce. Jamiego i Jego Wysokość pozostawili w miarę na osobności.

– Każdy z nas miał szklaneczkę brandy – raportował posłusznie Jamie. – Zapytałem, jak mu się podoba w Paryżu. Powiedział, że Paryż wydaje mu się męczącym miejscem, bo nie można pojechać na polowanie. Potem więc rozmawialiśmy o polowaniu. On woli polować z psami niż z nagonką, ja też. Opowiedział, ile bażantów ustrzelił podczas jednego polowania we Włoszech. Mówił o tym kraju, aż w końcu stwierdził, że zimne powietrze wpadające przez okno wzmaga ból zęba. Narzekał, że dom nie jest solidnie zbudowany. Wypił jeszcze trochę brandy,

na ząb. Opowiedziałem mu o polowaniach na jelenie na wyżynach. Oznajmił, że chętnie by się kiedyś wybrał. Zapytał też, czy dobrze strzelam z łuku. Odpowiedziałem, że tak, a on na to, że ma nadzieję, iż będzie miał okazję zaprosić mnie na polowanie w Szkocji. Podał mi rękę, ja ją pocałowałem i wyszedłem razem z Jaredem.

– Hm – mruknęłam. Chociaż rozum podpowiadał mi, że wielcy dostojnicy powinni się zachowywać tak jak zwykli ludzie, musiałam przyznać, że opowieść o Karolu nieco mnie zawiodła. Jamie jednak został ponownie zaproszony. Podkreślił, że musi się zapoznać z Jego Wysokością, żeby mieć oko na jego ewentualne plany. Zastanawiałem się, czy król Francji będzie choć trochę bardziej imponujący.

Wkrótce się dowiedzieliśmy. Tydzień później Jamie wstał, gdy jeszcze było ciemno i zimno. Ubrał się na długą drogę do Wersalu i wyruszył na tyle wcześnie, żeby zdążyć na królewski *lever*. Ludwik co rano budził się punktualnie o szóstej. O tej porze wybrańcy, którzy mieli towarzyszyć monarsze podczas toalety, musieli czekać w przedpokoju, w gotowości, aby dołączyć do procesji szlachciców i pomocników asystujących królowi przy powitaniu nowego dnia.

Obudzony wcześniej przez rzeźnika Magnusa Jamie wygramolił się z łóżka.

Przygotowywał się, ziewając i pomrukując. O tej porze wnętrzności nie płatały mi figli, więc cieszyłam się tym cudownym uczuciem, które rodzi się wtedy, gdy obserwujemy kogoś, kto robi coś nieprzyjemnego, czego my robić nie musimy.

– Patrz uważnie – nakazałam zaspanym głosem. – Żebyś mi wszystko opowiedział.

Z sennym mruknięciem pochylił się i pocałował mnie. Potem wyszedł ze świecą w dłoni, żeby dopilnować osiodłania konia. Zanim znów zasnęłam, usłyszałam głos męża na dole, niespodziewanie czysty i zdecydowany w zimnym, nocnym powietrzu. Jamie żegnał się ze stajennym na ulicy.

Nie zdziwiłam się, gdy Jamie nie wrócił przed południem. Do Wersalu było daleko.

Poza tym Jared uprzedził mnie, że mogą być zaproszeni na obiad. Ciekawość paliła mnie jednak niezmiernie, więc z rosnącą niecierpliwością wyczekiwałam ich przybycia. Jamie wrócił mniej więcej w porze podwieczorku.

– I jak tam *lever* króla? – zapytałam, pomagając mu zdjąć surdut. W obcisłych rękawiczkach ze świńskiej skóry, wymaganych na królewskim dworze, nie mógł sobie poradzić z ozdobnymi, srebrnymi guzikami na śliskim aksamicie.

– Och, tak lepiej. – Z ulgą poruszał barkami. Surdut był o wiele za wąski w ramionach, zdejmowanie go przypominało obieranie jajka. – Ciekawie, Angielko – rzekł w odpowiedzi. – Przynajmniej przez pierwszą godzinę.

Gdy procesja szlachciców weszła do królewskiej sypialni, każdy z jej członków niósł ceremonialny przybór – ręcznik, brzytwę, puchar ale, królewską pieczęć i tak dalej.

Lokaje odślonili ciężkie, nie przepuszczające światła zasłony, odsunęli draperie wielkiego łoża i pokazali

twarz *le roi Louis* zainteresowanemu oku wschodzącego słońca.

Panowie pomogli królowi usiąść na skraju łóżka. Władca ziewnął i podrapał się w nie ogolony podbródek. Pomocnicy naciągnęli na królewskie ramiona jedwabny szlafrok, ciężki od złotych i srebrnych haftów, i uklękli, żeby grube nocne pończochy monarchy zastąpić pończochami ze znacznie cieńszego jedwabiu. Potem wsunęli Ludwikowi na stopy miękkie kapcie wybite króliczym futrem.

Szlachcice z dworu po kolei przyklękali przed swoim władcą, żeby odpowiednio go powitać i zapytać, jak Jego Wysokość spędził noc.

– Ocenilem, że chyba niezbyt dobrze – zauważył Jamie, przerywając opowiadanie. – Wyglądał, jakby spał godzinę czy dwie, a w dodatku miał złe sny.

Mimo przekrwionych oczu i obwisłych policzków Jego Wysokość łaskawie skinął głową dworzanom. Powoli wstał i skłonił się gościom honorowym, czekającym w głębi pokoju. Gestem przywołał jednego z panów, który poprowadził Jego Wysokość do odpowiednio przyszykowanego fotela. Król usiadł z zamkniętymi oczami. Goście podchodzili po kolei, prowadzeni przez księcia Orleanu. Klękali przed królem i wypowiadali kilka słów powitania. Formalne petycje zgłaszano nieco później, kiedy była szansa, że Ludwik jest już na tyle rozbudzony, żeby je usłyszeć.

– Ja nie przyszedłem z żadną prośbą. Zaproszenie króla było dla mnie oznaką łaski – przypominał Jamie. – Ukląknęłem więc tylko i powiedziałem „Dzień dobry, Wasza

Wysokość”, a księżę wyjaśnił Ludwikowi, kim jestem.

– Czy król coś odpowiedział? – zapytałam.

Jamie uśmiechnął się szeroko, po czym przeciągnął się zamazyście.

– Och, tak. Otworzył jedno oko i spojrzał na mnie, jakby nie wierzył.

Wciąż jednym okiem Ludwik obejrzał gościa z zainteresowaniem, a potem zauważył:

– „Duży jesteś?” – „Tak, Wasza Wysokość” – odparłam. „Umiesz tańczyć?” – zapytał.

Kiwnąłem głową. Wtedy zamknął oko, a księżę odprowadził mnie z powrotem.

Po zakończonych prezentacjach lokaje, w towarzystwie szlachciców, przystąpili do toalety króla. Gdy się tym zajmowali, na znak księcia Orleanu występowali różni petenci.

Mruczeli coś w ucho Ludwikowi, gdy obracał głowę, żeby dopasować się do ruchów brzytwy, albo pochylał się, żeby poprawiono mu perukę.

– Czy dostąpiłeś zaszczytu wytarcia nosa Jego Wysokości? – zapytałam.

Jamie uśmiechnął się i wyciągnął złączone ręce, aż strzeliły kłykie.

– Nie, dzięki Bogu. Przycupnąłem obok garderoby. Próbowałem wyglądać jak mebel.

Hrabiowie i księżęta spoglądali na mnie kątem oka, jakby szkocki charakter był zaraźliwy.

– Czy przynajmniej widziałeś wszystko?

– Och, tak. Patrzyłem, nawet kiedy ulżył sobie na chaise peerce* [*Sedes w kształcie krzesła.].

– Naprawdę? Przy tylu zgromadzonych dostojnikach? – Byłam zafascynowana.

Oczywiście o tym czytałam, ale trudno mi było w to uwierzyć.

– Owszem, a cała świta zachowywała się tak jak wtedy, kiedy mył twarz i czyścił nos.

Księżę Neve miał niewypowiedziany zaszczyt wytarcia zadka Jego Wysokości – dodał ironicznie. – Nie zauważyłem, co zrobili z ręcznikiem; wynieśli go i na pewno pozłocili. – Jamie pomasaował sobie mięśnie nóg. – Załatwianie potrzeby fizjologicznej trwało w nieskończoność. On jest zaciśnięty jak sowa.

– Zaciśnięty jak sowa? – powtórzyłam ubawiona porównaniem. – To znaczy ma obstrukcję?

– Tak, potworne zatwardzenie. Nie dziwię się, bo na dworze jedzą tylko śmietanę i masło – dodał krytycznie, wyciągając się w tył. – Królowi powinni codziennie podawać na śniadanie placki z mąki owsianej. To by mu pomogło.

Jeśli Szkoci upierali się przy czymś – a szczerze mówiąc w ogóle mieli tendencję do uporów – było to wychwalanie zalet placka z mąki owsianej na śniadanie. Przez wieki życia na ziemi tak biednej, że rodzącej niewiele żywności poza owsem, jak zwykle dorobili ideologię do tego, co konieczne, i utrzymywali, że bardzo to lubią.

Jamie rzucił się na podłogę i zaczął robić ćwiczenia wykonywane przez żołnierzy Królewskich Sił Powietrznych, które poleciłam mu na wzmocnienie mięśni grzbietu.

Wracając do jego wcześniejszego spostrzeżenia,

zapytałam:

– Dlaczego powiedziałaś „zaciśnięty jak sowa”? Kiedyś słyszałam tylko określenie „pijany jak sowa”. Czy sowy cierpią na obstrukcję?

Jamie skończyły ćwiczenia. Odwrócił się i leżał na dywaniku, dysząc.

– Pewnie tak. – Westchnął przeciągle i nabrał powietrza. Usiadł i odgarnął włosy z oczu. – A może i nie, ale tak się mówi. Niektórzy po prostu twierdzą, że sowy nie mają dziury w zadku, więc nie mogą wyrzucić rzeczy, które zjedzą, na przykład myszy. Z nie strawionych resztek robią się kulki i sowa je zwraca, bo nie może ich wypchnąć z drugiej strony.

– Naprawdę?

– Jasne. W ten sposób znajduje się drzewo sowy; trzeba szukać bobków na ziemi.

Sowy robią straszny bałagan – dodał, rozluźniając kołnierzyk. – Ale one mają dziury w zadku – poinformował mnie. – Kiedyś strąciłem sowę z drzewa, z procy, i obejrzałem.

– Co za dociekliwy chłopak! – powiedziałam z uśmiechem.

– Chciałem się upewnić, Angielko. – Uśmiechnął się szeroko. – I wbrew opinii sowy wydała ją przez odbyt. Kiedyś cały dzień siedziałem z Ianem pod drzewem, żeby to sprawdzić.

– Chryste, ależ ty ciekawski!

– Ian nie chciał siedzieć tak długo, więc musiałem mu przyłożyć, żeby przestał marudzić. – Jamie zaśmiał się. – Tkwiał więc ze mną pod drzewem, aż to się stało. Potem

chwycił garść sowych bobków, wcisnął mi je za koszulę i już go nie było. Boże, jak on szybko biegał. – Przez twarz Jamiego przebiegł smutek. Wspomnienie płasko-stopęgo przyjaciela z młodości zderzyło się z późniejszymi wspomnieniami szwagra utykającego na drewnianej nodze. Prawdziwą urwał mu kartacz podczas bitwy na obczyźnie.

– Okropny tryb życia – zauważyłam, żeby zmienić temat. – Mówię o królu. Ani chwili intymności, nawet w toalecie.

– Ja bym tak nie chciał – zgodził się Jamie. – Ale on jest monarchą.

– Sądzę, że władza i luksus w dużym stopniu to wynagradzają.

Wzruszył ramionami.

– Tak czy inaczej, to rola, którą dał mu Bóg. Ludwik nie ma wyboru, musi ją wypełniać jak najlepiej. – Podniósł szal i przewłókł jego koniec przez pas, na ramię.

– Pozwól. – Wzięłam srebrną broszę i przymocowałam materiał w zagięciu jego ramienia. Sam udrapował wełnę.

– Ja też mam taką rolę, Angielko – powiedział cicho. Uśmiechnął się. – Chociaż, dzięki Bogu, nie oznacza to, że Ian ma mi podcierać zadek. Ale ja urodziłem się lordem.

Jestem panem dużej posiadłości, więc też muszę jak najlepiej wypełnić swoje zadanie. – Delikatnie dotknął moich włosów. – Dlatego właśnie ucieszyłem się, kiedy powiedziałaś, że przyjedziemy spróbować coś zrobić. Bo jedna część mnie chciałaby tylko wziąć ciebie i dziecko, i odejść daleko, daleko, żeby spędzić resztę życia na pracy w

polu oraz hodowli zwierząt. Wracać wieczorem, kłaść się obok ciebie, przesympać spokojnie całą noc.

Ciemnoniebieskie oczy były zamglone. Jamie gładził fałdy szala, jaskrawą kratę klanu Fraserów, z białym paskiem, który odróżniał dziedziców Lallybroch od innych rodów.

– Ale gdybym tak zrobił – mówił raczej do siebie niż do mnie – to część mojej duszy czułaby się zdradzona. Zawsze słyszałbym wołanie swoich ludzi.

Położyłam mu dłoń na ramieniu, a on spojrział na mnie z lekkim uśmiechem.

– Ja też tak sędzę – powiedziałam. – Jamie... Cokolwiek by się stało... – Przerwałam, szukając słów. Jak zdarzało się już często, ogrom zadania, które na siebie wzięliśmy, przytłaczał mnie i odbierał mowę. Kim byliśmy, żeby wpływać na bieg historii, zmieniać tok życia nie tylko własnego, lecz księżąt i chłopów, całej Szkocji?

Jamie uściśnął moją dłoń, aby dodać mi odwagi.

– Nikt nie może wymagać od nas więcej niż to, co jest w naszej mocy, Angielko. Jeśli dojdzie do rozlewu krwi, my nie będziemy jej mieć na rękach. Módlmy się do Boga, żebyśmy zdołali zapobiec nieszczęściu.

Pomyślałam o samotnych, szarych kamieniach na polu Culloden i o góralach, którzy pod nimi spoczną, jeśli nam się nie uda.

– Módlmy się do Boga – powtórzyłam.

8

DUCHY I KROKODYLE

Pomiędzy audycjami u króla i codziennymi

obowiązkami w przedsiębiorstwie Jareda Jamie korzystał z życia. Codziennie po śniadaniu znikał z Murtaghem. Sprawdzał nowe dostawy do magazynu, sporządzał spis inwentarza, odwiedzał doki na Sekwanie i występował – jak wynikało z jego opisu – do wyjątkowo nieciekawych tawern.

– Przynajmniej jest przy tobie Murtagh – zauważyłam. Sama pocieszałam się tym faktem. – We dwóch nie wpadniecie w tarapaty w biały dzień. – Chudy, niski krewny nie grzeszył wyglądem. Jego strój różnił się od ubioru ubogich pracowników doków tylko tym, że dolna połowa była w kratę. Przejechałam jednak z Murtaghem pół Szkocji, żeby wyciągnąć Jamiego z więzienia w Wentworth, i nikomu wświecie chętniej nie powierzyłabym opieki nad mężem.

Po obiedzie Jamie spotykał się z ludźmi – towarzysko i w interesach, coraz częściej w obu kategoriach. Przed kolacją zamykał się w gabinecie na godzinę lub dwie z książkami. Był zajęty.

Ja nie. Po paru dniach grzecznych potyczek z madame Vionnet, kucharką, okazało się, kto rządzi domem, i nie byłam to ja. Madame co ranka przychodziła do mojego salonu, żeby skonsultować się w sprawie jadłospisu na dany dzień. Przedstawiała też listę koniecznych wydatków: świeże owoce, warzywa, masło i mleko z gospodarstwa tuż za miastem, dowożone codziennie, ryby łowione w Sekwanie i sprzedawane z wózka na ulicy, małże. Przeglądałam spis dla formalności, zatwierdzałam wszystko, wychwalałam wczorajszą kolację i na tym poprzestawałam. Oprócz spełniania rzadkich prośb o

otwarcie kredensu, piwniczki na wino, piwniczki na warzywa albo spiżarni kluczem z mojego pęku, miałam mnóstwo czasu aż do kolacji, przed którą trzeba było się przebrać.

Towarzyskie życie firmy nie zamierało po wyjeździe Jareda. Wciąż bałam się urządzić przyjęcie na dużą skalę, ale co wieczór wydawaliśmy niewielkie kolacje.

Przychodzili szlachcice, rycerze i damy, biedni jakobici na wygnaniu, zamożni kupcy i ich żony.

Stwierdziłam jednak, że jedzenie i picie oraz przygotowanie jedzenia i picia nie było wystarczającym zajęciem. Marudziłam tak, że Jamie w końcu zaproponował, żebym przepisywała dla niego rachunki.

– Lepsze to niż obgryzanie paznokci. – Krytycznie spojrzął na moje palce. – Poza tym piszesz ładniej niż urzędnicy w magazynie. Siedziałam więc nad ogromnymi księgami i pilnie wykonywałam powierzoną mi pracę. Pewnego późnego popołudnia przyszedł pan Silas Hawkins, żeby zamówić dwie beczki flamandzkiej brandy. Pan Hawkins, korpulentny mężczyzna, był dobrze prosperującym emigrantem. Pochodził z Anglii i specjalizował się w eksporcie francuskiej brandy do swojej ojczyzny.

Zawsze uważałam, że kupcowi o wyglądzie abstynenta trudniej sprzedawać ludziom dużą ilość wina i innych alkoholi. Dlatego stwierdziłam, że panu Hawkinsowi pod tym względem się poszczęściło: zawsze miał zarumienione policzki i wesoły uśmiech pijaczka.

Jamie powiedział mi jednak, że Anglik nigdy nie próbuje własnych win. Rzadko też pije cokolwiek innego

niż ale. Za to apetyt Hawkinsa obrósł już legendą w odwiedzanych tawernach. W jasnobrązowych oczach grubaska czaiło się wyrachowanie, pokrywane jowialnością, która ułatwiała mu przeprowadzanie transakcji.

– Moi najlepsi dostawcy – oświadczył, podpisując duże zamówienie. – Zawsze można na was polegać, zawsze pierwsza jakość. Będę bardzo tęsknił za pańskim kuzynem – uklonił się Jamiemu – ale dobrze wybrał zastępcę. Trzeba zawierzyć Szkotowi, żeby utrzymać interes w rodzinie.

Małe, piwne oczka spojrzały na kilt Jamiego. Jaskrawa czerwień Fraserów wydawała się jeszcze wyraźniejsza na tle ciemnej boazerii gabinetu.

– Dopiero przyjechali państwo ze Szkocji? – zapytał Hawkins, sięgając za pazuchę.

– Nie, już od jakiegoś czasu jesteśmy we Francji. – Jamie zaniechał dalszych wyjaśnień. Wziął pióro od pana Hawkinsa. Było jednak zbyt tępe, odrzucił je i wybrał nowe, z bukietu gęsich piór sterczących z niewielkiego, szklanego kubka na stoliku.

– Ze stroju wnioskuje, że pochodzi pan z wyżyn. Proszę powiedzieć, jakie nastroje przeważają w tym regionie. Krąży wiele plotek... – Hawkins opadł na fotel, zachęcony gestem Jamiego. Okrągła, różowa twarz była pozornie skupiona na grubej, skórzanej sakiewce, którą wyciągnął z kieszeni.

– Cóż, ludzie zawsze plotkują – odparł wymijająco Jamie, starannie ostrząc pióro. – A nastroje? Niestety, polityka nie bardzo mnie interesuje. – Mały nożyk wydawał ostry skrzyp, zakrzywione ścinki spadały z końca pióra.

Pan Hawkins wyciągnął kilka srebrnych monet i ustawił je równo w kolumnie.

– Naprawdę? – powiedział prawie machinalnie. – Jeśli tak, jest pan pierwszym góralem, którego nie wciągnęła polityka.

Jamie skończył ostrzyć pióro i bacznie przyjrzał się czubkowi.

– Po prostu mam inne zajęcia – odparł. – Prowadzenie takiego interesu jest bardzo czasochłonne, jak sam pan pewnie wie.

– O, tak. – Pan Hawkins jeszcze raz policzył monety, zdjął jedną i zastąpił ją dwiema mniejszymi. – Słyszałem, że Karol Stuart ostatnio przybył do Paryża – rzekł od niechcienia. Okrągła, pijacka twarz wyrażała umiarkowane zainteresowanie, lecz oczy patrzyły bardzo uważnie.

– Tak – mruknął Jamie, ale z jego tonu nie wynikało, czy potwierdza fakt, czy tylko wyraża grzeczną obojętność. Miał przed sobą zamówienie i podpisywał każdą stronę z nadmierną starannością. Zazwyczaj bazgrolił. Jako leworęczny w dzieciństwie zmuszony do posługiwania się prawą ręką zawsze miał kłopoty z pisaniem liter, ale rzadko robił z tego taki cyrk.

– Nie podziela pan więc sympatii kuzyna w tej kwestii? – Hawkins patrzył na czubek pochylonej głowy Jamiego, zwykle hardo uniesionej.

– Czy to pana sprawa? – Jamie podniósł głowę i wbił w Hawkinsa łagodne spojrzenie swoich niebieskich oczu. Korpulentny kupiec wytrzymał chwilą, potem lekceważąco machnął pulchną dłońią.

– Ani trochę – powiedział potulnie. – Ale wiem o jakobickich skłonnościach Jareda; nie robi z nich tajemnicy. Zastanawiam się tylko, czy wszyscy Szkoci są tego samego zdania w sprawie pretensji Stuarta do tronu.

– Gdyby pan miał wiele do czynienia ze Szkotami z wyżyn, to wiedziałby pan, że rzadko się zdarza, żeby dwaj zgodzili się w jakiejś sprawie. Może w kwestii dotyczącej koloru nieba. A nawet to od czasu do czasu wzbudza spory – rzekł sucho Jamie, podając rozmówcy kopię zamówienia.

Hawkins wybuchnął śmiechem. Tłusty brzuch aż się zatrzęsł pod kamizelką. Kupiec schował złożony papier do kieszeni surduta. Widziałam, że Jamie nie ma ochoty ciągnąć tematu, więc się wtrąciłam. Gościnnie zaproponowałam Maderę i ciasteczka.

Pan Hawkins przez chwilę walczył z pokusą. W końcu z żalem potrząsnął głową, odsunął krzesło i wstał.

– Nie, nie, dziękuję, milady. „Arabella” przyplływa w ten czwartek. Muszę więc wyjechać do Calais. A mam jeszcze diabelsko dużo roboty, zanim wsiądę do powozu. – Z kwaśną miną spojrzał na wielki plik zamówień i kwitów wystających z kieszeni. Dołożył do nich rachunek Jamiego i wcisnął wszystko do dużego, skórzanego portfela podróżnego.

– Ale mogę robić interesy w drodze – dodał, a twarz mu pojaśniała. – Będę się zatrzymywał we wszystkich karczmach i domach publicznych między Paryżem a Calais.

– Jeśli tak, to dotrze pan do Calais w przyszłym miesiącu – zauważył Jamie. Wyjął własną sakiewkę ze sporranu i wrzucił do niej słupek srebrnych monet.

– Prawda, panie – rzekł Hawkins i ponuro

zmarszczył brwi. – Chyba kilka pomnę.

Wstąpię do nich dopiero w drodze powrotnej.

– Z pewnością mógłby pan wysłać kogoś do Calais w zastępstwie, skoro pański czas jest tak cenny – zasugerowałam.

Ekspresyjnie przewrócił oczami. Ściskając też swoje wesołe, małe usta w wyraz tak smutny, jak tylko się dało.

– Niestety, milady. Ładunek „Arabelli” jest zbyt drogocenny. Na pokładzie znajduje się moja bratanica – wyznał. – Mary ma dopiero piętnaście lat i nigdy nie oddalała się od domu. Osobiście muszę towarzyszyć jej w drodze do Paryża.

– Podzielałam pańskie zdanie – zgodziłam się grzecznie. Wydawało mi się, że znam imię i nazwisko bratanicy kupca, ale nie mogłam sobie przypomnieć skąd. Mary Hawkins. Mało charakterystyczne; nie kojarzyłam go z niczym szczególnym.

Jamie odprowadził pana Hawkinsa do drzwi.

– Mam nadzieję, że podróż pańskiej bratanicy będzie przyjemna – rzekł uprzejmie. – Czy przyjeżdża na naukę? Albo z wizytą do krewnych?

– Wyjdzie za mąż – powiedział stryj głosem pełnym satysfakcji. – Mojemu bratu poszczęściło się w poszukiwaniach dobrej partii: znalazł francuskiego szlachcica. – Aż urósł z dumy, eksponując złote guziki na kamizelce. – Mój starszy brat jest baronetem.

– Mary ma piętnaście lat? – zapytałam ze zdziwieniem. Wiedziałam, że wczesne małżeństwa były w osiemnastym wieku powszechne, ale żeby aż tak wczesne.

Ja sama wyszłam za mąż, mając dziewiętnaście lat, i ponownie – kiedy skończyłam dwadzieścia siedem. Jako dwudziestosiedmiolatka wiedziałam o wiele więcej.

– Czy pańska bratanica od dawna zna narzeczonego? – zapytałam ostrożnie.

– Wcale go nie zna. W zasadzie nie ma nawet zielonego pojęcia o małżeńskich planach. – Pan Hawkins pochylił się, położył sobie palec na ustach i zniżonym głosem dodał. – Pertraktacje jeszcze się nie zakończyły.

Bardzo mnie to przygnębiło. Już zamierzałam coś powiedzieć, ale Jamie ostrzegawczo ścisnął mnie za łokieć.

– Cóż, jeśli wybraniec jest szlachcicem, może zobaczymy pańską bratanicę na królewskim dworze – zasugerował i popchnął mnie zdecydowanie w kierunku drzwi. Pan Hawkins odsunął się, żebym go nie nadepnęła.

– W istocie, panie Broch Tuarach. Zrobią nam państwo wielki zaszczyt, chcąc poznać moją bratanicę. Bardzo ją ucieszy towarzystwo krajanki – dodał z nieszczerym uśmiechem posłanym w moim kierunku.

Z pewnością, pomyślałam. A ty zrobiłbyś wszystko, żeby wcisnąć swoją rodzinę w grono francuskiej szlachty. Nie zawahasz się nawet przed wydaniem bratanicy za... za...

– Kto jest narzeczoną panny Mary? – zapytałam oschle.

Twarz pana Hawkinsa rozpromieniła się. Pochylił się i wyszeptał chrapliwie w moje ucho:

– Nie powinienem zdradzać tajemnicy, dopóki kontrakt nie zostanie podpisany.

Skoro jednak pani pyta... Mogę powiedzieć, że jest

członkiem rodziny Gascogne. Bardzo utytułowanym.

– Ach, tak – westchnęłam.

Pan Hawkins radośnie zatarł ręce, a ja od razu odwróciłam się do Jamiego.

– Gascogne! Pewnie chodzić o... tego odrażającego, starego bydlaka z plamami tabaki na policzkach, który był w zeszłym tygodniu na kolacji? Nie, niemożliwe.

– Wicehrabiego Marigny? – zapytał Jamie z uśmiechem wywołanym moim opisem. – Tak przypuszczam. Jest wdowcem i jedynym nieżonatym mężczyzną z tego rodu. Ale to chyba nie tabaka na jego twarzy; po prostu tak rośnie mu broda. Wygląda na wyliniałą – przyznał. – Na pewno strasznie trudno mu się ogolić ze względu na liczne brodawki.

– Hawkins nie może wydać piętnastoletniej dziewczyny za... za... to coś! Nawet nie zamierza zapytać jej o zdanie!

– Och, sądzę, że może – powiedział z irytującym spokojem Jamie. – Tak czy inaczej, Angielko, to nie twoja sprawa. – Mocno chwycił mnie za ramiona i potrząsnął. – Słyszysz? Wiem, że cię to dziwi, ale tak już jest. W końcu... – Usta wygięły się w jednym kąciku. – Ty sama wyszłaś za mąż wbrew swojej woli. Ale już się z tym pogodziłaś, prawda?

– Czasami się zastanawiam! – Szarpnęłam się. Próbowałam uwolnić ramiona, ale Jamie ze śmiechem przygarnął mnie i pocałował. Po chwili zrezygnowałam z walki.

Odprężyłam się w jego uścisku. Uległam, chociaż czasowo. Spotkam się z Mary Hawkins, pomyślałam.

Dowiem się, co ona myśli o tym małżeństwie. Jeśli nie chce zobaczyć swojego nazwiska na dokumencie zatwierdzającym jej ślub z wicehrabią Marigny, to...

Nagle zeszytniałam. Odepchnęłam Jamiego.

– Co się stało? – Zdenerwował się. – Źle się czujesz? Jesteś blada jak ściana.

Nic dziwnego. Nagle przypomniałam sobie, gdzie widziałam imię i nazwisko bratanicy Hawkinsa. Jamie się mylił. To była moja sprawa. Pamiętałam nawet barwę atramentu. Przez lata przybrał kolor sepia. Mary Hawkins miała poślubić Jonathana Randalla w tysiąc siedemset czterdziestym piątym roku, a nie zostać żoną ohydneho wicehrabiego Marigny.

– Ale Jack Randall nie żyje! – Jamie podał mi kieliszek brandy. Dłoń pewnie trzymała kryształową nóżkę, ale zaciśnięte usta drżały. Słowa „nie żyje” powiedziane zostały z podłą ostatecznością.

– Połóż nogi wysoko, Angielko – doradził. – Wciąż jesteś blada. – Posłusznie podniosłam nogi i wyciągnęłam się na sofie. Jamie usiadł przy mojej głowie i machinalnie położył dłoń na moim ramieniu. Jego ciepłe, mocne palce delikatnie masowały niewielkie wgłębienie przy stawie.

– Marcus MacRannoch mówił mi, że widział, jak Randalla zdeptało bydło w lochach więzienia Wentworth – powiedział znów, jakby starał się upewnić. – Szmaciana lalka cała we krwi. Tak właśnie określił go sir Marcus. Był tego pewien.

– Tak. – Wolno sączyłam brandy. Czułam, jak ciepło wraca do moich policzków. – Też to słyszałam. Masz rację, kapitan Randall nie żyje. Po prostu nagle

przypomniałam sobie o Mary Hawkins. Z powodu Franka. – Rzuciłam okiem na lewą dłoń, którą trzymałam na brzuchu. W palenisku płonął ogień. Blask odbijał się na mojej pierwszej, złotej obrączce ślubnej. Obrączka Jamiego, ze szkockiego srebra, lśniła na czwartym palcu drugiej dłoni.

– Ach – westchnął Jamie. Jego ręka zamarła na moim ramieniu. Miał pochyloną głowę, ale spojrzał mi w oczy. Nie mówiliśmy o Franku, odkąd uratowałam Jamiego z Wentworth. Nie wspominaliśmy też ośmierni Jonathana Randalla. Nie miało to wielkiego znaczenia, może z wyjątkiem faktu, że ze strony okrutnego kapitana nie groziło nam już żadne niebezpieczeństwo. Od tamtej pory niechętnie wspominałam Jamiemu o Wentworth.

– Nie żyje, prawda, *mo duinne*? – zapytał miękko Jamie, trzymając mnie za nadgarstek. Wiedziałam, że mówi o Franku, nie o Jonathanie.

– Może – powiedziałam, wciąż wpatrując się w złoty krążek na palcu. Podniosłam rękę, żeby metal zalśnił w gasnącym, popołudniowym świetle. – Jeśli nie żyje, Jamie, jeśli nie będzie istniał, bo Jonathan został stratowany, to dlaczego wciąż mam obrączkę, którą mi dał?

Patrzył na obrączkę. Widziałam, jak zadrzał mu mięsień koło ust. Jamie też zrobił się blady. Rozmowa o Jonathanie Randallu nadal sprawiała mu ból, ale chyba nie było wyboru.

– Jesteś pewna, że Randall nie zdążył spłodzić dziecka? – zapytał. – To by wiele wyjaśniało.

– Racja – przyznałam. – Ale nie, jestem pewna, że nie. Frank... – Głos lekko mi zadrzał, a Jamie mocniej

ścisnął mój nadgarstek. – Frank odkrył tragiczne okoliczności śmierci Jonathana Randalla. Powiedział, że Jack Randall zginął pod Culloden, w ostatniej bitwie powstania, a jego syn, czyli pra-pra-pra-pra-pradziadek Franka, urodził się kilka miesięcy po śmierci ojca. Po kilku latach wdowa ponownie wyszła za mąż. Nawet gdyby zostało poczęte jakieś dziecko z nieprawego łoża, nie byłoby w linii Franka.

Czoło Jamiego przecięły zmarszczki. Między brwiami pokazała się cienka, pionowa linia.

– Czy w takim razie zaistniałaby pomyłka? Może dziecko wcale nie było Randalla?

Frank mógłby pochodzić tylko z linii Mary Hawkins, skoro wiemy, że ona jeszcze żyje.

Bezradnie potrząsnęłam głową.

– Nie wydaje mi się to możliwe. Gdybyś znał Franka... Nie, chyba nigdy ci nie mówiłam. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Jonathana Randalla, pomyślałam, że to mój mąż. Oszalamiające podobieństwo! Jack Randall na pewno był przodkiem Franka.

– Rozumiem. – Palce Jamiego zwilgotniały od potu. Bezmyślnie wytarł je o kilt.

– W takim razie... Może obrączka nic nie znaczy, *mo duinne* – zasugerował łagodnie.

– Może. – Dotknęłam metalu ciepłego jak moje ciało, potem opuściłam rękę. – Och, Jamie, nie wiem! Nic nie wiem!

Potarł kłykciami zmarszczkę między oczami.

– Ja też, Angielko. – Próbował się do mnie uśmiechnąć. – Jedna rzecz – dodał po chwili. – Mówiłaś, że

Jonathan Randall zginął pod Culloden?

– Tak. Zresztą sama przepowiedziałam to Jackowi Randallowi, żeby go przestraszyć.

– Wtedy w Wentworth, kiedy wyrzucił mnie na śnieg, zanim... zanim wrócił do ciebie. – Oczy i usta Jamiego zamknęły się w nagłym spazmie. Zerwałam się z sofy zaalarmowana tak gwałtowną reakcją.

– Jamie! Nic ci nie jest? – Chciałam położyć mu rękę na czole, ale on się wyrwał.

Wstał i podszedł do okna.

– Nie. Tak. W porządku, Angielko. Przez cały ranek pisałem listy, zagotowało mi się w głowie. Nie martw się. – Machnął ręką, przycisnął policzek do zimnego okna i zacisnął oczy. Mówił dalej, jakby chciał oderwać się od bólu.

– Zatem jeśli ty i Frank wiedzieliście, że Jack Randall zginie pod Culloden, a w rzeczywistości stało się inaczej... To może się uda, Claire.

– Co takiego? – Zawahałam się. Chciałam mu pomóc, ale nie wiedziałam jak.

Najwyraźniej nie życzył sobie, żebym go dotykała.

– Zmienić koleje losu. – Uniósł głowę i posłał mi zmęczony uśmiech. Wciąż był blady, ale ślady chwilowego spazmu zniknęły. – Jack Randall zginął przed czasem, a Mary Hawkins wyjdzie za mąż za innego mężczyznę. Nawet jeśli to znaczy, że Frank się nie urodzi... albo że będzie owocem innego związku – dodał, żeby mnie pocieszyć – to oznacza również, że mamy szansę powodzenia w naszym zadaniu. Może Jack Randall nie zginął pod Culloden, bo wcale nie dojdzie do bitwy.

Widziałam, jak się zmusza, żeby podejść i mnie przytulić. Lekko objęłam go w talii i stałam nieruchomo. Pochylił głowę i oparł czoło na moich włosach.

– Wiem, że musi cię to martwić, *mo duinne*. Pociesz się jednak, że z tego może wyniknąć coś dobrego.

– Tak – wyszeptalam w końcu w fałdy jego koszuli. Delikatnie wysunęłam się z silnych ramion i przytuliłam głowę do jego policzka. Zmarszczka między brwiami pogłębiła się, a oczy były lekko nieprzytomne, ale uśmiechnął się do mnie. – Jamie, połóż się. Wyślę wiadomość do państwa d’Arbanville, że nie możemy dzisiaj przyjść.

– O, nie – zaprotestował. – Nic mi nie będzie. Znam ten ból głowy, Angielko; to tylko od pisania. Wystarczy, że się godzinę zdrzemnę. Pójdę na górę. – Odwrócił się do drzwi.

Potem przystanął i z półuśmiechem zwrócił się do mnie: – A gdybym krzyczał przez sen, mów mi głośno: „Jack Randall nie żyje”. Wtedy na pewno się uspokoję.

Zarówno jedzenie, jak i towarzystwo u d’Arbanville’ow było dobre. Wróciliśmy do domu późno. Zasnęłam zdrowym snem, gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki.

Spałam twardo, bez snów, ale w środku nocy nagle się obudziłam. Czułam, że coś jest nie tak.

Było zimno. Pierzyna jak zwykle ześliznęła się na podłogę. Leżałam przykryta tylko cienkim, wełnianym kocem. Sennie przewróciłam się na bok, żeby przytulić się do Jamiego, ale natrafiłam na puste miejsce.

Usiadłam na łóżku i rozejrzałam się po pokoju.

Jamie siedział przy oknie, trzymając się za głowę.

– Co ci jest? Znowu cię boli? – Po omacku szukałam świcy. Chciałam sięgnąć do kuferka z lekami, ale coś w pozie Jamiego sprawiło, że natychmiast do niego podeszłam.

Oddychał ciężko, jakby biegł. Mimo zimna ciało miał złane potem. Dotknęłam jego ramienia. Było zimne jak metalowy posąg.

Skoczył na równe nogi. Oczy miał szeroko otwarte, czarne w ciemnym pokoju.

– Nie chciałam cię przestraszyć – szepnęłam. – Dobrze się czujesz?

Pomyślałam, że lunatkuje, bo jego mina się nie zmieniła; patrzył prosto, jakby mnie nie dostrzegał, a cokolwiek widział, na pewno mu się nie podobało.

– Jamie – powiedziałam ostro. – Jamie, obudź się!

Zamrugął i spojrzął na mnie. Wciąż miał minę zaszczutego zwierzęcia.

– Nic mi nie jest – wymamrotał. – Nie śpię – przekonywał chyba samego siebie.

– Co się stało? Jakiś koszmar?

– Tak. Zły sen.

Położyłam mu rękę na ramieniu.

– Opowiedz. Wtedy się od niego uwolnisz.

Chwycił mnie mocno za przedramiona, jakby nie chciał, żebym go dotykała. Była pełnia, więc widziałam, że każdy mięsień jego ciała jest napięty, twardy i nieruchomy jak skała, ale pulsujący wzburzoną energią, gotów wybuchnąć.

– Nie – odparł wciąż oszołomiony.

– Proszę – nalegałam. – Porozmawiaj ze mną, Jamie. Powiedz, co widzisz.

– Nie... Nic nie widzę. Nic. Nie widzę.

Odwróciłam go do okna, jasnego blasku księżyca. Światło chyba pomagało, bo oddychał wolniej. I zaczął mówić. Robił duże przerwy. Słowa sprawiały mu ból.

Śniło mu się kamienne więzienie Wentworth. Jonathan Randall położył się nagi na łóżku, na wełnianym kocu.

Jamie usłyszał chrapliwy oddech i poczuł czyjąś spoconą skórę, ślizgającą się na nim z tyłu. Zazgrzytał zębami. Mężczyzna zareagował śmiechem.

– Mamy jeszcze trochę czasu, zanim cię powieszają, chłopcze – wyszeptał. – Zdążymy się zabawić. – Randall poruszył się nagle, mocno i ostro. Jamie wydał z siebie cichy jęk.

Dłoń Randalla odgarnęła mu włosy z czoła i zaczesła za ucho. Gorący oddech był bardzo blisko. Jamie odwrócił głowę, żeby przed nim uciec, ale oddech dogonił go ze słowami:

– Widziałeś kiedyś wisielca, Fraser? – Długa, szczupła ręka dotknęła talii Jamiego, delikatnie głaskała brzuch, z każdym słowem schodziła niżej.

– Oczywiście, że widziałeś; byłeś przecież we Francji przy egzekucji dezertersów – mówił dalej Randall, nie czekając na odpowiedź. Wisielec rozluźnia wnętrze, prawda? Gdy sznur zaciska się na szyi. – Dłoń obłapiała ciało ofiary to lekko, to mocniej.

Jamie zacisnął zdrową rękę na krawędzi łóżka i schował twarz w szorstki koc, ale słowa go ściagały.

– To samo stanie się z tobą, Fraser. Jeszcze kilka godzin, a poczujesz pętlę. – Przerażający śmiech. – Pójdiesz na śmierć z rozpalonym zadkiem po dzisiejszej nocy, a kiedy rozluźnisz wnętrzności, po nogach popłynie ci moja sperma i będzie kapać na ziemię pod szubienicą.

Jamie milczał. Czuł swój własny zapach, intensywny od brudu więzienia, kwaśny od potu strachu i gniewu. I woń tego mężczyzny, w której zwierzęcy smród przebijał się przez delikatny aromat lawendowej wody toaletowej.

– Koc – powiedział. Miał zamknięte oczy i mocno napięte mięśnie twarzy w świetle księżyca. – Drapał mnie w policzki. Widziałem tylko kamienie w murze przed sobą. Nie miałem na czym skupić myśli... Nic nie widziałem. Zacisnąłem powieki. Myślałem o szorstkim kocu pod głową. To było wszystko, co czułem poza bólem... i nim. Ja...

Wytrzymałem.

– Jamie. Pozwól się przytulić – powiedziała cicho. Chciałam stłumić narastające w nim przerażenie. Ścisnął mnie za ręce tak mocno, że zaczęły mi drętwieć. Nie pozwolił, abym się przysunęła; trzymał mnie z daleka.

Nagle odskoczył i odwrócił się do oświetlonego księżycem okna. Stał tak, napięty i drżący jak cięciwa łuku, z którego właśnie wystrzelono. Głos jednak miał spokojny.

– Nie. Nie wykorzystam cię w ten sposób. Nie będziesz częścią tego koszmaru.

Zrobiłam krok w jego kierunku, ale zatrzymał mnie gwałtownym gestem. Odwrócił do okna twarz, teraz spokojną i przezroczystą jak szkło. – Połóż się. Zostaw

mnie na chwilę samego; już mi lepiej. Nie musisz się martwić.

Rozłożył ramiona i chwycił framugę. Zasłonił ciałem całe światło. Mięśnie napięły się z wysiłku. Napierał na drewno najmocniej, jak mógł.

– To był tylko sen. Jack Randall nie żyje.

Zasypiałam powoli. Jamie wciąż stał, gapiąc się w księżyc. Kiedy obudziłam się o świcie, spał zwinięty na fotelu przy oknie, otulony szalem, z nogami przykrytymi moim płaszczem.

Potrząsnęłam nim delikatnie. Natychmiast się obudził. Wydawał się irytująco wesołym, porannym sobą. Ale ja nie zapomniałam o wydarzeniach nocy. Pośniadaniu otworzyłam kuferek z lekami.

Ku mojemu niezadowoleniu brakowało kilku ziół potrzebnych do napoju uspokajającego, który zamierzałam podać Jamiemu. Przypomniałam sobie jednak, że Marguerite opowiadała mi o pewnym sprzedawcy ziół. Raymond mieszkał przy rue de Varennes. To czarodziej, uprzedziła mnie dziewczyna. Cóż, warto sprawdzić. Jamie przez cały ranek będzie w magazynie. Miałam do dyspozycji powóz i lokaja. Postanowiłam więc się wybrać do wielkiego maga.

Po obu stronach sklepu znajdowała się czysta, drewniana lada, a za nią, od podłogi do sufitu, stały półki. Niektóre z nich były wyposażone w szklane drzwiczki. Zapewne chroniły przed kurzem rzadsze i droższe substancje. Nad szafami wisiały tłuste, złoczone amorki. Dęły w rogi, uśmiechały się błogo. Ogólnie wyglądały tak, jakby napiły się lekarstw z zawartością alkoholu.

– Monsieur Raymond? – zapytałam grzecznie młodą kobietę za ladą.

– Maitre Raymond – poprawiła. Nienielegancko wytarła czerwony nos rękawem i wskazała dłonią zaplecze, skąd wydobywały się chmury brązowego dymu.

Czarownik czy nie, Raymond miał doskonały warsztat. Dym unosił się z czarnego, łupkowego kominka i wił się pod ciemnymi belkami stropu. Nad ogniem rozciągał się kamienny blat z dziurami. W nich tkwiły szklane alembiki, miedziane „pelikany” – metalowe naczynia z długimi nosami, z których do kubków skapywały jakieś dziwne substancje. Było tam też coś, co przypominało mały destylator. Ostrożnie wciągnęłam powietrze. Oprócz innych silnych zapachów od strony ognia wyraźnie dolatywała woń alkoholu. Rządek czystych butelek na kredensie wzmocnił moje początkowe podejrzenia.

Niezależnie od sprzedawania talizmanów i tajemnych napojów maitre Raymond zbijał fortunę na doskonałej cherry.

Mistrz siedział skulony nad ogniem. Wbijał kawałki węgla z powrotem do kratki.

Słyszając, jak wchodzę, wyprostował się i odwrócił, żeby mnie powitać z miłym uśmiechem.

– Jak się pan miewa? – powiedziałam uprzejmie do czubka jego głowy. Wrażenie, że weszłam do nory czarownika było tak silne, że nie zdziwiłabym się, gdybym w odpowiedzi usłyszała kumkanie.

Mistrz Raymond do złudzenia przypominał ogromną, wesołą żabę. Mierzył niewiele więcej niż metr

dwadzieścia, miał barylkową pierś, krzywe nogi, grubą, lepką skórę mieszkańca mokradeł i lekko wylupiaste, przyjazne czarne oczy. Poza drobnym faktem, że nie był zielony, brakowało mu tylko brodawek.

– Madonno! – wykrzyknął rozpromieniony. – Czym mogę ci służyć? – Nie miał ani jednego zęba, co jeszcze bardziej podkreślało żabi wygląd. Gapiłam się na Raymonda zafascynowana.

– Madonno? – rzekł, spoglądając na mnie pytająco.

Uświadomiłam sobie nagle, jak niegrzecznie się zachowuję. Zarumieniłam się i wypaliłam bez namysłu:

– Właśnie się zastanawiałam, czy kiedykolwiek pocałowała pana piękna, młoda dziewczyna.

Wybuchnął śmiechem, a ja zaczerwieniłam się jeszcze bardziej.

– Wielokrotnie, madonno – odparł z wesołą miną. – Ale, niestety, nie pomaga. Jak widzisz. Ribbit.

Wybuchnęliśmy nieopanowanym śmiechem, co zwróciło uwagę dziewczyny.

Zdenerwowana zajrzała przez drzwiczki. Mistrz Raymond machnął ręką, żeby sobie poszła. Potem podskoczył do okna, kaszląc i trzymając się za boki. Otworzył ołowiane okiennice i wypuścił trochę dymu.

– Tak lepiej! – Wziął głęboki wdech, gdy do pomieszczenia wpadło zimne, wiosenne powietrze. Przyglądał długie, siwe włosy, które opadały mu na ramiona. – Cóż, madonno – zwrócił się do mnie po chwili. – Skoro jesteśmy przyjaciółmi, to może zechcesz chwilę zaczekać. Muszę czegoś dopilnować.

Wciąż z rumieńcem na twarzy, zgodziłam się

natychmiast. Mistrz odwrócił się do gorącej półki i ponownie napełnił zbiornik destylatora. Nadal czekał ze śmiechu.

Korzystając z okazji, żeby odzyskać równowagę, przechadzałam się po warsztacie.

Podziwiałam niesamowity zbiór gratów.

U powały wisiał spory krokodyl, prawdopodobnie wypchany. Spojrzałam na żółte łuski brzucha, twarde i lśniące jak sprasowany wosk.

– Prawdziwy? – zapytałam i usiadłam przy porysowanym, dębowym stole.

Mistrz Raymond spojrzał w górę z uśmiechem.

– Mój „crocodile”? Och, oczywiście, madonno. Daje klientom pewność. – Machnął w głowę w kierunku półki wiszącej na wysokości oczu. Było na niej pełno porcelanowych słoików, udekorowanych złocnymi zawijasami, malowanymi kwiatami i zwierzętami oraz czarnymi, starannymi napisami. Na trzech słoiczkach napisano coś po łacinie.

Przetłumaczyłam z pewnym trudem: krew krokodyla, wątroba iżół zwierzęcia – prawdopodobnie właśnie tego, które ponuro kołysało się nad sklepem.

Podniosłam naczynko, zdjęłam pokrywkę i ostrożnie powąchałam.

– Musztarda – stwierdziłam, marszcząc nos – I tymianek. W olejku z orzechów laskowych. Ale jak sprawiłeś, że to takie wstrętne? – Przechyliłam słoik i krytycznie przyjrzałam się obrzydliwemu płynowi.

– Ach, więc twój nos nie jest czysto dekoracyjny, madonno! – Szeroki uśmiech przeciął zabią twarz i odsłonił

twarde, sine działła. – Jest jeszcze tu zgniła dynia – wyznał zniżonym głosem. – Jeśli chodzi natomiast o zapach... Cóż, wachasz prawdziwą krew.

– Ale nie krokodyla – powiedziałam, spoglądając w górę.

– Tyle cynizmu w tak młodej osobie – zasmucił się Raymond. – Panie i panowie z królewskiego dworu są na szczęście mniej dociekliwi i bardziej ufni. Nie, w rzeczywistości jest to krew świni, madonno. O świnię jest o wiele łatwiej niż o krokodyla.

– Mhm, tak – zgodziłam się. – Ten okaz pewnie cię sporo kosztował.

– Odziedziczyłem go, z większą częścią tej kolekcji, po poprzednim właścicielu. – Wydawało mi się, że dostrzegłam maleńką iskierkę niepokoju w jego czarnych oczach.

Ale może dlatego, że stałam się przewrażliwiona na punkcie wyłapywania niuansów ekspresji z twarzy uczestników przyjęć. W różnych minach szukałam wskazówek, które mogłyby się przydać Jamiemu.

Korpulentny, niski właściciel pochylał się coraz bardziej, konfidencjonalnie kładąc dłoń na mojej dłoni.

– Jesteś zawodowcem, prawda? – stwierdził raczej, niż spytał. – Muszę przyznać, że nie wyglądasz.

W pierwszym odruchu chciałam wyrwać rękę, ale dotyk był dziwnie miły; nie osobisty, lecz niespodziewanie ciepły i kojący. Spojrzałam na zamrożone krawędzie ołowiano-szklanych okiennic. Dziwne, że mistrzowi nie zlodowaciały ręce przy takiej niskiej temperaturze.

– To zależy, co rozumiesz przez termin

„zawodowiec” – odparłam oficjalnie. – Jestem uzdrowicielką.

– Ach, uzdrowicielką. – Odchylił się na krześle i przez chwilę przyglądał mi się z zainteresowaniem. – Tak myślałem. Ale czy coś jeszcze? Nie przepowiadasz przyszłości, nie sporządzasz napojów miłosnych?

Poczułam lekkie wyrzuty sumienia na wspomnienie podróży z Murtaghem. Gdy szukaliśmy Jamiego na szkockich wyżynach, przepowiadaliśmy przyszłość i śpiewaliśmy za jedzenie jak para Cyganów.

– Nic z tych rzeczy – powiedziałam, przy czym zarumieniłam się bardzo nieznacznie.

– Tak czy inaczej, nie jesteś zawodową kłamczuchą – ocenił, patrząc na mnie z rozbawieniem. – Szkoda. Ale czym mogę ci służyć, madonno?

Wyjaśniałam, a on słuchał i mądrze kiwał głową. W sanktuarium sklepu nie nosił peruki ani nie pudrował włosów. Zaczesał je tylko w tył, z wysokiego, szerokiego czoła, aż spadały, proste jak druty, na ramiona, gdzie kończyły się nagle, jakby ktoś obciął je tępymi nożyczkami.

Łatwo się z nim rozmawiało. Miał bardzo rozległą wiedzę botaniczną. Brał z półki słoiczki, wysypywał odrobinę listków i rozcierał je w dłoniach, żebym mogła powąchać lub posmakować.

Naszą rozmowę przerwały podniesione głosy w sklepie. Porządnie ubrany lokaj, pochylony nad ladą, tłumaczył coś dziewczynie. Do końca nie rozumiałam słów, ale ogólnie pojmowałam, o co chodzi. Mówił coś o kapuście i kielbasie, tak czy inaczej nic dobrego.

Zastanawiałam się nad dziwną skłonnością Francuzów do wplatania wątków o jedzeniu dosłownie do każdej dyskusji. Nagle z hukiem otworzyły się drzwi sklepu. Za lokajem pojawiły się posiłki w postaci zaczerwienionej i wyfiokowanej osoby.

– Ach – mruknął Raymond. Z zaciekawieniem spoglądał pod moim ramieniem na rozgrywające się w sklepie przedstawienie. – Wicehrabina de Rambeau.

– Znasz tę kobietę? – Dziewczyna na pewno miała już z nią do czynienia, bo przerwała atakowanie lokaja i skuliła się przy szafce ze środkami na przeczyszczenie.

– Tak, madonno. – Raymond kiwnął głową. – Raczej kosztowna.

Zrozumiałam, o co mu chodzi, gdy wspomniana dama wyjęła ewidentne źródło sporu – niewielki słoiczek z jakąś marynowaną rośliną. Wycelowała i rzuciła go ze sporą siłą i dokładnością w szklane drzwiczki szafki.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Potem zapadła nagle cisza. Wicehrabina wyciągnęła w stronę dziewczyny długi, kościsty palec.

– Ty! – krzyknęła skrzypiącym głosem. – Przynieś mi czarny napój. Natychmiast.

Dziewczyna otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować. Widząc jednak, że dostojna klientka sięga po kolejny pocisk, uciekła na zaplecze.

Raymond z rezygnacją sięgnął na półkę nad głową. Gdy pomocnica tylko pojawiła się w drzwiach, wepchnął jej w dłoń buteleczkę.

– Daj wicehrabinie – rzekł i wzruszył ramionami. – Zanim znowu coś stłucze.

Dziewczyna nieśmiało wróciła, żeby zanieść preparat. Raymond odwrócił się do mnie i zrobił chytrą minę.

– Trucizna dla rywalki – oznajmił. – Przynajmniej de Rambeau tak sądzi.

– A co to jest naprawdę? Kora szakłaku?

Spojrzał na mnie mile zaskoczony.

– Jesteś bardzo dobra – rzekł. – Wrodzony talent czy pobierałaś nauki? Zresztą nieważne. – Lekceważąco machnął szeroką dłońią. – Masz rację, szakłak. Jutro rywalka się rozchoruje. Będzie widocznie cierpieć, co zaspokoi żądzę zemsty wicehrabiny i przekonają, że zrobiła dobry zakup. Potem ofiara wyzdrowieje, a wicehrabina przypisze to interwencji księdza lub czarownika sprowadzonego przez konkurentkę.

– Rozumiem. A zniszczenia w sklepie? – Promienie popołudniowego słońca lśniły na potłuczonym szkłe na ladzie i na jednym srebrnym ecu, które rzuciła wicehrabina tytułem zapłaty.

Raymond parę razy obrócił dłoń z boku na bok.

– To się wyrówna – powiedział spokojnie. – Kiedy w przyszłym miesiącu przyjdzie po środek poronny, zażadam tyle, że wystarczy nie tylko na zreperowanie szalki, ale i na trzy następne. A ona zapłaci bez gadania. – Uśmiechnął się, ale nie tak wesoło jak przedtem.

– To tylko kwestia czasu.

Czułam, że czarne oczy ze znawstwem przyglądają się mojej sylwetce. Jeszcze nie miałam zaokrąglonego brzucha, ale mistrz odgadł, że jestem w ciąży. Na pewno.

– Czy lekarstwo, które dasz wicehrabinie w

przyszłym miesiącu, zadziała? – zapytałam.

– To tylko kwestia czasu – powtórzył, przekrzywiając głowę. – Odpowiednio wcześniej wszystko idzie dobrze. Nie wolno za długo czekać.

W jego głosie wyraźnie pobrzmiwało ostrzeżenie, więc uśmiechnęłam się uspokajająco.

– Mnie to nie dotyczy – wyjaśniłam. – Pytam z ciekawości.

Odprężył się.

– Ach. Nie przypuszczałem.

Hałas na ulicy oznajmiał przejazd niebiesko-srebrnej karocy wicehrabiny. Stangret machał rękami i krzyczał na pieszych. Ludzie musieli szybko chować się w drzwiach i alejkach, żeby uniknąć przejechania.

– *A la lanterne** [*Na szafot!] – mruknęłam cichutko. Rzadko się zdarzało, żeby moja niezwykła perspektywa dawała mi wiele satysfakcji, ale teraz z pewnością tak było. – Nie pytaj, kogo wzywa szubienica – zauważyłam, odwracając się do Raymonda. – Ciebie.

Wyglądał na lekko oszołomionego.

– Naprawdę? W każdym razie mówiłaś, że na przeczyszczenie używasz czarnej bukwy. Ja zaleciłbym białą.

– Tak? A dlaczego?

Więcej już nie wracaliśmy do wicehrabiny. Usiedliśmy, żeby zająć się własnymi sprawami.

Cicho zamknęłam za sobą drzwi salonu. Przez chwilę stałam bez ruchu, zbierając się na odwagę. Spróbowałam wziąć głęboki, uspakajający wdech, ale przez obcisły, fiszbinowy gorset wyszedł z tego zduszony charkot.

Jamie podniósł głowę znad zamówień i zamarł z szeroko otwartymi oczami. Otworzył usta, ale nie mógł wydobyć słowa.

– Jak ci się podobam? – Chwyciłam tren, może zbyt żarliwie, i weszłam do pokoju.

Delikatnie kołysałam biodrami, jak poinstruowała mnie krawcowa, żeby pokazać cieniutkie godety z plisowanego jedwabiu, wszyte w spódnice.

Jamie zamknął usta i kilka razy zamrugał.

– Jest... ach... czerwona, prawda? – wyjąkał.

– Raczej. *Sang-du-Christ*, ściśle mówiąc. Krew Chrystusa, najmodniejszy kolor w sezonie, jak mi dano do zrozumienia.

– Nie każda kobieta mogłaby to włożyć, madame – oświadczyła krawcowa z ustami pełnymi szpilek, co wcale nie utrudniało jej mówienia. – Ale pani, z taką karnacją! Matko Boska, przez cały wieczór mężczyźni będą pani wpełzać pod suknię!

– Niech no któryś spróbuje, a nadepnę mu na palce – oznajmiłam złowieszczo.

Przecież nie o to mi chodziło. Ale chciałam być widoczna. Jamie kazał mi uszyć suknię, która wyróżni mnie w tłumie. Mimo porannego zamroczenia król zapamiętał Jamiego z *lever*, więc zostaliśmy zaproszeni na bal do Wersalu.

– Muszę dotrzeć do bogatych ludzi – powiedział Jamie, gdy układaliśmy plan. – A że nie mam ani pozycji, ani władzy, trzeba sprawić, żeby sami szukali mojego towarzystwa.

– Spojrzał na mnie z ciężkim westchnieniem. W wełnianej koszuli nocnej z pewnością nie wyglądałam olśniewająco.

– Powinniśmy więc bywać w salonach i na królewskim dworze – ciągnął rozważania.

– Zorientują się, że jestem Szkotem. Będą pytać o księcia Karola i o to, czy Szkocja wyczekuje powrotu Stuartów. Mogę ich dyskretnie zapewnić, że większość Szkotów wiele by zapłaciła, żeby Stuartowie nie wrócili... chociaż to trochę sprzeczne z ogólną tendencją.

– Tak, lepiej bądź dyskretny – zgodziłam się. – Bo księżę Karol poszczuje cię psami, kiedy następnym razem złożysz mu wizytę. – Zgodnie z planem śledzenia poczynań Karola, Jamie obowiązkowo co tydzień odwiedzał mały dom na Montmartrze.

Jamie uśmiechnął się krótko.

– Cóż, pozostaję wierny Jego Wysokości i sprawie Stuartów. A skoro Karol Stuart nie jest przyjmowany na dworze, a ja jestem, prawdopodobieństwo, że księżę dowie się, co opowiadam, nie jest duże. Jakobici w Paryżu z zasady się nie pokazują. Przede wszystkim są zbyt biedni, żeby bywać w modnych kręgach. Ale my mamy pieniądze dzięki Jaredowi.

Jared zgodził się – z zupełnie innych powodów – na wysuniętą przez Jamiego propozycję. Mogliśmy poszerzać zasięg zwykłych zawodowych kontaktów tak, żeby

francuska szlachta i głowy zamożnych rodzin bankierskich wydeptały ścieżkę do drzwi naszego domu. Mieliśmy ich czarować i rozpieszczać winem reńskim, ciekawą rozmową, wyrafinowaną rozrywką i dużymi ilościami dobrej szkockiej whisky, którą Murtagh przez ostatnie dwa tygodnie przewoził przez kanał i wyładowywał do naszych piwnic.

– Zawsze znajdzie się rozrywka, która przyciągnie możnych – mówił wtedy Jamie, szkicując plany na odwrocie dużej kartki z poematem, opisującym bezwstydną romans pomiędzy hrabią Sevigny a żoną ministra rolnictwa. – Cała szlachta dba o pozory. Na początek więc musimy się odpowiednio pokazać.

Sądząc z jego oszołomionej miny, dobrze zaczęłam. Wykonałam obrót. Ogromna spódnica wyduła się jak dzwon.

– Niezła, co? – zagadnęłam. – W każdym razie bardzo widoczna.

W końcu odzyskał głos.

– Widoczna? – zaskrzeczał. – Widoczna? Boże, widzę każdy cal twojego ciała aż do trzeciego zebra!

Spojrzałam w dół.

– Wcale nie. Pod koronką jest podszewka z białej charmeuse.

– Tak? A wygląda jak twoja skóra. – Podszedł bliżej. Schylił się, żeby obejrzeć stanik sukni. Zajrzał mi za dekollet. – Chryste, widzę pępek. Chyba nie chcesz się tak pokazać publicznie!

Słyszając to, trochę się nastroszyłam. Sama odrobinę się denerwowałam z powodu ogromnego dekolletu, chociaż

jego wielkość pozostawała w zgodzie z obowiązującą modą.

Krawcowa pokazywała mi szkice modnych sukni. Reakcja Jamiego wywołała jednak we mnie chęć buntu.

– Ty sam kazałeś, żeby była widoczna – przypomniałam. – Poza tym to absolutnie nic w porównaniu z ostatnimi rewelacjami krawiectwa dworskiego. Wierz mi, będę uosobieniem skromności przy madame de Perignon i księżnej Rouen. – Oparłam ręce na biodrach i spoglądałam na niego zimno. – A może wolisz, żebym pokazała się na balu w mojej zielonej sukieneczynie?

Jamie odwrócił oczy od dekoltu i zacisnął usta.

– Mhm – mruknął z najbardziej szkocką miną, jaką można sobie wyobrazić.

Podeszłam bliżej i położyłam mu dłoń na ramieniu.

– Daj spokój – powiedziałam łagodnie. – Bywałeś już na królewskim dworze.

Z pewnością wiesz, jak ubierają się damy. Ta suknia w porównaniu z innymi wcale nie jest szokująca.

Rzucił na mnie okiem i uśmiechnął się trochę zawstydzony.

– Tak, to prawda. Tylko że... Cóż, jesteś moją żoną, Angielko. Nie chcę, żeby inni mężczyźni patrzyli na ciebie tak, jak ja na tamte kobiety.

Zaśmiałam się, zarzuciłam mu rękę na szyję i przyciągnęłam do siebie. Objął mnie w talii. Bezwiednie głaskał kciukami miękkie, czerwony jedwab, przylegający do mojego torsu. Jego dłonie prześliznęły się w górę po materiale. Jedna chwyciła miękką krągłość mojej piersi wydymającej się nad gorsetem, bezwstydnie wolnej pod

tylko jedną warstwą cienkiego jedwabiu. W końcu Jamie puścił mnie. Wyprostował się i z powątpiewaniem potrząsnął głową.

– Chyba będziesz musiała iść w tej sukni, Angielko. Ale na miłość boską, uważaj.

– Na co?

Jego usta wygięły się w ponurym uśmiechu.

– Kobieto, czy ty nie widzisz, jak wyglądasz? Mam ochotę cię zgwałcić na miejscu.

A te przekłete żabojady nie umieją się tak hamować, jak ja. – Lekko zmarszczył brwi. – Czy nie mogłabyś się trochę zakryć u góry? – Wskazał swój koronkowy żabot, przypięty rubinową szpilką. – Żabotem albo chociaż chusteczką do nosa?

– Mężczyźni w ogóle nie znają się na modzie – westchnęłam. – Ale nie martw się.

Krawcowa mówi, że właśnie do osłony służy wachlarz. – Machnęłam dopasowanym, ozdobionym koronką wachlarzem. Uczyłam się tego gestu piętnaście minut. Wachlarz rozpostarł się kusząco nad biustem.

Jamie z zamyśleniem zamrugął oczami, a potem wyjął z szafy mój płaszcz.

– Zrób coś dla mnie, Angielko – powiedział, narzucając mi ciężki aksamit na ramiona. – Weź większy wachlarz.

W kategoriach przyciągania uwagi suknia odniosła ogromny sukces. W kategorii wpływu na ciśnienie krwi Jamiego, nie było to tak jednoznaczne.

Jamie wciąż tkwił przy moim ramieniu. Łypał na każdego mężczyznę, który spojrzał w moim kierunku. W

pewnym momencie podeszła Annalise de Marillac. Dostrzegła nas z drugiego końca sali. Jej delikatne rysy ułożyły się w powitalny uśmiech. Uśmiech na mojej twarzy zamarł. Annalise de Marillac okazała się „znajomą” Jamiego z jego poprzedniego pobytu w Paryżu. Była piękna, urocza i niezwykle drobna.

– *Mon petit sauvage** [*Mój mały dzikusek.] – zwróciła się do Jamiego. – Musisz kogoś poznać. Właściwie kilka osób. – Przekrzywiła głowę w kierunku paru mężczyzn przy stoliku szachowym w rogu. Panowie żarliwie o czymś rozprawiali. Rozpoznałam księcia Orleanu i Gerarda Gobelina, znanego bankiera. Czyli wpływowa grupa.

– Chodź zagrać z nimi w szachy – ponagliła Annalise. Położyła na ramieniu Jamiego dłoń przypominającą ćmę. – Będzie to też dobre miejsce na spotkanie z Jego Wysokością.

Spodziewano się, że król przyjdzie po zjedzeniu kolacji, za godzinę czy dwie.

Tymczasem goście przechadzali się w tę i z powrotem, konwersowali, podziwiali obrazy na ścianach, flirtowali za wachlarzami, jedli kawałeczki duszonego mięsa i placuszki z owocami, pili wino. Czasami znikali w dziwnych, osłoniętych zasłonami alkowach.

Kotary były sprytnie dopasowane do ścian, prawie niewidoczne, chyba że podeszło się dość blisko, żeby usłyszeć odgłosy z wewnątrz.

Jamie się zawahał, więc Annalise pociągnęła trochę mocniej.

– Chodź już – ponagliła. – Nie bój się o swoją

Dame. – Z uznaniem spojrziała na moją suknię – Nie zostanie długo sama.

– Tego właśnie się obawiam – mruknął Jamie. – Dobrze, za chwileczkę. – Wyszwolecił się z uścisku Annalise i schylił się, żeby szepnąć mi do ucha:

– Jeśli znajdę cię w alkowie z jakimś mężczyzną, położę go trupem na miejscu. A co do ciebie... – Jego dłonie przesunęły się bezwiednie w kierunku pasa.

– O, nie – powiedziałam. – Przysiągłeś na swój sztylet, że już nigdy mnie nie uderzysz. Taką ma dla ciebie wartość Święte Żelazo?

Niechętny uśmiech zagościł na jego ustach.

– Nie, nie zbiję cię, chociażbym chciał.

– Dobrze. A co mi zrobisz? – zapytałam, żeby trochę się z nim podrażnić.

– Coś wymyślę – odparł ponuro. – Jeszcze nie wiem co, ale na pewno ci się nie spodoba.

Jeszcze raz rozejrzał się groźnie, ścisnął mnie za ramię i pozwolił Annalise się odprowadzić. Wyglądała jak mały holownik ciągnący oporną barkę.

Annalise miała rację. Ledwo Jamie oddalił się kilka kroków, panowie z dworu zbiegli się do mnie jak stado papug do dojrzałego owocu passiflory.

Całowali mnie w rękę, przytrzymywali ją w dłoni, składali mi kwieciste komplementy i przynosili kolejne kubki korzennego wina, jak nie kończąca się procesja. Po pół godzinie zaczęły mnie boleć stopy. Twarz zdrętwiała mi od uśmiechu, a dłoń od wachlowania.

Byłam wdzięczna Jamiemu za nieustępliwość w kwestii wachlarza. Zgodnie z prośbą męża, wzięłam

największy, jaki miałam: długości trzydziestu centymetrów, pomalowany w szkockie jelenie skaczące na wrzosowisku. Jamiemu niezbyt podobał się ten wzór, ale zaaprobował wielkość. Wdzięcznie odpędzałam wachlarzem umizgi zapalczywych młodzieńców w purpurze albo jak gdyby nigdy nic rozpościerałam go pod brodą, żeby strząsnąć okruszki z dekoltu, kiedy skubałam kawałek tostu z lososiem.

Wachlarzem posłużyłam się też w paru innych sytuacjach. Jamie wyższy ode mnie o głowę, twierdził, że widzi mój pępek. Francuscy dworzanie nie mieli tak dobrego punktu obserwacyjnego, bo w większości byli dość niscy.

Kilku jednak odważniej szych admiratorów zaglądało mi w dekolt, więc energicznie wachlowałam, żeby odtrącić natarczywe spojrzenia. Jeśli to nie wystarczało, szybko składałam wachlarz, przy czym uderzałam nim amanta w głowę.

Wielką ulgę sprawił mi głos lokaja spod drzwi, który zaintonował:

– *Sa Majeste, Le Roi Louis!** [*Jego Wysokość król Ludwik.]

Król najwyraźniej rozkwitał w nocy. Ludwik niewiele wyższy ode mnie wszedł w towarzystwie postawnego mężczyzny. Monarcha rozglądał się na lewo i prawo, łaskawie kiwał głową do swoich kłaniających się poddanych.

Taka postawa władcy o wiele bardziej pasowała do moich wyobrażeń o tym, jak powinien wyglądać król. Niezbyt przystojny, zachowywał się tak, jakby był

przystojny.

Bogactwo stroju podkreślało to wrażenie. Ludwik miał najmodniejszą, zaczesaną w tył perukę i aksamitny surdut, z wyhaftowanymi setkami jedwabnych motyli. Wierzchnie okrycie rozcięte w połowie, odsłaniało kamizelkę z przepysznego, kremowego jedwabiu z diamentowymi guzikami, pasującymi do szerokich, przypominających motyle klamer na jego butach.

Ciemne oczy bezustannie przesuwaly się po tłumie, a dumny nos Burbonów unosił się, jakby węszył za kimś ciekawym.

Przystojny Szkot ubrany w kilt i szal, w surducie i kamizelce z usztywnionego, żółtego jedwabiu, z ognistymi włosami rozpuszczonymi na ramiona, z jednym, małym łańcuchem po jednej stronie, przewieszonym na starą, szkocką modłę. Myślałam właśnie, że to Jamie przyciągnął uwagę króla, bo *Le Roi Louis* zmienił kierunek i skręcił do nas, a tłum rozstępował się przed nim jak fale Morza Czerwonego. Madame Nesle de La Tourelle, którą rozpoznałam z poprzedniego przyjęcia, podążała za władcą jak szalupa za statkiem.

Zapomniałam o czerwonej sukni; Jego Wysokość zatrzymał się tuż przede mną i skłonił się dostojnie, z dłonią na piersi.

– *Chere madame!* – powiedział. – Jesteśmy oczarowani.

Usłyszałam głęboki wdech. Jamie wystąpił naprzód i złożył pokłon królowi.

– Przedstawiam moją żonę, Wasza Wysokość. Pani Broch Tuarach. – Wyprostował się i cofnął. Szybko

poruszył palcami. Nie rozumiałam, o co mu chodzi. Nagle uświadomiłam sobie, że to znak, żebym dygnęła.

Zrobiłam to automatycznie. Staralam się patrzeć w podłogę i przez ten krótki moment zastanawiałam się, gdzie podniosę wzrok. Madame Nesle de la Tourelle stała tuż za Ludwikiem. Przyglądała się prezentacji z raczej znudzonym wyrazem twarzy. Krążyły plotki, że Nesle była obecną faworytą Ludwika. Wedle obowiązującej mody miała na sobie suknię odciętą pod obiema piersiami, z odrobiną gazy, która z pewnością stanowiła jedynie modną dekorację, ponieważ nie mogła ani dawać ciepła, ani niczego ukryć.

Jednak uderzył mnie nie krój sukni ani nawet nie to, co odsłaniała. Piersi Nesle, dość okazałe, o ładnych proporcjach, zakończone dużymi, brązowymi aureolami, zdobiła para klejnotów, które odsuwały w cień piękno biustu. Para inkrustowanych diamentami łabędzi z rubinowymi oczami wyciągała do siebie szyje, kołysząc się na złotych kółeczkach. Robota była misterna, a materiały wzbudzały zachwyt, ale fakt, że złote kółka przechodziły przez sutki, sprawił, iż poczułam się słabo. Same sutki były obwisłe, ale ten mankament kryły dwie duże perły wiszące na cienkich, złotych łańcuszkach, rozciągających się w obie strony od głównego kółka.

Podniosłam się mocno zaczerwieniona. Zdołałam przeprosić, kaszłąc w chusteczkę i cofając się. Po paru krokach zatrzymałam się, żeby nie wpaść na Jamiego, który gapił się na kochankę króla. Nawet nie udawał taktownej obojętności.

– Maria d'Arbanville powiedziała, że sutki przekłuł

jej mistrz Raymond – zauważyłam cichutko. Jamie nawet nie mrugnął. Nadal gapił się z fascynacją. – Czy mam się zapisać? – zapytałam. – Myślę, że zrobi to dla mnie, jeśli dam mu przepis na kminkówkę.

Jamie w końcu oderwał wzrok od Nesle. Chwycił mnie za łokieć i poprowadził do alkowy.

– Jeśli chociaż porozmawiasz z mistrzem Raymondem – syknął – przekłuję ci je sam.

Zębami.

Król przeszedł już w stronę Salonu Apolla, a przestrzeń wolną po jego przejściu szybko zajęli inni, przybyli z jadalni. Jamie pogrążył się w rozmowie z panem Genetem, głową zamożnej rodziny armatorów. Rozejrzałam się więc za miejscem, gdzie mogłabym na chwilę zdjąć buty.

Byłam w pobliżu nie zajętej przez nikogo alkowy. Wysłałam admiratora po wino, szybko rozejrzałam się wokoło i czmychnęłam za kotarę.

Umeblowanie alkowy wydawało się jednoznaczne: kozetka, niewielki stolik i para krzeseł – wygodniejszych do układania na nich ubrań niż do siedzenia, pomyślałam krytycznie. Usiadłam jednak, zsunęłam pantofelki i z westchnieniem ulgi położyłam stopy na drugim krześle.

Delikatny dźwięk dzwoneczków przy zasłonie niezbitcie świadczył o tym, że moje odejście nie pozostało nie zauważone.

– Madame! Wreszcie jesteście sami!

– Tak, tym gorzej – mruknęłam. Był to jeden z niezliczonych hrabiów, jak sądziłam.

Nie, wicehrabia; ktoś przedstawił mi go jako

wicehrabiego de Rambeau. Rozpoznawałam paciorkowate oczka, gapiące się na mnie ponad skrajem wachlarza.

Arystokrata nie tracił czasu. Zręcznie wślizgnął się na drugie krzesło i położył sobie moje stopy na kolana. Palce w jedwabnych pończoszkach żarliwie przycisnął do krocza.

– Ach, *ma petite!* Jakie delikatne! Twoja uroda mnie rozprasza!

Pomyślałam, że chyba tak, skoro uroił sobie, że moje stopy są szczególnie delikatne.

Uniósł jedną do ust. I zaczął skubać zębami palce.

Wyszarpnęłam stopę z jego uścisku i szybko wstałam, choć suta spódnica bardzo ograniczała ruchy.

– Nie sądzę, żeby mój mąż był zadowolony, widząc tu pana – powiedziałam trochę nerwowo.

– Pani mąż? Phi! – Zlekceważył Jamiego machnięciem ręki. – Na pewno jest bardzo zajęty. A kiedy kota nie ma... Chodź to mnie, *ma petite souris*; zapiszcz dla mnie.

Prawdopodobnie w zamiarze wzmocnienia się przed szarpaniną, wicehrabia wyjął z kieszeni emaliowaną tabakierkę, umiejętnie ułożył rząddek ciemnych ziarenek na wierzchu dłoni i delikatnie potarł nos.

Wziął głęboki wdech... i drgnął, gdy nagle z brzękiem mosiężnych kólek, rozsunała się zasłona. Rozproszony tym wtargnięciem kichnął mi siarczyście prosto w dekolt.

Wrzasnęłam.

– Ty obrzydliwcze! – Trzasnęłam go w twarz wachlarzem.

Wicehrabia zatoczył się w tył. Oczy mu łzawiły. Potknął się o leżące na podłodze pantofelki, rozmiar dziewięć, i runął głową naprzód, prosto w ramiona Jamiego, który stał w drzwiach.

– Cóż, zwróciłeś na siebie uwagę – powiedziałam w końcu.

– Ba – odrzekł. – *Salaud* ma szczęście, że nie wyrwałem mu głowy i nie kazałem połknąć.

– Tak, zrobiłbyś ciekawe przedstawienie – zgodziłam się sucho. – Ale wrzucenie wicehrabiego do fontanny było też widowiskowe.

Podniósł wzrok. Ponurą minę zastąpił niechętny uśmiech.

– Niech się cieszy, że go nie utopiłem.

– Myślę, że wicehrabia jest ci wdzięczny za takt.

Znów prychnął. Stał na środku salonu, do którego skierował nas król. Gdy Ludwik już przestał się śmiać, nalegał, żebyśmy nie wracali tej nocy do Paryża.

– W końcu, *mon chevalier* – rzekł Jego Wysokość, patrząc na dużą, ociekającą wodą sylwetkę Jamiego – nie bylibyśmy zadowoleni, gdybyś się przeziębził. Jestem pewien, że w takim przypadku dwór zostałby pozbawiony wspaniałej rozrywki, a madame nigdy by mi nie wybaczyła. Wybaczyłabyś, kochanie? – Żartobliwie uszczypnął madame de La Tourelle w sutek.

Królewska faworyta wyglądała na lekko zirytowaną, ale uśmiechnęła się posłusznie.

Zauważyłam jednak, że kiedy tylko król przestawał na nią patrzeć, tęsknie spoglądała na Jamiego.

Cóż, musiałam przyznać, że robił wrażenie, w

świetle pochodni stał z ubraniem przyklepionym do ciała. Nie oznaczało to jednak, że apróbuję spojrzeć na Nesle.

Jamie zdjął mokrą koszulę i rzucił ją na przemoczony stos innych części garderoby.

Tak wyglądał nawet lepiej.

– A co do ciebie... – zaczął, patrząc na mnie złowrogo. – Czy nie kazałem ci trzymać się z dala od alków?

– Tak. A poza tym, pani Lincoln, jak się pani podobała sztuka? – zapytałam grzecznie.

– Co? – Gapił się na mnie, jakbym postradała zmysły.

– Nieważne; to nie z twoich czasów. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy poznałeś kogoś ważnego, zanim przybiegłeś bronić swoich małżeńskich praw?

Energicznie wycierał włosy ręcznikiem.

– Och, tak. Grałem w szachy z panem Duveraeyem. Pokonałem go i się rozzłościł.

– To brzmi obiecująco. A kim jest pan Duverney?

Rzucił mi ręcznik i uśmiechnął się szeroko.

– Francuskim ministrem finansów, Angielko.

– I ty się cieszysz, że go rozzłościłeś?

– Był zły na siebie, że przegrał – wyjaśnił Jamie. – Teraz nie spocznie, póki mnie nie pokona. Przyjdzie do nas w niedzielę, żeby znowu zagrać.

– Dobra robota! – Oceniałam. – Przy okazji możesz go zapewnić, że perspektywy Stuartów są bardzo nieciekawe, i przekonać, że Ludwik nie chce im pomagać finansowo, niezależnie od pokrewieństwa.

Kiwnął głową i odgarnął mokre włosy. Jeszcze nie

rozpalono w kominku, więc lekko drżał.

– Gdzie się nauczyłeś grać w szachy? – zapytałam z ciekawością. – Nie wiedziałam, że umiesz.

– Nauczył mnie Colum MacKenzie. Jako młodzieniec przez rok mieszkałem w zamku Leoch. Miałem nauczycieli francuskiego, niemieckiego, matematyki, ale co wieczór przychodziłem na godzinę do pokoju Columa, żeby grać w szachy. Jedną partię zwykle kończyliśmy po kilkunastu minutach. Szybko mnie pokonywał – dodał z żalem.

– Nic dziwnego, że jesteś dobry – powiedziałam. Wuj Jamiego, Colum, ofiara straszliwej choroby, prawie całkowicie sparaliżowały, miał umysł, który zawstydziłby Machiavellego.

Jamie wstał i zaczął odpinać pas, mrużąc oczy.

– Nie myśl, że nie wiem, co robisz, Angielko. Zmieniasz temat i pochlebiasz mi jak kurtyzana. Czy nie mówiłem ci o alkowach?

– Tak, ale obiecałeś, że mnie nie zbijesz. – Schowałam się głębiej w fotelu.

Prychnął, rzucił pas na komodę i położył kilt obok przemoczonej koszuli.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto zbilby kobiety przy nadziei? – zapytał.

Przyglądałam mu się z powątpiewaniem. Nagi, z rudymi włosami w mokrych strąkach i z białymi bliznami na ciele, przypominał raczej wikinga, który właśnie zeskoczył ze statku i myśli tylko o gwałcie i płądrowaniu.

– Właściwie to wyglądasz tak, jakbyś był zdolny do wszystkiego – powiedziałam. – Oczywiście, zabroniłeś mi

wchodzić do alkowy. Powinnam wyjść na dwór, żeby zdjąć buty, ale skąd miałam wiedzieć, że ten idiota będzie mnie śledził i podgryzał mi palce u stóp? Co więc zamierzasz ze mną zrobić? – spytałam po chwili i mocno chwyciłam się oparcia fotela.

Położył się na łóżku i uśmiechnął się promieniście.

– Zdejmij tę suknię dziwki, Angielko, i chodź tutaj.

– Dlaczego?

– Cóż, nie mogę cię stłuc ani wrzucić do fontanny. – Wzruszył ramionami. – Chciałem cię strasznie zbesztać, ale oczy same mi się zamykają. – Ziewnął potężnie, zamrugał oczami i znów się do mnie uśmiechnął. – Przypomnij mi, żebym skrzyczał cię rano, dobrze?

– Lepiej? – Ciemnoniebieskie oczy Jamiego wyrażały duży niepokój. – Czy to dobrze, że ciągle masz mdłości, Angielko?

Odgarnęłam włosy ze spoconych skroni i przetarłam twarz wilgotnym ręcznikiem.

– Nie wiem, czy dobrze – powiedziałam słabo. – Ale przynajmniej sędzę, że to normalne. Niektóre kobiety cierpią tak przez całą ciążę. – Nie była to przyjemna myśl.

Jamie rzucił okiem za okno na słońce.

– Zejdiesz na śniadanie czy powiedzcie pokojówce, żeby ci coś przyniosła?

– Nie. Już wszystko w porządku. – Nie kłamałam. To dziwne, ale rano, gdy fala mdłości minęła, czułam się doskonale. – Tylko przepłuczę usta.

Gdy schyliłam się nad miską, żeby ochłapać twarz chłodną wodę, ktoś zastukał do drzwi. Prawdopodobnie służący, którego wysłano do naszego domu w Paryżu po

czyste ubrania, pomyślałam.

Ku mojemu zaskoczeniu był to jednak dworzanin z pisemnym zaproszeniem na obiad.

– Jego Wysokość je dziś z angielskim szlachcicem, który niedawno przybył do Paryża – wyjaśnił posłaniec. – Król wezwał na obiad kilku najważniejszych angielskich kupców z Cite, żeby zapewnić gościowi towarzystwo rodaków. Ktoś wspomniał Jego Wysokości, że madame jest angielską damą, więc również powinna być zaproszona.

– Dobrze – odparł Jamie i rzucił na mnie okiem. – Przekaż Jego Wysokości, że będziemy zaszczyceni, mogąc zostać.

Wkrótce potem przybył Murtagh, kwaśny jak zwykle, z dużym tobołem ubrań i moim kuferkiem z lekami, o który prosiłam. Jamie zabrał kuzyna do salonu, żeby wydać mu polecenia na cały dzień, a ja pośpiesznie wbiłam się w świeżą sukienkę. Po raz pierwszy żałowałam, że nie zatrudniam pokojówki. Moje włosy, zawsze niesforne, zmierzwiły się jeszcze bardziej po nocy w uścisku z dużym, mokrym Szkotem; kosmyki wystrzelały w różnych kierunkach, opierały się wszelkim próbom ułożenia ich szczotką i grzebieniem.

W końcu wyłoniłam się z sypialni, zaróżowiona z wysiłku, ale z włosami we względnym porządku. Jamie spojrzął na mnie i mruknął pod nosem coś o jeżach.

Spiorunowałam go wzrokiem, więc natychmiast zamilkł.

Przechadzka pośród klombów i fontann ogrodów pałacowych pomogła mi całkowicie odzyskać formę. Większość drzew wciąż nie miała liści, ale dzień był

niespodziewanie ciepły jak na koniec marca. Pączki na gałęziach pachniały świeżo i przenikliwie. Prawie czuło się, jak żywiej krąży sok w ogromnych kasztanowcach i topolach, które rosły wzdłuż ścieżek i kryły setki białych, marmurowych posągów.

Zatrzymałam się przed statuą w połowie odzianego mężczyzny z winogronami we włosach i fujarką przy ustach. Duży, jedwabisty kozioł żarłocznie skubał winogrona, kaskadą opadające z marmurowych fałd draperii.

– Kto to jest? – zapytałam. – Pan?

Jamie z uśmiechem potrząsnął głową. Był ubrany w stary kilt i znoszony, choć wygodny surdut, ale podobał mi się o wiele bardziej niż luksusowo odziani dworzanie.

Dostojne towarzystwo mijало nas w rozgadanych grupkach.

– Sądę, że jest tu posąg Pana, ale to nie ten. To jeden z Czterech Humorów Człowieka.

– Wygląda na wesółka – powiedziałam, zerkając na uśmiechniętego przyjaciela kozła.

Jamie się zaśmiał.

– I ty jesteś lekarzem, Angielko! Nie o takie humory chodzi. Nie wiesz o czterech humorach, które tworzą ludzkie ciało? To jest Krew. – Wskazał grającego na fujarce.

Potem machnął ręką na kolejne posągi. – A to Czarna Żółć. – Rzeźba przedstawia wysokiego mężczyznę w todze, z otwartą książką w dłoni.

Jamie pokazywał dalej.

– A to Żółć. – Uosabiał ją nagi, muskularny

młodzieniec. Kamienna postać dziko się krzywiła, nie zwracając uwagi na marmurowego lwa, który właśnie zabierał się do ugryzienia jej w nogę.– A to Flegma.

– Naprawdę? – Brodaty pan w zgniecionym kapeluszu, stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi. U jego stóp znajdował się żółw.

– Czy w twoich czasach lekarze nie uczą się o humorach? – zapytał zaciekawiony Jamie.

– Nie – odparłam. – Ale za to o zarodkach.

– Zarodki – powtórzył ze szkockim akcentem, co zabrzmiało niezwykle złowieszczo.

– Zarrrodki. A jak one wyglądają?

Spojrzałam na postać Ameryki, dziewczyny w spódniczce i nakryciu głowy z piór, z krokodylem u stóp.

– Cóż, nie wyszłyby z nich tak malownicze posągi – odparłam.

Rzeźba krokodyla przypomniała mi o sklepie mistrza Raymodna.

– Czy na poważnie zabroniłeś mi chodzić do mistrza Raymonda? – zapytałam. – Czy tylko nie chcesz, żebym przekłuła sobie sutki?

– Tego sobie zdecydowanie nie życzę. – Wziął mnie pod łokieć i pośpiesznie ruszył dalej, żeby nagie piersi Ameryki nie natchnęły mnie jakąś złą inspiracją. – A swoją drogą, wolałbym, żebyś nie odwiedzała mistrza. Krążą o nim nieciekawe plotki.

– W Paryżu krążą plotki o każdym – zauważyłam – I chętnie się założę, że Raymond zna je wszystkie.

Jamie potaknął. Jego włosy lśniły w bladym, wiosennym słońcu.

– Możliwe. Ale tego, co potrzeba, mogę się dowiedzieć w tawernach i salonach.

Mówią, że mistrz Raymond jest w jakimś szczególnym kręgu, ale nie sympatyków jakobitów.

– Naprawdę? A kogo?

– Kabalistów, okultystów. Może też czarownic.

– Jamie, chyba nie przejmujesz się czarownicami i demonami?

Dotarliśmy do części ogrodu znanej jako „zielony kobieriec”. Wczesną wiosną zieleń ogromnego trawnika była zaledwie słabym odcieniem, ale i tak wiele osób przechadzało się alejkami. Wszyscy korzystali z wyjątkowo ładnego dnia.

– Nie czarownicami, nie – powiedział w końcu. Znalazł miejsce przy żywopłocie z forsycji i usiadł na trawie. – Ale hrabią St. Germainem, owszem.

Przypomniałam sobie spojrzenie ciemnych oczu hrabiego w Hawrze. Zadrżałam, mimo słońca i wełnianego szala, którym się okryłam.

– Myślisz, że jest powiązany z mistrzem Raymondem?

Jamie wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale to ty opowiedziałaś mi plotki o St. Germainie. A jeśli mistrz należy do tego samego kręgu, to powinnaś go unikać jak ognia, Angielko. – Rzucił mi chytry uśmiech. – Żebyś znów nie musiał cię ratować przed spalaniem na stosie.

Cienie pod drzewami przypomniały mi mrok więzienia w Cranesmuir. Znów zadrżałam. Przysunęłam się do Jamiego.

– Wolałabym, żeby to się nie powtórzyło.

Gołębie zalecały się do siebie na trawie, pod kwitnącą forsycją. Panie i panowie z dworu zachowywali się podobnie na ścieżkach wiodących przez ozdobione rzeźbami ogrody. Główna różnica polegała na tym, że gołębie aż tak bardzo nie hałasowały.

W stronę naszego miejsca odpoczynku nadciągał mężczyzna w jedwabiach koloru morza. Głośno rozwodził się nad boskością wczorajszej sztuki. Trzy towarzyszące mu panie, choć nie tak widowiskowe, wiernie powtarzały jego opinie.

– Wspaniały! Wspaniały głos ma La Couelle!

– Och, doskonały! Tak, cudowny!

– Uroczy, uroczy! Wspaniały to jedyne odpowiednie słowo!

– Och, tak, wspaniały!

Głosy – wszystkie cztery – były piskliwe; przypominały skrzywienie gwoździ wyciąganych z drewna. Za to pan gołąb, drepczący tuż przy mnie, wydawał z siebie niskie i słodkie gruchanie. Głębokie miłosne mruczenie podnosiło się do gwizdu, gdy ptak straszyl pierś, kłaniał się i kładł serce u stóp swej pani. Na wybrance jednak zaloty chyba nie robiły większego wrażenia.

Spojrzałam nad gołębiem w kierunku morskiego dworzanina. Mężczyzna wrócił, żeby chwycić koronkową chusteczkę do nosa, kokietyjnie upuszczoną przez jedną z jego towarzyszek.

– Panie nazywają go „l’Andouille” – zauważyłam. – Ciekawe dlaczego.

Jamie chrząknął sennie i otworzył oko. Spojrzał za

odchodzącym dworzaninem.

– Ach tak, „Kiełbasa”. To znaczy, że nie może utrzymać rogera w spodniach. Znasz ten typ... Damy, lokaje, kurtyzany, paziowie. I pieski salonowe, jeśli wierzyć plotkom – dodał. Przymrużonymi oczami powiódł za nikiem morskim jedwabiem. Do wystrojonego fircyka zbliżała się teraz dama dworu, z włochatym, białym czymś przytulonym do obfitego biustu. – Nieostrożny. Ja nie zbliżyłbym mojego do żadnej z tych małych, szczekających kulek futra.

– Twojego rogera? – zapytałam ubawiona. – Kilka razy słyszałam nazwę „peter”.

A Jankesi, z jakiegoś szczególnego powodu, mówią na przyrodzenie „dick”. Kiedyś drażnił się ze mną pacjent, więc nazwałam go „Sprytnym Dickiem”. Tak się śmiał, że omal nie popękały mu szwy.

Jamie sam się zaśmiał. Przeciągnął się w ciepłym, wiosennym słońcu, zamrugął i położył się na plecach.

– Mnie też to bawi – powiedział. Odgarnęłam mu włosy z czoła i pocałowałam go między oczami.

– Dlaczego mężczyźni nadają im imiona? – zagadnęłam po chwili. – „John Thomas”, na przykład. Albo „roger”. Kobiety tego nie robią.

– Nie? – zapytał Jamie z zainteresowaniem.

– Oczywiście, że nie. Równie dobrze mogłabym nazwać swój nos „Jane”.

Szeroka pierś zatrzęsała się od śmiechu. Położyłam się na Jamiem. Cieszył mnie dotyk mocnego ciała. Przycisnęłam się do Jamiego biodrami, ale bariera z warstw sutych halek wykluczała wszelkie podteksty tego gestu.

– Cóż, tobie nic samo nie podskakuje ani nie żyje własnym życiem, niezależnie od tego, czego ty byś sobie życzyła – powiedział logicznie Jamie. – W każdym razie, z tego co wiem – dodał i pytająco uniósł brew.

– Nie, dzięki Bogu. Zastanawiam się, czy Francuzi nazywają swoje przyrodzenie „pierre” – wtrąciłam, spoglądając na przechodzącego eleganta w zielonym, welwetowym stroju.

Jamie wybuchnął śmiechem, który wypłoszył gołębie z krzewu forsycji. Odleciały z oburzeniem. Zostały po nich tylko szare kupki. Kudłaty biały piesek, do tej pory zadowolony, że pani kołysze go w objęciach, teraz wyskoczył z ciepłego gniazdka i entuzjastycznie pobiegł za ptakami, głośno ujadając. Tuż za nim truchtała jego pani, wydając podobne okrzyki.

– Nie wiem, Angielko – odpowiedział. Powoli dochodził już do siebie i ocierał łzy. – Jedyne Francuz, który nazwał go w mojej obecności, użył imienia „georges”.

– Georges! – powtórzyłam, na tyle głośno, żeby zwrócić uwagę małej grupki przechodzących dworzan. Jeden, niski, ale energiczny osobnik w dramatycznej czerni przeciętej białą satyną, zatrzymał się obok. Skłonił się głęboko i zamiótł kapeluszem ziemię przede mną. Jedno oko miał opuchnięte, a na nosie kwitł mu okazały siniak, ale ogólnie wyglądał bardzo stylowo.

– Do usług, madame – powiedział.

Wszystko poszłoby dobrze, gdyby nie przekłete słowiki. W jadalni było gorąco i tłoczno od dworzan i gapiów. Na dodatek jedna z fiszbin sukni wysunęła się i

dźgała mnie pod lewą nerką za każdym razem, gdy nabierałam powietrza. Poza tym cierpiałam na najpopularniejszą dolegliwość ciąży – konieczność siusiania co kilka minut. Ale i tak mogłabym wytrzymać. W końcu wstanie od stołu przed królem oznaczało poważne pogwałcenie etykiety, chociaż obiad był dość luźnym spotkaniem w porównaniu z formalnymi przyjęciami zwykle organizowanymi w Wersalu – albo tak przynajmniej dano mi do zrozumienia...

Prawda, podano tylko trzy odmiany marynaty, nie osiem. I jedną zupełną, rzadką, nie gęstą. Dziczyzna była tylko upieczona, nie en brochette. Rybę, choć smacznie przyrządzoną w winie, zaserwowano w formie filetu, a nie w całości, pływającą w morzu auszpiku pełnym krewetek.

Jakby sfrustrowany tak wiejską prostotą, jeden z kucharzy przygotował uroczą przekąskę: gniazdo, sprytnie uplecione z pasczków ciasta, ozdobione prawdziwymi gałązkami kwitnącej jabłoni. Na gałązkach zatknięto dwa słowiki, oskubane i upieczone, nadziane jabłkiem i cynamonem, a potem ponownie ubrane w piórka. W gnieździe znajdowała się cała rodzina maleńkich ptaszków, z wyciągniętymi skrzydełkami, brązowymi i chrupkami; z delikatną, nagą skórką posmarowaną miodem, z otwartymi, poczerniałymi dzióbkami, w których widać było odrobinę migdałowego nadzienia.

Po tryumfalnym pochodzie wokół stołu – przy akompaniamencie pomruków podziwu – wyborne danie postawiono przed królem. Monarcha przerwał rozmowę z madame de La Tourelle, żeby wyciągnąć jedno z piskląt i wrzucić je sobie do ust.

Chrum, chrum, chrum. Jak zahipnotyzowana patrzyłam na napinające się mięśnie szyi Ludwika i czułam maleńkie kosteczki przesuwające się w dół moim własnym przełykiem. Upierścienione palce sięgnęły od niechcenia po kolejne maleństwo.

W tym momencie uznałam, że są rzeczy gorsze niż obrażenie Jego Wysokości odejściem od stołu. I wybiegłam.

Gdy parę minut później podniosłam się z kolan w krzakach, usłyszałam za sobą jakiś dźwięk. Spodziewałam się zobaczyć słusznie rozzłoszczonego ogrodnika. Odwróciłam się z poczuciem winy i zobaczyłam zagniewanego męża.

– Psiakrew, Claire, czy musisz to robić cały czas? – zapytał.

– Powiem krótko. Tak. – Wyczerpana opadłam na krawędź zdobionej fontanny.

Wytarłam wilgotne ręce o spódnicę. – Myślisz, że zwymiotowałam dla zabawy? – Kręciło mi się w głowie. Zamknęłam oczy. Próbowалам odzyskać równowagę, żeby nie wpaść do fontanny.

Poczułam na plecach dłoń. Jamie usiadł obok i przytulił mnie, a ja opadłam w jego ramiona.

– O, Boże. Przepraszam, *mo duinne*. Dobrze się czujesz?

Odsunęłam się, żeby spojrzeć na niego z uśmiechem.

– Dobrze. Tylko trochę kręci mi się w głowie. – Próbowалам wygładzić palcami głęboką zmarszczkę na jego czole. Odwzajemnił uśmiech, ale zmarszczka została:

cienka, pionowa linia pomiędzy grubymi, piaskowymi brwiami. Zamoczył dłoń w wodzie i przetarł mi policzki. Pewnie byłam bardzo blada.

– Przepraszam – dodałam. – Naprawdę, Jamie, nie mogłam nic na to poradzić.

Wilgotna, mocna dłoń uspakajająco ścisnęła mnie za kark. Kropelki tryskające z pyska delfina o wylupiastych oczach opadały mi na włosy.

– Nie gniewaj się, Angielko. Nie chciałem na ciebie krzyżeć. Tylko że... – Machnął bezradnie ręką. – Czuję się takim głupcem. Widzę cię w nieszczęściu i wiem, że cierpisz przeze mnie, a ja nie mogę pomóc. Więc obwiniam za to ciebie i zachowuję się strasznie, krzyżę... Dlaczego nie powiesz, żebym poszedł do diabła?

Śmiałam się tak, że aż rozbolały mnie boki pod gorsetem. Mocno trzymałam się ramienia.

– Idź do diabła, Jamie – powiedziałam w końcu, wycierając oczy. – Idź prosto do diabła. Idź! Nie podnoś z ziemi dwustu dolarów. Proszę. Czy już ci lepiej?

– Tak – odparł z rażniejszą miną. – Kiedy zaczynasz wygadywać głupoty, wiem, że wszystko w porządku. A czy tobie lepiej, Angielko?

Kiwnęłam głową. Powoli już zaczynałam zauważać otoczenie. Ogrody Wersalu były otwarte dla wszystkich, więc niewielkie grupy kupców i robotników mieszały się z jaskrawo odzianymi szlachcicami. Każdy cieszył się ładną pogodą.

Nagle pobliskie drzwi na taras szeroko się otworzyły. Do ogrodu wylała się fala rozgadanych gości króla. Do biesiadników dołączyło nowe towarzystwo, które

niedawno przybyło dwoma dużymi powozami. Widziałam zaprzęgi jadące za ogrodem w kierunku odległych stajni.

Duża grupa mężczyzn i kobiet była ubrana ponuro w porównaniu z jaskrawymi strojami dworzan. Ale moją uwagę przykuł raczej odgłos, nie wygląd. Francuski z pewnej odległości przypomina kwakanie i gęganie z powodu głosek nosowych. Angielski ma wolniejszy rytm i o wiele równiejszą intonację. Z daleka, gdy nie można odróżnić poszczególnych słów, brzmi jak chrapliwe, przyjazne i monotonne warczenie psa pasterskiego. Ogólnie odniosłam wrażenie, że stado owczarków zaganiało pałacową gromadę gęsi.

Przybyli angielscy goście, nieco spóźnieni. Taktownie wprowadzono ich do ogrodu, żeby personel kuchenny zdążył przygotować drugi obiad i ponownie nakryć do stołu.

Z ciekawością przyjrzałam się grupie. Księża Sandringhama oczywiście znałam.

Widziałam go kiedyś w Szkocji, w zamku Leoch. Jego potężna sylwetka bardzo się wyróżniała, zwłaszcza przy Ludwiku. Modna peruka króla przekrzywiła się w grzecznym zasłuchaniu.

Większość innych gości była mi obca, choć myślałam, że stylowa dama w średnim wieku, wychodząca właśnie przez drzwi, to księżna Claymore. Słyszałam, że spodziewano się na królewskim dworze jej przyjazdu. Królowa, zwykle pozostawiona w jakiejś wiejskiej rezydencji, gdzie miała się bawić najlepiej, jak umiała, z tej okazji została wyprowadzona na spacer. Rozmawiała z gościem, a jej słodka, niespokojna twarz zarumieniła się z

ekscytacji, wywołanej niezwykle okazją.

Mój wzrok przyciągnęła dziewczyna idąca tuż za księżną. Dość zwyczajnie ubrana, miała typ urody, przez który wyróżniałaby się w każdym tłumie. Była niska, drobna, lecz ładnie zaokrąglona, z ciemnymi, lśniącymi i nie upudrowanymi włosami oraz najniezwyklejszą w świecie białą cerą. Zaróżowione policzki wyglądały jak płatki kwiatu.

Cera ślicznej panienci przypomniała mi sukienkę, którą nosiłam w moich czasach – lekką, bawełnianą, w czerwone maki. Myśl ta wywołała we mnie niespodziewaną falę tęsknoty za domem. Chwyciłam się krawędzi marmurowej ławki. Szczypały mnie powieki. Czysty angielski, westchnęłam w duchu. Po tylu miesiącach słuchania szkockiego akcentu, a potem francuskiego kwakania. Goście przypomnieli mi rodzinne strony.

Wtedy go zobaczyłam. Czulałam, jak cała krew odpływa mi z twarzy.

Z niedowierzaniem przyglądałam się kształtnej czaszce, ciemnowłosej pośród upudrowanych peruk wokół. Dzwonek alarmowy rozdzwonił się w mojej głowie jak syreny ostrzegające przed nalotem. Walczyłam, żeby odepchnąć skojarzenia.

Podświadomie zarejestrowałam znajomą linię nosa. To Frank. Jakaś siła pchała moje ciało, żeby wstało i wybiegło mu na powitanie. „Nie-Frank” powiedział, racjonalny ośrodek mózgu. Zatrzymałam się w pół kroku. Zobaczyłam znajomą krzywiznę uśmiechniętych ust. Gorączkowo zaczęłam powtarzać w myślach. „Wiesz, że to nie jest Frank”. Poczulałam skurcz mięśni. Potem panikę, gdy

powolniejszy proces logicznego myślenia uparcie wchodził w drogę instynktowi i wiedzy. Widok wysokiej brwi i arogancko przekrzywionej głowy przekonał mnie, że to nie mógł być Frank. A jeśli nie on, to...

– Jack Randall. – Te słowa wypowiedział Jamie, dziwnie spokojny i wyobcowany.

Moje zachowanie zwróciło jego uwagę. Spojrzał w kierunku, w którym patrzyłam, i zobaczył to, co ja.

Nie poruszył się. Odniosłam wrażenie, że nawet nie oddychał. Jak przez mgłę zauważyłam, że stojący obok służący ciekawie łypie na ogromną sylwetkę nieruchomego szkockiego wojownika, milczącą jak posąg Marsa. Ale ja trzaszczyłam się tylko o Jamiego.

Wciąż się nie ruszał. Stał nieruchomo jak lew na trawiastej równinie, który patrzy gniewnym wzrokiem i nawet nie mrugnie w słońcu palącym sawannę. Nagle zarejestrowałam nikły ruch, drobne drżenie pędzla na końcu ogona zaczajonego kota, zapowiadające krwawą jatkę.

Wyciągnięcie broni w obecności króla oznaczało śmierć. Murtagh był po drugiej stronie ogrodu, o wiele za daleko, żeby pomóc. Jeszcze dwa kroki i Randall znajdzie się w odległości głosu. W zasięgu miecza. Położyłam Jamiemu dłoń na ramieniu. Mięsień był napięty i twardy. Krew szumiała mi w uszach.

– Jamie – szepnęłam. – Jamie! – Zemdlałam.

10

DAMA O BRĄZOWYCH WŁOSACH

Wypłynęłam z migotliwej, żółtej mgły, którą

tworzyły błyski słonecznego światła, drobinki wspomnień. Czulałam się całkowicie dezorientowana.

Pochylał się nade mną Frank, ze zmarszczonym z niepokoju czołem. Trzymał mnie za rękę – tylko że to nie był on. Dłoń, której dotykałam, była o wiele większa niż Franka.

Głaskałam szorstkie włosy na nadgarstku, a przecież ręce Franka były gładkie jak u dziewczyny.

– Dobrze się pani czuje? – Głos cichy i kulturalny należał do Franka.

– Claire! – Ten głos brzmiał głębiej, bardziej szorstko. Wypełniały go nuty przerażenia i niepokoju.

– Jamie. – W końcu znalazłam imię pasujące do mentalnego obrazu, którego szukałam. – Jamie! Nie... – Usiadłam prosto i rozejrzałam się gorączkowo. Otaczał mnie krąg zaciekawionych twarzy. Tłoczący się dworzanie zostawili tylko odrobinę pustego miejsca dla Jego Wysokości. Monarcha patrzył na mnie z litością i zainteresowaniem.

Obok mnie klęczało dwóch mężczyzn. Jamie z prawej strony, z szeroko otwartymi oczami i twarzą niemal tak białą jak pobliskie kwiaty głogu. A po lewej stronie...

– Czy dobrze się pani czuje, madame? – Orzechowe oczy wyrażały jedynie pełną szacunku troskę. Ładne, cienkie brwi wygięły się nad nimi pytająco. Oczywiście nie był to Frank. Ale i nie Jonathan Randall. Ten mężczyzna, młodszy od kapitana o dobrych dziesięć lat, mógł być moim rówieśnikiem. Jego twarz była blada, nie ogorzała. Usta miały taką samą, cyzelowaną linię, ale brakowało im zmarszczek bezwzględności, które wykrzywiały usta

kapitana.

– Ty... – zaskrzeczałam i odsunęłam się od niego lekko. – Jesteś...

– Aleksander Randall, Esquire, madame – odpowiedział szybko. Niepotrzebnie sięgnął dłonią do głowy, jakby chciał uchylić kapelusza, którego nie miał. – Nie sądzę, żebyśmy się poznali – dodał, z nutką wątpliwości.

– Ja... to znaczy... nie, nie poznaliśmy się – powiedziałam, opierając się na ramieniu Jamiego, nieruchomym jak żelazna barierka. Dłoń jednak mu drżała, więc ukryłam nasze złączone ręce w fałdach spódnicy.

– To raczej nieformalna prezentacja, pani... to jest nie... lady Broch Tuarach. – Wysoki, gwizdzący głos zwrócił moją uwagę ku górze, na rumianą cerę Sandringhama.

Książę przypominający cherubina z zainteresowaniem spoglądał przez ramię hrabiego Sevigny i księcia Orleanu.

Przepchnął się niezdarnie przez wąską szczelinę i wyciągnął do mnie rękę, żeby pomóc mi wstać. Chwycił moją spoconą dłoń i skłonił się w kierunku Aleksandra Randalla, Esquire. Młodzieniec marszczył brwi z zakłopotaniem.

– Pan Randall jest moim sekretarzem, lady Broch Tuarach. Kapłaństwo to szlachetne powołanie, lecz niestety szlachetność celu nie wystarczy nawet na opłacenie szewca, prawda, Aleks? – Młody człowiek lekko się zarumienił, ale grzecznie skłonił głowę.

Dopiero wtedy zauważyłam, że ma prosty, ciemny

strój i wysoki, biały kołnierzyk, znak, że jest młodszym klerykiem.

– Jego Łaskawość ma rację. A skoro jest tak, jak mówi, to muszę go darzyć jak największą wdzięcznością za to, że zgodził się mnie zatrudnić. – Leciutkie napięcie ust świadczyło, że odczuwana wdzięczność wcale nie jest aż taka wielka. Spojrzałam na księcia. Małe, niebieskie oczy zmrużyły się przed słońcem. Wyraz twarzy pozostawał nieprzenikniony.

Wymianę zdań przerwało kłaśnięcie króla. Dwaj lokale na wezwanie Ludwika chwycili mnie za ramiona i, mimo moich protestów, siłą posadzili w lektyce.

– Ależ nie, madame. – Monarcha łaskawie zlekceważył zarówno protesty, jak i podziękowania. – Proszę jechać do domu i wypocząć; nie chcemy przecież, aby była pani niedysponowana przed jutrzejszym balem, *non!* – Duże, brązowe oczy króla załśniły, gdy podniósł do ust moją dłoń. Nie przestając na mnie patrzeć, skłonił się formalnie w kierunku Jamiego, który pozbierał się na tyle, żeby ładnie podziękować.

– Może przyjmę pańskie podziękowanie w formie pozwolenia na taniec z pańską uroczą żoną – rzekł król.

Jamie ściągnął lekko usta, ale odklonił się grzecznie i powiedział:

– Moja żona, tak jak ja, jest zaszczycona łaskawością Waszej Wysokości. – Odwrócił się i nie czekając na formalną odprawę, machnął głową w kierunku niosących lektykę.

– Do domu – nakazał.

W końcu znalazłam się w domu. Po męczącej

jeździe ulicami, które pachnęły kwiatami i rynsztokiem, z ulgą zdjęłam ciężką suknię i niewygodną krynolinę.

Zarzuciłam na siebie jedwabny szlafrok.

Jamie siedział przy pustym kominku, z zamkniętymi oczami, dłońmi na kolanach, jakby nad czymś rozmyślał. Był blady jak jego lniana koszula. Na tle ciemnego obramowania kominka przypominał ducha.

– Święta Matko – mamrotał, potrząsając głową. – Wielki Boże i wszyscy święci, mało brakowało. O mały włos nie zamordowałem człowieka. Masz pojęcie, Claire, gdybyś nie zemdląła... Jezu, ja chciałem go zabić, każdą najmniejszą cząsteczką woli. – Przerwał, roztrzęsiony.

– Proszę, połóż stopy wyżej – ponagliłam. Przyciągnęłam ciężki, rzeźbiony stołeczek.

– Nie, już wszystko w porządku. – Machnął ręką. – On jest... bratem Jacka Randalla?

– To bardzo prawdopodobne – powiedziałam sucho.

– Wiedziałaś, że pracował u Sandringhama?

Potrząsnęłam głową.

– Nie. Pamiętam tylko jego nazwisko i to, że był duchownym. Frank nie interesował się nim specjalnie, bo to nie jego bezpośredni przodek. – Zdradziło mnie lekkie zająknięcie przy imieniu Franka.

Jamie odstawił buteleczkę, podniósł mnie i utulił na piersi. Woń ogrodów Wersalu, ostra i świeża, emanowała z fałd jego koszuli. Pocałował mnie w czubek głowy i odwrócił się w kierunku łóżka.

– Połóż się, Claire – powiedział cicho. – To był bardzo ciężki dzień dla nas obojga.

Bałam się, że spotkanie z Aleksandrem Randallem

znów wywoła u Jamiego złe sny.

Czasami czułam, że się budzi. Jego ciało napinało się w nagłej walce. Wyskakiwał z łóżka i spędzał noc przy oknie, jakby dawało mu drogę ucieczki. Nie pozwalał się pocieszać.

Gdy nadchodził dzień, Jack Randall i inne demony ciemnych godzin wracały do swojej skrzyni, mocno trzymane stalowymi łańcuchami woli Jamiego. I znów wszystko było w porządku.

Tym razem Jamie szybko zasnął. Stres całego dnia zniknął z jego twarzy. Rysy stały się spokojne i łagodne, zanim zdążyłam zgasić świecę.

Cudownie było leżeć bez ruchu. Ciepło wlewało się w moje zimne ciało. Ból pleców, karku i kolan ustępował. Nadchodził miękki sen. Umysł jednak, uwolniony od napięcia, tysiąc razy odtwarzał scenę przed pałacem – krótkie mignięcie ciemnych włosów, wysokich brwi, przylegających uszu i ładnie wykrojonej szczęki – pierwsze wrażenie, które uderzyło moje serce radością i niepokojem. Frank, pomyślałam wtedy. Frank.

I właśnie jego twarz ujrzałam we śnie.

Widziałam salę wykładową Uniwersytetu Londyńskiego; antyczne, belkowane sklepienie i nowoczesne podłogi, z linoleum wytartym przez niestrudzone stopy.

Młodzież siedziała na starych, gładkich ławkach; nowe biurka zarezerwowano dla studentów nauk przyrodniczych. Historycy mogli sobie poradzić na sześćdziesięcioletnim, porysowanym drewnie; przecież temat był ten sam i nigdy się nie zmieni – dlaczego więc

miałyby ulec zmianie warunki jego przedstawiania?

– *Objets de vertu* – mówił głos Franka. – I przedmioty użytkowe. – Jego długie palce dotknęły krawędzi srebrnego świecznika. Słońce zza okna zaśnięło na metalu, jakby przeskoczyła iskra.

Wypożyczone ze zbiorów British Museum przedmioty ustawiono na krawędzi stołu, dość blisko, żeby studenci z pierwszego rzędu mogli zobaczyć maleńkie pęknięcia w poźółkłej kości słoniowej francuskiego pudełeczka na żetony i plamy z tytoniu palonego dawno temu, które przybrązowiły krawędzie białej, glinianej fajki. Angielski flakonik na perfumy ze złotą podstawą, pozłacany kałamarz z brązu, popękana rogowa łyżeczka i niewielki, marmurowy zegar ozdobiony parą pijących łabędzi.

Dalej na stole leżał szereg malowanych miniaturek; nie było widać szczegółów, bo słońce odbijało się na maleńkich powierzchniach.

Ciemna głowa Franka pochyliła się nad przedmiotami. Popołudniowe promienie wydobyły z jego włosów rudawy odcień. Podniósł glinianą fajkę, z jednej strony zakrzywioną jak skorupka jajka.

– W przypadku niektórych okresów historycznych – mówił – mamy pisane świadectwo ludzi, którzy wówczas żyli. Z innych epok pozostały tylko przedmioty.

Podniósł fajkę do ust, ściągnął wargi w kółeczko, wydał policzki i komicznie uniół brwi. Wśród słuchaczy rozległ się stłumiony chichot. Frank uśmiechnął się i odłożył fajkę.

– Sztuka i przedmioty dekoracyjne. – Machnął ręką

nad lśniącym w słońcu zbiorem.

– To coś, co widzujemy najczęściej. Wszyscy lubią ozdoby, prawda? – Zwracał się do ciemnowłosego chłopca o inteligentnym wyglądzie. Sprytna sztuczka wykładowcy: nawiązać kontakt z jednym słuchaczem, jakby było się z nim sam na sam. Chwilę później wybrać kogoś innego. W ten sposób każdy w sali poczuje, że wykładowca mówi właśnie do niego.

– To w końcu ładne rzeczy. – Dotyk palca obrócił łąbędzie na zegarze, wykrzywione szyje poruszały się statecznie. – Warte zatrzymania. Ale kto kłopotałby się chowaniem starego, połatanego kapturka na imbryk albo zużytej opony samochodowej? – Tym razem popatrzył na ładną blondynkę w okularach, która w odpowiedzi uśmiechnęła się i zachichotała.

– Ale to właśnie przedmioty użytkowe, rzeczy nie odnotowane w dokumentach, używane, psute i wyrzucane bez zastanowienia, stanowią świadectwo życia zwykłych ludzi. Na przykład liczba tych fajek mówi nam o częstoci palenia i typach tytoniu używanych przez różne klasy społeczne, od wyższych... – palec dotknął wieczka emaliowanej tabakierki – po niższe. – Palec z przesadzoną czułością pogłaskał długi, prosty cybuch.

Kobieta w średnim wieku gorączkowo notowała każde słowo. Nie wiedziała, że wykładowca się jej przygląda. Obok śmiejących się orzechowych oczu rysowały się zmarszczki.

– Nie trzeba zapisywać wszystkiego, pani Smith – zganił studentkę. – To godzinny wykład, nie starczy pani atramentu.

Kobieta zarumieniła się i wypuściła pióro, ale uśmiechnęła się nieśmiało w odpowiedzi na przyjazny uśmiech zdobiący szczupłą, śniadą twarz Franka. Już ich pozyskał, ogrzał wszystkich łśnieniem dobrego humoru, przyciągnął uwagę drobnymi iskierkami złota i światła. Teraz pójdą za nim bez ociągania i skarg ścieżką logiki prosto w gąszcz dyskusji. Rozluźnił kark, gdy poczuł, że skupia się na nim uwaga studentów.

– Najlepszym świadkiem historii jest człowiek. Mężczyzna czy kobieta, tak? – Skinienie w stronę ładnej blondynki. Uśmiechnął się i podniósł popękana, rogową łyżkę.

– Cóż, może. W końcu w naturze człowieka leży przedstawianie rzeczy z najlepszej strony. Ludzie koncentrują się na rzeczach, ich zdaniem, ważnych i dość często upiększają je dla wiadomości publicznej. Rzadko znajdziemy Pepysa, który z równym zainteresowaniem opisuje szczegóły królewskiej procesji i to, jak często każdej nocy musi korzystać z nocnika.

Tym razem śmiech był ogólny. Frank odprężył się, swobodnie oparł o stół i gestykulował łyżeczką.

– Podobnie ładne przedmioty, artystyczne wytwory, są zachowywane najczęściej. Ale nocniki, łyżeczki i tanie, gliniane fajki mogą powiedzieć nam tyle samo albo i więcej, o ich użytkownikach.

– Co to za ludzie? Myślmy o postaciach historycznych jak o kimś innym niż my, czasami są dla nas osobami niemal mitycznymi. Ale ktoś się tym bawił. – Smukły palec wskazujący pogłaskał pudełeczko. – Jakaś dama używała tego – dotknął flakonika na perfumy – żeby

rozprowadzić piękny zapach za uszami, na nadgarstkach... I gdzie jeszcze? – Podniósł nagle głowę, uśmiechnął się do pulchnej blondynki w pierwszym rzędzie. Dziewczyna zarumieniła się, zachichotała i skromnie pokazała miejsce tuż nad szpicem bluzki.

– Ach, tak. Właśnie. Cóż, tak robiła posiadaczka flakonika.

Wciąż uśmiechając się do dziewczyny, otworzył buteleczkę i lekko przesunął ją przed nosem.

– Co to jest, panie profesorze? „Arpege”? – zapytał śmiało student; ciemnowłosy jak Frank, z szarymi oczami, w których kryła się zalotność.

Frank zamknął oczy i wahał.

– Nie. „L’Heure Bleu”. Moje ulubione.

Wrócił do stołu. Włosy opadły mu na skupione czoło, dłoń zawisła nad rzędem miniaturek.

– Jest też specjalna klasa przedmiotów: portrety. Odrobina sztuki, a jednocześnie wiele informacji o samych ludziach. Ale jak prawdziwi są oni dla nas?

Podniósł niewielki, owalny kartonik i odwrócił go w stronę sali. Przeczytał napis na małej plakietce przyklejonej z tyłu.

– Dama, pędzla Nathaniela Plimera, podpisana inicjałami, z tysiąc siedemset osiemdziesiątego szóstego roku, z wysoko upiętymi, kręconymi brązowymi włosami, w różowej sukni i koronkowej koszuli, chmury i niebo w tle. – Podniósł kwadratowy portret.

– Dżentelmen, pędzla Horacego Hone’a, podpisany monogramem, z tysiąc siedemset osiemdziesiątego roku, z upudrowanymi włosami en queue, w brązowym surducie,

niebieskiej kamizelce i żabocie, posiadający order, możliwe, że Order Łąźni.

Na miniaturze widniała okrągła twarz mężczyzny, ze śmiesznie ściągniętymi ustami.

Zwykle taką właśnie minę robiły postacie w osiemnastym wieku.

– Artystów znamy – kontynuował Frank. – Podpisywali swoje dzieła albo pozostawiali wskazówki, umożliwiające ich zidentyfikowanie poprzez technikę i tematykę. Ale ludzie, których malowali? Widzimy ich, a jednak nic o nich nie wiemy.

Dziwne fryzury, ubrania... Nie wyglądają na naszych znajomych, prawda? A z powodu manieri malarskiej wielu artystów wszystkie twarze są do siebie podobne; przypominają budyń i na ogół są blade; niewiele więcej można o nich powiedzieć. Od czasu do czasu któraś się wyróżnia... – Jego dłoń zawahała się nad szeregiem miniatur, wybrała kolejną owal.

– Dzentelmen...

Podniósł miniaturę. Niebieskie oczy Jamiego rozbłysły pod strzechą włosów, chociaż raz uczesanych, splecionych i związanych, niezwykle jak na niego porządnie. Ostro zakończony nos wyraźnie rysował się nad koronką szerokiego krawata, a długie usta, lekko wygięte w kąciku, wyglądały, jakby zaraz miały przemówić.

– Ale to byli prawdziwi ludzie – podkreślał Frank. – Robili wiele takich samych rzeczy, jak wy... z wyjątkiem paru drobnych szczegółów, jak chodzenie do kina czy jazda autostradą. – Wśród słuchaczy rozległy się śmiechy uznania. – Ale troszczyli się o swoje dzieci, kochali mężów

i żony... Cóż, przynajmniej czasami... – Jeszcze głośniejszy śmiech.

– Dama... – rzekł miękko i zakołysał dłonią, w której trzymał ostatni przedmiot – o brązowych, olśniewająco kręconych włosach, opadających na ramiona, w naszyjniku z pereł. Nie ma daty. Autor nieznany.

Było to lustro, nie miniatura. Miałam zaczerwienione policzki. Usta mi drżały, gdy palec Franka delikatnie przesunął się po zarysie mojej szczęki i wdzięcznej linii szyi. Łzy napłynęły mi do oczu i popłynęły po policzkach, gdy słyszałam jego głos. Odłożył portrecik, każąc mi patrzeć na belkowane sklepienie.

– Bez daty. Nieznany autor. Nieznana dama. Ale kiedyś... Kiedyś była prawdziwa.

Nie mogłam oddychać. Z początku myślałam, że duszę się pod szkłem na miniaturze.

Ale materiał uciskający mój nos był miękki i wilgotny. Odwróciłam głowę i obudziłam się.

Pod policzkiem czułam lnianą poduszkę, mokrą od łez. Na moim ramieniu spoczywała duża, ciepła dłoń Jamiego, która delikatnie mną potrzyasała.

– Cicho, moja droga. Cicho! To tylko sen. Jestem tutaj.

Wtuliłam twarz w jego ciepłe, nagie ramię. Przytuliłam się mocno. Powoli zaczęły do mnie docierać ciche, nocne odgłosy paryskiego domu. Wracałam do obecnego życia.

– Przepraszam – szepnęłam. – Śniłam o... o...

Poklepał mnie po plecach i sięgnął pod poduszkę po chusteczkę do nosa.

– Wiem. Mówiłaś jego imię. – Wydawał się zrezygnowany.

Położyłam mu głowę na ramieniu. Był ciepły, rozczochrany. Jego senny zapach mieszał się z wonią pierza i czystej pościeli.

– Przepraszam – powtórzyłam.

Krótko prychnął.

– Cóż, nie powiem, że nie jestem o niego potwornie zazdrosny – wyznał z żalem. – Ale nie mogę mu zazdrościć twoich snów. Albo twoich łez. – Jego palec delikatnie przesunął się po mokrymśladzie na moim policzku.

– Nie?

W półmroku widziałam krzywy uśmiech.

– Nie. Kochałaś go. Trudno mieć ci to za złe. Poczesa mnie jednak świadomość... – Zawahał się, a ja odgarnęłam mu potargane włosy z twarzy.

– Świadomość czego?

– Że tak samo opłakiwałabyś mnie – dokończył miękko.

Wcisnęłam twarz w jego pierś.

– Nie będę cię opłakiwać, bo nie będę musiała. Nie stracę cię. Nie! – Uderzona nagłą myślą spojrzałam na Jamiego. Króciutki zarost rzucił cień na jego twarz.

– Nie boisz się, że wrócę, prawda? Nie sądzisz tak, bo ja... Myślę o Franku...

– Nie – odpowiedział krótko, mocniej tuląc mnie w ramionach. – Nie – powtórzył jeszcze delikatniej. – Jesteśmy związani i nic w świecie nas nie rozdzieli. – Duża dłoń pogłaskała mnie po włosach. – Pamiętasz przysięgę, którą ci złożyłem, kiedy braliśmy ślub?

– Tak. „Krew z mojej krwi, kość z mojej kości...”

– „Oddaję ci ciało, będziemy jednością” – dokończył. – I dotrzymuję słowa, Angielko, tak jak ty. – Delikatnie mnie obrócił. Jedną dłoń spoczęła na moim lekko powiększonym brzuchu.

– Krew z mojej krwi – szepnął – i kość z mojej kości. Nosisz mnie w sobie, Claire, i nie możesz mnie opuścić. Nieważne, co się stanie. Jesteś moja, na zawsze, czy tego chcesz, czy nie, czy mnie pragniesz, czy nie. Moja, i nie pozwolę ci odejść.

Położyłam dłoń na jego dłoni i przycisnęłam ją do siebie.

– Nie – powiedziałam miękko. – Ani ty nie możesz opuścić mnie.

– Nie – rzekł z półuśmiechem. – Bo dotrzymuję też ostatniej części przysięgi. – Objął mnie i pochylił głowę tak, że czułam ciepły oddech, gdy szeptał w ciemności:

– Daję ci własną duszę, aż wypełnią się nasze dni.

11

PRAKTYCZNE ZAJĘCIA

– Kim jest ten dziwny mały człowiek? – zapytałam Jamiego. Mężczyzna wolnym krokiem przechadzał się między osobami zgromadzonymi w salonie Rohanów.

Przystawał co chwilę, obrzucał grupę krytycznym spojrzeniem, wzruszał kościstymi ramionami, po czym ruszał dalej, by znowu zatrzymać się przy jednym z gości, podsuwał im coś pod nos i wydawał tajemnicze polecenie. Cokolwiek robił, jego zachowanie wzbudzało ogólną wesołość.

Nim Jamie zdążył odpowiedzieć na moje pytanie, zasuszony człowieczek w szarym stroju dostrzegł nas i twarz mu pojaśniała. Natychmiast ruszył w stronę Jamiego niczym drapieżny ptak, gdy zauważył wystraszonego zająca.

– Śpiewaj! – rozkazał.

– Słucham? – Jamie patrzył z niedowierzaniem.

– Powiedziałem: śpiewaj! – powtórzył cierpliwie mężczyzna. Z podziwem szturchnął Jamiego w klatkę piersiową. – Przy takim pudle rezonansowym twój głos z pewnością jest donośny.

– O tak, w istocie – odparłam z rozbawieniem. – Gdy mój mąż wpadnie w gniew, słysząc go na drugim końcu miasta.

Jamie spojrział na mnie gniewnie. Mały człowieczek krążył wokół swojej ofiary.

Wzrokiem mierzył szerokość klatki piersiowej Jamiego, niczym dzięcioł w poszukiwaniu właściwego drzewa opukiwał jego plecy.

– Nie potrafię śpiewać – bronił się Jamie.

– Bzdura! Oczywiście, że potrafisz. Niski, ciepły baryton, taaak – mrucał z zadowoleniem mężczyzna. – Doskonale. Tego właśnie szukałem. Uwaga, spróbuj powtórzyć ten ton.

Zręcznym ruchem wydobyl z przepastnej kieszeni niewielki kamerton, uderzył nim w filar i przystawił Jamiemu do lewego ucha.

Jamie zniechęcony przewracał oczami, jednak posłusznie powtórzył usłyszany dźwięk. Mężczyzna odskoczył, jak gdyby ktoś do niego strzelił.

– Nice – wykszusił z niedowierzaniem.

– Obawiam się, że tak – powiedziałam współczująco. – Niestety, on ma rację.

Naprawdę nie potrafi śpiewać.

Człowieczek patrzył na Jamiego zmrużonymi oczami. Znowu uderzył w kamerton i podsunął swojemu nieszczęsnemu wybrańcowi.

– I jeszcze raz – rzekł przymilnie. – Panie, posłuchaj tylko, a dźwięk sam się w tobie obudzi.

Jamie, cierpliwy jak zawsze, wsłuchał się w brzmienie kamertonu i ponownie zaśpiewał, ale zamiast czystego „a”, wydal z siebie jakiś dźwięk pomiędzy „es” a „dis”.

– Niewiarygodne – wzdychał zrozpaczony mężczyzna. – To nieprawdopodobne, by tak fałszować. Nawet celowo.

– Tak właśnie śpiewam – odparł Jamie z rozbawieniem i grzecznie się uklonił. Wokół nas zgromadził się już spory tłum ciekawskich. Luiza de Rohan była wspaniałą panią domu. W jej salonach zbierała się sama śmietanka paryskiego towarzystwa.

– W rzeczy samej – potwierdziłam. – Zupełny brak słuchu.

– Zauważyłem. – Gość przyjął tę wiadomość ze smutkiem. Teraz mnie zaczął mierzyć wzrokiem.

– Och, ja również nie śpiewam – broniłam się ze śmiechem.

– Mam nadzieję, że pani nie jest pozbawiona słuchu, madame. – Jego oczy błyszczały. Zbliżał się do mnie niczym wąż ku sparaliżowanej strachem ofierze.

Kamerton, którym machał, wyglądał zupełnie jak

języczek żmii.

– Chwileczkę. – Chwyciłam go za wyciągniętą do mnie rękę. – Kim pan właściwie jest?

– To Herr Johannes Gerstmann, Angielko. – Jamie z uśmiechem po raz drugi uklonił się małemu człowieczkowi. – Królewski chórmistrz. Pozwól, panie, to moja żona, lady Broch Tuarach.

Jamie oczywiście znał wszystkich dworzan, nawet tych, którzy nie mieli żadnych wpływów.

Johannes Gerstmann. To tłumaczyło obcy akcent. Niemiec, może Austriak, zastanawiałam się w duchu.

– Marzy mi się mały amatorski chór – wyjaśnił chórmistrz. – Głosy nie muszą być szkolone, ale chciałbym, by brzmiały mocno i szczerze.

Jeszcze raz rzucił Jamiemu pełne rozczarowania spojrzenie. Potężny Szkot odpowiedział lekkim grymasem, po czym wyjął z dłoni Herr Gerstmannu kamerton i wyczekująco skierował go w moją stronę.

– W porządku – powiedziałam i zaśpiewałam.

Widać, to, co Herr Gerstmann usłyszał, zrobiło na nim dobre wrażenie, bo schował kamerton do kieszeni i patrzył na mnie z zainteresowaniem. Kiwał głową z aprobatą, a jego nieco za duża peruka zsuwała mu się na czoło. Niedbałym ruchem poprawił ją i rzekł:

– Cóż za wspaniały głos, madame! Znakomity. Doprawdy bardzo, bardzo dobry. Czy znasz pani może „Le Papillon”? – Zanucił kilka taktów piosenki.

– Wydaje mi się, że słyszałam – odpowiedziałam ostrożnie. – Tak, to znaczy melodię.

Nie znam słów.

– Och, są bardzo proste, madame. Refren jest zupełnie błahy, o taki...

Chórmistrz trzymał moje ramię w żelaznym uścisku i niczym szalona pszczoła mruczał mi do ucha piosenkę, a ja czułam, że pociągają mnie dźwięki klawikordu dobiegające z odległej sali.

Rzuciłam Jamiemu błagalne spojrzenie, ale on to zignorował, w pożegnalnym geście uniósł swój kielich z winem, odwrócił się i zaczął rozmawiać z monsieur Duverneyem, młodszym synem ministra finansów.

Dom Rohanów – o ile słowo „dom” jest właściwe dla pełnej przepychu rezydencji – oświetlony był lampionami wiszącymi w ogrodzie i na tarasie. Gdy razem z ciągnącym mnie za ramię Herr Gerstmannem przechodziliśmy korytarzami, dostrzegłam służbę w pośpiechu krzątającą się po salach jadalnych. Na stołach kładli obrusy i srebra.

Przygotowywali wszystko przed wieczorną ucztą. „Salony” najczęściej były kameralnymi spotkaniami w wąskim gronie.

Księżnę Luizę de La Tour de Rohan, osobę dość wylewną, poznałam tydzień wcześniej na przyjęciu. Zaskoczył mnie jej całkiem zwyczajny wygląd. Okrągła twarz, drobny podbródek, jasnoniebieskie oczy pozbawione rzęs. Sztuczny pieprzyk w kształcie gwiazdki miał dodawać urody, ale w jej przypadku nie spełniał swojej funkcji. A więc to jest osoba, która nakłoniła księcia Karola do wyzbycia się praw własności? Rozmyślałam o tym, stojąc w szeregu gości czekających, by złożyć ukłon.

Mimo wszystko księżna robiła wrażenie osoby

atrakcyjnej i pełnej życia. Wyglądała interesująco zapewne dzięki pięknym, delikatnym różowym ustom.

– Jestem oczarowana! – wykrzyknęła, biorąc mnie za rękę podczas prezentacji. – Jakże się cieszę, że wreszcie mogę panią poznać! Mój małżonek, a także mój ojciec wyśpiewują pieśni pochwalne na cześć milorda Broch Tuarach. Przyznam jednak, że ani słowem nie wspomnieli o jego uroczej żonie. Bardzo się cieszę z naszego spotkania, moja droga. Czy muszę nazywać panią Broch Tuarach? Myślę, że lady Tuarach brzmi lepiej.

Obawiam się, że nie spamiętam całego pani tytułu, ale postaram się nie zapomnieć przynajmniej tego jednego słowa, choć jest takie dziwne. Czy to szkockie nazwisko?

– Broch Tuarach znaczy „północna wieża”, ale skoro chce nazywać mnie lady Północna, niech i tak będzie, mnie to nie przeszkadza.

Jeszcze tego wieczoru, choć usilnie próbowała, nie zdołała przypomnieć sobie mojego nazwiska. Zaczęła więc zwracać się do mnie per *ma chere* Claire.

W sali tanecznej Luiza otoczyła grupa śpiewaków. Wszyscy śmiali się i głośno rozmawiali. Na mój widok księżna zaczęła się przedzierać z drugiego końca sali.

Wymijała gości tak szybko, jak pozwoliła drapowana suknia. Twarz pani domu jaśniała w ożywieniu.

– *Ma chere* Claire! – zakrzyknęła radośnie, uwalniając mnie z uścisku Herr Gerstmann. – Przybyła pani w samą porę! Proszę ze mną, musi pani porozmawiać z tym angielskim głuptasem.

„Angielskim głuptasem” okazała się młoda, nie więcej niż piętnastoletnia dziewczyna o ciemnych,

łśniących lokach. Widok płonących rumieńcem zawstydzenia policzków, przypominających kwiat maku, uzmysłowił mi, że już wcześniej widziałam tę pannę w ogrodzie w Wersalu, tuż przed niespodziewanym przybyciem Aleksandra Randalla.

– Madame Fraser również jest Angielką – wytłumaczyła dziewczynie Luiza. – Mam nadzieję, że dzięki niej wkrótce poczujesz się jak u siebie w domu. Jest bardzo nieśmiała.

– Tym razem Luiza zwróciła się do mnie. Wszystko to mówiła na jednym wydechu. – Proszę z nią porozmawiać. Niech pani namówi swoją rodaczkę, by z nami śpiewała.

Jestem przekonana, że ma przepiękny głos. A teraz, *mas enfants*, bawmy się!

Poklepała mnie przyjaźnie po plecach i ruszyła na drugi koniec sali. Pokrzykiwała radośnie, śmiała się i witała nowo przybyłych gości. Przystanęła, by uścisnąć pulchnego klawikordzistę. Owijając sobie wokół palców jego loki, rozmawiała z księciem di Castellotti.

– Wystarczy na nią popatrzeć, by poczuć zmęczenie – zwróciłam się po angielsku do młodej dziewczyny. Kiwnęła głową, na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiech, ale nic nie powiedziała. Spotkanie wydało mi się bardzo męczące. Przyjęcia u Luizy mnie samą przyprawiły o zawrót głowy. Doskonale rozumiałam, jak musiała się czuć ta mała makowa panienska, która zapewne dopiero niedawno opuściła szkolną ławę.

– Jestem Claire Fraser – przedstawiłam się. – Nie przypominam sobie, by Luiza mówiła mi, jak się nazywasz.

– Przerwałam, ale ona nadal milczała. Jej twarz oblał purpurowy rumieniec. Zaciśnęła wargi i dłonie. Lekko zaniepokoiła mnie reakcja dziewczyny. W końcu jednak pannica zebrała siły, by coś powiedzieć. Wzięła głęboki oddech i podniosła głowę jak wchodząca na szafot ofiara.

– N-n-nazywam się... M-m-m... – zaczęła. W jednej chwili zrozumiałam powody jej milczenia i nieśmiałości. Zamknęła oczy, zagryzła wargi, po chwili spojrzała na mnie i spróbowała dokończyć: – M-m-mary Hawkins – wydusiła z trudem. – N-n-nie śpiewam – dodała.

O ile wcześniej dziewczyna wydała mi się interesująca, teraz mnie zafascynowała.

A więc to jest bratanica Silasa Hawkinsa, córka baroneta, która ma zostać narzeczoną wicehrabiego Marigny! Wysokie aspiracje jak na tak młodą osobkę. Rozejrzałam się w poszukiwaniu arystokraty i z ulgą stwierdziłam, że nie ma go w zasięgu wzroku.

– Nie martw się – powiedziałam i przybliżyłam się o krok, by chronić ją przed falą gości zapelniających salon. – Nie musisz nic mówić, jeśli sama nie zechcesz. Powinnaś jednak spróbować zaśpiewać. – Nagle olśniła mnie ta myśl. – Znałam kiedyś pewnego lekarza zajmującego się twoim problemem. Mówił, że osoby, które jękają się na co dzień, zupełnie płynnie śpiewają.

Mary Hawkins otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Rozejrzałam się wokoło i zauważyłam pustą alkwę, gdzie stała wygodna ława.

– Chodź. – Wzięłam ją za rękę. – Usiądź tu. Nie będziesz musiała z nikim rozmawiać.

Jeśli zechcesz z nami śpiewać, wyjdiesz, gdy

zaczniemy. Jeśli nie, możesz tu zostać aż do końca przyjęcia.

Patrzyła na mnie przez chwilę, po czym uśmiechnęła się z wdzięcznością i zasunęła zasłonę.

Postanowiłam czuwać na zewnątrz, by nie przeszkadzała jej wścibska służba. Sama w tym czasie wdawałam się w rozmowy z przechodzącymi obok gośćmi.

– Cudownie pani dziś wygląda, *ma chere!* – To madame de Ramage, posunięta już w latach, dostojna dama dworu. Raz czy dwa spotkałyśmy się na kolacji w rue Tremoulins. Objęła mnie serdecznie. – Liczyłam na to, że panią tu spotkam, moja droga.

– Ściszyła głos i przysunęła się trochę. – Radzę uważać na hrabiego St. Germaina.

Dyskretnie odwróciłam się w kierunku, w którym patrzyła, i dostrzegłam szczupłego mężczyznę z doków Le Havre. Właśnie wchodził do salonu muzycznego w towarzystwie młodej, elegancko ubranej kobiety. Najwyraźniej mnie nie zauważył, więc czym prędzej odwróciłam się do madame de Ramage.

– Czy... to znaczy... może on... – Czułam, że moja twarz płonie. Pojawienie się małomównego hrabiego sprawiło mnie w niemałe zakłopotanie.

– Tak, podobno pytał o panią – powiedziała madame de Ramage, wybawiając mnie z niezręcznej sytuacji. – Podobno w Le Havre zaszło jakieś drobne nieporozumienie.

– W istocie – odparłam. – Rozpoznałam wtedy kilka przypadków wietrznej ospy, w rezultacie spalono jego statek, a on... no cóż, nie był zadowolony z takiego obrotu

spraw – zakończyłam niepewnie.

– Ach, więc o to poszło. – Madame de Ramage wyglądała na zadowoloną. Taka historia usłyszana z pierwszej ręki znakomicie nadawała się do rozpowszechniania w kołach towarzyskich wielkiego Paryża.

– Proszę sobie wyobrazić, że hrabia rozpowiada wszem i wobec, że jesteś, pani, czarownicą – powiedziała z uśmiechem, machając do przyjaciółki stojącej po drugiej stronie salonu. – Zabawna historia! Ale bez obawy, nikt w nią nie wierzy – zapewniła. – Wszyscy wiedzą, że jeśli ktoś jest zamieszany w jakieś ciemne sprawy, to właśnie hrabia.

– Czyżby? – Chciałam zapytać, co ma na myśli, ale w tej chwili jak spod ziemi wyrósł przed nami Herr Gerstmann. Klaskał w dłonie, jak gdyby nawoływał stado kur.

– Drogie panie, proszę do mnie! – zawołał. – Jesteśmy w komplecie? Pora zacząć śpiewy!

Gdy chórzyści zbierali się wokół klawikordu, spojrzałam w stronę alkowy, gdzie zostawiłam Mary Hawkins. Wydało mi się, że zasłona lekko drgnęła. Rozległy się pierwsze akordy muzyki, do klawesynu dołączały coraz to nowe głosy. Nagle odniosłam wrażenie, że słyszę czysty, wysoki sopran dobiegający zza zasłony, ale nie miałam pewności.

– Przeurocze, Angielko – powiedział Jamie po zakończeniu śpiewów. Byłam rozpalona i zdyszana z wrażenia. Uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu.

– A co ty możesz o tym wiedzieć? – Wzięłam kielich ponczu od przechodzącego służącego. – Nawet nie

odróżniasz jednej piosenki od drugiej.

– No tak, głośno było – odparł nie zrażony moimi uwagami. – Słyszałem każde słowo.

Czułam, że myśli Jamiego są gdzie indziej, daleko ode mnie. Odwróciłam się, by zobaczyć, na co lub na kogo patrzył.

Do salonu właśnie weszła niska kobieta. Mogła sięgać Jamiemu najwyżej żeber.

Dłonie i ręce drobne jak u lalki, delikatnie zarysowane brwi i oczy koloru głębokiej czerni. Poruszała się niezwykle lekko. Zdawało się, że tańczy nad ziemią.

– Spójrz, Annalise de Marillac – wyszeptalam z podziwem. – Wygląda pięknie.

– No, tak. – W głosie Jamiego zabrzmiała jakaś niepokojąca nuta. Popatrzyłam na niego uważnie. Koniuszki uszu zaróżowiły się lekko.

– A ja cały czas myślałam, że podczas pobytu we Francji wojowałeś, a nie podbijałeś damskie serca – rzuciłam zgryźliwie.

Ku memu zaskoczeniu roześmiał się na te słowa. Annalise odwróciła się i spojrzała w naszą stronę. Na widok Jamiego wyłaniającego się z tłumu gości jej twarz opromienił cudowny uśmiech. Już miała ruszyć ku nam, ale przeszkodził jej pewien dżentelmen w peruce i satynowym stroju w kolorze lawendy. Położył ciężką dłoń na jej kruchym ramieniu. Kokieteryjnie zamachała wachlarzem. Odniosłam wrażenie, że miał to być gest przeprasający. Annalise zwróciła się do nowego towarzysza.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytałam. Jamie wciąż oglądał się za szykowną damą w koronkowej sukni.

Nagle się ocknął, jak gdyby przypomniał sobie o mojej obecności, i uśmiechnął się lekko.

– A, nic takiego, Angielko. To, co mówiłaś o wojowaniu. Mój pierwszy i jedyny pojedynek stoczyłem o Annalise de Marillac. Miałem wtedy osiemnaście lat.

W jego głosie wyczułam rozmarzenie. Wodził wzrokiem za ciemnym, wysmukłym kokiem przemieszczającym się wśród zgromadzonych gości. Wszędzie, gdzie kok się pojawiał, natychmiast gromadził się tłum białych lub modnych ostatnio różowionych peruk i pudrowanych włosów.

– Pojedynek? Z kim? – wypytywałam. Próbowałam dojrzeć jakiegoś mężczyznę towarzyszącego porcelanowej lalce, który mógłby poczuwać się do odgrzania starej waśni.

– Nie ma go tutaj – odpowiedział. Najwyraźniej prawidłowo zinterpretował moje zachowanie. – Nie żyje.

– Zabiłeś go? – Poruszona tą wiadomością zapytałam głośniejszym głosem, niż zamierzałam.

Natychmiast kilka głów z zainteresowaniem odwróciło się w naszym kierunku. Jamie złapał mnie pod ramię. Czym prędzej ruszyliśmy do najbliższych drzwi.

– Nie tak głośno – napomniął mnie delikatnie. – Nie, ja go nie zabiłem. Chciałem – dodał ponuro – ale nic z tego nie wyszło. Umarł ze dwa lata temu, na zapalenie gardła.

Tak mi powiedział Jared.

Prowadził mnie jedną z ogrodowych alejek, wzdłuż której w równych odstępach stali służący. Trzymali w rękach latarnie i w ten sposób oświetlali dróżkę wiodącą od

tarasu aż do fontanny. Na środku uroczej sadzawki cztery delfiny pryskały strumieniami wody na gniewnie wyglądającego Trytona, a on potrząsał nad nimi trójzębem.

– Nie trzymaj mnie dłużej w niepewności – ponagliłam, gdy odeszliśmy wystarczająco daleko od ciekawskich uszu grupy gości na tarasie. – Jak do tego doszło?

– No dobrze – odparł zrezygnowany. – Sama zauważyłaś, że Annalise jest całkiem ładna...

– Cóż, teraz, gdy zwróciłeś mi na to uwagę, owszem dostrzegam w niej coś interesującego – potwierdziłam niewinnie, wywołując ostre spojrzenie i krzywy uśmiech.

– Właśnie. Nie ja jeden w całym Paryżu tak uważałem. I nie ja jeden straciłem dla niej głowę. Błąkałem się we mgle, potykałem o własne nogi. Wyczekiwałem godzinami na ulicy, w nadziei, że może ją ujrzę, gdy wychodzi z domu i wsiada do powozu.

Zapominałem nawet o głodzie. Według Jareda wyglądałem jak strach na wróble. Płaszcz wisiał na mnie, włosy sterczały na wszystkie strony. – Jamie pogładził nieskazitelny warkoczyk wijący się na karku, ozdobiony błękitną wstążeczką.

– Zapomniałeś o pustym żołądku? Mój Boże, to rzeczywiście źle z tobą było – zauważyłam.

Zaśmiał się cicho.

– A jak zaczęła flirtować z Karolem Gauloise'em było jeszcze gorzej. Wiedz też, że uwodziła każdego kawalera. I nie było w tym nic zdrożnego, ale jego wybierała do towarzystwa przy kolacji. Zbyt często jak na mój gust. A na przyjęciach stale tylko z nim tańczyła i...

więc... no... w końcu raz przyłapałem Karola, jak całował Annalise w świetle księżycy na tarasie domu jej ojca, więc wyzwałem go na pojedynek.

Dotarliśmy do fontanny. Jamie chciał trochę odpocząć. Usiedliśmy na kamiennej obmurówce, pod wiatr, by tryskająca woda nie przemoczyła nam ubrań. Jamie zanurzył dłoń w ciemnych odmętach sadzawki. Po chwili wyjął rękę i z uwagą obserwował srebrne kropelki kapiące przez palce.

– W Paryżu pojedynkowanie się było i nadal jest zabronione. Ale zawsze znajdzie się odpowiednie miejsce. On miał je wskazać. Wybrał Bois de Boulogne. Nie opodal drogi Siedmiu Świątych, polanka ukryta między dębami. Przyniósł broń. Myślałem, że zdecyduje się na pistolety, ale wolał szpady.

– Pewnie miałeś nad nim sporą przewagę. – Nie znałam się na szermierce, ale z konieczności poznałam nieco taktykę i strategię. Jamie i Murtagh pojedynkowali się co dwa, trzy dni, ot tak, by utrzymać formę. Ścierali się, pobrzękiwali szpadami, przeganiali się z jednego końca ogrodu na drugi ku nieopisanej uciechu służby. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni, wszyscy wylęgali na balkony, by popatrzeć.

– Wybrał rapiery, bo piekielnie dobrze się nimi posługiwał. Wiedział też, że w pojedynku na pistolety mogę zabić go przez zwykły przypadek, a tak, liczył, że przy szpadach zadowoli mnie pierwsza krew. Nie chciałem go zabić – tłumaczył – tylko poniżyć. Karol doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nie był głupcem – zakończył, potrząsając głową.

Mgiełka unosząca się nad wodą sprawiła, że z mojej misternie ułożonej peruki wymknęło się kilka loków. Kosmyki opadały mi na twarz. Odgarnęłam włosy do tyłu i zapytałam:

– Czy go poniżyłeś?

– W końcu tak. – Zaskoczyła mnie nuta zadowolenia w głosie Jamiego. Spojrzałam na niego, unosząc brwi. – Szermierki uczył się od samego Le Jeune’a, najlepszego szermierza we Francji – ciągnął. – To było jak pojedynek z pchłą. I biłem się też prawą ręką. – Znow dotknął swych włosów, jak gdyby sprawdzał, czy są dobrze związane.

– W połowie pojedynku rozwiązała mi się kokarda. Wiatr wiał akurat tak, że włosy opadały mi na oczy. Niewiele widziałem, tylko białą postać, bo Karol miał na sobie białą koszulę, która rzucała się na mnie i cofała. Ale w końcu go dostałem. Nadziałem rywala jak rybę na haczyk – parsknął. – Trafiłem w ramię, a on wrzasnął, jak gdybym go mordował. Odgarnąłem włosy. Patrzę, a w oddali stoi Annalise, oczy miała takie ciemne, jak ta woda. – Wskazał srebrnoszarą taflę sadzawki.

– Schowałem szpadę do pochwy, przyglądziłem czuprynę. Stałem i czekałem, aż podbiegnie i rzuci się w moje ramiona.

– Ale ona tego nie zrobiła, prawda? – powiedziałam delikatnie.

– Cóż, nic wtedy nie wiedziałem o kobietach. Annalise podbiegła i rzuciła się w jego ramiona. – Wydał z siebie głęboki szkocki dźwięk oznaczający, że drwi z samego siebie. – Poślubiła go miesiąc później.

– Oto cała historia. – Nagle uśmiechnął się smutno.
– Annalise złamała mi serce.

Wróciłem do Szkocji, do domu. Byłem tak oswowiały, że ojciec wkrótce stracił cierpliwość.

– Zaśmiał się. – Chciałem nawet wstąpić do klasztoru. Pewnego wieczoru, podczas kolacji powiedziałem mu, że na wiosnę zamierzam ruszyć do opactwa i zostać nowicjuszem.

Rozbawiła mnie ta myśl.

– Śluby ubóstwa nie byłyby dla ciebie niczym nowym, ale z posłuszeństwem i czystością miałbyś spore kłopoty. I jak zareagował twój ojciec?

Jamie wykrzywił się, w ciemności błysnęły białe zęby.

– Jadł zupę. Odłożył łyżkę i przyglądał mi się przez chwilę. Westchnął, pokiwał głową i powiedział: „To był długi dzień, Jamie”. A potem zaczął spokojnie jeść dalej. Nigdy nie wracaliśmy do tej rozmowy.

Patrzył w kierunku tarasu. Goście, zmęczeni i rozgrzani tańcem, wychodzili się ochłodzić. Stali, popijając wino i flirtując z za wachlarzy. Jamie westchnął z nostalgią.

– Taak, ładna z niej dziewczyna. Delikatna jak muśnięcie wiatru i taka drobna, że chciałoby się schować ją pod koszulę i nosić jak małego kotka.

W milczeniu słuchałam dźwięków muzyki dobiegających przez otwarte drzwi balkonowe. Rozmyślałam nad błyszczącymi satynowymi pantoflami, w które obułam swe duże stopy.

Po chwili Jamie zauważył moje milczenie.

– Co się stało, Angielko? – Położył rękę na moim

ramieniu.

– Nic takiego – westchnęłam. – Zastanawiam się tylko, czy ktokolwiek mógłby powiedzieć o mnie „delikatna jak muśnięcie wiatru”.

Patrzyłam na jego profil. W świetle latarni widziałam długi, prosty nos, mocno zarysowany podbródek. Gdy Jamie się odwrócił, na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Być może „delikatna” nie jest pierwszym określeniem, jakie przychodzi mi do głowy, gdy o tobie myślę. – Objął mnie ramieniem. Na plecach czułam dużą, ciepłą dłoń.– Ale rozmawiam z tobą, jak z własną duszą – wyznał. Jego palce gładziły moje skronie. – Twoja twarz, Anielko, to moje serce – wyszeptał.

Wiatr zmienił nagle kierunek. Kropelki zimnej wody tryskającej z fontanny leciały teraz w naszą stronę. Jamie kiwnął głową w kierunku tarasu. Wzięłam go za rękę i ruszyliśmy z powrotem do domu rozbawieni niespodziewanym prysznicem.

– Widzę – zauważyłam, gdy wolno wchodziliśmy ogromnymi schodami do sali balowej – że od tamtego czasu dowiedziałeś się czegoś o kobietach.

Roześmiał się ciepłym, niskim głosem i objął mnie mocniej w pasie.

– Najważniejszą rzeczą, jakiej się nauczyłem się o kobietach, to którą z nich wybrać.

– Zrobił krok do tyłu, uklonił się i wskazał na otwarte drzwi, za którymi odbywało się przyjęcie.– Czy mogę prosić panią o ten taniec, milady?

Następne popołudnie spędziłam u d’Arbanvillów.

Tam znów spotkałam królewskiego chórmistrza. Tym razem znaleźliśmy czas na dłuższą pogawędkę, o której opowiedziałam wieczorem Jamieu.

– Słucham? – dopytywał z niedowierzaniem Jamie, jak gdyby podejrzewał, że stroję sobie z niego żarty.

– Powiedziałaś, że Herr Gerstmann zapytał, czy nie chciałabym poznać jego przyjaciółki, matki Hildegardy. Jest przełożoną w l’Hopital des Anges, wiesz, tego dobroczynnego szpitala obok katedry.

– Wiem, gdzie to jest. – W jego głosie wyczułam brak entuzjazmu.

– Bolało go gardło, więc mu poradziłam, jak je wyleczyć. Zaczęliśmy rozmawiać o medycynie. I tak od słowa do słowa doszliśmy do mojego zainteresowania chorobami.

– Twoje rozmowy zwykle na tym się kończą – zgodził się cynicznie. Nie zrażona jego tonem kontynuowałam relację.

– W związku z tym wybieram się jutro do szpitala. – Wspięłam się na palce, by sięgnąć po torbę z medykamentami leżącą na najwyższej półce. – A może nie będę jej brać ze sobą na pierwszą wizytę – zastanawiałam się głośno. – Pomyślą, że jestem zbyt bezpośrednia.

– Zbyt bezpośrednia? – Jamie zdawał się oszołomiony. – Idziesz tam z wizytą czy od razu się przeprowadzasz?

– Ale... – zaczęłam. Wzięłam głęboki wdech. – Myślałam, że może tam trochę popracuję. Herr Gerstmann mówił, że wszyscy lekarze i uzdrowiciele w tym szpitalu leczą charytatywnie. Większość z nich nie przychodzi

codziennie, ale ja mam mnóstwo wolnego czasu, więc mogłabym...

– Mnóstwo wolnego czasu?

– Przestań powtarzać moje słowa – zwróciłam mu uwagę. – Tak, mam dużo wolnego czasu. Wiem, że powinnam bywać w salonach, ale przyjęcia nie zajmują całego dnia.

– Angielko, jesteś brzemienna! Chyba nie chcesz się opiekować złodziejaskami i bandytami? – Czuł się bezradny. Wyglądał, jak gdyby szukał sposobu przemówienia do rozsądku komuś, kto na jego oczach nagle postradał zmysły.

– Nie zapomniałam o tym – zapewniłam. Położyłam dłonie na brzuchu i przykucnęłam. – Na razie niczego nie widać; I jeszcze długo nikt się niczego nie domyśli, jeśli założę luźny strój. A nie licząc porannych mdłości, czuję się świetnie. Nie widzę powodu, aby nie popracować przez kilka miesięcy.

– Tak, jest tylko jedna przeszkoda: ja ci na to za nic nie pozwolę! – Tego dnia nie spodziewał się żadnych gości, więc po powrocie do domu zdjął usztywniany kołnierz i rozpiął koszulę. Widziałam, jak krew napływa mu do twarzy.

– Jamie – zaczęłam i chwilę poczekałam na jakieś logiczne uzasadnienie jego sprzeciwu. Milczał, więc dodałam: – Wiesz przecież, kim jestem.

– Owszem, moją żoną!

– Tak, tym też. – Uczyniłam gest, jak gdybym dłońmi strzepywała z siebie tę myśl. – Ale także pielęgniarką, Jamie. Uzdrawiam. Powinieneś przecież to

wiedzieć.

Zrobiła się czerwony niczym piwonია.

– Tak, tak. Leczyłaś mnie, kiedy byłem ranny. I dlatego myślisz, że pozwolę ci chodzić do bandytów i prostytutek? Czy ty nie wiesz, kogo oni leczą w L’Hopital des Anges? – Patrzył na mnie błagalnie. Spodziewał się, że lada moment powróci mój zdrowy rozsądek.

– A co za różnica?

Rozejrzał się po pokoju i utkwiał wzrok w portrecie wiszącym nad kominkiem, jakby chciał powołać przodka na świadka mojego szaleństwa.

– Na miłość boską, kobieto, tam można zarazić się jakimś świństwem. Miej litość dla dziecka, bo zdaje mi się, że nie masz jej dla mnie.

Nie powinnam liczyć na logiczne uzasadnienie.

– Oczywiście, że mam! Nie jestem nieodpowiedzialną i beztroską osobą, za jaką chyba mnie bierzesz!

– Och, bez wahania porzuciłabyś męża i poszła się zabawiać z tym ścierwem z rynsztoka! – warknął. Podrapał się po głowie, tak że na czubku zaczęły mu sterczeć włosy.

– A od kiedy to porzucenie ciebie jest równoznaczne z chęcią bycia pożyteczną? Chcę coś robić, a nie tylko kręcić się po salonie d’Arbanvillów, patrzeć jak Luiza de Rohan opycha się ciastkami, słuchać żalostnej poezji i marnej muzyki!

– A zajmowanie się własnym domem to nie pożyteczne zajęcie? Już ci nie wystarcza, że jesteś moją żoną? – Kokarda, którą związał włosy, pękła nagle. Gęste loki otoczyły jego twarz płonąca aureolą. Patrzył na mnie

surowo jak anioł zemsty.

– A czy tobie wystarcza, że jesteś moim mężem? Nie zauważyłam, żebyś całymi dniami mnie adorował. A jeśli chodzi o dom, opowiadasz brednie.

– Brednie? A co to są brednie? – dopytywał się.

– Puste gadanie. Nonsens. Androny. Innymi słowy, nie bądź śmieszny. Wszystkim zajmuje się madame Vionnet i radzi sobie o wiele lepiej niż ja.

Ta oczywista prawda powstrzymała go na chwilę. Przyglądał mi się z zaciśniętymi szczękami.

– Taak? A jeśli ci zabronię tam chodzić?

Tym razem ja na moment zamilkłam. Próbowалаm zebrać myśli, uważnie obserwowałam Jamiego. Oczy miały kolor zmoczonego deszczem dachu, wydatne usta ułożyły się w prostą linię. Szerokie ramiona wyprostowane, ręce splecione na klatce piersiowej. Wyglądał jak posąg z brązu. „Zabronić”, to do niego podobne.

– Czy mi zabraniasz? – Napięcie między nami stawało się nieznośne. Chciałam zamrugać, ale za nic nie dałabym mu tej satysfakcji i nie przerwałam swojego stalowozimnego spojrzenia. Co zrobię, gdy rzeczywiście zakaże mi chodzić do szpitala?

Przez głowę przetaczały mi się przeróżne rozwiązania, od wbicia mu między żebra nożyka do otwierania listów aż po podpalenie domu z nim w środku. Jedyną opcją, którą od razu odrzuciłam, była rezygnacja.

Milczał. Nabrał powietrza, by za chwilę zacząć mówić. Z wysiłkiem otworzył dłonie, gdy uświadomił sobie, że zaciska je w pięści.

– Nie. Nie bronię. – Głos drżał mu lekko. Jamie

próbował opanować zdenerwowanie.

– Ale gdybym cię poprosił?

Spuściłam głowę, patrzyłam na jego odbicie na lśniącem blacie stołu. Początkowo odwiedzanie w L'Hopital des Anges wydawało mi się po prostu ciekawym pomysłem, alternatywą wobec nie kończącego się plotkowania i drobnych intryg paryskiego towarzystwa. Ale teraz... czułam, jak napręża się każdy mięsień moich ramion, gdy zaciskam pięści. Ja nie tyle chciałam pracować, ja tego potrzebowałam.

– Nie wiem – odpowiedziałam w końcu.

Wziął głęboki wdech i powoli wypuszczał powietrze.

– Pomyśl o tym, Claire.

Czułam na sobie jego spojrzenie. Po dość długim czasie skinęłam głową.

– Pomyślę – obiecałam.

– To dobrze. – Napięcie opadło. Odwrócił się bezradnie. Krążył po pokoju. Podniósł drobne przedmioty, przekładał je w inne, przypadkowe miejsca. Dotarł do półki z książkami, oparł się o nią i niewidzącym wzrokiem błędził po skórzanych grzbietach.

Cicho podeszłam do niego i położyłam mu dłoń na ramieniu.

– Nie chciałam cię rozgniewać, Jamie.

Popatrzył na mnie z krzywym uśmiechem.

– No tak. Ani ja nie zamierzałam się z tobą spierać, Angielko. Chyba zbyt łatwo wpadam w złość. – Przepraszająco poklepał moją dłoń i odsunął się. Spojrzał na biurko.

– Ciężko pracujesz – powiedziałam, próbując załagodzić sytuację.

– Nie o to chodzi. – Potrząsnął głową i sięgnął do leżącej na stole ogromnej księgi.

Przewrócił kartki. – Martwi mnie co innego.

Wskazał na stertę listów i podtrzymujący ją alabastrowy ciężarek. Należał do Jareda, biała róża – symbol Stuartów. Pod nią leżały listy od opata Aleksandra, księcia Mara i innych wpływowych jakobitów. Pisma pełne zawołanych dociekań, mglistych obietnic, sprzecznych propozycji.

– To walka z wiatrakami! – rzucił gniewnie. – Poradziłbym sobie na prawdziwym polu bitwy. Ale to... – Chwytał listy i rzucił je do góry. Zawirowały w lekkim przeciągu i spadły w nieładzie na podłogę. Niektóre wśliznęły się pod meble, inne sfrunęły na dywan.

– Zupełnie tego nie rozumiem – powiedział bezradnie. – Choć rozmawiam z ludźmi, prowadzę obfitą korespondencję, piję z Karolem na umór, nigdy nie wiem, czy postępuję właściwie.

Postanowiłam nie ruszać rozrzuconych listów. Jutro rano uprzątnię je pokojówka.

– Wiesz, że nie zostawię cię samego – powiedziałam. – Przecież to ja cię do tego skłoniłam.

Czułam, że drzę od wewnętrznego śmiechu.

– Istotnie, ale nie mam ci tego za złe. – Odwrócił się, pochylił i pocałował mnie delikatnie w czoło. – Jesteś zmęczona, *mo duinne*. Idź spać. Ja muszę jeszcze coś zrobić, przyjdę do ciebie niedługo.

– Tak, masz rację. – Rzeczywiście byłam

wyczerpana, choć chroniczna senność, typowa dla pierwszych miesięcy ciąży, ustępowała miejsca nowej energii. W ciągu dnia czułam potrzebę działania.

Zatrzymałam się w drzwiach. Jamie nadal stał przy biurku i wpatrywał się w strony księgi.

– Jamie?

– Tak?

– Obiecałam, że zastanowię się nad pracą w szpitalu. Ale ty też pomyśl, dobrze?

Popatrzył na mnie, unosząc brwi, uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Zaraz do ciebie przyjdę, Angielko – powiedział.

Tego wieczoru padał deszcz ze śniegiem. Małeńkie krople zamrożonej wody dzwoniły o szyby. Podmuchy nocnego powietrza porywały lodowe drobinki, które potem z sykiem topiły się w ogniu. Wiało przeraźliwie, wiatr jęczał i zawodził między budynkami. Nasza sypialnia wydawała się najprzytulniejszym miejscem na ziemi. Łóżko, oaza ciepła i wygody, wraz z kołdrami i ogromnymi poduchami z gęsiego puchu, no i z Jamiem – ciepłutkim niczym piec kaflowy.

Przyłożył swą dużą dłoń do mojego brzucha i lekko nacisnął. Przez jedwabną koszulę czułam jego ciepło.

– Nie, tutaj. Musisz dotykać mocniej. – Wzięłam jego dłoń i powiodłam palce niżej, ku kości łonowej. Płód z dnia na dzień stawał się coraz wyraźniej wyczuwalny, okrągły, twardy wzgórek nieco większy od grejpfruta.

– Tak, teraz czuję – zamruczał. – On tu jest. – W kącikach ust pojawił się nieśmiały uśmiech zadowolenia. Jamie patrzył na mnie błyszczącymi oczyma. – Czujesz, jak

się rusza?

Pokręciłam głową.

– Jeszcze nie. Twoja siostra, Jenny, twierdzi, że maluch zacznie dawać znaki życia dopiero za miesiąc albo i później.

– Ach, tak. – Pocałował mój brzuch. – Jak ci się podoba Dalhousie, Angielko?

– A kto to taki? – dociekałam.

– To imię – wyjaśnił. Klepał mnie delikatnie. – Musimy znaleźć dla niego imię.

– Tak, masz rację. Ale dlaczego uważasz, że to będzie chłopiec? Równie dobrze może urodzić się dziewczynka.

– No tak, rzeczywiście – przyznał, jak gdyby dopiero teraz uświadomił sobie tę ewentualność. – Ale możemy zacząć od imienia dla chłopca. Nazwijmy go na cześć twojego wuja, który cię wychował.

Zmarszczyłam brwi. Choć bardzo kochałam wuja Lamba, nie byłam przekonana, czy na pewno chcę uszczęśliwić swoje bezbronne maleństwo imieniem Lambert albo Quentin.

– Nie, to nie jest dobry pomysł. I proszę, nie nazywajmy też synka na cześć żadnego z twoich krewnych.

Jamie gładził mój brzuch.

– Jak miał na imię twój ojciec? – zapytał po chwili rozmyślań.

Przez moment próbowałam sobie przypomnieć.

– Henry. Henry Montmorency Beuchamp. Jamie, nie myślisz chyba, że nazwę nasze dziecko Montmorency. I Henry też mi się nie podoba, choć lepsze to niż Lambert.

A może William? – zaproponowałam.– Jak twój brat.

Starszy brat Jamiego, William, zmarł w dzieciństwie, ale Jamie zdołał zapamiętać chłopca i darzył go wielkim uczuciem.

Myślał tak intensywnie, że aż coraz bardziej marszczył brwi.

– Hm. Tak, może i tak. A gdyby nazwać go...

– Jakub – dobiegł nas nagle z kominka głęboki, grobowy głos.

– Co? – krzyknęłam i usiadłam prosto.

– Jakub – powtórzył zniecierpliwiony już kominek.

– Jakub, Jakub!

– O słodki Jezu – wyszeptał Jamie. Błędnym wzrokiem popatrzył w trzaskające płomienie. Włosy stanęły mu dęba, podniósł się i zastygł na chwilę w bezruchu. Nagle, olśniony jakąś myślą, wyskoczył z łóżka i jak stał, w samej tylko koszuli, podszedł do okienka dymnika.

Otworzył je gwałtownym szarpnięciem. Do pokoju wpadło mroźne powietrze. Jamie wystawił na zewnątrz głowę. Usłyszałam przytłumiony krzyk, potem coś jakby szuranie po dachu. Jamie wspiął się na palcach, by dalej sięgnąć ręką. Po chwili, mokry od deszczu i śniegu, sapiący z wysiłku wrócił do pokoju. Wciągnął ze sobą młodego, ładnego chłopaka. Zaciskał mu palce na szyi. Ciemne ubranie młodzieńca ociekało wodą, ręka była owiniętą pokrwawioną szmatką.

Gość oparł nogę na parapecie i niezgrabnie wyładował na podłodze. Szybko jednak podniósł się,

zerwał z głowy kapelusz i złożył grzeczny ukłon.

– Madame – powiedział z silnym francuskim akcentem. – Błagam o przebaczenie.

Przybywam bez zapowiedzi i przeszkadzam o tak nielitościwej godzinie, ale okoliczności zmusiły mnie, by prosić o pomoc mego przyjaciela Jakuba.

Chłopak dobrze zbudowany i przystojny, o gęstych jasnych włosach opadających w puklach na ramiona, miał jasną twarz, z wyjątkiem policzków rumianych od chłodu i wrażeń. Zaczęło kapać mu z nosa, więc wytarł go opatrunkiem, przy czym wykrzywił się z bólu.

Zdziwiony Jamie z szacunkiem ukłonił się gościowi.

– Mój dom jest do usług Waszej Wysokości – powiedział i omiół wzrokiem przybysza. Rozpięty kołnierz zwisał niedbale, rozporki bryczesów i połowa guzików u koszuli były nie zapięte. Jamie lekko się skrzywił, dyskretnie stanął na wprost chłopaka, by oszczędzić mi tego widoku.

– Wasza Wysokość pozwoli, oto moja żona Claire – rzekł oficjalnym tonem. – Lady Broch Tuarach. Claire, to Jego Wysokość książę Karol, syn króla Szkocji.

– Ach, tak – domyśliłam się. – Dobry wieczór, Wasza Wysokość. – Ukłoniłam się wdzięcznie, opatulając się prześcieradłem. Uznałam, że w tych okolicznościach obejdzie się bez nadmiernej kurtuazji.

Książę skorzystał z przydługiego powitania ze strony Jamiego i doprowadził swoje spodnie do względnego porządku. Kiwnął głową, pełen królewskiej godności.

– Cała przyjemność po mojej stronie, madame. – Raz jeszcze się uklonił. Bardzo się starał zachowywać elegancko.

Przez chwilę obracał w dłoniach kapelusz. Najwyraźniej się zastanawiał, co powiedzieć. Jamie w samej koszuli, bez spodni, patrzył to na mnie, to na Karola.

Wydawało się, że i jemu odebrało mowę.

– Eee... – spróbowałam przerwać ciszę. – Czy Wasza Wysokość miał jakiś wypadek?

– Wskazałam zakrwawioną chusteczkę. Popatrzył na nią, jak gdyby widział ją po raz pierwszy.

– Tak – potwierdził. – Ach, nie... to nic takiego, pani. – Zaczerwienił się; cały czas nie odrywał wzroku od swojej dłoni. Dziwne zachowanie księcia wskazywało, że jest zawstydzony i rozłoszczony zarazem. Plama krwi na opatrunku powiększała się, więc wysunęłam nogi z łóżka i sięgnęłam po szlafrok.

– Pozwól panie, że obejrzę rękę – zaproponowałam.

Rana, którą pokazał raczej niechętnie, okazała się niegroźna.

– Wygląda na ślad po ukąszeniu – oceniłam z niedowierzaniem. Dotykałam małych, półokrągłych wgłębień na dłoni, między kciukiem a palcem wskazującym. Książę krzywił się, gdy naciskałam wokół nich skórę, by oczyścić ranę z krwi przed założeniem nowego opatrunku.

– Zgadza się – powiedział. – Ugryzła mnie małpa. Przebrzydła, zapchlona bestia! – wybuchnął. – Kazałem się jej pozbyć. Niewątpliwie jest chora!

Odszukałam apteczkę i posmarowałam obolałe

miejsce cienką warstwą gencjany.

– Już po wszystkim – oznajmiłam, kończąc zabieg.

– O ile oczywiście nie wywiąże się wścieklizna.

– Wścieklizna? – Księżę zbladł. – Myśli pani, że to mogłem się zarazić wścieklizną? – Oczywiście nie miał najmniejszego pojęcia, co to takiego, ale z pewnością nie chciał na to zachorować.

– Wszystko jest możliwe – odparłam z rozbawieniem. Zaskoczona nagłym pojawieniem się następcy tronu, dopiero teraz uświadomiłam sobie, że atak śmiertelnej choroby u tego młodego człowieka oszczędziłby przyszłych kłopotów wielu ludziom.

Mimo wszystko jakoś nie mogłam życzyć mu gangreny czy wścieklizny. Owinęłam chorą rękę czystym bandażem.

Uśmiechnął się i uklonił po raz kolejny. Dziękował mi łamanym francuskim i włoskim. Nie przestawał przeproszać za niespodziewane najście. Jamie ubrał się wreszcie i zabrał gościa na dół na drinka.

Chłód panujący w pokoju wkradł się pod mój szlafrok. Czym prędzej wskoczyłam do łóżka i nakryłam się kołdrą po same uszy. A więc to był księżę Karol! Całkiem przystojny, przynajmniej miło na niego popatrzeć. Wyglądał bardzo młodo, dużo młodziej niż Jamie, choć wiedziałam, że Jamie jest starszy zaledwie o rok czy dwa. Jego Wysokość odznaczał się dobrymi manierami. Mimo nieporządnego stroju widać było, że jest dumnym i zarozumiałym człowiekiem. Czy doprawdy to wystarczy, by stać na czele armii zwolenników restauracji monarchii w Szkocji? Przed zaśnięciem zastanawiałam się jeszcze, co

następcą szkockiego tronu, ukąszony przez małpę, robił w środku nocy na paryskim dachu.

Pytanie to ciągle kołatało się po mojej głowie, gdy jakiś czas później z płytkiego snu wyrwał mnie Jamie. Wśliznął się do łóżka i wepchnął swe duże, zimne stopy tuż obok moich kolan.

– Nie krzycz – syknął. – Obudzisz służbę.

– Czy mógłbyś mi powiedzieć, co takiego, u diabła, robił Karol Stuart na dachu z małpą? – zażądałam. – I zabierz stąd te cholerne bryły lodu!

– Był u kochanki – odparł krótko Jamie. – No już dobrze, przestań mnie kopać. – Odsunął stopy i objął mnie mocno. Drżał z zimna.

– Ma kochankę? A kto to? – Chłód ciała Jamiego i skandaliczna nowina sprawiły, że szybko się rozbudziłam.

– Luiza de la Tour – wyjaśnił z ociąganiem. Jego nos wydał mi się dłuższy i ostrzejszy niż zwykle, zwłaszcza że Jamie zmarszczył czoło i ściągnął brwi. Jako szkocki katolik uważał, że romanse są niedopuszczalne, choć wszystkim wiadomo, że pod tym względem rodzina królewska ma pewne przywileje. Tak czy inaczej księżna Luiza de la Tour miała męża, a zamężna kobieta nie powinna być niczyją kochanką, to niemoralne, bez względu na pochodzenie.

– A widzisz – powiedziałam z satysfakcją. – Wiedziałam!

– Mówi, że ją kocha – dodał, naciągając kołdrę. – I ona ponoć też darzy go wielkim uczuciem. Powiedziała naszemu księciu, że przez ostatnie trzy miesiące była wierna tylko jemu.

– Więc ją odwiedzał? A skąd on się wziął na dachu?
Czy ci coś mówił? – zapytałam mocno rozbawiona.

– No... tak.

Przed nadejściem nocy przewidujący Karol wzmocnił się kilkoma kolejkami przedniego portera z piwniczki Jareda. Tego wieczoru jego miłość kilkakrotnie została poddana ciężkiej próbie przez ukochaną, niezwykle przywiązaną do swego zwierzaka, rozpieszczonej małpki, która od początku odwzajemniała niechęć Jego Wysokości, a w końcu w tak zdecydowany sposób wyraziła swoje negatywne uczucia. Księżna pogryzła dotkliwie w odpowiedzi na ironiczne gesty, jakie Jego Wysokość wykonywał pod jej adresem. Jednak jeszcze boleśniej rany zadała mu ostrym językiem kochanka. Para wdała się w kłótnię. Ostatecznie księżna de Rohan rozkazała Karolowi, by zszedł jej z oczu. On przyrzekł to zrobić, co więcej, nigdy do niej nie wrócić.

Niespodziewanie, zanim książe zdołał się oddalić, wrócił mąż księżnej, który tego wieczoru bawił się poza domem. Wypił sporo brandy, więc słyhać było, że jest w znakomitym nastroju.

– No i... – kontynuował Jamie z uśmiechem mimo swych poglądów. – Jego Wysokość nie chciał zostawać z nią dłużej, ale przez drzwi nie mógł wyjść. Wskoczył więc przez okno na dach. Już prawie po rynnach zsunął się na ulicę, ale wtedy zauważył straż. Wspiął się z powrotem. Mówił, że się bał, gdy tak skakał między kominami, dachówki były mokre, łatwo można się poślizgnąć. I wtedy przypomniał sobie, że nasz dom stoi niedaleko, w tym samym rzędzie, a dachy są wystarczająco blisko, by po nich

przeskoczyć.

– Ach, tak – mruczałam cicho. Czułam, jak znów ogarnia mnie błogie ciepło. – Czy dałeś mu powóz, by mógł wrócić do domu?

– Nie, wziął ze stajni konia.

– Mam nadzieję że trafi na Montmartre. Księżę pił porto Jareda – zauważyłam z troską. – A droga dość długa.

– Bez wątpienia czeka go chłodna, mokra wyprawa – powiedział Jamie z zadowoleniem, jakie odczuwa cnotliwy mężczyzna, który leży w ciepłym łozu u boku prawowitej małzonki. Zdmuchnął świecę i przytulił się do mnie.

– Niech mu wyjdzie na zdrowie – wymruczał. – Mężczyzna powinien mieć żonę.

Służba była na nogach, jeszcze zanim wzeszło słońce. Czyszczono srebra i sprzątano dom przed wizytą monsieur Duverneya, zaproszonego na kolację.

– Zupełnie nie wiem, po co to robią – powiedziałam do Jamiego. Leżałam w łozku z zamkniętymi oczyma i nasłuchiwałam odgłosów dochodzących z dołu. – Wystarczyłoby wyczyścić komplet szachów, a obok postawić butelkę brandy. I tak Duverney niczego innego nie zauważy.

Jamie roześmiał się i nachylił, by mnie pocałować na pożegnanie.

– Wszystko jest w porządku. Jeśli mam pokonać ministra finansów, powinienem zjeść przedtem dobrą kolację. – Poklepał mnie po ramieniu. – Idę do składu, wróć się przebrać.

Zastanawiałam się nad zajęciem, dzięki któremu

zeszłabym z drogi służbie, i zdecydowałam, że odwiedzę Rohanów. Po nocnej awanturze Luiza może potrzebować pociechy, myślałam. Prymitywna ciekawość, tłumaczyłam się przed samą sobą, nie ma z tym nic wspólnego.

Wróciłam do domu późnym popołudniem. Jamie siedział w fotelu koło okna w sypialni; nogi na stole, rozpięty kołnierzyk, zwichrzone włosy. Tkwił w zamyśleniu nad stertą papierów. Gdy usłyszał, że otworzyły się drzwi, podniósł głowę. Rozchmurzył się nieco na mój widok.

– O, jesteś! – Zdjął nogi ze stołu i podszedł, by się przywitać. Zanurzył twarz w moich włosach, powąchał je, po czym odwrócił się i kichnął. Za chwilę kichnął znowu, odsunął się ode mnie i sięgnął do rękawa po chusteczkę, nosił ją tam na styl wojskowy.

– Czym tak pachniesz, Angielko? – zapytał i w samą porę przysunął kawałek płótna do nosa. Rozległo się kolejne potężne kichnięcie.

Sięgnęłam za stanik sukni i spomiędzy piersi wydobyłam mały woreczek.

– Jaśmin, róże, hiacynty, konwalie... i najwyraźniej ambrozja – dodałam, w przerwie między kolejnymi smarknięciami i prychnięciami Jamiego w przepastną chusteczkę. – Nic ci nie jest? – Rozejrzałam się w poszukiwaniu kosza, ale w końcu schowałam woreczek do szuflady biurka w głębi pokoju.

– Nie, przeżyję. To a... aa... apsik!

– O Boże! – Pośpiesznie popchnęłam go w kierunku otwartego okna. Posłusznie wystawił głowę i ramiona na zewnątrz. Od rana mżyło. Jamie wdychał rześkie powietrze,

wolne od zapachu hiacyntów.

– Już mi lepiej – powiedział z ulgą, gdy kilka minut później przymykał okno. Na mój widok wytrzeszczył oczy.

– Co ty wyprawiasz, Anielko?

– Myję się – odparłam szamocząc się z tasiemką z tyłu sukni. – A raczej się do tego przygotowuję. Jestem nasmarowana olejkim hiacyntowym – wyjaśniłam. Jeśli go nie zmyję, rozsadzi ci głowę.

Dotknął nosa i przytaknął.

– Masz rację. Zawołać pokojówkę, żeby przyniosła ciepłej wody?

– Nie, nie trzeba. Wystarczy, że się szybko wytrę – zapewniłam i czym prędzej rozwiązałam tasiemki. Uniosłam ręce, by spleść włosy w kok. Nagle Jamie przysunął się i złapał mnie za nadgarstki. Pociągnął moje ramiona do góry.

– Co ty wyprawiasz? – zapytałam.

– Coś ty zrobiła, Anielko? – krzyknął. Patrzył na moje pachy.

– Ogoliłam włosy – odparłam dumnie. – Właściwie użyłam wosku. U Luizy była dziś rano kosmetyczka, więc i ja skorzystałam z jej pomocy.

– Wosk? – Jamie z przerażeniem w oczach patrzył to na świecę stojącą obok dzbanka, to na mnie. – Wylałaś tu sobie wosk?

– Och, Jamie, nie taki – zapewniłam. – Perfumowany, pszczeli. Najpierw się go podgrzewa, potem rozsmarowuje, a gdy już wystygnie, zrywa się plastry. – Wstrząsnęłam się na to wspomnienie.

– Po co, do diabła, zrobiłaś coś takiego? – spytał

surowym tonem. Przyglądał się teraz z bliska, ciągle trzymając w górze moje ramię. – A czy to bola... bola... apsik! – Puścił rękę, ale szybko poderwał ją z powrotem. – Bolało? – zapytał z chusteczką przy nosie.

– Cóż, trochę – przyznałam. – Ale warto było, nie uważasz? – Podniosłam obie ręce jak baletnica i obróciłam się wokół. – Po raz pierwszy od miesiący czuję się naprawdę czysta.

– Warto? – powtórzył oszołomiony. – A co to ma do rzeczy? Czystość nie ma nic wspólnego z wyrwaniem włosów.

Trochę poniewczasie zdałam sobie sprawę, że żadna ze szkockich kobiet, jakie spotkałam, nigdy się nie depilowała. Co więcej, Jamie prawie na pewno nie znał żadnej paryżanki z towarzystwa na tyle blisko, by wiedzieć, że wiele z nich to robi. Nagle uświadomiłam sobie, jak trudnym zadaniem dla antropologa jest zinterpretowanie mniej powszechnych zwyczajów prymitywnych plemion.

– Nie czuć przykrego zapachu – tłumaczyłam.

– A co złego jest w zapachu? – zapytał zdenerwowany. – Przynajmniej pachniesz jak kobieta, a nie jakiś przeklęty kwiatek. Co ty sobie wyobrażasz. Jestem mężczyzną, nie bąkiem! Umyj się wreszcie, żebyś mógł podejść do ciebie bliżej.

Wzięłam ściereczkę i zaczęłam szorować brzuch. Madame Laserre, kosmetyczka Luizy, natarła olejkami całe moje ciało. Miałam nadzieję, że łatwo go zmyję. Kichanie Jamiego bardzo mnie dekoncentrowało. Krążył wokół mnie w bezpiecznej odległości niczym wilk wokół zwierzyny.

Odwróciłam się, by zmoczyć w miednicy ściereczkę, i dodałam przez ramię:

– Usunęłam też włosy z nóg.

Popatrzyłam na niego ukradkiem. Pierwszy szok ustępował miejsca zakłopotaniu.

– Ale twoje nogi przecież nie śmierdziały – wymamrotał. – Chyba że spacerowałaś po kolana w krowich odchodach.

Uniosłam spódnicę i wyciągnęłam nogę w jego kierunku, by pokazać jedwabistą i delikatną skórę na łydkach.

– Zobacz, jakie są teraz ładne. I gładkie, a nie jak u włochatej małpy.

Spojrzał obrażony na własne zarośnięte nogi.

– Małpa, tak?

– Nie ty, ja! – powiedziałam.

– Moje nogi są stokroć bardziej włochate niż twoje!

– Takie właśnie powinny być. Jesteś przecież mężczyzną!

Wziął głęboki oddech, jak gdyby chciał odpowiedzieć, ale zrezygnował. Potrząsał głową i zaczął coś mrużyć po celtycku. Usiadł z powrotem w fotelu i obserwował mnie zmrużonymi oczami. Ani na chwilę nie przestawał burczeć pod nosem.

Moja kąpiel przebiegała w bardzo nieprzyjemnej atmosferze. Gdy zbliżała się ku końcowi, podjęłam próbę załagodzenia napięcia.

– Mogło być gorzej – powiedziałam, myjąc udo. – Luiza usuwa włosy z całego ciała.

Przeszedł na angielski, przynajmniej na jakiś czas.

– Co? Usuwa też włosy z łona? – spytał przerażony niezwykłą dla niego wulgarnością.

– Mhm – potwierdziłam zadowolona, że to choć na chwilę odsunęło jego uwagę od mojego ciała. – Każdy włos. Madame Laserre wyrwała wszystkie.

– Przenajświętsza Panienko! – Zamknął oczy, by czym prędzej odsunąć od siebie obraz, który opisałam, a może by go sobie lepiej wyobrazić.

Najwyraźniej to ostatnie, bo gdy wreszcie otworzył oczy i na mnie popatrzył, zapytał:

– To ona jest tam goła jak mała dziewczynka?

– Mówi, że mężczyzn to podnieca – odpowiedziałam delikatnie.

Jego brwi prawie dotknęły włosów, nie lada wyczyn, jak na osobę obdarzoną tak wysokim czołem.

– Jamie, przestań, proszę, mrużyć do siebie. – Odwiesiłam na oparcie krzesła ściereczkę, by wyszła. – Nie rozumiem, co mówisz.

– I dobrze, Angielko – odparł.

12

L'HOPITAL DES ANGES

– No dobrze – powiedział zrezygowany Jamie przy śniadaniu i pokiwał ostrzegawczo łyżeczką. – Rób, co chcesz. Ale oprócz służącego weźmiesz ze sobą Murtagha jako eskortą. Wokół katedry kręcą się różne typy.

– Eskortą? – Wyprostowałam się. Odepchnęłam talerz z owsianką, którą jadłam bez entuzjazmu. – Jamie, a więc nie masz nic przeciwko moim wizytom w L'Hopital des Anges?

– Właściwie nie wiem – odparł, grzebiąc łyżką w swojej owsiance. – Ale gdybym miał, to ty byłabyś niezadowolona. Może praca w szpitalu powstrzyma cię od wizyt u Luizy de Rohan. Widać, są gorsze rzeczy niż towarzystwo żebraków i złodziei – zauważył smutno. – Spodziewam się, że ze szpitala nie wrócisz z wyskubanymi włosami.

– Postaram się – zapewniłam.

Poznałam wiele dobrych siostr przelożonych, a kilka wręcz znakomitych, dla których praca stawała się powołaniem. Z matką Hildegardą było zupełnie odwrotnie, a rezultat okazał się zaskakujący.

Hildegarda de Gascogne wydawała się najodpowiedniejszą osobą na stanowisko dyrektora L'Hopital des Anges, jaką można sobie wyobrazić. Wysoka, chuda i koścista postać w czarnym wełnianym stroju strzegła siostrzyczek niczym strach na wróble pola.

Portierzy, pacjenci, pielęgniarki, sanitariusze, nowicjusze, goście odwiedzający chorych, aptekarze – wszyscy bezwarunkowo podporządkowywali się sile jej osobowości. Matka Hildegarda dyrygowała całym szpitalem.

Wzrost i twarz tak brzydka, że aż groteskowo piękna, sprawiły, że Hildegardą wiodła życie niezwykle religijne – Chrystus był jedynym mężczyzną, którego kochała i który odwzajemniał jej uczucie.

Mówiła z gaskońskim akcentem. Jej niski, donośny głos brzmiał jak dzwony sąsiadującego ze szpitalem kościoła i odbijał się echem na korytarzach. Usłyszałam dyrektorkę, zanim wyłoniła się zza zakrętu. Zbliżała się do

dyżurki, gdzie sześć dam dworu i ja kryłyśmy się za Herr Gerstmannem, jak rozbitkowie na wyspie czekający za prowizoryczną barykadą na nadejście huraganu.

Stała w wejściu. Na widok Herr Gerstmannarzuciła się na niego z okrzykiem radości. Całowała go głośno w oba policzki.

– *Mon chere ami!* Cóż za niespodziewana wizyta. Tym miłsza, że niespodziewana. Co cię sprowadza w moje progi?

Uśmiechnęła się do nas szeroko. Uśmiech nie znikał z jej oblicza, gdy Herr Gerstmann z wymuszoną uprzejmością tłumaczył powody naszej misji.

– Ach, moje drogie panie, jesteście niezmiernie wdzięczni za wasze dobre chęci i poświęcenie naszej sprawie. – Niski, dźwięczny głos jeszcze przez chwilę kontynuował mowę dziękczynną. Przyglądałam się małym, inteligentnym, głęboko osadzonym oczom.

Wwiercały się w nas, próbując znaleźć sposób, by jak najdelikatniej pozbyć się pobożnych dam, a przy tym wydobyć z nich jak najwięcej pieniędzy.

W końcu znalazła rozwiązanie. Klasnęła z zadowoleniem w dłoń. Nagle, jak spod ziemi, wyrosła przed nią niska pielęgniarka.

– Siostrze Angelique, niech siostra zaprowadzi panie do punktu przyjęć – rozkazała. – Proszę dać im fartuchy i oprowadzić po oddziale. Potem pomogą przy wydawaniu żywności, jeśli zechcą.

Szerokie usta leciutko drgnęły. Matka Hildegarda z pewnością nie spodziewała się, żeby religijne damy po wizycie na oddziale zechciały jeszcze wydawać pacjentom

żywność.

Dyrektorka dobrze znała ludzką naturę. Trzy panie wytrzymały obchód po oddziale, obejrzały wszystkie przypadki żołą, świerzbu, egzemy i ropnie, po czym zdecydowały ograniczyć swą działalność dobroczynną do ofiarowania szpitalowi odpowiednio wysokiej kwoty i wróciły do punktu przyjęć, gdzie szybko zrzuciły z siebie workowate fartuchy.

Na środku jednej z sal wysoki mężczyzna w ciemnym surducie dokonywał właśnie amputacji nogi. Pacjentowi najwyraźniej nie podano żadnych środków uśmierzających ból. Dwaj krzepcy sanitariusze mocowali się z nieszczęśnikiem. Dobrze zbudowana zakonnica siedziała mu na piersiach i zasłaniała jego twarz fałdami habitu.

Jedna z pań stojących za mną roześmiała się nerwowo. Gdy się obejrzałam, dostrzegłam już tylko dość szerokie „tyły” dwóch niedoszłych samarytanek. Damy przepychały się w wąskich drzwiach i próbowały jak najszybciej dostać się do punktu przyjęć, za którego drzwiami czekała wolność. Ostatnie desperackie szarpnięcie, odgłos rwanego jedwabiu i obie arystokratki wypadły na ciemny korytarz. Biegiem ruszyły ku wyjściu. O mały włos nie przewróciły sanitariusza niosącego kosz z bielizną i tacę z instrumentami chirurgicznymi.

Rozejrzałam się po sali. Z pewnym rozbawieniem dostrzegłam, że Mary Hawkins nie uciekła. Była szarawa jak szpitalna pościel, ale mimo to nadal obserwowała zabieg.

– Szybko! Pospieszcie się! – zwrócił się chirurg do

roztrzęsionego pomocnika.

Sanitarusz szybko poprawił instrumenty rozsypane na tacy i biegiem ruszył ku wysokiemu mężczyźnie. Lekarz trzymał piłkę do cięcia kości i przygotowywał się do zabiegu na odsłoniętym udzie pacjenta. Sanitariusz pochylił się, by założyć drugą opaskę uciskową powyżej miejsca amputacji. W tym momencie piłka z nieopisanym zgrzytem zagłębiła się w nodze. Zrobiło mi się żal Mary Hawkins. Szybko odwróciłam ją w stronę drzwi. Czułam, że drży. Czerwone jak piwonia usta dziewczyny zbladły i zacisnęły się niczym ścięty mrozem kwiat.

– Może wyjdziemy? – zapytałam uprzejmie. – Matka Hildegarda wezwie powóz. – Rozejrzałam się po ciemnym korytarzu. – Obawiam się, że hrabina i madame Lambert już opuściły szpital.

Mary przełknęła głośno ślinę i jeszcze mocniej zacisnęła usta.

– N-nie trzeba – powiedziała. – J-jeśli pani zostaje, ja również.

Zdecydowanie zamierzałam zostać. Ciekawość i chęć uczestniczenia w operacjach wykonywanych w L'Hopital des Anges były silniejsze niż współczucie dla Mary.

Siostra Angelique nie zauważyła, że się zatrzymałyśmy. Gdy spostrzegła, że zostałyśmy w tyle, wróciła i stanęła obok. Na pulchnej twarzy pojawił się niewyraźny uśmiech, jak gdyby się spodziewała, że i my zdezerterujemy. Pochyliłam się nad łóżkiem stojącym w kącie. Leżała na nim chuda kobieta okryta cienkim kocem. Oczy pacjentki bezmyślnie błędziły po naszych twarzach.

Jednak to nie ona przyciągnęła moją uwagę, ale dziwne szklane naczynie na podłodze, w pobliżu łóżka.

Żółty płyn wypełniający naczynie był z pewnością moczem. Zdziwiłam się, po co jest pobierana próbka moczu, gdy nie ma testów chemicznych czy choćby papierka lakmusowego. Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Nie zważając na okrzyki siostry Angelique, ostrożnie podniosłam naczynie.

Powąchałam zawartość. Wystarczyło. Duszący, słodki zapach oparów amoniaku przypominał raczej woń gorzkiego miodu. Wahałam się przez chwilę, ale był tylko jeden sposób, by się upewnić. Z obrzydzeniem zanurzyłam w płynie czubek palca i ostrożnie polizałam.

Mary zakrztusiła się, siostra Angelique popatrzyła na mnie z zainteresowaniem.

Położyłam rękę na czole chorej, było chłodne – nie ma gorączki.

– Czy bardzo chce się pani pić? – zapytałam chorą. Odpowiedź znałam, jeszcze zanim ją usłyszałam. Karafka obok głowy kobiety była pusta.

– Tak, madame – odpowiedziała. – I ciągle jestem głodna. Ale choćbym nie wiem, ile zjadła, nie tyję. – Uniosła cienkie jak patyk ramię, żeby pokazać kościsty nadgarstek. Siły szybko ją opuściły. Ręka opadła bezwładnie.

Delikatnie poklepałam ją po chudej dłoni i wymruczałam zdawkowe pożegnanie.

Radość, jaką poczułam po postawieniu prawidłowej diagnozy, szybko minęła.

Uświadomiłam sobie, że przecież w tych czasach nie znano lekarstwa na cukrzycę.

Kobieta była skazana na śmierć.

Poczułam się pokonana. Ruszyłam za siostrą Angelique. Pielęgniarka zwolniła, by iść równo ze mną.

– Madame, czy wie pani, na co cierpi ta kobieta? – zapytała z zainteresowaniem. – Jedyne po zbadaniu moczu?

– Nie tylko po tym – odparłam. – Ale tak, wiem. Ma... – Do licha! Jak oni to nazywają? – Chorobę cukrową – dokończyłam po chwili. – Ciągłe męczy ją pragnienie, więc dużo pije i dlatego często oddaje mocz. I choć właściwie się odżywia, jedzenie nie daje jej siły.

Siostra Angelique kiwała głową.

– Wyzdrowieje?

– Obawiam się, że nie – powiedziałam cicho. – Choroba jest zbyt zaawansowana.

Przeżyje najwyżej miesiąc.

– Ach, tak. – Siostra uniosła brwi. Ciekawość ustąpiła miejsca szacunkowi. – To samo mówi monsieur Parnelle.

– A kto to taki? Kiedy mogę go poznać? – zapytałam bezceremonialnie.

Siostra zrobiła srogą minę.

– Z zawodu jest złotnikiem. W szpitalu pracuje jako urolog.

– Urolog? – zapytałam z niedowierzaniem. – Macie tu takich specjalistów?

– Oui, madame. A o tej biednej kobiecie mówił to samo, co pani. Jeszcze nigdy nie spotkałam kobiety, która

znałaby się na urynologii. – Siostra Angelique patrzyła na mnie zafascynowana.

– Są na ziemi rzeczy, o których się siostrze nie śniło – powiedziałam sentencjonalnie.

Pokiwała poważnie głową, wprawiając mnie w zakłopotanie z powodu moich żartów.

– To prawda, madame. Może spojrzysz pani na tego dżentelmena w ostatnim łóżku.

Uważamy, że ma chorą wątrobę.

Przechodziliśmy od jednego łóżka do następnego i w ten sposób okrążyliśmy ogromną salę. Zobaczyłam przypadki chorób, które znałam jedynie z podręczników medycyny, różnego rodzaju rany, poczynawszy od skaleczeń, po zgniecenia i stłuczenia.

Przy niektórych łóżkach zatrzymywałam się na dłużej. Zadawałam chorym pytania.

Za plecami słyszałam głośny oddech Mary. Nie odwróciłam się jednak, by sprawdzić, czy dziewczyna zatyka nos.

Gdy zakończyliśmy obchód, siostra Angelique zapytała z ironicznym uśmiechem:

– I co, madame? Czy nadal pragnie pani służyć Najwyższemu, pomagając jego owieczkom?

Zakasywałam już rękawy.

– Siostrze, proszę o miednicę z gorącą wodą. I mydło – zakomenderowałam.

– I jak było, Angielko? – zapytał Jamie.

– Okropnie! – odparłam z promiennym uśmiechem.

Spojrzał na mnie zdziwiony i uśmiechnął się, widząc, że wyciągam się jak długa na szezlongu.

– Podobało ci się?

– Och, Jamie, tak miło jest być znowu potrzebną! Wycierałam podłogi, karmiłam chorych kleikiem, a gdy siostra Angelique nie patrzyła, zmieniałam brudną pościel i przecinałam wrzody.

– No dobrze, ale czy w tym zamieszaniu pamiętałaś, żeby coś zjeść?

– Oj, prawdę mówiąc, zapomniałam – przyznałam. Mój żołądek, gdy usłyszał o jedzeniu, skurczył się nagle i zaczął pomrukiwać. Położyłam na brzuchu rękę. – Chyba powinnam coś przekąsić.

– Tak, chyba powinnaś – zgodził się i trochę zagniewany sięgnął po dzwonek.

Przyglądał się, jak posłusznie pochłaniam kawałek mięsa i ser. Między kęsami z entuzjazmem opisywałam L'Hopital des Anges i samych pacjentów.

– Na niektórych oddziałach jest naprawdę ciasno. Dwie, trzy osoby leżą w jednym łóżku. Straszne, prawda? Może kawałek? – przerwałam na chwilę opowiadanie. – Bardzo smaczne.

Patrzył na ciastko, które mu proponowałam.

– Czy mogłabyś na moment przestać mówić o gangrenie, tak żebym zdążył przełknąć?

Dopiero teraz dostrzegłam bladość na jego policzkach i nerwowe drżenie nozdrzy.

Nalałam mu wina do kielicha.

– A jak tobie minął dzień, kochanie? – zapytałam z udaną skromnością.

L'Hopital des Anges stał się moim azylem. Szczerość i bezpośredniość siostr oraz pacjentów były dla

mnie cudowną odmianą od nieustannych intryg i plotek dam dworu.

Gdyby nie szpital, moja twarz wkrótce zastygłaby z wyrazem pustego, sztucznego uśmiechu. Dopiero w pracy mogłam odпочać, rozluźnić mięśnie i wyglądać normalnie.

Siostry szybko zaakceptowały moją obecność na oddziale. Zauważyły, że znam się trochę na medycynie, a od nich nie wymagam niczego poza kilkoma czystymi bandażami i świeżą pościelą. Pacjenci wkrótce przywykli do mojego akcentu i tytułu. Uprzedzenie społeczne to niszcząca siła, ale potrzeba fachowej opieki była większa.

Matka Hildegarda, choć nieustannie bardzo zajęta, poświęcała mi sporo czasu i uwagi. Ciągłe próbowała ocenić moje umiejętności. Nigdy natomiast nie wdawała się ze mną w rozmowy. Choć nasze kontakty ograniczały się do zwykłego „*Bonjour, madame*”, zawsze czułam na plecach spojrzenie małych świdrujących oczu, gdy przystawałam nad łóżkiem staruszka cierpiącego na półpasiec, gdy smarowałam maścią aloesową pęcherzyki dziecka poparzonego w jednym z częstych pożarów, jakie trawiły biedne dzielnice miasta.

Wydawało się, że dyrektorka nigdy się nie spieszy. Każdego dnia pokonywała jednak wiele kilometrów po kamiennych posadzkach szpitalnych oddziałów. Robiła tak wielkie kroki, że mały, biały piesek imieniem Bouton, który biegł u jej boku, ledwo nadążał.

Bouton w niczym nie przypominał salonowych pieszczošków dam dworu. Na pierwszy rzut oka wyglądał na krzyżówkę pudła z jamnikiem. Sierść miał szorstką i splątana, a między krótkimi nóżkami zwisały długie

pokręcone kudły. Gdy tak biegł za matką Hildegarda, jego czarne pazurki stukwały o posadzkę, co doprowadzało cały oddział do szału. Długą mordkę wpychał zawsze pod fałdy habitu swej pani.

– Czy to jest pies? – zapytałam z rozbawieniem jednego z sanitariuszy, gdy po raz pierwszy natknęłam się na Boutona. Jamniko-pudel przebiegł właśnie po korytarzu szpitala w pogoni za matką Hildegarda.

Sanitariusz przerwał na chwilę zamiatanie podłogi i popatrzył na znikający za rogiem kudłaty, gruby ogon.

– Cóż – odparł z powątpiewaniem – matka Hildegarda twierdzi, że pies. Nie chciałbym być tym, kto próbowałby wyprowadzić ją z błędu.

Gdy już zaprzyjaźniłam się z pielęgniarkami, sanitariuszami i lekarzami, usłyszałam od nich wiele różnych historii na temat Boutona. Nikt nie wiedział, skąd właściwie wziął się w szpitalu. Od dobrych kilku lat wchodził w skład personelu, a jego pozycja, w opinii matki Hildegardy – a przecież jedynie ta się liczyła – była dużo wyższa niż sióstr. Bouton dorównywał swym znaczeniem lekarzom i aptekarzom.

Ci ostatni nie przepadali za pupilkiem przełożonej i traktowali go z dużą podejrzliwością. Jeden z chirurgów zwykł nazywać go – oczywiście wtedy, gdy nie słyszała matka Hildegarda – „przewrotnym szczurem”, inny mówił o nim „śmierdzący zając”, a mały, gruby aptekarz otwarcie tytułował psiaka „Monsieur Ścierka”. Dla sióstr był maskotką, a młody ksiądz z sąsiadującej ze szpitalem katedry, który pewnego razu został przez Boutona ugryziony w łydkę, gdy odwiedzał chorych z

Przenajświętszym Sakramentem, powiedział mi w sekrecie, iż pies jest jednym z mniejszych demonów w przebraniu.

Z czasem doszłam do wniosku, że niepochlebna opinia duchownego, jest bliska prawdy. Po kilku tygodniach obserwacji stwierdziłam nawet, że Bouton jest chyba krewnym matki Hildegardy.

Często do niego mówiła, i to nie tonem, jakim zwykle zwracamy się do zwierząt, ale tak, jakby omawiała ważne sprawy z równym sobie. Gdy przystawała przy łóżkach chorych, Bouton często wskakiwał na poduszkę i obwachiwał przerażonego pacjenta.

Potem siadał w nogach i zaczynał nagle szczeakać. Patrzył wyczekująco na matkę Hildegardę, merdał grubym ogonem, jak gdyby czekał na ocenę diagnozy, którą postawił.

Jego pani zwykle mu coś odpowiadała.

Byłam szalenie zaintrygowana zachowaniem dziwnej pary, ale przez długi czas nie miałam okazji dokładnie przyjrzeć się ich pracy. Nadarzyła się dopiero w pewien ponury marcowy poranek. Stałam przy łóżku młodego furmana i zadawałam rutynowe pytania.

Próbowałam dojść, co, u diabła, mu dolegało.

Na oddziale pojawił się w zeszłym tygodniu. Wyskoczył z jadącego wozu i noga wkręciła mu się w koło. Złożone złamanie, łatwe do wyleczenia. Nastawiłam kości. Rana goiła się prawidłowo. Tkanka miała zdrowy, różowy kolor, nic nie śmierdziało, żadnych podejrzanych zaczerwienień, noga nie bolała zanadto. Nie było właściwie powodów, które tłumaczyłyby, dlaczego mężczyzna gorączkował i oddawał ciemny mocz o intensywnym

zapachu, co jest typowym objawem przewlekłej infekcji.

– *Bonjour*, madame – usłyszałam z tyłu niski, donośny głos. Odwróciłam się i zobaczyłam wysoką postać matki Hildegardy. Z boku dobiegło mnie sapnięcie i nagle Bouton ciężko wylądował na materacu. Pacjent jęknął głucho.

– Co o tym sądzisz? – zapytała matka Hildegarda. Nie miałam pewności, czy zwraca się do mnie, czy do Boutona, ale zdecydowałam się udzielić odpowiedzi.

– W którymś momencie musiało dojść do infekcji – dzieliłam się wnioskami z obserwacji. – Nie wiem jednak kiedy. Niewykluczone, że źródłem zakażenia nie jest rana w nodze. Może to wyrostek albo zapalenie pęcherza, choć pacjent nie skarży się na bóleści w okolicy brzucha.

Matka Hildegarda pokiwała głową.

– Możliwe, z pewnością. Bouton! – Pies odwrócił głowę w kierunku pani. Dyrektorka wskazała pacjenta. – *A la bouche** [*Do buzi!], Bouton – rozkazała.

Pies zrobił krok do przodu i przytknął mały czarny nosk do twarzy woźnicy.

Zaskoczony mężczyzna szeroko otworzył opuchnięte od gorączki oczy, ale surowe spojrzenie matki Hildegardy powstrzymało cisnącą się na jego usta skargę.

– Proszę otworzyć usta – nakazała Hildegarda. Siła charakteru dyrektorki sprawiła, że mężczyzna usłuchał, mimo że Bouton wpychał mu między zęby swą mordę. Całowanie się z psem z pewnością nie należało do ulubionych rozrywek furmana.

– Nie – stwierdziła matka Hildegarda, uważnie obserwując pupila w akcji. – To nie to. Sprawdź gdzie

indziej, Bouton. Ale ostrożnie, pamiętaj, ten człowiek ma złamaną nogę.

Jak gdyby rozumiejąc każde słowo, pies zaczął dokładnie obwąchiwać chorego.

Wsadzał mu nos pod pachy; drepcząc tłustymi nóżkami po klatce piersiowej, delikatnie badał pachwinę. Gdy dotarł do złamanej nogi, zszedł z niej ostrożnie i wsadził nos pod bandaż.

Wrócił do pachwiny. No dobrze, myślałam zniecierpliwiona, na Boga, przecież to pies. Trącił nosem udo, usiadł, szczeknął i triumfalnie zamachał ogonem.

– Proszę, to tutaj – oznajmiła przełożona. Wskazała niewielki brązowy strupek tuż poniżej pachwiny.

– Ale ta rana prawie się już zagoiła – protestowałam. – Tu nie ma zakażenia.

– Nie? – Zakonnica położyła rękę na udzie mężczyzny i mocno nacisnęła. Silne palce zagłębiały się w bladym, wilgotnym ciele. Furman wrzeszczał jak opętany.

– O! – powiedziała z satysfakcją. Obserwowała wyraźne odciski, jakie zostały po jej ucisku. – Zaczyna gnić.

Istotnie. Strupek odkleił się z jednej strony. Naszym oczom ukazała się gęsta, żółta ropa. Problem wyjaśnił się po krótkim badaniu, jakie przeprowadziłam przy pomocy matki Hildegardy. Dyrektorka fachowo przytrzymała chorego. W ranie tkwiła długa drzazga, która podczas wypadku wbiła się mu głęboko w udo. Pacjent nawet jej nie zauważył. Ból spowodowany złamaniem zagłuszył wszystkie inne odczucia. Złamanie goiło się czysto i szybko, ale głębsza rana zaogniła się i wokół drzazgi

powstał ropień.

Zainfekował tkankę mięśniową, co było niemożliwe do wykrycia, przynajmniej przez człowieka.

Skalpelem powiększyłam ranę, długimi szczypcami sprawnie uchwyciłam i zdecydowanym ruchem wyciągnęłam siedmiocentymetrową drzazgę pokrytą krwią i śluzem.

– Nieźle, Bouton. – Z uznaniem pokiwałam głową. Długi, różowy język zwisał mu z pyska. Kudłacz obwąchiwał mnie czarnym nosem.

– Tak, dobra robota, moja droga – pochwaliła matka Hildegarda. Tym razem nie miałam wątpliwości, do kogo się zwraca, Bouton był przecież płci męskiej. Powąchał grzecznie moją rękę, po czym polizał mi palce. W ten sposób okazał, że akceptuje mnie jako koleżankę po fachu. Ledwo zdołałam powstrzymać się przed wytarciem ręki w fartuch.

– Niezwykle – powiedziałam ze szczerym uznaniem.

– O, tak – potwierdziła matka Hildegarda bez emocji, choć w jej głosie pobrzmiwała nutka dumy. – Bouton bezbłędnie wynajduje również wszelkie guzki pod skórą. I choć nie zawsze wiem, co odkrył, badając oddech i mocz, to jednak go rozumiem. Szczeka w wyjątkowy sposób, gdy stwierdzi rozstrój żołądka.

W tych okolicznościach nie miałam powodu, by wątpić w jej słowa. Ukłoniłam się Boutonowi i zaczęłam opatrywać ranę wyciągiem z dziurawca.

– Dziękuję za współpracę, Bouton. Możesz zawsze mi towarzyszyć.

– To ładnie z pani strony – powiedziała matka Hildegarda, błyskając w uśmiechu białymi zębami. – Lekarze i chirurgiem, którzy tu pracują, niechętnie korzystają z umiejętności Boutona.

– Cóż... – Nie chciałam psuć nikomu opinii, jednak gdy na końcu korytarza ukazała się sylwetka monsieur Voleru, parsknęłam śmiechem.

Matka Hildegarda również się roześmiała.

– Ach, bierzemy, co Pan Bóg nam zsyła. Czasami jednak się zastanawiam, czy niektórych nie przysyła do nas tylko po to, by ustrzec ich przed czymś gorszym. Mimo to wielu naszych lekarzy lepszych jest niż nic, nawet jeśli tylko odrobinę. Pani zaś – znowu błysnęły białe zęby – jest o wiele lepsza niż nic, madame.

– Dziękuję.

– Zastanawiałam się – kontynuowała matka Hildegarda, przyglądając się, jak zakładam opatrunek – dlaczego opiekuje się pani tylko pacjentami ze złamaniami i skaleczeniami. Unika pani tych z wysypkami, przeziębieniami i gorączką, choć to zwykle oni są bardziej popularni wśród *les maitresses*. Nigdy jeszcze nie spotkałam kobiety chirurgien.

Les maitresses były najczęściej uzdrowiaczami-amatorkami. Pochodziły przeważnie z prowincji. Zajmowały się ziołolecznictwem, robieniem okładów i czarami. Najwyższą pozycję wśród uzdrowiaczek miały *les maitresses sage-femme*, czyli położne. Często cieszyły się szacunkiem większym niż licencjonowani lekarze. Ubodzy pacjenci woleli korzystać właśnie z ich usług – zwykle były skuteczniejsze i tańsze.

Nie zdziwiłam się, że przełożona zwróciła uwagę na moje skłonności. Matka Hildegarda wiedziała przecież wszystko na temat swojego szpitala.

– Nie wynika to z braku zainteresowania – zapewniłam. – Jestem w ciąży. Nie mogę narażać mojego dziecka. Złamane kości nie są zaraźliwe.

– Ostatnio to prawdziwa plaga – skomentowała dwuznacznie. – Nie, proszę nie odchodzić. – Zatrzymała mnie. – Siostra Cecylia będzie miała go na oku. Zawoła panią w razie potrzeby.

Małe szare oczka zakonnicy wpatrywały się we mnie z zainteresowaniem i z podziwem.

– Jest pani nie tylko damą. A mąż pozwala, by pani tu przychodziła? Musi być niezwykle człowiekiem.

– To Szkot – wyjaśniłam krótko. Nie chciałam wdawać się w rozmowę na temat poglądów Jamiego.

– Ach, tak. – Matka Hildegarda pokiwała głową ze zrozumieniem.

Łóżko obok mnie zadrżało, gdy Bouton zeskoczył i ruszył w kierunku drzwi.

– Wyczuł obcego – zauważyła matka Hildegarda. – Bouton pomaga nie tylko lekarzom, ale i strażnikom. Oni jednak nie okazują mu wdzięczności.

Po chwili zza drzwi dobiegło nas gniewne szczenie i podniesiony męski głos.

– A, to ojciec Balmain! Przeklęty, nie może się nauczyć, że należy stać spokojnie, by Bouton mógł go obwąchać! – Matka Hildegarda pośpiesznie ruszyła na ratunek przybyszowi. W ostatniej chwili odwróciła się jeszcze do mnie i uśmiechnęła zachęcająco.

– Może pani weźmie Boutona ze sobą, ja tymczasem zajmę się ojcem Balmainem. Ten bez wątpienia święty człowiek nigdy nie doceniał pracy prawdziwego artysty.

Zbliżyła się ku drzwiom, a ja pożegnałam furmana i razem z siostrą Cecylią udałyśmy się do kolejnego pacjenta.

Gdy wróciłam do domu Jamie leżał na dywanie w salonie. Obok niego po turecku siedział mały chłopiec. Jamie w jednej ręce trzymał pukawkę, drugą dłonią zasłaniał sobie oko.

– Oczywiście, że mogę – mówił. – Każdego dnia, a w niedzielę dwa razy. Patrz.

Wymierzył w miseczkę z kości słoniowej. Wystrzelona piłka przeleciała zgrabnym łukiem i wpadła do miseczki, jak gdyby naprowadzona przez radar.

– Widzisz? – powiedział, odsłaniając oko. Usiadł i podał chłopcu pukawkę. – Masz, spróbuj. – Uśmiechnął się, wsunął mi rękę pod spódnicę i na przywitanie ścisnął moją kostkę w zielonej jedwabnej pończosze.

– Dobrze się bawisz? – zapytałam.

– Jeszcze nie – odparł. – Czekałem na ciebie, Angielko.

Długie ciepłe palce wspinały się wyżej. Delikatnie gładziły łydkę, podczas gdy błękitne oczy patrzyły na mnie niewinnie. Twarz miał z jednej strony oblepioną zaschniętym błotem, koszula i kilt były również brudne.

– Czyżby? – próbowałam uwolnić się od uścisku. – Można by pomyśleć, że twój mały towarzysz jest dla ciebie doskonałym kompanem.

Chłopiec, najwyraźniej, nie rozumiejąc ani słowa po

angielsku, ignorował nas i z zacięciem oddawał się ćwiczeniom z pukawką. Pierwsze dwie próby nie powiodły się, otworzył więc jedno oko i spojrzał na zabawkę, jak gdyby ją zaklinał. Znów zamknął oczy, ale tym razem pod długimi rzęsami pozostała maleńka szczelinka.

Jamie cmoknął ostrzegawczo i powieki zacisnęły się dokładnie.

– No nie, Fergusie, nie oszukuj, to nie uczciwe.

Chłopiec od razu pojął, co Jamie miał na myśli, choć może nie do końca rozumiał słowa. Uśmiechnął się niewinnie, pokazując dwa duże, lśniące białe zęby, kwadratowe jak u wiewiórki.

Jamie ścisnął moją nogę. W ten sposób zmusił mnie, bym podeszła bliżej.

W przeciwnym wypadku przewróciłabym się w marokańskich pantoflach na obcasach.

– Obecny tu Fergus to mężczyzna o wielu talentach i wesoły kompan do zabawy na czas, gdy żona opuszcza męża, by zaspokoić własne zachcianki w towarzystwie największych złoczyńców w mieście. – Długie palce czule masowały wgłębienie za kolanem. – Nie nadaje się jednak do zadań, które mam na myśli.

– Fergus? – zapytałam zdziwiona. Próbowalam zignorować to, co się działo pod moją spódnicą. Całą uwagę skupiłam na chłopcu. Miał około dziewięciu, może dziesięciu lat, i był raczej mały jak na swój wiek. Przypominał fretkę. Na jego czystym znoszonym ubraniu, za dużym na niego o kilka rozmiarów, również zauważyłam błoto. Błada, ziemista cera i duże, ciemne oczy – typowe dziecko paryskiej ulicy.

– Tak naprawdę na imię ma Claudel, ale uznaliśmy, że nie brzmi to męsko. Zamiast tego mamy nazywać go Fergus. Oto imię godne wojownika. – Słyszac swoje imię, a raczej imiona, malec podniósł głowę i popatrzył na mnie nieśmiało.

– A to jest madame – tłumaczył mu Jamie, wskazując na mnie wolną ręką. – Możesz nazywać ją milady. Chyba nie spamięta „Broch Tuarach” – zwrócił się do mnie – ani nawet „Fraser”.

– Milady mi odpowiada – powiedziałam z uśmiechem. Podjęłam ponowną próbę uwolnienia nogi z wężowego uścisku. – A właściwie dlaczego, jeśli wolno spytać?

– Co dlaczego? A, chodzi ci o imię Fergus?

– Tak. – Nie byłam pewna, jak daleko posunie się jego ręka. Wspięła się już do uda, więc dodałam. – Jamie, w tej chwili zabierz łapę!

Palce zdecydowanym ruchem rozwiązały wstążkę podtrzymującą pończochę. Zielony jedwab zsunął się do kostki.

– Ty bestio! – Kopnęłam go, ale uskoczył na bok ze śmiechem.

– Bestio? Jakiego rodzaju?

– Kundlu! – rzuciłam. Próbowaliśmy się schylić i naciągnąć pończochę, a przy tym nie upaść ze względu na obcasy. Dzieciak przez chwilę patrzył na nas obojętnym wzrokiem, po czym wrócił do zabawy pukawką.

– A co się tyczy Fergus – ciągnął Jamie – od dziś dla mnie pracuje.

– Jako kto? Mamy już chłopaka do czyszczenia

noży i butów, zatrudniamy też stajennego.

Jamie kiwał głową.

– Tak, prawda. Ale nie mieliśmy złodzieja kieszonkowego.

Wzięłam głęboki wdech i powoli wypuszczałam powietrze.

– Rozumiem. Czy zachowam się niemądrze, jeśli zapytam, po co nam w domu złodziej kieszonkowy?

– Żeby kradł listy, Angielko – odparł spokojnie Jamie.

– Ach, tak. – Powoli zaczynało mi się rozjaśniać w głowie.

– Nic nie mogę wywnioskować z zachowania Jego Wysokość. W moim towarzystwie tylko jęczy z powodu Luizy de La Tour albo klnie, bo się z nią znów pokłócił. W obu przypadkach jedyne, co chce zrobić, to czym prędzej spać się do nieprzytomności. Mar już traci do niego cierpliwość. Księżę raz jest wyniosły, za chwilę znów pokorny. Z Sheridana też nic nie zdołam wydobyć.

Księżę Mar był najczcigodniejszym szkockim jakobitą przebywającym na wygnaniu w Paryżu. Jego długa i barwna młodość właśnie ustępowała miejsca dostojnej starości.

Uchodził za najważniejszego sprzymierzeńca króla Jakuba podczas powstania w tysiąc siedemset piętnastym roku. Po klęsce pod Sheriffsmuir udał się w ślad za swym panem na wygnanie. Poznałam księcia i polubiłam – starszy, szarmancki mężczyzna obdarzony niezwykle silną osobowością. Teraz, najlepiej jak tylko potrafił, służył księciu Karolowi, choć Jego Wysokość nie okazywał

wiernemu słudze najmniejszego szacunku. Poznałam też Thomasa Sheridana, książęcego nauczyciela – starszego mężczyznę, który zajmował się korespondencją Jego Wysokości. Przekładał jego chaotyczną pisaninę na elegancki francuski i angielski.

Usiadłam i naciągnęłam pończochy. Fergus, zapewne przywykły do widoku damskich nóg, zupełnie mnie ignorował. Był całkowicie skupiony na pukawce.

– Potrzebne mi listy, Angielko – powiedział. – Z Rzymu, z pieczęcią Stuartów.

Z Francji, z Anglii, z Hiszpanii. Możemy je zdobyć w domu księcia, Fergus pójdzie ze mną jako giermek albo papieski posłaniec. Tak będzie nawet lepiej, wcześniej poznamy wieści. – Przerwał na chwilę. – Zawarliśmy więc umowę. – Kiwnął głową na swego nowego służącego. – Fergus postara się zdobyć to, czego potrzebuję, a ja w zamian go ubiorę, nakarmię i dam trzydzieści ecu rocznie. Jeśli zostanie pojmany, zrobię wszystko, by odzyskał wolność. Jeśli to się nie uda i straci rękę czy ucho, pozostanie na moim utrzymaniu do końca życia. Jeśli go powieszą, obiecuję, że przez rok będą odprawiać msze za zbawienie jego duszy. Myślę, że to uczciwe.

Poczułam chłód.

– Chryste, Jamie. – To wszystko, na co się zdobyłam.

Jamie sięgnął po szpadę.

– Nie Angielko, to nie nasz Pan, ale święty Dyzma jest patronem złodziei i zdrajców.

Wziął od Fergususa pukawkę, wymierzył i znów kulka wpadła z hałasem do miseczki.

– Rozumiem – powiedziałam. Przyglądałam się uważnie naszemu nowemu pracownikowi, który wziął od Jamiego zabawkę i powrócił do ćwiczeń. Ciemne oczy chłopca błyszcząły w największej koncentracji. – A skąd on się tu wziął? – zapytałam.

– Znalazłem go w burdelu.

– Ach, naturalnie. – Wpatrywałam się w brud na kilcie i koszuli. – Oczywiście byłeś tam z jakiegoś niezwykle ważnego powodu.

– O, tak – odparł. Usiadł prosto, ręce oplótł wokół kolan i z uśmiechem obserwował, jak poprawiam bieliznę. – Mam nadzieję, że wołałabyś znaleźć mnie w takim miejscu, a nie w jakiejś ciemnej alejce z roztrzaskaną głową.

Zauważyłam, że Fergus co chwilę zerka na tacę z lukrowanymi ciastkami i oblizuje usta.

– Myślę, że twój protegowany jest głodny – powiedziałam. – Może dasz mu jeść, a potem opowiesz mi, co takiego, do stu diabłów, stało się dziś po południu.

– No dobrze. Szedłem sobie do doków – zaczął posłusznie, podnosząc się z dywanu.

– Właśnie mijalem rue Eglantine, gdy nagle poczułem za plecami coś dziwnego.

Jamie Fraser przez dwa lata służył w armii francuskiej, a potem jako banita walczył wraz z grupą szkockich „straceńców”. Te doświadczenia wyostrzyły jego czujność. Bardzo często miał wrażenie, że ktoś go śledzi.

Nie potrafił powiedzieć, czy był to odgłos kroków rozlegający się tuż za plecami, czy może kątem oka dostrzegał dziwny cień. Być może chodziło jeszcze o coś

innego, bardziej ulotnego – prawdopodobnie wyczuwał w powietrzu zło. Nauczył się jednak, że ignorowanie własnych przeczuć bywa niezwykle niebezpieczne.

Posłuszny wewnętrznemu głosowi na następnym rogu skręcił w lewo, zamiast w prawo. Pokręcił się przy straganach sprzedawców ryb, stolikach z gorącym budyniem i świeżymi dyniami. Potem wszedł do małego sklepu rzeźnika.

Przyglądał do ściany przy drzwiach. Przez szczeliny między wiszącymi na wystawie kaczkami obserwował, co dzieje się na zewnątrz. Kilka sekund później w uliczkę weszło dwóch mężczyzn. Szli blisko siebie, rozglądając się na wszystkie strony.

Każdy paryski robotnik nosi znamiona swego zawodu. Nie trzeba było wyjątkowo czulego nosa, by poczuć, że ci dwaj z daleka zalatywali zapachem morskiej soli. Owszem bordowy kolor ich twarzy mógł zdradzać, czym się trudnią, ale mały kolczyk w uchu niższego mężczyzny wyjaśniał wszystko, byli marynarzami.

Ludzie morza, przywykli do ciasnych kajut na statku i nadbrzeżnych tawern, rzadko chodzą prosto. Dwaj mężczyźni przeciskali się przez zatłoczoną uliczkę niczym węgorze pośród skał. Czujne spojrzenia przesłizgiwały się po żebrakach, pannach służebnych, gospodyniach, kupcach – wilki morskie na łowach.

– Przeszli obok sklepu – tłumaczył Jamie – i już miałem wyjść, gdy nagle u wlotu uliczki zauważyłem trzeciego.

Był ubrany tak samo, jak tamci dwaj: spodnie wybrudzone smarem, za pasem nóż do oprawiania ryb,

wielki jak ramię rosnącego człowieka. Niski, krępy marynarz stał nieruchomo. Nie ustępował napierającej fali przechodniów. Na pewno został na straży, podczas gdy jego towarzysze przeszukiwali okolicę.

– Stałem i zastanawiałem się, co robić – opowiadał Jamie, drapiąc się po nosie. – W sklepie byłem bezpieczny, ale gdybym tylko wystawił nos na zewnątrz, natychmiast by mnie dostrzegli. – Przyglądał się teraz swojemu purpurowemu kiltowi. Wyglądał fałdy.

– A ten czerwony barbarzyńca tkwił w miejscu. Zupełnie nie zważał na coraz większy tłok.

– I co zrobiłeś? – zapytałam. Fergus nie zwracał uwagi na naszą rozmowę. Napychał sobie usta ciastkami. Przestawał tylko po to, by je łączywie przełknąć. Jamie zauważył, że patrzę na chłopca, i wzruszył ramionami.

– Nie zdążył się jeszcze przyzwyczać do regularnych posiłków. Daj mu spokój.

– Dobrze. Mów dalej. Co zrobiłeś?

– Kupiłem kielbasę.

Dla ścisłości, to kabanos z mocno przyprawionego kaczego mięsa, szynki i dziczyzny, ugotowany i wysuszony na słońcu. Kabanos mierzył pół metra i był twardy jak dębowe drzewo.

– Nie mogłem wyjść z wyciągniętą szpadą – tłumaczył Jamie. – A nie podobał mi się pomysł, by stanąć im na drodze z gołymi rękami.

Z kabanosem w garści i szeroko otwartymi oczyma, Jamie odważnie wyszedł na ulicę i skierował się w stronę męczycy pilnującego jej wylotu.

Marynarz natychmiast go zauważył. Nie okazywał

jednak po sobie, że na niego czeka.

Gdyby nie to, że drab przez krótką chwilę patrzył na coś za jego plecami, Jamie mógłby pomyśleć, że intuicja go tym razem zawiodła. Postanowił jednak usłuchać jej głosu, przecież dzięki niej pozostał do dziś przy życiu. Ruszył śmiało przed siebie, jednym ciosem powalił marynarza na ziemię i uderzył jego głową o bruk.

Zaalarmowany tłum rozstał się, Jamie skoczył na równe nogi. Kątem oka dostrzegł nóż. Przeciwnik chybił.

– Gdybym choć przez chwilę wątpił, że to na mnie czyhają, nie martwiłbym się tym dłużej – powiedział oschle.

Nadal trzymał w ręce kabanosa. Uderzył nim w twarz jednego z napastników.

– Złamałem mu nos – dodał w zamyśleniu. – Zachwiał się, a ja biegiem ruszyłem wzdłuż rue Pelletier.

Przechodnie umykali na widok pędzącego Szkota z rozwianym kiltem. Nie zatrzymywał się, nie oglądał za siebie. Po krzykach wnosił, że prześladowcy są tuż za nim.

Patrole straży królewskiej rzadko zapuszczają się w tę część miasta, a tłum nie udziela pomocy uciekającym, może co najwyżej spowolnić pościg. Mało prawdopodobne było, by ktoś stanął w obronie obcokrajowca.

– Od rue Pelletier nie odchodzą w bok żadne uliczki. Chciałem dobiec do miejsca, gdzie przynajmniej mógłbym wyjąć szpadę i gdzie miałbym za plecami ścianę – tłumaczył dalej Jamie. – Naciskałem więc klamki kolejnych drzwi. W końcu jedno się otworzyły.

Jamie minął ponury korytarz, zaskoczonego oddźwiernego, drapowane zasłony i wpał na sam środek

ogromnego, jasno oświetlonego i mocno pachnącego perfumami salonu madame Elizy.

– Rozumiem – powiedziałam przez zaciśnięte zęby.

– Mam nadzieję, że nie wyjąłeś tam swej szpady?

Wbił we mnie wzrok. Nie odpowiedział od razu.

– Pomyśl, Angielko – odezwał się chłodno. – Jak byś się czuła, gdybyś nagle zjawiała się pośrodku burdelu, z ogromną kielbasą w garści.

– Stałam na wysokości zadania. Moja wyobraźnia poradziła sobie z tym wyzwaniem znakomicie – wybuchłam śmiechem. – O Boże, chciałabym to zobaczyć na własne oczy!

– Dzięki Bogu, że tego nie widziałaś! – rzucił z zapalem. Policzki oblewał mu rumieniec gniewu.

Nie zwracając uwagi na zaczepki pięknych pań, Jamie próbował wycofać się z pomieszczenia i z czegoś, co nazwał „płatanią gołych nóg”. Nagle spostrzegł przy jednej ze ścian Fergususa. Chłopak z rozbawieniem obserwował intruza.

Jamie skwapliwie skorzystał z tak niespodziewanego akcentu męskiego. Chwycił dzieciaka za ramię i bez ceregieli kazał prowadzić się do najbliższego wyjścia.

– Usłyszałem odgłos otwierających się drzwi – mówił dalej. – Wiedziałem, że przeciwnicy zaraz będą w środku. Nie chciałem walczyć o życie na oczach tych kobiet.

– Nie wątpię – syknęłam. – Wtedy oczywiście on cię uratował.

– No tak. Nie wahał się nawet przez moment,

kochany chłopak. „Tędy, monsieur!”, krzyknął i poprowadził mnie schodami w górę, potem przez okno w jednym z pokoi na dach. I tyle nas obu widzieli. – Jamie z dumą popatrzył na Fergususa.

– Wiesz, znam kobiety, które nie dałyby wiary jednemu twojemu słowu.

Jamie spojrzał zdziwiony.

– A to czemu?

– A dlatego że nie poślubiły ciebie – odparłam oschle. – Cieszę się, że udało ci się ocalić cnotę, ale dokończ opowieść. Co stało się ze zbirami?

– Nie miałem wtedy zbyt dużo czasu, by się nad tym zastanawiać – odpowiedział Jamie. – A i teraz nie wiem, kim byli i dlaczego za mną szli.

– Myślisz, że chcieli cię okraść? – Pieniądze z handlu winem, które przenoszono z winiarni przez rue Tremoulins do banku Jareda, były dobrze zabezpieczone i chronione przez straż. Wszyscy w dokach znali jednak pana Frasera i wiedzieli, że jest bogatym kupcem w porównaniu z większością mieszkańców okolicy.

Jamie pokiwał głową i otrzepał z ubrania zaschnięte błoto.

– Możliwe. Ale nawet nie próbowali mnie obrabować. To miało być morderstwo.

Mówił całkiem rzeczowym tonem. Czulałam, że drżą mi kolana. Usiadłam na sofie.

Oblizалам usta, które nagle zrobiły się suche.

– Kto... kto to mógł być?

Wzruszył ramionami i zmarszczył czoło. Zebrał z talerza okruszki ciastek i włożył je do ust.

– Jedynym człowiekiem, jaki przychodzi mi do głowy, jest hrabia St. Germain. Ale nie wiem, po co chciałby mnie zabić.

– Mówiłeś, że Jared stanowi dla niego dużą konkurencję w interesach.

– A, tak. Ale hrabia nie interesuje się niemieckim winem. Nie wdawałby się w takie kłopoty tylko po to, by zrujnować Jareda i sprowadzić go z powrotem do Paryża. To zbyt szalone, nawet jak na kogoś o tak ognistym temperamencie.

– A może... – Przeraziły mnie własne myśli. Przełknęłam głośno ślinę. – Czy nie myślisz, że to... zemsta? Za spalenie „Patagonii”?

Jamie znów pokiwał głową.

– Niewykluczone. Ale za długo z tym czekał. I dlaczego mierzył we mnie? – dodał. – To ty go rozwścieczyłaś, Angielko. Dlaczego nie próbował zabić ciebie?

Zrobiło mi się słabo.

– Czy ty zawsze musisz być tak cholernie logiczny? – zapytałam retorycznie.

Dostrzegł kamienny wyraz mojej twarzy. Uśmiechnął się łagodnie i objął mnie ramieniem.

– Nie, *mo duinne*. Hrabia jest porywczy, ale nie sądzę, żeby chciał zabić tylko dla zemsty. Gdyby mógł tym sposobem odzyskać statek, to co innego – dodał. – Ale w tym wypadku najmowanie morderców byłoby to tylko dodawaniem kolejnej sumy do i tak sporego już wydatku.

Poklepał mnie po ramieniu i wstał.

– Nie, to chyba był jednak napad rabunkowy. Nie

zaprzątaj sobie tym głowy. Od dziś będę zabierał ze sobą Murtagha dla bezpieczeństwa.

Wyprostował się, otrzepał resztę błota z kiltu.

– Czy jestem wystarczająco szykowny, by udać się na kolację? – zapytał i krytycznie spojrzął na swoją koszulę. – Już chyba pora?

Otworzył drzwi, zza których doleciał nas apetyczny zapach.

– No, oczywiście, kabanos. – Wzruszył ramionami.

– Nie myślałaś chyba, że pozwolę, aby się zmarnował?

13

PODSTĘP

– Trzy garści berberysu parzyć przez noc, dodać pół garści ciemiernika czarnego. – Położyłam na stole listę składników z takim wstrętem, jakby od samego patrzenia na nią groziła ciężka choroba. – Przepis dostałam od madame Rouleaux. Ona najlepiej się zna na usuwaniu ciąży, ale uważa, że to niebezpieczne. Luizo, jesteś pewna, że tego chcesz?

Na jej twarzy pojawiły się plamy. Wydatne usta drżały.

– A czy mam wybór? – Wzięła receptę na środek poronny. Patrzyła na kartkę zafascynowana, ale i przerażona.

– Ciemiernik czarny – powtórzyła słabym głosem. – Już nazwa brzmi strasznie.

– Cóż, to diabelnie paskudna roślina – wyznałam bez osłonek. – Sprawia, że temu, kto ją zażyje, wydaje się, że wnętrzności wychodzą mu na wierzch. Dziecko też może

wyjść. Ale to nie zawsze działa. – Przypomniało mi się ostrzeżenie mistrza Raymonda.

„Niebezpiecznie jest czekać zbyt długo”. Luiza podejrzewała, że zaszła w ciążę nie dalej jak sześć tygodni temu.

Wpatrywała się we mnie czerwonymi oczyma roztrzęsiona.

– Czy ty to stosowałaś? – zapytała.

– Na Boga, nie! – Przeraziłam się gwałtownością swojego okrzyku. Wzięłam głęboki oddech. – Nie, ale widziałam kobiety, które to zażyły. W L’Hopital des Anges. Przychodzą do szpitala, gdy zabieg się nie uda. – Położyłam rękę na brzuchu. Odruchowo chciałam w ten sposób obronić życie, które się w nim rozwijało. Luiza zauważyła mój gest. Rzuciła się na sofę i schowała głowę w dłoniach.

– Och, pragnę umrzeć! – jęczała. – Dlaczego, dlaczego ja nie mogę być tak szczęśliwa, jak ty, i nosić dziecko ukochanego męża? – Ścisnęła swój zaokrąglony brzuch, jak gdyby w nadziei, że może dziecko wyskoczy jej między palcami.

Nasunęło mi się kilka odpowiedzi, ale nie sądziłam, żeby rzeczywiście chciała je poznać. Westchnęłam głęboko. Usiadłam na sofie i poklepałam przyjaciółkę po ramieniu.

– Luizo, czy chcesz mieć dziecko?

Podniosła głowę i spojrzała na mnie zaskoczona.

– Ależ oczywiście, że tak! – wykrzyknęła. – To jego dziecko, to dziecko Karola! To... – Zmarszczyła czoło i kiwała głową nad rękami ściskającymi brzuch. – Jest moje

– wyszeptała. Po dłuższej chwili podniosła głowę i w żalostnej próbie opanowania się wytarła nos w rękaw.

– Ale nie mogę. Jeśli nie... – Patrzyła na przepis leżący na stole i pochlipywała smutno. – Jules zażąda rozwodu. Wyklnie mnie. Będzie potworny skandal. Zostanę przeklęta. Nawet ojciec mnie nie obroni.

– Tak – powiedziałam. – Ale... – zawahałam się przez moment. Postanowiłam jednak zaryzykować. – Czy jest jakaś szansa, by Jules uznał to dziecko za swoje? – zapytałam bez owijania w bawełnę.

Patrzyła przez chwilę bezmyślnie, aż chciałam nią potrząsnąć.

– Ale nie wiem jak, chyba że... Och! – W końcu ją oświeciło. Spojrzała na mnie z przerażeniem. – Mam się przespać z Julesem? Ale Karol wpadnie w szal!

– Karol nie jest brzemienny! – wycodziłam przez zęby.

– Ale on... ja... to znaczy... Nie mogę! – Wyraz przerażenia powoli zniknął z jej twarzy, a jego miejsce stopniowo zajmowała ulga.

Nie chciałam zbyt mocno naciskać, ale jednocześnie uważałam, że nie warto ryzykować życia, by ocalić dumę Jego Wysokości.

– Czy myślisz, że Karol chciałby, żebyś się narażała na śmiertelne niebezpieczeństwo?

– zapytałam. – A jeśli już o tym mowa, czy on wie o dziecku?

Pokiwała głową. Usta miała rozchylone, ręce nadal trzymała na brzuchu.

– Tak. To z tego powodu kłóciliśmy się ostatnio. –

Chlipnęła. – Był zły. Powiedział, że to moja wina, że powinnam poczekać, aż odzyska tron ojca. Wtedy zostałby królem i któregoś dnia mógłby zabrać mnie od Julesa, papież anulowałby małżeństwo i nasi synowie byliby prawowitymi dziedzicami tronu Anglii i Szkocji... – Znow wytarła nos w rąbek sukni.

Przewracałam oczyma zirytowana.

– Och, przestań już, Luizo! – krzyknęłam. Wstrząsnęło to nią na tyle, że zamilkła przynajmniej na chwilę. Wykorzystałam ten czas, by wyjaśnić jej, co o tym sędzę.

– Słuchaj – zaczęłam możliwie najbardziej przekonującym tonem. – Nie myślisz chyba, że Karol chce, żebyś poświęciła jego syna? Prawowitego czy też nie. – Tak naprawdę, spodziewałam się, że Jego Wysokość raczej będzie próbował usunąć przeszkodę stojącą mu na drodze kariery, bez względu na skutki, jakie mogą dotknąć Luizę. Z drugiej jednak strony książę miał romantyczną duszę, mógł potraktować całą sprawę jako coś w rodzaju przeciwności losu, jakie często dotykają monarchów na wygnaniu. Wiedziałam, że będzie mi potrzebna pomoc Jamiego. Skrzywiłam się na samą myśl o tym, jak skomentuje nowinę.

– Ale... – Luiza wahała się. Pragnęła, by ją przekonać. Przez chwilę zrobiło mi się żal jej męża, księcia de Rohan, ale obraz młodej służącej, w nie kończącej się agonii, złanej krwią i potem, leżącej na prześcieradle rozścielonym na kamiennej posadzce L'Hopital des Anges natychmiast zagłuszył skrupuły.

Słońce już zachodziło, gdy opuszczałam dom

przyjaciółki. Madame de Rohan roztrzęsiona ze zdenerwowania została na górze, w buduarze, gdzie służąca układała jej włosy i poprawiała niezwykle wyrafinowaną suknię. Luiza zamierzała właśnie udać się na dół, by zjeść kolację ze swym mężem. Byłam wyczerpana, miałam nadzieję, że Jamie nie zaprosił nikogo na wieczór. Chyba należy mi się trochę prywatności, pomyślałam.

Na szczęście nie zastałam w domu żadnych gości. Gdy weszłam do gabinetu, Jamie siedział przy biurku. Pocił się nad drobno zapisanymi kartkami papieru.

– Jestem pewien, że „krawiec z Vendome” to monsieur Geyer – powiedział, przesuwając palcem po linijkach listu. – A „nasz wspólny przyjaciel”, to może być albo księżę Mar, albo wysłannik papieski. Chyba jednak księżę, sądząc po...

– A co to takiego? – Zerknęłam Jamiemu przez ramię i dostrzegłam podpis na dole listu. Jakub Stuart, z bożej łaski król Anglii i Szkocji. – Na Boga! A więc to zrobiliście! – Rozejrzałam się wokół i zauważyłam Fergusa przycupniętego na stołeczku przed kominkiem. Jak zwykle wpychał sobie do ust ciastka. – Dzielny chłopak – powiedziałam z uśmiechem. W odpowiedzi wykrzywił twarz i nadął policzki.

– Mamy to od papieskiego posłańca – wyjaśnił Jamie, kiedy uświadomił sobie moją obecność. – Fergus wyjął mu list z torby podczas kolacji w tawernie. Gонец zatrzymał się tam na noc, musimy oddać pismo z powrotem, zanim wstanie słońce. Nic trudnego, prawda Fergusie?

Chłopiec przełknął i pokiwał głową.

– Jasne, mój panie. Posłaniec śpi sam, nie ufa swym towarzyszom. – Młody złodziejasek uśmiechnął się do siebie. – Drugie okno po lewej, tuż nad stajnią. – Machnął ręką w powietrzu i sięgnął brudnymi palcami po kolejne ciastko. – To bardzo proste, panie.

Nagle oczyma wyobraźni zobaczyłam, jak ta koścista rączka wije się na pniu, a nad nią unosi się katowskie ostrze. Przełknęłam głośno ślinę, zagłuszając burczenie żołądka.

Zauważyłam, że Fergus nosi na szyi mały miedziany medalik. Miałam nadzieję, że to święty Dyzma.

– A co to za sprawa z handlarzami futer? – zapytałam. Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić.

Nie było czasu na dumanie nad listem. Zrobiłam szybko kopię, a oryginał ostrożnie zakleiliśmy. Pieczęć nałożyliśmy nożem rozgrzanym w płomieniu świecy.

Fergus przyglądał się naszym poczynaniom. W końcu potrząsnął głową i powiedział:

– Szkoda, panie, że jesteś ranny w rękę.

Jamie spojrzął na swoją prawą dłoń. Drobne zadrapania, gruby strupek wzdłuż środkowego palca. W gorszym stanie był palec serdeczny, sterczał opuchnięty. Po całkowitym zgnieceniu kostki palca zrastały się razem. Rękę złamał Jamiemu Jack Randall, niecałe cztery miesiące temu w więzieniu w Wentworth.

– To nic – powiedział z uśmiechem Jamie. Pstryknął na Fergususa. – Moje łapy i tak są zbyt duże, bym mógł zarabiać na życie jako kieszonkowiec.

Duża poprawa zdolności ruchowej, pomyślałam. Jamie nadal nosił przy sobie mały szmaciany woreczek,

który dla niego zrobiłam. Doradziłam, żeby go ścisnął w chorej dłoni około stu razy dziennie, przy okazji załatwiania swoich potrzeb. Nawet jeśli bolały go kości, nie narzekał.

– No zmykaj, Fergusie. Pokaż się, gdy już będzie po wszystkim. Chcę wiedzieć, że nie złapał cię policjant albo właściciel tawerny.

Fergus zmarszczył nos na tę myśl, ale pokiwał głową. Schował list pod koszulę i zniknął w ciemności na schodach prowadzących do tylnego wyjścia.

Jamie długo patrzył za odchodzącym chłopcem, potem odwrócił się do mnie. Dopiero teraz przyjrzał mi się uważnie i unióśł brwi.

– Na Boga, Angielko! – zakrzyknął. – Jesteś biała jak moja koszula. Dobrze się czujesz?

– Mam tylko pusty żołądek – uspokoiłam go szybko.

Czym prędzej zadzwonił, żeby podano kolację. Jedliśmy przed kominkiem.

Opowiedziałam Jamiemu o Luizie. Słuchając rewelacji, marszczył groźnie czoło i mruczał po celtycku jakieś przekleństwa pod adresem nieznośnej pary kochanków. Ostatecznie jednak poparł mój sposób rozwiązania ich problemu.

– Myślałam, że się rozgniewasz – wymamrotałam z pełną buzią. Ciepła fasolka z bekonem, zagryzana kawałkiem chleba przepełniła mnie uczuciem błogości i zadowolenia. Na dworze było ciemno i zimno, hulał przeraźliwy wiatr, u nas płonął ogień w kominku i oboje cieszyliśmy się ciszą.

– Dlatego, że Luiza de La Tour zamierza podrzucić mężowi bękartą? – Jamie wpatrywał się w talerz i usilnie czyścił go z resztek sosu palcem. – No cóż, Angielko. Nie podoba mi się to wszystko. Ale co innego może, do cholery, zrobić ta nieszczęsna kobieta? – Potrząsnął głową, po czym spojrział na biurko stojące po przeciwnej stronie pokoju i uśmiechnął się niewyraźnie. – Nie mnie oceniać moralność innych osób. Sam przecież wykradam cudze listy, szpieguję, dążę do obalenia kogoś, kogo moja rodzina uznaje za swego króla. Nie chciałbym, by ludzie oceniali moje postępowanie na takiej podstawie.

– Jamie, masz przecież słuszne powody, dla których to robisz! – zaoponowałam.

Wzruszył ramionami. Światło z kominka igrało na jego twarzy i rzucało cień na oczy.

Wydawał się starszy, niż był w rzeczywistości, zapomniałam, że ma niespełna dwadzieścia cztery lata.

– Oczywiście. Luiza de La Tour też ma powód. Chce ocalić jedno życie. Ja chcę ocalić dziesięć tysięcy istnień, ale czy to usprawiedliwia narażenie interesów Jareda, życia Fergususa, no i oczywiście twojego? – Odwrócił twarz i uśmiechnął się do mnie, na długim prostym nosie odbijał mu się promień światła, jedno oko błyszczało jak szafir. – Nie, nie będę marnował nocy na czytanie kolejnego cudzego listu – oznajmił. – Zanim osiągniemy cel, wszystko może zmienić się na gorsze, Claire. Nie potrafię przewidzieć, na co jeszcze zgodzi się moje sumienie. I lepiej nie sprawdzać tego zbyt wcześnie.

To prawda. Nic dodać, nic ująć. Poglądziłam go po policzku, a Jamie przez moment głąskał moją dłoń.

– Może jednak wrócimy do listów? – zaproponował.

Tym razem wiadomości były zakodowane. Żeby zmylić przypadkowych czytelników, tłumaczył Jamie.

– A kto chciałby przechwytywać pocztę Jego Wysokości? – zapytałam. – Naturalnie, poza nami.

Jamie parsknął rozbawiony moją naiwnością.

– Prawie wszyscy, Angielko. Szpiedzy Luizy, Douverneya, Filipa Hiszpańskiego.

Panowie jakobici oraz ci, którym się wydaje, że przy pomyślnych wiatrach zostaną jakobitami. Poza tym sprzedawcy informacji, a nawet sam papież. Stolica Apostolska wspiera Stuartów na wygnaniu od pięćdziesięciu lat, więc myślę, że ma ich na oku. – Stukał palcami w kopię listu od Jakuba do jego syna. – Z tego pisma zdejmowano pieczęć ze trzy razy, zanim dostało się w nasze ręce – powiedział.

– Rozumiem i wcale się nie dziwię, że Jakub pisze szyfrem. Myślisz, że uda ci się odczytać treść?

Jamie uważnie przyglądał się stronicom.

– Nie wiem. Niektóre zdania nic mi nie mówią. Ale jeśli zdołam zdobyć więcej listów wysłanych przez króla Jakuba, może wtedy rozszyfruję ukryte tu wiadomości. – Odłożył kopię do szuflady i zamknął ją na klucz.

– Dziś nikomu nie można ufać, Angielko – wytłumaczył swoje zachowanie. – Ktoś z naszej służby może być szpiegiem. – Schował kluczyk do kieszeni spodni i wziął mnie pod ramię.

Wzięłam świecę i ruszyliśmy w stronę schodów. Dom tonął w ciemnościach. Cała służba poza Fergusem pogrążona była we śnie. Zadrżałam na myśl, że być może

jedna lub dwie spośród smacznie śpiących osób nie jest tym, za kogo się podaje.

– Czy nie męczy cię ta wieczna nieufność? – zapytałam w drodze do sypialni.

Zaśmiał się cicho.

– Nie mówię przecież, że nikomu nie ufam. Mam ciebie, Murtagha, siostrę Jenny i jej męża Iana. Zawierzyłbym wam moje życie. I nieraz już to robiłem.

Drżałam, gdy odkrywał pościel w naszym wielkim łóżku. Zgaszono już na noc ogień w kominkach i w sypialni robiło się chłodno.

– Czworo ludzi, którym możesz całkowicie wierzyć, to nie tak wiele – stwierdziłam, rozwiązując szlafrok.

Zdjął przez głowę koszulę i rzucił ją na krzesło. Światło księżyca wpadające przez okno odbiło się na jego plecach. Blizny błysnęły srebrnym kolorem.

– No tak – przyznał rzeczowo. – Ale to o cztery osoby więcej, niż ma Karol.

Obudził mnie śpiew ptaków, choć do wschodu słońca pozostało jeszcze sporo czasu.

Gdzieś nieopodal rozbrzmiewały trele drozda.

Jamie poruszył się sennie i otarł policzek o gładką skórę mojej świeżo wydepilowanej pachy, odwrócił się i złożył miękki, delikatny pocałunek. Zadrżałam.

– Mmm – mruknął, gładząc mnie po brzuchu. – Lubię, gdy masz gęsią skórę Angielko.

– Taką? – zapytałam i podrapałam go łagodnie po plecach, co zawsze sprawia, że występuje gęsia skórka.

– Ach...

– To dla ciebie – wyszeptalam czule, nie przestając

drapać.

Jamie, pomrukując z zadowolenia, odwrócił się na bok, objął mnie ramionami i przyciągnął do siebie. To nagłe dotknięcie naszych nagich ciał sprawiło mi ogromną przyjemność. Skóra Jamiego była ciepła. Rozpaliłam w nim ogień, który rozgrzewał mnie w ten zimny i ciemny poranek.

Miękkie wargi odnalazły mój sutek. Wygięłam się, zachęcając, by Jamie wziął go do ust. Moje piersi z dnia na dzień stawały się coraz bardziej pełne i wrażliwe. Czasami bolały mnie sutki ukryte pod opiętą suknią, chciały, by ktoś je ssał.

– Pozwolisz mi to robić? – Ugryzł mnie lekko. – Gdy już przyjdzie dziecko, a twoje piersi wypełnią się mlekiem? Będziesz mnie wtedy karmić spod serca?

Objęłam jego głowę i zanurzyłam palce w miękkich jak u dziecka włosach.

– Zawsze – wyszeptałam.

14

ROZMYŚLANIA NAD CIAŁEM

Fergus okazał się wybitnym specjalistą w swoim fachu. Prawie codziennie przynosił jakąś część korespondencji Jego Wysokości. Czasami nie mogłam nadążyć z kopiowaniem, by chłopiec mógł odnieść wykradzione listy, a zabrać nowe.

Niektóre z nich były zaszyfrowanymi informacjami od króla Jakuba z Rzymu. Kopie tych listów Jamie odkładał i próbował rozgryźć ich treść w wolnych chwilach. Większość korespondencji stanowiły pozdrowienia od

przyjaciół z Włoch, rachunki od miejscowych kupców – Karol miał słabość do dobrych butów, kolorowych strojów i drogiego wina. Od czasu do czasu trafiały się liściki od Luizy de La Tour de Rohan. Łatwo było je rozpoznać po drobnym, mocno stylizowanym piśmie. Listy od księżnej wyglądały tak, jakby zostawił na nich ślady mały ptaszek. Poza tym zawsze nasączała papier zapachem hiacyntów.

Jamie nigdy nie czytał listów miłosnych od Luizy.

– Nie będę taki wścibski – stwierdził poważnie. – Nawet spiskowcy miewają skrupuły. – Kichnął i schował ostatni liścik do kieszeni Fergususa. – A poza tym – dodał rzeczowo i uśmiechnął się do mnie. – Luiza i tak o wszystkim ci mówi.

To prawda. Zostałyśmy bliskimi przyjaciółkami. Luiza spędzała prawie tyle samo czasu w moim salonie, ile u siebie w domu. A to załamywała ręce nad Karolem, a to rozczulała się nad swym odmiennym stanem. Oczywiście, ona nigdy nie miewała porannych mdłości! Była niezwykle roztrzepana, ale bardzo ją lubiłam. Zawsze jednak wizyty w L'Hopital des Anges stanowiły dla mnie miłą odmianę, ucieczkę od jej towarzystwa.

W szpitalu, nawet bez Luizy, nie czułam się samotna. Niezrażona pierwszymi doświadczeniami Mary Hawkins zmobilizowała całą siłę woli i wraz ze mną chodziła do szpitala. Nie od razu mogła patrzeć na rany, ale chętnie karmiła chorych kleikiem i zamiatała podłogi. Najwyraźniej i ona potrzebowała pracy, przecież całe dni spędzała w domu swego wuja lub na dworze.

Często szokowało ją zachowanie dworzan. Nie zdradzała jednak większej niechęci czy przerażenia na

widok wicehrabiego Marigny. Wnosiłam z tego, że jej nikczemna rodzina nie zakończyła jeszcze pertraktacji w sprawie małżeństwa i dziewczyna nic nie wie o czekającym ją losie.

Wniosek ten nasunął mi się pewnego kwietniowego dnia, gdy w drodze do L'Hopital des Anges wyznała mi w tajemnicy, że się zakochała.

– Och, jest bardzo przystojny – mówiła z entuzjazmem, cała w pałach. Nawet się nie jąkała. – I taki... taki uduchowiony.

– Uduchowiony? – powtórzyłam zdziwiona. – Mm, bardzo ciekawe. – Uważałam, że nie to jest najbardziej pożądaną cechą u kochanka, ale cóż, ludzie mają różne upodobania.

– A kim jest ten uroczy dżentelmen? Czy go znam?
Jej policzki stały się jeszcze bardziej czerwone.

– Nie, nie sądzę. – Patrzyła na mnie błyszczącymi oczyma. – Och, chyba nie powinnam tego mówić, ale nie mogę się powstrzymać. Napisał do mojego ojca.

W przyszłym tygodniu przyjeżdża do Paryża!

– O, tak? – Ciekawa wiadomość. – Słyszałam, że za parę dni na dworze będzie gościł hrabia de Palles – powiedziała. – Czy twój... wymarzony, jest jednym z jego dworzan?

Mary wydała się zdumiona moją sugestią.

– Francuz! Och, nie, Claire, jakbym mogła poślubić Francuza?

– A co w tym złego? – zapytałam zaskoczona gwałtownością jej reakcji. – Przecież znasz francuski. – Być może w tym właśnie tkwił problem. Mary bardzo

ładnie mówiła po francusku, ale wrodzona nieśmiałość sprawiała, że dziewczyna zaciniała się jeszcze bardziej, niż gdy posługiwała się ojczystym angielskim. Któregoś dnia usłyszałam, jak dwaj chłopcy kuchenni w wyjątkowo złośliwy sposób naśladują *la petite Anglaise maladroite** [*Mała, angielska niezdara.].

– Nie wiesz, jacy są Francuzi? – wyszeptała, otwierając szeroko oczy z przerażenia. – Ach, jestem pewna, że nie, skąd mogłabyś wiedzieć takie rzeczy. T-t-twój mąż jest taki miły i d-d-delikatny... nigdy by tego... t-t-to znaczy... wiem, że nie męczy cię w ten sposób...

Wyglądała jak piwonia w pełnym rozkwicie, omal nie udusiła się jękami.

– Czy mówisz o... – zaczęłam. Próbowałam w taktowny sposób jej pomóc, nie wplątując się przy tym w dyskusję na temat zwyczajów Francuzów. Mając jednak na uwadze to, co pan Hawkins powiedział mi o małżeńskich planach wobec Mary, pomyślałam, że może będzie lepiej, gdy wyjaśnię pewne plotki, które zapewne usłyszała w salonach i garderobach paryskich dam. Nie chciałam, by umarła ze strachu, gdy w końcu będzie zmuszona poślubić Francuza.

– O tym, co ro-o-obią w... łóżku! – wyszeptała.

– No cóż, jest wiele rzeczy, które można robić w łóżku z mężczyzną – stwierdziłam rzeczowo. – Na ulicach Paryża widzę sporo dzieci, przypuszczam więc, że nawet Francuzi w czasie intymnych zbliżeń zachowują się całkiem zwyczajnie.

– Och, dzieci... tak, naturalnie. – Przytaknęła

niewinnie, jak gdyby nie dostrzegała związku. – Ale p-powiadają... – spuściła oczy zawstydzona, jej głos był ledwo słyszalny – że... że F-f-francuzi mają t-t-to, no wiesz...

– Tak, tak. – Z trudem zachowywałam cierpliwość. – O ile mi wiadomo, natura wyposażyła ich zupełnie tak samo, jak innych mężczyzn. Anglików czy Szkotów.

– T-t-tak, ale oni, oni... wkładają to k-k-kobiecie między n-n-nogi! D-do środka! – wyksztusiła wreszcie tę sensacyjną wiadomość. Wzięła głęboki oddech. Trochę się uspokoiła, bo purpurowy rumieniec powoli zaczął znikać z jej twarzy. – Anglik czy nawet Szkot... och, n-nie to miałam n-na myśli... – Zakryła ręką usta. – Przyzwoity mężczyzna, jak twój mąż, nigdy nie zmuszałby k-k-kobiety do czegoś t-t-takiego!

Położyłam rękę na brzuchu i przyglądałam się jej z uwagą. Zaczynałam rozumieć, dlaczego tak wysoko ceni u mężczyzn duchowość.

– Mary, myślę, że powinniśmy porozmawiać.

Uśmiechałam się do siebie w duchu, wchodząc do wielkiego holu szpitala. Na suknię założyłam sztywny i szorstki habit nowicjuszeki.

Większość urologów, *chirurgienes*, lekarzy, aptekarzy i innych uzdrowicieli ofiarowywała szpitalowi czas i pieniądze w ramach działalności charytatywnej. Niektórzy przychodzili tu, by podnieść swoje kwalifikacje. Nieszczęśliwi pacjenci L'Hopital des Anges nie mieli najmniejszej możliwości protestu przeciwko traktowaniu ich jako obiektów nieustannych eksperymentów medycznych.

Cały personel oprócz samych zakonnic zmieniał się codziennie, w zależności od tego, kto odkrył właśnie jakąś nową technikę, którą należało wypróbować. Szybko nauczyłam się odróżniać stałych pracowników od wolontariuszy.

Jednym z bardziej interesujących ochotników był wysoki posępny mężczyzna, którego obserwowałam podczas zbiegu amputacji nogi w czasie mojej pierwszej wizyty.

Nazywa się Forez. Na początku zajmował się składaniem złamanych kości. Z czasem zaczął podejmować się amputacji. Miał szczególne upodobanie do obcinania całych kończyn. Zakonnice i sanitariusze traktowali monsieur Foreza z rezerwą. W jego towarzystwie nikt nie opowiadał pikantnych dowcipów, na jakie pozwalano sobie w obecności innych wolontariuszy.

Monsieur Forez był akurat w pracy. Podeszłam cicho, by zobaczyć, co robi. Pacjent, młody robotnik, leżał blady na stole i ciężko oddychał. Spadł z rusztowania przy katedrze, którą wечно remontowano. Złamał rękę i nogę. Z ręką było nie najgorzej – zwyczajne pęknięcie kości promieniowej. Stan nogi przedstawiał się dużo poważniej, podwójne, złożone złamanie kości udowej i piszczeli. Ostre kawałki kości przebiły skórę.

Zmiażdżone ciało na udzie miało siny kolor.

Nie chciałam rozpraszać monsieur Foreza. Wydawał się zatopiony w myślach. Krążył wokół pacjenta niczym ogromny sęp, świadomy, że jego ofiara jeszcze nie umarła. Nie, wyglądał raczej jak kruk. Wielki nos wolontariusza przypominał dziób. Gładkie, czarne nie

przypudrowane włosy były związane w cienki warkoczyk. Ubranie miał czarne, ponure, choć dobrej jakości. Widać, że monsieur Forez nieźle zarabiał poza szpitalem.

W końcu obmyślił plan. Rozejrzał się w poszukiwaniu asystenta. Dostrzegł mnie, więc kiwnął, bym podeszła bliżej. Nawet nie zwrócił uwagi, że nie noszę barberu i welonu, tak jak pracujące tu zakonnice.

– Proszę, *ma soeur*, chwycić tuż powyżej pięty. – Wskazał nogę chorego. – Nie naciskać, dopóki nie każę. Gdy dam znak, pociągnie siostra do siebie. Bardzo wolno, ale mocno. Trzeba będzie użyć siły.

– Rozumiem. – Złapałam stopę. Monsieur Forez wolnym krokiem ruszył na drugą stronę stołu, z uwagą oglądając złamanie.

– To nam pomoże. – Wyjął z kieszeni małą fiolkę i położył ją nad głową pacjenta. – Powoduje kurczenie się naczynek krwionośnych na powierzchni skóry, kieruje krew do środka, tam może się bardziej przydać naszemu młodemu pacjentowi. – Złapał chorego za włosy i wlał mu do ust. Całą zawartość fiolki.

– Dobrze – powiedział, gdy mężczyzna przełknął i głęboko odetchnął. – Znieczulimy też nogę. Nie będzie się tak opierał.

Jeszcze raz sięgnął do przepastnej kieszeni. Wydobył niewielką, około siedmiocentymetrową szpilę z płaską główką. Kościstą ręką obmacywał wewnętrzną stronę uda w okolicy lędźwi, kierując się za grubą żyłą, dobrze widoczną pod skórą. Palce przystawały, zataczały małe kółka, w końcu odnalazły punkt. Tam monsieur Forez przytknął miedzianą szpilę. Znów zanurzył dłoń w kieszeni.

Tym razem wyjął mały miedziany młoteczek. Jednym uderzeniem wbił szpilę w udo pacjenta.

Noga zadygotała, a po chwili leżała już sparaliżowana. Lek ściągający naczynia również zaczął działać, krew lała się coraz słabiej.

– To zadziwiające! – zakrzyknęłam. – Jak pan tego dokonał?

Monsieur Forez uśmiechnął się skromnie. Mój podziw wywołał delikatny rumieniec na jego szarych policzkach.

– Nie zawsze się udaje – przyznał. – Tym razem dopisało mi szczęście.

Wskazał na szpilę i wyjaśnił:

– W tym miejscu znajduje się splot zakończeń nerwowych. W anatomii nazywa się plexus. Jeśli uda się w niego trafić, większa część kończyny dolnej będzie znieczulona.

– Wyprostował się gwałtownie. Uświadomił sobie, że traci czas, który można lepiej wykorzystać.

– Chodźmy, siostró – nakazał. – Wracajmy na stanowisko! Lek nie działa zbyt długo.

Musimy się brać do roboty, póki nie ma krwotoku.

Nie mieliśmy kłopotu z wyprostowaniem obezwładnionej nogi. Strzępy pękniętej kości ukryły się pod skórą. Zgodnie z poleceniem chwyciłam młodego mężczyznę w pasie.

W tym czasie monsieur Forez nastawiał kości.

– Wystarczy, siostró. Teraz proszę przytrzymać stopę nieruchomo. – Wezwał sanitariusza. Chłopak przyniósł kilka mocnych patyków i bandaż. Chwilę

później noga była usztywniona i rana dokładnie owinięta.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, zadowoleni z dobrze wykonanego zabiegu.

– Wspaniale – pochwaliłam go, związując włosy, które wymknęły się spod kokardy w czasie operacji.

Nagle twarz monsieur Foreza zmieniła się, gdy spostrzegł, że nie noszę zakonnego welonu. W tym momencie rozległo się głośne bicie dzwonów wzywające na nieszpory w pobliskim kościele. Z otwartymi ustami patrzyłam na wielkie okno w końcu korytarza – nigdy nie zostało oszklone. Dzięki temu szybciej odpływały nieprzyjemne zapachy.

Niebo miało kolor indygo.

– Przepraszam – powiedziałam. Zrzuciłam habit. – Muszę już iść, zrobiło się bardzo późno, mój mąż będzie się niepokoił. Monsieur Forez, towarzyszenie panu podczas zabiegu to dla mnie ogromna przyjemność. – Przyglądał się zaskoczony, jak zdejmuję ubranie.

– Ale pani... cóż, oczywiście, nie, pani nie jest zakonnica. Powinienem się domyślić, a... ale pani... kim właściwie pani jest? – zapytał zaintrygowany.

– Nazywam się Fraser – odpowiedziałam krótko. – Przepraszam, ale naprawdę muszę już iść. Mój mąż...

Wyprężył się w całej swej okazałości i poważnie uklonił.

– Będę zaszczycony, jeśli pozwoli pani towarzyszyć sobie w drodze do domu, madame Fraser.

– Och, bardzo dziękuję – powiedziałam mile zaskoczona. – Mam już eskortę. – Rozejrzałam się niepewnie za Fergussem. Gdy akurat nie kradł, zastępował

Murtagha.

W końcu zauważyłam chłopca. Kręcił się niecierpliwie przy drzwiach wyjściowych.

Zastanawiałam się, jak długo czekał. Siostry nie wpuszczały go na oddział, nie pozwalały nawet wejść do holu.

Monsieur Forez obejrzał moją eskortę, po czym chwycił mnie mocno pod ramię.

– Odprowadzą panią do samych drzwi, madame – zaofiarował się. – Wieczorem w tej części miasta bywa niebezpiecznie. Mały chłopiec nie zapewni pani wystarczającej ochrony.

Fergus, gdy to usłyszał, nadął się obrażony, potem żywo zaprotestował. Oznajmił, że zawsze bezpiecznie przeprowadza mnie przez miasto. Monsieur Forez nie zwracał na to najmniejszej uwagi, nieznacznie skinął głową na pożegnanie siostrze Angelice i wyprowadził mnie przez ogromne, podwójne drzwi szpitala.

Fergus deptał mi po piętach i szarpał za rękaw.

– Madame! – szeptał niecierpliwie. – Madame! Obiecałem mojemu panu dopilnować, żeby nie zadawała się pani z obcymi...

– O, jesteśmy na miejscu. Proszę siadać, madame. Chłopiec może usiąść obok. – Ignorując szepty Fergusa, monsieur Forez podniósł go i wsadził do powozu.

Mały, otwarty, ale elegancki powóz z niebieskimi aksamitnymi siedzeniami i niewielkim baldachimem miał chronić pasażerów przed niespodziewanymi zmianami pogody i pomyjami wylewanymi z mieszkań. Na drzwiczkach nie dostrzegłam herbu ani innych ozdób.

Monsieur Forez zapewne należy do bogatej burżuazji.

W drodze rozmawialiśmy na tematy związane z medycyną. Nadąsany Fergus siedział w kącie. Gdy zatrzymaliśmy się na rue Tremoulins, nie zaczekał, aż woźnica otworzy drzwi, natychmiast wyskoczył. Przez chwilę patrzyłam za nim i zastanawiałam się, czy coś mu dolega. W końcu jednak odwróciłam się, by pożegnać monsieur Foreza.

– Och, to nic takiego – zapewniał skromnie w odpowiedzi na moje wylewne podziękowania. – Pani rezydencja znajduje się po drodze do mojego domu. A poza tym tak piękna dama, jak pani nie powinna sama o tej porze chodzić po ulicach Paryża.

Podał mi rękę przy wysiadaniu i już otwierał usta, by jeszcze coś dodać, gdy za plecami usłyszeliśmy trzask otwieranej bramy.

Obejrzałam się w samą porę, żeby zobaczyć, jak z twarzy Jamiego znika zdenerwowanie, a pojawia się na niej zaskoczenie.

– Och! Dobry wieczór, monsieur. – Ukłonił się grzecznie.

Monsieur Forez odwzajemnił ukłon.

– Pańska żona sprawiła mi wielką radość. Pozwoliła towarzyszyć sobie w drodze do domu, milordzie. Co zaś się tyczy tak późnej pory, całą winę biorę na siebie. Pańska małżonka asystowała mi przy pewnym drobnym zabiegu w L'Hopital des Anges.

– Tak przypuszczałem – skomentował zrezygnowanym głosem Jamie. – Ostatecznie przestałem już liczyć na to, że mąż będzie ważniejszy od chorych

kiszek czy ataku żółciowego – dodał po angielsku i spojrział na mnie wymownie. Wiedziałam jednak, że tak naprawdę nie jest na mnie zły, tylko zaniepokojony moją długą nieobecnością.

Poczułam wyrzuty sumienia. Nie powinnam go tak martwić, zganiłam się w duchu.

Uklonił się raz jeszcze monsieur Forezowi, złapał mnie za ramię i lekko popchnął w stronę bramy.

– Gdzie Fergus? – zapytałam, gdy tylko znaleźliśmy się na dziedzińcu.

Jamie parsknął.

– W kuchni. Czeka na karę.

– Jaką karę?

Roześmiał się niespodziewanie.

– Cóż, siedziałem w gabinecie i zastanawiałem się, gdzie ty, u diabła, jesteś. Już miałem ruszać do szpitala, gdy nagle otworzyły się drzwi. Wpadł młody Fergus, rzucił się na podłogę, do mych stóp, i błagał, bym go zabił.

– Za co?

– O to samo zapytałem, Angielko. Najpierw pomyślałem, że może ty i on... może ktoś na was napadł, że to jakaś zasadzka, po ulicach kręcą się różne szajki i bandyci. Sądziłem, że coś ci się stało i dlatego chłopak tak dziwnie się zachowuje. Ale on stwierdził, że jesteś przy bramie. Wybiegłem więc zobaczyć, czy nic ci nie jest. Za mną pędzi Fergus, bełkocze coś o zdradzie i że zawiódł moje zaufanie, i że nie jest wart mojej łaski, i błaga mnie, bym go zabił. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Odesłałem go do kuchni i kazałem czekać.

– A niech to wszyscy diabli! – krzyknęłam. – Czy

jemu naprawdę się wydaje, że zawiódł twoje zaufanie tylko dlatego, że wróciłam trochę później do domu?

Jamie popatrzył na mnie z ukosa.

– A tak, tak właśnie myśli. I ma rację. Pozwolił ci wracać w towarzystwie obcego mężczyzny. Przysięga, że prędzej rzuciłby się pod końskie kopyta, niż pozwoliłby ci wsiąść do powozu. Ale zdawało mu się, iż znasz tego człowieka.

– Oczywiście, że go znam – odparłam oburzona. – Pomagałam mu złożyć nogę.

– Mhm. – Ten argument zdaje się nie przekonał Jamiego.

– No dobrze, może istotnie byłam niezbyt rozważna – zgodziłam się z ociąganiem. – Ale on darzy mnie szacunkiem. I spieszyłam się do domu. Wiedziałam, że się martwisz. – Żałowałam, że nie zwracałam większej uwagi na pomrukiwanie Fergususa. – Chyba nie masz zamiaru go bić? – zapytałam z niepokojem. – On w niczym nie zawinił. To ja nalegałam, żebyśmy pojechali z monsieur Forezem. Jeśli którekolwiek z nas zasłużyło na karę, to ja.

– Tak, wiem – zgodził się. – Muszę jednak rozliczyć się z Fergususem. Przyrzekł trzymać cię z dala od takich doświadczeń.

– Jamie! Nie zrobisz tego! – Zamarłam, wieszając się mu na ramieniu. – Proszę. – Wtedy zauważyłam rodzący się w kącikach ust uśmiech i odetchnęłam z ulgą.

– Nie – powiedział, uśmiechając się otwarcie. – Nie chcę go zabijać ani nawet bić. Ale chyba będę musiał wytargać go za ucho, raz czy dwa tak, by ocalić jego honor – dodał. – Uważa, że poprzez niewypełnienie mojego

rozkazu popełnił straszliwą zbrodnię. Nie mogę pozwolić, by uszło mu to płazem. Okażę swoje oficjalne niezadowolenie.

Zatrzymał się przed kuchennymi drzwiami, by poprawić mankiety i wygładzić kołnierz.

– Tak dobrze? – Przyczesał dłonią gęste włosy. – Może powinienem włożyć surdut?

Nie wiem, jak ma wyglądać urzędowe wymierzanie kary.

– Prezentujesz się znakomicie – powiedziałam z ukrytym rozbawieniem. – Bardzo surowo.

– Świetnie. – Wyprostował plecy i zacisnął usta. – Mam nadzieję, że nie wybuchnę śmiechem. Zepsułbym wszystko – mrucał, popychając drzwi wiodące na kuchenne schody.

Atmosfera panująca w kuchni nie była radosna. Gdy weszliśmy, natychmiast ucichł zwykły, kuchenny gwar. Służba zebrała się w jednym miejscu. Przez chwilę wszyscy stali w bezruchu. Nagle rozstały się dwie dziewczyny i zza ich pleców wyszedł Fergus. Zrobił kilka kroków do przodu.

– Madame, monsieur, tak mi wstyd! – powiedział cicho, ale wyraźnie. – Nie jestem wart, by służyć państwu, ale proszę mnie nie wypędzać. – Jego cienki głos załamał się w tym momencie. Zagryzłam wargi. Fergus obejrzał się za siebie. Szukał u zgromadzonej służby moralnego wsparcia. I je uzyskał. Fernand, woźnica, kiwnął zachęcająco głową.

Fergus wziął głęboki wdech i zwrócił się bezpośrednio do Jamiego:

– Jestem gotów ponieść zasłużoną karę, mój panie.

Jak na umówiony znak wystąpił jeden ze służących, podprowadził chłopca do solidnego stołu z grubych desek, złapał dzieciaka za rękę i pociągnął nad blatem.

– Ale... – zaczął Jamie zaskoczony biegiem wydarzeń. Nie zdążył dokończyć, Magnus, starszy rzeźnik, podszedł do niego i wręczył mu skórzany pas, jakiego używa się w kuchni do ostrzenia noży.

Jamie spojrział na mnie bezradnie. Zrobiłam krok w tył. Jego oczy zwężyły się, chwycił mnie za rękę.

– Nie, Angielko, nie – wymruczał po angielsku. – Jeśli będę musiał to zrobić, masz zostać i patrzeć!

Spoglądał to na swą przyszłą ofiarę, to na narzędzie egzekucji. Wahał się przez moment, w końcu jednak się poddał.

– Cholerny świat – wymamrotał pod nosem po angielsku i wziął pasek. Ważył w dłoniach długi kawałek skóry pięciocentymetrowej szerokości i centymetrowej grubości. Groźna broń. Jamie z ociąganiem zbliżył się do rozłożonego na stole Fergususa.

– No dobrze – powiedział i rozejrzał się groźnie po kuchni. – Dziesięć batów i nie chcę więcej słyszeć na ten temat. – Kobiety pobladły. Zbiły się w gromadkę, szukając u siebie wsparcia. Gdy Jamie uniósł pasek, w kuchni zaległa martwa cisza.

Podskoczyłam, słysząc odgłos uderzenia. Kucharki popiskiwały przerażone. Fergus przez cały czas milczał. Jamie zamknął na chwilę oczy, po czym przystąpił do wykonania wyroku. Zrobiło mi się słabo, nieświadomie wycierałam spocone dłonie o spódnicę.

Równocześnie chciało mi się śmiać, sytuacja była tak tragicznie groteskowa.

Fergus do końca nie wydał z siebie nawet jednego dźwięku. Gdy Jamie wreszcie skończył i odsunął się od stołu, blade i mokre ciało chłopca leżało bez ruchu. Przez moment bałam się, że zmarł – nie tyle na skutek bicia, ile w wyniku doznanego szoku. Po jakimś czasie małe ciało poruszyło się nieznacznie, chłopiec zsunął się ze stołu i stanął prosto.

Jamie rzucił się ku niemu, złapał go za ramię i nerwowo odgarniał mu z twarzy mokre od potu włosy.

– Żyjesz, chłopie? – zapytał. – Boże, Fergusie. Powiedz, że nic ci nie jest.

Chłopiec był blady jak ściana, oczy miał wielkości spodeczków, ale uśmiechnął się na ten znak dobrej woli ze strony chlebodawcy. W świetle lampy błysnęły białe ząbki.

– Wszystko w porządku, mój panie – wyszeptał. – Czy mi wybaczysz?

– Jezu Chryste – powiedział cicho Jamie i mocno przytulił Fergusa. – Oczywiście, głuptasie. – Trzymał dzieciaka w objęciach i potrząsał nim lekko. – Nigdy więcej nie chciałbym być do tego zmuszony, rozumiesz?

Fergus pokiwał głową. Oczy mu błyszczały. Wyrwał się z objęć Jamiego i upadł przede mną na kolana.

– Czy i pani mi wybaczy, madame? – zapytał, składając ręce i ufnie patrząc mi w oczy niczym wiewiórka prosząca o orzeszek.

Chciałam zapaść się pod ziemię ze wstydu. Schyliłam się i podniosłam chłopca z kolan.

– Nie mam ci czego wybaczać – odparłam. Czułam,

że moje policzki płoną. – Jesteś dzielnym chłopcem, Fergusie. Może... może zjesz kolację?

Atmosfera panująca w kuchni nieco się rozluźniła. Niemal równocześnie wszyscy głęboko odetchnęliśmy. Służący podeszli bliżej do Fergususa, by mu pogratulować i zapytać, jak się czuje. Fergus został przyjęty jak prawdziwy bohater. Wymknęliśmy się po cichu do naszej kryjówki na górze.

– Na rany Jezusa – westchnął Jamie i opadł ciężko na fotel zupełnie wyczerpany. – Dobry Boże i Wszyscy Święci, Michale, Jerzy, Najświętsza Panienko. Słodki Jezu, muszę się napić. Nie dzwoń! – krzyknął przerażony, choć nie zrobiłam nawet kroku w kierunku sznura. – Nie mógłbym spojrzeć teraz w oczy nikomu ze służby.

Podniósł się i zaczął szperać w szafce.

– Wydawało mi się, że mam tu butelkę.

I rzeczywiście miał dobrą starą szkocką. Bez ceregieli odetkał korek zębami i jednym haustem upił ze trzy centymetry trunku. Podał mi butelkę, a ja bez wahania poszłam za jego przykładem.

– Chryste Panie – sapnęłam, gdy odzyskałam oddech.

– O tak. – Odebrał mi butelkę i pociągnął łyk. Gdy ją odstawił, złapał się za głowę i mierzwił włosy, aż wszystkie sterczały mu w różne strony. Zaśmiał się słabo. – Nigdy w życiu nie czułem się tak podle. Boże, jak szmata!

– Ani ja – przyznałam i wzięłam butelkę. – Myślę, że czułam się gorzej niż ty.

W końcu to była moja wina. Jamie, nawet nie wiesz, jak mi przykro, nie wyobrażałam sobie...

– Nie martw się aż tak bardzo. – Napięcie towarzyszące nam przez ostatnie pół godziny ustępowało. Jamie objął mnie czule. – Nie mogłaś tego przewidzieć. Ani ja – dodał w zamyśleniu. – Chyba myślał, że go wyrzucę, że będzie musiał wrócić na ulicę...

biedny mały żebrak. Nic dziwnego, że wołał bicie.

Po plecach przebiegł mi dreszcz na wspomnienie widoku ulic, po których przejeżdżaliśmy z monsieur Forezem. Żebracy w łachmanach, chorzy, owrzodzeni...

Uparcie trzymali się swego terytorium, sypiali na ziemi nawet w najzimniejsze noce.

Dzieci mniejsze od Fergususa płądrowały kieszenie tłumu na bazarach niczym głodne myszki. Oczy miały zawsze szeroko otwarte, czekały, aż ktoś z przechodniów upuści coś cennego. Życie niezdolnych do pracy, zbyt brzydkich, by sprzedać się do burdelu, czy po prostu tych, którym nie dopisało szczęście, było krótkie i niewesołe. Trudno się dziwić, że perspektywa utraty luksusu trzech posiłków dziennie, czystego ubrania i wygodnego łóżka wywołała u Fergususa tak gwałtowny atak poczucia winy.

Zmieniliśmy sposób picia. Nie zachłystywaliśmy się już alkoholem, ale sączyliśmy z wolna. Upiłam mały łyżeczek i podałam butelkę Jamiemu. Zauważyłam, że opróżniliśmy flaszkę do połowy.

– Mam nadzieję, że nie zrobiłeś mi nic złego – odezwałam się po dłuższej chwili.

– Nie, trochę siniaków. – Szkocki akcent, zwykle prawie niewyczuwalny, stawał się wyraźny, gdy Jamie pił. – Wiesz, Angielko, po dziś dzień nie zdawałem sobie sprawy, jak musiał się czuć mój ojciec, gdy mnie bił.

Zawsze myślałem, że podczas tej wymiany opinii, to ja najbardziej cierpię. – Odchylił głowę i znów pociągnął łyk. Odstawił butelkę, wbił wzrok w ogień w kominku. – Ojcostwo jest chyba bardziej skomplikowane, niż myślałem. Muszę się dobrze nad tym zastanowić.

– Tylko nie myśl zbyt dużo. Sporo wypieś – ostrzegłam.

– O, nie martw się – odparł wesoło. – Mamy tu jeszcze jedną butelkę.

15

NIECH ZAGRA MUZYKA

Tej nocy jeszcze długo siedzieliśmy. Towarzyszyła nam druga butelka whisky. Po raz kolejny czytaliśmy kilka ostatnich listów od Kawalera de St. George, znanego również jako Jego Wysokość Jakub III, a także korespondencję od jakobitów do księcia Karola.

– Fergus przyniósł dużą paczkę. Listy dla Jego Wysokości – wytłumaczył Jamie. – Dużo wiadomości. Nie zdążyliśmy wszystkiego skopiować, więc zostawiłem część.

Oddamy następnym razem.

– Spójrz. – Wyjął ze stosu jedną stronę i położył mi na kolanach. – Większość pism jest zaszyfrowana, jak to: „Podobno w tym roku zapowiada się wyjątkowo udany sezon na kuropatwy, zwłaszcza w okolicach wzgórz Salerno. Myśliwi z tego regionu powinni być zadowoleni”. To proste: chodzi o Manzettiego, pewnego włoskiego bankiera, który pochodzi z Salerno. Karol jadał z nim kolacje i pożyczył od niego piętnaście tysięcy lirów.

Ale tutaj... – zaczął szperać w stercie. – Przeczytaj – wręczył mi kartkę pokrytą drobnym, ozdobnym pismem.

Zdołałam rozpoznać zaledwie kilka liter połączonych przeróżnymi strzałkami i pytajnikami.

– Co to za język? – zapytał z uśmiechem Jamie. – Potrafisz odczytać?

– A ty?

– O, tak – odparł dumnie. – To szyfr, Angielko, niezbyt trudny. Zobacz, trzeba tylko podzielić litery na grupy, po pięć w każdej, nie licząc X i Q. X oddziela zdania, a Q wstawia się dla zmylenia przeciwnika.

– Skoro tak twierdzisz. – Patrzyłam na list. Wyglądał na wyjątkowo skomplikowany, a zaczynał się tak: „Mrti ocruti dlopro qahstmin...”. Zerknęłam na kartkę, którą trzymał Jamie. Miał na niej pięcioliterowe grupy znaków wypisane w jednej linii. Nad nimi widniały starannie wykaligrafowane pojedyncze litery.

– Zobacz, jedną literę zastępujesz inną, ale zawsze w tej samej kolejności – tłumaczył Jamie. – Jeśli masz wystarczająco długi tekst i uda ci się odgadnąć kilka wyrazów, wtedy wystarczy przełożyć jeden alfabet na drugi i gotowe, widzisz? – Pomachał mi przed nosem kartką papieru, na której równolegle wypisano dwa alfabety.

– Tak, oczywiście – powiedziałam. – Ale najważniejsze, że ty to rozumiesz. O czym piszą w tym liście?

Zainteresowanie, z jakim Jamie przystępował do rozwiązywania wszelkich zagadek, powoli zniknęło z jego oblicza. Położył list na kolanach. Patrzył na mnie, zagryzając dolną wargę.

– No właśnie, to jest dziwne – powiedział. – I wiem, że nie popełniłem tu błędu. Ton tego zaszyfrowanego listu przeczy wszystkiemu innemu, co dotychczas napisał Jakub.

Błękitne oczy patrzyły na mnie spod gęstych, ciemnych brwi.

– Jakub chce, żeby Karol zawarł z Ludwikiem zgodę – mówił powoli. – Nie chodzi mu jednak o poparcie dla najazdu na Szkocję. Nie zależy mu na restauracji monarchii.

– Co? – Wyrwałam Jamiemu z ręki list i gorączkowo czytałam nowiny.

Jamie miał rację. W listach od popleczników dawało się odczuć ton nadziei i oczekiwania na restaurację, tymczasem w pismach Jakuba do syna nie padło ani jedno zdanie na ten temat. W całej korespondencji zdetronizowany król nalega, żeby Karol starał się zrobić na Ludwiku jak najlepsze wrażenie. Nawet pożyczka od Manzettiego z Salerno miała na celu umożliwienie Karolowi życia na odpowiednim poziomie w Paryżu, a nie wsparcie jakichkolwiek poczynań militarnych.

– Przebiegły lis z tego Jakuba – stwierdził Jamie, stukając palcem w jeden z listów. – Patrz, Angielko, nie ma za dużo własnych pieniędzy, choć jego żona była bardzo bogata.

Wuj Aleks mówił, że przed śmiercią wszystko zapisała Kościołowi. Cały majątek Jakuba należy do papieża, w końcu jest katolickim monarchą, a papież stara się podtrzymać swoją pozycję jako przeciwnik elektora Hanoweru.

Założył ręce za kolana i w zamyśleniu przyglądał

się stercie listów leżące między nami na sofie.

– Trzydzieści lat temu Filip Hiszpański i Ludwik, to znaczy stary król, dali mu wojsko i kilka okrętów, by mógł walczyć o odzyskanie tronu. Ale wszystko potoczyło się inaczej.

Burza zatopiła parę jednostek. Te, które nie zatonęły, miały kiepskich pilotów i przybiły w złe miejsca. Nie udało się. A na koniec Francuzi po prostu odплыnęli z powrotem.

Jakub nawet nie postawił stopy na szkockiej ziemi. Pewnie od tamtej pory porzucił myśl o odzyskaniu tronu. Ale ma przecież dwóch dorastających synów. Nie zapewnił im jeszcze przyszłości. Zadaję więc sobie pytanie, Angielko, jak ja bym postąpił w podobnej sytuacji. No i myślę, że pewnie próbowałbym się dowiedzieć, czy mój ukochany kuzyn, który jest przecież królem Francji, zechciałby powierzyć jednemu z moich synów jakąś dobrą posadę. Powiedzmy, w wojskowości. No i trochę ludzi, by nimi dowodził. Generał Francji to całkiem przyzwoite stanowisko.

– Mhm. – Pokiwałam głową, myśląc nad tym, co usłyszałam. – Tak, ale gdybym była naprawdę mądrym człowiekiem, nie błagałabym Ludwika jako uboga krewna.

Wysłałabym syna do Paryża i próbowałałabym namówić króla, by przyjął go na swój dwór.

W tym czasie podtrzymywałabym iluzję, że dążę do odzyskania tronu.

– Skoro Jakub już raz otwarcie przyznał, że Stuartowie nigdy nie zasiądą na tronie Szkocji, przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie dla Ludwika – powiedział

cicho Jamie.

– Jeśli wykluczyć możliwość zbrojnej inwazji jakobitów na Anglię, Ludwik nie ma najmniejszych powodów – poza poczuciem przyzwoitości i głosem opinii publicznej – by swemu kuzynowi Karolowi dawać cokolwiek, poza jakąś nędzną posadą.

To jednak nie było takie oczywiste. Listy, które przechwytywał Jamie, pisane były najdalej w styczniu, gdy Karol przybył do Francji. Szyfry, kody, niejasny język, wszystko to sprawiało, że sytuacja przedstawiała się bardzo niejasno. Jednak dowody, które zgromadziliśmy, wskazywały, że nasze rozumowanie był słuszne.

Jeśli Jamie dobrze odgadł motywy, jakimi kierował się Kawaler, nasze zadanie zostało już wykonane. A właściwie nigdy nawet nie zaistniało.

Przez cały dzień nie mogłam się na niczym skupić: ani na poezji węgierskiego artysty, który rankiem recytował swe wiersze w salonie Marii d'Arbanville, ani na rozmowie z zielarzem, gdy kupowałam walerianę i korzeń kosaćca, ani po południu na pracy w L'Hopital des Anges. Rozmyślałam o nocnej rozmowie z Jamiem.

W końcu postanowiłam zaprzestać tego dnia jakiegokolwiek działalności w obawie, że mogę wyrządzić komuś krzywdę. Ani Murtagh, ani Fergus nie stawili się jeszcze, by mnie eskortować w drodze do domu. Przebrałam się więc i siedziałam w dyżurce matki Hildegardy.

Nie minęło pół godziny czekania, gdy usłyszałam szczenie psa.

Portier, jak to miał w zwyczaju, akurat gdzieś

wyszedł. Kupował jedzenie, a może załatwiał sprawy dla jednej z sióstr. Jak zwykle w takich przypadkach, opiekę nad bezpieczeństwem szpitala sprawował Bouton.

Po pierwszym ostrzegawczym szczeknięciu nastąpiło długie i groźne warczenie.

W ten sposób pies nakazywał intruzowi natychmiast opuścić budynek. Podeszłam do drzwi dyżurki. Może to ojciec Balmain znów walczy z demonem o to, by odprawić święte sakramenty. Jednak postać, którą zobaczyłam na tle przyciemnianej szyby w holu, nie przypominała młodego księdza. Wysoki mężczyzna w kilcie próbował wycofać się przed małym, kudłatym pieskiem.

Jamie mrugnął i przysunął się do napastnika. Oślonił dłonią oczy i zaczął wpatrywać się w głąb ciemnego korytarza.

– O, witaj! Dobry piesek – powiedział grzecznie i zrobił krok do przodu. Zacisnął pięści. Nadal zachowywał postawę obronną. Bouton czekał coraz głośniejsze i jednocześnie wycofywał się powoli.

– Taak, dobra psina – mówił Jamie, nie spuszczać kudłacza z oczu ani na moment.

– Pomyśl tylko, chłopie – radził, pochylając ku niemu swój długi nos. – Jestem o wiele większy od ciebie. Na twoim miejscu nie robiłbym żadnych gwałtownych ruchów.

Bouton ustępował z drogi. Nadal jednak niemilośnie hałasował.

– Jestem też od ciebie szybszy – ostrzegł Jamie, odskakując w bok. Zęby Boutona zacisnęły się o kilka centymetrów od umięśnionej łydki. Jamie odsunął się do

tyłu, oparł o ścianę, nachylił się i dalej przemawiał do przeciwnika:

– No tak, punkt dla ciebie. Przyznaję. Jeśli chodzi o zęby, nie ma porównania.

Bouton nadstawił uszy, słysząc tę mowę pochwalną, nie przestawał warczeć złowrogo.

Jamie skrzyżował nogi, jak ktoś, kto zamierza stać beczynnie cały dzień. Światło padające przez kolorowe szyby oświetliło go na niebiesko. Wyglądał jak jeden z marmurowych posągów w sąsiadującej ze szpitalem katedrze.

– Jesteś pewien, że nie masz nic innego do roboty, jak straszyć niewinnych gości? – próbował nawiązać dialog. – Słyszałem o tobie. To ty wywączujesz choroby, co? Czemu więc marnujesz czas na takie głupstwa jak pilnowanie drzwi, zamiast wachać paluchy z podagrą czy krostowate tyłki? No, gadaj!

Jedyną odpowiedzią było głośnie szczeknięcie.

W tym momencie usłyszałam za sobą szelest sukni. Matka Hildegarda weszła do dyżurki ze swojego biura.

– Co się tam dzieje? – zapytała. – Mamy gości?

– Wygląda na to, że Bouton nie może dojść do porozumienia z moim mężem – odpowiedziałam.

– Uważaj, zaczynam mieć tego dosyć – straszył Jamie. Sięgnął po spinkę, która podtrzymywała szal. – Patrz, jeden szybki ruch i jesteś w pułapce jak... o, *Bonjour*, madame! – Na widok matki Hildegardy przeszedł gładko na francuski.

– *Bonjour*, monsieur Fraser – odpowiedziała i ukłoniła się z godnością, tak nisko, że aż welon zakrył jej

twarz. Pomyślałam, że stara się raczej ukryć szeroki uśmiech, niż wyjątkowo uprzejmie przywitać. – Widzę, że zapoznał się pan już z Boutonem. Zapewne szuka pan żony?

Wyłoniłam się zza pleców przełożonej. Mój oddany mąż patrzył to na Boutona, to na mnie stojącą tuż przy drzwiach dyżurki. Zdaje się, że wyciągnął prawidłowe wnioski.

– A ty, jak długo tu stałaś, Angielko? – zapytał ozięble.

– Wystarczająco długo – odparłam z łobuzerskim uśmiechem. – Należę przecież do przyjaciół Boutona. I co byś z nim zrobił, gdy już zaplątałby się w twój szal?

– Wyrzuciłbym przez okno i uciekał, gdzie pieprz rośnie – powiedział, dostrzegając groźny wyraz twarzy matki Hildegardy. – Czy ona mówi po angielsku?

– Na twoje szczęście nie. – Przeszłam na francuski i przedstawiłam Jamiego. – *Ma mere, je vous presente mon man, le seigneur de Broch Tuarach** [*Matko, pozwól, że przedstawię – mój mąż, pan Broch Tuarach.].

– Milordzie... – Matka Hildegarda opanowała wesołość i przywitała Jamiego z właściwą sobie powagą. – Będzie nam brakowało pańskiej żony, ale skoro pan jej potrzebuje, naturalnie...

– Nie przyszedłem po Claire – przerwał Jamie. – Chciałem porozmawiać z panią, ma mere.

W biurze matki Hildegardy Jamie wyjął pęk listów i położył je na drewnianym stoliku. Bouton leżał u stóp swej pani i podejrzliwie spoglądał na intruza. Nos trzymał na jego bucie, nastawił uszy i wyszczerzył kły, gotowy w razie

potrzeby wbić je w łydkę gościa.

Jamie również nie spuszczał Boutona z oka i starał się odsunąć nogi na bezpieczną odległość od czarnego nosa.

– Herr Gerstmann polecił, bym udał się do pani po radę w sprawie tych dokumentów – wyjaśnił.

Matka Hildegarda przyglądała się Jamiemu przez chwilę, po czym skupiła uwagę na pliku papierów – sztuczka typowa dla administratorów. Dyrektorka robiła wrażenie osoby całkowicie skoncentrowanej na bieżącej sprawie, gdy tak naprawdę chłonęła wszelkie sygnały dobiegające z odległych zakątków szpitala.

– Tak? – odezwała się w końcu. Jednym palcem szybko przebiegała po nutach zapelniających kartki, jak gdyby, dotykając ich, słyszała muzykę. Jeden po drugim papiery spadały na podłogę.

– Czego chce się pan dowiedzieć, monsieur Fraser? – zapytała.

– Sam nie wiem, matko. – Jamie pochylił się lekko. Dotykał palcem linijek.

Zatrzymywał się tam, gdzie roztargniony skryba rozmazał nie zaschnięty jeszcze atrament.

– Jest w tym zapisie coś dziwnego, matko.

Szeroki usta zakonnicy poruszyły się nieznacznie; być może miał to być uśmiech.

– Czyżby, monsieur Fraser? A, rozumiem. Proszę się nie obrazić, sądzę jednak, że dla pana muzyka jest... zamkiem, do którego nie ma pan klucza.

Jamie roześmiał się głośno. Przechodząca korytarzem zakonnica obejrzała się, zaskoczona obecnością tego rodzaju odgłosów na terenie szpitala. Miejsce to nie

należało do cichych i spokojnych, ale śmiech był tu rzadkością.

– To bardzo taktowny opis mojej ułomności, matko. I bardzo prawdziwy. Gdybyś pani zaśpiewała jedną z tych piosenek – jego palce, dłuższe i szczuplejsze od palców matki Hildegardy, stukały w pergamin – nie rozróżniłbym, czy to *Kyrie Eleison*, czy *La Dame fait bien*. Chyba, że po słowach – dodał z uśmiechem.

Tym razem roześmiała się matka Hildegarda.

– Ale przynajmniej słucha pan słów!

Wzięła plik kartek i zaczęła je przeglądać. Widziałam, że wprawiała w ruch kartań pod ciasnym zapięciem barbetu, jak gdyby śpiewała sobie w duchu. Duża stopa wybijała rytm.

Jamie siedział spokojnie na krześle i przyglądał się matce Hildegardzie. Ręce założył na nogi, zdrową dłonią przykrył tę chorą. Jego jasnoniebieskie oczy w skupieniu obserwowały kobietę. Zupełnie nie zwracał uwagi na to, co dzieje się na korytarzach szpitala, choć pacjenci darli się w niebogłoso, sanitariusze i zakonnice pokrzykiwali coś do siebie, krewni chorych płakali i żalili się, a metalowe instrumenty pobrzękiwały nieustannie o tace i stoliki. Hałas dodatkowo wzmacniało echo wszechobecne w starożytnych murach.

W końcu dyrektorka odłożyła papiery i spojrzała na Jamiego. Oczy jej błyszczały jak u młodej dziewczyny.

– Myślę, że ma pan rację – stwierdziła. – Za mało mamy teraz czasu, by dokładnie przemyśleć ten zapis. – Popatrzyła w stronę drzwi. Na widok przechodzącego korytarzem sanitariusza ze stertą płótna opatrunkowego

natychmiast na jej twarzy pojawiło się skupienie. – Jest w nim coś dziwnego. – Uporządkowała kartki na stole. – Niezwykłe – dodała po chwili.

– A czy potrafiłaby pani określić, co takiego wydaje się pani dziwne? Wiem, że nie będzie to łatwe. Mam powody, by podejrzewać, że to szyfr. Choć tekst piosenki napisano po niemiecku, sądzę, że ukryta wiadomość jest w języku angielskim.

Matka Hildegarda była zaskoczona.

– Na pewno?

Jamie pokiwała głową.

– Nie, pewności nie mam, ale tak przypuszczam. Choćby dlatego, że przysłano to z Anglii.

– Cóż, monsieur – powiedziała, marszcząc brwi. – Pańska żona mówi po angielsku, prawda? Myślę, że chętnie zrezygnuje pan z jej towarzystwa, żeby mogła pomóc mi w tym porywającym zadaniu?

Jamie popatrzył na zakonnicę z uwagą. Uśmiechnął się na widok jej twarzy. Spojrzał na swoje buty, wyczyszczone wąsiskami Boutona.

– Zawrzyjmy układ, matko. Jeśli ta bestia nie odgryzie mi tyłka w drodze powrotnej, będzie pani mogła zatrzymać moją żonę.

I tak, tego wieczoru zamiast wrócić do domu Jareda przy rue Tremoulins, zjadłam kolację z siostrzyczkami z zakonu des Anges, przy długim stole w refektarzu, a potem udałam się z przełożoną do jej prywatnego gabinetu.

Matka Hildegarda miała do swojej dyspozycji trzy pokoje. W jednym z nich urządzono salon, nie należał do najskromniejszych. Zapewne często przyjmuje tu

oficjalnych gości, pomyślałam. Drugi pokój był dla mnie całkowitym zaskoczeniem.

Czegoś takiego się po prostu nie spodziewałam. Na pierwszy rzut oka wydało mi się, że w tym niewielkim saloniku nie ma nic poza ogromnym klawesynem z błyszczącego drewna orzechowego, zdobionego ręcznie malowanymi kwiatkami, które kwitły na winorośli oplatającej pudło rezonansowe.

Po dokładniejszym rozejrzeniu się zauważyłam kilka mebli, w tym półki z książkami ciągnące się wzdłuż jednej ze ścian. Literatura w większości dotyczyła muzykologii. Były też ręcznie zszywane manuskrypty, podobne do tego, jaki matka Hildegarda właśnie położyła na stojaku do nut.

Wskazała krzesło przy małym sekretarzyku pod ścianą.

– Znajdzie pani tam pióro i atrament, milady. A teraz zobaczymy, co takiego powie nam ta krótka piosenka.

Melodię zapisano na grubym pergaminie, rzędy pięciolinii gęsto pokrywały stronę.

Nuty, klucze wiolinowe, pauzy i znaki chromatyczne wykaligrafowano z dużą dbałością.

Z pewnością była to kopia końcowa, a nie zwykły szkic czy pospieszny zapis. Na górze strony znajdował się napis: „Lied des Landes”. Pieśń o kraju.

– Sądząc po tytule, jest to prosta piosenka; coś w rodzaju *volkslied* – oznajmiła matka Hildegarda, wskazując nagłówek długim, kościstym palcem. – A tymczasem forma kompozycji temu przeczy. Czy potrafi pani czytać nuty? – Ogromna prawa dłoń dotknęła klawiszy z niespodziewaną

delikatnością.

Spoglądając matce Hildegardzie przez ramię, zaśpiewałam trzy pierwsze linijki.

Starałam się, żeby mój niemiecki wypadł jak najlepiej. Matka przestała grać i odwróciła się do mnie.

– Tak mniej więcej brzmi melodia. Dalej motyw powtarza się w różnych wariacjach.

Wie pani, spotkałam się już z czymś podobnym. Skomponował to pewien stary Niemiec nazwiskiem Bach. Od czasu do czasu przysyła mi swoje utwory. – Machnęła niedbale ręką w stronę półki z manuskryptami. – Nazywa je „wynałazkami”. Są znakomite.

Równocześnie gra się wariacje na dwa lub trzy tematy. To tutaj – pogardliwie wydeła usta na „Lied” – wygląda na nieudolną imitację jednej z jego kompozycji. Mogłabym przysiąc, że... – mrużąc do siebie, wstała od klawesynu, podeszła do półki i zaczęła przesuwać palcem po grzbietach manuskryptów.

W końcu znalazła to, czego szukała. Zasiadła przy instrumencie i położyła sobie na kolanach trzy zapisy.

– Oto utwory Bacha, są dosyć stare. Nie grałam ich dobrych kilka lat. – Pobieżnie przeglądała strony skryptów. Co jakiś czas spoglądała na Lied.

– Mam! – wykrzyknęła triumfalnie i podała mi jeden z utworów Bacha. – Widzi pani?

Był to rękopis *Wariacji Goldbergowskich*. Z szacunkiem i nabożeństwem dotknęłam kartki, głośno przełknęłam ślinę i spojrzałam dla porównania na Lied. Natychmiast się domyśliłam, o co chodziło.

– Ma pani rację, wyglądają niemal identycznie!

Różnią się zaledwie kilkoma nutami.

Bardzo dziwne.

– Właśnie – przyznała z nieukrywaną satysfakcją. – Tylko dlaczego anonimowy kompozytor kradnie cudzy utwór i wykorzystuje go w tak dziwny sposób?

Pytanie było retoryczne.

– Czy Bach jest teraz popularny, matko? – Nie słyszałam, by wykonywano jego kompozycje w salonach.

– Nie – odparła, nie odrywając oczu od nut. – Herr Bach nie jest modny we Francji.

Jakieś piętnaście, dwadzieścia lat temu cieszył się popularnością w Niemczech i Austrii.

Ale nawet tam jego muzykę nieczęsto wykonuje się publicznie. Obawiam się, że jego dzieła niezbyt się podobają. To muzyka dla umysłu, nie dla serca. Mm, widzi pani, o tutaj. – Wskazywała różne fragmenty, szybko przewracając strony.

– Powtórzył tę samą melodię, prawie dokładnie, ale za każdym razem zmienił tonację. Myślę, że to właśnie zwróciło uwagę pani męża. To oczywiście nawet dla kogoś, kto nie się zna na nutach. Zmieniają się oznaczenia tonacji, *note tonique*.

Rzeczywiście. Każdą zmianę oznaczono podwójną poziomą linią, obok której wstawiono potrójny klucz i bemole lub krzyżyki.

– Tak krótki utwór, a tonacja zmienia się pięć razy – powiedziała z naciskiem. – I te zmiany nie mają najmniejszego sensu. Proszę spojrzeć, melodia podstawowa jest ta sama, tymczasem musimy zmienić tonację o dwa bemole, to znaczy z *b-dur* na *a-dur* z trzema krzyżykami.

Co dziwniejsze, dalej przechodzi na dwa krzyżyki, przy czym stosuje jeszcze *gis*!

– Bardzo dziwne – stwierdziłam. *Gis* w tonacji *d-dur* sprawia, że linia melodyczna jest taka sama, jak w *a-dur*. Innymi słowy, nie ma powodu, by zmieniać tonację. – Nie znam niemieckiego. Czy rozumie pani słowa, matko?

Wpatrzona w manuskrypt pokiwała twierdząco głową.

– Cóż za marny tekst! – mruzczała do siebie. – Nikt nie oczekuje od Niemców wielkiej poezji, ale to... doprawdy... – Przestała potrząsać głową i welonem. – Pani mąż chyba słusznie zakłada, iż jest to jakiś rodzaj szyfru.

– O czym jest piosenka?

– „Moja pastereczka swawoli z owieczkami na zielonych wzgórzach” – przetłumaczyła. – Fatalna gramatyka, ale naturalnie piosenki rządzą się własnymi prawami, jeśli autorowi zależy na zachowaniu rymów, zwłaszcza w piosenkach miłosnych.

– Sporo pani wie o tego typu utworach – stwierdziłam z ciekawością. Matka Hildegarda zaskoczyła mnie po raz kolejny tego wieczoru.

– Właściwie każda dobra kompozycja to piosenka miłosna – odparła rzeczowo. – Tak, sporo ich słyszałam jako młoda dziewczyna. – Uśmiechnęła się, pokazując białe zęby. Na pewno wie, jak trudno mi wyobrazić ją sobie jako nastolatkę – pomyślałam. – Byłam cudownym dzieckiem – ciągnęła dyrektorka. – Potrafiłam zagrać z pamięci każdą melodię. Pierwszy utwór skomponowałam w wieku siedmiu lat. – Wskazała na błyszczący, wypolerowany klawesyn. – Pochodzę z zamożnej rodziny. Gdybym była

mężczyzną, z pewnością zostałabym muzykiem. – Mówiła spokojnie, w jej głosie nie odczułam żalu.

– Czy po wyjściu za mąż mogłaby pani nadal komponować? – zapytałam ze szczerym zainteresowaniem.

Matka Hildegarda rozłożyła ręce. W świetle lampki widok był dość groteskowy.

Widziałam, jak te ręce wyciągają sztylet uwięziony w kości, nastawiają zwichnięty staw, wyjmują zakrwawioną główkę noworodka spomiędzy ud matki, a także jak lekko niczym motyle dotykają klawiszy instrumentu.

– Cóż – odezwała się po chwili namysłu. – To wina świętego Anzelma.

– Och, naprawdę?

Uśmiechnęła się. Surowa, brzydka twarz zmieniała się nie do poznania.

– Tak. Mój chrzestny, stary Król Słońce – dodała niedbale – podarował mi *Żywoty świętych*, gdy miałam osiem lat. Piękna książka. Miała zdobione stronicę, a na okładkach drogie kamienie. Bardziej dzieło sztuki niż literatura. Ale ja przeczytałam wszystkie historie. Szczególnie podobały mi się te o męczennikach. Głęboko w pamięci utkwilo mi jedno zdanie z opowieści o świętym Anzelmie.

Zamknęła oczy i odchyliła głowę.

– Święty Anzelm był wielce uczonym mężem, a także biskupem. Troszczył się o owieczki ze swego stada, dbał zarówno o ich codzienne potrzeby, jak i o zbawienie dusz.

Historia opowiadała o wszystkich jego czynach, a

ostatnie zdanie brzmiało: „I tak zmarł, kończąc swe zacne i pełne poświęcenia życie, i tak zyskał koronę w raju”. – Przerwała i położyła dłonie na kolanach.

– Ten fragment zrobił na mnie ogromne wrażenie. „Zacne i pełne poświęcenia życie”.

– Uśmiechnęła się do mnie. – Rozłożyła ręce w dziwnym i wdzięcznym geście. – Bardzo chciałam, by moje życie było podobne – wyznała. Potem niespodziewanie odwróciła się w stronę stojaka na nuty.

– A więc – nawiązała do wcześniejszej rozmowy – niezwykłość leży w zmianie tonacji, *note tonique*. Ale do czego nas to prowadzi?

W tym momencie z mych ust wyrwał się cichy okrzyk. Przez cały czas rozmawialiśmy po francusku, ale ja jednak cały czas myślałam po angielsku, więc gdy ponownie spojrzałam na nuty, uderzyła mnie pewna myśl.

– Co się stało? – zapytała zakonnica. – Czy przyszło pani do głowy jakieś rozwiązanie?

– Tak, kluczem do tej zagadki są tonacje! – powiedziałam ze śmiechem. – W języku francuskim tonacja to *note tonique*, zmienimy ją za pomocą kluczy, a klucz to po francusku *passe-partout*, prawda?

– Istotnie odparła ze zdziwieniem. Dotknęła pęku kluczy wiszącego u jej pasa. – Une *passe-partout*. Częściej mówimy *clef*.

– Znakomicie! – wołałam radośnie. Stukałam palcem w nuty. – Proszę spojrzeć, ma *mere*, w angielskim to identyczne słowa. Mamy klucz zmieniający tonacje i klucz do otwierania zamków. Po francusku *clef* oznacza klucz, po angielsku to również klucz, tyle że wiolinowy.

Oto klucz do naszego szyfru! Ten, kto go wymyślił, ma szatańskie poczucie humoru! – dodałam.

Przy odrobinie wysiłku zadanie okazało się niezbyt trudne. Jeśli nadawca był Anglikiem, wiadomość prawdopodobnie spisał w języku angielskim, co oznacza, że niemieckie słowa stanowiły jedynie nośnik liter. Dzięki temu, że widziałam, jak Jamie męczy się z alfabetami i zamienianiem liter, bardzo szybko odkryłam zasadę nutowego szyfru.

– Dwa bemole znaczą, że odczytujemy co drugą literę, poczynawszy od znaczką – mówiłam, zapisując naprędce rezultaty badań. – A tam, gdzie mamy trzy krzyżyki, co trzecią, zaczynając od końca frazy. Przypuszczam, że zastosowano tu język niemiecki dla niepoznaki, ale i dlatego że używa się w nim tak cholernie wielu słów. Aby powiedzieć coś po niemiecku, trzeba dwa razy więcej wyrazów niż w angielskim.

– Ma pani atrament na nosie – zauważyła matka Hildegarda. Zerknęła mi przez ramię. – Czy odczytuje pani jakiś sens?

Wiadomość była dość prosta do odszyfrowania, ale i mocno niepokojąca.

– Lojalni poddani Jego Wysokości czekają na pełnoprawną restaurację. Pięćdziesiąt tysięcy funtów do pańskiej dyspozycji. Jako dowód zaufania pieniądze może Jego Wysokość odebrać wyłącznie osobiście, po przybyciu na angielską ziemię – przeczytałam.

– W podpisie tylko litera „S”. Nie wiem, czy to inicjał autora, czy może po prostu jedna z liter niemieckiego wyrazu.

– Hm – matka Hildegarda przyglądała się to wiadomości, to znów mnie. – Może pani zapewnić męża, że zachowam wszystko w tajemnicy – powiedziała, kiwając głową.

– Nie prosiłby o pomoc, gdyby pani nie ufał – zaprotestowałam.

Cienkie brwi uniosły się prawie na wysokość welonu. Zakonnica postukała palcem w zapisaną kartkę papieru.

– Jeśli pani mąż prowadzi konspiracyjną działalność, nikomu nie powinien wierzyć.

Proszę mu jednak przekazać, że to dla mnie zaszczyt, iż obdarzył mnie zaufaniem – dodała chłodno.

– Dziękuję, powtórzę mężowi pani słowa – powiedziałam z uśmiechem.

– Jaka pani blada, *chere madame!* – zauważyła, przyglądając się mojej twarzy. – Ja często wieczorami komponuję i nie zwracam uwagi na godzinę, ale dla pani zapewne to już późna pora.– Spojrzała na świecę dogasającą na stoliku przy drzwiach. – Na Boga!

Istotnie jest późno. Wezwę siostrę Magdalenę, by odprowadziła panią do celi.

Jamie niechętnie, ale zgodził się na propozycję matki Hildegardy, żebym nie wracała do domu ciemnymi ulicami Paryża i spędziła noc w klasztorze des Anges.

Pokiwałam głową. Byłam zmęczona, od siedzenia na taborecie rozbolał mnie kręgosłup, ale nie chciało mi się spać. Wiadomości zaszyfrowane w piosence nie dawały mi spokoju.

– Zjedzmy coś lekkiego, żeby uczcić pani sukces. –

Matka Hildegarda wyszła do sąsiedniego pokoju. Rozległ się dźwięk dzwonka. Zaraz potem nadeszła jedna z sióstr w towarzystwie Bontona. Przyniosła gorące mleko i ciasteczka. Zakonnica położyła ciasteczko na porcelanowym talerzyku i jak gdyby nigdy nic postawiła je na podłodze przed Boutonem, obok miseczki z mlekiem.

Podczas gdy ja popijałam powoli mleko, matka Hildegarda odłożyła zaszyfrowane pismo, a na stojaku klawesynu postawiła nuty ze swojej półki.

– Zagram dla pani – zapowiedziała. – Chwila muzyki pomoże pani zasnąć.

Grała lekko i łagodnie. Melodia brzmiała przyjemnie, tonacje zmieniały się, ale motyw przewodni był łatwy do uchwycenia. Utwór nie miał jednak niezwyklej siły kompozycji Bacha.

– Czy to pani utwór? – zapytałam. Wykorzystałam chwilę ciszy, gdy zakonnica uniosła ręce po zakończeniu utworu.

– Nie, mojego przyjaciela, Jeana Philippe’a Rameau. Znakomity teoretyk, ale jego muzyce brak pasji.

Melodia ukołysała mnie do snu. Nagle usłyszałam szept siostry Magdaleny. Pomogła mi wstać, a potem odprowadziła na miejsce spoczynku.

W drzwiach obejrzałam się i jeszcze dostrzegłam czarny welon i kołyszące się plecy matki Hildegardy. Teraz grała swój koncert dla całej reszty świata. U jej stóp leżał wierny Bouton z nosem między łapkami.

– To chyba coś więcej niż zwykłe gadanie – powiedział Jamie.

– Chyba? – powtórzyłam jak echo. – Pięćdziesiąt

tysięcy funtów to poważna oferta! – Na ówczesne standardy pięćdziesiąt tysięcy funtów stanowiło roczny dochód sporego księstwa.

Z cynicznym wyrazem twarzy przyglądał się manuskryptowi, który przyniosłam z klasztoru.

– No dobrze. Wszystko wskazuje więc na to, że Karol lub Jakub zawitają w Anglii – mówił w zamyśleniu, drapiąc się po brodzie. – A co ciekawsze, jest to pierwszy znak, że Stuartowie, a przynajmniej jeden z nich, zamierzają podjąć próbę restauracji.

– Jeden z nich? Uważasz, że Jakub jest temu przeciwny? – Ponownie przeczytałam zakodowaną wiadomość.

– Pismo zaadresowano do Karola – przypomniał Jamie. – Przyszło z Anglii, nie z Rzymu. Fergus wykradł je z paczki opatrzonej angielską pieczęcią, a nie posłańcowi papieskiemu. A to, co widziałem w listach Jakuba... – Z powątpiewaniem kręcił głową.

Nie ogolił się jeszcze, promienie porannego słońca odbijały się w rudym zaroście.

– Przesyłka była otwarta wcześniej, Karol widział już manuskrypt. Nie ma tu daty, więc nie wiemy, kiedy została wysłana. No i oczywiście nie posiadamy listów Karola do ojca. Jednak nigdzie Karol nie wspominał, jakimkolwiek kompozytorze ani też o obietnicach poparcia ze strony Anglii.

Wiedziałam, do czego zmierza.

– Tak, a Luiza de La Tour paplała, jak to Karol, gdy już będzie królem, unieważni jej małżeństwo i pojmie ją za żonę. A więc myślisz, że Jego Wysokość nie mówił tego

tylko po to, by zrobić na niej wrażenie?

– Chyba nie – odpowiedział. Nalał do miski wody i zwilżył twarz, przygotowując się do golenia.

– Możliwe zatem, że księżę działa na własną rękę – zauważyłam przerażona, ale i zaintrygowana taką opcją. – Jakub namawia syna, by udawał, że podejmuje próbę restauracji po tożebie przypomnieć Ludwikowi o znaczeniu Stuartów, tymczasem...

– Karol nie udaje – przerwał Jamie. – Na to wygląda. Jest tu jakiś ręcznik, Angielko?

– Z zaciśniętymi oczami przesuwiał dłonią po stole. Zabrałam manuskrypt i położyłam w bezpiecznym miejscu. Podałam ręcznik, który wisiał na poręczy łóżka.

Jamie przyglądał się dokładnie brzytwie i zdecydował, że jeszcze tym nie musi jej ostrzyc. Pochylił się nad moją toaletką, żeby namydlić twarz przed lusterkiem.

– Jamie, czy mógłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego uważasz, że golenie nóg i pach przez kobiety jest barbarzyństwem, a golenie brody przez mężczyzn nie? – zapytałam, gdy naciągnął skórę policzka i delikatnie przystąpił do dzieła.

– Oczywiście, że to barbarzyństwo – odparł, patrząc na swoje odbicie w lustrze. – Ale skóra swędzi jak wszyscy diabli, gdy tego nie robię.

– A czy zapuściłeś kiedyś brodę? – zapytałam z zainteresowaniem.

– Celowo, nigdy. – Uśmiechnął się i przeciągnął brzytwą pod nosem. – Raz zdarzyło mi się nosić brodę. Nie mogłem nic na to poradzić, było to wtedy, gdy żyłem w

Szkocji jako wyjęty spod prawa. Miałem do wyboru albo co rano golić się tępą brzytwą, albo znosić to przekłete swędzenie. Wybrałem drugie rozwiązanie.

Roześmiałam się. Jednym długim pociągnięciem zgolił zarost z zuchwy.

– Nie potrafię sobie wyobrazić ciebie z brodą. Widziałam cię tylko z lekkim zarostem.

Uśmiechnął się krzywo, gdy przechylał głowę, by zająć się szyją.

– Następnym razem, jak zaproszą nas do Wersalu, zapytam, czy możemy zwiedzić królewskie zoo. Ludwik trzyma tam bestię, którą podarował mu pewien kapitan statku.

Podobno przywiózł tego potwora z Borneo. Zwierzę nazywa się orangutan. Widziałaś kiedyś coś takiego?

– Tak. – Przed wojną mieli parę w londyńskim zoo.

– No to właśnie tak wyglądał z brodą – powiedział, kończąc golenie. – Jest rzadka i marna, jak u hrabiego Marigny, tyle że ruda – dodał.

Nazwisko arystokraty przypomniało mu o najważniejszym temacie naszej dyskusji.

Wytarł z twarzy resztki mydła.

– Wiesz, Claire, uważam, że powinniśmy mieć na oku wszystkich Anglików mieszkających w Paryżu. – Wziął manuskrypt i uważnie przeglądał wszystkie strony. – Jeśli ktoś rzeczywiście zamierza udzielić mu poparcia na taką skalę, na pewno wyśle do Karola sprzymierzeńca. Gdybym to ja ryzykował pięćdziesiąt tysięcy funtów, chciałbym wiedzieć, co dostaję w zamian?

– Masz rację – odpowiedziałam. – A skoro o

Anglikach mowa, czy Jego Wysokość patriotycznie kupuje brandy od ciebie i Jareda, czy może korzysta z usług pana Silasa Hawkinsa?

– Tego samego pana Silasa Hawkinsa, który tak pragnie się dowiedzieć, jakie nastroje polityczne panują na szkockich wyżynach? – Jamie kiwał głową z podziwem. – I pomyśleć, że cię poślubiłem, bo miałaś ładną buzię i zgrabny tyłeczek. A tymczasem ty masz jeszcze głowę na karku! – Zrobił zgrabny unik przed moim ciosem wymierzonym w jego ucho. – Nie wiem, Angielko, ale dowiem się jeszcze przed zachodem słońca.

16

WŁAŚCIWOŚCI SIARKI

Księżę Karol istotnie kupował brandy u pana Hawkinsa. Poza tym niewiele zdołaliśmy się dowiedzieć w ciągu następnych kilku tygodni. Sprawy toczyły się dawnym torem. Ludwik Francuski ignorował Karola Stuarta. Jamie nadal zajmował się winiarnią i odwiedzał księcia. Fergus wykrał listy. Smutna, ale piękna Luiza, księżna de Rohan, pokazywała się publicznie u boku męża. Ja każdego ranka wymiotowałam, po południu pracowałam w szpitalu, a podczas kolacji uśmiechałam się promiennie do Jamiego.

Wydarzyły się jednak dwie rzeczy, które trochę przybliżyły nas do celu. Karol, znudzony sytuacją, zaczął wieczorami zabierać Jamiego do tawern. Opiekun Jego Wysokości, pan Sheridan, który się uskarżał, że jest za stary na przesiadywanie w knajpach, często zostawiał ich samych.

– Boże, on pije jak smok! – narzekał Jamie po powrocie z jednej z tawern, w której podają tanie wina. Z niezadowoleniem oglądał wielką płamę na koszuli. – Będę musiał zamówić nowe ubranie.

– Jeśli Karol mówi, gdy pije, to chyba warto. O czym rozmawiacie?

– O polowaniach i kobietach – odparł krótko Jamie. Wiedziała, że niczego więcej się nie dowiem na te tematy. Widocznie polityka nie zaprzętała myśli Karola tak bardzo jak Luiza de La Tour. Albo rzeczywiście potrafił zachować dyskrecję. Nawet pod nieobecność opiekuna, pana Sheridana.

Drugim ważnym wydarzeniem była przegrana monsieur Duverneya w szachy. Im częściej monsieur Duverney przegrywał, tym bardziej pragnął zwyciężyć i dlatego często zapraszano nas do Wersalu. Jamie grał w szachy, a ja krążyłam po salonach, zbierając najnowsze plotki. Choć nigdy nie uważałam szachów za sport widowiskowy, każda rozgrywka gromadziła w wersalskim salonie sporą widownię.

Jamie i minister finansów Francji, niski, tęgi mężczyzna o przygarbionych ramionach pochylali się nad szachownicą. Byli tak skoncentrowani na grze, że nie słyszeli pomrukiwań widzów i brzęku kielichów za swoimi plecami.

– Nie znam nudniejszego zajęcia niż gra w szachy – szeptała jedna z dam. – A nazywają to rozrywką. Stokroć zabawniejsze byłoby przyglądanie się, jak moja pokojówka i czarny służący łapią pchły. Przynajmniej skaczą i chichoczą.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, by ten rudowłosy chłopiec troszkę poskakał i pochichotał – odpowiedziała jej towarzyszka. Za każdym razem, gdy Jamie podnosił głowę i patrzył zamyślony w dal, dama ta posyłała mu czarujący uśmiech. W pewnej chwili jej przyjaciółka zauważyła mój wzrok i szturchnęła pulchną blondynkę pod żebra.

Na widok purpurowego rumieńca oblewającego ją od szyi po sam czubek głowy uśmiechnęłam się do niej uprzejmie, ale z odrobiną złośliwego zadowolenia. Mogłaby nawet swą tłustą dłonią gładzić włosy Jimiego, i tak by nie zauważył. Nic nie było w stanie wyrwać go z zamyślenia.

Zastanawiałam się, o czym myśli w takim skupieniu. Z całą pewnością nie o szachach.

Monsieur Duverney grał uważnie, ale stale powtarzał te same gambity. Lekko zniecierpliwiony Jamie bębnił palcami prawej ręki w udo, próbując ukryć znużenie. Choć trzymał w garści króla monsieur Duverneya, pojedynek mógł potrwać jeszcze pół godziny.

Obok mnie stał książę de Neve. Patrzył na palce Jamiego, po chwili jednak odwrócił swe małe, ciemne oczy. Medytował przez chwilę nad stanem szachownicy, po czym wymknął się, by podnieść stawkę w zakładzie.

Przechodzący lokaj zatrzymał się, uklonił i zaproponował mi kolejny kielich wina.

Machnęłam ręką, by odszedł. Dość już wypiałam, kręciło mi w głowie. Czułam, że z trudem zbieram myśli.

Obejrzałam się w poszukiwaniu wolnego miejsca, gdzie mogłabym usiąść. W drugim końcu salonu

dostrzegłam hrabiego St. Germaina. Zapewne to na niego patrzył Jamie.

Hrabia gapił się na mnie z dziwnym uśmiechem. Szybko przestałam się tym przejmować, dygnęłam najgrzeczniej, jak potrafiłam, i ruszyłam w kierunku grupki dam. Zaczęłam z nimi plotkować. Staralam się kierować rozmowę na temat Szkocji i króla na wygnaniu.

Dla francuskiej arystokracji perspektywy restauracji Stuartów nie były zbytnio zajmującym problemem. Na moją wzmiankę o Karolu przewróciły oczami i wzruszyły ramionami. Nic więcej. Mimo wstawiennictwa księcia Mara i innych znakomitych paryskich jakobitów, Ludwik zdecydowanie odmawiał przyjęcia Karola na swój dwór.

Ubogi wygnaniec nie należał do królewskich ulubieńców. Nie można się więc było spodziewać, że zostanie zaproszony przez kogoś z towarzystwa i zwrze odpowiednie znajomości z bogatymi bankierami.

– Król nie jest zadowolony, ponieważ jego kuzyn przybył do Francji, nie pytając go o pozwolenie – wytłumaczyła księżna de Brabant, gdy poruszyłam ten temat. – Książę podobno powiedział, że nie dba o to, czy Anglia pozostanie w rękach protestantów. Jeśli Anglicy spłoną w piekle razem z ich Jerzym, tym lepiej. – Wydęła usta współczująco.

Miła z niej osoba. – Przykro mi – dodała. – Wiem, że to dla pani i pani męża wielkie rozczarowanie, ale... – Wzruszyła ramionami.

Pomyślałam, że jakoś sobie z tym rozczarowaniem poradzimy, i nastawiłam uszy na dalsze nowinki. Niewiele jednak usłyszałam tego wieczoru. Dano mi do zrozumienia,

że rozmowa o jakobitach jest nudna.

– Wieża na e4 – mruzczał Jamie, gdy szykowaliśmy się do snu. Znowu zostaliśmy na noc jako goście pałacu. Rozgrywki szachowe zakończono dobrze po północy, minister nie chciał nawet słyszeć, żebyśmy wracali o tej porze do Paryża. Umieszczono nas w niewielkim *appartement* z oknem na południe.

– Wieża? – zapytałam. Wśliznęłam się do ogromnego łóżka pod grubą pierzynę. – Czy zamierzasz dziś śnić o szachach?

Jamie, kiwając głową, ziewnął, aż w oczach pojawiły mu się łzy.

– No, na pewno. Mam nadzieję, że nie będę ci przeszkadzał, robiąc roszady przez sen.

Stopy, wolne od ciasnych pantofelków i dźwigania mojego coraz cięższego ciała, odpoczywały w ciepłej pościeli. Ostry ból przeszywał kręgosłup nie przyzwyczajony jeszcze do pozycji poziomej.

– A stawaj sobie na głowie, nic mnie dziś nie poruszy – powiedziałam, ziewając.

Nie mogłam mylić się bardziej.

Tej nocy śniłam o dziecku. Zbliżał się czas rozwiązania, więc było już duże, kopało i poruszało się energicznie. Próbowалаm je uspokoić. Masowałam naprężoną skórę, ale to nie pomagało. Jak to bywa w snach, w pewnej chwili uświadomiłam sobie, że to nie dziecko, a wąż wije się w moim brzuchu. Skuliłam się, podciągnęłam nogi pod brodę i zaczęłam się siłować z bestią. Chwytałam ją i ścisakałam. Szukałam łba, który zaszył się pod moją skórą. Brzuch stał się tak gorący, że nie mogłam go

dotykać. Splątane jelita zmieniały się w węże i gryzły wzajemnie.

– Claire! Obudź się! Co z tobą? – wołał Jamie, potrząsając mną. Oprzytomniałam na tyle, by zrozumieć, że to był tylko sen. Leżałam w łóżku, Jamie trzymał mnie za rękę. Ale węże nadal wiły się w moim brzuchu. Jęknęłam głośno. Przeraziłam się tym prawie tak mocno, jak Jamie.

Odwrócił mnie na plecy i nakrył pierzyną. Próbował wyprostować mi nogi, ale ja uparcie zwijałam się w kłębek. Ścisnęłam brzuch, żeby choć trochę stłumić ataki ostrego bólu przeszywającego całe ciało.

Jeszcze raz mnie przykrył, zarzucił na siebie kilt i wybiegł z pokoju.

Nie docierało do mnie nic poza silnym bólem brzucha. Dzwoniło mi w uszach, twarz zalewał zimny pot.

– Madame? Madame!

Otworzyłam oczy i zauważyłam pokojówkę, którą nam przydzielono. Pochyliła się nad łóżkiem. W oczach miała przerażenie. Tuż za nią stał wpół nagi Jamie. Złapał ją za ramię tak mocno, że dziewczynie spadł czepek. Kręcone włosy rozsypały się na plecach.

Zamknęłam oczy, jęcząc.

– Czy ona straci dziecko?

Było to bardzo prawdopodobne. Zwijałam się na łóżku. Pomrukiwałam i ścisnęłam brzuch, jak gdybym próbowała zdusić targający mną ból.

W pokoju pojawiły się nagle głosy, głównie kobiece. Czulałam, że dotykają mnie czyjeś dłonie. Z szumu wybił się jeden, męski głos. Nie Jamiego. Chyba jakiegoś Francuza. Na jego polecenie ręce złapały mnie za kostki i

ramiona i rozciągnęły na łożku.

Czyjeś palce badały pod koszulą nocną mój brzuch. Nie mogłam oddychać.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam monsieur Fleche'a, królewskiego medyka. Klęknął przy łożku w zamyśleniu. To wielki zaszczyt i dowód królewskiej łaski, ale w tym momencie zupełnie nie zwróciłam na to uwagi. Ból zmieniał się, spazmy stawały się coraz silniejsze i następowały w równych odstępach czasu.

– To nie poronienie – zapewniał zaniepokojonego Jamiego monsieur Fleche. – Nie krwawi.

Zauważyłam, że jedna z obecnych w pokoju pań z przerażeniem wpatruje się w blizny na plecach Jamiego. Wzięła pod ramię stojąca obok kobietę i pokazała jej swe odkrycie.

– To może być zapalenie wyrostka – diagnozował monsieur Fleche. – Albo nagle zaziębienie wątroby.

– Idiota – syknęłam przez zaciśnięte zęby.

Monsieur Fleche patrzył na mnie z góry, znad swego wielkiego nosa. Trochę się spóźnił z efektownym nałożeniem binokli w złotej oprawie, nie zrobił spodziewanego wrażenia. Położył dłoń na moim mokrym czole, zakrywając mi oczy – niby przypadkiem.

Teraz nie mogłam się mu przyglądać.

– Tak, to wygląda na infekcję wątroby – mówił do Jamiego. – Ucisk wyrostka powoduje gromadzenie się żółci we krwi humoru, a to z kolei wywołuje ból, a nawet chwilowe obłąkanie – dodał i nacisnął mój brzuch. – Trzeba natychmiast spuścić krew.

Plato, podaj miskę!

Odepchnęłam jego rękę.

– Wynoś się, cholerny znachorze! Jamie, zabierz ich stąd, nie pozwól, by mnie dotykali!

Plato, asystent monsieur Fleche’a, zbliżał się z lancetem i miską. Damy stojące za nimi wachlowały się wzajemnie. Nie mogły opanować podniecenia, jakie wywołał ten spektakl.

Jamie blady jak ściana patrzył to na mnie, to na monsieur Fleche’a. Wreszcie podjął decyzję. Złapał asystenta medyka za ramię, odciągnął od łóżka, odwrócił i popchnął w stronę drzwi. Lancet upadł na podłogę. Pokojówki i damy odsunęły się w popłochu.

– Monsieur! *Monsieur le chevalien* – protestował lekarz. Gdy go zawołano, nałożył na głowę perukę, ale nie zdążył się ubrać. Rękawy jego koszuli nocnej powiewały niczym skrzydła, gdy biegł za Jamiem, machając rękami jak obłąkany strach na wróble.

Ból wzrastał się, czułam skurcze, z trudem łapałam powietrze. Spróbowałam się podnieść. Ból lekko ustąpił. Otworzyłam oczy. Jedna z dam wpatrywała się we mnie w skupieniu. Nagle przyszła jej do głowy jakaś myśl. Wciąż na mnie patrząc, pochyliła się i wyszeptwała coś do ucha swej towarzyszki. W pokoju było zbyt głośno, bym mogła usłyszeć, co mówi, ale z ruchu ust odczytałam jedno słowo, trucizna.

Ból przeniósł się niżej, poczułam bolesne burczenie brzucha. W tej chwili domyśliłam się, co się stało. To nie poronienie. Nie wyrostek ani wątroba. Też nie trucizna, na szczęście. To kora szkarłatu amerykańskiego.

– Ty przebrzydły, mały padalcu! – wołałam od

progu do Raymonda. Mistrz chował się za ladą, tuż pod wypchanym krokodylem.

– Ja? O, madonno! Czy zrobiłem pani coś złego?

– Przez pana w obecności ponad trzydziestu osób miałam ostry atak biegunki, który początkowo wzięłam za poronienie. A mój mąż omal nie umarł ze strachu!

– O, pani mąż był przy tym? – spytał wyraźnie zdenerwowany mistrz Raymond.

– Tak – zapewniłam. Z trudem udało mi się powstrzymać Jamiego przed złożeniem zielarzowi wizyty. Przekonałam go, by czekał w powozie.

– Ale pani żyje, madonno – zauważył zielarz. Zmarszczył szerokie czoło. – A mogło być inaczej.

By uniknąć zdenerwowania i drżenia, postanowiłam nie przejąć się zbyt tą informacją.

– Więc to nie był tylko żart? – zapytałam nieco łagodniej. – Ktoś naprawdę chciał mnie otruć, ale tego nie zrobił, bo pan miał skrupuły?

– Podejrzewam, że to nie moim skrupułem zawdzięcza pani życie, madonno.

Możliwe, że ktoś po prostu chciał zażartować. W mieście jest kilku innych zielarzy, u których można dostać korę szkarłatu. W ciągu ostatniego miesiąca sprzedałem ją dwóm osobom. Żadna z nich o nią sama nie prosiła.

– Rozumiem. – Wzięłam głęboki wdech i rękawiczką otarłam pot z czoła. A więc mamy dwóch potencjalnych zamachowców. Tylko tego mi było potrzeba, pomyślałam.

– Czy powie mi pan, kto to kupował? – zapytałam śmiało. – Następnym razem jedna z tych osób może się

zwrócić do zielarza, który w przeciwieństwie do pana pozbawiony jest skrupułów.

Pokiwał głową, zagryzając w zamyśleniu swoje żabie usta.

– Racja, madonno. Sądzę jednak, że informacja o nabywcach niewiele pani pomoże.

To służący, wykonywali tylko polecenia swych panów. Jedną była pokojówka wicehrabiego de Rambeau, drugiego nie znam.

Dudniłam palcami o ladę. Jediną osobą wysyłającą pod moim adresem pogróżki jest hrabia St. Germain, analizowałam w myśli. Mógł nająć anonimowego sługę, by przygotował coś, co brał za truciznę, a potem sam wsypał mi to do kielicha.

Przypomniałam sobie przyjęcie w Wersalu. Służba roznosiła na tacach kielichy z winem.

Choć sam hrabia nie zbliżał się do mnie, bez trudu mogł przekupić lokaja, by podał mi właściwy kielich.

Raymond przyglądał mi się z zainteresowaniem.

– Pozwól, że spytam, madonno? Czy nie zrobiła pani czegoś, co mogło rozgniewać hrabinę? To bardzo zazdrosna kobieta. Nieraz szukała u mnie pomocy, by zlikwidować rywalkę. Na szczęście jej zazdrość szybko mija. Wystarczy, że wzrok wicehrabiego zbłądzi... pani rozumie, zawsze jest jakaś nowa rywalka, która zastępuje poprzednią.

Usiadłam.

– Rambeau?

Próbowałam przypomnieć sobie twarz osoby noszącej to nazwisko. Nagle mgła niepamięci opadła.

Zobaczyłam elegancko ubranego mężczyznę o okrągłej twarzy zażywającego tabaki.

– Rambeau! – zawołałam. – Ależ tak, spotkałam tego człowieka. Nadepnął mi na palec, więc uderzyłam go w twarz wachlarzem.

– Czasami, gdy hrabina ma odpowiedni nastrój, taka prowokacja wystarczy – zauważył mistrz Raymond. – Wobec tego dalsze ataki już pani nie grożą.

– Dziękuję – powiedziałam chłodno. – A jeśli to nie hrabina?

Mały aptekarz wahał się przez chwilę. Mrużył oczy pod wpływem promieni porannego słońca wpadających przez szybkę. Coś przyszło mu do głowy. Odwrócił się w stronę kamiennego stołu, na którym w alembikach podgrzewały się tajemnicze preparaty. Kiwnął, żebym za nim poszła.

– Mam coś dla pani – oznajmił.

Ku memu zaskoczeniu wszedł pod stół i zniknął. Ponieważ przez chwilę nie wracał, schyliłam się i tam zajrzałam. W palenisku płonął ogień, po obu stronach było jednak sporo miejsca. W cieniu, na ścianie dostrzegłam ciemne przejście.

Bez wahania podwinęłam spódnicę i weszłam pod stół w ślad za zielarzem.

Pomieszczenie było małe, ale wystarczająco wysokie, żeby się wyprostować. Kto by się spodziewał takiej kryjówki?

Na dwóch ścianach znajdowała się prawdziwa pajęczyna idealnie czystych półek. Na każdej leżała czaszka jakiejś bestii. Z wrażenia zrobiłam krok do tyłu.

Puste oczodoły wpatrywały się we mnie złowrogo, wystające zęby błyszcząły na powitanie.

Mrużąc przez chwilę, zanim oczy przywykły do ciemności i wyłowiły postać gospodarza. Przykucnął w skupieniu przy swym zbiorze. Patrzył na mnie, jak gdyby się zastanawiał, czy zacząć krzyczeć, czy raczej zemdleję. Widziałam już w życiu widoki dużo bardziej przerażające niż kolekcja wypolerowanych czaszek. Podeszłam bliżej, by je dokładnie obejrzeć.

Miał tu wszystko. Małeńkie czaszki nietoperza, myszy i ryjówki, kości, ostre zęby dzikich mięsożerców. Konie, od olbrzymich perszeronów, których szczęki są wystarczająco duże, by pokonać zastępy Filistynów, aż po niewielkie czaszki małp.

Zastygłe w bezruchu, piękne robiły niezwykle wrażenie. W każdej dostrzeżało się istotę właściciela, jak gdyby linie kości spowijał duch ciała i futro, które je niegdyś okrywało.

Wyciągnęłam dłoń, by dotknąć każdego eksponatu. Kość nie była tak zimna, jak się spodziewałam.

Widziałam już szczątki ludzkie, które potraktowano z dużo mniejszym szacunkiem – czaszki średniowiecznych męczenników kość w kość usypane w kopce w katakumbach, piszczele ustawione w stosy.

– Niedźwiedź? – zapytałam cicho. Duża czaszka, wygięte siekacze, zęby trzonowe płaskie.

– Tak, madonno. – Widząc, że się nie boję, Raymond odetchnął. – Tymi zębami jadł ryby, mięso. – Przesunął mały palec po zakrzywionych siekaczach i żłobionych zębach trzonowych. – Tymi rozgniatał jagody i

robaki. Niedźwiedzie rzadko głodują, pozerają wszystko.

Rozglądałam się po pomieszczeniu. Z podziwem dotykałam kolejnych okazów.

– Piękne – powiedziałam. Mówiliśmy ściszymi głosami, jakby z obawy, że głośniejsza rozmowa mogłaby zbudzić śpiących.

– Tak. – Palce Raymonda gładziły czaszki, żuchwy i wygięte w łuk policzki. – Niech pani spojrzy, drzemie w nich charakter zwierząt. Patrząc na szczątki, można się sporo dowiedzieć.

Obrócił jedną z małych czaszek i pokazał niewielkie wybrzuszenia, przypominające bąble.

– Tu wchodzi kanalik uszny, dźwięki rozprzestrzeniają się po całej czaszce. Dlatego szczury mają taki dobry słuch, madonno.

– *Tympanic bullae* – powiedziałam, kiwając głową.

– Słabo znam łacinę. Wszystkiemu nadaję własne nazwy.

– A te są zupełnie niezwykle. – Wskazałam czaszki na wyższej półce.

– O tak, madonno. To wilki. Bardzo stare wilki. – Zdjął jedną i trzymał z nabożeństwem. Długi pysk pełen był kłów i szerokich zębów przednich. Z tyłu widział strzałkowy wyrostek, dowodzący istnienia silnych mięśni karku.

Kilka czaszek nie przypominało większości tych kremowych. Pełne brązowych plam i smug, dokładnie wypolerowane błyszcząły w ciemności.

– Tych bestii już dawno nie ma.

– Wymarły? A gdzie pan to znalazł?

– Pod ziemią. Na torfowisku, leżały głęboko zakopane.

Obejrzałam je dokładnie. Należały do zwierząt dużo większych niż wilki. Potężnymi szczękami mogły przegryzać kości łośi czy gardła jeleni.

Poczułam dreszcze. Przypomniał mi się wilk, którego zabiłam niedaleko więzienia Wentworth pół roku wcześniej.

– Nie lubi pani wilków? – zapytał Raymond. – Ale niedźwiedzi i lisów się pani nie boi. A to też drapieżniki. Jedzą mięso.

– Tak, ale nie moje – powiedziałam z kwaśną miną i odstawiłam pociemniałą ze starości czaszkę. – Czuję więcej sympatii dla naszego przyjaciela łośia. – Poklepałam sterczący nos.

– Sympatia... – Łagodne ciemne oczy patrzyły na mnie z zainteresowaniem. – Dość niezwykle uczucie w odniesieniu do kości.

– Ach... tak – powiedziałam nieco zawstydzona. – Ale pan rozumie, to nie są zwyczajne przedmioty.

Raymond uśmiechnął się, pokazując bezzębne usta. Moje słowa najwyraźniej sprawiły mu przyjemność, ale nie odpowiedział.

– Po co pan to trzyma? – zapytałam. Nagle uświadomiłam sobie, że kolekcja czaszek stanowi raczej niecodzienne wyposażenie apteki. Wypchane krokodyle to co innego.

Wzruszył ramionami.

– W pewnym sensie dotrzymują mi towarzystwa, gdy pracuję. – Wskazał ręką biurko w kącie. – Mówią do

mnie, a przy tym nie są na tyle hałaśliwe, by przyciągać uwagę sąsiadów. Pani pozwoli... – Niespodziewanie zmienił temat. – Mam tu coś dla pani.

Zaciekawiona podeszłam wraz z nim do długiej komody w końcu pokoju.

Nie był naturalistą i z pewnością nie naukowcem w moim rozumieniu tego słowa. Nie robił notatek, nie rysował. Nie miał żadnych zapisków, z których mogliby korzystać inni.

Mimo to byłam przekonana, że bardzo chce mnie nauczyć pewnych rzeczy.

Komodę zdobiły różnego rodzaju znaczki, zawijasy i spirale. Dostrzegłam pentagony i koła, symbole kabały. Przypomniały mi się opowieści wuja Lamba, dzięki temu rozpoznałam kilka wzorów.

– Interesuje się pan kabałą? – Przyglądałam się znaczkom z pewnym rozbawieniem.

Tak, to tłumaczyło istnienie sekretnego pokoju. Francuscy artyści i arystokracja interesowali się okultyzmem, ale zawsze tego rodzaju skłonności ukrywano w obawie przed niszczącym gniewem Kościoła.

Ku memu zdziwieniu Raymond roześmiał się. Stukał krótkimi palcami w drzwiczki komody, trafiając to w środek jednego symbolu, to w ogonek innego.

– A nie, madonno. Kabaliści to w większości biedni ludzie, nie często więc szukam ich towarzystwa. A dzięki tym symbolom ciekawscy sąsiedzi trzymają się z daleka ode mnie i mojego gabinetu. Kosztowało mnie to niewiele pracy. Być może kabaliści mają rację, gdy twierdzą, że te symbole posiadają wyjątkową moc.

Uśmiechnął się do mnie i otworzył drzwiczki komody. Dopiero teraz zauważyłam, że była podwójna. Nawet gdyby jakaś dociekliwa osoba zignorowała ostrzegawcze symbole i otworzyła komodę, nie znalazłaby tam nic poza zwyczajną zawartością aptekarskiego schowka. Dopiero po naciśnięciu odpowiednich przycisków ukazywała się kryjówka.

Mistrz wysunął szufladkę. Jedną ręką ją trzymał, drugą w niej szperał. W końcu wyłowił mały biały kamyk.

– To dla pani. Niech panią chroni – powiedział.

– Co to? Czary? – zapytałam cynicznie, obracając kryształ w dłoni.

Raymond znowu się roześmiał. W dłoni miał garść kolorowych kamyków. Rozsypał je na stole.

– Myślę, że można to tak nazwać. Drogo kosztują, gdy już je sprzedaję. – Wziął bladozielony kamyk.

– Nie więcej, ale i nie mniej w tym magii, co w czaszkach. Nazywam je kośćmi ziemi.

Zachowały istotę formy, w której żyły. Nadal posiadają jej moc. – Podał mi niewielką, żółtawą grudkę. – Siarka. Po zmieszaniu z innymi składnikami wystarczy dotknąć zapalką, by nastąpił wybuch. Proch strzelniczy. Czy to czary? A może tylko jedna z właściwości siarki?

– Myślę, że to zależy, z kim się rozmawia – zauważyłam.

Jego twarz pojaśniała w uśmiechu.

– Jeśli kiedykolwiek zechce pani opuścić męża – powiedział, krztusząc się – na pewno nie będzie pani głodować. Jest pani prawdziwą profesjonalistką.

– Mój mąż! – krzyknęłam i pobladłam. Nagle

uświadomiłam sobie, co to za hałas dobiega z góry, ze sklepu. Głośny łomot, jak gdyby ktoś uderzał pięścią w stół i mieszanina głosów, które na pewno nie znoszą sprzeciwu.

– Chryste Panie! Zapomniałam o Jamiem!

– Pani mąż tu jest? – Mistrz Raymond otworzył szeroko oczy.

– Czekał na mnie przed sklepem – wytłumaczyłam, pochylając się przed tajnym wejściem. – Na pewno się zaniepokoił.

– Proszę zaczekać, madonno! – Raymond chwycił mnie za ramię. Podał mi biały kryształ, który trzymał w drugiej ręce.

– Będzie panią chronił – powtórzył.

– A, tak, tak – powiedziałam niecierpliwie. Głosy na górze coraz donośniej wykrzykiwały moje imię. – A w jaki sposób?

– Jest czuły na trucizny. W obecności niektórych szkodliwych substancji zmienia kolor.

Zatrzymałam się, wyprostowałam się i popatrzyłam na zielarza.

– Trucizny? – powiedziałam wolno. – A więc...

– Tak. Nadal jest pani w niebezpieczeństwie. – Raymond wykrzywił żabie usta. – Nie jestem pewien, nie wiem. Ale ostrzegę panią, jeśli tylko czegoś się dowiem. – Patrzył niespokojnie w stronę paleniska, przed którym znajdowało się wyjście do sklepu. Nagle usłyszeliśmy coś jakby uderzenie pioruna w ścianę. – Proszę też zapewnić o tym swego męża.

– Niech się pan nie martwi. Jamie nie gryzie.

– Nie boję się jego zębów, madonno – oświadczył,

gdy oboje pochyleni wydostawaliśmy się spod stołu.

Jamie wznosił właśnie rękojeść sztyletu i zamierzał uderzyć w obrazek wiszący na ścianie, ale gdy mnie zobaczył, opuścił rękę.

– O, tu jesteś – zauważył łagodnie. Przechylił głowę i patrzył, jak czyszczę suknię z pyłu i kurzu. Po chwili spod stołu nieśmiało wychyliła się głowa mistrza Raymonda.

– A oto i nasz mały ropuch. Czy ma jakieś wytłumaczenie, Angielko, czy od razu przybić go do ściany jak resztę? – Nie odrywając oczu od Raymonda, wskazał głową sznury, na których suszyły się rozpięte żaby i ropuchy.

– Nie, nie – mówiłam pospiesznie, widząc, że zielarz z powrotem chowa się do swego gabinetu. – O wszystkim powiedział. Bardzo mi pomógł.

Z pewnym ociąganiem Jamie schował sztylet i wyciągnął rękę do mistrza. Mały człowiek wzdrygnął się na widok zbliżającego się Jamiego.

– Czy ten mężczyzna jest pani mężem? – zapytał w nadziei, że usłyszy przeczącą odpowiedź.

– Oczywiście – odparłam. – Jakub Fraser, lord Broch Tuarach. – Wskazałam Jamiego, choć nie mogłam przecież mówić o kimś innym. Machnęłam ręką w drugą stronę. – Mistrz Raymond.

– Tak myślałem – powiedział chłodno Jamie. Ukłonił się i wyciągnął dłoń do żabowatego, który głową sięgał mu trochę wyżej pasa. Aptekarz dotknął olbrzymiej dłoni i czym prędzej schował swoją. Patrzyłam na nich z rozbawieniem.

Jamie lekko uniósł jedną brew i oparł się o stół,

zaplatając ręce na piersiach.

– No dobrze, czekam na wyjaśnienia – powiedział.

Wy tłumaczyłam wszystko Jamiemu. Raymond zdobył się jedynie na kilka przytaknięć i skinień głową. Przycupnął na taborecie obok kominka i siedział tak, odarty ze swej zwykłej śmiałości. Gdy skończyłam opowiadać o białym kryształach i jego właściwościach, poruszył się i ożył na chwilę.

– To prawda, milordzie – zapewniał Jamiego. – Nie wiem, czy w niebezpieczeństwie znajduje się tylko pańska żona, czy oboje jesteście zagrożeni. Nie słyszałem niczego konkretnego, jedynie nazwisko Fraser, ale padło ono w miejscu, gdzie rzadko padają błogosławieństwa.

Jamie spojrział na niego podejrzliwie.

– Tak? A pan często bywa w takich miejscach, mistrzu? Zna pan tych ludzi?

Raymond uśmiechnął się niewyraźnie.

– Nazwałbym ich raczej konkurentami w interesach.

Jamie mruczał pod nosem.

– Hmm. No tak. Każdy, kto spróbuje, może dostać więcej, niż by chciał. – Dotknął sztyletu wiszącego przy pasie i wyprostował się. – Dziękuję za ostrzeżenie, mistrzu.

– Ukłonił się aptekarzowi, ale tym razem nie podał mu ręki.

– A co do reszty... – Popatrzył w moim kierunku. – Jeśli moja żona jest skłonna wybaczyć pański czyn, nie powiem już słowa na ten temat. Radziłbym tylko, żeby schował się pan do tej swojej norki, gdy następnym razem złoży tu wizytę wicehrabina – dodał. – Chodźmy, Angielko.

W drodze do domu Jamie milczał jak zakłęty. Wyglądał przez okno powozu i postukiwał palcami o udo.

– Miejsce, w którym rzadko podają błogosławieństwa – mruczał. Powóz skręcił w rue Gamboge. – Gdzie to może być?

Przypomniały mi się kabalistyczne symbole z komody mistrza Raymonda. Po plecach mi przebiegł dreszcz. Dobrze pamiętałam też plotki Marguerite na temat hrabiego St.

Germaina i ostrzeżenia madame de Ramage. Powiedziała o tym Jamiemu.

– Raymond może uważa je za ozdóbki i zwyczajne malowidła – kończyłam – ale najwyraźniej zna ludzi, którzy traktują to poważnie. I kogo on chce trzymać z dala od swej komody?

Jamie kiwał głową.

– Co nieco obilo mi się o uszy na ten temat, ale myślałem, że to jakieś głupstwa.

Dowiem się więcej. – Roześmiał się nagle i przyciągnął mnie ku sobie. – Każę Murtaghowi śledzić St. Germaina. Hrabia będzie miał prawdziwego demona, by z nim igrać.

17

NOCNA WYPRAWA

Murtagh zgodnie z planem śledził wszystkie poczynania St. Germaina. Jednak poza tym, że hrabia przyjmuje w domu niezliczoną ilość gości – obu płci i wszystkich klas – nie zauważył niczego niezwykłego. Odwiedziła go jednak pewna znakomitość, Karol Stuart. Książę przyszedł pewnego popołudnia i zabawił u St. Germaina godzinę.

Karol coraz częściej się domagał, by Jamie dotrzymywał mu kompanii podczas wypraw do tawern i przeróżnych podejrzanych miejsc. Uważałam, iż przyczyniło się do tego przyjęcie Julesa de La Tour de Rohan w celu uroczystego ogłoszenia, że czcigodna małżonka spodziewa się dziecka.

Wyprawy przeciągały się do późna w nocy, w końcu przyzwyczaiłam się do zasypiania w pustym łóżku. Budziłam się, gdy Jamie wracał. Jego ciało było chłodne po spacerach w wieczornej mgle, a włosy pachniały tytoniowym dymem i alkoholem.

– Kocha tę kobietę do szaleństwa. Chyba nawet nie pamięta, że jest dziedzicem tronu Szkocji i Anglii – stwierdził pewnego wieczoru Jamie.

– Na Boga, musi być zupełnie wytracony z równowagi – powiedziałam z sarkazmem.

– Miejmy nadzieję, że ten stan potrwa dłużej.

Tydzień później, gdy obudziło mnie zimne światło poranka, zauważyłam, że drugie miejsce w łóżku jest puste, a pościel nie naruszona.

– Czy milord Broch Tuarach jest w swoim gabinecie? – Jedyne w koszuli nocnej wychyliłam się przez poręcz i zapytałam przechodzącego holem Magnusa. Może Jamie nie chciał mnie budzić i postanowił spać na sofie w gabinecie.

– Nie, milady. Chciałem otworzyć bramę, ale nie była wcale zamknięta. Milord nie wrócił na noc do domu.

Usiadłam ciężko na najwyższym stopniu. Musiałam wyglądać zatrwająco, bo natychmiast podbiegł do mnie starszy lokaj.

– Madame – powiedział, nerwowo rozcierając swoją dłoń. – Madame, czy dobrze się pani czuje?

– Bywało lepiej, ale to nie ma znaczenia. Magnusie, pošlij lokaja do domu księcia Karola. Niech sprawdzi, czy jest tam mój mąż.

– Już się robi, milady. Przyślę też Marguerite, pomoże pani.

Odwrócił się i zbiegł ze schodów. Szurał miękko o wyfroterowaną podłogę porannymi pantoflami, których nie zdążył jeszcze zmienić.

– Aha! – zawołałam za znikającymi plecami Magnusa. – Przyrowadź też do mnie, Murtagha!

Najpierw pomyślałam, że Jamie został na noc w willi Karola; potem, że coś mu się stało. Brałam pod uwagę wypadek lub zamach.

– Gdzież on się podziewa? – Z dołu dobiegł mnie głos Murtagha. Wiecznie niezadowolony Szkot dopiero co się obudził, na twarzy miał odciski czegoś, na czym leżał, na koszuli resztki słomy.

– A skąd ja mam wiedzieć? – rzuciłam. Murtagh zawsze wyglądał tak, jakby każdego podejrzewał o niecne knowania. Gwałtownie obudzony patrzył spode łba. Wiedziałam jednak, że jeśli cokolwiek się wydarzy, Murtagh jest najwłaściwszą osobą, którą należy prosić o pomoc.

– Wyszedł wieczorem z księciem i do tej pory nie wrócił. To wszystko, co wiem. – Podniosłam się ze schodów i wygładziłam jedwabną koszulę nocną. Rozpalono już w kominkach, ale dom nie zdążył się jeszcze nagrzać. Dopiero teraz poczułam, że zmarłam.

Murtagh drapał się po twarzy w zamyśleniu.

– Mm, czy posłano kogoś na Montmartre?

– Tak.

– Zaczekam więc, aż wrócą z wiadomościami. Jeśli Jamie tam jest, to dobrze. Jeśli go nie ma, może będą wiedzieć, gdzie i kiedy rozstał się z księciem.

– A jeśli obaj zniknęli? Jeśli księżę też nie wrócił do siebie na noc? – zapytałam.

Skoro są w Paryżu jakobici, z pewnością są i przeciwnicy restauracji Stuartów.

Zlikwidowanie Karola Stuarta nie zapewni upadku powstania szkockiego. Jest jeszcze młodszy brat księcia, Henry. Mimo wszystko taki czyn w pewnym stopniu osłabiłby entuzjazm Jakuba, jeśli król w ogóle go odczuwa.

Przypomniała mi się historia, którą opowiedział Jamie o zamachu na jego życie.

Wtedy poznał Fergusa. Morderstwa uliczne nie należały do rzadkości, wieczorami po Paryżu kręciły się całe gangi bandytów.

– Ubierz się, dziewczyno – nakazał Murtagh. – Stąd widać gęsią skórę na twoich rękach.

– Masz rację. – Spojrzałam na siebie. Obejmowałam się rękami, ale to nie pomagało zbytnio. Zaczynałam już dzwonić zębami z zimna.

– Przeziębi się pani, madame. – Marguerite wchodziła szybko po schodach. Gdy słyśmy do łazienki, obejrzałam się. Murtagh badał ostrze swego sztyletu. Po chwili schował go do pochwy.

– Nie powinna wychodzić pani z łóżka, madame! – upominała mnie Marguerite. – To nie jest dobre dla

dziecka. Jeszcze się pani przeziębi. Przyniosę termofor. Gdzie pani szlafrok? Proszę go natychmiast włożyć... o tak, dobrze. – Założyłam gruby, wełniany szlafrok na cienką jedwabną koszulę, ale nie usłuchałam rad Marguerite i otworzyłam szeroko okno.

Na ulicach Paryża zaczynał się dzień. Wschodzące słońce oświetlało fasady domów przy rue Tremoulins. Choć było jeszcze wcześniej, za oknem panował ruch. Służące szorowały schody, lokaje polerowali mosiężne bramy, straganiarze sprzedawali warzywa, owoce i świeże ryby. Krzyki kupców zwabiały kucharzy z okolicznych domów. Wybiegali na wezwanie kuchennymi drzwiami jak dżiny z butelek. Ulicą wolno toczył się wóz z węglem zaprzężony w starego konia. I ani śladu Jamiego.

W końcu dałam się przekonać Marguerite. Wróciłam do łóżka. Rozgrzałam się, ale nie mogłam zasnąć. Zrywałam się na każdy dźwięk dobiegający z dołu w nadziei, że zaraz po odgłosie kroków na ulicy usłyszę w domu głos Jamiego. Gdy tylko zamknęłam oczy, pojawiała mi się twarz hrabiego St. Germaina. On jeden wśród francuskiej arystokracji miał kontakt z Karolem Stuartem. Bardzo prawdopodobne, że to właśnie hrabia stał za poprzednim zamachem na życie Jamiego... i ostatnio na mnie. Wszyscy wiedzą, że zadaje się z podejrzanym towarzystwem. Czy mógł zaaranżować zniknięcie Karola i mojego męża? Nie ma znaczenia, czy zrobił to z pobudek politycznych czy osobistych.

W holu rozległy się odgłosy kroków. Byłam jednak tak pochłonięta czarnymi myślami, że nawet się nie domyśliłam, iż Jamie mógł wrócić. Wtedy otworzyły się

drzwi do sypialni.

– Jamie! – Usiadłam w łóżku z okrzykiem radości.

Uśmiechnął się do mnie i ziewnął, nie próbując nawet zakryć ust. Miałam okazję dokładnie obejrzeć jego gardło. Z ulgą stwierdziłam, że jest całe. Z drugiej jednak strony Jamie nie wyglądał najlepiej. Położył się obok mnie i wyciągnął na całą długość. Po chwili podniósł się i mruknął z zadowolenia.

– Jamie, co się stało? – zapytałam ostro.

Otworzył jedno zaczerwienione oko.

– Muszę się wykapać – stwierdził.

Przysunęłam się i powąchałam go dyskretnie. Wyczułam to, co zwykle: dym, jakim przesiąknięte są zamknięte pomieszczenia, oraz przedziwną mieszaninę oparów alkoholi: ale, wina, whisky i brandy. A wszystko zaprawione tanią wodą kolońską o wyjątkowo intensywnym zapachu.

– Tak, rzeczywiście – zgodziłam się. Wstałam z łóżka i wyrzłam na korytarz, by zawołać Marguerite. Kazałam jej przynieść balię i kilka kawałków różanego mydła, które dostałam na pożegnanie od brata Ambrożego.

Służąca zajęła się przygotowaniem kąpieli. Znosiła ogromne naczynia z wodą, a ja w tym czasie uważnie przyglądałam się ciału leżącemu na łóżku.

Zdjęłam Jamiemu buty i skarpety, rozpięłam klamrę i ściągnęłam mu kilt. Zasłonił nagość rękami, ale ja patrzyłam gdzie indziej.

– Co ci się stało? – zapytałam ponownie.

Na jego udach widniały ślady po zadrapaniu. Wyraźne, czerwone smugi odcinały się od bladej skóry.

Wyżej, po wewnętrznej stronie uda zauważyłam znaki po ugryzieniu.

Służąca, nalewając wodę, zerkała ukradkiem, a po chwili bezceremonialnie zapytała:

– *Un petit chien?* – Mały piesek? Albo coś innego. Choć nie byłam biegła w modnych powiedzonkach, wiedziałam, że *les petits chiens* często spacerują po ulicy na dwóch nogach, z wymalowanymi ustami.

– Wyjdz – rozkazałam po francusku. Dziewczyna zabrała puste naczynia i nadąsana opuściła pokój. Odwróciłam się do Jamiego. Otworzył oko, spojrzał na mnie i znowu je zamknął.

– Słucham.

Zamiast wyjaśnień wzruszył ramionami. Po jakimś czasie usiadł i podrapał się po brodzie. Uniósł pytająco brew.

– Nie przypuszczam, by tak dobrze wychowana i delikatna dama jak ty wiedziała, co znaczy termin *soixanteneuf*.

– Słyszałam o nim – warknęłam. Założyłam ręce na piersi i patrzyłam na niego podejrzliwie. – Pozwól, że zapytam o okoliczności, w jakich miałeś do czynienia z tą szczególnie interesującą liczbą.

– Zasugerowano mi, przy użyciu siły, bym potraktował tak pewną Dame, którą poznałem wczorajszej nocy.

– Czy to przypadkiem nie ta dama ugryzła cię w udo?

Spojrzał na nogę i w zamyśleniu potarł ślad.

– Mm, nie. To nie ona. Ją interesowały mniejsze

numery. Ona chciała tylko sześć, dziewięć nie sprawiało jej uciechy.

– Jamie – syknęłam, tupiąc nerwowo pantoflem. – Gdzie byłeś całą noc?

Nabrał w dłonie wody i zwilżył twarz. Strużki spłynęły mu za koszulę.

– Mm... – zaczął. Mrugał oczyma, by strzasnąć wodę z długich rzęs. – Niech no pomyślę. Najpierw jedliśmy kolację w tawernie. Tam spotkaliśmy Glengarry'ego i Millefleursa.

Monsieur Millefleurs to paryski bankier, a Glengarry, młody jakobita, jeden z wodzów klanu MacDonellów. Nie mieszka na stałe w Paryżu, ostatnio chętnie jednak spotyka się z Karolem.

– Po kolacji poszliśmy do księcia di Castellottiego na karty.

– A potem? – zapytałam.

– Tawerna. I jeszcze jedna. A na końcu przybytek podobny do tawerny, tyle że zatrudniający kilka dam o interesującym wyglądzie i jeszcze ciekawszych talentach.

– Talenty, co? – wymownie popatrzyłam na ślady na udzie.

– Boże, one zrobiły to przy ludziach. – Otrząsnął się na samo wspomnienie. – Były dwie, na stole. Między gotowanymi ziemniakami i baranym combrem. I galaretką z pigwy.

– *Mon dieu* – westchnęła służąca. Wróciła, by dolać ciepłej wody.

– Bądź cicho – powiedziałam groźnie i ponownie zwróciłam się do Jamiego. – I co dalej?

Potem działo się to, co zwykle w takiej sytuacji. I nadal przy ludziach. Z uwagi na wrażliwość Marguerite Jamie wstrzymał się z opowieścią, aż dziewczyna wyjdzie po kolejny dzbanek ciepłej wody.

– ...wtedy Castellotti wziął tę pulchną blondynę i taką małą, rudą na bok i...

– A co ty robiłeś w tym czasie? – przerwałam pasjonującą relację.

– Patrzyłem – odparł nieco zaskoczony. – To nieładnie, no ale w zaistniałych okolicznościach nie miałem wyboru.

Gdy on mówił, ja przeszukiwałam jego skórzaną torbę. Znalazłam w niej nie tylko sakiewkę, ale i szeroki metalowy pierścień ozdobiony herbem. Włożyłam go na palec. Był o wiele większy niż zwyczajne pierścienie.

– Czyje to? – zapytałam, wyciągając rękę. – Wygląda na herb księcia di Castellottiego. Ten, kto to nosi, musi mieć palce jak serdelki. – Castellotti był chudym Włochem, o twarzy człowieka cierpiącego na chroniczną niestrawność. Nic dziwnego, jak się jada galaretkę z pigwy – pomyślałam.

Jamie zaczerwienił się od pępka po czubek głowy.

– Eee – zaczął, badając z największą uwagą plamę błota na kolanie. – Tego nie nosi się na palcu.

– A gdzie... ach tak. – Przyglądałam się przedmiotowi z rosnącym zainteresowaniem.

– Dobry Boże. Słyszałam o tym...

– Czyżby? – zapytał z oburzeniem Jamie.

– Ale nigdy nie widziałam. Pasuje na ciebie? – Wyciągnęłam rękę, by spróbować.

Jamie jednak szybko się zasłonił.

Do sypialni weszła Marguerite z kolejnym dzbanem wody.

– Niech się pan nie martwi, już to widziałam.

Spoglądając to na mnie, to na służącą, Jamie zakrył się kołdrą.

– Całą noc broniłem swojej cnoty, to wystarczy – stwierdził cierpko. – Nie życzę sobie komentarzy na ten temat od samego rana.

– Bronieś cnoty? – Przerzucałam pierścień z ręki do ręki, łapiąc go na palec wskazujący. – To prezent? – zapytałam. – Czy pożyczka?

– Prezent. Przestań, Angielko. – Skrzywił się. – To przywołuje wspomnienia.

– Ach, tak...

– Nie myślisz chyba, że zrobiłbym coś takiego? – zaprotestował gwałtownie. – Jestem żonatym mężczyzną!

– A monsieur Millefleurs nie?

– On ma nie tylko żonę, ale i dwie kochanki – powiedział. – Poza tym jest Francuzem. A to co innego.

– Di Castellotti nie jest Francuzem...

– Ale jest księciem. A to też różnica.

– Doprawdy? Ciekawe, czy księżna też tak uważa.

– Sądząc po wypowiedziach księcia, myślę, że tak.

Gotowa ta kąpiel?

Przepasał się kołdrą i z trudem wstał z łóżka. Potem zrzucił osłonę i wszedł do parującej wody. Szybko zanurzył się po samą szyję. Zrobił to jednak wolniej, niż zamierzał.

– Enorme!* [*Niesamowite.] – krzyknęła służąca, robiąc na piersi znak krzyża.

– C'est tout* [*To wszystko.] – powiedziałam z naciskiem. – Dziękuję.

Służąca zamknęła oczy i wyszła, cała czerwona.

Gdy drzwi już się za nią zamknęły, Jamie usiadł i wygodnie odpoczywał. Zanurzał się coraz głębiej. Na jego nie ogolonej twarzy pojawił się wyraz błogiej rozkoszy. Skóra zaczerwieniła się pod wpływem wysokiej temperatury. Zamknął oczy, na policzkach i pod oczami lśniła mgielka wilgoci.

– Mydło? – zapytał z nadzieją w głosie.

Podaliśmy mu kostkę i usiadłam na stołku obok wanny. Przez chwilę patrzyłam, jak szoruje całe ciało myjką i pumeksem.

– Jamie – powiedziałam w końcu.

– No co?

– Nie chcę krytykować twoich metod, zgodziliśmy się, że czasami trzeba robić pewne rzeczy, ale... czy tym razem naprawdę musiałeś...

– Czy co musiałem, Angielko? – Przestał się myć i zerknął na mnie z ukosa.

– No... no... – Ze zdenerwowania czerwieniłam się prawie tak samo, jak on z powodu gorącej wody.

Z wanny wynurzyła się wielka ręka i spoczęła na moim ramieniu. Przez cienki rękaw czułam ciepło i wilgoć.

– Angielko, czy ty myślisz, że ja...

– No cóż... – Starłam się nie patrzeć na ślady na jego udzie. Roześmiał się, choć odniosłam wrażenie, że nie było mu do śmiechu.

– Och, kobieto małej wiary! – powiedział sardonicznie.

Cofnęłam się, by nie mógł mnie dotykać.

– Mąż wraca do domu ze śladami po ugryzieniu, podrapany, zalatujący zapachem perfum, przyznaje, że spędził noc w domu uciech, i...

– Ale mówi, że tylko patrzył, nic nie robił.

– A te znaki na nodze też od patrzenia? – zapytałam ostro. Czułam się, jak mała zazdrośnica. Chciałam podchodzić do tych spraw ze spokojem, jak kobieta światowa.

Mówiłam sobie, że wierzę w Jamiego. A nawet jeśli coś się wydarzyło...

Czułam chłód mokrego jedwabiu. Potarłam ramię. Próbowałam odzyskać spokój.

– A może to blizny po honorowej walce w obronie cnoty? – Nie udało mi się powiedzieć tego ze spokojem. Słuchając własnych słów, stwierdziłam, że brzmią jednak bardzo niemiło. Muszę się skoncentrować, nakazałam sobie w myślach.

Jimie zignorował ton mojej wypowiedzi. Zmrużył oczy i zastanawiał się nad odpowiedzią. Wziął głęboki oddech. Przemyślał to, co ma mi do powiedzenia, i wyrzucił z siebie:

– Tak. – Szukał w wannie mydła, a gdy je znalazł, wyjął i trzymał w dłoni. – Pomożesz mi umyć włosy? Jego Wysokość zwymiotował na mnie w powozie w drodze powrotnej, trochę śmierdzą.

Wahałam się przez chwilę, ale przyjąłam tę gałązkę oliwną, przynajmniej na jakiś czas.

Myjąc mu głowę, czułam wyraźne ślady dawno zagojonych blizn. Masowałam mu szyję i kark. Jamie

rozluźniał się powoli.

Piana spływała po jego mokrych plecach, za nią podążyły moje dłonie, palce ślizgały się jak okręty po gładkiej morskiej tafli.

Duży z niego mężczyzna, pomyślałam. Będąc z nim tak blisko na co dzień, zapominam o tym. Pewnego razu zobaczyłam go z daleka, jak szedł z grupą dużo mniejszych od siebie towarzyszy. Uderzyło mnie wtedy to spostrzeżenie, zachwyciło piękno muskularnego ciała i wdzięk w każdym ruchu. Teraz Jamie siedział skulony, z kolanami pod brodą. Wypełniał sobą całą wannę. Pochylił się do przodu, by ułatwić mi zadanie. Ukazały się wszystkie blizny na plecach. Grube, czerwone smugi, bożonarodzeniowy prezent od Jacka Randalla, rysowały się nad cienkimi białymi śladami po wcześniejszych chłostach.

Delikatnie dotknęłam blizny, serce ścisnęło mi się z żalu. Widziałam je, gdy były świeże. Pamiętałam Jamiego doprowadzonego przez tortury do granic szaleństwa. Udało mi się go wyleczyć, a on z całych sił walczył, by z tego wyjść, by znowu być ze mną.

Poruszona wspomnieniami odsunęłam mu włosy z szyi i pochyliłam się, by pocałować jego kark.

Nagle gwałtownie się wyprostowałam. Poczul to i odwrócił głowę.

– Co się stało, Angielko? – zapytał łagodnie.

– Nic takiego. – Przyglądałam się krwistoczerwonym plamom na szerokiej szyi.

Pielęgniarki w Pembroke po spotkaniach z żołnierzami z sąsiedniej bazy zakrywały podobne znamiona kolorowymi chusteczkami. Zawsze wydawało mi się, że

chusteczki są raczej formą reklamy niż próbą ukrycia faktów.

– Nie, nic. – Sięgnęłam po dzbanek. Stał tuż przy oknie, był więc zimny jak lód.

Stałam za Jamiem i wylałam zawartość na jego głowę.

Podniosłam sukienkę, by nie zmoczyła jej silna fala wody wylewająca się z wanny.

Jamie otrząsał się z lodowatych strumieni. Szok odebrał mu mowę. Widziałam, że porusza ustami, ale nic nie powiedział. Postanowiłam go zmusić.

– Tylko patrzyłeś? – zapytałam z przekąsem. – I pewnie ci się nie podobało, biedaku?

Zanurzył się w wannie tak gwałtownie, że woda rozlała się na wszystkie strony, mocząc kamienną posadzkę. Obrócił się, by na mnie popatrzeć.

– Co mam ci powiedzieć? – wrzasnął. – Czy chciałem je pieprzyć? A chciałem. Aż mnie przyrodzenie bolało, tak bardzo chciałem. Ale na samą myśl o tym, że miałbym dotknąć jednej z dziwek, robiło mi się niedobrze.

Odgarnął włosy z twarzy.

– Czy to chciałaś usłyszeć? Jesteś zadowolona?

– Niezupełnie – powiedziałam. Twarz mi płonęła. Podeszłam do okna i przytuliłam policzek do chłodnej szyby.

– Każdy, kto patrząc na kobietę, ma nieczyste myśli, popełnia zdradę. Czy tak to widzisz?

– A czy ty tak to widzisz?

– Nie – odpowiedział krótko. – Co byś zrobiła, gdybym przespał się z ladacnicą?

Uderzyłabyś mnie w twarz? Wygoniłabyś z sypialni? Nie wpuściłabyś do łóżka?

Popatrzyłam mu prosto w oczy.

– Zabiłabym cię – wycodziłam przez zęby.

Spoglądał z niedowierzaniem.

– Mnie byś zabiła? Boże, gdybym to ja znalazł ciebie w łóżku z innym, zabiłbym jego.

– Przerwał. Kąciki ust drżały mu nerwowo. – No, gniewałbym się na ciebie, ale to jego posłałbym na tamten świat.

– Typowy mężczyzna – skomentowałam. – Niczego nie rozumie.

Parsknął rozbawiony tym gorzkim żartem.

– A więc mi nie wierzysz. Mam ci udowodnić, że nie spałem ostatniej nocy z żadną kobietą? – Podniósł się, woda ściekała po jego długich nogach. Światło wpadające przez okno połyskiwało na rudym zaroście, nad potężnym ciałem unosiła się para wodna.

Wyglądał jak posąg odlany ze złota.

– Ha. – Próbowałam włożyć w tę jedną sylabę tyle pogardy, na ile było mnie stać.

– Gorąca woda. – Wyszedł z wanny. – Nie martw się, nie potrwa to długo.

– To ty tak uważasz – powiedziałam spokojnie.

Jego twarz stawała się coraz bardziej purpurowa. Podświadomie zaciskał on dłonie w pięści.

– W żaden sposób nie mogę z tobą dojść do ładu. Na Boga, całą noc męczyłem się rozdarty między obrzydzeniem a wstydem. Kompania szydziła ze mnie, bo nie zachowałem się jak mężczyzna, wracam do domu, a tu

zarzucają mi niewierność!

Rozglądał się dziko po sypialni, wreszcie zauważył rozrzucone na podłodze przy łóżku ubranie.

– Dobrze – mówił, sięgając po pas. – Masz! Jeśli dla ciebie żądza jest zdradą, a ty zabiłabyś za zdradę, to proszę, bardzo. No, dalej! – Znalazł swój dwudziestocentymetrowy sztylet i wcisnął mi go w dłoni. Wyprostował się, prezentując klatkę piersiową w całej okazałości, i patrzył wyzywająco.

– No zrób to – nalegał. – Chyba nie rzucałaś czcnych pogroźek, taka z ciebie wrażliwa i honorowa żona!

Pokusa była silna. Zaciśnięte dłonie drżały z chęci zatopienia ostrza w jego brzuchu.

Powstrzymała mnie świadomość, że Jamie tylko dramatyzuje, tak naprawdę nie pozwoliliby ugodzić się nożem. Zrezygnowałam, czułam się wystarczająco poniżona.

Odwrociłam się, szeleszcząc jedwabną suknią.

Po chwili usłyszałam brzęk upadającego na podłogę sztyletu. Stałam bez ruchu, obserwując przez okno podwórko. Słyszałam, że Jamie porusza się tuż za moimi plecami.

Odnalazłam jego niewyraźne odbicie w szybie, widziałam swoją twarz i włosy, a w głębi, otulone parą nagie ciało Jamiego. Wyglądał, jakby pod wodą szukał ręcznika.

– Jest na półce, obok dzbanka – powiedziałam.

– Dziękuję. – Rzucił na podłogę brudną koszulę, w którą zaczął się już wycierać, i sięgnął po ręcznik.

Wydało mi się, że się nad czymś zastanawia.

Spojrzał na mnie. Widziałam, jak walczy z emocjami. Oboje równocześnie poczuliśmy przyływ zdrowego rozsądku.

– Przepraszam – powiedzieliśmy równocześnie i roześmialiśmy się.

Moja jedwabna suknia zamokła pod wpływem wilgoci jego skóry, ale teraz o to nie dbałam.

Chwilę później szeptał mi coś do ucha.

– Co?

– Niewiele brakowało – powtórzył, odsuwając się o krok. – Bałem się.

Patrzyłam na sztylet leżący na podłodze.

– Ty? W życiu nie widziałam osoby mniej strachliwej od ciebie. Przecież dobrze wiedziałeś, że tego nie zrobię.

– Och, nie. – Uśmiechnął się słabo. – Wiedziałem, że mnie nie zabijesz, choć chciałaś. – Nagle spoważniał. – Nie o tym myślę. Wiesz... te kobiety. Tak się wtedy czułem... wcale ich nie pragnąłem, naprawdę...

– Tak, rozumiem. – Zamierzałam go przytulić, ale on stał strapiiony i mówił dalej.

– Ale ta, ee... żądza, chyba tak bym to nazwał... no, to było... podobne do tego, co czasami czuję do ciebie, i... wiesz... to nie jest uczciwe.

Wycierał głowę ręcznikiem, jego głos brzmiał mniej wyraźnie.

– Zawsze myślałem, że to nic trudnego przespać się z kobietą – powiedział cicho. – A teraz... – Upuścił ręcznik i trzymał mnie za ramiona. – Chcę rzucić cię na kolana, trzymać za włosy... Chcę, by twe usta robiły to, czego

zapagnę... – Objął dłońmi moją twarz, jego uścisk był bardzo mocny. – Nie rozumiem siebie ani trochę, Angielko. A może rozumiem. – Zwolnił uścisk i odwrócił się. Jego twarz była już sucha, ale on podniósł ręcznik i uparcie wycierał brodę. Słyszałam drapanie zarostu o płótno. Mówił cicho, ledwo słyszałam jego słowa.

– Te rzeczy, to znaczy wiedza o nich... to przyszło do mnie zaraz po... po Wentworth.

– Wentworth, tam oddał siebie, by ratować moje życie. To tam cierpiał nieludzkie tortury. – Z początku myślałem, że Jack Randall porwał mi kawałek duszy. Potem już wiedziałem, że jest jeszcze gorzej. Była cała, moja, od zawsze, a on jedynie mi ją pokazał.

Oto, co zrobił, i tego mu nigdy nie wybaczę. Niech płonie w piekle.

Popatrzył na mnie, na twarzy widniały ślady nocnych ekscesów, ale oczy błyszczwały.

– Claire, pod palcami czuję drobne kości twojej szyi, tę delikatną, miękką skórę piersi, ramiona... Boże, jesteś moją żoną, uwielbiam cię i kocham nad życie. Chciałbym cię całować tak mocno, żeby na twoich cudownych ustach zostały sińce, odciski palców.

Upuścił ręcznik. Wzniósł ręce i drżące zbliżył do swojej twarzy. Po chwili położył je na mojej głowie, jakby w geście błogosławieństwa.

– Chcę nosić cię jak kotka za pazuchą, *mo duinne*, wejść między twoje uda i kochać się z tobą jak dzikie zwierzę. – Zacisnął ręce na moich włosach. – Nie rozumiem samego siebie!

Odchyliłam głowę, by uwolnić się od uścisku.

Zrobiłam krok do tyłu. Czułam, że moja krew krąży z zawrotną prędkością, ciało przeszył dreszcz zimna.

– Myślisz, że ze mną jest inaczej? Sądzisz, że ja czuję co innego? – powiedziałam zdenerwowana. – Że nie chciałabym czasami ugryźć cię mocno aż do krwi albo drapać, aż będziesz wołał o litość?

Wyciągnęłam rękę w kierunku jego piersi. Skórę miał mokrą i ciepłą. Dotknęłam go czubkiem paznokcia tuż poniżej sutka. Delikatnie wiodłam palcem w górę i w dół, rysowałam kółka. Patrzyłam jak z kępy kręconych, rudych włosów wydostaje się twardy członek.

Nacisnęłam paznokciem jego skórę i zsunęłam dłoń niżej. Pojawił się czerwony ślad na bladej skórze. Cała drżałam, ale nie odwróciłam się od Jamiego.

– Czasami pragnęłabym dosięść cię i ujarzmić jak dzikiego konia. Wiedziałaś o tym?

Mogłabym to zrobić. Doprowadzić cię do granicy, a potem wyssać z ciebie ostatnią kroplę życia. Mogłabym patrzeć, jak bliski jesteś wyczerpania. Czasami o tym marzę, Jamie, tak!

A równocześnie pragnę – mój głos nagle się załamał, przełknęłam ślinę i mówiłam dalej – pragnę... objąć cię i przytulić do piersi jak dziecko, kołysać do snu...

W oczach miałam łzy, nie widziałam wyraźnie jego twarzy. Nie wiem, czy również płakał. Objął mnie mocno. Czułam wilgotne ciepło jego ciała jak delikatny powiew monsunu.

– Claire, zabijasz mnie – wyszeptał z twarzą wtuloną w moje włosy. Wziął mnie na ręce i zaniósł do łóżka. Upadł na kolana. Ja leżałam na nie zaścielonych

jeszcze pierzynach.

– A teraz zrobię to, co muszę – powiedział cicho. – Jeśli zechcesz za to zemsty, nie będę się wzbraniał, moja dusza z każdym jej ciemnym zakątkiem należy do ciebie.

Skórę na ramionach miał ciepłą, ale drżał, gdy moje ręce wędrowały po jego karku.

Przyciągnęłam go ku sobie.

Gdy w końcu się na nim zemściłam, przywarłam do niego i głaskałam splątane, wilgotne loki.

– A czasami – szeptałam – chciałabym, żebyś to ty był we mnie. Bym mogła ukryć cię w sobie, żebyś zawsze był bezpieczny.

Ciepła i duża dłoń łagodnie masowała mój zaokrąglony brzuch.

– Jest tak, najdroższa – powiedział.

Następnego ranka, gdy leżałam jeszcze w łóżku i obserwowałam ubierającego się Jamiego, po raz pierwszy je poczułam. Delikatne, nieśmiałe ruchy. Nowe, a jednocześnie znane mi od zawsze wrażenie. Jamie stał odwrócony plecami. Wiercił się i wyciągał ramiona, próbując nałożyć długą do kolan białą, płócienną koszulę.

Zastygłam w nadziei, że maleństwo znów się poruszy. Stało się, tym razem była to seria ledwo wyczuwalnych szybkich drgnień, jak gdyby bąbelki unosiły się w gazowanym napoju.

Nagle przypomniałam sobie smak coca-coli. Miałam okazję spróbować tego niezwykłego, ciemnego amerykańskiego napoju podczas kolacji z pewnym amerykańskim pułkownikiem. Podawał ją jako luksusowy przysmak. W czasie wojny coca-cola rzeczywiście była

rarytasem. Szklana butelka miała zielonkawy kolor i bardzo kobiecy kształt: stożek o wysokiej talii, zwężający się ku szyjce, tuż poniżej szyjki zaokrąglenie, a drugie, trochę większe, na dole.

Pamiętam, jak zaraz po otwarciu butelki, miliony drobniutkich pęcherzyków powietrza kotłowało się w wąskiej szyjce i wesoło wyskakiwało w powietrze. Były mniejsze i delikatniejsze niż bąbelki szampana. Położyłam dłoń na podbrzuszu, tuż nad łonem.

Ono tam było. Nie odniosłam wrażenia, że to „on” czy „ona”, choć tego się spodziewałam. Czułam, że jest tam „ktoś”. Nie narodzone jeszcze dziecko nie ma płci, jego cechy fizyczne poznajemy dopiero po narodzeniu. Wtedy już na zawsze pozostanie dla świata „nim” lub „nią”.

– Jamie – powiedziałam. Skórzanym rzemykiem wiązał gęste włosy w kucyk. Pochylił głowę, spojrział na mnie spod brwi i uśmiechnął się.

– Obudziłaś się. Jest bardzo wczesnie, *mo duinne*. Pośpij jeszcze trochę.

Już miałam mu przekazać nowinę, ale coś mnie powstrzymało. On tego nie poczuje, jeszcze nie teraz. Nie, nie myślałam, że będzie mu wszystko jedno, ale ten pierwszy realny sygnał, to bardzo nagle i osobiste odczucie. Nasz drugi wspólny sekret, mój i dziecka. Pierwszym było to, że ono tam jest, świadomość, że istnieje we mnie maleńki embrion. Ta wiedza zbliżała nas do siebie, tak jak wspólna krew krążąca w nas obojgu.

– Zaplotę ci włosy, jeśli chcesz – zaproponowałam. Gdy wybierał się do doków, często prosił, żebyśmy uplotła mu warkocz, by rudych włosów nie splątał wiatr szalejący

na nabrzeżu. Zawsze żartował, że zanurzy go w smole, jak to robią marynarze, i w ten sposób pozbędzie się problemu.

Pokręcił głową i sięgnął po kilt.

– Nie trzeba, idę dziś spotkanie z Jego Wysokością księciem Karolem. Ma w domu przeciagi, ale nie aż tak bardzo porywiste. – Uśmiechał się do mnie, stojąc przy łóżku.

Zauważył moją rękę na brzuchu i delikatnie położył na niej swoją.

– Dobrze się czujesz, Angielko? Przeszły ci mdłości?

– O tak, już dużo lepiej. – Poranne mdłości istotnie mi przeszły, nadal jednak czasami wymiotowałam w najmniej spodziewanych momentach. Nie najlepiej reagowałam na zapach smażonych flaczków z cebulką, z konieczności więc zakazałam służbie spożywania tej popularnej potrawy. Aromaty z kuchni wpelzały na górę niczym duchy i zaskakiwały mnie, gdy otwierałam drzwi salonu.

– To dobrze. – Podniósł moją rękę, by ją ucałować na pożegnanie. – Pośpij jeszcze, *mo duinne* – powtórzył.

Zamknął za sobą drzwi całkowicie bezszelestnie, jak gdybym rzeczywiście spała.

Zostawił mnie w porannej ciszy sypialni. Z dołu dobiegał szmer krzątającej się służby.

Na ścianie odbijały się kwadraty bladego światła słonecznego, zanosilo się na piękny dzień. Ciepłe, wiosenne powietrze, śliwy w wersalskich ogrodach obsypane różowym kwieciem i pracowicie krążące nad nimi pszczoły. Wszyscy dworzanie spędzą ten dzień w

ogrodach. Będą się cieszyć cudowną pogodą na równi z kupcami pchającymi po ulicach miasta wózki z towarami.

Cieszyłam się i ja, samotna, a jednak nie samotna, otulona błogim kokonem ciepła i ciszy.

– Witaj – powiedziałam łagodnie. Czulałam w sobie machającego skrzydłami motyla.

Niepowodzenia

18

GWALT W PARYŻU

Na początku maja w królewskiej zbrojowni doszło do wybuchu. Później dowiedziałam się, że nieuważny strażnik zostawił pochodnię w niewłaściwym miejscu i po minucie największy paryski magazyn prochu oraz amunicji wyleciał w powietrze z takim hukiem, że wypłoszył z Notre Dame wszystkie gołębie.

Nie słyszałam wybuchu, ponieważ w tym czasie pracowałam w L'Hopital des Anges.

Odczułam za to wstrząsy. Choć szpital leżał na drugim końcu miasta, przywieziono do nas wiele ofiar wybuchu, dla których zabrakło miejsca w placówkach w okolicy zbrojowni. Zakrwawieni i poparzeni jęczeli, leżąc na wózkach, innych przynieśli na siennikach przyjaciele.

Po zmroku przyjmowano ostatnich rannych. Ciała opatulone bandażami leżały w gęstwinie anonimowych pacjentów.

Gdy zobaczyłam, jak dużo pracy czeka siostry z des Anges, natychmiast wysłałam do domu Fergusa z informacją, że wyjdę później. Wrócił z Murtaghem i obaj nudzili się na schodach przed wejściem. Czekali, aż ja i

Mary skończymy, by odprowadzić nas bezpiecznie do domu.

Wychodząc ze szpitala, zobaczyłyśmy Murtagha popisującego się przed Fergussem umiejętnościami w rzucaniu nożem.

– Rzuć z całej siły, jak doliczę do trzech – mówił do chłopca. – Raz... dwa... trzy!

Na „trzy” Fergus ciągnął dużą białą cebulę.

Murtagh stał prosto, ramiona miał ściągnięte do tyłu, w palcach trzymał ostrze sztyletu. Gdy cebula, podskakując na nierównej nawierzchni, przetoczyła się obok niego, wykonał jeden precyzyjny iszybki ruch nadgarstkiem. Nie poruszyło się nic więcej oprócz kiltu Szkota, ale cebula ugodzona śmiertelnym ciosem padła u jego stóp.

– B-b-brawo, panie Murtagh! – zawołała z uśmiechem Mary. Zaskoczony nożownik odwrócił się. W świetle padającym zza podwójnych drzwi dostrzegłam oblewający go rumieniec. Mały Szkot mruknął coś pod nosem.

– Przepraszam, że musieliście tyle czekać – powiedziałam. – Długo trwało, zanim opatrzyłyśmy wszystkich rannych.

– Ach, tak – lakonicznie odpowiedział krewniak. Zwrócił się do Fergusza. – Chłopcze, poszukaj jakiegoś powozu. Za późno, by damy szły na piechotę.

– Ale panie, tu nie ma żadnych powozów. – Fergus wzruszył ramionami. – Przez ostatnią godzinę kręciłem się po okolicy, każdy wolny powóz w mieście zabrali do zbrojowni. Może coś złapiemy na rue du Faubourg St.

Honore. Tędy będzie szybciej. – Wskazał ciemne, wąskie przejście między budynkami, które prowadziło na sąsiednią ulicę.

Po chwili namysłu Murtagh kiwną głową na zgodę.

– No dobrze, idziemy.

W zimnym powietrzu bezksiężycowej nocy nasze oddechy zamieniały się w obłoczki pary. Choćby nie wiem, jak ciemny wieczór zapadł nad Paryżem, zawsze gdzieś paliło się światło, latarnie i świece rzucały cienie na drewniane ściany domostw, snopy światła z maleńkich metalowych latarenek oświetlających drogę powozom igrały na stolikach ulicznych sprzedawców i drzewach.

Uliczką, w którą właśnie wchodziliśmy, zajmowali kupcy. Tu i tam właściciele niewielkich sklepików powiesili nad drzwiami latarnie. Wiedzieli, że nie mogą liczyć na ochronę policji, dlatego zwykle kilku z nich najmowało strażnika do nocnego czuwania nad majątkiem. Właśnie zauważyłam takiego stróża ukrytego w cieniu przed jednym ze sklepów. Kiwnęłam głową w odpowiedzi na pozdrowienie.

Gdy minęliśmy sklepik, nagle usłyszałam okrzyk strażnika:

– Monsieur! Madame!

Murtagh natychmiast się odwrócił, równocześnie wyjmując szpadę z pochwy.

Reagowałam wolniej od niego, więc zdążyłam jedynie spojrzeć za siebie. Kątem oka zauważyłam, że w drzwiach za plecami Murtagha ktoś się poruszył. Silne uderzenie zważyło Szkota z nóg, zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć. Upadł twarzą na ziemię, nogi i ręce leżały

bezwładnie, szpada i sztylet z brzękiem potoczyły się po bruku.

Chciałam podnieść sztylet, który zatrzymał się u mych stóp, lecz poczułam nagle, że ktoś łapie mnie od tyłu.

– Zajmij się nim – rozkazał głos za moimi plecami.
– Szybko!

Zwinęłam się pod wpływem silnego uścisku. Napastnik chwycił mnie za nadgarstki i wykręcił je gwałtownie. Krzyknęłam z bólu. W tym momencie snop światła oświetlił zaułek. Dostrzegłam „strażnika” pochylającego się nad bezwładnym ciałem Murtagha.

W rękach trzymał sznur z jasnego płótna.

– Pomocy! – krzyknęłam. – Zostawcie go! Ratunku!
Pomocy! Rabusie! Mordercy!

Pomocy!

– Milcz! – wrzasnął ktoś mi do ucha. Gdy oczy przestały łzawić, zauważyłam, że w rowie leży długi biały kształt. To Murtagh dokładnie zawinięty w płótno żeglarskie.

Nad nim kucnął fałszywy strażnik. Wstał. Dopiero wtedy zobaczyłam, że jest zamaskowany. Pas ciemnego materiału zasłaniał mu twarz od czoła po górną wargę.

Promień światła z pobliskiej latarni rozjaśnił sylwetkę prostującego się mężczyzny.

Mimo chłodu miał na sobie jedynie błyszczącą szmaragdową koszulę, bryczesy związane pod kolanami i – ku memu zaskoczeniu – jedwabne pończochy oraz skórzane buty, zamiast bosych stóp lub ciężkich chodaków. A więc to nie są zwyczajni bandyci, pomyślałam.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu Mary.

Zamaskowany napastnik trzymał ją od tyłu w żelaznym uścisku. Jedną ręką złapał ją w pasie, drugą usiłował włożyć pod spódnice, przeszkadzały mu jednak liczne warstwy materiału.

Mężczyzna stojący przede mną złapał mnie za kark i przysunął do siebie. Podobnie jak pozostali zasłonił twarz maską. Wepchnął mi do ust język. Mocno zalatywał alkoholem i cebulą. Zakrztusiłam się i ugryzłam go mocno. Uderzył mnie zajadłe w brzuch. Upadłam na kolana.

Posrebrzane buciki Mary wierzgały teraz niebezpiecznie blisko mojego nosa.

Napastnik, który ją trzymał, bezceremonialnie zadarł wszystkie halki i wypchał paluchy między zaciśnięte uda biednej dziewczyny. Usłyszałam rozdzierany jedwab i skrzeczący głos:

– Dziewica! Mam dziewicę!

Jeden z mężczyzn uklonił się jej szyderczo.

– Moje gratulacje, mademoiselle! Mąż pani będzie mógł nam dziękować w noc poślubną za to, że nie napotka żadnych przeszkód na drodze do największej rozkoszy. My jesteśmy bezinteresowni. Nie prosimy o zapłatę za wykonanie obowiązków. Nasza służba sama w sobie jest nagrodą.

Gdybym wątpiła, że nie są zwyczajnymi rabusiami, słysząc tę przemowę, przyjętą wybuchami śmiechu, nabrałabym pewności. Jedyne, co pozostało, to dopasować do masek imiona.

Ręce, które złapały mnie za ramię i usiłowały podnieść z kolan, były starannie wypielęgnowane. Tuż nad kciukiem zauważyłam maleńkie znamię. Muszę to

zapamiętać, pomyślałam ponuro. Taka informacja może być przydatna, o ile wypuszczą nas żywych.

Ktoś inny chwycił ranie z tyłu za rękę i szarpnął tak mocno, że znowu krzyknęłam.

Uchwyt tego rodzaju sprawił, że moje piersi sterczały w nisko wyciętym dekolcie, jak podane na talerzu.

Osobnik, prawdopodobnie szef całej operacji, ubrany był w luźną, jasną koszulę zdobioną haftem. W cieniu jego postać rozmazywała się i nie widziałam go zbyt wyraźnie.

Pochylił się, jego palce muskały moje piersi. Dopiero teraz dostrzegłam, że ma ciemne włosy zaczesane blisko głowy. Poczułam silny zapach pomady. Miał duże uszy, przydatne do podtrzymywania sznurków maski.

– Nie martwcie się, piękne panie – odezwał się mężczyzna w haftowanej koszuli. – Nie zrobimy wam nic złego, pragniemy jedynie dostarczyć wam odrobinę rozrywki. Wasi mężowie czy kochankowie nie muszą o tym wiedzieć. Po wszystkim puścimy was wolno.

– Na początek zechciejcie, panie, uczynić nam honor i ofiarujcie swe słodkie usta – zapowiedział. Odsunął się nieco i rozwiązał rozporek w bryczesach.

– Nie ta – zaprotestowała zielona koszula, wskazując na mnie. – Ona gryzie.

– Przestanie, chyba że chce stracić zęby – odpowiedział towarzysz. – Na kolana, madame, jeśli łaska. – Popchnął mnie. Próbowałam odepchnąć jego rękę. Złapał moje ramię i trzymał mocno, żebym nie uciekła. W trakcie szarpaniny zsunął mi się kaptur z głowy. Spinki podtrzymujące fryzurę spadły, włosy rozsypały się w

nieładzie. Płatał je silny nocny wiatr, pasma opadały mi na oczy.

Usiłowałam wyrwać się napastnikowi. Na ulicy panował mrok, jednak w bladym świetle latarni widziałam, co dzieje się dookoła.

Posrebrzany bucik Mary błyskał, gdy dziewczyna, leżąc na plecach, kopała prześladowcę. Kłął. Starał się zdjąć bryczesy i równocześnie powstrzymać szamoczącą się dziewczynę. Usłyszałam odgłos rozdieranego materiału. W mroku pojawiły się białe pośladki.

Ktoś złapał mnie od tyłu i oderwał od ziemi. Z całej siły kopnęłam go obcasem w gołe nogi. Zaskowyczał gniewnie.

– Trzymaj ją! – rozkazała wychodząca z mroku haftowana koszula.

– Sam ją trzymaj! – Napastnik bezceremonialnie pchnął mnie w ramiona swego towarzysza. W tym momencie ciemności przeszył oślepiający błysk z pobliskiego podwórka.

– Matko Boska! – Ręce zaciśnięte na moich ramionach zwolniły uścisk. Odskokczyłam w bok. Mężczyzna w haftowanej koszuli otworzył usta ze zdziwienia. Odsuwał się pośpiesznie, czyniąc na piersi znak krzyża.

– *In nomine Patris et Filii, et Spiritus Sancti** [*W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.]– mamrotał, bez przerwy się żegnając. – *La Dame Blanche*!* [*Biała dama.]

– *La Dame Blanche*! – powtórzył stojący za mną mężczyzna.

Haftowana koszula odsuwała się, rysując w powietrzu już nie chrześcijańskie znaki, ale ich intencja

była ta sama. Skierował we mnie mały i wskazujący palec i w ten sposób utworzył antyczny symbol, który miał odpędzać złe moce. Zaczął od Trójcy Świętej, a teraz sięgał po kolejny autorytet. Przywoływał przy tym łacińskie imiona tak prędko, że sylaby zlewały się w niezrozumiałą bełkot.

Stałam na środku ulicy drżąca i zdezorientowana. Nagle obok mnie rozległ się straszliwy wrzask. Natychmiast wróciłam na ziemię. Zbyt zajęty własnymi sprawami, żeby zwracać uwagę na otoczenie, mężczyzna leżący na Mary sapał i jęczał z zadowolenia.

Poruszał rytmicznie biodrami przy akompaniamencie rozdzierającego krzyku dziewczyny.

Doskoczyłam i z całej siły kopnęłam mężczyznę w zębra. Upadł na bok. Z płuc wyrwał mu się okrzyk bólu.

W tym momencie podbiegł do niego jeden z towarzyszy, podniósł mu głowę i zaczął ponaglać:

– Uciekamy! To *La Dame Blanche*! Szybciej!

Opętany szałem gwałtu oprych przez chwilę gapił się bezmyślnie. W końcu postanowił wrócić do dziewczyny i dokończyć dzieło. Tymczasem Mary miotała się jak szalona. Starła się uwolnić od przygniatającego jej suknię ciężaru. Obie koszule, haftowana i zielona, szarpały leżącego za ramiona. Dopiero po chwili zdołały postawić go na nogi. Pęknięte bryczesy opadły amantowi do kostek, między połamami koszuli trzęsło się zakrwawione narzędzie tortur.

Ocknął się, gdy usłyszał odgłos szybko zbliżających się kroków. Dwaj towarzysze już uciekli w popłochu. Zostawili kompana własnemu losowi. Klnąc pod nosem,

ruszył w kierunku najbliższej alejki. Podskakując i potykając się, próbował jeszcze podciągnąć opadające spodnie.

– *Au secours! Au secours! Gendarmes!**

[*Pomocy! Pomocy! Policja!]

Jakiś głos dobiegający z końca ulicy wzywał pomocy. Ktoś zbliżał się ku nam, co chwila wdeptując w kupki śmieci. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógł to być kolejny bandyta czy rzezimieszek.

Okazało się, że czarna postać, która wyłoniła się z za rogu, to Aleksander Randall w ciemnej pelerynie i wielkim kapeluszu. Mimo szoku byłam zaskoczona. Młodzieniec rozglądał się niespokojnie, patrzył to na Murtagha przebranego za wór śmieci, to na mnie opartą o ścianę i próbującą złapać oddech, to na ledwo widoczną w mroku Mary. Przez chwilę tylko stał. Nie wiedział, co robić. W końcu odwrócił się i wspiał na żelazną bramę, z której wcześniej wyłonili się nasi prześladowcy. Sięgnął po wiszącą nad nią latarnię.

Światło przyniosło odrobinę spokoju. Widok, jaki ukazał się naszym oczom, był żaloszny. Przynajmniej jednak zniknęły przerażające, podejrzane cienie.

Mary klęczała skulona. W milczeniu ukryła głowę w dłoniach, drżała. Pantofelek leżał obok niej, srebrne ozdoby odbijały światło latarni.

Aleks uklęknął przy dziewczynie.

– Panno Hawkins! Mary! Panno Hawkins! Dobrze się pani czuje?

– Co za idiotyczne pytanie – powiedziałam cierpko. Mary jęczała i odsuwała się od naszego wybawcy. – To

chyba oczywiste, że nie czuje się dobrze. Właśnie została zgwałcona.

Z dużym wysiłkiem wyprostowałam się. Niechętnie zrezygnowałam ze wsparcia, jakie dawała mi ściana budynku, i podeszłam do nich chwiejnym krokiem.

W tym momencie, tuż przede mną, z hałasem zeskoczyła na bruk postać przypominająca ogromnego nietoperza.

– Proszę, proszę, kogóż tu widzimy! – powiedziałam i zaczęłam się nerwowo śmiać.

Duże dłonie chwyciły mnie za ramiona i mocno potrząsnęły.

– Cicho, Angielko – rozkazał Jamie. Błękitne oczy niebezpiecznie połyskiwały w ciemności. Wyprostował się. Poły niebieskiej aksamitnej peleryny zarzucił sobie na plecy i wyciągnął ręce w kierunku dachu, z którego przed chwilą zlądował. Gdy stał na palcach, sięgał jego krawędzi.

– No, schodź! – powiedział niecierpliwie, patrząc w górę. – Stań mi na ramionach.

Najpierw spadło kilka luźnych dachówek, potem na dachu ukazała się mała ciemna postać. Ostrożnie usiadła na krawędzi i zsunęła się po Jamiem jak małpka po kiju.

– Dobry chłopak. – Jamie poklepał Fergusa po plecach. Mimo ciemności dojrzałam na policzkach chłopca rumieniec zadowolenia. Jamie rozglądał się po okolicy.

Wymruczał pod nosem polecenie i dzieciak ruszył w dół ulicy w poszukiwaniu żandarmów. Jamie przykucnął przy mnie.

– Nic ci nie jest, Angielko?

– Miło, że pytasz – odparłam uprzejmie. – Dziękuję.

Gorzej z moją przyjaciółką. – Niewyraźnie wskazałam Mary. Zwinięta w kłębek, trzęsła się jak galareta i odsuwała od próbującego pocieszać ją Aleksa.

Jamie tylko rzucił okiem na scenę.

– Tak, widzę. A gdzie, u diabła, podziewa się Murtagh?

– Tam jest – powiedziałam. – Pomóż mi wstać.

Z trudem podeszłam do ścieku, gdzie leżał związany Szkot. Wyrzucał z siebie przekleństwa w trzech językach. Wyglądał jak gąsienica.

Jamie dobył sztylet i z lekceważącym wyrazem twarzy rozciął worek. Murtagh natychmiast skoczył na równe nogi.

Jego czarne włosy z jednego boku umazane były jakąś mazią, którą przechowywano w worku, reszta sterczała groźnie, rzucając na twarz cienie. Na czole wyrosła mu wielka czerwona śliwa, a podbite oko gwałtownie ciemniało.

– Kto mnie uderzył? – warknął.

– Nie ja – odparł Jamie, unosząc brwi. – No, rusz się człowieku, zaraz zaczniesz świtać.

– To bez sensu – mruczałam, wpinając we włosy spinki zdobione brylantami. – Ona potrzebuje fachowej opieki medycznej. Powinien zająć się nią lekarz!

– Ma już lekarza – zauważył Jamie. Zadzierał brodę i zerkał bokiem do lusterka, próbując związać sobie włosy. – Ciebie. – Chwycił grzebień i pośpiesznie rozczesywał długie rude włosy, upięte już w kucyk.

– Szkoda czasu na zaplatanie warkocza – tłumaczył, szperając w szufladzie. – Angielko, masz może kawałek

wstążki?

– Pozwól. – Zawinęłam pod spód końce jego włosów i wywiązałam na nich kokardę z zielonej wstążki. – Żeby po tylu cholernych przeżyciach wydawać jeszcze kolację!

I to nie jakąś zwyczajną kolację. Książę Sandringham będzie gościem honorowym, przyjdzie monsieur Duverney ze starszym synem, znanym bankierem. Będzie Luiza i Jules de La Tour oraz d'Arbanville'owie. A żeby było ciekawiej, zaproszono też hrabiego St. Germaina.

– Hrabia St. Germain! – powiedziałam oburzona, gdy Jamie obwieścił mi to przed tygodniem. – Ciekawe, po co on nam tutaj?

– Robię z nim interesy – przypomniał Jamie. – Był już u nas na kolacji, z Jaredem.

Ale tym razem chciałbym mu się przyjrzeć, gdy będzie z tobą rozmawiał. Z tego, co zauważyłem, ten człowiek nie ukrywa myśli. – Wziął biały kryształ, podarunek od mistrza Raymonda. Z namysłem ważył kamień w dłoni.

– Całkiem ładny – stwierdził. – Trzeba go obsadzić w złocie. Baw się tym podczas kolacji, niech ktoś cię o to zapyta. Powiedz wtedy, do czego służy, i dokładnie obserwuj reakcję St. Germaina. Jeśli to on podał ci w Wersalu truciznę, przypuszczam, że zobaczymy to na jego twarzy.

Wszystko, czego w tym momencie pragnęłam, to spokój, cisza i odrobina prywatności, żebym mogła trząść się jak królik. A co miałam? Kolację! Przyjdzie na nią

książę, który może być jakobitą albo angielskim agentem i hrabia, który prawdopodobnie usiłuje mnie otłuć. A na górze ukrywam ofiarę gwałtu. Ręce drżały mi tak bardzo, że nie zdołałam nawet zapiąć na szyi łańcuszka z kryształem. Jamie stanął za mną i jednym ruchem zatrzaskał drobny zacisk.

– Czy ty się nigdy nie denerwujesz? – zapytałam. Skrzywił się i położył ręce na brzuchu.

– Owszem, czasem się denerwuję. Ale czuję to w brzuchu. Masz jeszcze trochę tego środka na skurcze?

– Tak, tam jest. – Wskazałam apteczkę. Leżała na stole otwarta po tym, jak szukałam leków dla Mary. – Mała, zielona buteleczka. Weź jedną łyżkę mikstury.

Jamie zignorował zalecenie. Przechylił buteleczkę i wziął kilka sporych łyków.

– Boże, co za paskudztwo! Gotowa jesteś, Angielko? Goście przybędą lada chwila.

Umieściliśmy Mary w pokoju gościnnym na piętrze. Dokładnie ją zbadałam, obejrzałam wszystkie rany. W większości były to zwykłe siniaki. Mary doznała silnego szoku, podałam jej więc dużą ilość syropu mاکowego.

Aleks Randall sprzeciwił się wszelkim próbom odesłania go do domu przez Jamiego.

Cały czas czuwał przy Mary. Prosiłam, żeby natychmiast po mnie posłał, gdy tylko dziewczyna się obudzi.

– Skąd, u diabła, wziął się tam ten idiota? – zapytałam, szukając w szufladzie pudru.

Jamie wzruszył ramionami.

– Wszystko wskazuje na to, że ten głupiec zakochał

się w pannie Hawkins. Cały czas za nią chodzi, a wygląda jak zwiędnięty kwiatek, bo wie, że ona ma poślubić Marigny'ego.

Upuściłam puder.

– To... on się w niej kocha? – wycodziłam przez zęby.

– Tak twierdzi, a ja nie mam powodu, by mu nie ufać – powiedział Jamie. – Był strasznie zmieszany, gdy mi o tym mówił.

– Wyobrażam sobie. – Do męczącego mnie konfliktu uczuć dołączyło teraz współczucie dla Randalla. Oczywiście nigdy nie zdobyłby się na rozmowę z Mary. Cóż bowiem znaczy oddanie zubożałego sekretarza w porównaniu z fortuną i pozycją domu Gascogne'a. Co czuł, gdy na jego oczach gwałcono Mary?

– Dlaczego, do cholery, nic jej nie powiedział? Uciekłyby z nim w każdej chwili. – Przecież „uduchowionym” obiektem uwielbienia Mary musi być ten błądy angielski wikary.

– Randall jest dżentelmenem – odparł Jamie, podając mi pędzelek z puchu i pudełeczko różu.

– To znaczy głupim osłem – powiedziałam bezlitośnie.

Jamie wydał usta.

– Być może – przyznał. – Nie ma jednak wystarczających dochodów, żeby utrzymać żonę. Gdyby Mary związała się z takim człowiekiem, rodzina z całą pewnością by się jej wyrzekła. No i ze zdrowiem u niego nie najlepiej.

– Jeden z służących może ją znaleźć –

powiedziałam w nawiązaniu do naszych wcześniejszych rozważań, żeby uniknąć dalszego drażenia nieprzyjemnego tematu.

– Nie. Będą dziś zajęci obsługiwaniem gości. Rano, jeśli poczuje się lepiej, odeślę ją do domu wuja. Poślę wiadomość – dodał. – Napiszę, że zrobiło się późno i została na noc u przyjaciółki. Nie chcę, by zaczęli jej szukać.

– Tak, ale...

– Anielko! – potrząsnął mną i odnalazł w lustrze odbicie moich oczu. – Nikt nie może jej zobaczyć w takim stanie. Dopiero gdy zacznie zachowywać się zwyczajnie. Jeśli dowiedzą się o tym, co się wydarzyło, jej reputacja będzie na zawsze zrujnowana.

– Przecież to nie wina tej dziewczyny, że została zgwałcona! – Głos zadrżał mi lekko, Jamie mocniej mnie ścisnął.

– Wiem, że to niesprawiedliwe, Anielko, ale tak już jest. Żaden mężczyzna nie zechce jej poślubić, gdy się dowie, że nie jest dziewicą. Została zhańbiona, do końca życia będzie starą panną.– Puścił mnie. Wróciłam do wpinania we włosy misternych spinek.

– To wszystko, co możemy dla niej zrobić, Claire – powiedział. – Pilnujmy, by sobie nie wyrządziła krzywdy. Kuruj ją najlepiej, jak potrafisz, a ja znajdę tych łajdaków. – Odwrócił się i sięgnął do szkatułki w poszukiwaniu swoich spinek. – Chryste, myślisz, że nie wiem, co to dla niej znaczy? Albo dla niego?

Wzięłam jego dłoń i ścisnęłam palce. Odwzajemnił uścisk, podniósł do ust moją rękę i ucałował.

– Na Boga, Angielko, masz palce zimne jak lód. –
Przyglądał mi się zatroskany. – Dobrze się czujesz?

Zamruczał jeszcze coś pod nosem, upadł na kolana i przyciągnął mnie do siebie.

Przestałam udawać, że jestem odważna. Wtuliłam twarz w jego koszulę.

– Jezu, Jamie, tak się bałam. Dalej się boję. Boże, chciałabym się teraz z tobą kochać.

Czułam, jak w uśmiechu drży mu podbródek. Objął mnie mocniej.

– Myślisz, że ci to pomoże?

Kiwnęłam głową. Tak naprawdę wierzyłam, że bezpiecznie poczuję się dopiero we własnym łóżku, w otoczeniu ciszy naszego domu, mając u boku ciepło i siłę Jamiego, wspierając swą odwagę radością, jaką daje zespolenie i świadomość wzajemnej przynależności.

Objął moją twarz i ucałował mnie łagodnie. Strach przed przyszłością na chwilę uleciał. Jamie odsunął się z uśmiechem. Twarz miał zmartwioną, jednak w jego oczach nie było niczego poza moim odbiciem.

– W takim razie... – powiedział cicho.

Do drugiego dania wszystko szło gładko. Zaczęłam się nawet nieco rozluźniać, choć ręce drżały mi podczas jedzenia rosołu.

– Jakie to pasjonujące! – zawołałam, reagując na opowieść młodego monsieur Duverneya, na którą niestety nie zwróciłam uwagi. Ciągle nasłuchiwałam podejrzanych hałasów dochodzących z góry. – Proszę opowiedzieć coś jeszcze.

Magnus obsługiwał St. Germaina. Hrabia siedział

na wprost mnie. Gdy Magnus na mnie popatrzył, posłałam mu gratulacje, o ile można to zrobić z ustami pełnymi ryby.

Zbyt dobrze wychowany, by uśmiechać się publicznie, skinął przepisowo głową i wrócił do swego zajęcia. Hrabia bez najmniejszego skrępowania zajadał się pstrągiem z migdałami. Wzięłam w dłonie biały kryształ.

Jamie i starszy Duverney rozmawiali o czymś z zapalem na końcu stołu. W ogóle nie zwracali uwagi na podawane jedzenie. Jamie kawałkiem kredy pisał coś na skrawku papieru. Szachy, a może interesy?

Księżę siedział na honorowym miejscu. Pierwsze danie zjadł z wielkim apetytem.

Wyraźnie uwielbiał dobrą kuchnię. Teraz rozmawiał z madame d'Arbanville siedzącą po jego prawej stronie. Księżę był w tym czasie najbardziej wpływowym Anglikiem w Paryżu. Jamie włożył wiele starań, by podtrzymać tę znajomość w nadziei usłyszenia jakichkolwiek plotek, które mogły naprowadzić na ślad autora zaszyfrowanej w nutach wiadomości dla Karola Stuarta. Moja uwaga skoncentrowała się jednak nie na osobie księcia, ale na dżentelmenie po drugiej stronie stołu – Silasie Hawkinsie.

Myślałam, że na miejscu padnę trupem, gdy księżę przekroczył próg i powiedział:

– Pani Fraser, zna pani Hawkinsa, prawda?

Wesołe błękitne oczy księcia patrzyły na mnie z wyrazem niewinnej pewności, że jego wybryki zostaną mi wybaczone. Nie miałam wyboru, uśmiechnęłam się i kiwnęłam na Magnusa, żeby przyniósł jeszcze jedno nakrycie. Jamie, gdy zobaczył w naszym salonie Silasa

Hawkinsa, wyglądał, jakby potrzebował kolejnej dawki lekarstwa na żołądek.

Pozbierał się jednak na tyle, by podać mu na powitanie dłoń i porozmawiać przez chwilę o jakości zajazdów na drodze do Calais.

Rzuciłam okiem na zegar stojący na kominku. Jak długo potrwa, zanim wszyscy sobie pójną? W myślach prześledziłam przebieg pierwszego dania i tych, które jeszcze przed nami. Deser. Potem sałatki i sery. Brandy i kawa, porto dla panów i likiery dla pań.

Godzina lub dwie na konwersację. Boże, błagam, tylko żeby dyskusje nie trwały do rana, pomyślałam.

Rozmowa zesłała na rozboje i uliczne gangi.

– Słyszałem, że niektóre z gangów składają się nie z pospolitych bandytów, jak można się spodziewać, ale z młodych szlachciców! – Generał d'Arbanville nadał policzki, gdy uświadomił sobie okropność swego pomysłu. – Traktują to jak sport! Sport! Jakby ograbienie uczciwego człowieka i szlachetnej damy było niczym więcej niż walka kogutów!

– Nadzwyczajne! – skomentował ksiązę z obojętnością osoby, która nie wychodzi z łóżka bez solidnej eskorty. Taca z przystawkami przesuwawała się obok jego brody.

Zgarnął na swój talerz solidną porcję różnych rarytasów.

Jamie popatrzył na mnie i wstał od stołu.

– Madames, messieurs, państwo wybaczą – powiedział. – Chciałbym, by Jego Wysokość raczył spróbować czegoś wyjątkowego z mojej piwniczki.

– To pewno Belle Rouge – zgadywał Jules de La Tour, oblizując z rozmarzeniem usta. – Masz Wasza Miłość rzadki przysmak w piwnicze. Nigdzie nie kosztowałem niczego równie znakomitego.

– Ach tak? Wkrótce pan spróbuje – wtrącił hrabia St. Germain. – Może nawet coś lepszego.

– Nie ma nic lepszego nad Belle Rouge! – wykrzyknął generał d'Arbanville.

– Owszem jest – zadeklarował z zadowoloną miną hrabia. – Odkryłem nowe porto.

Robią je i butelkują na wyspie Gostos u wybrzeża Portugalii. Kolor rubinu, a zapach tak intensywny, że przy nim Belle Rouge to barwiona woda. Podpisałem kontrakt na dostawę całej partii w sierpniu.

– Doprawdy? – Silas Hawkins patrzył na nas spod gęstych siwiejących brwi. – Znalazł pan już nowego partnera, który zainwestuje? Rozumiem, że pańskie źródła...

wyschły. A na dodatek w dość przykrych okolicznościach stracił pan „Patagonię”. – Wziął z tacy kawałek sera.

Na te słowa mięśnie twarzy hrabiego napięły się. Przy stole powiało chłodem. Ze wzroku i wymownej miny Hawkinsa wywnioskowałam, że wiedział, jaką rolę odegrałam w spaleniu nieszczęsnej „Patagonii”.

Jeszcze raz sięgnęłam po kryształ, jednak hrabia nie patrzył na mnie. Cały czerwony wpatrywał się w pana Hawkinsa z nienawiścią. Jamie miał rację, ten człowiek nie kryje uczuć.

– Na szczęście, monsieur – powiedział, próbując

zamaskować gniew – znalazłem partnera, gotowego zainwestować w moje przedsięwzięcie. Rodak naszego znakomitego gospodarza. – Sardonicznie kiwnął głową w kierunku drzwi. W progu właśnie pojawił się Jamie, a za nim Magnus z ogromną karafką Belle Rouge.

Hawkins przerwał na chwilę przeżuwanie i zastygł z otwartymi ustami.

– Szkot? Kto to taki? Nie wiedziałem, że w Paryżu jacyś inni Szkoci poza domem Fraserów trudnią się handlem winami.

W oczach hrabiego pojawił się błysk rozbawienia. St. Germain patrzył to na pana Hawkinsa, to na Jamiego.

– To sprawa dyskusyjna, czy inwestor, o którym mowa, może być dziś uznany za Szkota, niemniej jednak jest krajanem milorda Broch Tuarach. Nazywa się Karol Stuart.

Wiadomość zrobiła na zebranych wrażenie, na jakie liczył hrabia. Silas Hawkins zakrztusił się, wyprostował i wydał dziwny odgłos. Jamie, który miał właśnie coś powiedzieć, zamknął usta i usiadł z wzrokiem utkwionym w hrabiego. Jules de La Tour zaczął wykrzykiwać, wypływając przy tym kropelki śliny. D'Arbanville'owie wydali okrzyki zachwytu. Nawet księżę oderwał wzrok od talerza. Mrugał na hrabiego z zainteresowaniem.

– Naprawdę? – powiedział. – O ile mnie pamięć nie zawodzi, Stuartowie zawsze byli biedni jak myszy kościelne. Czy aby na pewno, że nie chce pana oszukać?

– Nie jest moim pragnieniem rzucać na innych podejrzenia czy ich oskarżać – wtrącił Jules de La Tour. – Ale na królewskim dworze powszechnie wiadomo, że

Stuartowie są bez grosza. Owszem stronnicy jakobitów usiłowali pożyczyć trochę pieniędzy, ale chyba bez powodzenia.

– Tak, to prawda – dodał młody Duverney, pochylając się nad stołem. – Sam Karol Stuart rozmawiał z dwoma bankierami, jakich mu przedstawiłem. Żaden jednak nie zechciał pożyczyć potrzebnej sumy.

Spojrzałam na Jamiego. Dyskretnie kiwnął głową. Taki gest zawsze towarzyszył dobrym wieściom. Co więc znaczyła opowieść o inwestycjach hrabiego?

– Jego Wysokość uzyskał pożyczkę od pewnego włoskiego bankiera i całą oddał do mojej dyspozycji, żebym sfinansował zakup statku i butelkowanie win z plantacji Gostos – wyjaśnił St. Germain. Mam przy sobie odpowiednie dokumenty. – Z satysfakcją poklepał się po kieszeni płaszcza, wyprostował się i rozglądał triumfująco wokół stołu.

Zatrzymał wzrok na Jamiem.

– Cóż, milordzie – powiedział, wskazując na karafkę. – Czy pozwoli pan skosztować swojego słynnego wina?

– Ależ oczywiście – mruknął Jamie. Sięgnął po kielich.

Luiza, która prawie przez cały wieczór siedziała cicho, zajmując się głównie jedzeniem, zauważyła zmieszanie Jamiego. Jako dobra przyjaciółka odwróciła się do mnie i zmieniła temat rozmowy na bardziej neutralny.

– Bardzo piękny kamień, *ma chere*. Skąd go masz?
– Wskazała na kryształ.

– Och to. Dostałam...

W tym momencie rozległ się przeraźliwy krzyk. Wszyscy zamilkli.

– *Mon Dieu* – przerwał ciszę hrabia St. Germain. – Co...

Krzyk powtórzył się, a po chwili znowu. Hałas przeniósł się na schody, a następnie do holu.

Goście poderwali się z krzeseł jak stadko kuropatw. Wybiegli z salonu w samą porę, by zobaczyć Mary Hawkins. Pojawiła się na schodach w postrzępionej koszuli. Stała z otwartymi ustami. Rękami zasłaniała brzuch. Na piersiach i ramionach pod rozdartym materiałem widać było sińce, jakie pozostawili napastnicy.

Żrenice dziewczyny zwięzły się pod wpływem silnego światła kandelabrow. Oczy zamieniły się w dwa wielkie jeziora, w których odbijał się strach. Patrzyła na dół, ale nie widziała tłumu ciekawskich.

– Nie! – krzyczała. – Nie! Puść mnie! Proszę! Błagam! Nie dotykaj mnie!

Wyczuła za plecami jakiś ruch. Odwróciła się gwałtownie i z pięściami runęła na Aleksa Randalla, który usiłował ją zatrzymać, uspokoić.

Niestety, z dołu jego wysiłki wyglądały raczej na reakcję odrzuconego kochanka.

– *Nom de Dieu* – wybuchnął generał d'Arbanville. – *Racaille!* Natychmiast ją pan puść! – Stary wojak rzucił się na pomoc, nie zważając na swój wiek. Instynktownie sięgnął po szpadę. Na szczęście broń zostawił przy wejściu.

Tak szybko, na ile pozwalała mi obszerna suknia, ruszyłam w kierunku hrabiego i młodego Duvemeya. Właśnie szykowali się wesprzeć generała. Nie zdołałam

jednak zatrzymać wuja Mary, Silasa Hawkinsa. Oczy o mało nie wyszły mu z orbit. Handlarz winami stał przez chwilę jak wmurowany. Potem pochylił głowę i niczym byk zaczął przedzierać się przez tłum gapiów.

Rozglądałam się niespokojnie w poszukiwaniu Jamiego. Dostrzegłam go poza grupą gości. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, uniosłam pytająco brwi. W powstałym hałasie nie usłyszałby ani słowa.

Jamie wzruszył ramionami i rozejrzał się wokół siebie. Jego wzrok zatrzymał się na trójnogim stoliku, na którym stał wazon z chryzantemami. Zmierzył wzrokiem odległość, zamknął oczy, jak gdyby oddawał swą duszę pod opiekę Panu i przystąpił do dzieła.

Wskoczył na stół, złapał poręcz i jednym susem znalazł się na schodach, kilka kroków przed generałem. Akrobatyczny wyczyn spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem kilku dam. Rozległy się okrzyki podziwu, ale i przerażenia. Wrzawa wzmogła się, gdy Jamie pokonał parę stopni, złapał Aleksa za ramię, wymierzył dokładnie i z całej siły uderzył go w szczękę.

Aleks stał i patrzył z otwartymi ze zdziwienia ustami. Po chwili łagodnie osunął się na kolana i skulił. Jego szeroko otwarte oczy nagle straciły blask, tak jak oczy Mary.

19

PRZYSIĘGA

Tego dnia zegar tykający na kominku wyjątkowo mnie irytował. Był to jedyny dźwięk w domu, poza szmerem krzątającej się jeszcze służby. Dość już miałam

hałasów.

Pragnęłam odrobiny ciszy, żeby ukoić skołatane nerwy. Otworzyłam drzwiczki zegara i zdjęłam ciężarki. Tykanie ustało natychmiast.

Bez wątpienia nasza kolacja stanowiła wydarzenie sezonu. Ci, którzy nie mieli tyle szczęścia i nie mogli przyjść, przez długie miesiące będą tego żałować i z zazdrością wysłuchiwać plotek naocznychświadców.

Zdołałam w końcu zmusić Mary do przełknięcia kolejnej, tym razem większej dawki syropu z maku. Zasnęła ukryta pod stertą skrwawionych ubrań. Nareszcie mogłam skoncentrować się na sporze między Jamiem, generałem i panem Hawkinsem. Aleks leżał nieprzytomny, delikatnie ułożyłam bezwładne kończyny wzdłuż ciała, tak że leżeli teraz oboje z Mary niczym sardynki w puszcze. Wyglądali jak Romeo i Julia, których ciała wystawiono na widok publiczny, żeby wzbudziły w rodzinach wyrzuty sumienia.

Podobieństwa do bohaterów szekspirowskiego dramatu kończyły się na osobie pana Hawkinsa.

– Zrujnowana! – powtarzał. – Zrujnowana! Zrujnowałeś pan moją siostrzenicę!

Wicehrabia nigdy jej nie zechce! Przeklęty szkocki kutasie! Ty i ta ulicznica! – Wskazał na mnie. – Dziwka! Stręczycielka! Uwodzi niewinne dziewczęta i rzuca w szpony ścierwa!

Ty...

Zdenerwowany Jamie złapał Silasa Hawkinsa za ramię, odwrócił go i uderzył pięścią w szczękę. Tłusty handlarz winami przewrócił oczyma, osunął się łagodnie po

ścianie i zastygł w pozycji siedzącej. Jamie, zaskoczony obrotem spraw, stał i rozcierał obolałe kostki.

Rzucił chłodne spojrzenie d'Arbanville'owi. Generał, widząc, co spotkało nieszczęsnego kupca, rozsądnie opuścił butelkę wina, którą wymachiwał, i zrobił krok do tyłu.

– No, dalej! – zachęcał głos za moimi plecami. – Nie przerywaj, Tuarach! Pobij wszystkich trzech! Jednym ciosem, śmiało! – Jamie i generał popatrzyli w stronę skąd dobiegały okrzyki, zjednoczeni nienawiścią do ich autora.

– Nie wtrącaj się St. Germain – warknął Jamie. – To nie twoja sprawa.

Choć wydawał się zmęczony, mówił głośno, żeby hrabia usłyszał w rozgadany tłumie. Szwy na ramieniu jego surduta pękły, odsłaniając białą, płócienną koszulę.

Cienkie usta St. Germaina wykrzywiły się w czarującym uśmiechu. Najwyraźniej hrabia świetnie się bawił.

– Nie moja sprawa? Takie wydarzenia zawsze są sprawą dla człowieka dbającego o dobro publiczne. – Z rozbawieniem rozglądał się po zgromadzonych. – Skoro rozumie pan gościnność w tak perwersyjny sposób, żeby w swym domu prowadzić burdel, czy nie znaczy to... Nie, nie! Ani się waż! – zawołał, widząc nadchodzącego Jamiego. W dłoni hrabiego połyskiwało ostrze, które jak za sprawą czarów wyłoniło się nagle spod koronki zdobiącej nadgarstek. Jamie zacisnął usta i uniósł ramiona, poprawiając zniszczony surdut. Szykował się do starcia.

– W tej chwili przestańcie! – rozkazał zdecydowany głos. Obaj Duverneyowie zaczęli przepychać się przez

tłum. Młodszy odwrócił się i machnął ręką na gromadę stłoczoną na schodach. Wszyscy posłusznie odsunęli się w tył. Starszy Duverney wskazał na St.

Germaina i powiedział:

– Panie, jeśli rzeczywiście masz tak silną potrzebę służby społeczeństwu, usuń stąd tych ludzi.

St. Germain wbił wzrok w bankiera. Po chwili wzruszył ramionami i schował sztylet.

Bez słowa sprzeciwu zszedł ze schodów, popychając stojące tam osoby, i głośno nakazał gapiom wyjść z holu.

Mimo wysiłków hrabiego oraz Gerarda, młodszego Duverneya, większość gości zachwyconych skandalem opuściła nasz dom dopiero po przybyciu straży królewskiej.

Tymczasem ocknął się pan Hawkins i natychmiast zasypał Jamiego oskarżeniami o uprowadzenie i stręczycielstwo. Przez moment myślałam, że Jamie chce go znowu uderzyć. Pod aksamitnym surdudem mocno napięty się mięśnie. Jednak Jamie rozluźnił je po namyśle.

Po wielu sporach i wyjątkowo skomplikowanych wyjaśnieniach Jamie zgodził się udać wraz ze strażnikami do magistratu w Bastylii. Musiał wszystko wytłumaczyć.

Do Bastylii wzięto też bladego i spoconego Aleksa Randalla. Biedak nie miał najmniejszego pojęcia, co się wokół niego dzieje. Księżę nie czekał, żeby się przekonać o losie swojego sekretarza. Dyskretnie wezwał powóz i wyjechał jeszcze przed przybyciem straży. Uznał, że ze względu na działalność polityczną, jaką prowadził, nie powinien się mieszać w taki skandal. Wciąż nieprzytomną Mary Hawkins owinięto w koce i przewieziono do domu

wuja.

Mało brakowało, a nie wywinęłabym się z łapanki. Jamie stwierdził kategorycznie, że w moim stanie pod żadnym pozorem nie mogę trafić do więzienia. Widząc, że rozjątrzony Szkot jest gotów się wdać znowu w bójkę, byle postawić na swoim, kapitan straży ustąpił. Zabronił mi tylko opuszczać granice miasta. Choć ucieczka z Paryża miałyby swoje dobre strony, wiedziałam, że nie mogłabym wyjechać bez Jamiego. Bez wahania dałam *parole d'honneur*, że pozostanę na miejscu.

Goście zaczęli szykować się do wyjścia, przed domem rozpalono latarnie. Murtagh, z gniewem na posiniaczonej twarzy, kręcił się wokół wychodzących. Najwyraźniej planował dotrzymać Jamieu towarzystwa. Kamień spadł mi z serca. Przynajmniej Jamie nie będzie sam.

– Nie martw się, Angielko – wyszeptał, ściskając mnie na pożegnanie. – Wrócę, nawet nie zdążysz zatęsknić. Gdyby sprawy potoczyły się nie po naszej myśli... – zawahał się przezmoment. – Nie będzie to konieczne, ale gdybyś potrzebowała przyjaciela, udaj się do Luizy de La Tour – dokończył pewnym głosem.

– Tak zrobię. – Nie mieliśmy czasu na czułe pożegnanie. Pocałowałam Jamiego.

Strażnicy wyprowadzili go z domu.

Przez otwarte drzwi widziałam, że Jamie zauważył idącego za nim Murtagha.

Odwrócił się i coś do niego mówił. Murtagh położył dłonie na pasie, rozejrzał się gniewnie, odepchnął strażników, przy czym nieomal przewrócił młodego

Duverneya, i podszedł do Jamiego. Nastąpiła krótka i niema bitwa na spojrzenia. Jamie wzruszył w końcu ramionami i kiwnął głową z rezygnacją.

Wyszedł na ulicę. Zatrzymał się na widok niewielkiej postaci stojącej przy jednej z bram. Zrobił krok w jej stronę, powiedział coś, wyprostował się, odwrócił w kierunku domu i posłał mi uśmiech. Ukłonił się starszemu Duverneyowi, wsiadł do powozu i odjechał z Murtaghem ucepionym z tyłu pojazdu.

Fergus stał na ulicy. Gdy powóz zniknął z pola widzenia, wziął mnie za rękę i wprowadził do domu.

– Proszę, milady – powiedział. – Milord nakazał mi opiekować się panią, aż do jego powrotu.

Fergus wszedł po cichu do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Zrobiłem obchód domu, milady – wyszeptał. – Wszystko w porządku.

Mimo gryzącego mnie niepokoju uśmiechnęłam się do chłopca. Wyraźnie naśladował sposób mówienia Jamiego. Jego bohater powierzył mu niezwykle odpowiedzialne zadanie, a on bardzo przejął się obowiązkami.

Najpierw odprowadził mnie do salonu, potem udał się na obchód domu, tak jak to robił co wieczór Jamie. Sprawdził, czy zamknięto wszystkie zamki, czy zasunięto zasuwę na drzwiach wejściowych – były tak ciężkie, że nie zdołałby ich nawet ruszyć – oraz czy zgaszono ogień w kominkach. Ubrudził sobie przy tym twarz sadzą, a ponieważ potarł pięścią oko, miał tam teraz białą łatę i wyglądał jak mały szop.

– Powinna pani odpocząć, milady. I proszę o nic się nie martwić, jestem przy pani.

Na szczęście nie roześmiałam się głośno.

– Nie mogę zasnąć, Fergusie. Posiedzę tu sobie troszkę. Ale ty połóż się już spać, miałaś dziś ciężki dzień.

– Nie chciałam wydawać mu poleceń, żeby nie urazić jego dumy tymczasowego pana domu, ale był naprawdę zmęczony. Wzruszył kościstymi ramionami, pod oczami miał ciemne smugi ciemniejsze niż sadza.

Ziewnął i pokiwał głową.

– O nie, milady. Zostanę z panią... jeśli wolno – dodał pośpiesznie.

– W porządku – zgodziłam się. Był właściwie zbyt śpiący nawet, by ze mną rozmawiać, a jego obecność na podnóżku działała na mnie uspokajająco.

Siedziałam wpatrzona w płomień igrający w kominku. Próbowalam przywołać spokój. Usiłowałam wyobrazić sobie ogromną taflę jeziora, leśną polanę, a nawet ciemne wnętrza kaplicy w opactwie, ale to nie pomagało. Spokój tych obrazów burzyły wspomnienia niedawnych wydarzeń: ciężkie ręce, lśniące w ciemności zęby, przepełniona strachem, blada twarz Mary, bliźniaczo blade Aleks Randall, nienawiść w świńskich oczach pana Hawkinsa, nagły brak zaufania między generałem a Duverneyami, przyjemność, jaką czerpał ze skandalu St. Germain, jego złośliwość, wreszcie uśmiech Jamiego.

Co zrobię, jeśli nie wróci? Z tą myślą walczyłam od chwili, gdy zniknął w powozie. Co będzie, gdy nie zdoła oczyścić się z zarzutów? A jeśli oni są wyjątkowo podejrzliwi wobec obcokrajowców? Wtedy mogą uwięzić

go na dobre. Obawy, że ten nagły kryzys zniszczy pracę całego ubiegłego tygodnia, rozpraszał obraz Jamiego w celi podobnej do tej w Wentworth. W kontekście wszystkich wydarzeń, wiadomość, że Karol zamierza inwestować w wina, wydała się trywialna.

Kiedy wreszcie zostałam sama i miałam sporo czasu, by zastanowić się nad sytuacją, moje myśli prowadziły mnie do nikąd. Kim była *La Dame Blanche*! Jakąś „Białą Damą”.

Dlaczego jej imię spłoszyło napastników?

Przypomniałam sobie uwagę generała odnośnie gangów grasujących na ulicach Paryża, o tym, że niektóre z nich składają się z młodzieży szlacheckiej. To tłumaczyło stroje i wyszukane słownictwo, jakim posługiwali się mężczyźni, którzy zaatakowali mnie i Mary, choć ich kompani wydawali się raczej nieokrzesani. Zastanawiałam się, czy napastnik kogoś mi przypominał. Jego obraz był jednak zbyt niewyraźny, zamazywała go ciemność nocy i mgła strachu.

Wiedziałam, że nieco przypomina hrabiego St. Germaina, ale miał zupełnie inny głos.

Z drugiej strony, jeśli hrabia mieszałby się w coś takiego, z pewnością zadałby sobie trud i ukrył nie tylko twarz, lecz także głos. Trudno było jednak uwierzyć, że uczestniczył w napaści, a dwie godziny później siedział tak spokojnie przy stole obok mnie i z apetytem jadł rosół.

Zdezorientowana drapałam się po głowie. Przed świtem i tak nic się nie da zrobić.

Jeśli Jamie nie wróci do rana, zacznę odwiedzać znajomych i przyjaciół, pomyślałam. Być może przekażą

mi jakieś wieści albo zaproponują pomoc. Ale przez kilka następnych godzin nocy byłam bezradna. Bezsilna jak ważka uwięziona w bursztynie.

Pod palcami wyczułam jedną ze spinek, zniecierpliwiona spróbowałam ją wyjąć. Nic z tego, zaplątała się we włosy. Jęknęłam cicho.

– Chwileczkę, milady. Zaraz ją wyjmę.

Nie słyszałam, gdy wstał i podszedł do mnie z tyłu. Poczułam, jak sprytnie palce wyplątują z włosów misterną ozdobę. Położył ją obok mnie i po chwili wahania zapytał:

– Czy wyjąć też pozostałe, milady?.

– Och, tak proszę, Fergusie. Bardzo ci dziękuję.

Dotyk kieszonkowca był lekki i delikatny, gęste pukle zaczęły opadać mi na twarz.

Mój oddech stawał się coraz wolniejszy.

– Martwi się pani, milady? – zapytał cichy, łagodny głosik za moimi plecami.

– Tak – odparłam krótko. Byłam zbyt zmęczona, by podtrzymać rozmowę.

– Ja też.

Gdy kładł na stoliku ostatnią spinę, zapadałam w sen. Po jakimś czasie znowu poczułam dotyk. Chłopiec czesał mi włosy, delikatnie rozplątując.

– Pozwoli pani, milady? – Wyczuł moje nagłe napięcie. – Panie zawsze mówiły, że im to pomaga, gdy się martwią albo są zdenerwowane.

Rozluźniłam się.

– Pozwolę – powiedziałam. – Dziękuję ci, Fergusie. Jakie panie? – zapytałam po chwili.

Wahał się przez moment. Przypominał pająka,

któremu przeszkodzono podczas tkania sieci.

– Z tego miejsca, gdzie przedtem spałem, milady. Nie mogłem wychodzić, bo wszędzie byli klienci, ale jeśli zachowywałem się cicho, madame Eliza pozwalała mi spać w komórce pod schodami. Rano wychodziłem i czasami panie pozwalały mi jeść ze sobą śniadanie. Pomagałem im zakładać gorsety. Mówiły, że dotykam najlepiej ze wszystkich – dodał z dumą. – I czesałem ich włosy, gdy miały ochotę.

Zamruczałam coś w odpowiedzi. Miękki szelest szczotki łagodnie mnie hipnotyzował.

Zegar na kominku nie chodził. Nic nie wskazywało upływającego czasu, jednak cisza panująca na ulicy oznaczała, że jest bardzo późno.

– Jak trafiłeś do domu madame Elizy, Fergus? – zapytałam, ziewając szeroko.

– Tam się urodziłem, milady. – Ruch szczotki stał się wolniejszy, a głos chłopca senny. – Zawsze byłem ciekawy, która z nich jest moją mamą. Nigdy się nie dowiedziałem.

Obudził mnie odgłos otwieranych drzwi do salonu. W progu, w szarym świetle poranka stał Jamie, błądy ze zmęczenia, ale uśmiechnięty.

– Bałam się, że nie wrócisz – powiedziałam w chwilę później, tuląc jego głowę. Włosy przesiąknięte były drażniącym zapachem stęchłego powietrza i łoju, wrażenie pogarszał brudny i potargany surdut.

– Ja też. – Poczulałam, że się uśmiecha. Ścisnął mnie mocniej. Po chwili puścił i usiadł.

Odgarnął włosy, które opadały mi na oczy.

– Boże, jesteś taka piękna – powiedział miękko. – Nie wyspana i nie uczesana. Moja najdroższa. Siedziałaś całą noc?

– Nie ja jedna. – Wskazałam Fergusa skulonego na dywanie, z głową na poduszce pod moimi nogami. Poruszał się przez sen, otworzył swoje pełne, różowe usta dziecka.

Jamie położył mu dłoń na ramieniu.

– Chodź, chłopcze. Spisałeś się znakomicie. – Wziął rozspanego Fergusa na ręce i szeptał mu do ucha: – Dobry chłopak. Zasłużyłeś na odpoczynek. Położę cię do łóżka.

Fergus otworzył oczy zaskoczony i natychmiast zasnął w ramionach Jamiego.

Odsunęłam zasłony i rozpałam ogień w kominku. Po powrocie Jamie zdjął rozdarty surdut.

– Masz. – Podałam mu szklankę wina. Wypił łąpczywie, otrząsnął się i upadł na niewielką sofę. Chwilę później wyciągnął rękę po kolejną szklankę.

– Nie dostaniesz ani kropelki, dopóki nie powiesz, co się stało. Nie zamknięto cię w więzieniu, więc chyba wszystko jest w porządku...

– Nie, Angielko – przerwał mi. – Ale mogło być gorzej.

Po wielu sporach – większość czasu zajął pan Hawkins, powtarzając w nieskończoność swoją wersję wydarzeń – sędzia magistracki, którego wyrwano z ciepłego łóżka, uparł się, że Aleks Randall jako podejrzany nie może być bezstronnym świadkiem. Również ja, żona i współniczka drugiego podejrzanego, nie będę przesłuchiwana w charakterze świadka. Murtagh powiedział, że w tym czasie leżał nieprzytomny, a nieletni

Claudiel nie miał prawa zeznawać.

Sędzia, rzucając kapitanowi strażę niemiłe spojrzenie, stwierdził, że jedyną osobą, która może dać świadectwo prawdzie, jest Mary Hawkins, według zeznań także nieprzytomna podczas całego zajścia. Z tej przyczyny wszyscy podejrzani powinni zostać osadzeni w Bastylji do czasu, gdy będzie można przesłuchać mademoiselle Hawkins, i kapitan mógł się chyba tego sam domyślić.

– Dlaczego więc nie jesteś w Bastylji? – zapytałam.

– Poręczył za mnie starszy Duverney – odparł Jamie, ciągnąc mnie do siebie na sofę.

– Siedział w kącie zwinięty jak jeź. Gdy sędzia ogłaszał werdykt, wstał i oznajmił, że miał przyjemność grać ze mną w szachy. Dodał, iż nieprawość, o jaką zostałem posądzony, nie leży w moim charakterze. – Przerwał i wzruszył ramionami. – Wiesz, co on wygaduje, gdy już zacznie. Chodziło mu o to, że człowiek, który ograł go w szachy sześć razy na siedem partii, nie sprowadzałby do domu młodych dziewcząt, żeby je zhańbić.

– Bardzo logiczne – skomentowałam chłodno. – Pewnie nie chciał stracić partnera do szachów.

– Też tak przypuszczam. – Wyciągnął się, ziewnął i mrugnął do mnie z uśmiechem. – Wróciłem do domu i to jest najważniejsze. Chodź no tu do mnie, Angielko. – Objął mnie w pasie i posadził na kolanach, wzdychając.

– Wiesz, co pragnąłbym teraz zrobić? – mruczał mi do ucha. – Położyć się z tobą na dywanie, zaraz potem zasnąć z głową na twym ramieniu i zostać tak do jutra.

– To bardzo niewygodne dla służby – zauważyłam. – Musieliby omieść nas dokoła.

– Cholerna służba. A do czego mamy drzwi?

– Do pukania – odparłam, słysząc ciche postukiwanie.

Jamie znieruchomiał na chwilę z nosem w moich włosach, westchnął, uniósł głowę i zsunął mnie z kolan na sofę.

– Trzydzieści sekund – obiecał szeptem i głośno krzyknął – Entrez.

Do salonu wszedł Murtagh. Nie zwracałam na niego uwagi w całym tym wczorajszym zamieszaniu. Teraz pomyślałam, że musiał się bardzo źle czuć.

Był podobnie jak Jamie nie wyspany. Oko, którym na mnie patrzył, było mocno przekrwione i posiniaczone, drugie miało kolor gnijącego banana, opuchlizna przybrała ciemny, połyskujący odcień. Śliwa na czole ukazała się w pełnej okazałości: fioletowe gęsie jajo ze szramą przez sam środek.

Nasz krewny prawie się nie odzywał od czasu, gdy Jamie uwolnił go z worka zeszłej nocy. Złożył tylko zdawkowe wyjaśnienia na temat swoich noży, znalezionych przez Fergusa w kupie śmieci podczas poszukiwania skarbów. Po powrocie do domu patrzył groźnie jednym okiem, tak że nikt ze służby nie śmiał zadawać jakichkolwiek pytań.

Podejrzewałam, że musiał coś powiedzieć na komisariacie policji, choćby po to, by zaświadczyć o niewinności swego pracodawcy.

– Doprawdy trudno mi było przewidzieć, czy na miejscu francuskiego sędziego wierzyłabym w słowa Murtagha. Milczał jak chimera z Notre Dame, do której był

zresztą podobny.

Murtaghowi, choć mało szykownemu mężczyźnie, nie brakowało jednak godności.

Podszedł do nas wyprostowany i ukląkł. Jamie wyglądał na zakłopotanego jego zachowaniem.

Nieustraszony krewny dobył zza pasa sztylet i po chwili namysłu podał go Jamiemu.

Twarz małego Szkota nie zdradzała żadnych emocji. Patrzył na Jamiego czarnym okiem.

– Zawiodłem cię, panie – wyznał cicho. – Proszę teraz, żebyś zabrał moje życie. Nie chcę nosić tej hańby.

Jamie wyprostował się powoli. Czułam, że walczy ze zmęczeniem, gdy patrzył na ziomka. Zastygł na chwilę w bezruchu z rękami na kolanach, wyciągnął dłoń i dotknął delikatnie guza na czole Murtagha.

– Nie jest hańbą paść w bitwie, *mo caraidh* – oznajmił łagodnie. – Największym wojownikom zdarza się ugiąć przed przeciwnikiem.

Murtagh potrząsał uparcie głową, nie mrugając nawet powieką.

– Nie, nie pokonano mnie w bitwie. Obdarzyłeś mnie zaufaniem, oddałeś swą kobietę i nie narodzone jeszcze dziecko pod moją opiekę. Jeszcze tę angielską dziewczynę. A ja nie byłem wystarczająco uważny, nie uderzyłem, gdy nadeszło niebezpieczeństwo.

Prawdę mówiąc, nie widziałem nawet ręki, która mnie powaliła. – Dopiero teraz mrugnął.

– Zdrada... – zaczął Jamie.

– I proszę, widzisz panie, co z tego wyszło – przerwał Murtagh. Odkąd go znałam, nie wypowiedział

jeszcze tylu słów naraz. – Twoje dobre imię splamione, zaatakowano kobiety... – Zacisnął na chwilę usta i przełknął głośno ślinę. – Dlatego dusi mnie żal.

– Tak – mówił Jamie, kiwając głową. – Tak, wszystko rozumiem i czuję tak jak ty. – Położył rękę na piersi, tuż nad sercem. Dwaj mężczyźni byli teraz sami ze sobą. Jamie pochylił się nad Murtaghem. Siedziałam nieruchomo z dłońmi splecionymi na kolanach.

Nic nie mówiłam.

– Człowieku, nie składałeś mi żadnej przysięgi, nie jestem twoim wodzem, nie mam nad tobą władzy – powiedział zdecydowanym tonem Jamie.

– Masz, panie. – Głos Murtagha brzmiał równie stanowczo. Dłoń dzierzżąca sztylet nawet nie drgnęła.

– Ale...

– Dałem ci słowo, Jamie Fraserze, gdy miałeś nie więcej niż tydzień, gdy byłeś małym chłopczykiem przy matczynej piersi.

Oczy Jamiego otwały się szeroko ze zdziwienia.

– Klęczałem u stóp Ellen, tak jak teraz u twoich – opowiadał Murtagh z podniesionym czołem. – Przysiągłem jej w imię Przenajświętszej Trójcy, że nigdy cię nie opuszczę, że spełnię każdy twój rozkaz, a gdy staniesz się mężczyzną, będę cię chronić. – Oschły głos złagodniał. Ziomek zamknął zmęczone oko. – Tak, chłopcze, kocham cię jak rodzzonego syna. Ale zdradziłem.

– Nie zrobiłeś tego i nigdy nie zrobisz. – Jamie ścisnął jego ramiona. – Nie, nie chcę twojej śmierci. Musisz dla mnie żyć. I pragnę, żebyś teraz złożył mi przysięgę, a ją odbiorę.

Nastąpiła chwila wahania, po czym czarna głowa pokiwała nieznacznie.

Jamie mówił cicho, ale nie szeptem. Wysunął trzy środkowe palce prawej ręki, położył je na sztylcie, w miejscu połączenia rękojeści z ostrzem.

– Na przysięgę, którą złożyłeś mnie i mojej matce, nakazuję ci odszukać tych ludzi.

Znajdź ich i pomścij honor mojej żony i niewinność Mary Hawkins.

Przerwał. Murtagh wziął sztylet i trzymał ostrzem ku górze. Ukłonił mi się i powiedział:

– Uczynię tak, jak nakazał mi mój pan, milady. Pomszczę cię.

Oblizalam suche wargi. Nie wiedziałam, co powiedzieć, jakiegokolwiek słowa wydały mi się zbędne. Murtagh ucałował sztylet, wstał i schował go do pochwy.

20

LA DAME BLANCHE

Zanim się przebraliśmy, świt przeszedł w dzień. Właśnie przyniesiono z kuchni śniadanie.

– Chciałabym wiedzieć, kim, u diabła, jest ta *La Dame Blanche*! – powiedziałam, nalewając czekolady.

– *La Dame Blanche*? – Magnus, który pochylał się nade mną z gorącym pieczywem, podskoczył tak gwałtownie, że jedna z bułek wypadła z koszyczka. Zręcznie złapałam ją w locie. Lokaj obrzucił mnie zgorszonym spojrzeniem.

– Zgadza się. Słyszałeś już to imię, Magnusie?

– No tak, milady. *La Dame Blanche to une sorciere.*

– Czarodziejka? – powiedziałam z niedowierzaniem.

Magnus wzruszył ramionami, z niezwykłą troskliwością owijając bułki serwetką.

– Biała Dama – mruzczał. – Jest mądra, nazywają ją uzdrowicielką, no i... podobno widzi, co jest w środku, w człowieku. A gdy znajdzie tam zło, może obrócić duszę w popiół. – Dygnął, odwrócił się i w pośpiechu poszedł w stronę kuchni. Zauważyłam, że rusza łokciem, najwyraźniej się żegnał.

– Jezu Chryste – zwróciłam się do Jamiego. – A ty słyszałeś o *La Dame Blanche*!

– Co? Aa, no... tak. Coś... obilo mi się o uszy. – Jamie krył oczy pod długimi rzęsami, a nos w filizance, ale rumieńce, jakie oblały jego policzki były zbyt intensywne, by zasłoniła je para unosząca się nad czekoladą.

Oparłam się wygodnie na krzesło, skrzyżowałam ręce na piersiach i patrzyłam wyczekująco.

– A wiesz, że mężczyźni, którzy na nas wczoraj napadli, tak o mnie mówili? *La Dame Blanche*.

– Naprawdę? – Wiadomość zrobiła na nim mocne wrażenie.

Kiwnęłam głową.

– Tylko raz na mnie spojrzeli i zaczęli wołać: *La Dame Blanche! La Dame Blanche!*

I uciekli co sił w nogach, jak gdyby nagle zauważyli, że mam trąd.

Jamie wziął głęboki wdech. Powoli wypuszczał powietrze. Jego twarz bladła, aż przybrała kolor porcelanowego talerzyka.

– Boże miłosierny – powiedział do siebie. – Boże... miłosierny!

Pochyliłam się nad stołem i wzięłam od niego filiżankę.

– Może zechcesz mi coś opowiedzieć o *La Dame Blanche*? – zasugerowałam.

– No... – Wahał się, w końcu spojrzał na mnie i zaczął niepewnie: – Bo wiesz, ja...

no... bo ja powiedziałem Glengarry’emu, że jesteś *La Dame Blanche*.

– Co takiego? – Zakrztusiłam się kawałkiem bułki. Jamie klepnął mnie po plecach.

– Był tam tylko Glengarry i Castellotti – bronił się. – Uznali, że to cholernie zabawne, że chcę pozostać wierny żonie. No i mówili... cóż, wygadywali wiele głupstw... w końcu miałem tego dosyć. – Patrzył gdzieś obok, koniuszki uszów płonęły czerwienią.

– Ach, tak. – Wypiłam łyk herbaty. Słyszałam już Castellottiego w akcji.

Wyobrażałam sobie, czego musiał się nasłuchać Jamie, jak bezlitośnie z niego szydzono.

Dopił resztę czekolady i zajął się dolewaniem napoju. Oczy wbił w filiżankę.

– Nie mogłem przecież wstać i po prostu wyjść. Musiałem zostać z Jego Wysokością do końca. Nie chciałem, żeby myślał, że boję się własnej żony.

– Więc powiedziałeś, że jestem *La Dame Blanche*, tak? – Z trudem maskowałam śmiech. – I gdybyś spróbował choć dotknąć innej panienki, sprawiłabym, że uszłoby ci to, co masz pod kiltem.

– Ee... no...

– Boże, i oni w to uwierzyli? – Czułam, że z wysiłku zrobiłam się równie czerwona, jak on.

– Byłem bardzo przekonujący – powiedział, kąciki ust drgnęły mu lekko. – I przysięgałem na życie ich matek, że to wszystko prawda.

– A ile wypiliście?

– No, całkiem sporo. Czekałem do czwartej butelki. Nie wytrzymałam dłużej i wybuchłam śmiechem.

– Ach, Jamie, mój słodki! – Pochyliłam się i pocałowałam go w czerwony policzek.

– Cóż – powiedział niepewnie, smarując masłem kromkę chleba. – Nic lepszego nie przychodziło mi do głowy. A oni przestali naigrywać się ze mnie.

Wzięłam jego kanapkę, posmarowałam ją miodem i oddałam.

– Nie mogę narzekać – zauważyłam. – Tym sposobem nie tylko obroniłeś swoją cnotę, ale i ustrzegłeś mnie przed gwałtem.

– Tak, dzięki Bogu. – Odłożył kromkę i wziął mnie za rękę. – Chryste, Angielko, gdyby coś ci się stało...

– Skoro ten mężczyzna wiedział, że jestem *La Dame Blanche*... – przerwałam.

– Nie, Angielko, to nie był ani Glengarry, ani Castellotti. Obaj byli ze mną, gdy przybiegł Fergus i opowiedział o zajściu. Ale musiał to być ktoś, komu powtórzyli moje słowa.

Nie mogłam opanować drżenia na wspomnienie białej maski i szyderczego głosu.

Jamie z westchnieniem puścił moją rękę.

– Powinienem spotkać się z Glengarrym i zapytać, ile osób zabawiał opowieściami o moim szczęściu małżeńskim. – Przechesał dłonią włosy. – A potem odwiedzę Jego Wysokość i dowiem się, co u diabła, mają znaczyć jego układy z hrabią St. Germainem.

– Słuszny plan – przyznałam w zamyśleniu. – Choć znając Glangarry’ego, przypuszczam, że twoją historię słyszała już połowa Paryża. Ja też chcę złożyć dziś po południu kilka wizyt.

– Ach, tak? A kogo zamierzasz odwiedzać, Angielko? – zapytał, patrząc na mnie podejrzliwie. Wzięłam głęboki oddech i napięłam wszystkie mięśnie na samą myśl o czekającej mnie próbie.

– Najpierw mistrza Raymonda, potem Mary Hawkins.

– Może lawenda? – Zielarz wspinał się na palcach, sięgając po słoń stojący na wysokiej półce. – Nie nadaje się do okładów, ale jej zapach koi nerwy.

– Zależy czyje – zauważyłam. Przypomniałam sobie, jak na ten aromat reagował Jack Randall. Bardzo lubił lawendę, od tamtej pory jej woń nie działała na Jamiego uspokajająco. – W tym przypadku może pomóc. A na pewno nie zaszkodzi.

– Nie szkodzić – powtórzył z namysłem. – To ważna zasada.

– Tak, najważniejsza część przysięgi Hipokratesa. – Obserwowałam mistrza, jak pochylony szpera w szufladach i pudłach. – Składają ją wszyscy lekarze.

– A czy pani złożyła taką przysięgę, madonno? – Jasne, żabie oczy mrugnęły znad kontuaru.

Poczułam, że oblewa mnie rumieniec.

– Ee... nie, nie złożyłam. Właściwie nie jestem lekarzem. Jeszcze nie. – Nie wiem dlaczego, powiedziałam to ostatnie zdanie.

– A mimo to próbuje pani naprawić coś, czego „prawdziwy” lekarz nawet by się nie podjął. Utraconego dziewictwa nie da się przecież przywrócić. – Ironia była oczywista.

– Naprawdę? – zapytałam chłodno. Fergus po wielu namowach opowiedział mi to i owo o panienkach pracujących w domu madame Elizy. – A do czego służy ten pęcherz wypełniony krwią? A więc uważasz, mistrzu, że jest to zadanie dla aptekarza, nie dla lekarza?

Zmarszczył czoło, jak zawsze gdy coś go rozbawiło.

– A komu to szkodzi, madonno? Z pewnością nie sprzedawcy. Kupującemu również nie. Prawdopodobnie za swoje pieniądze zabawi się dużo lepiej niż ten, który kupuje autentyczny towar. Nie niszczy się nawet samej błony dziewiczej! Zapewniam, że to wysoce moralne i zgodne z zaleceniami Hipokratesa przedsięwzięcie. Każdy lekarz chętnie w tym pomoże.

Roześmiałam się.

– Spodziewam się, że zna pan wielu takich, którzy to robią. Poruszę ten problem na najbliższym posiedzeniu rady szpitala. A tymczasem, z braku gotowych cudów, co mistrz radzi w tej sytuacji?

– Hmm... – Myślał przez chwilę, położył na ładzie kawałek gazy i wysypał na nią garść suszonych ziół. Po całym sklepie rozszedł się ostry, ale przyjemny zapach.

– Krwawnik – poinformował, zawiązując niewielki

węzelek. – Pomocny przy podrażnieniach skóry, skaleczeniach i otarciach genitaliów. Przyda się?

– Tak. Napar czy wywar?

– Napar. Jeśli możliwe, gorący. – Z innej półki zdjął jeden z wielkich białych słoików.

Odczytałam umieszczony na nim napis: *Chelidonium*.

– To na sen – wytłumaczył. Kąciki jego wąskich ust uniosły się w uśmiechu. – Lepiej unikać maku i innych opiatów. Pacjentka chyba wyjątkowo źle na nie reaguje.

– Już pan o wszystkim słyszał, prawda? – zapytałam zrezygnowana. Nie liczyłam na dyskrecję wczorajszych gości. Plotki na pewno były dziś najlepiej sprzedającym się towarem w jego sklepie. Apteka stanowiła ogniwo łączące nowiny z przeróżnych źródeł, począwszy od ulicznych sprzedawców aż po królewskich szambelanów.

– Od trzech osób – odparł Raymond. Wyjrzał przez okno, żeby na ogromnym *Horloge* na ścianie sąsiedniego budynku sprawdzić, która godzina. – A jeszcze nie ma drugiej. Spodziewam się, że przed zmrokiem usłyszę co najmniej kilka kolejnych wersji wydarzeń, jakie zaszły podczas wczorajszego przyjęcia. Szczególnie spodobała mi się ta, w której monsieur Fraser wyzywa na pojedynek generała d'Arbanville'a, a pani ofiarowuje hrabiemu ciało zemdlonej dziewczyny w zamian za zaniechanie wezwania straży królewskiej.

– Mhm. A czy interesuje pana, co się istotnie wydarzyło?

Tonik makowy i bursztyn cudownie połyskiwały w świetle promieni słonecznych, gdy przelewał je do małej

fiolki.

– Prawda zawsze mnie interesuje, madonno – odparł. – Jest cenna, bo rzadko spotykana. – Odstawił porcelanowy słój na ladę. – Warto za nią zapłacić nawet najwyższą cenę – dodał. Monety, które położyłam na stole w zapłacie za leki, lśniły w słońcu. Patrzyłam na Raymonda, mrużąc oczy. Uśmiechnął się blade. Ciekawe, czy słyszał o żabich udkach w maśle czosnkowym?

Horloge za oknem wybił drugą. Zastanawiałam się, jak dużo czasu zajmie droga do domu Hawkinsów przy rue Malory. Powozem niecałe pół godziny. Mam jeszcze sporo czasu, pomyślałam.

– W takim razie przejdźmy do pańskiego gabinetu – zaproponowałam.

– To wszystko – powiedziałam, popijając wiśniówkę. Opary unoszące się w całej pracowni były równie silne, jak zapach trunku w kielichu. Czułam, że głowa puchnie mi niczym wielki balon, który zaraz eksploduje pod wpływem tej mieszanki. – Jamie jest wolny, ale nadal ciężą na nas podejrzenia. Mam nadzieję że nie potrwa to zbyt długo.

Raymond potrząsnął głową. Przeciąg poruszał wiszącego nad nim krokodyla, więc mistrz wstał i zamknął okno.

– Nonsens! Monsieur Hawkins ma pieniądze i przyjaciół, jest oczywiście oszołomiony, ale przecież pani i pani mąż jesteście winni jedynie zbytnej dobroci.

Próbowaliście zachować w tajemnicy nieszczęście biednej dziewczyny. – Upił spory łyk kielicha. – I to ona jest teraz źródłem pani zmartwień?

Przytaknęłam.

– Ale nie tylko. Nie uratuję reputacji, ale przynajmniej spróbuję pomóc dziewczynie w wyleczeniu się.

– „Spróbuję wyleczyć. To wszystko, co mogę zrobić”. Tak mówi większość znanych mi lekarzy. A pani chce pomóc jej się wyleczyć. Interesująca różnica. Tak, jak myślałem.

Odstawiłam szklankę, dość już wypiałam. Zrobiło mi się gorąco, a przeczucie mi podpowiadało, że mój nos się zaróżowił.

– Mówiłam panu, że nie jestem lekarzem. – Zamknęłam na chwilę oczy, żeby sprawdzić, czy kręci mi się w głowie. Na szczęście wszystko było w porządku. – Poza tym... już kiedyś miałam do czynienia z ofiarą gwałtu. Niewiele można pomóc w leczeniu zewnętrznym. A może raczej nie można pomóc, kropka – dodałam. Zmieniłam zamiar, pociągnęłam kolejny łyk.

– Pewnie tak – zgodził się Raymond. – Ale jeśli już ktoś miałby możliwość dotarcia do wnętrza pacjenta, to zapewne *La Dame Blanche*.

Postawiłam szklankę na stole. Wpatrywałam się w mistrza. Zamknęłam usta, gdy sobie uświadomiłam, że są otwarte. W mojej głowie kotłowały się myśli i podejrzenia.

Łączyły się w setki najdziwniejszych rozwiązań. Postanowiłam skoncentrować się na drugiej części wypowiedzi rozmówcy.

– Powiada pan „wnętrze pacjenta”?

Znowu sięgnął do słoja i wyjął z niego odrobinę białego proszku. Wsypał szczyptę do swego kielicha.

Głęboki bursztynowy kolor brandy natychmiast zamienił się w krwistą czerwień. Napój zawrzał.

– To smocza krew – wyjaśnił. Od czasu do czasu machał dłonią nad bulgoczącym płynem. – Tak zachowuje się tylko w srebrnym kielichu. Oczywiście po tym eksperymencie nie nada się więcej do użytku, ale w odpowiednich okolicznościach efekt może być zadziwiający.

Chrząknęłam.

– Ach, wnętrze pacjenta – przypominał sobie główny temat rozmowy. – Ależ tak, oczywiście. Leczenie polega na oddziaływaniu na... jak to nazwać? Duszę? Istotę? No, niech będzie wnętrze. Z pewnością pani się już z tym spotkała. Czasami są tak chorzy albo ranni, że wydaje się, iż nie doczekają następnego ranka, a tymczasem oni żyją, nie umierają. Inni cierpią na choroby łatwe do wyleczenia, jakieś drobiazgi, które dzięki właściwej opiece lekarskiej powinny ustąpić, a nie ustępują. I pacjenci umierają, choćby pani walczyła o nich z wszystkich sił.

– Każdy, kto ma do czynienia z chorymi, widział coś takiego – potwierdziłam.

– Tak, dumni lekarze, często obwiniają się za czyjąś śmierć lub gratulują sobie sukcesu i wiedzy, gdy ktoś ozdrowieje. Ale *La Dame Blanche* widzi istotę każdego człowieka i zamienia ją w życie lub śmierć. Każdy złoczyńca powinien odczuwać strach, patrząc jej w oczy.

Podniósł kielich i wypił za moje zdrowie. Bulgoczący napój pozostawił różowy ślad na jego ustach.

– Dziękuję – powiedziałam chłodno. – A więc nie

była to tylko naiwność Glengarry'ego?

Raymond wzruszył ramionami z wyrazem samozadowolenia na twarzy.

– Inspiracją był pani mąż – powiedział. – To jego pomysł. Naprawdę znakomity. Ale, o ile cieszy się poważaniem jako znawca w swojej dziedzinie, nikt nie potraktowałby poważnie jego opowieści na temat sił nadprzyrodzonych ani nie uznałby za autorytet w sprawach ducha.

– Ale pana oczywiście potraktowano poważnie, mistrzu.

Uniósł nieznacznie masywne ramiona pod szarą aksamitną szatą. Na rękawie dostrzegłam kilka wypalonych dziurek. Nie uważa podczas swoich sztuczek, pomyślałam.

– Widziano panią tu, w aptece – powiedział. – Pani przeszłość pozostaje tajemnicą.

A jak zauważył monsieur Fraser, moja reputacja jest nieco podejrzana. Mam kontakt z...

nazwijmy to... kręgami, w których spekulacje na temat pani przeszłości traktowane są z dużą powagą. A wie pani, co ludzie potrafią wymyślić – dodał krytycznie, czym rozbawił mnie na tyle, że roześmiałam się w głos.

Odstawił kielich i przysunął się do mnie.

– Wspomniała pani, że zdrowie mademoiselle Hawkins to jeden z powodów zmartwień. Ma więc pani inne?

– Tak. – Upiłam łyk brandy. – Domyślałam się, że niejedno pan słyszy o tym, co się dzieje w Paryżu?

Uśmiechnął się, jego ciemne oczy błyszczały.

– Owszem, madonno. Co chciałaby pani wiedzieć?

– Czy wie pan, kto to taki Karol Stuart?

Zaskoczyłam go pytaniem. Uniósł lekko czoło. Sięgnął po niewielką szklaną buteleczkę i w zamyśleniu obracał ją w palcach.

– Tak, madonno – odparł. – Jego ojciec jest, a raczej powinien być, królem Szkocji?

– To zależy od punktu widzenia – skomentowałam, tłumiąc czknięcie. – Jest albo królem Szkocji na wygnaniu, albo pretendentem do tronu. Ale nie to mnie interesuje.

Chciałabym wiedzieć, czy... Karol Stuart robi coś, co mogłoby nasuwać przypuszczenia, że szykuje się do zbrojnej inwazji na Szkocję lub Anglię?

Roześmiał się w głos.

– Na Boga, madonno! Jest pani naprawdę wyjątkową kobietą! Rzadko mam okazję spotkać się z taką bezpośredniością.

– Nie ma na to żadnej rady. Zupełnie nie umiem owijać w bawełnę. – Sięgnęłam po buteleczkę, którą się bawił. – A więc słyszał pan coś?

Instynktownie spojrział w stronę nie domkniętych drzwi. Dziewczyna pracująca w sklepie zajęta była mieszaniem perfum dla bogatej klientki.

– Nic wielkiego, ktoś wymienił jego nazwisko w liście, ale moja odpowiedź definitywnie brzmi „tak”.

Widziałam, że się waha. Nie wiedział, jak dużo może mi powiedzieć. Wbiłam wzrok w buteleczkę, żeby dać mu czas do namysłu. Obracałam fiolkę. Zawartość przelewała się, sprawiając bardzo przyjemne odczucie. Zaskakująco ciężka jak na swój rozmiar, robiła przedziwne wrażenie cieczy, choć był to metal.

– Rteć. – Mistrz Raymond odpowiedział na pytanie, którego nie zdążyłam jeszcze zadać. Jeśli czytał w moich myślach, widocznie zobaczył tam coś, co zadziało na moją korzyść, bo zabrał buteleczkę i wylał jej zawartość. Na stole utworzyła się srebrna kałuża.

Zielarz wyprostował się i zaczął mówić.

– Jeden z agentów Jego Wysokości zasięgał języka w Holandii. Nazywa się O'Brien.

Nie widziałem jeszcze człowieka mniej nadającego się do tej pracy. Agent, który nie stroni od alkoholu!

– W towarzystwie Karola Stuarta nikt nie stroni od alkoholu – powiedziałam. – Co takiego zrobił O'Brien?

– Zamierzał nawiązać rozmowy w sprawie ekspedycji broni drogą morską. Chodziło o zakup w Hiszpanii dwóch tysięcy pałaszy i wysłanie ich przez Holandię, by zataić źródło dostawy.

– Ale dlaczego miałyby to robić? – spytałam. Może z powodu wrodzonej głupoty, a może nadmiaru wiśniówki przedsięwzięcie wydawało mi się dosyć bezsensowne, nawet jak na Karola Stuarta.

Raymond wzruszył ramionami i podziobał palcem kałużę rteci.

– Można to odgadnąć, madonno. Król Hiszpanii jest przecież kuzynem szkockiego króla. Tak samo, jak nasz dobry Ludwik.

– Tak, ale...

– Czy nie mógłby mieć ochoty pomóc sprawie Stuartów, tak jednak, by nikt o tym nie wiedział?

Opary brandy zaczęły ulatywać z mojej głowy.

– Mógłby.

Raymond ostro uderzył palcem w stół. Kałuża rtęci przemieniła się w zbiór małych kulek. Drobinki rozbiegły się w szalonym tańcu po powierzchni blatu.

– Powiadają – ciągnął miękko, nie spuszczać wzroku z kropelek rtęci – że król Ludwik podejmuje pewnego angielskiego księcia w Wersalu. Słyszy się też, że księżę przybył w interesach. Ale nie da się usłyszeć wszystkiego, madonno.

Wpatrzyłam się w falujące krople rtęci. Zaczęłam kojarzyć fakty. Do Jamiego również dotarły plotki, jakoby misja Sadringhama dotyczyła nie tylko praw handlowych. A jeżeli wizyta księcia w rzeczywistości łączyła się z ewentualnym przymierzem francusko-angielskim? Może nie bez związku z przyszłymi losami Brukseli? A gdyby Ludwik potajemnie negocjował z Anglią poparcie najazdu na Brukselę – co wtedy byłby skłonny uczynić Filip Hiszpański, gdyby jakiś ubogi krewny ukazał mu możliwość odebrania raz na zawsze Anglii ochoty do zagranicznych przygód?

– Trzech kuzynów z rodu Bourbonów – mruknął Raymond pod nosem. Zagonił jedną z drobinek rtęci do drugiej; gdy tylko się zetknęły, natychmiast złączyły się w jedną, większą kroplę. Połyskująca kulka popędziła przez blat natchnięta nowym życiem jakby za sprawą magii. Palec pasterza zagnał w jej kierunku kolejną srebrzystą kropelkę; kula rosła. – Wspólna krew. Ale czy wspólny interes?

Palec znów uderzył i rozsypane cząstki rtęci rozbiegły się po stole we wszystkich kierunkach.

– Nie sądzę, madonno – rzekł spokojnie Raymond.

– Ach, tak. – Głęboko wciągnęłam powietrze. – A co myślisz, panie, o nowym związku Karola Stuarta z hrabią St. Germainem?

Żabi uśmiech rozszerzył się jeszcze bardziej.

– Słyszałem, że Jego Wysokość ostatnio często bywa w dokach. Oczywiście, żeby porozmawiać ze swym nowym przyjacielem. Ale patrzy też na zakotwiczone statki, takie wspaniałe, prędkie... i takie drogie. Szkocka kraina leży za wodą, prawda?

– Zgadza się – odrzekłam. Promień słońca padł na rtęć z błyskiem. Ogromna ognista kula była nisko nad horyzontem. Musiałam iść.

– Dziękuję – powiedziałam. – Gdybyś coś jeszcze usłyszał, panie, dasz mi znać?

Wdzięcznie pochylił olbrzymią głowę. Włosy załśniły mu srebrzyście. Nagle gwałtownie uniósł twarz.

– Ach, pani, nie dotykaj rtęci! – Ostrzegł, gdy spróbowałam zatrzymać toczącą się w moją stronę kroplę. – Wiąże się błyskawicznie z każdym metalem, jaki napotka. – Nachylił się i delikatnie zawrócił kulkę. – Nie chcesz chyba zniszczyć swych pięknych pierścieni.

– Rzeczywiście – rzekłam. – No, trzeba przyznać, że jak dotąd pańska pomoc, mistrzu, okazała się bardzo skuteczna. Ostatnio nikt nie próbował mnie otruć. Nie przypuszczam, żebyście z Jamiem mieli ochotę spalić mnie za czary na Placu Bastylli? – mówiłam bez zaangażowania, ale wspomnienia zimnej nory i procesu w Cranesmuir nie straciły jeszcze na świeżości.

– Na pewno nie – odparł z godnością – Nikogo nie spalono w Paryżu za czary przez ostatnie... och,

dwadzieścia lat. Jesteś zupełnie bezpieczna. Póki nikogo nie zabijesz – dodał.

– Postaram się – obiecałam i wstałam z krzesła.

Fergus bez trudu zdobył dla mnie powóz. Krótką podróż do domu Hawkinsów spędziłam, roztrząsając przebieg wypadków. Wyglądało, że Raymond rzeczywiście wyświadczył mi przysługę, rozpowszechniając wśród przesądnych klientów szaloną opowieść Jamiego. Myśląc o swym imieniu na ustach uczestników seansów spirytystycznych i czarnych mszy, nie mogłam jednak otrząsnąć się ze złych przeczuc.

Uzmysłowiłam sobie także, że w pośpiechu, pogrążona w spekulacjach na temat królów, broni i okrętów, nie miałam czasu zapytać mistrza, gdzie – jeśli w ogóle – hrabia St. Germain wkraczał w jego własną strefę wpływów.

Wedle opinii publicznej hrabia tkwił w samym centrum tajemniczych kręgów, o których wspominał Raymond. Ale czy był ich członkiem, czy rywalem? I czy te kręgi sięgały aż do komnaty króla? Wieść niesła, że Ludwik interesował się astrologią; być może istniał jakiś związek, w ciemnym gąszczu kabały i czarnej magii, pomiędzy Ludwikiem, hrabią i Karolem Stuartem?

Niecierpliwie potrząsnęłam głową, żeby się pozbyć oparów brandy i niepotrzebnych pytań. Jedyne, co można było stwierdzić z pewnością, to że król wszedł w jakiś niebezpieczny układ z Karolem Stuartem. I właśnie to było aktualnie największym źródłem zmartwień.

Rezydencję Hawkinsów przy rue Malory stanowił masywny, budzący szacunek trzypiętrowy budynek, jednak

nieład panujący wewnątrz był widoczny nawet dla nieszczególnie wnikliwego obserwatora. Mimo ciepłego dnia szczelnie zamknięte okiennice strzegły dom przed oczami intruzów. Tego ranka nikt nie wyszorował schodów.

Na białym kamieniu widniały grudki błota. Ani śladu kucharki czy służącej na progu, która targowałaby się o mięso i plotkowała z handlarzami. Oto posiadłość zabita deskami przed nadejściem kataklizmu.

Czułam się trochę jak zwiastun katastrofy, mimo że miałam na sobie względnie wesołą żółtą suknię. Wysłałam Fergusa, żeby zapukał. Usłyszałam ostrą wymianę zdań.

Fergus jednak nie przyjmował odmowy, więc wkrótce znalazłam się twarzą w twarz z kobietą, prawdopodobnie panią domu, a zatem również ciotką Mary.

Musiałam sama dojść do tych wniosków, ponieważ dama najwyraźniej była zbyt zdenerwowana, by udzielić mi choćby najprostszej konkretnej informacji, jak na przykład dotyczących swojego nazwiska.

– Nie wolno nam nikogo przyjmować! – wykrzykiwała. Ciągle spoglądała ukradkiem przez ramię, jakby spodziewała się tam w każdej chwili ujrzeć oskarżycielską sylwetkę swojego męża. – Jesteśmy... mamy... to jest...

– Nie przyszedł z wizytą do was – oznajmiłam stanowczo – Chcę się zobaczyć z waszą bratanicą Mary.

Na dźwięk tego imienia panią Hawkins ogarnął kolejny paroksyzm strachu.

– Ona... ale... Mary? Nie! Ona nie... nie miewa się dobrze!

– Tak przypuszczałam – powiedziałam cierpliwie. Podniosłam koszyk. – Dlatego przyniosłam leki.

– O! Ale... ale... ona... pani... czy pani jest...?

– Havers, kobieto – powiedział Fergus z nienagannym szkockim akcentem. Chłopiec z dezaprobatą przyglądał się temu pokazowi obłędu. – Pokojówka mówi, że młoda pani jest na górze w swoim pokoju.

– Otóż to – rzekłam. – Prowadź, Fergusie.

Nie trzeba go było dłużej zachęcać; dał nura pod ramieniem, które zagradzało nam drogę w ciemną głębię domu. Pani Hawkins z niewyraźnym okrzykiem obróciła się za malcem, co pozwoliło mi się koło niej prześlizgnąć.

Na straży drzwi do pokoju Mary siedziała potężna pokojówka w pasiastym fartuchu.

Nie stawiała jednak najmniejszego oporu, gdy oznajmiłam, że zamierzam wejść do środka. Potrząsnęła głową żałośnie.

– Nic z nią nie mogę zdziałać, madame. Może pani się uda.

Nie brzmiało to obiecująco, ale nie było wyboru. Przynajmniej nie zapowiadało się, że wyrządzą więcej szkód. Wygładziłam suknię i pchnęłam drzwi.

Miałam wrażenie, że wchodzę do jaskini. W oknach wisiały ciężkie brązowe zasłony, jedyne szczątki światła dziennego, które przedostawały się do środka, dusił dym z kominka.

Zrobiłam głęboki wdech. Natychmiast się zakrztusiłam. Postać na łóżku ani drgnęła:

żałośnie mała, zgarbiona figurka pod pierzyną. Lek z pewnością przestał już działać; a hałas w holu zbudziłby

umarłego. Zapewne udawała tylko śpiącą królową, na wypadek, gdyby wpadła jej ciotka z jedną ze swych ogłuszających tyrad. Na jej miejscu zrobiłabym dokładnie to samo.

Odwrociłam się i zatrzasnęłam drzwi tuż przed nosem pani Hawkins. Podeszłam do łóżka.

– To ja – powiedziałam. – Może byś wyszła, bo się udusisz?

Nagle poruszenie w pościeli zwiastowało pojawienie się Mary. Wskoczyła z kołder jak delfin z morskich fal i rzuciła mi się na szyję.

– Claire! O, Claire! Dzięki Bogu! Myślałam, że już cię n-n-nigdy nie zobaczę! Wujek mówił, że jesteś w więzieniu! On m-m-mówił, ż-że...

– Puszczaj! – Udało mi się rozerwać jej uścisk i odepchnąć dziewczynę na tyle, by móc się jej przyjrzeć. Była czerwona na twarzy, spocona i rozczochrana od chowania się pod kołdrą, ale poza tym wyglądała całkiem dobrze. Brązowe oczy, szeroko otwarte, pełne blasku nie nosiły śladów zatrucia opium; jakkolwiek była podniecona i pełna niepokoju, całonocny sen i młodzieńcza wytrzymałość zrobiły swoje – przynajmniej dla ciała.

– Nie, nie jestem w więzieniu. – Próbowałam zatamować rzekę pytań. – Choć twój wuj bardzo się o to starał – dodałam.

– Ale mówiłam mu... – zaczęła, zająknęła się i spuściła wzrok. – A przynajmniej próbowałam p-p-powiedzieć, ale on... ale ja...

– Nie martw się – uspokajałam. – Jest tak wytrącony z równowagi, że nie usłuchałby niczego. Zresztą

to nie takie istotne. Ważna jesteś ty. Jak się czujesz? – Odgarnęłam z jej czoła ciężkie ciemne pukle i badawczo przyjrzałam się twarzy.

– Dobrze. – Głośno przełknęła ślinę. – Trochę... trochę krwawiłam, ale już przestałam. Zaróżowiła się, ale nie spuszczała oczu – Jeszcze... boli. Czy to minie?

– Tak, minie – powiedziałam łagodnie. – Przyniosłam trochę ziół. Trzeba je parzyć w gorącej wodzie, gdy ostygnie, możesz zrobić sobie okład albo napełnić naparem wannę i w niej usiąść. Pomoże na pewno. – Wyjęłam wiązki ziół z sakwy i położyłam na stoliku przy łóżku.

Skinęła głową, zagryzając wargę. Najwyraźniej chciała jeszcze coś powiedzieć, jednak wrodzona nieśmiałość zagłuszała potrzebę pewności.

– O co chodzi? – spytałam z największą nonszalancją, na jaką było mnie stać.

– Czy będę miała dziecko? – wyrzuciła z siebie, spoglądając w górę z lękiem – Mówiłaś...

– Nie – powiedziałam możliwie najbardziej przekonująco. – On nie zdołał...

dokończyć.

Pod fałdami spódnicy zaciskałam kciuki w nadziei, że się nie mylę.

Niebezpieczeństwo było raczej niewielkie, ale nigdy nie wiadomo. Takie przedziwne wypadki już się zdarzały. Nie widziałam jednak sensu dodatkowo denerwować biedną dziewczynę. Nagle zrobiło mi się słabo. Czy możliwe, że podobnemu wypadkowi zawdzięczam istnienie Franka? Postanowiłam nie zastanawiać się nad tym zbyt

długo, za miesiąc poznam odpowiedź.

– Gorąco tu jak w piecu. – Rozluźniłam apaszkę. – I dymu tyle, ile w samym piekle, jak mawiał mój wuj. – Nie wiedziałam, co powiedzieć Mary. Wstałam więc, podeszłam do okien i zaczęłam rozsuwać ciężkie zasłony i otwierać okna.

– Ciotka Helena uważa, że nikt nie powinien mnie oglądać – wyszeptała Mary i usiadła na łóżku. – Mówi, że j-j-jestem zhańbiona i że ludzie będą mnie wytykać palcami na ulicy.

– Tak, te potwory mogą to robić. – Wszystkie okna były już otwarte. Usiadłam na krześle obok łóżka Mary. – Ale to nie znaczy, że masz pozwolić, żeby cię żywcem pochowano w tym grobowcu, o ile wcześniej się nie udusisz.

Oparłam się wygodnie. Pokój wypełniał się chłodnym, świeżym powietrzem. Mary milczała przez dłuższą chwilę, bawiła się zawiniątkami, które położyłam na stole.

W końcu podniosła głowę i uśmiechnęła się do mnie. Wargi drżały jej ze zdenerwowania.

– Przynajmniej n-nie będę musiała wychodzić za wicehrabiego. Nigdy m-mnie nie zechce. Tak mówi w-w-wuj.

– Obawiam się, że ma rację.

Kiwała głową, patrząc na węzełek z gazy. Jej palce szamotały się z sznurkiem, a gdy go rozwiązała, wypadł z niego pęczek ziół.

– Ja... ja dużo m-m-myślałam o tym, co mi mówiłaś o m-m-mężczyznach, że oni... – Przerwała i głośno

przełknęła ślinę. Z oczu Mary spłynęła łza, która spadła na woreczek.

– Nie zniosłabym, by w-w-wicehrabia... A t-t-teraz, gdy to się stało... i nikt n-nie może niczego odwrócić, już nie będę m-m-musiła tego robić i... i... i... Och, Claire, Aleks nigdy się do mnie nie odezwie! Nigdy go nie zobaczę, nigdy!

Padła mi w ramiona, szlochając histerycznie. Ziola rozsypały się na podłogę. Objęłam ją mocno i poklepałam łagodnie po plecach. Próbując pocieszyć Mary, sama uрониłam kilka łez, które nie zauważone zniknęły w gęstwinie jej włosów.

– Zobaczysz go, nie martw się – wyszeptalam. – Oczywiście, że go zobaczysz. On się od ciebie nie odwróci, jest dobrym człowiekiem.

Wiedziałam, że to nieprawda. Poprzedniej nocy widziałam ból i udrękę na twarzy młodego Randalla. Wtedy wzięłam to za bezsilność i współczucie dla ofiary, podobne dostrzegłam na twarzach Jamiego i Murtagha. Gdy dowiedziałam się o uczuciach, jakie żywił wobec Mary, uświadomiłam sobie, jak głęboki musi być jego ból. I strach.

Wyglądał na porządnego człowieka. Ale był biedny, bez szans na spadek, i słabowitego zdrowia, bez nadziei na poprawę. Jego posada całkowicie zależała od dobrej woli Sandringhama. Nie spodziewałam się, żeby księżę łaskawym okiem patrzył na związek swego sekretarza ze zhańbioną dziewczyną, która straciła pozycję towarzyską i perspektywę na posag.

Nawet gdyby Aleks zdobył się na odwagę i poślubił

ją wbrew całemu światu, jakie miałoby szansę? Oboje bez grosza, wyklęci ze społeczeństwa i z widmem gwałtu ciążącym na ich znajomości.

Nie mogłam nic zrobić, objęłam ją mocniej i razem płakałyśmy nad tym, co utracone.

Kiedy wychodziłam, zapadał zmierzch. Nad linią kominów bladymi cętkami świeciły pierwsze gwiazdy. W kieszeni miałam list napisany ręką Mary, prawowite świadectwo wydarzeń poprzedniej nocy. W chwili, gdy dokument ten trafi w ręce odpowiednich władz, pozbedziemy się przynajmniej kłopotów z policją. Niestety w żadnym stopniu nie uwolni nas to od pozostałych wiszących nad nami plag.

Tym razem, świadoma niebezpieczeństwa, bez sprzeciwu przyjąłam ofertę pani Hawkins. Bez szczególnego entuzjazmu zaproponowała, żebym wraz z Fergusonem skorzystała z ich powozu.

Cisnęłam kapelusz na stolik w przedśionku. Mój wzrok padł na dużą ilość liścików i maleńkich bukietów, które przepełniały tacę na korespondencję. Najwyraźniej nie byliśmy jeszcze pariasami, jakkolwiek wieść o skandalu z pewnością już dawno obiegła kręgi towarzyskie Paryża.

Zbyłam dociekliwe pytania służby i udałam się prosto do sypialni. Po drodze zrzucałam kolejne warstwy ubrań. Byłam zbyt zmęczona, żeby się czymkolwiek przejmować.

Gdy otworzyłam drzwi, zobaczyłam Jamiego. Spał na krześle na wprost kominka.

Moja apatia prysła jak bańka mydlana, ustępując miejsca fali czułości. Miał zamknięte oczy, zmierzwił

włosy sterczały na wszystkie strony. Widać, że nad czymś rozmyślał.

Przebudził się, gdy weszłam. Uśmiechnął się łagodnie. W ciepłym świetle świec zaiskrzyły jasne błękitne oczy.

– Wszystko w porządku – wyszeptał i wziął mnie w ramiona. – Jesteś już w domu.

A potem tylko milczeliśmy. Rozebraliśmy się nawzajem i chroniąc się w sanktuariach naszych ciał, położyliśmy się w niemym uścisku.

21

PRZEDWCZESNE ZMARTWYCHWSTANIE

Powóz już podjeżdżał pod wynajętą rezydencję księcia, przy rue St. Anne, a ja wciąż myślałam o bankierach. Dom był okazały i piękny, prowadziła do niego kręta droga, wysadzana topolami i otoczona rozległym placem. Bogacz z księcia, pomyślałam.

– Sądziś, że pieniądze, które Karol zainwestował wraz z St. Germainem, to pożyczka od Manzettiego? – spytałam.

– Pewnie tak – odparł Jamie. Zakładał rękawice ze świńskiej skóry, odpowiedni dodatek do stroju na oficjalną wizytę. Lekko się krzywił, rozciągając napiętą materię na zeszytniałym serdecznym palcu prawej ręki. – Jego ojciec myśli, że syn przeznaczył te pieniądze na życie w Paryżu.

– Więc Karol naprawdę zamierza zebrać fundusze na armię. – Poczulałam pewien podziw dla następcy tronu. Powóz zatrzymał się, woźnica zeskoczył, by otworzyć drzwi.

– A przynajmniej zamierza zebrać fundusze – poprawił Jamie. Pomógł mi wysiąść z karety. – Coś mi się zdaje, że chce uciec z Luizą de La Tour i jej bękartem.

Pokręciłam głową.

– Nie sądzę. Z wczorajszej rozmowy z mistrzem Raymondem wynika co innego. Poza tym Luiza twierdzi, że nie widziała księcia od czasu, kiedy ona i Jules...

Jamie parsknął.

– W takim razie ma choć trochę honoru.

– Nie wiem, czy o to chodzi. – Wzięłam Jamiego pod ramię. Wchodziliśmy po schodkach do drzwi wejściowych. – Powiedziała, że Karol był na nią wściekły, że poszła z mężem do łóżka. Wypadł, trzasnął drzwiami i zniknął. Od czasu do czasu pisze do niej namiętne liściki. Przyrzeka, że wróci i zabierze ją wraz z dzieckiem na swoje ziemie. Ale ona nie chce go widzieć. Za bardzo się boi, że Jules odkryje całą prawdę.

Jamie burknął coś z dezaprobatą po szkocku.

– Boże, czy istnieje na świecie mężczyzna, który nie jest rogiem?

Delikatnie pogłaskałam go po ramieniu.

– Owszem, powiem więcej. Wśród mężczyzn nie zdradzani stanowią przytłaczającą większość.

– I ty w to wierzysz? – Uśmiechnął się do mnie z góry.

Drzwi otworzyły się na oścież. Pojawił się w nich niski, baryłkowaty i łysy szef służby domowej. Stał przed nami w szalenie dostojnej pozie, ubrany w nieskazitelny strój.

– Milordzie... – Ukłonił się Jamiemu. – Milady.

Księżę was oczekuje. Proszę wejść.

Jego Wysokość przywitał nas z wszystkimi honorami w głównym salonie.

– Nonsens, nonsens – powtarzał, gdy Jamie usiłował przeproszać za niefortunne wypadki podczas przyjęcia. – Ci Francuzi to okropnie drażliwi ludzie. Zawsze stroją jakieś fochy. A teraz, jeśli pozwolicie, zaczniemy już rozmowę na temat pewnych fascynujących propozycji. Być może w tym czasie milady zechciałyby... hmm... rzucić okiem na... mm? – Niepewnym gestem wskazał ścianę, gdzie znajdowało się wiele cennych dzieł. Mogłam, wedle uznania, popatrzeć na kilka olbrzymich obrazów, dobrze wyposażone półki z książkami albo na oszklone szafki z pokaźną kolekcją tabakierok księcia.

– Dziękuję – bąknęłam i posłałam mu czarujący uśmiech. Wolnym krokiem podeszłam do ściany. Udawałam, że jestem bez reszty pochłonięta podziwianiem olbrzymiego aktu kobiecego, namalowanego przez Bouchera. Malowidło przedstawiało pulchną kobietę, siedzącą na kamieniu w puszczy. Patrząc na obfite kształty, zrozumiałam, dlaczego Jamiemu tak bardzo podobają się moje biodra. Im były szersze, tym ładniejsze.

– Ho, ho! – mruknęłam. – Ile pieniędzy trzeba wydać na materiał na suknie dla tak potężnej damy.

– Słucham? – powiedzieli chórem Jamie i księżę, podnosząc wzrok znad teczek z dokumentami, które stanowiły oficjalny powód naszej wizyty.

– Proszę nie zwracać na mnie uwagi – bąknęłam i nerwowo pomachałam rękami. – Ja tylko podziwiam sztukę.

– Sprawia mi pani niebywałą przyjemność – rzekł szarmancko książę i znów całą uwagę skupił na dokumentach. Jamie przystąpił do nudnego i pracochłonnego zadania.

Dyskretnie wyłapywał informacje – o ile książę był łaskaw się nimi dzielić – dotyczące sprawy Stuarta.

Ja miałam własny cel wizyty. Gdy mężczyźni pograżyli się w rozmowie, powoli zaczęłam się wycofywać w kierunku drzwi. Udawałam zainteresowanie zbiorami zdobiącymi półki. Zamierzałam wymknąć się natychmiast, jak tylko nadarzy się po temu okazja, i poszukać Aleksa Randalla. Robiłam, co mogłam, by naprawić krzywdę wyrządzoną Mary Hawkins.

Reszta należała do uduchowionego młodzieńca. Zgodnie z obowiązującą etykietą nie mógł odwiedzić panny w domu wuja ani też jej nie wypadało z nim się kontaktować.

Postanowiłam więc umożliwić im spotkanie przy rue Tremoulins.

Dochodziłam już do drzwi. Dobiegał mnie tylko konspiracyjny szept rozmowy.

Wychyliłam głowę na korytarz. Nie zauważyłam żadnego lokaja. Wiedziałam, że mimo wszystko jeden nich powinien lada moment pojawić się na horyzoncie. Tak duży dom z pewnością był obsługiwany przez tuziny personelu. Potrzebowałam wskazówek, by w labiryncie korytarzy odnaleźć Aleksandra Randalla. Ruszyłam przed siebie, szukając sługi, którego mogłabym zapytać o drogę.

Zdawało mi się, że coś mignęło na końcu holu. Zawołałam. Nikt nie odpowiedział.

Usłyszałam za to, że ktoś się ukradkiem przemyka po lakierowanych deskach.

Tak na pewno nie zachowuje się służący, pomyślałam. Przystanąłam i rozejrzałam się dokoła. Na prawo znajdował się kolejny korytarz. Po jednej stronie znajdował się rząd drzwi, po drugiej rząd szerokich okien wychodzących na podjazd i ogród. Prawie wszystkie drzwi były zamknięte, ale najbliższe zdawały się lekko uchylone.

Po cichu podeszłam parę kroków i przyłożyłam do nich ucho. Cisza. Chwyciłam za klamkę i odważnie popchnęłam drzwi.

– Na Boga! Co ty tu robisz? – wykrzyknęłam zaskoczona.

– Och! Przestraszyłaś mnie! Boże, myślałam, że umrę. – Mary Hawkins skrzyżowała dłonie na piersiach. Twarz jej pobladła, w wytrzeszczonych oczach odmalowało się przerażenie.

– Nie umrzesz – zapewniłam. – Chyba że twój wuj odkryje, że tu jesteś. Wtedy na pewno cię zabije. A może on wie?

Pokręciła głową.

– Nie. N-n-nikomu n-n-nic nie powiedziałam. Przyjechałam wynajętym powozem.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Rozejrzała się dokoła jak wystraszone zwierzątko, które szuka sposobu ucieczki, a nie mogąc go znaleźć, kurczy się w sobie i zaciska zęby.

– Musiałam odnaleźć Aleksa i z nim porozmawiać. Przekonać się, cz-cz-czy on... – Kurczowo splatała dłonie. Widziałam, z jakim trudem przychodzi jej wykrztusić z

siebie słowa.

– Nieważne – powiedziałam zrezygnowana. – Rozumiem. Choć myślę, że twój wuj tego nie zrozumie. Książę chyba też. Jego Wysokość nie wie, że tu jesteś?

Znów pokręciła głową. Milczała.

– W porządku – bąknęłam zamyślona. – Cóż, najpierw musimy...

– Czy mogę ci towarzyszyć?

Mary trzęsa się jak osika. Czuję, że za chwilę moje oszalałe serce wyskoczy z piersi.

Przeklećci lokaje! Zawsze zjawiają się w nieodpowiednim miejscu i o niewłaściwej porze.

Nie pozostało nic innego, jak tylko robić dobrą minę do złej gry. Obróciłam się twarzą do sługi, który stał w drzwiach, sztywny, jakby połknął kij od szczotki. Minę miał poważną i podejrzliwą.

– Tak – odezwałam się z maksymalną godnością, na jaką było mnie stać. – Proszę powiedzieć panu Aleksandrowi Randallowi, że ma gości.

– Żałuję, ale nie mogę tego uczynić, łaskawa pani.

– Dlaczego?

– Dlatego, madame, że pan Aleksander Randall już nie pracuje dla Jego Wysokości – odpowiedział. – Został zwolniony. – Lokaj zerknął na Mary, spuścił głowę i zaraz ją podniósł, na tyle tylko, żeby móc wydobyć z siebie głos. – O ile mi wiadomo, monsieur Randall wsiadł na statek i z powrotem popłynął do Anglii.

– Nie! To niemożliwe! Nie mógł tak po prostu odjechać!

Mary ruszyła na oślep w kierunku drzwi. Nieomal

zderzyła się z Jamiem, który właśnie wchodził. Krzyknęła, a on wpatrywał się w dziewczynę zaskoczony.

– Co pani... – zaczął, ale zamilkł, gdy zobaczył, że stoję za jej plecami. – O, tu jesteś, Angielko. Znalazłem wymówkę, żeby cię odnaleźć. Jego Wysokość właśnie mi powiedział, że Aleks Randall...

– Wiem – przerwałam. – Wyjechał.

– Nie! – jęknęła Mary. – Nie! – Popędziła w kierunku drzwi i zanim zdążyliśmy ją powstrzymać, już była na zewnątrz. Gnała przed siebie. Obcasy głośno stuknęły o lakierowany parkiet.

– Co ty wyprawiasz, idiotko?! – Natychmiast zrzuciłam buty, podkasałam suknie i ruszyłam za nią biegiem. Boso, tylko w pończochach, biegłam znacznie szybciej od Mary. Pomyślałam, że może ją dogonię, zanim wpadnie na kogoś i zostanie złapana.

Wtedy naraziłaby się na kolejny wielki skandal.

W pewnym momencie kolorowa suknia Mary zniknęła za rogiem holu. Podłoga była tam wyłożona dywanem. Musiałam przyspieszyć. Nie słysząc kroków, nie wiedziałabym, w którą stronę pobiegła. Pochyliłam głowę. Szarżą pokonałam ostatni zakręt i...

zderzyłam z się nadchodzącym z naprzeciwnika człowiekiem.

Uderzyłam mężczyznę w sam środek brzucha. Wydobył z siebie pełne zaskoczenia „Uuuch!” i chwycił mnie obiema rękami, żebym nie upadła.

– Przepraszam – zaczęłam, z trudem łapiąc oddech. – Myślałam, że pan jest... O, Chryste Panie!

Moje pierwsze wrażenie, że napotkałam Aleksandra

Randalla, nie trwało dłużej niż ułamek sekundy. Tyle czasu potrzebowałam, by dojrzeć oczy. Widok ust wprowadził mnie bowiem w błąd. Kształt warg przypominał twarz Aleksa. Ale te chłodne oczy mogły należeć tylko do jednego człowieka.

Shok był tak wielki, że, paradoksalnie, po chwili wszystko wydawało się normalne.

W pierwszym odruchu zamierzałam przeprosić, przyjąc do wiadomości, że to on i kontynuować pościg. Chciałam pozostawić go w korytarzu tak, jak gdybyśmy po prostu spotkali się przez przypadek. A potem o nim zapomnieć.

Moje nadnercza natychmiast przeciwstawiły się temu odruchowi. Wstrzyknęły potężną dawkę adrenaliny w krwiobieg. Serce skurczyło się, jak zaciśnięta pięść.

Tymczasem on zdołał odzyskać miarowy oddech i zimną krew.

– Jestem skłonny podzielać pani sentymenty, choć sposób ich wyrażania nie całkiem mi odpowiada. – Wciąż ścisnął moje łokcie i trzymał mnie w niewielkiej odległości od siebie. Patrzył z ukosa, żeby w zacięonym korytarzu wyraźniej dostrzec twarz. Gdy moje rysy wyłoniły się z ciemności, w minie mężczyzny nagle ujrzałam szok rozpoznania.

– Do licha! To pani! – wykrzyknął.

– Myślałam, że pan już nie żyje! – Szarpnęłam ramionami, usiłując uwolnić się ze stalowego uścisku Jonathana Randalla.

Puścił jedną rękę i pogładził się po brzuchu, by złagodzić skutki uderzenia. Przyglądał mi się badawczo.

Smukłe, zgrabne, opalone ciało Randalla tryskało zdrowiem. Nie było na nim żadnego zewnętrznego śladu po tym, jak pięć miesięcy temu został stratowany przez trzydzieści ćwierćtonowych bestii. Nawet najmniejszej blizny po kopycie na czole.

– Miałem podobne, mylne przekonanie na temat pani stanu zdrowia. Może pani jest czarownicą? W końcu, najwyraźniej przemieniła się pani w wilka.

W twarzy Randalla malowały się na przemian dwa odczucia: wrogość i pełen uprzedzeń strach. Bądź co bądź, jeśli w mroźny zimowy wieczór napotka się stado wilków, to raczej można się spodziewać, że natychmiast rozszarpia człowieka na strzępy i zjedzą. Pocenie się dłoni i oszalały rytm serca ujawniały całą prawdę o tym, jak wstrząsająco podziałal na mnie nagły widok osoby, co do której żywiłam niezachwiane przekonanie, iż spoczywa w grobie. Podejrzywałam, że jemu również nieco zawirowało w głowie.

– A pani? Czy nie chciałaby się pani o tym przekonać?

Nagle odezwała się we mnie potrzeba rozdrażnienia Randalla, zakłócenia lodowatego spokoju. Najpierw, kiedy rozpoznałam znienawidzoną twarz, zawrzały we mnie emocje.

Trudno było wyodrębnić jakieś dominujące odczucie. Ale w tej chwili wyraźnie czułam pragnienie wytrącenia go z równowagi. Jego palce miażdżyły moje ramię, usta zacisnęły się. Bardzo intensywnie analizował sytuację.

– Więc to nie pańskie ciało słudzy Fletchera

wynieśli z lochu? – spytałam, gotowa skorzystać z jakiegokolwiek luki w jego opanowaniu. Naoczny świadek opisał mi scenę wynoszenia, jakiejś rozszarpanej szmacianej lalki, zbroczonej krwią z rozpędzonego tabunu bydła, które odwróciło uwagę od ucieczki Jamiego. Wszystko wskazywało na to, że chodziło o Randalla.

Kapitan uśmiechnął się niewesoło. Jeżeli był równie roztrzęsiony, jak ja, to doskonale się maskował. Miał nieco przyspieszony oddech, zmarszczki wokół ust i oczu wydawały się głębsze niż te, które pamiętałam, ale nie chwycił ustami tlenu tak łapczywie, jak wyjęta z wody ryba... i jak ja w tej chwili. Nabrałam w płuca możliwie dużo powietrza i usiłowałam oddychać przez nos.

– To był mój ordynans Marley. Ale... Wciąż nie odpowiada pani na moje pytania, więc dlaczego ja miałbym pani udzielać odpowiedzi? – Parę razy oszacował mnie wzrokiem od stóp do głów, starannie oceniając wygląd: jedwabną suknię, ozdoby we włosach, biżuterię, stopy w pończochach.

– Wyszła pani za Francuza, prawda? – spytał. – Zawsze podejrzewałem, że jest pani francuskim szpiegiem. Mam nadzieję, że nowo poślubiony mąż trzyma panią krótko, w przeciwieństwie do...

Słowa uwięzły mu w gardle. Podniósł wzrok na osobę, która właśnie za mną stanęła.

Jeśli chciałam Randalla zbić z tropu, to w tym momencie moja potrzeba była w pełni zaspokojona. Żaden odtwórca Hamleta na scenie nigdy nie reagował bardziej przekonującym przerażeniem na pojawienie się ducha niż to, które malowało się na arystokratycznej twarzy. Randall

głęboko wbił się paznokciami w moje ramię. Poczułam coś w rodzaju wstrząsu elektrycznego, jak gdyby przez jego ciało nagle popłynął prąd o wysokim napięciu.

Wiedziałam, co zobaczył za mną, i bałam się odwrócić. W korytarzu zapanowała dręcząca cisza. Nawet poszum kołysanych wiatrem koron cyprysów zdawał się jej częścią.

Brzmiała w uszach niczym dźwięcząca cisza fal uderzających o brzeg morza. Bardzo powoli uwolniłam rękę z uścisku. Jego dłoń bezwładnie opadła. Nie słyszałam nawet oddechu stojącej za mną osoby, choć zaczęłam wyławiać jakieś głosy z pokoju w przeciwległym końcu korytarza. Modliłam się, żeby te drzwi nie zostały otwarte. Za wszelką cenę usiłowałam sobie przypomnieć, czy Jamie miał przy sobie jakąś broń.

Ale natrafiłam na lukę w pamięci. Nagle olśniła mnie pokrzepiająca wizja jego małej, połyskującej w słońcu szpady z lakierowaną rękojeścią, zawieszanej w szafie na haku.

Oczywiście, miał jeszcze sztylet i mały nóż, który zwykł nosić w pończosze. Byłam przy tym całkowicie pewna, że gdyby przyszło mu walczyć, uznałby gołe ręce za wystarczający oręż. Trudno opisać, co się działo ze mną w tamtej chwili, gdy stałam pomiędzy nimi dwoma i w każdej sekundzie mogłam się spodziewać... Przerazenie ścisnęło mi gardło.

Ostrożnie odwróciłam się.

Stał całkiem nieruchomo, nie dalej niż metr ode mnie. Obok niego znajdowało się otwarte okno. Ciemne cienie igieł cyprysów migotały na Jamiem jak woda –

płynąca ponad leżącym na dnie kamieniem.

Zamiast twarzy zobaczyłam głaz. Wszelkie przejawy życia, o ile jeszcze tkwiły pod tą powłoką, skryte były gdzieś głęboko. Szeroko otwarte oczy patrzyły bez wyrazu, jak gdyby dusza, której są odbiciem, dawno temu uleciała z ciała.

Jamie nic nie mówił. Po jakimś czasie wyciągnął w moją stronę rękę. Na moment zawisła w powietrzu, zanim w końcu chwyciłam ją mocno. Była zimna i sztywna. Moja dłoń przywarła do niej jak deska przybita gwoździem do belki.

Przyciągnął mnie blisko do siebie, chwycił za ramię i bez słowa, z kamienną twarzą obrócił ku sobie. Gdy doszliśmy do zakrętu korytarza, usłyszeliśmy głos Randalla.

– Jamie – zawołał ochrypłym z przerażenia głosem, w którym pobrzmiwało niedowierzanie i błaganie jednocześnie.

Jamie zatrzymał się i odwrócił, by na niego spojrzeć. Twarz Randalla była blada jak oblicze ducha, z wyjątkiem czerwonych plam na policzkach. Zdjął perukę, zacisnął pięści.

Pot przylepił bujne, czarne włosy do skroni.

– Nie. – Głos znad mojej głowy zabrzmiał cicho, niewyraźnie. Spojrzałam w górę. Na twarzy Jamiego nie dojrzałam żadnych uczuć. Tylko na szyi widać było gwałtowne pulsowanie żył, a powyżej kołnierzyka żarzyła się czerwona, trójkątna plama.

– Nazywam się lord Broch Tuarach – powiedział ze szkockim akcentem. – I nigdy więcej nie zwrócisz się do

mnie w inny sposób. Aż do chwili, gdy na ostrzu szpady zaczniesz błagać, żeby ci darować życie. Wtedy możesz użyć mojego imienia, bo będzie to ostatnie słowo, jakie wypowiedzą twoje usta.

Odwrocił się gwałtownie. Wprawiona w ruch peleryna przysłoniła mi widok Randalla. Skręciliśmy w inny korytarz.

Powóz wciąż czekał za bramą. Bałam się spojrzeć Jamiemu w twarz. Weszłam do środka i zajęłam się układaniem fałd żółtego jedwabiu wokół nóg. Trzasnęły drzwiczki.

Pojazd ruszył z takim szarpnięciem, że aż straciłam grunt pod nogami. Z hukiem opadłam na siedzenie.

Szamocząc się i klnąc, z trudem uklęknęłam na ławeczce. Wyrzłam przez tylną szybę.

Już go nie było widać. Na drodze nie poruszało się nic, prócz rozkołysanych cieni cyprysów i topól.

W dzikim szale załomotałam o dach powozu. Woźnica nic sobie z tego nie robił i tylko krzyczał, poganiając konie. O tej porze nie było zbyt dużego ruchu. Przemykaliśmy przez wąskie uliczki, jakby gonił nas sam diabeł.

Kiedy zatrzymaliśmy powóz na rue Tremoulins, natychmiast wyskoczyłam ogarnięta paniką i wściekłością.

– Dlaczego się nie zatrzymałeś? – spytałam stangreta. Wzruszył ramionami. Trwał jak kamień na swym siedzeniu.

– Pan rozkazał mi natychmiast panią zawieźć do domu, madame. – Uniósł bat i lekko dotknął nim zadu konia.

– Czekaj! – zażądałam. – Chcę wracać! – Skulił się. Udawał, że mnie nie słyszy.

Powóz pośpiesznie odjechał z klekotem.

Dysząc z bezradności, skierowałam się w stronę drzwi. W progu pojawiła się drobna postać Fergusa. Na mój widok chłopiec pytająco uniósł wąskie brwi.

– Gdzie Murtagh? – rzuciłam. Jedyne ten niewysoki mężczyzna, członek klanu, mógł odnaleźć i powstrzymać Jamiego.

– Nie wiem, madame. Może tam? – Chłopiec skinął głową w kierunku rue Gamboge, gdzie znajdowało się kilka tawern, różnych pod względem klasy, począwszy od całkiem przyzwoitych po speluny blisko rzeki, do których nawet uzbrojony mężczyzna bałby się sam wejść.

Położyłam dłoń na ramieniu Fergusa. Potrzebowałam wsparcia, dosłownie i w przenośni.

– Biegnij i znajdź go, Fergusie. Tak szybko, jak tylko potrafisz!

Zaniepokojony tonem mojego głosu zeskoczył ze schodków i zniknął, zanim zdążyłam dodać: „Uważaj!”. Mimo wszystko on lepiej niż ja znał najbiedniejsze dzielnice Paryża.

Nikt nie potrafił przemykać się przez knajpiany tłum lepiej od byłego złodziejzka.

Przynajmniej miałam taką nadzieję, że już mogę go określić słowem „były”.

Ale potrafiłam skutecznie martwić się tylko o jedną rzecz w danym momencie. Obraz Fergusa, schwytanego i powieszzonego, ustąpił przed wizją, którą wywołały pożegnalne słowa Jamiego skierowane do Randalla.

Na pewno nie wrócił do domu księcia – przekonywałam siebie. Nie miał przy sobie szpady. Bez względu na to, co czuł, niemożliwe, by postąpił pochopnie. Widywałam go już wcześniej w walce. Jego logiczny sposób myślenia – chłodny i wyważony, pozbawiony emocji zakłócających trzeźwość oceny sytuacji. Przynajmniej z tego względu z pewnością będzie się trzymał etykiety. Odnajdzie sztywny przepis na eliksir zaspokajający żądzę zemsty i dzięki temu obroni się przed odruchowym, biologicznym zewem krwi.

Zatrzymałam się w przedpokoju. Mechanicznie zrzuciłam z siebie płaszcz. Stałam przed lustrem, żeby poprawić fryzurę. Myśl, Beauchamp, cicho ponaglałam blade odbicie w lustrze. Jeśli Jamie zamierza stoczyć pojedynek, o jakiej rzeczy pomyśli najpierw?

O szpadzie? Nie. Jego własna została na górze, wisi w szafie. Bez trudu mógłby jakąś pożyczyć. Też nie. Jamie nie przystąpiłby do najważniejszego pojedynku w życiu z jakąkolwiek inną bronią niż własna. Jego wuj, Dougal MacKenzie, podarował mu ją, gdy Jamie miał siedemnaście lat. Dougal nadzorował lekcje władania szpadą, uczył siostrzeńca różnych sztuczek i zręcznego trzymania oręża w lewej dłoni. Godzinami zmuszał młodzieńca do ćwiczeń na lewą rękę, aż ten pewnego dnia powiedział mu, że czuje, iż ostrze hiszpańskiego metalu ożywa i staje się przedłużeniem jego ramienia, a rękojeść częścią dłoni. Jamie wyznał, że bez szpady czuje się nagi. A czekająca go walka z pewnością nie należała do tych, na których mógłby się stawić bez „szaty”.

Nie, jeśli natychmiast potrzebowałby tej broni,

przyjechałby do domu. Niecierpliwie przyglądałam dłonią włosy. Usiłowałam zebrać myśli. Matko, jaki jest regulamin pojedynków? Co się dzieje przed przystąpieniem do walki? Oczywiście – trzeba rzucić wyzwanie. Czy wystarczyłyby słowa Jamiego wypowiedziane w korytarzu? Niewiele wiedziałam na temat policzków wymierzonych rękawicą, a już na pewno nie miałam zielonego pojęcia, czy rzeczywiście istniał taki zwyczaj, czy też był to wytwór wyobraźni autorów filmów.

Nagle doznałam olśnienia. Najpierw wyzwanie, potem trzeba wyznaczyć pole walki – odpowiednio usytuowane miejsce, jak najmniej narażone na patrole policji bądź gwardii królewskiej. A więc: rzucić wyzwanie i ustalić miejsce. Brakowało drugiego elementu.

Aha! W takim razie, właśnie po to poszedł: by zrealizować punkt numer dwa. Murtagh.

Nawet jeśli Jamie znalazł Murtagha, zanim udało się to Fergusowi, nadal pozostawała otwarta kwestia formalności, które trzeba dopełnić. Zaczęłam nieco lżej oddychać, chociaż moje serce wciąż waliło jak młotem, a gorsety nadal wydawały się za ciasne. Rozwiązałam wstążki bielizny, rozluźniłam koronki i wzięłam głęboki oddech.

– Nie wiedziałem, że masz zwyczaj rozbierania się w korytarzu. Gdybym był tego świadom, pozostałbym w salonie. – Za moimi plecami zabrzmiał ironiczny, zaciągający po szkocku głos.

Obróciłam się w tempie błyskawicy. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi.

Mężczyzna, który stanął w drzwiach salonu z

rozłożonymi rękami, był potężnej postury, prawie tak solidnej, jak Jamie. Poruszał się z identycznym, wojskowym wdziękiem, podobnie jak Jamie rozsiewał wokół siebie aurę chłodnego dystansu. Ale w przeciwieństwie do niego miał ciemne włosy, a głęboko osadzone oczy kolorem przypominały przygaszoną zieleń liści. Przede mną nagle wyrósł Dougal MacKenzie, jakby przywołany nieostrożną myślą. Wywołałam wilka z lasu.

– Na litość boską, co tu robisz? – Ustępował szok, ale serce jeszcze nie zdążyło się uspokoić. Od śniadania nic nie jadłam i nieoczekiwanie zakołysał mną zawrót głowy.

Postąpił krok naprzód, chwycił mnie za ramię i pociągnął w stronę krzesła.

– Siadaj – powiedział. – Chyba nie czujesz się aż tak źle, jak wyglądasz?

– Jesteś bardzo spostrzegawczy – odparłam. Przed oczami migotały mi małe gwiazdki, na obrzeżach pola widzenia unosiły się czarne plamy. – Przepraszam za kłopot – powiedziałam grzecznie i zwiesiłam głowę między kolanami.

Jamie, Frank, Randall, Dougall. Twarze przemykały w mojej głowie jak obrazki w kalejdoskopie. Imiona dźwięczały mi w uszach. Miałam mokre od potu dłonie.

Wcisnęłam je pod ramiona i zacisnęłam skrzyżowane ręce, żeby przestać drżeć z nerwów.

Najważniejsze było to, że Jamie nie stanie natychmiast przed obliczem Randalla. Zostało mało czasu na myślenie, na podjęcie środków zaradczych. Ale jakich? Pozwoliłam podświadomości zmagać się z tym pytaniem i zmusiłam oddech do zwolnienia tempa.

Skupiłam uwagę na rzeczach bardziej przyziemnych.

– Chciałabym jeszcze raz zapytać – wycedziłam. – Co tutaj robisz?

Ciemne brwi uniosły się błyskawicznie.

– Czy muszę mieć jakiś powód, żeby odwiedzić krewnego?

Poczułam, że coś mnie ściska za gardło, ale przynajmniej dłonie przestały mi drżeć.

– Biorąc pod uwagę pewne okoliczności, to tak – odparłam. Nie zważając na rozwiązane gorsety, wstałam i sięgnęłam po karafkę z brandy. Dougal wziął szklankę z tacy i nalał mi tyle, ile zmieściłoby się na łyżeczce do herbaty. Spojrzał na mnie ze zrozumieniem i dołął jeszcze drugą niewielką porcję.

– Dzięki – powiedziałam ironicznie.

– Jakie okoliczności? Co masz na myśli? – Nie czekając na odpowiedź ani na pozwolenie, spokojnie nalał sobie brandy do innego kielicha i wzniósł zwyczajowy toast:

– Za Jego Królewską Mość.

Wykrzywiłam usta.

– Chyba chodzi o króla Jakuba? – Pociągnęłam łyk alkoholu. Gorące, aromatyczne opary zaszczypały mnie w oczy. – Czy fakt, iż przebywasz w Paryżu, oznacza, że nawróciłeś swojego brata, Columa, na twoją filozofię? – Na krótki czas Dougal MacKenzie stał się jakobitą, ale to właśnie Colum był przywódcą MacKenziech w Leoch.

Z chorymi nogami Colum nie mógł dłużej prowadzić klanu do boju. Dougal został więc dowódcą na

czas wojny. Mimo że Dougal wiódł ludzi na pole walki, to właśnie Colum sprawował rzeczywistą władzę i decydował, czy i kiedy bitwa ma się odbyć.

Dougal zignorował pytanie. Opróżnił kielich i natychmiast sobie dołał trunku.

Delektował się pierwszym łykiem. Bawił się płynem w ustach. Gdy w końcu przełknął, zliżał z warg ostatnią kroplę.

– Niezła – pochwalił. – Muszę trochę wziąć ze sobą dla Columa. Potrzebuje czegoś odrobinę mocniejszego niż wino, żeby łatwiej zasypiać w nocy.

Tak naprawdę była to okrężna odpowiedź na moje pytanie. Wynikało z tego, że Colum powoli się stacza. Zawsze wieczorem pokrzepiał się winem, by uśmierzyć fizyczny ból. Wino miało mu pomagać w zasypianiu, ale już nie wystarczało. Potrzebował brandy.

Zastanawiałam się, ile czasu mu zajmie dochodzenie do etapu, kiedy będzie zmuszony uciec się do opium, by złagodzić cierpienie.

W chwili, gdy to się stanie, nastąpi kres jego faktycznego panowania nad klanem.

Pozbawiony sił fizycznych nadal miał jeszcze moc podejmowania decyzji – dzięki sile charakteru. Ale jeśli ból i nadużywanie środków odurzających sprawią, że postrada zmysły, klan zyska nowego przywódcę w osobie Dougala.

Przyglądałam się potężnemu Szkotowi przez szkło kielicha. Bez żenady odwzajemnił moje spojrzenie. Tylko na szerokich ustach, charakterystycznych u MacKenziech, pojawił się lekki uśmiezek. Dougal był z twarzy bardzo podobny do brata i siostrzeńca. Miał ostre rysy, szerokie,

wysoko osadzone kości policzkowe i długi, prosty nos, który wyglądał jak ostrze noża.

Jako osiemnastolatek Dougal przysięgał, że będzie wspierał przywództwo brata i prawie przez trzydzieści lat wiernie dotrzymywał danego słowa. Wiedziałam również, że nadal będzie wierny przywódcy aż do śmierci Columa bądź do czasu, kiedy brat nie zdoła dalej pełnić swej funkcji.

Tego dnia korona wodza przejdzie na głowę Dougala, a członkowie klanu MacKenziech będą podążać tam, gdzie następca ich poprowadzi – za szkockim krzyżem i chorągwiami króla Jakuba, pod dowództwem księcia Karola Stuarta.

– Okoliczności? – Nawiązałam do wcześniejszego pytania. – Cóż, odwiedzanie człowieka, którego wcześniej zostawiło się na pewną śmierć, a żonę próbowało uwieść, chyba nie jest w najlepszym guście.

Nie nazywałyby się Dougal MacKenzie, gdyby w tym momencie się nie roześmiał. Nie wiedziałam, w jaki sposób można tego człowieka wyprowadzić z równowagi, ale miałam nadzieję, że za chwilę uda mi się wreszcie tego dokonać.

– Uwiedzenie? – spytał i skrzywił się ironicznie. – Proponowałam ci małżeństwo.

– O ile dobrze pamiętam, zamierzałeś mnie zgwałcić – odparłam buńczucznie.

Rzeczywiście, minionej zimy siłą chciał mnie skłonić do ożenku, a wcześniej odmówił pomocy w uratowaniu Jamiego z więzienia Wentworth. Nadrzędnym motywem tych poczynań była chęć zagarnięcia posiadłości

Jamiego. Lallybroch po śmierci męża należałoby do mnie. Jednak nie pogardziłby również pomniejszymi korzyściami z tego małżeństwa, ot, choćby regularnym rozkoszowaniem się moim ciałem.

– A co do pozostawienia Jamiego w więzieniu – kontynuował, jak zwykle mnie ignorując – to wydawało się, że nie ma sposobu, by go stamtąd wydostać, a nie było sensu ryzykować cennego, ludzkiego życia w daremnych próbach. Nikt by tego nie zrozumiał lepiej niż on sam. A jako krewny miałem obowiązek zaoferować opiekę jego żonie na wypadek, gdyby zmarł. Byłem dla tego chłopaka jak ojciec, prawda? – Przechylił do tyłu głowę i opróżnił kielich.

Również wlałam do ust spory łyk ze swego szkła i szybko przełknęłam, żeby się nie zachłysnąć. W gardle i przetyku mnie paliło policzki, były coraz bardziej rozognione. Miał rację. Jamie nie winił wuja za odmowę wdarcia się do więzienia Wentworth i nie spodziewał się, że ja zechcę to zrobić. Naprawdę cudem mi się udało. Pokrótce opowiedziałam Jamiemu o małżeńskiej propozycji Dougala, ale nie próbowałam wyjaśniać zmysłowego aspektu tych zamierzeń. W końcu nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś spotkam Dougla.

Sprytny MacKenzie umiał wykorzystać nadarzającą się okazję. Wiedząc, że Jamie niedługo będzie powieszony, nawet nie czekał na egzekucję wyroku. Od razu chciał „zaopiekować się” mną i posiadłością. Jeśli... Nie, poprawiłam się, kiedy Colum umrze bądź stanie się niepoczytalny, Dougal w ciągu tygodnia przejmie pełnię władzy nad klanem MacKenziech. A jeśli Karol Stuart

zyska poparcie, Dougal stanie u jego boku. Ma już przecież pewne doświadczenie w rządzeniu zza tronu.

Rozmyślając nad tym, wysączyłam ostatnie krople brandy. Colum załatwił we Francji interesy, głównie związane z winem i tarcicą. To one stanowiły dla Dougala pretekst do złożenia wizyty w Paryżu. Możliwe, że nawet były głównym jej powodem. Ale wiedziałam, że kierowały nim również inne motywy. A jednym z nich prawie na pewno była obecność w stolicy księcia Karola.

Tak spotkanie z Dougalem MacKenziem zawsze stymulowało procesy myślowe.

Wynikało to ze zwykłej konieczności odgadywania, co też w danym momencie może zaprzętać myśli przebiegłego Szkota. Jego obecność, jak również spora dawka portugalskiej brandy, stanowiły dla mnie inspirację. W mojej podświadomości zrodził się nowy pomysł.

– Cóż, mimo wszystko cieszę się, że tu w tej chwili jesteś – powiedziałam, odstawiając pusty kielich na tacę.

– Czyżby? – Z niedowierzaniem uniósł gęste, czarne brwi.

– Tak. – Wstałam i wskazałam ręką korytarz. – Przynieś mi płaszcz, a ja w tym czasie poprawię gorset. Chcę, żebyś poszedł ze mną na commissariat de police.

Otworzył usta w oszołomieniu. Poczułam w sercu pierwsze, blade promyki nadziei.

Jeśli udałoby mi się wziąć Dougala MacKenziego przez zaskoczenie, z pewnością zdołałabym powstrzymać pojedynkę.

– Nie zechciałabyś mi zdradzić, co najlepszego wyprawiasz? – dopytywał się Dougal, gdy nasz powóz

okrażał Cirque de Mreille. O mało nie zderzyliśmy się z nadjeżdżającym z przeciwka powozikiem oraz wozem pełnym skrzynek z warzywami.

– Nie – odparłam krótko. – Ale będę musiała. Wiedziałaś, że Jack Randall wciąż żyje?

– Nie słyszałem, żeby umarł – odpowiedział logicznie.

Na chwilę odebrało mi mowę. Ależ oczywiście, miał rację. To my myśleliśmy, że Randall nie żyje. Sir Marcus MacRannoch w czasie ucieczki Jamiego z więzienia Wentworth pomylił zmasakrowane zwłoki ordynansa Randalla z samym kapitanem.

Naturalnie, żadne wieści na temat śmierci Randalla nie dotarły do Szkocji, ponieważ dowódca angielskich dragonów nie pożegnał się z tym światem. Usiłowałam poukładać rozproszone myśli.

– Nie umarł – powiedziałam. – Jest w Paryżu.

– W Paryżu? – Ten fakt zwrócił jego uwagę. Dougal uniósł brwi. Jego oczy szeroko się otworzyły, oświecone jakąś nową myślą. – Gdzie Jamie? – spytał gwałtownie.

Ucieszyłam się, że zainteresował się głównym punktem. Nie wiedział wprawdzie, co zaszło pomiędzy siostrzeńcami a kapitanem w więzieniu Wentworth, ale wystarczająco dobrze znał ich wcześniejsze wyczyny, by nieomylnie przewidzieć pierwszy odruch Jamiego w momencie spotkania wroga z dala od sanktuarium Anglii.

– Nie wiem – odparłam, wyglądając przez okno. Przejeżdżaliśmy obok Les Halles.

Zapach ryb drażnił moje nozdrza. Wyciągnęłam perfumowaną chusteczkę i zakryłam nią buzię oraz nos.

Intensywny aromat rośliny, zwanej pomocnikiem bladaskowatym, którym ją obficie skropiłam, nie miał szans w zestawieniu z odorem unoszącym się znad tuzina straganów sprzedawców węgorki, ale odrobinę pomógł. Mówiłam przez warstwy pachnącego płótna. – Nieoczekiwanie spotkaliśmy dziś Randalla w pałacu księcia Sandringhama. Jamie odesłał mnie powozem do domu i od tamtej pory go nie widziałam.

Dougal nie zwracał uwagi ani na fetor, ani na okrzyki przekupek, zachwalających swój towar.

– Zamierza zabić tego człowieka?

Pokręciłam głową i wytłumaczyłam swój sposób rozumowania, w którym jedną z głównych ról odgrywała szpada.

– Nie mogę dopuścić do pojedynku! – powiedziałam, opuszczając chusteczkę, by moje słowa brzmiały wyraźnie. – Nie dopuszczę!

Dougal pokiwał głową bez przekonania.

– A, tak. To by było niebezpieczne. Co prawda nasz chłopak z łatwością dałby radę Randallowi. Rozumiem, moja szkoła – dodał z dumną miną. – Ale wyrok za pojedynkowanie się...

– O to właśnie chodzi – powiedziałam.

– W porządku – rzekł przeciągle. – Ale dlaczego jedziemy na policję? Chyba nie chcesz, by Jamie został przed faktem zamknięty w więzieniu. Własnego męża mogłabyś tak urządzić?

– Nie Jamiego – odparłam. – Randalla.

Dużą twarz rozjaśnił szeroki, lecz pełen powątpiewania uśmiech.

– Ach, tak. Jak zatem zamierzasz tego dokonać?

– Ja i moja przyjaciółka zostałyśmy wieczorem, parę dni temu zaatakowane – wyznałam, krzywiąc się na wspomnienie. – Mężczyźni mieli na twarzach maski. Ale jeden z nich wzrostem i posturą przypominał Jonathana Randalla. Powiem, że spotkałam dziś Randalla i rozpoznałam go jako jednego z napastników.

Dougal wystrzelił w górę brwi i ściągnął je w jedną linię. Obrzucił mnie chłodnym, oceniającym spojrzeniem. W jego głowie z pewnością zrodziły się jakieś nowe domysły.

– Chryste! Masz diabelską odwagę! Rabunek? O to chodziło? – spytał przyciszonym głosem. Mimo woli moje policzki oblały się rumieńcem wściekłości.

– Nie – wycedziłam przez zęby.

– Aha. – Oparł się o siedzenie powozu i nie odrywał ode mnie wzroku. – Ale nic ci się nie stało? – Wyrzuciłam przez okno, na ulicę. Wciąż czułam dotyk jego spojrzenia, od dekoltu sukni aż po krągłości bioder.

– Mnie nie – odparłam. – Ale moja przyjaciółka...

– Rozumiem. – Zamilkł na chwilę, zamyślił się i rzekł: – Nigdy nie słyszałaś o *Les Disciples** [*Uczniowie, zwolennicy.], prawda?

Gwałtownie obróciłam się w jego stronę. Przycupnął w rogu jak skulony kot.

Przyglądał mi się z przymrużonymi powiekami, bo słońce świeciło mu prosto w oczy.

– Nie. A co to takiego? – spytałam.

Wzruszył ramionami i usiadł prosto. Wpatrywał się w wyrastające przed nami olbrzymie budowle przy Quai

des Orfcvres. Wznosiły się, jak szary, posępny mur ponad połyskującą wodą Sekwany.

– Pewnego rodzaju stowarzyszenie młodych ludzi, należących do jednej społeczności, interesujących się rzeczami... jak by tu powiedzieć... niewłaściwymi.

– Tak to chyba odpowiednie określenie – stwierdziłam. – Co wiesz na temat *Les Disciples!*

– Tylko to, co słyszałam w miejskich tawernach – odparł. – Organizacja stawia przed swymi członkami wielkie wymagania, a cena inicjacji jest wysoka... W pewnym sensie...

– To znaczy? – Wyzywająco patrzyłam mu w oczy. Zanim odpowiedział, uśmiechnął się ponuro.

– Na przykład, błona dziewicza. Albo brodawki piersiowe męzatk. – Omiótł wzrokiem moje piersi. – Twoja przyjaciółka jest dziewicą, prawda? Bądź była.

Poczułam, że na zmianę jest mi to zimno, to znów gorąco. Wytarłam chusteczką i wcisnęłam ją w kieszeń płaszcza. Dłonie mi tak drżały, że musiałam dwa razy próbować, nim w końcu mi się to udało.

– Była. Co jeszcze słyszałeś? Czy wiesz, kto należy do *Les Disciples!*

Dougal pokręcił głową. Na jego skroniach, pośród rudawych włosów, w popołudniowym słońcu połyskiwały nitki srebra.

– Tylko plotki. Być może wicehrabia de Busca, najmłodszy syn Charmisse'a... hrabia St. Germain... Oho! Nic ci nie jest, dziewczyno?

Pochylił się i zaczął mi się przyglądać oszołomionym wzrokiem.

– Czuję się dobrze – odpowiedziałam, głęboko oddychając przez nos. – Wręcz znakomicie. – Wyciągnęłam chusteczkę i otarłam chłodny pot z czoła.

„Nie uczynimy paniom krzywdy, mesdames”. Ironiczny głos zabrzmiał echem w pamięci. Mężczyzna w zielonej koszuli był szczupły, średniego wzrostu, miał ciemne włosy i wąskie ramiona. Opis ten równie dobrze pasował do Jonathana Randalla, jak do hrabiego St. Germaina. Jednak czy zdołałabym rozpoznać głos? Czy to możliwe, by jakikolwiek normalny człowiek zaledwie dwie godziny po incydencie przy rue du Faubourg St. Honore usiadł wraz ze mną do stołu, jadł leguminę z łososia i prowadził grzeczną rozmowę?

Logicznie rzecz biorąc, dlaczego nie? Bądź co bądź, ja tak zrobiłam. I nie miałam żadnego powodu, by uważać hrabiego za normalnego człowieka, o ile plotki są zgodne z prawdą.

Powóz zwalniał, by się zatrzymać. Było mało czasu na przemyślenia. Za chwilę miałam sprawić, że człowiek odpowiedzialny za gwałt na Mary pozostanie na wolności.

Wzięłam głęboki oddech. Doszłam do wniosku, że życie jest najważniejsze, a sprawiedliwość musi poczekać na swoją kolej.

Woźnica zeskoczył z siedzenia i chwycił za klamkę u drzwi. Przygryzłam wargę i zerknęłam na Dougala MacKenziego. Lekko wzruszył ramionami i odwzajemnił spojrzenie. Oczami pytał, czego właściwie od niego chcę.

– Czy potwierdzisz moje zeznanie? – spytałam nagle.

Spojrzał w górę, na szary, kamienny blok przy Quai

des Orfcvres. Przez otwarte drzwi wpadła smuga jaskrawego, popołudniowego światła.

– Jesteś tego pewna? – spytał.

– Tak. – W ustach czułam piach.

Zsunął się po siedzeniu i wyciągnął rękę w moją stronę.

– Zatem, módl się do Boga, byśmy oboje nie wylądowali za kratkami.

W godzinę później wyszliśmy na opustoszałą ulicę przed commissariat de police.

Wcześniej odesłałam powóz do domu, żeby przypadkiem nikt ze znajomych nie zobaczył go przy Quai des Orfcvres. Pod stopami mieliśmy oblepione błotem kamienie. Idąc w pantoflach na wysokim obcasie, czułam się bardzo niepewnie.

– *Les Disciples* – mruknełam, gdy powoli przedzieraliśmy się wzdłuż brzegu Sekwany w stronę wież Notre Dame. – Czy naprawdę sądzisz, że hrabia St. Germain był jednym z tych mężczyzn, którzy... zaatakowali nas na rue du Faubourg St. Honore? – Zaczynałam drżeć ze zmęczenia i zdenerwowania... a także z głodu. Od śniadania nic nie jadłam.

Pod ręką czułam twarde ramię Dougala, ale nie byłam w stanie spojrzeć mu w twarz.

Całą uwagę musiałam skupić na swoich krokach. Skręciliśmy w rue Elise, gdzie kocie łby były lśniące, mokre i upaprane różnymi rodzajami brudu. Tragarz, dźwigający jakiś pakunek zatrzymał się tuż przed nami. Odchrząknął i głośno splunął pod moje stopy.

Zielonkawa flegma przywarła do krągłości

kamienia, nim w końcu powoli ześlizgnęła się w małą, błotnistą kałużę, która zapelniała dziurę po brakującym elemencie bruku.

– Hmm... – Dougal rozejrzył się dokoła w poszukiwaniu jakiegoś powozu do wynajęcia. W zadumie marszczył brew. – Nie mogę powiedzieć, że o kimkolwiek słyszałem gorsze rzeczy niż o kapitanie dragonów, ale dotychczas nie miałem okazji go spotkać.

Zerknął na mnie z góry.

– Nieźle sobie poczynasz – rzekł. – Najpóźniej za godzinę będą mieć Jacka Randalla w Bastylli. Jednak kiedyś wypuszczą go na wolność i zbytnio nie liczyłbym na to, że zapomni, dzięki komu znalazł się za kratkami. Chcesz, żebym z nim porozmawiał i przekonał go, by nie robił głupstw?

– Nie! Na Boga, trzymaj się od tego z daleka! – Mimo że obok nas z hukiem przejeżdżał po kocich łbach jakiś pojazd, mój krzyk zabrzmiał tak głośno, że zaskoczony Dougal uniósł brwi.

– W porządku. Jak chcesz – powiedział łagodnie. – Zostawię go tobie. Podejrzewam, że masz już swoje sposoby. – Spojrzył mi w oczy i uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Dam sobie radę. – Ani przez moment w to nie wątpiłam. Musiałam uporać się z tym zadaniem. Dlatego że wszystko, co powiedziałam Dougalowi, było szczerą prawdą.

A jednocześnie było tak dalekie od prawdy. Nie wahałabym się posłać Karola Stuarta i jego ojca do wszystkich diabłów. Poświęciłabym całą nadzieję

powstrzymania szaleńczego pędu księcia do władzy. Mogłabym nawet zaryzykować uwięzienie Jamiego, byle tylko uleczyć ranę, jaką zmartwychwstanie Randalla uczyniło w jego umyśle. Nawet pomogłabym zabić kapitana i czerpałabym z tego niezmierną radość, gdyby nie jedna rzecz. Taka, która wagą przewyższała i honor Jamiego, i jego męską dumę, i spokój nękaniej groźbą duszy. Frank.

Tego dnia kierowała mną tylko ta jedna myśl. Zawiodła mnie poza punkt, w którym porażka wydawała mi się czymś mile widzianym. Przez wiele miesięcy byłam przekonana, że Randall umarł bezdźwięcznie. Obawiałam się o życie Franka. Ale cały czas pocieszała mnie obecność na serdecznym palcu lewej ręki szczerozłotej obrączki.

W godzinach ciemnej nocy, kiedy w moje sny wkradały się wątpliwości, była dla mnie talizmanem. Dopóki ta obrączka jest na moim palcu, dopóty męzczyzna, który mi ją założył, będzie żył. Powtarzałam to sobie w nieskończoność.

Teraz już wiedziałam, dlaczego ten zimny krążek metalu ciągle błyszczał na mojej równie lodowatej ręce. Randall żył, wciąż mógł się ożenić i zostać ojcem dziecka, które przekaze życie Frankowi. Chyba że przedtem Jamie zabije swojego śmiertelnego wroga.

Nadjeżdżająca dorożka nie zatrzymała się na wołanie Dougala i tak blisko przemknęła obok nas, że błotnistą wodą ochlapała jedwabne pończochy wuja.

Dougal zrezygnował z posłania woźnicy soczystej wiązanki przekleństw. Tylko pomachał pięścią za oddalającym się powozem.

– No i co teraz? – spytał retorycznie.

Plama oblepionej śluzem płwociny pływała w kałuży u mych stóp, odbijając szare światło. Nieomal czułam na języku zimną, obrzydliwą maź. Wyciągnęłam dłoń i chwyciłam Dougala za ramię, twarde jak gałąź dębu, a mimo to dziwnie niestabilne. Raz po raz potężny Szkot wpychał mnie w chłodną, połyskującą, cuchnącą rybami, zamuloną strugę ścieków. Przed moimi oczami pojawiły się czarne plamy.

– Teraz na pewno zachoruję – odezwałam się po chwili.

Kiedy wróciłam na rue Tremoulins, słońce zaczynało już zachodzić. Kolana mi drżały, a wchodzenie po schodach do domu wymagało nie lada wysiłku. Natychmiast poszłam do sypialni i zdjęłam płaszcz. Zastanawiałam się, czy Jamie już wrócił.

Odpowiedź na to pytanie była twierdząca. Stałam w drzwiach jak wryta. Z trwogą oglądałam pokój. Na stole stało pudełko z lekarstwami. Na toalecie leżały rozłożone nożyce do cięcia bandaży – ładny bibelot, prezent od wytwórcy noży, który od czasu do czasu zaopatrywał L'Hopital des Anges. Rzeźbione rączki miały kształt bocianich głów, długie dzioby stanowiły ostrza nożyc. Połyskiwały w promieniach zachodzącego słońca, pośród chmury złotych, jedwabnych nitek.

Podeszłam kilka kroków w stronę toaletki. Jedwabiste, lśniące pasemka unosiły się pod wpływem wiatru, jaki robiłam fałdami sukni.

– Chryste! – wydyszałam ciężko. – A więc był tu i już go nie ma. Szpady też.

Grube, błyszczące pasma włosów leżały porozrzucane po stole, taborecie i podłodze.

Chwyciłam w garść obcięty pukiel. Czułam, jak wspaniałe, miękkie włosy wciskają się pomiędzy palce niczym nitki haftowanego jedwabiu. Zaczynał mnie ogarniać chłodny dreszcz paniki. Przebiegał po plecach, promieniując na całe ciało. Przypomniałam sobie, jak Jamie, siedząc na obrzeżu fontanny przed domem Rohanów, opowiadał mi o swoim pierwszym pojedynku w Paryżu.

„Przerwała się gumka, którą miałem związane włosy. Wiatr je rozwiewał, zasłaniały mi twarz. Prawie nie widziałem, co robię”.

Wolał nie ryzykować po raz drugi. Obcięte włosy stanowiły wystarczający dowód.

Oczami duszy widziałam metalowe ostrza, śmigające przy głowie, gdy obcinał rudą gęstwinę, która groziłaby ograniczeniem widoczności. Nic nie mogło go powstrzymać przed zabiciem Jonathana Randalla.

Nic, prócz mnie. Wciąż z puklem w ręku podeszłam do okna. Patrzyłam nieobecny wzrokiem, jak gdybym miała nadzieję, że Jamie pojawi się na ulicy. Ale rue Tremoulins tonęła w ciszy. Poruszały się jedynie cienie topól. Przy bramie po lewej stronie stał jakiś sługa i rozmawiał ze strażnikiem, który zawzięcie coś tłumaczył, używając gwizdka jako argumentu.

Z głębi domu docierały spokojne odgłosy rutynowych czynności służby przygotowującej obiad. Nie spodziewaliśmy się wieczorem żadnych gości, więc szykowano skromny posiłek.

Usiadłam na łóżku i zamknęłam oczy. Założyłam ręce na nabrzmiałym brzuchu.

Mocno ścisnęłam w dłoni pasemko włosów, jak gdybym mogła ocalić Jamiemu życie, jeśli tylko nie wypuszczę pukla z garści.

Czy zdążyłam na czas? Czy policja znalazła Jacka Randalla, zanim zrobił to Jamie?

A jeśli oni przybyli tam równocześnie bądź w chwili, gdy Jamie oficjalnie wyzywał Randalla na pojedynek? Potarłam małe pasemko pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. Ułożyłam końcówki w bukiet połyskujący kasztanem i bursztynem. Cóż, w każdym razie przynajmniej obaj są bezpieczni. Być może w więzieniu, ale i tak była to niewielka ofiara w porównaniu z pozostałymi groźbami.

A jeśli Jamie już wcześniej dopadł Randalla? Wyrzałam przez okno: szybko zapadał zmrok. Pojedyunki tradycyjnie odbywały się o świcie, ale nie byłam pewna, czy Jamie zechce czekać do rana. Może właśnie w tej chwili stoją naprzeciwko siebie, gdzieś z dala od ludzi, gdzie brzęk stali i okrzyki konania nie zwróciłyby niczyjej uwagi?

Będzie to ostateczna walka. Tylko śmierć jednego z tych dwóch mężczyzn może zniszczyć nienawiść. Kto umrze? Jamie? Czy Randall – a wraz z nim i Frank? Jamie prawdopodobnie był lepszym szermierzem, ale Randall, jako ktoś, kto został wyzwany na pojedynek, miał prawo wyboru broni. A celność strzału pistoletem nie tyle zależy od umiejętności strzelającego, ile od szczęścia. Tylko najlepsza broń palna dobrze trafia, lecz nawet ona nie jest

niezawodna – na przykład nie zawsze wystrzeli. Nagle przez myśl przemknęła mi wizja Jamiego. Leżał cicho, nieruchomo na trawie. Z pustego oczodołu wypływała krew, a pośród zapachów wiosny w Lasku Bulońskim unosił się swąd czarnego prochu.

– Co ty najlepszego wyprawiasz, Claire?

Tak gwałtownie uniosłam głowę, że aż przygryzłam sobie język. Oboje zdrowych oczu wpatrywało się we mnie znad ostrego jak nóż nosa. Nigdy przedtem nie widziałam Jamiego z tak krótko ściętymi włosami. Wyglądał obco. Masywne kości twarzy sterczały, a przez krótki, gęsty język włosów prześwitywała skóra głowy.

– Co ja najlepszego wyprawiam? – powtórzyłam. Przełknęłam ślinę, językiem zwilżyłam zaschnięte usta. – Siedzę tu z puklem twoich włosów w garści i zastanawiam się, czy jeszcze żyjesz, czy może pożegnałeś się z tym światem! Oto, co wyprawiam!

– Nie jestem martwy. – Otworzył szafę. Miał przy boku swoją szpadę, ale od czasu naszej wizyty w domu księcia przebrał się w inny strój. Teraz był ubrany w stary płaszcz, który zapewniał ramionom swobodę ruchów.

– Naprawdę? Zdążyłam to zauważyć – wycodziłam przez zęby. – Miło z twojej strony, że raczyłeś mnie o tym poinformować.

– Przyszedłem zabrać rzeczy. – Wyciągnął dwie koszule i pelerynę do ziemi. Rzucił ubrania na taboret. Zaczął przetrząsać szuflady komody w poszukiwaniu czystej bielizny.

– A dokąd, u licha, się wybierasz? – Gdy go ponownie zobaczyłam, nie miałam pojęcia, czego mogę

oczekiwać, ale z pewnością nie spodziewałam się takiego zachowania.

– Do zajazdu. – Zerknął w moją stronę i najwyraźniej doszedł do wniosku, że zasługuję na coś więcej niż dwa słowa wyjaśnienia. Obrócił się i popatrzył na mnie błękitnymi jak pogodne niebo, przenikliwymi oczami.

– Kiedy odesłałem cię powozem do domu, poszedłem się przejść, by uspokoić nerwy.

Potem wróciłem do domu, zabrałem szpadę i pojechałem do pałacu księcia, rzucić Randallowi oficjalne wyzwanie. Główny lokaj powiedział mi, że ten szczur został aresztowany.

Jego wzrok, pozornie utkwiony we mnie, był odległy jak głębie oceanu. Jeszcze raz przełknęłam ślinę.

– Udałem się do Bastylji. Tam się dowiedziałam, że pod przysięgą złożyłaś zeznania przeciwko Randallowi. Oświadczyłaś, że parę dni temu, w nocy, zaatakował ciebie i Mary Hawkins. Dlaczego, Claire?

Dłonie mi drżały. Upuściłam pukiel. Przygniecione uściskiem palców włosy bezładnie rozsypały się na udach.

– Jamie – zaczęłam drżącym głosem. – Nie możesz zabić Jacka Randalla.

Jego usta z jednej strony lekko się wykrzywiły.

– Nie wiedziałem, czy mam się wzruszyć twoją troską o moje bezpieczeństwo, czy się obrazić za brak zaufania do mnie. W każdym razie nie musisz się martwić. Mogę go zabić. I to z łatwością.– Ostatnie słowo wypowiedział bardzo cicho, z jadowitym podtekstem, pobrzmiwającym satysfakcją.

– Nie o to mi chodziło, Jamie!

– Na szczęście – kontynuował, jak gdyby mnie nie słyszał – Randall ma dowód, że tego wieczoru, kiedy został dokonany gwałt, przebywał w rezydencji księcia. Jak tylko policja przesłucha gości, którzy byli wtedy wraz z nim, i upewni się, że Randall jest niewinny, wypuszczą go na wolność. Do tego czasu będę w zajeździe. A później odszukam drania. – Wpatrywał się w szafę, ale tak naprawdę widział coś zupełnie innego. – Będzie na mnie czekał – rzekł prawie szeptem.

Wpakował koszule i bieliznę do torby podróżnej, a płaszcz przewiesił przez ramię.

Już zwrócił się w stronę drzwi, kiedy wyskoczyłam z łóżka i złapałam go za rękaw.

– Jamie! Na litość Boską! Jamie, posłuchaj! Nie możesz zabić Jacka Randalla. Nie pozwolę!

Popatrzył na mnie z góry pełnymi zaskoczenia oczami.

– Ze względu na Franka – wyjaśniłam. Puściłam rękaw i zrobiłam krok do tyłu.

– Frank – powtórzył, z wolna kręcąc głową, jak gdyby chciał się pozbyć uporczywego szumu w uszach. – Frank.

– Tak – jęknęłam. – Jeśli teraz zabijesz Jacka Randalla, wówczas Frank... nie będzie istniał. Jamie, nie możesz unicestwić niewinnego człowieka!

Jego twarz, zwykle koloru jasnobrązowego z czerwonawym odcieniem, stała się biała jak kartka papieru. Nagle czerwień policzków i uszu znów zapłonęła.

– Niewinnego człowieka?

– Frank jest niewinnym człowiekiem! Nie obchodzi mnie Jack Randall...

– A mnie obchodzi! – Porwał bagaż i ruszył w stronę drzwi, powiewając płachtą przewieszoną przez ramię płaszcz. – O, Jezu! Boże! Claire! Powstrzymujesz mnie przed dokonaniem zemsty na człowieku, który zmuszał mnie do tego, żebym był jego dziwką? Który rzucił mnie na kolana i poplamiony moją krwią kazał ssać kutasa?

Chryste, Claire! – Gwałtownie otworzył drzwi. Zanim zdążyłam go dogonić, był już w przedpokoju.

Na dworze zapadł zmrok, ale służący zapalili świece i przedpokój był rozjaśniony miękkim światłem. Chwyciłam Jamiego za rękę i ciągnęłam w swoją stronę.

– Jamie! Błagam!

Niecierpliwie wrywał ramię z mojego uścisku. Z trudem powstrzymałam łzy.

Złapałam za torbę i wyszarpnęłam mu ją z ręki.

– Proszę, Jamie! Poczekaj tylko rok! Dziecko, potomek Randalla, będzie poczęte w grudniu przyszłego roku. Potem to już wszystko jedno. Ale proszę, ze względu na mnie, wstrzymaj się jeszcze trochę!

Kandelabry, stojące na stole o złoconych brzegach, rzucały na odległą ścianę olbrzymie, falujące cienie. Tkwiąc nieruchomo z zaciśniętymi pięściami, zapatrzył się w nie, jakby wyrósł przed nim ogromny, straszny potwór o kamiennej twarzy.

– No tak – wyszeptał sam do siebie. – Jestem olbrzymem. Wielkim i silnym. Wiele mogę znieść. Tak, mogę to znieść. – Rzucił się na mnie z krzykiem. – Mogę

wiele znieść!

Ale czy muszę tolerować słabości wszystkich ludzi? Nie wolno mi mieć własnych?

Zaczął przechadzać się po korytarzu w jedną i drugą stronę, ciągnąc za sobą przeraźliwie cichy cień.

– Nie możesz mnie o to prosić! Ze wszystkich ludzi na świecie, ty jedna masz najmniejsze do tego prawo! Ty, która wiesz, co... co... – Dławił się z wściekłości.

Ze złością uderzał pięścią w ścianę, miażdżąc rękę o mur z wapienia. Niemy kamień przyjmował każdy cios.

Jamie odwrócił się, zatrzymał, popatrzył w moją stronę. Ciężko dyszał. Stałam jak głaz. Bałam się poruszyć i odezwać. Raz czy dwa razy szybko pokiwał głową.

Najwyraźniej podejmował jakąś decyzję. Ze świstem wyciągnął zza pasa sztylet i trzymał go przed moim nosem. Mówił spokojnym tonem, choć było widać, że wkłada w to nadludzki wysiłek.

– Wybieraj, Claire. On albo ja. – Gdy powoli obracał nóż, na błyszczącym metalu tańczyły płomienie świec. – Nie mogę żyć, jeśli on żyje. Jeżeli nie pozwolisz mi go zabić, to w tej chwili zabij mnie. Własną ręką! – Chwycił moją dłoń i przycisnął palce do rękonoży. Szarpnął zapięcie koronkowego żabotu, obnażając sobie szyję. Silnie podciągnął moją dłoń w górę.

Z całych sił odepchnęłam się, ale on przystawił ostrze noża do miękkiego zagłębienia powyżej mostka, tuż pod czerwoną szramą po nożu Randalla, którą miał od trzech lat.

– Jamie! Przestań! Natychmiast przestań! – Drugą dłoń zacisnęłam na jego nadgarstku i tak mocno, jak tylko

potrafiłam, szarpnęłam go za rękę, aż uwolniłam swoje palce z żelaznego uścisku. Nóż potoczył się po podłodze. Parę razy odbił się od kamiennej posadzki i miękko wylądował na obrzeżu perskiego dywanu, ozdobionego liściastym motywem. Tak jaskrawo widziałam rzeczywistość, jak to przytrafia się ludziom w najstraszniejszych chwilach. Zobaczyłam ostrze leżące nieruchomo na zakręconej gałązce wybornych, zielonych winogron, jak gdyby za chwilę miało ją ściąć i odłączyć grono od wzoru na dywanie, by potoczyło się do naszych stóp.

Stał przede mną, z pobladłą twarzą i płonącymi oczami. Chwyciłam go za ramię.

Wydawało się twarde niczym drewno.

– Proszę, uwierz mi. Błagam. Nie zrobiłabym tego, jeśli byłby jakiś inny sposób. – Drżąc, wzięłam głęboki oddech, by uspokoić oszalały rytm serca. – Jesteś mi winien życie, Jamie. Uratowałam cię niejedną raz, nawet więcej niż dwa razy. Ocaliłam przed powieszeniem w Wentworth i kiedy miałaś gorączkę w opactwie. Jesteś mi winien życie, Jamie!

Przez dłuższą chwilę przyglądał mi się w osłupieniu, zanim wreszcie odpowiedział:

– Rozumiem. I teraz upominasz się o spłatę długu?

– Jego oczy zarzyły się przejrzystym, niebieskim ogniem, który czasem można zobaczyć w samym sercu płomienia.

– Muszę! Skoro w żaden inny sposób nie mogę obudzić w tobie głosu rozsądku!

– Rozsądku? Aha! Nie. W tej chwili rozsądek nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. – Splótł dłonie za

plecami. Ścisnął sztywne palce prawej ręki w lewej dłoni.

Powoli odszedł ode mnie ze spuszczoną głową. Wolno kroczył przez całą długość korytarza.

Na ścianach wisiały obrazy. Niektóre były oświetlone od dołu – pochodniami bądź kandelabrami, inne od góry – złoconymi lichtarzami. Kilka mniej wybitnych dzieł ukrywało się w ciemnościach, pomiędzy lepszymi. Jamie przechadzał się powoli obok malowideł. Od czasu do czasu spoglądał w górę, jak gdyby prowadził dialog z namalowaną galerią postaci w perukach.

Korytarz prowadził przez całą długość pierwszego piętra. Zwieńczony był ogromnym witrażem. Na podłodze leżał dywan, a ściany pokrywała dekoracyjna tkanina. Jamie przeszedł od jednego końca do drugiego. Zawrócił z precyzją paradującego żołnierza i z powrotem przemierzył tę samą drogę, wciąż w powolnym, spokojnym rytmie. I tak w kółko.

Nogi mi drżały. Opadłam na fotel przy oknie. Jeden z wszędobylskich służących zbliżył się służalczo, by zapytać, czy madame nie życzy sobie wina lub ciasteczek. Gestem odprawiłam ciekawskiego, siłą się na grzeczność.

W końcu Jamie zatrzymał się przede mną. Stał z szeroko rozstawionymi nogami, na których miał buty ze srebrną klamerką. Ręce wciąż trzymał splecione z tyłu. Czekał, aż na niego spojrzę. Dopiero wtedy mógł się odezwać. Kamienna mina nie zdradzała żadnych oznak niepokoju ani też innych emocji, choć pogłębione linie pod oczami były oznaką napięcia.

– Rok. – To wszystko, co zdołał powiedzieć. Od razu odwrócił się i odszedł. Gdy wreszcie podniosłam się z

ciemnozielonego fotela, był już daleko. Podeszłam zaledwie parę kroków, kiedy nagle zawrócił w moją stronę. Minął mnie i trzema susami pokonał drogę do okna. Z całych sił uderzył pięścią w witraż, aż ręka wyszła na zewnątrz.

Okno było wykonane z tysiąca drobniutkich, kolorowych fragmentów, połączonych ze sobą paskami spoiwa. Choć cały witraż – mitologiczna scena sądu nad Parysem – zadrżał, to spoiwa przytrzymały większość szybek na swoich miejscach. Pomimo wielkiego trzasku i brzęku tylko dziura przy stopie Afrodyty wpuszczała do domu ciepłe, wiosenne powietrze.

Jamie stał przez moment, przyciskając obie dłonie do przepony. Na falbankowym mankiecie koszuli, ozdobionej koronką, pojawiła się duża, ciemnoczerwona plama.

Jeszcze raz wyminał mnie, gdy ruszyłam w jego kierunku, i bez słowa, dumnym krokiem wyszedł.

Znowu zapadłam w fotel. Mój ciężar sprawił, że nad pluszem uniosła się chmurka kurzu. Leżałam nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Na twarzy czułam orzeźwiający powiew nocy. Włosy na skroniach były wilgotne, a puls przy mostku tak szybki jak u ptaka.

Czy kiedykolwiek mi wybaczy? Na wspomnienie oskarżenia o zdradę, które widziałam w jego oczach, moje serce skurczyło się jak zaciśnięta pięść. Nie możesz mnie o to prosić!, mówił. Ty, która wiesz... Tak, wiem. I myślałam, że ta wiedza może mnie rozłączyć z Jamiem tak, jak zostałam rozdzielona z Frankiem.

Jednak bez względu na to, czy Jamie mi wybaczy,

czy też nie, byłam pewna, że ja sama nigdy sobie nie przebaczę, jeśli skazę na śmierć niewinnego człowieka – tego, którego kiedyś kochałam.

– Grzechy ojców nie będą obciążały ich dzieci – mruknęłam do siebie.

– Madame?

Podskoczyłam. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że pokojówka cofa się, tak samo zaskoczona jak ja. Położyłam dłoń na rozszalałym sercu i zachłysnęłam się powietrzem.

– Madame, źle się pani czuje? Może przyprowadzić...

– Nie – odparłam stanowczo. – Nic mi nie jest. Po prostu chcę trochę posiedzieć.

Proszę odejść.

Zbyt mocno zaniepokojona dziewczyna nie ucieszyła się z tego polecenia.

– Tak, proszę pani! – powiedziała i zniknęła w głębi korytarza. Nieobecny wzrokiem wpatrywałam się w obraz przedstawiający kochanków w ogrodzie. Nagle zrobiło mi się zimno. Otuliłam się płaszczem, którego nie miałam czasu zdjąć, i znów zamknęłam oczy.

Gdy w końcu weszłam do sypialni, już dawno minęła północ. Jamie siedział przy małym stoliku i przyglądał się dwóm ćmom, które krążyły niebezpiecznie blisko płomienia świecy, stanowiącej jedyne oświetlenie pokoju. Zrzuciłam szal na podłogę i podeszłam do Jamiego.

– Nie dotykaj mnie. Idź do łóżka – mówił, jak gdyby w próżnię.

Zatrzymałam się.

– Ale twoja ręka... – zaczęłam.

– Nieważne. Idź do łóżka – powtórzył.

Na prawym nadgarstku widniała plama krwi, a mankiet koszuli był od niej sztywny.

Jednak w tamtej chwili nie śmiałybym się zbliżyć do Jamiego, nawet gdyby w jego brzuchu tkwił nóż. Zostawiłam go, by dalej patrzył na taniec śmierci latających przy świecy owadów, i położyłam się do łóżka.

Obudziłam się około wschodu słońca. Pierwsze przebłyski nadchodzącego dnia oświetlały kontury mebli. Przez podwójne drzwi do przedpokoju ujrzałam Jamiego.

Tkwił tam tak samo, jak wtedy, gdy go zostawiłam. Świeca już się dopaliła, zniknęły ćmy.

Siedział, obiema rękami podtrzymując głowę. Palce wciskały się w brutalnie wykoszoną darń włosów. Światło skradło wszystkie kolory z pokoju. Nawet włosy, które wcześniej migotały jak ogniki, przybrały barwę popiołu.

Zsunęłam się z łóżka. Było mi zimno w cieniutkiej, haftowanej koszuli. Podeszłam do Jamiego od tyłu. Nie odwrócił się, ale wiedział, że stoję za jego plecami. Dotknęłam skostniałej dłoni. Bezwładnie opadła na blat stołu. Głowa odchyliła się do tyłu i spoczęła tuż pod moimi piersiami. Gdy ją pogładziłam, westchnął głęboko. Powoli się rozluźniał.

Moje dłonie ostrożnie przesunęły się po jego szyi i ramionach. Przez cienkie płótno czułam lodowaty chłód ciała Jamiego. W końcu okrążyłam krzesło, na którym siedział, i stanęłam przed nim. Wyciągnął ręce, objął mnie w pasie, przyciągnął do siebie i zatopił głowę w mojej koszuli nocnej, nieco powyżej krągłości nabrzmiałego brzucha.

– Zimno mi – odezwałam się w końcu przyciszonym głosem. – Chodź, ogrzej mnie.

Po chwili pokiwał głową i z nieprzytomnym wzrokiem wstał z krzesła.

Poprowadziłam Jamiego do łóżka. Bez żadnych oporów z jego strony rozebrałam go i okryłam kołdrą. Położyłam się pod dachem muskularnego ramienia i przytuliłam się mocno. W końcu chłód jego skóry stał się mniej przenikliwy. Leżeliśmy ukryci w kokonie miękkiego ciepła.

Nieśmiało położyłam dłoń na szerokiej piersi. Delikatnie ją głaskałam, aż brodawka się podniosła, co było znakiem iskierki podniecenia. Chwycił w rękę moją dłoń. Bałam się, że mnie odepchnie i zrobił to, ale tylko dlatego, żeby położyć się na mnie.

Światło stawało się coraz jaśniejsze. Przez długi czas Jamie wpatrywał się w moją twarz. Głaskał ją od skroni do policzka. Kciukiem kreślił linie na mojej szyi i obojczyku.

– Boże, naprawdę cię kocham – wyszeptał. Pocałował mnie, żeby powstrzymać usta przed wyznaniem. Prawą, skaleczoną dłonią rysował kółka na mojej piersi. Przygotował się do tego, by mnie posiąść.

– Ale... twoja ręka – powiedziałam, po raz drugi tej nocy.

– Nieważne – odparł, po raz drugi tej nocy.

KRÓLEWSKA STADNINA

Powóz powoli przedzierał się przez szczególnie

trudny odcinek drogi – wyboisty, pełen dziur po zimowych mrozach i ulewnych wiosennych deszczach. To był mokry rok, nawet wtedy, we wczesnym okresie letnim widać było wilgotne, błotniste miejsca pod rzędem bujnych krzaków agrestu, rosnących po obu stronach drogi.

Jamie siedział przy mnie na wąskiej, obitej miękką tapicerką ławeczce. Fergus rozłożył się w rogu drugiego siedzenia pojazdu i spał. Mała głowa drgała i podskakiwała w rytm jazdy jak główka mechanicznej lalki. Powietrze w karecie było ciepłe, a za każdym razem, kiedy wjeżdżaliśmy na suchy fragment drogi, przez okna wpadał złotawy obłoczek kurzu.

Na początku rozmawialiśmy o otaczającym nas krajobrazie, królewskich stadninach i Argentanie, do którego zmierzaliśmy, o ploteczkach, które stanowiły stały element codziennych rozmów na dworze i w kołach kupieckich. Choć przyjemnie ukołysana rytmem karety i ciepłem dnia, nie mogłam zasnąć. Zmienione kształty ciała sprawiały, że siedzenie w jednej pozycji było bardzo niewygodne, a plecy bolały mnie od wstrząsów.

– Powinnaś zostać w domu, Angielko – powiedział Jamie ze skrzywioną miną, gdy po raz kolejny zmieniałam pozycję.

– Czuję się bardzo dobrze – odparłam z uśmiechem.
– Jestem tylko trochę podenerwowana. Bardzo bym żałowała, gdybym straciła taką okazję. – Powachlowałam ręką twarz. Za oknem rozciągał się widok na rozległe pola, lśniące jak szmaragdy pomiędzy rzędami ciemnych, prostych topól. Świeże wiejskie powietrze mimo że pełne kurzu odczuwałam jako orzeźwiające i upajające po

wdzierających się w nozdrza fetorach miasta i oparach leków w szpitalu des Anges.

Ludwik pozwolił księciu Sandringhamowi – co było ostrożnym, przyjacielskim gestem, w odpowiedzi na zabiegania dyplomatów angielskich o jego względy – zakupić cztery klacze zarodowe rasy Percheron z królewskiej stadniny w Argentanie. Miały one uszlachetnić małe stado koni wojskowych, które Jego Wysokość hodował w Anglii. Król odwiedził więc dziś Argentan i zaprosił tam też Jamiego, by doradził mu przy wyborze klaczy. Zaproszenie zostało wręczone podczas przyjęcia wieczornego. Od szczegółu do szczegółu okazało się, że planowana wizyta ma być połączona z piknikiem. Zjadą cztery karety, będzie kilka dam i dżentelmenów z dworu.

– Czy nie sądzisz, że to dobry znak? – spytałam. Zerknęłam ukradkiem na towarzyszy drogi, by sprawdzić, czy zasnęli. – Mam na myśli fakt, że Ludwik dał księciu pozwolenie na zakup koni. Jeśli czyni takie gesty wobec Anglików, to prawdopodobnie oznacza, że nie sympatyzuje z Jakubem Stuartem. A przynajmniej nie robi tego otwarcie.

Jamie pokręcił głową. Kategorycznie odmówił założenia peruki. Widok ostrzyżonej głowy mógł wywołać niemałe podekscytowanie wśród dworzan. Fryzura Jamiego była też doskonała na podróż. Ja pociłam się jak mops, podczas gdy na wierzchołku jego długiego, prostego nosa widniały tylko nieznaczne kropelki potu.

– Nie. Teraz jestem w stu procentach pewny, że Ludwik nie ma nic wspólnego ze Stuartami, jeśli chodzi o kwestię powrotu do władzy. Monsieur Duverney zapewnił

mnie, że rada królewska kategorycznie sprzeciwia się podejmowaniu jakichkolwiek kroków w tym kierunku. Mimo że Ludwik może w końcu ulec namowom papieża i poczynić pewne ustępstwa względem Karola, to nie jest skłonny udzielić mu poparcia we Francji, gdy Geordie patrzy mu z Anglii na ręce. – Jamie miał na sobie tradycyjny, szkocki szal, przypięty przy ramieniu broszką. Była to piękna rzecz, którą jego siostra przysłała mu ze Szkocji. Wykonano ją w kształcie dwóch biegnących, pochylonych jeleni. Zwierzęta złączone głowami i ogonami tworzyły okrągłą całość. Podciągnął fałdę szala i wytarł nią twarz.

– Myślę, że rozmawialiśmy już ze wszystkimi bankierami w Paryżu, którzy w ciągu ostatnich miesięcy posiadali jakiekolwiek fundusze. Zasadniczo żaden nie wykazał zainteresowania. – Uśmiechnął się ironicznie. – Nikt nie ma nadwyżki pieniędzy, które mógłby poświęcić na poparcie tak niepewnego przedsięwzięcia, jak przywrócenie władzy Stuartom.

– A to oznacza – powiedziałam, z jękiem rozciągając kręgosłup – że zostaje tylko Hiszpania.

Jamie pokiwał głową.

– Tak. No i jeszcze Dougal MacKenzie. – Wyglądał na zadowolonego z siebie.

Z wrażenia aż wyprostowałam plecy.

– Miałeś od niego jakieś wieści? – Mimo początkowej niechęci Dougal zaakceptował Jamiego jako gorliwego towarzysza-jakobitę. Zasztyrowana korespondencja zawierała tajne informacje przesyłane przez Dougala z Hiszpanii. Po przeczytaniu Jamie miał

przekazywać listy dalej, do Karola Stuarta.

– Tak, a jakże. – Po minie Jamiego domyśliłam się, że były to dobre wiadomości.

I były! Tylko że nie dla Stuartów.

– Filip odmówił Stuartom poparcia – rzekł Jamie. – No wiesz, otrzymał słówko z biura papieskiego i musi się trzymać z dala od całej kwestii tronu szkockiego.

– Czy wiemy dlaczego? – Ostatnio przechwycono od kuriera papieskiego plik listów, ale wszystkie były adresowane do Jakuba albo Karola Stuarta. Nie musiały więc mieć żadnego związku z rozmowami Jego Świątobliwości z Hiszpanią.

– Dougal myśli, że wiemy – śmiał się Jamie. – I jest, oczywiście, całkiem zdegustowany. Powiedział, że prawie przez cały miesiąc kazano mu czekać w Toledo, a w końcu odesłano go z mglistą obietnicą pomocy, „kiedy, *Deo volente** [*Zgodnie z wolą bożą.], nadejdzie właściwa pora”. – Głęboki głos Jamiego tak doskonale zestrajał się z patetycznym tonem, że aż sama się śmiałam.

– Benedykt chce uniknąć napięć pomiędzy Hiszpanią i Francją. Nie życzyłby sobie, żeby Filip i Ludwik zmarnotrawili pieniądze, które można by przecież wykorzystać do innych celów – dodał sarkastycznie. – Nie wypada papieżowi przyznawać się do tego, ale Benedykt ma wątpliwości, czy katolicki król powinien dalej sprawować pieczę nad Anglią. Co prawda, przywódcy szkockich klanów są katolikami, ale minęło już sporo czasu od chwili, kiedy rządy w Anglii sprawował katolicki król. I nie zanoszą się na to, że w najbliższym okresie dokona się następna wola boża – dorzucił z uśmiechem od ucha do

ucha.

Podrapał się w głowę, mierzwiąc krótkie, rudawozłote włosy nad skronią.

– Perspektywy dla Stuartów są bardzo mroczne, Angielko. I to jest dobra wiadomość.

Nie, nie będzie żadnej pomocy ze strony monarchii Burbonów. Bardzo mnie interesuje inwestycja Karola Stuarta i hrabiego St. Germaina.

– Uważasz, że to nie są zwykle interesy?

– No tak – odparł ze skrzywioną miną. – Za nią kryje się coś zupełnie innego.

Słyszałem co nieco na ten temat.

Rodziny paryskich bankierów nie były skłonne potraktować serio młodego pretendenta do tronu Szkocji, jednak ta sytuacja w każdej chwili mogła ulec zmianie, o ile tylko Karol Stuart będzie dysponował odpowiednią ilością pieniędzy.

– Karol podobno prowadzi rozmowy z rodem Gobelinów – powiedział Jamie. – St.

Germain przedstawił księcia. Gdyby tego nie zrobił, nie zechcieliby poświęcić pretendentowi do tronu swegocennego czasu. Stary Gobelin uważa Karola za nicponia i głupca, podobnie zresztą jak jeden z jego synów. Za to drugi mówi, że poczeka i zobaczy.

Jeśli Karolowi powiedzie się przedsięwzięcie, wtedy być może otworzy przed nim nowe możliwości.

– To bardzo niedobrze – zauważyłam.

– Niedobrze. – Jamie pokręcił głową. – Wiesz, pieniądz rodzi pieniądz. Niech tylko jeden większy interes Karola zakończy się sukcesem, bankierzy zaczną słuchać

księcia.

Jego Wysokość nie jest wielkim myślicielem – zauważył, ironicznie krzywiąc usta – ale za to bardzo czarującym człowiekiem. Umie przekonywać ludzi do rzeczy, które nie są zgodne z ich trafnym osądem. Mimo wszystko niewiele uda mu się osiągnąć bez odpowiedniego kapitału dla wsparcia swego nazwiska. Ale jeśli mu się powiedzie w tym przedsięwzięciu, to uczyni duży krok naprzód.

– Hmm... – Jeszcze raz zmieniłam pozycję. Palce u nóg cierpiały w gorących więzieniach. Kiedy szewc wykonał dla mnie buty, pasowały jak ulał, ale teraz moje stopy zaczynały odrobinę puchnąć i pończochy były mokre od potu. – Czy możemy coś zrobić w tej sprawie? – nawiązałam do rozmowy.

Jamie wzruszył ramionami i krzywo się uśmiechnął.

– Chyba tylko modlić się o złą pogodę w czasie jego podróży z Portugalii. Szczerze mówiąc, poza zatonięciem statku nie widzę innej możliwości załamania się tego przedsięwzięcia. St. Germain ma już podpisane kontrakty na sprzedaż całego ładunku.

Zarówno on, jak i Karol Stuart mogą liczyć na potrojenie włożonych pieniędzy.

Lekko zadrzałam na wspomnienie hrabiego. Przypomniały mi się rozważania Dougala. Nie mówiłam Jamiemu o odwiedzinach wuja, tym bardziej więc nie mógł nic wiedzieć na temat jego podejrzeń, dotyczących nocnej działalności hrabiego. Nie lubiłam mieć sekretów przed Jamiem, ale Dougal domagał się ode mnie milczenia w zamian za pomoc w kwestii Jonathana Randalla. Musiałam

się zgodzić.

Nagle Jamie uśmiechnął się do mnie i wyciągnął w moją stronę rękę.

– Pomyślę nad tym wszystkim, Angielko. A na razie, daj mi stopę. Jenny mówiła, że masaż stóp bardzo jej pomagał, kiedy była w ciąży.

Nie protestowałam. Wsunęłam nogi z butów i położyłam na jego udach. Przez okno wleciał orzeźwiający powiew powietrza i schłodził wilgotny jedwab pończoch.

Westchnęłam z ulgą.

Jamie miał duże dłonie, a jego palce były jednocześnie silne i delikatne. Kostkami potarł łuk mojej stopy. Rozluźniona opadłam plecami na oparcie siedzenia, cicho pojękując. Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu, a ja leżałam odprężona.

– Wiesz, tak naprawdę, to nie był dług – rzucił od niechcienia Jamie. Pochylił głowę nad moimi palcami u nóg, otulonymi w zielony jedwab.

– Co nie było długiem? – Mój umysł wprawiony w błógostan przez słoneczne ciepło i masaż stóp pracował wolno. Nie miałam najmniejszego pojęcia, o co Jamiemu chodzi.

Nie przestając masować, spojrział mi w twarz. Miał poważną minę, choć w oczach połyskiwała iskierka uśmiechu.

– Powiedziałaś, że jestem ci winien życie, Angielko, bo ty ocalałaś moje. – Wziął największy palec u stopy i wykręcał go w różne strony. – Ale po długim namyśle nie jestem pewien, czy to prawda. Wydaje mi się, że nasze rachunki są prawie wyrównane.

– Wyrównane rachunki? Co masz na myśli? –
Usiłowałam wydostać stopę z jego uścisku, ale on trzymał ją mocno.

– Jeśli ty ocalałaś moje życie, to ja również ocalałem twoje. I zrobiłem to przynajmniej tyle samo razy, ile ty. Uratowałem cię przed Jackiem Randallem w Fort William.

Pamiętasz? Poza tym wyciągnąłem cię z tłumu w Cranesmuir, prawda?

– Tak – potwierdziłam ostrożnie. Nie miałam pojęcia, do czego zmierza, ale na pewno nie zaczął zwykłej pogawędki. – Oczywiście, jestem ci za to bardzo wdzięczna.

Zniecierpliwiony burknął coś pod nosem po szkocku.

– To nie kwestia wdzięczności, Angielko. Ani z twojej, ani z mojej strony. Ale też nie kwestia zobowiązania. – Iskierka uśmiechu zniknęła z jego oczu. Stał się całkiem poważny. – Nie dałem ci życia Randalla w zamian za swoje własne. Przede wszystkim nie byłaby to uczciwa wymiana. Zamknij buzię, Angielko – wtrącił praktyczną radę – bo zaraz ci do niej wlecą muchy. – Rzeczywiście, wokół latało mnóstwo owadów. Trzy spoczęły na piersi Fergusa, nie zrażone jej rytmicznym podnoszeniem się i opadaniem.

– Dlaczego więc się nie sprzeciwiłaś? – Przystałam się wrywać. Jamie ujął obie moje stopy w dłonie i powoli przesunął kciukami po linii pięt.

– Żaden z powodów, które mi wymieniłaś, nie wpłynął na moją decyzję. A co do Franka... Cóż... Ukradłem mu żonę i bardzo mi go żal. Czasem nawet

bardziej niż wszystkich innych – dodał, łobuzersko wykrzywiając jedną brew. – Ale z drugiej strony, przecież nie jest nikim innym jak tylko moim rywalem. Miałaś swobodę wyboru pomiędzy nami dwoma i wybrałaś mnie. Odrzuciłaś nawet takie luksusy, jak gorące kąpiele u jego boku. Aaa! – Wyszarpnęłam jedną ze stóp i kopnęłam go między żebra.

Wyprostował się i chwycił stopę, zabezpieczając się przed następnym ciosem.

– Żałujesz tego wyboru, prawda?

– Jeszcze nie – powiedziałam, usiłując uwolnić stopy z klatki jego rąk. – Ale w każdej chwili mogę zacząć żałować. Tylko mów tak dalej.

– Cóż... Nie wiedziałem, że twoja decyzja zobowiązuje mnie do okazywania Frankowi Randallowi szczególnych względów. Poza tym – wyznał szczerze – przyznaję, że jestem odrobinę zazdrosny o tego mężczyznę.

Usiłowałam go kopnąć drugą stopą. On jednak przewidział ten ruch i zapobiegł mu, zręcznie wykręcając mi kostkę.

– Natomiast jeśli chodzi o darowanie mu życia ze względu na zasady moralne – kontynuował, ignorując moje wysiłki zmierzające do uwolnienia stóp – to jest argument, na który brat Anzelm z opactwa potrafiłby bardziej umiejętnie odpowiedzieć niż ja.

Jasne, że nie zabiłbym niewinnego człowieka z zimną krwią. Ale przecież uśmiercałem ludzi w czasie bitwy, a czy jest w tym jakaś różnica?

Przypomniałam sobie chłopca, którego zabiłam

podczas ucieczki z Wentworth. Nie zadreślałam się wspomnieniami, jednak wiedziałam, że one nigdy mnie nie opuszczą.

Pokręcił głową.

– Nie. Możesz przytoczyć wiele argumentów, ale w sumie sprowadzają się one do jednego stwierdzenia: zabijasz, kiedy jesteś do tego zmuszony, a potem jakoś z tym żyjesz. Pamiętam twarz każdego człowieka, którego pozbawiłem życia. Zawsze będą we mnie żyć te obrazy. Ale fakt pozostaje faktem: ja żyję, a oni nie. I to jest moje jedyne usprawiedliwienie, słuszne czy nie.

– Jednak w tym przypadku twoje rozumowanie nie jest właściwe – zauważyłam. – Kwestia nie sprowadza się do pytania: zabić czy nie zabić?

Pokręcił głową, odganiając muchę z włosów.

– Mylisz się, Angielko. Kość niezgody pomiędzy mną i Jackiem Randallem może usunąć tylko śmierć jednego z nas. Możliwe, że nawet to nie wystarczy. Są inne sposoby zabijania, różne od dźgnięcia nożem czy zastrzelenia pistoletem. Istnieją też rzeczy gorsze niż śmierć fizyczna. – Ton jego głosu nieco przycichł. – W opactwie uchroniłaś mnie przed więcej niż jednym rodzajem śmierci, *mo duinne*, i nie myśl, że o tym nie wiem. – Kilka razy obrócił głowę w obie strony. – A może ja naprawdę winien ci jestem więcej niż ty mnie.

Puścił moje stopy i zmienił pozycję.

– A to każe mi wziąć pod uwagę w równej mierze twoje i moje sumienie. W końcu nie masz pojęcia, co by się stało, gdybyś dokonała innego wyboru. Opuścić mężczyznę to jedna rzecz, a skazać go na śmierć to druga.

Wcale mi się nie podobał ten sposób opisywania moich czynów, ale nie mogłam zaprzeczyć faktom. Opuściłam Franka. Chociaż nie mogłam żałować swojej decyzji, to jednak żałowałam i nigdy nie przestanę żałować tego, że musiałam w ten sposób wybierać. Już wiedziałam, jakie będą następne słowa Jamiego. Groźnie dźwięczały w mojej głowie.

– Gdybyś wiedziała, że to dla Franka oznacza śmierć, może postąpiłabyś inaczej. Czy ze względu na to, że wybrałaś właśnie mnie, mam prawo obarczać cię odpowiedzialnością za twój czyn, jeśli jego konsekwencje wykraczają poza twoje intencje?

Zamyślił się nad swoim argumentem, święcie przekonany, że rzucił mnie na kolana.

Zerknął na mnie i nagle ucichł. Przez kilka chwil przyglądał mi się w milczeniu. Powóz potrząsał nami, mknąc przez zielone krajobrazy.

– Nie wyobrażałem sobie, że możesz uznawać swój czyn za grzech, Claire – powiedział w końcu, kładąc dłoń na uwięzionej w pończosze stopie. – Jestem twoim prawowitym mężem w równym stopniu, jak Frank. Jeśli nim kiedykolwiek był lub będzie. Nawet nie wiesz, że miałaś możliwość powrotu do niego, *mo duinne*. W końcu mogłaś bardziej się cofnąć w czasie albo postąpić naprzód. Robiłaś to, co wydawało ci się właściwe, i nikt nie mógł się zachować lepiej niż ty. – Podniósł wzrok. Spojrzenie niebieskich oczu przeszło mnie na wylot.

– Przyznaję uczciwie, że nie obchodziło mnie, czy postępuję słusznie, czy też nie, bylebyś tylko pozostała ze mną, Claire – powiedział cichutko. – Gdyby w twoim

odczuciu fakt, że wybrałaś mnie, był grzechem... w takim wypadku sam poszedłbym do diabła i pobłogosławił go za to, że cię skusił. – Podniósł mą stopę i delikatnie pocałował koniuszek dużego palca.

Położyłam dłoń na krótkich włosach. Wydawały się sprężyste, miękkie jak kolce młodego jeża.

– Nie uważam, że zrobiłam coś złego – szepnęłam.
– Ale jeśli to grzech... to pójdę z tobą do piekła, Jamie Fraserze.

Zamknął oczy i pochylił głowę nad moją stopą. Trzymał ją bardzo mocno. Czułam, jak długie, wiotkie kości śródstopia przyciskają się do siebie. Jednak nie wyrwałam nogi.

Zanurzyłam dłoń w jego włosach i delikatnie pociągnęłam rudą gęstwinę.

– W takim razie dlaczego, Jamie? Dlaczego zdecydowałaś się darować życie Jackowi Randallowi?

Otworzył oczy i uśmiechnął się.

– Cóż... Myślałem o wielu rzeczach, Angielko, gdy tamtego wieczoru chodziłem w jedną i w drugą stronę. Przede wszystkim uważałem, że będziesz cierpiała, jeśli naprawdę zabiję tego obmierzłego szczura. Jest wiele rzeczy, które bym zrobił bądź nie zrobił, by ci oszczędzić zmartwień. Ale ile waży twoje sumienie w zestawieniu z moim honorem? – Zamilkł na chwilę. – Nie. – Znów pokręcił głową. – Każde z nas powinno ponosić odpowiedzialność wyłącznie za własne czyny i sumienie. Nie umiałbym obciążyć cię swoim postępowaniem, bez względu na skutki. – Mrugnął powiekami, żeby oczyścić oczy z drobinek kurzu, i przesunął dłonią po włosach,

bezsukutecznie usiłując przyglądzić niesforne końcówki. Krótko ostrzyżone, spiczaste kosmyki sterczały na czubku czaszki jak postrzępiona miotła.

– W takim razie dlaczego? – dopytywałam się, pochylona w jego stronę. – Wymieniłeś mi wszystkie powody, dla których nie podjąłbyś tej decyzji. Zatem co zostaje?

Zawahał się przez chwilę, a potem z ukosa spojrział mi w oczy.

– Karol Stuart, Angielko. Dotychczas zdołaliśmy powstrzymać wszystkie jego ruchy, ale ta inwestycja... cóż... mogłoby mu się udać poprowadzenie armii w Szkocji. A jeżeli tak, to... lepiej ode mnie wiesz, jak to może się skończyć.

Wiedziałam i ta myśl mnie zmroziła. Nie mogłam się oprzeć wspomnieniu jednego z opisów pewnego historyka, który tak pisał na temat porażki szkockich górali pod Culloden: „Zabici leżeli pokodem, jeden na drugim, ociekając deszczem i własną krwią”.

Szkoci, wycieńczeni i głodni, ale do końca waleczni, zostaliby doszczętnie wybici. Ich ciała pozostawione byłyby w kopcach, przemoczone krwią i zimnym deszczem kwietniowym, a idea, którą pielęgowali przez całe sto lat, poległaby wraz z nimi.

Nagle Jamie wyciągnął ramiona i chwycił mnie za rękę.

– Myślę, że nie dojdzie do powstania, Claire. Sądzę, że powstrzymamy Karola. A jeśli nie, to i tak nie przypuszczam, żeby przytrafiło mi się coś złego. Gdyby jednak... – W tej chwili był śmiertelnie przejęty, mówił

cichym, nagłym głosem. – Jeżeli to się stanie, chcę ci zapewnić miejsce do życia. Pragnę, żebyś miała do kogo pójść, kiedy zabraknie przy tobie mojego opiekuńczego ramienia. Jeśli nie mogę to być ja, to niech będzie ktoś, kto cię kocha. – Mocno zacisnęła palce na moich dłoniach. Obie obrączki wrzynały mi się w ciało. W jego rękach wyczuwałam gorączkę.

– Claire, wiesz, ile mnie kosztowało darowanie Randallowi życia. Obiecuj w zamian, że jeśli zginę, wrócisz do Franka. – Jego oczy, równie błękitne jak niebo za oknem, przenikały moją twarz. – Już wcześniej dwa razy próbowałam cię z powrotem odesłać.

I dziękuję Bogu, że jednak zostałam. Ale jeśli to przytrafi się po raz trzeci, przysięgnij, że wrócisz do Franka. Oto dlaczego oszczędziłam Randalla na rok. Zrobiłam to dla ciebie.

Obiecujesz, Claire?

– *Allez! Allez! Montez!* – krzyczał z góry woźnica, zachęcając konie do galopu.

Byliśmy prawie na miejscu.

– W porządku – odpowiedziałam w końcu. – Obiecuję.

Stajnie Argentanu były czyste i przewietrzzone. Pachniały latem i końmi. W otwartym boksie Jamie obszedł dokoła klacz rasy Percheron, rozkochaną jak giez koński.

– Ho, ho! Jaka z ciebie atrakcyjna panna! Podejdz tu, skarbie. Pokaż swój piękny, tłusty zad. Hmm, hmm! Wspaniały!

– Szkoda, że mój mąż nie mówi do mnie w ten sposób – odezwała się hrabina de Neve, prowokując

chichoty zgromadzonych pań, które stały na sianie w centralnej alejce i przyglądały się sennie.

– Może by mówił, madame, gdyby pani widok od tyłu tak go pobudzał. Najwyraźniej pani mąż nie podziela uwielbienia, jakim milord Broch Tuarach darzy obficie zaokrąglone pośladki. – Hrabia St. Germain obrzucił mnie prześmiewczym spojrzeniem z nutą pogardy. Próbowałam wyobrazić sobie te czarne oczy, lypiące zza szpar maski i – o dziwo – przyszło mi to aż za łatwo. Niestety, falbanki mankieta zasłaniały palce, więc nie mogłam dostrzec rozwidlenia przy kciuku hrabiego.

Jamie oparł się wygodnie o szeroki zad kobyły, zza którego widać było tylko jego głowę i barki.

– Milord Broch Tuarach wielbi piękno wszędzie, gdzie je spotyka, hrabio. Bez względu na to, czy ma do czynienia z kobietą, czy klaczą. Jednak w odróżnieniu od pewnych osób, których nie wymienię z nazwiska, potrafię odróżnić jedną od drugiej. – Jamie uśmiechnął się złośliwie do St. Germaina i na pożegnanie pogłaskał klacz po szyi.

Towarzystwo wybuchło śmiechem.

Jamie wziął mnie za rękę i poprowadził do następnej stajni. Powoli podążyła za nami reszta gości.

– Ach! – westchnął, wdychając mieszanek zapachu koni, uprzęży, nawozu końskiego i siana. – Naprawdę brakuje mi aromatów stajni. A wiejskie otoczenie obudziło we mnie tęsknotę za Szkocją.

– Widać tu raczej małe podobieństwo do krajobrazów Szkocji – powiedziałam, mrużąc oczy oślepienie jaskrawym światłem słonecznym. Wychodziliśmy z zacienionej stajni.

– Zgadza się. Ale to wieś – stwierdził. – Tu jest czysto, zielono i nie ma dymu w powietrzu ani ścieków pod stopami. Chyba że, w odróżnieniu ode mnie, zaliczysz do nich końskie łajno.

Promienie wczesnoletniego słońca połyskiwały na dachach Argentanu, rozsianych wśród łagodnie opadających zielonych wzgórz. Królewska stadnina znajdowała się tuż za miastem. Składały się na nią znacznie solidniejsze konstrukcje niż pobliskie domy poddanych króla. Ściany i posadzki stodół oraz stajni były z kamienia. Dachy pokrywała dachówka łupkowa. Wewnątrz panowała znacznie sterylniejsza czystość niż w L'Hopital des Anges.

Zza rogu stajni dobiegł nas głośny okrzyk. Jamie nagle przystanął. W samą porę, żeby uniknąć zderzenia z Fergusiem. Dzieciak wyskoczył tuż przed nami jak wystrzelony z katapulty. Tuż za nim podążało w zagorzałym pościgu dwóch chłopców stajennych, o wiele wyższych i potężniejszych od naszego podopiecznego. Zgniłozielona plama świeżego gnoju na policzku pierwszego z nich wyjaśniała przyczynę pogoni.

Ze zdumiewającą przytomnością umysłu Fergus biegł po swych wcześniejszych śladach. Gdy znalazł się za prześladowcami, wniknął w tłum, gdzie znalazł schronienie za falochronem okrytych spódniczką bioder Jamiego. Widząc, że ich ofiara na dobre zapadła się pod ziemię, prowadzący pościg spojrzeli z trwogą na zbliżającą się falangę dworzan i gości. Wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Potem zgodnie, w jednym momencie odwrócili się na pięcie i ruszyli do ucieczki. Fergus wychylił głowę zza falban mojej sukni i rzucił

niecenzuralny okrzyk. Jamie pociągnął urwisa za ucho.

– Już cię tu nie ma – syknął. – I, na litość boską, nigdy więcej nie rzucaj końskich „jabłek” na ludzi wyższych od siebie. A teraz odejść i trzymaj się z dala od kłopotów. – Fergus posłuchał rady i z okazałą plamą gnoju na siedzeniu, chwiejnym krokiem ruszył w kierunku przeciwnym do tego, w którym udali się niedawni napastnicy.

Zastanawiałam się nad sensem zabrania Fergusa w tę podróż. Większość dam miała jednak przy sobie giermków do załatwiania sprawunków i dźwigania koszy zjedzeniem oraz innych przedmiotów osobistego użytku, „niezbędnych” w czasie jednodniowej wycieczki. Jamie natomiast chciał chłopcu pokazać trochę wiejskiego krajobrazu. Czuł, że Fergus zasłużył na wakacje. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że młokosowi, który nigdy w życiu nie wyjeżdżał poza granice Paryża, uderzyło do głowy wiejskie powietrze, światło oraz widok pięknych, olbrzymich zwierząt ponad nosem.

Podeksytowany do szaleństwa chłopiec od samego przyjazdu nieustannie sprawiał kłopoty.

– Bóg wie, co jeszcze mu strzeli do głowy – mruknęłam ponuro, podążając wzrokiem za znikającą postacią Fergusa. – Podejrzewam, że będzie to podpalenie stogów siana.

Jamie nie przejął się sugestią.

– Nie martw się. Wszyscy chłopcy urządzają bijatyki końskimi kulami.

– Czyżby? – Zaczęłam się przyglądać St. Germainowi. Pochylał się w nieskazitelną czystą,

plóciennej serży i białym jedwabiu, uważnie słuchając hrabiny, która powoli przechadzała się po podwórku, pośród porozrzucanej słomy.

– Może ty tak się bawiłeś – powiedziałam – ale nie on. Nie sądzę też, by biskup to robił. – Zastanawiałam się, czy wypad za miasto był dobrym pomysłem. Przynajmniej, jeśli chodzi o mnie. Jamie czuł się w swoim żywiole, obcując z potężnymi percheronami.

Księżę najwyraźniej był pod wrażeniem Jamiego, znawcy koni, co oczywiście stanowiło pozytywny aspekt wycieczki. Z drugiej zaś strony, od uciążliwej jazdy niemiłosiernie bolały mnie plecy. Poza tym cierpiałam z powodu upału i opuchlizny stóp, w które boleśnie wrzynąła się skóra obcisłych butów.

Jamie spojrział na mnie z góry, uśmiechnął się i przycisnął mocniej moją dłoń do swego ramienia.

– To nie potrwa zbyt długo, Angielko. Przewodnik chce nam pokazać szopy do rozmnażania koni. Potem ty i inne damy możecie zasiąść do stołu. Panowie zostaną i będą wzajemnie obrzucać się nieprzystojnymi żartami na temat rozmiarów swych penisów.

– Czy taki jest zwykle efekt obserwacji końskich godów? – spytałam zafascynowana.

– Cóż... Tak to działa na mężczyzn. Nie wiem, jaka jest reakcja kobiet. Nadstawiaj ucha, to potem mi opowiesz.

Wśród uczestników pikniku rzeczywiście panowała atmosfera tłumionego podniecenia. Wszyscy wcisnęliśmy się do niewielkiego pomieszczenia, przeznaczonego do prokreacji koni. Budynek, podobnie jak wszystkie pozostałe, zbudowano z kamienia, ale nie było w nim

wydzielonych boksów. Zauważyłem tylko ogrodzony niskim murkiem wybieg z wąskimi przegrodami po jednej stronie i swego rodzaju zjeżdżalnią czy też wyjściem od tyłu, z kilkoma drzwiami, które mogły być otwierane bądź zamknięte, by w ten sposób kontrolować ruchy konia.

Olbrzymie okna bez szyb, umiejscowione na przeciwległych ścianach zapewniały dobrą wentylację i odpowiednie nasłonecznienie. Przez otwory widać było porośniętą trawą wygon. Dostrzegłam parę potężnych klaczy rasy Percheron, pasących się nie opodal. Jedna lub dwie zdawały się niespokojne. Od czasu do czasu podbiegały kilka kroków kołyszącym galopem, by potem znów wrócić do kłusu lub troru. Potrzęsały grzywami i jękliwie rżały. Z jednej z przegród przy końcu szopy dobył się głośny, nosowy ryk. Ściany zadrżały od silnego kopnięcia.

– Gotów – mruknął z zadowoleniem jakiś głos zza moich pleców. – Ciekawe, która jest jego szczęśliwą wybranką.

– Ta najbliższej bramy – zasugerowała hrabina, zawsze gotowa iść o zakład. – Stawiam na nią pięć lirów.

– Ach, nie! Myli się pani, madame, ona jest zbyt spokojna. To będzie ta mała pod jabłonią. Przewraca oczami jak kokietka. Widzi pani, jak potrzęsa głową? Ja wybieram tamtą.

Wszystkie klacze przystanąły, słysząc rzenie ogiera. Z zaciekawieniem podniosły nozdrza i nerwowo strzygły uszami. Bardziej niespokojne potrzęsały głowami i rżały.

Jedna wyciągnęła szyję i wydała z siebie przeciągłe rzenie o wysokich tonach.

– To ta – oznajmił cicho Jamie i skinął głową w jej stronę. – Słyszycie, jak go woła?

– A co takiego mówi, mój panie? – spytał z błyskiem w oku biskup.

Jamie pokręcił głową z poważną miną.

– Na taką pieśń człowiek w sutannie jest głuchy. A przynajmniej powinien być – dodał ku ucieście zebranych.

Klacz dość żywiołowo oznajmiała, że została wybrana. Gdy wprowadzono ją do środka, stanęła jak wryta z poniesioną głową i poruszając nozdrzami, testowała zapach.

Ogier czuł jej woń. Jego kwiczenie odbijało się echem o drewniany dach. Hałas uniemożliwiał prowadzenie jakichkolwiek rozmów.

Zresztą i tak nikt w tej chwili nie chciał rozmawiać. Gdy klacz ponownie odpowiedziała na nawoływania, odczułam w piersiach lekki dreszcz pożądania i ucisk nabrzmiałego brzucha.

Percherony to ogromne konie. Duży osobnik mierzy ponad metr pięćdziesiąt kłębie, a zad dobrze odżywionej klaczy ma prawie metr szerokości. Są bladej maści, nakrapianej szarością, lub lśniąco czarnej, ozdobione wodospadem czarnej grzywy.

Ogier gwałtownie wyskoczył ze swego stanowiska w stronę spętanej klaczy. Wszyscy cofnęli się od ogrodzenia. Gdy duże kopyta uderzyły o grubą warstwę brudu na podłodze zagrody, w powietrze uniosły się tumany kurzu. Z otwartego pyska wyciekły krople śliny.

Stajenny, który otworzył drzwi przegrody, odskoczył na bok. Był niezwykle mały wobec wspaniałej

furii, szalejącej na wybiegu.

Klacz podskoczyła i zapiszczała spłoszona. Ogier nie zważał na to, natychmiast wskoczył na jej grzbiet. Zaciśnął zęby na silnym łuku szyi wybranki, zmuszając jej głowę do poddańczego skłonu. Ogromna fala ogonaśmignęła w górę. Obnażony zad został wystawiony na żądze rozochoczonego amanta.

– Jesus – szepnął monsieur Prudhomme.

Akt trwał bardzo krótko, ale odnosiło się wrażenie, że ten czas jest o wiele dłuższy.

Pociemniałe od potu pachwiny unosiły się i opadały. Obserwowaliśmy grę światła na wirujących włosach i lśniących, wspaniałych mięśniach, które były napięte i wyprężone w pulsującej agonii kopulacji.

Wszyscy opuścili szopę w milczeniu. W końcu książę się roześmiał, trącił Jamiego łokciem i rzekł:

– Jest pan przyzwyczajony do takich widoków, milordzie Broch Tuarach?

– Rzeczywiście – odparł Jamie. – Widziałem to wiele razy.

– Ach tak? Proszę mi więc powiedzieć, drogi lordzie, co pan czuje, obserwując taką scenę po raz kolejny z rzędu?

Gdy Jamie udzielał odpowiedzi, jeden kącik jego ust nieznacznie się wykrzywił, ale cała twarz pozostała kamiennie niewzruszona.

– Nic szczególnego, Wasza Wysokość.

– Co za widok! – westchnęła hrabina de Neve. Połamała ciasteczko i powoli je chrupała, przewracając rozmarzonymi oczami. – To takie podniecające, prawda?

– Chciała pani powiedzieć: co za kutas! – poprawiła ją oschle madame Prudhomme.

– Szkoda, że Philbert takiego nie ma. To, czym dysponuje...– Wykrzywiła brew, wskazała wzrokiem talerz z małutkimi kielbaskami. Nie miały więcej niż pięć centymetrów długości. Panie uczestniczące w pikniku zachichotały.

– Poproszę odrobinę kurczaka, Paul – powiedziała hrabina St. Germain do swego giermka. Była młoda. Sprośne rozmowy starszych pań sprawiły, że się zarumieniła.

Zastanawiałam się, jak jej się układało małżeństwo z St. Germainem. Nigdy publicznie nie pojawiała się u boku męża, z wyjątkiem takich okazji, jak ta, kiedy obecność biskupa powstrzymywała go przed pokazaniem się w towarzystwie jednej z kochanek.

– Ba! – komentowała madame Montresor, pani w stanie błogosławionym, której mąż był przyjacielem biskupa. – Wielkość to nie wszystko. Cóż za pożytek z rozmiaru, kiedy kochanek nie potrafi wytrwać dłużej niż to zwierzę? Mniej niż dwie minuty? Pytam więc:

jaka stąd korzyść? – Trzymała jasnozielony korniszon i delikatnie go lizała różowym, zaostrzonym i zgrabnym koniuszkiem języka. – Mówię wam: nie chodzi o to, co mają w spodniach, tylko o to, co potrafią z tym zrobić.

– Cóż – parsknęła madame Pudhomme – jeśli pani znajdzie takiego, który potrafi z tym zrobić coś więcej, niż tylko włożyć do najbliższej dziury, proszę mnie o tym niezwłocznie powiadomić.

– Pani przynajmniej ma takiego, który wykazuje chęć – przerwała hrabina de Neve.

Rzuciła pełne obrzydzenia spojrzenie w stronę swego męża. Stał w tłumie innych mężczyzn, zgromadzonych wokół jednego z wygonów i obserwujących, jak klacz w uprzęży poddawana jest próbie.

– „Nie dziś, najdroższa”. – Perfekcyjnie naśladowała dźwięczny, nosowy głos hrabiego de Neve. – „Jestem zmęczony”. – Położyła dłoń na czole i przewróciła oczami. – „Presja interesów jest taka wyczerpująca”. – Zachęcona chichotami kontynuowała parodiowanie. Tym razem szeroko otworzyła przerażone oczy i zakryła łono obiema rękami. – „Co, znowu? Wiesz, że takie szafowanie męskim olejkiem szkodzi zdrowiu? Czy nie wystarczy ci fakt, iż twe żądania wycieńczyły mnie do cna, Matyldo? Życzysz mi ataku serca?”.

Panie rechotały i piszczwały ze śmiechu tak głośno, że aż zwróciły uwagę biskupa.

Duchowny pomachał do nas ręką i uśmiechnął się pobłaźliwie, prowokując dalsze wybuchy wesołości.

– Cóż, przynajmniej on nie zużywa całego swego męskiego olejku w burdelach ani też nigdzie indziej – skomentowała madame Prudhomme. Rzuciła pełne współczucia spojrzenie w stronę żony hrabiego St. Germaina.

– Nie – przyznała smutnym tonem Matylda. – Gromadzi je w swym skarbcu niczym złoto. Myślałby kto, że więcej niż on to już posiadać nie można... Och! Wasza Wysokość!

Może kieliszek wina? – Czarującym uśmiechem

obdarowała księcia, który właśnie po cichu podszedł do nas zza jej pleców. Stał i z uniesioną brwią uśmiechał się do dam.

Nawet, jeśli usłyszał rozmowę, bardzo dobrze potrafił to ukryć.

Karol usiadł przy mnie na dywanie i nawiązał dowcipną towarzyską pogawędkę z damami, a jego dziwnie wysoki ton wcale nie kontrastował z ich głosami. Wydawało się, że jest bardzo skupiony na konwersacji, ale zauważyłam, że od czasu do czasu zerka w stronę grupki mężczyzn. Spódnica Jamiego odznaczała się nawet wśród wspaniale ciętych aksamitów i sztywnych jedwabów.

Ponowne spotkanie z księciem wzbudziło we mnie pewien niepokój. Ostatnie odwiedziny u niego skończyły się przecież aresztowaniem Randalla w związku z moim oskarżeniem o gwałt. Ale księżę traktował nas w trakcie wycieczki z uroczą grzecnością.

Nie wspominał o żadnym z braci Randallów. Ani też publicznie nie napomknął o aresztowaniu. Bez względu na to, jakie były posunięcia dyplomatyczne księcia, wydawało się, iż ich waga jest tak wielka, że zasługują na królewską pieczęć milczenia.

Mówiąc szczerze, z ulgą przyjąłam pojawienie się księcia na pikniku. Chociażby dlatego, że jego obecność powstrzymywała panie przed spytaniem mnie – co niektóre śmiałe języki bardzo często czynią – czy prawdą jest powszechna opinia o tym, co Szkoci mają pod spódniczkami. Biorąc pod uwagę atmosferę panującą wśród zebranych dam, nie sądzę, aby moja odpowiedź: „Och, to samo, co wszyscy inni”, wystarczyła.

– Pani mąż ma świetne oko, jeśli chodzi o konie – zwrócił się do mnie książę. Znalazł wolną chwilę, bo hrabina de Neve, która siedziała z jego drugiego boku, akurat pochylila się w poprzek dywanu, by zamienić słówko z panią Prudhomme. – Mówił mi, że zarówno jego dziadek, jak i ojciec posiadali w Szkocji małe, lecz świetnie wyposażone stajnie.

– Tak, to prawda. – Sączyłam wino. – Ale Wasza Wysokość odwiedził Columa MacKenziego w zamku Leoch i z pewnością na własne oczy widział jego stadninę. – Po raz pierwszy spotkałam księcia właśnie w Leoch, choć to spotkanie było krótkie.

Wyjechał na polowanie tuż przed tym, jak aresztowano mnie za uprawianie czarnej magii. Najprawdopodobniej wiedział o tym fakcie, ale niczego nie dawał po sobie poznać.

– Oczywiście. – Małe, bystre oczy zerknęły w lewo, potem w prawo. Książę sprawdzał, czy nie jesteśmy obserwowani. Przeszliśmy na język angielski. – Wtedy pani mąż poinformował mnie, że nie przebywa w swej posiadłości w związku z niefortunnym i omyłkowym oskarżeniem go przez Angielską Koronę o morderstwo. Zastanawiałem się, moja pani, czy to wyjęcie spod prawa wciąż jest w mocy?

– W dalszym ciągu za jego głowę można dostać wysoką sumę – powiedziałam obojętnym tonem.

Mina księcia, wyrażająca grzeczne zainteresowanie, nie zmieniła się. Sięgnął po małą kiełbaskę, leżącą na tacy. Odnosiłam wrażenie, że jego myśli błądzą gdzieś daleko.

– Tę sprawę da się załatwić – rzekł cicho. – Po

spotkaniu z pani mężem w Leoch dokonałem małego rozeznania sytuacji. Zapewniam panią, moja droga damo, że zrobiłem to odpowiednio dyskretnie. I przypuszczam, że można rozwiązać problem bez większych trudności. Po prostu trzeba, żeby właściwa osoba szepnęła słówko w odpowiednie ucho.

Interesujące. Jamie powiedział księciu Sandringhamowi o tym wyroku dlatego, że tak mu poradził Colum MacKenzie. Miał nadzieję, że namówi księcia do interwencji. Jamie naprawdę nie popełnił zarzucanej mu zbrodni, więc nie mogło być wielu dowodów świadczących przeciwko niemu. Książę, którego głos liczył się wśród angielskich lordów, rzeczywiście mógł wpłynąć na wycofanie oskarżenia.

– A czego Wasza Wysokość chce w zamian? – spytałam.

Ledwie widoczne, jasne brwi uniosły się, a usta uśmiechnęły, ukazując równiutki rząd białych zębów.

– Za moje słówko? Jest pani bardzo bezpośrednia? A czyż nie mógłbym tak po prostu być zainteresowany doradztwem i pomocą w doborze koni ze strony pani męża? Chyba życzyłbym sobie, aby wolno mu było legalnie wrócić do miejsca, gdzie jego umiejętności wykorzystałbym z zyskiem?

– To bardzo prawdopodobny powód. Ale nieprawdziwy – skomentowałam krótko.

Zauważyłam, że madame Prudhomme śledzi nas wzrokiem. Grzecznie uśmiechnęłam się do księcia. – Dlaczego?

Całą kielbaskę wcisnął od razu do buzi i z wolną ją

przeżuwał. Jego dobroduszna, okrągła twarz nie wyrażała nic poza zadowoleniem z wydarzeń dnia i ze smaku jedzenia.

Przełknął w końcu i delikatnie wytarł usta płócienną serwetką.

– Cóż... Jest to tylko kwestia przypuszczeń...

Skinęłam głową, więc kontynuował.

– Zastrzegając zatem, że jest to kwestia przypuszczeń, prawdopodobnie możemy zakładać, iż pani mąż ostatnio przyjaźni się z pewną osobistością, która niedawno przyjechała z Rzymu. Ach, widzę, że pani mnie rozumie. Tak. Przypuśćmy, że ta znajomość zaczyna budzić obawy ze strony pewnych kół, które by wolały, żeby wspomniana osoba bezpiecznie wróciła do Rzymu lub, jeśli woli, osiedliła się we Francji.

Chociaż, wie pani, wyjazd do Rzymu byłby lepszym, pewniejszym rozwiązaniem.

– Rozumiem. – Sama wzięłam kielbaskę. Były ostro przyprawione. Każdy kęs wiązał się eksplozją drobinek czosnku. Intensywny aromat rozsadzał mi nos. – I te koła przywiązują aż tak dużą wagę do tej znajomości, że gotowe są zaoferować uwolnienie od zarzutów, które ciążyą na moim mężu w zamian za zerwanie tych więzów? Znów: dlaczego? Mój mąż nie jest nikim aż tak ważnym.

– Teraz nie – zgodził się książę. – Ale w przyszłości może być. Ma powiązania z wpływowymi sferami pośród rodzin bankierskich. Co więcej, pośród kupców. Jest również przyjmowany przez króla i ma u Ludwika pewien posłuch. Krótko mówiąc, jeśli nawet w tej chwili nie posiada wpływów oraz mocy dysponowania pokaźnymi

sumami pieniędzy, to prawdopodobnie wkrótce do tego dojdzie. Jednocześnie należy nie do jednego, lecz do dwóch najpotężniejszych klanów szkockich. Koła, które życzyłyby sobie, by wymieniona osoba wróciła do rzymskiej przystani, żywią nie bezpodstawną obawę, że te wpływy mogłyby być wykorzystane w niepożądanym kierunku. Byłoby o wiele lepiej, gdyby pani mąż wrócił wraz z odzyskanym dobrym imieniem na swe ziemie, do Szkocji.

Nie sądzi pani?

– Całkiem dobry pomysł – odparłam. I również atrakcyjna łapówka. Zerwać wszystkie powiązania z Karolem Stuartem i móc bez przeszkód wrócić do Szkocji, do Lallybroch, bez ryzyka zawiśnięcia na stryczku. Pozbycie się kłopotliwego popiecznika Stuartów bez ponoszenia żadnych kosztów ze strony Korony było również dla strony angielskiej intratną propozycją.

Przyjrzałam się księciu. Usiłowałam zgadnąć, jaką rolę ma do odegrania w tym planie. Oficjalnie był wysłannikiem Jerzego II, elekta z Hanoweru, i o ile Jakub Stuart pozostanie w Rzymie – króla Anglii. Ale jego wizycie we Francji równie dobrze mógł przyświecać podwójny cel: z jednej strony zaangażowanie się w delikatne sugestie i groźby, które składają się na dyplomację, z drugiej zaś – zlikwidowanie zagrożenia nowego powstania jakobinów. Kilka koterii Karola ostatnio się rozproszyło. Członkowie tłumaczyli się nagłymi interesami za granicą. Zastanawiałam się, czy zostali przekupieni, czy też zastraszeni.

Kamienna twarz nie zdradzała żadnych myśli. Z łysiejącego czoła Karol odsunął perukę nieco do tyłu i

odruchowo podrapał się po głowie.

– Proszę przemyśleć ofertę – ponaglał. – Potem niech pani porozmawia z mężem.

– Dlaczego Wasza Wysokość sam się do niego nie zwróci?

Wzruszył ramionami i wziął dokładkę kielbasek. Tym razem chwycił trzy.

– Zauważyłem, że mężczyźni są bardziej podatni na słowa słyszane od rodziny, od kogoś, komu ufają. Wpływy z zewnątrz mogą postrzegać jako wywieranie presji. – Uśmiechnął się. – Trzeba wziąć pod uwagę kwestię dumy. To musi być załatwione w sposób finezyjny. Jeśli zaś chodzi o delikatność, to kobiety z niej słyną, prawda?

Nie miałam czasu odpowiedzieć, bo nagle rozległ się strzał od strony głównej stajni.

Wszyscy odwrócili głowy w tamtym kierunku.

Wąską alejką, łączącą główną stajnię i długą, otwartą szopę, gdzie znajdowała się kuźnia, podążało źrebię rasy Percheron; sądząc po cętkach na skórze, dwu-, może trzylatek. Nawet młode percherony są duże, a ten źrebak wydawał się ogromny.

Nieudolnie stapał w tę i z powrotem powolnym, pijanym klusem, wywijając ogonem w obie strony. Najwyraźniej nie był jeszcze przyuczony do siodła. Masywne nogi wyciągały się z widocznym wysiłkiem, by unieść małą postać, która mocno, obiema rękami trzymała się grzywy.

– Do licha! Fergus! – Damy, obudzone tym okrzykiem, natychmiast powstały na nogi i z zainteresowaniem przyglądały się zjawisku.

Nie zdawałam sobie sprawy, że podeszli do nas mężczyźni, nim jedna z kobiet krzyknęła:

– Jakie to niebezpieczne! Jeśli chłopiec spadnie, zrobi sobie krzywdę!

– Cóż, jeśli nawet nic mu się nie stanie w wyniku upadku, to ja natychmiast spuszczę mu tęgie lanie. – Usłyszałam ponury głos z tyłu. Obróciłam się i zobaczyłam, że Jamie przygląda się koniowi zza mojej głowy.

– Zdejmiesz Fergusa? – spytałam.

Pokręcił głową.

– Nie, niech koń się tym zajmie.

Tak naprawdę źrebak był chyba bardziej oszołomiony niż wystraszony dziwnym ciężarem na swym grzbiecie. Miękka sierść falowała i drżała, jak gdyby siedziały na niej hordy much. Zdezorientowany źrebak potrząsał łbem.

Nogi Fergusa zginały się niemalże pod kątem prostym na szerokim grzbiecie percherona. Chłopak kurczowo uczeplił się grzywy. Taka pozycja mogłaby umożliwić chłopcu ześlizgnięcie się lub przynajmniej upadek bez większych obrażeń, gdyby ofiary walki na kulki końskiego gnoju nie wymierzyły mu odpowiedniej zemsty.

Dwaj stajenni biegli za koniem w bezpiecznej odległości i zagradzali drogę od tyłu.

Trzeciemu udało się wyprzedzić pędzące zwierzę i otworzyć wrota do pustego wygonu, obok którego urządzaliśmy piknik. Wrota znajdowały się pomiędzy grupką gości i końcowym odcinkiem alejki łączącej budynki. Oczywiście intencją stajennych było ciche

zapędzenie konia do zagrody, gdzie mógłby, wedle swej woli, zrzucić Fergusa albo nie, ale przynajmniej byłby zabezpieczony przed ucieczką i okaleczeniem.

Jednak zanim to miało nastąpić, z małego okienka w strychu, wysoko ponad ścieżką ukazała się gibka postać. Nikt prócz mnie tego nie zauważył, bo uwaga widzów skupiona była wyłącznie na koniu. Chłopak w okienku obserwował sytuację, na moment schował się i natychmiast się pojawił z dużym snopem siana w obu rękach. Precyzyjnie wybrał odpowiedni moment i zrzucił siano wprost pod kopyta żrebaka.

Sprawcę bardzo zadowolił efekt poczynañ. Tam, gdzie wcześniej znajdował się Fergus, widać było eksplozję siana. Ogarnięty paniką koń przeraźliwie zarżał, uniósł zad do góry i ruszył z kopyta jak zwycięzca Derbów. Pruł wprost na grupkę dworzan.

Towarzystwo z piskiem rozproszyło się na cztery wiatry.

Jamie zepchnął mnie z drogi rozpędzonemu rumakowi. Upadłam na murawę. Przez chwilę leżałam na wznak, ale zaraz mnie podniósł. Burknął coś w mieszanej gwarze, łączącej tak zwaną łacinę z językiem szkockim. Nawet nie zdążył zapytać, czy nic mi się nie stało. Natychmiast wyrwał w kierunku otumanionego jeźdźca. Śmiertelnie wystraszony koń stawał dęba i kręcił się w kółko. Przednimi kopytami bronił się przed grupką parobków i chłopców stajennych, którzy patrząc, jak na ich oczach marnuje się jeden z cennych koni króla, szybko stracili profesjonalny spokój.

Jakimś cudem, siłą uporu lub strachu, Fergus wciąż

znajdował się na swoim miejscu.

Ślizgał się i podskakiwał, uderzał patykowatymi nogami o falujący zad konia. Stajenni krzyczeli, by go puścił, ale on nie zważał na rady. Z całych sił obiema rękami ścisnął końską grzywę niczym tonący linę ratunkową. Jeden z parobków miał widły. Groźnie wymachiwał nimi w powietrzu. Madame Montresor aż krzyknęła z przerażenia.

Najwyraźniej sądziła, że służący zamierza dzieciaka na nie nadzieć.

Niestety, krzyk w żadnym stopniu nie uspokoił nerwów żrebaka. Dalej miotał się w oszalałym tańcu. Cofał się jak najdalej od ludzi, którzy otaczali go coraz ściślej wiankiem. Nie sądziłam, że stajenny naprawdę zamierza strącić Fergususa z konia za pomocą wideł. Gdyby chłopiec spadł, istniało realne zagrożenie, że zwierzę go strątuje.

Trudno mi było sobie wyobrazić, w jaki sposób Fergus zdoła uniknąć tego losu.

Nieoczekiwanie koń wyrwał w stronę kępki drzew obok wygonu. Widocznie albo szukał ucieczki od tłumy, albo doszedł do wniosku, że siedzące na jego grzbiecie brzemię zaczepi się o jedną z gałęzi i spadnie.

Minął pierwsze konary. Nagle pośród zieleni dojrzałam czerwoną kratę, a potem jaskrawy błysk. Jamie wybiegł spod drzewa, gdzie akurat się skrywał. Otarł się o pomykającego konia i runął na ziemię. Ze zwojów szkockiego szala wystawały nagie nogi i... nie tylko. Oko ciekawskiego obserwatora mogło zauważyć, że konkretnie ten Szkot akurat w tym momencie nie ma absolutnie nic

pod kraciatą spódnicą.

Dworskie towarzystwo ruszyło jak jeden mąż w stronę wyłożonego na murawie lorda Brocha Tuaracha. Służba stajenna po drugiej stronie kępki drzew kontynuowała pogoń za rumakiem.

Jamie leżał jak długi pod bukiem, na plecach, z twarzą koloru trupiozielonkawego.

Oczy i usta miał szeroko otwarte. W mocnym uścisku trzymał Fergusa. Chłopak przyłgął do jego piersi niczym pijawka. Dobiegłam do Jamiego. Mrugnął do mnie i usiłował się uśmiechnąć. Ledwie słyszalne posapywanie, które wcześniej wydobywało się z jego ust, przemieniło się w płytką zadyszkę. Poczulałam ulgę i nieco się rozluźniłam. Tylko na chwilę stracił oddech.

W końcu Fergus zdał sobie sprawę, że już nie siedzi na końskim grzbiecie i ostrożnie uniósł głowę.

– Pyszna zabawa, milordzie! Możemy ją powtórzyć?

W czasie akcji ratunkowej w Argentanie Jamie nadwyreżył mięsień uda. Po powrocie do Paryża nadal bardzo kulał. Fergus wcale nie ucierpiał ani ze względu na szaloną przejażdżkę, ani na burę, która była jej następstwem. Jamie wysłał go do kuchni po kolację, a sam zapadł w fotel obok kominka i zaczął masować spuchniętą nogę.

– Bardzo bolało? – spytałam współczująco.

– Trochę. Choć tak naprawdę moja noga potrzebuje tylko odpoczynku. – Wstał i przeciągnął się. Maksymalnie korzystał z luksusu przestrzeni. Długie ręce nieomal sięgały poczerńiałych, dębowych belek ponad obramowaniem

kominka. – Byłem tak skrępowany w powozie, że chciałem jak najszybciej dojechać do domu.

– Mm. Ja też. – Potarłam krzyż. Bardzo mi dokuczał po trudach drogi. Ból promieniował w dół, poprzez miednicę do nóg. Przypuszczałam, że w związku z ciężą stawy były nadwerężone.

Badawczo przesunęłam dłoń po nodze Jamiego i wskazałam szeslong.

– Idź, połóż się na boku. Mam dobrą maść. Posmaruję ci nogę. Trochę złagodzi ból.

– Cóż, jeśli jesteś taka dobra... – Z trudem wstał i położył się na lewym boku.

Podsunał spódnicę nad kolana.

Otworzyłam skrzynką z medykamentami i zaczęłam szperać wśród pudełek i słoiczków. Parzydło, śliski wiąz, pomurne ziele... O, jest! Wyciągnęłam mały, niebieski słoiczek, który dostałam od pana Foreza, i odkręciłam nakrętką. Ostrożnie powąchałam zawartość. Maści szybko jęlczeją, ale ta widocznie miała odpowiednią zawartość soli dla zapewnienia trwałości. Odznaczała się miłym, delikatnym zapachem i pięknym soczystym, kremowym kolorem świeżej śmietany.

Zaczerpnęłam dość dużą ilość maści i rozsmarowałam ją na długim mięśniu uda.

Podciągnęłam jeszcze wyżej kraciastą spódnicą, by jej nie pobrudzić. Miał ciepłe nogi.

Nie była to jednak gorączka wywołana infekcją, lecz normalne ciepło młodego, męskiego ciała, zarumienionego od ćwiczeń i tryskającego zdrowiem. Delikatnie wmasowałam krem w lekko opuchnięte udo.

Pod palcami wyczuwałam poszczególne części mięśnia czworogłowego i ścięgno. Gdy potarłam mocniej, Jamie odchrząknął.

– Bolało?

– Tak, trochę. Ale nie przestawaj – poprosił. – To mi na pewno dobrze zrobi. – Zachichotał. – Nie przyznałbym się przed nikim prócz ciebie, Angielko, ale to była świetna zabawa. Od miesiący nie ruszałem się w ten sposób.

– Cieszę się, że dobrze się bawiłeś – powiedziałam. Sięgnęłam do słoiczka po dodatkową warstwę maści. – Ja również się nie nudziłam. – Nie przestając masować, opowiedziałam o ofercie księcia.

Od czasu do czasu chrząkał na znak, że słucha. Lekko się skrzywił, gdy go niechcący szturchnęłam w czułe miejsce.

– Colum miał rację. Niewykluczone, iż ten człowiek może mi pomóc w uwolnieniu się z zarzutów.

– Pewnie tak. Przepuszczam jednak, że kwestia rozbija się o to, czy ty zechcesz go poprosić? – Robiłam wszystko, żeby nie wstrzymywać oddechu w oczekiwaniu na odpowiedź. Fraserowie, jako rodzina, byli znani z uporu i chociaż matka Jamiego pochodziła z MacKenziech, to on sercem i duszą należał do Fraserów. Jeśli już raz zdecydował się powstrzymać Karola Stuarta, to wydawało się bardzo mało prawdopodobne, że zrezygnuje z tego trudu. Tak czy inaczej była to kusząca przynęta – zarówno dla niego, jak i dla mnie. Móc wrócić do Szkocji, do domu. Spokojnie żyć.

Oczywiście, istniała też druga strona medalu.

Gdybyśmy zostawili plany Karola swemu biegowi, to spokój w Szkocji nie potrwałby długo.

– Powiem ci coś, Angielko – parsknął Jamie, widocznie idąc tym samym tropem, co ja. – Pomyślałem, że Karolowi mogłoby się udać wyzwolić Szkocję spod panowania Anglii. W takim wypadku byłbym gotów oddać cały swój majątek, grunty, wolność i życie, by mu pomóc. Może jest głupcem, ale za to królewskim głupcem i nie pozbawionym rycerskości. – Westchnął. – Ale znam Karola i rozmawiałem z nim wiele razy, a także ze wszystkimi jakobitami, którzy walczyli wraz z jego ojcem. I biorąc pod uwagę twoje przepowiednie dotyczące losów powstania, jeśli do niego dojdzie... Nie widzę żadnego innego wyjścia, jak tylko zostać. Jeśli uda nam się powstrzymać księcia, wtedy może się pojawić szansa na powrót. Albo i nie. Ale na razie muszę podziękować Jego Wysokości i odrzucić ofertę.

Delikatnie pogłaskałam go po udzie.

– Tak też myślałam.

Uśmiechnął się do mnie i zerknął w dół, na żółtawą warstwę kremu, pokrywającą moje palce.

– Co to za mazidło?

– Dostałam od monsieur Foreza. Nie powiedział, jak to się nazywa. Nie sędzę, żeby zawierało jakieś aktywne składniki, ale jest przyjemnym, tłustym kremem.

– Od monsieur Foreza? – spytał zaniepokojony.

– Tak – odparłam zdziwiona. – O co chodzi? – Odsunął na bok moje wysmarowane kremem ręce, zdjął stopy z szeszlona i sięgnął po ręcznik.

– Czy zakrętka tego słoika była opatrzona znakiem

*fleur-de-lys** [*Kwiat Lili.], Angielko? – zapytał, wycierając maść z nogi.

– Tak – przyznałam. – Jamie, co ci nie pasuje?

Jego twarz zdradzała emocje wahające się na krawędzi pomiędzy przerażeniem i rozbawieniem.

– Nie mówiłem, że mi w tej maści coś nie pasuje – odezwał się w końcu. Potarł swą nogę tak mocno, że aż rudozłote, kręcone włosy zjeżyły się nad zaczerwienioną skórą.

Odrzucił ręcznik i zamyślony spojrzął na słoik.

– Monsieur Forez pewnie miał o tobie bardzo dobre zdanie, Angielko – rzekł. – To droga mikstura.

– Ale...

– Bardzo doceniam gest Foreza – zapewnił mnie pośpiesznie. – Jednak myśl o tym, że dzielił mnie tylko jeden dzień od momentu, w którym mógłbym sam stać się jednym ze składników, sprawia, że czuję się trochę nieswojo.

– Jamie! – wyrwało się z moich ust. – Co to jest? – Szybko chwyciłam za ręcznik i zaczęłam wycierać upaprane maścią ręce.

– Tłuszcz z powieszzonego człowieka – odparł niechętnie.

– Po... po... – Nie byłam nawet w stanie wyrzec tego słowa. Wstrząsnął mną dreszcz.

– Masz na myśli... – Moje ramiona pokryła gęsia skórka, włoski sterczały jak igły w poduszczech.

– Eee... No tak. Tłuszcz odzyskany z powieszonych kryminalistów – wyjaśnił radośnie. Tak szybko odzyskał humor, jak ja go straciłam. – Mówią, że jest bardzo dobry

na reumatyzm i chore stawy.

Przypomniałam sobie, jak skwapliwie monsieur Forez gromadził pozostałości po swoich operacjach w L'Hopital des Anges i ten dziwny wygląd twarzy Jamiego, kiedy wysoki *chirurgien* odwoził mnie do domu. Ugięły się pode mną nogi. Poczułam skurcz w brzuchu, jak gdybym za chwilę miała urodzić.

– Jamie! Kim, do licha, jest monsieur Forez? – Prawie krzyczałam. Na jego twarzy malowały się liczne odczucia, ale zdecydowanie przeważała wesołość.

– Katem z urzędu dla rewiru Piątej Dzielnicy, Angielko. Myślałam, że wiesz.

Przemoczony i zziębnięty Jamie wrócił ze stajni, dokąd poszedł się wyszorować.

Potrzebował rytualnego oczyszczenia na taką skalę, jakiej nie mogła mu zapewnić miednica w sypialni.

– Nie martw się. Już po wszystkim – zapewnił. Zdjął koszulę oraz pozostałe ubrania.

Skórę miał szorstką i lodowatą, pokrytą gęsią skórką. Gdy mnie wziął w ramiona, lekko zadrżał.

– O co ci chodzi, Angielko? Już chyba nie cuchnę maścią? – spytał. Bezwładnie leżałam skulona i sztywna pod kołdrą, obejmując się ramionami.

– Nie – powiedziałam. – Boję się, Jamie. Krwawię.

– Matko... – szepnął czule. Poczułam nagły dreszcz strachu, który nim wstrząsnął po usłyszeniu moich słów. Identyczny jak ten, który ogarnął moje ciało. Przytulił mnie mocno, pogłaskał po włosach i plecach. Jednak oboje czuliśmy straszną bezradność wobec fizycznej katastrofy, obracającej wniwecz jego starania. Mimo że był tak silny,

nie mógł mnie ochronić przed nadciągającym nieszczęściem. Pomimo najszczerzej chęci nie potrafił mi pomóc. Po raz pierwszy jego ramiona nie zapewniały mi bezpieczeństwa i ta świadomość przerażała nas oboje.

– Myślisz, że... – zaczął, ale głos mu uwiązł w krtani. Przerazenie ścisnęło mu gardło.

Głośno przełknął grudę strachu. – Źle z tobą, Angielko?

– Nie wiem – odparłam. Przytuliłam się do niego mocniej, desperacko szukając oparcia. – Krwawienie nie jest silne. W każdym razie, jeszcze nie.

Świeca wciąż się paliła. Spojrzał na mnie pociemniałymi ze zmartwienia oczami.

– Chyba powinienem kogoś do ciebie wezwać, Claire. Uzdrowiaczkę, jedną z kobiet ze szpitala.

Pokręciłam głową i oblizałam suche usta.

– Nie. Nie sądzę... żeby mogli mi pomóc. Nic nie mogę zrobić. – Nie chciałam mówić więcej. Niczego bardziej nie pragnęłam niż tego, by znalazł się ktoś, kto by wiedział, jak mnie uzdrowić. Ale pamiętałam początkowe lekcje szkolenia pielęgniarskiego, dni spędzone na oddziale położniczym. Przypomniałam sobie słowa jednego z lekarzy.

Wzruszył ramionami, odchodząc od łóżka pacjentki tuż po poronieniu i powiedział: – Naprawdę, nic nie można zrobić. Jeśli kobiety mają poronić, tak zwykle się dzieje, bez względu na starania lekarzy. Jedynym lekarstwem jest leżenie w łóżku, ale często nawet to nie wystarczy.

– Może to nie jest nic strasznego. – Staralam się pocieszyć nas oboje. – Często się zdarza, że kobiety w

cięży mają niegroźne, małe krwawienia. – To nic strasznego, ale w trakcie pierwszych trzech miesięcy. U mnie już minął piąty miesiąc i krwawienie w żadnym wypadku nie mogło być uznane za coś normalnego.

– Może wszystko będzie dobrze – powiedziałam. Położyłam dłoń na brzuchu i lekko ją przycisnęłam. Natychmiast otrzymałam od mieszkańca swego ciała odpowiedź w postaci leniwego wypchnięcia brzucha. Dzięki temu od razu poczułam się lepiej. Łzy napłynęły mi do oczu.

– Co robić, Angielko? – szepnął Jamie. Objął mnie ramieniem i położył dłoń na mojej ręce, którą trzymałam na zagrożonej kuli.

– Po prostu się módl – powiedziałam. – Módl się za nas, Jamie.

23

PLANY

Krwawienie do rana ustało. Bardzo ostrożnie wstawałam z łóżka. Nic złego się nie wydarzyło. Stało się jednak oczywiste, że nadszedł czas przerwania pracy w L'Hopital des Anges.

Posłałam Fergusa do matki Hildegardy z listem, w którym zawarłam wyjaśnienie i przeprosiny. Wrócił, przynosząc jej modlitwy, najlepsze życzenia i butelkę brązowego eliksiru, bardzo cenionego przez akuszerki środka chroniącego przed poronieniem. Po maści od monsieur Foreza bardzo ostrożnie używałam medykamentów, których nie sporządziłam własnoręcznie. Powąchałam miksturę. Upewniłam się, że jej składniki to

tylko zioła.

Po długich wahaniach w końcu wypięłam łyżeczkę. Elixir był gorzki i pozostawiał w ustach obrzydliwy posmak, ale już sam akt uczynienia dla poprawy zdrowia czegokolwiek – nawet czegoś absolutnie bezskutecznego – sprawił, że poczułam się lepiej. Codziennie większość czasu spędzałam na szezlongu w swoim pokoju. Czytałam, drzemałam, szyłałam lub po prostu patrzyłam przed siebie z rękami na brzuchu.

Tak było wtedy, gdy zostawałam sama. Kiedy Jamie wracał do domu, przeważnie siedzieliśmy razem. Rozmawialiśmy o bieżących sprawach bądź o najnowszych listach od jakobitów. Najwyraźniej doniesiono królowi Jakubowi o inwestycji Karola w porto. Król całkowicie ją zaakceptował, jako „bardzo rozsądny plan, do którego nie umiałbym inaczej się odnieść, jak tylko całym sercem go zaakceptować. Jestem pewien, iż zabezpieczy ci godziwy byt. Chciałbym ujrzeć cię dobrze urządzonego we Francji”.

– Więc Jakub myśli, że te pieniądze mają po prostu umożliwić Karolowi jako szlachcicowi osiedlenie się we Francji – powiedziałam. – Czy sądzisz, że nie widzi w tym planie nic poza tym? Dziś po południu była tu Luiza. Mówi, że Karol odwiedzał ją w zeszłym tygodniu. Nalegał na spotkanie. Najpierw odmawiała, potem się zgodziła.

Mówiła, że był bardzo podekscytowany i napełniony dumą z jakiegoś powodu, ale za nic nie chciał zdradzić dlaczego. Przez cały czas tylko wspominał o fascynującym przedsięwzięciu. „Wielka przygoda”, podobno tymi słowami to określił. Chyba nie chodzi o zwykłe zainwestowanie w porto, prawda?

– No właśnie. – Jamie spochmurniał na tę myśl.

– Cóż... – kontynuowałam. – Podsumowując wszystkie fakty, można by się założyć bez większego ryzyka, że Karol nie zamierza po prostu się ustatkować, korzystając z profitów, jakie mu zapewni nowe przedsięwzięcie. Wcale też nie pragnie zostać wyróżniającym się paryskim kupcem.

– Gdybym lubił się zakładać, postawiłbym na to swoją ostatnią podwiązkę – potwierdził Jamie. – Teraz musimy odpowiedzieć na pytanie: jak go powstrzymać?

Odpowiedź przyszła kilka dni później, niezależnie od rozmaitych dywagacji i bezużytecznych sugestii. Murtagh siedział z nami w mojej sypialni. Przyniósł mi z doków kilka sztuk materiału na suknie.

– Podobno w Portugalii wybuchła epidemia ospy – zauważył. Rzucił drogi, cieniutki jedwab na łóżko niczym stertę zużytych worków konopnych. – Dziś rano zawiął statek wiozący żelazo z Lizbony. Komendant portu, wraz z trzema pomocnikami, dokładnie go przeczesał. Jednak nic nie znaleźli. – Zauważył na stoliku butelkę brandy. Nalał sobie połowę kieliszka i wypił jak wodę, dużymi haustami. Obserwowałam ten spektakl z otwartą buzią i pewnie dalej bym mu się przyglądała, gdyby Jamie swym okrzykiem nie wyrwał mnie z transu.

– Ospa?!

– Tak – odparł Murtagh pomiędzy jednym łykiem a drugim. – Ospa. – Znów podniósł szkło i kontynuował regularne „orzeźwianie się”.

– Ospa – mruknął Jamie sam do siebie. – Ospa.

Z wolna ustępował grymas na jego twarzy, aż w

końcu znikła pionowa fałda pomiędzy brwiami. Wyglądał na głęboko zamyślonego. Zapadł w fotel, splótł ręce na karku i wbił wzrok w Murtagha. Uśmiech rozciągnął szerokie usta.

Murtagh przyglądał mu się ze zrezygnowaną miną i sceptycyzmem w oku. Opróżnił kielich. Otępiały, zgarbiony siadł na taborecie. Natomiast Jamie poderwał się z fotela i zaczął chodzić dokoła kuzyna, pogwizdując przez zęby.

– Widzę, że wpadł ci do głowy jakiś pomysł – zagadnęłam.

– O, tak – przyznał i zaczął cicho chichotać. – Pewnie.

Obrócił się w moją stronę. W jego oczach połyskiwały figlarne iskierki inspiracji.

– Czy masz coś w domowej apteczce, co mogłoby wywołać gorączkę? Albo spowodować biegunkę bądź wysypkę?

– Chyba tak – powiedziałam powoli, zastanawiając się nad celem pytania. – Rozmaryn. Pieprz turecki. No i oczywiście jest kora szakłaku. Wywołuje biegunkę.

Spojrzał na Murtagha i szeroko się uśmiechnął. Przejęty swym pomysłem zarechotał i zmierzwił włosy krewnego tak, że sterczały jak czarne szpilki. Murtagh gapił się na Jamiego. W tym momencie bardzo przypominał małą Luizy.

– Słuchajcie – rzekł Jamie, konspiracyjnie pochylając się nad nami. – Co się stanie, jeśli statek hrabiego St. Germainea wróci z portugalskiego portu z ospą na pokładzie?

– Postradałeś zmysły? – spytałam delikatnie. – I co z tego, jeśliby nawet to się zdarzyło.

– Gdyby tak się stało, straciliby ładunek – wyjaśnił Murtagh. – Zgodnie z prawem zostałby spalony bądź wyrzucony do zatoki. – W małych, czarnych oczkach pojawił się błysk zainteresowania. – W jaki sposób zamierzasz tego dokonać, chłopcze?

Wyraz twarzy Jamiego stracił nieco z wesołości, ale oczy wciąż skrzyły.

– Cóż, jeszcze tego do końca nie przemyślałem – przyznał. – Ale na początek...

Dopracowanie szczegółów zajęło kilka dni dyskusji i eksperymentów. W końcu plan został ustalony. Jamie zrezygnował z kory szakłaku. Wywoływała zbyt silną biegunkę. Ale za to w jednym z poradników na temat ziołolecznictwa, które pożyczyłam od mistrza Raymonda, znalazłam coś dobrego, co mogło z powodzeniem zastąpić szakłak.

Murtagh, zaopatrzony w worek pełen olejku rozmarynowego, soku z pokrzywy i korzenia marzanny, miał pod koniec tygodnia wyruszyć w drogę do Lizbony po to, aby przysłuchiwać się krążącym po tawernach plotkom i dowiedzieć się niezbędnych szczegółów na temat statku frachtowanego przez hrabiego St. Germainea. Potem musiał dostać się na jego pokład. W tym czasie mieliśmy otrzymać wiadomość zawierającą nazwę statku i datę jego dotarcia do Paryża.

– Nie, to nienormalne – rzekł Jamie w odpowiedzi na moje pytanie, czy kapitan nie wyczuje czegoś podejrzanego w zachowaniu Murtagha. – Prawie wszystkie

statki towarowe przewożą kilku pasażerów, chociaż wielu mogą wcisnąć pomiędzy deki.

A Murtagh będzie miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby sobie zapewnić sobie wstęp.

Zaoferuję mu nawet kajutę kapitana. – Spojrzał na Murtagha i pogroził palcem.

– I weź tę kajutę, słyszysz? Nieważne, ile kosztuje. Do transportu ziół będziesz potrzebował odosobnienia. Nie możemy ryzykować. – Obrzucił ojca chrzestnego krytycznym spojrzeniem. – Masz porządny płaszcz? Jeśli wyruszysz za granicę, wyglądając jak żebrak, to prawdopodobnie wyrzucą cię za burtę, zanim się dowiedzą, co skrywasz w skórzanej torbie.

– Mm-hm – zadumał się Murtagh. Niski członek klanu zwykle rzadko zabierał głos podczas dyskusji, ale jeśli już się odezwał, oznaczało to, że powie coś istotnego. – A kiedy mam zażyć te środki? – spytał.

Wyciągnęłam kartkę, na której wcześniej zapisałam sposób użycia i dawkowanie.

– Dwie łyżki różowej marzanny. – Postukałam palcem w małą buteleczkę z przezroczystego szkła, napełnioną ciemnym, różowawym płynem. – Zażyj na cztery godziny przed planowanym pokazaniem objawów choroby. Po pierwszej dawce połkaj łyżkę tego specyfiku co dwie godziny. Nie wiemy, jak długo będziesz musiał kontynuować.

Wręczyłam mu drugą butelkę, tym razem z zielonego szkła, wypełnioną fioletowoczną cieczą.

– Skoncentrowany olejek z liści rozmarynu – wyjaśniłam. – Działa szybciej niż poprzedni środek. Wypij

około jednej czwartej butelki pół godziny wcześniej, niż zamierzasz się pokazać. Przed upływem trzydziestu minut powinno się pojawić zaczerwienienie skóry. Czas działania jest krótki, więc gdy znajdziesz chwilę na osobności, powinienes zażyć następną dawkę. – Ze skrzynki z medykamentami wyjęłam następną, mniejszą fiolkę. – A kiedy już będziesz w bardziej zaawansowanym stadium „gorączki”, możesz natrzeć ramiona i twarz sokiem z pokrzywy. Wywołasz pęcherze.

Chcesz wziąć kartkę z zaleceniami?

Zdecydowanym ruchem głowy zaprzeczył.

– Nie. Zapamiętam. Istnieje większe ryzyko, że znajdą mnie z kartką papieru, niż zapomnę, ile czego mam wziąć. – Obrócił się w stronę Jamiego. – A ty, chłopcze, będziesz czekał w Orvieto na spotkanie statku, tak?

– Zgadza się. – Jamie pokiwał głową. – Zatrzymują się tam wszystkie transportowce, żeby nabrać świeżej wody. Gdyby jednak jakimś cudem stało się inaczej, to... – Wzruszył ramionami. – Wynajmę łódź i spróbuję dogonić statek. O ile zdołam dotrzeć na pokład przed wpłynięciem do Hawru, to wszystko powinno być w porządku. Najlepiej jednak, jeśli mi się uda tego dokonać blisko wybrzeży Hiszpanii. Nie zamierzam spędzić na morzu więcej czasu niż to konieczne. – Podbródkiem wskazał butelkę w rękach Murtagha. – Radziłbym, żebyś się wstrzymał z połknięciem tego do mojego przybycia na pokład. Bez świadków kapitan z łatwością wyrzuci cię w nocy za rufę.

Murtagh odchrząknął.

– Niech tylko spróbuje. – Dotknął rękojeści swego sztyletu.

Jamie skrzywił się.

– Nie zapominaj się. Masz uchodzić za człowieka dotkniętego ospą. Jeśli dopisze ci szczęście, będą się bali cię dotknąć, ale na wszelki wypadek... czekaj, aż znajdą się pod ręką i odpłyniemy daleko od brzegu.

– Mm-hm.

Spojrzałam najpierw na jednego, potem na drugiego. Istniała szansa, że plan się powiedzie. Jeśli kapitan statku będzie przekonany, że jeden z jego pasażerów cierpi na wietrzną ospę, to pod żadnym pozorem nie dopuści, by statek zatrzymał się w porcie Hawr, gdzie francuskie ograniczenia sanitarne wymagałyby jego zniszczenia. Mając przed sobą perspektywę powrotu do Lizbony i utratę wszelkich profitów z wyprawy lub spędzenia dwóch tygodni w Orvieto, zanim wieści dotarłyby do Paryża, prawdopodobnie zgodzi się odsprzedać towar bogatemu szkockiemu kupcowi, który właśnie przekroczył granicę.

Kluczową rolę w tej maskaradzie odgrywała anonimowość ofiary ospy. Jamie na ochotnika zgodził się być królikiem doświadczalnym w eksperymentach z ziołami. Na niego podziały znakomicie. W ciągu kilku minut jasnacera przybrała kolor ciemnoczerwony, a sok z pokrzywy natychmiast wywołał pęcherze. Ogarnięty paniką lekarz okrętowy bądź kapitan statku mogą uznać, że pasażer z takimi objawami ma wietrzną ospę. A na wypadek, gdyby nadal pozostał jakikolwiek cień wątpliwości, to zabarwiony marzanną mocz do złudzenia przypominał urynę człowieka, który wydała krew, gdy jego nerki zaatakuje ospa.

– Matko! – wykrzyknął Jamie po dokonaniu pierwszego eksperymentu, sam zadziwiony skutecznością ziół.

– Och, świetnie! – krzyknęłam. Zerknęłam przez jego ramię na biały, porcelanowy nocnik i jego purpurową zawartość. – Rezultat przeszedł moje oczekiwania.

– Ach tak? Zatem jak długo działa ten preparat? – spytał Jamie, raczej nerwowo spoglądając w dół.

– Myślę, że kilka godzin – odpowiedziałam. – A co, dziwnie się czujesz?

– Może nie dziwnie – powiedział, drapiąc się. – Ale mnie swędzi.

– To nie z powodu ziół – przerwał surowo Murtagh. – To naturalny stan u chłopaka w twoim wieku.

Jamie szeroko uśmiechnął się do ojca chrzestnego.

– Pamiętasz te czasy, prawda?

– Pamiętam nawet czasy, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie, chłopczyku – rzekł Murtagh, kręcąc głową. Drobny mężczyzna umieszczał buteleczki w skórzanej, szkockiej torbie, zwanej sporraniem. Metodycznie owijał każdą w skrawek miękkiej skóry, by zapobiec ich potłuczeniu. – Najszybciej, jak tylko będę mógł, prześlę informacje na temat statku i jego trasy. I za miesiąc spotkam się z tobą w Hiszpanii. Zdążysz do tej pory zebrać pieniądze?

Jamie skinął głową.

– O, tak. Sądzę, że uda mi się je uzyskać jeszcze w tym tygodniu. – Firma Jareda nieźle prosperowała od czasu, gdy zarządzał nią Jamie. Jednak rezerwy gotówki nie wystarczały, by zakupić ładunki wszystkich statków z

portu. Ale gry w szachy zaowocowały nie tylko w jednej dziedzinie. Młodszy monsieur Duvemey – sławny bankier, chętnie zagwarantował pokaźną pożyczkę przyjacielowi swego ojca.

– Szkoda, że nie możemy przywieźć win do Paryża – powiedział Jamie podczas opracowywania planu. – St. Germain na pewno by to odkrył. Najlepiej sprzedać ładunek w Hiszpanii, przez jakiegoś pośrednika. Znam odpowiedniego człowieka w Bilbao. Zysk będzie o wiele mniejszy niż we Francji, a podatki wyższe, ale trzeba coś stracić, żeby coś innego zyskać, prawda?

– Załatwię formalności związane ze zwrotem pożyczki Duvemeyowi – oświadczyłam.

– A gdy już mowa o pożyczkach, co signore Manzetti zamierza zrobić w sprawie pieniędzy, które pożyczył Karolowi Stuartowi?

– Podejrzewam, że może tylko szukać wiatru w polu – odparł wesoło Jamie. – I przy tej sposobności zrujnować reputację Stuartów wśród wszystkich bankierów na kontynencie.

– Wygląda na to, że biedny, stary Manzetti będzie musiał znieść trudne chwile – zauważyłam.

– Cóż, nie można mieć wszystkiego, jak mawia moja stara babcia.

– Przecież nie masz starej babci – zauważyłam.

– Racja – przyznał. – Ale gdybym miał, to na pewno by tak mówiła. – Nagle stracił ochotę na dowcipkowanie. – Poza tym to niezbyt uczciwe wobec Stuartów. Mówiąc szczerze, gdyby przypadkiem któryś z jakobickich lordów dowiedział się, co ja wyprawiam,

prawdopodobnie nazwałby to zdradą. I słusznie. – Potarł dłonią czoło i pokręcił głową. W tym momencie dostrzegłam w jego oczach śmiertelną powagę.

– Trudno, Angielko. Jeśli się nie mylisz, a ja w dalszym ciągu gotów jestem za to dać głowę, to istnieje wybór pomiędzy aspiracjami Karola i życiem w piekle, jakie czekałoby wielu Szkotów. Nie przepadam za królem Jerzym, przecież wyznaczył cenę za moją głowę, ale po prostu nie widzę innego wyjścia.

Skrzywił się i pogładził dłonią włosy jak zwykle, gdy był zamyślony bądź zdenerwowany.

– Gdyby chociaż istniała szansa na zwycięstwo Karola... tak... Cóż, wtedy postępowalbym inaczej. Mógłbym podjąć ryzyko w imię honorowej sprawy. Ale zgodnie z twoją teorią dziejów Karol poniesie porażkę. Muszę przyznać, że wszystko, co wiem o tym człowieku, potwierdza tę przepowiednię. W grę wchodzi życie moich krewnych.

Jeśli zapłatą za nie byłoby złoto jednego z bankierów... nie jest to większe poświęcenie niż rzucenie na stos własnego honoru. – Wzruszył ramionami. Rozpacz usiłował ukryć pod maską humoru. – Więc teraz przechodzę od kradzieży listów Jego Wysokości do napadu na bank i piractwa na dalekich morzach... Chyba nie ma od tego odwrotu.

Przez chwilę trwał w milczeniu, wpatrzony w swoje dłonie, splecione na biurku.

Nagle obrócił głowę w moją stronę i uśmiechnął się.

– Kiedy byłem szkrabem, zawsze chciałem zostać piratem – rzekł. – Szkoda, że nie mogę nosić przy sobie

korda.

Leżałam w łóżku z głową i ramionami opartymi wysoko na poduszkach. Dłonie trzymałam swobodnie splecione na brzuchu. Myślałam. Od pierwszego ataku bardzo niewiele krwawiłam i dobrze się czułam. Zastanawiałam się, co by się stało, gdyby zaistniało jakieś niebezpieczeństwo w czasie, gdy Jamie będzie w Hiszpanii, ale wiedziałam, że nic nie osiągnę przez to zamartwianie się. Musiał jechać. Zbyt wiele wysiłku kosztowało przygotowanie akcji przechwycenia transportu wina, by ją zaprzepaścić przez osobiste kłopoty. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, Jamie powinien wrócić na długo przed terminem porodu.

Wobec takiego stanu rzeczy wszelkie sprawy osobiste musiały zejść na dalszy plan, bez względu na jakiegokolwiek zagrożenia. Niezwykle podekscytowany Karol wyznał Jamiemu, że wkrótce będzie potrzebował dwóch statków, a może nawet więcej. Poprosił Jamiego o radę w sprawie projektu kadłubu i instalacji armaty pokładowej. Najświeższe listy z Rzymu od Jakuba zdradzały lekką nutę powątpiewania. Jakub Stuart miał wyostrzony węch polityczny, z którego słynęli Burboni, i „czuł pismo nosem”, ale najwyraźniej, jak do tej pory, nie został wtajemniczony w plany syna. Jamie, który był specjalistą od rozszyfrowywania listów, uważał za prawdopodobne, że Filip Hiszpański jeszcze nic Jakubowi nie wspomniał na temat wstępnych poczynań Karola ani na temat zainteresowań papieża. Ale Jakub Stuart również miał szpiegów.

Po chwili zdałam sobie sprawę z niewielkich zmian

w poglądach Jamiego. Spojrzałam na niego. Trzymał na kolanach otwartą książkę, ale nie patrzył na kartki. Jego oczy były utkwione we mnie, a mówiąc ściślej, w miejsce, gdzie rozchyłała się moja koszula nocna, kilkanaście centymetrów niżej, niż nakazywała skromność.

Wpatrywał się we mnie rozmarzonym wzrokiem. Niebieskie oczy pociemniały z pożądania. Wtedy uświadomiłam sobie, że w pewnych warunkach skromność, jeśli nie jest nakazem społecznym, to może przynajmniej jest wskazana, nawet w sypialni własnego męża.

Zauważył, że mu się przyglądam. Lekko się zaczerwienił i spieszenie wrócił do lektury.

Przekręciłam się na bok i położyłam dłoń na jego udzie.

– Interesująca książka? – spytałam, leniwie go pieszcząc.

– Mm-hm. O, tak. – Rumieniec stał się bardziej intensywny, ale Jamie nie podnosił wzroku.

Uśmiechnęłam się do siebie. Upuścił książkę.

– Angielko! – krzyknął. – Wiesz, że nie możesz...

– Nie mogę – powiedziałam. – Ale ty możesz.

Stanowczym ruchem odsunął moją dłoń.

– Nie, Angielko. To nie byłoby w porządku.

– Dlaczego? – spytałam zaskoczona.

Wiercił się, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Unikał spojrzenia mi w oczy.

– Ja... Ja nie chcę czerpać przyjemności i nie dawać nic w zamian... Nie czułbym się z tym dobrze i już.

Wybuchłam śmiechem. Położyłam głowę na jego udzie.

– Jamie, jesteś tak słodki, że aż brak mi słów.

– Nie jestem słodki – powiedział oburzony. – Ale też samolubny. Claire, przestań!

– Planowałeś czekać kilka następnych miesięcy? – spytałam, ignorując stanowczą prośbę.

– Owszem – odparł, siląc się na oficjalny ton. – Czekałem dwa-dwa-dwadzieścia dwa lata i mogę...

– Nie, nie możesz. – Ściągnęłam z niego kołdrę i podziwiałam kształty, bardzo dobrze widzialne spod jego koszuli nocnej. Dotknęłam wypukłości. Lekko się poruszyła i otarła o moją dłoń. – Jesteś świetny w wielu dziedzinach, Jamie Fraserze, ale nigdy nie byłbyś dobrym mnichem.

Zdecydowanym ruchem podciągnęłam jego koszulę do góry.

– Ale... – zaczął.

– Nas dwoje przeciwko tobie jednemu – powiedziałam, schylając się. – Przegrywasz.

Przez następnych kilka dni Jamie ciężko pracował. Przygotowywał interesy do samodzielnego funkcjonowania w czasie jego nieobecności. Jednak zawsze znajdował chwilkę czasu, by zająć na górę i posiedzieć ze mną przez moment. Niemal codziennie zaglądał do mnie po obiedzie. Właśnie był w sypialni, gdy zaanonsowano gościa. Często nas odwiedzano, więc nie zdziwiliśmy się zapowiedzią. Luiza przychodziła mniej więcej co drugi dzień, by poplotkować na temat ciąży bądź uzalić się nad utraconą miłością.

Szczerze mówiąc, sądziłam że Karol o wiele bardziej jej odpowiadał jako obiekt szlachetnego

wyrzeczenia niż jako aktualny kochanek. Obiecała mi przynieść nieco tureckich słodkości. Spodziewałam się więc ujrzeć jej pulchną, różową twarz.

Jednak ku memu zaskoczeniu gościem okazał się monsieur Forez. Sam szef służby osobiście go wprowadził do domu. Wziął od przybysza płaszcz i kapelusz niemal z boską czcią.

Jamie wyglądał na zaskoczonego tymi odwiedzinami, ale wstał, by grzecznie powitać kata, i zaferować poczęstunek.

– Z zasady nie piję alkoholu – powiedział monsieur Forez, uśmiechając się. – Ale nie chciałbym odrzucać gościnności mojej szacownej koleżanki. – Ceremonialnie uklonił się w stronę szezlongu, na którym odpoczywałam. – Mam nadzieję, że dobrze się pani czuje, pani Fraser?

– Tak – powiedziałam z rezerwą. – Dziękuję. – Zastanawiałam się, czemu zawdzięczam wizytę. Monsieur Forez cieszył się niemałym szacunkiem i okazałym majątkiem zdobytym dzięki sumiennemu wykonywaniu obowiązków. Nie sądziłam jednak, żeby jego zawód przysparzał mu wielu zaproszeń na obiady. Nagle zaczęło mnie nurtować pytanie, czy kat prowadzi jakiegokolwiek życie towarzyskie.

Przeszedł przez cały pokój i położył obok mnie paczkę, jak ojciec-sęp, który przyniósł obiad pisklętom. Pamiętając o tłuszczu z powieszonych ludzi, podniosłam zawiniątko i raźnie nim potrząsałam, sprawdzając ciężar. Pakunek był lekki, jak na swą wielkość.

Nieco pachniał ziołami.

– Mały prezent od matki Hildegardy – wyjaśnił. – O

ile mi wiadomo, jest to ulubione remedium wszystkich *les maitresses sage-femme*. Dołączyła również zalecenia dotyczące sposobu użycia specyfiku. – Z wewnętrznej kieszeni wyjął złożony, zalakowany liścik.

Powąchałam paczkę. Liście maliny, skalnica oraz coś jeszcze, czego nie potrafiłam rozpoznać. Miałam nadzieję, że matka Hildegarda nie omieszkała również dołączyć listy składników.

– Proszę podziękować ode mnie matce Hildegardzie – powiedziałam. – Jak się miewają wszyscy w Hôpital? – Naprawdę bardzo tęskniłam za pracą w szpitalu, jak również za pielęgniarkami oraz dziwną „menażerią” praktykujących lekarzy. Czasami trochę plotkowaliśmy na temat szpitala i personelu. Jamie od czasu do czasu rzucił jakąś uwagę, ale zazwyczaj tylko słuchał. Grzecznie się przy tym uśmiechał albo – gdy temat zbyt mocno dotykał spraw medycznych – chował nos w kieliszku z winem.

– Jaka szkoda – powiedziałam z żalem, gdy monsieur Forez skończył opisywać operację nastawiania zmiążdżonej łopatki. – Nigdy nie widziałam, jak to się robi.

Naprawdę tęsknię do prac chirurgicznych.

– Tak, mnie również będzie ich brakować. – Monsieur Forez pokiwał głową i upił trochę wina. W jego kieliszku wciąż pozostawała więcej niż połowa zawartości.

Najwyraźniej nie żartował, kiedy mówił o abstynencji alkoholowej.

– Wyjeżdża pan z Paryża? – spytał nieco zaskoczony Jamie.

Monsieur Forez wzruszył ramionami. Fałdy długiego płaszcza zaszeleściły jak pióropusz.

– Tylko na jakiś czas – odparł. – Jednak przez ponad dwa miesiące mnie tu nie będzie. To jest główny powód mojej dzisiejszej wizyty – skłonił się w moją stronę.

– Naprawdę?

– Tak. Wyjeżdżam do Anglii. W razie potrzeby chętnie przekażę jakąś wiadomość, madame. To znaczy, jeśli jest ktoś, z kim pani chciałaby się porozumieć – dodał z właściwą sobie precyzją.

Zerknęłam na Jamiego. Jego twarz nagle się zmieniła. Wyraz grzecznego zainteresowania ustępował miejsce sztucznemu uśmiechowi skrywającemu wszelkie myśli. Ktoś obcy nie dostrzegłby tej różnicy, ale ja zauważyłam.

– Nie – powiedziałam pełnym wahania głosem. – Nie mam w Anglii żadnych znajomych ani krewnych. Od czasu, kiedy zostałam wdową. – Jak zwykle, gdy wspominałam Franka, poczułam ukłucie serca, ale zdołałam opanować emocje.

Nawet, jeśli to wydało się panu Forezowi dziwne, nie okazał tego. Po prostu skinął głową i odstawił do połowy wypełniony winem kieliszek.

– Rozumiem. W takim razie to naprawdę szczęście, że tutaj nie brak pani przyjaciół.

– W jego głosie pobrzmiwało jakieś ostrzeżenie. Nie patrzył na mnie. Schylił się, by przed wyjściem poprawić pończochę. – Zatem po powrocie zajrzę do pani i mam nadzieję, że znów zastanę panią w dobrym zdrowiu.

– A jakie to interesy wysyłają pana do Anglii, monsieur? – pytał otwarcie Jamie.

Forez obrócił się w jego stronę i lekko się

uśmiechnął. Zadarł wysoko głowę.

Ponownie dostrzegłam w nim podobieństwo do dużego ptaka. Jednak w tym momencie nie przypominał sępa, lecz drapieżnika, który zabija, by przeżyć.

– Wynajęto mnie do wykonania czynności, jakie zwykle spełniam. Tylko że tym razem mam to zrobić w Smithfield.

– Jak rozumiem, chodzi o bardzo ważną okoliczność – powiedział Jamie. – Nie co dzień wzywa się człowieka o takich umiejętnościach, jakie pan posiada. – Oczywiście były czujne, choć wyraz twarzy nie zdradzał niczego prócz grzecznego pytania.

Oczy pana Foreza rozbłysły. Powoli wstał z krzesła i spojrzął z góry na Jamiego, który siedział przy oknie.

– Rzeczywiście, monsieur Fraser – odrzekł cicho. – Nie myli się pan. To istotnie jest kwestia umiejętności. Udusić człowieka wiszącego na końcu liny każdy potrafi.

Połamanie kręgow szyjnych jednym, szybkim ruchem wymaga trochę obliczeń dotyczących ciężaru i momentu osunięcia się, a także pewnej ilości ćwiczeń w zakładaniu pętli. Ale żeby w oparciu o te dwie metody wypracować swój własny sposób odpowiedniego wykonania wyroku śmierci na zdrajcy... to naprawdę kwestia wielkiego kunsztu.

Nagle zaschło mi w ustach. Sięgnęłam po szklankę.

– Wykonanie wyroku śmierci na zdrajcy? – zapytałam, choć tak naprawdę nie miałam ochoty słuchać odpowiedzi.

– Wieszanie, patroszenie, ćwiartowanie – objaśnił w skrócie Jamie. – Oczywiście, o to panu chodziło, monsieur

Forez.

Kat pokiwał głową. Jamie mimowolnie wstał z krzesła i spojrzał w twarz posępnemu gościowi w czarnym płaszczu. Byli mniej więcej równego wzrostu, więc bez problemu mogli popatrzeć sobie w oczy. Monsieur Forez zrobił krok w stronę Jamiego. Nagle przybrał skupiony wyraz twarzy, jak gdyby za chwilę miał przedstawić jakiś problem natury medycznej.

– O, tak – rzekł. – Takie jest znaczenie słów „wykonanie wyroku śmierci na zdrajcy”.

Po pierwsze, winowajca musi być powieszony, ale z odpowiednim wyczuciem, by nie złamać mu szyi ani nie zmiażdżyć tchawicy. Rozumiecie państwo, uduszenie nie jest pożądanym rezultatem.

– Jasne. – Głos Jamiego brzmiał cicho, niemal na krawędzi drwiny. Spojrzałam na niego oszołomiona.

Na ustach kata zawitał ledwie widoczny uśmiech.

– Chodzi zatem o wycucie czasu – kontynuował pan Forez. – Pomaga w tym obserwacja oczu. Twarz prawie natychmiast ciemnieje od krwi. Jeśli osobnik ma jasną karnację, proces jest bardziej widoczny. Natomiast uduszenie stwierdza się po wysuniętym języku z ust. Właśnie to zjawisko tak bardzo zachwyca tłumy. Oczywiście, na równi z wypadaniem oczu. Należy obserwować oznaki zaczerwienienia w kącikach oczu.

Kiedy pękają małe naczynia krwionośne trzeba natychmiast dać sygnał, by odcięto skazańca. Do tego niezbędny jest asystent. – Wykonał półobrót, by włączyć mnie w tę makabryczną demonstrację. Mimowolnie pokiwałam głową.

– Wtedy – zwrócił się znów do Jamiego – należy koniecznie udzielić środka stymulującego, żeby ożywić osobnika, gdy asystent zdejmuje mu koszulę. Powinno się zadbać, by miała zapięcie z przodu. Często są kłopoty z jej ściągnięciem przez głowę. – Wyciągnął jeden smukły palec i wskazał środkowy guzik koszuli Jamiego. Prawie dotknął świeżo wykrochmalonego płótna.

– Tak przypuszczam – odezwał się mój mąż.

Monsieur Forez zabrał palec i pokiwał głową na znak aprobaty dla tego dowodu zrozumienia.

– Potem asystent rozpala ognisko. Ta czynność nie przystoi wykonawcy egzekucji.

Wtedy następuje pora na nóż.

W pokoju zapadła martwa cisza. Twarz Jamiego wciąż była nieprzenikniona, ale z boku szyi lśniła kropelka potu.

– Właśnie w tym momencie potrzeba największych umiejętności – wyjaśnił monsieur Forez. Uniósł w górę palec, żeby podkreślić wagę swych słów. – Trzeba pracować szybko, żeby zdążyć przed zgonem delikwenta. Stymulant, który powoduje ściągnięcie naczyń krwionośnych, daje nam parę chwil, ale to niewiele.

Zauważył na stole srebrny przyrząd do otwierania kopert. Wziął go za trzonek i czubkiem ostrza wskazał orzech włoski, który leżał na blacie.

– Dokładnie tam – rzekł prawie rozmarzonym tonem. – U podstawy mostka.

A potem szybko do wierzchołka kości guzicznej. W większości przypadków jest ona dobrze widoczna. I znów po łuku żeber nóż do otwierania listów lśnił raz z jednej

strony, potem z drugiej, szybko i płynnie jak koliber, który zmienia kierunek lotu. Nie wolno ciąć głęboko, nie chcemy przekłuć błony okrywającej wnętrzności. Ale jednym, ciągłym ruchem trzeba przedostać się przez skórę, tłuszcz, mięśnie. Właśnie na tym polega artyzm – powiedział z satysfakcją w głosie, podziwiając swoje odbicie w wypolerowanym blacie stołu.

Delikatnie odłożył nóż i ponownie zwrócił się do Jamiego. Wzruszył ramionami.

– Potem to już kwestia szybkości i odrobiny zręczności, ale jeśli się do tej pory dokładnie przestrzegało odpowiednich metod, reszta nie sprawi większych trudności.

Wnętrzności zamknięte są otrzewną. Przypomina ona worek. Jeśli ta błona nie została przez przypadek rozerwana, to sprawa jest prosta i wymaga jedynie odrobiny siły. Należy wcisnąć dłonie pod tkankę mięśniową i poderwać całą tę masę. Szybkie cięcie przy żołądku i odbycie – bezradnie zerknął na przyrząd do otwierania listów – i już można wrzucić wnętrzności do ognia.

– A teraz – pouczająco uniósł palec – jeśli wystarczająco zgrabnie i delikatnie wykonało się swoją pracę, nastął moment odpoczynku, bo zaznaczam państwu, że żadne z naczyń krwionośnych nie zostało przecięte.

Czułam, że za chwilę zemdleję. Byłam pewna, że moja twarz jest równie blada, jak Jamiego. Dzielny Szkot wysilił się jednak na uśmiech i lekki ton, jak gdyby zabawiał gościa rozmową.

– Więc ten... osobnik... może jeszcze trochę pożyć?

– Oczywiście, monsieur. – Kat obrzucił wzrokiem

potężną sylwetkę Jamiego. – Efekty szoku są nieprzewidywalne. Widziałem silnych mężczyzn, którzy w takim stanie żyli ponad piętnaście minut.

– Podejrzewam, że ten czas wydaje się skazańcowi nieco dłuższy – zażartował Jamie.

Monsieur Forez udawał, że go nie słyszy. Znowu podniósł nóż do otwierania kopert i wywijał nim w trakcie swojego monologu.

– Kiedy zbliża się śmierć, trzeba sięgnąć do otwartej jamy ciała i chwycić za serce. Tu znowu potrzebna jest zręczność. Serce bez zakotwiczenia w postaci trzewi cofa się i czasem wędruje zaskakująco daleko. W dodatku jest najbardziej śliskie. – Widowskowo otarł jedną dłoń o połą płaszcza. – Jednak największa trudność tkwi w bardzo szybkim oderwaniu dużych naczyń krwionośnych tak, by można było wyciągnąć na wierzch jeszcze bijący organ. Chciałoby się zadowolić tłum – wyjaśnił. – Czyni to ogromną różnicę w wynagrodzeniu. Jeśli zaś chodzi o resztę... – Lekceważąco wzruszył chudymi ramionami. – To już zwykła robota rzeźnika. Od momentu, kiedy ustaje życie, już nie potrzeba kunsztu.

– Chyba już nie potrzeba – powtórzyłam omdłym głosem.

– Madame, pani jest blada! Zbyt długo zanudzałem państwa tą nieciekawą rozmową!

– wykrzyknął. Sięgnął po moją rękę. Desperacko pragnęłam mu ją wyrwać, jednak oparłam się tej potrzebie. Jego palce były zimne, ale ciepło ust, gdy musnął nimi moją dłoń, było nieoczekiwane. Obdarował moją dłoń delikatnym, dyskretnym uściskiem i oficjalnym ukłonem

pożegnał Jamiego.

– Czas na mnie, monsieur Fraser. Mam nadzieję, że znów spotkam się z panem i pana czarującą żoną... w równie miłych okolicznościach jak te, które uświetniły nasze dzisiejsze spotkanie. – Oczy obu mężczyzn na moment się spotkały. Wtedy pan Forez najwyraźniej uświadomił sobie, że wciąż trzyma w ręku nóż do otwierania kopert. Wydał z siebie okrzyk zaskoczenia i wyciągnął otwartą dłoń, demonstrując lśniące narzędzie.

Jamie uniósł jedną brew i wziął nóż jego ręki, delikatnie chwytając za szpikulec.

– *Bon voyage*, monsieur Forez – powiedział. – I dziękuję za bardzo pouczającą lekcję. – Wykrzywił usta w cynicznym uśmiechu.

Nalegał, by osobiście odprowadzić gościa do drzwi. Wstałam i podeszłam do okna.

Ćwiczyłam głębokie oddychanie, zanim ciemnoniebieski powóz zniknął za rogiem rue Gamboge.

Do pokoju wszedł Jamie. Wciąż trzymał przyrząd do otwierania listów. Podeszedł do dużego dzbanka z różowej, chińskiej porcelany i z brzękiem wrzucił do środka metalowe ostrze. Obrócił się w moją stronę i uśmiechnął.

– Bardzo skuteczne ostrzeżenie – powiedział.

– Prawda? – Zadrżałam.

– Jak sądzisz, kto go tu przysłał? – spytał Jamie. – Matka Hildegarda?

– Podejrzewam, że tak. Ostrzegła mnie, gdy rozszyfrowywałyśmy listy. Powiedziała, że to, co robisz, jest niebezpieczne. – Nie uświadamiałam sobie jednak, jak

bardzo, aż do odwiedzin kata. Od pewnego czasu nie miałam porannych mdłości, ale teraz czułam, że jedzenie pochodzi mi pod gardło. „Gdyby jakobiccy lordowie wiedzieli, co robię, z pewnością nazwaliby to zdradą”. A jakie kroki podjęliby, gdyby się dowiedzieli?

W oczach opinii publicznej Jamie uchodził za gorliwego jakobitę. Jako zwolennik króla na wygnaniu odwiedzał Karola, zabawiał hrabiego Marischala na obiedzie i bywał na dworze. I jak do tej pory wystarczająco umiejętnie przeprowadzał rozgrywki szachowe, organizował wizyty w tawernach i popijawy, by podciąć skrzydła Stuartowi, pozornie go wspierając. Oprócz nas dwojga tylko Murtagh był wtajemniczony w nasz plan udaremnienia powstania. Nie wiedział tylko, dlaczego to robimy. Po prostu zaakceptował rozkaz przywódcy, z góry zakładając, że walczy w słusznej sprawie. Podczas naszych działań we Francji konieczna była ta maskarada. Jednak te same pozory mogłyby napiętnować Jamiego etykietą zdrajcy, gdyby kiedykolwiek postawił stopę na ziemi angielskiej.

Oczywiście byłam tego świadoma. Jednak w swej naiwności myślałam, że nie ma większej różnicy pomiędzy tym, czy ktoś jest powieszony jako zwykły przestępca, czy jako zdrajca. Odwiedziny pana Foreza położyły kres tej ignorancji.

– Jak, u licha, udało ci się zachować zimną krew? – spytałam. Moje serce wciąż waliło jak oszalałe, dłonie były wilgotne od zimnego potu. Wytarłam je chusteczką i wcisnęłam pomiędzy kolana, żeby ogrzać.

Jamie lekko wzruszył ramionami i posłał mi krzywy

uśmiech.

– Cóż... Jest wiele przykrych sposobów umierania, Angielko. I gdyby któryś z nich przypadł mi w udziale, byłbym wielce niepokieszony. Ale powstaje pytanie: czy aż na tyle boję się takiej ewentualności, żeby zaprzestać podjętych działań? – Usiadł przy mnie na szeszlunku i ujął moją rękę w obie dłonie. Bliska obecność potężnego ciała dawała mi poczucie bezpieczeństwa.

– Przez jakiś czas myślałem nad tym, w trakcie tych długich tygodni, kiedy dochodziłem do siebie w opactwie. A potem znowu, gdy przyjechaliśmy do Paryża.

A także wtedy, kiedy spotkałem Karola Stuarta. – Pokręcił głową i pochylił ją nad naszymi złączonymi dłońmi.

– Tak. Mogę sobie wyobrazić siebie stojącego na szafocie. Widziałem szubienice w Wentworth. – Pokiwał głową. Jego oczy, przesłonięte mgłą, odzwierciedlały przywoływane obrazy.

– Kazano wymaszerować na dziedziniec. Tym, którzy znajdowali się w celi dla skazańców. Potem otrzymaliśmy rozkaz stanąć na kamieniach i patrzeć na egzekucję.

Tego dnia wieszali sześciu ludzi. Znałem wszystkich. Obserwowałem, jak każdy z nich wspina się po dwunastu stopniach, stoi z dłońmi związanymi na plecach i patrzy przed siebie, gdy zakładają pętlę na szyję. Zastanawiałem się, jak ja bym zniósł to wejście po schodach. Czy, jak John Sutter, szlochałbym i modlił się, czy też poszedłbym w ślady Willie’ego MacLeoda, który uśmiechał się do jednego z przyjaciół stojących na

dziedzińcu?

Nagle pokręcił głową jak pies otrząsający się z kropel wody. Smutno uśmiechnął się do mnie.

– W każdym razie, monsieur Forez nie powiedział nic takiego, o czym bym już wcześniej nie myślał. Ale już za późno, *mo duinne*. – Położył głowę na moich włosach. – Tak. Boję się. Jednak nie zawróciłbym ze swej drogi w zamian za szansę odzyskania domu i wolności. Nie zrobiłbym tego ze strachu. Nie, *mo duinne*. Już jest za późno.

24

LASEK BULOŃSKI

Wizyta pana Foreza stanowiła zaledwie początek serii niespodziewanych odwiedzin.

– Na dole jest jakiś Włoch, madame – poinformował mnie szef służby domowej. Nie podał nazwiska przybysza. Magnus miał zaciśnięte usta. Z faktu, że gość nie zechciał się mu przedstawić, wnioskowałam, że pewnie hojnie obdarował go innymi słowami.

Zachowanie służącego oraz określenie „jakiś Włoch”, dawało mi wystarczającą wskazówkę, żeby ustalić tożsamość gościa. Nie zaskoczył mnie widok Karola Stuarta.

Jego Wysokość stał przy oknie w głównym salonie.

Gdy weszłam, obrócił się w moją stronę. W rękę trzymał kapelusz. Najwyraźniej zdziwił się, że ujrzał właśnie mnie. Przez sekundę stał z otwartą buzią. Potem na powitanie obdarował mnie szybkim, krótkim ukłonem.

– Czy milorda Brocha Tuaracha nie ma w domu? –

spytał. Pionowa zmarszczka na czole zdradzała, iż jest bardzo niepokieszony z tego powodu.

– Niestety – odparłam. – Czy Wasza Wysokość zechce przyjąć mały poczęstunek?

Z zainteresowaniem rozejrzył się po bogato urządzonym salonie. Przedtem tylko raz gościł w tym domu, kiedy szedł dachami po schadzce z Luizą. Ani ja, ani Jamie nie uważaliśmy, że zaproszenie Karola tu na obiad byłoby stosownym posunięciem. Ludwik oficjalnie nie uznawał majestatu księcia, więc francuska szlachta nim pogardzała.

– Nie, dziękuję, madame Fraser. Muszę już iść. Czekam na długą drogę powrotną do domu. Chciałem tylko poprosić o coś swego przyjaciela, Jamesa.

– Eee... No tak... Jestem pewna, że mój mąż z przyjemnością wyświadczyłby Waszej Wysokości każdą przysługę. Oczywiście, gdyby tylko było to w jego mocy – dodałam ostrożnie. Zastanawiałam się, o jaką prośbę może chodzić. Prawdopodobnie o pożyczkę.

Ostatnie pokłosie przechwyconej przez Fergusę korespondencji zawierało szereg listów od niecierpliwych krawców, szewców i innych wierzycieli.

Karol uśmiechnął się i nieoczekiwanie przybrał słodką minę.

– Wiem. Nie znajduję słów, madame, by wyrazić to, jak wiele dla mnie znaczą oddanie i służba pani męża. Widok jego lojalnej twarzy opromienia moje serce.

Zwłaszcza w tej samotni, na jaką jestem obecnie skazany.

– Och? – Westchnęłam.

– Nie proszę o nic trudnego do wykonania – zapewnił. – Dokonałem małej inwestycji. Chodzi o łądunek porto w butelkach...

– Naprawdę? – Udałam zdziwienie. – Jakie to interesujące. – Murtagh tego ranka wyruszył do Lizbony z buteleczkami soku z pokrzywy i wyciągu z korzenia marzanny.

– To nic wielkiego. – Karol lekceważąco machnął ręką, w pogardzie dla ulokowanych w winie pieniędzy i każdego pensa, który do tej pory udało się pożyczyć. – Chciałbym, żeby mój przyjaciel James odebrał towar, jak tylko statek z transportem zawinie do portu. Wie pani, nie uchodzi – rozprostował ramiona i nieświadomie odrobinę zadarł nos – by taka osoba jak ja wykonywała czynności związane z handlem.

– Tak, rozumiem, Wasza Wysokość – powiedziałam i przygryzłam wargę.

Zastanawiałam się, czy przedstawił swój punkt widzenia współnikowi. Hrabia St.

Germain z pewnością uważał młodego pretendenta do tronu Szkocji za osobę mniej znaczącą od jakiegokolwiek francuskiego szlachcica. Sam natomiast zawsze angażował się w czynności związane z handlem, kiedy tylko nadarzała się okazja zarobienia pieniędzy. – Czy tylko Wasza Wysokość prowadzi to przedsięwzięcie? – spytałam niewinnie.

Lekko się skrzywił.

– Nie, mam partnera. Ale on jest Francuzem. A ja wolałbym złożyć zyski w ręce rodaka. Poza tym – dodał refleksyjnym tonem – słyszałem, że mój drogi James jest

najbystrzejszym i najbardziej wpływowym kupcem. Możliwe, że zdołałby pomnożyć zainwestowany przeze mnie kapitał dzięki rozsądnej sprzedaży.

Ktoś, kto poinformował księcia o umiejętnościach kupieckich Jamiego najwyraźniej zapomniał wspomnieć, iż nie ma drugiego kupca w Paryżu, którego St. Germain nienawidziłby bardziej od mojego męża. Ale jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem, to nie miałyby żadnego znaczenia. Istniała możliwość, że St. Germain rozwiąże wszystkie nasze problemy. W chwili, gdy hrabia dowiedziałby się, iż ostatnią dostawę, obejmującą połowę jego ekskluzywnego portu Gostos, wspólnik powierzył zniechęconemu rywalowi, stłamsiłby Karola Stuarta.

– Jestem pewna, że mój mąż zrobi absolutnie wszystko, co będzie w jego mocy, by rozdysponować towar Waszej Wysokości z maksymalnym zyskiem – odpowiedziałam, zgodnie z prawdą.

Jego Wysokość podziękował mi łaskawie, jak przystało na księcia, który przyjmuje usługę lojalnych poddanych. Skłonił się, niezwykle oficjalnie pocałował mnie w rękę i ruszył w stronę wyjścia. Uroczyście zapewnił mnie o swej wdzięczności wobec Jamiego.

Szef służby domowej, który zachowywał się tak, jak gdyby ta królewska wizyta nie zrobiła na nim większego wrażenia, zamknął drzwi za gościem.

Jamie wrócił do domu dopiero po moim zaśnięciu. Dopiero podczas śniadania opowiedziałam o odwiedzinach Karola i jego prośbie.

– Boże, ciekawe, czy książę powie to hrabiemu – rzekł. Szybko przełknął talerz owsianki. Potem przystąpił

do jedzenia francuskiego śniadania: bułek posmarowanych masłem i gorącą czekoladą. Gdy drobnymi łykami popijał kakao, jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Najwyraźniej wyobrażał sobie reakcję hrabiego. – Zastanawiam się, czy ogłoszenie niewypłacalności księcia na wygnaniu stanowi obrazę jego majestatu?

Dalsze spekulacje na ten temat zostały przerwane przez głosy dobiegające z korytarza. W chwilę później w drzwiach pojawił się szef służby ze srebrną tacą, na której widniała jakaś kartka.

– Proszę mi wybaczyć, milordzie – rzekł, kłaniając się nisko. – Posłaniec bardzo nalegał, bym natychmiast to panu dostarczył.

Jamie uniósł brew i wziął wiadomość z tacy. Rozłożył ją i przeczytał.

– Do licha! – wykrzyknął zdegustowany.

– Co to jest? – spytałam. – Chyba nie przedwczesne informacje od Murtagha?

Pokręcił głową.

– Nie. To od kierownika magazynu.

– Są jakieś problemy z rozładunkiem?

Mina Jamiego wyrażała mieszankę emocji, które nim targały. Zniecierpliwienie zmagало się z wesołością.

– Niedokładnie. Wygląda na to, że kierownik został uwięziony w burdelu. Pokornie błaga o przebaczenie. – Wesoło pomachał liścikiem. – Ma też nadzieję, że uznam za stosowne przybyć mu z pomocą. Innymi słowy, pyta, czy zechcę zapłacić jego rachunek. – Wstał od stołu, gniotąc serwetkę.

– Zapłacisz? – spytałam rozbawiona.

Parsknął i strzepnął z ubrania okruchy.

– Będę musiał tam pójść. Chyba że sam zdecyduję się sprawować nadzór nad magazynem, a przecież nie mam na to czasu. – Marszcząc brew, przypominał sobie plan dnia. Na biurku leżały zamówienia, na pokładach statków czekali kapitanowie, a w magazynie stały beczki, gotowe, aby przelać w nie wino.

– Wezmą ze sobą Fergusona – rzekł zrezygnowany. – Może on pójdzie z listem na Monmartre. Sam nie zdążę.

– „Dobre serce warte jest więcej niż korona” – powiedziała Jamiemu. Stał przy biurku, przygnębiony, pochylony nad okazałą stertą papierkowej roboty. Nie wiedział, od czego zacząć.

– O, naprawdę? – spytał. – Czyje to słowa?

– Myślę, że lorda Alfreda Tennysona – odpowiedziała. – Nie przypuszczam, żeby udało mu się zbić fortunę, ale on jest poetą. Wuj Lamb miał książkę z utworami najslawniejszych poetów brytyjskich. Była tam też twórczość Burnsa. Pamiętam, że pochodził ze Szkocji – wyjaśniłam. – Napisał: „Wolność i whisky to siostry syjamskie”.

Jamie parsknął śmiechem.

– Trudno powiedzieć, czy jest wielkim poetą, ale Szkotem na pewno. – Pocałował mnie w czoło. – Wrócę przed kolacją. Trzymaj się ciepło, *mo duinne*.

Skończyłam swoje śniadanie i spałaszowałam również grzanekę Jamiego. Po co ma się zmarnować takie dobre jedzenie? Potem poszłam na górę na poranną drzemkę. Od czasu pierwszego alarmu dwa razy miałam małe krwawienia, ale w ciągu ostatnich kilku tygodni w

ogóle mi się to nie przytrafiło. Jednak starałam się, jak najdłużej leżeć w łóżku lub na szezlongu. Do salonu fatygowałam się jedynie po to, by przyjąć gości, a do jadalni, aby wraz z Jamiem jeść posiłki. Jednak gdy zeszłam na obiad, stół był nakryty tylko dla jednej osoby.

– Milord jeszcze nie wrócił? – spytałam nieco zaskoczona. Podstarzały szef służby domowej pokręcił głową.

– Nie, milady.

– Cóż, przypuszczam, że niedługo się zjawi. Proszę się upewnić, czy przygotowano dla niego jedzenie. – Byłam za bardzo głodna, by czekać na Jamiego. Miałam nawroty mdłości, gdy zbyt długo pozostawałam bez jedzenia.

Po obiedzie znów położyłam się, by odpocząć. Mażeńskie stosunki były tymczasowo zawieszono, więc w łóżku jedynie czytałam lub spałam, co oznaczało, że często wykonywałam obie te czynności. Spanie na brzuchu nie wchodziło w rachubę, na plecach było mi niewygodnie i miałam wrażenie, że dziecko nie może sobie znaleźć miejsca.

Leżałam zatem na boku, zwijając się wokół coraz większego brzucha jak koktajlowa krewetka wokół kapara. Rzadko zapadałam w naprawdę głęboki sen. Raczej tylko drzemałam. Pozwalałam swoim myślom błądzić wokół delikatnych, nieregularnych ruchów dziecka.

W snach czułam bliskość Jamiego, ale gdy otworzyłam oczy, pokój był pusty. Więc znów je zamknęłam, rozkołysana, jak gdybym ja również, lekka niczym mgiełka, żeglowała po ciepłym morzu krwioobiegu.

W końcu się obudziłam, późnym popołudniem.

Ktoś cicho zapukał do drzwi sypialni.

– Entrez. – Zamrugalam energicznie, żeby się do końca rozbudzić. Wszedł szef służby domowej, Magnus. Przepraszającym tonem zapowiedział kolejnych gości.

– Księżna de Rohan, madame – zaanonsował. – Chciała czekać, aż pani wstanie, ale kiedy przybyła również madame d’Arbanville, pomyślałem, że być może...

– Dobrze zrobiłeś, Magnusie. – Z trudem wygramoliłam się z łóżka. – Zaraz zejść.

Byli to mile widziani goście. Od zeszłego miesiąca zamarło nasze życie towarzyskie.

Trochę już tęskniłam do krzątaniny i rozmów, mimo że najczęściej była to paplanina o niczym. Luiza często zaglądała. Siedziała ze mną i raczyła mnie opowiadaniem o ostatnich zdarzeniach na dworze. Marii d’Arbanville nie widziałam jednak od dłuższego czasu. Zastanawiałam się, co ją dziś sprowadziło.

Bardzo powoli schodziłam po schodach. Zwiększony ciężar ciała sprawiał, że pokonanie każdego stopnia wiązało się z przenikliwym bólem stopy, który promieniował w górę, na całe ciało. Panelowe drzwi salonu były zamknięte, ale bardzo dobrze słyszałam głosy dochodzące z pokoju.

– Sądzisz, że ona wie?

Pytanie, zadane przyciszonym tonem, który niósł ze sobą posmaczek plotki, dobiegło mnie w chwili, gdy właśnie miałam wejść. Zatrzymałam się w progu tak, by mnie nie zauważyły.

Głos należał do Marii d’Arbanville. Wszędzie chętnie ją goszczono dzięki pozycji męża. A także dlatego

że była bardzo towarzyska. Słyszała wszystkie najciekawsze nowiny.

– Co takiego ma wiedzieć? – spytała Luiza. Wysoki, donośny głos zdradzał doskonałą pewność siebie urodzonej arystokratki, której nie obchodzi, że ktoś coś usłyszy.

– Och, ty też tego nie wiesz! – zaczęła zadziornie Maria jak mały kotek, który trąca łapką myszkę zachwycony tym, że ma nową zabawkę. – Matko! Przecież ja sama usłyszałam to zaledwie godzinę temu.

Pomyślałam, że natychmiast przybiegła tutaj, by móc mi to powtórzyć. Doszłam do wniosku, że stojąc za drzwiami, mam większą szansę usłyszenia pełnej, nie ocenzonej wersji.

– Rzecz dotyczy milorda Brocha Tuaracha – powiedziała Maria. Już wyobrażałam sobie jej zielone oczy, przepełnione radością z nowo zdobytej informacji. – Właśnie dziś rano wyzwał pewnego Anglika na pojedynek. O jakąś dziwkę!

– Co takiego!?! – zaskoczona Luiza krzyknęła tak przeraźliwie, że aż zaparło mi dech w piersiach. Uchwyciłam się brzegów małego stolika. Czarne plamy wirowały mi przed oczami niczym cząstki świata, który potłukł się jak porcelanowa kula.

– Och, tak! – mówiła Maria. – Jacques Vincennes tam był. Opowiedział o tym mojemu mężowi! To się stało w tym domu publicznym, w pobliżu targu rybnego.

Wyobraź sobie: iść do burdelu o tej porze dnia! Mężczyźni są tacy dziwni. W każdym razie Jacques pił drinka z madame Elizą, właścicielką przybytku, gdy nagle na górze rozległ się przeraźliwy krzyk, a potem dobiegły

odgłosy różnego rodzaju uderzeń.

Zamilkła na chwilę, by wziąć oddech i spotęgować efekt dramatyzmu. Usłyszałam dźwięk nalewanego do szkła płynu.

– Więc Jacques, oczywiście, co sił w nogach popędził na górę. W każdym razie tak twierdzi. Podejrzewam, że rzeczywistości skulił się na sofie. Jest strasznym tchórzem. No i po chwili takich okrzyków i uderzeń nastąpił okropny łomot. Angielski oficer potoczył się po schodach, do połowy rozebrany, z zsuniętą peruką. I któż pojawił się na szczycie schodów niczym demon zemsty? Nikt inny, jak tylko nasz *petit* James!

– Nie! Na Boga, monsieur Fraser jest ostatnim mężczyzną, którego podejrzewałabym... Ale mów dalej.

Filizanka miękko zadzwieczała, dotykając talerzyka. Znów odezwała się podekscytowana Maria. Modulowała głos, by nadać wypowiedzi ton sekretu.

– Cóż, jakimś cudem oficerowi udało się wylądować pod schodami na własnych nogach. Natychmiast się odwrócił i spojrzał w górę. Był bardzo opanowany, jak na kogoś, kto właśnie został strącony ze schodów z rozpiętymi spodniami. Uśmiechnął się szyderczo i powiedział: „Nie trzeba było używać przemocy, Fraser. Mogłeś poczekać na swoją kolejkę. Przypuszczałem, że w domu masz tego pod dostatkiem. Ale przecież niektórzy mężczyźni czerpią przyjemność z płacenia za tego typu uciechy”.

Wstrząśnięta Luiza zaczęła krzyczeć.

– Obrzydliwe! Kanalia! Oczywiście, ten wyrzut nie odnosi się do milorda Tuaracha...

– W jej głosie słyszałam napięcie zmagania się przyjacielskich uczuć z zacięciem plotkarskim. Nie byłam zaskoczona tym, że plotkara w niej zwyciężyła.

– Cóż, obecnie milord Tuarach nie może cieszyć się wdziękami żony. Claire ma urodzić dziecko, a ciąża jest zagrożona. Więc Jamie zaspokaja potrzeby w burdelu. Który mężczyzna postąpiłby inaczej? Ale, mów dalej, Mario! Co się wtedy stało?

Maria wzięła głęboki oddech. Właśnie zbliżała się do kulminacyjnego punktu opowieści.

– Milord Tuarach zbiegł po schodach, ścisnął Anglika za gardło i potrząsnął nim jak szczurem.

– Nie! To niemożliwe!

– Ależ tak! Madame Eliza potrzebowała aż trzech swoich służących, by go powstrzymać. On jest wspaniale zbudowanym, potężnym mężczyzną, prawda? I tak groźnie wygląda!

– Racja. Ale co dalej?

– Jacques twierdzi, że Anglik, z trudem łapiąc oddech, rzekł: „Już dwa razy o mało mnie nie zabiłeś, Fraser. Pewnego razu może ci się to udać”. Wtedy milord Tuarach przeklął w swej okropnej, szkockiej gwarze. Wyrwał się z rąk przeciwnika i uderzył go w twarz. – Zdegustowana Luiza jęknęła. – Potem powiedział: „Jutro o świcie zobaczę cię martwego”. Obrócił się i pobiegł po schodach na górę. Jacques twierdzi, że milord wyglądał bardzo blado. I nic dziwnego! Tylko wyobraź sobie!

– Dobrze się pani czuje, madame? – Niespokojny głos Magnusa powstrzymał dalsze okrzyki Luizy. Po omacku uchwyciłam się jego dłoni. Służący wsunął drugą

rękę pod moje ramię.

– Nie, nie czuję się dobrze. Proszę... powiedziec damom... – Omdlała dłonią pomachałam w stronę salonu.

– Oczywiście, madame. Za chwilę. Ale teraz proszę pozwolić, że odprowadzę panią do pokoju. Tędy, *chere madame*... – Prowadził mnie po schodach, podtrzymując i pomrukując słowa pocieszenia. Pomógł mi ułożyć się na szezlongu i obiecał, że za moment przyśle pokojówkę.

Nie czekałam na pomoc. Gdy minął pierwszy szok, byłam w stanie na tyle utrzymać równowagę, by wstać i znaleźć drogę do toaletki, gdzie stała moja podręczna apteczka.

Miałam nadzieję, że już minęło niebezpieczeństwo omdlenia, ale sięgnęłam po butelkę z roztworem amoniaku, którą na wszelki wypadek wołałam mieć pod ręką.

Odkręciłam zakrętkę i stałam nieruchomo. Tępo wpatrywałam się w skrzynkę z medykamentami. Mój mózg na chwilę odmówił rejestracji tego, co widzą oczy. Biała, złożona kartka papieru, starannie włożona pomiędzy kolorowe buteleczki. Jak przez mgłę docierał do mnie fakt, że palce mi drżą, gdy wyciągam list. Musiałam próbować kilka razy, zanim udało mi się go rozłożyć.

„Przepraszam”. Słowo to było napisane grubą, czarną linią, litery wykaligrafowane na środku kartki, a pojedyncza litera „J” napisana równie starannie poniżej. Na samym dole strony pośpiesznie dopisał, jako desperacko wtrącone postscriptum, jedno słowo:

„Muszę!”.

– Musisz – mruknęłam do siebie.

Moje nogi ugięły się w kolanach. Leżałam na

podłodze. Przed oczami, za mgłą majaczyły rzeźbione panele sufitu. Dotychczas zawsze myślałam, iż skłonność do omdleń, na którą cierpiały w osiemnastym wieku damy, wynikała z noszenia zbyt ciasnych gorsetów. Teraz uświadomiłam sobie, że jej przyczyna raczej tkwiła w idiotyzmach, jakich dopuszczali się ówcześni mężczyźni.

W niezbyt dalekiej odległości usłyszałam okrzyk przerażenia. Pomocne dłonie zaczęły mnie podnosić. Poczulałam, że pode mną ugina się miękki, wypchany wełną materac. Na czole i nadgarstkach miałam chłodny, pachnący octem kompres.

Szybko odzyskałam przytomność, ale z trudem wydobywałam z siebie głos.

Zapewniłam pokojówki, że naprawdę dobrze się czuję, wypędziłam je z sypialni i rzuciłam się na poduszki. Usiłowałam zebrać myśli.

Chodziło, oczywiście o Jacka Randalla. Jamie poszedł go zabić. Była to jedyna przejrzysta myśl pośród pogmatwanego natłoku strasznych wizji i domysłów, który wypełniał mój umysł. Ale dlaczego? Co go zmusiło do złamania obietnicy, którą mi złożył?

Analizowałam fakty przedstawione przez Marię. Byłam absolutnie pewna, że w przybytku madame Elizy zdarzyło się coś jeszcze oprócz przypadkowego spotkania.

Znałam kapitana zbyt dobrze. Nie zakupiłby zwykłych usług w burdelu. Normalne rozkoszowanie się kobietą nie leżało w jego naturze. On, tak naprawdę, delektował się tylko czyimś bólem, lękiem, upokorzeniem.

Ten towar, oczywiście, również można było kupić, tylko że za nieco wyższą cenę.

W L'Hopital des Anges wystarczająco napatrzyłam się na różne przypadki. Wiedziałam, że niektóre ladacznice zarabiają na mocnych kościach powleczonej delikatną skórą, która natychmiast reaguje sińcami i ukazuje ślady bicza oraz innych narzędzi.

Jeśli Jamie, noszący blizny po erotycznych spotkaniach z Randallem, przyłapał kapitana na korzystaniu z podobnych uciech z podopieczną madame Elizy, to taka sytuacja mogła przyćmić pamięć o wszelkich obietnicach i ograniczeniach. Na lewej piersi Jamiego, nieco poniżej brodawki znajdował się mały znaczek, jasna, wyżłobiona plamka – ślad po wycięciu piętna, wytłoczony przez Jacka Randalla rozgrzanym sygnetem ze znakiem rodowym. Wściekłość, która pozwoliła Jamiemu znieść ból towarzyszący usuwaniu haniebnego znaku, łatwo mogła znów zapłonąć i kazać zniszczyć swego oprawcę oraz jego nieszczęsne potomstwo.

– Frank – jęknęłam. Bezwiednie zacisnęłam palce wokół lśniącej, złotej obrączki ślubnej. – O, dobry Boże! Frank.

Dla Jamiego Frank nie był nikim więcej jak tylko duchem, mglistą nadzieją mojego ratunku w razie nieprawdopodobnej konieczności. Dla mnie Frank to mężczyzna, z którym mieszkałam, dzieliłam łóżko i ciało, a którego w końcu opuściłam, by pozostać z Jamiem Fraserem.

– Nie mogę – wyszeptalam w próżnię do małego towarzysza, który leniwie przeciągał się we mnie, to znów zwijał w kłębek, nic sobie nie robiąc z moich zmartwień. – Nie mogę dopuścić do pojedynku!

Popołudniowe światło przygasło do szarych cieni półmroku. Wydawało się, że pokój jest wypełniony całą beznadziejnością końca świata. „Jutro o świcie zobaczę cię martwego” – powracały echem słowa Jamiego. Nie miałam żadnych szans go znaleźć tego wieczoru. Wiedziałam, że nie wróci na rue Tremoulins. Nie zostawiałby przecież wiadomości. Nigdy nie spały przy mnie, gdy już wiedział, co zamierza zrobić rano. Nie, niewątpliwie szukał schronienia gdzieś w zajeździe albo tawernie, by móc w samotności przygotować się do wykonania wyroku.

Pomyślałam, że wiem, w którym miejscu odbędzie się „egzekucja”. Pamiętając o swoim pierwszym pojedynku, Jamie przygotował się do kolejnego poprzez ścięcie włosów. Byłam pewna, że ta pamięć znów dała o sobie znać, kiedy wybierał miejsce spotkania z wrogiem. Lasek Buloński, obok Ścieżki Siedmiu Świętych. To popularne miejsce przeprowadzania nielegalnych pojedynków. Gęste zarośla chroniły uczestników przed oczami policji i gwardii królewskiej. Nazajutrz jedna z zacienionych polanek miała być świadkiem spotkania Jamiego Frasera z Jackiem Randallem. Oraz ze mną.

Leżałam na łóżku. Nie miałam siły ani się rozebrać, ani przykryć. Dłonie spłotłam na brzuchu. Patrzyłam, jak szarówka zamienia się w mrok. Wiedziałam, że nie zasnę.

Przyjęłam wszelkie pocieszenie, jakie tylko mogłam wziąć od mojego małego, ruchliwego lokatora. Ale echo słów Jamiego wciąż dźwięczało w moich uszach: „Jutro o świcie zobaczę cię martwego”.

Lasek Buloński, skrawek niemal dziewiczego lasu, leżał na obrzeżach Paryża.

Mówiono, że w gęstwinach ciągle można spotkać czyhające wilki, lisy i borsuki. Nie odstraszało to jednak zakochanych par, które flirtowały pod gałęziami na leśnych polanach. Lasek Buloński stanowił azyl od zgiełku i brudu miasta i tylko jego lokalizacja powstrzymywała arystokrację francuską przed traktowaniem go jako ulubionego placu rozrywki. Tak więc był miejscem często odwiedzanym przez tych, którzy blisko mieszkali.

Tam znajdowali chwilę wytchnienia w cieniu olbrzymich dębów i brzoź. Mieszkańcy bardziej odległych dzielnic szukali w jego zaciszu odrobiny prywatności.

Był to mały las, a jednak zbyt wielki, by można przemierzyć go na piechotę w poszukiwaniu jakiejś polany, na której starczy miejsca dla dwóch mężczyzn, zamierzających stoczyć ze sobą pojedynek. W nocy zaczęło padać i świt nadciągał niechętnie, z trudem przedzierając się przez ciemne chmury. Las szeptał sam do siebie delikatnym dzwonieniem kropel deszczu o liście, czemu wtórował szelest listowia i poszum gałęzi.

Powóz się zatrzymał na drodze wiodącej przez Lasek Buloński, w pobliżu niewielkiego skupiska wałących się zabudowań. Powiedziała woźnicy, co ma robić.

Zeskoczył z siedzenia, uwiązał konie i znikł pośród budynków. Tutejszy człowiek, który mieszkał przy lasku, wiedział, co się tam dzieje. Nie mogło być wiele miejsc odpowiednich do przeprowadzania pojedynków. A te, które spełniały warunki, musiały być znane.

Oparłam się plecami o siedzenie i wtuliłam w ciężki płaszcz. Dygotałam w porannym chłodziu. Zmęczenie po nie przespanej nocy dawało o sobie znać, na dnie żołądka

czułam ciężar strachu i przygnębienia. Jednak najsilniejszym odczuciem, które paliło mnie od wewnątrz, był kipiący gniew. Starłam się go wyprzeć, by mi nie przeszkadzał w wykonaniu zadania.

Jednak wciąż powracał. Rozsadzał mnie na strzępy za każdym razem, kiedy traciłam panowanie nad sobą. Jak Jamie mógł mi to zrobić?, powtarzał wciąż mój ogarnięty złością umysł. Co ja tu robię?, pytałam siebie. Powinnam być w domu i spokojnie odpoczywać u boku Jamiego. Nie powinnam za nim gonić, powstrzymywać go przed popełnieniem głupstwa ani zмагаć się z gniewem i chorobą. Na dodatek jazda powozem wywołała przenikliwy ból krzyża. Tak, miał prawo być zdenerwowany. Rozumiem. Ale, na miłość boską, w grę wchodziło życie człowieka. Jak mógł postawić swą cholerną dumę ponad taką wartość? I opuścić mnie bez słowa wyjaśnienia! Zostawić na pastwę plotek sąsiadów, od których miałam się dowiedzieć, co się stało.

– Obiecałeś mi, do licha, Jamie! Przecież mi obiecałeś! – szeptałam pod nosem.

W lesie panowała cisza. Drzewa ociekały wilgocią po niedawnym deszczu i tonęły we mgle. Czy oni już tu są? Dopiero przyjdą? A może pomyliłam się, zgadując miejsce pojedynku?

Wrócił stangret w towarzystwie młodego chłopaka, może czternastoletniego. Dzieciak żwawo wskoczył na siedzenie obok woźnicy i wskazał kierunek: przed siebie i na prawo.

Mężczyzna świstem bata i klaśnięciem języka skłonił konie do powolnego kłusu.

Zjechaliśmy z drogi w cienie budzącego się lasu.

Zatrzymaliśmy się dwa razy. Czekaliśmy, aż chłopak zeskoczy i pogna w głąb lasu. Po chwili wracał, przecząco kręcąc głową. Za trzecim razem przybiegł zdyszany. Na jego twarzy malowało się tak ewidentne podekscytowanie, że otworzyłam drzwi powozu, zanim jeszcze dostatecznie się zbliżył, by zawołać woźnicę.

W dłoni trzymałam przygotowane dla niego pieniądze. Wcisnęłam mu je do ręki.

Pociągnęłam go za mankiet i powiedziałam:

– Pokaż mi, gdzie! Szybko, szybko!

Prawie nie widziałam gęsto splecionych gałęzi, które zagrażały nam drogę. Nie zdawałam sobie sprawy z przemoczenia ubrania, gdy w biegu trącałam mokre drzewa.

Ścieżkę pokrywał miękki dywan liści. Gdy podążałam śladem postrzępionej, poplamionej wilgocią koszuli, nasze kroki były bezdźwięczne.

Zanim zobaczyłam, usłyszałam pojedynkujących się mężczyzn. Już zaczęli. Mokre zarośla tłumiły brzęk metalu, ale mimo wszystko brzmiał wyraźnie. Nie śpiewały ptaki.

W moich uszach dźwięczały tylko śmiertelne odgłosy bitwy.

W głębi Lasku widniała rozległa polana. Dostęp do niej dawała ścieżka i droga.

Wystarczająco duże, trawiaste pole zapewniało odpowiednią przestrzeń do rozegrania poważnego pojedynku. Byli rozebrani do koszul. Walczyli w deszczu. Mokry materiał przylegał do ciała, ukazując linię barków i kręgosłupa.

Jamie twierdził, że jest lepszym szermierzem. Możliwe, ale Jonathan Randall również świetnie władał orężem. Wymachiwał nią i wymijał ciosy. Gibki jak wąż uderzał szpadą jak srebrnym zębem jadowym. Jamie był równie szybki. Zdumiewające, z jaką gracją poruszał się ten wysoki mężczyzna – lekko stąpał i pewną ręką zadawał ciosy.

Przyglądałam się, jak – by była korzeniami przytwierdzona do ziemi. Bałam się krzyknąć, żeby nie rozproszyć uwagi Jamiego. Wirowali w ciasnym kole cięć i parad, ich stopy ledwie trącały ziemię, jakby tańczyły na darni.

Stałam jak wryta i patrzyłam. Wyruszyłam przed świtem, by ich odnaleźć i powstrzymać. Owszem udało mi się ich odszukać, ale nie mogłam interweniować, ze strachu przed spowodowaniem fatalnej w skutkach przerwy. Jedyne, co mogłam zrobić, to czekać i przekonać się, który z moich mężczyzn umrze.

Randall wznosił ostrze w górę, w odpowiednie miejsce, by odparować cios, ale nie zrobił tego dostatecznie szybko. Gwałtowne uderzenie przeciwnika posłało szablę kapitana w przestworza.

Otworzyłam usta i już chciałam krzyknąć. Zamierzałam zawołać Jamiego po imieniu i powstrzymać go teraz, w tej chwili przerwy, pomiędzy momentem rozbrojenia przeciwnika i śmiertelnym ciosem, który stanowił oczywistą, nieodwołalną kolej rzeczy.

I krzyknęłam, lecz dźwięk okazał się słaby i przytłumiony. Dotkliwy ból pleców się pogłębił i ścisnął mnie jak pięść. Poczułam nagłe rozluźnienie, jak gdyby

pięść otwarła się i wypuściła to, co tak kurczowo trzymała.

Po omacku, chwiejnym krokiem ruszyłam przed siebie. Przywarłam do najbliższego drzewa. Zobaczyłam twarz Jamiego. Malował się na niej spokojny triumf. Uświadomiłam sobie, że zamroczony pasją nic nie słyszał. Aż do końca walki nie mógł zobaczyć niczego, prócz swego celu. Randall cofał się przed nieubłaganym ostrzem. Poślizgnął się na mokrej trawie i upadł. Napiał mięśnie, usiłował wstać, ale podłoże było zbyt śliskie. Miał rozerwaną koszulę. Odchylił głowę do tyłu. Czarne włosy ociekały deszczem. Wygiął szyję jak wilk, który błaga o litość. Ale zemsta nie zna litości.

Poprzez pociemniałą mgłę widziałam, jak szpada Jamiego z gracją osuwa się chłodna jak sama śmierć. Ostrze dotknęło pasa spodni z dywetyny, przekłuło je i zakręconym szarpnięciem zadało cios. Krwawa powódź przyciemniła płowy kolor materiału ciemnoczerwoną smugą.

Krew tryskała gorącym strumieniem po moich udach. Chłód przeniknął do środka, aż do szpiku. Właśnie łamała się kość łącząca miednicę z kręgosłupem. Z każdym atakiem bólu odczuwałam jej naprężenie. Coś, jakby uderzenie pioruna, przeszło na wskroś mój kręgosłup, by eksplodować i zapłonąć w miednicy. Czułam, że ten cios zniszczenia pozostawił za sobą wypalone i poczerniałe pola.

Miałam wrażenie, że moje ciało, podobnie jak i zmysły, jest rozbite w drobne cząstki.

Nic nie widziałam. Nie umiałam stwierdzić, czy mam otwarte, czy zamknięte oczy.

Wszystko wirowało w ciemnościach, od czasu do czasu pojawiały się tylko zmieniające się wzorki.

Deszcz smagał mnie po twarzy, szyi i ramionach. Każda ciężka kropla uderzała chłodem i rozplywała się w malutki, ciepły strumień. Było to specyficzne odczucie, jakby odizolowane od szarpiącego konania, które pogłębiało się i cofało w moich trzewiach.

Usiłowałam skupić na deszczu całą uwagę, by siłą ją odwrócić od cichego głosu, dobiegającego z najdalszego zakątka mózgu: „Pani, oczywiście, ma krwotok. Sądząc po ilości krwi, to prawdopodobnie pęknięcie łożyska. Ogólnie rzecz biorąc – fatalnie. Utrata krwi powoduje drętwienie dłoni i stóp oraz ciemność widzenia. Podobno najpóźniej traci się zmysł słuchu”.

Bez względu na przypuszczenia w dalszym ciągu posiadałam słuch. A tym, co słyszałam, były bardzo poruszone głosy. Niektóre z nich nawoływały do zachowania spokoju. Wszystkie wypowiedano po francusku. Jedno z nich nawet rozumiałam. Było to moje własne imię, wciąż powtarzane, ale z oddali.

– Claire! Claire!

– Jamie – próbowałam powiedzieć, lecz moje usta nadal były sztywne z zimna.

Wykonanie jakiegokolwiek ruchu przekraczało moje siły. Zamieszanie wokół mnie powoli się uspokajało. Przybyły osoby, które przynajmniej usiłowały zachowywać się tak, jak gdyby wiedziały, co robić.

Fałdy nasączonej krwią sukni zostały delikatnie wyjęte pomiędzy ud, w ich miejsce wciśnięto grubą podkładkę z płótna. Pomocne dłonie przewróciły mnie na

lewy bok i podciągnęły moje kolana ku klatce piersiowej.

– Zabierzcie ją do szpitala – zasugerował jeden z głosów przy moim uchu.

– Nie przeżyje takiej drogi – rzekł pesymistycznie inny. – Równie dobrze może tu jeszcze kilka minut poczekać, a potem poślijcie po wóz do przewożenia trupów.

– Nie – nalegał ten drugi głos. – Krwawienie się zmniejsza. Możliwe, że będzie żyła.

Poza tym znam tę dziewczynę. Widywałem ją w L'Hópital des Anges. Prędko, do matki Hildegardy.

Wysiliłam wszystkie moce, jakie mi jeszcze pozostały, by wyszeptać: „O, Jezu!”

Potem dałam za wygraną i zapadłam w mroczną przepaść.

25

RAYMOND HERETYK

Wysoko wzniesione sklepienie ponad moją głową oparte było na ostrołukach, co charakteryzowało czternastowieczne budowle. Cztery żebra wznoszą się ze szczytów kolumn, by połączyć się w podwójnie skrzyżowane łuki.

Moje łóżko stało pod jednym z takich łuków. Dla zapewnienia prywatności wokół mnie zaciągnięte były cienkie zasłony. Centralny punkt ostrołuku znajdował się niedokładnie nade mną. Łóżko znajdowało się około metra w bok od punktu skrzyżowania łuków. To irytowało mnie za każdym razem, kiedy spoglądałam w górę.

Siłą woli ciągle chciałam przesuwać posłanie, jak

gdybym, leżąc bezpośrednio pod centralną częścią dachu, mogła ustawić swoje „ego” w samym środku własnego wnętrza.

O ile w dalszym ciągu posiadałam wewnątrz. Moje ciało było posiniaczone i obolałe, jak gdyby ktoś mnie pobił. Stawy bolały. Czułam, że się rozsypują jak zaatakowane paradontozą zęby. Leżałam okryta kilkoma kocami, jednak one mogły tylko chronić mnie przed utratą ciepła, którego przecież nie posiadałam. Przenikliwy chłód deszczowego świtu pozostał w kościach.

Wszystkie te fizyczne objawy postrzegałam obiektywnie, jak gdyby cechowały kogoś innego. Mały, chłodny, logiczny mózg pozostawał na swoim miejscu, ale znikła gdzieś warstwa odczuć, która filtrowała przesyłane informacje. Obumarła, została sparaliżowana. Ani tego nie wiedziałam, ani to mnie nie obchodziło. Przez pięć dni pozostawałam w L’Hopital des Anges.

Matka Hildegarda badała mnie długimi palcami. Delikatnie uciskała brzuch przez bawełnę koszuli nocnej. Szukała twardych krawędzi skurczonej macicy. Jednak ciało było wciąż miękkie jak dojrzały owoc i wydawało się wrażliwe na dotyk. Palce przycisnęły mocniej. Drgnęłam z bólu. Zakonnica skrzywiła się i wymruczała coś pod nosem. Może krótką modlitwę?

Pośród pomrukiwań Hildegardy usłyszałam jakieś imię.

– Raymond? Zna matka mistrza Raymonda? – Sądziłam, że nie ma już chyba mniej pasującej do siebie pary ludzi niż ta surowa zakonnica i mały gnom z jaskini zbójców.

Zaskoczona matka Hildegarda uniosła brwi.

– Mistrza Raymonda? Tego heretyka i szarlatana?
Que Dieu nous en garde! Broń Boże!

– Och, wydawało mi się, że matka wypowiada imię „Raymond”.

– Ach. – Palce wróciły do swego zajęcia. Badały fałdy mojego łona w poszukiwaniu powiększonych węzłów chłonnych, które sygnalizowałyby infekcję. Wiedziałam, że tam są. Sama je wyczuwałam, niespokojnie i bezradnie przesuwając rękoma po swoim pustym ciele. Gorączka, ból i chłód przeszywały mnie do szpiku kości.

– Wzywałam pomocy świętego Raymonda Nannatusa – wyjaśniła matka Hildegarda, wyzymając kompres z zimnej wody. – Jego pomoc jest najcenniejsza dla kobiet oczekujących potomstwa.

– Do których już nie należę. – Matka znów się skrzywiła. Wiedziałam, że poczuła ukłucie bólu. Prawie natychmiast rozchmurzyła się. Przyłożyła mi do czoła kompres.

Strumyczki chłodnej wody rozpląnęły się po policzkach i dalej. Wsiąkały w gorące, wilgotne od potu zmarszczki szyi.

Nagły dotyk zimnej wilgoci sprawił, że zadrżałam. Matka natychmiast zabrała okład i badawczo przyłożyła dłoń do mojego czoła.

– Święty Raymond nie jest aż takim formalistą – strofowała mnie zadumana. – Osobiście staram się szukać ratunku wszędzie tam, gdzie można go znaleźć. Ocywiście, tobie radzę robić to samo.

– Mm. – Zamknęłam oczy i zapadłam w szarą mgłę.

Zaczęły ją przebijać blade, migające światełka, jakby kreska błyskawicy rozprysnęła się na letnim horyzoncie.

Usłyszałam trzaskanie paciorków różańca. To matka Hildegarda wstawiała w odpowiedzi na łagodny głos jednej z sióstr. Pielęgniarka wzywała przełożoną do kolejnego ciężkiego przypadku. Hildegarda już prawie dochodziła do drzwi, gdy nagle zatrzymała ją jakaś myśl. Obróciła się na pięcie ze świstem ciężkich fałd habitu i autorytatywnym gestem wskazała moje stopy.

– Bouton! – krzyknęła. – Siad!

Pies, równie żwawy jak jego pani, posłusznie zawrócił w połowie drogi i wskoczył na moje posłanie. Po chwili zaczął drapać koldrę i trzykrotnie obrócił się wokół własnej osi w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, jak gdyby dokonywał egzorcyzmów, by odgonić demony z miejsca swego odpoczynku. Potem złożył nos na łapach i głęboko westchnął.

Matka Hildegarda uśmiechnęła się z satysfakcją i zniknęła.

Chociaż ogarniało mnie lodowate odrętwienie, doceniłam jej gest. Nie mogłam trzymać w ramionach dziecka, więc dała mi na pocieszenie swą ulubioną przytulankę.

Kudłaty ciężar na stopach naprawdę był pociechą dla udręczonego ciała. Bouton leżał nieruchomo i ogrzewał niewzruszony marmur moich stóp. Jego towarzystwo było mi miłsze niż odosobnienie i obecność kogokolwiek z ludzi, bo on nie potrzebował ode mnie niczego. Pustka to wszystko, co w tej chwili posiadałam, i jedyna rzecz, którą mogłam ofiarować.

Bouton puścił bąka i ułożył się do snu. Nasunęłam kołdrę na nos i tu próbowałam się zdrzemnąć.

W końcu zasnęłam. I śniłam. Były to przeniknięte gorączką, niepokojem i samotnością sny o syzyfowej pracy, ciągnącej się w nieskończoność. O nieustannym, bolesnym wysiłku wkładanym w rozbijanie kamieniołomów na pustyni. O gęstej, szarej mgle, przez którą goniło mnie widmo żałoby jak niewidzialny demon.

Nagle się obudziłam. Boutona już przy mnie nie było. Zostałam sama.

Raymond miał proste jak druty, przyлизane włosy. Przez całą szerokość jego czoła biegła równa, głęboka kreska. Gęste, siwiejące, zaczesane do tyłu włosy opadały do wysokości ramion. Masywne czoło wystawało jak kamienny blok, odwracając uwagę od reszty twarzy. Unosiło się nade mną niczym płyta grobowca, zasłaniająca moje czerwone od gorączki oczy.

Gdy mówił coś do sióstr, zmarszczki i bruzdy lekko drgały. Pomyślałam, że są podobne do wyżłobionych tuż pod powierzchnią kamienia liter, które próbują przedrzeć się na powierzchnię, by można było przeczytać dane zmarłego. W chwilę później doszłam do wniosku, że to moje imię widniało na tej białej płycie i że za moment naprawdę umrę.

Wygięłam plecy i krzyknęłam.

– Widzisz?! Nie chce ciebie, ty wstrętna, stara kreaturo! Przeszkadzasz jej odpoczywać! Natychmiast się stąd wynoś! – Rozkazała matka Hildegarda tonem nie znoszącym sprzeciwu. Mocno chwyciła intruza i odciągnęła od łóżka. Opierał się i stał niewzruszenie jak kamienny

gnom ustawiony na trawniku. Siostra Celestyna z całych sił wsparła wysiłki przełożonej. W końcu obie oderwały jego stopy od podłogi. Trzymając z obu stron, wyniosły Raymonda z sali. Mistrz tak gwałtownie wymachiwał nogami, że aż gubił chodak.

Drewniak wciąż leżał, przewrócony na bok, w kwadracie na środku wydeptanej płyty kamiennej. Pod wpływem ataku gorączkowej manii wciąż się w niego wpatrywałam. Bez końca przebiegałam wzrokiem po niewiarygodnie gładkiej linii jego podniszczonej krawędzi. Za każdym razem unikałam spojrzenia w niezgłębione czeluści buta. Gdybym pozwoliła sobie na wejście w tę ciemność, moja dusza zostałaby wciągnięta w wirującą otchłań. Poprzez kamienny krąg znów dobiegały mnie głosy z drugiej strony czasu. Wołał o ratunek przed chaosem.

Nagle jakaś ręka musnęła fałdy sukni. Zaczerwieniona od pracy dłoń chwyciła za but i zniknęła. Mój majaczący w gorączce umysł, pozbawiony punktu, na którym mógłby się skupić, zaczął bezładnie wirować po płytach posadzki. Po chwili uspokoił się regularnością kamiennej geometrii. Zapadłam w sen jak bąk, który przestaje się kręcić i pada na podłogę.

Niestety, w moich snach znów zapanował bezład. Niespokojnie błądziłam po labiryntach. Spotykałam wciąż te same kształty, bezkresne, kręte korytarze i spirale ścieżek. Odetchnęłam z ulgą, gdy wreszcie zauważyłam nieregularność ludzkiej twarzy.

Zniekształcone odbicie wykrzywione było srogą miną. Usta gorliwie kogoś zaklinały.

Dopiero wtedy, gdy poczułam na ustach ucisk czyjejs dłoni, uświadomiłam sobie, że już nie śpię.

Nad moimi uszami unosiły się szerokie usta chimery bez warg.

– Leż spokojnie, *ma chere!* Jeśli znów mnie tu znajdą, zabiją! – Ogromne, czarne oczy strzelały w obie strony. Sprawdzały, czy nikt nie nadchodzi.

Powoli skinęłam głową. Palce przybysza lekko pachniały amoniakiem i siarką.

Znalazł gdzieś bądź ukradł przyodziewek, pomyślałam przez mgłę. Szary, podniszczony habit zakonny przykrywał bury aksamit aptekarskiego fartucha, głębia kaptura schowała zarówno drucianą, srebrną fryzurę, jak i przeraźliwie wystające czoło Raymonda.

Gorączkowe omamy nieco ustąpiły, na ich miejscu pojawiło się lekkie zaciekawienie.

Byłam zbyt osłabiona, by powiedzieć cokolwiek, prócz rozpoczęcia zdania: „Co...”. Ale on znów położył palec na moich ustach i odciągnął do połowy kóldrę.

Patrzyłam, nieco otumaniona, jak szybko rozwiązuje tasiemki mojej koszuli i do pasają rozchyla. Jego ruchy były płynne i zawodowe, całkowicie pozbawione lubieżnej żądz. Nie mogłam sobie wyobrazić nikogo, kto by zechciał zgwałcić złożoną gorączką padlinę, jaką się wtedy czułam. A już na pewno nie w miejscu, gdzie usłyszałaby mnie matka Hildegarda. Mimo wszystko...

Przez mgłę patrzyłam na jego pasję. Położył na moich piersiach dłonie – szerokie i prawie kwadratowe. Wszystkie palce miały tę samą długość. Niezwykle długie,

sprawne kciuki krążyły wokół mych piersi z zadziwiającą delikatnością. W tym momencie przypomniały mi się słowa Marianny Jenkinson – dziewczyny, którą szkoliłam w szpitalu Pembroke. Od mieszkanek pensjonatu dla pielęgniarek usłyszała, że wielkość i kształt męskiego kciuka wiele mówią o cechach jego najbardziej intymnego organu.

– To prawda, daję słowo – zarzekała się Marianna, dramatycznie odrzucając do tyłu burzę loków. Ale zapytana o przykłady tylko chichotała, uśmiechała się i przewracała oczami w stronę porucznika Handleya. Posturą i wielkością bardzo przypominał goryla, a mimo to jego kciuki były drobne.

Olbrzymie kciuki delikatnie, lecz zdecydowanie wciskały mi się w ciało. Brodawki nabrzmiewały pod twardymi dłońmi. Palce mistrza, w porównaniu z moją rozpaloną skórą, wydawały się chłodne.

– Jamie! – próbowałam krzyknąć. Dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Cicho, madonno – powiedział Raymond. Miał niski, miły głos, w którym pobrzmiwało roztargnienie.

Przenikliwy chłód, który promieniował z palców mistrza przyprowadził mnie o dreszcze. Gorączka cofała się, to znów ogarniała mnie nową falą, płynącą ze szpiku kości.

Zza zasłon otaczających łóżko ledwie docierało przyćmione światło popołudnia. Ręce Raymonda zdawały się ciemne na białej skórze piersi. Jednak cienie pomiędzy grubymi, brudnymi palcami nie były czarne. Pomyślałam, że są... niebieskie.

Zamknęłam oczy i przyglądałam się wirującym,

różnokolorowym wzorkom. Gdy znów otworzyłam powieki wydawało mi się, że część tych barw pozostała i tańczyła na dłoniach Raymonda.

Fala gorączki odpłynęła. Powróciła możliwość ostrzejszego widzenia rzeczywistości.

Zamrugałam powiekami. Próbowalam unieść głowę, by bliżej przyjrzeć się postaci, która mnie nawiedziła. Raymond trochę mocniej mnie przycisnął, ponagłając, bym spokojnie leżała. Moja głowa znów opadła na poduszkę. Z ukosa przypatrywałam się temu, co dzieje się z moimi piersiami.

Nie był to jednak tylko wytwór wyobraźni... A może był? Dłonie Raymonda wciąż się ruszały. Błede, migoczące, kolorowe światełka przesuwały się wraz z nimi. Posyłały na moją białą skórę różowe i bladoniebieskie promyki.

Piersi zaczynały się ogrzewać, nie – jak dotychczas – palącym żarem gorączki, lecz naturalnym ciepłem zdrowia. Powiew świeżego powietrza przeniknął przez zasłony i uniósł wilgotne włosy przy moich skroniach. Mimo to już nie było mi zimno.

Raymond stał z pochyloną głową. Jego twarz była ukryta w kapturze pożyczonego habitu. Po pewnym czasie, a wydawało mi się, że to trwa dość długo, bardzo powoli przesunął dłonie na moje ramiona. Tam je na chwilę zatrzymał. Potem zaczął delikatnie ugniatać stawy przy barkach, łokciach, nadgarstkach i palcach. Ból stał się mniej dokuczliwy. Patrzyłam na bladą, błękitną linię, która zjawiała się pod skórą ramienia.

Przez moment wydawało mi się, że widzę

jaśniejącego ducha kości.

Łagodnie, niespiesznie przesunął ręce do płytkich dołków przy moim obojczyku, a potem do pępka. Rozłożył palce na żebrach.

Najdziwniejsze okazało się to, że wcale nie byłam zaskoczona. Czynności mistrza odbierałam jak najbardziej naturalną rzecz pod słońcem. Wymęczone bólem ciało było wdzięczne za niesioną ulgę. Twarda forma dłoni topiła i kształtowała tkanki jak rozgrzany wosk.

Od tych szerokich, kwadratowych rąk robotnika emanowało dziwne ciepło. Starannie i bardzo powoli przesuwały się po moim ciele i niemal namacalnie odczuwałam śmierć poszczególnych bakterii, które zanieczyszczały moją krew. Słyszałam małe wybuchy przy znikaniu kolejnych ognisk zapalnych. Mogłam poczuć – i zobaczyć! – każdy swój organ w kompletnej, trójwymiarowej formie, jak gdyby leżał przede mną na stole. Tu jest żołądek, z dziurami w ściankach, tam niezgrabna bryła wątroby. Widziałam drganie jelit. Obracały się do środka i na zewnątrz, czysto opakowane w błyszczącą siatkę otrzewnej. Ciepło promieniowało i rozchodziło się po wszystkich organach. Oświetlało je niczym małe, wędrujące słońce.

Raymond przyciągnął dłonie do mojego opuchniętego brzucha. Odniosłam wrażenie, że mistrz się skrzywił. Głowa w kapturze obróciła się i nasłuchiwała. Z oddali dochodziły zwykłe odgłosy szpitalne. Nie słychać było ostrzegawczych uderzeń obcasów, które by zmierzały w naszą stronę.

Jedna dłoń przesunęła się niżej i zatrzymała

po między moimi nogami. Odruchowo krzyknęłam i drgnęłam. Zwiększony ucisk ze strony drugiej ręki ostrzegał mnie, żebym była cicho. Kwadratowe palce dobierały się do najintymniejszej części ciała.

Zamknęłam oczy i czekałam. Czułam, jak moje wewnętrzne ścianki przystosowują się do inwazji. Piekący ból ustępował, gdy Raymond delikatnie, coraz głębiej wkładał palec.

Dotknął miejsca, w którym wcześniej znajdował się płód. Ciężkie ścianki chorej macicy zaczął rozsadzać spazm bólu. Cicho jęknęłam. Pokręcił głową, więc zacisnęłam usta.

Jedna dłoń spoczywała wygodnie na moim brzuchu, palce drugiej buszowały w macicy. Mistrz stał nieruchomo. Oburącz trzymał źródło mego bólu jak kryształową kulę, ciężką i delikatną.

– A teraz go zawołamy – powiedział miękkim głosem. – Wezwij rudego mężczyznę.

Wołaj!

Zwiększył się ucisk w środku i nacisk dłoni na zewnątrz. Przycisnęłam dłonie do łóżka, szamocząc się. Ale nie było we mnie siły, by stawić opór. Natarczywe dłonie uciskały mnie z coraz większą siłą, aż stłukły kryształową kulę i uwolniły tkwiący w niej chaos.

Moja głowa zapełniła się obrazami, straszniejszymi niż wizje ze snów, które nachodziły mnie pod wpływem gorączki, ponieważ bardziej rzeczywistymi. Gniew, poczucie straty i lęk rozdzierały mnie na strzępy. Nozdrza napełnił obłok śmierci pachnący kurzem z białej kredy. Pośród nieregularnych kształtów, wirujących w mojej

głowie szukałam pomocy. Słyszałam, jak jakiś głos wciąż powtarza, cierpliwie, lecz stanowczo: „Zawołaj go!”.

– Jamie! Jamie!

Rozżarzone uderzenie pioruna przeszło mój brzuch od jednej ręki do drugiej przez środek miednicy. Uścisk, który mnie więził, rozluźnił się, a potem zupełnie ustąpił.

Rozbłysła jasność harmonii.

Rama łóżka zadrżała. Raymond schylił się pod nią w samą porę.

– Milady! Nic pani nie jest? – Siostra Andżelika odsunęła kotary. Zza barbetu wyłoniła się okrągła, wykrzywiona niepokojem twarz. W oczach widać było zatroskanie i rezygnację. Siostry wiedziały, że wkrótce umrę. Jeśli uznałyby, że odchodzę, wezwałyby księdza.

Przyłożyła rękę do mojego policzka, szybko przeniosła ją na czoło, wreszcie dotknęła pleców. Prześcieradło wciąż leżało, wygniecione, pomiędzy udami, koszula była rozpięta.

Dłonie Andżeliki wślizgnęły się pod pachy i tam na moment utkwily.

– Chwała Bogu! – krzyknęła ze łzami radości w oczach. – Gorączka minęła! – Pochyliła się nisko nade mną, nagle czymś zaniepokojona. Pewnie chciała się upewnić, czy spadek temperatury przypadkiem nie wynika z mojego zgonu. Lekko uśmiechnęłam się do troskliwej pielęgniarki.

– Czuję się dobrze – oświadczyłam. – Proszę to przekazać matce.

Ochoczo skinęła głową. Poprawiła nieskromnie wyglądające poślanie i wybiegła z pokoju. Gdy tylko zasunęły się za nią zasłony, zza łóżka wyłoniła się postać

Raymonda.

– Muszę iść – oznajmił. Położył dłoń na mojej głowie. – Bywaj zdrowa, madonno.

Mimo osłabienia podniosłam się i chwyciłam go za ramię. Przesunęłam dłonią po całej długości jego ręki w poszukiwaniu stalowych mięśni, ale nie znalazłam ani jednego.

Skóra była nieskalanie gładka, aż do wystających kości barkowych. Wpatrywał się we mnie zaskoczonym wzrokiem.

– Co robisz, madonno?

– Nic. – Znów zapadłam w poduszkę rozczarowana. Byłam tak otumaniona, że nie zważałam na słowa. – Chciałam sprawdzić, czy masz bliźnę po szczepionce.

– Po szczepionce?

Posiadałam dużą umiejętność czytania z twarzy. Rozpoznałabym więc nawet najślabiej widoczny błysk zrozumienia, bez względu na to, jak bardzo Raymond starałby się go ukryć. Jednak niczego takiego nie dostrzegłam.

– Dlaczego mnie nazywasz madonną? – spytałam. Moje dłonie spoczęły na małym dołku brzucha, delikatnie, jak gdyby nie chciały płoszyć wstrząsającej pustki. – Straciłam dziecko.

Wyglądał na lekko zaskoczonego.

– Ach. Nie nazwałem cię madonną ze względu na dzieciątko, moja pani.

– W takim razie dlaczego? – Tak naprawdę nie oczekiwałam odpowiedzi. Oboje byliśmy wyczerpani. Odniosłam wrażenie, jak gdybyśmy razem tkwili w

zawieszeniu, w miejscu, gdzie nie istniał ani czas. W przestrzeni pomiędzy nami nie było miejsca na nic prócz prawdy.

Westchnął.

– Każdego otacza jakaś aura – powiedział po prostu.
– Wokół całego ciała, jak obłok.

Pani otoczka jest koloru niebieskiego, madonno. Jak płaszcz Najświętszej Dziewicy.

Podobnie, jak moja.

Leciutkie kotary zafalowały i znikł.

26

FONTAINEBLEU

Przez kilka następnych dni spałam. Czy było mi to potrzebne, by odzyskać siły? Nie wiem. Niechętnie budziłam się, by coś zjeść. Potem natychmiast znów zapadałam w senne odrętwienie, jak gdyby mała ilość ciepłego rosolu na dnie żołądka była kotwicą, która ciągnęła mnie w mroczne głębie snu.

Parę dni później zbudziły mnie natarczywe, dobiegające z bliskiej odległości głosy.

Czyjeś dłonie podnosiły mnie z łóżka. Podtrzymujące ramiona były silne i umięśnione.

Przez moment moja dusza skakała z radości. W końcu na dobre się przebudziłam.

Walczyłam z mdłościami, o które mnie przyprawił zapach tabaki pomieszany z odorem taniego wina. Wtedy uświadomiłam sobie, że jestem w objęciach Hugona – olbrzymiego lokaja Luizy de La Tour.

– Proszę mnie puścić! – rozkazałam i uderzyłam go

osłabioną ręką. Wyglądał na zaskoczonego tym nagłym zmartwychwstaniem zmarłej. O mało mnie nie upuścił. Nagle rozległ się wysoki, majestatyczny głos.

– Claire, moja droga przyjaciółko! Nie bój się, *ma chere*. Wszystko w porządku.

Zabieram cię do Fontainebleau. Potrzebujesz powietrza i dobrego jedzenia.

I odpoczynku...

Mrugnęłam osłepiona światłem jak nowo narodzone jagnię. Różowa, okrągła i zatroskana twarz Luizy unosiła się nade mną niczym oblicze cherubina płynącego na obłoku. Za jej plecami stała matka Hildegarda – wysoka i sroga, jak jeden z aniołów strzegących bram raję. To niebiańskie złudzenie było jeszcze bardziej sugestywne przez to, iż obie stały przed witrażem w przedsionku szpitala des Anges.

– Tak – potwierdziła. Głęboki głos zakonnicy sprawił, że to najprostsze ze słów zabrzmiało bardziej przekonująco niż świergotanie Luizy. – To ci dobrze zrobi. *Au revoir*, moja droga.

Po tych słowach zniesiono mnie po schodach szpitalnych i, chcąc nie chcąc, zostałam ulokowana w powozie Luizy. Ani nie miałam siły, ani ochoty, by się przed tym wzbraniać.

Podskakiwanie powozu na wybojach i koleinach uniemożliwiało mi zaśnięcie przez całą drogę do Fontainebleau. Poza tym Luiza nieustannie mnie zagadywała. Najpierw usiłowałam jej odpowiadać. Byłam tak osłabiona, że czytałam to z dużym trudem.

W końcu doszłam do wniosku, że ona nie

potrzebuje żadnych odpowiedzi i, tak naprawdę, to bez nich o wiele łatwiej jej się mówi.

Po wielu dniach spędzonych w chłodnej, szarej sali szpitalnej o ścianach z kamienia, kurczyłam się pod wpływem nagłego ataku światła i koloru. Chowałam się nieco w cień i pozwalałam, by całe bogactwo natury jedynie muskało mnie po policzkach. Nie chciałam być świadoma poszczególnych elementów świata zewnętrznego.

Ta metoda zdawała egzamin do momentu, kiedy dotarliśmy do niewielkiego lasu, graniczącego z Fontainebleau. Pnie dębów były ciemne i masywne, osłonięte olbrzymimi baldachimami, które zaciaśniały grunt i przenosiły światło z miejsca na miejsce. Cały las wyglądał tak, jak gdyby szedł wiedziony tchnieniem wiatru. Nagle przestałam zachwycać się tym efektem. Zauważyłam, że coś, co wyglądało na pień drzewa, naprawdę się przemieszcza. Bardzo powoli obraca to w jedną, to w drugą stronę.

– Luizo! – Mój okrzyk oraz nagły uścisk ramienia powstrzymał jej opowieść w pół słowa.

Całym ciężarem oparła się o mnie, by dojrzeć obiekt mojego zainteresowania. Potem znów przesunęła się na swoją stronę siedzenia i wychyliła głowę za okno. Krzyknęła coś do woźnicy.

Gwałtownie zatrzymaliśmy się tuż przy lesie. Za nami wzbil się tuman kurzu. Było ich troje – dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Wysoki, wzburzony głos Luizy wciąż czynił wyrzuty i wypytywał. Cichł tylko w chwilach, gdy woźnica usiłował odpowiadać i przeproszać. Ale ja nie

zwracałam na to uwagi.

Mimo iż postacie się obracały, lekko falując ubraniami, tkwiły bardziej nieruchomo niż drzewa, które je trzymały. Twarze były poczerniałe od uduszenia. Przez mgłę szoku pomyślałam, że monsieur Forez nie ucieszyłby się na ten widok jako amator egzekucji skutecznych, ale nie byle jakich.

Powóz nieoczekiwanie ruszył, wbijając Luizę w oparcie siedzenia. Oburzona krzyczała i stukiała w szybę.

– Ścierwo! – powiedziała, szybko wachlując poczerwieniałą twarz. – Głupi woźnica!

Zatrzymać się w ten sposób, właśnie tu! Cóż za lekkomyślność! Taki szok jest straszny dla dziecka. Jestem tego pewna, a ty, moja droga... Och, biedactwo... O, matko! Moja biedna Claire! Przepraszam, nie chciałam ci przypominać... Wybacz? Zachowuję się jak słoń w składzie porcelany.

Całe szczęście była tak wzburzona tym, że mnie zasmuciła, iż zapomniała o zdenerwowaniu, które ogarnęło ją na widok dyndających ciał. Próby powstrzymania jej przeprosin bardzo mnie wycieńczyły. W końcu, w desperacji, zmieniłam temat.

Zaczęłyśmy rozmawiać o powieszonych ludziach.

– Kto? – Zadziałało. Mrugnęła oczami. Wspomniała szok, jakiego doznała.

Wyciągnęła buteleczkę z roztworem amoniaku. Porządnie się zaciągnęła, aż kichnęła.

– Hu...hu... HUU! Hugenci – wyrzekła w końcu, parszkając i charcząc. – Protestanci heretycy. Tak powiada woźnica.

– Powiesili ich? Znowu? – Nie wiadomo dlaczego, wydawało mi się, że prześladowania religijne należą już do zamierchłej przeszłości.

– Cóż... Nie tylko za to, że byli protestantami. Chociaż... Już to by wystarczyło – dodała Luiza, pociągając nosem. Delikatnie wytarła go haftowaną chusteczką, obrzuciła wydzielinę krytycznym spojrzeniem i znów przyłożyła płótno do nosa. Tym razem satysfakcjonująco wysmarkała się, trąbiąc w chustkę.

– Ach, teraz lepiej! – Wcisnęła chusteczkę do kieszeni. Westchnęła i rozsiadła się wygodnie na siedzeniu. – Teraz już wróciłam do siebie. Co za szok! Jeśli chcieli ich powiesić... w porządku, ale czy musieli to zrobić akurat obok publicznego traktu i narażać damy na taką obrzydliwość? Poczulaś, jak śmierdzą? Fu! To ziemia hrabiego Medarda.

Zobaczysz, wysłędo nich bardzo nieprzyjemny list na ten temat.

– Ale dlaczego powiesili tych ludzi? – przerwałam brutalnie. Był to jedyny możliwy sposób nawiązania prawdziwej rozmowy z Luizą.

– Och, najprawdopodobniej za uprawianie czarów. Sama widziałaś kobietę.

Zazwyczaj, gdy wśród powieszonych są kobiety, chodzi o czary. Jeśli to sami mężczyźni, najczęściej w grę wchodzi głoszenie herezji i nawoływanie do buntu. Kobiety nie głoszą kazań. Widziałaś te okropne, czarne ubrania, które miała na sobie? Straszne! Ciągle ubierać się tylko w ciemne rzeczy! Jaka to religia, która nakazuje swym wyznawcom przez cały czas nosić proste ubrania?

Najwyraźniej szatańska i wszyscy to widzą. Poza tym boją się kobiet i dlatego...

Zamknęłam oczy. Oparłam się wygodnie o siedzenie. Miałam nadzieję, że już jest niedaleko do wiejskiej posiadłości Luizy.

Oprócz małpy, z którą Luiza nie umiałyby się rozstać, wiejski dworek zawierał liczne inne dekoracje w wątpliwym guście. W Paryżu musiałyby się liczyć z upodobaniami męża i ojca. Dlatego jej miejski dom był konsekwentnie, bogato urządzony, w stonowanych kolorach. Ale Jules, pochłonięty pracą w mieście, rzadko zaglądał do domku na wsi.

Luiza mogła więc tu popuścić cugli.

– To jest moja nowa zabawka. Śliczna, prawda? – piała z zachwytem. Czule głaskała rzeźbione, ciemne drewno. Maleńka chatka, bezsensownie wyrastała ze ściany, obok połączanego lichtarzyka z brązu w kształcie Eurydyki.

– Wygląda jak zegar z kukułką – powiedziałam z niedowierzaniem.

– Widziałaś kiedyś coś podobnego? Nie sądziłam, że w Paryżu można je znaleźć! – Luiza nieco się obruszyła na myśl, że zabawka nie została uznana za niezwykłą. Wkrótce jednak rozchmurzyła się i nastawiła wskazówki zegara na wybraną godzinę. Odeszła parę kroków i z dumą przechyliła głowę. Malutki ptaszek, część mechanizmu zegara, wystawił główkę i wydał kilka następujących po sobie okrzyków „Kuku!”.

– Cenna rzecz. – Udało jej się dotknąć głowy ptaka, zanim zniknął w zegarowej budce. – Dostałam od Berty,

mojej tutejszej gospodyni. Brat Berty przywiózł to cudeńko aż ze Szwajcarii. Bez względu na to, co można powiedzieć o Szwajcarach, jedno trzeba im przyznać: wspaniale rzeźbią w drewnie. No nie?

Chciałam odpowiedzieć: nie, ale zamiast tego, tylko mruknęłam coś, udając podziw.

Umysł Luizy jak konik polny przeskakiwał z jednego miejsca w drugie. Teraz znalazł nowy temat, prawdopodobnie przywołany myślą o szwajcarskich sługach.

– Wiesz co, Claire – odezwała się nieco strofującym tonem. – Naprawdę musisz co rano chodzić na msze do kaplicy.

– Dlaczego?

Głową wskazała drzwi, w których pojawiła się pokojówka z tacą.

– Mnie jest wszystko jedno, ale służący... Wiesz, oni tu na wsi są bardzo przesądni.

Jeden z lokajów, w całej swej głupocie, opowiedział tutejszemu kucharzowi tę idiotyczną historię o tobie jako Białej Damie. Oczywiście, mówiłam im, że to wszystko bzdury.

Postraszylam nawet, że zwolnię każdego, kogo złapię na rozpowszechnianiu takich plotek, ale... cóż, twoja obecność na mszy może temu zapobiec.

Nie byłam osobą gorliwie wierzącą. Pomyślałam, że udział w codziennej mszy w domowej kaplicy to przesada. Zgodziłam się jednak zrobić wszystko, by rozproszyć obawy służących. Skutkiem tego Luiza i ja spędziłyśmy następną godzinę na czytaniu psalmów responsoryjnych na

głos i odmawianiu – chórem – Modlitwy Pańskiej. Nie miałam pojęcia, jak zareagowała służba. Ja natomiast byłam tak wyczerpana, że poszłam na górę, by uciąć krótką drzemkę. Spałam bez przerwy, nie śniąc, aż do następnego rana.

Często miałam trudności z zasypianiem. Prawdopodobnie dlatego, że przed zaśnięciem znajdowałam się w stanie, który tylko trochę różnił się od niespokojnej drzemki. Leżałam w nocy, czuwając. Wpatrywałam się w sufit z białego gipsu, ozdobiony lśniącymi owocami i kwiatami. Wisiał nade mną w ciemnościach jak szary kształt mający zza mgły – personifikacja depresji, która za dnia przenikała moje myśli.

Natomiast kiedy zamykałam w nocy powieki, nachodziły mnie sny. Nie byłam w stanie przesłonić ich szarością. Nadciągały wraz z całą paletą barw i napastowały mnie w ciemności. Rzadko więc spałam.

Nie miałam żadnych wieści od Jamiego. Nie dotarły też do mnie informacje, co się z nim dzieje. Nie wiedziałam, czy to poczucie winy, czy też odniesione rany powstrzymują go przed odwiedzeniem mnie w szpitalu. Jednak faktem było, że nie przyszedł ani tam, ani nie przyjechał do Fontainebleau. Do tej pory pewnie zdążył już wyjechać do Orvieto.

Czasami przyłapywałam się na rozważaniach, czy – bądź kiedy – go zobaczę, oraz co – jeśli cokolwiek – powiemy sobie wzajemnie. Ale przeważnie starałam się o tym nie myśleć. Pozwalałam, by dni przychodziły i odchodziły po kolei. Unikałam rozmyślań zarówno na

temat przeszłości, jak i przyszłości. Żyłam wyłącznie terażniejszością.

Pozbawiony swego idola Fergus pograżył się w apatii. Wciąż widywałam go z okna.

Przesiadywał pod krzakiem głogu w ogrodzie z beznadziejną miną, obejmując ramionami kolana. Raz po raz spoglądał na drogę wiodącą do Paryża. W końcu zdecydowałam się wstać i pójść po niego. Ledwie szłam po schodach i dróżce w ogrodzie.

– Nie możesz znaleźć sobie żadnego zajęcia? – spytałam. – Na pewno jeden z chłopców stajennych potrzebuje kogoś do pomocy.

– Tak jest, milady – zgodził się, nie bez oporów. Odruchowo podrapał się po pupie.

Zachowanie chłopca wydało mi się bardzo podejrzane.

– Fergus – powiedziałam, składając na piersiach ręce. – Masz pchły? – Szybko zdjął dłoń z pośladków, jak gdyby się oparzył.

– O, nie, nie, milady!

Schyliłam się, dyskretnie powąchałam dzieciaka i dostatecznie głęboko włożyłam palec za jego kołnierz, by odkryć obrożę brudu wokół szyi.

– Kąpiel – oświadczyłam zwięźle.

– Nie! – Wyrwał się, ale chwyciłam go za ramię. Byłam zaskoczona gwałtownym oporem. Co prawda, nigdy nie rwał się do kąpieli. Zresztą każdy przeciętny paryżanin perspektywę zanurzenia się w wodzie przyrównywał do koszmaru. Nie umiałam jednak pogodzić się z faktem, iż to dziecko, zwykle posłuszne, z taką furią wierci się i wyrywa.

Wydał z siebie ogłuszający wrzask i uwolnił się. Zaczął uciekać. Przedzierał się przez krzaki porzeczek jak królik ścigany przez sforę psów. Usłyszałam szelest liści, potem drapanie o kamienie i tyle go było widać. Przeskoczył przez murek. Pędził w stronę przybudówek z tyłu posiadłości.

Przemierzałam labirynt zrujnowanych budynków, znajdujących się za dworkiem.

Kłęłam pod nosem, skacząc przez kałuże i kupki łajna. Nagle dobiegły mnie wysokie, brzęczące tony. Zza kopy wznoszącej się metr nad moją głową wyłoniła się chmura much.

Połykiwały w słońcu niebieskimi brzuchami.

Nie podeszłam wystarczająco blisko, żeby spowodować to zamieszanie. Coś musiało poruszyć się od strony pociemniałych od brudu drzwi, za hałdą gnoju.

– Aha! – powiedziałam na głos. – Mam cię, ty mały, brudny synu, wszystko jedno czyj!

Nikogo nie zauważyłam, ale z szopy dobiegały jakieś odgłosy. Wydawało mi się, że w zacienionym wnętrzu mignęło coś białego. Wstrzymałam oddech z powodu odoru, obeszłam stos gnoju i weszłam do szopy.

Tu nastąpiły dwa okrzyki przerażenia: mój, na widok czegoś, co wyglądało jak dziki człowiek z Borneo przylepiony do ściany, i jego, na mój widok.

Przez szpary pomiędzy deskami prześwitywały promienie słońca. Dostarczały wystarczającej ilości światła, żebyśmy mogli dokładnie przyjrzeć się sobie wzajemnie.

Moje oczy już przyzwyczyły się do półmroku.

W końcu się okazało, że ten ktoś nie wyglądał tak

strasznie, jak mi się na początku wydawało. Ale nie wyglądał też dużo lepiej. Jego broda była bardzo brudna, kłaki włosów, które opadały na ramiona, dawno nie widziały wody. Koszulę miał tak postrzępioną, że niewielu żebraków mogło się poszczycić równie niechlujnym wyglądem.

Był na bosaka i bez portek.

Nie bałam się go, ponieważ widziałam, że on się boi mnie. Przyciskał się do ściany tak mocno, jak gdyby wierzył, że za sprawą osmozy przejdzie na drugą stronę.

– Wszystko w porządku – uspokajałam. – Nie zrobię ci krzywdy.

Zamiast się uspokoić, nagle sięgnął za pazuchę i wyciągnął drewniany krucyfiks na skórzanym rzemyku. Wystawił go w moją stronę i głosem drżącym z przerażenia zaczął się modlić.

– No nie! Jeszcze jeden – powiedziałam załamany głosem. – Tylko nie to! – Wzięłam głęboki wdech. *Pater-Noster-qui-es-in-coeliset-in-terra...* * [*Ojciec nasz, któryś jest w niebie...] – Wytrzeszczył oczy. Wciąż trzymał w ręku krzyż, ale w odpowiedzi na to przedstawienie, przynajmniej sam przerwał swą modlitwę.

– Amen! – podsumowałam, z trudem chwyając oddech. Podniosłam obie ręce i pomachałam nimi przed jego nosem. – Widzisz? Wszystko powiedziałam jednym ciągiem, niczego nie opuściłam, zgadza się? Nawet nie skrzyżowałam palców. Więc nie mogę być czarownicą, prawda?

Mężczyzna powoli zwiesił krucyfiks i stał oniemiały, patrząc na wariatkę, co w tych okolicznościach

wydało mi się nieporozumieniem.

– Nie podejrzewałeś mnie o to, że jestem czarownicą? – spytałam. Zaczynałam trochę głupio się czuć.

Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech, by po chwili znów zniknąć w gmatwaniu brody.

– Nie, jasnie pani – odparł. – Ludzie zwykle mówią takie rzeczy o mnie.

– Naprawdę? – Przyjrzałam mu się uważnie. Był nie tylko obszarpany i brudny.

Najwyraźniej głodował. Nadgarstki, które wystawały zza mankietów koszuli, miał chude jak u dziecka. Jednocześnie mówiładną i poprawną francuszczyzną, choć może trochę dziwnie akcentował wyrazy.

– Jeśli zajmujesz się czarną magią – zaczęłam – to nie odnosisz olśniewających sukcesów w tej dziedzinie. Kim, do licha, jesteś?

Na te słowa, w jego oczach znów pojawił się strach. Rozglądał się to w jedną, to w drugą stronę w poszukiwaniu szpary, przez którą mógłby uciec. Szopa, choć stara, była solidnie zbudowana i nie miała żadnego innego wyjścia prócz tego, w którym stałam.

W końcu zebrał całą rezerwę odwagi, skrywaną na czarną godzinę, i wyprostował się jak struna. Był około dziesięciu centymetrów niższy ode mnie.

– Pastor Walter Laurent z Genewy – rzekł z wielką godnością.

– Jest pan kapłanem? – Czulałam się tak, jakby piorun we mnie strzelił. Nie potrafiłam sobie uzmysłwić, co

mogło doprowadzić szwajcarskiego księdza do takiego stanu.

Ojciec Laurent wyglądał na równie przerażonego jak ja.

– Kapłanem? – powtórzył. – Papistą? Przenigdy!

Nagle prawda wydała mi się brutalnie oczywista.

– Hugenot! – Zgadłam. – Właśnie tak. Protestant, prawda? – Przypomniały mi się wiszące w lesie ciała. Pomyślałam, że to bardzo wiele tłumaczy.

Usta mu zadrżały, ale zacisnął je mocno na moment, nim ponownie otworzył, by mi odpowiedzieć.

– Tak, madame. Przez miesiąc głosiłem kazania w tym okręgu. – Polizał usta, przyglądając mi się uważnie. – Proszę mi wybaczyć, ale czy pani jest Francuzką?

– Nie, Angielką – oznajmiłam. Zauważyłam, że nagle rozluźnił się, jakby ktoś ręką odjął całe napięcie.

– Dobry Ojczy Niebieski – szepnął rozmodlonym tonem. – Zatem pani również jest protestantką?

– Nie, katoliczką – odparłam. – Ale bardzo tolerancyjną, jeśli chodzi o inne religie – dodałam pośpiesznie, bo w jego jasnobrażowych oczach ponownie pojawił się niepokój. – Proszę się nie martwić. Nie zdradzę kryjówki pastora. Przypuszczam, że ojciec tu przyszedł skraść trochę jedzenia? – spytałam współczująco.

– Kradzież to grzech! – powiedział oburzony. – Nie, madame. Ale... – Zacisnął usta.

Jednak zdradziło go spojrzenie w kierunku dworku.

– Więc ktoś ze służących przynosi pastrowi jedzenie? – zgadywałam. – Pozwala pastor, by dla niego dokonywano kradzieży. Przypuszczam, że potem ojciec

daje rozgrzeszenie, więc wszystko jest w porządku. Jeśli mam być szczerą, takie postępowanie wydaje się mi bardzo dwuznaczne moralnie – powiedziałam strofującym tonem.
– Ale to chyba nie moja sprawa.

W jego oczach zabłysło światełko nadziei.

– Więc... nie zamierza wtrącić mnie do aresztu, madame?

– Nie, oczywiście, że nie. Żywię coś w rodzaju braterskiego współczucia dla osób wyjętych spod prawa. Sama o mały włos nie zostałam spalona na stosie. – Nie wiedziałam, dlaczego w tak dużym stopniu otwieram się przed tym mężczyzną. Chyba ze względu na przyjemną niespodziankę, jaką było spotkanie inteligentnego człowieka.

Luiza była słodka, oddana i miła, ale miała dokładnie taki sam mózg jak zegar z kukułką w jej salonie. Nagle uświadomiłam sobie, kto z pewnością jest potajnym parafianinem pastora Laurenta.

– Proszę posłuchać, jeśli pastor chce tu zostać, pójdę do dworu i powiem o tym Bercie lub Mauriceowi.

Ciało tego biednego człowieka składało się wyłącznie ze skóry, kości i oczu. Wszystkie jego myśli odbijały się w tych wielkich, łagodnych, brązowych gałkach. Najwyraźniej uznał, że ktoś, kto zamierzał mnie spalić na stosie, był na dobrym tropie.

– Słyszałem – zaczął powoli i znów chwycił za krzyż – o jakiejś Angielce, którą paryżanie nazywają *La Dame Blanche*. Krewnej Raymonda Heretyka.

– To ja. – Westchnęłam. – Ale z mistrzem nie łączymie żadne pokrewieństwo. On jest po prostu moim

znajomym. – Podejrzliwie popatrzył na mnie z ukosa. Szybko wciągnęłam w płuca powietrze – Pater-Noster...

– Nie, nie, madame, proszę. – Ku memu zaskoczeniu odłożył krucyfiks i uśmiechnął się do mnie.

– Ja również jestem znajomym mistrza Raymonda. W Genewie był szanowanym lekarzem i ziołarzem. Ale teraz... Mówią, że zszedł na manowce. Oczywiście, nic mu nie zostało udowodnione...

– Udowodnione? W związku z czym? A w ogóle dlaczego nazywają go Raymondem Heretykiem?

– Nie wiedziała pani? – Cienkie brwi uniosły się nad brązowymi oczami. – Ach, zatem nic pani nie słyszała o... zajęciach mistrza Raymonda. – Wyraźnie poczuł ulgę.

„Zajęcie” wydawało się nieodpowiednim określeniem sposobu, w jaki Raymond mnie uzdrawiał. Pokręciłam głową.

– Nie, ale mam nadzieję, że ojciec mi o tym opowie. Och, ale najpierw powinnam iść i przysłać tu Bertę z jedzeniem.

Z godnością pomachał ręką.

– Nie ma pośpiechu, madame. Apetyty ciała są mało ważne w zestawieniu z głodem duszy. To nic, że jest pani katoliczką, liczy się dobro wobec bliźniego. Jeśli jeszcze nic pani nie wie o zajęciach mistrza Raymonda, to najwyższy czas panią przestrzec.

Nie zwracając uwagi na brud i rozłupane deski na podłodze, usiadł przy ścianie szopy. Gościnnie wskazał mi miejsce do siedzenia. Spoczęłam naprzeciwko pastora, zbierając fałdy sukni, by nie ubrudziły się łajnem.

– Słyszała pani o człowieku, który nazywa się du

Carrefours, madame? – spytał pastor. – Nie? Cóż, jego nazwisko jest bardzo znane w Paryżu, zapewniam panią, ale lepiej się nie przyznawać do znajomości z tym mężczyzną. Był organizatorem i przywódcą łańcucha rozpusty i występków nie do opisania, łącznie z najpodlejszymi praktykami okultystycznymi. Przez gardło nawet by mi nie przeszedł opis ceremonii odprawianych przez niektórych wysoko urodzonych. I oni mnie nazywają czarownikiem! – mruknął półszeptem.

Wzniósł kościsty palec wskazujący, jak gdyby chciał uprzedzić mój niewypowiedziany sprzeciw.

– Jestem świadom, madame, że krąży wiele plotek, które nie mają pokrycia w rzeczywistości. Kto to wie lepiej niż ja? Ale praktyki du Carrefoursa są powszechnie znane. A raczej uczynku jego naśladowców. On sam bowiem był sądzony, uwięziony i w końcu spalony na placu przed Bastylią za popełnione zbrodnie.

Przypomniałam sobie luźną uwagę Raymonda: „Nikogo nie spalono w Paryżu, przynajmniej od dwudziestu lat”, i zadrżałam mimo słonecznej pogody.

– Powiada pastor, że mistrz Raymond był związany z du Carrefoursem?

Laurent skrzywił się i w zadumie podrapał po splecionej brodzie. Pomyślałam, że prawdopodobnie ma zarówno pchły, jak i wszy. Próbowałam niepostrzeżenie się odsunąć.

– Cóż, trudno powiedzieć. Nikt nie wie, skąd mistrz Raymond pochodzi. Doskonale włada kilkoma językami. Bardzo tajemniczy z niego mężczyzna, ale przysięgłbym w imię mojego Boga, że to dobry człowiek.

Uśmiechnęłam się do chudego duchownego.

– Też tak sądzę.

Pokiwał głową, śmiejąc się. Ale nagle spoważniał i wrócił do swej opowieści.

– Pisał listy z Genewy do du Carrefoursa. Wiem, bo sam mi mówił. Na zamówienie przywódcy bandy rozpustników dostarczał różne substancje: rośliny, eliksiry, wysuszoną skórę zwierząt. Nawet pewien rodzaj ryb. To była najdziwniejsza i najbardziej przerażająca rzecz, o jakiej wspomniał: ryby pochodzące z najciemniejszych głębin morza. Coś strasznego! Same zęby. Istoty prawie zupełnie pozbawione ciała, a pod oczami miały... okropności... światełka, coś w rodzaju małych latarni.

– Naprawdę? – Słuchałam zafascynowana.

Pastor Laurent wzruszył ramionami.

– Oczywiście, może chodziło o całkiem niewinne, zwykłe transakcje handlowe. Ale Raymond zniknął z Genewy w tym samym czasie, kiedy padło pierwsze podejrzenie na du Carrefoursa. I nie minęło kilka tygodni od egzekucji, jak pojawiły się plotki, że mistrz założył w Paryżu nowy interes. Mówiono również, że przejął po du Carrefoursie szereg jego potajemnych praktyk.

– Hmm. – Pomyślałam o zapleczu Raymonda i o jego gabinecie, pomalowanym w kabalistyczne znaki, aby ciekawscy trzymali się z daleka. – Coś poza tym?

Brwi pastora Laurenta wygięły się wysoko.

– Nie, madame – odparł, raczej niepewnie. – Nic, o czym bym wiedział.

– Cóż, sama nie jestem zwolenniczką tego typu rzeczy – zapewniłam.

– Och, Boże – powiedział pełnym wahania tonem. Przez chwilę siedział w milczeniu, jak gdyby podejmował jakąś decyzję. Potem grzecznie skłonił głowę w moją stronę. – Proszę mi wybaczyć, że się wtrącam do nie swoich spraw. Berta i Maurice mówili mi o pani stracie. Bardzo mi przykro, madame.

– Dziękuję – powiedziałam wpatrzona w smugi słońca na podłodze.

Znów nastąpił moment ciszy, po którym pastor Laurent zapytał delikatnie:

– Pani mąż, madame, nie przyjechał tu wraz z panią?

– Nie – odparłam, wciąż zapatrzona w podłogę. Raz po raz załśniła na niej jakaś mucha. Gdy nie znalazła pożywienia, odlatywała. – Nie wiem, gdzie jest w tej chwili.

Nie miałam zamiaru nic więcej mówić, ale coś mi kazało spojrzeć na obszarzanego, chudego kaznodzieję.

– Bardziej troszczył się o swój honor niż o mnie, dziecko czy o niewinnego człowieka – żaliłam się. – Nie obchodzi mnie, co się z nim dzieje. Nie chcę go widzieć!

Nagle zamilkłam roztrzęsiona. Wcześniej nie ujęłam tego w słowa, nawet przed sobą samą. Ale to była prawda. Mieliśmy nieograniczone zaufanie do siebie wzajemnie. Jamie je złamał w imię zemsty. Rozumiałam to. Widziałam siłę motywu, który nim kierował, i wiedziałam, że nigdy nie będę mogła temu zaprzeczyć. Prosiłam tylko o kilka miesięcy zwłoki. I on obiecał poczekać. A potem złamał słowo i tym samym złożył na stosie ofiarnym wszystko, co nas łączyło. Co więcej, naraził na szwank

powodzenie sprawy, o którą razem walczyliśmy. Mogłam to zrozumieć, ale nie umiałam przebaczyć.

Pastor Laurent położył rękę na mojej dłoni. Palce miał brudne od zaschniętego błota, połamane paznokcie miały czarne „lamówki”, ale nie odsunęłam się. Oczekiwałam frazesów homilii, jednak nic nie mówił. Po prostu bardzo delikatnie przez dłuższy czas trzymał mnie za rękę. Po podłodze przesunęło się światło słoneczne, muchy powoli latały obok naszych głów, głośno brzęcząc.

– Lepiej niech pani już idzie – odezwał się w końcu, uwalniając moją rękę. – Będą pani szukać.

– Chyba tak. – Wzięłam głęboki oddech i poczułam się przynajmniej bardziej pewnie, jeśli nie lepiej. Dotknęłam kieszeni sukni. Zawsze nosiłam przy sobie małą portmonetkę.

Zawahałam się. Nie chciałam obrazić duchownego. W końcu z jego punktu widzenia byłam heretyczką, jeśli nie czarownicą.

– Czy pozwoli pastor, że ofiaruję mu trochę pieniędzy? – spytałam ostrożnie.

Przez chwilę się zastanawiał. Potem uśmiechnął się. Jego jasnobrązowe oczy lśniły.

– Pod jednym warunkiem, madame: jeśli pani mi pozwoli modlić się za panią.

– Niezły interes – zażartowałam i dałam mu portmonetkę.

AUDIENCJA U JEGO WYSOKOŚCI

Czas mijał w Fontainebleau, a ja stopniowo

odzyskiwałam siły fizyczne. Mój umysł wciąż lewitował, myśli uciekały od wszelkich wspomnień czy działań.

Niewiele osób zaglądało do wiejskiej posiadłości. Dom na wsi stanowił pustelnię, w której zwiariowane życie towarzyskie Paryża wydawało się jednym z nawiedzających mnie koszmarów. W związku z tym byłam zaskoczona, kiedy pokojówka wezwała mnie do salonu, żebym spotkała się z gościem. Przez głowę przemknęła mi myśl, że to może być Jamie. Świat mi zawirował. Ale po chwili rozum sam dał o sobie znać. Jamie już wyjechał do Hiszpanii. Nie było możliwości, żeby wrócił do połowy sierpnia. A jeśli wrócił?

Odepchnęłam tę myśl jak najdalej, ale dłonie mi drżały, gdy zawiązywałam gorset przed zejściem do salonu.

Przybyszem okazał się Magnus – szef służby domowej z paryskiego domu Jareda.

– Proszę mi wybaczyć, madame – powiedział, kłaniając się nisko na mój widok. – Nie chciałem pozwalać sobie na zbyt wiele... Ale... Nie umiałem zdecydować, czy sprawa jest wielkiej wagi, czy też nie. A w związku z tym, że pan wyjechał... – Ten starszy człowiek bardzo pewnie zachowywał się na własnym terytorium, w obrębie strefy swoich wpływów, natomiast z dala od domu czuł się zagubiony! Wyciągnięcie od niego spójnej opowieści zajęło mi trochę czasu. W końcu okazało się, że cała wiadomość została już zapisana, złożona, zaklejona i zaadresowana do mnie.

– Pisany ręką pana Murtagha – rzekł Magnus tonem, w którym pobrzmiewały lęk i odraza. Pomyślałam, że to wyjaśnia opory służącego. Murtagh budził respekt i

grozę wśród służby domowej w Paryżu, tym bardziej że słyszano straszne opowieści o jego wyczynach na rue du Faubourg St. Honore.

Magnus powiedział, że list przyszedł do Paryża dwa tygodnie temu. Słudzy nie byli, pewni, co mają z nim zrobić. Dywagowali i konferowali, aż ostatecznie zdecydowali, że trzeba mi go dostarczyć.

– Pan wyjechał – powtórzył. Tym razem słuchałam uważnie tego, co mówi.

– Wyjechał? – spytałam. List był pognieciony i poplamiony. Wydawał się lekki jak piórko. – Chcesz powiedzieć, że Jamie opuścił Paryż, jeszcze zanim przyszedł ten list? – Nic z tego nie rozumiałam. Pismo z pewnością zawierało wiadomość od Murtagha: nazwę i datę wypłynięcia statku, którym będzie przewożone porto Karola Stuarta z Lizbony.

Niemożliwe, by Jamie udał się do Hiszpanii przed otrzymaniem tych informacji.

Chcąc jak najszybciej wyjaśnić te zagadki, złamałam pieczęć i rozłożyłam kartkę. List wysłany z Lizbony prawie miesiąc temu, nie był opatrzony żadnym podpisem.

„»Salamandra« wypływa z Lizbony osiemnastego lipca”. Oto cała treść wiadomości.

Byłam zaskoczona, widząc, jak drobniutkim, schludnym pismem Murtagh to wykaligrafował. Nie wiadomo dlaczego, spodziewałam się nieforemnych kulfonów.

Oderwałam wzrok od kartki. Magnus i Luiza wymieniali między sobą bardzo dziwne spojrzenia.

– Co to jest? – spytałam raptownie. – Gdzie Jamie?
– Myślałam, że poczucie winy nie pozwala mu odwiedzać mnie w szpitalu po poronieniu. Przecież wiedział, iż to jego lekkomyślne zachowanie zabiło nasze dziecko, Franka i o mało mnie nie doprowadziło do śmierci. Wobec tego już mnie nie obchodził. Nie chciałam go widzieć. Przyszło mi jednak na myśl inne, jeszcze straszniejsze wyjaśnienie jego nieobecności.

W końcu ciszę przerwała Luiza. Założyła na piersiach pulchne ramiona, wzięła głęboki oddech i przystąpiła do wykonania zadania.

– Jest w Bastylli – oznajmiła. – Za pojedynkowanie się.

Kolana się pode mną ugięły. Usiadłam na najbliższym krześle.

– Dlaczego, do licha, nie powiedziałaś mi tego wcześniej? – Nie byłam pewna, co czuję po usłyszeniu tej wiadomości: szok, przerażenie, strach, a może lekką satysfakcję?

– Ja... Ja nie chciałam cię martwić, *cherie* – jękała się Luiza, przerażona moim wyglądem. – Byłaś słaba... W końcu i tak nic nie mogłaś zrobić. Poza tym nie pytałaś – zauważyła.

– Ale jaki wyrok... Jak długi... Na jak długo go skazali? – dopytywałam się.

Początkowa reakcja już minęła. Została wyparta przez nagłą potrzebę zdobycia informacji. Wiadomość od Murtagha dotarła na rue Tremoulins dwa tygodnie temu.

Jamie powinien wyjechać natychmiast po jej otrzymaniu. Ale nie wyjechał.

Luiza wezwała służącego, posłała po wino, roztwór amoniaku i spalone pierze.

Wszystko za jednym razem. Najwyraźniej wyglądałam niepokojąco.

– To... naruszenie... rozkazu... króla – powiedziała, trzęsąc się i robiąc pauzę po każdym słowie. – Jamie pozostanie w więzieniu tak długo, aż król zechce go zwolnić.

– Do jasnej cholery! – mruknęłam. Żałowałam, że nie mogę przypomnieć sobie żadnego ostrzejszego przekleństwa.

– Całe szczęście, *le petit* James nie zabił przeciwnika – dodała pośpiesznie Luiza. – Kara byłaby o wiele bardziej... Aaa! – Rychło w porę zabrała swe pasiaste fałdy sukni, by uniknąć kaskady czekolady i ciasteczek. Właśnie wyróciłam świeżo przyniesiony poczęstunek. Taca przywarła do podłogi, ale nie zwracałam na nią uwagi. Wpatrywałam się w Luizę. Mocno przycisnęłam ręce do żeber. Prawa dłoń troskliwie osłaniała złotą obrączkę na lewej ręce. Cienki metal mnie parzył.

– To znaczy, że on nie zginął, tak? – spytałam, jakbym była jedną z postaci występujących we własnym śnie. – Kapitan Randall... wciąż żyje?

– Tak, a dlaczego miałby nie żyć? – odpowiedziała pytaniem i przyglądała mi się ciekawie. – Nie wiedziałaś? Odnosił ciężkie rany, ale podobno wraca do zdrowia. Dobrze się czujesz, Claire? Wyglądasz... – Reszta słów została zagłuszona przez szum, który wypełnił moje uszy.

– Zbyt wiele zrobiłaś w zbyt krótkim czasie – oświadczyła surowo Luiza, zasłaniając kotary. – Już ci to

mówiłam.

– Chyba tak – powiedziałam niepewnym głosem. Podniosłam się i przerzuciłam stopy przez krawędź łóżka. Ostrożnie sprawdziłam, czy minęły już wszystkie ślady omdlenia. Głowa nie pływała, w uszach mi nie dzwoniło, nie miałam podwójnego widzenia ani skłonności do osuwania się na podłogę. Podstawowe wymagania bezpieczeństwa zostały spełnione.

– Proszę o swą żółtą suknię. Czy mogłabyś posłać po powóz, Luizo? – spytałam.

Luiza obrzuciła mnie pełnym przerażenia spojrzaniem.

– Chyba nigdzie się nie wybierasz? Nonsens! Monsieur Clouseau złoży ci dziś wizytę!

Posłałam po niego służbę z żądaniem natychmiastowego przybycia!

Informacja, że monsieur Clouseau – uznany lekarz wśród wyższych sfer Paryża – przyjeżdża, żeby mnie zbadać, w każdej chwili poderwała by mnie na równe nogi, kiedy bym tylko tego potrzebowała.

Osiemnasty lipca minął dwa dni temu. Szybkim koniem, przy dobrej pogodzie i bez względu na wszelkie niewygody, podróż z Paryża do Orvieto można odbyć w ciągu sześciu dni – analizowałam. To mi pozostawia cztery dni na załatwienie zwolnienia Jamiego z Bastylli. Nie ma ani chwili czasu do stracenia. Tym bardziej nie należało go marnować na kurację pana Clouseau.

– Hmm – mruknęłam i rozejrzałam się uważnie po pokoju. – Cóż, w każdym razie, zawołaj pokojówkę, by mnie ubrała. Nie chcę, by doktor zastał mnie w bieliźnie.

Luiza wciąż podejrzliwie mi się przyglądała, ale w jej głosie słychać było przymilny ton. Większość dam dworu powstałaby z łoża śmierci i odpowiednio się ubrała na okoliczność przybycia szanowanego medyka.

– W porządku – zgodziła się i już zbierała się do wyjścia. – Ale masz tu zostać, dopóki nie przyjdzie Yvonne, słyszysz?

Żółta suknia należała do moich najlepszych ubrań. Była to luźna, wdzięczna rzecz uszyta w modnym stylu sacque, z szerokim, wywiniętym kołnierzem, długimi rękawami i zapięciem na perelki z przodu. Upudrowana, uczesana, ubrana w pończochy i, w końcu, wyperfumowana przyjrzałam się butom, które Yvonne dla mnie przygotowała.

Pokręciłam głową i skrzywiłam się krytycznie.

– Mm... nie – powiedziałam wreszcie. – Zamiast nich założę te drugie, z czerwonymi obcasami z marokinu.

Pokojówka niepewnie spojrzała na moją suknię. W myślach dopasowywała czerwony marokin do żółtej, jedwabnej mory. W końcu obróciła się posłusznie i zaczęła szperać na dnie olbrzymiej szafy.

Na paluszkach, boso podeszłam do niej od tyłu, głową w dół wepchnęłam ją do szafy i zatrzasnęłam drzwi na podnoszącej się, wrzeszczącej masie okrytej stosem sukien, które spadły z wieszaków. Przekręciłam klucz w drzwiach i zgrabnym ruchem wrzuciłam go do kieszeni. W myślach gratulowałam sobie uściskiem dłoni. Dobra robota, Beauchamp, pomyślałam. Wszystkie te intrygi polityczne nauczyły cię rzeczy, o których nigdy się nie śniło uczennicom szkoły dla pielęgniarek. Co do tego nie ma

żadnych wątpliwości.

– Nie martw się – pocieszałam trzęsącą się szafę. – Ktoś tu niedługo przyjdzie i cię uwolni. Tak przypuszczam. I możesz powiedzieć księżnej, że nigdzie mnie nie puściłaś.

W rozpaczliwym lamencie, dobywającym się z szafy, można było rozpoznać nazwisko monsieur Clouseau.

– Przekaż mu, żeby zbadał małpę – zawołałam przez ramię. – Biedny zwierzak ma parchy.

Sukces pozbycia się z Yvonne rozpromienił mój nastrój. Jednak gdy już bezpiecznie siedziałam w klekoczącym powozie, pędzącym z powrotem do Paryża, mój duch znów znacznie przygasł.

Nie byłam już, co prawda, aż tak bardzo zagniewana na Jamiego, ale wciąż nie chciałam go widzieć. Moje uczucia ugrzęzły w całkowitym chaosie i nie miałam zamiaru ich dokładnie analizować. Za bardzo mnie to bolało. Gniew mieszał się ze straszliwym poczuciem porażki, a nade wszystko zdrady: jego i mojej. Nigdy nie powinien iść do Lasku Bulońskiego, a mnie w żadnym wypadku nie było wolno za nim podążać.

Ale oboje postąpiliśmy zgodnie z nakazem instynktów i uczuć. Prawdopodobnie oboje też spowodowaliśmy śmierć naszego dziecka. Nie miałam ochoty spotykać się ze współnikiem w dokonaniu zbrodni. A jeszcze mniej mi się chciało okazywać mu żal, jednoczyć swoje poczucie winy z jego wyrzutami sumienia. Uciekałam od wszystkiego, co mogło mi przypomnieć o tamtym dżdżystym poranku w Lasku Bulońskim. Unikałam wszelkich wspomnień związanych z Jamiem. Wydawało mi się, że dopiero co widziałam, jak podnosi się znad ciała

swej ofiary, a jego twarz promienieje satysfakcją z dokonania zemsty.

Nawet myśl o minięciu się z nim w drzwiach wywoływała okropny skurcz żołądka.

Wówczas powracał duch bólu poronienia. Oparłam pięści na błękitnym, aksamitnym obiciu siedzenia powozu. Wstałam, by złagodzić urojony ucisk kręgosłupa.

Zwróciłam się w stronę okna. Wyrzałam przez nie z nadzieją odpędzenia złych myśli.

Krajobrazy na oślep przemykały mi przed oczami, ale mój nieugięty umysł wciąż powracał do stałych tematów. Nie zmieniało to faktu, że Jamie jest w więzieniu.

A wiedziałam, co to dla niego oznacza. Wspomnienia obmacujących dłoni i kamiennych murów z Wentworth wciąż stanowiły otwartą ranę na jego duszy.

Ale najważniejsza była sprawa Karola i statku płynącego z Portugalii. Pożyczka od pana Duverneya oraz Murtagh, który właśnie ma zabrać statek z Lizbony na spotkanie w pobliżu Orvieto. Zbyt duża stawka, by pozwolić sobie na uleganie emocjom. Gra toczyła się o klany szkockie i cały kraj, o rodzinę Jamiego i jego dzierżawców w Lallybroch, o tysiące mających zginąć pod Culloden w konsekwencji powstania.

Należało więc spróbować. Ale najpierw trzeba było uwolnić Jamiego. Sama nie mogłam się podjąć wykonania całego zadania.

Nie, to nie ulegało kwestii. Musiałam zrobić wszystko, co w mojej mocy, a nawet więcej, by wyswobodzić go z Bastylii.

I cóż ja mogłam uczynić?

Gdy wjeżdżaliśmy w rue du Faubourg St. Honore patrzyłam na żebraków. Błagali o jałmużnę i wyciągali ręce w stronę okien powozu. Kiedy nachodzą nas wątpliwości, powinniśmy szukać pomocy Wyższej Instancji, pomyślałam.

Zastukałam w ściankę za siedzeniem woźnicy. Odsunęła się ze zgrzytem. Ujrzałam wąsatą twarz woźnicy Luizy. Mężczyzna patrzył na mnie z góry pytającym wzrokiem.

– Madame?

– W lewo – rozkazałam. – Do L’Hopital des Anges.

Zadumana matka Hildegarda wystukiwała krótkimi palcami rytm na papierze nutowym, jak gdyby usiłowała zagrać trudny fragment jakiegoś utworu. Siedziała przy mozaikowym stole w swym prywatnym biurze, naprzeciwko Herr Gerstmann, który został wezwany, aby udzielić rady w pewnej pilnej sprawie.

– No, tak – powiedział Gerstmann tonem pełnym wątpliwości. – Przypuszczam, że będę w stanie załatwić prywatną audiencję u Jego Wysokości, ale... Czy jest pani pewna, że pani mąż... – Nadworny muzyk najwyraźniej miał poważne problemy z wysławianiem się, co kazało mi podejrzewać, że poproszenie króla o uwolnienie Jamiego może być nieco bardziej skomplikowane, niż wcześniej sądziłam. Reakcja matki Hildegardy potwierdziła moje obawy.

– Johannes! – wykrzyknęła tak podekscytowana, że porzuciła właściwy sobie, formalny sposób zwracania się do ludzi. – Ona nie może tego zrobić! W końcu madame Fraser nie jest jedną z dam dworu, to cnotliwa osoba!

– Eee... Dziękuję – powiedziałam taktownie. – Proszę mi wybaczyć, ale... nie rozumiem, co tak naprawdę moja cnota ma do rzeczy, jeśli chodzi o spotkanie z królem i prośbę o uwolnienie Jamiego?

Zakonnica i chórmistrz wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

Przerażenie z powodu mojej naiwności przeplatało się z ogólną niechęcią do uświadamiania mnie. W końcu matka Hildegarda zdobyła się na bohaterstwo.

– Jeśli sama poprosisz króla o taką przysługę, będzie oczekiwać, że pójdziesz z nim do łóżka – wyjaśniła bez ogródek. Po wstępnym zwlekaniu z objaśnieniem, nie byłam już tak bardzo zaskoczona odpowiedzią. Spojrzałam na Herr Gerstmanną. Oczekiwałam potwierdzenia. Udzielił mi go w formie niechętnego kiwnięcia głową.

– Jego Wysokość jest czuły na prośby dam, które się odznaczają urokiem osobistym – powiedział delikatnie. Nagle zainteresował się jednym z ornamentów zdobiących biurko.

– Ale taka prośba ma swoją cenę – dodała matka Hildegarda, o wiele mniej delikatnie. – Większość dworzan jest bardzo dumna, że ich żony cieszą się względami króla. Korzyści, jakie czerpią z tego tytułu, o wiele przewyższają wartość cnoty ich żon. – Szerokie usta wykrzywiły się potępiająco na tę myśl, ale zaraz wróciły do zwyczajnej, pełnej smutnego humoru linii.

– James Fraser – ciągnęła dalej – nie wygląda jednak na takiego, który chętnie odgrywa rolę spolegliwego rogowca. – Wysoko uniesione brwi postawiły znak zapytania na końcu tego zdania, więc przecząco pokręciłam

głową.

– Nie sędzę. – Szczerze mówiąc, było to najbardziej rażące niedopowiedzenie, jakie kiedykolwiek słyszałam. Słowo „spolegliwy” znajdowało się na samym dole listy z cechami charakteru Jamiego. Próbowałam wyobrazić sobie, co by pomyślał, powiedział lub zrobił, gdyby się dowiedział, że poszłam do łóżka z innym mężczyzną, włączając w to króla Francji.

Pomyślałam o zaufaniu, jakim darzyliśmy siebie nawzajem niemal od pierwszego dnia naszego małżeństwa. Nagle ogarnęło mnie uczucie osamotnienia. Na chwilę zamknęłam oczy.

– Cóż – odezwałam się i wzięłam głęboki oddech – czy jest jakiś inny sposób?

Matka Hildegarda zmarszczyła brwi. Popatrzyła wymownie na Herr Gerstmann, jak gdyby żądała od niego jakiejś odpowiedzi. Niewielki mężczyzna wzruszył ramionami i zrobił kwaśną minę.

– Czy zna pani jakąś ważną osobistość, która mogłaby się wstawić za pani mężem u Jego Wysokości? – spytał niezobowiązująco.

– Raczej nie. – Już wcześniej, w drodze z Fontainebleau sama przeanalizowałam wszystkie możliwości. Nie przychodził mi do głowy nikt, kogo mogłabym poprosić o spełnienie takiej misji z nadzieją na pozytywny skutek. Pojedynki miały we Francji charakter nielegalny i skandalizujący, więc żaden z naszych francuskich znajomych nie chciałby się mieszać w tę aferę. Monsieur Duverney, który zgodził się ze mną spotkać, był miły, ale nieskory do pomocy. Czekać, tak brzmiała jego

rada. Za kilka miesięcy, gdy skandal trochę przycichnie, może zaistnieje możliwość zbliżenia się do króla. Ale teraz...

tyle od niego usłyszałam.

Podobnie zareagował ksiączę Sandringh, tak bardzo uległy wobec nakazów przyzwoitości i dyplomacji, że zwolnił swą sekretarkę tylko dlatego, że mówiono o niej, iż jest uwikłana w skandal. Nie wypadałoby mu prosić Ludwika o tego rodzaju przysługę.

Spuściłam wzrok i przyglądałam się mozaice, którą był wyłożony blat stołu. Prawie nie dostrzegałam zawikłanych, abstrakcyjnych wzorów. Palcem wskazującym bezmyślnie wodziłam po kwadratach i rowkach. Jeśli naprawdę należało uwolnić Jamiego z więzienia, by uniknąć najazdu szkockich jakobitów, to wydawało się, że muszę tego dokonać bez względu na metody i konsekwencje.

W końcu uniosłam wzrok i napotkałam spojrzenie chórmistrza.

– Będę musiała to zrobić – powiedziałam cicho. – Nie ma innego wyjścia.

Nastąpiła chwila milczenia. Potem Gerstmann zerknął na matkę Hildegardę.

– Zostaniesz tutaj – stanowczo oświadczyła zakonnica. – A ty, Johannes, jak już wszystko załatwisz, możesz przysłać tu posłańca z wyznaczoną godziną audiencji.

– W końcu – zwróciła się do mnie – jeśli już jesteś zdecydowana na podjęcie tego kroku, moja droga przyjaciółko... – Mocno zacisnęła usta. Po chwili milczenia

dodała: – Może to grzech wspierać kogoś w dokonaniu niemoralnego czynu, ale bardzo pragnę ci pomóc. Wiem, że twoje motywy są słuszne. Być może łaska twojej przyjaźni przewyższy ciężar tego grzechu.

– Och, matko! – Czułam, że za chwilę się rozplaczę, jeśli wypowiem chociaż jedno słowo więcej, więc zadowoliliśmy się uściśnięciem spracowanej, wielkiej dłoni, która spoczywała na moim ramieniu. Nagle zapragnęłam wtulić się w jej ramiona i przyłgnąć twarzą do czulej piersi, okrytej czarną serżą, ale zakonnica zdjęła dłoń z mego ramienia i przeniosła ją na długi strumień różańca przy fałdach habitu.

– Będę się za ciebie modlić – powiedziała i obdarowała mnie smutnym uśmiechem.

Wyraz jej twarzy nagle się zmienił. Teraz wyrażał głęboką zadumę. – Zastanawiam się tylko – dodała medytacyjnym tonem – do którego z świętych można by odwołać się w takich okolicznościach...

Kiedy wkładałam przez głowę suknię z wąskim dekoltem i uniosłam złożone jak do modlitwy ręce, przyszła mi na myśl Maria Magdalena. Albo Mata Hari. Nie, ona nigdy nie trafi do kalendarza świętych. Nie byłam pewna, czy Marii Magdalenie spodobałby się mój postępek, ale wydawało mi się, że nawrócona cudzołożnica jest jedyną osobą z całego zastępu niebieskiego, która może mnie zrozumieć.

Zgromadzenie Sióstr od Aniołów chyba nigdy wcześniej nie widziało, żeby ktoś w ten sposób się ubierał. Postulantki jako oblubienice Chrystusa były przed złożeniem ślubów wieczystych jak najwspaniałej

ozdobione, ale żadna nie miała na sobie czerwonego jedwabiu ani białego „proszku ryżowego”.

Gdy bogato marszczona, szkarłatna suknia z trudem przechodziła przez zwróconą do góry twarz, pomyślałam o symbolicznie stroju. Biel oznacza czystość, natomiast czerwień...

Nieważne. Do pomocy przy mojej toalecie została wybrana siostra Minerwa, młoda zakonnica pochodząca z bogatej rodziny szlacheckiej. Pewną, umiejętną ręką uczesała mi włosy i wsunęła w nie pióro strusie ozdobione perełkami. Małą, grafitową szczoteczką starannie uczesała i poczerniła moje brwi, potem pomalowała usta piórem, zanurzonym w słoiczku ze szminką. Usta swędziały mnie niemiłosiernie od warstwy barwionego tłuszczu. Nachodziły mnie niepokonane wybuchy chichotu. Ale to nie był śmiech, tylko histeria.

Siostra Minerwa sięgnęła po małe lustro. Powstrzymałam ją zdecydowanym gestem. Nie chciałam patrzeć sobie w oczy. Wzięłam głęboki oddech i pokiwałam głową.

– Jestem gotowa – powiedziałam. – Proszę posłać po karetę.

Nigdy przedtem tak daleko nie zapuszczałam się w pałacowe wnętrza. Przeszłam niezliczone odcinki oświetlonych świecami, krętych korytarzy pełnych lusterek. W końcu nie byłam już pewna, w ilu osobach tam się zjawiłam ani w którą stronę poszła każda z nich.

Dyskretny i anonimowy osobisty lokaj króla zaprowadził mnie do królewskiej alkowy.

Raz zapukał, skłonił się w moją stronę, obrócił się i

odszedł bez słowa. Zdobione małymi płycinami drzwi usunęły się sprzed mego nosa, weszłam do środka.

Król był w spodniach. Ta świadomość sprawiła, że moje serce nieco się uspokoiło i pozbyłam się uczucia, że za chwilę zwymiotuję.

Nie wiedziałam dokładnie, czego się spodziewam, ale rzeczywistość nieco podniosła mnie na duchu. Ludwik miał na sobie nieformalny strój – koszulę. Na ramiona zarzucił szlafrok z brązowego jedwabiu, który chronił go przed chłodem. Jego Wysokość uśmiechnął się i wziął mnie pod rękę. Nalegał, bym wstała. Podświadomie oczekiwałam, że jego dotyk będzie wilgotny i zimny. Dłoń monarchy okazała się ciepła.

Odwzajemniłam uśmiech najlepiej, jak tylko potrafiłam.

Chyba jednak niezbyt dobrze mi to wyszło, bo życzliwie poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

– Proszę się mnie nie bać, *chere* madame. Nie gryzę.

– Nie – mruknęłam. – Oczywiście, że nie.

Był o wiele bardziej zrównoważony niż ja. Pomyślałam, że nic dziwnego. Przecież przez cały czas robi takie rzeczy. Wzięłam głęboki oddech i usiłowałam się rozluźnić.

– Napije się pani wina, madame? – spytał. Byliśmy sami, bez żadnych służących, ale wino zostało już rozlane do dwóch pucharów, które stały na stole i połyskiwały w świetle świec jak rubiny. Komnata była niewielka, ale bogato zdobiona. Oprócz stołu i dwóch krzeseł o owalnych oparciach znajdował się tam tylko szeszlong luksusowo

obity zielonym aksamitem. Staralam się nie patrzeć na ten mebel.

Wymamrotałam słowa podziękowania i wzięłam kielich.

– Niech pani usiądzie. – Ludwik rozsiadł się wygodnie na jednym z krzeseł i wskazał ręką drugie. – A teraz proszę mi powiedzieć, co mogę dla pani zrobić. – Uśmiechnął się zachęcająco.

– M-m-mój mąż – zaczęłam, trochę się jękając z nerwów – jest w Bastylii.

– Oczywiście – mruknął król. – Za pojedynkowanie się. Przypominam sobie. – Wziął moją wolną rękę w swą dłoń. Jego palce lekko mnie głaskały. – Co by pani chciała, żebym uczynił, *chere madame*? Wie pani, że to poważne oskarżenie. Pani mąż naruszył mój własny dekret. – Jednym palcem pieścił wewnętrzną stronę mojego nadgarstka. W całym ramieniu poczułam łaskotanie.

– T-t-tak, rozumiem. Ale on został... sprowokowany. – Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. – Wasza Wysokość wie, że on jest Szkotem, a mężczyźni z tego kraju są... – szukałam w myślach odpowiedniego synonimu dla słowa „dzikus” – bardzo zacierzewieni, gdy w grę wchodzi kwestia ich honoru.

Ludwik pokiwał głową i pochylił ją nad moją ręką. Udawał, że mnie słucha.

Zauważyłam lekki, trusty połysk na jego skórze. Czulałam zapach perfum. Fiołki. Silny, słodki zapach. Mimo wszystko nie wystarczająco mocny, by zabić drażniącą, męską woń.

Dwoma przeciągłymi łykami król opróżnił puchar i

odstawił go, dzięki czemu mógł zamknąć moją rękę w obu dłoniach. Miałam krótko obcięte paznokcie. Na jednym z palców widniała obrączkaślubna z przeplatanyimi kółeczkami i kwiatami ostu.

– O, tak... – powiedział, przyciągając moją rękę do siebie, jak gdyby chciał się bliżej przyjrzeć obrączce. – Zgadza się, madame. Jednak...

– Byłabym... niezmiernie zobowiązana, Wasza Wysokość – przerwałam. Uniósł głowę. Nasze spojrzenia się spotkały. Jego oczy były ciemne i figlarne. Serce mi w piersiach waliło jak młotem. – Niezmiernie... wdzięczna.

Miał cienkie wargi i popsute zęby. Czułam oddech cuchnący cebulą i próchnicą.

Próbowałam nie oddychać, ale to rozwiązanie starczyło zaledwie na krótką chwilę.

– Cóż... – powiedział rozwlekle, z namysłem. – Jeśli chodzi o mnie, to skłonny byłbym okazać mu łaskę, madame...

Przestałam wstrzymywać oddech i gwałtownie wciągnęłam powietrze. Jego palce ostrzegawczo zacisnęły się na moich.

– Widzi pani, są pewne komplikacje.

– Komplikacje? – powtórzyłam zrezygnowana.

Pokiwał głową wpatrzony w moją twarz. Jego palce błądziły swobodnie po wewnętrznej stronie nadgarstka, wyczuwając żyły.

– Anglik, który miał to nieszczęście obrazić milorda Brocha Tuaracha – wyjaśnił – pracował dla... ważnej osobistości, angielskiego lorda posiadającego wielkie znaczenie polityczne.

Księżę Sandringham. Serce zamarło mi na wzmiankę o nim, mimo że nie była bezpośrednia.

– Ten szlachetnie urodzony Anglik jest zaangażowany w... pewne negocjacje, które upoważniają go do godnego traktowania z naszej strony. – Wąskie usta uśmiechnęły się, uwydatniając królewski, orli nos. – Wspomniany szlachcic osobiście zainteresował się kwestią pojedynku pomiędzy pani mężem i kapitanem Randallem. Wydaje się bardzo nieustępliwy. Żąda, by pani mąż wycierpiał pełną karę za stosowanie niewłaściwych środków do zdobycia celu, madame.

Szelma, pomyślałam. Oczywiście. Jamie odmówił łapówki w postaci amnestii, więc jaki byłby lepszy sposób powstrzymania go przed „osobistym zaangażowaniem się” w sprawę Stuartów niż bezpieczne zamknięcie w Bastylii na następnych kilka lat?

Metoda pewna, dyskretna i tania – w stylu księcia.

Ludwik wciąż ciężko oddychał tuż przy mojej ręce, co przyjął za dobrą monetę.

Gdyby nie zamierzał spełnić mojej prośby, nie mógłby też oczekiwać, że pójdę z nim do łóżka. A gdyby nawet... czekałaby go przykra niespodzianka.

Postanowiłam wziąć się w garść i spróbować ponownie.

– Czy Wasza Wysokość przyjmuje rozkazy od Anglików? – spytałam odważnie.

Oczy Ludwika otworzyły się szeroko w chwilowym szoku. Potem uśmiechnął się ironicznie. Zrozumiał, do czego zmierzam. Ale wiedziałam, że trafiłam w jego czuły punkt. Widziałam lekkie drgnienie jego ramion, gdy w

myślach zarzucał na plecy płaszcz imperatora.

– Nie, madame. Nie przyjmuję rozkazów od nikogo – odpowiedział, nieco oschle. – Ale tak czy inaczej muszę brać pod uwagę... różne czynniki. – Na moment jego powieki ciężko opadły, ale wciąż trzymał moją dłoń. – Słyszałem, że pani mąż interesuje się sprawami Karola Stuarta.

– Wasza Wysokość jest dobrze poinformowany – powiedziała grzecznie. – Ale jeśli tak, to pewnie doniesiono również Waszej Wysokości, że mój mąż nie należy do zwolenników powrotu Stuartów na tron Szkocji. – Modliłam się, żeby właśnie to stwierdzenie chciał usłyszeć król.

Najwyraźniej trafiłam. Uśmiechnął się, podniósł moją dłoń do swych ust i złożył na niej krótki pocałunek.

– O? Dotarły do mnie sprzeczne opowieści na temat pani męża.

Wzięłam głęboki oddech i powstrzymałam odruch wyrwania z uścisku króla.

– Cóż, to kwestia interesów – wyjaśniłam. Staralam się, żeby mój głos zabrzmiał jak najbardziej rzeczowo. – Kuzyn mojego męża, Jared Fraser, jest zagorzałym jakobitą.

Jamie, mój mąż, jako wspólnik Jareda nie może pozwolić na ujawnienie swych prawdziwych poglądów. – Wątpliwości Ludwika rozwiewały się powoli, więc przyspieszyłam nadejście pionty. – Proszę zapytać monsieur Duverneya – poradziłam. – Jest najlepiej poinformowany o prawdziwych sympatiach mego męża.

– Pytałem. – Ludwik zamilkł na dłuższą chwilę,

wpatrując się we własne palce, ciemne i pulchne, delikatnie kreślące kółka na wewnętrznej stronie mojej ręki. – Taka bardzo bladziutka – mruknął. – Jedwabista. Prawie widać, jak krew krąży pod skórą.

Puścił moją rękę i siedział w milczeniu wpatrzony we mnie. Miałam dobrze rozwiniętą umiejętność czytania z ludzkich twarzy, ale oblicze Ludwika w tamtej chwili było wyjątkowo nieprzeniknione. Nagle sobie uświadomiłam fakt, że został królem w wieku pięciu lat. Zdolność skrywania myśli w równym stopniu stanowiła część jego osoby, co nos Burbonów czy senne, czarne oczy.

Ta myśl pociągnęła za sobą następną. Nagle poczułam chłodny skurcz na dnie żołądka. Jest królem, rozważałam. Przez czterdzieści lat będzie we Francji sprawować władzę absolutną. Jedno jego słowo może spowodować uwolnienie bądź zabicie Jamiego.

Może zrobić ze mną, co zechce. Jedno skinienie jego głowy i skarbcze Francji mogłyby wysypać złoto, które poderwie Karola Stuarta do boju i pošle go jak anioła śmierci w samo serce Szkocji, gdzie „kosa” bez litości zbierze przebogate żniwo.

Był wszechwładnym królem. Wpatrywałam się w jego czarne oczy, zamglone jakąś myślą. Czekałam, drżąc, aż ujawni swą królewską wolę.

– Proszę mi powiedzieć, *ma chere* madame – przemówił w końcu, wynurzając się z obłoku zamyślenia. – Gdybym rzeczywiście uwolnił pani męża... – urwał, rozważając tę możliwość.

– Tak?

– Musiałby wyjechać z Francji – dokończył Ludwik

i ostrzegawczo uniósł jedną brew.

– Taki byłby warunek jego zwolnienia.

– Rozumiem. – Moje serce biło tak mocno, że nieomal zagłuszało jego słowa.

Ostatecznie nie chodziło mi o nic innego, jak tylko... dokładnie o to, by Jamie mógł wyjechać z Francji. – Ale przecież jest wygnany ze Szkocji...

– Sądzę, że można to załatwić.

Zawahałam się, ale nie miałam wyboru. Musiałam się zgodzić się w imieniu Jamiego.

– W porządku.

– Świetnie. – Król pokiwał głową zadowolony. Potem znów zaczął mi się przyglądać.

Jego wzrok spoczął na mojej twarzy, ześlizgnął się na szyję, piersi, całe ciało. – Prosiłbym panią o małą usługę w zamian, madame – powiedział cicho.

Spojrzałam z ukosa w jego oczy, ale natychmiast zreflektowałam się i pokornie spuściłam głowę.

– Jestem do całkowitej dyspozycji Waszej Wysokości – odparłam.

– Ach. – Wstał z krzesła, zdjął szlafrok i niedbale rzucił go na oparcie krzesła.

Uśmiechnął się i wyciągnął dłoń w moją stronę. – *Tres bien, ma chere** [*Doskonale, moja droga.]. W takim razie, proszę pójść ze mną.

Na krótko zamknęłam oczy. Usiłowałam zmusić kolana do posłuszeństwa. Na litość Boską, dwukrotnie byłaś mężatką, strofowałam siebie. Nie rób z tego takiego problemu.

Wstałam i wzięłam monarchę za rękę. Ku memu

zaskoczeniu nie zwrócił się w stronę aksamitnego szezlongu. Poprowadził mnie do drzwi, które znajdowały się w odległej części komnaty.

Gdy puścił moją dłoń i otworzył drzwi, doznałam nagłego olśnienia. Odzyskałam poczucie rzeczywistości.

Przeklęty Jamie Fraserze, pomyślałam. Niech cię wszyscy diabli!

Stałam w progu, mrugając oczami. Moje rozważania na temat królewskiego protokołu zdejmowania ubrania zmieniły się w zwykłe zaskoczenie.

W pokoju panował półmrok. Paliły się jedynie liczne małe lampy olejowe, ustawione w gromadkach po pięć we wnękach ścian komnaty. Zarówno sam pokój był okrągły, jak i stojący na jego środku ogromny stół, połyskujący drobnymi odbiciami twarzy. Przy stole siedzieli ludzie. Dostrzegłam tylko schylone, ciemne kształty.

Wewnątrz pobrzmiwały konspiracyjne półszepoty, jednak pojawienie się króla natychmiast je uciszyło. Kiedy moje oczy nieco przyzwyczaiły się do ciemności, doznałam szoku. Ludzie zebrani wokół stołu mieli na głowach kaptury. Najbliżej siedzący mężczyzna obrócił się w moją stronę. Przez dziury w aksamicie dojrzałam ledwie widoczny błysk oka. Wyglądało to na zgromadzenie katów.

Najwyraźniej byłam honorowym gościem. Przez pełną napięcia chwilę zastanawiałam się, jaka jest tam moja rola. Sugestie Raymonda i Małgorzaty wywołały w mojej głowie koszmarne wizje okultystycznych ceremonii, w których składano niemowlęta na stosach ofiarnych, dokonywano gwałtu i wszelkich innych praktyk

satanistycznych. Jednak pocieszałam się myślą, że zjawiska paranormalne omijają pałace królewskie, a ta sytuacja nie jest wyjątkiem.

– Słyszeliśmy o pani niezwykłych zdolnościach, madame. Słynie pani z...– Ludwik uśmiechnął się, ale w jego oczach zobaczyłam cień lęku, jakby nie był do końca pewien, na co mnie stać. – Bylibyśmy bardzo zobowiązani, droga madame, gdyby tego wieczoru zechciałyby pani podzielić się z nami swymi umiejętnościami.

Pokiwałam głową. Cóż, tym lepiej, pomyślałam. Chciałam, by czuł się wobec mnie zobowiązany. Ale czego on ode mnie oczekiwał? Jakiś lokaj zapalił ogromną, woskową świecę na stole i oświetlił pomieszczenie. Smuga ciepłego światła padła na lakierowane drewno. Świeca była udekorowana tymi samymi symbolami, które zdobiły tajemną komnatę mistrza Raymonda.

– Proszę spojrzeć, madame. – Król wziął mnie pod rękę i skierował moją uwagę na obiekty za stołem. Teraz, kiedy paliła się świeca, widziałam dwie postacie, stojące cicho wśród drgających cieni. Przypatrywałam się im uważnie. Ręka króla zacisnęła się na moim ramieniu.

Obok siebie stali hrabia St. Germain i mistrz Raymond. Dzielili ich odległość mniejsza niż dwa metry. Raymond nie zdradził się żadnym gestem, że mnie rozpoznał.

Tkwiał nieruchomo, wpatrując się z ukosa żabimi oczami bez źrenic w bezdenną studnię.

Hrabia mnie zauważył i z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy. Potem skrzywił się na mój widok. Był ubrany, jak zwykle, w swój najświetniejszy jasny strój:

biały, wykrochmalony płaszcz z satyny okrywał kremową, jedwabną kamizelkę i spodnie.

Wielokształtne rzędy drobniutkich perełek połyskujące w świetle świecy zdobiły mankiety i klapy. Wobec przepychu błyszczącego obok i tak prezentował się raczej blado.

Miał twarz ściągniętą zdenerwowaniem, korona u jego koszuli obwisła, a kołnierz pociemniał od potu.

Raymond – przeciwnie. Wyglądało na to, że czuje się jak ryba w wodzie. Stał ze stoickim spokojem, skrzyżowane dłonie miał wsunięte w rękawy, jak zwykle brudnej, aksamitnej tuniki. Szeroka, płaska twarz była pogodna i nieprzenikniona.

– Ci dwaj mężczyźni są oskarżeni – powiedział Ludwik i wskazał Raymonda i hrabiego – o uprawianie czarów, magii, perwersji, o nadużycie legalnych źródeł wiedzy do poszukiwań w dziedzinie sztuk tajemnych. – Mówił chłodnym, groźnym tonem. – Tego rodzaju praktyki uprawiano za rządów mojego dziadka. Ale w naszym królestwie nie będziemy tolerować niegodziwości.

Palcem wskazał jedną z postaci w kapturach, przed którą dostrzegłam pióro, atrament i plik dokumentów.

– Proszę przeczytać akt oskarżenia – rozkazał łagodnie.

Człowiek w kapturze posłusznie wstał i zaczął czytać. Dokument zawierał oskarżenie o bestialstwo i składanie plugawych ofiar, przelewanie krwi niewinnych, profanację najświętszych obrzędów mszy przez zbezczeszczenie hostii, uprawianie amatorskich rytuałów na ołtarzu w kościele. Przypomniało mi się uzdrawianie

mnie przez mistrza Raymonda w L'Hopital des Anges. Poczułam niezmierną wdzięczność za to, że nikt go wtedy nie zauważył.

Gdy usłyszałam nazwisko du Carrefours, nagle coś mnie ścisnęło za gardło. Co mówił pastor Laurent? Czarownik du Carrefours został spalony w Paryżu dwadzieścia lat temu na podstawie nie innych oskarżeń niż te, które słyszałam:

– Wzywanie demonów i sił ciemności, wywoływanie chorób i zgonów za pieniądze. – Na wspomnienie gorzkiej kory szakłaku przycisnęłam rękę do brzucha. – Rzucanie czarów na dworzan, defloracja dziewczyc. – Kątem oka zerknęłam na hrabiego. Jego twarz przypominała maskę. Słuchał z zaciśniętymi ustami.

Raymond stał prawie nieruchomo. Srebrne włosy dotykały ramion. Wyglądał tak, jakby słyszał coś tak błahego jak śpiew drozda w gęstwinie drzew. Widziałam kabalistyczne symbole w jego gabinecie, ale trudno mi było sobie wyobrazić, żeby człowiek, którego znałam – litościwy truciciel, praktyczny aptekarz – miał coś wspólnego z nikczemnymi praktykami wypisanymi na liście.

W końcu nadszedł kres oskarżeń. Człowiek w kapturze zerknął na króla. Otrzymał znak ręką i ponownie usiadł na krzesło.

– Przeprowadzono szczegółowe śledztwo – zwrócił się do mnie król. – Przedstawiono dowody, spisano zeznania wielu świadków. Wydaje się oczywiste... – chłodnym spojrzeniem obrzucił dwóch oskarżonych magów – że obaj mężczyźni zapoznawali się z pismami

starożytnych filozofów. Dzięki nim opanowali sztukę wróżenia, wykorzystując obliczenia i znajomość ruchów ciał niebieskich. Jednak... – Wzruszył ramionami. – To jeszcze nie jest przestępstwo. Jestem skłonny zrozumieć – spojrzał na najwyższego człowieka w kapturze, prawdopodobnie biskupa Paryża – że korzystanie ze starożytnych ksiąg nie musi się kłócić z nauczaniem Kościoła. Nawet błogosławiony święty zgłębiał tajemnice astrologii.

Nie kojarzyłam sobie postaci świętego Augustyna z dociekaniem w dziedzinie astrologii. Raczej byłam skłonna z pogardą odrzucić tę ciekawostkę jako stek bzdur.

Wątpiłam, czy Ludwik czytał Wyznania Augustyna. Jednak argumenty króla stanowczo sprzyjały oskarżonym o praktyki magiczne. Zerkanie w gwiazdy wydawało się całkowicie nieszkodliwe w zestawieniu ze składaniem niemowląt na ołtarzu ofiarnym czy ohydnyymi orgiami.

Pełna obaw zaczęłam się zastanawiać, co ja właściwie robię wśród zakapturzonych mężczyzn. Może jednak ktoś widział mistrza Raymonda przy mnie w szpitalu?

– Nie mamy nic przeciwko właściwemu wykorzystaniu wiedzy ani poszukiwaniu mądrości – kontynuował spokojnym tonem król. – Wiele wartościowych rzeczy można wyczytać z pism dawnych filozofów, o ile podchodzili oni do tych kwestii z odpowiednią ostrożnością i uniżeniem ducha. Ale prawdą jest również, że wiele zła można odkryć w starożytnych księgach. Czyste poszukiwanie wiedzy często bywa wypaczone żądzą władzy i pieniędzy, ziemskimi pokusami.

Król wymownie spojrzął to na jednego, to drugiego z domniemanych czarowników, przez co wyraźnie zasugerował, że właśnie te dwie osoby są najbardziej skłonne do tego rodzaju zbrodni. Hrabia wciąż się pociał. Na białym, jedwabnym płaszczu widniały ciemne, mokre plamy.

– Wasza Królewska Mość! – wykrzyknął, odrzucając do tyłu czarne włosy, i utkwiał palące spojrzenie w mistrza Raymonda. – To prawda, że na tym świecie grasują ciemne siły, a ohyda, o której mowa, przebywa wśród nas! Ale taka nikczemność nie mieszka w piersi jednego z najbardziej lojalnych poddanych Waszej Wysokości. – Żeby nikt nie wątpił, o kogo chodzi, wskazał ręką swą pierś. – Nie, Wasza Miłość! Wypaczenia wiedzy i wykorzystania zakazanych sztuk należałoby szukać poza własnym dworem. – Nie oskarżał bezpośrednio mistrza Raymonda, ale kierunek jego spojrzenia mówił sam za siebie.

Król nie zareagował na ten wybuch.

– Takie obrzydliwe praktyki zdarzały się za rządów mojego dziadka – powiedział cicho. – Staraliśmy się je wykorzystać ze wszystkich miejsc, w których zostały wykryte.

Zniszczyliśmy groźbę tego typu zła w naszym królestwie. Magowie, czarownice, ci, którzy zniekształcają naukę Kościoła... Panowie, nie dopuścimy do tego, by ta zaraza znów się rozprzestrzeniła.

– Więc... – Obiema dłońmi lekko uderzył w stół i wyprostował się. Wciąż wpatrując się w Raymonda i hrabiego, wyciągnął rękę w moją stronę.

– Przeprowadziliśmy świadka – stwierdził. –
Wiarygodnego sędziego prawdy, o czystym sercu.

Zaczęłam chrząkać. Król zerknął na mnie lękliwie.

– Biała Dama – szepnęła. – Biała Dama nie może
kłamać. Widzi serce i duszę ludzką, może wykorzystać tę
prawdę do czegoś dobrego... albo do destrukcji.

Atmosfera nierzeczywistości, która wisiała nad
tamtym wieczorem, prysła jak bańka mydlana. Lekkie
zawirowanie wywołane kielichem wina minęło. Nagle
wyrzeźwiałam i zaczęłam chłodno, logicznie rozumować.
Otworzyłam usta, ale natychmiast je zamknęłam. Zdałam
sobie sprawę, że dokładnie nic nie mogę powiedzieć.

Gdy król wydawał dyspozycje, przez moje plecy
przemknął wąż przerażenia i zwinął się w brzuchu. Ludwik
kazał narysować dwa pentagramy, w których mieli stanąć
czarownicy, żeby przedstawić wyjaśnienie swoich czynów i
motywów. Do Białej Damy należał osąd prawdziwości ich
słów.

– Chryste – mruknęłam półszepsem.

– Hrabio? – Król wskazał ręką pierwszy pentagram,
narysowany kredą na dywanie.

Tylko ktoś, kto urodził się w pałacu, mógł tak
potraktować oryginalnego Aubussona.

St. Germain niemal się o mnie otarł, gdy zmierzał
do wyznaczonego miejsca.

Przechodząc obok, zdążył szepnąć:

– Ostrzegam, madame. Nie działam w pojedynkę. –
Stanął w swoim pentagramie, zwrócił twarz w moją stronę i
posłał mi ironiczny ukłon. Niezbyt dobrze udawał
opanowanie.

Sugestia była oczywista. Potępiłam hrabiego, a w związku z tym jego pacholek wkrótce pojawi się na horyzoncie, by odciąć moje brodawki piersiowe i spalić magazyn Jareda. Polizałam spierzchnięte usta, przeklinając Ludwika. Dlaczego po prostu nie chciał mojego ciała?

Raymond ostrożnie wstąpił we własną, nakreśloną kredą przestrzeń i życzliwie pokiwał głową w moją stronę. W jego okrągłych, czarnych oczach nie dojrzałam żadnej wskazówki.

Nie miałam najmniejszego pojęcia, co powinnam robić. Król kazał mi stanąć pomiędzy dwoma pentagramami. Mężczyźni w kapturach wstali z miejsc i ustawili się za królem. Przerazający tłum bez twarzy.

Zapanowała absolutna cisza. Dym świecy zawisł jak całun pod złoconym sufitem.

Szare smugi płynęły ociężale, wiedzione prądami powietrza. Wszystkie oczy były utkwione we mnie. W końcu desperacko zwróciłam się do St. Germaina.

– Proszę zaczynać, hrabio – powiedziałam.

Zrobił grymas, który prawdopodobnie miał być uśmiechem, i zaczął od przedstawienia genezy kabały. Potem przeszedł do wyjaśniania wspaniałej symboliki dwudziestu trzech liter hebrajskiego alfabetu. Było to akademickie, zupełnie niewinne i bardzo nudne gadanie. Król ziewnął. Nawet nie zadał sobie trudu, by zakryć buzię.

Kiedy hrabia mówił, w myślach rozpatrywałam różne możliwości. St. Germain groził mi i zaatakował mnie, usiłował zamordować Jamiego – nieważne, czy podjął się tego z pobudek osobistych, czy politycznych. Niewykluczone, że był przywódcą bandy gwałcicieli,

k którzy zasadzili się na mnie i Mary. Oprócz tego stanowił główne zagrożenie dla powodzenia akcji powstrzymania Karola Stuarta. Miałam go uwolnić? Pozwolić dalej wywierać wpływ na króla w imieniu Stuartów? Dopuścić do tego, by kontynuował włóczenie się o zmroku po ulicach Paryża ze swą bandą zamaskowanych zbirów?

Na moim całym ciele pojawiła się gęsia skóra. Szybko wzięłam się w garść i mimo lęku spojrzałam hrabiemu w twarz.

– Chwileczkę – powiedziałam. – Wszystko, co pan do tej pory powiedział, jest prawdą, monsieur, ale za pana słowami kryje się jakiś cień.

Hrabia bezwiednie otworzył usta. Ludwik ożywił się nagle i wyprostował plecy.

Zamknęłam oczy. Położyłam palce na powiekach, jak gdybym kierowała spojrzenie w głąb siebie.

– W pańskich myślach widzę wypisaną nazwę, hrabio – oświadczyłam. Z trudem łapałam oddech i dławiałam się ze strachu, ale nie umiałam temu zaradzić. Opuściłam ręce i spojrzałam wprost na St. Germaina. – *Les Disciples du Mal* – wyrzekłam. – Co pan ma wspólnego z apostołami zła, monsieur?

Naprawdę nie miał talentu do skrywania emocji. Wytrzeszczył oczy i zbladł. Pod warstwą strachu poczułam odrobinę satysfakcji.

Nazwa *Les Disciples du Mal* była również znana królowi. Senne, czarne oczy nagle zwęziły się do małych szparek.

Może hrabia był oszustem, szarlatanem, ale nie tchórzem. Zebrał całą swą odwagę, obrzucił mnie pełnym

nienawiści spojrzeniem i odchylił głowę do tyłu.

– Ta kobieta kłamie – stwierdził z taką samą pewnością tego, co mówi, jaka towarzyszyła jego wyjaśnieniu znaczenia litery alfa, która w kabale jest symbolem Krwi Chrystusa. – To nie jest prawdziwa Biała Dama, ale służebnica szatana! Pozostaje w zмовie ze swoim mistrzem, zawodowym czarownikiem, który praktykował u du Carrefoursa! – Dramatycznym gestem wskazał Raymonda. Zielarz wyglądał na trochę zaskoczonego.

Jeden z ludzi w kapturach przeżegnał się. Z tłumu cieni dobiegł mnie cichy szept modlitwy.

– Mogę udowodnić swoje słowa – zadeklarował hrabia, nie pozwalając nikomu dojść do głosu. Sięgnął za pazuchę płaszcza. Przypomniałam sobie sztylet, który wtedy, na przyjęciu, wyjął z rękawa. Zamarłam z przerażenia. Jednak to, co wyjął, nie przypominało żadnej broni.

– Biblia mówi, że: „Będą brać węże do ręki i nic złego im się nie stanie” – zagrzmiał.

– „Po tych znakach poznacie prawdziwe sługi Boże!* [*Tym zaś, którzy uwierzą, te znaki towarzyszyć będą: (...) węże brać będą do rąk i, jeśli by co zatrutego wypili, nie będzie im szkodzić” (Mk 16,18).]”.

Pomyślałam, że wyjął prawdopodobnie małego pytona. Obiekt miał prawie metr długości i gładką, błyszcząca skórę, połyskującą złotem oraz brązem. Był śliski i związał się jak naoliwiona lina z parą niepokojących, żółtych oczu.

Jego ukazaniu się towarzyszył zgodny chór cichych

okrzyków przerażenia. Sam Ludwik był bardziej niż trochę zaskoczony. Zaczął rozpaczliwie rozglądać się dokoła w poszukiwaniu strażnika, który stał z wytrzeszczonymi oczami przy drzwiach komnaty.

Waż parę razy wysunął język, jakby kosztował smaku powietrza. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że mieszanka wosku i kadzidła nie nadaje się do jedzenia. Odwrócił się i usiłował z powrotem zakopać w ciepłej kieszeni, z której tak okrutnie go wyciągnięto. Hrabia po mistrzowsku chwycił gada z tyłu głowy i wypchnął w moją stronę.

– Widzicie panowie? – zakrzyknął triumfalnie. – Ta kobieta ucieka ze strachu! Jest czarownicą!

Prawdę mówiąc w porównaniu z jednym z sędziów, który przytulał się do najdalszej ściany, byłam uosobieniem hartu ducha, ale mimo wszystko odruchowo wykonałam krok w tył na widok węża. Po chwili znów postąpiłam o krok do przodu i zamierzałam wziąć gada z rąk St. Germaina. Tak czy inaczej, to cholerne zwierzę nie było jadowite. Możliwe, że przekonalibyśmy się, jak jest nieszkodliwe, gdybym zawiązała je wokół szyi hrabiego.

Jednak zanim do niego doszłam, zza moich pleców zabrzmiał głos Raymonda.

W całym zamieszaniu prawie zapomniałam o mistrzu.

– Nie tylko to powiada Biblia, monsieur – zauważył gnomowaty zielarz. Mówił spokojnie, szeroka, żabia twarz była słodka jak budyń. Szmer ucichł. Król obrócił się w naszą stronę, by słuchać.

– Tak, monsieur? – odezwał się Jego Wysokość.

Raymond skinął głową w podzięcie za pozwolenie zabrania głosu sięgnął do kieszeni.

Z jednej wyjął płaską flaszkę, z drugiej małą filiżankę.

– „Węże brać będą do rąk i, jeśliby co zatrutego wypili, nie będzie im szkodzić”. – Na wyciągniętej dłoni trzymał filiżankę. Srebrna obwódka połyskiwała w świetle świec.

W powietrzu zalśniła flaszka przygotowana do wylania zawartości.

– W związku z tym, że oboje: milady Broch Tuarach i ja, zostaliśmy oskarżeni – kontynuował Raymond, zerkając na mnie – proponuję, byśmy troje poddali się temu testowi. Oczywiście za przyzwoleniem Waszej Wysokości?

Ludwik wyglądał na bardzo zaskoczonego tak szybkim rozwojem wydarzeń, ale skinął głową. Cieniutka struga bursztynowej cieczy wpłynęła do filiżanki. Płyn natychmiast poczerwieniał i zaczął pokrywać się na powierzchni pianą, jak gdyby wrzał.

– Krew smoka – poinformował Raymond, falując dłonią nad filiżanką. – Absolutnie nieszkodliwa dla czystych dusz. – Podał mi naczynko, bezzębnym uśmiechem ośmielając do wzięcia.

Cóż było robić? Należało wypić miksturę. Krew smoka okazała się jakimś dwutlenkiem sodu. Smakowała jak brandy z dodatkiem wody sodowej. Upiłam trzy średniej wielkości łyki i oddałam naczynie Raymondowi.

Mistrz również z namaszczeniem wypił odrobinę cieczy. Odjął od ust filiżanką, ukazując zabarwione na

różowo usta, i zwrócił się do króla.

– Czy można poprosić Białą Dame o podanie napoju hrabiemu? – spytał. Wskazał ręką narysowane kredą linie u swych stóp, by zaznaczyć, że nie wolno mu wyjść poza ochronne pole pentagramu.

Król pokiwał głową. Wzięłam filiżankę i mechanicznie zwróciłam się w stronę St.

Germaina. Uczyniłam pierwszy krok, potem następny, a kolana drżały mi bardziej niż wtedy, gdy znajdowałam się sam na sam z królem w jego alkowie.

Biała Dama widzi prawdziwą naturę człowieka. Czy rzeczywiście to potrafiłam? Czy naprawdę tak wiele wiedziałam o Raymondzie albo St. Germainie?

Czy mogłam powstrzymać bieg wydarzeń? To pytanie zadawałam sobie setki, tysiące razy – już po fakcie. Czy mogłam postąpić inaczej?

Przypomniała mi się błędna myśl, która zaprzętała mi głowę podczas spotkania z Karolem Stuartem: jaką zbawienną okolicznością dla reszty świata byłaby jego przedwczesna śmierć. Ale nie wolno zabić człowieka z powodu jego przekonań, nawet jeśli ich urzeczywistnienie wiąże się ze śmiercią niewinnych. A może wolno?

Nie wiedziałam, że hrabia jest winny, nie wiedziałam, że Raymond jest niewinny. Nie wiedziałam, czy pogoń za szlachetnym celem usprawiedliwia nieszlachetne środki. Nie wiedziałam, ile jest warte jedno życie, a ile – tysiąc istnień. Nie znałam rzeczywistej ceny zemsty.

Ale byłam pewna, że filiżanka, którą trzymałam w dłoni, to śmierć. Biały kryształ wisiał dokoła szyi, swoim

ciężarem przypominał mi o truciźnie. Nie zauważyłam, żeby Raymond cokolwiek dodawał do cieczy. Na pewno żaden ze zgromadzonych też niczego nie dostrzegł. Jednak nie musiałam zanurzać kryształu w czerwonej jak krew miksturze, by wiedzieć, co zawiera.

Hrabia zobaczył tę wiedzę w mojej twarzy. Biała Dama nie potrafi kłamać.

Z wahaniem patrzył na kipiącą ciecz.

– Proszę wypić, monsieur – rozkazał król. – Czarne oczy po raz kolejny założyły przepaskę maskującą myśli i uczucia. – A może pan się boi?

Nie, hrabiego, poza wszystkim innym, cechowała niezwykła odwaga. Jego twarz była blada i nieruchoma, ale z ukosa spojrział w królewskie oczy i uśmiechnął się lekko.

– Nie, Wasza Wysokość.

Wziął filiżankę z mojej ręki i opróżnił ją do ostatniej kropli, bez przerwy patrząc mi w oczy. Żrenice były wciąż utkwione w moją twarz, nawet wtedy, gdy przez nie wyglądała świadomość umierania. Biała Dama mogła skierować swą wiedzę ku dobremu bądź ku destrukcji.

Ciało hrabiego opadło na podłogę i zwinęło się konwulsyjnie. Grono okrytych kapturami widzów zareagowało na ten widok chóralnym krzykiem. Hałas zagłuszył każdy dźwięk wydawany przez konającego. Przez krótką chwilę St. Germain piętami uderzał o kwiecisty dywan. Miękkie włosie wchłaniało odgłosy stukania. Ciało wygięło się w górę i natychmiast bezwładnie opadło. Całkowicie dezorientowany wąż usiłował się wydostać ze swego więzienia, pokonując przeszkody w postaci pogmatwanych fałdów białej satyny.

Gdy już mu się to udało, zaczął szybko uciekać od trupa. Pełził prosto w stronę Ludwika.

To było istne piekło.

28

NADEJŚCIE ŚWIATŁA

Z Paryża wróciłam do Fontainebleau, do domu Luizy. Nie chciałam jechać na rue Tremoulins ani nigdzie indziej, gdzie Jamie mógłby mnie odnaleźć. Miałby mało czasu na szukanie. Dosłownie natychmiast musiał wyjeżdżać do Hiszpanii. W przeciwnym wypadku nasz plan by się nie powiódł.

Luiza, dobra przyjaciółka, wybaczyła mi ucieczkę i – czym zaskarbiła sobie moją dozgonną wdzięczność – nie wypytywała ani dokąd pojechałam, ani też, co tam robiłam.

Byłam niezbyt rozmowna w stosunku do wszystkich. Większość dnia spędzałam w swoim pokoju. Trochę jadłam i wciąż wpatrywałam się w tłściutkiego, nagiego amorka, który zdobił biały sufit. Konieczność nagłego wyjazdu do Paryża pobudziła mnie na krótki czas, ale potem zabrakło już imperatywu, który mógłby mnie skłonić do działania i wesprzeć na duchu. Pozbawiona steru znów dryfowałam w próżni.

Jednak usiłowałam od czasu do czasu coś robić. Luiza ciągnęła mnie ze sobą na obiady, połączone ze spotkaniami towarzyskimi, albo zmuszała do tego, bym jej towarzyszyła przy herbatce z jakimś gościem. Staralam się zwracać uwagę na Fergususa – jedyną osobę na świecie, względem której jeszcze miałam poczucie odpowiedzialności.

Pewnego dnia podczas obowiązkowego popołudniowego spaceru usłyszałam podniesiony, kłótlivy głos chłopca po drugiej stronie jednej z przybudówek. Poczulałam się zobligowana do sprawdzenia, co się dzieje.

Fergus stał naprzeciwko jednego z pomocników stajennych – wysokiego chłopaka o posępnym spojrzeniu i szerokich ramionach.

– Zamknij się, ty ignorancie, ty nędzna kreaturo – krzyczał chłopiec stajenny. – Nie wiesz, o czym mówisz!

– Wiem lepiej niż ty, synu knura! – Fergus włożył mu dwa pace do nozdrzy, podciągnął jego nos w górę i tańcząc w tę i z powrotem, wrzeszczał: „Kwi, kwi, kwi!”.

Chłopiec stajenny, który naprawdę miał wyraźnie zadarty kulfon, nie tracił czasu na czcze pogroźki. Ostro zabrał się do roboty. Zacisnął obie pięści i wymierzył Fergusowi lewy sierpowy. Nie minęło kilka sekund i obaj chłopcy tarzali się w błocie. Wydzierali się, jak koty i rozrywali sobie wzajemnie ubrania.

W chwili, gdy zastanawiałam się nad tym, czy interweniować, czy nie, stajenny przetoczył się na Fergus, obiema rękami chwycił go za szyję i zaczął uderzać jego głową o ziemię. Z jednej strony myślałam, że Fergus sam się prosił o guza. Z drugiej zaś strony, trochę było mi żal patrzeć, jak umiera w kwiecie wieku. Jego twarz nabierała ciemnobordowego koloru. Z pewną powściągliwością podeszłam od tyłu do walczącej pary.

Chłopiec stajenny klęczał okrakiem nad ciałem Fergus i dusił przeciwnika. Siedzenie miał mocno wypięte w moją stronę. Odchyliłam nogę do tyłu i wymierzyłam kopniaka w sam szew bryczesów. Napastnik stracił

równowagę i z okrzykiem zaskoczenia upadł nosem na swą niedoszłą ofiarę. Przekreślił się na bok i wstał z zaciśniętymi pięściami.

Gdy mnie zobaczył, uciekł bez słowa.

– Co ty sobie wyobrażasz? Że to jest zabawa w berka?! – spytałam wściekła.

Podciągnęłam Fergususa do góry i zaczęłam otrzepywać go z błota i siana. Dzieciak z trudem łapał oddech.

– Spójrz tylko – powiedziałam oskarżycielskim tonem. – Porwałś nie tylko koszulę, ale także spodnie. Musimy poprosić Bertę, by je zaszyla. – Obróciłam go dokoła i pokazałam palcem naderwany kawałek materiału. Lniany pasek lnu zwisał z wiotkich bioder, obnażając duży fragment lewego pośladka.

Nagle zaniemówiłam i patrzyłam. To nie sromotnie obnażony pośladek tak przykuł moją uwagę, lecz małe, czerwone znamię, które go zdobiło. Wielkością przypominało monetę półpensową. Nie wierząc własnym oczom, dotknęłam ciemnego, fioletowobordowego znaku po świeżo zagojonym przypaleniu. Fergus drgnął, zaniepokojony, i zaczął uciekać. Chwyciłam chłopca za ramię i schyliłam się, by dokładniej obejrzeć ranę.

Z odległości piętnastu centymetrów wyraźnie zobaczyłam owal, w którego środku widniały jakieś rozmazane znaczki. Pewnie litery.

– Kto ci to zrobił, Fergusie? – Mój głos brzmiał dziwnie, nawet we własnych uszach, był nienaturalnie spokojny i obojętny.

Fergus szarpnął się, ale trzymałam mocno.

– Kto? – powtórzyłam, lekko nim potrząsając.

– To nic takiego, madame. Skakałem z muru i lekko się skaleczyłem. – Duże, czarne oczy biegały we wszystkie strony w poszukiwaniu drogi ucieczki.

– Nie kłam. Wiem, co to jest, Fergusie. Ale chcę, żebyś mi powiedział, kto to zrobił. – Przedtem widziałam podobną ranę tylko raz. Tamta była świeża, natomiast ta już trochę się zagoiła. Ale znak firmowy pozostał bardzo czytelny.

Widząc, że mówię poważnie, dzieciak przestał się szarpać. Obliznął usta. Wahał się, ale jego ramiona opadły. Wiedziałam, że już go mam w garści.

– Pewien... Anglik, milady. Zrobił to sygnetem.

– Kiedy?

– Dawno temu, madame! W maju.

Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam szybko liczyć. Trzy miesiące. Trzy miesiące od dnia, w którym złożyłam wizytę w burdelu, by wydostać stamtąd zarządcę magazynu.

Poszedł w towarzystwie Fergususa. Minęły trzy miesiące od czasu, kiedy Jamie spotkał Jacka Randalla w przybytku madame Elizy i zobaczył coś, co sprawiło, że wszystkie jego obietnice straciły moc. Coś, co wywołało w nim determinację do zabicia Randalla. Trzy miesiące od dnia, w którym zniknął.

Wymagało to anielskiej cierpliwości i sporo siły fizycznej do przytrzymania Fergususa, ale w końcu udało mi się usłyszeć całą opowieść.

Kiedy dotarli do przybytku madame Elizy, Jamie kazał Fergusowi czekać. Sam poszedł na górę, by

uregulować rachunki. Fergus udał się więc do dużego salonu, gdzie kilka młodych, znanych mu kobiet „odpoczywało”, rozmawiało ze sobą i poprawiało sobie nawzajem fryzury w oczekiwaniu na klientów.

– Rano interes czasami idzie niezbyt dobrze – wytłumaczył. – Ale we wtorki i piątki rybacy płyną w górę Sekwany, żeby sprzedać towar na porannym targu. Wtedy wracają z pieniędzmi i madame Eliza ma niezły utarg, więc dziewczynki muszą być gotowe zaraz po śniadaniu.

„Dziewczynki” w większości były tak naprawdę starszymi mieszkankami przybytku.

Rybacy stanowili niezbyt wybredną część klienteli, więc im przypadały w udziale najmniej atrakcyjne prostytutki. Wśród nich znajdowało się wiele dawnych przyjaciółek Fergusa, więc spędził w salonie przyjemny kwadrans. Panie lekkich obyczajów pieściły go i prowokowały. Pojawiło się kilku wczesnych klientów. Wskazywali wybrankę i odchodzili do pokoiów na górze. Przybytek madame Elizy szczylił się czterema wąskimi kondygnacjami.

– Wtedy madame Eliza wprowadziła tego Anglika. – Fergus nagle zamilkł, by przełknąć ślinę. Wielkie jabłko Adama niespokojnie podskoczyło w chudej szyi.

Fergus, który widywał mężczyzn w stanie upojenia alkoholowego i podniecenia, od razu zauważył, że kapitan miał za sobą noc rozpusty. Przybyły gość był zaczerwieniony i niechlujnie ubrany, łypał przekrwionymi oczami. Nie zważał na starania madame Elizy, która chciała doprowadzić go do jednej z prostytutek. Wyrwał się i niespokojnie przechadzał po salonie, pobieżnie oglądając

wystawiony towar. Nagle zawiesił wzrok na Fergusie.

– Powiedział: „Ty. Chodź ze mną” i pociągnął mnie za rękę. Opierałem się, madame.

Mówiłem, że mój pracodawca jest na górze i że nie mogę się nigdzie ruszać. Nie chciał słuchać. Madame Eliza szepnęła mi do ucha, że powinienem z nim pójść. Potem obiecała podzielić się ze mną pieniędzmi. – Fergus wzruszył ramionami i spojrzał na mnie bezradnie. – Wiedziałem, że tacy, którzy lubią małych chłopców, nie zabierają zbyt wiele czasu. Pomyślałem, że skończy na długo przed momentem, w którym milord będzie gotowy do wyjścia.

– Jasna cholera – szepnęłam. Palce zwolniły uścisk i nerwowo ześlizgnęły się po brudnym rękawie chłopca. – Chcesz powiedzieć, Fergusie, że już wcześniej to robiłeś?

Wyglądał tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem. Ja też.

– Niezbyt często, madame – odparł i prawie było to błaganie o wyrozumiałość. – Są takie domy, które w tym się specjalizują. Ale czasami klient zerkał na mnie i korzystał z okazji... – Wytarł nosa wewnętrzną częścią ręki.

Poszperałam w kieszeni, wyjęłam chusteczkę i podałam ją Fergusowi. Znów zaczął pociągać nosem na wspomnienie majowego poranka.

– Był znacznie większy, niż myślałem. Zapytałem, czy mogę to zrobić ustami, ale on...

on chciał...

Przyciągnęłam chłopca do siebie i mocno przycisnęłam jego głowę do piersi. Materiał sukni stłumił głos Fergususa. Kruche kości łopatek drżały pod moją dłonią,

jak skrzydła ptaka.

– Cicho – szepnęłam. – Już dobrze. Nie gniewam się. Ale nic więcej nie mów.

Daremny rozkaz. Po tak wielu dniach strachu i milczenia Fergus nie mógł przestać mówić.

– Ale to wszystko moja wina, madame! – krzyknął, odpychając się ode mnie. Jego usta drżały, oczy wypełniły się łzami. – Nie powinienem wołać o pomoc! Ale nie mogłem się powstrzymać. Milord mnie usłyszał i... wpadł do pokoju... i... Och, madame, byłem mu tak wdzięczny. Podbiegłem do niego, ukrył mnie za swoimi plecami i uderzył Anglika po twarzy. Wtedy kapitan wstał z podłogi i rzucił taboret. Bardzo się przestraszyłem.

Wybiegłem z pokoju i schowałem się w szafie na końcu korytarza. Potem usłyszałem wiele krzyku i odgłosów uderzeń. W pewnym momencie rozległ się okropny łomot i jeszcze większy wrzask. Wkrótce wszystko ucichło. Milord sam mnie ubrał. Drżały mi ręce, sam nie mogłem zapiąć guzików.

Objął mnie za nogi. Tak bardzo chciał, żebym mu uwierzyła. Na małej twarzy widniała małpia, smutna maska.

– To moja wina, madame, ale nie wiedziałem! Nie miałem pojęcia, że milord pójdzie walczyć z tym Anglikiem. A teraz nie ma mojego pana, nigdy nie wróci, i to wszystko przeze mnie!

Ze szlochem upadł na twarz u moich stóp. Płakał tak głośno, że chyba nic nie słyszał, gdy się schylałam, by go podnieść, i mu to powiedziałam:

– To nie twoja wina, Fergusie. Ani moja. Ale masz

rację. Nie ma Jamiego Frasera.

Po zwierzeniach Fergususa jeszcze głębiej zapadłam w apatię. Szara chmura, która otaczała mnie od czasu poronienia, zgęstniała, zamknęła mnie w uciskających fałdach, które przyćmiewały światło nawet najjaśniejszych dni. Zewnętrznie bodźce ledwie do mnie docierały.

Luiza z niepokojem skrzywiła się na mój widok.

– Jesteś o wiele za chuda – zrzędziła. – I błada jak ściana. Yvone mówiła, że znów nie zjadłaś śniadania!

Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio byłam głodna. To wydawało mi się mało ważne. Wbiłam wzrok w półkę nad kominkiem, potem moje oczy odpłynęły w stronę rokokowych rzeźb. Głos Luizy dalej brzmiał, ale nie zwracałam na niego uwagi.

Był to tylko jeden z odgłosów tego pokoju, jak ocieranie się gałęzi drzewa o kamienną ścianę dworku albo brzęczenie much, przywołanych zapachem nie zjedzonego śniadania.

Wpatrywałam się w jedną z nich, która nagle odleciała z jajek, gdy Luiza klasnęła w dłonie. Brzęcząc, zatoczyła kilka irytujących kólek i znów wróciła do swojej „stołówki”.

Z tyłu dobiegł mnie odgłos kroków. Luiza ostrym tonem wydała rozkaz, usłyszałam posłuszne: „Oui, madame”, potem nagle: „klap!” packi na muchy, gdy pokojówka przystąpiła do likwidacji owadów. Tłukła je po kolei. Każdego małego trupa natychmiast zabierała ze stołu, wrzucała do kieszeni i rogiem fartuszka wycierała blat z galaretowatych pozostałości.

Nagle w moim polu widzenia pojawiła się buzia

Luizy.

– Mogę policzyć wszystkie kosteczki na twojej twarzy! Jeśli nie chcesz jeść, to przynajmniej wyjdź na podwórko! – krzychała zniecierpliwiona. – Deszcz przestał padać.

Chodź ze mną. Zobaczymy, czy w ogrodzie zostały jeszcze jakieś winogrona. Zjemy sobie trochę.

Było mi wszystko jedno, czy jestem w pokoju, czy na podwórzu. Miękką, obezwładniającą szarość wciąż mnie więziła. Zamazywała kontury i sprawiała, że wszystkie miejsca wydawały się bardzo podobne do siebie. Ale dla Luizy miało to chyba jakieś znaczenie, więc posłusznie wstałam, by z nią pójść.

Jednak w bramie ogrodu zatrzymał ją kucharz. Wygłosił całą litanię pytań i wątpliwości, dotyczących jadłospisu na obiad. Z myślą o mojej rozrywce zaproszono gości. Gorączka przygotowań przez cały ranek wywoływała wybuchy drobnych kłótni domowych.

Luiza wydała z siebie westchnienie udręki, a potem poklepała mnie po plecach.

– Idź sama! – Popchnęła mnie w stronę drzwi. – Przyślę lokaja z twoim płaszczem.

Jak na sierpień dzień był chłodny. Deszcz padał przez całą noc. Na żwirowych ścieżkach widniały kałuże, a z przemoczonych drzew krople kapały niemal tak nieprzerwanie, jak w czasie ulewy.

Niebo wciąż zasnuwała szarość, ale jej kolor nieco przybladł. Z gniewnej czerni przemienił się w bury grafit. Objęłam się ramionami. Wyglądało na to, że za chwilę może wyjrzy słońce.

Kiedy usłyszałam z tyłu kroki, odwróciłam się. Zobaczyłam Franciszka, drugiego lokaja. Ale on nie miał nic w ręku. Dziwnie się zawahał i popatrzył na mnie tak, jak gdyby nie był pewien, czy to ja jestem osobą, której szuka.

– Madame – zaczął niepewnie. – Jakiś gość do pani.

Westchnęłam po cichu. Nie chciało mi się na tyle wysilać, by prowadzić towarzyską rozmowę.

– Proszę powiedzieć, że jestem niedysponowana – powiedziałam. Odwróciłam się, by kontynuować spacer. – A kiedy już pójdzie, proszę mi przynieść płaszcz.

– Ale, madame... – usłyszałam za plecami. – To seigneur Broch Tuarach – pani mąż.

Zaskoczona spojrzałam w stronę domu. Zobaczyłam wysoką sylwetkę Jamiego. Już nadchodził zza rogu budynku. Odwróciłam się, udając, że go nie widzę, i odeszłam w stronę altanki z winorośli. Krzewy rosły wystarczająco gęsto, bym mogła wśród nich znaleźć schronienie.

– Claire! – Udawanie na nic się nie zdało. On również mnie zobaczył i szedł ścieżką moim śladem. Przyspieszyłam kroku, ale nie miałam szans. Byłam dopiero w połowie drogi do altanki i już dostałam zadyszki. Musiałam przysiąść. Nie miałam siły na wycieńczające ćwiczenia.

– Zaczekaj, Claire!

Obejrzałam się za siebie. Prawie mnie doganiał. Miękkie, szare odrętwienie, w którym dotychczas tkwiłam, drgnęło. Poczulałam paralizującą panikę na myśl o tym, jak na mnie podziiała widok Jamiego. Pomyślałam, że jeśli

stracę swoją szarość – umrę niczym gąsienica, która wykopana z ziemi i rzucona na kamień usycha, naga i bezbronna wobec słońca.

– Nie! – krzyknęłam. – Nie chcę z tobą rozmawiać. Odejdź. – Zawahał się przez chwilę. Szybkim krokiem znów ruszyłam w stronę altanki. Za plecami słyszałam kroki na żwirze, ale się nie odwracałam. Przyśpieszyłam tempo, prawie biegnąc.

Gdy przystanąłam, by dać nurka do tunelu z winorośli, nagle wykonał gwałtowny ruch do przodu i chwycił mnie za nadgarstek. Próbowałam mu się wyrwać, ale trzymał mocno.

– Claire! – odezwał się ponownie. Szarpałam się, głowę miałam schyloną i odwróconą w drugą stronę. O ile na niego nie patrzyłam, mogłam udawać, że go tam nie ma. Mogłam być bezpieczna.

Puścił mój nadgarstek, ale obiema rękami chwycił mnie za barki. Musiałam podnieść głowę, by utrzymać równowagę. Jego twarz była spalona słońcem i wychudła. Przy ustach widniały głębokie bruzdy, a oczy zasnuwał ból.

– Claire – powiedział ciszej, teraz, kiedy widział, jak na niego patrzę. – Claire, to było również moje dziecko.

– Tak, było. A ty je zabiłeś! – Oderwałam się od niego i przemknęłam przez wąską bramkę. Przystanąłam wewnątrz, dysząc jak przestraszona żaba. Nie zdawałam sobie sprawy, że bramka wiedzie do małego, okrytego winną latoroślą domu wariatów. Ze wszystkich stron otaczały mnie okratowane ściany. Tkwiłam w pułapce. Wejście zatarasowała ogromna postać.

– Nie dotykaj mnie. – Cofnęłam się wpatrzona w

ziemię. „Odejdź!” pomyślałam w obłądnie. – Proszę, na Boga, zostaw mnie w spokoju! – Czułam, że mój szary kokon odkleja się nieubłaganie, warstwa za warstwą. Przeszyły mnie krótkie, ostre strzały bólu, jak kreski błyskawicy, które rozpruwają chmurę.

Zatrzymał się o parę kroków ode mnie. Na oślep podeszłam w stronę okratowanej ściany i opadłam na drewnianą ławeczkę. Zamknęłam oczy. Siedziałam, dygocząc.

Przejmujący chłodem, wilgotny wiatr przez kratę owiewał moją szyję.

Nie zbliżał się. Czułam, że tam stoi i patrzy. Słyszałam jego nierówny oddech.

– Claire – powtórzył raz jeszcze. W jego głosie brzmiała bezradna rozpacz. – Claire, czy nie widzisz... Claire, musisz ze mną porozmawiać! Na miłość boską, Claire, nawet nie wiem, czy to był chłopiec, czy dziewczynka!

Siedziałam skostniała. Kurczowo trzymałam się szorstkich brzegów ławeczki.

W pewnym momencie usłyszałam łomot na ziemi przed sobą. Moje powieki odruchowo podskoczyły. Zobaczyłam, że usiadł tam, gdzie stał – na mokrym żwirze u mych stóp.

Siedział z pochyloną głową.

– Chcesz, żebym cię błagał? – spytał.

– To była dziewczynka – powiedziałam po chwili ochryplym, chropowatym głosem. – Matka Hildegarda ją ochrzciła. Faith. Faith Fraser. Matka Hildegarda ma bardzo specyficzne poczucie humoru.

Schylona głowa nie drgnęła. Po chwili spytał cicho:

– Widziałaś dziecko?

W tym momencie moje oczy otworzyły się na maksymalną szerokość. Wpatrywałam się w swoje kolana. Na jedwabiu błyszcząły kropelki deszczu, które wiatr strącił z winorośli.

– Tak. *Mditresse sage-femme* powiedziały, że muszę to zrobić, więc ich posłuchałam.

– Słyszałam w pamięci niski, rzeczowy głos madame Bonheur, najstarszej i cieszącej się największym szacunkiem położnej, która się mną opiekowała w L’Hopital des Anges.

– Dajcie jej dziecko. Zawsze jest lepiej, kiedy je widzą. Wówczas nie wyobrażają sobie Bóg wie czego.

Przypominałam sobie tamten dramatyczny obraz.

– Była doskonała – powiedziałam miękko, jak gdyby sama do siebie. – Taka malutka.

Mogłam ująć jej główkę w środkową część dłoni. Miała trochę odstające uszy, tak cieniutkie, że prześwitywało przez nie słońce.

Światło prześwitywało również przez jej skórę, połyskując w krągłościach policzków i pośladków. To światło było podobne do połysku, którym emanują perły: martwego i chłodnego, z dziwnym odbiciem światła wody, w którym wciąż trwają.

– Matka Hildegarda otuliła ją w białą satynę... – spojrzałam w dół na swe pięści, zaciśnięte na kolanach. – Dziecko miało zamknięte powieki. Nie było w nich jeszcze rzęs.

Ale jej oczy były skośne. Powiedziałam, że są

podobne do twoich, lecz one stwierdziły, że wszystkie dzieci mają takie same.

Dziesięć palców u rącek i dziesięć u nóg. Bez paznokci. Jak opale – klejnoty, składające się na kościec ziemi – lśniły małe stawy, rzepki i kości palców. „Pamiętaj, człowiecze: z prochu powstałeś...”

Przypomniałam sobie odległe odgłosy oraz – bliższe – przyciszone słowa matki Hildegardy i madame Bonheur. Rozmawiały o księdzu. Na prośbę przełożonej miał odprawić specjalną mszę. Pamiętałam spokojne oczy madame Bonheur. Zakonnica szacowała mnie wzrokiem. Możliwe, że widziała zdradziecką łunę zbliżającej się gorączki.

Znów zwróciła się do matki. W pewnej chwili jej głos przycichł – prawdopodobnie sugerowała, że będą potrzebne dwa pogrzeby.

„...i w proch się obrócisz”.

Ale ja zawróciłam przed bramą śmierci. Tylko Jamie był siłą, która zdołałaby mnie wyciągnąć spod tamtej bariery. Mistrz Raymond to wiedział. Zdawałam sobie sprawę, że jeszcze nadal tkwię w świecie umarłych, a Jamie jest jedyną osobą, która może mnie wyprowadzić z tunelu, do ziemi żyjących. To dlatego od niego uciekałam, robiłam wszystko, co w mojej mocy, by trzymać się od niego z daleka, żeby już nigdy go nie zobaczyć, nie dotknąć. Nie chciałam wracać. Nie chciałam czuć. Nie chciałam kochać tylko po to, by raz jeszcze stracić wszystko, co składa się na moje szczęście.

Za późno. Wiedziałam to, mimo że jeszcze walczyłam, żeby zatrzymać przy sobie ten kokon, który

mnie chronił przed życiem. Moje zmagania jednak tylko przyspieszały proces zniszczenia warstwy ochronnej. To było tak, jakbym chciała chwycić szarą chmurę, która rozproszyła się w chłodnej mgie pomiędzy palcami. Czułam nadejście światła. Bałam się, że będzie mnie parzyło i oślepiało.

Podniósł się. Stał nade mną. Jego cień padał na moje kolana. To z pewnością oznaczało ostateczną destrukcję szarego klosza. Nie ma cienia bez światła.

– Claire – szepnął. – Proszę, pozwól mi cię ukoić.

– Ukoić? – spytałam. – W jaki sposób zamierzasz tego dokonać? Możesz mi z powrotem oddać dziecko?

Upadł na kolana, ale ja wciąż miałam zwieszoną głowę i wpatrywałam się w swoje zwrócone do góry puste dłonie, leżące na kolanach. Chciał mnie dotknąć, ale zawahał się i cofnął rękę. Potem wyciągnął ją raz jeszcze.

– Nie – powiedział ledwie słyszalnym głosem. – Tego nie można uczynić. Ale... z bożą pomocą... mógłbym ci dać następne?

Jego dłonie niepewnie unosiły się nad moimi – tak blisko, że odczuwałam ciepło jego skóry. Czułam też smutek, który Jamie mocno trzymał na wodzy, gniew i lęk, które go dusiły, oraz odwagę, która mimo wszystko wyzwalała jego głos. Zebrałam wszystkie siły, wzięłam go za rękę, uniosłam głowę i poszłam na całość: spojrzałam prosto w słońce.

Siedzieliśmy na ławeczce, mocno trzymając się za ręce. Tkwiliśmy nieruchomo.

Milczeliśmy przez dłuższy czas. Wydawało mi się, że minęły godziny. Chłodna bryza po deszczu szeptała

nasze myśli w liściach winorośli, oplatających dach altanki. Wiatr rozsypywał u naszych stóp krople wody, żałobnie szlochając nad stratą i rozłączeniem.

– Zimno ci – mruknął w końcu Jamie i otoczył mnie połą swojego płaszcza. Tym samym podzielił się ze mną własnym ciepłem. Powoli zaczęłam się do niego przytulać i przyjmować schronienie muskularnych ramion, bardziej drżąc pod wpływem jego żaru i mocy niż wcześniej z zimna.

Położyłam dłoń na szerokiej piersi, ostrożnie, jak gdyby żar jego ciała naprawdę mógł mnie poparzyć. Liście winnej latorośli mówiły za nas.

– Jamie – odezwał się w końcu mój cichy głos. – Och, Jamie, gdzie byłeś?

Zacieśnił swój uścisk wokół mnie, ale nie od razu odpowiedział.

– Myślałem, że już nie żyjesz, *mo duinne* – szepnął. Ledwie go słyszałam przez szelest listowia. – Widziałem cię tam, na ziemi, po fakcie. Boże! Biała twarz, warstwy sukni przesiąknięte krwią... Natychmiast podbiegłem do ciebie, ale wtedy zabrała mnie straż.

Ścisnęło go w gardle. Czułam drżenie, jakie przebiega przez długą linię jego kręgosłupa.

– Opierałem im się... Walczyłem i błagałem... ale oni za nic nie chcieli zostać.

Pociągnęli mnie z sobą. Wsadzili do celi i zostawili tam... Myślałem, że nie żyjesz. Miałem świadomość, że cię zabiłem.

Trząsł się jak osika. Wiedziałam, że płacze, choć nie widziałam jego twarzy. Jak długo siedział sam, w mrokach

Bastylii?

– Już dobrze – powiedziałam i mocniej przycisnęłam dłoń do jego piersi, jak gdybym chciała uspokoić gwałtowne uderzenia serca. – Jamie, w porządku. To... To nie była twoja wina.

– Próbowałem rozbić głowę o ścianę, tylko po to, by przestać myśleć – wyznał, prawie szeptem. – Więc związali mi ręce i nogi. Następnego dnia przyszedł de Rohan.

Powiedział, że żyjesz, choć prawdopodobnie niedługo umrzesz.

Zamilkł. Czulałam ból, który go przenika, ostry jak kryształowa włócznia lodu.

– Claire – mruknął w końcu. – Przepraszam.

„Przepraszam”. Właśnie to słowo zawierała wiadomość, którą pozostawił, zanim świat roztrzaskał się w drobny mak. Dopiero teraz je zrozumiałam.

– Wiem, Jamie, wiem. Fergus mi wyjaśnił, dlaczego wyzwałeś Randalla.

Wziął głęboki, rozedrgany oddech.

– Tak? Cóż... – zaczął, ale natychmiast zamilkł.

Moja dłoń opadła na jego udo. Szorstkie bryczesy były chłodne i wilgotne.

– Czy ci powiedzieli, dlaczego zostałeś zwolniony?

– Usiłowałam utrzymać miarowy rytm oddechu, ale to okazało się ponad moje siły.

– Nie – odparł. – Tylko tyle, że Jego Królewska Mość okazał swą dobrą wolę. – Ostatnie słowa zaakcentował nutą okrucieństwa, co wyraźnie sugerowało, że tak naprawdę wiedział dzięki czemu go zwolniono. Nikt nie musiał nawet mu tego wyjaśniać.

Mocno przygryzłam dolną wargę. Usiłowałam podjąć decyzję, czy mu to teraz powiedzieć.

– Rozmawiałem z matką Hildegardą – kontynuował miarowym głosem. – Natychmiast poszedłem do L'Hopital des Anges, by ciebie tam poszukać. Znalazłem Hildegardę oraz malutką karteczkę, którą dla mnie zostawiłaś. Przełożona powiedziała mi...

– Tak – wyrzekłam ze ściśniętym gardłem. – Poszłam do króla...

– Wiem! – Omal nie zmiażdżył mojej ręki, a po brzmieniu jego oddechu wiedziałam, że ma zaciśnięte zęby.

– Ale Jamie... Kiedy tam poszłam...

– Chryste! – krzyknął i nagle się wyprostował, zwracając twarz w moją stronę. – Czy nie wiesz, że ja... Claire... – Na krótko zamknął oczy i wziął głęboki oddech. – Przez całą drogę do Orvieto stało to przed moimi oczami. Widziałem jego ręce na twojej białej skórze, jego usta na twojej szyi, jego... Widziałem, jak mu sterczy... Boże, Claire!

Siedziałem w więzieniu z myślą, że już umarłaś. Potem, jadąc do Hiszpanii, żałowałem, że żyjesz! – Stawy dłoni, która mnie trzymała, były białe. Czułam najdrobniejszą kosteczkę, zgniatającą moje palce.

Wyrwałam dłoń z jego ręki.

– Jamie, słuchaj!

– Nie! – odparł. – Nie chcę...

– Słuchaj, do cholery!

Siła mojego głosu na moment zamknęła mu usta. Zaczęłam mu jak najszybciej opowiadać o komnacie króla, o ludziach w kapturach, o zacienionym pokoju, o

pojedynku czarowników i śmierci hrabiego St. Germaina.

Gdy płynął wartki potok słów, intensywny kolor z wolna bladł na jego wysmaganej wiatrem twarzy, a jej wyraz stopniowo się zmieniał. Ewoluuował z udręczenia i wściekłości, poprzez oszołomienie, aż do pełnej zaskoczenia wiary w moją opowieść.

– Jezu. – W końcu znów wziął oddech. – O, dobry Boże.

– Nie wiedziałeś, jak zakończy się niesamowita historia, prawda? – Czułam się wyczerpana, ale stać mnie było jeszcze na uśmiech. – Więc... Więc hrabia... Już dobrze, Jamie. Już... odszedł.

Milczał. Delikatnie mnie przyciągnął do siebie. Moje czoło opierało się o jego ramię, a łzy wsiąkały w koszulę. Jednak zaraz wyprostowałam się, wytarłam nos i spojrzałam na Jamiego.

– Tylko... Wiesz, co pomyślałam, Jamie? Porto! Inwestycja Karola Stuarta! Hrabia nie żyje, więc...

Pokręcił głową, uśmiechając się lekko.

– Nie, *mo duinne*. Wszystko jest pod kontrolą.

Napięcie odpływało lekką falą.

– Och, dzięki Bogu. W takim razie, udało ci się? Czy zioła podziałały na Murtagha?

– Cóż... Nie – odparł z jeszcze szerszym uśmiechem. – Ale podziałały na mnie.

Od razu poczułam wytchnienie od strachu i gniewu. Z radości wirowało mi w głowie i byłam trochę oszołomiona. Przemoczone deszczem winogrona pachniały silnie i słodko.

Jaka to była błogosławiona ulga: oprzeć się o niego

i słuchać opowieści pirata. Czuć jego ciepło, gdy ukojenie włądało sercem, nie lęk.

– Są mężczyźni, których można określić mianem urodzonych żeglarzy, Angielko – zaczął. – Ale obawiam się, że ja do nich nie należę.

– Wiem. Miałeś mdłości?

– Nigdy w życiu nie cierpiałem bardziej z ich powodu. – Skrzywił się niemiłosiernie.

Morze za Orvieto szalało. Po godzinie stało się jasne, że Jamie nie odegra ustalonej wcześniej roli w tym planie.

– I tak nie byłem w stanie robić nic innego, jak tylko leżeć w hamaku i jęczeć – powiedział, wzruszając ramionami. – Więc, co za różnica? Równie dobrze mogłem chorować na ospę.

Pośpiesznie wymienili się z Murtaghem rolami i dwadzieścia cztery godziny drogi od wybrzeży Hiszpanii, kapitan Salamandry z przerażeniem odkrył, że pod pokładem wybuchła epidemia.

Jamie na to wspomnienie podrapał się po szyi, jak gdyby wciąż czuł działanie soku z pokrzywy.

– Zastanawiali się nad wyrzuceniem mnie za burtę – mówił – i muszę przyznać, że nawet spodobał mi się ten pomysł. – Uśmiechnął się krzywo. – Cierpiałas kiedyś na chorobę morską ze skórą obsypaną bąblami po pokrzywie, Angielko?

– Bogu dzięki, nie. – Ciarki przeszły mi po plecach na tę myśl. – Murtagh ich powstrzymał?

– O, tak. Jak to Murtagh. Jest bardzo zawzięty. Przez całą drogę, aż do samego portu w Bilbao, spał w

progu z ręką na sztylcie.

Zgodnie z prognozą kapitan statku, mając przed sobą nierentowną perspektywę wpłynięcia do Hawru i konfiskaty ładunku lub powrót do Hiszpanii i czekanie bez końca, zanim wiadomość dotrze do Paryża, wybrał szansę odsprzedania towaru za cenę zakupu, gdy tylko, szczęśliwym trafem, na horyzoncie pojawił się nabywca.

– Nie mogę powiedzieć, że oddał mi go za bezcen – zauważył Jamie, tym razem drapiąc się po przedramieniu. – Przez pół dnia targował się ze mną, umierającym w hamaku, sikającym krwią i wymiotującym flakami!

Ale interes został ubity. Zarówno porto, jak i zarażony wietrzną ospą pacjent zostali rozładowani wraz całą przesyłką w Bilbao. Nie licząc przeciągającej się tendencji do wydalania czerwonego moczu, Jamie szybko wracał do zdrowia.

– Sprzedaliśmy porto na miejscu, w Bilbao, pośrednikowi – poinformował. – Od razu wysłałem Murtagha do Paryża, aby zwrócił pożyczkę Duverneyowi, a potem... przybyłem tutaj.

Zerknął na swe dłonie spoczywające na kolanach.

– Trudno mi było zdecydować – powiedział cicho. – Jechać tu czy nie.

Spacerowałem, no wiesz, żeby mi się lepiej myślało. Przeszedłem całą drogę z Paryża do Fontaineblau. Potem prawie całą drogę powrotną. Zawracałem ze sześć razy. Cały czas oskarżałem się, że jestem mordercą i głupcem. Nie wiedziałem, czy mam zabić siebie, czy ciebie...

Westchnął i spojrzał mi w twarz. Jego oczy

pociemniały od cieni drżących liści.

– Musiałem wrócić – powiedział po prostu.

Milczałam, ale przykryłam jego dłoń swoją ręką. Opadłe winogrona zaśmiecały ziemię pod pędami winorośli, cierpki zapach fermentacji przywoływał na myśl zapomnienie, jakie niesie wino.

Zasnute chmurami słońce już zachodziło. Żłota, rozmazana plama oświetlała potężną postać Hugona, majaczącą u wejścia do altanki.

– Proszę wybaczyć, madame – rzekł. – Moja pani chciałaby wiedzieć, czy seigneur zostanie na kolację?

Spojrzałam na Jamiego. Siedział nieruchomo... Słońce, prześwitujące przez liście winorośli, położyło na jego włosach tygrysie pasemka. Twarz była poplamiona cieniami.

– Myślę, że powinieneś – powiedziałam. – I tak jesteś okropnie chudy.

Obrzucił mnie wzrokiem od stóp, do głów, delikatnie uśmiechnął się i rzekł:

– Ty też, Angielko.

Wstał i zaoferował mi ramię. Nie odrzuciłam go i szliśmy razem na kolację, pozostawiając liście winorośli i ich niemą rozmowę.

Leżałam przy Jamiem, mocno w niego wtulona. Jego dłoń spoczywała na moim udzie. Wpatrywałam się w górę, w ciemności pokoju. Słuchałam spokojnego oddechu śpiącego męża; wdychałam świeże, wilgotne powietrze nocne, pachnące wistaria.

Śmierć hrabiego St. Germaina stanowiła zakończenie upiornego wieczoru – dla wszystkich, z

wyjątkiem Ludwika. Gdy towarzystwo zaczęło się rozchodzić z pomrukiem ekscytacji, król wziął mnie za ramię i wyprowadził przez te same wąskie drzwi, przez które weszliśmy do mrocznego pomieszczenia. Był biegły w sztuce władania słowami, ale wówczas ich nie potrzebowaliśmy.

Podprowadził mnie do zielonego, obitego jedwabiem szezlongu. Położył na plecach i uniósł warstwy sukien, zanim zdołałam wyrzec jakiegoś słowa. Nie pocałował mnie. Nie pożądał. Było to rytualne upomnienie się o uzgodnioną wcześniej zapłatę. Ludwik miał głowę do interesów. Nie mógł puścić płazem długu, jeśli żywił przekonanie, że ktoś jest mu coś winien, bez względu na to, czy spłata miała dla niego jakąkolwiek wartość.

Zresztą może coś dla niego znaczyła. U podstaw naszego ponownego spotkania w królewskiej alkwie leżało zapewne przyprawione szczyptą strachu podniecenie. Któż inny, jak tylko król, ośmieliłby się wziąć w ramiona Białą Dame?

Byłam zamknięta, zimna, niegotowa. Zniecierpliwiony chwycił ze stołu flakon olejku różanego. Przez krótki czas wmasowywał go pomiędzy moje nogi. Leżałam nieruchomo i cicho. Pośpiesznie testujący mnie palec wycofał się. Natychmiast zastąpił go nieco większy „krewny”, który... ucierpiał, choć to nie najtrafniejsze określenie tego, co mu się przytrafiło. Przecież nie było tam bólu ani poniżenia. Chodziło o zwyczajną transakcję.

Zatem, przeczekałam szybki ruch: pchnięcie – wyjęcie. Potem Ludwik natychmiast wstał, z twarzą czerwoną od podniecenia i drżącymi rękami próbował

zapiąć spodnie na małej wypukłości. Nie podjąłby się ryzyka zrobienia na pół królewskiego, na pół magicznego bękarta. Nie wtedy, gdy madame La Tourelle była gotowa – o wiele bardziej niż ja, a przynajmniej miałam taką nadzieję – i czekała w swych komnatach na końcu korytarza.

Dałam mu to, co – w domyśle – obiecałam. Teraz mógł z honorem przychylić się do mojej prośby, mając świadomość, że nie przepuścił nawet Białej Damie. Odwzajemniłam kurtuazyjny ukłon, wyjęłam łokieć z jego ramienia, które szarmancko mi zaoferował, odprowadzając do drzwi, i zakończyłam audiencję zaledwie kilka minut po wejściu do komnaty. Król zapewnił mnie, że rano wyda rozkaz uwolnienia Jamiego.

Osobisty lokaj króla czekał w holu. Skłonił mi się, ja jemu również. Szłam za nim korytarzem luster. Czułam śliskość wysmarowanych olejkami ud, gdy ocierały się o siebie. Intensywny zapach róż dochodził spomiędzy nóg.

Za moimi plecami zamknęła się brama. Zacisnęłam powieki i pomyślałam, że już nigdy więcej nie zobaczę Jamiego. A jeślibym nawet przypadkiem go ujrzała, pocierałabym mu nos zapachem róż do chwili, aż jegodusza zachoruje i umrze.

A co ja robiłam? Trzymałam jego rękę na swym udzie i słuchałam, jak przy mnie głęboko, miarowo oddycha. I pozwoliłam, by na zawsze zatrzasnęły się drzwi po mojej audiencji u Jego Wysokości.

brązowych strumieniach i ciemnych sosnach w Lallybroch, posiadłości Jamiego. – Czy naprawdę możemy pojechać do domu?

– Podejrzewam, że musimy – odparł, krzywiąc się.
– Warunki królewskiej amnestii nakazują mi opuścić Francję do połowy września. W przeciwnym razie wrócę do Bastylii.

Przypuszczam, że Jego Królewska Mość załatwił również amnestię strony angielskiej, więc nie powieszają mnie zaraz, jak tylko postawię stopę w Inverness.

– A może pojechalibyśmy do Rzymu albo do Niemiec – zaproponowałam ostrożnie.

Nie pragnęłam niczego prócz wyjazdu do domu, do Lallybroch, i uzdrowienia swej duszy wśród życzliwej ciszy szkockich gór. Moje serce zamierało na myśl o dworach królewskich i intrygach, o ciągłej presji niebezpieczeństw i braku pewności jutra. Ale jeśli Jamie czuł, że musimy...

Pokręcił głową. Rude włosy opadły mu na twarz, kiedy przystanął, by podciągnąć pończochy.

– Nie. Szkocja albo Bastylia – rzekł. – Nasza podróż jest już zarezerwowana, gdybyś o to pytała. – Wyprostował się i skrzywionym uśmiechem odrzucił włosy z twarzy. – Sądzę, że książe Sandringham, a może też król Jerzy chcą, żebym bezpiecznie przebywał w domu, gdzie mogą mnie trzymać pod stałą kontrolą. Będą pewni, że nie szpieguję w Rzymie ani nie gromadzę fortuny w Niemczech. Te trzy miesiące łaski, to jak sądzą, życzliwy gest wobec Jareda, ofiarowanie mu czasu na powrót przed moim wyjazdem.

Siedziałam przy oknie sypialni i patrzyłam na

spokojne, zielone morze lasów Fontainebleau. Gorące, ciężkie powietrze letnie falowało lekko.

– Nie mogę powiedzieć, że jestem niezadowolona – westchnęłam. Przycisnęłam policzek do zimnej szyby. Dziedzictwem wczorajszego chłodnego deszczu była ociężała wilgoć, która sprawiła, że włosy i ubrania przylegały do mojej skóry. – Naprawdę myślisz, że to bezpieczne? Czy Karol da za wygraną? Teraz, kiedy hrabia jest martwy, a pieniądze od Manzettiego stracone?

Jamie skrzywił się, pocierając dłonią krawędź szczęki. Sprawdzał długość swej brody.

– Chciałbym wiedzieć, czy w ciągu ostatnich dwóch tygodni dostał jakiś list z Rzymu – powiedział. – Jeśli tak, to jaka była jego treść. Myślę jednak, że nam się udało. Żaden bankier w Europie nie odważy się pożyczyć komuś o nazwisku Stuart złamanego centyma. Filip Hiszpański ma inne problemy na głowie, a Ludwik... – Wzruszył ramionami, ironicznie wykrzywiając usta. – Powiedziałbym, że w przestrzeni pomiędzy panem Duverneyem a księciem Sandringhamem oczekiwania Karola w tym względzie mają raczej nędzne szanse spełnienia. – Zamilkł na chwilę. – Jak sądzisz, powinienem się ogolić?

– Nie biorę tego na swoją odpowiedzialność. – Małżeńska zażyłość, jaka pobrzmiwała w pytaniu Jamiego sprawiła, że nagle poczułam się onieśmielona.

Poprzedniej nocy dzieliliśmy ze sobą łożo, ale oboje byliśmy wyczerpani, a delikatna sieć, jaka splotła nas ze sobą w altance, zdawała się zbyt krucha, by wytrzymać naprężenie spowodowane próbą kochania się. Przeżyłam

tamtą noc z dręczącą świadomością cieplej bliskości Jamiego. Jednak wiedziałam, że w zaistniałych okolicznościach jemu muszę pozostawić decyzję wykonania pierwszego kroku.

Gra światła na potężnych ramionach, gdy sięgał po koszulę, wzbudziła we mnie pożądanie. Zapragnęłam go znów poczuć na swojej skórze – gładkiego, twardego i lgnącego do mnie.

Głowa z burzą rudych włosów wyskoczyła z dekoltu koszuli. Oczy nieopatrznie i niespodziewanie natrafiły na moje spojrzenie. Przez chwilę stał nieruchomo, przyglądał mi się i nic nie mówił. Odgłosy poranka w wiejskim dworku były dobrze słyszalne.

Dobiegały z zewnętrznej atmosfery bańki mydlanej, w której oboje tkwiłiśmy. Krzątania służby, wysoki, cienki głos Luizy, podniesiony w jakiejś zwadzie.

Nie tutaj, mówił wzrok Jamiego. Nie pośród tylu ludzi.

Spuścił głowę i zaczął starannie zapinać guziki.

– Czy Luiza trzyma tu jakieś wierzchowce? – spytał wpatrzony w zapięcie koszuli. – Niedaleko stąd jest wiele urwisk. Pomyślałem, że moglibyśmy tam się wybrać na przejażdżkę. Tam pewnie jest chłodniejsze powietrze.

– Myślę, że tak – odpowiedziałam. – Spytam Lizę.

Dotarliśmy do ścian skalnych tuż przed południem. Nie tyle były to urwiska, ile sterczące słupy skał i grzbiety wapieni, osadzone w żółtawej trawie. Białe grzebienie były rozszczepione i popękane z powodu upływu czasu i złej pogody. Porastały je tysiące dziwnych, malutkich roślinek, które znajdowały sobie grunt na najmniejszej garstce

dotkniętej erozją gleby.

Uwiązaliśmy konie wśród traw i zaczęliśmy się wspinać do rozległego, płaskiego występu skalnego, porośniętego kępami dzikiej trawy, nieco poniżej najwyższego, powalonego kamienia. Śladowe krzewy, jakie można było spotkać na tej wysokości, nie dawały zbyt wiele cienia, ale za to powiewała łagodna bryza.

– Boże, tu jest gorąco! – stwierdził Jamie. Rozpiął sprzączkę swej spódniczki.

Kraciasty materiał osunął się do jego stóp. Zaczął się wiercić, zdejmując koszulę.

– Co ty wyprawiasz, Jamie? – spytałam, prawie wybuchając śmiechem.

– Rozbieram się – odparł rzeczowo. – Może byś zrobiła to samo, Angielko? Jesteś bardziej spocona niż ja, a tu nie ma nikogo, kto mógłby cię zobaczyć.

Po chwili wahania, zastosowałam się do jego sugestii. Miejsce było całkowicie odizolowane od reszty świata: zbyt skaliste i niedostępne dla owiec. Nie istniało więc ryzyko napotkania jakiegoś pasterza. Byliśmy zatem sam na sam ze sobą, nadzy, z dala od Luizy i jej czeredy wścibskich sług. Jamie rozłożył swój szal na nierównym podłożu, a ja zdejmowałam z siebie warstwy wilgotnej odzieży.

Leniwie przeciągnął się i położył. Podparł się z tyłu rękami. Zupełnie nie zważał na ciekawskie mrówki, wrzynający się w ciało żwir i sterczące szpile śladowej roślinności.

– Musisz mieć skórę kozła – zauważyłam. – Jak możesz tak leżeć na gołej ziemi? – Rozebrana do naga

położyłam się wygodnie na grubych fałdach szkockiego szala.

Jamie wzruszył ramionami. Zamknął oczy i wystawił twarz na działanie popołudniowego słońca. Leżał w małym wgłębieniu. Pożłacało go światło. Połyskiwał rudozłotą poświatą na tle ciemnych kępek dzikich traw.

– Tak mi wygodnie – powiedział zadowolony i zapadł w ciszę. Leżeliśmy blisko siebie. Słyszałam odgłos jego miarowego oddechu pośród gwizdania wiatru, który zamiatał grzbiety wapienne ponad nami.

Przewróciłam się na brzuch i oparłam podbródek na skrzyżowanych przedramionach. Przyglądałam się Jamiemu. Miał szerokie ramiona i wąskie biodra.

Długie, silne łądzwie, z lekko wygiętymi mięśniami, były napięte nawet wtedy, gdy odpoczywał. Delikatna, ciepła bryza suszyła kępki cynamonowych włosów pod pachami i falowała miedzią oraz złotem opartej na nadgarstkach głowy. Lekki wiaterek stanowił miłe orzeźwienie, bo wczesnojesienne słońce wciąż przypalało moje ramiona i łydki.

– Kocham cię – powiedziałam cichutko, dla samej przyjemności wypowiedzenia tych słów. Nie sądziłam, że je usłyszy.

Jednak usłyszał. Szerokie usta wykrzywił ledwie widoczny uśmiech. Po chwili potężny Szkot przetoczył się na brzuch i położył się na szalu obok mnie. Do jego pleców i pośladków przywarło kilka źdźbeł trawy. Jedno z nich delikatnie z niego strzepnęłam.

Skóra nieznacznie zadrżała pod wpływem mojego dotyku.

Pochyliłam się, by pocałować pięknie wyrzeźbione ramię. Rozkoszowałam się ciepłym zapachem jego skóry i słonawym jej smakiem.

Jednak zamiast odwzajemnić pocałunek, odsunął się i, oparty na jednym łokciu, patrzył na mnie. W wyrazie twarzy Jamiego było coś, czego nie rozumiałam.

Zaniepokoiłam się lekko.

– Nad czym się tak zamyśliłeś? – spytałam. Przebiegłam palcem po głębokiej linii jego kręgosłupa. Odsunął się na taką odległość, żebym nie mogła go dotknąć, i wziął głęboki oddech.

– Cóż... Tak tylko się zastanawiałem... – zaczął, ale zaraz urwał. Spuścił wzrok i zaczął gnieść malutki kwiatek, który wystawał z traw.

– Zastanawiałeś się? Nad czym?

– Jak ci było... z Ludwikiem...

Myślałam, że moje serce na moment przestało bić. Wiedziałam, że cała krew odpłynęła mi z twarzy, ponieważ czułam drętwosć ust, gdy z trudem wydobywałam z siebie słowa.

– Jak... mi... Jak mi z nim było?

Podniósł wzrok, a przez jego twarz przemknął tylko cień gorzkiego uśmiechu.

– Cóż – rzekł. – On jest królem. Można by przypuszczać, że to... w pewien sposób odmienny męzczyzna. Wiesz... wyjątkowy.

Uśmiech powoli zgasł. Twarz Jamiego stała się równie biała, jak moja. Znow spuścił oczy. Chciał uniknąć mojego zaskoczonego spojrzenia.

– Chyba zastanawiałem się tylko nad tym – mruknął

– czy... czy on był... inny niż ja?

– Przygryzł wargę, jak gdyby żałował tego, co powiedział. Ale było już o wiele za późno, słowa uleciały.

– Skąd, u diabła, o tym się dowiedziałeś? – spytałam. Zawirowało mi w głowie.

Zyskałam wyostrzoną świadomość nagości. Przewróciłam się na brzuch i mocno wtuliłam się w krótką darrń.

Pokręcił głową. Zęby miał wciąż zaciśnięte na dolnej wardze. Gdy w końcu rozluźnił szczęki, w miejscu przygryzienia pojawił się głęboki, czerwony znak.

– Claire – szepnął. – Och, Claire. Od pierwszego razu oddałaś mi całą siebie. Nie skrywałaś przede mną ani drobiny swojego „ja”. Tak było zawsze. Gdy poprosiłem cię o szczerość, powiedziałem, że kłamstwo nie leży w twojej naturze. Wtedy dotknąłem cię tak... – Jego ręka przesunęła się na mój pośladek. Nie spodziewałam się tego. Drgnąłam.

– Jak długo już cię kocham? – spytał bardzo cicho.
– Rok? Od chwili, gdy cię ujrzałem? Jak często się kochaliśmy? Pół tysiąca razy, więcej? – Niezwykle delikatnie musnął moją jednym palcem, potem przesunął ręką po linii ramienia i barku. Palec ześlizgnął się na moją klatkę piersiową. Zaczęłam drżeć. Przewróciłam się na bok i popatrzyłam mu w twarz.

– Nigdy nie uciekałaś od mojego dotyku. – Jasnoniebieskie oczy podążały za palcem, zsuwały się, by obejrzeć krągłości mych piersi. – Nawet za pierwszym razem, kiedy miałaś prawo w ten sposób reagować. Zresztą wtedy nie zdziwiłbym się, gdybyś tak postąpiła. Ale nie!

Od razu oddałaś mi wszystko. Nic nie zostawiłaś dla siebie. Nie odmówiłaś mi żadnej części swego istnienia. A teraz... – Cofnął dłoń. – Najpierw myślałem, że to tylko z powodu utraty dziecka. Może byłaś onieśmielona, widząc mnie po tak długiej rozłące? Ale coś mi ciągle mówi, że nie o to chodzi.

Potem nastąpiła długa chwila milczenia. Czułam miarowe, bolesne uderzanie serca o chłodną ziemię i słyszałam rozmowy wiatru z sosnami. Z dala słychać było śpiew ptaków. Żałowałam, że nie jestem jedną ze skrzydlatych istot. W każdym razie wołałam być jak najdalej od urwiska.

– Dlaczego? – spytał cicho. – Dlaczego nie mówisz mi prawdy? Jeśli i tak czytam w twoich myślach?

Ze ściśniętym gardłem wpatrywałam się we własne ręce, złączone pod brodą.

– Gdybym... – Urwałam, żeby przełknąć ślinę. – Gdybym ci powiedziała, że pozwoliłam Ludwikowi... Myślałam, że byś mi tego nie zapomniął... Może wybaczyłbyś, ale nigdy nie zapomniął... – Moje dłonie były chłodne pomimo skwaru, w żołądku zalegała kula lodu. Ale jeśli mam mu teraz powiedzieć prawdę, pomyślałam, to muszę wyznać całą prawdę.

– Gdybyś zapytał, musiałabym to wszystko rozpamiętywać, jeszcze raz przeżywać, i bałam się... – Nie miałam siły dokończyć zdania, ale on nie zamierzał dać za wygraną.

– Czego się bałaś? – dopytywał.

Lekko obróciłam głowę, tak aby nie spojrzeć mu w oczy, ale jednocześnie, żeby patrząc pod słońce, widzieć

ciemny zarys jego postaci, mający zza roziskrzonych siatki moich włosów.

– Bałam się, że ci powiem, dlaczego to zrobiłam – wyznałam cicho. – Jamie...

musiałam cię wyzwolić z Bastylii. Byłam gotowa na zastosowanie najstraszniejszych środków, by osiągnąć ten cel. Ale wtedy, oraz potem... miałam cichą nadzieję, że ktoś ci wyjawia prawdę, że sam się dowiesz. Tak bardzo gniewałam się na ciebie, Jamie... za ten pojedynek i za nasze dziecko. Oraz za to, że zmusiłeś mnie do tego... żebym poszła do Ludwika. Chciałam zrobić coś, co cię wyprowadzi z równowagi, żeby spalić między nami wszystkie mosty. Żeby już nigdy cię nie zobaczyć. Zrobiłam to... częściowo dlatego, by cię zranić – wyszeptalam.

Przy kąci ust skurczył się jeden z mięśni, ale Jamie nie przestawał patrzeć w dół na swe splecione dłonie. Przepaść między nami, nad którą na krótko zajaśniał most, znów otworzyła swą nieprzeniknioną gardziel.

– Tak. Cóż, stało się – rzekł.

Jego usta zacisnęły się w cienką linię. Przez dłuższy czas nic nie mówił. W końcu odwrócił głowę i od razu spojrzał mi w oczy. Wołałam uniknąć jego wzroku, ale nie udało się.

– Claire – odezwał się ledwie słyszalnym głosem. – Co czułaś, kiedy oddawałaś moje ciało Jackowi Randallowi? Kiedy pozwoliłem, żeby mnie wziął, w Wentworth?

Od czubka głowy aż po koniuszki palców poraził mnie dreszcz. To było ostatnie pytanie, które spodziewałam

się od niego usłyszeć. Otworzyłam usta i natychmiast je zamknęłam. Potem jeszcze kilka razy powtarzałam tę próbę, zanim znalazłam jakąś odpowiedź.

– Nie wiem... – wymamrotałam omdlałym głosem.
– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Oczywiście: gniew. Byłam wściekła, śmiertelnie zła. I chora. Bałam się o ciebie i... bardzo ci współczułam.

– Byłaś zazdrosna? Kiedy ci później powiedziałem, że mnie podniecił, choć tego nie chciałem?

Wciągnęłam do płuc dużo powietrza. Trawa kłuła mnie w piersi.

– Nie. Przynajmniej, nie wydaje mi się. Wtedy też nie myślałam, że jestem zazdrosna.

W końcu nie wyglądało na to, że pragniesz się oddać Randallowi. – Przygryzłam wargę i spuściłam wzrok. Zza ramienia słyszałam spokojny, logicznie brzmiący głos:

– Nie sądziłem, że miałaś ochotę przespać się z Ludwikiem. Chciałaś tego?

– Nie!

– No, tak – rzekł. Chwycił źdźbło trawy pomiędzy dwa kciuki i skoncentrował się na powolnym wrywaniu go z korzeniem. – Też szalałem z wściekłości. Czułem się chory i było mi przykro.

Źdźbło wyszło ze swej otoczki z cichym, piszczącym skrzypnięciem.

– Kiedy Randall zagarniał moje ciało – kontynuował, prawie szepcząc – sądziłem, że nie zniesiesz myśli o tym, i uważałem że nie będę miał o to do ciebie żalu. Wiedziałem, że musisz się ode mnie odwrócić i odepchnąć cię, żeby nie patrzeć na obrzydzenie i żal w

twoich oczach.

Zamknął powieki i uniósł źdźbło trawy. Muskał nim sobie usta.

– Ale nie chciałaś odejść. Przycisnęłaś mnie do piersi i pielęgnowałaś. Zamiast odrzucić, wyleczyłaś mnie. Kochałaś mimo wszystko.

Wziął głęboki, drżący oddech i jeszcze raz zwrócił twarz w moją stronę. W jego oczach lśniły łzy, ale żadna z nich nie spadła na policzek.

– Pomyślałem, że może mnie uda się to samo w stosunku do ciebie. Oto dlaczego w końcu przyszedłem do Fontainebleau.

Mocno zacisnął powieki, a kiedy je otworzył, oczy miał już bez łez.

– Wtedy mi powiedziałaś, że do niczego nie doszło... Przez chwilę ci wierzyłem, ponieważ tak bardzo chciałem w to wierzyć. Ale potem... Mogłem zgadnąć, Claire. Nie umiałem ukrywać tego przed samym sobą i wiedziałem, że skłamałaś. Sądziłem, że oddałaś się Ludwikowi, żeby nie stracić mojej miłości, albo... że go pragnęłaś i bałaś się, żebym tego nie odkrył.

Upuścił trawę i oparł czoło o kostki dłoni.

– Powiedziałaś, że chciałaś mnie zranić. Cóż... Myśl o tym, że spałaś z królem bolała mnie bardziej niż rozpalony metal na mojej piersi czy cięcie bicza na nagich plecach. Ale świadomość, że myślałaś, iż nie możesz być pewna mojej miłości, jest jak przebudzenie się po zdjęciu z szubienicy, by poczuć kata nóż do patroszenia flaków, wrzynający się w brzuch. Claire... – Jego usta rozwarły się bezdźwięcznie, potem mocno się zacisnęły. Po chwili

zebrał siły, by mówić dalej.

– Nie wiem, czy ta rana jest śmiertelna, ale... Claire... Kiedy na ciebie patrzę, naprawdę czuję, że krew uchodzi mi z serca.

Cisza pomiędzy nami pogłębiła się. W powietrzu wibrowało dochodzące z głębin skalnych, ledwie słyszalne brzęczenie owada.

Z kamienną twarzą, skierowaną w dół na ziemię pod nosem, Jamie wciąż przypominał skałę. Nie mogłam znieść tej gipsowej maski ani myśli o tym, co pod nią się skrywa. W wiejskiej altance widziałam cień wścieklej rozpacz, jaka szarpała jego duszą.

W moim sercu wytworzyła się dziura na myśl o tym, ile go kosztowało opanowanie takiej burzy, którą trzymał pod żelazną kontrolą. Teraz okazało się, że nie tylko wściekłość, ale również zaufanie i radość są w jego duszy obwarowane znakiem zakazu.

Desperacko pragnęłam znaleźć sposób, by zburzyć mur ciszy między nami. Chciałam, żeby dokonało się coś, co mogłoby wskrzesić prawdę naszej bliskości. Wówczas Jamie usiadł z rękami mocno splecionymi przy udach i odwrócił się, by obejrzeć spokojną dolinę.

Pomyślałam, że chyba lepsza jest burza niż ta głucha cisza. Przełożyłam rękę, jak zwodzony most ponad przepaścią, i oparłam ją na jego ramieniu.

– Jamie – szepnęłam. – Proszę.

Powoli spojrział w moją stronę. Twarz wciąż wydawała się spokojna, chociaż kocie oczy przymrużyły się mocno. W końcu wyciągnął rękę i chwycił mnie za nadgarstek.

– Czy to oznacza, że chcesz, żebym cię zbił? – spytał cicho. Żelazny uścisk zacisnął się mocno. Podświadomie drgnęłam. Usiłowałam się odsunąć od Jamiego. Ale mnie przytrzymał, przyciągnął do siebie, przewrócił na plecy, na ostrą trawę. Przyłgął do mnie całym ciałem.

Drżałam jak galareta, na moich przedramionach pojawiła się gęsia skórka, ale byłam w stanie wydobyć z siebie głos:

– Tak.

Jego wyraz twarzy był niezgłębiony. Nie spuszczać wzroku z mych oczu, Jamie wyciągnął wolną rękę, poszperał pośród kamieni, aż dotknął kępki pokrzywy. Gdy palce dotknęły kolczastych łodyg, wziął głęboki wdech, ale usta miał mocno zamknięte.

Zacisnął pięść i wyrwał rośliny z korzeniami.

– Chłopi z Gaskonii biją niewierne żony pokrzywami – oznajmił. Przybliżył do mnie piekący bukiet liści i lekko musnął nim jedną pierś. Pod wpływem nagłego ukłucia, jęknęłam. Zachłysnęłam się powietrzem. Jakby za sprawą czarów, natychmiast na moim ciele wyskoczył bladuróżowy bąbel.

– Ty też chcesz mnie do tego zmusić? – spytał. – Mam cię ukarać w ten sposób?

– Jeśli... sobie tego życzysz... – Moje usta tak bardzo drżały, że ledwie mogłam mówić. Kilka małych grudek ziemi z korzeni upadło pomiędzy moje piersi. Jedna z nich stoczyła się po żebrach, przemieszczona biciem serca. Tak myślę. Pręga na piersi parzyła mnie jak ogień. Zamknęłam oczy i szczegółowo, z całą jaskrawością

wyobrażałam sobie, co bym czuła, mając ciało obite miotłą z pokrzywy.

Nagle kleszczowy uścisk wokół mego nadgarstka rozluźnił się. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Jamie siedzi obok mnie ze skrzyżowanymi nogami, a łodygi pokrzyw są porozrzucane po ziemi. Na szerokich ustach ujrzałam przesycony żalem, delikatny uśmiech.

– Raz cię uderzyłem, żeby sprawiedliwości stało się zadość, Angielko. Wtedy groziłaś, że mnie wypatroszysz moim własnym sztyletem. A teraz mnie prosisz, żebym cię wysmagał pokrzywami? – Powoli, z namysłem pokręcił głową. Ręka, jakby niezależnie od reszty osoby, pogłaskała mnie po policzku. – Czy to znaczy, że moja duma jest aż tyle dla ciebie warta?

– Tak! Do, cholery, aż tyle jest warta! – Też usiadłam, chwyciłam go za barki i, zaskakując tym nawet siebie, pocałowałam go z całych sił.

Poczułam jego pierwsze drgnienie. Przyciągnął mnie do siebie, mocno objął ramieniem i odwzajemnił pocałunek. Potem przycisnął całym ciałem do ziemi tak, że pod ciężarem ani trochę nie mogłam się ruszyć. Szerokie barki zasłoniły jasne niebo, a ramiona przytrzymały obie moje ręce tuż przy ciele.

– W porządku – szepnął. Jasne oczy zatopiły się w moich, zmuszając mnie do patrzenia w jego głębię. – W porządku. Skoro tego chcesz, zostaniesz ukarana.

Popchnął mnie biodrami we władczym nakazie. Poczułam, że moje nogi rozchylają się dla niego, a mury ciała otwierają swe podwoje przed gwałtowną, lecz upragnioną inwazją.

– Nigdy – wyszeptał. – Nigdy. Nigdy inny prócz mnie! Spójrz na mnie! Powiedz mi!

Spójrz na mnie, Claire! – Wstrząsał mną silnymi pchnięciami. Jęczałam. Chciałam odwrócić głowę, ale on trzymał ją obiema rękami i zmuszał mnie do patrzenia na jego szerokie, słodkie usta, wykrzywione w bólu.

– Nigdy – powtórzył, tym razem ciszej. – Bo jesteś moją żoną, moim sercem, moją duszą. – Jego ciężar przytrzymał mnie nieruchomo jak głaz na mojej piersi, ale puls złączonych ciał pobudzał mnie coraz bardziej. Pragnęłam więcej. Wciąż więcej.

– Moim ciałem – powiedział, dysząc. Szarpałam się pod nim, jak gdybym pragnęła uciec, a moje plecy wygięły się w łuk i jeszcze mocniej przyłgnęły do Jamiego. Wtedy oparł się o mnie całym ciężarem i prawie się nie ruszał.

Trawa kłuła mnie i wrzynała się w plecy. Była ostra jak zapach mężczyzny, który mnie posiadał. Pojękiwałam, ponaglałam do gwałtowniejszych ruchów. Czułam, jak przygniatają mnie umięśnione uda.

– Nigdy – wyszeptał. Jego twarz znajdowała się zaledwie o dwa centymetry nad moją.

– Nigdy – powiedziałam. Odwróciłam głowę i zamknęłam oczy przed jego parzącym spojrzeniem.

Delikatna, nieodparta siła kazała mi znów zwrócić twarz w stronę Jamiego, w miarę jak rytmiczne ruchy się pogłębiały.

– Nie, moja Angielko – rzekł cicho. – Otwórz oczy. Spójrz na mnie. To właśnie jest twoja kara, podobnie jak moja. Zobacz, co ze mną zrobiłaś, tak jak ja wiem, co zrobiłem tobie. Popatrz na mnie.

Popatrzyłam. Miałam więźnia. Byłam więźniarką. Wyglądał tak, jakby zrzucił swą ostatnią maskę i pokazał mi całą swą istotę, aż po najmniejszy nerw. Widziałam wszystkie rany jego duszy. Gdybym tylko mogła, szlochałabym nad bólem Jamiego i swoim własnym. Ale jego szeroko otwarte oczy, w których nie było łez, trzymały moje na uwięzi. Jego ciało władało moim ciałem. Sterowało nim jak wiatr płynącą barką.

I tak wplýwałam w Jamiego, a on we mnie. Kiedy zaczął mną wstrząsać ostatni, najgorętszy sztorm miłości, Jamie krzyknął i oboje pokonywaliśmy wzburzone fale jako jedno ciało. Nasze oczy stały się lustrami, w których wzajemnie widzieliśmy swoje odbicia.

Popołudniowe słońce przygrzewało białe skały wapieni. Cienie padały głęboko, w rozpadliny i doliny. W końcu znalazłam to, czego szukałam. Wyrastało z wąskiej szczeliny w gigantycznym głazie, szczęśliwie znajdując tam schronienie przed palącym słońcem. Odłamałam mięsisty liść aloesu, rozłupałam go i rozsmarowałam chłodny, zielony żel na pręgach, które pozostały po pokrzywie na dłoni Jamiego.

– Lepiej? – spytałam.

– O wiele. – Jamie zgiął rękę, krzywiąc się. – Chryste! Jak te pokrzywy parzą!

– Owszem. – Rozpięłam gorset i delikatnie rozprowadziłam trochę soku z aloesu na swoich piersiach. Chłód od razu przyniósł ulgę.

– Jestem ci bardzo wdzięczna, że nie skorzystałeś z mojej oferty – powiedziałam.

Zrobiłam kwaśną minę na widok kwitnącej obok

kępki pokrzyw.

Uśmiechnął się szczerze i czule poklepał mnie po pośladkach.

– Mało brakowało, Angielko. Nie trzeba było mnie kusić. – Po chwili spowaźniał, pochylił się i delikatnie mnie pocałował. – Nie, *mo duinne*. Raz ci przysięgłem i nie żartowałem. Już nigdy nie podniosę na ciebie ręki w gniewie. Nigdy. W końcu – dodał cicho, odwracając się – sprawiłem ci aż nadto bólu.

Skuliłam się pod wpływem wspomnień, ale również musiałam mu oddać sprawiedliwość.

– Jamie – powiedziałam drżącymi ustami. – Dziecko. Ty nie zawiniłeś. Czulałam, że straciłam je przez ciebie, ale nie miałam racji. Sądzę... Sądzę, że i tak by do tego doszło, bez względu na to, czy byś walczył z Jackiem Randallem, czy nie.

– Tak? Aa... Cóż... – Otoczył mnie ciepłym, kojącym ramieniem i przycisnął moją głowę do swego barku. – Trochę mnie pocieszyłaś. Chociaż nie tyle chodziło mi o dziecko, ile o Franka. Uważasz, że mogłabyś mi to wybaczyć? – Wpatrzono we mnie niebieskie oczy były pełne niepokoju.

– Frank? – Poczułam szok zaskoczenia. – Ale... Nie ma co wybaczać. – Wtedy przez głowę przemknęła mi myśl, że może Jamie nie wie, że Randall wciąż żyje. Bądź co bądź, aresztowano Jamiego zaraz po pojedynku. Pokręcił głową. Słońce popołudnia połyskiwało w jego włosach. Nie były jeszcze wystarczająco długie, by znów można je było związać w kucyk, ale sporo urosły w więzieniu i ciągle musiał je odgarniać z oczu.

– Wiem to, Angielko – rzekł.

– Naprawdę? Ale... – Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi.

– Nie wiedziałaś... tego? – spytał z wahaniem.

Mimo żaru słońca, poczułam na plecach powiew chłodu.

– Czego nie wiedziałam?

Zagryzał dolną wargę i zerkał na mnie z ukosa. W końcu wziął głęboki wdech i z westchnieniem wypuścił powietrze.

– Nie, nie zabiłem Randalla. Ale go zraniłem.

– Tak. Luiza mówiła, że nawet bardzo zraniłeś. Ale powiedziała też, że kapitan wraca do zdrowia. – Nagle wróciłam wspomnieniem do ostatniej sceny w Lasku Bulońskim, do ostatniej rzeczy, którą widziałam, zanim mnie wchłonęła ciemność. Spiczaste ostrze szpady Jamiego przecinało zmoczone deszczem spodnie. Czerwona plama nagle przyciemniła materiał... i to trójkątne ostrze, iskrzące mocą, która pchnęła je w dół.

– Jamie! – krzyknęłam, wytrzeszczając z przerażenia oczy. – Nie zrobiłeś mu tego...

Jamie!

Spuścił wzrok. Gwałtownie pocierał swędzącą dłoń o swą spódnicę. Pokręcił głową, sam sobie się dziwiąc.

– Byłem takim głupcem, Angielko. Nie mogłem uważać się za mężczyznę i puścić drania. Musiałem wymierzyć mu karę za to, co zrobił temu małemu chłopcu, ale... Przez cały czas powtarzałem sobie: „Nie wolno ci od razu zabić sukinsyna. Obiecałeś”.

Uśmiechnął się lekko, choć bez humoru, wpatrzony

w szramy na swych dłoniach.

– Mój umysł wrzał jak garnek z owsianką na ogniu, ale trzymałem się tej myśli. „Nie możesz go zabić”. I nie zabiłem. Ale wariowałem z wściekłości. Byłem ogarnięty furją walki. Krew tętniła w mych uszach. Nie zatrzymałem się ani na chwilę, by uzmysłować sobie, dlaczego nie mogę go zabić. Pamiętałem jedynie, że ci obiecałem, iż pozostawię Randalla przy życiu. I gdy już miałem łotra przed sobą na ziemi, przypomniałem sobie więzienie Wentworth i Fergusa. Spojrzałem na wygłodniałe ostrze, które trzymałem w dłoni... – Nagle urwał.

Poczułam, że krew odpływa z mojej głowy. Usiadłam ociężale na wystającym grzbiecie skały.

– Jamie – wyszeptalam z trudem. Bezradnie wzruszył ramionami.

– Cóż, Angielko – rzekł, unikając mego wzroku. – Powiem tylko, że być zranionym w to miejsce, to trafić do piekła.

– Jezu! – Siedziałam nieruchomo oszołomiona wiadomością. Jamie usiadł cicho obok mnie i przyglądał się swoim szerokim dłoniom. Na wewnętrznej części prawej ręki wciąż widniał mały, różowy znaczek. Jack Randall wbił tam swój paznokieć, w Wentworth.

– Nienawidzisz mnie za to, Claire? – spytał cichym, prawie drżącym głosem.

Pokręciłam głową z zamkniętymi oczami.

– Nie. – Odemknęłam powieki i zobaczyłam z bliska zachmurzoną bólem twarz. – Nie wiem, co w tej chwili myślę, Jamie. Naprawdę nie wiem. Ale czuję do ciebie nienawiść. – Położyłam dłoń na jego ręce i delikatnie

ją ścisnęłam. – Tylko... pozwól, że na minutę zostanę sama, dobrze?

Znów ubrana w suknię, która zdążyła już wyschnąć, rozpostarłam palce rąk na udach.

Jedna srebrna, druga złota. Obie ślubne obrączki wciąż znajdowały się na właściwych miejscach i nie miałam pojęcia, co to oznacza.

Jack Randall nigdy już nie będzie ojcem dziecka. Jamie zdawał się tak bardzo o tym przekonany. Raczej byłam skłonna myśleć podobnie. A jednak wciąż miałam na palcu obrączkę Franka. Wciąż pamiętałam człowieka, który był moim pierwszym mężem.

W każdej chwili mogłam przywołać myśli i wspomnienia z nim związane. Zatem, jak to możliwe, żeby nie istniał?

Odrzuciłam do tyłu wysuszone przez wiatr loki. Bez względu na to, czy można zmienić przyszłość, czy też nie – a wszystko wskazywało, że jednak tego dokonaliśmy – byłam pewna, że nie mogę zmienić niedawnej przeszłości. Co się stało, już się nie odstanie. Jack Randall nie spłodzi żadnego potomka.

Jakiś kamień staczał się z pagórka za moimi plecami, podskakując i rozpryskując ziarenka żwiru. Zerknęłam w górę. Jamie, już ubrany, buszował na skale.

Na zestarzałej, brązowej od deszczu powierzchni wapienia widniały świeże, białe smugi. Tylko najmniejsze roślinki zdążyły się przyjąć na tym wyróconym kamieniu.

Resztą wzgórza okrywała solidna warstwa bujnej roślinności.

Jamie posuwał się drobnymi kroczkami przy jednej

ścianie, pochłonięty szukaniem pośród pofałdowań zrębu skalnego miejsc, których mógłby się uchwycić. Zobaczyłam, że stoi na krawędzi ogromnego głazu. Przez nieruchome, popołudniowe powietrze dobiegało mnie tylko ciche skrobanie sztyletu o skałę.

A potem Jamie gdzieś zniknął. Czekałam, aż się wyłoni. Rozkoszowałam się promieniami słońca. Ale Jamie nie zjawiał się w moim polu widzenia. Po kilku chwilach zaczęłam się denerwować. Bałam się, że może ześlizgnął się i odpadł od skały albo uderzył głową o kamień.

Wydawało mi się, że rozwiązywanie butów na obcasach trwa wieczność, a on wciąż nie wracał. Podkasałam suknię i pobiegłam w górę. Ostrożnie stawiałam bosc palce na nierównej, rozgrzanej powierzchni skały.

– Jamie!

– Tu jestem, Angielko – odezwał się zza mych pleców. Zaskoczona, o mało nie straciłam równowagi. Wziął mnie za rękę i doprowadził aż do małej, gładkiej przestrzeni pomiędzy wyszczerbionymi, zwałonymi kamieniami.

Zwrócił mnie w stronę ściany wapienia, poplamionej rdzą wodną, dymem i czymś jeszcze.

– Popatrz – powiedział cicho.

Spojrzałam na miejsce, w górze, przy gładkiej ścianie jaskini.

– Ach! – Zachłysnęłam się powietrzem.

Po ścianie skalnej nad moją głową galopowały namalowane bestie z podniesionymi ogonami. Kopytami cięły powietrze, jak gdyby chciały wzbic się w przestworza,

do światła. Bizon i sarna połączone w oszalałym locie. Na końcu zrębu skalnego leciał klucz delikatnych ptaków. Z rozpostartymi skrzydłami krążyły nad ciężkimi, uwiązanymi do ziemi zwierzętami.

Malowidła zostały wykonane w kolorach: czerwonym i czarnym, z dodatkiem ochry.

Ich autor doskonale wykorzystał strukturę skały do podkreślenia wyrazu. Piękno dzieła rzucało na kolana. Linie zadów były starannie dopracowane. Skrzydła leciały poprzez pęknięcia skały. Kiedyś żyły w mrokach jaskini, oświetlone wyłącznie płomieniem wskrzesanym przez twórcę. Upadek skał dachu, który je osłaniał, sprawił, że dosięgło je słońce i wydawało się, iż żyją, podobnie jak wszystkie istoty zamieszkujące ziemię.

Pochłonięta kontemplacją mocnych kopyt, które uciekały ze skały, nie zauważyłam, że Jamie już odszedł, dopóki mnie nie zawołał.

– Angielko! Chodź tu, proszę. – W jego głosie brzmiało coś dziwnego. Stał u wejścia małej jaskini bez sufitu i patrzył w dół.

Leżały na skale, jak gdyby znalazły tam schronienie przed pędzącym bizonem.

Były dwa. Spoczywały razem na ubitym skalnym klepisku. Kości, zakonserwowane suchym powietrzem, przetrwały, chociaż ciało już dawno zmieniło się w proch. Do jednej z czaszek przylegała niewielka pozostałość brązowego pergaminu skóry. Pasemko włosów, rude ze starości, lekko się poruszyło pod wpływem powiewu, jaki wywołaliśmy swoim przyjściem.

– Mój Boże – powiedziałam cicho, jak gdybym

mogła ich jeszcze wystraszyć.

Przybliżyłam się do Jamiego. Otoczył mnie ramieniem.

– Sądzisz, że tu zostali... zabici? Może złożeni w ofierze?

Jamie pokręcił głową. Zamyślonym wzrokiem przyglądał się małej kupce delikatnych, kruchych kości.

– Nie – odpowiedział. On też mówił półgłosem, jak gdyby znajdował się w krypcie kościoła. Obrócił się i przyłożył rękę do ściany za naszymi plecami, gdzie skakała sarna, a żurawie wzbijały się w przestrzeń.

– Nie – powtórzył. – Naród, który stworzył to dzieło... nie mógł robić takich rzeczy. – Ponownie obrócił się w stronę dwóch szkieletów, złączonych u naszych stóp. Przycupnął nad nimi i delikatnie przesunął palcem wzdłuż linii kości, tak, by nie dotknąć białej powierzchni.

– Widzisz, jak leżą? – spytał. – Nie upadli tutaj ani nie zostali przywleczeni. Sami się położyli. – Sunął dłonią ponad kośćmi ramion większego szkieletu. Ciemny cień trzepotał jak ogromna ćma, gdy ręka unosiła się nad klatką żeber.

– Obejmował ją ramionami – rzekł. – Jej uda znajdowały się pomiędzy jego nogami.

Przytulał ją do siebie. Głowa mężczyzny spoczywała na ramieniu kobiety.

Dłonią wskazywał poszczególne kości, objaśniał, zauważał szczegóły. Przyodziwał szkielety wyobrażonym ciałem tak, że mogłam ich zobaczyć takimi, jakimi byli kiedyś, gdy objęli się po raz ostatni, na zawsze. Niewielkie kości palców rozpadły się, ale ślady chrząstek wciąż

łączyły śródreżca dłoni. Malutkie człony palców obu szkieletów były ściśle ze sobą złączone. Spletli ręce w ostatnim oczekiwaniu.

Jamie wstał, by zbadać wnętrze jaskini. Późno-popołudniowe słońce malowało ściany plamami purpury i ochry.

– Patrz. – Pokazał miejsce przy wejściu do jaskini. Kamienie były tam brązowe od kurzu i ze starości, ale nie z powodu rdzy wodnej i erozji jak te, znajdujące się w głębi jaskini.

– Tu było kiedyś wejście – rzekł. – Głazy potem upadły i zamknęły dostęp powietrza do pomieszczenia.

Odwrócił się i usiadł na wystającej z gleby skale, która osłaniała kochanków cieniem.

– Pewnie, trzymając się za ręce, obmacywali wszystkie ściany dookoła – zgadywałam.

– Pośród pyłu i mroku szukali wyjścia.

– Tak. – Zamknął oczy i oparł czoło o kamień. – Zabrakło światła i powietrza.

Położyli się więc w ciemnościach, by umrzeć. – Łzy utworzyły mokre ścieżki na jego zakurzonych policzkach. Wytarłam ręką własne oczy i wzięłam go za rękę. Mocno spleśliśmy palce.

Bez słowa obrócił się w moją stronę i dysząc suchym szlochem, przycisnął mnie do piersi. Nasze dłonie błądziły po omacku w gasnącym świetle zachodzącego słońca, spragnione ciepłego dotyku i pocieszenia płynącego z żywych ciał, ponagłone twardością niewidzialnych kości, które przypomniały, jak krótkie jest życie.

LALLYBROCK

Nazwa Broch Tuarach pochodziła od starożytnej budowli z kamienia w kształcie cylindrycznym, która wznosiła się na zboczu wzgórza za dworem. Tutejsi ludzie nazywali posiadłość „Lallybroch”. To dziwne słowo oznaczało: „leniwa wieża” i zawierało mniej więcej tyle sensu i logiki, ile przypisanie strukturze cylindrycznej określenia „wieża skierowana na północ”.

– Jak coś okrągłego może być skierowane na północ? – spytałam, gdy powoli zjeżdżaliśmy po długim, wrzosowo-granitowym zboczu, prowadząc konie rzędem po wąskiej, krętej ścieżce, podeptanej przez rude, sądząc po sprężystej sierści, jelenie. – Ta wieża nie ma frontu.

– Ale ma drzwi – odparł sensownie Jamie. – I są skierowane na północ. – Gdy stok zaczął gwałtownie opadać, przyhamował. Wbił stopy w grunt i gwizdnął przez zęby, by dać znak koniowi, którego prowadził z tyłu. Umięśniony zad, który miałam przed oczami, nagle się przykurczył, a ostrożny klus zmienił się w niepewny, drobny kroczek – przestępowanie z kopyta na kopyto co kilka centymetrów. Zakupione w Inverness konie były pięknymi, zgrabnymi zwierzętami. Chude, małe szkockie kucyki o wiele lepiej by sobie poradziły z chodzeniem po zboczach górskich, ale te klacze były przeznaczone do rozmnażania się, nie do pracy.

– W porządku – powiedziałam, ostrożnie przechodząc przez malutki rów z wodą, który przecinał ścieżkę jeleni. – No dobrze. A „Lallybroch”? Dlaczego to jest „leniwa wieża”?

– Odrobinę się ślania – odparł Jamie. Widziałam tył głowy w skupieniu pochylonej nad drogą. Pasemka płoworudych włosów sterczały w różne strony ze środka głowy, podniesione wiatrem wiejącym prosto w twarz. – Z okien domu za bardzo tego nie widać, ale jeśli się stanie po zachodniej stronie, można zauważyć, że wieża jest trochę pochylona w kierunku północnym. A jeśli się na nią spojrzy przez jedno z okienek na najwyższym piętrze ponad drzwiami, to nie widzi się ściany pod tym okienkiem, ze względu na przechył.

– Cóż, przypuszczam, że chyba nikt w trzynastym wieku nie słyszał o pionach – zauważyłam. – To cud, że jeszcze nie upadła.

– Och, padała już wiele razy – powiedział Jamie nieco podniesionym głosem, ze względu na silniejszy wiatr. – Ludzie, którzy tu mieszkali, po prostu wznosili ją z powrotem. Pewnie dlatego jest pochylona.

– Widzę ją! Widzę! – Zza moich pleców odezwał się skrzeczący, podekscytowany głos Fergususa. Pozwoliliśmy mu pozostać na grzbiecie konia. Niewiele ważący dzieciak raczej nie powinien sprawić trudności wierzchowcowi pomimo śliskiego gruntu. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że chłopiec kłęczy na siodle i podskakuje z radości. Cierpliwa, dobroduszna gniada klacz tylko parsknęła. Okazała jeźdźcowi łaskę i nie strąciła go we wrzosey. Od czasu przygody w Argentanie ze źrebakiem percheronem, Fergus nie przepuścił żadnej okazji, by dosiąść konia. Jamie natomiast, rozbawiony i życzliwy wobec bratniej duszy kochającej te zwierzęta, dogadzał Fergusowi, jak mógł. Zabierał go ze sobą na przejażdżki

ulicami Paryża. Od czasu do czasu pozwalał mu nawet samodzielnie dosiadać jednego z koni Jareda. Duże, flegmatyczne stworzenia tylko ściągały uszy, dziwiąc się okrzykom i kopniakom Fergusa.

Dłonią przysłoniłam oczy, by nie raziło mnie słońce, i spojrzałam w kierunku wskazanym przez Fergusa. Chłopak miał rację. Ze swego wyższego punktu obserwacyjnego dostrzegł starą, kamienną wieżę, osadzoną na wzgórzu. Nowoczesny dwór, znajdujący się poniżej, trudniej było zobaczyć. Od zbudowanych z białego kamienia ścian odbijały się promienie słoneczne tak, jak i od otaczających wzgórz.

Położony w dolinie wśród spadzistych pól jęczmienia, był jednak zasłonięty przed naszym wzrokiem rzędem drzew, które tworzyły falochron wyznaczający granice pól.

Jamie uniósł głowę i utkwiał wzrok w Lallybroch, leżący u naszych stóp. Przez minutę stał nieruchomo, nic nie mówił. Potem rozłożył ramiona w obie strony, jak gdyby chciał ulecieć. Wiatr targał jego włosy oraz fałdy szala. Unosił je niczym radosne skrzydła.

Przypomniało mi wygięcie żagli statku, gdy zawracał wokół przylądka, by wpłynąć na szlak wodny po opuszczeniu zatoki w Hawrze. Stałam na końcu moła i przyglądałam się krzątaniu towarzyszącej handlowi, przyjmowaniu i odprawianiu transportów. Mewy nurkowały i krzyczały wśród masztów, ich głosy były równie hałaśliwe, jak krzyki żeglarzy.

Jared Munro Fraser stał przy mnie, życzliwym okiem patrząc na przepływ bogactw morskich, z których

część stanowiła jego własnością. „Portia”, jeden ze statków Jareda, miała nas zawieźć do Szkocji. Jamie powiedział mi kiedyś, że krewny nazywał okręty imionami swoich kochanek, a galeony rzeźbił w kształcie kobiecych figur. Kątem oka, pod wiatr spojrzałam na dziób, żeby sprawdzić słowa Jamiego. Jeśli rzeczywiście mówił prawdę, oznaczało to, że Jared preferował kobiety o obfitych kształtach.

– Będę tęsknić za wami – powiedział Jared po raz czwarty w ciągu pół godziny.

Wyglądał na szczerze zasmuconego. Nawet jego pogodny nos zdawał się mniej zadarty i optymistyczny niż zwykle. Podróż do Niemiec zakończyła się pełnym sukcesem: zdobył duży diament do swej kolekcji. Poza tym wyglądał świetnie. Miał na sobie aksamitny płaszcz w kolorze butelkowej zieleni, ozdobiony srebrnymi guzikami.

– Ach, cóż... – rzekł, kręcąc głową. – Bardzo chciałbym zatrzymać chłopca przy sobie, ale nie odmówię mu przecież przyjemności powrotu do domu. Może pewnego dnia przyjadę do ciebie, mój drogi. Od długiego czasu nie postawiłem stopy na szkockiej ziemi.

– Nam również będzie ciebie brakowało – powiedziałam zgodnie z prawdą.

Wiedziałam, że parę innych osób też za nami zatęskni: Luiza, matka Hildegarda, Herr Gerstmann. A przede wszystkim mistrz Raymond. Mimo to cieszyłam się, że wyjeżdżamy do Szkocji, do Lallybroch. Nie chciałam wracać do Paryża. Byli tam ludzie, których nigdy więcej nie chciałam widzieć, na czele z Ludwikiem, królem Francji.

Karol Stuart był drugi na liście osób, od których bardzo chętnie uciekałam. Ostrożny wywiad, jaki Jamie przeprowadził wśród paryskich jakobitów, potwierdził wstępne przypuszczenia: ten mały wybuch euforii, rozdmuchany dumą Karola z jego „wielkiego przedsięwzięcia”, przygasł. Co prawda, najgorliwsi zwolennicy króla Jakuba pozostali wierni swemu władcy, jednak wydawało się mało prawdopodobne, by ta wytrwała, cierpliwa lojalność mogła zamienić się w czyn.

Pomyślałam, że w takim razie, niech sobie Karol sam prowadzi spokojne życie na wygnaniu, bo nasza tułaczka właśnie się skończyła.

– Bagaże są na pokładzie – oznajmił szorstki, szkocki głos przy moim uchu. – Kapitan statku mówi, żeby pani teraz poszła ze mną. Wyruszymy z przypiływem.

Jared obrócił się w stronę Murtagha. Potem rozejrzał się na prawo i lewo po nadbrzeżu.

– A gdzie jest nasz chłopak? – spytał.

Murtagh potrząsnął głową w kierunku przystani.

– Tam, w tawernie. Upija się w sztok.

Zastanawiałam się, w jaki sposób Jamie zamierza przetrwać tę podróż. O świcie tylko spojrzął na ciężkie chmury na niebie, które straszyły sztormami, powiedział do Jareda, że musi wyjść, i zniknął. Nagle spostrzegłam Fergususa. Siedział na słupku przy wejściu do jednego ze sklepów z alkoholem. Prawdopodobnie pełnił obowiązki chłopca na posyłki.

Jared początkowo niedowierzał. Potem zdziwiony roześmiał się na wiadomość o stanie, w jakim się znajduje jego bratanek. Był z tego bardzo zadowolony.

– Ach, tak? Mam nadzieję, że zostawi choć ostatnią kwartę, kiedy po niego przyjdziemy. Bo jeśli nie, to ciężko go będzie nieść po kładce na statek.

– Dlaczego to zrobił? – spytałam zniecierpliwiona Murtagha. – Przecież mu mówiłam, że mam dla niego laudanum. – Poklepałam jedwabną torebkę u pasa.

Zwaliliby go z nóg o wiele szybciej.

Murtagh tylko mrugnął.

– No tak. Powiedział, że jeśli za chwilę nie rozboli go głowa, to z pewnością wkrótce będzie miał przyjemność z wymiotować. A zwracana whisky ma lepszy smak, niż to czarne paskudztwo. – Ruchem głowy wskazał moją szaszetkę, a potem skinął w kierunku Jareda. – Chodź, jeśli chcesz mi pomóc go tutaj przyprowadzić.

W kajucie kapitana „Portii” usiadłam na koi i patrzyłam na miarowe wznoszenie się i opadanie znikającej linii brzegu. Głowa męża spoczywała na moich kolanach jak w kołysce.

Uchylił jedno oko i spojrzał na mnie przez szparkę. Odsunęłam ciężkie, wilgotne włosy z jego brwi. Zapach imbiru i whisky unosił się nad nim jak perfumy.

– Gdy już się obudzisz w Szkocji, będziesz się czuł jak w piekle – poinformowałam Jamiego.

Otworzył drugie oko i patrzył na tańczące fale światła, które odbijało się na drewnianym suficie. Potem utkwiał wzrok we mnie.

– Pomiędzy obecnym a przyszłym piekłem zawsze wybieram to późniejsze – oznajmił spokojnym, zrównoważonym tonem. Zamknął oczy. Czknął, a potem długie ciało rozluźniło się, ukojone w kołysce głąbin.

Konie zdawały się równie ożywione, jak my. Wyczuwając bliskość stajni i paszy, zaczęły nieco przyśpieszać kroku z podniesionymi głowami i wyczekująco nastawionymi uszami.

Właśnie doszłam do wniosku, że mnie samej przydałaby się kąpiel. Nie pogardziłabym też jedzeniem. Nagle mój wierzchowiec, który lekko wyprzedzał inne, zarył kopytami w ziemię, ugrzązł po kostki w czerwonym pyłu i z poślizgiem zatrzymał się. Klacz gwałtownie potrząsnęła głową w obie strony, parskając i rżąc.

– Hej, dziewczyno, co z tobą? Szaleju się najadałaś?
– Jamie zeskoczył z siodła i pośpieszył, by chwycić klacz za uzdę. Czując, że szeroki grzbiet drga pod mną, również się zsunęłam.

– Co jej jest? – Zerknęłam z zaciekawieniem na konia. Cofał się, gdy Jamie próbował go złapać za cugle. Klacz potrząsała grzywą i strzelała oczami. Inne konie, jak gdyby zarażone niepokojem, również zaczęły tupać i wiercić się.

Jamie zerknął przez ramię na pustą drogę.

– Coś widzi.

Fergus podniósł się, rozprostował kabląkowaty kręgosłup, przyłożył dłoń do brwi i spojrział w dal. Opuścił rękę, zerknął na mnie i wzruszył ramionami.

Ja uczyniłam ten sam gest. Wokół nie było niczego, co by mogło wywołać zdenerwowanie klaczy – droga i pola świeciły pustkami. Z dala bieleły dojrzewające zboża, które suszyły się w późnoletnim słońcu. Najbliższa kępka drzew znajdowała się co najmniej sto metrów od nas, za małym

stosem kamieni, pozostałością po starym kominie. Na otwartej przestrzeni wilków chyba nie było, a już na pewno ani lis, ani borsuk nie mógł z tak dużej odległości wystraszyć konia.

Jamie dał za wygraną i przestał się przymilać do konia. Poprowadził go półkolem.

Kobyła szła dosyć posłusznie w kierunku, z którego przyszliśmy.

Mój mąż skinął głową na Murtagha, żeby sprowadził inne konie z tej drogi. Wskoczył na siodło i pochylając się, jedną ręką trzymając klacz za grzywę, powoli ją ponaglał, by postępowala naprzód. Do jej ucha cicho szeptał słowa uspokojenia. Szła niechętnie.

Wahała się, ale nie stawiała oporu, aż do momentu, kiedy dotarła do miejsca poprzedniego nagłego postoju. Tam znów się zatrzymała i stała, drżąc. Nic nie zdołało jej przekonać, by ruszyła choć o krok dalej.

– Dobrze – powiedział zrezygnowany Jamie. – Niech będzie, jak chcesz. – Obrócił głowę kobyły i skierował ją w stronę pola. Żółte kłosa muskały postrzępioną sierść na jej brzuchu. Ruszyliśmy śladem Jamiego przez łąk jęczmienia. Wierzchowce schylały głowy, by kęsem ziarna zaspokoić głód.

Gdy okrążaliśmy duży głąz, wystający z ziemi u podnóża wzgórza, usłyszałam tuż przed sobą ostrzegawcze szczeknięcie. Wyszliśmy na drogę i znaleźliśmy czarno-białego owczarka górskiego, który czuwał, gotów wypłoszyć intruzów. Z podniesioną mordą i sztywnym ogonem strzelał do nas gniewnymi oczami.

Znów ostrzegawczo warknął. Po chwili zza kępki

olch wyłoniła się podobna do niego czarno-biała sylwetka, a przy niej wysoka, smukła, czarna postać, otulona brązowym szalem myśliwskim.

– Ian!

– Jamie!

Jamie rzucił mi wodze klaczy i wyszedł na spotkanie szwagra. Na środku drogi obaj uścisnęli się po bratersku, śmiejąc się i wzajemnie poklepując po plecach. Wyzbyte podejrzeń psy radośnie dokazywały wokół mężczyzn, merdając ogonami. Od czasu do czasu odbiegały, by obwąchać nogi koni.

– Spodziewaliśmy się was najwcześniej jutro rano – mówił Ian z rozpromienioną miną.

– Wiatry nam sprzyjały – wyjaśnił Jamie. – A przynajmniej tak mówi Claire.

Osobiście na nic nie zwracałem uwagi. – Znów zerknął na mnie, śmiejąc się od ucha do ucha. Ian podszedł, by chwycić mnie za rękę.

– Szwagierko – powiedział oficjalnym tonem. Ale zaraz uśmiechnął się, a w jasnobrązowych oczach zaiskrzyły ciepłe promyki. – Claire. – Odruchowo pocałował moje palce, a ja uścisnęłam jego dłoń.

– Jenny oszalała na punkcie sprzątaniam i kucharzenia – powiedział, wciąż uśmiechając się do mnie. – Masz szczęście. Będiesz dziś świetnie spała. Jenny kazała wynieść na podwórze i wytrześć wszystkie materace.

– Po kilku nocach spędzonych na posłaniu z wrzosów chętnie się prześpię nawet na podłodze – zapewniłam. – Czy dzieci są zdrowe?

– O, tak. Następne też już w drodze – dodał. –

Urodzi się w lutym.

– Znów? – Spytaliśmy chórem, ja i Jamie. Policzki Iana okrył intensywny rumieniec.

– Matko, stary, przecież mała Maggie nie ma jeszcze roczku – powiedział Jamie i karcąco zmarszczył brwi. – Nie możesz się powstrzymać?

– Ja? – Obruszył się. – Myślisz, że mam z tym coś wspólnego?

– Cóż, jeśli nie ty, to myślę, że raczej chciałbyś się dowiedzieć kto – powiedział Jamie, wykrzywiając jeden kącik ust.

Rumieniec stał się jeszcze bardziej intensywny i przybrał kolor ciemnoróżowy, ładnie kontrastując z jasnobrązowymi włosami Iana.

– Przecież dobrze wiesz, o co chodzi – rzekł. – Przez dwa miesiące spałem z małym Jamiem na składanym łóżku, ale potem Jenny...

– Och, chcesz powiedzieć, że moja siostra jest lubieżnicą?

– Chcę powiedzieć, że w dążeniu do obranego celu jest równie uparta, jak jej brat – wyjaśnił Ian. Udał, że atakuje z boku, zgrabnie odskoczył do tyłu i wymierzył szturchańca w sam pępek Jamiego. Mój mąż zgiął się, pękając ze śmiechu.

– Dobrze, że wróciłem do domu – powiedział. – Będę cię trzymał krótko.

Jamie zmienił temat. Ruchem głowy wskazał na psy i długi kij pastuszy, rzucony w pył drogi.

– Chyba zginęło ci kilka owiec?

– Piętnaście owieczek i baran – uściślił Ian, kiwając

głową. – Stadko merynosów.

Jenny je hoduje, żeby mieć specjalną wełnę. Ten tryk to nicpoń. Połamał wrota.

Myślałem, że może tu gdzieś łążą po polu, ale ani śladu.

– Żywej duszy nie widzieliśmy po drodze, na wzgórzu – powiedziałam.

– Och, tam ich nie będzie. – Ian machnął ręką. – Żadne zwierzę nie przejdzie obok upiornej chaty.

– Chaty? – odezwał się Fergus, zniecierpliwiony wymianą powitalnych uprzejmości.

– Nie zauważyłem żadnej chaty, milordzie. Tylko górę kamieni.

– To wszystko, co zostało z siedliska MacNaba, chłopcze – wyjaśnił Ian. Spojrzał na chłopca z ukosa, mrużąc oczy przed promieniami słońca. – I lepiej zrobisz, jak będziesz się trzymać z daleka od tamtego miejsca.

Poczułam, że włos mi się jeży. Ronald MacNab był dzierżawcą, który rok temu zdradził Jamiego przed strażą; w dzień po wykryciu zdrady zapłacił za nią śmiercią.

Zginął spalony żywcem przez ludzi z Lallybroch. Stermta kamieni po kominie, niedawno jeszcze tak niewinnie wyglądająca, teraz wydawała mi się ponurym kopcem. Gorycz ścisnęła mnie za gardło.

– MacNab? – szepnął Jamie. Na twarzy od razu pojawiła się czujność. – Ronnie MacNab?

Opowiadałam Jamiemu o zdradzie MacNaba i jego śmierci, ale nie powiedziałam mu, jak to się stało.

Ian pokiwał głową.

– Tak. Zmarł tej nocy, kiedy Anglicy cię zabrali,

Jamie. Strzecha na pewno się zapaliła od iskry, a on był tak pijany, że nie zdążył wyjść w porę. – Jamie spojrzał mu prosto w oczy. Radosny nastrój znikł.

– A jego żona i dziecko? – Jamie i Ian mieli podobny wyraz twarzy: chłodny i nieprzenikniony.

– Są bezpieczni. Mary McNab pomaga u nas w kuchni, a Rabbie pracuje przy koniach. – Ian odruchowo zerknął przez ramię w stronę zgliszcz po chacie. – Mary od czasu do czasu tam zagłada. Jest jedyną osobą, która chodzi w tamto miejsce.

– W takim razie chyba jej go żal? – Jamie obrócił się w kierunku chaty, więc nie widziałam jego twarzy, ale zauważyłam napięcie mięśni pleców.

– Nie sądzę. – Ian wzruszył ramionami. – Pijak, a do tego niegodziwiec. Taki był Ronnie. Nie, ale Mary uważa, że ma obowiązek modlić się za duszę męża. Choć i tak to mu pewnie niewiele pomoże – dodał.

– Aha. – Jamie przystanął na chwilę, jak gdyby się zadumał. Potem zarzucił wodze konia na ramię i zawrócił w stronę wzgórza.

– Jamie! – zawołałam, ale on już szedł drogą pod górę, w stronę małej polany za laskiem. Oddałam lejce zaskoczonemu Fergusowi.

– Zostań tutaj z końmi – rozkazałam. – Muszę z nim iść. – Ian ruszył, by przyłączyć się do mnie, ale Murtagh pokręcił głową. Poszłam sama za Jamiem, aż do szczytu wzgórza.

Szedł długimi, energicznymi krokami starego trampa górskiego. Dotarł do polanki, zanim go dogoniłam. Stał na zewnątrz dawnej zewnętrznej ściany. Kwadratowa

powierzchnia podłogi była ledwie widoczna. Porastały ją rośliny, rzadsze niż pobliski łąn jęczmienia, bardziej zielone i dzikie, przysłonięte cieniem drzew.

Dostrzegłam małe ślady pogorzeliśka: kilka kłoców zwęglonego drewna, wystających pośród traw obok kamiennego pieca, który teraz, pozbawiony blatu, przypominał płaski, odkryty grobowiec. Ostrożnie, tak żeby nie przekroczyć granicy wyznaczającej wnętrze, Jamie zaczął okrążyć pozostałości domu. Kilkakrotnie obszedł kamienny komin. Zawsze szedł w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara: w lewo. I znów w lewo, tak by przekląć wszelkie zło, które mogłoby za nim podążać.

Stałam z boku i patrzyłam. To była osobista konfrontacja, ale nie chciałam, żeby stawił jej czoło w osamotnieniu. Chociaż nie zerkał w moją stronę, wiedziałam, że jest mi wdzięczny za dotrzymanie towarzystwa.

W końcu przystanął przy stosie zwalonych kamieni. Wyciągnął rękę i delikatnie ją położył na kupie gruzu. Na moment zamknął oczy, jak gdyby się modlił. Potem schylił się, podniósł kamień wielkości pięści i starannie go ułożył na gromadce, jak gdyby ten gest mógł przynieść ulgę niespokojnej duszy zmarłego. Przeżegnał się, odwrócił i pewnym, miarowym krokiem ruszył w moją stronę.

– Nie odwracaj się – powiedział cicho, wziął mnie za ramię i poprowadził ku drodze.

Posłusznie zastosowałam się do polecenia.

Jamie, Fergus i Murtagh poszli z Ianem i psami, by poszukać owiec. Zostawili mnie, żebym sama doprowadziła konie do domu. Nie byłam biegłą w pracy stajennego, ale

myślałam, że trzymając w ręku lejce, przez kilometr dam radę poprowadzić wierzchowce, o ile nic ich nagle nie wystraszy.

Nasz pierwszy przyjazd do Lallybroch wyglądał zupełnie inaczej. Wtedy oboje mieliśmy za sobą lot. Ja z przyszłości, natomiast Jamie z przeszłości. Pobyt w posiadłości był wówczas szczęśliwy, jednak pełen napięcia i niebezpieczeństw. Zawsze istniało ryzyko, że nas znajdą i aresztują Jamiego. Teraz, dzięki interwencji księcia Sandringham, Jamie posiadał prawo pierworództwa, ja zaś – swoje miejsce przy nim jako jego pełnoprawna małżonka.

Wtedy zjawiliśmy się w wymiętych, brudnych ubraniach, rozczochrani, jako nieoczekiwani goście. Gwałtownie zakłóciliśmy spokój wiejskiego dworku. Tym razem, zgodnie z etykietą, uprzedziliśmy o swoim przyjeździe i ceremonialnie przybyliśmy, przywożąc prezenty z Francji.

Co prawda, wiedziałam, że spotkamy się z serdecznym przyjęciem, ale nie byłam pewna, jak Ian i siostra Jamiego – Jenny – zareagują na fakt naszego powrotu na stałe.

Bądź co bądź mieszkali tutaj jak dziedzic z dziedziczką, przez kilka lat, od śmierci ojca Jamiego oraz strasznych wydarzeń, które skazały mego męża na los banity i wygnança.

Bez problemu weszłam na szczyt ostatniego wzgórza. Dworek wraz z przyległymi budynkami leżał u moich stóp. Łupkowe dachówki pociemniały, bo niebo zasnuły zbierające się stada ciemnych chmur. Nagle moja klacz zerwała się. Walczyłam, by wyniku jej szalonych

podskoków i szarpnięć nie stracić kontroli nad wodzami.

Szybko zrozumiałam zachowanie konia. Zza rogu domu wyłoniły się dwa ogromne, puchate obiekty. Toczyły się po ziemi jak pulchne obłoczki.

– Przestań! – krzyknęłam. – Prrr! – Już wszystkie konie wyrwały mi się i uskakiwały w bok. Brakowało zaledwie kilku centymetrów, aby mnie stratowały.

Świetny powrót do domu, pomyślałam. Tylko tego brakowało, żeby wszystkie nowe klacze zarodowe – początek stada Jamiego – za jednym zamachem połamały sobie nogi.

Jeden z „obłoków” nieco się uniósł i jak długi opadł na ziemię. Jenny Fraser-Murray upuściła na trawę puchowy materac, który dźwigała i wybiegła na drogę, falując czarnymi lokami.

– Prrr! – rozkazała. Koń, najwyraźniej rozpoznając głos autorytetu, posłuchał.

Uspokojenie pozostałych klaczy nie stanowiło już problemu. Zanim zeszałam z siodła, dołączyła do nas jeszcze inna kobieta, z chłopcem w wieku około dziesięciu lat. Dzieciak doświadczoną ręką poradził sobie z resztą zwierząt.

Rozpoznałam małego Rabbie’ego MacNaba. Wydedukowałam, że kobieta przy nim, to pewnie jego matka – Mary. Krzątania i zamęt wokół koni, tobołów i materaców uniemożliwiły dłuższe rozmowy, ale miałam czas na krótki, powitalny uścisk z Jenny.

Pachniała cynamonem, miodem oraz świeżym potem z nutką zapachu niemowlęcia, czyli woni wyplutego mleka, miękkiego stolca i sterylnej czystości świeżej,

gładkiej skóry.

Przez moment trwałyśmy w objęciach. Przypomnialiśmy sobie nasz ostatni uścisk, kiedy rozstawaliśmy się na obrzeżach ciemnego lasu, w nocy. Ja miałam wyruszyć na poszukiwanie Jamiego, ona wracała do swej nowo narodzonej córeczki.

– Jak się miewa mała Maggie? – spytałam, w końcu odrywając się od Jenny.

Gospodyni zrobiła skrzywioną, lecz dumną minę.

– Właśnie zaczęła chodzić i przewraca dom do góry nogami. – Rzuciła okiem na pustą drogę. – Spotkaliście Iana, prawda?

– Tak. Jamie, Murtagh i Fergus poszli z nim szukać owieczek.

– Dobrze, że nam nie kazali przetrząsać okolic. – Machnęła ręką w stronę nieba. – Lada chwila może zacząć padać. Niech Rabbie wstawi konie do stajni, a ty chodź i pomóż mi przy materacach. Inaczej wszyscy będziemy spać na mokrych posłaniach.

Potem nastąpiła gorączka krzątany, ale kiedy spadł deszcz, Jenny i ja byłyśmy już w przytulnym zaciszu salonu. Rozpakowywałyśmy przywiezione z Francji bagaże i podziwialiśmy wzrost oraz szybki rozwój Maggie – żwawej panienki w wieku około dziesięciu miesięcy, z okrągłymi, niebieskimi oczami i burzą loczków na głowie.

Zachwycaliśmy się też jej starszym bratem – Jamiem, czteroletnim łobuziakiem. Kolejny maluch, który wkrótce miał dołączyć do ich grona, na razie był zaledwie małą piłeczką pod fartuchem mamy. Jenny od czasu do czasu troskliwie głaskała brzuch. Widząc to, poczułam

lekkie ukłucie w piersiach.

– Wspomniałaś o kimś, kto nazywa się Feregus – napomknęła podczas rozmowy. – Kto to taki?

– Och, Fergus? On jest... tym... no... – Zawahałam się. Nie wiedziałam, jak określić chłopca. Perspektywy zatrudnienia złodzieja kieszonkowego na farmie były raczej ograniczone. – To pomocnik Jamiego.

– Ach, tak? Cóż, mam nadzieję, że się zgodzi spać w stajni – powiedziała zrezygnowana Jenny. – A jeśli już mowa o Jamie. – Wyjrzała przez okno na strugi deszczu płynące na ziemię. – Liczę na to, że wkrótce znajdą owce. Przygotowałam dobry obiad i nie chcę, żeby się zmarnował, zanim tu dotrą.

Faktycznie, zapadł zmrok. Mary MacNab zastawiła stół przed powrotem mężczyzn.

Obserwowałam tę niską, drobną kobietę. Jej lekko zmartwione spojrzenie przerodziło się w uśmiech, gdy wygłodniały Rabbie wrócił ze stajni i przyszedł do kuchni na obiad.

– Kiedy wrócą mężczyźni – zwróciła się Mary do chłopca – wiesz, co masz robić. Idź i się wykup, żebyś był gotów.

Gdy przedstawiciele płci męskiej wreszcie zakończyli poszukiwania, wydawało się, że o wiele bardziej niż Rabbie potrzebują kąpieli. Przemoczeni deszczem, wyczerpani, w błocie po kolana powoli przywlekli się do salonu, zostawiając za sobą ślady. Fergus, wycieńczony przyuczaniem się do pracy na farmie, po prostu usiadł tam, gdzie stał, wpatrywał się w podłogę pomiędzy swymi nogami.

Jenny spojrzała na brata, którego nie widziała prawie rok. Obrzuciła go wzrokiem od ociekających wodą włosów po ubłocone nogi i... wskazała mu drzwi.

– Wynocha z tymi butami – powiedziała stanowczym tonem. – I kiedy wracasz z pól na wzgórzach, przed wejściem do domu nie zapomnij nasikać na bok ościeżnicy. To chroni przed nawiedzeniem domu przez złe duchy – wyjaśniła mi przyciszonym głosem.

Zerknęła na drzwi, w których zniknęła Mary MacNab, by przynieść obiad.

Jamie opadł na krzesło, otworzył jedno oko i obdarował siostrę ciemnobłękitnym spojrzeniem.

– Dopłynąłem do Szkocji na pół martwy po ciężkim rejsie. Potem cztery dni jechałem konno przez wzgórze, a kiedy przyjeżdżam, nawet nie mogę wejść do domu, by zwilżyć wysuszone gardło kropelką wody. Zamiast tego biegam po błocie w poszukiwaniu zaginionych owiec. I kiedy wreszcie docieram do środka ciepłego domostwa, znów mnie wysyłasz na podwórko, żebym po ciemku sikał na słupy u drzwi. Coś takiego! – Zamknął oko, skrzyżował ręce na brzuchu i rozsiadł się wygodniej na krześle.

– Jamie, moje słoneczko – zaszczębiotała słodko siostra. – Chcesz swój obiad, czy mam go oddać psom?

Przez moment trwał w bezruchu z zamkniętymi oczami. Potem bezradnie westchnął, zrezygnowany, i z trudem stanął na nogi. Skrzywiony chwycił Iana za ramię i razem poszli w ślady Murtagha, który już był za drzwiami. Przechodząc obok Fergususa, Jamie złapał sennego chłopca za długą rękę, postawił na nogi i pociągnął za sobą.

– Witaj w domu – rzekł markotnym tonem.

Tęsknym spojrzeniem obrzucił ogień w kominku i whisky. Potem począpał w mrok podwórza.

31

POWOŁANIE

Po niefortunnym powrocie do domu, sprawy się szybko ułożyły. Lallybroch pochłonęło Jamiego od razu, zupełnie jakby nigdy nie wyjeżdżał. Ja bez wysiłku zajmowałam się codziennymi obowiązkami gospodarskiego życia. Jesień okazała się bardzo kapryśna. Wprawdzie często padało, ale jasne, piękne dni sprawiały, że dusza chciała śpiewać.

Cała posiadłość kipiała życiem – wszyscy się spieszyli; nastąpiła pora zbiorów i należało poczynić przygotowania do nadchodzącej zimy.

Lallybroch było zacofane, nawet jak na gospodarstwo górskie. Mimo że nie prowadziła tu żadna droga, to jednak listonosz przynosił nam pocztę przez turnie i wrzosowiska. Jedyne dzięki niemu mieliśmy łączność ze światem. W moim umyśle ten świat czasami wydawał się nierealny, zupełnie jakbym nigdy nie tańczyła wśród luster Wersalu. Jednakże listy przypominały o Francji. Kiedy je czytałam, niemal widziałam topole rosnące wzdłuż rue Temoullins i słyszałam niosące się echem bicie dzwonu katedralnego, który znajdował się nad L'Hopital des Anges.

Dziecko Luizy przyszło na świat bez komplikacji. Syn. Jej listy, pełne wykrzykników i podkreśleń, obfitowały w przesłodzone opisy anielskiego Henry'ego. O jego ojcu, domniemanym czy rzeczywistym, nie było żadnej wzmianki. Karol Stuart w liście, który przyszedł miesiąc

później, nie wspominał nic o potomku. Jak twierdził Jamie, pismo księcia stanowiło jeszcze większą niż zazwyczaj płataninę mglistych planów i mrzonek.

Hrabia Mar natomiast pisał rzeczowo i powściągliwie, ale nie zdołał ukryć swojej złości na Karola. Urodziwy książę nie umiał się zachować. Był niegrzeczny i apodyktyczny wobec najwierniejszych zwolenników, ignorował tych, którzy mogli mu być pomocni, obrażał różnych dostojników, mówił z wściekłością i – co dało się wyczytać między wierszami – przesadzał z pićem. Biorąc pod uwagę powszechny pociąg ówczesnych mężczyzn do napojów alkoholowych, pomyślałam, że zachowanie Karola musi być rzeczywiście wyzywające, skoro daje powód do takich komentarzy. Przypuszczam, że fakt narodzin syna mimo wszystko nie uszedł jego uwagi.

Matka Hildegarda pisała od czasu do czasu krótkie, skreślone w kilka minut notatki o charakterze informacyjnym, które równie dobrze mogły być urywkami jej planu dnia.

Każdy list kończył się tym samym dopiskiem: „Bouton załącza wyrazy szacunku”.

Mistrz Raymond wprowadził ze mną nie korespondował, ale niekiedy dostawałam paczkę, nie podpisaną i nie oznaczoną, w której znajdowały się dziwne rzeczy: rzadkie zioła i małe szlifowane szkiełka czy kolekcja gładkich kamieni w kształcie krążka, wielkości paznokcia u kciuka Jamiego. Na każdym z kamyków wyryta była maleńka figurka, niektóre miały jeszcze podpis na górze lub z drugiej strony. Otrzymałam też kości – niedźwiedzi palec z okazałym zawiniętym pazurem.

Ponadto kręgosłup małego węża, zamocowany na skórzanym rzemyku tak, że cały sznur wyginał się w naturalny sposób. Uzębienie w pełnej krasie – od sznurka zaokrąglonych zębów kołkowatego kształtu, foczych – jak twierdził Jamie – przez obdarzone wydatną koroną, ostro zakończone zęby jelenia, do czegoś, co przypominało ludzki ząb trzonowy.

Czasem nosiłam kilka gładkich, rzeźbionych kamieni w kieszeni i bawiłam się nimi, obracając je w dłoni. Były stare – to wiedziałam na pewno. Pochodziły co najmniej z czasów rzymskich, a może jeszcze wcześniejszych. Z ich wyglądu wnioskowałam, że ktokolwiek je rzeźbił, robił to z myślą, by były czarodziejskie. Nie wiedziałam, czy miały rzeczywistą moc jak zioła, czy też stanowiły jedynie symbolem jak znaki kabały.

W każdym razie były ładne, więc je zatrzymałam.

Z codziennych zajęć, które do mnie należały, najbardziej lubiłam długie wyprawy do różnych domków na terenie posiadłości. Na wędrówki zawsze zabierałam ze sobą wielki kosz, w którym znajdowały się różności: odżywki dla dzieci, najpotrzebniejsze lekarstwa.

Proszono o nie bardzo często. Ludzie masowo chorowali głównie z powodu biedy i braku higieny, a na północ od Fort William czy na południe od Inverness nie było lekarzy.

Z częścią dolegliwości radziłam sobie bez trudu, na przykład z krwawieniem z dziąseł i wykwitami na skórze typowymi dla łagodnej postaci szkorbutu. O leczeniu niektórych schorzeń nie miałam nawet pojęcia.

Położyłam rękę na głowie Rabbiego MacNaba. Bujna czupryna była mokra przy skroniach, otwarta szczęka zwisała luźno, krew pulsowała powoli.

– Już się czuje dobrze – powiedziałam. Jego matka również to widziała. Leżał wyciągnięty, zatopiony w spokojnym śnie, z policzkami rozpalonymi od gorąca bijącego z kominka. Kiedy przekonała się o tym na własne oczy, jej napięte ramiona gwałtownie opadły pod szalem.

– Dzięki Matce Najświętszej – wyszeptała Mary MacNab i przeżegnała się pośpiesznie. – I pani – dodała.

– To nie moja zasługa – zaprotestowałam zgodnie z prawdą. Mogłam jedynie przysłużyć się młodemu Rabbieemu tym, że nakłoniłam jego matkę, by zostawiła go w spokoju. Prawdę mówiąc, kosztowało mnie nieco wysiłku, by odwieść ją od pomysłu wciskania w syna otrębów zmieszanych z kogucią krwią, wachlowania mu przed nosem płonącymi piórami czy polewania go zimną wodą. Nie słyszałam, żeby któryś z tych zabiegów zalecano w przypadku ataku epilepsji. Kiedy się zjawiłam, matka Rabbiego rozpaczła, że nie miała możliwości zastosowania najskuteczniejszego środka: źródlanej wody podanej do wypicia w czasie samobójcy.

– Jego ataki mnie przerażają – wyznała Mary MacNab, wpatrując się w łóżko chorego dziecka. – Ostatnim razem wezwałam ojca MacMurtriego. Modlił się długo i skropił chłopaka wodą święconą, żeby wygonić złe duchy. Ale znowu wróciły. – Zacisnęła mocno ręce. Chciała dotknąć syna, ale nie mogła się na to zdobyć.

– To nie złe duchy, tylko choroba – wyjaśniłam. – I to wcale nie taka straszna.

– Och, moja pani, proszę tak nie mówić – wyszeptwała bez przekonania kobieta.

– Będzie dobrze – starałam się uspokoić panią MacNab. – Zawsze dochodzi do siebie po tych napadach, prawda?

Ataki pojawiły się dwa lata temu – prawdopodobnie na skutek urazu głowy po laniu, które sprawił dziecku świętej pamięci ojciec, pomyślałam. Mimo że zdarzały się sporadycznie, śmiertelnie matkę przerażały.

Pokiwała głową niedowierzająco, zupełnie nie przekonana.

– Aj... przecież kiedyś rozwali sobie głowę przez to upadanie.

– Owszem, istnieje takie niebezpieczeństwo – stwierdziłam spokojnie. – Jeżeli atak się powtórzy, proszę odsunąć syna od twardych przedmiotów i zostawić samego. Wiem, że nie wygląda to przyjemnie, ale niech mi pani wierzy, że wszystko będzie dobrze.

Trzeba poczekać, aż napad minie, i wtedy położyć chłopca do łóżka i dać mu się wyspać.

– Wiedziałam, że moje słowa, choć słuszne, nie mają dla niej większego znaczenia. Żeby ją przekonać, należało znaleźć bardziej konkretny argument.

Kiedy odwróciłam się do wyjścia, na dnie kieszeni mojej spódnicy coś cicho plasnęło.

Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł. Zanurzyłam rękę i wyciągnęłam trzy małe, gładkie czarodziejskie kamienie od Raymonda. Wybrałam mlecznobiały, być może chalcedon, z wrytą po jednej stronie małą figurką skracającego się mężczyzny. A więc

do tego to służy, pomyślałam.

– Proszę to zaszyć w kieszeni Rabbiego – powiedziałam i ceremonialnie włożyłam kobiecie do ręki mały amulet. – Ustrzeże go przed... złymi duchami. – Odkaslnęłam. – I już nie musi się pani martwić o syna. Nawet jeśli atak się powtórzy, wyjdzie z niego cało.

Opuszczałam dom z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony uważałam się na wyjątkową kretynkę, po części natomiast byłam zadowolona z powodzi żarliwych podziękowań. Nie miałam pewności, czy staję się coraz lepszym lekarzem, czy po prostu bardziej doświadczonym szarlatanem. Jednak, skoro nie mogłam zrobić wiele dla Rabbiego, pomogłam przynajmniej jego matce, a raczej dałam jej szansę, by pomogła samej sobie. Wyzdrowienie następuje dzięki zdrowiejącemu, a nie lekarzowi, tego nauczył mnie Raymond.

Tego dnia czekały mnie jeszcze inne obowiązki. Udałam się do dwóch domków położonych na zachodnim krańcu posiadłości. U rodzin Kirbysów i Weston Frasersów wszystko było w porządku. Wkrótce wracałam więc do domu. Usiadłam na skarpie pod rozłożystym bukiem, żeby odpocząć przed długą drogą powrotną. Słońce miało się ku zachodowi, ale nie znalazło się jeszcze na wysokości sosen, rosnących na zboczu góry po zachodniej stronie Lallybroch. Późnego popołudnia świat mienił się kolorami dojrzałej jesieni.

Czułam pod sobą zimne i śliskie liście buku, jednak spora ich część – pożółkła i poskręcana – nadal znajdowała się na drzewie. Oparłam się o gładki pień i zamknęłam oczy. Pod powiekami jasny blask pól dojrzałego jęczmienia

zmienił się w ciemnoczerwony żar.

Ciasnota chłopskich domów przyprawiła mnie o ból głowy. Oparłam czoło o gładką korę brzozy. Zaczęłam głęboko i spokojnie oddychać, tak żeby świeże powietrze dotarło głęboko do płuc, a organizm mógł rozpocząć „dostrajanie się”.

To była moja własna, niedoskonała próba osiągnięcia tego, co mistrz Raymond pokazał mi kiedyś w L'Hopital des Anges – wyobrażając sobie dokładnie, jak wygląda i czuje się każdy zdrowy organ i układ wewnętrzny ciała, ogarniałam poszczególną cząsteczkę mojego organizmu.

Siedziałam cichutko. Trzymałam ręce na udach i wsłuchiwałam się w rytm serca.

Gwałtowne łomotanie spowodowane wysiłkiem wspinania szybko zmieniło się w równomierne bicie. Jesienny wiatr zwał mi kosmyki włosów z szyi i ochłodził rozpalone policzki.

W wyobraźni śledziłam drogę, jaką pokonuje we mnie krew. Swój bieg zaczyna od grubościennych komór serca. Fioletowa w tętnicy płucnej, szybko czerwienieje dzięki pęcherzykom płuc, które tłoczą w nią spore dawki tlenu, potem wypływa gwałtownie przez łuk aorty, pędzi dalej w górę, w dół i rozchodzi się tętnicami aż do najmniejszych naczyń włoskowatych pod skórą. Cały czas myślałam o doskonałości, zdrowiu i spokoju.

Siedziałam omdlała i ociężała. Oddychałam powoli, jakbym dopiero co przeżyła akt miłosny. Miałam wrażenie, że moja skóra jest cienka, a usta są lekko spuchnięte. Dotyk ubrania przypominał muśnięcie rąk Jamiego. Nie przez

przypadek przywołałam imię męża, by dojść do siebie. Niezależnie od tego, czy chodziło o zdrowie fizyczne, czy psychiczne, miłość do niego była mi równie potrzebna, jak oddech czy krew. Moje myśli na jawie i we śnie biegły do Jamiego. Gdy go odnajdowałam, czułam się szczęśliwa.

Rozpalone ciało było spragnione jego ciałą.

Ból głowy minął. Siedziałam jeszcze chwilę. Potem wstałam i zaczęłam schodzić ze wzgórza w kierunku domu.

Właściwie nigdy nie miałam domu. W wieku pięciu lat zostałam sierotą, a potem przez trzynaście lat dzieliłam z wujem Lambem życie akademickiego włóczęgi. Quentin Lambert Beauchamp, magister nauk ścisłych, doktor nauk humanistycznych, członek Akademii Nauk, w namiotach na piaszczystych równinach, w jaskiniach górskich, w komnatach opuszczonej piramidy, prowadził serie obozów archeologicznych, które przysporzyły mu sławy na długo przed tym, jak wypadek samochodowy położył kres życiu brata, a moje związał z jego. Wuj nie był z natury drobiazgowy. Nie wdawał się w zbędne szczegóły, jakim na przykład jest osierocona bratanica. Postanowił więc umieścić mnie od razu w szkole z internatem.

A ja, jako że nie należę do ludzi, którzy przyjmują zrządzenia losu bez walki, stanowczo się postawiłam. Wuj Lamb wzruszył ramionami i pod wpływem impulsu zabrał mnie na zawsze ze świata porządku i rutyny, rachunków, czystych prześcieradeł i codziennych kąpieeli – po to, abym mogła towarzyszyć mu we włóczęgostwie.

Wędrownie życie prowadziłam również potem z Frankiem. Zmienił się tylko krajobraz. Pola zostały zastąpione uniwersytetami, bo historyk zwykle

przeprowadza badania w czterech ścianach. Wybuch wojny w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku wprowadził zatem w moje życie mniej zamieszania niż w losy innych.

Przeprowadziłam się z ostatnio wynajmowanego przez nas mieszkania do hotelu dla młodych pielęgniarek przy szpitalu Pembroke. Stamtąd przeniosłam się do punktu medycznego na froncie we Francji i wróciłam znowu do Pembroke przed końcem wojny.

Potem spędziłam kilka krótkich miesięcy z Frankiem, z którym szukaliśmy się przed przyjazdem do Szkocji. Odnaleźliśmy się po to tylko, by stracić się na zawsze w ciągu jednej chwili, kiedy podeszłam do kamiennego kręgu i wylądowałam po drugiej stronie, w przeszłości.

Dość dziwnie, ale i cudownie było obudzić się w sypialni na piętrze w Lallybroch obok Jamiego i uświadomić sobie, że on się w tym łóżku urodził. Wszystkie dźwięki domu – skrzypienie kuchennych schodów pod stopami służącej, która wcześniej wstaje, czy bębnienie deszczu o dachówki – były odgłosami, które Jamie słyszał wcześniej tysiące razy. Tak często, że już ich nie zauważał. Ja, owszem.

Jego matka, Ellen, hodowała przed wejściem późno kwitnące krzewy róż. Ich delikatny, przejmujący zapach jeszcze wślizgiwał się przez okno do sypialni. Wznosił się po ścianach domu. Zupełnie, jakby ona sama wyciągała rękę, by musnąć syna w przelocie. I aby dotknąć również mnie, na powitanie.

Lallybroch to nie tylko dom, lecz także pola,

stodoły, wioska i zagrody. Jamie łowił ryby w strumyku, który spływa z gór, wspinał się na dęby i wdrapywał na modrzewie. To było jego miejsce.

Jednak on również przeżył zamieszanie i zmianę. Aresztowanie, banicja, samotne życie najemnego żołnierza. Ponownie aresztowanie, więzienie i tortury, a w końcu wygnanie. Ale pierwsze czternaście lat życia spędził w jednym miejscu. Nawet nauka u brata matki, Dougala MacKenziego – według zwyczaju – nie była zaskoczeniem dla młodego mężczyzny, który miał później wrócić na zawsze na swoją ziemię, by dbać o nią i jej mieszkańców, stanowić część większego organizmu. Jamiemu pisana była stałość.

Nadszedł jednak okres nieobecności i przeżyć, które wykraczały poza granice Lallybroch, a nawet poza skaliste wybrzeża Szkocji. Jamie rozmawiał z królami, zetknął się z prawem i handlem. Doświadczył przygody, przemocy i magii. Czy przeznaczenie miało moc zatrzymać go w jednym miejscu, skoro przekroczył granice domu?

Schodząc ze wzgórza, zobaczyłam Jamiego w dole. Naprawiał pęknięcie w kamiennej zaporze, która odgradzała jedno z mniejszych pól. Obok niego na ziemi leżała para wypatroszonych królików, jeszcze w skórze.

– „Żeglarzem jest dom widziany z morza, a domkiem myśliwskim ze wzgórza” – zacytowałam, z uśmiechem stając u boku męża.

Odwzajemnił uśmiech, otarł pot z czoła, a potem udał, że się wzdryga.

– Nawet nie wspominaj przy mnie o morzu, Angielko. Rano zobaczyłem, jak dwie mizerne kobiety

spławiąły strumieniem kawał drzewa, i śniadanie podeszło mi do gardła na ten widok.

Roześmiałam się.

– A więc nie spieszo ci wracać do Francji?

– Na Boga, nie. Nawet na brandy. – Położył ostatni kamień na murze. – Idziesz do domu?

– Tak. Zabrać króliki?

Pokręcił głową i schylił się po martwe zwierzęta.

– Nie ma potrzeby. Ja też wracam. Trzeba pomóc Ianowi przy nowej piwnicy na ziemniaki.

Pierwsze zbiory ziemniaków w historii Lallybroch miały się odbyć za kilka dni, więc – za moją nieśmiałą radą laika – kopano mały dół do ich przechowywania. Na pole ziemniaczane patrzyłam z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony odczuwałam ogromną dumę, widząc dorodne, liściaste rośliny. Z drugiej, ogarniała mnie panika na myśl o tym, że przetrzymanie zimy przez sześćdziesiąt rodzin zależy od tego, co znajduje się pod ziemią. Prawie rok temu, na polu leżącym odłogiem posadzono ziemniaki, których dotąd w górach nie uprawiano.

Wiedziałam, że z biegiem czasu ziemniaki, bardziej wytrzymałe niż owies czy jęczmień, będą stanowiły ważną część górskich upraw. Jednak wiedza zaczerpnięta wiele lat temu z podręcznika do geografii to jedno, a wzięcie na siebie odpowiedzialności za życie ludzi, którzy będą spożywali swoje zbiory, to drugie.

Zastanawiałam się, czy ponoszenie ryzyka za innych przychodziło łatwiej dzięki praktyce. Jamie rutynowo zarządzał sprawami posiadłości i dzierżawców. Bo, oczywiście, był do tego stworzony.

– Skończycie niedługo tę piwnicę na ziemniaki?

– Tak. Ian wstawił już drzwi, a dół jest prawie wykopany. Z tyłu pozostało jednak trochę miękkiej ziemi. Kiedy Ian tam stanie, jego kołkowa noga grzęźnie do połowy. – Ian nieźle sobie radził z drewnianą protezą, która zastępowała mu dolną część prawej nogi. Zdarzały się jednak sytuacje szczególnie uciążliwe dla kaleki.

Jamie obejrzał się z namysłem za siebie.

– Musimy skończyć schowek dziś przed wieczorem. Znowu lunie przed świtem.

Odwróciłam się i podążyłam za wzrokiem Jamiego. Nie zobaczyłam na zboczu nic szczególnego poza trawą, wrzosem, paroma drzewami i granitowymi skałkami, które wychylały z poszycia ostre grzbiety.

– Skąd, do diabła, to wiesz?

Uśmiechnął się i wskazał brodą szczyt wzgórza.

– Widzisz ten mały dąb? I jesion obok?

Zmieszana rzuciłam okiem na drzewa.

– Widzę. I co?

– Liście, Angielko. Te dwa drzewa są jaśniejsze niż zwykle. Kiedy powietrze jest wilgotne, liście dębu czy jesionu skręcają się tak, że widać spodnią stronę. Całe drzewo jaśnieje wtedy o kilka odcieni.

– Pewnie tak – powiedziałam, powątpiewającym tonem. – Pod warunkiem, że wiesz, jaki jest ich zwykły kolor.

Jamie roześmiał się i wziął mnie pod ramię.

– Może i nie mam słuchu do muzyki, Angielko, ale na bystrość wzroku nie narzekam.

A widziałem te drzewa z dziesięć tysięcy razy, przy

każdej możliwej pogodzie.

Z pola na farmę był spory kawałek drogi. Większość odległości przebyliśmy w milczeniu. Rozkoszowaliśmy się delikatnym ciepłem popołudniowego słońca na naszych plecach. Wzięłam głęboki oddech. Stwierdziłam, że Jamie chyba trafnie przepowiedział pogodę. Przed deszczem wszystkie jesienne zapachy były bardziej intensywne – ostry aromat żywicy sosnowej, mdła woń dojrzałego zboża. Pomyślałam, że staję się coraz bardziej wrażliwa na dźwięki, obrazy i zapachy Lallybroch. Może kiedyś zaznajomię się z nimi tak jak Jamie. Delikatnie ścisnęłam jego ramię. Jamie odwzajemnił uścisk.

– Tęsknisz za Francją, Angielko? – odezwał się nagle.

– Nie – odpowiedziałam zaskoczona. – Dlaczego pytasz?

Wzruszył ramionami. Nie patrzył na mnie.

– Kiedy cię zobaczyłem, jak schodzisz ze wzgórza z koszem na ramieniu, słońce pięknie się odbijało w twoich brązowych włosach. Wyglądałaś tak, jakbyś tu dorastała niczym jedno z tych młodych drzew; jakbyś od zawsze była częścią tego miejsca. A potem zdałem sobie sprawę, że dla ciebie Lallybroch może być tylko biedną, zapadłą dziurą. To nie jest wielki świat jak Francja. A praca nie tak interesująca jak ta w szpitalu. – Spojrzał na mnie nieśmiało. – Chyba się martwię, że kiedyś ci się to wszystko znudzi.

Odpowiedziałam dopiero po chwili, bo nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam.

– Kiedyś – powiedziałam ostrożnie – Jamie, wiele

widziałam w życiu. Tam, skąd przybyłam, były rzeczy, za którymi czasem tęsknię. Chciałabym przejechać się londyńskim omnibusem albo zadzwonić przez telefon do kogoś z daleka. Chciałabym po prostu móc przekręcić kurek z wodą, a nie nosić ją ze studni i podgrzewać w kotle.

Chciałabym mieć to wszystko, ale potrafię się bez tego obejść. A co do wielkiego świata...

Nie pociągał mnie nawet wtedy, gdy w nim żyłam. Nie mam nic przeciwko ładnym ciuchom, ale jeżeli w parze z nimi idą plotki, intrygi, zmartwienia, idiotyczne przyjęcia i bzdurne zasady etykiety... nie. Wolę żyć po swojemu i mówić, co myślę.

Zaśmiała się, a ja ponownie ścisnęłam go za ramię.

– Jeżeli chodzi o pracę... mam jej tutaj pod dostatkiem. – Spojrzałam na koszyk z ziołami i lekarstwami. – Mogę się na coś przydać. A kiedy będzie mi brakować matki Hildegardy albo innych przyjaciół... cóż, napiszę list. Wprawdzie łączność pocztowa nie jest tak szybka jak telefoniczna, ale wystarczy.

Przystanąłam. Nadal trzymałam go pod ramię. Spoglądałam mu w oczy. Zachodzące słońce oświetlało połowę jego twarzy, nadając łagodny wyraz surowym rysom.

– Jamie... chcę być tam, gdzie ty. Nic więcej.

Przez chwilę stał bez ruchu, potem pochylił się i bardzo delikatnie pocałował mnie w czoło.

– To zabawne – powiedziałam, gdy szliśmy przez szczyt ostatniego małego wzgórza po drodze do domu. – Ja też zastanawiałam się nad twoim pobytem w Lallybroch. Czy możesz być szczęśliwy tutaj, po wszystkim, co

przeżyłeś we Francji?

Uśmiechnął się nieco ponuro i spojrzął w kierunku trzypiętrowego dworku z pobielanego kamienia. W blasku słońca ściany mieniły się złotem i umbrią.

– Cóż... to jest mój dom, Angielko. Tu jest moje miejsce.

Chwyciłam go delikatnie za ramię.

– Dla niego się urodziłeś. To chciałeś powiedzieć?

Wziął głęboki oddech, wyciągnął rękę i oparł ją o drewniane ogrodzenie, oddzielające pole od ziemi przy domu.

– Prawdę mówiąc, nie, Angielko. Prawnie to Willie powinien być dziedzicem. Gdyby żył, przypuszczam, że zostałbym żołnierzem albo może kupcem jak Jared.

Willie, starszy brat Jamiego, zmarł na ospę w wieku jedenastu lat. Pozostawił Lallybroch jako dziedzictwo młodszemu, sześciolletniemu wówczas, bratu.

Jamie wykonał dziwny ruch – niepełne wzruszenie ramion, jakby chciał poluznić ciskającą go w ramiona koszulę. Robił tak zawsze, kiedy czuł się nieswojo albo niepewnie.

Nie widziałam u niego tego gestu od miesięcy.

– Ale Willie zmarł. Więc ja jestem dziedzicem. – Spojrzął na mnie odrobinę nieśmiało, a potem coś wyjął ze skórzanej torby. Na jego dłoni znalazł się mały wąż wyrzeźbiony w wiśniowym drewnie. Drewniany gad miał przekrzywioną głowę, jakby w zdziwieniu z powodu ogoniastego tułowia, który z niej wyrastał. Prezent urodzinowy od Willie’ego.

Jamie delikatnie poklepał węża. Drewno było

lśniące i wygładzone od dotykania.

Wygięte ciało błyszczało w półmroku niczym pokryte łuskami.

– Czasami w myślach mówię do Wille’ego – powiedział Jamie. Ścisnął węża w dłoni.

– Czy robiłbyś to, co ja, gdybyś żył, bracie? Byłbyś dziedzicem? A może znalazłbyś lepszy sposób na życie? – Spojrzał na mnie, lekko się zarumieniony. – Czy to brzmi niedorzecznie?

– Nie. – Dotknęłam gładkiej głowy węża czubkiem palca. Z oddali dobiegł czysty wysoki śpiew skowronka, który w wieczornej ciszy brzmiał piskliwie.

– Ja też tak rozmawiam – powiedziałam miękko po chwili. – Z wujem Lambem.

Z rodzicami. Zwłaszcza z mamą. Ja... nie myślałam o niej często, kiedy byłam młodsza.

Po prostu zawsze – i wtedy, i teraz – marzyłam o kimś ciepłym i delikatnym, o cudownie śpiewnym głosie. Ale kiedy miałam gorączkę po... Czasami wyobrażałam sobie, że ona tam jest. Ze mną. – Nagle ogarnął mnie żal na wspomnienie utraty dziecka.

Jamie delikatnie dotknął mojej twarzy. Otarł łzę, która zakręciła mi się w oku, ale nie zdążyła spłynąć po policzku.

– Czasami wydaje mi się, że umarli nas wspominają tak samo, jak my ich – powiedział miękko. – Chodź, Angielko. Przespacerujmy się trochę. Mamy jeszcze czas do kolacji.

Wsunął moje ramię w swoje i uściśnął lekko. Zawróciliśmy i poszliśmy powoli wzdłuż ogrodzenia.

Sucha trawa szeleściła, dotykając mojej spódnicy.

– Wiem, co masz na myśli – stwierdził Jamie. – Czasami w stodole albo na polu dochodzi mnie głos ojca. Zazwyczaj kiedy w ogóle o nim nie myślę. Ale natychmiast się odwracam, bo mam wrażenie, że słyszę, jak śmieje się z jakimś parobkiem albo poklepuje konia.

Nagle się roześmiał i wskazał głową na róg pastwiska.

– Zastanawiające, że nigdy nie słyszałem go tutaj.

Było to całkiem niepozorne miejsce – drewniana brama w kamiennym ogrodzeniu równoległym do drogi.

– Tak? A co zwykł tutaj mówić za życia?

– „Jeżeli nie dociera do ciebie gadanie, to się odwróć i szykuj tyłek”.

Śmiałyśmy się, oparci o ogrodzenie. Przysunęłam się bliżej. Dokładnie obejrzałam drewno.

– Więc właśnie tutaj dostawałeś lanie? Nie widzę śladów po zębach – powiedziałam.

– Nie było aż tak źle – odparł ze śmiechem. Przejechał czule dłonią po wysłużonej bramie. – Czasami wchodziły nam drzazgi w palce, Ianowi i mnie. Potem szliśmy do domu i pani Crook albo Jenny wyciągała je nam, zrzedząc przy tym cały czas.

Spojrzał w kierunku dworu. Światło bijące ze wszystkich okien na parterze rozpraszało nadchodzącą noc. W kuchennych oknach przesuwwały się ciemne kształty – cienie pani Crook i służących, które przygotowywały kolację. Nagle w jednym z okien salonu pojawił się większy cień, wysoki i smukły jak belka z płotu. To Ian. Stał przez chwilę nieruchomo. Wyglądał w świetle jak

widmo – jakby określił to Jamie. Potem zasunął zasłony. W oknie pociemniało. Sączyło się z niego jedynie mdłe, przytłumione światło.

– Zawsze lubiłam, gdy Ian był przy mnie – wyznał Jamie. Ciągłe patrzył w stronę domu. – Zwłaszcza, kiedy złapano nas na jakiejś psocie i dostawaliśmy lanie.

– Towarzysz niedoli? – Uśmiechnęłam się.

– Mniej więcej. Nie czułem się tak paskudnie, kiedy wina rozkładała się na nas obu.

Ale chodziło też o coś innego. Zawsze mogłem być pewien, że narobi dużo hałasu.

– Płakał?

– Tak. Wył nieopisanie, więc nie wstydzilem się tak bardzo własnego płaczu, jeżeli kończyło się płaczem. – Było już zbyt ciemno i nie widziałam jego twarzy, ale dostrzegłam, że wzrusza lekko ramionami, jak zawsze kiedy jest zakłopotany lub czuje się nieswojo. – Oczywiście próbowałem powstrzymać łzy, ale czasami mi nie wychodziło.

Kiedy mój tata uznał za stosowne mnie sprać, uważał, że należy zrobić to porządnie.

Ojciec Iana natomiast miał ciężką rękę.

Spojrzałam na dom.

– Dlaczego, do licha, twój ojciec bił cię na dworze? Przecież w domu czy w stodole jest dostatecznie dużo miejsca.

Jamie milczał przez chwilę, potem znowu wzruszył ramionami.

– Nigdy nie pytałem. Przypuszczam, że miało to coś wspólnego z królem Francji.

– Z królem Francji? – Ta oczywista niedorzeczność mnie zamurowała.

– Tak. Wprawdzie nie wiem, jak to jest, kiedy trzeba się myć, ubierać i załatwiać publicznie, ale mogę cię zapewnić, że dostawanie w skórę na oczach parobków to bardzo upokarzające doświadczenie.

– Wyobrażam sobie. – Współczułam mu, ale chciało mi się śmiać. – Wszystko dlatego, że miałeś zostać dziedzicem? To dlatego tutaj cię bił, przy świadkach?

– Tak myślę. Żeby parobkowie wiedzieli, że rozumiem, na czym polega sprawiedliwość.

32

POLE MARZEŃ

Orka, jak zwykle, pozostawiła na polu wysokie skiby ziemi i głębokie bruzdy. Skiby sięgały wysokości kolan. Idąc bruzdą, można było ręką siać ziarno wzdłuż skiby z tyłu.

Nie było najmniejszego powodu, by pola przeznaczone do uprawy owsa i jęczmienia przystosowywać pod uprawę ziemniaków.

– Tu jest napisane: „wzgórza” – wyjaśnił Ian i obrzucił spojrzeniem obsadzone ziemniakami pole. – Pomyślałem jednak, że mogą być równie dobrze skiby. Na wzgórzach nie utrzymuje się wiele wody, więc stare pole z wysokimi skibami też się nadaje.

– Brzmi rozsądnie – zgodził się Jamie. – Wygląda na to, że na czubkach roślin pojawiają się kwiaty. Czy ten człowiek pisze, skąd wiadomo, kiedy należy ziemniaki wykopać?

Ian, zobowiązany do uprawy ziemniaków na ziemi, która nigdy wcześniej ani jednego ziemniaka nie widziała, postąpił bardzo mądrze i logicznie. Zamówił w Edynburgu nie tylko sadzonki ziemniaków, ale i podręcznik na temat ich uprawy. W dziele pod tytułem:

„Naukowa rozprawa o metodach hodowli”, napisanym przez sir Waltera O'Banniona Reilly'ego, znajdował się niewielki rozdział o obecnie praktykowanej w Irlandii uprawie ziemniaków.

Ian zawsze nosił przy sobie opasłe tomisko. Jenny powiedziała mi, że nie zbliżyłby się bez niego do ziemniaczanego pola, bo i tam mogły nasunąć mu się zawile pytania natury filozoficznej lub praktycznej. Teraz trzymał otwartą książkę. Oparł ją na jednym przedramieniu i szukał w swojej skórzanej torbie okularów do czytania. Małe szkła w drucianych oprawkach, które nosiło się na czubku nosa, należały kiedyś do jego świętej pamięci ojca. Wyglądał w nich jak bardzo poważny młody bocian.

– Zbiór uprawy powinien zostać przeprowadzony natychmiast po pojawieniu się pierwszej zimowej gęsi – przeczytał. Spojrzał znad okularów na pole ziemniaczane, jakby oczekiwał, że wspomniana gęś zaraz wbije się głową w skibę.

– Zimowej gęsi? – Zdziwiony Jamie przez ramię Iana wpatrywał się w książkę. – O jaki gatunek gęsi chodzi? O szarą gęś? Ale one tu są przez cały rok. To nie może być prawda.

Ian wzruszył ramionami.

– Może w Irlandii są tylko w zimie. A może w ogóle nie chodzi o szarą gęś tylko o jakiś inny gatunek

irlandzkiej gęsi.

Jamie prychnął.

– Rzeczywiście, wiele nam to wyjaśnia. Są tu jakiejś bardziej użyteczne informacje? – Jamie trącił dłonią książkę.

Ian przebiegał palcem po zadrukowanych linijkach i bezgłośnie poruszał ustami.

Wokół nas zdążył się zebrać tłumek wieśniaków, zainteresowanych powieścią na temat rolnictwa.

– Nie należy wykopywać ziemniaków, kiedy jest wilgotno – poinformował Ian. Jamie prychnął jeszcze głośniej.

– Hmm – mruknął do siebie gospodarz. – Gnicie ziemniaka, szkodniki... nie mamy żadnych szkodników, to chyba szczęście... Pnącza ziemniaka... hm... Nie, jest tylko o tym, co robić, jeśli pnącza marnieją. Zaraza ziemniaczana. Tego nie będziemy wiedzieć, dopóki nie zobaczymy ziemniaków. Sadzenie ziemniaków, przechowywanie ziemniaków...

Jamie stracił cierpliwość. Odwrócił się od Iana i stał z rękami na biodrach.

– Naukowa hodowla, dobre sobie? – rzucił. Wpatrywał się w pole przykryte ciemnozielonymi liśćmi pnączy. – Wygląda na to, że jest tak cholernie naukowa, że się z niej nie dowiemy, kiedy te diabelne ziemniaki nadają się do jedzenia!

Fergus, który jak zwykle chodził za Jamiem niczym cień, obserwował gąsienicę wędrującą powoli po liściu.

– A czemu po prostu nie wykopiecie jednego i nie sprawdzą? – spytał.

Jamie przez chwilę przypatrywał się Fergusowi. Otworzył usta, ale nie wydobył z siebie żadnego słowa. W końcu je zamknął i delikatnie postukał chłopaka po głowie.

Poszedł po widły. Stały oparte o płot.

Wszyscy wieśniacy, którzy pomagali przy uprawie i doglądali pola pod kierownictwem Iana, wspomaganego radami sir Waltera, stłoczyli się, by zobaczyć rezultat swojej pracy.

Jamie wybrał dorodną, kwitnącą rośliną z brzegu pola i ostrożnie przyłożył widły do jej korzenia. Wstrzymał oddech, położył nogę na widłach i nacisnął. Zęby łagodnie zanurzyły się w ciemnobrązowej ziemi.

Ja również wstrzymałam oddech. Od tego eksperymentu zależało o wiele więcej niż reputacja sir Waltera O'Banniona Reilly'ego czy moja własna.

Jamie i Ian stwierdzili, że tegoroczne zbiory jęczmienia były mniejsze niż zwykle, jednak wystarczające na potrzeby mieszkańców Lallybroch. Jednak jeżeli kolejny rok okaże się zły, szybko wyczerpią się niewielkie zapasy ziarna. Jak na górską posiadłość Lallybroch miało się nieźle w porównaniu z innymi farmami. Sukces uprawy ziemniaków oznaczałby różnicę pomiędzy głodem i obfitością dla Lallybroch na następne dwa lata.

Jamie docisnął piętę i oparł się o uchwyt wideł. Ziemia wokół rośliny pękła, rozsypała się, a pnące z łoskotem wyskoczyło i ukazało dorodne owoce.

Na widok obfitości brązowych bulw przyczepionych do korzeni wykopanej rośliny rozległo się zbiorowe: „Ah”. Ian i ja uklękliśmy na ziemi. Zaczęliśmy wygrzebywać ziemniaki ukryte w nieskończenie długich

korzeniach rośliny.

– Udało się! – powtarzał cały czas Ian. Wyciągał z ziemi ziemniak po ziemniaku. – Patrz! Widzisz, jaki wielki?

– Tak, a patrz na tego! – krzyczałam zachwycona, wymachując ziemniakiem wielkości moich dwóch związanych pięści.

W końcu zebraliśmy do kosza owoc naszego pierwszego ziemniaczanego pnącza. Było tam może z dziesięć ogromnych ziemniaków, ze dwadzieścia pięć okazów wielkości pięści i sporo niedużych jak piłeczka do golfa.

– I co wy na to? – Jamie przyglądał się badawczo naszemu zbiorowi. – Zostawimy pozostałe, żeby podrosły czy wykopimy wszystko, zanim nadejdą chłody?

Ian bezskutecznie szukał okularów, a potem przypomniał sobie, że księża sir Waltera została przy płocie i zaniechał wysiłków. Pokręcił głową.

– Nie, wydaje mi się, że już są dobre. Wyczytałem, żeby zostawić małe ziemniaki na przyszłoroczne sadzonki. Będziemy ich dużo potrzebowali. – Posłał mi szeroki uśmiech pełen ulgi i zadowolenia. Kosmyki prostych i grubych brązowych włosów spadły mu na czoło. Na twarzy miał ciemną smugę od ziemi.

Jedna z wieśniaczek pochyliła się nad koszem i przyglądała się jego zawartości.

Wyciągnęła palec wskazujący i dotknęła ziemniaka.

– To do jedzenia, mówicie? – Zmarszczyła sceptycznie czoło. – Ciekawe, jak to zemleć, żeby się nadawało na chleb czy placki.

– Pani Murray, w ogóle nie mamy zamiaru tego mleć – wyjaśnił grzecznie Jamie.

– Ach tak? – Kobieta bacznie przyglądała się koszowi. – Więc co z nimi zrobicie?

– Trzeba... – zaczął Jamie i przerwał. Uświadomił sobie, że kiedy jadł ziemniaki we Francji, nigdy nie widział, jak się je przygotowuje do jedzenia. Ukryłam uśmiech, widząc wzrok bezradnie utkwiony w oblepiony błotem ziemniak, Ian również się przyglądał.

Najwidoczniej sir Walter milczał na temat gotowania ziemniaków.

– Upiecze się. – Powtórnie z pomocą przyszedł Fergus, wyskakując Jamiemu spod ramienia. Oblizął się na widok ziemniaka. – Trzeba położyć na palenisku. Je się z solą.

Z masłem są jeszcze lepsze.

– Mamy masło. – Jamie odetchnął z ulgą. Wepchnął ziemniaka w ręce pani Murray, jakby chciał się natychmiast go pozbyć. – Ziemniaki się piecze – poinformował pewnym głosem.

– Można także ugotować – wtrąciłam. – Albo utłuc z mlekiem. Albo usmażyć. Albo pokroić w kostkę i wrzucić do zupy. Ziemniak to bardzo uniwersalne warzywo.

– Tak jest napisane w książce – wymamrotał z satysfakcją Ian.

Jamie spojrzał na mnie, uśmiechając się kącikami ust.

– Nigdy mi nie mówiłaś, że umiesz gotować, Angielko.

– Cóż, daleko mi do mistrzostwa, ale ziemniaka

chyba ugotować umiem – wyjaśniłam.

– To dobrze. – Jamie obrzucił spojrzeniem grupę wieśniaków. Z ręki do ręki podawali sobie ziemniaki i oglądali je z powątpiewaniem. Klasnął głośno, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Zrobimy kolację tutaj, na polu – oznajmił. – Tom i Willie, nazbierajcie trochę drewna na ognisko. A panią, pani Willie, poproszę o przyniesienie dużego kotła. Ach tak, jakiś mężczyzna pomoże go pani znieść. Ty, Kincaid – zwrócił się do jednego z młodszych i pomachał ręką w stronę domków pod lasem. – Idźcie i powiedzcie wszystkim, że na kolację są ziemniaki!

Takim sposobem, przy pomocy Jenny, zużywając dziesięć wiader mleka z dziennego udoju, trzy kurczaki i cztery tuziny dużych porów z ogródka warzywnego, przewodniczyłam gotowaniu zupy jarzynowej i pieczeniu ziemniaków dla dziedzica i parobków z Lallybroch.

Słońce zaszło za horyzont, zanim jedzenie było gotowe, ale niebo w dalszym ciągu jaśniało. Przez gałęzie sosny rosnącej na wzgórzu wyzierały czerwone i złote smugi.

Wieśniacy niepewnie brali ziemniaki do ust, jednak dzięki przyjacielskiej atmosferze – wspomaganej sporą beczką whisky domowej roboty – udało się przezwyciężyć wszelkie zahamowania. Wkrótce na ziemi wokół pola ziemniaczanego zaroilo się od gości pałaszujących zaimprovizowaną kolację.

– Jak ci smakuje, Dorcas? – pytała jedna z kobiet swoją sąsiadkę. – Jest trochę dziwne. Jak zepsute, co?

Dorcas przytaknęła.

– Fakt. Ale dziedzic zjadł sześć takich i jeszcze żyje.

Mężczyźni i dzieci zareagowali nieco bardziej entuzjastycznie, pewnie dzięki temu, że ziemniaki były suto okraszone masłem.

– Mężczyźni zjedliby końskie łajno, gdyby podawano je z masłem – stwierdziła Jenny. – Mężczyźni! Wszystko, czego chcą od życia, to pełny brzuch i jakiś ką, gdzie mogliby się pijani położyć.

– Zdziwiająca, że masz takie zdanie o mnie i Jamiem – odciął się Ian.

Jenny pomachała chochlą w stronę męża i brata, którzy siedzieli obok siebie przy kotle.

– Och, przecież wy dwaj nie jesteście mężczyznami.

Zdziwiony Ian uniósł cienkie brwi, a grubsze rude brwi Jamiego utworzyły jedną linię.

– No to czym jesteśmy? – droczył się Ian.

Jenny odwróciła się do niego i ukazała w uśmiechu białe zęby, błyszczące na tle ognia. Poglaskała Jamiego po głowie i pocałowała Iana w czoło.

– Moją własnością – odparła.

Po kolacji jeden z biesiadników zaczął śpiewać, ktoś inny wyciągnął drewnianą fujarkę, by mu przygrywać. Dźwięk, który popłynął w tę zimną jesienną noc, choć niegłośny, wydawał się przeszywający. Powietrze było rześkie, ale nie wiał wiatr. Wszyscy czuli się bardzo dobrze, gdy tak siedzieli w małych rodzinnych grupkach wokół ogniska, poowijani w koce i szale. Po skończeniu gotowania dołożono do ognia. Teraz palił się mocno, rozjaśniając noc.

W naszym rozbawionym kręgu rodzinnym było nam ciepło, Ian poszedł po następną porcję drewna, a maleńka Maggy przywarła do matki. W ten sposób zmusiła starszego brata, by gdzie indziej poszukał schronienia i ciepła.

– Wsadzę cię do góry nogami do tego kotła i przestaniesz mnie męczyć – powiedział Jamie do siostrzeńca, który wyginał się energicznie na kolanach wuja. – Masz owsiki?

Pytanie wywołało chichot. Jamie z udawanym wysiłkiem starał się sprawdzić, czyjego mały gość rzeczywiście nie ma robaków. Po omacku niezdarnie łaskotał imiennika, a potem objął chłopca i niespodziewanie się na niego przewrócił. Mały Jamie wydał okrzyk radości.

Jamie siłą przytrzymał dziecko przy ziemi jedną ręką, drugą wziął kępę wilgotnej trawy i z satysfakcją podniósł się na tyle, by wrzucić ją za koszulę siostrzeńca. Maluch przestał chichotać, a zaczął przeraźliwie popiskiwać, z nie mniejszą radością.

– Dobra, dość – zarządził Jamie i uwolnił szkraba. – Idź teraz trochę pomęczyć ciocię.

Mały Jamie wszedł mi na kolana, cały czas się śmiejąc, i usadowił się wygodnie w fałdach sukni. Siedział tak spokojnie, jak to tylko możliwe dla czteroletniego chłopca – który z natury jest nie za bardzo spokojny – i pozwolił, żebym wyciągnęła mu trawę zza koszuli.

– Ładnie pachniesz, ciociu – stwierdził, łaskocząc mnie w szyję lokami. – Jedzeniem.

– Dziękuję. Czy mam przez to rozumieć, że znowu

z głodniałeś?

– Tak. Jest jeszcze mleko?

– Jest. – Kamionkowy dzbanek stał na wyciągnięcie ręki. Potrząsnęłam nim, ale niestety wiele mleka już nie zostało. Nie było sensu nalewać tej odrobiny do kubka.

Przechyliłam naczynie, żeby chłopiec napił się prosto z niego.

Zajęty na chwilę pić, siedział spokojnie. Małe, silne ciało mocno opierało się o moje ramię. Pulchne rączki obejmowały dzbanek. Gdy do gardziółka spłynęły ostatnie krople mleka, mały Jamie w jednej chwili się odprężył. Beknął cicho. Poczułam ciepło, które zaczęło od niego bić – typowy dla małych dzieci wzrost temperatury przed snem.

Otuliłam go połą peleryny i kołysałam delikatnie, nucąc piosenkę, którą śpiewano przy ognisku. Drobniutki kręgosłup był twardy jak marmur.

– Zasnął? – ryknął mi większy Jamie zza ramienia. Rękojeść jego sztyletu połyskiwała w świetle ogniska, które wydobyło miedziany blask włosów Jamiego.

– Tak – odpowiedziałam. – Nie wierci się, więc chyba śpi. Czuję się, jakbym trzymała wielką szynkę.

Jamie parsknął śmiechem, ale nagle zamarł. Twarde ramię otarło się o moje, przez fałdy pledu przenikało ciepło potężnego ciała.

Wieczorny wiatr zarzucił mi na twarz kosmyk włosów. Odgarnęłam je i spostrzegłam, że mały Jamie miał rację – moje ręce pachniały porami, masłem i skrobnią z krojonych ziemniaków. Śpiący chłopiec stał się bardzo ciężki. Przyjemnie było go trzymać, ale zdrętwiała mi lewa

noga. Lekko się poruszyłam, żeby położyć sobie brzdąca na kolanach.

– Nie ruszaj się, Angielko – usłyszałam miękki głos Jamiego. – Jeszcze przez chwilkę się nie ruszaj, *mo duinne*.

Posłusznie znieruchomiałam. Dotknął mojego ramienia.

– Wszystko w porządku. – Wyczuwałam w jego głosie uśmiech. – Po prostu ślicznie wyglądałaś, kiedy ogień odbijał się w twojej twarzy, a włosy tańczyły na wietrze.

Chciałem to zachować w pamięci.

Odwróciłam się do niego twarzą i posłałam mu uśmiech. Noc była ciemna i zimna, wokół kręciło się mnóstwo ludzi, ale dla nas nie istniało nic poza blaskiem i ciepłem.

I nami.

33

OPIEKUN SWOJEGO BRATA

Fergus, po wstępnym okresie cichych obserwacji z kąta, stał się czynnym uczestnikiem życia Lallybroch. Oficjalnie, wraz z młodym Rabbie MacNabem, został mianowany stajennym.

Rabbie, o dwa lata młodszy od Fergususa, był równie wysoki, jak młody Francuz.

Wkrótce stali się parą nierozłącznych przyjaciół, z wyjątkiem chwil kiedy się kłócili i mieli ochotę pozabijać wzajemnie, co zdarzało się średnio dwa lub trzy razy dziennie.

Pewnego ranka szturchanie przeszło w kopanie i

walkę na pięści przy naczyniach z mlekiem, co zakończyło się rozlaniem dwóch misek kwaśnej śmietany. Wtedy do akcji wkroczył Jamie.

Zrobił srogą minę, złapał łotrów za szyje i wyprowadził w ustronne miejsce w stajni, gdzie – jak przypuszczałam – przewyciężył wszelkie skrupuły, jakie mogły powstrzymać go przed zastosowaniem kary cielesnej. Wyszedł ze stodoły szybkim krokiem, zapinając z powrotem pasek, i pojechał z Ianem do Broch Mordha. Chłopcy wyłonili się jakiś czas potem, spokojni jak baranki i – zjednoczeni w cierpieniu – znowu byli najlepszymi przyjaciółmi.

Pozwolili nawet małemu Jamiemu plątać się koło nich, kiedy wypełniali obowiązki.

Gdy wyrzłam przez okno nieco później, zobaczyłam, jak w trójkę grają na podwórku w piłkę zrobioną ze szmat. Dzień był zimny i mglisty. Kiedy biegali i krzyczeli, ich oddechy zamieniały się w małe obłoczki.

– Zobacz, jaki silny chłopak – zwróciłam się do Jenny, która szperała w koszyku z przyborami do szycia, w poszukiwaniu guzika.

Zerknęła przez okno i uśmiechnęła się.

– Och, ten maluch, Jamie. – Podeszła do mnie i również przyglądała się grze.

– Jest żywym odbiciem ojca – zauważyła z czułością. – Ale w ramionach będzie od niego o wiele szerszy. Może wielkością dorówna wujowi? Wystarczy spojrzeć na te nogi.

Chyba się nie myliła. Mały, okrągłutki berbec miał wyjątkowo długie nogi, a jego małe plecki były szerokie i

umięśnione. Po wuju odziedziczył smukłą i wdzięczną posturę, a przy tym twardość i gibkość.

Chłopczyk błyskawicznie chwycił piłkę w locie i rzucił z wystarczającą siłą, by przeleciała obok głowy Rabbiego MacNaba, który odbiegał do tyłu, aby ją złapać.

– Zupełnie jak jego wuj – przyznałam. – Może być też leworęczny.

– Na Boga! – krzyknęła Jenny, marszcząc czoło. Przyglądała się synowi. – Mam nadzieję, że nie będzie. Chociaż rzeczywiście, niewykluczone. – Pokręciła głową i westchnęła. – Boże, kiedy pomyślę o przykrościach, jakie biedny Jamie przeszedł z tego powodu... Niemal wszyscy próbowali go oduczyć posługiwania się lewą ręką: rodzice, nauczyciele, ale Jamie zawsze był uparty jak osioł i nie dał się złamać. Wspierał go tylko ojciec Iana – dodała po namyśle.

– On nie uważał, że bycie leworęcznym to coś złego? – spytałam zaciekawiona.

W tamtych czasach leworęczność była uznawano w najlepszym przypadku za nieszczęście, a w najgorszym za objaw opętania demonicznego. Choć z trudem Jamie pisał prawą ręką, dlatego że za samo wzięcie pióra do lewej dostawał w szkole lanie.

Jenny pokiwała przecząco głową, czarne loki podskoczyły na jej karku.

– Nie. Stary John Murray był dziwnym człowiekiem. Mówił, że skoro Bóg zechciał obdarować Jamiego siłą w lewej ręce, to grzech odrzucić dar. Stary John władał też mieczem w szczególny sposób, więc mój ojciec się nie sprzeciwiał. Pozwolił Jamiemu nauczyć się

walczyć lewą ręką.

– Myślałam, że to zasługa Dougala MacKenziego – powiedziałam. Zastanawiałam się, co Jenny myśli o swoim wuju Dougalu.

Pokiwała głową i polizała koniec nitki, zanim przełożyła ją przez ucho igielne jednym szybkim ruchem.

– Tak, ale to było później, kiedy Jamie podrośł i poszedł na przyuczenie do Dougala.

Ojciec Iana uczył Jamiego pierwszych uderzeń. – Uśmiechnęła się i utkwiała oczy w koszuli, którą trzymała na kolanach.

– Pamiętam, że kiedy byli mali, stary John powiedział Ianowi: „Musisz stać po prawej stronie Jamiego, by strzec w walce słabszej strony swojego wodza”. Obaj potraktowali sprawę bardzo poważnie. Przypuszczam, że stary John miał rację – dodała, odcinając nożyczkami nitkę, która została po szyciu. – Po pewnym czasie nikt nie mógł pokonać Jamiego, nawet chłopaki MacNaba. Jamie i Ian byli słusznego wzrostu i nieźle umieli walczyć, a kiedy stali ramię w ramię, zawsze zwyciężyli, nawet jeżeli druga strona miała liczebną przewagę.

Roześmiała się niespodziewanie, wsuwając czarny lok za ucho.

– Przypatrz im się kiedyś, jak chodzą razem po polu. Jestem przekonana, że nawet nie są świadomi tego, iż nadal ustawiają się po staremu. Jamie zawsze przesuwają się na lewo, tak żeby Ian mógł strzec jego słabszej prawej strony.

Jenny wyjrzała przez okno. Położyła rękę na

niewielkim wzniesieniu swojego brzucha.

– Chciałam urodzić chłopca – powiedziała, spoglądając na czarnowłosego syna, który bawił się na dworze. – Leworęczny czy nie, dobrze, kiedy mężczyzna ma brata do pomocy. – Dostrzegłam, że jej wzrok padł na ścienną fotografię Jamiego z okresu dzieciństwa, stał między nogami swojego starszego brata, Willie’ego. Obie poważne twarze miały charakterystyczne zadarte nosy. Ręka Willie’ego spoczywała opiekuńczo na ramieniu młodszego brata.

– Jamie jest szczęściarzem, że ma Iana – stwierdziłam.

Jenny odwróciła wzrok od fotografii i zamruwała. Była o dwa lata starsza od Jamiego.

Od Williama byłaby trzy lata młodszą.

– Tak. Ma szczęście – powtórzyła. – Ja też – dodała miękko i znów wzięła koszulę do ręki.

Wyciągnęłam z kosza z rzeczami do cerowania dziecięcy kaftanik i wyróciłam go na lewą stronę, żeby dotrzeć do rozprutego pod rękawem szwu. Chyba tylko bawiący się chłopcy i pracujący mężczyźni nie marzli na dworze. W domu panowało przyjemne ciepło. Zaparowane okna oddziaływały nas od mroźnego świata na zewnątrz.

– Jeżeli już mowa o braciach – zagadnęłam, patrząc zezem na nitkę, którą nawlekałam. – Często widywałeś Dougala i Columa MacKenziech, kiedy dorastałaś?

Jenny pokręciła głową.

– Nie znam Columa. Dougal natomiast odwiedził nas zaledwie parę razy. Przywoził Jamiego na święta. Trudno więc mi cokolwiek o nim powiedzieć. – Spojrzała z

zainteresowaniem znad roboty szeroko otwartymi oczami. – Ty ich znasz. Jaki jest Colum MacKenzie? Zawsze się nad tym zastanawiałam, kiedy słyszałam strzępki rozmów gości, ale moi rodzice nigdy o nim nie mówili. – Przerwała na chwilę, marszcząc czoło. – Nie, nieprawda. Tata raz o nim wspomniał. Wkrótce potem jak Dugal wyjechał z Jamiem do Bennachd. Tata stał oparty o płot na dworze i patrzył za nimi, gdy się oddalali.

Wysłałam, żeby pomachać Jamiemu. Zawsze robiło mi się bardzo smutno, kiedy odjeżdżał, bo nie wiedziałam, jak długo go nie będzie. Patrzyliśmy, jak jadą granią.

Wtedy tata trochę się wzruszył, chrząknął i powiedział: „Boże, miej w opiece Dougala MacKenziego, kiedy umrze jego brat Colum”. Potem chyba sobie przypomniał, że ja stoję obok, bo odwrócił się do mnie z uśmiechem i spytał tylko: „Jessie, co dzisiaj będzie na kolację?”. – Czarne wyraziste brwi, tak kształtne, jakby były wykaligrafowane, uniosły się pytająco. – Zdziwiła mnie wypowiedź ojca, bo słyszałam, że Colum jest poważnie kaleki i to Dugal wykonuje całą pracę: zbiera opłaty za dzierżawę i ustala stawki, co niejednokrotnie wciągało klan w spory.

– Rzeczywiście. Ale... – Zawahałam się. Nie wiedziałam, jak opisać tę dziwną symbiotyczną więź. – Cóż... – zaczęłam z uśmiechem – może relacje między braćmi najlepiej odda zdanie, które podsłuchałam podczas ich kłótni. Colum powiedział do Dougala: „Mówię ci, że jeżeli bracia MacKenzie muszą podzielić się jednym kutasem i jednym mózgiem, to jestem zadowolony z części, która mi przypadła”.

Jenny wydała z siebie zdziwiony śmiech, a potem przypatrywała mi się z badawczym błyskiem w niebieskich oczach.

– Więc tak to wygląda? Kiedyś się właśnie nad tym zastanawiałam. Słyszałam, jak Dougal mówi o synu Columa, małym Hamishu. Wydawał się zbyt czuły jak na wujka.

– Domyślna jesteś, Jenny – odparłam, spoglądając na nią znad ręcznej robótki. – Bardzo domyślna. Mnie zabrało wiele czasu, żeby do tego dojść, a widywałam ich codziennie przez długie miesiące.

Wzruszyła skromnie ramionami, ale na jej ustach igrał uśmiech.

– Po prostu słucham – powiedziała. – Tego, co mówi wieś, i tego, czego nie mówi.

A ludzie w górach lubią plotkować. – Opowiedz mi... – odgryzła nitkę i wypluła końce na dłoń – opowiedz mi o Leoch. Na wsi gadają, że zamek jest duży, ale nie tak wielki, jak Beaully czy Kilravock.

Pracowałyśmy, gawędząc przez cały ranek. Kiedy skończyłyśmy cerować, zabrałyśmy się za nawijanie wełny, a potem rysowałyśmy wzór nowej sukienki dla Maggie. Krzyki chłopców na dworze przycichły, natomiast z tyłu domu zaczęły dobiegać huki i trzaski, co oznaczało, że młodsza część męskiego grona zmarzła i przeniosła się do kuchni.

– Ciekawe, czy niedługo spadnie śnieg. – Jenny wyjrzała przez okno. – Powietrze jest wilgotne. Widziałaś dzisiaj rano mgiełkę nad jeziorem?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Oby nie spadł. Jamie i Ian mieliby utrudniony powrót.

Wioska Broch Mordha leżała niecałe piętnaście kilometrów od Lallybroch, ale droga cały czas wiodła przez wzgórze o stromych zboczach, w dodatku była niewiele szersza niż leśny dukt.

Śnieg spadł zaraz po południu. Płatki wirowały aż do zapadnięcia zmierzchu.

– Widocznie zostali w Broch Mordha – stwierdziła Jenny. Podniosła głowę w nocnym czepku, żeby przyjrzeć się zachmurzonemu niebu, zaróżowionemu od śniegu.

– Nie musimy się o nich martwić. Na pewno spędzą noc w jakimś przytulnym domu. – Uśmiechnęła się do mnie uspokajająco i zamknęła okiennice. Z korytarza dobiegł gwałtowny płacz. Jenny chwyciła szlafrok.

– Dobranoc, Claire. Śpij dobrze – zawołała półszeptem i wybiegła gnana matczynym instynktem.

Na ogół spałam dobrze. Zimnego wilgotnego klimatu wcale się nie odczuwało, bo dom był porządnie zbudowany, a na łózkach znajdowało się mnóstwo kołder z gęsich piór. Jednak dzisiaj niepokoiłam się o Jamiego. Łóżko było puste i zimne, nogi mi drżały, a stopy miałam lodowate.

Zamknęłam oczy i położyłam się na plecach i wyciągnęłam ręce wzdłuż ciała.

Oddychałam głęboko, przywołując obraz Jamiego. Gdybym wyobraziła sobie, że leży przy mnie, może udałoby mi się zasnąć.

Ze snu brutalnie wyrwało mnie głośnie pianie koguta, zupełnie jakby ktoś podłożył mi pod łóżko dynamit.

– Idiota! – wyrzuciłam z siebie. Każde włókno mojego ciała trzęsło się z przerażenia.

Wstałam i rozchyliłam zasłony. Śnieg przestał padać, ale zasnuwane chmurami niebo w dalszym ciągu miało jednolitą barwę, aż po horyzont. Kogut znowu zapiął w stronę stojącej poniżej klatki z kurami.

– Zamknij się! Jest środek nocy, ty opierzony idioto!

Ptasi odgłos niósł się echem w głuchej nocy. Na dole zaczęło płakać dziecko, a potem dało się słyszeć piękną celtycką kołysankę, śpiewaną półgłosem przez Jenny.

– Twoje dni są policzone – wygrażałam kogutowi. Nie zareagował. Po chwili, kiedy już durnowaty ptak zrozumiał, że jest noc, zamknęłam okiennicę i położyłam się z powrotem.

Wzburzenie uniemożliwiało jakiegokolwiek logiczne rozważania. Zamiast usiłować zasnąć, zaczęłam rozmyślać, w nadziei, że dzięki temu zrelaksuję się na tyle, że zmorzy mnie sen.

Podziałało. Kiedy już znajdowałam się na krawędzi snu i jawy, myślami będąc gdzieś w okolicach trzustki, usłyszałam przytłumione kroki małego Jamiego. Brzdąc maszerował korytarzem do sypialni matki. Wirywany ze snu przez pełny pęcherz, ale nie do końca rozbudzony, chodził po domu w poszukiwaniu towarzystwa.

Kiedy przyjechałam do Lallybroch, zastanawiałam się, czy będzie mi trudno żyć obok Jenny – zdrowej płodnej kobiety. I gdybym nie widziała, że macierzyństwo ma swoją cenę, pewnie byłoby mi trudno.

– Przecież masz przy łóżku nocnik, osiołku – rozległ się za drzwiami zirytowany głos Jenny, która prowadziła małego Jamiego z powrotem do łóżka. – Nie mogłeś go ominąć po drodze, więc czemu nie przyszło ci do głowy, żeby z niego zrobić użytek? Dlaczego musiałeś przyjść i zrobić siusiu do mojego? Co noc to samo. – Jej głos cichł, kiedy wchodziła po schodach. Uśmiechnęłam się, wędrując wyobraźnią po zakamarkach mojego przewodu pokarmowego.

Nie czułam zazdrości jeszcze z jednego powodu. Wcześniej obawiałam się, że przy narodzinach Faith odniosłam jakieś obrażenia wewnętrzne, ale dotyk Raymonda mnie uspokoił. W moich organizmie było wszystko w porządku. Zakończyłam wędrówkę po ciele. Mój kręgosłup zaczął wślizgiwać się do krainy snu. Zdarzyło mi się raz – może się zdarzyć ponownie, myślałam. Potrzebowałam tylko czasu. I Jamiego.

Na schodach dało się słyszeć kroki Jenny. Spiesznie zdążyła na drugi koniec domu, gdzie kwiliła Maggie.

– Nie można zaprzeczyć, że brzdące dają mnóstwo radości, ale tyle z nimi zachodu – wymruczałam sama do siebie i zasnęłam.

Czekałyśmy cały następny dzień. Wykonywaliśmy jak zwykle nasze obowiązki, ale jednym uchem nasłuchiwalimy koni na podwórku.

– Naszych mężczyzn musiały zatrzymać jakieś sprawy – stwierdziła Jenny. Usiłowała zachować spokój. Widziałam jednak, jak zatrzymywała się za każdym razem, kiedy przechodziła obok okna z widokiem na drogę wiodącą do domu.

Co do mnie, muszę przyznać, że z trudem udawało mi się zapanować nad wyobraźnią. List z podpisem króla Jerzego, w którym Jego Wysokość przyjmował przeprosiny Jamiego, leżał zamknięty w szufladzie biurka w gabinecie dziedzica. Jamie uważał pismo za poniżające i najchętniej by je spalił, ale ja nalegałam, żeby schować. Na wszelki wypadek. Nasłuchiwałam odgłosów szalejącego zimowego wiatru. Bez przerwy wydawało mi się, że ustępstwo króla jest jedynie pomyłką albo swego rodzaju figlem, a Jamie jeszcze raz został aresztowany przez czerwonych dragonów, którzy znowu zabierają go do ponurego więzienia, gdzie czeka stryczek.

Wreszcie wrócili, tuż przed nastaniem nocy. Konie obładowane były torbami z solą, przyborami do szycia, konserwami i innymi drobnymi produktami, których w Lallybroch nie wytwarzano.

Usłyszałam rzenie wierzchowca wprowadzanego do stajni i zbiegłam ze schodów. Po drodze wpadłam na Jenny, która wychodziła z kuchni.

Poczułam ulgę, kiedy zobaczyłam na ścianie stajni cień wysokiej postaci Jamiego.

Przebiegłam przez podwórko, nie zważając na grubą warstwę śniegu pokrywającą ziemię, i rzuciłam mu się w ramiona.

– Gdzie byłeś, do diabła?

Zdążył mnie pocałować, zanim odpowiedział. Jego twarz w zetknięciu z moją była zimna, a usta miały mdły, ale przyjemny posmak whisky.

– Hm, są kielbaski na kolację? – spytał z aprobatą. Wąchał moje włosy przesiąknięte zapachami kuchni.

– Kielbaski z puree – odpowiedziałam. – Gdzie byłeś?

Zaśmiał się, strząsając śnieg z szala.

– Kielbaski i puree? To jedzenie, prawda?

– Kielbaski z gniecionymi ziemniakami – wytłumaczyłam. – Dobrze, tradycyjne danie angielskie, nie znane dotąd na zacofanych terenach Szkocji. A teraz mi powiedz, ty cholerny Szkocie, gdzie, u licha, byłeś przez dwa dni? Jenny i ja zamartwiałyśmy się na śmierć.

– Cóż, mieliśmy mały wypadek... – zaczął Jamie, ale przerwał, gdy zobaczył Fergusa z lampką w dłoni. – O, Fergus, przyniosłeś światło? Porządny z ciebie chłopak. Postaw tak, żebyś nie podpalił siana, a potem zaprowadź tę biedną szkapinę do zagrody. Jak już to zrobisz, przyjdź na kolację. Chyba zdążysz? – Przyjacielsko wytarosił Fergusa za ucho. Dzieciak wymknął się z uśmiechem. Najwidoczniej wczorajsze wydarzenie w stajni nie obudziło w nim wrogości.

– Jamie – powiedziałam poważnie – jeżeli nie przestaniesz gadać o koniach i kielbaskach i nie wytłumaczysz mi wreszcie, jaki wypadek mieliście, to dam ci kopa.

– Grozisz mi? – Roześmiał się. – To nie było nic poważnego, Angielko, tylko...

– Ian! – Jenny, która najpierw musiała uspokoić Maggie, weszła nieco później.

Ujrzała męża w kręgu światła z lampki. Przestraszona drzeniem jej głosu odwróciłam się i zobaczyłam, jak rzuciła się do przodu i dotknęła ręką twarzy Iana.

– Co ci się stało? – spytała. Niezależnie, jaki wypadek przeżyli, wszystkie jego konsekwencje poniósł Ian. Jedno oko było sine i na wpeł przymknięte z powodu opuchlizny, a na policzku widniało głębokie draśnięcie.

– Nic takiego, kochanie – odparł i delikatnie pogłaskał przytuloną żonę. Maggie kwiliła pomiędzy rodzicami. – Tylko mały siniak tu i tam.

– Schodziliśmy ze wzgórza trzy kilometry za wioską. Konie prowadziliśmy, bo droga była zła. Nagle Ian wdepnął w krecią dziurę i złamał nogę – wyjaśnił Jamie.

– Tę drewnianą – dodał Ian. Uśmiechnął się szeroko, trochę szelmowsko. – Najlepiej z tego wszystkiego wyszedł kret.

– Więc zostaliśmy w pobliskiej wiosce, aż wystrugali mu nową protezę – zakończył historię Jamie. – Możemy coś zjeść? Żołądek mi z głodu przywarł do pleców.

Weszliśmy do środka bez dalszych ceregieli. Pani Crook i ja podałyśmy kolację, a Jenny w tym czasie przemywała Ianowi twarz wyciągiem z leszczyny i robiła niecierpliwe dochodzenie na temat pozostałych obrażeń.

– To naprawdę nic takiego – zapewnił Ian. – Tylko parę siniaków.

Przyglądałam mu się jednak, jak wchodził do domu, i zobaczyłam, że utyka bardziej niż zwykle. Zamieniłam ukradkiem parę słów z Jenny przy zmywaniu naczyń po kolacji i wypakowywaniu zakupów. Potem przeszliśmy wszyscy do salonu. Jenny przyklękała na dywanie przed Ianem i chwyciła jego nową protezę.

– Zdejmiemy ją – zarządziła. – Odniosłeś obrażenia

i chcę, żeby Claire się im przyjrzała. Pomoże ci bardziej niż ja.

Amputacji dokonano fachowo i w dodatku szczęśliwie. Lekarzowi wojskowemu, który odejmował dolną część nogi, udało się zostawić staw kolanowy. Dzięki temu Ian miał o wiele większą swobodę ruchu. Teraz jednak staw kolanowy przysporzył Ianowi kłopotu.

Upadek spowodował znaczne wykręcenie nogi. Koniec kikuta był cały posiniąły i poraniony w miejscach, gdzie ostra krawędź protezy przebiła skórę. Jakikolwiek wysiłek oparcia ciężaru na tej nodze musiał powodować potworny ból. Ciało wokół stawu kolana było spuchnięte, czerwone i gorące.

Pociągła, dobrotliwa twarz Iana również przybrała czerwony kolor. Choć Ian nauczył się żyć ze swoim inwalidztwem, wiedziałam, że nie mógł znieść bezradności, jakie ze sobą niosło. Czuł się okropnie zmieszany tym, że jest wystawiony na widok publiczny.

Sprawiło mu to niemal taki sam ból, jak dotykание przeze mnie obolałej nogi.

– Naderwałeś sobie więzadło – wyjaśniłam, wskazując delikatnie palcem spuchnięcie wewnętrznej strony kolana. – Nie potrafię stwierdzić, na ile to jest poważne, ale z pewnością nie należy tego lekceważyć. Wewnątrz stawu zgromadził się płyn. Stąd ta opuchlizna.

– Możesz coś na to poradzić, Angielko? – Jamie z troską przyglądał się nieciekawie wyglądającemu kikutowi przez moje ramię.

Pokręciłam przecząco głową.

– Nie za wiele poza przyłożeniem zimnego

kompresu, który złagodzi opuchliznę. – Obdarzyłam Iana spojrzeniem zbliżonym do tego, w jaki zwykle patrzyła matka Hildegarda. – Natomiast ty musisz poleżeć w łóżku. Jutro napij się whisky, żeby uśmierzyć ból. Dzisiaj dam ci opium, szybciej zaśniesz. Przynajmniej tydzień spędzisz w łóżku. Potem zobaczymy.

– Wykluczone! – zaprotestował Ian. – Trzeba naprawić ścianę w stodole i dwie zapory przy polu, naostrzyć lemiesz i...

– Wyleczyć nogę – przerwał mu stanowczo Jamie. Posłał Ianowi spojrzenie, które ja nazywam „dziedzicowskim”. Było piorunujące. Większość ludzi reagowała na nie natychmiastową kapitulacją. Jednak Ian, który razem z Jamiem jadł, bawił się, polował, walczył i bił się, wykazał zdecydowanie mniejszą podatność na „dziedzicowskie spojrzenia” niż reszta poddanych.

– A co, do cholery?! – wrzasnął zdenerwowany. Popatrzył na Jamiego brązowymi oczami, w których dostrzegłam ból, złość i coś jeszcze, czego nie mogłam rozszyfrować. – Myślisz, że możesz mi rozkazywać?

Jamie ukucnął, z wypiekami na twarzy, jakby przed chwilą dostał lanie. Powstrzymał się, żeby nie odszczeknąć, i po chwili powiedział cicho:

– Nie, nie chcę ci rozkazywać. Ale mogę cię prosić, żebyś o siebie dbał?

Mężczyźni wymienili długie spojrzenie, w którym kryła się jakaś nieodgadniona dla mnie wiadomość. W końcu ramiona Iana opadły gwałtownie, a on sam się rozluźnił, skinął głową i uśmiechnął się szelmowsko.

– Prosić możesz – westchnął i potarł zadrapanie na

policzku. Wykrzywił twarz z bólu od dotknięcia zdartej skóry. Wziął głęboki oddech, żeby ochłonąć, a potem wyciągnął rękę do Jamiego. – Pomożesz mi wstać?

Wprowadzenie jednonogiego mężczyzny na drugie piętro nie było łatwe, ale w końcu się udało. W drzwiach sypialni Jamie powierzył Iana opiece Jenny. Ian cofnął się trochę i ciepłym głosem rzucił coś do Jamiego po celtycku. Wydało mi się, że powiedział:

„Trzymaj się, bracie”.

Jamie przystanął, odwrócił się i uśmiechnął. Jego oczy promieniały ciepłem.

– Ty również, mój bracie.

Zesłam wraz z Jamieem do naszej sypialni. Jego przygarbione plecy mówiły, jak bardzo jest zmordowany, ale chciałam mu jeszcze zadać kilka pytań, zanim zaśnie.

To tylko kilka siniaków tu i tam, przypominałam sobie słowa Iana. Rzeczywiście – tu i tam. Oprócz siniaków na twarzy i nodze, zauważyłam ciemne plamki, częściowo ukryte pod kołnierzem koszuli. Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić kreta, który usiłuje udusić mężczyznę w akcie zemsty za wtargnięcie do nory.

Jamie wcale nie chciał od razu zasnąć. Łóżko, wczorajszej nocy tak bardzo puste, dzisiaj ledwie mogło nas pomieścić.

Jamie miał półprzymknięte z rozkoszy oczy.

– Nie przestawaj, to takie cudowne – szepnął.

– Nie martw się, nie mam zamiaru – zapewniłam. –

Tylko zgaszę świece. – Wstałam i zdmuchnęłam płomyki. Przez nie zamknięte okiennice do wnętrza dostawało się mnóstwo światła, odbijanego przez padający śnieg.

Wyraźnie widziałam Jamiego – jego długie ciało spokojnie leżało pod kołdrą, w pół otwarte dłonie spoczywały wzdłuż ciała. Wślizgnęłam się za niego, ujęłam jego prawą rękę i zaczęłam delikatnie masować duże dłonie.

Wydał z siebie przeciągłe westchnienie, prawie jęk, kiedy kciukiem masowałam stawy. Palce zeszywniałe w ciągu długich godzin prowadzenia konia rozgrzały się i rozluźniły pod wpływem mojego dotyku. W domu panowała cisza, a w pokoju było zimno poza świątynią łóżka. Sprawiało mi przyjemność poczucie bliskości potężnego ciała, które rozgrzewało obszar tuż za mną. Cieszyłam się intymnością dotyku, nie odczuwając naglącej potrzeby spełnienia. Z czasem niewinne muskanie mogło przerodzić się w coś więcej. W zimie noce są długie. Byliśmy razem. Na razie cieszyliśmy się tym, co mamy.

– Jamie – zagadnęłam po chwili. – Kto zranił Iana?

Nie otworzył oczu i znów westchnął, zanim odpowiedział. Ale nie obruszył się, słysząc pytanie. Chyba się go spodziewał.

– Ja.

– Co? – Zaskoczona wypuściłam jego rękę. Zaciśnęłam pięść, a potem ją rozluźniłam, sprawdzając władzę w palcach. Później odwrócił lewą dłoń i położył ją na kołdrze.

Pokazał kłyckie, lekko spuchnięte od zetknięcia z twardą powierzchnią kości Iana.

– Dlaczego? – spytałam przerażona. Wydawało mi się, że pomiędzy Jamiem i Ianem zaistniał jakiś nowy rodzaj napięcia, chociaż nie nazwałabym tego wrogością. Nie mogłam sobie wyobrazić, co zmusiłoby Jamiego do uderzenia Iana. Szwagier był mu przecież niemal równie

bliski, jak siostra, Jenny.

Jamie leżał z otwartymi oczami, ale nie patrzył na mnie. Nie przestawał pocierać dłoni, przypatrując się im równocześnie. Poza nieznacznie posiniaczonymi palcami Jamie nie miał innych śladów walki. Widocznie Ian mu nie oddał.

– Cóż, Ian zbyt długo jest żonaty – odparł.

– A ja bym powiedziała, że ty zbyt długo byłeś na słońcu – stwierdziłam. – Oczywiście, gdyby akurat świeciło – dodałam. – Masz gorączkę?

– Nie – odpowiedział, ale nie pozwolił mi dotknąć czoła. – Nie, to tylko... przestań, Angielko, czuję się dobrze. – Zaciął usta. Po chwili jednak opowiedział mi całą historię.

Ian rzeczywiście wpadł do kreciej nory niedaleko Broch Mordha i złamał drewnianą nogę.

– Był prawie wieczór, sypał śnieg, a my mieliśmy wiele spraw do załatwienia w wiosce. Widziałem, że Iana bardzo ta noga boli, ale mimo to upierał się, że może jechać. W pobliżu znajdowało się kilka domków, więc posadziłem go na konia, zawiozłem tam i poprosiłem gospodarzy o schronienie na noc.

Zostali przyjęci z charakterystyczną góralską gościnnością. Poczęstowano ich miską ciepłej stawy i ciastem owsianym, a potem rozłożono im sienniki przy kominku.

– Przy palenisku prawie nie było miejsca, więc leżeliśmy ściśnięci, bok przy boku.

Próbowaliśmy ułożyć się możliwe najwygodniej. – Wziął głęboki oddech i spojrział na mnie z odrobiną

nieśmiałości. – Zmordowany po podróży spałem głęboko, Ian pewnie też. A że przez ostatnie pięć lat każdej nocy sypiał u boku Jenny, podejrzewam, że to dlatego... kiedy poczuł obok siebie w środku nocy ciepłe ciało, przytulił się do mnie i pocałował w szyję z tyłu. Myślałem... – Zawahał się. Jego twarz poczerwieniała tak, że zauważyłam to mimo mroku panującego w pokoju. – Obudziłem się z głębokiego snu przekonany, że Jack Randall...

Calej historii słuchałam ze wstrzymanym oddechem. Teraz powoli wypuściłam powietrze.

– Musiałeś być przerażony.

Jamie wykrzywił usta.

– Ja bym powiedział, że to Ian był przerażony. Przewróciłem się na niego i rąbnąłem go w twarz. Zanim się zorientowałem, co robię, leżałem na nim i trzymałem za gardło tak mocno, że język mu wyszedł na wierzch. Murrayowie w swoich łóżkach pewnie też najedli się strachu – dodał po chwili. – Wyjaśniłem im, że miałem koszmar. Zresztą w pewnym sensie miałem. Narobiliśmy niezłego zamętu: dzieciaki płakały, Ian wcisnął się w kąt, pani Murray siedziała sztywna na łóżku i powtarzała: „Kto to? Kto to?“, co brzmiało jak hukanie małej sówki.

Roześmiałam się mimo woli. Już sobie wyobrażałam tę scenę.

– Boże, Jamie, Czy Ianowi nic się nie stało?

Jamie wzruszył ramionami.

– Widziałaś przecież. Po jakimś czasie wszyscy znowu zasnęli, a ja przez resztę nocy leżałem przed kominkiem, wpatrując się w belki sklepienia. – Nie sprzeciwił się, kiedy ujęłam jego lewą rękę i delikatnie

poślaskałam posiniaczone palce. Zacisnął je na mojej dłoni.

– Więc kiedy wyjechaliśmy następnego ranka – ciągnął – poczekałem, aż dotrzemy do miejsca, gdzie można usiąść i popatrzeć na dolinę. Tam... – przełknął ślinę i zacisnął mocniej swoją dłoń na mojej. – Tam mu powiedziałem. O Randallu. I o wszystkim, co się wydarzyło.

Zrozumiałam dwuznaczność spojrzenia, które Ian posłał Jamiemu. Pojąłem też przyczynę napięcia malującego się na twarzy Jamiego. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc po prostu ścisnęłam go za rękę.

– Nie sądziłem, że komukolwiek kiedyś wyznam tę straszną prawdę. Poza tobą – dodał, odwzajemniając uścisk. Uśmiechnął się łagodnie, a potem wysunął jedną rękę, żeby otrzeć twarz.

– Ale Ian... czy... – szukał właściwego słowa – on mnie zna, prawda?

– Tak myśle. Przecież od małego razem się wychowywaliście.

Pokiwał głową i bezwiednie spojrzął za okno. Wirujące płatki śniegu, bielsze niż niebo, zaczęły znowu tańczyć za szybą.

– Jest tylko rok starszy ode mnie. Zawsze mi towarzyszył, kiedy dorastałem. Dopóki nie skończyłem czternastu lat, nie było dnia, którego nie spędzałbym z Ianem. A nawet i później, po powrocie z Leoch do Paryża, gdy poszedłem tam, gdzie zawsze siedział Ian, poczułem się tak, jakbym nigdy nie wyjeżdżał. Uśmiechnął się, gdy mnie zobaczył. Potem szliśmy do domu razem, ramię w ramię, przez pola i strumienie, gadając o wszystkim. –

Odetchnął głęboko i przeczesał ręką włosy.

– Ian... jest częścią mnie, która przynależy do Lallybroch i nigdy stąd nie wyjechała – starał się wytłumaczyć. – Pomyślałem... że muszę mu powiedzieć. Nie chciałem czuć się...

oddzielony. Od Iana. Od tego miejsca. – Wskazał okno, potem odwrócił się do mnie. Jego oczy były ciemne w mroku. – Wiesz czemu?

– Chyba tak – odparłam miękko. – A Ian wiedział?

Zakłopotany Jamie nieznacznie wzruszył ramionami, jakby uwalniał się od cisnącej go w szyję koszuli.

– Nie mam pojęcia. Z początku, kiedy zacząłem mu opowiadać, cały czas kręcił głową.

Nie mógł uwierzyć. A kiedy wreszcie uwierzył... – Przerwał i oblizał usta. Zdałam sobie sprawę, jak wiele kosztowało go to wyznanie. – Widziałem, że chciał wstać i mi przyłożyć, ale nie mógł z powodu nogi. Miał zaciśnięte pięści i kompletnie białą twarz. Cały czas powtarzał: „Jak mogłeś pozwolić, żeby to zrobił?”.

Jamie pokręcił głową.

– Nie pamiętam, co powiedziałem. Ani co mówił Ian. Wrzeszczeliśmy na siebie, tyle wiem. Chciałem go uderzyć, ale nie mogłem z powodu nogi. On też zamierzał mi dołożyć, ale nie mógł... z powodu nogi.– Parsknął śmiechem. – Jezu, musieliśmy wyglądać jak para kretynów, kiedy tak wymachiwaliśmy rękami i ryczeliśmy na siebie. Ja wrzeszczałem dłużej, więc Ian w końcu się zamknął i posłuchał do końca. Nagle zrozumiałem, że dalsze wyznania nie mają sensu. Usiadłem na skale i ukryłem

twarz w dłoniach. Po jakimś czasie Ian zaproponował, żebyśmy już szli. Przytaknąłem, wstałem i pomogłem mu wsiąść na konia. Jechaliśmy w milczeniu.

Jamie chyba nagle zdał sobie sprawę, jak mocno ściska moją rękę. Rozluźnił trochę uścisk. Obracał między palcami obrączkę.

– Przemierzyliśmy kawał drogi – ciągnął miękko. – Usłyszałem z tyłu cichy głos.

Zatrzymałem się, żeby koń Iana zrównał się z moim. Widziałem, że Ian płakał. Łzy spływały mu po policzkach. Zorientował się, że na niego patrzę i mocno potrząsnął głową, jakby nadal był zły. Ale wtedy wyciągnął do mnie rękę. Ja również podałem mu swoją. Ścisnął ją tak mocno, że mało nie połamał mi kości. Potem mnie puścił. I tak dotarliśmy do domu.

Kiedy skończył opowieść, poczułam, jak opada z niego napięcie.

„Trzymaj się, bracie”, powiedział Ian wcześniej, kiwając się na swojej jednej nodze w drzwiach sypialni.

– Już dobrze? – spytałam.

– Tak. – Był teraz całkiem rozluźniony. Zanurzył się w poduszki z gęsiego puchu.

Wślizgnęłam się pod kołdrę i przysunęłam się blisko do jego boku. Patrzyliśmy na padający śnieg, który łagodnie osiadał na szybie.

– Cieszę się, że jesteś cały i zdrowy w domu – powiedziałam.

Rano obudziłam się w tym samym szarym świetle. Jamie, już ubrany, stał przy oknie.

– O, już nie śpisz, Anielko? – Zobaczył, jak

podnoszę głowę z poduszki. – To dobrze.

Przywiozłem dla ciebie prezent.

Sięgnął do swojej torby skórzanej i wyjął kilka miedziaków, parę odłamków skał, krótki patyk owinięty linką do łowienia oraz splątany kłębek długowłosych królików.

– Króliki? Dziękuję, cudowne.

– Nie, one nie są dla ciebie – wyjaśnił, wyplątując z niebieskiej sierści krecią nogę, którą nosił przy sobie jako czarodziejski środek chroniący przed reumatyzmem. – Przywiozłem je dla małej Maggie. – Niepewnie spojrzął z ukosa na kawałki skały, które trzymał w ręce. Ku mojemu zdziwieniu wziął jeden i polizał.

– Nie, nie ten – wymamrotał i ponownie zanurzył rękę w torbie.

– Co ty, na miłość boską, wyprawiasz? – spytałam. Z dużym zainteresowaniem przyglądałam się temu przedstawieniu. Nie odpowiedział, ale wyjął kolejną garść kamieni. Wąchał je i po kolei odkładał. W końcu został mu w ręce ten właściwy. Dla pewności polizał chropowatą powierzchnię, a potem, rozpromieniony, wręczył mi kamień.

– Bursztyn – oznajmił z satysfakcją, kiedy obracałam w palcach piękny prezent o nieregularnych kształtach. Kamyk był ciepły. Prawie nieświadomie zamknęłam go w dłoni. – Oczywiście trzeba wypolerować – wyjaśnił. – Ale pomyślałem, że wspaniale nadaje się na wisior dla ciebie. – Odetchnął lekko. – To jest... prezent z okazji pierwszej rocznicy naszego ślubu. Kiedy go zobaczyłem, przypomniał mi się kawałek bursztynu, który

dostałaś od Hugh'a Munrowa, kiedy się pobieraliśmy.

– Mam go cały czas – powiedziałam miękko, pieszcząc małą grudkę zastygłej żywicy.

W bursztynie od Hugh'a, z jednej strony ściętym i wypolerowanym niczym szyba, tkwiła ważka, skazana na wieczny lot. Trzymałam podarunek w pudełku z lekarskami i był to mój najcenniejszy amulet.

Pobraliśmy się w czerwcu, nie w grudniu. Ale w dniu rocznicy Jamie siedział w Bastylli, a ja... byłam w ramionach króla Francji. Nie mieliśmy więc możliwości obchodzić jubileuszu.

– Niedługo święta – powiedział Jamie. Patrzył przez okno na miękkie śnieg pokrywający pola Lallybroch.

Wstałam z łóżka, podeszłam do Jamiego i objęłam go w pasie. Milczeliśmy. Mój wzrok padł na inne małe, żółtawe bryłki, które Jamie wyjął z torby.

– Co to jest, Jamie? – spytałam, oddalając się od niego na tyle, żeby móc wskazać palcem.

– A, to? Kuleczki miodowe, Angielko. – Wziął jedną i oczyścił ją palcami. – Dała mi pani Gibson w wiosce. Bardzo dobre, tylko trochę mi się zabrudziły w torbie. – Z uśmiechem wyciągnął do mnie rękę. – Chcesz jedną?

34

AKT WIERNOŚCI

Nie wiedziałam, czym ze swojej rozmowy z Jamiem Ian podzielił się z Jenny.

Zachowywała się w stosunku do brata jak zwykle – rzeczowo inieco zgryźliwie, z czułą przekorą. Jednak

znałam ją wystarczająco długo, żeby mieć pewność, że jednym ze szczególnych darów, jakie posiadała, była umiejętność dogłębnego postrzegania rzeczy i trzymania wniosków w tajemnicy.

Różnorodne uczucia, jakie istniały między naszą czwórką od miesięcy, przerodziły się we wzór niewzruszonej siły, opartej na przyjaźni i ugruntowanej w pracy. Wzajemny szacunek i zaufanie stały się po prostu koniecznością przy takim nawale zajęć.

Jenny była w zaawansowanej ciąży, więc ja przejmowałam coraz więcej domowych obowiązków. Nigdy nie odważyłabym się uzurpować sobie prawa do jej miejsca. To dzięki niej dom żył po śmierci matki i to do Jenny najczęściej przychodzili dzierżawcy i wieśniacy. Jednak przywykli również do mnie. Okazywali mi przyjacielski szacunek, który czasami graniczył z akceptacją, a czasem ocierał się o strach.

Pierwszym wydarzeniem wiosny było zasadzenie ogromnej ilości ziemniaków. Prawie połowa użytków rolnych została przeznaczona pod nową uprawę. Słuszność tej decyzji potwierdziła się po kilku tygodniach, kiedy burza gradowa zniszczyła nowo wysiany owies. Ziemniaki, które trzymały się nisko przy ziemi, przetrwały.

Następne wiosenne wydarzenie to narodziny drugiej córki Iana i Jenny. Katarzyna Maria przysłała na świat nagle. Zaskoczyła tym wszystkich, łącznie z samą mamą.

Pewnego dnia Jenny skarżyła się na bóle kręgosłupa i poszła się położyć. Wkrótce wyszło na jaw, co się dzieje naprawdę. Jamie czym prędzej pojechał po panią Martins, akuszerkę. Wrócili akurat na czas, żeby szklaneczką wina

wznieść toast za niemowlę, które swoje pojawienie się na świecie oznajmiło wysokim, głośnym płaczem, niosącym się echem po korytarzach domu.

Roślinność zaczęła puszczać liście i zazieleniła się. Ja również kwitłam. Pracą i miłością leczyłam ranę, jaką nosiłam w sercu.

Listy przychodziły nieregularnie. Czasami przesyłka pojawiała się co tydzień, a czasami nie dostawaliśmy nic przez miesiąc albo nawet dłużej. Biorąc pod uwagę odległości, jakie listonosze musieli pokonać, żeby doręczyć pocztę w górach, wydawało mi się cudem, że w ogóle cokolwiek docierało.

Jednak dzisiaj przyszedł duży plik listów i książek, owiniętych dla ochrony przed zmoczeniem w woskowany pergamin i przewiązanych szpagatem.

Jenny zaprosiła listonosza do kuchni, żeby odpoczął. Starannie rozwiązała sznurek i zapobiegliwie schowała go do kieszeni. Przejrzała korespondencję. Nęcąco wyglądającą paczkę z Paryża odłożyła na bok.

– List do Iana. Pewnie rachunek za ziarno. I drugi, od cioci Jocasty. Och, wreszcie!

Od miesiący nie mieliśmy od niej wieści. Bałam się, że może choruje, ale widzę, że pisała pewną ręką...

List zaadresowany wyraźnymi czarnymi literami powędrował na plik Jenny, razem z wiadomością od jednej z zameźnych córek Jocasty. W jego ślady poszedł kolejny list do Iana, z Edynburga, następny dla Jamiego od Jareda – poznałam pajęcze, nieczytelne pismo – i jeszcze jeden, w grubej kremowej kopercie ze znaczkiem z królewskim herbem rodziny Stuartów. Z pewnością od Karola, który

narzeka na trudy życia w Paryżu i na udręki nieodwzajemnionej miłości. Ten przynajmniej był krótki. Karol zwykle rozpisywał się na kilka stron. Obnażał swoją duszę przed „cher Jamesem” w dialektach czterech języków, dzięki czemu przynajmniej było wiadomo, że do pisania listów nie zatrudnia sekretarza.

– O, trzy powieści francuskie i tomik poezji z Paryża! – krzyknęła podniecona Jenny, gdy otworzyła zawiniętą w papier paczkę. – Którą przeczytamy dziś wieczorem? – Odwinęła książki z papieru i trzęsącym się z wrażenia palcem wskazującym uderzyła w skórzaną okładkę. Jenny kochała książki taką samą miłością, jaką jej brat darzył konie.

Dwór mógł poszczycić się niewielką biblioteczką i do przyjemności wieczoru, pomiędzy pracą a nocnym odpoczynkiem, należała krótka lektura.

Pewnej nocy pogoniłam Jenny, żeby lepiej poszła spać, zamiast czytać na głos Ianowi, Jamiemu i mnie. Ziewnęła wtedy i powiedziała:

– Lubię czytać, nawet jeśli jestem zmordowana tak, że ledwie widzę litery.

Przypominam treść następnego dnia, kiedy ubijam masło czy przędę wełnę.

Przynajmniej mam o czym myśleć przy robocie.

Ukryłam uśmiech na wspomnienie przedzenia. Byłam przekonana, że jedynie kobiety z Lallybroch przędły nie tylko przy wtórze tradycyjnych pieśni, ale także wierszy Moliera i Pirona.

Prząśniczki siedziały w dwóch rzędach naprzeciw siebie, bosy i z gołymi ramionami, w najbardziej

zniszczonych rzeczach. Opierały się o ścianę, nogami przytrzymywały długą namoczoną belę wełny i wyciągały z niej mocne włókna, które miały później dawać ochronę przed górską mgłą, a nawet lekkim deszczem.

Co pewien czas któraś kobieta wstawiała i wychodziła na zewnątrz, żeby przynieść z ognia naczynie z parującą uryną. Zakasywała spódnice, żeby jej nie zamoczyć i szła przez środek przędzalni. Z bel wełny unosił się gorący, duszący dym. Kobiety odsuwały stopy przed przypadkowym ochlapaniem i żartowały przy tym niewybrednie.

– Gorące siki pomagają szybciej przyjąć farbę – wyjaśniła mi jedna z wieśniaczek, kiedy po raz pierwszy z załzawionymi oczami weszłam do przędzalni. Pozostałe kobiety z początku obserwowały, czy wycofam się z pracy. Jednak po tym, co widziałam i robiłam we Francji zarówno podczas wojny w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku, jak i pracy w szpitalu w tysiąc siedemset czterdziestym czwartym, przędzenie nie stanowiło dla mnie wielkiego wyzwania. Życie niewiele się różni, bez względu epokę.

Pomijając zapach, przędzalnia była ciepłym, przytulnym miejscem. Kobiety z Lallybroch siedziały na podłodze, otoczone belami wełny, żartowały i śpiewały razem przy pracy, rytmicznie poruszając rękoma lub zanurzając bosymi stopami parującą tkaninę.

Ze wspomnień z przędzalni wyrwał mnie odgłos ciężkich kroków i podmuch zimnego deszczowego powietrza, który wdarł się przy otwarciu drzwi. W korytarzu usłyszałam Jamiego i Iana. Rozmawiali po

celtycku w przyjazny, spokojny sposób, co znaczyło, że roztrząsają gospodarskie sprawy.

– W przyszłym roku trzeba będzie nawodnić pole – powiedział Jamie. Na widok brata i męża Jenny odłożyła pocztę i poszła po czyste lniane ręczniki do kufra stojącego w korytarzu.

– Wytrzyjcie się, zanim zachlapiecie dywan – nakazała. – I zdejmijcie brudne buciory. Przyszła poczta, Ian, jest do ciebie list od tego człowieka z Perth, do którego pisałeś w sprawie sadzonek ziemniaków.

– Tak? Już czytam, ale czy mógłbym przedtem coś zjeść? – spytał. Wycierał ręcznikiem zmokniętą głowę tak długo, aż w końcu gęste brązowe włosy najeżyły się. – Umieram z głodu i stąd słyszę, jak Jamiemu burczy w brzuchu.

Jamie otrząsnął się niczym przemoczony pies; Lenny pisnęła, kiedy zimne krople poleciały na dywan. Koszula przykleiła się do potężnych ramion, a pojedyncze kosmyki mokrych od deszczu rdzawych włosów opadły Jamiemu na oczy.

Przesunęłam mu ręcznik na szyję.

– Skończ się wycierać, a ja ci coś przyniosę do jedzenia – powiedziałam i poszłam do kuchni.

Nagle usłyszałam krzyk. Nigdy wcześniej Jamie nie wydał z siebie takiego dźwięku, w którym były nuty przerażenia, szoku i tony ostateczności, jak we wrzasku mężczyzny trzymanego w szczękach tygrysa. Z pustką w głowie biegłam przez korytarz z tacą ciasteczek owsianych.

Wpadłam do pokoju i zobaczyłam męża obok stołu, na którym Jenny położyła listy.

Jamie miał śmiertelnie bladą twarz, chwiał się jak ścinane drzewo, zanim ktoś krzyknie:

„Uwaga, leci!”

– Co? – spytałam potwornie przerażona jego wyglądem. – Jamie, co się stało?

Z widocznym wysiłkiem podał mi jeden z listów.

Odstawiłam ciastka i wzięłam do ręki kartkę. Szybko przebiegłam wzrokiem treść:

List był od Jareda – od razu poznałam cienkie, niedbałe pismo. „Drogi siostrzeńcze... tak zadowolony... słowa nie wyrażą podziwu... twoja odwaga to zachęta... nie może zawieść...

będę pamiętał o tobie w modlitwach...” – Zdezorientowana podniosłam oczy znad kartki.

– Jamie, do diabła, o czym on pisze? Co ty zrobiłeś?

Kolor i grymas jego twarzy przypominał oblicze trupa. Jamie podniósł drugą kartkę, która miała wyglądać taniej ulotki.

– To nie ja, Angielko – odpowiedział. W nagłówku znajdował się herb królewski Stuartów. Nota pod spodem była krótka, zwięźle sformułowana.

Z łaski Wszchemocnego Boga, Jakub VIII, król Szkocji, i III, Anglii i Irlandii – niniejszym poświadczam swoje prawo do ubiegania się o koronę trzech królestw. Niżej podpisani przywódcy szkockich klanów, lordowie jakobiccy i inni tak wierni poddani Jego Wysokości Królowi Jakubowi, których nazwiska znajdują się na obwieszczeniu, popierają jego święte prawo do tronu”.

Moje palce zlodowaciały przy czytaniu. Ogarnęło mnie takie uczucie paniki, że prawdziwym wysiłkiem stało

się oddychanie. W uszach słyszałam dudnienie krwi, a przed oczami pojawiły mi się ciemne plamy.

Na dole kartki widniały podpisy szkockich przywódców, którzy wyrazili poparcie dla sprawy i zaryzykowali życie i reputację, licząc na sukces Karola Stuarta. Znalazł się wśród nich Clanranald, Glengarry, Steward z Appin, Aleksander MacDonald z Keppoch i Angus MacDonald ze Scotus.

Na samym końcu listy widniały imiona i nazwiska jeszcze jednej osoby: James Aleksander Malcolm MacKenzie-Fraser z Broch Tuarach.

– Do jasnej cholery – szepnęłam. Szukałam w pamięci mocnych słów, żeby sobie ulżyć. – Ten plugawy zawszaniec podpisał to twoim nazwiskiem!

Jamie, cały czas blady i z kamienną twarzą, zaczął dochodzić do siebie.

– Tak – wymamrotał. Sięgnął po nie otwarte pismo, które nadal leżało na stole. Przez chwilę trzymał gruby papier z herbem Stuarta. Potem niecierpliwie złamał woskową pieczęć. Szybko przeczytał list i upuścił go na stół, jakby poparzony w ręce.

– Przepraszam! – parsknął. – Za brak czasu na przesłanie mi dokumentu, żebym sam mógł się podpisać. I wyraża wdzięczność za moje lojalne poparcie. Na Boga, Claire! Co ja mam robić?

To był krzyk z głębi serca. Nie umiałam odpowiedzieć. Bezradnie patrzyłam, jak Jamie opada na stół. Siedział nieruchomo i wpatrywał się w ogień.

Jenny, przerażona całą sytuacją, niezgrabnie wstała, żeby pobrać listy. Czytała je uważnie, delikatnie

poruszając ustami. Potem odłożyła kartki na lśniący stół. Przyglądała się im ze marszczonymi brwiami. Podeszła do brata i położyła rękę na jego ramieniu.

– Jamie. – Jej twarz była bardzo blada. – Tylko jedno możesz zrobić, kochanie.

Musisz iść i walczyć za Karola Stuarta. Musisz pomóc mu wygrać.

Słuszność jej słów przesywała mnie powoli, pokonując kilka warstw szoku.

Opublikowanie tego zobowiązania było równoznaczne z uznaniem tych, którzy je podpisali, za buntowników i zdrajców korony angielskiej. W tej chwili nie miało znaczenia, w jaki sposób Karol zdobył środki na rozpoczęcie działań – liczyło się to, że całkowicie zanurzył się w morzu rebelii, a za sobą pociągnął Jamiego i mnie. Ale, jak stwierdziła Jenny, nie było wyboru.

Mój wzrok padł na list od Karola. Kartka leżała tam, gdzie Jamie wypuścił ją z rąk.

„...Choć wielu mi powie, że jestem kretynem, skoro pakuję się w tę kabałę bez poparcia Ludwika albo chociaż jego pieniędzy, nie ustane, dopóki nie powrócę do miejsca, z którego pochodzę”, czytałam. „Ciesz się wraz ze mną, mój drogi przyjacielu, bo wracam do domu”.

35

BRAK KSIĘŻYCA

Przygotowaniom do wyjazdu towarzyszyło podniecenie, które udzieliło się wszystkim w posiadłości. Wyciągnięto broń przechowywaną od powstania z tysięcy siedemset piętnastego roku, naostrzono ją i wypolerowano.

Mężczyźni wiedli konspiracyjne rozmowy w małych grupkach w blasku sierpniowego słońca. Kobiety obserwowały ich w milczeniu.

Jenny dzieliła z bratem umiejętność zachowania nieodgadnionego wyrazu twarzy.

Nie dawała po sobie poznać, co naprawdę myśli. Ja sama, przezroczysta jak szkło, zazdrościłam jej tej zdolności. Kiedy więc pewnego ranka spytała, czy przyprowadzę do niej do piwnicy Jamiego, nie miałam zielonego pojęcia, czego może od niego chcieć.

Jamie wszedł zaraz za mną i stanął w drzwiach. Czekał, aż oczy oswoją mu się z ciemnością. Wziął głęboki oddech. Z wyraźnym zadowoleniem wchłaniał stęchłe, wilgotne powietrze.

– Ach – westchnął marzycielsko. – Mógłbym się upić samym zapachem.

– Więc wstrzymaj oddech na chwilę, bo potrzebuję cię trzeźwego – poradziła mu siostra.

Posłusznie nabrał powietrza w płuca i wyduł policzki. Jenny dała mu porządnego kuksańca w brzuch. Jamie zgiął się w pół i sapnął jak lokomotywa.

– Pajac – powiedziała żartobliwie. – Chciałam porozmawiać z tobą o Ianie.

Jamie zdjął z półki pusty kosz, odwrócił go do góry dnem i na nim usiadł. Błady strumień światła z okna osłoniętego woskowanym papierem nadał jego włosom odcień głębokiej miedzi.

– O co chodzi? – spytał.

Teraz z kolei Jenny wzięła głęboki oddech. Z szerokiego baniaka z otrębami, który przed nią stał,

uchodziło wilgotne ciepło fermentacji, przesycone drożdżowym zapachem zmieszany z wonią ziarna, chmielu i alkoholu.

– Chcę, żebyś zabrał ze sobą Iana.

Jamie uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Jenny skupiła wzrok na ruchach chochli i obserwowała delikatny osad w płynie. Jamie bacznie przyglądał się siostrze. Bezwładnie trzymał wielkie ręce na udach.

– Jesteś zmęczona małżeństwem, tak? – zagadnął. – Pewnie byłoby mi łatwiej wywlec go stąd do lasu i zabić na twoje życzenie. – Nad baniakiem zabłyśły błękitne oczy.

– Jeżeli zechcę kogoś zastrzelić, Jamie Fraserze, zrobię to sama. I to nie Ian będzie moim celem, zapewniam cię.

Parsknął cicho i uśmiechu podniósł kąciki ust.

– Ach tak? Więc dlaczego?

Jej ramiona poruszały się płynnie, jeden ruch przechodził w kolejny.

– Bo cię o to proszę.

Jamie rozłożył prawą rękę na kolanie. Bezwiednie uderzył się w bliznę, która szła wzdłuż środkowego palca.

– To niebezpieczne, Jenny – powiedział cicho.

– Wiem.

Powoli potrząsnęła głową. Cały czas przypatrywał się swojej ręce. Dobrze się zagoiła i służyła mu całkiem nieźle, ale zeszytywniały czwarty palec i stwardniały obszar wokół blizny nadały jej dziwny, wykrzywiony kształt.

– Tak ci się wydaje.

– Nic mi się nie wydaje! Wiem.

Podniosła głowę. Patrzyła niespokojnie, ale starała

się rozumieć.

– Ian na pewno ci opowie historie o walkach we Francji i inne rzeczy. Ale nie masz pojęcia, jak to wszystko wygląda naprawdę, Jenny. Moja droga, tu nie chodzi o spęd bydła. To jest wojna i pewnie skończy się krwawą jatką. To...

Chochla uderzyła w ściankę baniaka i wpadła do zacieru.

– Przestań! – wybuchnęła Jenny. – A jak myślisz, kto pielęgnował Iana, kiedy wrócił z Francji bez połowy nogi i z gorączką, która niemal go zabiła? – Uderzyła ręką w ławkę.

Napięte nerwy puściły. – Nie wiem? Ja nie wiem? To ja wybierałam larwy z otwartej rany jego nogi, bo nawet matka nie mogła się przemóc, żeby to zrobić. Ja przykładalam gorący nóż do kikuta, żeby rana się zamknęła. Ja czułam zapach przypalanego ciała i słuchałam krzyku Iana. A ty śmiesz mówić, że... nie wiem... jak to jest!

Łzy wściekłości popłynęły jej po policzkach. Nie mogła znaleźć chusteczki w kieszeni, więc otarła je ręką.

Jamie wstał z zaciśniętymi ustami, wyciągnął chusteczkę ze swojego rękawa i podał ją Jenny. Wiedział, że to lepsze niż dotyk czy pocieszenie. Przez chwilę przypatrywał się, jak z furią wycierała oczy i mokry nos.

– I mimo to nalegasz, żebyśmy go zabrał?

– Tak. – Wydmuchała nos i przetarła go energicznie. – On dobrze wie, że jest kaleką.

Wie to nawet za dobrze. Ale z tobą da sobie radę. Ma konia, nie będzie musiał iść.

Jamie wykonał niecierpliwy gest ręką.

– Nie chodzi o to, czy sobie da radę. Mężczyzna potrafi zrobić to, co myśli, że powinien. Dlaczego ty myślisz, że on powinien?

Znowu opanowana Jenny wyłowiła chochlę z zacieru. Brązowe krople kapwały do baniaka.

– On cię nie pytał, czy będziesz go potrzebował?

– Nie.

Wróciła do pracy.

– Myśli, że ze względu na kalectwo wzgardzisz jego pomocą. – Podniosła głowę i zmartwiona spojrzała na brata bliźniaczo podobnymi ciemnoniebieskimi oczami. – Znałeś Iana kiedyś. Teraz jest inny.

Przytaknął niechętnie. Znow usiadł na koszu.

– Cóż, mogłem się tego spodziewać, Ian czuje się chyba wystarczająco dobrze. – Spojrzał na siostrę i uśmiechnął się. – Ale on jest szczęśliwy przy tobie i dzieciach, Jenny.

Pokiwała głową, aż podskoczyły czarne loki.

– Tak, wiem – powiedziała miękko. – I uważam go za wspaniałego, prawdziwego mężczyznę. – Spojrzała prosto na brata. – Ale jeżeli będzie myślał, że dla ciebie jest nieużyteczny, przestanie być mężczyzną w swoich własnych oczach. I dlatego musisz go zabrać.

Jamie złożył ręce i oparł łokcie na kolanach. Wsparł podbródek na zgiętych dłoniach.

– To nie będzie tak, jak we Francji – powiedział cicho. – Tam ryzykowało się w walce tylko swoje życie. Tutaj... – Zawahał się na chwilę – Jenny, to zdrada stanu. Jeżeli się nie uda, wszystkich, którzy stanęli po stronie

Stuarta, czeka strycczek.

Drobna twarz, zwykle blada, pobladła jeszcze bardziej, ale Jenny nie zwolniła ruchów.

– Ja nie mam wyboru – ciągnął z utkwionym w niej wzrokiem. – Ale Ian... Chcesz patrzeć na niego, jak czeka na podeście, aż ogień strawi mu wnętrzności? Będziesz ryzykować, że dzieci stracą ojca po to, by ocalić jego dumę? – Twarz Jamiego, niemal tak samo blada jak Jenny, świeciła w mrokach piwnicy.

Ruchy chochli straciły dziką szybkość, spowolniały. Jednak głos Jenny był spokojny i nieugięty.

– Albo będę miała stuprocentowego mężczyznę, albo żadnego – powiedziała stanowczo.

Jamie siedział przez długą chwilę bez ruchu, wpatrzony w ciemną głowę siostry pochyloną nad robotą.

– Dobrze – odezwał się w końcu cicho. Jenny nie podniosła głowy ani nie zmieniła ruchów, ale wydawało się, że jej biały fartuch nieznacznie przysunął się do Jamiego.

Odetchnął głośno, potem wstał i odwrócił się do mnie gwałtownie.

– Chodź stąd, Angielko. Na Boga, muszę być chyba pijany.

– Na jakiej podstawie uważasz, że masz prawo mi rozkazywać? – Żył w skroni Iana mocno pulsowała. Ręka Jenny zacisnęła się na mojej.

Kiedy Jamie oznajmił, że Ian może wraz z nim dołączyć do armii Stuarta, spotkał się najpierw z niedowierzaniem, potem z podejrzliwością, a w końcu ze złością.

– Idiota – stwierdził stanowczo Ian. – Jestem kaleką i dobrze o tym wiesz.

– Wiem, że nieźle walczysz. Nikogo nie chciałbym mieć bardziej u swego boku – powiedział pewnym głosem Jamie. Na jego twarzy nie było widać cienia wątpliwości ani niepewności. Przystał na prośbę Jenny i postanowił zrobić wszystko, żeby wyciągnąć Iana. – Tyle walczyłeś ze mną, a teraz mnie zostawisz? Ty, tak doskonały żołnierz?

Ian niecierpliwym ruchem ręki odrzącił pochlebstwo.

– Przecież może się zdarzyć, że odpadnie mi proteza albo się przewrócę. Po chwili wspaniałej walki zlegnę na ziemi jak padalec i będę czekał, aż przebiję mnie szablą pierwszy lepszy żołnierz angielski. A poza tym... – Gniewnie spojrzał na szwagra. – Jak myślisz, kto się zajmie Lallybroch, jeżeli pójdę z tobą?

– Jenny – odrzekł pośpiesznie Jamie. – Poza tym zostaje wystarczająco dużo mężczyzn do pracy. A z rachunkami twoja żona poradzi sobie równie dobrze, jak ty.

Ian podniósł brwi i powiedział po celtycku coś bardzo niegrzecznego.

– „Pog ma mahoń!”. Zmuszasz mnie do tego, żebym zostawił na jej głowie gospodarstwo! Z trójką małych dzieci i może połową potrzebnych do pracy mężczyzn!

Chyba oszalałeś, człowieku! – Wymachując rękami, Ian pokuśtykał do barku, gdzie stała whisky.

Jenny, która siedziała razem ze mną na kanapie z małą Katarzyną na kolanach, westchnęła głośno. Jej ręka odnalazła moją między naszymi zaplątanymi spodnicami.

Ścisnęłam mocno kruchą dłoń.

– Jakim prawem tak mną dyrygujesz?

Jamie z gniewem w oczach spojrzał na wyprostowane plecy szwagra.

– Bo jestem od ciebie większy – powiedział wojowniczo. Cały czas spoglądał groźnie.

Ian odwrócił się i popatrzył na Jamiego z niedowierzaniem. Na mniej niż sekundę w oczach Iana zabłysło niezdecydowanie. Wyprostował ramiona i zadął podbródek.

– Ale ja jestem od ciebie starszy – odparł z takim samym gniewem w głosie.

– A ja silniejszy.

– Nie jesteś!

– Owszem, jestem!

– Nie, ja jestem silniejszy!

Pod pozorną wesołością kryła się śmiertelna powaga. Obaj mężczyźni byli tak pochłonięci sobą, jak w młodości czy w dzieciństwie. W głosie mojego męża pobrzmiwała nuta wyzwania. Jamie już odpinał sobie mankiety i podwijał rękawy koszuli.

– Udowodnij – rzucił. Niedbałym ruchem ręki uprzątnął stolik do szachów, usiadł przy nim, oparł łokcie na inkrustowanym blacie i zaczął przygotowywać palce do pojedynku. Ciemnoniebieskie oczy wpatrywały się w brązowe oczy Iana, w których płonęła taka sama złość.

Ian przez pół sekundy ocenił sytuację, potem skinął głową. Przystał na propozycję.

Ciężki kosmyk ciemnych włosów spadł mu na oczy.

Ze spokojem odrzucił go z czoła, rozpiął mankiety i

podwinął rękaw do ramienia.

Wciąż nie spuszczał wzroku ze szwagra.

Stamtąd, gdzie stałam, widziałam twarz Iana, nieco pobladałą mimo śniadej cery.

Wąski podbródek zastygł w determinacji. Kipiącą w Jamim zawziętość rozpoznawałam jedynie po napiętej linii pleców i ramion.

Dwaj mężczyźni starannie oparli łokcie. Poruszali nimi, żeby znaleźć dogodny połozenie. Przesuwali je do tyłu i naprzód, żeby się upewnić, czy powierzchnia stołu nie jest śliska.

Z należytą powagą Jamie wysunął palce w stronę Iana. Ian ostrożnie oparł o nie swoją dłoń. Złączone ręce wyglądały przez moment jak lustrzane odbicie, potem szczepiły się razem i zacisnęły.

– Gotów? – spytał Jamie.

– Gotów. – Głos Iana był opanowany, ale oczy pod gęstymi brwiami błyszczały mocno.

Na całej długości dwóch ramion natychmiast napięły się mięśnie, przygotowane na ostrą walkę. Mężczyźni podnieśli się z krzeseł, żeby lepiej wykorzystać siłę.

Jenny dostrzegła moje spojrzenie i zwróciła wzrok ku niebu. O ile spodziewała się czegoś po Jamiem, to na pewno nie tego.

Obaj mężczyźni całkowicie skoncentrowani byli na szczepionych dłoniach. Wszystko inne przestało dla nich istnieć. Twarze poczerwieniały z wysiłku, pot spływał z włosów po skroniach, oczy nieznacznie wyszły na wierzch. Nagle zobaczyłam, że Jamie nie skupia się już na

zaciśniętych pięściach, Ian zagryzł mocniej wargi. Wyczuł zmianę, podniósł wzrok, który natrafił na spojrzenie Jamiego, i... obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

Jeszcze przez chwilę ręce pozostały złączone, kurczowo ściśnięte, a potem rozluźniły się.

– Więc remis – oznajmił Jamie i odsunął z czoła kosmyk spoconych włosów.

Przyjacielsko pokiwał głową w stronę Iana. – W porządku, chłopie. Nawet gdybym mógł ci rozkazywać, nie zrobiłbym tego. Ale mogę spytać, prawda? Pójdiesz ze mną?

Ian przechylił głowę na bok, strużka potu zmoczyła mu kołnierzyk koszuli. Rozejrzał się po pokoju, nieco dłużej zatrzymał wzrok na Jenny. Jej twarz nie była bledsza niż zwykle, ale w żyłach krew wyraźnie szybciej pulsowała, Ian wpatrywał się w żonę z przejęciem, starannie spuszczać odwinęty rękaw. Widziałam, że dekolt Jenny nabiera ciemnoróżowego koloru.

Ian potarł brodę w zamyśleniu, a potem odwrócił się w stronę Jamiego i pokręcił głową.

– Nie, kamracie – powiedział miękko. – Potrzebujesz mnie tutaj i tutaj zostanę. – Jego wzrok spoczął na Jenny z najmłodszą córeczką w ramionach i na małej Maggie, która zaciskała brudne piąstki na matczynej spódnicy. I na mnie. Na wydatnych ustach Iana pojawił się lekki uśmiech. – Zostanę tutaj – powtórzył. – I będę strzegł twojej słabszej strony.

– Jamie?

– Tak? – Zareagował natychmiast. Wiedziałam, że jeszcze nie zasnął, choć leżał nieruchomo jak mumia. Blask

księżycyca rozświetlał pokój, więc widziałam twarz Jamiego, kiedy wsparłam się na łokciu. Patrzył w górę, tak jakby przez masywny strop mógł podziwiać noc i gwiazdy na niebie.

– Nie będziesz próbował zostawić mnie tutaj, prawda? – Nie pomyślałabym, żeby o to zapytać, gdyby nie wcześniejsze wydarzenie z Ianem. Kiedy postanowiono, że Ian nie opuszcza Lallybroch, Jamie usiadł z nim do opracowywania planu działania.

Zastanawiali się, kto wyruszy z dziedzicem na pomoc księciu, kto zostanie na miejscu i będzie doglądał zwierząt i pastwisk oraz zajmie się utrzymaniem posiadłości.

Wiedziałam, że były to dla niego trudne decyzje, chociaż nie dał tego po sobie poznać.

Spokojnie rozważał z Ianem, czy kowal Ross może iść. Stwierdzili, że może, pod warunkiem, że przed wyruszeniem naprawi wszystkie narzędzia rolnicze. Czy wziąć Josepha Frasera Kirby’ego. Nie, on powinien zostać, ponieważ jest jedynym żywicielem nie tylko swojej rodziny, ale także rodziny swojej owdowiałej siostry. Brendan był najstarszym chłopakiem z obu rodzin. W wieku dziewięciu lat został na wszelki wypadek przygotowany do tego, by zająć miejsce ojca, gdyby Joseph nie wrócił do domu.

Trzeba było zaplanować najsubtelniejsze szczegóły. Na przykład: jak wielu mężczyzn zabrać, żeby skutecznie wpłynąć na przebieg wojny? Tak, Jamie nie miał wyboru. Musiał pomóc Karolowi Stuartowi. W tym celu należało zebrać możliwie największą ilość mężczyzn i broni.

Wprawdzie zapobiegliśmy temu, by Karol Stuart otrzymał pieniądze na sfinansowanie powstania, jednak lekkomyślnemu, nieudolnemu i zawziętemu księciu udało się zebrać po swojej stronie klany z Glenfinnan. Z kolejnego listu od Jareda dowiedzieliśmy się, że Karol przekroczył kanał dwoma niewielkimi fregatami, dostarczonymi przez niejakiego Antoine Walsh, dawnego niewolnika, który miał nos do interesów. Walsh najwidoczniej wyczuł, że przygoda z Karolem może być mniej ryzykowna niż wyprawa po niewolników. Jedna fregata została przechwycona przez Anglików, druga bezpiecznie dowiozła Karola na wyspę Eriskay.

Jego Wysokość znalazł się tam jedynie z siedmioma towarzyszami, wśród których był właściciel małego banku, Aeneas MacDonald. Bankier nie mógł sfinansować całej wyprawy, ale dostarczył środki na zakup niedużej ilości sztyletów, które stanowiły całe uzbrojenie Karola. Jared wydawał się jednocześnie zachwycony i przerażony lekkomyślnością przedsięwzięcia, ale – jak na lojalnego jakobitę przystało – zrobił wszystko, żeby pozbyć się swoich obaw.

Jak do tej pory Karol był górą. W szkockich tawernach mówiono, że z Eriskay książę przedostał się do Glenfinnan i tam, w towarzystwie jedynie kilku sporych beczek brandy, czekał na klany, które miały stawić się pod jego sztandarem. Po godzinach pełnych zżerającej niecierpliwości, w górskich dolinach porośniętych mokrą trawą zjawili się trzystu mężczyzn z klanu Cameronów. Ich wódz przebywał akurat z dala od domu, więc stawili się pod komendą jego siostry, Jenny Cameron.

Wkrótce dołączyli też inni, których nazwiska widniały na obwieszczeniu.

Jeśli Karol, mimo wszystkich wysiłków, poniósłby klęskę, jak wielu mężczyzn z Lallybroch ocaleje? Ilu można pozostawić w domu, by ratowali to, co tylko zostanie do uratowania?

Ian zostaje – przynajmniej to było pewne i nieco uspokajało Jamiego. Ale reszta – sześćdziesiąt rodzin zamieszkujących w Lallybroch? Decydowanie o tym, kto idzie, a kto nie, przypominało wybieranie mężczyzn na ofiarę. Zetknęłam się wcześniej z dowódcami, których wojna zmusiła do takich wyborów, i wiedziałam, ile ich to kosztowało.

Jamie również decydował o życiu i śmierci. Nie miał wyjścia. Co do dwóch rzeczy pozostał nieugięty: w jego oddziałach nie mogła się znaleźć żadna kobieta ani nikt, kto nie ukończył osiemnastu lat. Ian był tym trochę zaskoczony. Oczywiście, matki z małymi dziećmi zwykle zostawały w domach, ale dla pozostałych żon branie udziału w wyprawie wojennej wraz z mężami, gotowanie i rozdzielanie racji żywnościowych, nie było niczym nadzwyczajnym. A młodzieńcy, którzy w wieku czternastu lat uważali się za dojrzałych mężczyzn, mogli się poczuć bardzo poniżeni, że nie zostali wcieleni do oddziału. Jednak Jamie oznajmił, że od tych decyzji nie ma odwołania. Po chwili wahania Ian niechętnie na nie przystał i wszystko spisał.

Nie chciałam pytać Jamiego w obecności Iana i Jenny, czy zakaz dotyczący kobiet obejmował także mnie. Bo niezależnie od męzowskich postanowień i tak

zamierzałam wziąć udział w powstaniu.

– Zostawić cię? – Zobaczyłam, że jego usta nieznacznie się wykrzywiają. – Myślisz, że jest na to jakiś sposób?

– Nie – odpowiedziałam i przytuliłam się do Jamiego z uczuciem ulgi. – Nie ma. Ale myślałam, że może się nad tym zastanawiasz.

Cicho prychnął i przygniótł mi głowę ramieniem.

– Chyba musiałbym przykuć cię łańcuchem do muru. Nic innego by cię nie powstrzymało. – Czułam, jak kręci głową. – Nie, Angielko, muszę cię zabrać ze sobą, czy tego chcesz, czy nie. Możesz być użyteczna, nawet jeżeli teraz na to się nie zanosz. Potrafisz przecież leczyć. Będziemy cię potrzebować.

Dotknął mojego ramienia i westchnął.

– Oddałbym wszystko, *mo duinne*, żeby móc cię tu bezpiecznie zostawić, ale to niemożliwe. Więc pójdiesz ze mną. Ty i Fergus.

– Fergus? – spytałam zaskoczona. – Myślałam, że nie zabierasz dzieciaków!

Westchnął ponownie i położył sobie moją dłoń na piersi, tam, gdzie miarowo i powoli biło serce.

– Cóż, z Fergusiem sprawa wygląda nieco inaczej. Innych chłopców nie biorę, bo ich miejsce jest tutaj. Wrazie kłęski zostaną, żeby utrzymać rodziny. Zaczną pracować na roli i hodować zwierzęta. Będą musieli szybko dorosnąć, ale przynajmniej zapewnią byt swoim bliskim. Natomiast Fergus... to nie jest jego miejsce, Angielko. Nie jest nim też Francja, inaczej bym go tam odesłał.

– Jego miejsce jest przy tobie – powiedziałam

łagodnie ze zrozumieniem. – Tak jak i moje.

Jamie milczał przez długą chwilę, potem delikatnie mnie pogłaskał.

– Tak – szepnął. – A teraz śpij, bo już późno.

Po raz trzeci tej nocy sprowadził mnie na jawę przeraźliwy płacz. Małej Katarzynie wyrzynały się zębki i wcale jej nie obchodziło, że nie wszyscy muszą o tym wiedzieć. Z pokoju na dole dobiegło mnie mamrotanie zaspanego Iana. Słyszałam też wyższy głos zrezygnowanej Jenny, która wstała z łóżka, żeby utulić niemowlę.

Później dobiegł mnie odgłos cichych, ale ciężkich kroków na korytarzu.

Zorientowałam się, że to Jamie chodzi boso po domu.

– Jenny? – odezwał się ściszym głosem, żeby nie robić zamieszania w nocy. – Słyszałem, że małeństwo płacze – powiedział. – Skoro ona nie może spać i ja również, może chociaż ty byś zasnęła? Jeżeli ma sucho i jest najedzona, dotrzymamy sobie towarzystwa, a ty wróc do łóżka.

Jenny powstrzymała ziewnięcie. Wyczułam w jej głosie uśmiech.

– Jamie, kochany, jesteś błogosławieństwem. Tak, najadła się jak bąk i przed chwilą ją przewinęłam. Weź malutką. Nacieszcie się sobą.

Drzwi się zamknęły. W przenikliwej ciszy snów rozległ się odgłos ciężkich kroków.

Jamie zmierzał w stronę naszej sypialni. Mruczał coś kojąco niemowlęciu.

Zanurzyłam się bardziej w pościel z gęsiego puchu i

staralam się usnąć. Jednym uchem słuchałam kwilenia dziecka, przerywanego czkawką, oraz bezgłośniego śpiewania Jamiego, co przynosiło taką ulgę, jak myśl o ulach w słońcu.

– I co, maleńka? Kocha cię wujek? Bardzo, drobiażdżku, bardzo.

Ich odgłosy oddalały się i przybliżały. Coraz bardziej zanurzałam się w sen. Na wpół jednak czuwałam, żeby móc słyszeć słodkie gaworzenie i pomruki. Pewnego dnia może będzie tak trzymał swoje własne dziecko, malutką główkę w dużych dłoniach. Przytuli wiotkie ciało do swojej piersi. I tak samo własnej córeczce będzie śpiewał w nocy cichą, ciepłą kołysankę.

Nieustanny ból, jaki nosiłam w sercu, zmienił się w czułość. Przecież raz już poczęłam, więc mogę znowu. Wiedziałam to dzięki Faith, a dzięki Jamiemu miałam odwagę i możliwość, by tak się stało. Moje dłonie spoczywały swobodnie na piersiach.

Nie miałam żadnych wątpliwości, że pewnego dnia wykarmię moje dziecko. Zasnęłam, a w uszach pobrzmiwał mi śpiew Jamiego.

Jakiś czas później obudziłam się znowu. W pokoju było całkiem jasno. Księżyc w pełni doskonale oświetlał wszystkie przedmioty, ale wyglądały dziwnie: płaskie, dwuwymiarowe, bez cienia.

Dziecko zamilkło, na korytarzu jednak w dalszym ciągu rozbrzmiewał głos Jamiego, zaledwie trochę głośniejszy od mrużenia. Zmienił się również jego ton. Nie była to już rytmiczna i na wpół bezsensowna paplanina, jaką raczy się niemowlęta, ale przerywana, nierówna mowa

mężczyzny, który odsłania zakamarki swojego serca.

Wiedziona ciekawością, wyslizgnęłam się z łóżka i podeszłam do drzwi. Widziałam ich w końcu korytarza. Jamie siedział w samej koszuli oparty o krzesło stojące pod oknem. Podniesione bosc nogi stały się oparciem dla małej Katarzyny. Dziecko leżało na kolanach Jamiego, zwrócone do niego twarzą. Tłuste nóżki nieprzerwanie kopały go w brzuch.

Twarz maleństwa była biała i jasna jak księżyc, ciemne koraliki oczu pochłaniały słowa towarzysza nocnego posiedzenia. Jamie cały czas gładził dziewczynkę jednym palcem po policzku. Szeptał do niej z chwytającą za serce czułością.

Mówił po celtycku, w dodatku tak cicho, że nic nie rozumiałam, nawet jeśli zdołałam usłyszeć poszczególne słowa. Szept był niski, a światło księżycy, wdzierające się z tyłu przez okno, odśloniło ślady łez, które spływały Jamiemu po policzkach.

Nie mogłam zakłócić tej sceny. Wróciłam do ciepłego łóżka. Przed oczami wciąż miałam obraz półnagiego dziedzica Lallybroch, który w blasku księżycy wylewa swoje obawy o przyszłość.

Kiedy obudziłam się rano, poczułam obok siebie ciepły, nieznamy zapach. Coś plątało moje włosy. Otworzyłam oczy. Zobaczyłam różane usteczka małej Katarzyny.

Poruszały się we śnie tuż obok mojego nosa. Tłusciutkie paluszki, trzymały kosmyki moich włosów nad lewym uchem. Wyswobodziłam się ostrożnie. Niemowlę się poruszyło, ale potem przewróciło się na brzusek, zgięło

nóżki i znowu zasnęło.

Jamie leżał po drugiej stronie dziecka, z twarzą do połowy zanurzoną w poduszce.

Otworzył jedno oko, błękitne niczym poranne niebo.

– Dzień dobry, Anielko – powiedział cichutko, żeby nie zbudzić małego śpioszka.

Uśmiechnął się do mnie, a ja usiadłam na łóżku. – Słodko wyglądałyście, kiedy tak spałyście twarz przy twarzy.

Przeczesałam ręką splątane włosy i również się uśmiechnęłam na widok wypiętego tyłeczka dziewczynki.

– To wcale nie wygląda na wygodną pozycję – zauważyłam. – Ale Katarzynka cały czas śpi, więc chyba nie jest jej tak najgorzej. Jak długo czuwałeś przy niej w nocy? Nie słyszałam, kiedy wróciłeś do łóżka.

Ziewnął i odgarnął włosy z twarzy. Miał podkrążone oczy, ale był najwyraźniej zadowolony.

– Dość długo. Przynajmniej do świtu. Nie chciałem zanosić jej do matki, żeby nie zbudzić Jenny, więc położyłem małą z nami. Nie pisnęła już ani razu przez resztę nocy.

Całkowicie zatopione w pościeli niemowlę wgniatało się w materac łokciami i kolanami. Co chwilę wydawało z siebie ciche chrząknięcia. Widocznie zbliżał się czas porannego karmienia. Przypuszczenie to okazało się słuszne niedługo później. Dziecko podniosło główkę, nie otwierając jednak oczu, i wydało z siebie zdrowy płacz. Szybko wzięłam brzdąca na ręce.

– No już, już, już – starałam się uspokoić

maleństwo, głaszcząc naprężone plecki.

Wystawiłam nogi z łóżka. Odwróciłam się i jeszcze pogłaskałam Jamiego po głowie.

Poczułam ciepło grubych jasnych włosów.

– Zaniósę ją Jenny. Jest dość wcześnie, pośpij trochę.

– Dobrze, Angielko – Jamie drgnął, słysząc płacz dziecka. – Do zobaczenia przy śniadaniu. – Przewrócił się na bok, skrzyżował ręce na piersiach, taka była jego ulubiona pozycja we śnie, i zaczął miarowo oddychać, jeszcze zanim ja i Katarzynka doszłyśmy do drzwi.

Niemowlę wierciło się żywo. Szukając sutka okazywało zdenerwowanie z powodu jego braku. Szłam pośpiesznie przez korytarz. Po drodze natknęłam się na Jenny. Pędziła do swojej płaczącej latorośli i już rozpięła zieloną koszulę nocną. Podałam matce dziecko, które ze zniecierpliwieniem wymachiwało piąstkami.

– No, już, moje maleństwo, ćśśś. – Zapraszająco uniosła brew, wzięła ode mnie dziecko i weszła z powrotem do swojej sypialni.

Udałam się za Jenny. Przysiadłam na skraju rozgrzebanego łóżka. Jenny zajęła stołeczek do karmienia przy kominku i pośpiesznie wyciągnęła jedną pierś.

Odetchnęłyśmy w ciszy, jaka zaległa. Zniecierpliwione usteczka przywarły do sutka.

– Ach – westchnęła Jenny. Jej ramiona gwałtownie opadły, kiedy mleko zaczęło płynąć. – Teraz lepiej, misiaczku, prawda? – Niemowlę otworzyło jasne błękitne oczy, podobne do oczu wujka, i uśmiechnęło się do mnie.

– Bardzo miło z waszej strony, że zajęliście się

maluchem w nocy. Spałam jak zabita.

Wzruszyłam ramionami. Uśmiechnęłam się na widok matki z dzieckiem, odpoczywających razem, bezgranicznie zadowolonych. Główka niemowlęcia była dokładnym odbiciem wypukłości piersi Jenny, jego ciało przywarło do ciała matki i z łatwością wpasowało się w zagłębienie na kolanach Jenny. Z becika dobiegało ciche mlaskanie.

– To Jamie, nie ja – wyjaśniłam. – Wygląda na to, że on i jego siostrzenica dobrze się ze sobą czują. – Przypomniał mi się obraz Jamiego, który ze łzami przemawiał do dziecka poważnym szeptem.

Jenny popatrzyła na mnie i pokiwała głową.

– Tak. Pomyślałam, że choć trochę mogą się nawzajem pocieszyć. On chyba nie sypia ostatnio za dobrze? – stwierdziła lekko pytającym tonem.

– Nie – odpowiedziałam łagodnie. – Wiele myśli.

– Nic dziwnego – odparła. Rzuciła okiem na stojące za mną łóżko Iana już nie było.

Wstał o świcie, żeby zająć się inwentarzem stajni. Konie, które mogły być zabrane z gospodarstwa, należało porządnie wyszczotkować, zaprząć i przygotować do wyprawy na powstanie.

– Można rozmawiać z niemowlęciem, oj, można – stwierdziła niespodziewanie, jakby odgadła moje myśli. – Mówię o prawdziwej rozmowie. Ono wszystko rozumie... w duszy.

– Ach, więc go słyszałaś? – spytałam. Przytaknęła wpatrzona w policzek Katarzynki.

Małeńkie ciemne rzęsy dotykały gładkiej skóry,

oczy zamknęły się w ekstazie.

– Tak. Nie powinnaś się martwić – dodała łagodnie z uśmiechem. – Nie chodzi o to, że on obawia się rozmawiać z tobą. Ale inaczej jest, kiedy mówi się do dziecka. Człowiek wie, że nie jest sam. Małeństwo nie rozumie słów i nie trzeba się ani trochę przejmować tym, co sobie pomyśli, albo do czego się poczuje zobowiązane. Możesz obnażyć przed niemowlęciem całe swoje serce. Nie musisz dobierać słów i z powrotem zatrzymywać wszystkiego w sobie. Taki monolog przynosi duszy ulgę.

Zastanowiłam się, czy ona sama często w ten sposób mówi do dziecka. Wydatne usta, tak bardzo podobne do ust brata, uniosły się lekko z jednej strony.

– Tak się do niego przemawia, zanim się urodzi – wyjaśniła ciepło. – Wiesz?

– Wiem.

Dotknęła kciukiem policzka niemowlęcia. Oderwała je od ssania i zręcznym ruchem przystawiła małe ciało do pełnej piersi.

– To chyba dlatego kobiety są często smutne po urodzeniu dziecka – powiedziała z zadumą. – Myślisz o nim, kiedy do niego przemawiasz, znasz je, kiedy jest w tobie, tak ci się wydaje. A potem się rodzi inne, nie takie, jak sobie wyobrażałaś. Oczywiście, kochasz je i poznajesz od nowa... jednak zostaje w tobie myśl, że to dziecko, do którego mówiłaś pod twoim sercem, nie istnieje. Sądzę, że chodzi o żal, który się odczuwa z powodu nie narodzonego dziecka, nawet jeżeli trzymasz w ramionach to, które przyszło na świat. – Pochyliła się i pocałowała swoją córkę w pokrytą meszkiem główkę.

– Tak – powiedziałam. – Wcześniej... wszystko jest możliwe. Może być syn, a może córka. Piękne dziecko. A kiedy już się urodzi, twoje wyobrażenia o nim przestają istnieć, bo ono po prostu jest.

Jenny kołysała się delikatnie. Mała rączka, która kurczowo ścisnęła fałdy zielonego jedwabiu, zaczęła się rozluźniać.

– Rodzi się córka, a syn, którym mogła być, umiera – wyjaśniła cicho. – A dorodny chłopak zabija delikatną dziewczynkę, którą myślałaś, że nosisz. I płaczesz za tym, czego nie poznałaś, co odeszło na zawsze, dopóki nie poznasz narodzonego dziecka. Wtedy zaczynasz się przyzwyczajać. Wydaje ci się, że nigdy nie mogło być inne, niż jest.

Przepelnia cię radość. Ale wcześniej się płacze.

– A mężczyźni... – zagadnęłam. Myślałam o Jamiem, który szeptał swoje sekrety do maleńkich uszu.

– Hmm. Oni są świadomi wszystkiego, co mogło się zdarzyć, a co już się nie stanie.

Ale nie są skłonni płakać za czymś, czego nie znają.
Płomienie Buntu

36

BITWA POD PRESTON

Szkocja, wrzesień 1745.

Po czterech dniach marszu dotarliśmy na zbocze górskie przy Calder. U podnóża góry roztaczało się okazałych rozmiarów wrzosowisko. Obóz rozbiliśmy jednak wśród drzew rosnących nieco wyżej. Pokrytą mchem skałą przecinały dwa strumyczki. Piękna pogoda

wczesnej jesieni sprawiła, że czuliśmy się bardziej jak na pikniku niż na wojnie. Był siedemnasty wrzesień. Jeśli dobrze pamiętam z historii, wojna miała wybuchnąć za kilka dni.

– Opowiedz mi to jeszcze raz, Angielko – poprosił Jamie podczas wędrówki przez dzikie okolice i piaszczyste szlaki. Ja jechałam na Donasie, Jamie szedł obok, teraz jednak zsiadłam z konia, żeby łatwiej było rozmawiać. Wprawdzie Donas i ja osiągnęliśmy pewnego rodzaju porozumienie, jednak należał on do koni, które wymagały pełnego skupienia przy jeździe. Często wykazywał nieprzemowną chęć zrzucenia nieuważnego jeźdźcy, na przykład podczas przechodzenia pod niskimi gałęziami.

– Już ci powiedziałam. Więcej nie wiem. Bardzo niewiele o tym piszą w podręcznikach do historii. Poza tym nie przywiązywałam do tego wydarzenia dużej wagi. Mogę jedynie powiedzieć, że walka toczyła się, to znaczy będzie się toczyła pod Preston. Dlatego znana jest jako bitwa panewek z Preston. Szkoci jednak nazwali ją bitwą pod Gladsmuir. Stare proroctwo mówiło, że powracający na tron król zwycięży pod Gladsmuir. Bóg jeden wie, gdzie leży Gladsmuir, o ile w ogóle istnieje.

– Aha. I co?

Zmarszczyłam czoło. Usiłowałam przypomnieć sobie jakiegokolwiek strzępki informacji. Przywoływałam w pamięci obraz niewielkiej wysłużonej brązowej kopii Historii Anglii dla dzieci, którą czytałam przy migoczącym świetle lampki naftowej w lepiance gdzieś w Persji. Kartkowałam w myśli strony. Przypomniałam sobie jedynie, że autor uznał za stosowne poświęcić drugiemu

powstaniu jakobitów, znanemu historykom jako "powstanie z czterdziestego piątego", zaledwie dwustronicowy rozdział.

I na tych dwóch stronach znajdował się tylko jeden akapit dotyczący walki, którą mieliśmy właśnie stoczyć.

– Szkoci wygrali – powiedziałam bezradnie.

– Cóż, to ważne – zgodził się nieco sarkastycznie Jamie. – Ale byłoby nam na rękę, gdybyśmy znali nieco więcej szczegółów.

– Jeżeli oczekujesz proroctwa, znajdź sobie jasnowidza – odburknęłam, ale po chwili złagodniałam. – Przepraszam. Po prostu nie wiem zbyt wiele i jestem tym rozdrażniona.

– W porządku. – Chwycił mnie za rękę i uśmiechnął się. – Nie potępiaj się, Angielko.

Nie możesz powiedzieć więcej, niż wiesz. Opowiedz mi więc wszystko jeszcze raz od początku.

– Dobrze. – Odwzajemniłam uścisk. Szliśmy razem, trzymając się za ręce. – To było wielkie zwycięstwo – zaczęłam, czytając w myślach – ponieważ zostało odniesione nad znacznie liczniejszym przeciwnikiem. Jakobici zaskoczyli o świcie armię generała Cope'a.

Zaatakowali ze wschodu. To akurat pamiętam. Anglicy ponieśli sromotną klęskę. Stracili setki ludzi. Jakobitów poległo niewielu. Zginęło tylko trzydzieści osób.

Jamie spojrzął do tyłu na rozproszoną grupę mężczyzn z Lallybroch. Ciągnęli długim sznurem; żartowali i śpiewali po drodze. Właśnie trzydziestu mężczyzn zabrał Jamie ze swojej posiadłości. Kiedy się na nich patrzyło, nie wydawało się, żeby to była mała liczba.

Ale ja widziałam pole bitwy w Alzacji – Lorraine, gdzie hektary łąki zamieniły się w błotniste cmentarzyska, na których pochowano tysiące trupów.

– W sumie to raczej... niezbyt ważne, z historycznego punktu widzenia – próbowałam się jakoś sprawiedliwić.

Jamie głośno wypuścił powietrze z płuc i ponuro spojrzął na mnie z góry.

– Niezbyt ważne. Ach, tak.

– Bardzo mi przykro.

– To nie twoja wina, Angielko.

Mimo wszystko nie mogłam pozbyć się poczucia winy.

Po kolacji mężczyźni nadal siedzieli wokół ogniska. Rozkoszowali się uczuciem sytości i raczyli różnymi opowieściami. Ciągłe się też drapali. Wspólne życie i kompletny brak higieny spowodowały, że wszy stały się powszechne. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi, kiedy ktoś złapał pasożyta na swoim szalu i wrzucił go do ognia. Wesz płonąła przez chwilę, stapała się z iskrami i zniknęła.

Tego wieczoru insekty najbardziej nękały pewnego młodzieńca zwanego Kincaidem.

Naprawdę miał na imię Aleksander, ale Aleksandrów było tak wielu, że większość z nich przezywano albo wołano po nazwisku. Chłopak drapał się energicznie pod pachą, potem po czarnej kędzierzawej czuprynie, a później – zerkając pośpiesznie, czy przypadkiem nie patrzę w jego stronę – w kroczu.

– Od cholery ich, co? – Kowal Ross przyglądał mi się ze współczuciem.

– Uhm – mruknął w odpowiedzi młodzieniec. – Te przekłete wszy pożrą mnie żywcem.

– Więc, do licha ciężkiego, pozbądź się loków – poradził Wallace Fraser. – Żalność mnie zbiera, jak na ciebie patrzę, chłopcze.

– Wiesz, jak najszybciej zlikwidować to paskudztwo? – spytał Sorley McClure.

Kincaid pokręcił głową. McClure podbiegł więc do ognia i wyciągnął z niego płonące polano.

– Podnieś na chwilę kilt, chłopcze, to je spalę – zaoferował pomoc ku uciechu pozostałych mężczyzn.

– Akurat się na tym znasz, tępy chłopie – zamruczał Murtagh.

– A ty się znasz lepiej? – Wallace podniósł grube brwi i zmarszczył łysiejące czoło.

– Pewnie. – Z rozmachem wyjął sztylet. – Chłopak jest już żołnierzem, więc niech to zrobi po żołniersku.

Na twarzy Kincaida malowała się ciekawość i niecierpliwość.

– A jak?

– Bardzo prosto. Wyjmujesz sztylet, podnosisz kilt i golisz połowę włosów w kroczu.

– Podniósł swój sztylet ostrzegawczo. – Ale tylko połowę, pamiętaj.

– Dobra... – Kincaid patrzył powątpiewająco, ale słuchał z uwagą. Dostrzegłam wyczekujące uśmiechy na twarzach mężczyzn skupionych wokół ogniska. Nikt jednak nie roześmiał się głośno.

– Później chłopcze... – Murtagh wykonał gest w stronę Sorleya, który trzymał polano – podpalasz drugą

połowę. Kiedy wszy zaczynają uciekać, przebijasz je sztyletem.

Kincaid poczerwieniał tak mocno, że jego rumieńce widać było nawet przy blasku ognia. Mężczyźni siedzący w kręgu ryknęli śmiechem. Dwaj zaczęli nawet wypróbować na sobie kurację ogniową. Gwałtownie wymachiwali płonącymi polanami. Zrobiło się spore zamieszanie. Jamie skończył doglądać zwierzęta. Wrócił akurat w chwili, kiedy wybryki już wymknęły się spod kontroli i mogły spowodować poważne kłopoty. Staął pośrodku kręgu, wyjął spod pachy kamienny dzbanek i cisnął w Kincaida. Następne naczynie poleciało w stronę Murtagha. W ten sposób przedstawienie dobiegło końca.

– Jesteście stuknięci – stwierdził. – Drugim najlepszym sposobem na pozbycie się wszy jest polanie ich whisky, żeby się upiły. Kiedy zasną i zaczną chrapać, trzeba wstać.

Wtedy wszystkie spadną.

– Drugi? – upewnił się Ross. – A jaki jest pierwszy?

Jamie uśmiechnął się pobłaźliwie. Rozejrzał się wokół jak rodzic zaskoczony nieświadomością swoich dzieci.

– Żona, która pozbiera je z ciebie jedna po drugiej.

– Podniósł łokieć i złożył mi ukłon. – Czy mogę prosić, *mo duinne!*

Choć Jamie żartował, to jednak rzeczywiście jedynym skutecznym sposobem na pozbycie się wszy było mozolne ich wybieranie. Ja starannie czesałam włosy rano i wieczorem, myłam je krwawnikiem na każdym postoju w pobliżu wody wystarczająco głębokiej, żeby móc się przy

okazji też wykąpać. Zdołałam się więc ustrzec przed poważniejszym zarażeniem. Wiedziałam jednak, że uchronię się przed wszawicą tak długo, jak długo nie nabawi się jej Jamie. Nakazałam mu zatem pilnie dbać o higienę.

Z trudem udawało mi się to wyegzekwować, bo Jamie nie mógł usiedzieć spokojnie na miejscu.

– U pawianów to normalne – zauważyłam. Delikatnie rozplątywałam kołtun na gęstej rudej grzywie. – Ale wydaje mi się, że one zjadają owoce swojej pracy.

– Ja ci nie zabraniam, Angielko. Jeżeli masz ochotę... – odpowiedział. Zgarbił się lekko i zamruczał z rozkoszy. Przesuwanie grzebienia po gęstych błyszczących kędziorach odczuwał jako dużą przyjemność. Blask ognia sprawił, że w moich rękach świeciły kaskady iskier i złociste języki płomieni. – Mm. Kto by pomyślał, że to takie miłe, kiedy ktoś czesze ci włosy.

– Poczekaj, aż zabiorę się za pozostałe. – Uszczypnęłam go po przyjacielsku.

Zachichotał. – Kusi mnie, żeby wypróbować radę Murtagha.

– Zbliź się tylko z ogniem do moich włosów, a ja ci zaserwuję taką samą kurację – zagroził. – Co powiedziała Luiza de La Tour o dziewczynach tu i tam pozbawionych owłosienia?

– Że są podniecające. – Pochyliłam się i chwyciłam zębami płatek jego ucha.

– Uhmhhh.

– Cóż, bywają różne upodobania – rzuciłam. – Jak to się mówi: „O gustach się nie dyskutuje”.

– Frazes.

– Ale prawdziwy.

Natychmiast oderwałam się od zajęcia, gdy usłyszałam głośny, długi pomruk.

Odłożyłam grzebień i czujnie wpatrywałam się w ciemne zarośla.

– Chyba są niedźwiedzie w tym lesie albo... dlaczego nie zjadłeś?

– Zajmowałem się zwierzętami – odpowiedział. – Jeden z kucy zmiażdżył sobie kopyto. Musiałem zrobić mu okład. Nie mam też za bardzo apetytu przez to nieustanne gadanie o wszach.

Zbyłam milczeniem jego uwagę.

– Z czego zrobiłeś okład mu na kopyto? – spytałam.

– Z różnych rzeczy. Dobra byłaby nawet odrobina świeżego łąjna, ale tym razem użyłem przeżutych liści wyki zmieszanych z miodem.

Torby złożono przy naszym własnym ognisku, tuż przy polanie, na której mężczyźni rozbili dla mnie namiot. Wolałabym spać pod gołym niebem, tak jak oni. Byłam jednak wdzięczna za odrobinę prywatności, jaką zapewniał mi namiot. I, jak zauważył bez ogródek Murtagh, kiedy dziękowałam mu za pomoc przy stawianiu schronienia, nie zrobiono tego wyłącznie dla mnie.

– Kiedy w nocy sobie ulży między pani udami, nikt nie będzie mu zazdrościł – zauważył mały człowieczek ze szkockiego klanu. Głową wskazał mojego męża. Jamie siedział pogrążony w rozmowie z kilkoma innymi mężczyznami. – Nie ma co dawać chłopakom za dużo myśleć o rzeczach, których nie mogą mieć, jasne?

– W miarę – odpowiedziałam oschle. – Bardzo rozsądnie rozumujesz.

Na jego cienkich ustach zagościł rzadko spotykany szelmowski uśmiech.

– Ach, tak, w miarę – powtórzył.

Poszperałam w pakunkach i wyjęłam kawałek sera oraz kilka jabłek. Podałam je Jamiemu. Przyjrzał się jedzeniu podejrzliwie.

– Nie ma chleba?

– Może jest trochę w jakiejś innej torbie. Zjedz najpierw to, dobrze ci zrobi. – Tak jak inni mieszkańcy gór, miał wrodzone uprzedzenie do świeżych owoców i warzyw. Wilczy głód zmusił go jednak do zjadania wszystkiego bez wyjątku.

– Hmm. – Ugryzł jabłko. – Skoro tak twierdzisz, Angielko.

– Zobacz. – Wyszczrzyłam zęby. – Ile znasz kobiet w moim wieku, które nadal mają zęby?

W szerokim uśmiechu Jamie pokazał swoje, bardzo piękne.

– Cóż, nieźle się trzymasz, Angielko, jak na starowinkę.

– Po prostu dobrze się odżywiam – odparłam. – Połowa ludzi w twojej posiadłości cierpi na szkorbut. A z tego, co widzę po drodze, wszędzie indziej jest jeszcze gorzej. To witamina C chroni przed szkorbutem. W jabłkach jest jej pełno.

Odsunął owoc od ust i przyjrzał mu się skwapliwie.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdziłam stanowczym głosem. –

W innych owocach i warzywach też się znajduje. Najwięcej w pomarańczach i cytrynach, ale tutaj ich nie macie. Jest za to cebula, kapusta, są jabłka... jedz coś z tych rzeczy codziennie, a uchronisz się przed szkorbutem. Nawet zioła i trawa zawierają witaminę C.

– Uhm. To dlatego jeleń nie traci zębów, kiedy się starzeje?

– Śmiem twierdzić, że tak.

Badawczo obejrzał jabłko ze wszystkich stron i wzruszył ramionami.

– Niech ci będzie. – Ponownie ugryzł owoc.

Sięgnęłam po chleb. Nagle moją uwagę przyciągnął nikły dźwięk. Kątem oka dostrzegłam poruszający się w mroku cień i błysk ognia, tuż przy głowie Jamiego.

Odwrociłam się do niego z krzykiem, ale zdążyłam jedynie zobaczyć, jak się przewraca do tyłu niczym kłoda i znika w ciemności.

Księżyc nie świecił. Jedynym wyjaśnieniem tego, co zaszło, był odgłos potwornej szamotaniny na suchych liściach olchy i hałas mężczyzn uwikłanych w niemą, ale pełną wysiłku bójkę. Towarzyszyło jej chrząkanie, sapanie i rzucanie co jakiś czas przekleństw.

Dał się słyszeć krótki, przenikliwy krzyk, potem wszystko umilkło. Cisza trwała, jak przypuszczam, zaledwie kilka sekund, ale ten krótki czas wydawał się wiecznością.

Zamarłam, stałam w bezruchu przy ognisku. Z egipskich ciemności lasu wyłonił się Jamie. Prowadził przed sobą jeńca. Trzymał go za wykręcone do tyłu ramię. Rozluźnił chwyt, obrócił ciemny kształt i pchnął

gwałtownie. Mężczyzna z całej siły uderzył w drzewo i osunął się na ziemię. Z drzewa poleciał strumień liści i żołądzi.

Przy ognisku pojawili się zwabieni hałasem Murtagh, Ross i kilku Fraserów.

Postawili intruza na nogi i zaciągnęli do światła. Murtagh złapał jeńca za włosy i odchylił mu głowę. Blask ognia oświetlił małą twarz z wielkimi oczami i długimi rzęsami, które mrugały w oszłomieniu.

– To przecież dziecko! – zawołałam. – Nie ma więcej niż piętnaście lat!

– Szesnaście! – krzyknął chłopak. Potrząsnął głową, żeby się trochę ocucić. – Ale to bez różnicy – dodał wyniośle z angielskim akcentem. Z Hampshire, pomyślałam. Był daleko od domu.

– Rzeczywiście – zgodził się ponuro Jamie. – Szesnaście czy sześćdziesiąt nie zmienia to faktu, że całkiem poważnie chciał mi poderznąć gardło. – Zauważyłam, że Jamie przyciska do szyi zaczerwienioną chustką.

– Nic nie powiem – zarzekał się chłopak. Jego oczy na bladej twarzy wyglądały jak głębokie studnie. Ogień rzucał blask na gęstą czuprynę. Dzieciak zaciskał mocno rękę na ramieniu. Pomyślałam, że jest ranny. Najwyraźniej wkładał wiele wysiłku w to, by utrzymać się na nogach. Zaciskał usta, żeby nie okazać strachu ani bólu.

– Niektórych rzeczy nie musisz mówić. – Jamie uważnie przyjrzał się młodemu napastnikowi. – Po pierwsze: jesteś Anglikiem. Prawdopodobnie przybyłeś z oddziałami angielskimi, które są gdzieś w pobliżu. Po

drugie: przybyłeś bez towarzystwa.

Chłopak nie zdołał ukryć zaskoczenia.

– Skąd wiecie?

Jamie uniósł brwi.

– Jeśli byliby z tobą ktoś jeszcze, prawdopodobnie przyszedłby ci z pomocą. Albo powstrzymałby cię przed tak idiotycznym posunięciem. Złamałeś rękę? Wydawało mi się, że słyszałem charakterystyczny trzask. – Zorientowałam się, że mimo wszystko trzej mężczyźni na polecenie Jamiego niepostrzeżenie zniknęli w lesie. Zapewne poszli sprawdzić, czy rzeczywiście nie ma w pobliżu innych opryszków.

Chłopak zrobił zaciętą minę, kiedy usłyszał, że jego wyczyn nazwano idiotyzmem.

Jamie dotknął szyi i dokładnie obejrzał chusteczkę.

– Jeżeli chcesz zabić kogoś od tym, chłopcze, wybierz mężczyznę, który nie siedzi na kupie suchych liści – poradził. – A jeśli zamierzasz użyć noża wobec kogoś wyższego od ciebie wzrostem, znajdź sobie podnózek. Poderżnięcie gardła jest możliwe tylko wtedy, jeżeli przeciwnik nie wstanie.

– Dziękuję za cenne rady – zaszydził chłopak. Choć wkładał wiele wysiłku w to, by zachować odwagę, w jego oczach widać było ogromne przerażenie. Żaden ze szkockich górali nie mógłby stanąć do konkursu piękności w biały dzień. Natomiast w nocy mieli wygląd typów, których każdy woli omijać z daleka.

Jamie zareagował grzecznie:

– Proszę bardzo. Szkoda, że nie będziesz miał okazji ich wypróbować. Dlaczego na mnie napadłeś?

Z otaczającego nas obozowiska zaczęli się schodzić mężczyźni zwabieni hałasem.

Chłopak zmierzył wzrokiem coraz liczniejszy krąg podejrzanych osobników. W końcu jego oczy spoczęły na mnie. Zawahał się chwilę, ale odpowiedział:

– Chciałem uwolnić od was tę kobietę.

Rozległ się lekki pomruk zdziwienia, który uciął na znak Jamiego.

– Rozumiem – powiedział wymijająco. – Usłyszałeś, jak rozmawiamy, i stwierdziłeś, że ta dama jest dobrze urodzoną Angielką, a ja...

– A pan rzezimieszkiem bez sumienia, żyjącym z kradzieży i przemocy! Pańskie podobizny na listach gończych wiszą w całym Hampshire i Sussex! Od razu pana poznałem. Jest pan buntownikiem i lubieżnikiem bez żadnych zasad! – wybuchnął chłopak. Jego twarz zrobiła się bardziej czerwona niż płomień ognia.

Zagryzłam wargi i wbiłam wzrok w ziemię, żeby nie patrzeć w oczy Jamiemu.

– Ach, tak! – burknął Jamie. – Wymyśl więc jakiś powód, dla którego nie powinienem cię od razu zabić? – Płynnym ruchem wyciągnął sztylet z pochwy i obrócił go delikatnie. W ostrzu odbił się ogień.

Z twarzy chłopaka odpłynęła cała krew. Wyglądał jak zjawa między cieniami, ale sprostał sytuacji. Dzielnie stawiał czoło zwycięzcom.

– Liczyłem się z tym. Jestem przygotowany na śmierć. – Wyprostował plecy.

Jamie przytaknął ze zrozumieniem. Pochylił się i włożył ostrze sztyletu do ognia.

Wokół poczerńiałego metalu powstał dymek, silnie pachnący kuźnią. Wszyscy patrzyliśmy w niemym zachwycie. Płomień w zetknięciu z metalem nabrał przejrzystości niebieskiego koloru i ożywił martwe żelazo, doprowadzając je do czerwoności.

Jamie owinął rękę zakrwawioną chustką i ostrożnie wyjął sztylet z ognia. Powoli zbliżył się do chłopaka. Ostry czubek metalu w końcu dotknął koszuli młodego Anglika.

Silny zapach palonego materiału czuło się coraz bardziej. Cienka przypalona linia znaczyła drogę sztyletu. Ostrze, które stygnąc, ciemniało, zatrzymało się tuż przy dumnie zadartej brodzie. Strużki potu ciekły po szyi chłopaka.

– Hmm. Chyba jeszcze nie jestem gotowy, by cię zabić. Na razie. – Głos Jamiego był miękki. Pobrzmiwała w nim jednak groźba, jeszcze bardziej przerażająca z powodu opanowania wypowiadającego ją potężnego Szkota.

– Do czyich należy oddziałów? – Pytanie brzmiało jak uderzenie batem. Wszyscy drgnęli. Dymiące w nocnym wietrze ostrze noża nieco się przybliżyło do skóry dzieciaka.

– N-n-nie powiem! – wyjąkał odpowiedź Anglik i zacisnął usta. Drżenie zamarło w jego gardle.

– Ani jak daleko stąd są twoi towarzysze? Ani ilu ich jest? Ani dokąd idą? – Pytaniom znowu towarzyszył ruch noża. Ostrze przylgnęło do szczęki chłopaka. Młokos przewrócił oczami niczym spłoszony koń, ale zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy, aż podskoczyły złociste włosy. Ross i Kincaid mocniej ścisnęli szarpiącego się

jeńca za ramiona.

Ostra krawędź noża przywarła do twarzy chłopaka na całej swojej długości, tuż pod brodą. Rozległ się cichy, niemal bezdźwięczny krzyk. Poczuliśmy zapach osmalonej skóry.

– Jamie! – zawołałam przerażona do granic ludzkiej wytrzymałości. Nawet na mnie nie spojrział. Wzrok miał utkwiony w ofierze. Chłopak, uwolniony z uścisku mocnych dłoni, osunął się na kolana, na miękki dywan liści. Przyciskał dłoń do szyi.

– To nie pani sprawa, madame – wycedził przez zęby Jamie. Schylił się, chwycił dzieciaka za koszulę i postawił go na nogi. Między nimi stanęło migoczące ostrze.

Skierowało się pod lewe oko niefortunnego zamachowca. Jamie przechylił głowę pytająco. W odpowiedzi otrzymał ledwie widoczne, ale stanowcze zaprzeczenie.

Głos chłopaka był zaledwie roztrzęsionym szeptem. Dzieciak musiał odkaszlnąć, żeby w ogóle ktoś mógł go usłyszeć.

– N-nie – wydusił z siebie. – Nie. Niczym mnie pan nie zmusi, żebym cokolwiek powiedział.

Jamie jeszcze przez chwilę stał z nim oko w oko, potem puścił ubranie chłopaka i odsunął się do tyłu.

– Nie – mruknął przeciągle. – Ciebie nie zmuszę. Ale co z kobietą?

Zorientowałam się, o kogo chodzi, dopiero wtedy, gdy Jamie mnie złapał za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Potknęłam się na nierównej ziemi. Znalazłam się przed Jamiem. Brutalnie wykręcił mi ramię.

– Na swoim własnym życiu może ci nie zależy, ale okaż choć trochę zainteresowania losem kobiety, skoro tak ci było spieszo ratować jej honor.

Odwrócił mnie ku sobie, zanurzył palce w moich włosach, odchylił mi głowę i pocałował brutalnie. Bezwiednie krzyknęłam na znak sprzeciwu.

Wyjął dłonie z moich włosów i przyciągnął mnie do siebie. Stał twarzą do chłopaka, który znajdował się po drugiej stronie ognia. W ogromnych oczach dziecka zabłysło przerażenie. Blask płomieni ognia igrał w szerokich, ciemnych źrenicach.

– Niech pan ją puści! – rozkazał Jamiemu chrypliwym głosem. – Co pan chce z nią zrobić?

Wielkie ręce powędrowały ku dekolтови sukni. Jamie szybkim ruchem rozdarł materiał i obnażył moje piersi. Instynktownie kopnęłam go w goleń. Chłopak wydał z siebie nieartykułowany dźwięk i wyskoczył naprzód, ale powstrzymali go Ross i Kincaid.

– Skoro o to pytasz – odezwał się za mną przyjemny głos Jamiego – mam zamiar zgwałcić ją na twoich oczach. A potem dam swoim ludziom, żeby zrobili z nią, co tylko zechcą. Może i ty pragnąłbyś sobie użyć, zanim cię zabiję? Niedobrze, żeby mężczyzna umierał jako prawiczek, nie sędzisz?

Szarpałam się już całkiem na poważnie. Jamie trzymał mnie w żelaznym uścisku.

Zakrył mi usta dłonią. Nie miałam szans głośnego wyrażenia sprzeciwu. Zanurzyłam więc zęby we wnętrzu jego ręki. Poczułam krew. Odsunął dłoń gwałtownie, tłumiąc krzyk, jednak niemalże natychmiast wcisnął mi

między zęby kawałek materiału. Przez knebel wydawałam zduszone dźwięki, bo ręce Jamiego wędrowały po moich ramionach, coraz bardziej zsuwając rozdarte kawałki materiału. Byłam naga do pasa. Jamie trzymał moje ręce wzdłuż ciała. Ross spojrział na mnie, potem szybko odwrócił wzrok i z wysiłkiem utkwiał go w chłopaku. Zarumienił się. Kincaid, który nie miał jeszcze dziewiętnastu lat, gapił się zszokowany z otwartymi ustami.

– Przestań! – Głos chłopaka drżał, ale bardziej z wściekłości niż ze strachu. – Ty, ty skończony tchórz! Jak śmiesz plamić honor tej kobiety, ty szkocki szakalu! – Stał przez chwilę bez ruchu. Oddychał szybciej na skutek emocji. Po chwili zdecydował się. Podniósł głowę i wysunął podbródek.

– Świetnie. W tej sytuacji nie mam wyboru. Uwolnij kobietę. Powiem ci wszystko, co chcesz.

Jamie natychmiast zwolnił uścisk na moim ramieniu. Ross puścił skaleczoną rękę chłopaka i szybko podniósł mój płaszcz, który upadł na ziemię w czasie zamieszania spowodowanego schwyтaniem jeńca. Jamie paskiem związał mi ręce z tyłu. Zabrał płaszcz od Rossa, zarzucił mi na ramiona i starannie zapiął. Cofnął się, złożył ironiczny ukłon, a potem odwrócił się do więźnia.

– Daję słowo, że nie będę dręczył kobiety – zapewnił. Dziwna nuta, która pobrzmiwała w jego głosie, mogła być odebrana jako konsekwencja napięcia nerwowego i nie spełnionego pożądanіa. Ja jednak wyczułam, że był to stłumiony w ostatniej chwili atak śmiechu. Miałam ochotę zabić Jamiego.

Chłopak z kamiennym wyrazem twarzy,

powściągliwie odpowiedział na wszystkie pytania.

Nazywał się William Grey. Był drugim synem Viscounta Meltona. Wraz z oddziałem dwustu mężczyzn szedł do Dunbaru, by tam dołączyć do armii generała Cope'a. Jego towarzysze rozbili obóz jakieś pięć kilometrów na zachód. William wędrował przez las, zobaczył blask naszego ogniska i podszedł zbadać sprawę. Nie było z nim nikogo. Tak, oddział miał ciężką artylerię – szesnastce dział ciągniętych przez konie i dwa czterdziestocentymetrowe moździerze. Większość oddziału była uzbrojona w muszkiety.

Jedna kompania składała się z trzydziestu jeźdźców.

Chłopak opadał z sił od odpowiadania na dziesiątki pytań i z powodu bólu skaleczonego ramienia, ale nie chciał usiąść. Stał oparty o drzewo, podtrzymując łokieć lewą ręką.

Przesłuchanie ciągnęło się prawie godzinę i cały czas kręciło się wokół wynajdowania sprzeczności, wyciągania szczegółów oraz wyjaśniania niedopowiedzeń. W końcu usatysfakcjonowany Jamie odetchnął głęboko. Chłopak upadł pod dębem. Jamie bez słowa wyciągnął rękę. Murtagh, jak zwykle, odgadł jego zamiary i podał mu strzelbę.

Jamie odwrócił się plecami do więźnia i sam zajął się ładowaniem broni.

Trzydziestocentymetrowa strzelba połyskiwała w ciemności. Blask ognia sprawiał, że spust i zawlecзка mieniły się srebrzyście.

– W serce czy w głowę? – spytał od niechcienia Jamie.

– Co? – Chłopak otworzył usta zupełnie zdezorientowany.

– Mam zamiar cię zastrzelić – wytłumaczył spokojnie Jamie. – Szpiegów zwykle się wiesza, ale jako dowód uznania za twoją rycerskość daruję ci szybką i czystą śmierć.

Wolisz dostać kulkę w głowę czy w serce?

Chłopak natychmiast wstał i wyprostował plecy.

– O, ach, tak, oczywiście. – Obliznął usta i przelknął ślinę. – Chyba... w... w serce.

Dziękuję – dodał po chwili namysłu. Podniósł brodę i zacisnął wargi, które jednak zachowały miękką linię dziecięcego kształtu.

Jamie skinął głową i podniósł strzelbę z łoskotem. Echo między dębami powtórzyło odgłos.

– Poczekaj! – krzyknął więzień. Jamie spojrzał na niego pytająco. Trzymał broń przy chudej piersi chłopaka. – Jaką mam pewność, że pan nie dotknie kobiety, kiedy ja...

kiedy już zginę?– Spojrzał wyzywająco na mężczyzn stojących w kręgu. Jego jedyna sprawna ręka była mocno zaciśnięta, ale mimo to się trzęsła. Ross wydał z siebie dźwięk sprytnie naśladujący kichnięcie.

Jamie opuścił strzelbę. Udało mu się zachować grobową minę.

– Cóż, daję słowo honoru... – Wysilił się na mocniejszy szkocki akcent. – Rozumiem jednak, że nie ma dla ciebie wielkiego znaczenia obietnica... – wydał mimowolnie usta – szkockiego tchórza. Może więc uspokoi cię zapewnienie samej kobiety? – Spojrzał w moim kierunku z uniesioną brwią. W jednej chwili doskoczył do

mnie Kincaid i niezdarnie wyjął mi ust knebel.

– Jamie! – wrzasnęłam wściekle. – Jak mogłeś zrobić coś takiego? Ty... ty...

– Tchórze – przyszedł mi z pomocą. – Albo szakalu, jeśli wolisz. Jak uważasz, Murtagh? – zwrócił się do swojego najwierniejszego żołnierza. – Jestem tchórzem czy szakalem?

Murtagh wykrzywił kwaśno usta.

– Powiem raczej: złotą rączką, jeżeli rozwiążesz tę dziewczynę bez użycia sztyletu.

Jamie zwrócił się przepraszająco do swojego zakładnika:

– Muszę poprosić moją żonę o przebaczenie, że zmusiłem ją do wzięcia udziału w tym podstępie. Daję słowo, że uczestniczyła wbrew swojej woli. – Ponuro przyjrzał się swojej pogryzionej ręce.

– Żonę! – Chłopak patrzył dzikim wzrokiem to na mnie, to na Jamiego.

– Zapewniam też, że ta dama istotnie zaszczyca moje łóżko swoją obecnością, ale nikt jej do tego nie zmusza. I nie będzie zmuszał – dorzucił niepotrzebnie. – Ale jeszcze jej nie rozwiążuj, Kincaid.

– Jamesie Fraserze – syknęłam przez zaciśnięte zęby. – Zapewniam cię, że jeżeli tkniesz tego chłopaka, to już nigdy nie będziesz dzielił ze mną łoża.

Jamie zmarszczył brwi. Jego białe zęby błyszczały w świetle ogniska.

– Hmm. To poważna groźba dla takiego lubieżnika, jak ja, ale w zaistniałej sytuacji nie mogę kierować się osobistym interesem. W końcu wojna rządzi się własnymi

prawami.

Podniósł strzelbę.

– Jamie! – krzyknęłam.

Znów opuścił broń i odwrócił się do mnie. Okazywał zdecydowanie przesadną cierpliwość.

– Tak?

Wzięłam głęboki oddech, żeby mój głos przestał drżeć z wściekłości. Mogłam się tylko domyślać, do czego Jamie jest zdolny. Miałam nadzieję, że postępuję właściwie.

Niezależnie od tego, czy musiałam się skupić na zadaniu. Odpędziłam więc wielce satysfakcjonującą wizję, w której Jamie pod moją nogą na grdyce wije się po ziemi.

– Nie masz żadnego dowodu, że on jest szpiegiem. Powiedział przecież, że natknął się na nas przypadkiem. Każdy byłby ciekaw, co się dzieje przy ognisku wśród drzew.

Jamie skinął głową, ale przedstawił inne argumenty.

– W porządku, lecz co z próbą morderstwa? Szpieg czy nie szpieg, chciał mnie zabić.

Sam to potwierdza. – Ostrożnie dotknął krwawiącej rany z boku szyi.

– Zgoda – przyznałam gorliwie. – Wiedział, że jesteś ścigany. Na miłość boską, za twoją głowę wyznaczono cholernie wysoką nagrodę!

Jamie niepewnie podniósł brodę.

– Cóż, to rzeczywiście przekonujące – zwrócił się do chłopaka. – Williamie Grayu, twój adwokat nieźle się spisał. Ani ja, ani Jego Wysokość książę Karol nie mamy prawa skazywać ludzi. Nawet jeśli są naszymi wrogami. –

Skinieniem ręki przywołał Kincaida i Rossa.

– Zaprowadzicie chłopaka do jego obozu. Jeżeli się okaże, że informacje, których nam udzielił, są prawdziwe, przywiążecie go do drzewa w odległości kilometra od obozowiska, w kierunku marszu. Jutro Anglicy znajdą swojego małego kompana po drodze. Ale jeśli skłamał... – zawiesił głos i obrzucił więźnia chłodnym spojrzeniem – poderżnijcie mu gardło.

Spojrzał chłopakowi w twarz i ze śmiertelną powagą oznajmił:

– Daruję ci życie. Mam nadzieję, że dobrze wykorzystasz.

Stanął za mną i przeciął pasek krępujący mi nadgarstki. Odwróciłam się wściekła. On tymczasem zbliżył się do chłopaka. Dzieciak nagle osunął się na ziemię pod dębem.

– Może byłabyś tak dobra i opatrzyła mu ranę, zanim sobie pójdzie? – Dzikość i groza zniknęły z twarzy Jamiego. Teraz był biały jak ściana. Spuścił wzrok. Unikał mojego spojrzenia.

Bez słowa podeszłam do chłopaka i przyklękłam obok niego. Wyraźnie oszołomiony nie protestował, kiedy go badałam. Poruszałam jego zranioną ręką. Nawet nie pisnął, choć musiał odczuwać ból przy dotyku.

Rozdarty stanik sukni zsuwał mi się bez przerwy z ramion. Mamrotałam pod nosem zirytowana, po raz setny podciągając go to z jednej, to z drugiej strony. Kości przedramienia chłopaka były cienkie – niewiele grubsze od moich – i dawały się wyczuć pod skórą. Zgięłam opuchnięte ramię i zrobiłam prowizoryczny temblak z

chusteczki.

– Ewidentne złamanie – poinformowałam dzieciaka oficjalnym tonem. – Postaraj się, żeby było usztywnione co najmniej przez dwa tygodnie.

Pokiwał głową. W ogóle na mnie nie patrzył.

Jamie siedział cicho na pniu i przyglądał się moim poczynaniom. Dysząc żądzą zemsty, podeszłam i uderzyłam go tak mocno, jak tylko mogłam. Na policzku został biały ślad, do niebieskich oczu napłynęły łzy. Nie drgnął jednak ani nie zmienił mu się wyraz twarzy.

Kincaid postawił nieszczęśnika na nogi i popchnął go w stronę skraju polany.

Chłopak zatrzymał się na chwilę i odwrócił. Unikając mojego wzroku, odezwał się do Jamiego:

– Zawdzięczam panu życie – powiedział oficjalnie.

– Prawdą mówiąc, wolałbym, żeby było inaczej, ale skoro na siłę uraczył mnie pan tym darem, muszę go przyjąć jako dług wdzięczności. Mam nadzieję, że pewnego pięknego dnia się od niego uwolnię. A kiedy już się odwdzięczę, to...

– Głos chłopaka drgnął nieznacznie pod wpływem powstrzymywanej nienawiści. Zupełnie stracił formalny ton i ujawnił prawdziwe uczucia – ...to pana zabiję.

Jamie zerwał się z pniaka na równe nogi. Z jego twarzy, na której nie było nawet śladu wściekłości, emanował spokój. Pochylił głowę w stronę odchodzącego więźnia.

– Więc będę się modlił, żeby już nigdy cię nie spotkać.

Chłopak wyprostował się, po czym uklonił sztywno.

– Greyowie nie zapominają o swoich

zobowiązaniach, sir. – Po tych słowach zniknął w ciemności w towarzystwie Kincaida.

Z zapartym tchem czekaliśmy. Nasłuchiwalismy uważnie, kiedy umilkną odgłosy rozbieranych nogami suchych liści. Potem rozległ się śmiech – pojedynczy i z początku nieśmiały, wkrótce zawtórował mu ostrożny chichot. Choć nie były to salwy śmiechu, jednak robiło się coraz głośniejsze, kiedy dołączali się kolejno mężczyźni z kręgu.

Jamie stanął pośrodku. Natychmiast zapadła cisza.

– Idź do namiotu – polecił mi obcesowym tonem.

Uprzedzony moim wyrazem twarzy chwycił mnie za rękę, nim zdążyłam ją podnieść.

– Jeżeli chcesz jeszcze raz mnie uderzyć, to przynajmniej pozwól nadstawić drugi policzek – powiedział chłodno. – Poza tym wydaje mi się, że mogłabyś sobie darować.

Powtarzam: idź do namiotu.

Dużymi krokami podszedł do ogniska. Skinął stanowczo. Wokół niego zaczęli się niespiesznie gromadzić na wpół przytomni mężczyźni.

Nie rozumiałam wszystkich słów, bo posługiwał się dziwną mieszaniną celtyckiego i angielskiego. Mówił miękkim, zrównoważonym głosem, który sprawił słuchającym w osłupienie. Zorientowałam się, że spytał o nazwiska wartowników, którzy mieli trzymać w nocy straż.

Mężczyźni zaczęli się rozglądać na lewo i prawo. Zapanowało między nimi poruszenie. W obliczu zagrożenia zaczęli nerwowo dreptać. Po chwili zwarty rząd rozdzielił się i na środek wystąpili dwaj mężczyźni. Stali ramię w

ramię, z oczami utkwionymi w ziemi, pozbawieni wsparcia towarzyszy.

Byli to bracia McClure'owie, George i Sorley, niemal w jednym wieku, gdzieś około trzydziestki. Spłoszeni i zawstydzeni wykręcali zgrubiałe od pracy palce, jakby chcieli w ten sposób dodać sobie otuchy przed nadchodzącą burzą.

Nastąpiła krótka chwila milczenia. Jamie spojrzął na dwóch winnych wartowników.

Potem przez dobre pięć minut padały nieprzyjemne uwagi – wypowiedane cały czas w tym samym miękkin, zrównoważonym tonem. Reszta kompanii stała bez słowa. Dwaj zażywni McClure'owie wydawali się przybici. Wytarłam spocone dłonie o spódnicę.

Cieszyłam się, że nie rozumiałam wszystkiego i zaczynałam żałować, że nie posłuchałam polecenia Jamiego i nie poszłam do namiotu.

Za chwilę pożałowałam tego jeszcze bardziej. Jamie odwrócił się nagle do Murtagha, który czekał na rozkaz. Niewielki Szkot trzymał skórzany pas półmetrowej długości, zakończony supłem.

– Rozbierzcie się i podejdźcie do mnie obaj. – McClure'owie ruszyli się natychmiast.

Grubymi palcami walczyli z zapięciami koszul, aby szybko wykonać polecenie i mieć już za sobą nieprzyjemności.

Bałam się, że zrobi mi się niedobrze. Zdawałam sobie jednak sprawę, że nieuważni wartownicy nie otrzymali srogiej kary w porównaniu ze zwykle stosowanymi w podobnych przypadkach. Na polanie

panowała martwa cisza. Przerzywały ją jedynie uderzenia bicia i od czasu do czasu jęki bitych mężczyzn.

Po ostatnim uderzeniu bicz zatrzymał się przy boku mojego męża. Jamie był tak spocony, że Iniana koszula przykleiła mu się do pleców. Dał znak McClure'om, że są wolni, i otarł rękawem mokrą twarz. Jeden z braci z trudem schylił się, by pozbierać swoje rozrzucone ubranie, a drugi, choć sam się trząsał, trzymał go pod ramię.

Pozostali mężczyźni, którzy z zapartym tchem przyglądali się wymierzaniu kary, odetchnęli z ulgą.

Jamie obrzucił ich spojrzeniem i lekko pokręcił głową. Nocny wiatr rozwiewał mu włosy.

– Nie możemy sobie pozwolić na beztroskę, moi drodzy – powiedział łagodnie.

Odetchnął głęboko, jego usta wykrzywił grymas. – To dotyczy również mnie. Chłopaka przyciągnęło moje ognisko.– Na czoło wystąpił mu pot. Jamie energicznie otarł twarz ręką, potem wytarł dłoń w kilt. Skinął na Murtagha, z zaciętą miną wystąpił przed mężczyzn i podał Murtaghowi skórzany bicz.

– Wyświadczysz mi przysługę?

Po chwili wahania Murtagh chwycił pas. W czarnych oczach małego Szkota pojawiła się dziwna wesołość.

– Z przyjemnością.

Jamie odwrócił się do niego tyłem i zaczął rozpinąć koszulę. Dostrzegł mnie, zamarłą między pniami drzew, i uniósł jedną brew w ironicznym pytaniu. Czy chciałam na to patrzeć? Pokręciłam głową, odwróciłam się i jak szalona popędziłam w las.

Nie wróciłam jednak do namiotu. Nie mogłam znieść myśli o dusznym zamkniętym pomieszczeniu. Czułam ucisk w piersiach. Potrzebowałam powietrza.

Zrobiłam sobie przystanek na małej otwartej przestrzeni, na zboczu niewielkiego pagórka tuż za namiotem. Rozłożyłam się jak długa na ziemi. Podłożyłam obie ręce pod głowę. Nie chciałam słyszeć nawet najcichszych odgłosów końcowej sceny zdarzeń.

Szorstka trawa wydawała się zimna w zetknięciu z nagą skórą. Skuliłam się, żeby okryć się płaszczem. Otulona leżałam cicho. Wsłuchiwałam się w bicie mojego serca i czekałam, aż opadnie wzburzenie.

Jakiś czas później usłyszałam kroki mężczyzn. W małych, cztero – czy pięcioosobowych grupkach wracali na miejsce noclegu. Spowita fałdami tkaniny, nie byłam w stanie wychwycić ich słów, ale mówili opanowanym tonem, choć z odrobiną złości. Upłynęło dużo czasu, zanim sobie uświadomiłam, że on tu jest, mimo iż nic nie powiedział ani nie zrobił najmniejszego hałasu. Przewróciłam się na bok. Jamie siedział na kamieniu z głową wspartą na rękach.

Wahałam się, czy walnąć go w głowę, czy utracić mu ją kamieniem, ale nie zrobiłam nic z tych rzeczy.

– Wszystko w porządku? – spytałam po chwili ciszy. Bardzo się wysiliłam, żeby mój głos brzmiał naturalnie.

– Tak. – Powoli się schylił, potem wyprostował z animuszem i westchnął głęboko. – Przepraszam, że rozdarłem ci suknię – powiedział minutę później. Dotarło do mnie, że widzi moje nagie ciało. Gwałtownie zasłoniłam

się płaszczem.

– Ach, przepraszasz za rozdarcie sukni? – spytałam nieco ostrzej.

Westchnął ponownie.

– I za całą resztę też. – Przerwał. – Pomyślałem, że zechcesz poświęcić swoją skromność, żebym nie musiał zabijać chłopaka, a w zaistniałych okolicznościach nie mogłem spytać cię o zgodę. Jeżeli się myliłem, proszę o wybaczenie.

– Chcesz powiedzieć, że dalej byś go męczył?

Był zirytowany i nawet nie starał się tego ukryć.

– Męczył? Skąd! Przecież nie zrobiłem mu krzywdy.

Owinęłam się mocniej płaszczem.

– Aha, więc dla ciebie złamanie ręki i przypalanie rozgrzanym nożem nie oznacza męczenia?

– Nie. – Przeskoczył trawę, która nas dzieliła, chwycił mnie za łokieć i odwrócił tak, że stanęłam do niego twarzą. – Posłuchaj. Sam sobie złamał rękę, kiedy usiłował się wyswobodzić z uchwytu. Jest odważny jak mało kto, ale nie ma doświadczenia w walce wręcz.

– A nóż?

Jamie prychnął.

– Ha! Chłopakowi zostało tylko małe zaczerwienienie za uchem. Do jutra przestanie go boleć. Rzeczywiście, mógł trochę poczuć, ale chodziło mi o to, żeby go przestraszyć, a nie zranić.

– Aha. – Odsunęłam się i skierowałam w stronę ciemnego lasu, do naszego namiotu.

Głos Jamiego podążył za mną.

– Mogłem go stłuc, Angielko. Ale narobiłoby się dużo hałasu, a skutek byłby niewielki. Nie uciekałbym się do takich środków, gdybym miał inne wyjście – powiedział z nutą ostrzeżenia. – Musiałem się dowiedzieć, gdzie znajdują się jego towarzysze, jaką dysponują bronią. Tego samymi groźbami bym z niego nie wyciągnął. Dlatego zdecydowałem się na podstęp.

– Powiedział, że niczym nie jesteś w stanie go zmusić do mówienia.

Głos Jamiego był zmęczony.

– Boże, Angielko, każdego można złamać, jeżeli stać cię na to, żeby go w odpowiednim stopniu skrzywdzić. Chyba nikt nie wie tego lepiej ode mnie.

– Tak – przyznałam cicho. – Wyobrażam sobie.

Żadne z nas nie poruszyło się przez długą chwilę. Nic też nie mówiliśmy. Słyszać było odgłosy układających się do snu mężczyzn, sporadyczne kroki po twardej ziemi oraz szum liści, porywanych ostrymi podmuchami jesiennego wiatru. Moje oczy oswoiły się z ciemnością na tyle, że z odległości kilometra bez trudu widziałam kontury naszego namiotu ukrytego pod modrzewiem. Widziałam również postać Jamiego, ciemniejszą niż nocny mrok.

– W porządku – powiedziałam w końcu. – Porównując to, co zrobiłeś, z tym, co mogłeś zrobić... rzeczywiście, w porządku.

– Dziękuję. – Nie wiedziałam, czy się uśmiecha, ale tak mi się wydawało.

– Cholernie ryzykowałeś. Gdybym nie dostarczyła ci powodu, żebyś go nie zabijał, co byś wtedy zrobił?

Duży kształt skurczył się i pochylił. Z oddali dał się

słyszeć cichy chichot.

– Nie wiem, Angielko. Liczyłem na to, że coś wymyślisz. Gdyby nic nie wpadło ci do głowy, pewnie bym zabił chłopaka. Nie mogłem go przecież wypuścić. Rycerz poczułby się rozczarowany.

– Ty, cholerny szkocki gnojku – powiedziałam bez gniewu.

Westchnął zirytowany.

– Angielko, mierzono we mnie nożem, byłem bity, wymierzano mi policzki, smagano batem po kolacji, której zresztą nawet nie zdążyłem dokończyć. Nie chciałem przstraszyć dziecka ani chłostać mężczyzn, ale musiałem to zrobić. Pięć kilometrów stąd rozbiło się dwustu Anglików i nie wiem, jak dalej postępować. Jestem zmęczony, głodny i ranny. Mogłabyś mi okazać nieco kobiecego współczucia, oile je masz.

Zabrzmiało to tak żałośnie, że mimowolnie się roześmiałam. Wstałam i podeszłam do Jamiego.

– Podejrzewam, że mam. Chodź, zobaczymy, czy znajdzie się go trochę dla ciebie. – Wsunęłam ręce pod luźno zarzuconą na ramiona koszulę Jamiego. Dotknęłam gorącej, delikatnej skóry na jego plecach.

– Chłosta nie przecięła skóry. – Przesunęłam palce ku górze.

– Nie, zostały tylko pręgi.

Zdjęłam z niego koszulę, żeby przemyć mu plecy zimną wodą ze strumyka.

– Lepiej? – spytałam.

– Uhm. – Mięśnie pleców rozluźniły się, ale drgnął, kiedy dotknęłam najbardziej zranionego miejsca.

Zwróciłam uwagę na zadrapanie za uchem.

– Ale tak naprawdę, to byś go nie zabił?

– Za kogo ty mnie uważasz, Angielko? – spytał z udawaną złością.

– Za szkockiego tchórza. A w najlepszym przypadku za rzezimieszka bez sumienia.

Nie mówiąc już o niemoralnym lubieżniku. Czy to wiadomo, do czego może być zdolny ktoś taki?

Śmiał się razem ze mną. Jego ramię trzęsło się pod moją ręką.

– Odwróć głowę. Jeżeli oczekujesz ode mnie kobiecego współczucia, musisz zachować powagę, kiedy będę ci je okazywać.

– Jasne. – Na chwilę zapanowała cisza. – Nie – powiedział w końcu. – Nie zastrzeliłbym małego drania. Ale w jakiś sposób musiałem ocalić jego dumę po tym, jak go przed tobą ośmieszyłem. Jest odważny. Zasłużył na to, żeby czuć się jak ktoś, kogo warto zabić.

Potrząsnęłam głową.

– Nigdy nie zrozumiem mężczyzn – zamruczałam, smarując zadrapania maścią nagietkową.

Jamie chwycił mnie za ręce i położył je sobie pod brodą.

– Nie musisz mnie rozumieć, Angielko – powiedział cicho. – Dopóki mnie kochasz. – Lekko pochylił głowę do przodu i pocałował moje złożone dłonie. – I karmisz – dodał.

– Ach, więc na tym polega kobiece współczucie: na darowaniu miłości i jedzenia? – Roześmiałam się. – Nie potrzeba ci wiele.

Znalazłam w torbie placki, ser i kawałek zimnego bekonu. Przeżycia dwóch ostatnich godzin okazały się bardzo wyczerpujące. Zgłodniałam porządnie, więc przyłączyłam się do posiłku.

Odgłosy mężczyzn w obozowisku ucichły. Nie dochodził nas żaden dźwięk, nie było też widać jakiegokolwiek blasku ognia, który oznaczałby, że jednak nie jesteśmy sami w promieniu tysiąca kilometrów. Tylko wiatr buszował nieprzerwanie wśród liści.

Jamie oparł się o drzewo. Zmęczoną i utrapioną twarz oświetlały gwiazdy.

– Dałem twojemu obrońcy słowo, że nie będę cię molestował obrzydliwymi zalotami.

Co chyba oznacza, że dopóki ty sama mnie nie poprosisz, bym dzielił z tobą łożę, będę musiał spać z Murtaghem albo Kincaidem. A Murtagh chrapie.

– Zupełnie jak ty.

Przyglądałam mu się przez chwilę. Wzdrygnęłam się. Moja w połowie zniszczona suknia ześlizgnęła się z jednego ramienia.

– Dobrze ci szło na początku, kiedy chciałeś mnie zgwałcić. – Zsunęłam drugi rękaw.

Cały materiał opadł na biodra. – Teraz możesz dokończyć robotę.

Ciepło jego ramion było niczym przyjemny jedwab, który jeszcze niedawno otulał moje ciało.

– Dobrze – wyszeptał w moje włosy. – Wojna rządzi się własnymi prawami.

– Nie jestem dobra z dat – powiedziałam. Patrzyłam w piękne rozgwieżdżone niebo.

– Czy Miguel Cervantes już się urodził?

Jamie leżał przy mnie na brzuchu. Głowę i ramiona miał wystawione poza namiot.

Otworzył powoli jedno oko i spojrzał na wschód. Nie dostrzegł żadnego zwiastuna świtu.

Przeniósł wzrok na moją twarz. Wydawał się zrezygnowany.

– Zebrało ci się nagle na dyskusję o powieści hiszpańskiej? – spytał oschle.

– Nie. Zastanawiałam się tylko, czy znasz termin: „donkiszoteria”.

Wsparł się na łokciach i potarł twarz obiema rękami, by się do końca obudzić.

Odwrócił się do mnie i zamrugał.

– Cervantes żył prawie dwieście lat temu, Angielko. I miałem okazję zapoznać się z tym panem dzięki solidnemu wykształceniu, jakie odebrałem. Chyba nie chciałaś dać mi czegoś do zrozumienia tą uwagą, co?

– Bolał cię plecy?

Zgarbił się, żeby sprawdzić.

– Nie bardzo. Pewnie mam parę siniaków.

– Jamie, na miłość boską, dlaczego kazałeś się obić?
– wybuchnęłam.

Oparł brodę na zgiętych rękach. Ukośne położenie głowy podkreśliło skośny kształt jego oczu.

– Murtagh był mi dłużny lanie. Kiedy miałem dziewięć lat, powkładałem mu kawałki plastra miodu do butów, gdy zdjął je na chwilę. Wtedy nie dałem się złapać, ale nauczyłem się wielu ciekawych słów, kiedy gonił mnie na bosaka.

Powstrzymałam tę gadaninę porządnym kuksańcem wymierzonym w pierś Jamiego.

Przewrócił się na drugi bok, tyłem do mnie.

Przytuliłam się do Jamiego i objęłam go w pasie. Szerokie i ładnie umięśnione plecy w dalszym ciągu lśniły od maści. Pocałowałam go między łopatkami, potem odsunęłam się troszkę i zaczęłam delikatnie na nie dmuchać. Z przyjemnością czułam, że Jamiego przechodzi dreszcz pod wpływem mojego dotyku. Delikatne włoski wzniosły się wzdłuż kręgosłupa.

– Dlaczego? – spytałam ponownie. Położyłam twarz na jego ciepłych, wilgotnych plecach. Choć w ciemności ślady pobicia były niewidoczne, czułam zgrubienia pod policzkiem.

Przez chwilę milczał. Jego zebra unosiły się i opadały przy każdym głębokim, niespiesznym oddechu.

– Cóż. – Znowu zamilkł i zamyślił się. – Nie wiem dokładnie, Angielko – powiedział w końcu. – Myślałem, że jestem ci to winien. A może sobie samemu.

Delikatnie położyłam dłoń na łopatce, szerokiej i płaskiej, której krawędzie wyraźnie rysowały się pod skórą.

– Mnie nie jesteś nic winien.

– Tak? Czy dobrze wychowany człowiek rozbiera swoją żonę w obecności trzydziestu mężczyzn? – Jego ton nagle stał się gorzki. Moje ręce zastygły na jego ciele. – Czy porządny mężczyzna używa przemocy wobec jeńca, który w dodatku jest jeszcze dzieckiem?

– Czy byłoby lepiej oszczędzić mnie albo jego i stracić połowę ludzi w pierwszych dniach powstania? Ty to musisz wiedzieć. Nie możesz kierować się teraz tym, co

mówią zasady dobrego wychowania.

– Tak – przytaknął. – Nie mogę. Obowiązek i poczucie honoru nakazują mi bronić sprawy księcia. Stałem się krzywoprzysięzcą dla tych, których kocham. Splamiłem ich honor, żeby ci, których darzę honorem, mogli przeżyć.

– Przez honor zginęło cholernie dużo ludzi – powiedziała do ciemnego wgłębienia w jego plecach. – Bezsensowny honor jest... głupotą. Rycerską głupotą, ale jednak głupotą.

– Tak. Gdybym jednak miał się znaleźć wśród tych, którzy poświęcają honor dla wygody... chyba byłoby mi wstyd. – Niespodziewanie odwrócił się do mnie twarzą.

W jego oczach odbijało się zakłopotanie. – Nie zawrócę. Teraz już nie mogę. Ale wiesz, czasem naprawdę mi smutno z tego powodu.

– To moja wina – powiedziała łagodnie. Dotknęłam jego gęstych brwi, szerokich warg i kilkuniedniowego zarostu na brodzie. – Moja. Gdybym tutaj nie przybyła... nie powiedziała ci, co będzie... – Wypełnił mnie prawdziwy smutek z powodu tego, że się sprzedał. Odczułam boleśnie utratę jego prostolinijnej rycerskości. Teraz jednak nie było już odwrotu. Przecież nie mogłam mu nie powiedzieć. A on nie mógł nie działać zgodnie z tym, co wiedział. Przypomniało mi się zdanie ze Starego Testamentu: „Gdy milczałem, schły kości moje od błagalnego wołania przez cały dzień”.

Jakby odgadując biblijny wątek moich myśli, Jamie uśmiechnął się mdło.

– Ja nie chcę być jak Adam, który prosi Boga, żeby zabrał od niego Ewę, i rozmyślać nad tym, co ona jemu

zrobiła. – Przysunął się i pocałował mnie w czoło. Roześmiałam się głośno. Jamie naciągnął koc na moje nagie ramiona.

– Śpij, ty istoto powstała z mojego żebra. Będę rano potrzebował twojej pomocy.

Obudził mnie dziwny metaliczny dźwięk. Wysunęłam głowę spod koca. Spojrzałam w stronę, skąd dochodził odgłos i zorientowałam się, że mój nos znajduje się w odległości trzydziestu centymetrów od kolana Jamiego.

– Nie śpisz? – Coś srebrnego i brzęczącego znalazło się nagle przed moją twarzą.

Kiedy spoczęło na szyi, poczułam niemały ciężar.

– Co to jest, u licha? – Usiadłam zdumiona i gapiłam się przed siebie. Wyglądało na to, że miałam na sobie naszyjnik z ogromnej ilości kawałków metalu centymetrowej długości nawleczonych na skórzany rzemyk. Każdy miał trzonek i był okrągły na górze.

Niektóre z nich pokrywała z wierzchu rdza, pozostałe wyglądały jak nowe. Rysy na trzonkach sugerowały, że fragmenty metalu zostały siłą wydarte z jakiegoś większego przedmiotu.

– Trofeum wojenne, Angielko.

Spojrzałam na Jamiego i wydałam z siebie niezbyt głośny krzyk.

– Och! – Przyłożył rękę do twarzy. – Zapomniałem. Nie miałem czasu tego zmyć.

– Śmiertelnie mnie przeraziłeś. – Złapałam się za łomoczące serce. – Co to jest?

– Barwy ochronne zrobione węglem drzewnym –

odpowiedział głosem sflumionym przez materiał, którym wycierał twarz. Uśmiechnął się do mnie szeroko. Stał trochę sadzy z nosa, brody i czoła, na którym pozostały różowawo-brązowe smugi. Oczy miał w dalszym ciągu diablo czarne, a linia ust również nosiła ślady węgla drzewnego. Ledwie świtało. W półmroku ciemna twarz Jamiego zlała się z brązowawym tłem płóciennej ściany namiotu. Miałam nieodparte wrażenie, że rozmawiam z ciałem bez głowy.

– To był twój pomysł – oznajmił.

– Chyba żartujesz? Wyglądasz jak aktor z trupy wędrowniej – odparłam. – Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Jego białe zęby zabłysły na tle ciemnej twarzy.

– Komando zwiadowcze – oznajmił z nieukrywaną satysfakcją. – Czy „komando” to właściwe słowo?

– Na Boga! Byłeś w obozie Anglików! Chryste! Mam nadzieję, że nie sam?

– Przecież nie mogłem swoim ludziom odmówić takiej zabawy! Zostawiłem trzech mężczyzn, żeby cię pilnowali, a z całą resztą bardzo pożytecznie spędziliśmy noc. – Wskazał z dumą na naszyjnik. – Śrubki z lawet do dział. Nie zdołalibyśmy zabrać dział ani zniszczyć ich bez hałasu, ale przynajmniej daleko nie zajdą, bo nie mają kółek. Na niewiele się zda armii generała Cope’a szesnaście dział porzuconych na wrzosowisku.

Baczenie przyjrzałam się naszyjnikowi.

– Wszystko pięknie, ale skąd wiesz, że nie wsadzą nowych śrubek? Chyba da się zrobić prowizoryczne spoidła z grubego drutu?

Pokiwał głową, lecz ani na chwilę nie stracił

dobrego humoru.

– Oczywiście. Ale na nic im śrubki bez nowych kólek. – Rozsunął wejście do namiotu i wskazał palcem w stronę podnóża góry. Zobaczyłam Murtagha. Wyglądał jak zasuszony diabeł. Doglądał kilku podobnych czarnych biesów. Z radością wrzucali ostatnie z trzydziestu dwóch ogromnych drewnianych kół do trzaskającego ogniska. Żelazne obręcze leżały na stosie z boku. Fergus, Kincaid i jeszcze jeden młody chłopak świetnie się bawili. Toczyli obręcze tam i z powrotem za pomocą kijów. Ross siedział obok na pniaku i popijał coś z kubka. Z nudów kręcił jedno z metalowych kół na ręce.

Roześmiałam się na ten widok.

– Jamie, jesteś spryciarzem!

– Ty natomiast jesteś półnaga, a zaraz wyruszamy. Masz co na siebie włożyć?

Wprawdzie kilku wartowników związaliśmy i zostawiliśmy na opuszczonym pastwisku, ale reszta Anglików zaraz tu będzie. Lepiej się zbierać.

Jakby na potwierdzenie jego słów nagle zatrząś się nade mną namiot. Ktoś rozwiązał linki z jednej strony. Podniosłam krzyk i zanurkowałam w torbach. Jamie poszedł doglądać przygotowań do wymarszu.

Wczesnym popołudniem dotarliśmy do wioski Tranent. Położona na wzgórzach nadmorskich, zwykle spokojna miejscowość, teraz wrzała pod napływem szkockich górali. Przeważającą część armii widać było z daleka na wzgórzach wokół niewielkiej równiny, ciągnącej się wzdłuż wybrzeża. Oddziały maszerowały w mniej więcej wojskowym porządku. Posłańcy przemieszczali się

w tę i z powrotem, jedni na koniach, inni piechotą. Kobiety z dziećmi wyległy z domów i siedziały na zewnątrz, oparte o kamienne mury. Wołały na przechodzących gońców, żeby usłyszeć choć strzępek najnowszych doniesień.

Zatrzymaliśmy się w samym środku tej kotłowniny. Jamie wysłał Murtagha z pytaniem, gdzie się podziewa lord George Murray, naczelny wódz armii. Sam natomiast szybko się umył w jednym z domków.

Mój wygląd pozostawiał wiele do życzenia. Ponure smugi, jakie miałam na twarzy, nie były skutkiem pomalowania węglem drzewnym, ale kilkudniowego spania poza domem. Uprzejma gospodyni podała mi ręcznik i grzebień. Skorzystałam też z jej toaletki, by uporać się z niesfornymi lokami. Nagle drzwi otworzyły się z hukiem.

W progu stanął sam lord Murray. Bez zbędnych ceremonii wszedł do środka.

Jego zwykle nienaganny strój był w nieładzie: porozpinane guziki kamizelki, wiszący kołnierzyk, jedna podwiązka nie zawiązana. Z kieszeni wystawała wciśnięta niedbale peruka. Rzadkie brązowe włosy lorda stały dęba, jak gdyby sir George szarpał je w akcie rozpacz.

– Dzięki Bogu! Wreszcie ktoś przy zdrowych zmysłach! – Wychylił się do przodu i popatrzył zezem na wielkiego Szkota. Jamie już zmył z rdzawych włosów większą część barw ochronnych, ale na twarzy pozostały szare smugi. Pył węgla drzewnego ściekał wraz z wodą na szeroki tors. Uszy, o których Jamie najwidoczniej zapomniał podczas mycia, w dalszym ciągu były czarne.

– Co... – zaczął przerażony lord George, ale natychmiast zamilkł. Kiwnął energicznie głową raz albo

dwa, jakby chciał się pozbyć przywidzeń. Po chwili na nowo podjął rozmowę.

– Jak się sprawy mają, sir? – spytał Jamie z szacunkiem. Udawał, że nie widzi fragmentu peruki wystającego z kieszeni lorda. Przewiązany kokardą kosmyk podskakiwał niczym ogon małego pieska, kiedy Jego Lordowska Mość żywiłowo gestykulował.

– Jak się sprawy mają? – powtórzył. – Cóż mogę powiedzieć! Żołnierze maszerują na wschód, to znów na zachód. Potem połowa idzie zjeść śniadanie u podnóża góry, a druga połowa wychodzi, diabli wiedzą dokąd. Tak się sprawy mają. I to się nazywa lojalna armia Jego Wysokości! – Wybuch przyniósł mu chwilową ulgę. Już nieco spokojniejszy Murray zaczął opowiadać, co się zdarzyło od chwili, kiedy do Tranet przybyły pierwsze oddziały poprzedniego dnia.

Lord George, który nadciągnął wraz z armią, pozostawił większość mężczyzn w wiosce i z niewielkim oddziałem udał się zająć pozycje na urwisku ponad wioską.

Księżę Karol zjawił się trochę później. Był z tego niezadowolony, co wyraził publicznie.

Jego Wysokość zabrał połowę armii i pomaszerował na zachód z księciem Perth, który mu się podporządkował, choć również pełnił funkcję naczelnego wodza. Wyruszyli, żeby oszacować możliwości ataku z Preston.

Armia się podzieliła, a Jego Lordowska Mość zajął się rozmowami z wieśniakami.

Mieszkańcy Tranet wiedzieli o pobliskich terenach o wiele więcej niż Jego Wysokość czy Jego Lordowska Mość. O'Sullivan, jeden z powierników księcia Irish,

poczuł się uprawniony do tego, by skierować na dziedziniec kościelny Tranent oddział klanu Lochiela z Cameronów.

– Oczywiście Cope wystawił parę dział i ich ostrzelał – oznajmił ponuro lord George.

– Spędziłem z Lochielem sporo czasu dziś po południu. Był zdenerwowany, co jest zrozumiałe, bo jego ludzie zostali zdziśiatkowani w tak głupi sposób. Poprosił, żeby reszta oddziału mogła się wycofać, na co oczywiście przystałem. Gdziekolwiek słychać głos Jego Wysokości, tam będzie utrapienie z O’Sullivanem. Tylko dlatego że przybył na Eriskay razem z Jego Wysokością, wydaje mu się, że obecność Cameronów na dziedzińcu kościoła jest niezbędna, jeżeli mamy atakować z zachodu. Niezbędna! Proszę sobie wyobrazić! Wyjaśniłem mu zdawkowo, że atak przeprowadzamy raczej ze wschodu. Co obecnie wydaje się kwestią bardzo wątpliwą, bo jak do tej pory nie wiemy nawet dokładnie, gdzie znajduje się połowa armii... ani Jego Wysokość – dorzucił.

Jednoznacznie dawał do zrozumienia, że miejsce pobytu księcia Karola ma jedynie znaczenie naukowe.

– A dowódcy! Cameronowie od Lochiela wyciągnęli los, który daje im przywilej brania udziału w walce po prawej stronie. Jeżeli w ogóle dojdzie do walki – wtrącił sceptycznym tonem – MacDonaldowie wcześniej przystali na taki układ. Teraz jednak stanowczo temu zaprzeczają i upierają się, że nie wezmą udziału w bitwie, jeżeli odmówi im się ich tradycyjnego przywileju walczenia na prawym skrzydle.

Lorda George’a, który swoją relację zaczął całkiem spokojnym głosem, znowu poniosła złość. Skoczył się na

równe nogi i zaczął się obiema rękami mocno drapać po głowie.

– Cameronowie cały dzień mieli musztrę. Tyle się namaszerowali w tę i z powrotem, że teraz nie są w stanie odróżnić przodu i tyłu swojej dupy. Przepraszam panią – dodał i spojrział na mnie z roztargnieniem. Ludzie Clanranalda pobili się z oddziałem Glengarry’ego. – Przerwał. Wysunął dolną szczękę. Twarz poczerwieniała mu z wściekłości. – Gdyby Glengarry nie był tym, kim jest, to... a, zresztą. – Zbył Glengarry’ego machnięciem ręki i odzyskał spokój.

– Jediną dobrą stroną tego całego zamieszania jest to, że na skutek naszych posunięć Anglicy musieli kręcić się w kółko. Wszystkie siły Cope’a przemieszczały się co najmniej cztery razy. Teraz rozciągają prawe skrzydło nad brzegiem morza. Niewątpliwie usiłują dociec, jaki też będzie nasz następny krok. – Wyrzwał przez okno, jakby w nadziei, że zobaczy samego generała Cope’a na głównej drodze i przy okazji zada mu parę pytań.

– A gdzie dokładnie znajduje się w tej chwili połowa pańskiej armii? – Jamie chciał towarzyszyć Jego Lordowskiej Mości w wędrówce po domu, ale powstrzymał go uścisk mojej ręki na szyi. Uzbrojona w ręcznik i miskę ciepłej wody sama zajęłam się usuwaniem sadzy z uszu męża, rozpalonych teraz z przejęcia. Jego Lordowska Mość ciągnął swoje wynurzenia.

– Na urwisku na południu miasteczka.

– Więc nadal zajmujemy wysokie pozycje?

– Tak, brzmi nieźle, co? – Jego Lordowska Mość uśmiechnął się blade. – Wbrew pozorom zajęcie wysokich

terenów niewiele nam daje, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że poniżej są moczary i grząskie bagna. Żeby tylko! Wzdłuż całej długości urwiska ciągnie się rów głęboki na metr osiemdziesiąt, całkowicie wypełniony wodą. Armie w tej chwili dzieli zaledwie pięćset metrów, ale równie dobrze mogłoby to być pięćset kilometrów. – Lord George w poszukiwaniu chusteczki wsunął rękę do kieszeni. Wywrócił ją na lewą stronę i pustym spojrzeniem obrzucił perukę, w którą o mały włos otarłby twarz.

Dyskretnie podałam Murrayowi usmolony kawałek materiału. Dowódca zamknął oczy, wydmuchał mocno obie dziurki nosa, potem uklonił mi się z dworską kurtuazją.

– Wielkie dzięki, madame. – Wilgotną szmatką dokładnie wytarł sobie czoło i grzecznie mi ją oddał, po czym umieścił na głowie zmierzwioną perukę.

– Niech mnie piekło pochłonie, jeżeli pozwolę, żebyśmy przegrali bitwę przez tego kretyna. – Po chwili zwrócił się do Jamiego. – Ilu masz ludzi, Fraser?

– Trzydziestu, sir.

– Koni?

– Sześć, sir. I cztery kuce jako zwierzęta pociągowe.

– Zwierzęta pociągowe? Aha, wiozą zapasy dla twoich ludzi?

– Tak. Oraz sześćdziesiąt toreb z żywnością, które wczoraj przechwyciliśmy w angielskim obozie. Jeszcze jeden trzydziestocentymetrowy mózdzierz.

Tą ostatnią informacją Jamie podzielił się w tak bezceremonialny sposób, że miałam ochotę zatkać mu usta chusteczką do nosa. Lord George przez chwilę przyglądał się rudowłosemu olbrzymowi, potem podniósł w uśmiechu

jeden kącik ust.

– Ach, tak? Chodź ze mną, Fraser. Opowiesz mi wszystko po drodze. – Skierował się w stronę drzwi. Jamie spojrział na mnie szeroko otwartymi oczami, wziął swój kapelusz i poszedł za dowódcą armii.

W drzwiach lord George nagle się zatrzymał i odwrócił. Zadarł głowę i zmierzył wzrokiem wysoką postać Jamiego, jego rozpięty kołnierzyk i płaszcz niedbale przewieszony przez ramię.

– Może i nam się spieszy, Fraser, ale mamy dość czasu, żeby zachowywać się jak na ludzi cywilizowanych przystało. Idź, pocałuj żonę na pożegnanie. Spotkamy się na zewnątrz. – Wysunął nogę w moim kierunku i złożył głęboki ukłon. Kosmyk peruki podskoczył wesoło. – Do usług, madame.

Wiedziałam o armiach wystarczająco dużo, żeby mieć pewność, że w najbliższym czasie nie wydarzy się nic znaczącego. I oczywiście się nie myliłam. Przynajmniej grupki żołnierzy chodziły w tę i z powrotem główną ulicą Tranent. Ci, którzy szli za obozem, krążyli bez celu. Nie wiedzieli, czy mają zostać, czy iść. Posłańcy z wiadomościami przedzierali się wśród tłumu.

Poznałam lorda Georga już wcześniej, w Paryżu. Nie był to człowiek, który bawi się w subtelności, kiedy trzeba działać. Prawdopodobnie więc zwrócił się do Jamiego z powodu wybuchu złości na poczynania księcia Karola oraz chęci uniknięcia towarzystwa O’Sullivana, a nie wiedziony pośpiechem czy zaufaniem. Siły szkockich górali liczyły w sumie tysiąc pięćset do dwóch tysięcy żołnierzy, więc liczba trzydziestu ludzi nie mogła być

uważana za dar niebios.

Spojrzałam na Fergusa. Chłopak biegał nerwowo tam i z powrotem, jakby dotknęła go choroba świętego Wita. Pomyślałam, że ja też mogłabym wysłać kilka wiadomości.

Jest takie powiedzenie: „W królestwie ślepców jednooki jest królem”. Szybko znalazłam analogię, którą znałam z doświadczenia: „Kiedy nikt nie wie, co robić, będą słuchać każdego, kto ma jakąkolwiek sensowną propozycję”.

Wyjęłam z torby papier i atrament. Usiadłam, bacznie obserwowana przez gospodynię, która pewnie nigdy wcześniej nie widziała piszącej kobiety. Skreśliłam notę do Jenny Cameron. To ona poprowadziła trzy setki Cameronów przez góry, by dołączyć do księcia Karola, kiedy zatknął swój sztandar w Glennfinnan na wybrzeżu. Jej brat, Hugh, spóźniony powrócił do domu. Dowiedział się, co zaszło, i wysłał do Glennfinnan posłańca z wiadomością, że przejmuje dowództwo nad swoimi ludźmi. Jenny jednak nie chciała wrócić do domu i stracić zabawy. W pełni wykorzystała krótki postój w Edynburgu, gdzie Karol odebrał honory od wiernych poddanych. Postanowiła ruszyć z księciem do walki.

Nie miałam pieczęci, ale w jednej z toreb znajdowała się czapka Jamiego, na której widniał herb Fraserów i podpis. Wydobyłam ją i zanurzyłam w ciepłym wosku, który spłynął ze świecy. Podstemplowałam notę. Wyglądała bardzo oficjalnie.

– Dla szkockiej milady z piegami – poinstruowałam Fergusa. Z satysfakcją patrzyłam, jak wybiegł z domu i

wmieszał się w tłum na ulicy. Nie miałam zielonego pojęcia, gdzie w tej chwili może być Jenny Cameron. Wiedziałam tylko, że oficerów ulokowano na plebanii przy kościele, więc na początek dobrze było poszukać jej właśnie w tamtym miejscu. Przynajmniej to powstrzyma Fergusa od figli.

Gdy już załatwiłam tę sprawę, odwróciłam się do gospodyni domu.

– Czy ma pani jakieś koce, serwetki, halki?

Wkrótce się przekonałam, że nie myliłam się co do siły osobowości Jenny Cameron.

Kobieta, która zdołała zwołać trzystu mężczyzn i poprowadzić ich przez góry do walki po stronie lalusia z włoskim akcentem i skłonnością do brandy, musiała wykazywać zarówno niską odporność na nudę, jak i wyjątkowy talent podporządkowywania sobie ludzi.

– Po prostu podejrzewam, że kuzyn Archie wydał pewne zarządzenia, ale oczywiście teraz chce być z armią – wyjaśniła, gdy się dowiedziała o moim planie. Wsunęła podbródek nieco do przodu. – To jest w tym wszystkim najśmieszniejsze – oznajmiła z grymasem.

– Jestem zaskoczona, że nie nalegała pani, żeby iść dalej – zagadnęłam.

Roześmiała się. Mała, przyjazna twarz z wysuniętą szczęką przypominała teraz mordkę dobrze usposobionego buldoga.

– Gdybym tylko mogła. Ale cóż... – westchnęła. – Odkąd przybył Hugh, cały czas próbuje mnie nakłonić do powrotu do domu. Obiecałam mu, że wrócę. – Rozejrzała się wkoło, żeby mieć pewność, że nikt nas nie podsłuchuje,

i konspiracyjnie zniżyła głos. – Niech mnie diabli wezmą, jeżeli się stąd ruszę i będę siedziała z założonymi rękami. Nie, jeżeli tylko mogę przydać się tutaj.

Raz jeszcze omiotła wzrokiem najbliższą okolicę.

– Mnie chyba nie posłuchają – powiedziałam. – Jestem Angielką.

– Zgadza się. Ale mnie posłuchają. Nie wiem, ilu będzie rannych. Prosić Boga, żeby niewielu. – Przeżegnała się dyskretnie. – Najlepiej zacząć od domów przy kościele.

Będzie mniej kłopotu z przynoszeniem wody ze studni. – Kiedy zapadła decyzja, Jenny Cameron wyszła z domu, a ja podążyłam tuż za nieustraszoną wojowniczką.

Uzyskałyśmy pomoc nie tylko dzięki pozycji i osobowości lady Cameron, ale też dlatego, że siedzenie i czekanie to najbardziej żałosne ludzkie zajęcie. Nie twierdzę, że jest znane wyłącznie mężczyznom, bo kobiety doświadczają tego znacznie częściej. Zanim nad kościołem w Tranent zaszło słońce, zebrałyśmy już podstawowy personel szpitala polowego.

Z rosnących w pobliżu modrzewi i olch spadły liście. Leżały na piasku, suche i żółknięte. Czasami trafił się też brązowy liść. Wiatr porywał go niczym mały stateczek na wzburzonym morzu.

Jeden z nich przeleciał obok mnie i osiadł lekko na ziemi, kiedy podmuch ustał.

Wzięłam listek do ręki i trzymałam przez chwilę. Podziwiałam doskonałość naczynek i włókien, cały koronkowy szkielec, który przetrwał wirowanie. Nagle gwałtowny powiew wiatru zdmuchnął mi z dłoni skręcony liść. Mój skarb poszybował pustą ulicą.

Kiedy osłoniłam oczy przed zachodzącym słońcem, zobaczyłam urwisko za miastem, gdzie rozbiła obóz szkocka armia. Połowa wojska pod wodzą Jego Wysokości wróciła godzinę temu, pozbiierała mężczyzn z wioski i dołączyła do lorda George'a. Z oddali sporadycznie widziałam jakąś małą postać, wychodzącą na skraj urwiska, czarną na tle szarzejącego nieba. Cztery kilometry od końca ulicy widać było pierwszy blask ognia Anglików. Blado płonął na tle szarzejącego światła. Ciężki swąd palonego torfu, który dochodził z domów, zlewał się z ostrym zapachem ogniska Anglików. W pobliżu szumiało morze.

Wszystkie możliwe przygotowania były w toku. Rodziny szkockich żołnierzy zostały serdecznie przyjęte. W większości zostały ulokowane w domach przy głównej ulicy. Część poczęstowano prostym jedzeniem: ziemniakami i solonymi śledziami. Na mnie również czekała w domu kolacja, chociaż nie miałam apetytu.

U mego boku pojawiła się mała postać, cicha jak wydłużające się cienie.

– Może pani wejdzie i zje, madame? Gospodyni przygotowała dla pani posiłek.

– Oh, aha, Fergus, już idę. – Rzuciłam przeciągłe spojrzenie na urwisko i odwróciłam się w stronę domów.

– Idziesz, Fergus? – spytałam. Cały czas stał nieruchomo. Osłonił oczy ręką i próbował dojrzeć działania na urwisku za miastem. Na zdecydowany rozkaz Jamiego pozostał ze mną, ale ciągnęło go do kompanii, która przygotowywała się do bitwy. Walka miała się rozpocząć następnego dnia.

– A, tak, madame. – Westchnął na myśl, że musi wracać do wsi.

Długie letnie dni ustąpiły miejsca szybko zapadającym jesiennym mrokom. Zanim skończyliśmy przygotowania, paliły się wszystkie światła. Na zewnątrz panowała bezsenna noc, o czym świadczył ciągły ruch i blask ognia na horyzoncie. Fergus, który nie mógł usiedzieć w jednym miejscu, krążył między domami. Roznosił wiadomości, zbierał plotki i od czasu do czasu wynurzał się z cieni niczym mały, ciemny duch, z oczami błyszczącymi z przejęcia.

– Madame! – Szarpnął mnie za rękaw, kiedy darłam lniany materiał w pasy i układałam go na stos do wyjałowienia. – Madame!

– O co chodzi, Fergus? – Zdenerwowałam się trochę, kiedy mi przeszkodził. Byłam właśnie w trakcie dawania grupie kobiet wykładu na temat tego, jak ważne jest częste mycie rąk podczas zajmowania się rannymi.

– Jakiś mężczyzna chce rozmawiać z dowódcą armii Jego Wysokości. Mówi, że ma ważne informacje.

– Przecież ja mu nie zabraniam. – Pociągnęłam gwałtownie oporny szew koszuli, potem przytrzymałam zębami jego koniec i znowu szarpnęłam. Rozdarł się pięknie, z charakterystycznym dźwiękiem rozprawanego materiału.

Wyciągnęłam jedną albo dwie nitki. Chłopak czekał cierpliwie.

– W porządku. – Podałam się. – Co powinnam zrobić?

– Jeżeli pani pozwoli, pójdę z nim do mojego wodza

– powiedział skwapliwie. – Milord mógłby go zaprowadzić na rozmowę do dowódcy.

„Jamie” w oczach Fergususa był w stanie zrobić wszystko, nie wyłączając chodzenia po wodzie, przemienienia wody w wino oraz nakłonienia lorda George’a do rozmów z tajemniczymi nieznajomymi, którzy wyłaniają się z ciemności z ważnymi informacjami.

Odgarnęłam sobie włosy z oczu. Wprawdzie związałam je i wsunęłam pod chustkę, ale niesforne kosmyki cały czas się spod niej wymykały.

– Czy ten człowiek jest gdzieś w pobliżu?

Fergus tylko na to czekał. Natychmiast zniknął w otwartych drzwiach i po chwili wrócił w towarzystwie szczupłego młodego mężczyzny. Przybysz od razu wlepił we mnie wzrok.

– Pani Fraser? – Kiedy skinęłam głową, uklonił mi się niezdarnie. Wytarł ręce w spodnie, jakby nie wiedział, co innego z nimi zrobić. – Nazywam się Richard Anderson. Jestem z Whitburgha.

– Tak? To wspaniale – zauważyłam grzecznie. – Mój służący powiedział, że ma pan jakieś cenne informacje dla lorda George’a Murraya.

Pokiwał głową i parokrotnie skłonił się jak czapla.

– Widzi pani... Spędziłem w tych stronach całe życie. Znam jak własną kieszeń wszystkie tereny zajmowane przez armię. Jest pewne zejście z urwiska, ścieżka, która przeprowadzi szkockie wojsko przez rów w dole.

– Rozumiem. – Poczulałam skurcz żołądka. Jeżeli Szkoci mieli wykorzystać jutrzejszy wschód słońca, musieli

zacząć schodzić z urwiska podczas straży nocnych. A powodzenie całego planu zależało od sprawnego przedostania się przez rów.

Wprawdzie myślałam, że wiem, jak potoczy się bitwa. Kiedyś byłam przecież żoną historyka. Na myśl o Franku, jak zwykle, poczułam delikatne ukłucie. Równie dobrze wiedziałam jednak, że źródła historyczne są często bardzo niewiarygodne. Dlatego zupełnie się nie orientowałam, na ile moja obecność może cokolwiek zmienić.

Przez krótką chwilę się zastanowiłam, co by się stało, gdybym nie dopuściła do rozmowy Richarda Andersona z lordem George'em. Czy jutrzejsza bitwa będzie miała inny przebieg? Czy armia szkocka, a wraz z nią i Jamie, ugrzęźnie w bagnach i w rowie podczas schodzenia ze zbocza? Czy lord George wymyśli jakiś inny plan, który się powiedzie? Czy Richard Anderson odważy się pójść sam i dotrze do dowódcy, niezależnie od mojej decyzji?

Nie czas na eksperymenty, pomyślałam. Spojrzałam na Fergusa. Zaniepokojenie i zniecierpliwienie ustąpiły.

– Trafisz do swojego wodza? Jest ciemno jak w kopalni węgla. Nie chciałabym, żeby któryś z was został przez pomyłkę zastrzelony, kiedy będziecie się wspinać na urwisko.

– Odnajdę milorda – zapewnił z przekonaniem Fergus. Przypuszczałam, że da sobie radę. Wydawało się, że ma jakiś radar. Zawsze błyskawicznie odnajdował Jamiego.

– Zgoda – uległam. – Ale, na miłość boską, bądź

ostrożny!

– *Oui, madame!* – W mgnieniu oka znalazł się na zewnątrz, gotów, żeby natychmiast wyruszyć.

Pół godziny później, kiedy już byli w drodze, zobaczyłam, że zniknął również nóż, który zostawiłam na stole. I właśnie wtedy z przerażeniem uświadomiłam sobie, że wprawdzie poleciłam Fergusowi, żeby był ostrożny, ale zapomniałam kazać mu wrócić.

Jeszcze przed nastaniem świtu dał się słyszeć głuchy huk pierwszej salwy armatniej.

Gołe deski, na których spałam, zdrząły lekko. Napięłam mięśnie i chwyciłam rękę kobiety leżącej pod kocem obok mnie. Świadomość tego, co ma się wydarzyć, powinna dawać poczucie bezpieczeństwa, ale jakoś nigdy tak się nie dzieje.

Z kąta domu rozległ się cichy pomruk.

– Mario i Święty Michale, strzeżcie nas – wyszeptała moja sąsiadka z posłania.

Kobiety zaczęły wstawać. Zapanowało duże poruszenie. Nie gadano wiele. Wszystkie uszy były nastawione na wychwytywanie najmniejszych odgłosów bitwy.

Skorygowałam swój pogląd na temat użyteczności wiedzy. Te kobiety nie miały pojęcia o tajemniczych szlakach, korzyściach ze wschodu słońca i rozgromieniu wroga przez zaskoczenie. One wiedziały jedynie, że naprzeciw ognia z dział i muszkietów armii angielskiej, czterokrotnie liczniejszej, stoją teraz ich mężowie i synowie.

Przepowiadanie to ryzykowny interes nawet w

najspokojniejszych czasach. Byłam pewna, że nie zwrócą na mnie uwagi. Mogłam więc tylko wynaleźć jakieś zajęcie, żeby nie myślały ciągle o bitwie. W moim umyśle pojawił się nagle obraz wschodzącego słońca; promienie rozświetlały ogniste włosy; głowa otoczona jaskrawą luną stanowiła idealny cel. Drugi obraz mnie zmroził: chłopak z zębami jak wiewiórka, uzbrojony w ukradziony nóż rzeźniczy i beztroską wiarę w wojenną chwałę. Zamknęłam oczy i ciężko westchnęłam. Ja również musiałam się czymś zająć.

– Drogie panie! – zawołałam. – Zrobiłyśmy wiele, ale jeszcze zostało nam mnóstwo pracy. Będzie nam potrzebny wrzątek. Powinnyśmy też mieć kotły na wodę, kanki od śmietany. Ryby dla tych, którzy będą w stanie jeść; mleko dla ciężko rannych. Łój i czosnek do opatrunków. Listwy na temblaki. Butelki i słoiki, kubki i łyżki. Igły i mocne nici do szycia. Pani MacPherson, jeżeli byłaby pani tak dobra...

Niewiele wiedziałam o bitwie, w zasadzie tylko to, która strona zwycięży, i że jakobici poniosą niewielkie straty. W myśli zamajaczył mi fragment z podręcznika historii, gdzie widniała skąpa informacja: „...a jakobici, mając zaledwie trzydzieści ofiar, zwyciężyli”.

Ofiar. Zabitych, poprawiłam. W terminologii medycznej każdy ranny jest ofiarą, a w moim domu, w tej chwili – kiedy słońce torowało sobie drogę ku nocy ponad morzem – znajdowało się o wiele więcej niż trzydziestu rannych. Stopniowo zwycięzcy zaczęli triumfalnie ściągać do Tranent. Dzielnie pomagali iść okaleczonym towarzyszom.

Jego Wysokość Dziwak rozkazał, że w pierwszej kolejności należy zebrać z pola walki rannych Anglików i otoczyć ich troskliwą opieką. To są poddani mojego Ojca, powiedział stanowczo, wyraźnie podkreślając duże „O”. Będę się o nich troszczył, dodał dumnie.

Fakt, że szkoccy górale, którzy właśnie wygrali dla niego bitwę, niewątpliwie również byli poddanymi jego Ojca, chyba uszedł jego uwadze.

– Skoro tak się zachowuje Ojciec i Syn, niech armia szkocka lepiej ma nadzieję, że nie zstąpi dzisiaj Duch Święty – wymruczałam do Jenny.

Na twarzy pani MacPherson odmalowało się zgorzzenie z powodu takiego bluźnierstwa, ale Jenny Cameron roześmiała się.

Krzyki i piski radości wzięły górę nad słabymi jękami rannych, którzy odzyskiwali przytomność. Ofiary bitwy znoszona na zbitych deskach albo poskładanych muszkietach, ale częściej wracali wsparci na ramionach przyjaciół. W porównaniu z chwalebnie potwierdzoną wiarą w zwycięstwo, jaka była z niektórych twarzy, ból z powodu ran wydawał się ledwie błahą niedogodnością. Pijani własną świetnością, ranni ślaniali się bardziej pod ciężarem swojej potęgi niż pod wpływem doznanych obrażeń. W domu panowało radosne ożywienie. Humory dopisywały nawet ciężko rannym.

– Jezu! Czy oni nie przypominają myszy, które skaczą, kiedy na ogonie stoi im kot? – zauważył jeden pacjent. Starał się nie zwracać uwagi na oparzenie od prochu, które zostawiło ślad na jego ręce od palców aż do ramienia.

– A wcale nie tak mało z nich straciło ogon – odparł jego kompan i zarechotał.

Jednak nie wszystkich ogarniał radosny nastrój. Czasami widać było, jak ze wzgórz wracają niewielkie grupki Szkotów ze sztywnym ciałem przyjaciela. Spod prowizorycznej osłony wywierała twarz bez wyrazu, pobladła na widok zaświatów.

To była pierwsza próba dla moich pomocników. Sprostali zadaniu na równi z wojownikami z pola bitwy. Kiedy zaszła potrzeba, rzucili się do walki o życie ziomków z niezrównaną gwałtownością.

Co nie przeszkodziło im w narzekaniu i użalaniu się nad sobą...

Pani McMurdo wróciła ze swojego domu z pełną butelką wody miodowej i powiesiła naczynia w wyznaczonym miejscu na ścianie. Była starszą kobietą, żoną wcielonego do wojska rybaka z Tranent. Właśnie do niej należało pojenie rannych podczas tej zmiany.

Miała chodzić od jednego do drugiego i zmuszać, żeby pili tak dużo słodkawego płynu, ile tylko byli w stanie przyjąć. Potem robiła drugą rundę z pustymi butelkami, żeby uporać się z konsekwencjami intensywnego nawadniania pacjentów.

– Jakby się im nie dawało tyle pić, toby tyle nie sikali – narzekała, nie pierwszy raz zresztą.

– Potrzebują płynów – wyjaśniłam spokojnie, również nie po raz kolejny. – Dzięki nim utrzymuje się odpowiednie ciśnienie krwi. Poza tym miodowy napój uzupełnia wodę, którą stracili, i pomaga uniknąć szoku. Kobieto, nie widzisz, że wielu z nich umiera? –

powiedziałam stanowczo. Nagle straciłam wyrozumiałość dla nieustannego narzekania i rozterek pani McMurdo. Cień żalości, który malował się na jej prawie bezzębnych ustach, zmienił się w zacięty wyraz. Wydawało się, że wieśniaczka ma ochotę powiedzieć: Wszystko stracone, po co jeszcze się trudzić?

– Uhm – zamruczała. Wzięła wodę i bez dalszych protestów wróciła do swoich czynności, więc odebrałam ten dźwięk jako przynajmniej tymczasową zgodę.

Wysłałam na zewnątrz, żeby wyzwolić się od pani McMurdo i zaczerpnąć świeżego powietrza. W zadymionym pomieszczeniu panował niemiłosierny zaduch i smród lejący się od nie umytych ciał. Zaczęło mi się kręcić w głowie.

Na ulicach pijani mężczyźni świętowali zwycięstwo. Uginali się pod ciężarem łupów z pola bitwy. Kilku MacGilvrayów w czerwonych kraciastych spódnicach pchało angielskie działo, związane sznurami niczym groźna dzika bestia. Podobieństwo armaty do monstrum podkreślały dziwaczne płaskorzeźby skulonych wilków, które zdobiły uchwyty i wylot lufy. Przypuszczałam, że to jedno z cacek generała Cope'a.

Wtem rozpoznałam małą czarną postać. Siedziała okrakiem na lufie, z włosami najeżonymi jak włosie szczotki. Zacisnęłam powieki. Ogarnęło mnie uczucie wdzięczności. Gdy już otworzyłam oczy, popędziłam ulicą, żeby zwlec Fergusa z armaty.

– Łobuzie jeden! – zawołałam. Potrząsnęłam nim parę razy, potem go przytuliłam. – Do czego to podobne, żeby się tak wymykać? Gdybym nie miała tyle roboty,

wytargałabym cię za uszy tak, że w głowie by ci zaszumiało!

– Proszę pani. – Przymrużył oczy w popołudniowym słońcu. – Proszę pani.

Dotarło do mnie, że nie słyszał ani słowa z tego, co powiedziałam

– Wszystko w porządku? – spytałam łagodnie.

Na ubłoconej i zakurzonej twarzy dzieciaka odmalowało się zmieszanie. Pokiwał głową, a przez brud przebił się uśmiech oszołomienia.

– Zabiłem angielskiego żołnierza, proszę pani.

– Ach! – Nie byłam pewna, czy oczekuje gratulacji, czy potrzebuje pocieszenia. Miał dziesięć lat.

Zmarszczył czoło i mocno wykrzywił twarz, jakby z całej siły chciał sobie coś przypomnieć.

– Chyba go zabiłem. Przewrócił się, a ja wepchnąłem w niego nóż. – Spojrzał na mnie mętnie. Czyżby oczekiwał, że ja udzielę mu odpowiedzi.

– Chodź, Fergusie. Znajdziemy dla ciebie coś do jedzenia i jakieś miejsce do spania.

Nie myśl już o bitwie.

– *Oui, madame.* – Dreptał posłusznie przy mnie, ale po chwili się przewrócił.

Z trudem go podniosłam i dowlokłam do domków przy kościele, gdzie zorganizowałam pomoc szpitalną. Chciałam najpierw nakarmić chłopca, ale zasnął głęboko, zanim dotarłam do miejsca, gdzie O'Sullivan usiłował – bez większego sukcesu – rozdzielać jedzenie.

Zostawiłam więc małego żołnierza skulonego w łóżeczku dzieciennym w domu, gdzie jedna z kobiet

zajmowała się dziećmi, których matki pielęgnowały rannych. To było chyba najodpowiedniejsze miejsce dla niego.

Późnym popołudniem w domu znajdowało się już dwudziestu lub trzydziestu mężczyzn. Wokół nich uwijał się mój dwuosobowy personel. W czasie pokoju wszystkie izby zamieszkiwała sześćoosobowa rodzina. W oddali, na dworze, widziałam oficerów wchodzących i wychodzących z plebanii, gdzie mieściła się siedziba dowództwa. Tam rezydował naczelną dowódca. Nie spuszczałam wzroku z wysłużonych drzwi, cały czas niedomkniętych. Wśród przybywających, by złożyć raport o ofiarach i przyjąć gratulacje, nie widziałam jednak Jamiego.

Szybko otrząsnęłam się z natrętnego niczym komar smutku. Tłumaczyłam sobie, że nie ma Jamiego również wśród rannych. Wcześniej nie miałam czasu, żeby zajść do niewielkiego namiotu na zboczu, gdzie złożono zabitych w walce. Trupy leżały w równych rzędach, jakby w oczekiwaniu na ostateczną inspekcję. Ale tam Jamiego z pewnością nie ma. Na pewno nie, przekonywałam sama siebie.

Nagle otworzyły się drzwi. W progu stanął mój mąż.

Na jego widok lekko ugięły mi się kolana. Wyciągnęłam rękę, żeby wesprzeć się o drewniany kominek. Jamie przebiegł wzrokiem pokój. W końcu mnie dostrzegł, a na twarzy pojawił się uśmiech, od którego zamarło mi serce.

Jamie brudny, osmalony dymem z czarnego prochu, zbryzgany krwią. Stał boso. Nogi i stopy miał oblepione

śluzem. Ale żył. Nie miałam ochoty wdawać się w szczegóły.

Oderwał ode mnie wzrok, gdy rozległy się powitalne krzyki kilku rannych mężczyzn.

Spojrzał na George'a McClure'a. Żołnierz uśmiechał się szeroko do swojego wodza, mimo że ucho trzymało mu się głowy jedynie na kawałku ciała. Jamie powrotem spojrzał szybko na mnie.

Dzięki Bogu, powiedziały jego ciemnoniebieskie oczy, a moje odpowiedziały echem:

Dzięki Bogu.

Na nic więcej nie było czasu. Ciągłe napływali ranni. Każdy sprawny cywil z wioski został zaangażowany do pomocy przy ich pielęgnowaniu. Archie Cameron, brat Lochiela, który był lekarzem, krążył między domami. Oficjalnie właśnie on ponosił odpowiedzialność za leczenie i naprawdę wykonywał mnóstwo dobrej roboty.

Wszystko zorganizowałam tak, żeby ludzie Frasera z Lallybroch zostali przeniesieni do domu, gdzie ja nadzorowałam akcję udzielania pomocy medycznej. Szybko oceniałam stan zdrowia żołnierzy. Wszystkich, którzy mogli poruszać się o własnych siłach, odsyłałam, żeby zajęła się nimi Jenny Cameron. Umierających kazałam zanosić wprost do głównej kwatery medyka w kościele. Uznałam, że Archiego Camerona można upoważnić do dawkowania opium. Poza tym uważałam, że otoczenie przyniesie rannym ukojenie.

Poważnymi ranami zajmowałam się osobiście. Złamania kierowałam do pomieszczenia obok, gdzie dwóch chirurgów z oddziału Macintosha zakładało temblaki i

bandaże. Niegroźnie rannych w klatkę piersiową opierałam o ścianę, żeby w pozycji półsiedzącej łatwiej im było oddychać. Niewiele mogłam zrobić dla tych, którzy się dusili z powodu braku tlenu czy wymagali specjalistycznej interwencji chirurgicznej. Mężczyzn z poważnymi obrażeniami głowy przeniesiono do kościoła razem z umierającymi. Nie byłam w stanie pomóc im w żaden sposób, a jeżeli Archie Cameron również okazał bezsilność, najpewniej znaleźli się w rękach Boga.

Najgorsze były złamane czy oderwane kończyny i rany jamy brzusznej. Warunki sanitarne nie sprzyjały leczeniu. Jedyne, co mogłam zrobić, to myć ręce przed przystąpieniem do opatrywania kolejnego pacjenta, przypominać moim pomocnikom, by robiły to samo, i próbować zadbać, żeby wszystkie opatrunki były przed założeniem wyjałowione. Nie miałam wątpliwości, że w innych domach, pomimo moich wykładów, zaniechano podobnych środków ostrożności. Zapewne uznano je za stratę czasu. Skoro o istnieniu zarazków nie zdołałam przekonać lekarzy ani siostr pracujących w L'Hopital des Anges, wątpliwe, żeby udało mi się to w zbiorowisku szkockich gospodyń i chirurgów wojskowych, którzy metodami leczenia przypominali weterynarzy.

Nie chciałam dopuścić do siebie myśli, że ktoś z niezbyt poważną raną może umrzeć z powodu zakażenia. Mężczyznom z Lallybroch i paru innym byłam w stanie zagwarantować odpowiednią opiekę. O pozostałych już nie zdołałabym się martwić.

Zasada, której nauczyłam się z pola walki podczas wojny we Francji: Nie zbawisz świata, ale możesz uratować

człowieka, który jest obok, o ile będziesz się uwijać.

Jamie stał przez chwilę w drzwiach i ocenił sytuację. Potem przyłączył się do pomocy przy cięższych zadaniach, jak podnoszenie pacjentów, przynoszenie kotłów z wrzątkiem, dostarczanie wiader czystej wody ze studni z placu w Tranent. Wolna od strachu o męża i wciągnięta w wir pracy, zapomniałam o nim na dobre.

Utworzenie szpitala polowego w danym miejscu zawsze powoduje poważne zmiany.

Nasz szpital nie stanowił wyjątku. Podłoga była brudna. Bez przerwy wsiąkały w nią strumienie krwi i innych płynów. Nasiąknięte klepki rozmiękły tak, że chodzenie po nich stało się ryzykowne.

Z kotła stojącego na ogniu biła para, która potęgowała uczucie gorąca spowodowane wysiłkiem. Wszyscy byli mokrzy: pracujący – od nawału roboty – ze strachu i hamowanej wściekłości. Dym z pola walki dotarł na ulice Tranent i wdzierał się do domów przez pootwierane drzwi. Drobinę płynu stanowiły poważne zagrożenie dla świeżo upranych lnianych materiałów, rozwieszonych na sznurkach nad kominkiem.

Ranni, którzy napływali do domu falami, za każdym razem robili sporo zamieszania.

Uwijaliśmy się jak w ukropie, starając się opanować przyływ, a kiedy w końcu nam się to udało, zasapani musieliśmy uporać się z wyrzuconymi na brzeg rozbitkami.

Oczywiście nawet w najbardziej szalonej pracy zdarzają się chwile spokoju. U nas nastąpiły one po południu, przed zachodem słońca. Ranni napływali już tylko małymi strumieniami. Nasze zadania ograniczyły się więc do

rutynowego zajmowania się pacjentami, którzy przebywali w naszym domu. Nadal mieliśmy pełne ręce roboty, ale przynajmniej można było złapać oddech, przystanąć na moment i się rozejrzeć.

Stałam przy otwartych drzwiach. Głęboko wdychałam świeżą nadmorską bryzę. Do domu akurat wrócił Jamie z naręczem drewna do kominka. Zrzucił szczapy obok paleniska, podszedł do mnie i delikatnie położył mi rękę na ramieniu. Po twarzy spływały mu krople potu. Otarłam je końcem fartucha.

– Byłeś w innych domach? – spytałam.

Pokiwał głową. Powoli odzyskiwał równy oddech. Choć twarz nadal miał umorusaną dymem i splamioną krwią, wydawało mi się, że jest blady.

– Cały czas zbierają łupy z pola walki, sporo ludzi jeszcze nie wróciło. Wszyscy nasi ranni są tutaj. – Wskazał głową na daleki kąt domu, gdzie znajdowało się trzech mężczyzn z Lallybroch. Podkomendni Jamiego obrzucali się żartobliwymi wyzwiskami z innymi Szkotami. Kilku rannych Anglików, którzy znaleźli się pod moją opieką, leżało samotnie pod drzwiami. Byli mniej rozmowni i zadowalali się roztrząsaniem ponurej perspektywy niewoli.

– Nikomu nie stało się nic poważnego? – spytał Jamie i popatrzył na trójkę Szkotów.

Pokręciłam głową.

– George McClure może stracić ucho. Ale chyba wszyscy wydobrzeją.

– Świetnie. – Posłał mi zmęczony uśmiech i otarł rozgrzaną twarz końcem płaszcza.

Potem znów starannie owinął nim ciało. Zwykle

niedbale zarzucił go na ramię. Teraz pewnie nie chciał, żeby okrycie mu przeszkadzało.

Sięgnął po butelkę wiszącą na kołku przy drzwiach.

– Nie tę! – krzyknęłam.

– Dlaczego? – spytał zmieszany. Potrząsnął flaszką.

– Przecież jest pełna.

– Wiem. Używamy jej do moczu.

– Och! – Chciał odstawić naczynie, ale go powstrzymałam.

– Nie, weź ją i opróżnij na zewnątrz, a tę napełnij w studni. – Podałam mu inną flaszkę z szarej gliny, identyczną jak pierwsza.

– Postaraj się ich nie pomylić – powiedziałam bezradnie.

– Uhm – mruknął. Obrzucił mnie ciężkim spojrzeniem i odwrócił się do wyjścia.

– Hej! – zawołałam, widząc go dokładnie z tyłu. – Co to jest?

– Co? – Spojrzał na siebie przez ramię.

– To! – Wskazałam ubłocony ślad na brudnej lnianej koszuli. Był równiutko odcisnięty niczym z matrycy. Zauważyłam go pod odchylonym płaszczem. – Wygląda jak podkova – oceniłam niepewnie.

– A, to. – Wzdrygnął się.

– Koń cię nadepnął?

– Nieumyślnie. – Stał w obronie zwierzęcia. – Konie nie mają w zwyczaju nadeptywać na ludzi. Przypadkiem dostałem mu się pod kopyta.

– Rozumiem. – Chwyliłam Jamiego za rękaw, by uniemożliwić mu ucieczkę. – Stój.

Jak to się, do licha, stało?

– Nieważne – zachnął się. – Żebra są całe, mam tylko siniak.

– Rzeczywiście – przytaknęłam sarkastycznie. Odsłoniłam brudny materiał z pleców.

Zobaczyłam wyraźny odcisk końskiej podkowy, tuż nad pasem. – Jezu! – Mimowolnie drgnął z bólu, kiedy przejechałam palcem po znaku.

Wypadek zdarzył się podczas ataku jazdy dragonów. Szkoci w większości nieprzywykli do koni innych niż małe włochate kuce górskie, myśleli, że wierzchowce angielskiej konnicy będą atakować kopytami i zębami. Spanikowani na widok szarzy konnej, wylądowali pod końskimi nogami. Walili mieczami, kosami i siekierami na oślep po nogach i brzuchach.

– Jeździec chciał uciec, ale został zablokowany od drugiej strony. Mógł jedynie po mnie przejechać – kontynuował relację Jamie.

Dragon walnął konia ostrogami, Jamie padł twarzą do ziemi i osłonił rękami głowę.

– Potem moje płuca niemal rozerwały się przy oddechu. Czułem, jak coś chrupnęło, ale nic nie bolało. Wtedy. – Wygiął rękę do tyłu i przejechał dłonią po odciśniętym śladzie. Skrzywił się nieznacznie.

– Dobrze. – Opuściłam brudną koszulę. – Czy od tamtej pory siusiałeś?

Patrzył na mnie jak na wariatkę.

– Stał ci na nerkach dwustukilowy koń – wyjaśniłam odrobinę niecierpliwie.

Ranni czekali. – Chcę wiedzieć, czy w twoim

moczu pojawiła się krew.

– Aha. – Już rozumiał moje pytanie. – Nie wiem.

– Możemy się przecież przekonać. – Przeszukałam pudło z lekarstwami.

Wyciągnęłam małą fiolkę na mocz, którą otrzymałam z L'Hopital des Anges.

– Napełnij ją, a potem mi zwróc. – Wręczyłam Jamiemu naczynie i odwróciłam się do paleniska. Musiałam się zająć lnianymi bandażami, które gotowały się w kotle.

Obejrzałam się za siebie. Jamie ciągle stał i niepewnie przyglądał się fiołce.

– Potrzebujesz pomocy, chłopie? – Wielki żołnierz angielski spoglądał w górę z siennika i szeroko uśmiechał się do bezradnego Szkota.

Na brudnej twarzy Jamiego zabłyszczał rząd białych zębów.

– O, tak. – Przysiadł i podał fiolkę żołnierzowi. – Potrzyмай mi ją, kiedy będę celował.

Wśród mężczyzn rozległ się pomruk wesołości. Ranni na chwilę zapomnieli o bólu.

Po paru sekundach wahania Anglik zacisnął palce wokół kruchej fiołki. Mężczyzna dostał szrapnelem w biodro, więc chwyt był niezbyt stabilny. Uśmiechał się nieprzerwanie, mimo że krople potu wystąpiły na jego górnej wardze.

– Zakładam się o sześciopensówkę, że nie trafisz – oznajmił. Przesunął naczynie tak, że znajdowało się w odległości metra od bosych stóp Jamiego. – Stamtąd, gdzie teraz stoisz.

Jamie spojrział z rozwągą i potarł brodę jedną ręką. Mężczyzna, któremu akurat opatrywałam ramię, przestał jęczeć, zaabsorbowany rozwojem sytuacji.

– Cóż, nie powiem, że będzie to łatwe – wyznał Jamie. Szkoci wykazali żywe zainteresowanie. – Ale za sześć pensów? Dobra, zakład stoi. Kwota warta wysiłku. – Kiedy się uśmiechnął, jego zwykle lekko skośne oczy nabrały kociego wyrazu.

– Łatwy zarobek, chłopie – powiedział Anglik. Oddychał bardzo ciężko, ale nie przestawał się uśmiechać. – Dla mnie – dodał z pełnym przekonaniem.

– Dwa srebrne pensy na Szkota – zawołał któryś z klanu MacDonaldów zza kominka.

Angielski żołnierz w płaszczu założonym na lewą stronę dla podkreślenia swojego jenieckiego położenia, zaczął szukać kieszeni.

– Ha! Stawiam worek tytoniu! – krzyknął i triumfalnie wznosił małą sakiewkę.

Posypały się zakłady i niewybredne uwagi. Jamie przykucnął i odstawił niemały teatr, gdy szacował odległość do fiolki.

– W porządku – powiedział w końcu. Wstał i rozprostował ramiona. – Jesteś pewien?

– Jasne – zachichotał Anglik.

– Więc dobrze.

W pokoju rozległ się pomruk oczekiwania. Wszyscy mężczyźni z trudem dźwigali się z posłań i wsparli na łokciach, żeby lepiej widzieć.

Jamie rozejrzał się po izbie, skinął głową w stronę swoich ludzi z Lallybroch, niespiesznie podniósł rąbek kiltu

i sięgnął pod spód. Zmarszczył w skupieniu czoło. Przez moment wodził rękami po omacku, po czym na jego obliczu odmalował się cień zwątpienia.

– Miałem go, kiedy wychodziłem.

Izba zatrzęsa się od śmiechu.

Wyraźnie zadowolony z udanego żartu, podniósł wyżej kilt, wziął do ręki swą dobrze widoczną broń i starannie wymierzył do celu. Zmrużył oczy, lekko ugiął kolana i zacisnął mocniej palce.

Nic.

– Niewypał! – krzyknął jeden z Anglików.

– Proch mu zamókł! – zagrzemiał inny.

– Zabrakło ci kul w karabinie, chłopie? – zadrwił ich towarzysz.

Jamie przyjrzał się niepewnie swojemu przyrodzeniu, czym wywołał nową falę jęków i pisków. Wtem jego twarz pojaśniała.

– Ha! Mam pusty pęcherz, to wszystko. – Wyciągnął rękę w stronę rzędu butelek stojących przy ścianie, podniósł brew i spojrzał na mnie. Skinęłam głową. Wziął więc jedną i wlał w siebie całą zawartość. Woda ciekła mu po brodzie, jabłko Adama drgało teatralnie przy każdym łyku.

– Aaaach! – Odstawił butelkę, otarł rękawem brud z twarzy i uklonił się publiczności.

– Więc... – zaczął, sięgając w dół. Uchwycił moje spojrzenie i zamarł w pół ruchu. Nie widział stojącego w otwartych drzwiach mężczyzny, ale nagła cisza w izbie musiała Jamiemu uświadomić, że wszystkie zakłady przepadły.

Jego Wysokość książę Karol Edward schylił głowę, żeby wejść do domu. Przyszedł odwiedzić rannych, ubrany stosownie do okazji w aksamitne bryczesy koloru śliwki i idealnie dopasowane kolorystycznie lniane pończochy. Aby wykazać solidarność z oddziałami, założył też płaszcz i kamizelkę w kratę rodu Cameronów. Pelerynę, która stanowiła dopełnienie stroju, przerzucił przez ramię i przypiął broszą. Włosy miał świeżo wypomadowane, a na piersi pobłyskiwał medalion świętego Andrzeja.

Wyniośle spoglądał na wszystkich dokoła. Zmierzył wzrokiem dwudziestu pięciu mężczyzn leżących na podłodze policzek przy policzku, pochylających się nad nimi pomocników, stertę zakrwawionych opatrunków złożonych w rogu, porzucanych na stole lekarstw i narzędzi. W końcu jego oczy zatrzymały się na mnie.

Książę w ogóle nie zwracał większej uwagi na kobiety w armii, ale miał wpojone zasady dobrego wychowania. W fartuchu splamionym krwią i wymiocinami, z potarganymi włosami wystającymi spod czepka na pewno nie przypominałam damy.

A jednak Jego Wysokość skłonił się w moim kierunku.

– Pani Fraser – rzekł na powitanie.

– Wasza Wysokość. – Odwzajemniłam ukłon. Miałam nadzieję, że Karol nie zabawi długo w naszym domowym szpitalu.

– Bardzo doceniamy wszystko, co pani robi – powiedział z miękkim włoskim akcentem, mocniejszym niż zwykle.

– Dziękuję – odpowiedziałam. – Proszę uważać.

Podłoga jest śliska i cała we krwi.

Delikatne arystokratyczne wargi zacisnęły się, kiedy Jego Wysokość mijał wskazaną przeze mnie kałużę. Do izby weszli Sheridan, O’Sullivan i lord Balmerino. Po wymianie kurtuazji Karol przykucnął ostrożnie pomiędzy dwoma siennikami.

Położył jedwabistą dłoń na ramieniu jednego z mężczyzn.

– Jak masz na imię, mój dzielny kompanie?

– Gilbert... Gilbert Munro, Wasza Wysokość – dodał pośpiesznie mężczyzna, wypłoszony widokiem księcia.

Wypięłgnowane palce dotknęły temblaka, który podtrzymywał pogruchotane ramię Gilberta.

– Twoja ofiara jest wielka, Gilbercie Munro – powiedział patetycznie Karol. – Obiecuję, że nie zostanie zapomniana. – Ręka pogładziła zarośnięty policzek. Szkot zaczerwienił się zakłopotany, ale zadowolony.

Przede mną leżał mężczyzna z raną głowy do zszycia. Kątem oka obserwowałam, jak Karol przechadza się po domu. Wolno szedł od łóżka do łóżka. Nikogo nie pomijał.

Zatrzymywał się, żeby każdego mężczyznę zapytać o nazwisko i adres, podziękować i okazać wyrazy szacunku, współczucia oraz dumy.

Ranni zamarli w ciszy – zarówno Anglicy, jak i Szkoci. Ledwie udawało im się zebrać siły, żeby odpowiedzieć Jego Wysokości miękким szeptem. W końcu Karol wstał.

Wyraźnie dał się słyszeć trzask w jego stawach.

Koniec peleryny umoczył się w błocie, ale ksiązę chyba tego nie zauważył.

– Przynoszę wam błogosławieństwo i podziękowania od mojego Ojca. O waszych dzisiejszych czynach będzie się pamiętało zawsze. – Choć mężczyźni leżący na podłodze nie mieli promiennego nastroju, na ich twarzach pojawił się uśmiech i wyraz aprobaty.

W drodze do wyjścia ksiązę spojrział na mojego męża. Jamie usunął się w róg, żeby jego bosa palce nie zostały nadepnięte przez buty Sheridana. Twarz Karola zajaśniała z zadowolenia.

– *Mon cher!* Co za spotkanie! Bałem się, że cię spotkało coś złego. – Na rumianej twarzy pojawił się wyrzut. – Dlaczego nie przyszedłeś do kantyny na kolację z innymi oficerami?

Jamie uśmiechnął się i ukłonił z szacunkiem.

– Moi ludzie są tutaj, Wasza Wysokość.

Ksiązę uniósł brwi i otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale lord Balmerino wyszedł do przodu i szepnął mu coś na ucho. Na twarzy Karola pojawiło się zmartwienie.

– Co słyszysz ja? – zwrócił się do Jamiego. Jak zwykle w chwilach poruszenia nie kontrolował składni. – Jego Lordowska Mość oznajmił właśnie, że ty sam zostałeś zraniony?

Jamie wyglądał na lekko zmieszanego. Rzucił krótkie spojrzenie w moim kierunku, żeby się przekonać, czy dobrze zrozumiał pytanie. Gdy szybko przytaknęłam, z powrotem spojrział na księcia.

– To nic takiego, Wasza Wysokość. Tylko

draśnięcie.

– Pokaż – rozkazał.

Jamie bez protestu zrzucił płaszcz.

Fałdy ciemnego tartanu od wewnętrznej strony były niemal czarne, na koszuli widniała duża czerwona plama od pachy do biodra. Tam, gdzie krew zastygła, potworzyły się skorupy.

Na chwilę zostawiłam rannego w głowę samemu sobie, podeszłam i rozpiłam koszulę Jamiego. Delikatnie odsunęłam materiał od strony zranienia. Pomimo dużej ilości krwi wiedziałam, że to nic poważnego. Jamie stał prosto jak drąg. Krew już zakrzepła.

Zaleczyłam ślad po cięciu szablą. Biegł ukośnie przez żebra. Na szczęście. Inaczej ostrze trafiłoby w mięśnie międzyżebrowe. Ubytek skóry miał szerokość trzech centymetrów. Znowu zaczęła się z niego sączyć krew. Czekąco mnie zakładanie wielu szwów. Nie licząc niebezpieczeństwa zakażenia, rana nie była jednak poważna.

Odwróciłam się, by powiedzieć to Jego Wysokości, ale powstrzymał mnie dziwny wyraz jego twarzy. Przez moment pomyślałam, że to wstrząs, jakiego może doświadczyć osoba nie przyzwyczajona do widoku ran i krwi. Często pielęgniarki szkolone w punkcie polowym po odsłonięciu prowizorycznego opatrunku, musiały wybiec na zewnątrz, żeby spokojnie zwymiotować. Dopiero potem wracały, by zająć się pacjentem. Rany otrzymane na polu bitwy wydawały im się szczególnie wstrętne.

Ale w przypadku księcia chyba mi o to chodziło. Jego Wysokość nie był urodzonym wojownikiem, ale w

wieku czternastu lat w swojej pierwszej bitwie pod Gatea też odniósł poważne rany. Byłam przekonana, że nie drżałby na widok obrażeń. Z ciepłych brązowych oczu zniknął już błysk przerażenia.

Nie wieśniaka czy pastucha miał księżę przed sobą. Nie bezimiennego poddanego, który miał obowiązek walczyć po stronie Stuartów. To był przyjaciel. Pomyślałam, że może rana Jamiego nagle unaoczniała Karolowi, że na jego rozkaz przelała się krew, wielu mężczyzn zostało zabitych i rannych. Nic dziwnego, że ta świadomość przeszła go niczym cięcie miecza.

Przez długą chwilę przypatrywał się bokowi Jamiego, potem spojrzął przyjacielowi w oczy. Wziął go za rękę i skłonił głowę.

– Dziękuję – powiedział miękko.

Przez tę jedną chwilę pomyślałam, że mimo wszystko byłby z niego król.

Na małym wzniesieniu za kościołem, na rozkaz Jego Wysokości rozbito namiot – ostatnie schronienie dla poległych w walce. Tym razem tylko dla Szkotów. Ciała leżały w rzędach, z przykrytymi ubraniami twarzami. Zabitych można było rozróżnić jedynie po stroju. Rano mieli zostać pochowani. MacDonald z Keppoch przyprowadził francuskiego księdza, któremu ze zmęczenia opadały ramiona. Przewieszona na szyi purpurowa stuła zwisała na poplamionej pelerynie. Duchowny chodził wolno po namiocie. Zatrzymywał się na modlitwę u stóp każdego ciała.

– Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci.

– Mechanicznie się przezegnał i ruszył do następnych zwłok.

Byłam w namiocie już wcześniej i z sercem w gardle liczyłam ciała poległych Szkotów.

Dwadzieścia dwa. Teraz, kiedy weszłam do niego ponownie, zobaczyłam, że liczba wzrosła do dwudziestu sześciu.

Dwudziesty siódmy leżał w pobliżu kościoła, na ostatnim kilometrze swojej drogi.

Aleksander Kincaid Fraser umierał powolnie od ran widniejących na brzuchu i klatce piersiowej. Wewnętrzny krwotok nie dało się powstrzymać. Widziałam, jak go wnieśli, pobladłego od śmiertelnego krwawienia, samotnego pomiędzy trupami jego towarzyszy.

Próbował się do mnie uśmiechnąć. Zwilżyłam mu spękane usta. Nie mogłam go napić, oznaczałoby to natychmiastową śmierć – płyn wytrysnąłby przez podziurawione wnętrzności; chłopak błyskawicznie umarłby na skutek szoku. Wahałam się przez chwilę.

Zastanawiałam się, czy szybka śmierć nie byłaby lepsza, ale przerwałam te rozważania.

Pomyślałam, że może Kincaid zechce zobaczyć księdza i się wypowiedzieć. Kazałam więc przenieść rannego go do kościoła, gdzie ojciec Benin udzielał ostatniego namaszczenia.

Co pół godziny Jamie wpadał do kościoła. Kincaid zadziwiająco długo trzymał się życia, które nieprzerwanie z niego uchodziło. Z ostatniej wyprawy Jamie nie wrócił.

Wiedziałam, że żywot chłopaka wreszcie dobiega końca. Poszłam zobaczyć, czy mogę być w czymś

pomocna.

Miejsce pod oknami, gdzie leżał Kincaid, było puste – pozostała jedynie wielka ciemna plama. Ciało nie znalazłam również w namiocie z zabitymi. Jamiego również nigdzie nie widziałam.

Spotkałam ich nieco wyżej, na wzgórzu za kościołem. Jamie siedział na skale, z ciałem Aleksandra Kincaida w ramionach. Głowa chłopaka spoczywała na rękach Jamiego, długie owłosione nogi leżały bezwładnie na ziemi. Obaj trwali nieruchomo jak skała, jak śmierć, choć tylko jeden był martwy.

Dotknęłam białej, wiotkiej ręki, żeby się upewnić. Położyłam dłoń na brązowych włosach. Gęste kędziory wydawały się niestosownie żywe. Mężczyzna nie powinien umierać jako prawiczek. Ale ten umarł.

– On nie żyje – wyszeptałam.

Przez chwilę Jamie ani drgnął. Potem skinął głową i otworzył szeroko oczy, jakby dopiero teraz zauważył, że już jest noc, i nie mógł się z tym pogodzić.

– Wiem. Umarł zaraz po tym, jak go wyniosłem.

Chwytałam ciało za ramiona. Położyliśmy je delikatnie na ziemi. Żdźbła trawy poruszały się pod wpływem nocnego wiatru. Lekko muskały twarz Kincaida, jakby ofiarowywały mu powitalną pieśczętę ziemi.

– Nie chciałeś, żeby umarł pod dachem – powiedziałam ze rozumieniem.

Bezkresność nieba pokrytego chmurami niosła obietnicę wiecznego schronienia.

Skinął głową, potem przyklęknął nad ciałem i ucałował szerokie, blade czoło.

– Pragnąłbym, żeby ktoś zrobił to samo dla mnie – wyznał miękko. Zarzucił fałdę peleryny na brązowe loki i wyszeptał po celtycku coś, czego nie rozumiałam.

Polowy punkt medyczny to nie miejsce na okazywanie emocji. Zbyt wiele jest roboty.

W ciągu dnia nie uрониłam nawet jednej łzy. Teraz pozwoliłam sobie na płacz. Oparłam twarz o silne ramię Jamiego. Delikatnie pogładził mnie po głowie. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że jego oczy, cały czas suche, patrzą nieruchomo na zamarłą postać.

Poczuł, że się mu przyglądam i spojrzał na mnie.

– Płakałam za nim, kiedy jeszcze żył i mógł to widzieć, Angielko – wyjaśnił cicho. – Co słyhać w domu?

Wydmuchałam i wytarłam nos, wzięłam Jamiego pod ramię i poszliśmy do miasta.

– Potrzebuję twojej pomocy przy jednym.

– O kogo chodzi?

– O Hamisha MacBetha.

Twarz Jamiego, napięta przez wiele godzin, rozluźniła się pod smugami brudu.

– Więc wrócił? Cieszę się. Bardzo z nim źle?

Przymknęłam oczy.

– Zobaczysz.

Zażywny mężczyzna ze zmierzwioną brązową brodą, małomówny z natury był jednym z ulubieńców Jamiego. Nie musiał nawet wołać, gdy go potrzebował. MacBeth zawsze stał gotów do wykonania rozkazu. Choć odzywał się rzadko, na jego brodzie jaśniał leniwy, nieśmiały uśmiech jak kwiat, który rozkwita nocą, rzadki, ale promienny.

Wiedziałam, że mimo natłoku innych spraw i przeżyć Jamiego martwi nieobecność potężnego druha. Przez cały dzień, kiedy żołnierze wracali z pola walki, wyglądałam MacBetha. Nadszedł jednak zachód słońca, w obozie rozpalono już ogniska, a Hamisha w dalszym ciągu nie było. Zaczęłam się obawiać, że odnajdziemy go wśród zabitych.

Jednak pół godziny temu dotarł do szpitala polowego – wolnym krokiem, ale o własnych siłach. Jedna noga krwawiła aż do kostki, ale szedł dziarsko. Nigdy nie pozwolilby, żeby kobieta go badała.

Wielki Szkot leżał na kocu przy lampie. Ręce trzymał na brzuchu, wzrok utkwiał w krokwiach pod sufitem. Bez najmniejszego ruchu głową skierował oczy na Jamiego, który przy nim ukucnął. Taktownie zniknęłam za plecami męża.

– Dobra, MacBeth. – Na znak powitania Jamie położył dłoń na grubym przegubie przyjaciela. – Co jest, chłopie?

– Przeżyję, sir – zagrzemiał olbrzym. – Przeżyję. To tylko lekkie... – Zahałał się.

– Więc zobaczymy, co tam słyhać. – MacBeth nie zaprotestował, kiedy Jamie odsłonił brzeg kiltu. Zerknęłam przez szparę pomiędzy ramieniem a tułowiem Jamiego i zobaczyłam przyczynę wahania MacBetha.

Ostrze miecza albo piki wbiło mu się w pachwinę i rozdarła ciało w dół. Moszna była w strzępach z jednej strony, jądro znalazło się w połowie na wierzchu. Delikatna różowa powierzchnia błyszczała niczym obrane jajko.

Mężczyźni, którzy to zobaczyli, pobledli. Jeden z

pomocników odruchowo dotknął swojego ciała, jakby chciał się upewnić, że jego własne organy są na miejscu.

Pomimo okropnego wyglądu rany samo jądro wydawało się nie naruszone. Nie było też nadmiernego krwawienia. Chwyciłam Jamiego za ramię i potrząsnęłam głową na znak, że obrażenie nie jest poważne. Oczywiście pomijając skutki, jakie może wyrzucić na męskiej psychice. Jamie kątem oka dostrzegł mój gest i poklepał MacBetha po kolanie.

– Nic się nie martw, MacBeth. Jeszcze będziesz ojcem.

Potężny mężczyzna, który lekliwie patrzył w dół, na dźwięk tych słów podniósł wzrok na dowódcę.

– To nie jest dla mnie największym zmartwieniem, mam już sześcioro dzieciaków.

Tylko co powie moja żona, jeżeli... – MacBeth spłonął rumieńcem. Inni mężczyźni wybuchnęli śmiechem i zaczęli gwizdać.

Jamie sam z trudem powstrzymał śmiech. Spojrzał na mnie. Znów kiwnęłam głową, więc powiedział stanowczym głosem:

– To też będzie w porządku, MacBeth.

– Dziękuję, sir. – Mężczyzna odetchnął z ulgą. Całkowicie ufał zapewnieniom dowódcy.

– Ale trzeba założyć szwy – kontynuował żywo Jamie. – Wybór należy do ciebie.

Sięgnął do pudełka z narzędziami i wyjął jedną z igieł. Kiedyś przerażona prymitywnymi przyborami, jakich zwykle używali barbarzyńscy chirurdzy do zszywania pacjentów, teraz sama przygotowałam trzy tuziny igieł.

Wybrałam najlepsze spośród tych do haftowania. Podgrzałam je nad płomieniem lampki spirytusowej, delikatnie wygięłam tak, aby uzyskać półkolisty kształt, potrzebny do zszywania otwartych ran. Sama zrobiłam również katgutowe nici – brudna, nieprzyjemna robota, ale przynajmniej miałam pewność, że moje materiały są sterylne.

Mała igła do szycia wyglądała śmiesznie między wielkimi paluchami Jamiego. Nie miałam też żadnych złudzeń co do braku kompetencji medycznych męża. Po raz kolejny bezskutecznie próbował nawlec nitkę. Okropnie przy tym zezował.

– Albo zrobię to ja – powiedział i wysunął w skupieniu koniec języka – albo... – przerwał, bo upuścił igłę. Zaczął jej szukać w fałdach peleryny MacBetha. – Albo... – zaczął znowu i triumfalnie podniósł znalezisko przed oczami przestraszonego pacjenta – ...zrobi to moja żona. – Ośmieliłam się wyjść z kryjówki. Dostrzegłam ledwie widzialne skinienie głowy MacBetha. Starłam się wyglądać jak najbardziej oficjalnie. Wzięłam igłę z niezgrabnych rąk Jamiego i wprawnie nawlekłam ją jednym ruchem.

Wielkie oczy MacBetha śledziły wszystkie nasze poczynania. Jamie zachowywał się przesadnie niezdarnie. W końcu MacBeth położył się z ponurą miną i wymamrotał zgodę, żeby kobieta dotknęła jego intymnych części ciała.

– Nie przejmuj się, chłopie. – Jamie poklepał go przyjacielsko po plecach. – W końcu już od jakiegoś czasu zajmuje się moimi i jeszcze jestem mężczyzną. – Pomocnicy i pacjenci leżący w pobliżu wybuchnęli

śmiechem. Jamie chciał wstać, ale go powstrzymałam. Wsunęłam mu w rękę małą buteleczkę.

– Co to jest? – spytał.

– Alkohol z wodą – wyjaśniłam. – Roztwór dezynfekujący. Jeżeli nie chcemy, żeby dostał gorączki, wysypki albo czegoś gorszego, ranę trzeba przemyć. – MacBeth przeszedł kawał drogi od miejsca, gdzie zadano mu ranę. Na ciele miał nie tylko krew, ale i smugi brudu. Alkohol zbożowy stanowił bardzo silny środek odkażający, nawet rozcieńczony w połowie wodą destylowaną. Jednak w walce przeciw zakażeniu było to najskuteczniejsze narzędzie, jakim dysponowałam, i stosowałam je niewzruszenie pomimo narzekania pomocników i wrzeszczących z bólu pacjentów.

Jamie przeniósł wzrok z flaszki na otwartą ranę i lekko zadrżał. Sam się przekonał o działaniu preparatu, kiedy wcześniej wieczorem zszywałam mu bok.

– No, MacBeth, spraw się dzielniej niż ja. – Umieścił swoje kolano na przeponie mężczyzny i wylał zawartość butelki na właściwe części ciała.

Przeraźliwy krzyk zatrzęsł ścianami. MacBeth wił się jak raniony wąż. Kiedy hałas ucichł, twarz olbrzyma nabrała zielonkawego koloru. Hamish nie okazał żadnego sprzeciwu, kiedy zabrałam się do rutynowego, choć bolesnego, zszywania worka mosznowego. Większość pacjentów, nawet tych z poważnymi ranami, ze stoickim spokojem znosiła zabiegi, jakim ich poddawaliśmy. MacBeth nie był wyjątkiem.

Ogromnie zakłopotany leżał nieruchomo z wzrokiem utkwionym w płomieniu lampy.

Nawet nie drgnął mu żaden mięsień, kiedy go operowałam. Emocje można było odgadnąć jedynie po kolorach na twarzy. Zieleń przechodziła w biel, potem w czerwień i od nowa w zieleń.

W końcu MacBeth stał się purpurowy. Kiedy skończyłam zszywanie, miękki penis zaczął lekko sztywnieć pod wpływem muśnięcia mojej ręki. Całkowicie już upewniony o prawdziwości słów Jamiego, potężny Szkot zakrył się kiltem, jak tylko skończyłam.

Wstał i chwiejnym krokiem odszedł w ciemności, a ja chichotałam nad pudłem z narzędziami.

Znalazłam kąt, w którym złożyłam całe moje medyczne wyposażenie. Oparłam się o ścianę. Poczulałam ból w łydkach. Nagłe ustąpienie napięcia spowodowało skurcz.

Zdjęłam buty i rozkoszowałam się delikatnymi spazmami, które przebiegły wzdłuż kręgosłupa ku szyi, kiedy stanęłam nieco swobodniej.

W każdym centymetrze kwadratowym mojego ciała poczułam zmęczenie, jakie się pojawia, kiedy znika konieczność przzymuszania ciała do wysiłku.

W domu było gorąco i głośno od oddechów. Hałasu nie wywołało jednak zdrowe chrapanie mężczyzn, ale płytkie sapanie ludzi, którym oddychanie sprawiało ból. Tym odgłosom towarzyszyły jęki rannych, którzy znaleźli chwilowe ukojenie, zwalniające ich z obowiązku cierpienia po męsku, w milczeniu.

Moi podopieczni byli poważnie ranni, ale nic im nie groziło. Ja jednak wiedziałam, że śmierć przechadza się w nocy po sali chorych i szuka tych, którzy nie potrafią się

obronić.

Chce wykorzystać samotność i strach, żeby ich zwieść na swoją ścieżkę. U boku niektórych rannych spały żony, gotowe nieść mężom pociechę. Ale nie w tym domu.

Tutaj pacjenci mieli tylko mnie. Skoro niewiele byłam w stanie zrobić, żeby pomóc im wrócić do zdrowia, czy zmniejszyć ich ból, mogłam przynajmniej stać pomiędzy nimi a ciemnością, żeby mieli pewność, że nie są sami. Po wykonaniu wszystkich zabiegów, co w mojej mocy, moją pracą była po prostu sama obecność.

Wstałam i powoli przeszłam obok sienników. Przy każdym się zatrzymywałam, szeptałam, dotykałam obolałych ciał, poprawiałam koce, przyglądałam rozczochrane włosy, rozprostowywałam zdrętwiałe kończyny. Temu dałam trochę wody, tamtemu zmieniałam opatrunek, innemu przyniosłam butelkę na mocz i przytrzymałam ją w taki sposób, żeby mężczyzna bez skrzepowania mógł sobie ulżyć.

Wyszłam na zewnątrz, żeby jedną opróżnić. Przystanąłam na chwilę. Chciałam zasmakować chłodnej, deszczowej nocy. Z przyjemnością pozwoliłam delikatnej wilgoci zmywać ze mnie dotyk szorstkiej, owłosionej skóry i zapach spoconych mężczyzn.

– Nie spałaś dużo, Anielko. – Dobiegł mnie miękki głos od strony drogi. Tam znajdowały się inne domy, zmienione na szpitale. Oficerowie mieli kwatery na plebani.

– Ty też nie spałaś wiele – odpowiedziałam sucho. Ile to już czasu nie zmrużył oka?, zastanawiałam się.

– Spałem zeszłej nocy na polu walki, razem z resztą mężczyzn.

– Ach, tak? I z pewnością bardzo odpocząłeś? – Złość w moim głosie przyprawiła go o wybuch śmiechu. Sześć godzin snu, a potem bitwa, w której został nadepnięty przez konia, raniony mieczem i Bóg jeden wie, co jeszcze. Później zbierał swoich ludzi, znosił rannych, opatrywał ich, oplakiwał zabitych i służył swojemu księciu. Przez cały ten czas nie widziałam, żeby choć na chwilę zrobił sobie przerwę najedzenie czy odpoczynek.

Nie zadałam sobie trudu, żeby krzyczeć. Nawet nie było sensu wspominać, że Jamie powinien leżeć na podłodze jako pacjent. Pomijając fakt, że obecność w tym domu należała do jego obowiązków.

– Są też inne kobiety, Angielko – powiedział łagodnie. – Poprosić Archiego Camerona, żeby przysłał parę do pomocy?

Z trudem oparłam się pokusie skorzystania z propozycji.

Przeciągnęłam się i położyłam ręce na pośladkach.

– Nie. Do świtu poradzę sobie sama. Potem ktoś może mnie na jakiś czas zastąpić. – W pewien sposób czułam, że to ja muszę pomóc rannym przebrnąć przez tę noc. O świcie będą bezpieczni.

Jamie też nie krzyczał. Położył mi rękę na ramieniu i przyciągnął mnie do siebie na chwilę. W milczeniu dzieliliśmy się naszą siłą.

– Więc zostanę z tobą. – Odsunął się wreszcie. – I tak nie mogę spać przy świetle.

– A inni ludzie z Lallybroch?

Wskazał głową pole w pobliżu miasta, gdzie rozbiła obóz armia.

– Murtagh jest na warcie.

– To dobrze. Nie trzeba się martwić – powiedziałam. W blasku bijącym z okna zobaczyłam uśmiech na twarzy Jamiego. Przed domem stała ławka. W słoneczne dni z pewnością siadała na niej gospodyni, żeby oprawiać ryby albo cerować ubrania.

Pociągnęłam Jamiego, żeby przy mnie usiadł. Z westchnieniem oparł się o ścianę domu.

Zmęczenie Jamiego przypomniało mi o Fergusie i jego oszołomieniu po walce.

Wyciągnęłam rękę, żeby popieścić szyję męża. On nieznacznie zwrócił głowę w moją stronę i oparł swoje czoło o moje.

– Jak to było, Jamie? – spytałam łagodnie. To mocno, to znów delikatniej dotykałam palcami napiętych mięśni jego karku i ramion. – Jak było? Opowiedz.

Zapanowała krótka cisza. Potem Jamie znów westchnął i zaczął mówić, z początku z przerwami, potem szybciej, jakby chciał mieć to już za sobą.

– Nie rozpaliliśmy ogniska, bo lord George uważał, że musimy zejść ze zbocza przed świtem, i nie chciał, żeby zauważono choćby cień ruchu. Przez długi czas siedzieliśmy w kompletnej ciemności. Nie mogliśmy nawet rozmawiać, żeby nie wydał nas hałas.

Nagle poczułem, że coś ścisza mnie za udo. Serce podskoczyło mi do gardła. – Wsadził sobie palec do ust i pogmerał w nich energicznie. – Mało brakowało, a odgryzłbym sobie język. – Poczułam, że jego mięśnie się rozluźniły. Wiedziałam, że się śmieje, chociaż nie widziałam jego twarzy.

– Fergus?

W ciemności dała się słyszeć salwa śmiechu.

– Tak, Fergus. Przyczołgał się po trawie, skurczybyk, a ja myślałem, że to wąż.

Powiedział mi szeptem o Andersonie. Ruszyłem z chłopakiem i zabrałem Andersona do lorda George’a.

Jamie wypowiadał słowa sennym, leniwym głosem. Zaczynał mówić, kiedy przestawałam go dotykać.

– Potem wydano rozkaz, że schodzimy szlakiem za Andersonem. Całe wojsko wstało i wyruszyło po ciemku.

Noc była całkiem czarna, bez księżyca i chmur, które zwykle pochłaniają światło gwiazd i kierują je w stronę ziemi. Kiedy szkocka armia schodziła w milczeniu wąską ścieżką za Richardem Andersonem, nikt nie widział nic więcej niż pięty człowieka idącego z przodu. Każdy ich krok wydeptywał coraz szerszą drogę w mokrej trawie.

Armia poruszała się niemal bezszelestnie. Rozkazy były przekazywane szeptem od jednego do następnego, bez krzyków. Miecze i siekiery ukryto w fałdach peleryn, pojemniki z prochem znalazły się za koszulami, tuż przy szybko bijących sercach.

Gdy szkoccy żołnierze usłyszeli kroki, usiedli i trwali w kompletnej ciszy. Nawet nie rozpalili ogniska. Zjedli porcje zimnej żywności i, owinięci pelerynami, przyglądali się oświetlonemu obozowi wroga.

– Słyszeliśmy ich rozmowy – powiedział Jamie. Miał zamknięte oczy, ręce trzymał za głową, oparty o ścianę domu. – Dziwnie się słucha mężczyzn, którzy żartują, chcą szczyptę soli albo łyk wina z bukłaka, kiedy masz świadomość, że za kilka godzin ty możesz ich zabić

albo równie dobrze oni ciebie. Wiesz, nie można się oprzeć rozmyślaniom. Jak wygląda twarz człowieka, do którego należy ten czy inny głos? Czy rozpoznasz tego człowieka następnego dnia rano?

Jednak niepokój przed bitwą nie był większy niż wszechogarniające zmęczenie.

„Czarni Fraserowie”, nazywani tak z powodu śladów po węglu drzewnym na twarzach, nie spali od przeszło trzydziestu sześciu godzin. Jamie zerwał sobie pęk trawy na poduszkę, owinął ramiona peleryną i położył się ze swoimi ludźmi.

Przed laty, kiedy służył w armii francuskiej, jeden z sierżantów wyjawiał młodszym żołnierzom najemnym, na czym polega sztuka zaśnięcia w noc przed walką.

– Ułóżcie się wygodnie, zróbcie rachunek sumienia i szczerzy akt żalu za grzechy.

Ojciec Hugo twierdzi, że w czasie wojny, nawet jeżeli nie ma w pobliżu księdza, który mógłby was wypowiadać, wasze grzechy mogą być odpuszczone. Podczas snu nie da się zgrzeszyć, więc kiedy się obudzicie, będziecie w stanie łaski uświęcającej, gotowi napaść na sukinsynów. A jeśli czeka was zwycięstwo lub niebo, to czego macie się bać?

Choć ja w tym wywodzie zauważyłam kilka niespójności, Jamie uważał go za całkiem dobrą radę. Rachunek sumienia przynosił ulgę duszy, a odmawianie modlitwy odrywało umysł od przerażających obrazów i miało właściwość usypiające.

Jamie patrzył w górę na czarne sklepienie nieba. Zmuszał mięśnie karku i ramion, żeby się rozluźniły. Nie

zważał na twardej materac ziemi. Tej nocy gwiazdy były blade i zamglone, mocno kontrastowały z blaskiem ognisk Anglików.

Jamie myślał o swoich podkomendnych. Zatrzymał się przy każdym po kolei.

Odpowiedzialność za nich ciążyła mu bardziej niż jakiegokolwiek grzechy. Ross, McMurdo, Kincaid, Kent, McClure... przerwał, żeby podziękować Bogu, że przynajmniej Claire i mały Fergus są bezpieczni. Jego myśli pobiegły do żony. Chciał wyryc sobie w pamięci jej uspokajający uśmiech, cudowne ciepło ramion, przytulonych do niego, kiedy całował ją na pożegnanie. Przed wyjściem mimo zmęczenia, chciał przewrócić Claire na materac i wziąć ją szybko, nawet bez rozbierania. Dziwne, bliskość walki zawsze sprawia, że od razu jest gotowy. Nawet teraz...

Jeszcze nie skończył rachunku sumienia, a już zamykały mu się powieki i zmęczenie zaczynało brać nad nim górę. Opanował lekki ucisk w jądrach, jaki poczuł na myśl o Claire. Powrócił do wymieniania nazwisk swoich żołnierzy jak pasterz, który liczy owce prowadzone na rzeź.

Ale to nie ma być rzeź, próbował się uspokoić. Niewielkie straty po stronie jakobitów.

Trzydziestu zabitych. Na dwa tysiące żołnierzy. Niewielkie jest prawdopodobieństwo, żeby wśród tej liczby znaleźli się mężczyźni z Lallybroch. O ile ona się nie myliła.

Wzdrygnął się pod peleryną i strząsnął z siebie chwilowe powątpiewanie. Jeżeli. Na Boga, jeżeli. Ciągłe trudno mu było uwierzyć w to, co przydarzyło się Claire w

kamiennym kręgu. Ale pamiętał, jak stała przed skałą. Na jej twarzy malowało się przerażenie, w złotych oczach widniała trwoga. Kontury ciała zamazały mu się przed oczami, kiedy – również przestraszony – przywarł do swojej ukochanej Angielki, a potem ją odepchnął. Może powinien pozwolić Claire wrócić tam, skąd przyszła. Nie, nie...

Wiedział, że powinien. Dał jej wybór, ale trzymał ją przy sobie siłą oczywistego pożądanego. I została. I dała wybór jemu – mógł uwierzyć lub nie. Działać albo uciec.

Dokonywał wyboru teraz – poranek nadciągał nieubłaganie.

Serce biło mu ciężko, czuł puls w nadgarstkach, pachwinach i w jamie brzusznej.

Usiłował się uspokoić. Wrócił do swojej wyliczanki. Jedno uderzenie serca – jedno nazwisko. Willie McNab, Bobby McNab, Geordie McNab... dzięki Bogu, młody Rabbie McNab był bezpieczny w domu... Will Fraser, Ewan Fraser, Geoffrey McClure...

McClure... policzył obu, George'a i Sorleya? Uśmiechnął się blado. Murtagh. Tak, Murtagh, stary druhu... przynajmniej tobą nie muszę się martwić, pomyślał. William Murray, Rufus Murray, Geordie, Wallace, Simon...

Wreszcie zamknął oczy, polecił wszystkich swoich żołnierzy opiece czarnego nieba i oddał się powtarzaniu słów, które nadal w naturalny sposób przychodziły mu na myśl po francusku: *Mon Dieu, je regrette...* * [*Boże, żałuje...]

Zrobiłam obchód w domu. Owinęłam świeżym

bandażem nogę jednego z mężczyzn.

Krwawienie powinno już ustać. Uboga dieta i łamliwe kości. Jeżeli kończyna nie wydobrzeje do piania koguta, trzeba ściągnąć Archiego Camerona lub któregoś z chirurgów wojskowych, żeby amputowali nogę i skauteryzowali kikut.

Ta myśl była nieznośna. Wystarczająco ciężko żyło się człowiekowi z obiema sprawnymi nogami. Nałożyłam nowy opatrunek, delikatnie skropioną alunem i siarką.

Może nie pomoże, ale i nie zaszkodzi. Będzie boleć, trudno.

– Trochę popieczę – wyszeptałam do mężczyzny podczas owijania jego nogi warstwami materiału.

– Proszę się nie martwić – odpowiedział szeptem. Uśmiechnął się do mnie. Po policzkach mężczyzny ciekł pot, który lśnił w świetle mojej świeczki. – Wytrzymam.

– To dobrze. – Poklepałam go po ramieniu, pogładziłam włosy na czole i dałam mu wody do picia. – Sprawdzę za godzinę, jeżeli wytrzyma pan tak długo.

– Wytrzymam – powtórzył.

Znowu wyszłam na zewnątrz. Myślałam, że Jamie zasnął, bo położył twarz na rękach, które skrzyżował na kolanach. Jamie podniósł głowę, kiedy przy nim usiadłam. Wziął moją dłoń.

– Słyszałam huk działa nad ranem – powiedziałam. Ciągle myślałam o mężczyźnie, który leżał w środku z nogą złamaną przez pocisk z działa. – Bałam się o ciebie.

Zaśmiał się łagodnie.

– Ja też się bałam, Angielko. Wszyscy się bali.

Cicho jak obłok mgły Szkoci równym krokiem

posuwali się naprzód w morzu trawy.

Ciemność wprawdzie cały czas była niezmienna, ale za to zmieniła się noc. To dlatego, że wiatr zaczął wiać od morza w stronę lądu, nad którym wschodził świt. W oddali rozbrzmiewał głuchy łoskot fal uderzających o piach.

Powoli nastawała jasność. Jamie w samą porę zobaczył człowieka u swoich stóp.

Kolejny krok i poleciałby jak długi przez skurczone ciało. Serce waliło mu jak młotem, przerażone bliskim spotkaniem. Żołnierz angielski, w dodatku tylko śpiący, nie ranny i nie zabity.

Jamie uważnie wpatrywał się w ciemność. Dochodziły go jedynie odgłosy morza, trawy, wiatru i ledwie słyszalnego skradania się Szkotów.

Spojrzał za siebie pośpiesznie i oblizał usta, wyschnięte mimo wilgotnego powietrza.

Tuż za nim byli ludzie. Szybko zdobył się na odwagę. Ktoś następnym może nie być tak uważny.

Sięgnął po sztylet, ale się zawahał. Wojna rządzi się własnymi prawami, ale nie godzi się zabijać śpiącego wroga. Wyglądało na to, że człowiek ten jest sam, z dala od towarzyszy. Z pewnością nie był wartownikiem – nawet najbardziej leniwy strażnik nie zasnąłby w sytuacji, gdy na urwisku ponad nim rozbili się Szkoci. Może to żołnierz, który chciał się uwolnić? Oddalił się od swoich towarzyszy, a potem zgubił w ciemności drogę i zasnął tam, gdzie stał.

Metal muszkietu zrobił się śliski od spoconej dłoni. Jamie zacisnął palce na pelerynie, muszkietem zatoczył wokół celu łuk, a potem się zamierzył rękojęścią. Moc uderzenia powaliła go na łopatki. Ramiona mężczyzny

rozleciały się na boki. Jednak oprócz głośnego oddechu, ofiara nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Teraz leżała spokojnie, jakby bez życia.

Jamie dotknął drżącą ręką poniżej szczęki człowieka. Chciał wyczuć puls. Znalazł.

Uspokojony, wstał. Wtem usłyszał z tyłu stłumiony krzyk przerażenia. Uchylił się i zobaczył, że lufa broni, którą trzymał na ramieniu, celuje w twarz jednemu z klanu MacDonaldów.

– *Mon Dieu!* – wyszeptał mężczyzna i błyskawicznie się przeżegnał. Jamie zacisnął zęby zirytowany. To cholerny francuski ksiądz klanu Keppocha, na rozkaz O’ Sullivana ubrany w koszulę i pelerynę jak żołnierz.

– Upierał się, że do jego obowiązków należy udzielanie ostatniego sakramentu rannym i umierającym na polu bitwy – wyjaśnił mi Jamie. Podciągnął wyżej na ramiona swoją uplamioną narzutę. Robiło się chłodniej. – O’Sullivan wymyślił, że kiedy na polu bitwy Anglicy złapią księdza w sutannie, rozedrą go na strzępy. Może miał rację, a może nie. Ale w pelerynie duchowny wyglądał jak idiota – dodał krytycznie.

Ale zachowanie księdza w niczym nie polepszyło wrażenia, jakie wywarł swoim strojem. Kiedy Jamie poniewczasie uświadomił sobie, że jego ofiarą mógł paść Szkot, odetchnął z ulgą. Ksiądz otworzył usta, ale Jamie szybkim ruchem ręki mu je zakrył, uprzedzając niewłaściwie skierowane pytania.

– Co ojciec tu robi? – wymamrotał prosto do księżowskiego ucha. – Miał ojciec iść na końcu.

Szeroko otwarte oczy księdza wyjaśniły wszystko: sługa boży, zagubiony w ciemności, był przekonany, że znajduje się na końcu. Przeraził się, kiedy do niego dotarło, że idzie na czele posuwających się Szkotów.

Jamie obejrzał się za siebie. Nie odważyłby się odesłać księdza z powrotem.

W mglistej ciemności przewielebny mógł natknąć się na Szkota, który wziąłby go za wroga i z miejsca by zabił. Chwycił więc niewysokiego człowieczka za kark i zmusił, by przywarł do ziemi.

– Niech ksiądz leży bez ruchu, dopóki strzelanina nie ustanie – zasyczał mu do ucha.

Duchowny skwapliwie pokiwał głową. Nagle, parę metrów przed sobą zobaczył ciało angielskiego żołnierza. Spojrzał na Jamiego z przerażeniem na twarzy i sięgnął po buteleczkę z krzyżmem i wodą święconą, które nosił przy pasie zamiast sztyletu.

Rozdrażniony Jamie wywracał oczami. Wykonał też serię gwałtownych ruchów, które miały oznaczać, że mężczyzna jest żywy, więc nie potrzeba posługi księdza. Duchowny nadal stał jak wryty. Jamie chwycił więc go za rękę i przytknął jego palce do szyi Anglika.

Taka metoda wydawała się najprostsza na przekonanie księdza, że Anglik nie jest ofiarą wojny. Nagle usłyszał głos rozdzierający ciemność i zamarł w tej bezsensownej pozycji.

– Stój! Kto idzie? – rozległo się głośnie pytanie

– Masz trochę wody, Anielko? – spytał Jamie. – Zaschło mi w gardle od mówienia.

– O nie! Nie możesz teraz przerwać! Co było dalej?

– Wody – powtórzył i uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze. – Podałam mu butelkę i przyglądałam się, jak wlewa sobie do ust jej zawartość. – Co dalej?

– Nic – odparł, wycierając usta rękawem. – A co, według ciebie, miałem odpowiedzieć? – Uśmiechnął się szelmowsko i uchylił głowę przed pstryczkiem, jaki chciałam mu zaserwować w ucho. – No, no – zganił mnie. – To tak się teraz odnosi do rannego żołnierza w służbie króla?

– Rannego, tak? Możesz mi wierzyć, Jamie Fraserze, cięcie szablą jest niczym w porównaniu z tym, co ja ci zrobię, jeżeli...

– W dodatku groźby? A jaki to wiersz mi mówiłaś? „Kiedy ból i udręka malują się na czole, anioł służebny...”
Au!

– Następnym razem ukręcę ci je u samej nasady – oznajmiłam, puszczając jego ucho.

– Mów dalej, bo za chwilę muszę wracać.

Potał ucho energicznie, oparł się o ścianę i kontynuował:

– Usiedliśmy na tyłkach, ja i ojczulek. Gapiliśmy się na siebie i nasłuchiwalismy odgłosów oddalonych o dwa metry wartowników. Co to?, spytał któryś. Chciałem wyjąć sztylet, zanim strażnik strzeli mi w plecy, ale co z drugim? Od księdza pomocy oczekiwać nie mogłem. Chyba że w postaci ostatniej modlitwy nad moim ciałem.

Zapanowała długa szarpiąca nerwy cisza. Dwaj jakobici siedzieli w trawie. Cały czas ściskali się za ręce. Bali się poruszyć na tyle, żeby zwolnić uścisk. Ach, wydaje ci się, rzucił w końcu drugi wartownik. Jamie poczuł, jak

ciałem księdza wstrząsnęło uczucie ulgi. Wilgotne palce duchownego wyslizgnęły się z ręki Jamiego. To krzaki janowca. Nie ma się czym martwić, zapewnił Anglik kolegę. Jamie usłyszał klepnięcie ręką w plecy i tupanie. Wartownik rozgrzewał sobie obute stopy. Na pewno jest ich tu cholernie dużo.

W takiej ciemności może się kryć cała armia diabelskich Szkotów, mruknął Anglik.

Jamiemu wydało się, że usłyszał stłumiony śmiech jednego z „krzaków janowca”.

Spojrzał na szczyt wzgórza. Gwiazdy zaczynały błędnąć. Oceniał, że do świtu jest jeszcze z dziesięć minut. Wtedy armia Johnniego Cope’a szybko zda sobie sprawę, że wojska szkockie nie są oddalone – tak jak się tego spodziewali – o godzinę marszu w przeciwnym kierunku, ale stoją naprzeciw ich oddziałów.

Z lewej strony, od morza, dobiegł jakiś hałas. Był ledwie słyszalny i niewyraźny, ale wyczulone uszy wychwyciły sygnał. Jamie przypuszczał, że ktoś potknął się o krzak janowca.

– Hej! – Wartownicy również usłyszeli odgłos. – Co jest?

Ksiądz będzie się musiał sam o siebie zatroszczyć, pomyślał Jamie. Wstał, dobył szpadę i jednym długim susem pokonał odległość dzielącą go od Anglików. W ciemności widać było wyraźny kształt sylwetki mężczyzny. Bezlitosne ostrze uderzyło z całej siły i rozłupało czaszkę wroga.

– Szkoci! – przeraźliwie krzyknął drugi wartownik. Wyskoczył jak zając z zagajnika i zniknął w ciemności,

zanim Jamie zdążył wyjąć broń z zakrwawionej rany. Jamie postawił nogę na plecach leżącego człowieka i szarpnął. Zacisnął zęby, żeby przewyciężyć nieprzyjemne wrażenie, jakie wywołuje wyciąganie szpady ze sflaczałego ciała i trzeszczących kości.

W szeregach Anglików podniósł się alarm. Wśród brutalnie wyrwanych ze snu mężczyzn zapanowało poruszenie. Żołnierze po omacku szukali broni i wszędzie wpatrywali czyhającego niebezpieczeństwa.

Kobziarze Clanranalda stali po prawej stronie, ale nie dano jeszcze sygnału do ataku.

Jamie szedł więc dalej, z łomoczącym sercem, lewym ramieniem zdrętwiałym po zadaniu śmiertelnego ciosu i napiętymi mięśniami brzucha. Wytężał wzrok w blednącej ciemności. Struga ciepłej krwi na jego twarzy zastygła pod wpływem zimnego powietrza.

– Najpierw ich usłyszałem – powiedział. Wpatrywał się w ciemność, jakby ciągle wyglądał angielskich żołnierzy. Pochylił się i objął kolana rękami. – Potem ich zobaczyłem. Anglicy wili się przy ziemi jak larwy w mięsie. Za mną szli „Czarni Frazerowie”. Dogonił mnie George McClure, po drugiej mojej stronie znaleźli się Wallace i Ross. Maszerowaliśmy nieprzerwanie, równym krokiem, coraz szybciej i szybciej.

Widzieliśmy wylaniających się przed nami Angoli.

Z prawej rozległ się głuchy huk – wystrzał z działa. Chwilę później następny, a potem sygnał bojowy nadchodzących Szkotów – przerażający wrzask.

– Wtedy zadęto w kobzy – powiedział z zamkniętymi oczami Jamie. – O muszkiecie

przypomniałem sobie dopiero, kiedy usłyszałem wystrzał tuż przy mnie. Broń zostawiłem w trawie, obok księdza. W takiej sytuacji nie widzisz nic poza tym, co dzieje się najbliżej ciebie. Słyszysz krzyk i nagle zaczynasz biec. Wolno, jeden czy dwa kroki, poluźniasz pas, potem zrzucaś pelerynę i uciekasz. Błoto rozbryzguje ci się po nogach, stopy czują zimną trawę, dół koszuli wiewa po gołym tyłku. Wiatr wieje po plecach, brzuchu i ramionach...

Wciąga cię wrzawa. Zaczynasz krzyczeć jak za dziecinnych lat, kiedy z wrzaskiem zbiegało się z wiatrem ze wzgórza, żeby zobaczyć, czy dzięki dźwiękowi można wzbić się w powietrze.

Niosły ich fale własnego krzyku. Szkoci zaatakowali angielską armię. Zamknęli wroga w ciasnym kręgu. Krew wrzała, rosło przerażenie nieprzyjaciół.

– Uciekli – powiedział miękko. – Jeden człowiek stanął za mną twarzą w twarz.

Tylko jeden w ciągu całej bitwy. Innych załatwiłem od tyłu. – Potarł twarz brudną ręką.

Poczułam, że gdzieś głęboko w środku zaczyna drzeć.

– Pamiętam... wszystko – szeptał. – Każdy cios. Każdą twarz. Mężczyznę leżącego przede mną na ziemi, spoconego ze strachu. Parskanie koni. Smród czarnego prochu, krwi i mojego własnego potu. Wszystko. Ale miałem wrażenie, że ja jestem poza tym i patrzę na siebie z zewnątrz. Tak naprawdę mnie tam nie było. – Otworzył oczy i spojrzał z ukosa. Prawie zgięty w pół, trzymał głowę na kolanach i drżał już cały.

– Wiesz, jak to jest? – spytał.

– Wiem.

Nigdy nie walczyłam mieczem ani nożem. Jednak wystarczająco często za pomocą rąk i siły woli musiałam się przedzierać przez chaos śmierci. I to naprawdę wywołało dziwne uczucie – umysł brał górę nad ciałem, chłodno oceniał i decydował. Trzewia poddawały się rozumowi, dopóki kryzys nie minął. Dopiero później ciało zaczynało drżeć.

Zrzuciłam płaszcz z ramion i przykryłam nim Jamiego, potem weszłam do domu.

Nadszedł świt, a wraz z nim przybyła pomoc w postaci dwóch wieśniaczek i chirurga wojskowego. Mężczyzna ranny w nogę był błądy i roztrzęsiony, ale krwawienie ustało.

Jamie wziął mnie pod ramię i zabrał stamtąd. Poszliśmy w dół ulicą Tranent.

Ciężkie trudności, na jakie O’Sullivan napotykał podczas swojego komisarzowania, chwilowo zostały przezwyciężone dzięki przyniesionym łupom. Żywności było mnóstwo.

W pośpiechu jedliśmy gorącą owsiankę. Ledwie czuliśmy jej smak. Traktowaliśmy jedzenie wyłącznie jako potrzebę organizmu, taką samą, jak oddychanie. Uczucie sytości ogarnęło moje ciało. Zaczęłam myśleć o kolejnej najpilniejszej potrzebie – śnie.

W każdym domu znajdowali się ranni. Było ich tylu, że ledwie się mieścili. Jamie wprawdzie mógł się postarać dla mnie o miejsce w oficerskiej kwaterze na plebani, ale wziął mnie pod rękę, odwrócił i pociągnął między domkami na wzgórze, do lasu za Tranent.

– To kawałek drogi – powiedział i spojrział przepraszająco. – Pomyślałem jednak, że może wolisz trochę prywatności.

– Wolę. – Wychowałam się w warunkach, które wielu współczesnych mi ludzi uznałoby za prymitywne. Podczas wypraw wuja Lamba często mieszkałam w namiotach albo lepiankach. Nie byłam przyzwyczajona do życia w tłoku. W Tranent ludzie jedli, spali, często nawet spółkowali, ściśnięci w malutkich, dusznych domkach, oświetlonych i ogrzewanych przez dymiące paleniska. Jediną czynnością, jakiej nie robili razem, była kąpiel – tylko dlatego, że w ogóle się nie kąpali.

Jamie, idąc po śladach kopyt wielkiego konia, dotarł na małą polankę, pokrytą grubą warstwą jesiennych liści jesionu, olchy i jaworu. Słońce dopiero weszło. Pod drzewami było nadal zimno, a brzegi niektórych liści pomalował szron.

Jamie wykopał piętą szeroką bruzdę w warstwie liści, potem stanął na jej końcu, sięgnął do sprzączki paska i uśmiechnął się do mnie.

– Trochę niezręcznie się to zapina, ale przynajmniej bardzo łatwo zdejmuje. – Szarpnął końcem paska. Peleryna znalazła się obok jego kostek. Został jedynie w koszuli sięgającej do połowy uda. Zwykle nosił pod spodem mały wojskowy kilt, który przypinał w pasie, a pelerynę zamocowywał oddzielnie przy ramionach. Jego kilt był jednak dziurawy i poplamiony po bitwie, więc założył inny, staromodny, który składał się tylko z jednego długiego kawałka tkaniny, zebranego w fałdy u pasa. Trzymał się na swoim miejscu wyłącznie dzięki pasowi.

– Jak zdołałeś się w to ubrać? – spytałam zaciekawiona.

– Rozpościerasz go na ziemi... – Przyklęknął i rozłożył materiał, tak że przykrył nim miejsce, z którego wcześniej odgarnął liście. – Potem plisujesz co parę centymetrów, kładziesz się na nim i owijasz ciało.

Wybuchnęłam śmiechem. Przyklęknęłam, żeby pomóc mu wygładzić gruby wełniany tartan.

– Chciałabym to zobaczyć. Obudź mnie, zanim się ubierzesz.

Pokiwał dobrodusznie głową. Światło, które sączyło się między gałęziami, migotało w jego włosach.

– Szansę na to, że obudzę się wcześniej od ciebie, są takie same, jak na znalezienie dżdżownicy w kurniku. Nie obchodzi mnie, czy znowu nadeptnie na mnie jakiś koń. Do jutra się stąd nie ruszam. – Położył się ostrożnie. – Chodź. – Wyciągnął rękę zapraszająco. – Przykryjemy się twoim płaszczem.

Liście pod gładką wełną stworzyły zaskakująco wygodny materac, chociaż właściwie byłam w takim stanie, że zasnęłabym nawet na łóżku fakira. Dopiero teraz odkryłam, jak niewysłowioną rozkoszą jest leżenie.

Chłód zniknął szybko, bo nasze ciała rozgrzały zagłębienie, w którym leżeliśmy.

Byliśmy na tyle daleko od miasta, że odgłosy krzątania, jaka w nim panowała, docierały do nas jedynie z podmuchami wiatru. Z satysfakcją pomyślałam, że może do jutra nikt nie zdoła nas znaleźć.

Wczoraj w nocy podarłam swój fartuch na dodatkowe bandaże. Nie dzieliło nas nic oprócz tkaniny

mojej spódnicy i koszuli. Sztywne ciepło dotknęło lekko mojego brzucha.

– Na pewno nie? – spytałam rozbawiona mimo zmęczenia. – Jamie, musisz być na wpół martwy.

Zaśmiał się słabo. Przyciągnął do siebie moje pośladki dużą, ciepłą ręką.

– O wiele bardziej niż na wpół, Angielko. Jestem wykończony. Tylko mój głupi ptaszek nie może tego pojąć. Nie potrafię leżeć przy tobie, nie pragnąc ciebie, ale w tej chwili chcę pozostać jedynie przy pragnieniu.

Przez chwilę bawiłam się koniuszkiem jego koszuli, potem zadarłam ją i delikatnie objęłam Jamiego. Jego penis był jeszcze cieplejszy niż brzuch, a pod dotykiem mojego kciuka wydawał się jedwabisty i mocno pulsował przy każdym uderzeniu serca.

Jamie wydał z siebie odgłos bolesnej rokoszy, przewrócił się ostrożnie na plecy i rozchylił nogi, częściowo przykryte moim płaszczem.

Promienie słońca dosięgły naszej sterty liści. Moje ramiona rozluźniły się pod ciepłym dotykiem światła. Wydawało się, że wszystko jest lekko skropione złotem – co było rezultatem zarówno wczesnej jesieni, jak i krańcowego wyczerpania. Poczułam, że robię się senna i leniwie odpływam, patrząc, jak ciało Jamiego pobudza się od dotyku moich palców. Strach, zmęczenie krzątaniną ostatnich dwóch dni – wszystko się powoli zacierało. Zostaliśmy sami.

Spod zadartej koszuli wystawał fragment szwu założonego na ranę po cięciu szablą.

Odnaczał się na czarno na jasnej skórze. Dwie albo

trzy małe muchy ciekawsko bzycały gdzieś blisko. Odgoniłam je nieznacznym ruchem ręki. W moich uszach dźwięczała cisza.

Zapach drzew nie pasował do odgłosów dochodzących z miasta.

Oparłam o Jamiego policzek. Poczułam twarde, gładkie zaokrąglenie kości biodrowej. W zgięciu pachwiny skóra Jamiego była delikatna jak u dziecka i tak przezroczysta, że widziałam rozchodzące się pod nią niebieskieżyły.

Powoli podniósł rękę i położył ją na mojej głowie.

– Claire, bardzo cię potrzebuję – wyszeptał.

Chwiejnie wstałam. Podciągnęłam spódnicę. Usadowiłam się na nim jak chmura na wierzchołku wzgórza.

Miał zamknięte oczy i odchyłoną głowę. Czerwone złoto jego włosów opadło gwałtownie na liście. Położył ręce na moich krągłych biodrach.

Ja też zamknęłam oczy. Poczułam kształt umysłu Jamiego, tak samo wyraźnie, jak czułam kontury jego ciała pode mną. Wyczerpanie powstrzymywało każdą myśl.

Pozostało tylko wrażenie, że się znamy.

– Nie... długo – wyszeptał. Pokiwałam głową. Wiedziałam, że czuje to, czego nie widzi. Uniosłam się nad nim, pewnie i władczo objęłam go udami.

Raz, drugi, kolejny i następny. Drzenie rodziło się w nim i we mnie, płynęło jak woda, która przemieszcza się z korzenia rośliny do jej liści.

Jamie jedynie wzdychał, zapadał się w stan nieświadomości. Opadłam obok niego, przykryłam nas

ciężkim płaszczem. Zaraz potem wypełniła mnie ciemność. Leżałam, ciągnięta ku ziemi ciepłym ciężarem jego nasienia w moim łonie. Zasnęliśmy.

37

HOLYROOD

Edynburg, październik 1745.

Pukanie do drzwi oderwało mnie od przeglądania niedawno uzupełnionych pudeł z lekarstwami. Po wspaniałym zwycięstwie pod Preston Karol przyprowadził swoją armię do Edynburga, żeby nasycić się pochlebstwami. I kiedy on zbierał gratulacje i pokłony, generałowie oraz dowódcy pracowali. Ustalali, jaki sprzęt był przydatny. Chcieli przygotować się do wszystkiego, co mogło się jeszcze zdarzyć.

Rozochocony szybkim sukcesem Karol mówił beztrąsko o podbiciu Stirling, potem Carlyle, a w końcu, schodząc na południe, może i samego Londynu. Ja spędzałam wolny czas na liczeniu igieł, zapasów kory wierzbowej i... wykradaniu każdej ilości alkoholu, żeby go potem użyć do dezynfekcji.

– O co chodzi? – spytałam, gdy otwierałam drzwi. Gонец był młodym chłopakiem, niewiele starszym od Fergusa. Starał się wyglądać poważnie i okazywać szacunek, ale nie potrafił opanować naturalnej ciekawości. Widziałam, jak jego wzrok biega po pokoju i zatrzymuje się z fascynacją na wielkim pudle z lekarstwami, które stało w rogu.

Najwidoczniej plotki o mnie obiegły już pałac w Holyrood.

– Pani Fraser, Jego Wysokość kazał po panią posłać – wygłosił. Jasnobrzęde oczy przyglądały mi się badawczo. Niewątpliwie szukał oznak ponadnaturalnych zdolności.

Mój całkiem zwykły wygląd chyba chłopaka nieco rozczarował. – Niech pani też przyniesie pudło z lekarstwami, jeśli łaska.

Mój ochroniarz czuł się ważny z powodu swojej misji. Prowadził mnie długim korytarzem do królewskiego skrzydła pałacu. Z pewnością ktoś przysposabiał chłopca do zachowania zgodnego z etykietą. Czasami jednak niekontrolowany podskok w czasie marszu zdradzał, że młodzieniec zaczął pracę niedawno.

Czego, do diabła, może chcieć ode mnie Karol?, zastanawiałam się. Mimo że tolerował mnie ze względu na Jamiego, historia o Białej Damie zrobiła na nim ogromne wrażenie i stał się nie do zniesienia. Nieraz kątem oka zauważyłam, że żegnał się ukradkiem w mojej obecności albo robił dwoma palcami znak rogów, żeby odgonić zło.

Pomysł, że miałabym go leczyć, wydawał się absurdalny.

Kiedy ciężkie drewniane drzwi do małego porannego pokoju otworzyły się, uznałam pomysł za idiotyczny. Księżę, całkiem zdrowy, opierał się o malowany klawikord.

Jednym palcem wydobywał z instrumentu pojedyncze dźwięki. Delikatna skóra Karola lekko się zarumieniła, ale z podniecenia, nie od gorączki, a oczy były jasne i uważne.

– Pani Fraser! Jak miło, że tak krótko się pani u

mnie zjawiła! – Tego ranka ubrał się okazalej niż zwykle. Miał na głowie perukę i włożył na siebie nowy jedwabny szlafrok w kwiaty. Książę musiał być czymś przejęty. Podekscytowany zawsze kaleczył język angielski.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Wasza Wysokość – powiedziałam skromnie i dygnęłam lekko. Był sam. Niezwykły stan rzeczy. Czy on chciał pomocy dla siebie?

Krótkim, nerwowym ruchem wskazał mi krzesło obite złotym adamaszkiem.

Usiadłam. Naprzeciwko stało drugie krzesło, ale on chodził przede mną w tę i z powrotem, za bardzo zajęty, żeby spocząć.

– Potrzebuję pani pomocy – oznajmił obcesowo.

– Mhm? – wydałam grzeczny, pytający odgłos. Czyżby rzeźączka?, zastanawiałam się.

Obrzuciłam Karola ukradkowym spojrzeniem. Nie słyszałam o żadnej kobiecie od czasów Luizy de La Tour. Wciągał i wydymał usta, jakby szukał sposobu, żeby mi przedstawić problem. W końcu skapitulował.

– Mam tutaj pewnego dowódcę. Chce się przyłączyć do mojego ojca, ale... – Zamilkł.

– Chodzi o dowódcę klanu? – spytałam, aby przerwać męczącą ciszę.

Skinął głową. Na jego czole, pod lokami peruki, ukazały się głębokie zmarszczki.

– Oui, madame. Oczywiście popiera żądania mojego ojca...

– Och, oczywiście – zamruczałam.

– ...ale chce rozmawiać z panią, zanim przekona

swoich ludzi, by przystali do mnie.

Wszystko to brzmiało niewiarygodnie. Uświadomiłam sobie, że wypieki na policzkach były wynikiem zmieszania i tłumionej furii.

Mnie też ogarniały dziwne emocje. Oczami wyobraźni widziałam dowódcę klanu, której cierpi na jakąś straszną chorobę. Jego udział w sprawie miał zależeć od powodzenia mojej cudownej kuracji.

– Czy na pewno ze mną chce rozmawiać? – Nie uważałam się za jakąś nadzwyczajną osobę.

Karol chłodno skłonił głowę.

– Tak twierdzi, madame.

– Ale ja nie znam żadnego dowódcy klanu. Tylko Bara Glengarry’ego i Lochiela. Aha, jeszcze Clanranalda i Keppocha, oczywiście. Ale oni już są po waszej stronie. I dlatego, na miłość boską...

– Cóż, on twierdzi, że zna pani go – przerwał mi książę. Jeszcze bardziej niepoprawna składnia odzwierciedlała wzrastające zdenerwowanie. Karol złożył rękę.

Wysilał się na grzeczność.– To jest ważne, najważniejsze, madame, żeby został przekonany, że ma się do mnie przyłączyć. Żądam... proszę... więc panią, żeby pani... go przekonała.

W zamyśleniu pocierałam nos, przypatrując się księciu uważnie. Jeszcze jedna decyzja. Kolejna sposobność, by pokierować wydarzeniami według własnego wyboru.

I ponownie – pustka w głowie. Co jest lepsze?

Miał rację. To ważne, żeby przekonać jakiegos

dowódcę, by poświęcił swoje zasoby na rzecz jakobitów. Licząc Cameronów, różnych MacDonaldów i innych, którzy jak dotąd się dołączyli, cała szkocka armia liczyła zaledwie dwa tysiące ludzi. Stanowiła przy tym największą bezładną zbieraninę łajz i niedołęgów, z jaką generał mógł mieć do czynienia.

A teraz jeszcze te ofermę zdobyły Edynburg. Pokonały znacznie liczniejsze siły angielskie pod Preston, a ponadto wykazują nieodpartą chęć, żeby pójść dalej przez kraj.

Nie zdołaliśmy powstrzymać Karola. Możliwe, że jedynym sposobem na uniknięcie klęski, jak twierdził Jamie było udzielenie księciu wszelkiej możliwej pomocy.

Przyłączenie się ważnego dowódcy klanu do sojuszników w ogromnym stopniu przysporzyłoby następnych chętnych do wsparcia jakobitów. Mógł to być punkt zwrotny – szeregi zwolenników Karola urosłyby do rozmiarów prawdziwej armii, zdolnej przypuścić szturm na Anglię. A jeśli tak, to co, do licha ciężkiego, stałoby się wtedy?

Westchnęłam. Niezależnie od tego, jaką miałam podjąć decyzję, musiałam najpierw zobaczyć tajemniczą osobę. Rzuciłam okiem na swój strój, żeby się upewnić, czy jest stosowny na spotkanie z dowódcą klanu. Wstałam i wzięłam pod pachę pudło z lekarstwami.

– Spróbuję, Wasza Wysokość.

Splecione ręce rozluźniły się, ukazując obgryzione paznokcie. Niewyraźna mina księcia znikła.

– Ach, dobrze. – Odwrócił się w stronę drzwi do większego, południowego pokoju.

– Proszę pójść za mną. Sam panią zaprowadzę.

Wartownik stojący przy drzwiach odskoczył na bok, zaskoczony widokiem energicznie nadciągającego Karola. W dalekim rogu długiego, obwieszonego arrasami pokoju znajdował się ogromny marmurowy kominek, wyłożony kaflami pomalowanymi w wiejskie pejzaże holenderskie w odcieniu kremowym i niebieskim. Przed kominkiem widniała mała sofa, przy której stał potężny, barczysty mężczyzna w szkockim stroju.

W mniejszym pomieszczeniu wydałby się olbrzymem. Nogi w kraciastych pończochach przypominały pnie drzew. Jednak w ogromnej komnacie z wysokimi sufitami człowiek ten sprawiał wrażenie zaledwie dużego. Dobrze komponował się z postaciami bohaterów mitycznych, zdobięcymi arrasy w każdym kącie pokoju.

Zamarłam na widok rosłego gościa. Doznałam szoku, gdy rozpoznałam mężczyznę.

Niedowierzałam własnym oczom. Karol, który cały czas szedł do przodu, obejrzał się za siebie zniecierpliwiony. Kiwnął na mnie, żebym podeszła do kominka. Ukłoniłam się gigantowi. Podeszłam wolno do sofy i spojrzałam na człowieka, który na niej leżał.

Uśmiechnął się blado, a w gołębio-szarych oczach błysnęła iskierka zdumienia.

– Tak – powiedział, widząc zdziwienie na mojej twarzy. – Ja też się nie spodziewałem, że jeszcze panią zobaczę. Można by uwierzyć, że jesteśmy na siebie skazani. – Odwrócił głowę i podniósł rękę w kierunku swojego olbrzymiego służącego.

– Angus, przyniesiesz dla pani Claire szklaneczkę brandy? Obawiam się, że doznała lekkiego wstrząsu.

Delikatnie powiedziane – pomyślałam. Opadłam na krzesło o skośnie ciętych nogach i wzięłam od Angusa szklaneczkę z alkoholem.

Oczy Columa MacKenziego nie zmieniły się. Głos też brzmiał tak samo, jak kiedyś.

Colum nadal miał w sobie siłę człowieka, który od trzydziestu lat stał na czele klanu MacKenziech, mimo że w młodzieńczych latach został dotknięty ciężką chorobą.

Wszystko inne zmieniło się, niestety, na gorsze. Czarne włosy były mocno przyprószone siwizną, zmarszczki wcięły się głęboko w skórę, teraz obwisła na ostrych konturach kości.

Nawet klatka piersiowa zapadła się, a rozłożyste ramiona opadły – jakby ciało odrywało się od kruchego szkieletu.

On już trzymał szklaneczkę do połowy wypełnioną bursztynowym płynem.

Wpatrywał się w ogień. Z bólem podniósł się do pozycji siedzącej i wniósł szklankę w ironicznym toaście.

– Wyglądasz bardzo dobrze... Claire. – Karol zdębiał.

– A ty źle – odparłam ostro.

Przypatrywał się beznamiętnie swoim powyginanym i poskręcanyim nogom. Za sto lat nazwą tę chorobę od imienia jej najslawniejszej ofiary: syndrom Toulouse-Lautreca.

– Zgadza się – przytaknął. – Ale ostatnim razem widziałś mnie dwa lata temu. Pani Duncan dała mi wtedy

mniej niż dwa lata życia.

Pociągnęłam łyk brandy. Jednej z najlepszych. Karol był zdenerwowany.

– Nie sądziłam, że tak się przejmiesz przekleństwem czarownicy – stwierdziłam.

Uśmiech ozdobił usta o doskonałym kształcie. Mimo że był wyniszczony, Colum zachował młodzieńcze piękno swojego brata Dougala, a kiedy z oczu zniknął pozór obojętności, z wraku ciała znowu była siła mężczyzny.

– Nie, nie przekleństwem. Odnosiłem wyraźne wrażenie, że Creillis posłużyła się obserwacją, a nie złorzeczeniem. A ja nigdy nie spotkałem bardziej wnikliwego obserwatora niż pani Duncan. Poza jednym wyjątkiem. – Skłonił wdzięcznie głowę w moją stronę, wyjaśniając tym samym, kogo miał na myśli.

– Dziękuję.

Colum spojrział na Karola. Książę w oszołomieniu przysłuchiwał się rozmowie.

– Dziękuję za łaskawość, jaką Wasza Wysokość mi okazał, udostępniając swoją posiadłość na spotkanie z Claire Fraser. – Ukłonił się lekko. Ton głosu wskazywał, że Karol został właśnie odprawiony. A że niezwykle być odprawiany, dostał wypieków i otworzył usta. Po chwili jednak odzyskał nad sobą kontrolę, ukłonił się płytko i odwrócił na pięcie.

– Strażnik też nie będzie nam potrzebny – zawołałam. Jego Wysokości opadły ramiona, a na karku pod peruką wystąpiły czerwone plamy, ale zagestykulował energicznie. Wartownik stojący przy drzwiach wyszedł ze

swym panem. Na odchodne rzucił mi zdziwione spojrzenie.

– Hmm. – Colum popatrzył ganiąco w kierunku drzwi, potem znowu zwrócił się do mnie. – Pragnąłem się z tobą zobaczyć, bo jestem ci winien przeprosiny – powiedział bez ogródek.

Oparłam się na krzesło i nonszalancko postawiłam sobie szklanę na brzuchu.

– Przeprosiny? – spytałam z taką dozą sarkazmu, jaką dało się zmieścić w krótkim pytaniu. – Za to, że chciałeś mnie spalić za czary? – Ręką wykonałam przebaczący gest miłosierdzia. – Dobrze, że ci się nie udało. – Gapiłam się na Columa. – Przeprosiny?!

Uśmiechnął się wcale nie zmieszany.

– Może są trochę nie na miejscu – zaczął.

– Nie na miejscu? Aresztowałeś mnie w lochu razem ze złodziejami na trzy dni bez jedzenia i picia. Kazałeś rozebrać mnie prawie do naga i wychłostać na oczach wszystkich mieszkańców Cranesmuir. O mały włos nie wylądowałam w kotle smoły i na stosie. – Przerwałam i wzięłam głęboki oddech. – Tak, ja też uważam, że są nie na miejscu – powiedziałam już nieco spokojniej.

Uśmiech zniknął z jego twarzy..

– Wybacz moją lekkomyślność. Nie zamierzałem kpić.

Przyjrzałam mu się dokładnie, ale nie dostrzegłam błysku wesołkowatości pod czarnymi rzęsami.

– Nie. – Wzięłam kolejny głęboki oddech. – Wcale pana o to nie podejrzewam.

Spodziewam się też, że za chwilę powie pan, że nie zamierzał mnie również aresztować za czary.

Szare oczy rozbłysły.

– Wiedziałaś?

– Geillis tak twierdziła. Kiedy siedzieliśmy w lochu. Mówiła, że chodziło panu o nią, a ja dostałam się tam przez przypadek.

– Mówiła prawdę. – Wyglądał na bardzo zmęczonego. – Dopóki byłaś na zamku, mogłem cię chronić. Po co, u diabła, poszłaś do wioski?

– Dowiedziałam się, że Geillis Duncan jest chora i posyła po mnie – odpowiedziałam krótko.

– Aha. Dowiedziałas się. Od kogo, jeśli wolno spytać?

– Od Laogharie. – Nadal nie mogłam powstrzymać wściekłości na sam dźwięk imienia dziewczyny. Kierowana zazdrością nie chciała dopuścić do mojego ślubu z Jamiem i rozmyślnie próbowała mnie zabić. Dość dużo złej woli jak na szesnastolatkę.

Do tej pory żyły we mnie mieszane uczucia: wściekłość i odrobina ponurej satysfakcji. On jest mój, myślałam prawie nieświadomie. Mój. Nigdy mi go nie odbierzesz. Nigdy.

– Rozumiem – odezwał się znowu Colum. Przyglądał się uważnie mojej zarumienionej twarzy. – Tego się właśnie domyślałem. Powiedz – ciągnął, unosząc jedną ciemną brew – czy, skoro zwykle przeprosiny są dla ciebie nie na miejscu, przyjmiesz w zamian zemstę?

– Zemstę? – Musiałam wyglądać na przerażoną tym pomysłem, bo Colum uśmiechnął się szeroko, choć niewesoło.

– Tak. Pół roku temu ta dziewczyna poślubiła

Hugha MacKenziego z Muldaur, jednego z moich cieśli. Zrobi z nią, co mu każę. Ty tylko wskaż rodzaj kary. Więc jak?

Zamrugałam gwałtownie zaskoczona propozycją. Nie okazywał zniecierpliwienia.

W milczeniu czekał na odpowiedź, sącząc brandy, którą przed chwilą nalał mu Angus Mhor. Nie patrzył na mnie, ale mimo to wstałam i podeszłam do okna, żeby przez moment być sama.

Ściany miały półtora metra grubości. Przyłgnęłam do muru i osadzonej w nim framugi okiennej. Promienie słońca rozświetlały delikatne jasne włoski na moich rękach wspartych na parapecie. Przypomni mi się loch – wilgotna, cuchnąca dziura, do której przez otwór na górze wpadał jeden tylko strumień światła, przez co ciemna jama jeszcze bardziej przypominała grób.

Pierwszy dzień spędziłam w chłodzie i brudzie przepelniona uczuciem całkowitego niedowierzania. Drugiego dnia ogarnęła mnie żalność przyprawiająca o dreszcze. Narastał strach, kiedy zaczęłam pojmować ogrom zdrady Geillis Duncan i karę, jaką przewidywał za to Colum. A trzeciego dnia zostałam zabrana na proces. Stałam zawstydzona i przerażona pod zniżającym się jesiennym niebem, zasnutym chmurami. Czułam, jak zaciska się na mnie potrzask, zastawiony przez Laogharie.

Laogharie. Dziewczyna o jasnej karnacji, błękitnych oczach i okrągłej, ładnej twarzy.

Nie wyróżniała się jednak niczym szczególnym spośród innych panien z Leoch. Myślałam o Laogharie. Tam, w lochu z Geillis Duncan miałam czas, żeby

rozważyć wiele spraw. Ale mimo przerażenia i wściekłości ani wtedy, ani teraz nie potrafiłam uznać dziewczyny za wcielonego diabła.

– Przecież ona miała dopiero szesnaście lat, na miłość boską!

– Wystarczający wiek do małżeństwa – odezwał się za mną sardoniczny głos. Dotarło do mnie, że głośno myślę.

– Tak, chciała Jamiego – powiedziałam, odwracając się. Colum w dalszym ciągu siedział na sofie. Pulchne nogi okrywała kapa. Angus Mhor stał w milczeniu i nie spuszczał oczu ze swojego mistrza. – Może wydawało jej się, że go kocha.

Mężczyźni mieli musztrę na dziedzińcu. Słysząc było krzyki i szczęk broni. Słońce odbijało się w metalu mieczy i muszkietów, co utrudniało trafienie do celu. Promienie lśniły też w czerwono-złoty włosach Jamiego, który akurat ocierał dłonią spoconą i zarumienioną od wysiłku twarz. Śmiał się z jakiejś śmiertelnie poważnej uwagi Murtagha.

Może mimo wszystko byłam wobec Laogharie niesprawiedliwa, oceniając, że jej uczucia nie dorównywały moim. Czy działała powodowana niedojrzałą złośliwością, czy prawdziwą pasją – tego nie dowiem się nigdy. W każdym razie poniosła porażkę.

Przeżyłam. I Jamie należał do mnie. Zobaczyłam, jak podciągnął kilt i ukradkiem podrapał się po tyłku. Słońce dotknęło rudawozłotego meszku, który łagodził żelazną twardość jego ud. Uśmiechnęłam się i wróciłam na krzesło obok Columa.

– Przyjmę przeprosiny.

Pokiwał głową. Patrzył zamyślonym wzrokiem.

– Wierzysz więc w łaskę?

– Raczej w sprawiedliwość. Nie uwierzę natomiast, że przebyłeś drogę z Leoch do Edynburga po to tylko, żeby mnie przeprosić. Podróż musiała być piekielną udręką.

– Rzeczywiście. – Ogromna milcząca masa w postaci Angusa Mhora przybliżyła się o centymetr do sofy. Masywna głowa skłoniła się w stronę dziedzica na znak wymownego potwierdzenia. Colum wyczuł ruch i uniósł lekko dłoń. Wydawało się, że tym samym mówi: W porządku, na razie sobie radzę.

– Nie – ciągnął dalej – właściwie nie wiedziałem, że jesteś w Edynburgu, dopóki Jego Wysokość nie wspomniał o Jamiem Fraserze. – Na jego twarzy pojawił się niespodziewanie uśmiech. – Jego Wysokość nie ma o tobie najlepszego zdania, Claire. Ale chyba o tym wiesz?

Zbyłam milczeniem tę uwagę.

– Więc naprawdę rozważasz możliwość przyłączenia się do księcia Karola?

Colum, Dougal i Jamie posiadali szczególną umiejętność skrywania myśli, ale z tej trójki Colum był w tym zdecydowanie najlepszy. Więcej by się człowiek dowiedział z popiersi wyrzeźbionych na fontannie zdobiącej dziedziniec niż od Columa, jeżeli akurat nie miał ochoty mówić.

– Przyjechałem, żeby się z nim spotkać – odparł jedynie.

Przez chwilę się zastanawiałam, co – jeśli w ogóle cokolwiek – powinnam powiedzieć w imieniu Karola.

Może lepiej zostawić to Jamiemu? W końcu fakt, że Colum wyraził skruchę, że omal mnie nie zabił przez przypadek, wcale nie oznaczał, że dowódca klanu musi mi ufać. Moja obecność przy księciu wprawdzie przemawiała za tym, że nie jestem angielskim szpiegiem, ale nie wykluczała, że nim jestem.

Ciągle debatowałam sama ze sobą, kiedy Colum nagle odstawił szklaneczkę z brandy i spojrzał mi prosto w oczy.

– Wiesz, ile wypilem od rana?

– Nie. – Ręce zgrubiałe od choroby, ale zadbane, wcale mu się nie trzęsły.

Zaczerwienienie powiek i lekkie przekrwienie oczu mogły być równie dobrze wynikiem trudów podróży, jak i picia. Nie bełkotał. Jedyne nieznaczący brak koordynacji ruchów wskazywał na to, że nie jest całkiem trzeźwy. Ale kiedyś widziałam, ile Colum potrafi pić.

Byłam pełna uznania dla jego możliwości.

Machnięciem ręki kazał odejść Angusowi Mhorowi.

– Pół butelki. Do wieczora ją skończę.

– Rozumiem. – To dlatego kazano mi przynieść pudło z lekarstwami. – Jeżeli musisz pić aż tyle brandy, to może ci pomóc jedynie środek na bazie opium. – Zaczęłam grzebać w swoim arsenale buteleczek i słoiczków. – Powinnam mieć gdzieś tutaj laudanum...

– Nie tego od ciebie potrzebuję. – Władczy ton głosu powstrzymał mnie od dalszego szukania. Spojrzałam na Columa. Kiedy chciał, zatrzymywał myśli dla siebie, ale potrafił je również uzewnętrznić, gdy się zdecydował.

– Laudanum mogę mieć bez trudu – oznajmił. –

Chyba jest w mieście jakiś aptekarz.

Co za różnica: wywar z maku czy czyste opium.

Zamknęłam skrzynkę i oparłam na wieku ręce. A więc nie zamierzał wykończyć się narkotykami, a tym samym zrezygnować z dowodzenia klanem. Jeżeli jednak nie chciał ode mnie chwilowego zapomnienia, to czego? Może wiecznego? Znałam Columa MacKenziego. Ten sam jasny, bezwzględny umysł, który zaplanował zniszczenie Geillis Duncan, nie zawahałby się unicestwić sam siebie.

Teraz wszystko stało się jasne. Przyjechał spotkać się z Karolem Stuartem, żeby podjąć ostateczną decyzję, czy poświęcić MacKenziech z Leoch sprawie jakobitów. Jeżeli do tego dojdzie, Dougal stanie na czele klanu. A wtedy...

– Wydawało mi się, że samobójstwo to grzech śmiertelny – powiedziałam.

– Chyba tak jest – zgodził się. – A przynajmniej grzech pychy, skoro sam wybieram czystą śmierć i decyduję o niej, jak mi wygodnie. Jednak nie przypuszczam, że będę zbyt cierpiał za moje przewinienie, bo nie wierzę w istnienie Boga, od kiedy skończyłem dziewiętnaście lat.

W pokoju zaległa cisza, wypełniona jedynie trzaskiem ognia w kominku i stłumionymi krzykami z pozorowanej bitwy, jaka toczyła się na zewnątrz. Słyszałam wolny i równomierny oddech Columa.

– Dlaczego prosisz akurat mnie? – spytałam. – Masz rację, wszędzie można kupić laudanum, za odpowiednią sumę, oczywiście. Z pewnością wiesz, że odpowiednia ilość tego leku cię zabije. To łatwa śmierć.

– Zbyt łatwa. – Pokręcił głową. – Niewiele mi zostało z życia, z wyjątkiem rozumu.

Zatrzymam go, nawet kiedy spotkam się ze śmiercią. A jeżeli chodzi o ulgę... – Poruszył się ostrożnie na sofie. Nie wysiłał się, by ukryć, że mu niewygodnie. – Niebawem będę jej miał pod dostatkiem. – Skinął głową w kierunku mojego pudła. – Pani Duncan dzieliła się z tobą wiedzą o lekach. Pomyślałem, że ci powiedziała, czego użyła, żeby uśmiercić swojego męża. Zrobiła to szybko i skutecznie – dodał z grymasem.

– Posłużyła się czarami, jak informuje wyrok sądu. – Sądu, który skazał ją na śmierć według twojego planu, skomentowałam w duchu. – A może nie wierzysz w czary?

Roześmiał się czysto i beztrzesko.

– Człowiek, który nie wierzy w Boga, nie może wierzyć w moc szatana.

Nadal się wahałam, ale Colum sądził ludzi tak samo złośliwie, jak samego siebie.

Zwrócił się do mnie z przeprosinami, zanim poprosił o przysługę, i zadowolił się tym, że miałam poczucie sprawiedliwości czy też łaski. I to było, jak stwierdził, właściwe.

Wyjęłam z pudła małą fioletową fiołkę z cyjankiem. Truciznę trzymałam na szczury.

– Dziękuję, Claire – powiedział bardzo oficjalnie, choć w jego oczach nadal igrał uśmiech. – Nawet gdyby mój bratanek tak wymownie nie dowiódł twojej niewinności w Cranesmuir, i tak nigdy nie uwierzyłbym, że jesteś czarownicą. Wprawdzie od naszego pierwszego spotkania niewiele więcej się o tobie dowiedziałem, ale

posądzenie ciebie o uprawianie czarów przez myśl mi nawet nie przeszło. – Przerwał i uniósł jedną brew. – Przypuszczam, że nadal nie masz ochoty powiedzieć, kim albo czym jesteś?

Zawahałam się przez chwilę. W końcu doszłam do wniosku, że człowiek, który nie wierzy ani w Boga, ani w diabła, tym bardziej nie do wiary w przyczynę mojej obecności w Holyrood. Lekko ścisnęłam jego palce, potem puściłam.

– Nazywaj mnie czarownicą. To chyba najlepsze określenie.

Wychodząc następnego ranka na dziedziniec, spotkałam na schodach lorda Balmerino.

– Och, pani Fraser! – przywitał mnie jowialnie. – Właśnie pani szukałam!

Posłałam mu miły uśmiech. Obecność pulchnego, promiennego człowieczka była osłodą życia w Holyrood.

– Jeżeli nie chodzi o gorączkę, krwotok albo ospę, czy możemy z tym chwilę poczekać? Mój mąż i jego wuj dają pokaz szkockiej walki na miecze na cześć Don Francisco de la Quintana.

– Och, naprawdę? Sam chciałbym to zobaczyć. – Balmerino szedł krok za mną, kiwając radośnie głową na wysokości mojego ramienia. – Bardzo mi się podobają przystojni mężczyźni z mieczem – oznajmił. – A wszystko, co sprawi przyjemność Hiszpanom, ma moje gorące poparcie.

– Moje też. – Jamie uważał, że noszenie korespondencji Jego Wysokości w Holyrood jest zbyt niebezpiecznym zajęciem dla Fergususa, dlatego jedynymi

informacjami, jakie posiadał, były te, które usłyszał bezpośrednio z ust Karola. Księżę traktował mojego męża jak swojego powiernika. Tylko Jamie spośród wszystkich dowódców dostąpił takiego wyróżnienia, mimo że jego finansowy i zbrojny wkład w sprawę Stuartów był niewielki.

Jeżeli chodzi o pieniądze, Karol pokładał ogromne nadzieje w Filipie Hiszpańskim.

Król niedawno przesłał na ręce Jakuba w Rzymie nad wyraz obiecujący list. Don Francisco nie był wprawdzie posłańcem, jednak zawsze członkiem hiszpańskiego dworu, dlatego z pełnym zaufaniem powierzono mu przekazanie raportu o postępach powstania Stuartów. Karol miał okazję zobaczyć, jak daleko może go zaprowadzić wiara w przeznaczenie – w to, że przekona zarówno dowódców klanów, jak i zagranicznych królów, by stanęli po jego stronie.

– Dlaczego pan mnie szukał? – spytałam, kiedy weszliśmy na ścieżkę okalającą dziedziniec Holyrood. Zgromadził się już tłumek widzów, ale nie pojawił się jeszcze ani don Francisco, ani żaden z dwóch rywali.

– Ach, tak! – Przypomniał sobie lord Balmerino i zaczął szperać w płaszczu. – Nic niezmiernie ważnego. Dostałem to od jednego z moich posłańców, a ten z kolei otrzymał od krewnego z południa. Pomyślałem, że mogą się pani spodobać.

Wręczył mi gruby plik zadrukowanych kartek. Ulotki, które właśnie trzymałam w dłoni, były w powszechnym obiegu, rozdawane w tawernach i roznoszone od drzwi do drzwi przez miasta i wioski.

„Niech wszystkim żyjącym będzie wiadomo, że Karol Edward Stuart – znany jako Młody Pretendent – zdeprawowany i niebezpieczny osobnik bezprawnie dotarł na wybrzeża Szkocji i wzniecił zamieszki wśród społeczności tego kraju oraz rozpętał wichry niesprawiedliwej wojny między niewinnymi obywatelami”.

Było tego jeszcze sporo, wszystko na tę samą nutę, zakończone napomnieniem skierowanym do „niewinnych obywateli”, żeby „zrobili, co w ich mocy, by książę dostał się w ręce sprawiedliwości, na którą tak bardzo zasługuje”. U góry widniała podobizna Karola. Rysunek nie przypominał za bardzo oryginału, ale niewątpliwie przedstawiał osobę „zdeprawowaną i niebezpieczną”, co zapewne stanowiło myśl przewodnią twórcy.

– Ten tekst jeszcze jest w miarę powściągliwy – wyjaśnił Balmerino, zerkając mi przez ramię. – W innych autorzy wykazali się bujniejszą wyobraźnią i użyli więcej inwektyw, ale proszę na to spojrzeć. To ja. – Z jawnym zadowoleniem pokazał kartkę.

Na ulotce widniała podobizna kościstego Szkota, z szerokimi bokobrodami, krzaczastymi brwiami i oczami miotającymi dzikie błyski spod szkockiej czapki.

Spojrzałam pytająco na lorda Balmerino. Miał na sobie, jak zwykle, bryczesy i płaszcz w najlepszym guście. Ubranie było z dobrego materiału, dostosowane krojem i kolorem do krępej postury arystokraty. Balmerino wpatrywał się w ulotkę, poklepując się po świeżo ogolonych policzkach.

– Nie wiem – powiedział. – Bokobrody dodają mi romantyzmu, prawda? Ale broda piekielnie kłuje. Nie

jestem pewien, czy bym to wytrzymał, nawet w imię tego, żeby być bardziej malowniczym.

Odwróciłam na następną stronę i niemal opuściłam cały plik.

– Nieco lepiej udało im się uchwycić podobieństwo pani męża – zauważył lord. – Rzeczywiście, nasz drogi Jamie ma wygląd odpowiadający ludowemu angielskiemu stereotypowi szkockiego rzeźmieszka. Pani wybaczy, nie chciałem urazić. Jest bardzo wysoki?

– Tak – zgodziłam się niemrawo, czytając uważnie oskarżenia z ulotki.

– Ha! Nie wiedziała pani, że mąż piecze i pożera małe dzieci, prawda? – kpił Balmerino. – Zawsze podejrzewałem, że zawdzięcza swój wzrost szczególnej diecie.

Lekceważące podejście, jakie miał do sprawy mały hrabia, dodało mi siły. Mało brakowało, żebym i ja się roześmiała z idiotycznych zarzutów i opisów. Zastanawiałam się, czy adresaci ulotek dadzą temu wszystkiemu wiarę. Obawiałam się, że tak. Ludzie bardzo często nie tylko chcą, ale wprost palą się do tego, by uwierzyć w najgorsze.

– Tym chyba najmniej będzie pani zainteresowana – wyrwał mnie z zamyślenia Balmerino, wymachując przedostatnią kartką.

„Czarownica Stuarta”, widniało w nagłówku. Spoglądała na mnie długonosa kobieta z oczami jak główki od szpilek. Poniżej znajdował się tekst, w którym oskarżano Karola, że wzywa „moce ciemności”, żeby go wsparły w bezprawnej walce. Pisano, że księżę trzyma w

swojej świecie znaną czarownicę, która potrafi rozporządzać życiem i śmiercią, jak również odczyniać bardziej przyziemne czary – na przykład może niszczyć zbiory, zabijać bydło i sprowadzać ślepotę. Tym samym Jego Wysokość udowodnił, że zaprzedał duszę diabłu. Dlatego „będzie się smażył w piekle na wieki!”, jak radośnie głosiło końcowe zdanie wywodu.

– Domyślam się, że chodzi o panią – stwierdził Balmerino. – Ale zapewniam, moja droga, że z obrazka nie można tego wywnioskować.

– Bardzo wesołe. – Oddałam plik lordowi. Z trudem oparłam się chęci wytarcia rąk o spódnicę. Zrobiło mi się niedobrze, ale uśmiechnęłam się do Balmerino. Spojrzał na mnie przenikliwie, a potem chwycił za łokieć.

– Proszę się nie martwić – powiedział pokrzepiająco. – Kiedy już Jego Majestat odzyska koronę, wszystkie te bzdury pójdą w zapomnienie. W społeczeństwie jest tak, że dzisiejszy opryszek jutro zostanie uznany za bohatera. Widziałem to wiele razy.

– *Plus ça change, plus c'est la meme chose** [*Im więcej się coś zmienia, tym bardziej jest to ta sama rzecz.] – wyszeptalam. – A jeżeli król Jakub nie odzyska korony...

– A jeżeli nasze wysiłki nieszczęśliwie okazałyby się próżne – odezwał się Balmerino, niczym echo moich myśli – to, co piszą w ulotkach, będzie naszym najmniejszym zmartwieniem.

– *En garde.* – Dougal ustawił się w klasycznej pozycji do pojedynku, bokiem do swoje – go przeciwnika. Zgiął rękę, w której trzymał miecz. Ostrze ustawił w pozycji „gotów”. Drugie ramię z tyłu tworzyło zgrabny łuk,

luźno opuszczona dłoń otwarcie dowodziła, że Dougal nie ma zapasowego sztyletu.

Miecze Jamiego i Dougala skrzyżował się ze zgrzytem.

– *Je suis prest.* – Jamie dostrzegł moje spojrzenie. Przez twarz przemknęła mu iskierka wesołości. Zwyczajową odpowiedzią biorącego udział w pojedynku było hasło jego klanu. *Je suis prest.* „Jestem gotów”.

Przez chwilę pomyślałam, że może nie jest, i mimowolnie westchnęłam, kiedy Dougal wykonał gwałtowny ruch błyszczącym mieczem. Ale Jamie spostrzegł zamiar przeciwnika i zrobił błyskawiczny unik.

Krok w bok, krótkie starcie ostrzy, kontrwypad, w którym ostrza przywierały do siebie na całą długość. Oba miecze stykały się ze sobą przy rękojeści jedynie przez sekundę. Potem zawodnicy rozdzielali się, cofali, obracali i znowu przystępowali do ataku.

Szcęk i brzęk, wypad, wymiana ciosów w tercji i Jamie znalazł się o centymetr od biodra Dougala. Przemknął zręcznie obok w zielonym kilcie. Rewanż, uchYLENIE, szybki cios górą, odparcie atakującego ostrza. Dougal doskoczył, zmuszając Jamiego do wycofania się o krok.

Don Francisco stał po drugiej stronie dziedzińca z Karolem, Sheridanem, starszym Tullibardinem i kilkoma innymi mężczyznami. Usta Hiszpana rozciągnęły się w uśmiechu pod lśniącem wąsikiem, ale nie byłam w stanie stwierdzić, czy z podziwu dla zawodników, czy też po prostu dla odmiany od zwykle wyniosłego wyrazu twarzy.

Columa nigdzie w pobliżu nie zauważyłam. Nic

dziwnego, z reguły niechętnie pojawiał się w miejscach publicznych, a teraz był w dodatku wyczerpany podróżą do Edynburga.

Obaj utalentowani przeciwnicy – i obaj leworęczni – wuj i siostrzeniec, dawali zręczny pokaz, który wywierał tym większe wrażenie, że walczyli według najściślejszych zasad szermierki francuskiej. Nie używali podobnych do rapiera sztyletów ani szabli żołnierskich. Zamiast tego wywijali szerokimi mieczami, metrowej długości kawałkami hartowanej stali, tak ostrymi, że można było nimi rozłupać głowę. Posługiwali się tą ciężką bronią z gracją i zręcznością, na jaką nie mógłby sobie pozwolić ktoś mniejszej postury.

Karol szepnął coś na ucho hiszpańskiemu lordowi. Don Francisco przytaknął. Jednak ani na chwilę nie odrywał oczu od walki, która toczyła się na trawiastym dziedzińcu.

Jamie i jego wuj, podobni do siebie pod względem budowy i zręczności, sprawiali wrażenie, że chcą się pozabijać. To Dougal uczył Jamiego sztuki władania mieczem, więc wiele razy wcześniej walczyli ze sobą, bok przy boku, ramię przy ramieniu. Znali subtelności stylu przeciwnika i swoje – a przynajmniej taką miałam nadzieję.

Dougal zdobył przewagę. Podwójnym wypadem popchnął Jamiego w kierunku krańca dziedzińca. Jamie uskokzył szybko, odepchnął miecz Dougala jednym uderzeniem, potem wymierzył cios z taką szybkością, że miecz przeszedł przez tkaninę na prawym rękawie koszuli wuja. Słysząc było głośny trzask rozpruwanego materiału. Pasek białego lnu zawisł u ręki Dougala i swobodnie

powiewał na wietrze.

– Och, ładnie się wybronił! – Odwróciłam się, żeby zobaczyć, kto to powiedział. Obok siebie zobaczyłam lorda Kilmarnocka. Poważny mężczyzna o przeciętnym wyglądzie, około trzydziestki oraz jego młodszy syn, Johnny, również byli gośćmi na zamku Holyrood.

Z początku nie dostrzegłam Kilmarnocka juniora, więc rozejrzałam się dokoła.

W końcu zauważyłam chłopca – stał po drugiej stronie ojca. Przyglądał się walce z otwartą buzią. Kątem oka zauważyłam niewielką sylwetkę daleko pod kolumną. To Fergus. Czarnymi oczami wpatrywał się w Johnny’ego. Zmarszczyłam brwi i zmierzyłam małego Francuza groźnym wzrokiem.

Johnny aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że jest dziedzicem Kilmarnocka, a jeszcze bardziej był świadom przywileju, że w wieku zaledwie dwunastu lat może wyruszyć na wojnę wraz z ojcem i bardzo to podkreślał w obecności innych chłopców. Oni natomiast albo unikali Johnny’ego, albo też uzbrajali się w cierpliwość i czekali, aż odważy się wyjść spod bezpiecznego ojcowskiego ramienia.

Fergus oczywiście znalazł się w grupie przeciwników młodego Kilmarnocka. Przed paroma dniami nasz podopieczny został siłą odciągnięty od Johnny’ego, którego napadł w ogródku skalnym. Fergus chciał się zemścić za niewybredną uwagę dwunastolatka pod adresem „dziedziców w szkockich czapkach”. Słowa Kilmarnocka potraktował bowiem – całkiem słusznie – za obrazę Jamiego. Mój mąż prędko wymierzył sprawiedliwość,

stosując karę cielesną. Potem pouczył Fergusa, że lojalność to cecha godna podziwu i wysoko ceniona przez tego, kto jej doświadcza, głupotę natomiast należy tępić.

– Ten chłopak jest o dwa lata od ciebie starszy i o wiele cięższy – powiedział, tarmosząc Fergusa lekko za ramię. – Myślisz, że pomógłbyś mi tym, że oberwałbyś po łbie? Czasami trzeba walczyć bez względu na cenę, ale czasem lepiej ugryźć się w język i czekać na właściwy moment. *Ne petez plus haut que votre cull.* * [*Wyżej tyłka nie podskoczysz.]

Fergus przytaknął i końcem koszuli otarł łzy z policzków. Miałam jednak wątpliwości, czy słowa Jamiego wywarły na nim jakiegokolwiek wrażenie. Nie spodobało mi się spojrzenie, jakie przed chwilą zobaczyłam w szeroko otwartych oczach Fergusa. Coś kombinował. Pomyślałam, że gdyby Johnny był choć trochę mądrzejszy, stanąłby pomiędzy mną a swoim ojcem.

Jamie przyklęknął na kolanie i wykonał mordercze pchnięcie w górę. Miecz świsnął obok ucha Dougala. MacKenzie odskoczył do tyłu. Przez moment wyglądał na przestraszonego. Potem uśmiechnął się szeroko, ukazując rząd białych zębów, i machnął ostrzem nad głową Jamiego.

Rozległy się oklaski z przeciwnego krańca trawnika. Walka przeistaczała się z eleganckiego francuskiego pojedynku w szkocką potyczkę. Widzowie najwyraźniej nieźle się bawili.

Lord Kilmarnock, który również usłyszał brawa, spojrział na drugą stronę dziedzińca i wykrzywił twarz w gorzkim grymasie.

– Doradcy Jego Wysokości zebrali się, żeby poznać

Hiszpana – zauważył sarkastycznie. – O’Sullivan i ten stary przyk Tullibardine. Czy książkę słucha rad lorda Elcho? Balmerino, Lochiela albo mojej skromnej osoby?

Pytanie było całkiem retoryczne, więc wydałam z siebie jedynie pomruk współczucia.

Cały czas wpatrywałam się w walczących. Brzęk stali niemal zagłuszył słowa Kilmarnocka, który nie mógł powstrzymać strumienia gorzkości.

– Nie, skąd! O’Sullivan, O’Brien i pozostali Irlandczycy nic nie ryzykują. Jeżeli stanie się najgorsze, mogą ubiegać się o ochronę przed procesem z powodu swojej narodowości.

Ale my! My ryzykujemy posiadłości, honor, ba, życie! I nas się lekceważy, traktuje jak zwykłych żołnierzy. Wczoraj powiedziałem Jego Wysokości: „Dzień dobry”, a on przeszedł obok mnie, z zadartym nosem, tak jakbym uchybił etykiety, zwracając się do niego w ten sposób!

Kilmarnock kipiał wściekłością, zresztą całkiem słusznie. Karol lekceważył mężczyzn, do których wcześniej się wdzięczył. Najpierw zabiegał o to, by wsparli jego przedsięwzięcie, później ich odrzucił. Zwrócił się do swoich starych doradców z kontynentu, a większa część tych ludzi uważała Szkocję za głuchą dziczą, a jej mieszkańców niemal za barbarzyńców.

Dougal wydał okrzyk zaskoczenia. Jamie roześmiał się dziko. Rozdarty lewy rękaw koszuli odsłaniał gładkie brązowe ciało Dougala, nie zeszpecone zadrażnieniem ani choćby kroplą krwi.

– Zapłacisz mi za to, Jamie – krzyknął potężny Szkot i uśmiechnął się szeroko.

Krople potu ściekały mu po twarzy.

– Czyżby, wuju? – wysapał Jamie. – Czym? – Błysk ostrza, po mistrzowsku wycelowanego, i Dougal został bez skórzanej torby. Oderwana od paska, poleciała ponad kamieniami.

Kątem oka dostrzegłam ruch. Gwałtownie odwróciłam głowę.

– Fergus! – zawołałam.

Kilmarnock spojrział w tym samym kierunku, co ja i również zobaczył Fergus.

Chłopak trzymał w ręce długi kij, w sposób tak zaciekły, że może byłoby to śmieszne, gdyby nie stanowiło zagrożenia.

– Proszę się nie martwić, pani Broch Tuarach – powiedział lord Kilmarnock po krótkiej ocenie sytuacji. – Może być pani pewna, że mój syn w razie potrzeby potrafi obronić się honorowo. – Uśmiechnął się pobłaźliwie do Johnny’ego i znów odwrócił się w stronę walczących mężczyzn. Ja również skierowałam wzrok na pole walki. Cały czas jednak nastawiałam ucho w stronę Johnny’ego. Nie uważałam, że Fergus nie ma poczucia honoru. Po prostu odnosiłam wrażenie, że różniło się ono znacznie od tego, jak pojmował tę zaletę lord Kilmarnock.

– *Gu leoir!* – Na okrzyk Dougala walka nagle ustała. Spoceni niemiłosiernie obaj mężczyźni uklonili się klaszczącej publiczności i wyszli naprzód, żeby przyjąć gratulacje i przedstawić się hiszpańskiemu dostojnikowi.

– Milordzie! – zawołał wysoki głos zza kolumn. – Proszę, *le parabola!*

Jamie odwrócił się z wyrazem dezaprobaty na

twarzą dla przeszkadzającego, ale potem wzruszył ramionami, uśmiechnął się i z powrotem stanął na środku dziedzińca. *Le parabola*, tak Fergus nazywał tę wyjątkową sztukę.

Jamie złożył lekki ukłon Jego Wysokości, po czym ostrożnie wyjął miecz i złapał go za brzeg ostrza. Pochylił się nieznacznie, uniósł broń i zamaszystym ruchem wyrzucił pionowo w powietrze. Oczy wszystkich zgromadzonych zwrócone były na mieniący się w słońcu metal. Miecz obracał się i obracał z taką inercją, że wydawało się, jakby przez chwilę po prostu wisiał w powietrzu. Potem ostrze wbiło się w ziemię.

Na tym właśnie polegała cała sztuka. Jamie dodawał jej smaku, stając bezpośrednio na linii łuku spadającego oręża. Odskakiwał w ostatniej chwili.

Miecz wbił się w ziemię, tuż przy nogach Jamiego, przy wtórce zbiorowej: „ach”.

Dopiero kiedy Jamie się schylił, żeby wyciągnąć miecz z trawy, zobaczyłam, że w szeregach widowni zabrakło dwóch osób.

Jedna – dwunastoletni dziedzic Kilmarnock – leżał twarzą do ziemi na murawie. Na jego głowie, między rzadkimi brązowymi włosami, już wyrastał guz. Drugiego obserwatora nie było nigdzie w zasięgu wzroku, ale dobiegł mnie cichy szept od strony cieni spoza mnie.

– *Ne petez plus haut que votre cul.* – Słowa były wypowiedziane z ogromną satysfakcją. Wyżej tyłka nie podskoczysz.

Pogoda była nadzwyczaj ładna, jak na listopad. Niebo przedarło się z chmur.

Jesienne słońce opromieniało szarość Edynburga. Skorzystałam z chwilowego ciepła i wyszłam na chwilę na dwór. Prawie na czworakach podziwiałam skalniak przy zamku Holyrood ku zdziwieniu kilku Szkotów. Wałęsali się po dworze i na swój sposób rozkoszowali się słońcem, popijając z dzbanka whisky domowej roboty.

– Łapie pani motyle? – zawołał jeden z mężczyzn.

– Nie, pewnie elfy, a nie robale – zażartował inny.

– Chyba prędzej wy znajdziecie jakieś tajemnicze istoty w tym dzbanku niż ja pośród kamieni – odparowałam.

Szkot podniósł gliniane naczynie, zmrużył jedno oko i teatralnie zajrzał do środka.

– Tak, o ile nie ma w nim robali – odpowiedział i pociągnął duży łyk.

Właściwie to, na co poluję, wydałoby im się równie bezsensowne jak polowanie na robaki, pomyślałam. Wykopałam otoczaka i oskrobałam go delikatnie małym scyzorykiem. Na mojej ręce znalazło się kilka płatków pokrytych pomarańczowo-brązowym meszkiem. Z należytą ostrożnością umieściłam je w taniej metalowej tabakierce, w której przechowywałam z trudem zdobyte skarby.

Kosmopolityczna atmosfera panująca w Edynburgu wpływała również na przebywających tu wieśniaków. W zapadłej górskiej wiosce na takie zachowanie patrzono by podejrzliwie, jeżeli nie z otwartą wrogością. W Edynburgu moje działania wydawały się zaledwie niegroźnym dziwactwem. Szkoci traktowali mnie z ogromnym szacunkiem.

Bardzo ucieszył mnie fakt, że nie wiązało się to ze

strachem.

Zostało mi wybaczone nawet angielskie pochodzenie, kiedy okazało się, kim jest mój mąż. Podejrzewam, że nigdy nie dowiem się więcej o dokonaniach Jamiego pod Preston poza tym, co sam mi powiedział, ale cokolwiek to było, wywarło na Szkotach ogromne wrażenie. Obecność „Rudego Jamiego” wywoływała krzyki i gwizdy, gdziekolwiek się pojawił.

Tak naprawdę żywiołowe reakcje pobliskich wieśniaków zwróciły moją uwagę właściwie z tego powodu. Rozejrzałam się i zobaczyłam Rudego Jamiego. Spacerował po łące. Zdawkowo pomachał ręką do mężczyzn, jednocześnie badawczo się przyglądając zwartym skałom za pałacem.

Jego twarz rozpromieniła się, kiedy mnie zobaczył. Przeszedł po trawie do miejsca, gdzie klęczałam na skale.

– Tutaj jesteś – powiedział. – Możesz pójść ze mną na chwilę? Weź ze sobą swój koszyk.

Wstałam, otrzepałam siano z sukni i wrzuciłam scyzoryk do koszyka.

– Dobrze. Dokąd idziemy?

– Colum życzy sobie z nami rozmawiać. Z obojgiem.

– Gdzie? – spytałam. Wyciągałam nogi, jak mogłam, żeby dorównać mężowi kroku.

– W kościele w Canongate.

Interesujące. Jakikolwiek był powód, dla którego Colum pragnął się z nami zobaczyć, jasne było, że nie chciał, by o naszym spotkaniu wiedziano w Holyrood.

Jamie wolał zachować to w tajemnicy. Dlatego

kazał mi wziąć koszyk. Kiedy przechodziłam przez bramę, wyglądało na to, że niosę zakupy albo idę roznieść lekarstwa mężczyznom i ich rodzinom rozlokowanym na przedmieściach Edynburga.

Główna ulica Edynburga pięła się stopniowo w górę. Holyrood usadowiło się godnie u jej stóp. Skrzypiąca brama pobliskiego opactwa tworzyła klimat błęgiego bezpieczeństwa. Opactwo stało wyniośle w obecności groźnie wyglądającego zamku edynburskiego, który usadowił się na skalistym zboczu. Pomiędzy dwoma zamkami wznosił się Trakt Królewski pod ostrym kątem nachylenia czterdziestu pięciu stopni.

Dostałam zadyszki. Szłam z wypiekami na twarzy u boku Jamiego. Zastanawiałam się, jak, na Boga, Colum MacKenzie pokonał kilkaset metrów wybrukowanego wzniesienia z pałacu do kościoła.

Zastaliśmy Columa na placu kościelnym. Siedział na kamiennej ławce. W późno-popołudniowym słońcu ogrzewał plecy. Laska z tarniny leżała tuż za nim, krótkie powykręcane nogi zwisały kilka centymetrów nad ziemią. Zgarbił plecy i skłonił głowę w zamyśleniu. Z daleka przypominał gнома, mieszkańca ogrodu ustawionego między pochylonymi skałami i płaskimi kamieniami. Dostrzegłam rzadki okaz na zardzewiałej bramie, ale chyba lepiej było się nie zatrzymywać.

Chociaż szliśmy bezgłośnie po trawie, Colum podniósł głowę, kiedy byliśmy jeszcze daleko. Przynajmniej z jego zmysłami wszystko w porządku, pomyślałam.

Kiedy się zbliżaliśmy, nieznacznie poruszył się cień

pod pobliską lipą. Zmysły Angusa Mhora również okazały się bardzo wyczulone. Wielki służący ucieszył się, że to my, i znowu zajął się pilnowaniem w milczeniu. Stał się częścią krajobrazu.

Colum skinął głową na powitanie i wskazał miejsce obok siebie. Z bliska nie sprawiał wrażenia gnoma, mimo że jego ciało było powykręcane. Kiedy się z nim stało twarzą w twarz, odbierało się go po prostu jako mężczyznę.

Jamie posadził mnie na leżącym opodal nagrobku, potem zajął miejsce wskazane przez Columa. Marmur okazał się zadziwiająco zimny, mimo że miałam na sobie grube spodnice. Przesunęłam się nieco, bo gniotła mnie wyrzeźbiona na pomniku czaszka i szkielet. Przeczytałam epitafium wykute pod spodem: *Tu leży Martin Elginbrod,*

Zmiłuj się, Panie, nad moją duszą,

Bo byłem dla niego dobry jak Bóg,

Okaż mi łaskę za Martina Elginbroda.

Uśmiechnęłam się. Jamie uniósł brew ostrzegawczo, potem odwrócił się do Columa.

– Chciał się wuj z nami widzieć.

– Mam do ciebie pytanie, Jamie Fraserze – powiedział bez zbędnych wstępów Colum.

– Czy uważasz mnie za swojego krewnego?

Jamie milczał przez chwilę. Z uwagą przyglądał się twarzy wuja. Uśmiechnął się mdło.

– Masz oczy mojej matki. Czy mogę temu zaprzeczyć?

Colum przez moment wyglądał na przerażonego. Jego oczy były jasne, szare jak gołębie skrzydła, gęsto osłonięte czarnymi rzęsami. Były piękne mimo stalowego

chłodu.

Nie po raz pierwszy zastanowiłam się, jak wyglądała matka Jamiego.

– Pamiętasz swoją matkę? Byliście dziećmiakami, kiedy umarła.

Jamie wykrzywił lekko usta, ale odpowiedział spokojnie:

– Wystarczająco dużymi. Poza tym nieraz słyszałam, że trochę jestem do niej podobny.

Colum się zaśmiał.

– Nawet bardziej niż trochę. – Przyjrzał się bacznie Jamiemu, mrużąc oczy w jasnym słońcu. – O, tak, chłopcze, jesteś synem Ellen, bez wątpienia. Po pierwsze: te włosy... – Machnął bezładnie ręką w stronę włosów Jamiego, które migotały w kolorach kasztanowym i bursztynowym, cynoberowym i krasym, tworząc gęstą, falującą masę o tysiącu odcieni złota i czerwieni. – I te usta. – Wargi Columa uniosły się w jednym kąciku, jakby na mgliste wspomnienie. – Szerokie niczym u kozodoja. Tak się z nią drażniłem. Mogłabyś łapać muchy jak ropucha, bo masz długi jęzor, mówiłem do Ellen.

Jamie zaskoczony roześmiał się.

– Willie kiedyś tak do mnie powiedział. – Jego pełne usta zamknęły się. Rzadko mówił o swoim zmarłym starszym bracie i chyba nigdy nie wspominał o nim przy Columie. Jeżeli nawet Colum spostrzegł, że siostrzeńcowi się to wymknęło, nie dał tego po sobie poznać.

– Napisałem do niej wtedy. – Patrzył z roztargnieniem na pobliski kamień. – Kiedy twój brat i niemowlę umarli na ospę. To był pierwszy raz, odkąd

opuściła Leoch.

– Zaczy odkąd poślubiła mojego ojca?

Colum przytaknął. Patrzył w dal.

– Tak. Była starsza ode mnie dwa lata. Podobnie jak Jenny od ciebie. – Głęboko osadzone szare oczy spojrzały z powrotem na Jamiego. – Nie znam twojej siostry. Blisko ze sobą jesteście?

Jamie się nie odezwał. Skinął tylko głową i spojrział uważnie na wuja, jakby szukał na jego zmęczonej twarzy odpowiedzi.

Colum również skinął głową.

– Mnie i Ellen też łączyła silna więź. Byłem cholernym słabeuszem i ona bardzo się o mnie troszczyła. Pamiętam blask słońca w jej włosach, kiedy opowiadała mi bajki, jak leżałem w łóżku. Nawet później... – jego usta o subtelnym kształcie uniosły się w delikatnym uśmiechu – ...kiedy moje nogi zaczęły szwankować. Zawsze wpadała do mojego pokoju, żeby mi opowiedzieć, z kim się widziała i o czym rozmawiali. Gadaliśmy o parobkach i cieślach, i o tym, co można ulepszyć. Wtedy już byłem żonaty, ale Letitia nie miała głowy do takich spraw, zresztą wcale jej nie interesowały.– Lekceważąco machnął ręką na wspomnienie swojej żony. – Rozmawialiśmy, czasami sami, czasem jeszcze z Dougalem, jak najlepiej utrzymać klan, jak zachować pokój między klanami, jakie nawiązać układy, jak rozporządzać ziemią i drewnem... A potem wyjechała – powiedział obcesowo. Utkwił wzrok w swoich szerokich dłoniach, które położył na kolanach. – Odeszła bez słowa pożegnania. Opuściła Leoch. Zawsze słyszałem o niej od innych, teraz i wtedy, ale od niej... nic.

– Nie odpowiedziała na list? – spytałam łagodnie.
Nie chciałam się wtrącać.

Potrząsnął głową, ciągle patrząc w dół.

– Była chora, straciła dziecko, też z powodu ospy.
Może i miała zamiar napisać, to w końcu nic trudnego. –
Uśmiechnął się przelotnie, ale nie był to uśmiech radości,
jego twarz spochmurniała.– Rok później, w Boże
Narodzenie już nie żyła.

Spojrzał Jamiemu w twarz.

– Byłem trochę zaskoczony, kiedy twój ojciec
napisał do mnie, że oddaje cię do Dougala i chce, żebyś
potem przyjechał na pewien czas do Leoch na
przeszkolenie.

– Tak zostało ustalone, kiedy się pobierali –
wyjaśnił Jamie. – Miałem terminować u Dougala, a później
pojechać do ciebie. – Podmuch wiatru zmiótł suchą kupkę
liści modrzewiu. Jamie i Colum zgarbili się pod wpływem
chłodu. Sposób, w jaki to zrobili, jeszcze bardziej wydobył
rodzinne podobieństwo.

Colum zauważył, że się uśmiecham na ten widok, i
w odpowiedzi uniósł jeden kącik ust.

– O, tak – odpowiedział Jamiemu. – Ale
zobowiązania są tyle warte, ile ludzie, którzy je podejmują.
A ja wtedy jeszcze nie znałem twojego ojca.

Otworzył usta, żeby kontynuować, ale chyba się
rozmyślił i nie powiedział tego, co zamierzał. Cisza
panująca na placu kościelnym stała się wszechobecna,
wypełniała próżnię, zupełnie jakby nigdy wcześniej nie
padło ani jedno słowo.

W końcu jednak Jamie przerwał milczenie.

– Co wuj myślał o moim ojcu? – W tonie jego głosu wychwyciłam ciekawość dziecka, które wcześniej straciło rodziców i szuka wskazówek, by określić tożsamość ludzi pamiętanych jedynie z dziecięcej perspektywy. Rozumiałam tę potrzebę. Wszystko, co wiedziałam o moich rodzicach, wyciągnęłam z pobieżnych i nie satysfakcjonujących odpowiedzi wuja Lamba. Z natury nie lubił roztrząsać problemów.

Colum wręcz przeciwnie.

– Pytasz, jaki był? – Przyjrzał się uważnie siostrzeńcowi. Chrząknął zaskoczony. – Spójrz w lustro. Zobaczysz twarz matki, ale popatrzą na ciebie te cholerne Fraserowskie kocie oczy. – Wyprostował się i usiadł wygodniej na porośniętej kamiennej ławce.

Z przyzwyczajenia zaciskał usta, żeby nie pozwolić ujść żadnemu okrzykowi bólu.

Wiedziałam, od czego powstały głębokie bruzdy między jego ustami a nosem.

– Wracając jednak do twojego pytania – ciągnął, już trochę rozluźniony. – Nie przepadałem za nim zbyt. On za mną również. Ale od razu byłem pewien, że jest człowiekiem honoru. – Przerwał. Po chwili dokończył łagodnie: – To samo myślę o tobie, Jamie MacKenzie-Fraserze.

Jamie nadal miał kamienną twarz, ale lekko zdrzały mu powieki, co mógł zauważyć jedynie ktoś, kto znał go tak dobrze, jak ja, albo był tak wnikliwym obserwatorem jak dowódca klanu MacKenziech.

Colum wypuścił powietrze w długim westchnieniu.

– I dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Muszę

podjąć decyzję, czy klan MacKenziech z Leoch stanie po stronie króla Jakuba czy króla Geordiego. – Uśmiechnął się gorzko. – To i tak chyba wybór między diabłem znanym a tym, którego się nie zna.

Muszę go jednak dokonać.

– Dougal... – zaczął Jamie, ale wuj przerwał mu gwałtownym ruchem ręki.

– Wiem, co myśli Dougal. Trochę odpocząłem od tego przez ostatnie dwa lata – powiedział niecierpliwie. – Ale to ja jestem MacKenzie z Leoch i to ja muszę podjąć decyzję. Dougal podporządkuje się moim postanowieniom. Chciałbym usłyszeć, co ty mi radzisz, przez pamięć na to, że w twoich żyłach płynie krew tego klanu.

Jamie spojrział w górę. Jego ciemnoniebieskie zimne oczy zmrużyły się przed popołudniowym słońcem, które świeciło mu w twarz.

– Ja jestem tutaj razem ze swoimi ludźmi. Czy na pewno moje zdanie będzie obiektywne?

Colum znowu się poruszył. Uważnie przysłuchiwał się słowom siostrzeńca, jakby chciał uchwycić jakikolwiek szczegół w jego głosie, który dałby wskazówkę.

– Mężczyźni składają przyrzeczenie lojalności z wielu powodów, ale tylko niewielką część wypowiadają na głos. Dyskutowałem już z Lochielem, Clanraldem, Angusem i Aleksem MacDonaldem ze Scotus. Myślisz, że są tu tylko dlatego, że uważają Jakuba Stuarta za prawowitego króla? Teraz rozmawiam z tobą i chcę usłyszeć prawdę.

Jamie się wahał, Colum ciągnął więc dalej, przesywając siostrzeńca wzrokiem.

– Nie pytam ze względu na siebie. Jeżeli masz oczy, to widzisz, że ten problem już długo nie będzie zaprzętał mi głowy. Ale chodzi o Hamisha. Nie zapominaj, że jest twoim kuzynem. Jeżeli chcę, żeby istniał klan, na którego czele stanie, gdy osiągnie odpowiedni wiek, muszę dokonać właściwego wyboru.

Skończył mówić i siedział sztywno. Z jego twarzy zniknął wyraz przezorności. Szare oczy, szeroko otwarte, czekały.

Jamie również zastygł jak marmurowa rzeźba anioła znajdująca się tuż za nim na grobie. Wiedziałam, co go martwi, choć rysy twarzy pozostały surowe i nieprzeniknione.

Jamiego rozdzierała ta sama wątpliwość, z jaką musieliśmy sobie poradzić przy wybieraniu mężczyzn z Lallybroch. Losy powstania Karola zawisły na ostrzu miecza.

Dołączenie się tak wielkiego klanu, jak klan MacKenziech z Leoch mogło być zachętą do przyłączenia się dla innych. Masowe wsparcie młodego pretendenta doprowadziłoby do zwycięstwa. Ale jeśli powstanie zakończyłoby się klęską, dla MacKenziech byłby to koniec.

Wreszcie Jamie odwrócił gwałtownie głowę i spojrzał na mnie. Ty też masz coś do powiedzenia. Co powinienem zrobić?, pytały jego oczy.

Wiedziałam, że przygląda mi się również Colum. Bardziej czułam, niż widziałam pytająco uniesione krzaczaste, ciemne brwi. Oczami duszy zobaczyłam młodego Hamisha, rudowłosego dziesięciolatka. Był na tyle podobny do Jamiego, że mógłby uchodzić za syna, a nie

kuzyna. Zastanawiałam się, w jakim stopniu na życiu chłopca i na życiu całego klanu MacKenziech z Leoch może zaważyć przyłączenie się do Karola w Culloden. Ludzie z Lallybroch mieli Jamiego, który uratuje ich od końcowej rzezi, jeżeli do niej dojdzie. Mężczyźni z Leoch postawieni byłiby samym sobie. Ale wybór nie należał do mnie. Wzruszyłam ramionami i pochyliłam głowę. Jamie wziął głęboki oddech i zdecydował.

– Wracaj do domu, do Leoch, wuju – powiedział. – I niech twoi ludzie tam zostaną.

Colum siedział przez długi czas bez ruchu i patrzył na mnie. W końcu kąciki jego ust powędrowały do góry, ale nie w uśmiechu.

– Chciałem powstrzymać Neda Gowana, kiedy szedł ocalić cię od spalenia – wyszeptał. – Chyba się cieszę, że tego nie zrobiłem.

– Dziękuję – odpowiedziałam chłodnym tonem.

Westchnął. Potarł kark zgrubiałą dłonią, jakby to ciężar przywództwa sprawiał mu ból.

– Dobrze. Rano spotkam się z Jego Wysokością i przedstawię mu swoją decyzję. – Opuścił rękę i położył ją bezwładnie na kamiennej ławce. – Dziękuję ci, Jamie, za radę. – Zawahał się, a po chwili dodał: – Niech Bóg cię prowadzi.

Jamie pochylił się do przodu i położył dłoń na dłoni Columa. Uśmiechnął się szerokim, słodkim uśmiechem swojej matki i powiedział: – Ciebie również, krewniaku.

Na Trakcie Królewskim panował ruch. Wielu ludzi wykorzystywało krótkie godziny ciepła. Szliśmy w milczeniu wśród tłumu. Wzięłam Jamiego pod rękę.

Potrząsnął głową i wymamrotał coś do siebie po celtycku.

– Postąpiłeś właściwie – powiedziałam w odpowiedzi raczej na jego myśli, nie słowa.

– Zrobiłabym tak samo. Cokolwiek się stanie, przynajmniej MacKenzie będą bezpieczni.

– Tak, może. – Skinął głową do mijającego nas oficera, który przeciskał się przez tłum. – Ale co z resztą? MacDonaldami, MacGillivrayami i innymi? Zginą, choć może by ocaleli, gdybym zdobył się na odwagę i powiedział Columowi, żeby się przyłączył. – Znów potrząsnął głową. Miał bardzo ponurą minę. – Nic nie wiadomo, prawda, Angielko?

– Tak – zgodziłam się łagodnie i ścisnęłam jego ramię. – Nigdy na pewno. Albo nie wystarczająco dużo. Ale przecież nie da się tego zmienić.

Odwzajemnił mi uśmiech i przycisnął moją rękę do swojego boku.

– Nie, Angielko. Nie wydaje mi się. To już postanowione, więc chyba nie ma sensu się martwić. MacKenzie pozostaną z dala.

Na straży przy bramie do Holyrood stał MacDonald, jeden z ludzi Glengarry'ego.

Poznał Jamiego. Na chwilę przestał wyłapywać sobie pchły i uklonił się nam, kiedy byliśmy na dziedzińcu. Ciepła pogoda sprawiła, że pasożyty znowu ożyły i opuściły przytulne gniazdko w krocach i pod pachami. Często, kiedy pokonywały niebezpieczny teren koszuli czy tartanu, udawało się je złapać i usunąć z ciała żywiciela.

Jamie z uśmiechem zwrócił się do Glengarry'ego po celtycku. Mężczyzna roześmiał się, zdjął coś ze swojej

koszuli i rzucił na Jamiego. Mój mąż nadal udawał, że złapał przesyłkę. Przyglądał się bacznie nie istniejącej bestii. Potem mrugnął do mnie, wsadził ją sobie do ust.

– Jak tam głowa pana syna, lordzie Kilmarnock? – spytałam grzecznie, kiedy wchodziliśmy razem na salę Wielkiej Galerii Holyrood. W zasadzie niewiele mnie to obchodziło. Pomyślałam jednak, że skoro nie da się tej sprawy pominąć milczeniem, lepiej wydobyć ją na światło dzienne w miejscu, gdzie publicznie raczej nie okazuje się złości.

Galeria spełniała to kryterium. W długiej wysokiej sali z dwoma ogromnymi kominkami i olbrzymimi oknami często urządzano wielkie bale i przyjęcia od chwili, kiedy we wrześniu Karol triumfalnie wkroczył do Edynburga. Teraz była pełna wpływowej edynburskiej elity, która paliła się, by z honorami przyjąć swojego księcia. Od kiedy zaistniała szansa, że Karol rzeczywiście wygra, sala lśniła od przepychu. Don Francisco, gość honorowy, stał w końcu galerii razem z księciem, ubrany w deprymującym stylu hiszpańskim: w ciemne workowate pantalony, nieforemny płaszcz i małą krawatkę. Ostatni element stroju wywołał uzasadnione, ale tłumione, zdziwienie wśród młodszych i modniej ubranych osobników.

– Och, dość dobrze, pani Fraser – odparł niewzruszenie Kilmarnock. – Guz na głowie nie będzie długo nękał chłopaka w tym wieku. Trudniej uleczyć zranioną dumę – dodał i w przyływie nagłej radości wykrzywił swoje długie usta.

Uśmiechnęłam się do niego z uczuciem ulgi.

– Nie jest pan zły?

Zaprzeczył ruchem głowy. Spojrzał pod nogi, żeby się upewnić, że nie leży na nich moja długa spódnica.

– Usiłowałem wpoić Johnny’emu zasady, które jako potomek Kilmarnocka powinien znać. Najwidoczniej jednak nie udało mi się nauczyć chłopaka pokory. Może pani służący odniósł większy sukces.

– Mam nadzieję, że nie wleje mu pan przy najbliższej okazji? – rzuciłam od niechcienia.

– Słucham?

– Nic takiego – powiedziałam, rumieniąc się. – Proszę spojrzeć, czy to nie Lochiel?

Myślałam, że jest chory.

Lord Kilmarnock nie okazywał zbyt wielkiej ochoty do rozmowy, więc miałam czas, żeby obserwować. Karol nie tańczył, choć uchodził za dobrego tancerza, a młode kobiety z Edynburga zabiegały o to, by zwrócić na siebie jego uwagę. Dziś był całkowicie pochłonięty zabawianiem swojego gościa. Widziałam, jak po południu do kuchni wnoszono karafki z markowymi hiszpańskimi znakami. Szklaneczka, którą w lewej ręce trzymał don Francisco, nieustannie napełniała się rubinowym płynem, jakby za przyczyną czarów.

Spotkaliśmy się w tańcu z Jamiem. Akurat prowadził jedną z panien Williams. Były trzy, prawie nie do odróżnienia, młode, ciemnowłose, urodziwe i wszystkie „tak ogromnie zainteresowane, panie Fraser, tą wielką sprawą”. Nieco mnie zmęczyły, ale Jamie, ostoja cierpliwości, zatańczył z każdą po kolei i wciąż od nowa odpowiadał na te same idiotyczne pytania.

– Cóż, dla nich, biedactw, takie wyjście to jakaś

odmiana – wytłumaczył mi uprzejmie. – A że ich ojciec jest bogatym kupcem, Jego Wysokość chciałby zjednać sobie przychyłność rodziny.

Jamie chyba podbił serce panny Williams. Zastanawiałam się ponuro, jak daleko się posunie w tym zjednywaniu. Zmieniłam obiekt zainteresowania, bo na horyzoncie pojawił się lord Balmerino. Tańczył z żoną lorda George’a Murraya. Dostrzegłam namiętne spojrzenia, jakie wymienili między sobą Murrayowie, kiedy mijali się w tańcu – on płasał z kolejną panną Williams.

Nie zaskoczyło mnie, że Colum nie pojawił się na balu. Byłam ciekawa, czy już rozmawiał z Karolem. Nie, chyba nie. Księżę bardzo rozpromieniony i ożywiony nie przypominał kogoś, kto niedawno usłyszał złe wieści.

Po jednej stronie galerii dostrzegłam dwie zażywne postacie. Wyglądały niemal identycznie w niewygodnych oficjalnych strojach, do których nie przywykły. Był to John Simpson, mistrz cechu płatnerzy z Glasgow, i jego syn, również John Simpson. Dwaj rzemieślnicy przybyli na początku tygodnia, żeby wręczyć Jego Wysokości jedną ze wspinających szpad, słynnych w całej Szkocji. Zostali oczywiście zaproszeni na dzisiejszy bal, żeby pokazać przedstawicielowi hiszpańskiego dworu, jak ogromnym poparciem cieszą się Stuartowie.

Obaj mężczyźni mieli gęste, ciemne włosy i brody, lekko przyprószone siwizną.

U starszego Simpsona wyglądały jak sól z odrobiną pieprzu. Simpsonowi juniorowi siwe włosy okalały skronie i górną część policzków, co przywodziło na myśl ciemne zbrocze górskie obwiedzione lekko przymarzniętym

śniegiem. Nagle starszy płatnerz walnął syna mocno w plecy. Nieznacznym ruchem głowy wskazał jedną z córek kupca. Panna wirowała w końcu sali pod czujnym okiem ojca.

Simpson junior obrzucił rodzica sceptycznym spojrzeniem, ale wzruszył ramionami, wyszedł do przodu i z ukłonem podał ramię trzeciej panie Williams.

Oczarowana z zachwytem przypatrywałam się, jak porwał ich wir tańca, bo Jamie powiedział mi, że młody Simpson jest kompletnie głuchy.

– Przypuszczam, że od huku młotów w kuźni – stwierdził Jamie. Z dumą pokazał piękny miecz, który kupił od rzemieślników. – Głuchy jak pień. Jego ojciec mówi, a on się tylko wszystkiemu przypatruje.

Zobaczyłam, że bystre ciemne oczy Johna juniora szybko przemierzyły podłogę.

Młodzieniec precyzyjnie ocenił odległość między jedną parą a drugą. Młody płatnerz stapał przyciężkawo, ale radził sobie w tańcu całkiem nieźle – przynajmniej tak dobrze, jak ja. Zamknęłam oczy i poczułam, jak w drewnianej podłodze wibruje dźwięk dochodzący z opartych na niej wiolonczeli. Zrozumiałam, że Simpson junior radził sobie dzięki temu. Otworzyłam oczy, żeby nie wpaść na nikogo, i zobaczyłam, że junior krzywi się na fałszywy piszczący ton skrzypiec. Może więc jednak coś słyszał.

Dzięki obrotom Kilmarnock i ja znaleźliśmy się blisko miejsca, gdzie stali Karol i don Francisco. Ogrzewali sobie plecy przy ogromnym, wyłożonym kaflami kominku. Ku mojemu zaskoczeniu księżę rzucił mi groźne spojrzenie

znad ramienia Hiszpana i ukradkowym gestem nakazał, żebym się oddaliła. Kilmarnock, który dostrzegł to podczas obrotu, zaśmiał się zdawkowo.

– A więc Jego Wysokość boi się przedstawić panią Hiszpanowi?

– Naprawdę? – Spojrzałam przez ramię. Karol zdążył już wrócić do rozmowy.

Gestykulował przy tym żywiłowo jak prawdziwy południowiec.

– Tak mi się wydaje. – Lord Kilmarnock był dobrym tancerzem. Zaczęłam czuć się na tyle swobodnie, żeby prowadzić rozmowę i nie martwić się jednocześnie, że przydepnę sobie spódnicę.

– Widziała pani te idiotyczne ulotki, które pokazuje Balmerino? – spytał, a kiedy skinęłam głową, ciągnął dalej: – Przypuszczam, że Jego Wysokość również je przeglądał.

A Hiszpanie są na tyle przesądni, że mogą uwierzyć w te bajki. Nikt przy zdrowych zmysłach nie potraktowałby tego poważnie – zapewniał. – Jego Wysokość niewątpliwie jednak woli zachować ostrożność. W końcu hiszpańskie złoto warte jest nawet znacznego poświęcenia – dodał. – Najwidoczniej również poświęcenia własnej dumy. Karol w dalszym ciągu traktował szkockich hrabiów i przywódców klanów jak żebraków u swego stołu. Dobrze, że przynajmniej zaprosił ich na wieczorne uroczystości, choć zrobił to pewnie tylko dlatego, żeby wyrzucić wrażenie na honorowym gościu.

– Zwrócił pan uwagę na obrazy? – spytałam, żeby zmienić temat. Na ścianach Wielkiej Galerii wisiało ich ponad sto. – Same portrety i to wyłącznie królów oraz

królowych. A wszystkie uderzająco do siebie podobne.

– Ach... – westchnął mój partner. Ubawienie zastąpiło ponurość, jaka zagościła na obliczu Kilmarnocka na widok Karola i Hiszpana. – Tak, oczywiście. Zna pani ich historię?

Portrety były pędzla jednego malarza, niejakiego Jakuba DeWitta. Na polecenie Karola II, za czasów wielkiej restauracji, artysta miał utrwalić na płótnie podobizny przodków króla, od Roberta Bruce'a poczynając.

– Chciał przekonać wszystkich o tym, jak prastary jest jego ród, i udowodnić, że restauracja była słusznym posunięciem – wytłumaczył Kilmarnock i wykrzywił usta. – Ciekawe, czy król Jakub zrobi to samo, kiedy odzyska tron? W każdym razie – ciągnął – DeWitt malował jak szalony, jeden portret na dwa tygodnie, żeby sprostać żądaniom władcy. Trudność polegała na tym, że artysta, oczywiście, nie miał pojęcia, jak wyglądali przodkowie Karola. Brał więc na modeli wszystkich, których udało mu się zaciągnąć do swojej pracowni. Żeby uzyskać rodzinne podobieństwo, każdej postaci serwował identyczny, okazały nos. A oto sam Karol II. – Kilmarnock wskazał głową obraz, na którym widniała cała sylwetka, odziana w błyszczący czerwony aksamit i śliwkowy kapelusz. Obrzucił krytycznym spojrzeniem młodszego Karola. Rumiana twarz księcia świadczyła o tym, że gospodarz uprzejmie dotrzymuje swojemu gościowi towarzystwa w picu.

– W każdym razie ma lepszy nos – wymamrotał Kilmarnock jakby do siebie. – Jego matka była Polką.

Zrobiło się późno. Wyglądało na to, że okapujące świeczki ze srebrnych świeczników wypalą się, zanim mieszkańcy Edynburga będą mieli dość wina i tańca. Don Francisco, najwidoczniej nienawykły do picia bez umiaru tak, jak Karol, staniał się na nogach.

Jamie z widocznym uczuciem ulgi oddał ostatnią pannę Williams w ręce ojca, który szykował się do powrotu do domu. Siedziałam w rogu sali, ze zdjętymi butami pod suknią. Miałam nadzieję, że nie będę musiała ich znowu pośpiesznie zakładać.

Jamie spoczął na wolnym miejscu obok mnie i dużą białą chustką otarł rozpaloną twarz. Wyciągnął rękę do tacy z kilkoma ciastkami.

– Umieram z głodu – spokojnie oznajmił. – Taniec cholernie wzmacnia apetyt, a gadanie jeszcze bardziej. – Włożył sobie całe ciastko na raz do ust, pogryzł szybko i sięgnął po następne.

Zobaczyłam, jak księżę Karol pochyla się nad bezwładnym ciałem gościa honorowego i szarpie Hiszpana za ramię. Bez rezultatu. Głowa hiszpańskiego gościa opadła do tyłu, a usta rozwarły się pod wiszącymi węsami. Jego Wysokość stał chwiejnie. Szukał wzrokiem pomocy, ale Sheridan i Tullibardine – dwaj starsi panowie – zasnęli oparci o siebie po przyjacielsku. Wyglądali jak para starych wiejskich opojóww koronkach i aksamitach.

– Może powinieneś pomóc Jego Wysokości? – zasugerowałam.

– Mhm.

Jamie zrezygnowany połknął resztę ciastka. Zanim jednak wstał, młodszy Simpson, który zauważył bezowocne

zmagania księcia, trącił ojca łokciem w żebra.

Starszy podszedł i ceremonialnie uklonił się Karolowi. Zamroczony księżę nie zdążył nawet odpowiedzieć. Płatnerze chwycili hiszpańskiego dostojnika za nogi i ręce.

Dźwignęli go z krzesła i wynieśli. Gość honorowy kołysał się lekko między potężnymi mężczyznami, co wyglądało na swoistą zabawę. Zniknęli za drzwiami w końcu sali, za nimi niepewnym krokiem podązał Jego Wysokość.

Bezceremonialne wyjście dwóch najważniejszych osób oznaczało koniec balu.

Pozostali goście zaczęli się rozchodzić. Kobiety zniknęły w szatni, żeby odebrać szale i płaszcze. Mężczyźni stali wokół w małych grupkach i niecierpliwie wymieniali uwagi na temat tego, ile czasu zabiera kobietom przygotowanie się do wyjścia.

Ja i Jamie mieszkaliśmy w Holyrood. Wyszliśmy więc innymi drzwiami od północnej strony galerii. Po drodze do głównych schodów mijaliśmy kolejneienne i nocne pokoje.

Na półpiętrze i wzdłuż schodów wisiały arras, przyćmione w blasku świec. Pod nimi stała gigantyczna postać Angusa Mhora. Migotała jak figury z arrasów i rzucała na ścianę olbrzymi cień.

– Mój pan nie żyje.

– Jego Wysokość powiedział, że może to i dobrze – oznajmił Jamie z sarkastyczną goryczą w głosie. – Z powodu Dougala – dodał na widok mojego bezgranicznego zdumienia. – Dougal był zawsze bardziej niż chętny, żeby

przyłączyć się do Jego Wysokości. Teraz, kiedy Colum nie żyje, klanem dowodzi Dougal. Więc MacKenzie z Leoch wyruszą ze szkocką armią – powiedział łagodnie. – Po zwycięstwo... albo i nie.

Zmęczenie i żal głęboko wryły mu się na twarzy. Położyłam ręce na jego szerokich ramionach. Wydał z siebie cichy dźwięk chwilowej ulgi, kiedy opuszki moich palców zanurzyły się w mięśniach u nasady karku. Swobodnie opuścił głowę. Siedział przy stole w naszym pokoju otoczony porzrzuconymi bezładnie listami i przesyłkami. Wśród dokumentów znajdował się mały, wysłużony notatnik, oprawiony w czerwoną gęsią skórę. Dziennik Columa, który Jamie zabrał z jego sypialni w nadziei, że znajdzie tam zapisek potwierdzający decyzję wuja, że nie poprze sprawy jakobitów.

– Nie sądzą, by wpłynęło to na Dougala – powiedział. Bębnił palcami w stronicie zapisane drobnym maczkiem – ale nic innego nie możemy zrobić.

Okazało się jednak, że Colum przez ostatnie trzy dni zapisał w dzienniku tylko jedną krótką notkę i z pewnością zrobił to wczoraj po powrocie z kościoła.

Spotkanie z młodym Jamie i jego żoną. W końcu pogodziłem się z Ellen...

Z pewnością było to ważne dla Columa, Jamiego i może również dla Ellen, ale na niewiele mogło się zdać, jeżeli chodziło o zmianę decyzji Dougala MacKenziego.

Po chwili Jamie wyprostował się i odwrócił do mnie. Jego oczy były ciemne od trosk i rezygnacji.

– A to oznacza, że teraz całkowicie należymy do Karola. Nie mamy kompletnie nic do gadania. Musimy

pomóc mu zwyciężyć.

Miałam suche usta od zbyt dużej ilości wina. Oblizalam je, zanim się odezwałam.

– To oczywiste. Cholera! Dlaczego Colum nie poczekał jeszcze chwilę? Tylko do rana, kiedy mógłby zobaczyć się z Karolem.

Jamie uśmiechnął się krzywo.

– Chyba nie miał za dużo do gadania w tej sprawie, Angielko. Niewielu wybiera godzinę śmierci.

– Colum właśnie zamierzał. – Wcześniej byłam rozdarta. Nie wiedziałam, czy powiedzieć Jamiemu o tym, co zaszło między mną i Columem podczas naszego pierwszego spotkania w Holyrood. Teraz nie widziałam sensu, żeby dalej ukrywać tajemnice Columa.

Jamie potrząsnął głową niedowierzająco i westchnął. Szerokie ramiona opadły pod ciężarem wiadomości, że Colum chciał odebrać sobie życie.

– Zastanawiam się, czy to miał być znak, Claire.

– Znak?

– To, że Colum umarł, zanim zdążył odmówić pomocy Karolowi. Może księciu jest pisane wygrać tę walkę?

Przypomniałam sobie ostatnie spojrzenie na Columa. Śmierć go zastała, gdy siedział w łóżku, z nie tkniętą szklaneczką brandy w ręce. Spotkał się więc z nią tak, jak chciał – świadomy i trzeźwy. Głowa opadła mu na bok, a oczy – choć szeroko otwarte – były ślepe na wszystko, co zostawiał za sobą. Usta miał zaciśnięte, dwie głębokie bruzdy biegingy od brody do nosa. Ból, który był jego wiernym towarzyszem, poszedł z nim tak daleko, jak

mógł.

- Bóg jeden wie – powiedziałam w końcu.
- Tak? To dobrze. Mam nadzieję, że ktoś wie.

38

INTERES Z DIABLEM

Nad Edynburgiem zawisł katar jak deszczowa chmura, która przysłoniła zamek tak, że stał się niewidoczny. Woda płynęła ulicami dzień i noc. Jeżeli na bruku chwilowo nie było nieczystości, ulgą od ich odoru nie można się było nacieszyć z powodu plwocin, które znajdowały się na każdej uliczce i w każdym zaułku. Chmura gryzącego dymu z kominków wypełniała każde pomieszczenie od poziomu na wysokości pasa do sufitu.

Mimo że panował chłód i pogoda była obrzydliwa nie mało czasu spędzałam na zewnątrz. Krążyłam pomiędzy ziemiami Holyrood i Canongate. Strumienie deszczu wydawały mi się przyjemniejsze niż dym w pomieszczeniach pełnych zarazków. W pałacu rozlegały się od – głosy kaszlu i kichania. Obecność dystyngowanego księcia sprawiała jednak, że najbardziej chrząkający chorzy soplowali raczej w brudne chustki do nosa albo do wyłożonych kaflami kominków niż na lśniące dębowe parkiety.

O tej porze roku szybko robiło się ciemno. Zawróciłam w połowie High Street, żeby zdążyć do Holyrood, nim zapadnie zmierzch. Ciemności nie obawiałam się z powodu napadu – wprawdzie nie znali mnie jeszcze wszyscy z oddziałów jakobickich okupujących miasto, ale większość ludzi po prostu siedziała

w domu.

Mężczyźni, którzy czuli się na tyle zdrowi, żeby załatwić swoje sprawy, pośpiesznie kończyli interesy. Potem zanurzali się błogo w zadymionym sanktuarium – tawernie należącej do Jenny Ha. Tam mogli się wygodnie rozgościć w przytulnym zaduchu, na który składał się zapach palonego drewna, brudnego ciała, whisky i piwa. Wszystko to spowijały wyziewy z pieca.

Bałam się jedynie tego, że w gęstym mroku źle stanę i złamię nogę na śliskim bruku.

Miasto oświetlał tylko nikły blask pochodni strażników miejskich, które pojawiały się i znikaly przed drzwiami niczym robaczki świętojańskie. Czasami na pół godziny gasły wszystkie na raz, co oznaczało, że latarnicy pomknęli do tawerny World's End u stóp Canongate na zbawienny kufel gorącego piwa.

Spojrzałam na blade promienie nad kościołem Canongate, żeby ocenić, jak długo będzie jeszcze jasno. Przy odrobinie szczęścia zdążę wstąpić do apteki pana Haugha, pomyślałam. W paryskim imperium Raymonda można było znaleźć niezrównaną różnorodność towaru, pan Hugh natomiast handlował głównie jadalnymi kasztanami i korą wiązu. Mogłam się jednak też u niego zaopatrzyć w miętę i berberys. O tej porze roku największy dochód apteki pochodził ze sprzedaży kulek kamforowych. Uważano je za niezastąpiony środek na przeziębienia, katar i gruźlicę. Choć nie był skuteczniejszy od nowoczesnych środków na przeziębienie, nie ustępował im wcale i przynajmniej miał przyjemny zapach.

Mimo że większość ludzi chorowała i wyglądała

mizernie nadal kilka razy w tygodniu urządzano przyjęcia na zamku. Na każdej uroczystości szlachta edynburska witała swojego księcia z entuzjazmem. Za dwie godziny na High Street zaczęły migotać pochodnie. Służący będą odprowadzać zaproszonych na bal.

Westchnęłam na myśl o kolejnym zgromadzeniu zakatarzonych galantów i komplementów prawionych zachrypniętym głosem. Do listy leków dodałam jeszcze czosnek – noszony na szyi w srebrnym puzderku na pomadę miał chronić przed chorobą.

W rzeczywistości jednak chronił jedynie przed zbliżaniem się zarażonych kompanów na niebezpieczną odległość – co dla mnie było równie satysfakcjonujące.

Miasto zostało zajęte przez oddziały Karola. Anglicy, wprawdzie nie oblężeni, byli odizolowani w zamku na górze miasta. W obu kierunkach następował nieustanny przepływ wiadomości wątpliwego pochodzenia. Najnowsza plotka głosiła, że księżę Cumberland zbiera oddziały na południe od Perth i zamierza jak najszybciej wyruszyć na północ. Podchodziłam do tej wiadomości raczej sceptycznie. Nie przypominałam sobie żadnej wzmianki w historii na temat działań Cumberlanda przed wiosną tysiąc siedemset czterdziestego szóstego. Jednak nie potrafiłam całkowicie zignorować plotki.

Wartownik przy bramie, kaszląc, skinął głową, żebym weszła. Inni strażnicy, stojący na korytarzach i półpiętrach, zawtórowali koledze głośnym prychnieniem. Przechodząc obok nich miałam dużą ochotę kołysać koszykiem z czosnkiem jak kadzielnicą. Udałam się do południowego pokoju, gdzie mogłam wchodzić bez

pytania.

Znalazłam tam Jego Wysokość z Jamiem, Aeneasem MacDonaldem, O'Sullivanem i sekretarzem Jego Wysokości. Francis Townsend, ponury człowiek, cieszył się ostatnio przychylnością księcia. Większość zebranych miała czerwone nosy i kichała. Palenisko, które znajdowało się przed tymi sympatycznymi dżentemenami, umazane było wyplukaną flegmą. Mój wzrok od razu padł na Jamiego. Osunął się na krzesło pobladły i bez sił.

Przyzwyczajeni do moich wypadów do miasta i spragnieni wszelkich wiadomości o ruchach Anglików mężczyźni wysłuchali mnie z ogromną uwagą.

– Jesteśmy niezmiernie zobowiązani za te wieści, pani Fraser – powiedział Jego Wysokość. Ukłonił mi się nisko z uśmiechem. – Czy zdołam się jakoś pani odwdziaczyć za nieocenione usługi.

– Tak – odparłam zdecydowanie. – Chcę zabrać męża do pokoju, do łóżka. Zaraz.

Książę wybałuszył swoje niebieskie oczy, ale szybko się zreflektował. Nie tak bardzo powściągliwy Aeneas MacDonald pozwolił sobie na dwuznacznie zduszony kaszel. Błada twarz Jamiego nagle poczerwieniała. Kichnął, wytarł nos i rzucił mi spojrzenie pełne iskier.

– Ach... pani męża – westchnął szyderczo Karol. – Uhm... – Na jego policzki wystąpił lekki rumieniec.

– Jest chory – wytłumaczyłam szorstko. – To chyba widać? Musi się położyć i wypocząć.

– Ach, wypocząć – wymamrotał do siebie MacDonald.

Szukałam stosownych słów.

– Bardzo mi przykro, że Wasza Wysokość na jakiś czas zostanie pozbawiony obecności mojego męża, ale jeśli księżę nie pozwoli mu nabrać sił, może to się bardzo źle skończyć.

Karolowi, któremu udało się opanować chwilowe niezadowolenie, zauważalne zmieszanie Jamiego wydało się zabawne.

– Oczywiście – powiedział, spoglądając na Jamiego. Na bladej twarzy wiernego sługi, Frasera, wystąpiły plamy. – Nikt z nas nie bierze nawet pod uwagę takiego biegu rzeczy, jaki pani przedstawiła.– Skłonił głowę w moim kierunku. – Będzie tak, jak pani sobie życzy. Cher James jest zwolniony z obecności przy mojej osobie, dopóki nie wydobrzeje.

Proszę od razu zabrać męża do pokoju i zastosować odpowiednie... leczenie. – Raptem usta księcia wyduły się. Karol wyciągnął wielką chustkę z kieszeni, ukrył w niej pół twarzy i zaczął kichać.

– Proszę o siebie dbać, księżę – poradził nieco zjadliwie MacDonald. – Wasza Wysokość może się zarazić od pana Frasera.

– Niejeden by chciał być w połowie tak chory, jak sir Fraser – wymamrotał Francis Townsend. Nawet się nie wysilał, żeby ukryć sardoniczny uśmiech. Wyglądał jak lis w kurniku.

Jamie, którego twarz przybrała kolor zamarzniętego pomidora, wstał gwałtownie.

Uklonił się księciu z krótkim: „Dziękuję, Wasza Wysokość”, chwycił mnie za ramię i skierował się do

drzwi.

– Puść – warknęłam, kiedy minęliśmy strażników w przedpokoju. – Złamiesz mi rękę.

– I dobrze – zamruczał. – Jak tylko będziemy sami, ukręcę ci kark. – Ale zobaczyłam, że skrywa uśmiech, a gburowatość jest udawana.

Kiedy już znaleźliśmy się w naszym apartamencie, Jamie oparł się o bezpiecznie zamknięte drzwi i przyciągnął mnie do siebie. Roześmiał się, przyciskając policzek do czubka mojej głowy.

– Dziękuję, Angielko – powiedział nieco chrapliwie.

– Nie jesteś zły? – Mój głos stłumiła jego koszula. – Nie chciałam wprawić cię w zakłopotanie.

– Nie, niczego nie mam ci za złe. – Puścił mnie. – Na Boga, dzięki tobie uwolniłem się od towarzystwa Jego Wysokości. Jestem tym człowiekiem śmiertelnie zmęczony.

Poza tym boli mnie każdy mięsień. – Wstrząsnął nim nagły atak kaszlu. Znowu oparł się o drzwi, tym razem, żeby nie upaść.

– Aż tak źle się czujesz? – Dotknęłam jego czoła. Nie byłam zaskoczona, że jest gorące, ale nieco się zaniepokoiłam. – Ty masz temperaturę! – powiedziałam oskarżycielskim tonem.

– Zgadza się, każdy ma temperaturę, Angielko – stwierdził trochę niezadowolony. – Po prostu jedni są nieco cieplejsi od innych, prawda?

– Nie łap mnie za słówka! – Ulżyło mi, że jest jeszcze w stanie myśleć logicznie. – Rozbieraj się. I nic nie mów – dodałam szorstko, gdy zobaczyłam, że otwiera usta,

żeby mi odpowiedzieć. – Nie mam żadnych zamiarów co do twojego słabego ciała poza tym, żeby je ubrać w piżamę.

– Ach, tak? Nie sądzisz, że dobrze zrobiłoby mi trochę ruchu? – drażnił się, rozpinając koszulę. – Myślałem, że twierdzisz, że ruch to zdrowie. – Wybuch śmiechu niespodziewanie przerodził się w atak suchego kaszlu, który pozostawił Jamiego bez tchu i z wypiekami na twarzy. Zdjął koszulę i prawie natychmiast dostał dreszczy.

– Nie w twoim przypadku. Nie teraz. – Wcisnęłam mu przez głowę grubą wełnianą koszulę nocną. Dalej sam się z nią męczył, podczas gdy ja rozbierałam go z kiltu, butów i skarpet. – Jezu! Masz stopy zimne jak lody!

– Mogłabyś... mi... je ogrzać. – Z trudem wycedził przez szcękające zęby. Nie protestował, kiedy popchnęłam go w kierunku łóżka.

Drżał tak bardzo, że nie mógł porządnie wyartykułować jednego słowa. Wyjęłam szczypcami gorący kawałek drewna, który owinęłam we flanelę i włożyłam mu pod stopy.

Dreszcze były silne, ale krótkie. Leżał bez ruchu, aż przyniosłam kubek wody zmieszanej z garścią mięty i czarnej porzeczki.

– Co to jest? – spytał podejrzliwie, wdychając zapach. Otworzyłam kolejny słoik z mojego koszyka. – Chyba nie każesz mi tego wypić? Śmierdzi jak kaczka, która za długo wisiała.

– Byłeś blisko. To gęsi tłuszcz z kamforą. Natrę ci tym pierś.

– Nie! – Naciągnął kołdrę po szyję.

– Tak – powiedziała stanowczo i zabrałam się do

rzeczy.

Kiedy byłam w trakcie, zorientowałam się, że mamy widownię. W nogach łóżka stał Fergus. Z zachwytem przyglądał się moim działaniom. Z nosa ciekło mu ciurkiem.

Zdjęłam kolano z brzucha Jamiego i sięgnęłam po chusteczkę.

– A ty co tutaj robisz? – Jamie próbował z powrotem naciągnąć na siebie koszulę.

Najwidoczniej nie zmieszany nieprzyjemnym tonem powitania Fergus zignorował podaną przez mnie chusteczkę i wytarł nos w rękaw. Patrzył na muskularną, lśniącą klatkę piersiową Jamiego szeroko otwartymi z podziwu oczami.

– Chudy milord przysłał mnie po jakąś paczkę. Czy wszyscy Szkoci mają tyle włosów na piersiach?

– Boże! Całkiem zapomniałem o wiadomościach. Poczekaj, sam je zaniosę Cameronowi. – Jamie zaczął się wiercić w łóżku. Przysunął nos do miejsca moich niedawnych zabiegów. – Fuj!– Chwytał za koszulę i powachlował nią, żeby odpędzić przeszywający zapach. Spojrzał na mnie oskarżycielsko. – Jak ja się pozbędę tego smrodu? Chcesz, żebym śmierdział między ludźmi jak zdechła gęś, Angielko?

– Nie, nie chcę. Mam nadzieję, że będziesz leżał spokojnie w łóżku i odpoczywał.

W przeciwnym przypadku staniesz się zdechłą gęsią. – Posłałam mu srogie spojrzenie.

– Ja mogę zanieść przesyłkę, milordzie – zapewnił Fergus.

– Nie będziesz robił takich rzeczy – powiedziałam. Chłopak miał wypieki na policzkach i błyszczące oczy. Przyłożyłam rękę do jego czoła.

– Nie musisz mówić – stwierdził sarkastycznie Jamie. – Ma gorączkę.

– Zgadza, się.

– Ha! – zwrócił się do Fergusa z ponurą satysfakcją.

– Teraz ciebie to czeka.

Zobaczmy, jak tobie się spodoba nacieranie.

Po krótkich zmaganiach Fergus leżał przykryty po szyję na sienniku przy kominku, nasmarowany gęsim tłuszczem. Podałam chorym gorącą leczniczą herbatkę i czyste chusteczki do nosa.

– Dobrze. – Energicznie obmyłam ręce w misce. – Ja zaniosę ten cenny plik wiadomości panu Cameronowi. A wy dwaj będziecie odpoczywać, pić herbatę, wycierać nos i znowu odpoczywać. Zrozumiano?

Czubek długiego, zaczerwienionego nosa ledwie było widać spod pościeli. Poruszał się powoli w przód i w tył, kiedy Jamie potakiwał.

– Pijana władzą – rzucił uwagę w sufit. – Bardzo niekobiece podejście.

Pocałowałam go w czoło i zdjęłam z wieszaka płaszcz.

– Niewiele wiesz o kobietach, kochanie.

Ewan Cameron był odpowiedzialny za przepływ wiadomości do Holyrood. Jego pokoje znajdowały się w końcu zachodniego skrzydła, tuż obok kuchni. Nie bez powodu, pomyślałam, bo wiedziałam, jaki dopisuje mu apetyt. Może ma tasiemca, przyszło mi do głowy, kiedy

chudy oficer otwierał paczkę i przeglądał wiadomości.

– Wszystko w porządku? – spytałam po chwili. Musiałam powstrzymać się od automatycznego dodania „sir”.

Wyrwany z toku myśli potrząsnął głową znad depešy i zamrugał.

– Hm? Och! – W końcu doszedł do siebie i pośpiesznie się wytłumaczył. – Przepraszam, pani Fraser. Bardzo niegrzecznie z mojej strony, że się zamyśliłem i zostawiłem panią samej sobie. Tak, wygląda na to, że wszystko w porządku. Bardzo interesujące – wymamrotał do siebie. Później znów sobie przypominał o mojej obecności i spytał: – Czy mogłaby pani powtórzyć mężowi, że chciałbym z nim jak najszybciej porozmawiać? Rozumiem, że nie miewa się dobrze – dodał delikatnie, starannie unikając mojego wzroku. Najwidoczniej Aeneas MacDonald nie potrzebował wiele czasu, żeby zdać relację z mojej rozmowy z księciem.

– Rzeczywiście – powiedziałam bezradnie. Nie chciałam, żeby Jamie wyszedł z łóżka i całą noc debatował nad doniesieniami z Cameronem i Lochielem. Byłoby to prawie tak zgubne, jak całonocne tańce z pannami z Edynburga. Cóż, może niezupełnie tak zgubne, poprawiłam się.

– Jestem pewna, że zjawi się u pana, jak tylko będzie na siłach – powiedziałam, otulając się połamiami płaszczka. – Powtórzę mu pańską prośbę. – Naprawdę, zrobię to, ale jutro. Albo pojutrze. W tej chwili oddziały angielskie znajdowały się na pewno dalej niż sto kilometrów od Edynburga.

Kiedy wróciłam do sypialni, zobaczyłam dwa ciała leżące nieruchomo w pościeli.

Pokój wypełniało miarowe, powolne oddychanie, może nieco chrapliwe. Uspokojona zdjęłam płaszcz i usiadłam w pokoju dziennym przy kubku parującej herbaty.

Profilaktycznie dolałam do niej słuszną ilość brandy.

Piłam powoli. Czułam, jak gorący płyn spływa mi przez środek klatki piersiowej, dalej do brzucha i zaczyna torować sobie drogę w dół, w kierunku palców, lekko zmarzniętych po spacerze. Wolałam przejść przez dziedziniec, niż kluczyć po niekończących się schodach i korytarzach.

Trzymałam kubek przy brodzie i wdychałam przyjemny, gorzkawy zapach. Gorące opary brandy przeczyszczały moje zatoki. Zastanawiałam się, dlaczego w mieście i budynku pełnym przeziębionych i chorych na gripę ja jestem zdrowiuteńka.

Tak naprawdę, nie licząc gorączki płożowej, nie byłam ani razu chora, odkąd przekroczyłam kamienny krąg. Dziwne. Biorąc pod uwagę warunki sanitarne oraz zagęszczenie ludzi, w jakim najczęściej mieszkaliśmy, do tej pory powinnam nabawić się co najmniej kataru. Ale jak zwykle nieprzyzwoicie dopisywało mi zdrowie.

Na pewno nie byłam odporna na wszystkie choroby. Ale na choroby zakaźne?

Częściowo dało się to wytłumaczyć szczepieniami. Nie mogłam, na przykład, zarazić się ospą, tyfusem, cholerą czy żółtą febrą. Odstawiłam filiżankę i dotknęłam przez rękaw lewego ramienia. Blizna po szczepieniu z

czasem stała się mniej widoczna, lecz jednak nadal była wyczuwalna – stwardniały ślad, może półcentymetrowej średnicy.

Przeszedł mnie lekki dreszcz na wspomnienie Geillis Duncan. Otrząsnęłam się i zanurzyłam ponownie w rozważaniach na temat mojego stanu zdrowia. Nie chciałam myśleć ani o kobiecie, którą spalono na stosie, ani o Columie MacKenziem, człowieku, który ją tam posłał.

Kubek był prawie pusty, więc wstałam, by go napełnić. Nie przerywałam rozmyślenia.

Może nabyta odporność? Na kursie pielęgniarek dowiedziałam się, że przeziębienia są wywoływane przez niezliczoną ilość wirusów. Człowiek, który raz zetknął się z danym wirusem, jak nam wyjaśnił wykładowca, staje się na niego odporny. Przeziębiam się, kiedy zaatakuje go inny, nowy wirus, ale szansę na zetknięcie się z czymś, czego się nie przechodziło wcześniej, z wiekiem maleją. Dzieci przeziębiam się więc przeciętnie sześć razy w roku, ludzie w średnim wieku – dwa razy, starsi mogą mieć cztery lata przerwy między przeziębieniami dzięki temu, że zetknęli się już z większością wirusów i są uodpornieni.

Może to była przyczyna, pomyślałam. A może niektóre rodzaje odporności się dziedziczy, mimo że wirusy i ludzie się zmieniają? Przeciwciała wielu chorób mogą przechodzić z matki na dziecko. Poprzez łożysko albo mleko z piersi dziecko nabiera czasowej odporności na każdą chorobę, z którą zetknęła się matka. Może nigdy się nie przeziębiam, bo posiadałam przeciwciała przodków na osiemnastowieczne wirusy i korzystałam z dziedzictwa wszystkich przeziębień, jakie przechodzili moi

pradziadowie w ciągu ostatnich dwustu lat?

Byłam tak pochłonięta tym nowym odkryciem, że nawet nie usiadłam. Popijałam herbatę, stojąc na środku pokoju. Nagle rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

Westchnęłam niespokojnie, zdenerwowana, że ktoś mi przeszkadza. Nie pokwapiłam się, żeby odstawić kubek. Podeszłam do drzwi z zamiarem wysłuchania spodziewanych pytań o zdrowie Jamiego i udzielenia na nie odpowiedzi. Pewnie Cameron natknął się na jakiś niejasny fragment w depeszy albo Jego Wysokość pożałował swojej wielkoduszności i przyszedł zmusić Jamiego do wzięcia udziału w dzisiejszym balu. Cóż, wyciągną go z łóżka po moim trupie, zarzekałam się w myślach.

Szarpnęłam drzwi szarpnięciem i słowa powitania zamarły mi w gardle.

W ocienionym wejściu stał Jack Randall.

Ciepło herbaty, która wylała mi się na spódnicę, sprowadziło mnie na ziemię, ale on już zdążył wejść do środka. Zmierzył mnie pogardliwym wzrokiem. Potem spojrzął na zamknięte drzwi do sypialni.

– Jesteś sama?

– Tak.

Przenosił zamglone spojrzenie to na mnie, to na drzwi i zapewne zastanawiał się nad moją wiarygodnością. Jego twarz miała niezdrowy wygląd, ale – choć blada od ubogiej diety i zimy spędzanej w zamkniętym pomieszczeniu – nie straciła nic ze swojej bystrości.

Zdecydował się. Chwycił mnie za ramię, drugą ręką złapał mój płaszcz.

– Proszę pójść ze mną.

Wolałabym dać mu się poćwiartować, niż wydobyć z siebie dźwięk, z którego powodu otworzyłyby się drzwi od sypialni.

Gdy znajdowaliśmy się już w połowie korytarza, uznałam, że mogę się bezpiecznie odezwać. Wprawdzie na obrzeżach zamku, przy apartamentach, nie było strażników, ale na zewnątrz czuwali wartownicy. Chyba się nie łudziłam, że zdoła mnie niepostrzeżenie przeprowadzić przez ogród skalny czy boczne bramy, nie wspominając już o głównym wejściu. Jakikolwiek więc miał do mnie interes, musiało to być coś, co dało się załatwić w murach Holyrood.

Może morderstwo w odwecie za ranę, jaką zadał mi Jamie? Na myśl o tym poczułam mdłości. Przyglądałam mi się tak uważnie, na ile tylko pozwalał mdły blask padający ze świeczników zamocowanych na ścianach. W tej części zamku świece miały tylko dawać światło wystarczające dla osób, które wracały do swych pokoi. Były więc małe i rozmieszczone w dużych odstępach, a ich płomień dawały nikły blask.

Nie miał na sobie munduru. Nie zauważyłam też żadnej broni. Ubrany był w trudny do opisania strój ręcznie tkany, na który zarzucił gruby płaszcz, zasłaniający proste brązowe buty i pończochy. Jedyne wyprostowana postawa i arogancko przechylona głowa bez peruki były dowodem jego tożsamości. Całkiem możliwe, że dostał się do zamku wraz z jakimś gościem, udając służącego.

Na pewno nie miał broni. Olbrzymia dłoń mocno zaciskała się na moim ramieniu.

Jeżeli zamierzał mnie udusić, musiał zdawać sobie sprawę, że nie poddam się łatwo – byłam prawie tak

wysoka, jak on i o wiele lepiej odżywniona.

Jakby odgadując moje myśli, przystanął na końcu korytarza i odwrócił mnie twarzą do siebie. Trzymał mnie mocno rękami za łokcie.

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedział cicho, ale stanowczo.

– Dobrze sobie – warknęłam. Zastanawiałam się, czy ktoś usłyszałby mój krzyk.

Wiedziałam, że na dole na schodach jest strażnik, ale dzieliło nas od niego dwoje drzwi, krótkie półpiętro i długa klatka schodowa.

Utknęliśmy w martwym punkcie. On nie mógł zabrać mnie dalej, a tu, gdzie byliśmy, ja nie mogłam wołać o pomoc. W tym końcu korytarza mieszkało niewiele osób, a w dodatku z pewnością byli oni teraz w innym skrzydle zamku, na balu – jako goście albo jako służący.

Randall mówił niespokojnie.

– Nie bądź idiotką. Gdybym chciał cię zabić, zrobiłbym to tutaj. Byłoby o wiele bezpieczniej niż na zewnątrz. A w ogóle, jeżeli zamierzałbym cię skrzywdzić, po co brałbym twój płaszcz?

– A skąd, do cholery, mam wiedzieć? – spytałam, choć odpowiedź wydawała się oczywista.

– Bo chcę, żebyś ze mną wyszła. Mam dla ciebie pewną propozycję i nie będę ryzykować, że ktokolwiek nas podsłucha. – Spojrzał na drzwi w końcu korytarza. Jak wszystkie inne w Holyrood były połączeniem krzyża i księgi: cztery górne panele miały formę krzyża, a dwa dolne układały się na kształt otwartej Biblii. Holyrood było kiedyś opactwem.

– Pójdiesz do kościoła? Możemy tam rozmawiać bez obawy, że ktoś nam przerwie. – Istotnie. Opuszczony przypałacowy kościół, część dawnego opactwa, na skutek wieloletniego zaniedbania przedstawiał nędzny obraz. Wahałam się. – Pomyśl, kobieto!

– Potrzęsnał mną lekko, a potem puścił i cofnął się. Świecznik rzucał na niego cień, więc widziałam naprzeciwko siebie tylko ciemną postać. – Po co miałbym ryzykować i wchodzić do pałacu?

Dobre pytanie. Skoro udało mu się w przebraniu opuścić zamek Anglików, ulice Edynburga były jego. Mógł się czaić w zaułkach i bramach – złapałby mnie podczas jednej z moich codziennych wypraw. Chyba więc rzeczywiście mówił prawdę. Musiał ze mną porozmawiać w tajemnicy.

Z mojej twarzy wyczytał, że się zdecydowałam, i jego ramiona nieznacznie opadły.

Podał mi płaszcz i przytrzymał, żebym się ubrała.

– Masz moje słowo, że wrócisz nie tknięta z tej rozmowy.

Próbowałam odgadnąć coś z jego twarzy, ale cienie, wyrzeźbione rysy nie wyrażały nic szczególnego. Oczy były nieruchome i nie dowiedziałam się z nich więcej niż z moich własnych, gdybym je zobaczyła w lustrze.

Założyłam płaszcz.

– Dobrze – powiedziałam.

Wyszliśmy do ciemnego ogrodu skalnego. Minęliśmy strażnika, który jedynie skinął głową. Poznał mnie. Zdarzało mi się wychodzić w nocy do jakiegoś nagłego przypadku w mieście. Wartownik uważnie

przyjrzał się Randallowi. Zwykle towarzyszył mi Murtagh, jeżeli Jamie nie mógł. Ale w takim stroju nikt nie rozpoznałby w Jacku kapitana armii królewskiej. Randall odwzajemnił spojrzenie z obojętnością. Pałacowe drzwi zamknęły się za nami. Zostaliśmy sami w chłodnej ciemności.

Wprawdzie padało wcześniej, ale teraz zbierało się na burzę. Po niebie przepływały gęste, postrzępione chmury, gnane przez wiatr, który rozwiewał połę mojego płaszcza i przyklejał mi spódnicę do nóg.

– Tędy. – Owinęłam się grubym aksamitem. Schyliłam się, żeby osłonić się od wiatru i jedną ze ścieżek skalniaka podążyłam za przykulonym Jackiem Randalle.

Na dole przystanęliśmy, żeby szybko się rozejrzeć, po czym pośpiesznie przeszliśmy po trawie i stanęliśmy przy wejściu do kościoła.

Wypaczone drzwi były nie domknięte. Kościół stał pusty od kilku lat. Z powodu błędów konstrukcyjnych uchodził za niezbyt bezpieczne miejsce. Nikt nie pomyślał, żeby odrestaurować budynek. Nogą utorowałam sobie drogę wśród liści i śmieci, wychodząc z oświetlonego przez migoczący księżyc ogrodu na tyłach pałacu i zanurzając się w ciemności kościoła.

Kiedy moje oczy oswoiły się z mrokiem, dostrzegłam smukłe linie kolumn, które oddzielały nawy po dwóch stronach, oraz kamienną ramę wielkiego okna bez szyb znajdującego się w głębi.

Ruch między cieniami wskazał mi, dokąd poszedł Randall. Zawróciłam między kolumnami. Znalazłam go przy dawnej chrzcielnicy. Na wszystkich ścianach było

pełno jasnych plam – tablic pamiątkowych ludzi pochowanych w kościele. Na niektórych, umieszczonych w posadzce głównego przejścia, od częstego chodzenia starły się napisy.

– W porządku – powiedziałam. – Teraz nikt nas nie usłyszy. Czego ode mnie chcesz?

– Medycznych umiejętności i całkowitej dyskrecji. W zamian za to, co wiem o ruchach i planach oddziałów angielskich – odpowiedział z miejsca.

Zatkało mnie. Mogłam spodziewać się wielu rzeczy, ale na pewno nie tego. On chyba nie miał na myśli...

– Oczekujesz pomocy lekarskiej? – spytałam. Starłam się nie okazać przerażenia i zaskoczenia. – Ode mnie? Wydawało mi się, że... to znaczy... – Włożyłam największy wysiłek w to, żeby przestać się płatać, i powiedziałam stanowczo: – Z pewnością udzielono ci już wszelkiej możliwej pomocy lekarskiej. Wyglądasz całkiem nieźle. – Przynajmniej na pierwszy rzut oka – pomyślałam i szybko ugryzłam się w język. Robiłam wszystko, żeby nie popaść w histerię.

– Podobno mam szczęście, że w ogóle żyję – odparł chłodno. – Sprawa jest dyskusyjna. – Umieścił pochodnię w niszy, gdzie swoją agonię przeżywało puste baptysterium. – Rozumiem, że twoje pytanie wynika bardziej z pobudek medycznych niż troski o moje zdrowie – ciągnął. Światło pochodni, które rozlewało się na wysokości pasa, oświetlało Randalla od żeber w dół, głowę i ramiona pozostawiało w ukryciu.

Położył dłoń na pasie bryczesów i odwrócił się do mnie swobodnie.

– Czy chcesz obejrzeć ranę, żeby ocenić skuteczność leczenia? – Jego twarz okrywał cień, ale po jadowitym tonie mogłam sobie wyobrazić minę.

– Może później – odpowiedziałam równie chłodno.

– Jeżeli nie szukasz pomocy dla siebie, to dla kogo?

Zawahał się, ale na milczenie było za późno.

– Dla mojego brata.

– Twojego brata? – Nie udało mi się ukryć zaskoczenia. – Aleksandra?

– O ile wiem, mój starszy brat, William, jest rządcą w rodzinnej posiadłości w Sussex i nie potrzebuje pomocy – powiedział sucho. – Tak, dla Aleksandra.

Oparłam dłoń o zimny kamień sarkofagu, żeby się uspokoić.

– Mów.

Historia była nieskomplikowana i smutna. Gdyby opowiadał ją ktoś inny niż Jonathan Randall, pewnie wzbudziłaby we mnie współczucie. Pozbawiony stanowiska przez księcia Sandringhama z powodu skandalu z Mary Hawkins Aleksander Randall – zbyt wątłego zdrowia, by otrzymać inną posadę – musiał szukać pomocy u braci.

– William przysłał mu dwa funty i list z surową naganą. – Jack Randall oparł się o ścianę i skrzyżował nogi. – William jest bardzo sumienny, ale obawiam się, że nie był przygotowany na przyjazd Aleksa do Sussex. Żona Williama jest nieco... konserwatywna, o ile można tak określić, w swoich poglądach religijnych. – W głosie dał się słyszeć ton zadziwienia, który sprawił, że na chwilę polubiłam Randalla. Czy w innych okolicznościach mógłby

zyskać moją sympatię jak jego praprawnuk?

Nagła myśl o Franku tak mną wstrząsnęła, że nie usłyszałam ostatniego zdania.

– Przepraszam. Co powiedziałaś? – Zacisnęłam lewą rękę na prawej i zaczęłam obracać palcami złotą obrączkę. Franka nie ma. Muszę przestać o nim myśleć, napominałam się.

– Mówiłem, że wynająłem dla Aleksa pokoje przy zamku na górze tak, żebym sam mógł się o niego troszczyć. Środki, jakimi dysponuję, nie pozwalają mi zatrudnić służącego.

Jednak zajęcie Edynburga przez Szkotów oczywiście utrudniło to przedsięwzięcie i Aleks Randall przez ostatni miesiąc był pozostawiony samemu sobie. Od czasu do czasu przychodziła tylko jakaś kobieta, żeby posprzątać. Aleksander nigdy nie cieszył się dobrym zdrowiem. Jego stan pogorszył się na skutek złej pogody, ubogiej diety i nędznych warunków. Wreszcie zaalarmowany Jack Randall zdecydował się szukać u mnie pomocy. I w zamian oferował zdradę swojego króla.

– Dlaczego przyszedłeś do mnie? – spytałam w końcu, odwracając się od tablicy pamiątkowej. Wydawał się zaskoczony.

– Bo jesteś tym, kim jesteś. – Jego usta wykrzywiły się w lekkim nieszczerym uśmiechu. – Jeżeli się chce zaprzedać duszę, to czy nie należy w tym celu udać się do mocy ciemności?

– Ty naprawdę myślisz, że ja jestem mocą ciemności, prawda? – Oczywiście, że tak.

Był urodzonym żartownisiem, ale w jego propozycji

nie pojawił się nawet cień żartu.

– Tak. Na podstawie historii, jakie mi sama o sobie opowiedziałaś w Paryżu – zauważył. – Zrobiłem błąd, że wypuściłem cię z Wentworth. – Odwrócił się w ciemności.

Stanął twarzą do kamiennej niszy. – Nie powinnaś wyjść stamtąd żywa, niebezpieczne stworzenie – powiedział łagodnie. – Ale nie miałem wyboru. Twoje życie było ceną, jaką ustalił Jamie. A zapłaciłbym o wiele więcej za to, co mi dał.

Zasyczałam. Mimo że natychmiast stłumiłam ten dźwięk, Randall zdążył go usłyszeć.

Przysiadł na wnącę jednym biodrem. Księżyc wyjrzał zza rozgonionych przez wiatr chmur. Srebrne światło padało na plecy kapitana przez okno bez szyby. Ciemność przysłoniła srogie rysy wokół ust. Znowu mogłabym wziąć Jacka, jak kiedyś, za mężczyznę, którego kochałam.

Ale dopuściłam się zdrady. I na skutek mojego wyboru Franka nigdy nie będzie. „Bo grzechy ojców spoczną na synach... i zniszczysz go, korzeń i gałąź, tak, żeby nie wspomniano jego imienia wśród plemion Izraela”.

– Czy on ci powiedział? – spytał z cienia lekki, przyjemny głos. – O tym wszystkim, co zaszło między mną a nim w tamtej małej izbie w Wenworth? – Mimo wściekłości i szoku zauważyłam, że Randall stosuje się do polecenia Jamiego: ani razu nie wymienił jego imienia. „On”. „Nim”. Nigdy „Jamie”. To należało do mnie.

Mocno zacisnęłam zęby, ale wycedziłam przez nie słowa.

– Powiedział mi. Wszystko.

Wydał z siebie nikły dźwięk, półwestchnienie.

– Moja droga, czy to ci się podoba, czy nie, jesteśmy połączeni. Ty i ja. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to cieszyło, ale taka jest prawda. Znasz równie dobrze, jak ja dotyk jego skóry... tak ciepły, prawda? Jakby twój kochanek cały płonął w środku. Znasz zapach jego potu i szorstkość włosów na udach. Znasz odgłos, jaki wydaje z siebie na końcu, kiedy się zatracą. Ja też.

– Dość – powiedziałam. – Koniec!

Zignorował mnie. Oparł się i mówił powoli, jakby do siebie. Ze złością rozumiałam, co go do tego skłania. Nie chęć zdenerwowania mnie, jak na początku myślałam, ale nieprzemierzona potrzeba mówienia o ukochanym, powtórzenia i przeżycia na nowo wyblakłych szczegółów. Ale mógł rozmawiać o Jamiem w ten sposób z każdym, tylko nie ze mną.

– Wychodzę! – powiedziałam głośno i odwróciłam się na pięcie.

– Naprawdę? – odezwał się za mną spokojny głos. – Mogę dostarczyć w twoje ręce generała Hawleya. Inaczej pozwolisz, żeby wziął szkocką armię. Twój wybór.

Miałam ogromną ochotę powiedzieć, że generał Hawley nie jest tego wart.

Pomyślałam jednak o dowódcach szkockich klanów, którzy teraz przebywali w Holyrood, zaledwie kilka metrów po drugiej stronie muru opactwa. O Kilmarnocku, Balmerino, Lochielu. O Jamiem. O tysiącach ludzi podlegających pod ich komendę. Czy szansa zwycięstwa była warta poświęcenia moich uczuć? I czy to stanowiło punkt zwrotny?

Znowu podejmowanie decyzji. A jeżeli nie posłucham i nie przyjmę propozycji Randalla?

Odwrociłam się powoli.

– Więc mów, jeśli musisz. Jeżeli pan musi. – Moja złość nie zrobiła na nim wrażenia.

Nie martwił się też tym, że mogłabym odrzucić ofertę. Głos w ciemności był płynny i opanowany.

– Zastanawiam się, czy otrzymałaś od niego tyle, ile ja. – Przechylił głowę na bok.

Ostre rysy twarzy wyłoniły się z cienia. Z boku padło ulotne światło. Piwne oczy nabrały blasku. Przypominały teraz ślepią dzikiej bestii czającej się w krzakach.

Nie dało się nie zauważyć nuty triumfu w jego głosie.

– Ja – powiedział łagodnie – miałem go tak, jak ty nigdy nie mogłaś. Jesteś kobietą, więc tego nie zrozumiesz, nawet jako czarownica. Przy mnie została jego męskość.

Zabrałem mu to, co on mnie. Znam go tak, jak on mnie. Jesteśmy złączeni. On i ja.

Krwią.

„Daję ci moje ciało, żeby Dwoje stało się Jednym...”

– W bardzo dziwny sposób szukasz u mnie pomocy – powiedziałam drżącym głosem.

Zacisnęłam ręce na fałdach zimnej spódnicy.

– Tak myślisz? Chcę, żebyś mnie dobrze rozumiała. Nie błagam o litość, nie odwołuję się do tak zwanego kobiecego współczucia. Po to możesz przyjść bezpośrednio do mojego brata. – Na czoło spadł mu

kosmyk ciemnych włosów. Odgarnął je jedną ręką.

– Proponuję czysty układ: oddana usługa, należna zapłata. A tak dla jasności, moje uczucia w stosunku do ciebie są pewnie podobne do tych, jakie ty żywisz wobec mnie.

Byłam wstrząśnięta. Kiedy szukałam w myślach odpowiedzi, on zaczął już mówić dalej.

– Jesteśmy związani, ty i ja, ciałem jednego mężczyzny. Mój brat nie stanie się nicią łączącą. Szukam u ciebie pomocy dla Aleksandra, nie ryzykując, że jego dusza wpadnie w twoje szpony. Odpowiedz zatem, czy zadowolili cię oferowana zapłata?

Odwrociłam się od Randalla i przeszłam środkiem nawy. Echo odbijało moje kroki.

Trzęsłam się tak bardzo, że szłam niepewnie. Wpadł mi do buta zimny kamyk.

Podskoczyłam. Rama wielkiego okna ponad nie używanym ołtarzem wydawała się czarna w porównaniu z bielą płynących chmur. Przyćmione światło księżycy rozjaśniało moją ścieżkę.

Zatrzymałam się przy końcu nawy, tak daleko od niego, jak tylko mogłam. Wsparłam się rękami o ścianę. Było zbyt ciemno, żebym mogła zobaczyć litery na marmurowej tablicy pod moimi dłońmi. Czułam jednak zimne wyraźne linie wyrytych napisów i wypukłość małej czaszki na dwóch skrzyżowanych kościach udowych. Pochyliłam głowę i dotknęłam czołem do czoła niewidocznej, gładkiej czaszki.

Czekałam z zamkniętymi oczami, aż moje wnętrzości się uspokoją, a dudnienie w skroniach ustanie.

To bez różnicy, powiedziałam sobie. Niezależnie od tego, jaki jest. Niezależnie od tego, co mówi. Jesteśmy związani, ty i ja, ciałem jednego mężczyzny...” Tak, ale nie Jamiem. Nie nim! Tak, wzięłeś go, bydlaku! Ale ja wzięłam go z powrotem, uwolniłam od ciebie. „Nawet część jego nie należy do ciebie!” Pot ciekący mi wzdłuż żeber i dźwięk mojego własnego szlochu odebrały mi to przekonanie.

To taką cenę muszę zapłacić za stratę Franka? Tysiące istnień, które mogły zostać ocalone, za cenę tej jednej straty?

Po mojej prawej stronie znajdowała się ciemna bryła ołtarza. Całym sercem pragnęłam, żeby pojawił się tam ktoś żywy. Ktoś, do kogo można by się zwrócić po radę.

Niestety, wokół panowała pustka. Dusze zmarłych milczały zamknięte w grobowcach.

Próbowałam usunąć z umysłu Jacka Randalla. Gdyby nie chodziło o niego, gdyby poprosił mnie jakikolwiek inny mężczyzna – czy bym się zgodziła? Poza tym należało pomyśleć o Aleksie Randallu. Po to możesz przyjść bezpośrednio do mojego brata, powiedział kapitan. I oczywiście tak bym zrobiła. Jeżeli tylko moje umiejętności medyczne pozwoliłyby mu pomóc, to czy miałam prawo odmówić z powodu człowieka, który mnie o to prosił?

Minęło dużo czasu, zanim się wyprostowałam i całkowicie odrywałam ręce od wypukłości czaszki. Byłam wykończona i słaba. Bolała mnie szyja. Głowa wydawała mi się strasznie ciężka, jakby mimo wszystko choroba

wisząca nad miastem dotknęła także mnie.

On cały czas cierpliwie stał w ciemności.

– Tak – powiedziałam obcesowo, jak tylko znalazłam się w odległości pozwalającej na rozmowę. – Zgadzam się. Przyjdę jutro, przed południem.

– Wiesz, gdzie jest Ladywalk Wynd?

– Tak. – W Edyndburgu było niewiele więcej poza jedną High Street z małymi mrocznymi zaułkami i okalającymi je przyległościami. Ladywalk Wynd należał do uboższych części miasta.

– Tam się spotkamy – oznajmił. – Będę miał dla ciebie informacje. – Wstał, zrobił krok do przodu i stanął. Czekał, żebym się ruszyła. Widziałam, że nie chce przejść obok mnie.

– Boisz się? Myślisz, że cię zamienię w muchomora? – Zaśmiałam się ponuro.

– Nie – odpowiedział, przyglądając mi się spokojnie. – Raz mnie już przeraziłaś.

Pamiętasz? W Wentworth podałaś mi dzień mojej śmierci. Skoro więc mam umrzeć w kwietniu przyszłego roku, to nie możesz mi teraz zrobić nic złego, prawda?

Miałam przy sobie nóż i nie omieszkałabym się nim posłużyć pod wpływem impulsu, żeby zaspokoić swoją duszę. Jednak spoczywał na mnie ciężar proctwa i los tysiąca Szkotów. Randall był przy mnie bezpieczny.

– Trzymam się z daleka, bo wolałbym nie mieć sposobności, żeby cię dotknąć.

Jeszcze raz się zaśmiałam, tym razem szczerze.

– I to, kapitanie, jest odruch, jaki wzbudza we mnie głębokie współczucie. – Odwróciłam się i wyszłam z

kościola. Zostawiłam mu wybór, czy pójdzie za mną.

Nie musiałam pytać ani się zastanawiać, czy dotrzyma słowa. Kiedyś uwolnił mnie z Wentworth, bo przyrzekł, że to zrobi. Tak. Jack Randall był dżentelmenem.

Co czułaś, kiedy oddałem moje ciało Jackowi Randallowi?, spytał mnie kiedyś Jamie.

Wściekłość, odpowiedziałam. Mdłości. Przerażenie.

Oparłam się o drzwi pokoju dziennego. Znów czułam to samo. Ogień wygasł i w pokoju było zimno. Zapach kamforowej gęsi drażnił nozdrza. Panowała cisza. Jedyne ciężki świszczący oddech dobiegał z łóżka i cichy odgłos wiatru, ocierającego się o półtorametrowej grubości ściany.

Uklękałam przy palenisku. Stare drewno całkowicie się wypaliło. Wzięłam na wpół spaloną szczapę i odgarnęłam popiół, zanim ustawiłam nową podpałkę. W Holyrood paliło się drewnem, nie torfem. Niestety, pomyślałam. Torf nie wypalałby się tak szybko.

Nieznacznie trzęsły mi się ręce. Dwukrotnie upuściłam krzemień. W końcu udało mi się wykrzesać iskrę. Drżę z zimna, wytłumaczyłam sobie. W pokoju było naprawdę lodowato.

Czy powiedział ci o wszystkim, co między mną a nim zaszło?, pobrzmiwał mi w uszach głos Jacka Randalla.

Wszystko, co powinnam wiedzieć, wymruczałam do siebie. Przyłożyłam papierową rozpałkę w sześciu miejscach. Drewno dokładałam pojedynczo. Każdą szczapę wsadzałam do ognia i trzymałam ją tam tak długo, aż się zapaliła. Kiedy stos już płonął wesoło, wyciągnęłam rękę

po największe polano i umieściłam je ostrożnie w samym środku. Sosnowe drewno – zielone, z niewielką ilością soku – kipiało w płomieniach maleńkimi złotymi kropelkami.

Skrystalizowane i zastygłe stałyby się z czasem bursztynem, twardym i wytrzymałym jak diament. Teraz przez chwilę świeciły w nagłym zetknięciu z gorącym, a potem rozpryskiwały się jak deszcz iskier, które po chwili znikały.

Wszystko, co powinnam wiedzieć, wyszeptalam. Siennik Fergusa był pusty. Chłopak obudził się z zimna, więc postanowił znaleźć gdzieś ciepły raj.

Wślizgnął się do łóżka Jamiego. Ciemna czupryna spoczywała na poduszce obok rudej. Obaj spokojnie chrapali, leżąc z lekko rozchylonymi ustami. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu na ten widok, ale nie miałam zamiaru spać na podłodze.

– Chodź – mruknęłam do Fergusa. Popchnęłam go na brzeg łóżka, a potem wzięłam na ręce. Był szczupły i lekki jak na dziesięciolatka. Bez trudu zaniósłam go na siennik.

Nawet się nie przebudził. Potem wróciłam do Jamiego.

Rozbierałam się powoli, stojąc przy łóżku i przyglądając się Jamiemu. Spał na boku, zwinięty w kłębek, żeby ochronić się przed zimnem. Długie, podwinięte rzęsy były kasztanowe, prawie czarne na końcach, ale u nasady bardzo jasne. Nadawały jego twarzy niewinny wyraz.

Odziana w koszulę nocną wślizgnęłam się do łóżka i przytuliłam się do szerokich, ciepłych pleców, osłoniętych

welnianą koszulą. Poruszył się i zaczął kaszleć. Położyłam rękę na wypukłości jego biodra, żeby go ukoić. Drgnął, zgiął się jeszcze bardziej i wtulił się we mnie. Na moment się przebudził. Objęłam go w pasie i położyłam rękę na delikatnych jądrach. Wiedziałam, że mogłam go podniecić bez budzenia. Niewiele było trzeba – wystarczyło kilka pewnych ruchów ręki.

Nie chciałam jednak przerywać mu odpoczynku i zadowolilałam się delikatnym pieszczaniem jego brzucha. Wyciągnął do tyłu wielką dłoń i w zamian niezdarnie pacnął mnie w udo.

– Kocham cię – zamruczał sennie.

– Wiem – odpowiedziałam i przytulona do niego od razu zasnęłam.

39

WIĘZY RODZINNE

Nie były to slumsy, ale niewiele do nich brakowało. Szłam ostrożnie, bokiem, żeby ominąć kałuże nieczystości, jakie utworzyły się z zawartości opróżnianych przez okna nocników i czekały na kolejny porządny deszcz.

Randall wziął mnie pod ramię, żebym się nie poślizgnęła na mokrym bruku.

Zesztywniałam. Natychmiast cofnął rękę.

Dostrzegł spojrzenie, jakim obrzuciłam rozpadającą się skrzynkę na listy zamocowaną na drzwiach.

– Nie było mnie stać na lepsze mieszkanie. W środku nie jest aż tak źle – usprawiedliwił się.

Rzeczywiście. Przynajmniej zadano sobie trochę trudu, żeby wygodnie umeblować pokój. Znalazła się w

nim ogromna balia. Na mocnym stole leżał bochenek chleba i ser.

Stała też butelka wina. Na łóżku znajdował się materac z pierza. Zauważyłam też kilka grubych narzut.

Mężczyzna leżał jednak odkryty – pewnie się spocił od wysiłku, jaki wkładał w kaszlenie. Był czerwony na twarzy i kaszłał tak mocno, że trzęsła się cała rama łóżka, choć wyglądała na stabilną.

Otworzyłam okno na oścież. Nie zważałam na protesty Randalla. Do dusznego pomieszczenia wdarło się zimne powietrze. Przenikliwy smród nie mytego ciała, brudnego ubrania i zawartości nocnika trochę zelżał.

Kaszel powoli ustawał. Czerwone oblicze Aleksandra Randalla nabrało koloru ziemistej bladeści. Jego usta były lekko sine. Usiłował odzyskać miarowy oddech.

Rozejrzałam się po pokoju, ale nie znalazłam nic, co nadawałoby się do moich celów.

Otworzyłam torbę z lekarstwami i wyciągnęłam sztywną pergaminową kartkę.

Wprawdzie była odrobinę pognieciona na brzegach, ale jeszcze mogła się przydać.

Przysiadłam na brzegu łóżka. Uśmiechnęłam się do Aleksandra uspokajająco.

– Miło z pani... strony, że... pani przyszła – wysiłał się, żeby nie kaszleć pomiędzy słowami.

– Za chwilę poczuje się pan lepiej. Proszę nie mówić i nie walczyć z kaszlem. Muszę osłuchać płuca.

Koszulę miał już rozpiętą, więc ją tylko rozchyliłam. Zobaczyłam niewiarygodnie mocno

zapadniętą klatkę piersiową. Żebra były doskonale widoczne od brzucha aż do obojczyków. Choroba ostatnich lat jeszcze bardziej wychudziła zawsze szczupłego młodzieńca.

Zwinęłam pergamin w rulon i umieściłam jeden jego koniec na piersi Aleksandra, do drugiego przytknęłam ucho. Prymitywny stetoskop spisał się całkiem nieźle.

Kazałam Randallowi oddychać głęboko. Osluchiwałam różne miejsca. Nie musiałam biedaczynie mówić, że ma kaszleć.

– Proszę się na chwilę przewrócić na brzuch. – Podniosłam koszulę chorego i znów zaczęłam osłuchiwać płuca, a potem delikatnie popukałam w plecy, żeby sprawdzić odgłos z klatki piersiowej. Nagie ciało było lepkie od potu.

– Dobrze. Proszę położyć się na plecach. Bez ruchu. Niech się pan rozluźni. To wcale nie będzie bolało. – Mówiłam kojącym głosem. Badałam białka jego oczu, spuchnięte węzły chłonne na szyi, obłożony język i zakażone migdałki.

– Ma pan oznaki przeziębienia. – Poklepałam go po ramieniu. – Przygotuję napar, który złagodzi kaszel. A w tym czasie... – z niesmakiem wskazałam palcem na przykryte porcelanowe naczynie, stojące pod łóżkiem, i spojrzałam na mężczyznę, który czekał przy drzwiach wyprostowany i sztywny, jakby robił inspekcję – ...proszę to opróżnić – nakazałam. Jack Randall wlepił we mnie zdziwione oczy, ale podszedł i schylił się posłusznie.

– Nie przez okno! – powiedziała ostro, gdy zauważyłam, że zmierza w tamtym kierunku. – Proszę to

wynieść. – Odwrócił się i wyszedł.

Aleksander odetchnął płytko, kiedy za bratem zamknęły się drzwi. Uśmiechnął się do mnie. Píwne oczy zabłyśły na bladej twarzy. Prawie przezroczysta skóra mocno opinała kości czaszki.

– Lepiej niech się pani pospieszy, zanim wróci Johnny. Co mi jest?

Próbując dać ujście uczuciom, jakie się we mnie zebrały, przyglądałam czarne rozczochrane włosy młodzieńca. Nie chciałam mu mówić, ale on i tak już wiedział.

– Nabawił się pan kataru. Ma pan też gruźlicę.

– I?

– Wadę serca. – Mój wzrok napotkał jego utkwione we mnie oczy.

– Aha. Tak podejrzewałam. Czasami coś trzepocze mi w piersiach... jak bardzo mały ptaszek. – Położyłam ostrożnie rękę na sercu.

Nie mogłam znieść widoku jego klatki piersiowej, która zapadła się jeszcze bardziej pod ciężarem dłoni. Delikatnie zapięłam mu koszulę i zawiązałam tasiemki pod szyją.

Koścista, biała ręka zacisnęła się na mojej.

– Jak długo? – spytał lekko. Głos nie zdradzał zmartwienia, dawał jedynie wyraz umiarkowanej ciekawości.

– Nie wiem. Naprawdę.

– Ale nie długo – powiedział z przekonaniem.

– Nie, nie długo. Kilka miesięcy, raczej nie dłużej niż rok.

– A można jakoś... powstrzymać kaszel?

Sięgnęłam do torby.

– Tak. Przynajmniej trochę. I palpacje serca też. Przyrządę panu wyciąg z naparstnicy. Na pewno trochę pomoże. – Znalazłam zawiniątko z ziołami.

Przygotowanie lekarstwa nie zabierało dużo czasu.

– Pański brat... – powiedziałam, nie patrząc na Randalla – ...czy on oczekuje, że ja...

– Nie – uciął krótko. Jeden kącik jego ust uniósł się, przez co Aleks zrobił się tak podobny do Franka, że momentalnie zachciało mi się za nim płakać. – Nie – wyjaśnił. – Myślę, że on już wie. Zawsze... wiedzieliśmy o sobie wszystko.

– Pan też o nim wie? – spytałam. Tym razem spojrzałam mu prosto w twarz. Nie odwrócił wzroku. Uśmiechnął się blado.

– Tak – odparł swobodnie. – Ale to nie ma znaczenia.

Naprawdę?, pomyślałam. Może nie dla ciebie. Bałam się, że zdradzą mnie wyraz twarzy albo głos, więc odwróciłam się i zajęłam zapalaniem lampki spirytusowej.

– On jest moim bratem – odezwał się miękki głos za moimi plecami. Wzięłam głęboki oddech i opanowałam drżenie rąk, żeby odmierzyć odpowiednią porcję liści.

– Tak. Przynajmniej tym jest.

Kiedy rozeszły się wieści o zadziwiającej porażce Cope'a pod Preston, z północy zaczęły się sypać propozycje wsparcia powstania. W niektórych przypadkach oferty stały się nawet rzeczywistością: lord Ogilvy, najstarszy syn hrabiego Airliego, przyprowadził sześciolet

parobków ojca, Stewart z Appin zjawił się na czele czterystu ludzi z hrabstw Aberdeen i Banff. Lord Pitsligo był jedynym odpowiedzialnym za większość szkockiej kawalerii. Przyłączyła się z nim ogromna liczba mężczyzn i ich służących z północno-wschodnich okręgów. Wszyscy na koniach, dobrze uzbrojeni, przynajmniej w porównaniu z niektórymi klanami, gdzie zbieranina ludzi posiadała jedynie miecze, których używali przodkowie podczas powstania w piętnastym roku, oraz zardzewiałe siekiery i widły.

Motłoch, jednak wcale nie mniej groźny, pomyślałam. Przeciskałam się wśród grupy mężczyzn, zebranych wokół wędrownego szlifierza, który teraz zamiast brzytwę ostrzył sztylety i kosy. Angielskiemu żołnierzowi, ugodzonemu taką bronią, groziło raczej zakażenie tężcem niż śmiertelne zranienie, ale ostatecznie co za różnica.

Lord Lewis Gordon, młodszy brat księcia Gordona, przybył do Holyrood oddać honory Karolowi i wzbudzić w księciu nadzieję na przyłączenie się całego klanu Gordonów. Jednak od całowania w rękę do rzeczywistego dostarczenia ludzi była daleka droga.

Mieszkańcy szkockich nizin entuzjastycznie okazywali swoją radość ze zwycięstwa Karola, ale nie przejawiały równego zapału do tego, by wesprzeć go ludźmi. Armia Stuarta składała się w większości z górali i wyglądało na to, że tak już zostanie. Jednak nizinni Szkoci nie zawiedli tak zupełnie. Lord Murray powiedział mi, że dzięki zbiorce jedzenia, dóbr i pieniędzy do skarbcza armii wpłynęła całkiem pokaźna suma, która pozwalała się

utrzymać przez jakiś czas.

– Z samego tylko Glasgow dostaliśmy pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów. Choć w porównaniu z pieniędzmi, jakie obiecała nam Francja i Hiszpania, są to mizerne kwoty – wyznał lord Jamiemu. – Ale ja nie będę wtykał do tego nosa, szczególnie że Jego Wysokość od Francuzów dostał jedynie słowa wsparcia, a nie złoto.

Jamie, który wiedział, jak nikłe są szanse na francuskie złoto, pokiwał tylko głową.

– Dowiedziałaś się dzisiaj czegoś, *mo duinne?* – spytał, kiedy wróciłam. Miał przed sobą do połowy napisaną wiadomość. Maczał pióro w atramencie. Zdjęłam wilgotny kaptur z głowy i skinęłam w odpowiedzi.

– Chodzą pogłoski, że generał Hawley formuje oddziały kawalerii na południu.

Dostał rozkaz utworzenia ośmiu pułków.

Jamie chrząknął. Biorąc pod uwagę szkocką awersję do jazdy konnej, nie była to dobra wiadomość. W roztargnieniu podrapał się po plecach, w miejscu gdzie pod Preston został ugodzony końskim kopytem. Siniak w kształcie podkowy na szczęście już zniknął.

– Napiszę to pułkownikowi Cameronowi – oznajmił. – Jak pewna jest ta pogłoska, Angielko? – Odruchowo obejrzał się przez ramię, żeby się upewnić, czy jesteśmy sami.

– Bardzo pewna. Z wiarygodnego źródła.

W rzeczywistości było to najświeższe doniesienie Jacka Randalla – rata długu za opiekę nad Aleksandrem.

Jamie, rzecz jasna, wiedział, że odwiedzam Aleksa Randalla, tak jak i wszystkich chorych z armii jakobickiej.

Nie miał jednak pojęcia – i tego nie powiedziałabym mu za nic w świecie – że raz w tygodniu, a niekiedy częściej, spotykam się z angielskim kapitanem, żeby zebrać najnowsze informacje.

Randall czasami przychodził do pokoju Aleksa, kiedy tam byłam. Czasem wracałam do domu w zimowym półmroku, kiedy nagle z zaułka wyłaniała się sztywna, prosta postać w brązowym ubraniu albo zza pleców niespodzianie dobiegał mnie cichy głos.

W takich sytuacjach – miałam wrażenie, że poluje na mnie duch Franka.

Byłoby o wiele prościej, gdyby Randall zostawiał dla mnie list w mieszkaniu brata, ale nie chciał oddawać niczego na piśmie. Rozumiałam Jacka. Gdyby kiedykolwiek znaleziono taką notkę, nawet bez podpisu, narażony byłby nie tylko on sam, ale i Aleks.

A w Edynburgu roiło się od nieznanym – ochotników armii króla Jakuba, ciekawskich przybyszów z północy i południa, zagranicznych wysłanników z Francji i Hiszpanii, szpiegów i informatorów. Na ulicach nie pokazywali się jedynie angielscy oficerowie i żołnierze. Zostali oni odizolowani na górze w zamku. O ile ktoś nie słyszał, co Randall do mnie mówi, nie domyśliłby się, kim jest, ani nie zauważyłby nic nadzwyczajnego w naszym spotkaniu. Zresztą rzadko widywano nas razem. Jack Randall zachowywał się bardzo ostrożnie.

Mnie również było to na rękę. Nie musiałam niszczyć żadnych napisanych wiadomości. Wątpię, żeby Jamie rozpoznał charakter pisma Randalla. Nie potrafiłabym jednak wytłumaczyć, z jakiego źródła

regularnie otrzymuję informacje bez podpisu.

O wiele lepiej było udawać, że wiadomości od Randalla są jedynie owocem moich codziennych wypraw.

Obawiałam się tylko, że moje doniesienia zostaną potraktowane na równi z innymi plotkami i nikt ich nie doceni. Wierzyłam, że Jack dostarcza informacji w dobrej wierze – zakładając, że można użyć takiego sformułowania w stosunku do Randalla.

Niekoniecznie jednak musiały być one prawdziwe. Należało je traktować sceptycznie.

Przedstawiłam wiadomości o nowych pułkach Hawleya z takim samym, jak zwykle, mdłym poczuciem winy z powodu małego oszustwa. Uczciwość między żoną a mężem uważałam za rzecz najważniejszą, ale w tym przypadku bałam się posunąć za daleko. Nie widziałam powodu, dla którego za informacje przydatne jakobitom, Jamie miałyby płacić cierpieniem.

– Książę Cumberland nadal czeka, aż jego oddziały wrócą z Flandrii – dodałam. – A oblężenie zamku Stirling do niczego nie prowadzi.

Jamie pisał z przejęciem.

– Ja natomiast dowiedziałem się z depechy, którą dwa dni temu lord George otrzymał od Francisca Townsenda, że zajęli miasto. Teraz na rozkaz Jego Wysokość robią podkopy, strata czasu i ludzi. Lepiej byłoby po prostu ostrzelać zamek, a potem przypuścić szturm.

– Więc po co robią podkopy?

Jamie machnął ręką zrezygnowany. Nadal był skupiony na pisaniu. Ze zdenerwowania miał różowe uszy.

– Bo armia włoska robiła podkopy, żeby zdobyć Pałac Letni. A to było jedyne oblężenie, jakie widział Jego Wysokość, więc dokładnie tak musi być i tutaj, zrozumiano?

– Zrozumiano.

Podziałało. Jamie podniósł wzrok i się roześmiał.

– Sprawdziłaś się, Angielko. Co jeszcze umiesz powiedzieć?

– Masz ochotę na „Ojczyzna” po celtycku?

– Nie. – Strzepnął piasek z kartki. Wstał, pocałował mnie przelotnie i wziął płaszcz. – Ale za to chętnie zjem kolację. Chodź, znajdziemy jakąś przytulną tawernę i nauczę cię wielu rzeczy, jakich nie wolno mówić publicznie. Mam je świeżo w pamięci.

Zamek Stirling wreszcie się poddał. Koszty były wysokie, prawdopodobieństwo utrzymania go – niskie, a korzyść z jego posiadania – wątpliwa. Jednak Karol wpadł w euforię. Stan ekstremalnego samozadowolenia okazał się katastrofalny w skutkach.

– W końcu udało mi się przekonać tego upartego kretyna – wtrącił książkę, marszcząc czoło. Potem przypomniał sobie o swoim zwycięstwie i rozpromieniony rozejrzał się po pokoju. – Zwyciężyłem. Niedługo już pójdziemy na Anglię, żeby wziąć wszystkie ziemie mojego ojca!

Dowódcy szkockich klanów zgromadzeni w porannym pokoju spoglądali po sobie, znacząco kaszląc i przestępując z nogi na nogę. Nastrój, jaki zapanował po tych słowach, daleki był od dzikiego entuzjazmu.

– Wasza Wysokość... – zaczął niepewnie lord

Kilmarnock – ...czy nie lepiej zastanowić się...?

Próbowali. Wszyscy. Szkocja, jak podkreślali, już należała do Karola, cała. Z północy nadal dołączali się ludzie, ale na pomoc z południa nie należało za bardzo liczyć. Wszyscy szkoccy lordowie mieli również świadomość, że ludzie z gór, zapaleni wojownicy i wierni poddani, byli przede wszystkim rolnikami. Pola czekały na orkę pod wiosenne zasiewy.

Wielu mężczyzn niechętnie wyruszy na południe podczas zimowych miesięcy.

– A czy ci ludzie nie są moimi poddanymi? Czy nie pójdą tam, gdzie im każe? Bzdura!

– skwitował stanowczo Karol. I miał rację. Bzdura.

– Jamesie, mój przyjacielu! Zostań, chcę z tobą porozmawiać chwilę na osobności. – Jego Wysokość odwrócił się do Jamiego po ostrej wymianie zdań z lordem Pitsligo. Ostre rysy księcia nieco złagodniały.

Myślałam, że mnie to zaproszenie nie dotyczy. Nie zamierzałam jednak wychodzić, więc opadłam na krzesło obite złotym adamaszkiem. Jakobiccy lordowie zaczęli opuszczać pokój, szepcząc między sobą.

– Ha! – Karol pstryknął palcami w stronę zamykających się drzwi. – Stare baby, wszyscy bez wyjątku! Jeszcze zobaczą! Mój kuzyn Ludwik również. Filip. Dam sobie radę bez ich nędznej pomocy! Jeszcze im wszystkim pokażę! – Blade, wypielęgowane palce sięgnęły miejsca tuż pod piersią. Spod jedwabnej koszuli wychylił się owalny kontur, miniaturowy portret Ludwika.

– Życzę Waszej Wysokości wszelkiej pomyślności w wysiłkach... – mamrotał Jamie...

– ale...

– Ach, dziękuję, *cher James!* Chociaż ty we mnie wierzysz! – Karol objął Jamiego ramieniem. – Bardzo mi przykro, że nie będziesz mi towarzyszył w triumfalnym marszu na Anglię – powiedział księżę i energicznie ścisnął ramiona Jamiego.

– Nie? – Jamie aż krzyknął zaskoczony.

– Cóż, *mon cher ami*, obowiązek wymaga od ciebie wielkiej ofiary. Wiem, jak bardzo twoje serce wyrывa się do chwalebnej walki, ale mam dla ciebie inne zadanie.

– Tak?

– Jakie? – spytałam obcesowo.

Jego Wysokość obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem, potem znowu odwrócił się do Jamiego i dalej się podlizywał.

– To zadanie najwyższej wagi, mój Jamesie. Tylko ty możesz je wykonać. To prawda, że pod sztandar mojego ojca cały czas napływają ludzie. Jednak nie można zbyt szybko poczuć się bezpiecznie. Na szczęście twój krewniak MacKenzie dołączył do nas wraz ze swoim klanem. Ale masz też rodzinę ze strony ojca, zgadza się?

– Nie. – Na twarzy Jamiego odmalowało się przerażenie.

– Ależ tak – powiedział Karol i ścisnął Jamiego po raz ostatni. Rozpromieniony popatrzył rudowłosemu Szkotowi w oczy. – Udasz się na północ, do ziemi twoich ojców, i wrócisz do mnie na czele klanu Fraserów!

– Dobrze znasz swojego dziadka? – spytałam, odganiając końską muchę, która najwidoczniej nie mogła się zdecydować, czy lepszym posiłkiem będę dla niej ja, czy mój koń.

Jamie pokręcił głową.

– Nie. Słyszałem, że zachowuje się jak potwór, ale nie musisz się go bać. – Uśmiechnął się do mnie, kiedy udało mi się walnąć muchę końcem szala. – Będę przy tobie.

– Och, nie martwię się starym dziadkiem – zapewniłam. – Już ich wielu w życiu widziałam. Większość z nich w środku jest miękka jak wosk. Przypuszczam, że z twoim dziadkiem sprawa przedstawiała się podobnie.

– Hm, nie – odpowiedział po namyśle. – To naprawdę okropny stetryczały potwór.

A robi się jeszcze gorszy, kiedy wyczuje, że ktoś się go boi. Jak prawdziwa bestia.

Spojrzałam przed siebie. Naszym oczom nagle ukazały się zarysy odległych wzgórz, spośród których złowieszczo wyłaniał się zamek Beaufort. Korzystając z chwili mojej nieuwagi, końska mucha przeleciała mi koło lewego ucha z zamiarem ataku. Pisnęłam i odchyliłam się na bok. Koń, zaskoczony gwałtownym ruchem, spłoszył się.

– Hej! Prr, stój! – Jamie przechylił się i chwycił moje lejce. Jego koń, lepiej ułożony niż moja klacz, parsknął, ale usłuchał polecenia i zastrzygł uszami zadowolony.

Jamie przycisnął kolana do boku swojego konia. Pociągnął klacz, żeby zatrzymała się obok.

– Dobra. – Zmrużonymi oczami śledził zygzakowaty lot małej końskiej muchy. – Niech lata. Zaraz ją złapię. – Czekał z podniesionymi rękami, przymykając oczy w blasku słońca.

Siedziałam lekko podenerwowana, jakby na wpół zahipnotyzowana groźnym bzyčeniem. Skrzydlate stworzenie, pozornie wolne, krążyło leniwie. Klacz gwałtownie strzygła uszami, okazując niepokój, który ja w pełni podzielałam.

– Jeżeli ona wyląduje w moim uchu, Jamie, to... – zaczęłam.

– Ćśś. – Jamie wychylił się do przodu. Złożył lewą dłoń jak pantera czająca się do ataku i wyczekiwał na właściwy moment. – Jeszcze chwila i ją mam.

Wtedy dostrzegłam ciemną plamkę na jego ramieniu. Następna końska mucha.

Znowu otworzyłam usta.

– Jamie...

– Cicho! – Klasnął triumfująco. Zabił mojego dręczyciela, ale sekundę później mucha siedząca na jego kołnierzu zanurzyła w mięsistej szyi swoje ssawki.

Szkockie klany walczyły według starej tradycji. Nie zważały na strategię, taktykę, przebiegłość; stawiały na prostotę ataku. Mierzyli się z przeciwnikiem na całej szerokości. Zdejmowali peleryny, wyciągali miecze i ruszali do ataku z potwornym wrzaskiem. Cokolwiek by mówić o celtyckich sposobach walki, trzeba przyznać, że przeważnie odnosiły skutek. Wielu wrogom, kiedy widzieli rozpędzoną masę włochatych, bosych zjaw, puszczały nerwy. Nieprzyjaciel najzwyczajniej w świecie uciekał.

Koń Jamiego, doskonale przeszkolony, z pewnością nie był przygotowany na najgorsze – celtycki wrzask o największym możliwym natężeniu decybeli, dochodzący pół metra znad jego głowy. Całkowicie spłoszony, położył uszy po sobie i pognał, jakby gonił go sam diabeł.

Ja i moja klacz stałyśmy jak sparaliżowane przy drodze i obserwowałyśmy znakomity pokaz szkockiego jeździectwa. Jamie, który miał odpięte strzemiona i wypuszczone lejce, niemal wyleciał z siodła, kiedy koń gwałtownie ruszył. Teraz desperacko usiłował dźwignąć się do przodu, kurczowo trzymając końską grzywę. Rozłożysta peleryna dziko trzepotała, szarpana pędem powietrza. Wierzchowiec, całkowicie spanikowany już wcześniej, wziął powiewającą masę kolorów za powód do tego, by galopować jeszcze szybciej.

Jamie z trudem zdołał się podciągnąć na grzbiet konia. Długie nogi, pozbawione podparcia, uderzały w końskie boki. Delikatny wiatr unosił fragmenty celtyckich przekleństw.

Usłyszałam cichy odgłos stępa. Odwróciłam się i zobaczyłam Murtagha. Prowadził jucznego kuca. Wchodził na niewielkie wzgórze, z którego my właśnie zesliśmy, i zmierzał drogą do miejsca, gdzie się znajdowałam. Zatrzymał kuca, osłonił ręką oczy i spojrzał w górę. Za kolejnym wzgórzem zniknął właśnie Jamie na oszalałym koniu.

– Końska mucha – wyjaśniłam.

– Późna pora jak na nie. Aż tak mu się spieszy do dziada, żeby zostawiać cię z tyłu? – spytał Murtagh właściwym sobie, oschłym tonem. – I tak, nawet ze

względu na żonę, nie zostanie jakoś inaczej przyjęty.

Chwycił lejce i pogonił konia do niespiesznego biegu. Zwierzę posłusznie ruszyło w dalszą drogę. Moja szkapa, ucieszona towarzystwem i chwilowym brakiem much, szła obok dość zwawym krokiem.

– Mimo że jestem Angielką? – spytałam dociekliwie. Słyszałam, że stosunek lorda Lovata do wszystkiego, co angielskie, nie był zbyt przyjazny.

– Angielka, Holenderka czy Niemka. To bez różnicy. Ale Stary Lis pożre na śniadanie wątrobę Jamiego, nie twoją.

– Nie rozumiem. – Przypatrywałam się małemu ponuremu Szkotowi. W luźno zarzuconej pelerynie przypominał jeden ze swoich pakunków. Jakimś dziwnym sposobem wszystko, co zakładał na siebie Murtagh, choćby było nowe i dobrze skrojone, od razu wyglądało jak rzecz wygrzebana ze śmietnika. – W jakich stosunkach jest Jamie z lordem Lovatem?

Uchwyciłam przeciągłe spojrzenie, rzucone przez małe czarne oczy. Murtagh odwrócił głowę w kierunku zamku Beaufort. Z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Do tej pory... w żadnych. Nigdy w życiu z nim nie rozmawiał.

– Skąd tyle o nim wiesz, skoro go nie znasz?

Wreszcie zaczęłam rozumieć wcześniejszą niechęć Jamiego, by prosić swojego dziada o pomoc. Dogoniliśmy Jamiego i jego konia. Wierzchowiec wyglądał na w miarę uspokojonego, natomiast rudowłosego jeźdźcę był zdenerwowany do granic możliwości.

Murtagh spojrział na Jamiego wymownie i

zaofiarował się, że wraz z jucznym kucem pojedzie przodem do Beaufort. My mieliśmy zostać przy drodze i zjeść obiad.

Kiedy wzmacnialiśmy się ciastkami owsianymi i piwem, Jamie opowiedział mi, że jego dziad, lord Lovat, nigdy nie zaakceptował małżeństwa swojego syna z Ellen MacKenzie. Nie zdobył się nawet na to, by pobłogosławić związek, ani żeby skontaktować się z synem czy wnukami od czasu ślubu Briana z Ellen, czyli od przeszło trzydziestu lat.

– Dużo się o nim nasłuchałem – odpowiedział Jamie, żując kawałek sera. – Jest człowiekiem, który wywiera na wieśniakach wrażenie.

– Domyślam się. – Starszy Tullibardine, jeden z paryskich jakobitów, dostarczył mi sporej ilości nie cenzurowanych opinii na temat przywódcy klanu Fraserów. Pomyślałam, że może Brian Fraser nie był jedyną osobą, na którą jego ojciec nie zwracał uwagi.

Powiedziałam to głośno, a Jamie mi przytaknął.

– O, tak. Nie pamiętam, żeby mój ojciec miał do powiedzenia wiele dobrego o tym człowieku, ale zawsze wyrażał się z szacunkiem. Po prostu nie mówił o nim często. – Podrapał się w kark w miejscu, gdzie już zaczął być widoczny czerwony ślad po ugryzieniu. Było niezwykle ciepło. Jamie zdjął pelerynę, żebym mogła na niej usiąść.

Wizyta u dowódcy klanu Fraserów wymagała dostojności. Jamie miał więc na sobie nowy kilt, skrojony po wojskowemu, i pelerynę z oddzielnego kawałka materiału.

Wprawdzie ten strój mniej chronił przed zimnem niż stara narzuta, ale za to o wiele szybciej się go zakładało.

– Zastanawiałem się czasem – powiedział rozważnie – czy mój ojciec był taki, jaki był, przez to, jak traktował go Stary Simon. Kiedyś po prostu myślałem, że ojciec nie musi okazywać uczuć swoim synom.

– Filozof z ciebie. – Podałam mu kolejną butelkę piwa. Wziął ją z uśmiechem, cieplejszym niż łagodne, jesienne słońce.

– Zastanawiałem się też, jakim ja będę ojcem. Najlepszy wzór, jaki miałem, to właśnie mój ojciec. Ale z tego, co czasem przebaczałam, i z tego, co mówił Murtagh, wiem, że stary Fraser był zupełnie inny. Może dlatego mój ojciec doszedł do wniosku, że trzeba podejść do rzeczy inaczej.

Przełknęłam kawałek sera i westchnęłam.

– Jamie... Naprawdę myślisz, że my kiedyś...

– Tak – odpowiedział z przekonaniem, nie dając mi dokończyć. Pochylił się i pocałował mnie w czoło. – Jesteś stworzona, by zostać matką. A ja nigdy bym nie chciał, żeby kto inny był ojcem twoich dzieci.

– To dobrze, bo ja też nie.

Roześmiał się, przyciągnął moją brodę do siebie i pocałował mnie w usta. Oddał mi pocałunek, a potem otarłam okruchy chleba z ust.

– Nie sądzisz, że powinieneś się ogolić? – spytałam.
– Na cześć pierwszego spotkania z dziadkiem?

– Widziałem go już kiedyś – rzucił obojętnie. – On mnie też. Jeśli będzie chciał, zniszczy mnie bez względu na wygląd. Niech go diabli!

– Ale Murtagh mówił, że go nie znasz!

– Uhm. – Strzepnął okruchy z koszuli. Zmarszczył nieznacznie czoło, jakby się namyślał, ile może mi powiedzieć. W końcu wzruszył ramionami i położył się w cieniu janowca, z rękami pod głową. Patrzył w niebo.

– Cóż, nigdy się nie poznaliśmy. Albo niezupełnie. To było, kiedy...

Młody Jamie Fraser miał siedemnaście lat. Został wysłany do Francji, żeby na uniwersytecie w Paryżu uczyć się dalej rzeczy, o których w książkach nie piszą.

– Wyływałem z portu w Beaulieu – powiedział. Wskazał głową niedalekie wzgórze, gdzie wąski pasek szarości na horyzoncie oznaczał granicę Moray Firth. – Były inne porty, z których mogłem wyruszyć, na przykład Inverness, ale to ojciec kupował mi bilet.

Pojechał ze mną do Beaulieu, żeby odesłać mnie w świat.

Brian Fraser rzadko opuszczał Lallybroch podczas swojego małżeństwa, więc podróż była przyjemna, bo Brian pokazywał synowi różne miejsca, gdzie polował czy jeździł jako chłopiec.

– Ale w miarę, jak zbliżaliśmy się do Beaufort, robił się coraz cichszy. W czasie jazdy nie mówił mi nic o dziadku, a ja wiedziałem, że nie należy o nim wspominać. Byłem też pewien, że nie bez powodu wysłał mnie do Francji z Beaulieu.

Ostrożnie przybliżała się do nas gromadka jaskółek. Wyłaniała się i znikła w niskich krzakach, gotowa do ucieczki w razie najmniejszego niebezpieczeństwa. Jamie sięgnął po resztkę chleba i rzucił go celnie w sam środek

gromady ptaków, która rozpierzchła się gwałtownie przestraszona.

– Wróć – powiedział Jamie. Położył sobie rękę na twarzy, żeby się osłonić przed blaskiem słońca, i opowiadał dalej:

– Na drodze z zamku dało się słyszeć odgłosy koni. Kiedy się odwróciliśmy, zobaczyliśmy, że z góry zjeżdża grupa sześciu konnych z platformą. Jeden z nich trzymał sztandar Lovata, więc wiedziałem, że jest wśród nich dziadek. Spojrzałem szybko na ojca, żeby zorientować się, co chce zrobić. On jednak tylko się uśmiechnął, ścisnął mnie za ramię i powiedział: „Wsiadajmy na statek, synu”. Kiedy szliśmy wybrzeżem, czułem na sobie wzrok dziadka. Niemal wszystko: wzrost, włosy, upodobało mnie do MacKenziech, a ja się cieszyłem, że mam na sobie najlepsze ubranie i nie wyglądam jak żebrak. Nie rozglądałem się, tylko kroczyłem mocno wyprostowany i byłem dumny, że jestem o całą głowę wyższy nawet od postawnego mężczyzny. Ojciec szedł przy mnie, jak zwykle, cichy. On również nie zerkał na boki, ale ja czułem, że jest dumny z tego, że mnie spłodził.

Jamie przechylił głowę i uśmiechnął się do mnie.

– To był ostatni raz, kiedy miałem pewność, że dobrze się spisałem.

Objął rękami kolana. Patrzył w dal, jakby przypominał sobie scenę na nadbrzeżu.

– Wsiedliśmy na statek i poznaliśmy się z kapitanem. Potem przez chwilę rozmawialiśmy o niczym. Obaj uważaliśmy, żeby nie spojrzeć na mężczyzn z Beaufort, którzy ładowali pakunki na statek, ani na brzeg,

gdzie stali jeźdźcy. Kapitan dał rozkaz, żeby wypływać. Pocałowałem ojca, a on przeskoczył przez barierkę do doku i podszedł do swojego konia. Odwrócił się dopiero, kiedy na niego wsiadł, gdy statek już ruszył.

Pomachałem mu, on mi odmachał i zawrócił na drogę do Lallybroch. Ludzie z Beaufort również zebrali się do powrotu. Dziadek, wyprostowany w siodle, jechał na czele grupy.

I tak mój ojciec oraz dziadek, w odległości dwudziestu metrów od siebie wjeżdżali na wzgórze. Nie odwrócili się do siebie. Obaj zachowywali się tak, jakby tego drugiego w ogóle nie było w pobliżu.

Odwrócił głowę w stronę drogi.

– Spojrzałem mu w oczy – powiedział łagodnie. – Raz. Odczekałem, aż ojciec podejdzie do konia. Wtedy się odwróciłem i popatrzyłem na lorda Lovata z największą śmiałością, na jaką mnie było stać. Chciałem, żeby wiedział, że o nic go nie prosimy i że się nie boję.

Uśmiechnął się do mnie półgębkiem.

– Chociaż się bałem.

Lekko uścisnęłam jego dłoń.

– Odwzajemnił spojrzenie?

Parsknął cicho.

– Tak. Prawdę mówiąc, nie spuszczał ze mnie oka, odkąd zjechaliśmy ze wzgórza aż do chwili, gdy mój statek odплыł. Czułem, jak jego oczy wbijają mi się w plecy niczym ostrza. I kiedy na niego spojrzałem, właśnie stał z wlepionym we mnie wzrokiem.

Umilkł. Ciągle patrzył w stronę zamku. Szturchnęłam go delikatnie.

– I jak wtedy wyglądał?

Odwrócił wzrok od masy ciemnych chmur na horyzoncie i spojrzał na mnie oczami, z których znikła radość, jaka zwykle zdobiła jego twarz.

– Był zimny jak lód, Angielko – odpowiedział. – Zimny jak lód.

Pogoda nam dopisywała. Cieszyliśmy się ciepłem przez całą drogę z Edynburga.

– Ciepło się nie utrzyma – przewidywał Jamie. Bacznie obserwował morze w oddali.

– Widzisz to kłębowisko ciemnych chmur? Do wieczora znajdą się nad lądem. – Wciągnął powietrze i otulił się peleryną. – Powąchaj. Czuć, jaka nadchodzi pogoda.

Nie byłam doświadczona w meteorologii zapachowej. Nadal nie miałam pewności, czy wychwytyję właściwe oznaki. Wilgoć sprawiała, że woń suchych wrzosów i żywicy sosnowej stawała się intensywniejsza. Wyczuwało się też słabszą, mdłą nutę aromatyczną porostów z odległego wybrzeża.

– Ciekawe, czy ludzie już wrócili do Lallybroch – powiedziałam.

– Wątpię. – Jamie pokręcił głową. – Mieli krótszą drogę niż my, ale oni idą pieszo. – Wspiął się w strzemiączkach. Osłonił oczy, żeby spojrzeć w stronę zachmurzonego wybrzeża. – Miejmy nadzieję, że to tylko deszcz, który zbytnio nie utrudni im marszu.

Ale na wielką burzę się nie zanoszą. Może nie dotrze do nas na południe.

Owinęłam się mocniej ciepłym szalem z tartanu, bo

zerwał się wiatr. Dni pogody wzięłam za dobry znak. Miałam nadzieję, że się nie pomyliłam.

Po otrzymaniu polecenia od Karola Jamie całą noc spędził przy oknie w Holyrood.

Nad ranem sam poszedł do Jego Wysokości. Oznajmił, że pojedzie do Bealy tylko ze mną i Murtaghiem, przekaze lordowi Lovatowi wyrazy szacunku odksięcia i prośbę, by dotrzymał obietnicy i wspomógł Karola ludźmi i pieniędzmi.

Potem Jamie zawołał kowala Rossa do naszego pokoju. Wydał mu polecenia bardzo cichym szeptem. Nawet ja ich nie dosłyszałam, choć siedziałam przy kominku.

Widziałam, jak potężne ramiona kowala się podnoszą, a potem opadają pod ciężarem słów.

Armia szkocka przemieszczała się w sposób mało zdyscyplinowany, w niespójnym tłumie, który z trudem można by nazwać kolumną. Po drodze mężczyźni z Lallybroch mieli się odłączać pojedynczo, odchodząc na bok w krzaki pod pozorem odpoczynku czy załatwienia potrzeb fizjologicznych. Oczywiście, nie kazano im wracać do grupy, tylko oddalić się niepostrzeżenie i pojedynczo dołączać do innych mężczyzn z Lallybroch.

Zebrani wszyscy w jednym miejscu pod dowództwem kowala Rossa powinni wrócić do domu.

– Wątpię, żeby się szybko zorientowali, że ich nie ma, o ile w ogóle to dostrzegą – stwierdził Jamie podczas omawiania ze mną tego planu. – Dezercja jest powszechna w całej armii. Ewan Cameron powiedział mi, że stracił ze swojego oddziału dwudziestu ludzi w ciągu ostatniego

tygodnia. Idzie zima, więc mężczyźni chcą wrócić do domów i przygotować się do wiosennych upraw. Jedno jest pewne: nie ma kogo wysłać za dezerterami, nawet gdyby ich nieobecność została zauważona.

– Więc się poddałeś, Jamie? – spytałam. Położyłam mu rękę na ramieniu. Otarł twarz dłonią, zanim odpowiedział.

– Nie wiem, Angielko. Może jest za późno, może nie. Trudno ocenić. Głupotą było wyruszać na południe teraz, kiedy zbliża się zima. A szturm na Sterling to już całkowity idiotyzm. Karol zwyciężył, więc dowódcy, przynajmniej niektórzy, dołączają się do niego.

Teraz jeszcze MacKenzie i inni za ich przyczyną. Jego Wysokość ma dwa razy więcej ludzi niż pod Preston. A co z tego wyniknie? – Rozłożył ręce. – Nie wiem. Anglicy się nie sprzeciwiają, bo się boją. Sama wiesz, widziałaś ulotki. – Uśmiechnął się ponuro. – Pieczemy dzieci nad ogniem, gwałcimy żony i córki porządnych mężczyzn. – Prychnął cicho zdęgowany. Przystępstwa takie, jak kradzieże i niesubordynacja, były w szkockiej armii powszechne, ale gwałty się nie zdarzały.

Westchnął ze złością.

– Camerona doszły pogłoski, że król Geordie przygotowuje się do ucieczki z Londynu, bo się boi, że armia księcia wkrótce zajmie miasto. – Była to plotka od samego Randalla, którą Cameron usłyszał z moich ust. – A my mamy Kilmarnocka i Camerona, Lochiela, Balmerino i Dougala z klanem MacKenziech. Wszyscy są dobrymi wojownikami. A jeżeli jeszcze Lovat przyśle ludzi, jak obiecał... Boże, może to wystarczy. Jezu, gdybyśmy poszli

na Londyn... – Skulił się, potem nagle wyprostował i otrząsnął, jakby chciał się uwolnić od ciasnej koszuli. – Ale nie mogę ryzykować – powiedział po prostu. – Nie zostawię tutaj moich ludzi, żeby ich zabrali Bóg wie dokąd. Gdybym był z nimi, to co innego. Ale niech mnie diabli, jeżeli miałbym ich oddać w ręce Karola albo Dougala, a sam znaleźć się w Beaully, setki kilometrów dalej.

Plan wyglądał następująco: wszyscy mężczyźni z Lallybroch – włącznie z Fergussem, który ostro protestował, ale został uciszony – mieli się odłączyć i oddalić niepostrzeżenie w kierunku domu. Kiedy załatwimy sprawy w Beaully i wrócimy do Karola będzie dość czasu, żeby się zorientować w sytuacji.

– Dlatego zabieram Murtagha – wyjaśnił Jamie. – Jeżeli wszystko okaże się w porządku, pošlę go do Lallybroch po ludzi. – Łagodny uśmiech rozjaśnił zatroskaną twarz. – Może nie prezentuje się pięknie na koniu, ale jest niezłym jeźdźcem. Szybkim jak błyskawica.

Nie wygląda na takiego, pomyślałam. Zresztą w tej chwili nie było potrzeby, żeby gnać. Właściwie jechał nawet wolniej niż zwykle. Kiedy wspinaliśmy się na wzgórze, widziałam, jak na dole zatrzymuje konia. Zsiadł, zanim go dogoniliśmy. Z wściekłością przyglądał się siodłu.

– Coś nie tak? – Jamie również zamierzał zsiść z konia, ale Murtagh z irytacją machnął ręką, żeby go powstrzymać.

– Nic, nic, nie przejmuj się. Tylko wiązanie puściło. Jamie skinął głową i chwycił lejce.

– Nie jest dzisiaj zbyt uprzejmy – zauważyłam.

Prawdę mówiąc, mały Szkot z każdym krokiem w kierunku Beaully stawał się coraz bardziej rozdrażniony i zirytowany. – Rozumiem, że nie cieszy go perspektywa odwiedzin u lorda Lovata?

Jamie uśmiechnął się. Spojrzał za siebie na małą, ciemną postać, która z przejęciem wiązała sznurek.

– Nie, Murtagh nie należy do przyjaciół Starego Simona. Szczerze kochał mojego ojca. – Usta Jamiego wykrzywiły się. – I moją matkę też. Nie zwracał uwagi na Lovata.

Ani na jego poglądy odnośnie szukania żony. Babka Murtagha była Irlandką, ale ze strony ojca jest też powiązany z Primrose Campbell – oznajmił Jamie, jakby to w jakiś sposób wyjaśniało sprawę.

– Primrose Campbell? Kto to taki? – spytałam z ciekawością.

– Oj... – Pocierał nos, zastanawiając się. Wiatr od morza stawał się coraz silniejszy i targał włosy Jamiego. Ciągle zarzucał mu na twarz rude kosmyki. – Primrose Campbell była trzecią żoną Lovata. Właściwie przypuszczam, że jest nią nadal – dodał. – Choć zostawiła go kilka lat temu i wróciła do domu swojego ojca.

– Ma powodzenie u kobiet, co? – mruknęłam.

Jamie prychnął.

– Sądzę, że można to tak nazwać. Pierwszy raz wziął sobie żonę siłą. Porwał Dowager lady Lovat z łóżka w środku nocy, natychmiast wziął z nią ślub i wrócił do łóżka, już nie sam. Ale – dodał uczciwie – ona później go pokochała, więc może nie było im tak najgorzej.

– Przynajmniej musiał być niezły w łóżku –

powiedziałam bezceremonialnie. – To chyba rodzinne.

Posłał mi lekko zawstydzone spojrzenie i zakłopotany uśmiech.

– Tak, hmm. Był czy nie był, na niewiele mu się to zdało. Służące Dowager doniosły na niego, został skazany na banicję i musiał uciekać do Francji.

Małżeństwa z przymusu i banicja – ciekawe. Powstrzymałam się od dalszych uwag na temat rodzinnego podobieństwa. Miałam tylko cichą nadzieję, że Jamie nie pójdzie w ślady dziadka, jeśli chodzi o liczbę żon. Simonowi najwyraźniej jedna nie wystarczyła.

– Pojechał do Rzymu, żeby się spotkać z królem Jakubem i przysiąc lojalność Stuartom – ciągnął Jamie. – Potem się odwrócił i poszedł prosto do Williama z Orange, króla Anglii, który akurat odwiedzał Francję. Dostał od Jakuba obietnicę zwrotu tytułu i posiadłości, jeżeli dojdzie do restauracji. Później Bóg jeden wie, jak uzyskał pełne przebaczenie od Williama i pozwolenie na powrót do Szkocji.

Teraz ja się zdziwiłam. Najwidoczniej nie chodziło tylko o atrakcyjność dla płci przeciwnej.

Przygody Simona na tym się nie skończyły. Po jakimś czasie znów wyjechał ze Szkocji do Francji. Tym razem, żeby szpiegować jakobitów. Kiedy sprawa się wydała, wtrącono go do więzienia. Uciekł. Wrócił do Szkocji, zwołał zebranie klanów pod pozorem uczty łowieckiej w Braemar w tysiąc siedemset piętnastym roku i udało mu się zdobyć pełne zaufanie korony angielskiej dzięki stłumieniu powstania, które wtedy właśnie wybuchło.

– Stary łajdak, jednym słowem. – Byłam całkowicie pochłonięta tą historią. – Chociaż nie taki stary, wtedy miał może koło czterdziestki. – Gdy się dowiedziałam, że lord Lovat skończył już siedemdziesiąt lat, spodziewałam się, że jest trzęsącym się, zniedołężniałym starcem. Szybko jednak zrewidowałam swoje wyobrażenia, słuchając dalszych historii.

– Mój dziad najwyraźniej posiada charakter, który pozwoliłby mu się ukryć bezpiecznie za krętymi schodami – zauważył obojętnie Jamie. Dalsze rozważania nad charakterem dziadka zbył machnięciem ręki. Simon ożenił się później z Margaret Grant, córką Granta z Grantów. Po jej śmierci poślubił Primrose Campbell. Miała wtedy może osiemnaście lat.

– Czy Stary Simon był aż tak łakomym kąskiem dla jej rodziny, że się na ten ślub zgodzili? – spytałam ze współczuciem.

– A skąd! – Przerwał, żeby odgarnąć sobie włosy z twarzy. Niesforne loki wcisnął za uszy. – On dobrze wiedział, że dziewczyna go nie zechce, nawet gdyby był bogaty jak Krezus. Wysłał więc do Primrose list. Pisał, że jej matka zachorowała w Edynburgu.

Podał adres, pod który dziewczyna miała się udać.

Jednak w Edynburgu młodziutka i piękna panna Campbell nie zastała swojej matki, tylko starego przebiegłego Simona Frasera. Poinformował ją, że znalazła się w domu rozpusty i jedyną szansą, by ocaliła swe dobre imię, jest natychmiastowy ślub.

– Musiała być głupawa, jeżeli nabrała się na coś takiego – skwitowałam cynicznie.

– Cóż, była bardzo młoda – bronił jej Jamie. – Stary Simon nie rzucał słów na wiatr.

Gdyby go odrzuciła, bez wahania zszargałby jej reputację. Koniec końców poślubiła go przebiegłego amanta i pożałowała.

– Hmm. – Zaczęłam rachować. Simon poznał Primrose Campbel zaledwie kilka lat temu, jak powiedział Jamie. Więc... – Twoją babką była Dowager lady Lovat czy Margaret Grant? – spytałam z ciekawością.

Naczyńka krwionośne na policzkach Jamiego, popękane od słońca i wiatru, nagle zalały się czerwienią.

– Żadna z nich. – Nie patrzył na mnie. Spoglądał w dal, w kierunku zamku Beaufort.

Miał zaciśnięte usta. – Mój ojciec był bękartem – powiedział w końcu. Siedział w siodle prosto, jakby połknął kij. Lejce trzymał tak mocno, że zbiegały mu palce. – Uznany przez Simona, ale bękartem. Dzieckiem jednej z służących z zamku Downie.

– Och. – Nie wiedziałam, jak zareagować.

Przełknął głośno ślinę.

– Powinienem ci wcześniej o tym powiedzieć – mruknął zduszonym głosem. – Przepraszam.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego ramienia. Było twarde jak stal.

– To bez znaczenia, Jamie. – Wiedziałam, że moje słowa nic nie zmienią. – Nie mam nic przeciwko...

– Tak? – przerwał mi szorstko. Nadal patrzył przed siebie. – A ja mam.

Wiatr nieustannie wiejący od Moray Firth z szelestem poruszał się po wzgórzu porośniętym ciemnymi

sosnami. Teren, na którym była położona wioska, stanowił dziwne połączenie wzgórz i wybrzeża morskiego. Olchy, modrzewie i brzozy gęsto rosły po obu stronach wąskiego szlaku. W miarę, jak zbliżaliśmy się do ciemnej bryły zamku Beaufort, drzewa coraz bardziej zanurzały się w mazi błota i porostów.

W zasadzie spodziewano się naszego przyjazdu. Strażnicy przy bramach, ubrani w kilty i uzbrojeni w siekiery, nawet na chwilę nas nie zatrzymali. Przyglądali się nam z zainteresowaniem, ale chyba bez wrogości. Jamie siedział wyprostowany jak król.

Skinął głową do mężczyzny stojącego z boku. Nieznajomy odwzajemnił ukłon. Miałam dziwne wrażenie, jakbyśmy wjeżdżali do zamku z białą flagą. Jak długo taki stan się utrzyma – nikt nie wiedział.

Bez żadnych przeszkód dotarliśmy na dziedziniec zamku Beaufort. Siedziba lorda Lovata nie była zbyt wielka, jak na zamek, ale okazała – przede wszystkim dlatego, że została wzniesiona z surowego kamienia. Zamek, choć słabo ufortyfikowany w porównaniu z tymi, jakie widziałam na południu, sprawiał wrażenie, że jest w stanie przetrwać niejedno natarcie. Wzdłuż murów wyzierały szerokie otwory na broń, w wieży warownej znajdowała się stajnia. Trzymano w niej kilka kucy. Zwierzaki wychylały głowy ponad drewnianymi niskimi drzwiami, żeby przywitać nasze konie. Przy murze leżało sporo pakunków, widać niedawno rozładowanych.

– Lovat zwołał ludzi na spotkanie z nami – zauważył ponuro Jamie na widok bagaży.

– Krewni, jak sądzę. – Wzdrygnął się. – Chyba będą

mili.

– Skąd wiesz?

Zeskoczył na ziemię i pomógł mi zsiąść.

– Bo zostawili miecze przy paczkach.

Jamie podał lejce stajennemu, który właśnie wychodził ze stajni, ocierając brudne ręce w spodnie.

– Co teraz? – wyszeptalam do Jamiego. Nigdzie nie było widać lokaja czy osoby zarządzającej domem. Nie tak, jak dwa lata temu w zamku Leoch, gdzie powitała nas promienna, władcza pani FitzGibbons.

Przyglądało nam się kilku stajennych i parobków, którzy krzątali akurat się w pobliżu. Nie oderwali się jednak od swoich zajęć. Tak samo, jak i służący, którzy przechodzili przez dziedziniec. Znosili kosze bielizny, worki torfu i innych ciężkich przedmiotów nieodzownych do życia w kamiennym zamku. Patrzyłam z uznaniem na krzepkiego mężczyznę. Pocił się pod ciężarem dwóch dwudziestopięciolitrowych miedzianych beczek z wodą. Niedociągnięcia w dziedzinie gościnności wyraźnie nadrabiano szczodrym dostarczaniem wody do kąpieli.

Jamie stał na środku dziedzińca z założonymi rękoma. Przyglądał się miejscu niczym przyszły kupiec, który analizuje wszystkie wady i zalety posiadłości.

– Czekamy, Angielko. Strażnicy już na pewno donieśli, że przyjechaliśmy. Albo ktoś po nas wyjdzie, albo... nie.

– Uhm. Mam nadzieję, że szybko się zdecydują. Jestem głodna i chciałabym się umyć.

– Rzeczywiście, dobrze by ci zrobiło – przytaknął Jamie z lekkim uśmiechem, przyglądając mi się bacznie. –

Masz sadzę na nosie, a we włosach kilka rzepów. Nie, zostaw – dodał, kiedy wyciągnęłam rękę w stronę głowy. – Dodają ci urody.

Podeszłam do stojącej niedaleko balii, żeby poprawić swój wygląd, oczywiście na ile to możliwe przy użyciu jedynie zimnej wody.

Schyliłam się, żeby w lustrze wody zobaczyć, które plamy są sadzą, a które tylko cieniem pływającego po wodzie siana. Pomyślałam, że Simon Fraser znalazł się w kłopotliwej sytuacji.

Z jednej strony Jamie przybył jako oficjalny wysłannik Stuartów. Niezależnie od tego, czy przyrzeczenie pomocy było uczciwą obietnicą, czy tylko pustymi słowami, Simon powinien powitać książęcego przedstawiciela, choćby z grzeczności.

Z drugiej jednak strony wspomniany przedstawiciel to wnuk z nieprawej linii. Choć sam nie był bękartem, z pewnością nie mógł być też uznany za pełnoprawnego członka rodziny. A ja zdążyłam już wystarczająco dużo dowiedzieć się o rodzinnych zatargach w Szkocji, żeby mieć pewność, że czas nie zaciera tego rodzaju niechęci.

Mokrą ręką przetarłam oczy i skronie. Przyglądałam niesforne kosmyki włosów.

Mimo wszystko nie sądziłam, że lord Lovat zostawi nas na dziedzińcu. Jednak mógł nas tu przetrzymać tak długo, że nawet głupi by zrozumiał dwuznaczność powitania.

Ale kto wie? Może przywita nas lady Frances, jedna z ciotek Jamiego, wdowa, która – z tego, co opowiadał Tullibardine – zajmowała się domem ojca. Albo, jeżeli

Simon zdecyduje się przyjąć nas raczej jak dyplomatów niż krewnych, przybędzie w towarzystwie sekretarza, strażników i służących.

Ostatni wariant wydawał się najbardziej prawdopodobny. Minęło już przecież sporo czasu. Świta nie może się przecież krzątać po domu odświętnie ubrana, trzeba zebrać i przygotować odpowiednie osoby. Wyobraziłam sobie nagle pojawienie się hrabiego w pełnym rynsztunku. Pomyślałam, że lepiej jednak wyjąć rzepy z włosów. Znowu pochyliłam się nad balią.

W tym momencie zaskoczył mnie odgłos kroków w przejściu pomiędzy korytami. Na dziedziniec wyszedł przysadzisty starszy człowiek w spodniach i rozpiętej koszuli.

Z okrzykiem pełnym irytacji energicznie odepchnął łokciem na bok grubą kasztankę.

Mimo podeszłego wieku trzymał się prosto jak świeca. Ramiona miał niemal tak szerokie, jak Jamie.

Przystanął obok konia i rozejrzał się po dziedzińcu, jakby kogoś szukał. Z początku ominął mnie wzrokiem, jednak po chwili odwrócił oczy w moją stronę, najwyraźniej przestraszony. Podszedł nieco bliżej z dumnie wyciągniętą brodą, szarą z powodu nie ogolonego zarostu, ostrego niczym kolce jeża.

– Kim pani jest, do cholery? – wrzasnął.

– Claire Fraser, to znaczy lady Broch Tuarach – przedstawiłam się. Ledwie sobie przypominałam swój tytuł. Zebrałam moje rzeczy i wytarłam kroplę wody z brody. – A pan, do cholery, kim jest? – spytałam.

Ktoś z tyłu ścisnął mnie mocno za łokieć.

Zrezygnowany głos znad mojej głowy powiedział:

– To jest mój dziad, Angielko. Panie, pozwól, że przedstawię swoją żonę.

– Ach? – Lord Lovat obdarzył mnie lodowatym spojrzeniem niebieskich oczu. – Słyszałem, że poślubiłaś Angielkę. – Ton głosu jasno dawał do zrozumienia, że czyn ten potwierdził wszystkie najgorsze wyobrażenia o wnuku, którego Stary Simon nie znał.

Uniósł grubą, szarą brew i prześwidrował wzrokiem Jaraiego.

– Tyle samo rozumu, ile u ojca, jak sędzę.

Widziałam, że Jamiemu lekko drżały ręce. Z trudem powstrzymywał, żeby ich nie zacisnąć w pięści.

– Przynajmniej nie musiałem brać żony gwałtem ani podstępem – zauważył spokojnie.

Lord chrząknął dotknięty uwagą. Wydawało mi się, że jego usta zadrżały w kąciku.

– Tak, i niewiele na tym interesie zarobiłaś – stwierdził. – Chociaż pewnie też mniej zapłaciłaś niż Brian za tę nierządnicę MacKenzie, która go omamiła. Nawet jeżeli ta Angielka nic ci nie dała w posagu, przynajmniej wygląda na to, że niewiele cię kosztuje. – Skośne niebieskie oczy, tak bardzo podobne do oczu Jamiego, zmierzyły moją brudną po podróży suknię. Wychwytywały wszystko, co się na niej znalazło: siano, rozerwany szew i plamy z błota.

Czułam, jak Jamie zaczyna się trząść, ale nie wiedziałam – ze złości czy ze śmiechu.

– Dziękuję – powiedziałam i przyjaźnie uśmiechnęłam się do lorda. – Nie jem też zbyt wiele. Ale często się myję. Samą wodą. O mydło proszę się nie

martwić, jeżeli wychodzi za drogo.

Tym razem byłam pewna, że usta Simona drżą.

– Tak, rozumiem – odparł. – Zaraz przyślę służącą.

Pokaże wam pokoje. I da mydło.

Z tobą zobaczymy się w bibliotece przed kolacją... wnuku – zwrócił się do Jamiego, odwrócił się na pięcie i zniknął w bramie.

– Kto: „my”? – spytałam.

– Młody Simon, jak przypuszczam. Dziedzic. Jeszcze może jakiś kuzyn i paru ważniejszych poddanych. Na dziedzińcu stoi kilka koni. Jeżeli Lovat ma rozważyć wysłanie oddziałów na pomoc Stuartom, jego ludzie chyba mają coś na ten temat do powiedzenia.

– Widziałas kiedyś robaka wśród gromady kurczaków? – wyszeptał, kiedy godzinę później zśliśmy korytarzem prowadzeni przez służącego. – To właśnie jestem ja, a raczej: my. Trzymaj się mnie teraz.

Rzeczywiście zwołano zebranie krewnych z klanu Fraserów. Kiedy wprowadzono nas do biblioteki zamku Beaufort, siedziało już tam ze dwadzieścia osób.

Jamie został oficjalnie przedstawiony i przedłożył oficjalne stanowisko w imieniu Stuartów. Przekazał lordowi Lovatowi wyrazy uszanowania od księcia Karola i króla Jakuba oraz zwrócił się z prośbą o wsparcie. Stary człowiek odpowiedział na to wszystko krótko, elokwentnie i wymijająco. Zgodnie z etykietą zostałam wtedy wyprowadzona na środek i przedstawiona. Atmosfera nieco się rozluźniła.

Znalazłam się w otoczeniu mężczyzn ze szkockich wyżyn, którzy po kolei wymieniali ze mną słowa

powitania. W tym czasie Jamie rozmawiał z kimś o imieniu Graham, prawdopodobnie kuzynem lorda Lovata. Zebrani patrzyli na mnie z pewną rezerwą, ale wszyscy okazali się kulturalni. Z jednym wyjątkiem.

Młody Simon, równie przysadzistej budowy, jak ojciec, ale niemal o pięćdziesiąt lat młodszy, wyszedł do przodu, uklonił się i podał mi rękę. Gdy się wyprostował się, zmierzył mnie wzrokiem z uwagą, która ledwie mieściła się w granicach przyzwoitości.

– Żona Jamiego, hm? – zagadnął. Miał skośne oczy, jak ojciec i przyrodni bratanek, ale były brązowe niczym błoto albo woda z trzęsawiska. – Chyba mogę do pani mówić:

„bratanico”? – Był prawie w wieku Jamiego, ale zdecydowanie o kilka lat młodszy ode mnie.

– Cha, cha – zaśmiałam się zdawkowo, a on zarechotał ze swojego żartu. Próbowałam uwolnić rękę, ale nie chciał jej wypuścić. Uśmiechnął się za to jowialnie i znowu zmierzył mnie wzrokiem.

– Słyszałem o pani – oznajmił. – Trochę się mówi o pani w tych stronach.

– Och, naprawdę? Bardzo mi miło. – Szarpnęłam się niezauważalnie, ale ręka dziedzica niezwykle mocno zacisnęła się na mojej. Uścisk był niemal bolesny.

– Och, tak. Podobno jest pani znana wśród mężczyzn z oddziału Jamiego – powiedział i uśmiechnął się tak szeroko, że jego oczy zmieniły się w wąskie ciemnobrązowe szparki. – Nazywają panią *neo-geimnidh meala*. Pani Miodowe Usta – przetłumaczył na widok mojego zdziwienia z powodu obco brzmiących celtyckich

słów.

– Cóż, dziękuję... – zaczęłam, ale nie zdążyłam powiedzieć nic więcej, bo Jamie walnął swojego przyrodniego wuja pięścią w szczękę. Powalił go na inkrustowany stół.

Słodczyce i łyżeczki rozsypały się po lśniącej blacie z przeraźliwym hałasem.

Ubierał się jak na dżentelmena przystało, ale miał prostackie odruchy. Młody Simon upadł na kolana i w takiej pozycji zamarł z zaciśniętymi pięściami. Jamie stał nad nim, gotowy do walki, ale bez ruchu, co było wymowniejsze niż najsrozsza groźba.

– Ona niezbyt dobrze zna celtycki – opanowanym tonem powiedział Jamie. – A teraz, skoro powiedziałaś to przy wszystkich, grzecznie przy wszystkich przeprosisz moją żonę, zanim kopnę cię tak, że połkniesz własne zęby. – Młody Simon groźnie popatrzył na Jamiego, potem spojrział na swojego ojca. Lord dyskretnie skinął głową.

Z niepokojem przyglądał się powstałemu zamieszaniu. Czarne kosmyki czupryny dziedzica wysunęły się z tasiemki i zwisały nad jego twarzą jak gałęzie wierzy płaczącej.

Obrzucił Jamiego złowrogim spojrzeniem, w którym jednak widać było też zdziwienie i szacunek. Otarł usta grzbietem dłoni i ukłonił mi się głęboko, nie podnosząc się z kolan.

– Proszę o wybaczenie, pani Fraser, i przepraszam za wszystko, co mogło być dla pani obraźliwe.

Zdażyłam jedynie skinąć głową na znak przyjęcia przeprosin, bo Jamie wyprowadził mnie na korytarz. Zanim

wydobyłam z siebie głos, znaleźliśmy się przy drzwiach naszego pokoju. Rozejrzałam się, czy nikt nasnie słyszy.

– Co, u licha, znaczy *neo-geimnidh mealal* – spytałam. Szarpnęłam go za rękaw, żeby nieco zwolnił. Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby dopiero co przypomniał sobie o moim istnieniu.

– Ach, cóż... to mniej więcej znaczy: „miodowe usta”.

– Ale...

– Jemu nie chodziło o twoje usta, Angielko – wyjaśnił sucho.

– To o co? – Chciałam jeszcze raz sprawdzić, czy nikogo nie ma, ale Jamie chwycił mnie mocniej za ramię.

– Kwa, kwa, kwa – wyszeptał mi do ucha. – Nie przejmuj się, oni mnie tylko wypróbują. Wszystko będzie dobrze.

Zostałam pod opieką lady Frances, siostry młodego Simona. Jamie wrócił do biblioteki, z rękami gotowymi do walki. Miałam nadzieję, że już nie uderzy żadnego ze swoich krewnych. Choć Fraserowie nie byli tak postawni, jak rodzina MacKenziech, mieli wrodzoną czujność, która przysparzała niemałych kłopotów każdemu, kto chciał zakosztować szybkiego zwycięstwa.

Lady Frances była młoda, miała może dwadzieścia dwa lata. Patrzyła na mnie z odrobiną przestraszonej fascynacji. Próbowałam zjednać ją sobie przy słodyczach i herbacie. Wysiłłam się, żeby być tak grzeczna i łagodna, jak tylko umiem. Po pewnym czasie Frances poczuła się na tyle swobodnie, żeby mi wyznać, że nigdy wcześniej nie widziała Angielki. Wywnioskowałam z tego, że Angielki

uchodziły za egzotyczny i niebezpieczny gatunek.

Uważałam, żeby nie wykonywać gwałtownych ruchów. Po chwili lady Frances przedstawiła mi nawet swojego syna. Trzyletni brzdąc był utrzymany w stanie ponadnaturalnej czystości dzięki nieustannemu dozorowi służącej o srogim wyglądzie.

Opowiadałam Frances i jej młodszej siostrze, Aline, o Jenny oraz całej rodzinie w Lallybrock, której nie miały okazji poznać. Nagle na korytarzu rozległ się hałas, potem płacz. Zerwałam się na równe nogi. Dobięłam do drzwi salonu i zobaczyłam skłębioną kupę ubrania, która usiłowała się podnieść z kamiennej podłogi korytarza. Ciężkie drzwi biblioteki były otwarte. Stał w nich starszy Simon Fraser. Wyglądał odrażająco jak ropucha.

– Dostaniesz porządniej, dziewczyno, więc lepiej nie próbuj tego więcej – powiedział nieszczerólnie groźnym tonem. Raczej po prostu stwierdził fakt. Leżąca postać uniosła głowę. Moim oczom ukazała się niezwykła twarz o regularnych rysach. Ciemne oczy były szeroko otwarte, na policzku widniało czerwieniejące rozcięcie. Zobaczyła mnie, ale nie okazała tego w żaden sposób. Wstała i uciekła bez słowa. Jako bardzo wysoka i nad wyraz chuda osoba poruszała się z dziwną, na wpół niezdatną gracją żurawia. Po kamieniach biegł za nią jej cień.

Gapiłam się na Starego Simona. Stał w cieniu, jaki rzucał blask ognia z kominka z biblioteki. Poczul na sobie mój wzrok. Odwrócił do mnie twarz i popatrzył niesamowicie niebieskimi oczami, zimnymi jak szafiry.

– Dobranoc, moja droga – powiedział i zamknął

drzwi.

– Co to było? – spytałam Frances, która właśnie nadeszła.

– Nic – odpowiedziała i nerwowo oblizwała usta. – Chodźmy stąd, kuzynko. – Pozwoliłam, żeby mnie zbyła, ale postanowiłam spytać później Jamiego o to, co się zdarzyło w bibliotece.

Doszliśmy do sypialni przygotowanej dla nas na tę noc. Jamie uprzejmym skinieniem ręki odesłał naszego małego przewodnika.

Rzuciłam się do łóżka i patrzyłam bezradnie w sufit.

– Co robimy? – spytałam. – Kolacja nie należała do szczególnych wydarzeń poza tym, że od czasu do czasu czułam na sobie ciężkie spojrzenie Lovata.

Jamie wzruszył ramionami i ściągnął koszulę przez głowę.

– A skąd mam wiedzieć, Angielko. Pytali mnie o stan szkockiej armii, warunki, w jakich znajdują się oddziały, co wiem o planach Jego Wysokości. Przedstawiłem sprawę jasno. Wtedy zaczęli mnie wypytywać od początku. Mój dziadek nie jest przyzwyczajony do tego, że ktoś odpowiada mu wprost – dodał sucho. – Myśli, że wszyscy są tak przewrotni, jak on, i mają tysiące sprzecznych powodów do działania.

Każdy na inną okoliczność.

Potrząsnął głową i cisnął koszulę na łóżko obok mnie.

– Nie wie, czy kłamię na temat położenia armii szkockiej, czy nie. Bo skoro chcę, żeby przyłączył się do Stuarta, mogę przedstawiać rzeczy w lepszym świetle, niż

są w rzeczywistości. A jeżeli mi osobiście na tym nie zależy, mogę mówić prawdę. A on nie podejmie żadnego zobowiązania, zanim nie będzie miał pewności, do czego zmierzam.

– A jak zamierza ocenić twoją prawdomówność? – spytałam sceptycznie.

– Ma jasnowidza – odpowiedział zdawkowo, co najmniej jakby jasnowidz należał do standardowego wyposażenia zamków w Szkocji.

– Naprawdę? – Usiadłam na łóżku zaintrygowana. – Czy to może ta dziwnie wyglądająca kobieta, którą wyrzucił na korytarz?

– Tak. Nazywa się Maisri i widzi przyszłość od urodzenia. Ale dzisiaj nie potrafiła mu nic powiedzieć. Albo nie chciała – dodał. – Było widać, że coś wie, ale tylko kręciła głową i mówiła, że nie widzi. Wtedy mój dziad stracił cierpliwość i ją stłukł.

– Cholerny stary cham! – rzuciłam z pogardą.

– Cóż, wspaniałym rycerzem na pewno nie jest – zgodził się Jamie.

Wylał do balii dzbanek wody i zaczął polewać sobie nią twarz. Nagle usłyszał mój syk.

Podniósł wzrok, przerażony.

– O co chodzi?

– Twój brzuch... – powiedziałam, wskazując palcem. Pomiędzy klatką piersiową a kiltem pojawił się duży siniak. Powiększał się niczym wielki, niewidzialny pęk na jego gładkiej skórze.

Jamie spojrział w dół, lekceważącym tonem mruknął: „Ach, to”, i zabrał się z powrotem do mycia.

– Tak, to. – Podeszłam, żeby się lepiej przyjrzeć. –
Co się stało?

– Nic takiego. – Jego słowa przytłumił ręcznik. –
Mówiłem trochę porywczo dziś po południu. Mój dziad
kazał Młodemu Simonowi dać mi małą nauczkę.

– I wziął też dwóch kuzynów, żeby cię
przytrzymali, kiedy będzie cię walił w brzuch?

– Zrobiło mi się niedobrze.

Jamie rzucił ręcznik i wziął koszulę nocną.

– Bardzo mi pochlebiasz, jeśli wierzysz, że potrzeba
było dwóch, żeby mnie utrzymać.

– Wystawił głowę przez otwór koszuli i uśmiechnął
się szeroko. – Naprawdę było ich trzech. Jeden stał z tyłu i
mnie dusił.

– Jamie!

Śmiał się, potrząsając głową, kiedy ściągał narzutę z
łóżka.

– Nie wiem, co w tobie takiego jest, Angielko, że
zawsze chcę się przed tobą popisywać. Któregoś dnia mnie
zabiją, kiedy będę próbował wyrzucić na tobie wrażenie.

– Westchnął i pomasaował sobie brzuch przez
wełnianą koszulę. – To tylko zabawa. Nie musisz się
martwić, Angielko.

– Zabawa! Dobry Boże, Jamie!

– Nigdy nie widziałas, jak obcy pies przyłącza się
do watahy? Pozostałe go obwąchują, gryzą po nogach,
warczą, żeby zobaczyć, czy się przestraszy, czy im się
odwzajemni. Czasami dochodzi do gryzienia, czasami nie,
ale koniec końców każdy pies zna swoje miejsce w stadzie i
wie, kto jest przywódcą. Stary Simon chce mieć pewność,

że zdają sobie sprawę, kto tu rządzi. To wszystko.

– Ach tak. A zdajesz sobie sprawę? – Położyłam się i czekałam, aż przyjdzie do łóżka.

Wziął świeczkę i uśmiechnął się do mnie serdecznie. Migoczące światło wydobyło niebieski blask jego oczu.

Dmuchnął. Płomyk zgasł.

W ciągu następnych dwóch tygodni prawie nie widywałam Jamiego, z wyjątkiem nocy. Dni zawsze spędzał ze swoim dziadem. Lovat był bardzo żywotnym mężczyzną mimo swojego wieku, dlatego często polowali lub jeździli konno. Albo pili przy rozważaniach. Stary Lis powoli zaczął wyciągać wnioski i wyjawiać zamiary.

Większość czasu spędzałam z Frances i innymi kobietami. Kiedy Frances nie przytłaczał cię jej władczego ojca, miała dość odwagi, by mówić to, co myśli. Okazała się miłym i inteligentnym kompanem. Na niej spoczywała odpowiedzialność za funkcjonowanie zamku, ale kiedy na scenę wkraczał ojciec, ona stawała się niezauważalna, prawie nie podnosiła wzroku i mówiła szeptem. Chyba miałam jej to za złe.

Dwa tygodnie po naszym przyjeździe Jamie przyszedł po mnie do pokoju, gdzie siedziałam z Frances i Aliną. Powiedział, że lord Lovat chce mnie widzieć.

Stary Simon machnął ręką w stronę karafek, stojących na stoliku pod ścianą, potem usiadł w drewnianym fotelu z orzecha włoskiego z siedzeniem z podniszczonego niebieskiego aksamitu. Fotel pasował do figury lorda – masywna forma sprawiała wrażenie, jakby była wokół niego zbudowana. Zastanawiałam się, czy fotel

rzeczywiście robiono na zamówienie, czy może Simon dorósł do jego wymiarów.

Usiadłam cichutko w rogu, ze szklaneczką porto, i przyglądałam się w milczeniu, jak Simon po raz kolejny wypytywał Jamiego o położenie Karola Stuarta i o jego plany.

Chyba po raz dwudziesty w tym tygodniu Jamie szczegółowo opowiadał o liczbie oddziałów, strukturze dowodzenia – o ile w ogóle jakaś istniała – uzbrojeniu połowym oraz jego stanie – w większości nędznym. Tłumaczył, że Karol wiązał swoje nadzieje z lordem Lewisem Gordonem i Farquharsons. Wyjaśniał, co Glengarry miał na myśli, mówiąc o kolejnym Preston. Mówił, co Cameron wiedział albo domyślał się o posunięciach oddziałów angielskich, a także dlaczego Karol zdecydował się wyruszyć na południe i tak dalej, i tak dalej. Zorientowałam się, że przysypiam nad szklanką, którą trzymam w rękach. Ocknęłam się w ostatniej chwili, żeby zapobiec rozlaniu się bursztynowego płynu na moją spódnicę.

– ...Lord George Murray i Kilmarnock uważają, że Jego Wysokość zrobiłby najlepiej, gdyby się wycofał na zimę na wyżyny – zakończył Jamie i ziewnął przeciągle. Wstał z wąskiego, niewygodnego krzesła. Rozprostował się, a jego cień przemknął po mdłych draperiach, które zdobiły kamienne ściany.

– A ty co o tym myślisz? – Oczy Starego Simona zabłysły pod przymkniętymi powiekami. Oparł się na krzesło. Ogień w kominku palił się mocnym, wysokim płomieniem. Frances zmniejszyła ogień w palenisku na

korytarzu, podsypując go torfem, ale do tego – na życzenie lorda Lovata – dołożono drewna. Z kominka unosiła się ostra woń żywicy, pomieszana z mocniejszym zapachem dymu.

Światło odbijało wysoko na ścianie cień rudowłosego Szkota. Jamie krążył po pokoju.

Najwyraźniej nie chciał ponownie usiąść. W małym pomieszczeniu z zasłoniętymi na noc kotarami było ciemno i ciasno. Komnatka bardzo się różniła od otwartej przestrzeni zalanego promieniami słońca dziedzińca kościelnego, na którym Colum zadał mu to samo pytanie. Sytuacja również się różniła. Karol nie był już ulubieńcem przywódców klanów. Teraz po prostu stawiał im kategoryczne wymagania. Ale problem pozostawał ten sam.

– Powiedziałem już, co myślę, i to z dziesięć razy albo więcej – odparł obcesowo Jamie. Poruszył niecierpliwie ramionami, jakby płaszcz, który miał na sobie, był na niego za mały.

– O, tak. Mówiłeś. Ale o tym powinniśmy rozmawiać szczerze. – Stary człowiek rozsiadł się wygodniej w wyściełanym krześle. Położył ręce na brzuchu.

– A więc będzie pan szczerzy? – Jamie wydał z siebie urywany śmiech i odwrócił się twarzą do dziadka. Objął rękami blat stołu stojącego z tyłu. Mimo różnicy w wyglądzie i postawie między dwoma mężczyznami istniało napięcie, które ukazywało ulotne podobieństwo. Jeden wysoki, drugi przysadzisty, jednak obaj silni, uparci i zdecydowani, żeby wygrać tę potyczkę.

– Czyż nie jestem twoim krewnym? I wodzem?

Należy mi się lojalność, prawda?

A więc o to chodziło. Colum, oswojony z kalectwem, wiedział, jak wykorzystać słabość drugiego człowieka. Simon Fraser, silny i żywotny, był przyzwyczajony osiągać wyznaczone cele w bardzo bezpośredni sposób. Po gorzkim uśmiechu na twarzy Jamiego domyśliłam się, że mój mąż również porównuje prośbę Columa i żądanie swojego dziadka.

– Naprawdę? Nie przypominam sobie, żebym coś panu przyrzekał.

Z krzaczastych brwi Simona wystawało kilka dłuższych włosków, jak to u starszych mężczyzn. Zadrżały one w blasku ognia, ale nie wiedziałam, czy z powodu oburzenia, czy zadziwienia.

– Nie przyrzekałeś, mówisz? A nie płynie w twoich żyłach krew Fraserów?

Usta Jamiego wykrzywiły się w grymasie.

– Powiada się, że mądrym dzieckiem jest to, które zna swojego ojca. Ja wiem tyle, że moją matką była Ellen MacKenzie.

Twarz Simona pociemniała od nagłego napływu krwi. Brwi się złączyły, szczęka opadła. Lord Lovat ryknął śmiechem. Śmiał się tak długo, że w końcu musiał się pochylić, bo zaczął się dusić i ślinić. Mimo wszystko nadal nie mógł opanować wesołości. Wreszcie, waląc jedną ręką w poręcz fotela, sięgnął drugą do ust i wypluł sztuczną szczękę.

– Tatuś! – wydusił z siebie, sapiąc i charcząc. Po jego twarzy ciekły łzy i kropelki śliny. Wyciągnął po omacku rękę w stronę stolika, który znajdował się z boku, i

położył zęby na tacy z ciastem. Zdeformowane palce zacisnęły się na lnianej serwetce. Lovat mocno przycisnął materiał do twarzy. Wycierając się, w dalszym ciągu wydawał z siebie zduszone spazmy śmiechu.

– Na Boga, chłofie! – wyseplenił. – Nalej mi wifki.

Jamie uniósł brwi, wziął ze stołu karafkę i podał ją dziadkowi. Stary Simon wyciągnął korek i napił się łapczywie wprost z butelki.

– Myflif, we ty nie jeftef Frasierem? – spytał. Odstawił karafkę i beknął głośno. – Ha!

– Oparł się ponownie. Gruby brzuch wznosił się i opadał przy głębokich oddechach. Lord wyciągnął w stronę Jamiego długi, kościsty palec. – Twój ojfietał w tym famym miejftu, gde ty teraf, i powiedział mi dokładnie to famo deń wczefniej, wanim raw na wawfe opufcił wamek Beaufort. – Staruszek zaczął się uspokajać. Odkaszlnął parę razy i ponownie otarł twarz.

– Wief, we chciałem znifczyć małweńsfo twoich roditfów. Rowpowiadałem, we Brian nie jeft ojtfem dzieftka Ellen MacKenzie?

– Tak, wiem. – Jamie znowu oparł się o stół i przyglądał się dziadkowi przymrużonymi oczami.

Lord Lovat prychnął.

– Nie powiem, we zawfe panowała wyczliwoft między mną a moimi fynami. Ale wnam moich fynów. I wnuków – dodał, wyciągając palec. – Niech mnie diabli, ale myflę, we kawdy w nich jeft takim famym rogatfem jak ja.

Jamie ani drgnął. Nie mogłam się powstrzymać, odwróciłam wzrok od starego człowieka. Spojrzałam na

garnitur jego zębów, który połyskiwał wilgocią pomiędzy kawałkami ciasta. Na szczęście lord Lovat nie zauważył mojego ruchu.

Ciągnął dalej, cały czas poważny.

– Więtf tfo? Dougal MacKenzie w Leoch opowiadał fię wa Karolem. Nawywacie go wodzem? A mowę jemu cof pwywekałef?

– Nie, nikomu nic nie przyrzekałem.

– Nawet Karolowi? – Starzec był szybki. Błyskawicznie rzucał się na Jamiego jak kot polujący na mysz. Obserwował Jamiego swoimi skośnymi oczami, które błyszczały spod opadających powiek.

Jamie patrzył na płomienie. Jego cień stał za nim nieruchomo.

– Książę nie prosił mnie o to. – Rzeczywiście Karol nie musiał prosić Jamiego o składanie przyrzeczeń. Sam podpisał się nazwiskiem Jamiego na obwieszczeniu. Ale i tak wiedziałam, iż fakt, że on naprawdę nic nie obiecywał Karolowi, był dla Jamiego niezwykle ważny. Jeżeli miałby kogoś zdradzić, lepiej żeby nie był to wódz przez niego uznany. Jamie nie przejmował się tym, że wszyscy myśleli, iż złożył zobowiązanie wobec Karola.

Siemon znowu prychnął. Kiedy wyjął sztuczną szczękę, jego nos i broda znalazły się bliżej siebie, przez co dolna połowa jego twarzy była dziwnie skrócona.

– Więtf nitf nie ftoi ci na pwewkode, webyf złowył pwyfięgę mnie jako wodowi twojego klanu – powiedział spokojnie. Niemal słyszałam myśli, które snuły mu się po głowie. Jeżeli Jamie dałby słowo swjemu dziadkowi, a nie Karolowi, władza Lovata znacznie by się rozszerzyła. Tak

samo, jak i bogactwo. Jako wódz Stary Simon mógłby domagać się części przychodów z Lallybroch. Plan lorda zaczynał się coraz bardziej wyłaniać z mgły.

– Nic, poza moją wolą – zgodził się grzecznie Jamie. – Ale jest to pewna mała przeszkoda, prawda? – Jego oczy rozszerzyły się.

– Ummm. – Lovat zamknął powieki i kiwał głową z jednej strony na drugą. – O, tak, chłoptfe. Jeftef jak twój ojfietaf. Uparty jak ofioł i głupi. Powiniennem wiedetf, we ta ladatfnifa urodzi mu kretynów.

Jamie porwał sztuczną szczękę z tacy.

– Lepiej załóż je sobie z powrotem, ty stary dziadzie – zwrócił się do niego niegrzecznie. – Nie mogę zrozumieć, co tam bełkoczesz.

Usta Simona wykrzywiły się w ponurym uśmiechu, obnażającym jeden pożółkły ząb, który ostał się samotnie w dolnej szczęce.

– Nie? A wrowumief układ? – Rzucił przelotne spojrzenie w moim kierunku. Widział we mnie jedynie pionek, który zamierzał wprowadzić do gry. – Twoja pwyfięga za honor twojej wony. Co ty na to?

Jamie roześmiał się na cały głos. Nadal trzymał zęby w ręce.

– Ach, tak? Chcesz ją zmusić na moich oczach, dziadku? – Przysiadł na stole. – No to dalej. A kiedy już sobie z tobą poradzi, przyślę ciocię Frances, żeby pozbierała resztki, które z ciebie zostaną.

Dziadek zmierzył go wzrokiem.

– Nie mówiłem o mnie, chłoptfe. – Jeden kącik bezzębnych ust uniósł się w lubieżnym uśmiechu. –

Chociaż potrafiłem zadowolif fię gorfymi. – Wyrachowana złośliwość w jego ciemnych oczach sprawiła, że miałam ochotę naciągnąć sobie płaszcz na piersi. Niestety, nie miałam przy sobie płaszcz.

– Ilu jeft męwtfywn w Beaufort, Jamie? Ilu takich, któwy zrobiliby w twoją angielfką dewuchą to, do tfego fię akurat nadaje? Nie mowef pilnowatf jej deń i noth.

Jamie wyprostował się powoli, wielki cień na ścianie naśladował jego ruchy.

Rudowłosy wnuk spoglądał na starca wzrokiem bez wyrazu.

– Och, chyba nie musi się dziadek martwić – powiedział łagodnie. – Moja żona jest niezwykłą kobietą. Mędrzynią. Białą Damą jak Dame Aliset.

Nigdy w życiu nie słyszałam o Dame Aliset, ale lord Lovat najwidoczniej słyszał.

Odwrócił głowę i spojrział na mnie oczyma szeroko otwartymi z przerażenia. Uchylił usta, ale nie zdążył nic powiedzieć. Jamie ciągnął dalej, a w jego gładkiej przemowie wyraźnie pobrzmiwał subtelny odcień złośliwości.

– Skarby mężczyzny, który weźmie ją w grzeszne objęcia, staną się jak zwiędłe jabłka – oznajmił z satysfakcją. – A dusza na zawsze będzie smażyć się w piekle. – Wyciągnął zęby dziadka w jego stronę, potem cofnął rękę. – Jak to. – Bukowa sztuczna szczęka z piaskiem wylądowała w samym środku kominka i natychmiast zaczęła się palić.

PRZEKLEŃSTWO JASNOWIDZĄCEJ

W czasie ostatnich dwustu lat większość ludności zamieszkującej szkockie niziny przeszła na prezbiterianizm. Niektóre klany z gór poszły w ich ślady, ale rodzina Fraserów, ze względu na silne związki rodzinne z katolicką Francją, i MacKenzie pozostali przy wierze katolickiej.

W zamku Beaufort znajdowała się mała kapliczka, w której lord i jego rodzina spełniali religijne powinności. Klasztor Beauuly, choć zrujnowany, pozostał miejscem pochówku Lovatów. Prezbiterium klasztorne miało odkryty dach, posadzkę pokrywały leżące jedna przy drugiej płaskie płyty nagrobne, pod którymi spoczywali członkowie rodu.

Czasem wybierałam się w to spokojne miejsce pomimo zimna i szalejącego wiatru.

Nie wiedziałam, czy Stary Simon naprawdę zamierza wcielić w czyn swoją groźbę ani czy Jamie zdoła mnie od tego uchronić. I tak już zrobił dużo. Porównał mnie do Dame Aliset – legendarnej Białej Damy, szkockiego odpowiednika *La Dame Blanche*. Tak czy inaczej wydawało mi się mało prawdopodobne, żeby ktoś zaczepiał mnie wśród grobowców rodziny Fraserów.

Pewnego popołudnia, kilka dni po wydarzeniach w gabinecie, znów udałam się do zrujnowanego klasztoru. Okazało się, że tym razem miałam towarzystwo. Zobaczyłam tę samą wysoką kobietę, którą widziałam przed gabinetem Lovata. Stała oparta o jeden z grobowców z czerwonego kamienia. Obejmowała ramiona rękami, by nie tracić ciepła.

Chciałam odejść, jednak spostrzegła mnie i skinęła

ręką, żebym się zbliżyła.

– Jesteś zapewne panią Broch Tuarach? – spytała miękkiem głosem, zaledwie z cieniem wątpliwości.

– Tak. Czy ty jesteś... Maisri?

Nieznacny uśmiech rozjaśnił jej twarz – niezwykle intrygującą, lekko asymetryczną jak z obrazu Modiglianiego. Była jeszcze młoda, ale w długich czarnych włosach, które luźno spływały na ramiona, prześwitywały pasemka siwizny. Rzeczywiście wyglądała na niezwykłą osobę – pomyślałam.

– Tak. Mam dar jasnowidzenia – powiedziała. Kształtne usta rozciągnęły się nieco szerzej w uśmiechu.

– Czy potrafisz też czytać w myślach? – spytałam.

Roześmiała się. Szum zawodzącego w ruinach wiatru pochłonął odgłos jej śmiechu.

– Nie, pani. Ale czytam z wyrazu twarzy...

– Wiem, wiem. Moja jest niczym otwarta księga – dokończyłam z rezygnacją w głosie.

Przez jakiś czas stałyśmy obok siebie. Patrzyłyśmy na drobniutkie kropelki deszczu ze śniegiem, które rozpryskiwały się o ściany z piaskowca, i na grube źdźbła wyschniętej trawy porastające klasztorny dziedziniec.

– Słyszałam, że jesteś Białą Damą – zauważyła nagle Maisri.

Czułam, że uważnie mi się przygląda, ale bez nerwowości, jaka zwykle towarzyszyła temu stwierdzeniu.

– Tak mówią – potwierdziłam.

Wpatrywała się w swoje długie, ładne nogi w wełnianych pończochach i skórzanych sandałach. Palce stóp zaczynały mi już kostnieć. Pomyślałam, że nawet jeśli

Maisri przebywała tu niedługo, stopy ma z pewnością lodowate.

– Co tu robisz? – spytałam.

W ładną pogodę klasztor był pięknym, spokojnym miejscem, ale próżno było szukać w nim schronienia, gdy padał deszcz ze śniegiem.

– Przyszłam, żeby pomyśleć – odparła.

Uśmiechnęła się lekko, ale wyglądała na zmartwioną.

– O czym? – Oparłam się o nagrobek. Na płycie widniał mocno wytarty wizerunek rycerza ze szkockim obosiecznym mieczem. Rękojeść w kształcie krzyża znajdowała się nad sercem.

– Chcę wiedzieć dlaczego! – powiedziała z pasją.

Na jej szczupłej twarzy nagle pojawił się wyraz oburzenia.

– Dlaczego co?

– Dlaczego potrafisz ujrzeć, co się stanie, mimo że nie mogę zrobić absolutnie nic, by zapobiec przyszłym wydarzeniom lub je zmienić? Jaki sens ma taki dar? Właściwie to nie dar, lecz cholerne przekleństwo. Za jakie grzechy zostałam ukarana?

Odwróciła się i z wściekłością patrzyła na wizerunek Thomasa Frasera. Kamienna postać spoczywała spokojnie z hełmem na głowie, skrzyżowanymi rękami przyciskała rękojeść miecza do piersi

– A może to jest i twoje przekleństwo, stara więdźmo!?! Twoje i reszty twojej cholernej rodziny. Czy kiedykolwiek pomyślałeś o tym? – spytała nagle i spojrzała mi prosto w oczy. Jej brwi uniosły się wysoko nad

błyszczącymi inteligencją piwnymi oczami. – Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że umiejętności, jakie posiadasz, służą tylko innym, a ty sama jesteś z tego powodu skazana na cierpienie.

– Tak, często zadawałam sobie pytanie: dlaczego ja? – powiedziałam powoli. – Ale nigdy nie udało mi się znaleźć zadowalającej odpowiedzi. Uważasz, że posiadasz dar jasnowidzenia po to, by wypełnić przekleństwo ciążyące na Fraserach i przepowiedzieć ich śmierć, zanim ona nastąpi? Diabelski pomysł!

– To prawda – zgodziła się z goryczą.

Oparta o sarkofag z czerwonego kamienia wpatrywała się w zburzoną ścianę klasztoru, o którą rozpryskiwały się krople deszczu ze śniegiem.

– Jak myślisz? – spytała nagle. – Czy powinnam mu powiedzieć?

Byłam zaskoczona.

– Komu? Lordowi Lovatowi?

– Tak, Jego Lordowskiej Mości. Pyta, co widzę, i bije, gdy mówię, że nic. On wie, kiedy mam widzenie. Zdradza mnie wyraz twarzy. A jednak milczę.

Wysunęła spod płaszcza ręce. Długimi białymi palcami nerwowo ścisnęła fałdy przemoczonego materiału.

– Zawsze jest szansa, prawda? – spytała.

Nie widziałam jej twarzy, osłaniał ją kaptur nasunięty na pochyloną głowę.

– Może coś się zmieni, jeśli komuś wyjawię przeszłość. Kiedyś powiedziałam Lachlanowi Gibbonsowi, że zobaczyłam jego zięcia oplatanego wodorostami, a węgorze wiły mu się pod koszulą. Lachlan wysłuchał mnie.

Natychmiast poszedł wybić w łódce zięcia ogromną dziurę. – Roześmiała się na to wspomnienie. – Podczas sztormu, który rozszalał się w następnym tygodniu, utonęło trzech ludzi. Tymczasem zięć Lachlana był bezpieczny. Musiał zostać w domu i reperować łódź. Gdy mi się znów objawił był ubrany w suchą koszulę, a we włosach nie miał wodorostów.

– A więc można coś zmienić. Czasami – powiedziałam miękko.

– Czasami – powtórzyła z namysłem. Uparcie wpatrywała się w ziemię.

U jej stóp spoczywała lady Sarah Fraser. Płyte nagrobną zwieńczała czaszka oparta na skrzyżowanych pischzelach. Umieszczona niżej inskrypcja głosiła: *Hodie mihi eras tibi. Stc transit gloria mundi*. Dziś moja kolej, jutro twoja. Tak przemija chwała świata.

– Najczęściej jednak zwycięża przeznaczenie. Kiedy widzę człowieka owiniętego w całun, powala go choroba. I nic nie jest w stanie temu zapobiec.

– Może – mruknąłam.

Spojrzałam na swoje dłonie wsparte na kamieniu. Bez lekarstw, narzędzi, wiedzy – tak, wówczas choroba była ostatecznym wyrokiem losu. Jeśli jednak w pobliżu znajdował się uzdrowiciel i miał przy sobie odpowiednie medykamenty... Czy to możliwe, by Maisri w swych widzeniach dostrzegą objawy zwiastujące nadejście choroby, ale i umożliwiające jej wykrycie? Czy choroba była wyrokiem śmierci jedynie w przypadku braku możliwości leczenia?

– Nigdy się tego nie dowiemy – powiedziałam,

odwracając się w jej kierunku. – Jednak potrafimy przewidzieć przyszłości, choć nie umiemy wytłumaczyć, dlaczego i jak to się dzieje. Posiadamy przeklętą moc. Ale czy wiedza, dzięki której można zapobiec nieszczęściu, zdoła także wyrządzić krzywdę?

Pokręciła głową.

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Gdybyś wiedziała, że wkrótce umrzesz, czy chciałabyś zrobić coś przed śmiercią? Czy byłyby to tylko dobre uczynki? A może raczej pragnęłabyś wykorzystać ostatnią nadarzającą się okazję, by zemścić się na wrogach?

Zrobić krzywdę, która w innym przypadku nigdy nie zostałaby wyrządzona?

– Do diabła, nie wiem.

Milczałyśmy przez chwilę. Płatki śniegu wirowały w podmuchach wiatru.

– Czasami wiem, że coś czai się w zakamarkach mojego umysłu – odezwała się nagle Maisri – ale mogę to powstrzymać. Tak było z Jego Lordowską Mością. W widzeniu wyczułam coś, co go dotyczyło, ale udało mi się nie patrzeć. On jednak rozkazał mi to zobaczyć, wypowiedzieć zaklęcie przywołujące wizję. Posłuchałam.

Kaptur zsunął się jej z głowy, gdy spojrzała w górę na wznoszący się ponad nami mur klasztorny o barwach ochry, bieli i czerwieni z kruszejącą między kamieniami zaprawą.

Podmuchy wiatru poruszały lekko posiwiałe, czarne włosy.

– Był przy ogniu. Działo się to w dzień i widziałam go wyraźnie. Za nim nieruchomy niczym skała stał

mężczyzna z zamaskowaną twarzą. Nagle na oblicze Jego Lordowskiej Mości padł cień topora.

Mimo że mówiła rzeczowym tonem, po krzyżu przebiegł mi dreszcz. W końcu westchnęła i odwróciła się do mnie.

– Dobrze, powiem lordowi. Niech zrobi, co zechce. Nie mogę ani wydać na niego wyroku, ani ocalić. Niech sam dokona wyboru.

Chciała odejść. Zsunęłam się z nagrobka i stanęłam na kamiennej płycie grobu lady Sarah.

– Maisri – zawołałam cicho.

Odwróciła się, by na mnie spojrzeć, jej oczy były tak ciemne jak padające na groby cienie.

– Tak?

– Co widzisz, Maisri? – spytałam. Czekałam z opuszczonymi rękoma.

Intensywnie się we mnie wpatrywała, patrzyła w górę i w dół, z boku. W końcu uśmiechnęła się blado i skinęła głową.

– Widzę tylko ciebie, pani – odrzekła miękko. – Jesteś tylko ty.

Po chwili już zniknęła między drzewami. Zostawiła mnie samą wśród wirujących płatków śniegu.

Nie mogę nikogo skazać na śmierć ani ocalić. Moją jedyną mocą jest wiedza, którą posiadam. Nie potrafię nikogo nagiąć do mej woli ani powstrzymać od zrobienia tego, co chce zrobić. Jestem tylko ja.

Strząsnęłam śnieg z fałd płaszcza i odwróciłam się, by pójść śladami Maisri. Miałam, tak jak i ona, gorzką świadomość, że jestem tylko ja. A to nie wystarczy.

Przez następne trzy tygodnie Stary Simon zachowywał się jak zwykle. Wysnułam więc wniosek, że Maisri nic mu nie powiedziała o swej wizji, choć uważałam, że wciąż ma taki zamiar. Gdy zdawało się, że lord jest już bliski wezwania żołnierzy i dzierżawców do wymarszu, nagle się wycofał. Oświadczył, że przecież nie ma pośpiechu. Brak zdecydowania ojca rozwścieczył dziedzica. Młody Simon pragnął szybko iść na wojnę i okryć się chwałą. Niecierpliwił się niczym koń przed biegiem.

– To nic pilnego – powtórzył po raz setny Stary Simon. Podniósł owsiane ciasteczko, powąchał i odłożył na stół. – Może mimo wszystko lepiej poczekać do wiosennych siewów?

– Nim nastanie wiosna, będą już pewnie w Londynie! – Syn rzucił ojcu przez stół gniewne spojrzenie. – Jeśli sam nie chcesz wyruszyć, pozwól mi zebrać ludzi i przyłączyć się do Jego Wysokości!

Lord Lovat chrząknął.

– Jesteś niecierpliwy jak sam diabeł, choć nie masz nawet połowy jego rozumu – stwierdził karcącym tonem. – Czy nigdy nie nauczysz się czekać?

– Czas oczekiwania dawno już upłynął! – wykrzyknął Simon junior. – Cameronowie, MacDonaldownie, MacGillivrayowie... wszyscy są tam od początku. Czy mamy przy wlec się na końcu i zebrać o drugie miejsce w Clanranald i Glengarry? Marne wtedy twoje szansę na księstwo!

Lovat miał szerokie, wyraziste usta. Nawet na starość zachowały ślady zmysłowości.

Jednak teraz były całkowicie pozbawione wyrazu. Zaciśnął wargi i przyglądał się swemu następcy z dezaprobatą.

– Ślub w pośpiechu, żal poniewczasie – wyrecytował. – To powiedzenie jest bardziej prawdziwe, gdy chodzi o wybór dziedzica niż dziewczyny. Kobiety można się przecież zawsze pozbyć.

Młody Simon prychnął i spojrzał na Jamiego. Najwyraźniej oczekiwał jego wsparcia.

Początkowa, nacechowana podejrzliwością wrogość dziedzica przez ostatnie dwa miesiące przybrała formę niechętnego szacunku dla krewnego z nieprawego łoża.

Prawdopodobnie stało się to za sprawą niezaprzeczalnych umiejętności w sztuce walki, jakie posiadał Fraser z Lallybroch.

– Jamie twierdzi... – zaczął.

– Wiem dobrze, co on mówi – przerwał mu ojciec. – Wystarczająco często powtarza swoje opinie. Podejmę decyzję sam, gdy uznam to za stosowne. Ale pamiętaj, chłopcze, gdy nadchodzi pora, by wypowiedzieć wojnę, pośpiech jest złym doradcą.

– Pewnie, lepiej poczekać i zobaczyć, kto wygra – skomentował półgłosem Jamie, starannie wycierając talerz kawałkiem chleba.

Stary człowiek rzucił mu ostre spojrzenie, jednak po namyśle zignorował złośliwą uwagę.

– Dałeś słowo Stuartom – ciągnął dalej Młody Simon, nie zważając na niezadowolenie ojca. – Z pewnością nie chcesz złamać przyrzeczenia. Co ludzie powiedzą o twoim honorze?

– To samo, co mówili w piętnastym roku – odparł spokojnie lord. – Większość tych, którzy wówczas „coś mówili”, nie żyje, zbankrutowała albo klepie biedę we Francji. A ja wciąż tu jestem.

– Ale... – Młody Simon poczerwieniał na twarzy. Zazwyczaj w ten sposób kończyły się rozmowy z ojcem na temat uczestnictwa w powstaniu.

– Dość! – przerwał ostro Lovat. Potrząsnął głową. Z ustami zaciśniętymi w wyrazie dezaprobaty, z wściekłością wpatrywał się w syna. – Chryste, jaka szkoda, że Brian nie żyje. Choć też głupiec, przynajmniej wiedział, kiedy przestać gadać.

Młody Simon i Jamie spurpurowieli z gniewu, ale zajęli się jedzeniem.

– A ty, na co się tak gapisz? – warknął gospodarz, gdy spostrzegł, że na niego patrzę.

– Na pana – wypaliłam prosto z mostu. – Nie wygląda pan dobrze.

Zaledwie średniego wzrostu, przygarbiony i otyły, zazwyczaj mimo wszystko sprawiał wrażenie silnego i zdrowego mężczyzny. Mięśnie wydawały się wciąż sprężyste. Ostatnio jednak ciało zaczynało mu wiotczeć tak, jakby się kurczył. Pokryte zmarszczkami worki pod oczami ściemniały, a skóra nabrała odcienia chorobliwej błości.

– Mhm – mruknął. – I cóż w tym dziwnego? Śpiąc, nie odpoczywam, gdy czuwam, brak mi komfortu. Nic dziwnego, że nie wyglądam jak pan młody.

– Och, ależ wyglądasz, ojczu – powiedział złośliwie syn. Skorzystał z nadarzającej się okazji, by się choć trochę odegrać. – Jak pan młody pod koniec miodowego miesiąca,

gdy wyciśnięto z niego cały sok.

– Simon! – upomniała brata lady Frances.

Przy stole rozległy się chichoty, a usta lorda lekko zadrgały.

– Tak? – głośno ryknął Lovat. – Wolałbym być obolały z tego powodu. Tyle ci powiem, chłopcze.

Poruszył się na krześle, żeby przybrać wygodniejszą pozycję. Odsunął tacę z gotowaną rzepą, którą mu podano. Sięgnął po kieliszek wina, powąchał trunek, potem z markotną miną odstawił na stół.

– To nieładnie tak się gapić – zauważył zimno. – A może Anglicy mają inne wzorce uprzejmości?

Lekko się zaczerwieniłam, ale nie spuściłam oczu.

– Po prostu się zastanawiam... Nie ma pan apetytu i nie pije. Czy zauważył pan u siebie jeszcze inne objawy?

– Chcesz dowieść swoich umiejętności?

Gdy Lovat odchylił się do tyłu w krześle i splótł ręce na szerokim brzuchu, przypominał starą żabę.

– Uzdrowicielka! Biała Dama, a jakże!

Rzucił Jamiemu spojrzenie bazyliuszka. Ten jednak po prostu jadł dalej. W ogóle nie zwracał uwagi na dziadka. Lovat chrząknął, pochylił głowę i spoglądał na mnie z ironią.

– Nie piję, moja pani, bo nie mogę siusiać, a nie mam ochoty wybuchnąć jak pęcherz świni. I nie odpoczywam, bo w nocy wstaję ze sto razy, by skorzystać z nocnika. A i tak nie na wiele się to zdaje. I co ty na to, *Dante Alisef!*

– Ojczy – wtrąciła półgłosem lady Frances. – Naprawdę nie powinienesz...

– Może to być infekcja pęcherza, ale raczej *prostatitis* – odpowiedziałam.

Uniosłam kieliszek wina i upiłam łyk. Rozkoszowałam się doskonałym smakiem trunku. Odstawiłam kieliszek na stół i ze skromnym uśmiechem popatrzyłam na Jego Lordowską Mość.

– Czyżby? – odezwał się po chwili unosząc wysoko brwi. – A cóż to takiego?

Zakasałam rękawy i uniosłam ręce jak magik, który ma pokazać jakąś sztuczkę.

Wyprostowałam palec wskazujący lewej dłoni.

– Gruczoł krokowy u mężczyzn – wyjaśniałam – położony jest wokół przewodu cewki moczowej, czyli przejścia wiodącego od pęcherza na zewnątrz.

Złączyłam dwa palce prawej ręki. Przez powstałe kółko przełożyłam palec wskazujący lewej.

– W przypadku zapalenia albo powiększenia prostaty, czyli właśnie *prostatitis*, gruczoł krokowy zaciska się na cewce moczowej – zwęziłam kółko utworzone z palców – i odcina przepływ moczu. Przypadłość bardzo powszechna u starszych mężczyzn. Czy pan rozumie?

Lady Frances, której opinia dotycząca niestosownego tematu rozmowy przy kolacji nie wywarła żadnego wrażenia na jej ojcu, szeptała teraz coś, poruszona, młodszej siostrze. Obie obserwowały mnie z większą niż zazwyczaj podejrzliwością.

Lord Lovat patrzył zafascynowany na mój mały pokaz.

– Tak, rozumiem – odparł. Z namysłem spoglądał na moje palce. – Skoro tak wiele o tym wiesz, co należy

robić?

Zmarszczyłam brwi. Usiłowałam przypomnieć sobie wszystkie wiadomości na ten temat. Nigdy naprawdę nie widziałam, a tym bardziej nie leczyłam przypadku prostatitis.

Młodzi żołnierze rzadko cierpieli na to schorzenie. Czytałam jednak książki medyczne mówiące o tym zagadnieniu. Zapamiętałam sposób leczenia, bo jego opis wzbudził niemalą wesołość wśród uczących się pielęgniarek. Z fascynacją i przerażeniem studiowały dość schematyczne ilustracje do tekstu.

– Wykluczając interwencję chirurgiczną, można właściwie zrobić tylko dwie rzeczy – zaczęłam wywód. – Przez penisa wprowadzić do pęcherza moczowego metalowy pręcik, aby na siłę otworzyć cewkę moczową – wepchnęłam palec wskazujący przez wąskie kółeczko – albo masować samą prostatę, by zmniejszyć obrzęk. Przez odbytnicę – uściśliłam.

Obok mnie rozległ się cichy, zduszony odgłos. Spojrzałam na Jamiego. Oczy miał wciąż utkwione w talerzu, ale szkarłatny rumieniec z wolna ogarniał jego szyję i twarz.

Koniuszki uszu były już jaskrawoczerwone. Lekko zadrżał. Rozejrzałam się. Wszyscy wlepili we mnie spojrzenia. Twarze kobiet – lady Franes, Alinę i innych – wyrażały różne uczucia: od ciekawości poczynając, na obrzydzeniu kończąc. Mężczyźni patrzyli z przerażeniem.

Reakcja lorda Lovata diametralnie różniła się od pozostałych. Zamyślony drapał się w brodę z wpeł przymkniętymi oczami.

– Mhm – mruknął. – Trudny wybór. Patek w fiuta albo palec w tyłek, zgadza się?

– Właściwie dwa albo trzy palce. Wielokrotnie. – Posłałam mu lekki, miły uśmiech.

Podobny uśmiech zagościł na twarzy lorda. Lovat powoli uniósł wzrok i wlepił we mnie swoje ciemnoniebieskie oczy z wyrazem kpiny zabarwionej wyzwaniem.

– Niezła zabawa – zauważył łagodnie. Obrócił taksującym spojrzeniem moje dłonie.

– Masz śliczne ręce, moja droga – stwierdził po chwili. – Ładnie utrzymane, długie smukłe palce.

Jamie wstał, mocno uderzając rękami w stół. Zbliżył twarz do twarzy dziadka na odległość kilkudziesięciu centymetrów.

– Skoro wymagasz takich zabiegów, sam się tym zajmę. – Oparł na blacie szerokie, masywne dłonie z długimi palcami o średnicy mniej więcej lufy pistoletu. – To żadna przyjemność wpychać palce w twój owłosiony, stary tyłek – poinformował dziadka. – Sądzę jednak, że powinienem cię uratować, byś nie eksplodował w fontannie siuśków?

Frances wydała z siebie słaby pisk.

Lord Lovat popatrzył na wnuka z ogromną dezaprobatą, potem powoli wstał od stołu.

– Nie musisz robić sobie kłopotu – odparł sucho. – Zatrudnię do tego jedną ze służących.

Machnął ręką w kierunku zebranych na znak, że mogą kontynuować posiłek. Idąc w kierunku wyjścia, z namysłem przyglądał się młodej dziewczynie, która niosła

na półmisku pokrojonego bażanta. Z szeroko otwartymi oczami posuwała się bokiem, żeby się precyzyjnie obok gospodarza.

Po wyjściu Jego Lordowskiej Mości przy stole zapadła głucha cisza. Młody Simon spojrzął na mnie i otworzył usta. Potem zerknął na Jamiego. Chrząknął.

– Podaj mi sól, proszę – powiedział.

...z powodu tej pożałowania godnej niemocy, która uniemożliwia mi osobiste służenie Jego Wysokości, za pośrednictwem mojego syna i spadkobiercy przesyłam na znak lojalności... Nie, zmień na „szacunku”... na znak szacunku, który zawsze żywiłem dla Jego Królewskiej Mości i Waszej Wysokości... – Lord Lovat przerwał, zmarszczył brwi i zapatrzył się w sufit.

– Co pošlemy, Gideonie? – spytał sekretarza. – Coś dość kosztownego, ale żebym mógł utrzymywać, że to drobny prezent bez znaczenia.

Gideon westchnął i otarł twarz chusteczką. Otyły, łysiejący mężczyzna w średnim wieku o okrągłych, czerwonych policzkach najwyraźniej z trudem znosił wysoką temperaturę panującą w sypialni.

– Może pierścień, który Wasza Lordowska Mość otrzymał od hrabiego Mara? – zasugerował bez przekonania.

Kropelka potu stoczyła się z jego podwójnego podbródka i spadła na list. Sekretarz ukradkiem zakrył rękawem rozmazane litery.

– Nie dość drogi – ocenił Jego Lordowska Mość. – I wywołuje zbyt wiele skojarzeń politycznych.

W zadumie uderzał w kołdrę palcem pokrytym

plamami.

Stary Simon wystrychnął wszystkich na dudka, pomyślałam. Ubrany w najlepszą koszulę nocną leżał wsparty na poduszkach. Obok niego na stole ustawiono w szeregu imponującą kolekcję lekarstw. Zdrowiem lorda zajmował się jego osobisty lekarz, doktor Menzies, drobny, zezowaty człowieczek, który wciąż miał poważne wątpliwości co do mojej wiedzy medycznej. Sądziłam, że starzec nie ufał sile wyobraźni syna i zaaranżował ten misterny żywy obraz, żeby jego spadkobierca, kiedy stanie przed obliczem Karola Stuarta, mógł szczegółowo opisać stan zniedołężnienia lorda Lovata.

– Mam – zakrzyknął z zadowoleniem Jego Lordowska Mość. – Komplet sztucy ze złota doskonałej próby. To dość kosztowne, ale zbyt błahe, by mogło być interpretowane jako przejaw politycznego wsparcia. Poza tym łyżka jest wyszczerbiona – dodał, kierując się zmysłem praktycznym. – Dobrze więc – zwrócił się do sekretarza – pisz dalej: „Jak wiadomo Waszej Wysokości...

Wymieniłam spojrzenia z Jamiem, który uśmiechnął się ukradkiem.

– Myślę, Angielko, że dałaś mu to, czego potrzebował – powiedział mi tydzień wcześniej, gdy rozbieraliśmy się po brzemiennie w skutki kolacji.

– To znaczy co? – spytałam. – Pretekst do molestowania służącej?

– Sądzę, że do tego nie potrzebuje wymówki – zauważył sucho Jamie. – Podsunęłaś mu sposób, by mógł grać na dwa fronty, jak zwykle. Jeśli cierpi na chorobę, której skomplikowana nazwa sugeruje, że chodzi o coś

poważnego, nikt nie będzie miał do niego pretensji, że nie przybył ze swoimi ludźmi tak, jak przyrzekł. Jednocześnie Stuartowie uznają, że Lovat dotrzymał obietnicy, bo wysłał do walki swego dziedzica. Jeśli zaś wyprawa zakończy się klęską, Stary Lis będzie wmawiał Anglikom, że nie zamierzał pomagać Stuartom, a Młody Simon przyłączył się do powstania wbrew zakazom ojca.

– Dziewczyno, przeliteruj Gideonowi: prostatitis, dobrze? – zawołał lord Lovat, przerywając moje rozmyślenia. – Uważaj, nie zrób błędu, baranie – powiedział do sekretarza. – Nie chcę, żeby Jego Wysokość źle to zrozumiał.

– P-r-o-s-t-a-t-i-t-i-s – przeliterowałam powoli nazwę. – A jak się pan czuje dziś rano? – Podeszłam do łóżka Jego Lordowskiej Mości.

– Dużo lepiej, dziękuję – odpowiedział starzec i ukazał w uśmiechu piękny nowy komplet sztucznych zębów. – Chcesz zobaczyć moje siuśki?

– Nie w tej chwili – odmówiłam uprzejmie.

Gdy wyjeżdżaliśmy z Beaulieu, by przyłączyć się do Karola Stuarta i jego armii, był pogodny, mroźny grudniowy dzień. Wbrew radom generałów, na przekór pogodzie i zdrowemu rozsądkowi Karol parł do Anglii. W końcu jednak, w Derby, generałowie postawili na swoim. Przywódcy szkockich górali odmówili dalszego marszu i skierowali swoje wojska na pomoc. Pilny list Karola do Jamiego wzywał nas, żebyśmy „bez zwłoki” podążyli na południe, aby spotkać się z Jego Wysokością po powrocie do Edynburga.

Młody Simon ubrany w czerwony tartan, jechał na

czele kolumny mężczyzn. W każdym calu wyglądał jak wódz klanu. Za nim podążali jeźdźcy, a piechota, w jeszcze większej liczbie, szła z tyłu.

Jechaliśmy konno na czele wraz z Simonem aż do Comar. Było umówione, że tam się rozdzielimy. Simon zdecydował, że od razu podąży do Edynburga. Jamie natomiast rzekomo miał eskortować mnie do Lallybroch, dopiero potem udać się do miasta.

Oczywiście wcale nie zamierzał się zjawiać w Edynburgu, ale Simon nic o tym nie wiedział.

Gdy o poranku wynurzyłam się z kępki zarośli przy drodze okazało się, że Jamie już z niecierpliwością na mnie czeka. Przed podróżą wypiliśmy grzane piwo. Było zadziwiająco smaczne i miało poważny wpływ na pracę nerek.

– Kobiety! – prychnął Jamie. – Jak to możliwe, że potrzeba wam tak cholernie dużo czasu na coś tak prostego, jak siusianie?

– Następnym razem przyłącz się do mnie i popatrz – zauważyłam cierpko. – Może będziesz miał jakieś przydatne sugestie.

Znowu parsknął i odwrócił się, żeby popatrzeć na wlokącą się kolumnę mężczyzn.

Uśmiechnął się. Piękna, słoneczna pogoda podnosiła wszystkich na duchu, ale Jamie był tego ranka w szczególnie dobrym nastroju. I nic dziwnego – wracaliśmy do domu. Jamie doskonale zdawał sobie sprawę, że wojna będzie miała swoją cenę. Nie udało nam się powstrzymać Karola, ale liczyliśmy, że zdołamy uratować mały skrawek Szkocji – Lallybroch. Może chociaż to było w naszej mocy.

Spojrzałam na ciągnącą się kolumnę członków klanu.

– Dwustu mężczyzn! Niezły widok – stwierdziłam.

– Stu siedemdziesięciu – poprawił mnie Jamie.

– Jesteś pewien? – spytałam zaciekawiona – Lord Lovat powiedział, że wyśle dwustu.

Słyszałam, jak to mówił, gdy dyktował list.

– I co z tego. – Jamie wskoczył na siodło. Staął w strzemonach i wskazał ręką w dół zbocza. Daleko przed nami, na czele kolumny łopotała chorągiew Fraserów z herbem w kształcie głowy jelenia.

– Policzyłem, gdy na ciebie czekałem – wyjaśnił. – Trzydziestu konnych jedzie z Simonem. Pięćdziesięciu pieszych z pałaszami i puklerzami to ludzie z miejscowej straży. Jest też dziewięćdziesięciu dzierżawców z bronią: kosami i młotkami.

– Chyba twój dziadek jest pewien, że księżę Karol osobiście ich nie policzy – zauważyłam cynicznie. – Usiłuje przypisać sobie zasługę za dostarczenie większej liczby wojska, niż rzeczywiście posyła.

– Tak, ale gdy dotrą do Edynburga, nazwiska znajdą się w spisach – powiedział Jamie, marszcząc brwi. – Lepiej pojedę sprawdzić.

Spokojnie ruszyłam za Jamiem. Jak mi się zdawało, mój wierzchowiec miał około dwudziestu lat i poruszał się jedynie statecznym kłusem. Koń Jamiego był trochę żywszy, ale nie mógł się równać z Donasem. Ogromny ogier został w Edynburgu, bo Karol życzył sobie dosiadać go podczas publicznych uroczystości. Jamie przystał na prośbę księcia.

Podejrzewał, że Stary Simon przywłaszczyłby sobie Donasa, gdyby ten okazały koń znalazł się w zasięgu jego zachłannych łap.

Sądząc po rozgrywającej się przede mną scenie, Jamie nie pomylił się w ocenie charakteru swojego dziadka. Najpierw Jamie jechał obok kancelisty Młodego Simona i rozmawiał z nim zawzięcie. Gdy kłótnia rozgorzała na dobre, Jamie wychylił się w siodle, złapał za wodze konia, którego dosiadał oburzony mężczyzna, i wyprowadził z szeregu na pobocze błotnistej drogi.

Obaj zeskoczyli na ziemię. Stanęli twarzą w twarz i najwyraźniej kłócili się zawzięcie.

Młody Simon dał znak, by kolumna posuwała się dalej. Sam wyjechał z szeregu. Potem było spore zamieszanie. Staliśmy dość blisko, by zobaczyć zaczerwienioną z irytacji twarz Simona, grymas na obliczu kancelisty i gwałtowne gesty Jamiego.

Zafascynowana patrzyłam na rozgrywającą się przede mną pantomimę. W pewnym momencie kancelista wzruszył ramionami z rezygnacją, odpiął sakwę, sięgnął głęboko i wyjął kilka arkuszy pergaminu. Jamie wyrwał mu je z ręki i pobieżnie przejrzał. Szybko prze suwał palcem po linijkach pisma. Złapał jeden arkusz. Pozostałe upuścił na ziemię.

Potrząsał trzymaną kartką przed twarzą Simona Frasera. Młody Lis wyglądał na zaskoczonego. Wziął arkusz, przyjrzał mu się, a potem skonsternowany spojrział na Jamiego. Jamie złapał pergamin, niespodziewanie z wysiłkiem rozdarł go wzdłuż, a potem wszerek i wepchnął skrawki do torby z borsuczej skóry, którą miał przy pasie.

Zatrzymałam konia. Wierzchowiec skorzystał z przerwy i zaczął skubać resztki roślin, jakie udało mu się jeszcze znaleźć. Gdy Młody Simon odwrócił się, by wskoczyć na siodło, zobaczyłem, że jego kark jest jaskrawoczerwony. Postanowiłam zejść dziedzicowi z drogi.

Jamie dosiadł konia i podjechał do mnie klusem po poboczu. Rude włosy powiewały na wietrze niczym chorągiew, oczy błyszczały gniewnie, a usta zaciskały się zawzięcie.

– Pieprzony, stary wypierdek – powiedział bez ceregieli.

– Co zrobił? – spytałam.

– Włączył nazwiska moich ludzi do swojego spisu. Rości sobie do nich prawo jako części regimentu Fraserów. Stara świnia! – Z zalem spojrział w tył na gościniec.

– Jaka szkoda, że przebyliśmy taki kawał drogi. Za daleko, by wrócić i dać zgredowi nauczkę.

Oparłam się pokusie podjudzania Jamiego do dalszego obrzucania dziadka wyzwiskami i spytałam:

– Zrobił to, żeby wyglądało, że jego wkład w sprawę Stuartów jest większy niż w rzeczywistości?

Jamie skinął głową. Rumieniec wściekłości powoli bladł.

– Za wszelką cenę chce wypaść jak najlepiej. A ponad to ten wstrętny stary łajdak zamierza odebrać mi ziemię. Pragnie tego, odkąd był zmuszony przekazać ją moim rodzicom, gdy się pobrali. Teraz kombinuje, że jeśli wszystko pójdzie dobrze i zostanie księciem Inverness, może utrzymywać, że Lallybroch zawsze należało do niego,

a ja jestem tylko dzierżawcą. Dowodem na to ma być fakt, że zebrał ludzi z majątku w odpowiedzi na wezwanie Stuartów skierowane do klanów.

– Czy naprawdę coś takiego ujdzie mu na sucho? – spytałam wąpiąco.

Wziął głęboki oddech, potem głośno wypuścił powietrze. Obłok pary uniósł się ku górze z jego nozdrzy jak płomień z paszczy smoka. Jamie poklepał torbę wiszącą mu przy pasie i uśmiechnął się ponuro.

– Teraz mu się to nie uda – oznajmił.

Potrzeba dwóch dni, by dotrzeć z Beaully do Lallybroch. Pod warunkiem jednak, że pogoda dopisuje, konie są zdrowe, drogi suche, a postoje robi się tylko po to, by coś zjeść, przespać się i zadbać o higienę osobistą. Tymczasem po wyjeździe z Beaully przebyliśmy zaledwie dziesięć kilometrów, gdy jeden z naszych koni okulał, na zmianę padał śnieg i deszcz ze śniegiem, wiał silny wiatr, błotnista ziemia pokryła się płatami lodu. Wszystko to razem sprawiło, że upłynął prawie tydzień, zanim zmarznięci, zmęczeni, głodni i brudni pokonaliśmy ostatnie wzniesienie i ujrzelśmy dom w Lallybroch.

Byliśmy tylko we dwoje. Murtagha wysłano do Edynburga z Młodym Simonem i ludźmi Beauforta pod bronią. Miał ocenić, jak mają się sprawy z oddziałami szkockich górali z gór.

Dom stał niewzruszony pośród innych zabudowań, biały jak otaczające go pokryte śniegiem pola. Uczucia, jakie wzbudził we mnie ten widok, gdy ujrzałam go po raz pierwszy, były wciąż żywe. Choć wówczas zobaczyłam dworek w blasku pogodnego jesiennego dnia, a nie przez

zasłonę śniegu wirującego w podmuchach mroźnego wiatru, wydał mi się przytulnym schronieniem. Roztaczając się wokół domu aurę siły i spokoju pogłębiało światło o barwie ciepłej żółci. Sączyło się z okien i rozpraszało w szarości zmroku.

Przecucie, że czeka mnie tu serdeczne przyjęcie, wzmogło się, gdy weszłam za Jamiem przez drzwi frontowe i wyłowiłam smakowity zapach pieczonego mięsa i świeżego chleba.

– Kolacja – mruknął Jamie. Zamknął oczy i z rozkoszą wdychał apetyczne wonie. – Boże, mógłbym zjeść konia z kopytami.

Śnieg zamarznięty na polach jego płaszcz rozpuszczał się, a woda, kapiąc, tworzyła na drewnianej podłodze mokre kałuże.

– Myślałam, że będziemy zmuszeni zjeść jednego z koni – odparłam, odwiązując tasemki przy płaszczu i strząsając z włosów topniejący śnieg. – Ten, którego sprzedałeś w Kirkinmill, ledwie kuśtykał.

Na dźwięk naszych głosów na górze otworzyły się drzwi. Potem usłyszeliśmy szybkie stąpanie drobnych nóżek i okrzyk radości. To młodszy Jamie ujrzał na dole swego imiennika.

Zamieszanie wywołane powitaniem zwróciło uwagę pozostałych domowników.

Zanim się zorientowaliśmy, Jenny z dzieckiem, mała Maggie, Ian, pani Cook i niektóre służące wybiegli do holu. Otoczyli nas ciasnym kręgiem, witali, obejmowali.

– Tak dobrze was znowu widzieć, kochani – powtórzyła po raz trzeci Jenny. Musiała stanąć na palcach,

żeby pocałować Jamiego. – Sądząc z wieści o armii, jakie do nas dotarły, obawialiśmy się, że minie wiele miesięcy, zanim wrócicie do domu.

– Tak – zawtórował Ian. – Czy zabraliście ze sobą ludzi, czy to tylko krótka wizyta?

– Czy zabraliśmy ludzi?

Jamie, pochłonięty powitaniem ze starszą siostrzenicą, spojrział zaskoczony na szwagra. Na chwilę zapomniał o małej dziewczynce, którą trzymał w ramionach. Gdy pociągnęła go za włosy, znów zdał sobie sprawę z jej obecności. Gorąco ucałował Maggie i wsadził mi ją na rękę.

– O czym ty mówisz, Ianie? – spytał. – Wszyscy powinni wrócić już miesiąc temu.

Czy ktoś nie dotarł do domu?

Przycisnęłam małą Maggie mocniej do siebie. Ogarnęło mnie złe przeczucie na widok z wolna znikającego z twarzy Iana uśmiechu.

– Nikt się tu nie zjawił, Jamie – powiedział powoli Ian. Na jego pociągłej dobronusznej twarzy pojawił się nagle taki sam ponury grymas, jak u Jamiego. – Nie ma po nich śladu od chwili, gdy wyruszyli z tobą.

Na dziedzińcu, po którym Rabbie MacNab prowadził konie do stajni, rozległ się krzyk. Jamie okręcił się na pięcie i podszedł do drzwi. Wychylił się na zewnątrz mimo szalejącej burzy śnieżnej.

Nad jego ramieniem w podmuchach padającego śniegu zobaczyłam nadjeżdżającego jeźdźca. Z powodu śnieżycy trudno było dostrzec twarz mężczyzny, ale nie sposób było z kimkolwiek pomylić drobnej, żylastej postaci

trzymającej się w siodle niczym małpa.

Szybki jak błyskawica, przypomniałam sobie słowa Jamiego.

Miał rację. Przebycie drogi z Beaully do Edynburga, a potem do Lallybroch w tydzień wymagało nie lada wytrzymałości. To najeżdżał Murtagh i nie trzeba było daru jasnowidzenia Maisri, by domyślić się, że przywozi złe wieści.

42

SPOTKANIA

Jamie, poszarzały na twarzy z wściekłości, z impetem otworzył drzwi salonu w Holyrood. Ewan Cameron poderwał się na nogi. Kałamarz, z którego korzystał, spadł na podłogę. Siedzący po przeciwnej stronie stołu Simon Fraser, lord Lovat, zaledwie uniósł krzaczaste, czarne brwi na widok krewniaka.

– Do cholery! – ryknął Ewan. Po omacku szukał w rękawie chusteczki, którą mógłby wytrzeć kałużę atramentu. – Co się z tobą dzieje, Fraser? Och, dzień dobry, pani Fraser – dodał, gdy spostrzegł, że wchodzi za Jamieem.

– Gdzie jest Jego Wysokość? – Jamie od razu przystąpił do rzeczy.

– W zamku Stirling – odpowiedział Cameron. Nie znalazł chusteczki, więc spytał: – Masz jakąś szmatkę, Fraser?

– Gdybym miał, to bym cię nią udusił – zagroził Jamie.

Na wieść, że Karola Stuarta nie ma w Holyrood, odprężył się trochę, choć zaciśnięte usta wciąż

znamionowały napięcie.

– Dlaczego pozwoliłeś przetrzymywać moich ludzi w Tolbooth? Właśnie się z nimi widziałem. W takim miejscu nie trzymałbym nawet świń! Na Boga, z pewnością mogłeś coś zrobić!

Cameron poczerwieniał, jednak wytrzymał spojrzenie Jamiego.

– Próbowałem – powiedział. – Mówiłem Jego Wysokości, że to z pewnością pomyłka.

Trzydziestu ludzi dwadzieścia kilometrów od obozu... – niemożliwe! Poza tym nawet gdyby zamierzali zdezerterować, to trzeba było temu zapobiec, bo król nie może się bez nich obejść, ma za mało ludzi. Tylko to powstrzymało Jego Wysokość od wydania rozkazu, by wszyscy zostali z miejsca powieszeni – mówił Cameron z narastającym gniewem, gdy minął szok wywołany wejściem Jamiego. – Boże, człowieku, dezercja w czasie wojny to zdrada!

– Naprawdę? – powiedział sceptycznie Jamie. Skinął głową Młodemu Simonowi, popchnął krzesło w moim kierunku, a potem sam usiadł. – A czy wysłałeś rozkazy, by powieszono dwudziestu twoich ludzi, którzy pojechali do domu, Ewan? A może teraz byłoby ich raczej czterdziestu?

Cameron zaczerwienił się jeszcze bardziej i spuścił oczy. Skupił się na wycieraniu atramentu szmatką, którą podał mu Simon Fraser.

– Żadnego z nich nie złapano – wymamrotał w końcu. Spojrzał na Jamiego. Na jego szczupłej twarzy malował się wyraz powagi. – Pojeżdż do Jego Wysokości do

Stirling – poradził. – Był wściekły z powodu dezercji twoich ludzi, ale przecież sam rozkazał ci pojechać do Beaulieu. Musiałeś pozostawić żołnierzy bez dozoru, prawda? Zawsze miał o tobie dobre zdanie, Jamie, i nazywał się swoim przyjacielem. Może ułaskawi twoich podopiecznych, jeśli będziesz błagał o ich życie.

Podniósł nasiąkniętą atramentem szmatkę i spojrzał na nią z namysłem. Potem wymamrotał przeprosiny i czym prędzej wyszedł, by ją wyrzucić.

Jamie siedział rozparty na krześle. Oddychał przez zaciśnięte zęby, wydając przy tym cichy świst. Oczy miał utkwione w wiszącej na ścianie wyszywanej draperii z herbem Stuartów. Powoli stukał w stół dwoma sztywnymi palcami prawej ręki. Od chwili, gdy Murtagh przybył do Lallybroch z wiadomością, że trzydziestu podkomendnych zostało pojmanych podczas dezercji, osadzonych w osławionym więzieniu Tolbooth w Edynburgu i skazanych na karę śmierci, Jamie przeżywał silne napięcie nerwowe.

Nie wątpiłam, że Karol nie ma zamiaru stracić jego ludzi. Jak słusznie zauważył Ewan Cameron, armia potrzebowała każdego człowieka zdolnego do walki, jakiego mogła zwerbować. Marsz na Anglię był kosztowny, a książę nie uzyskał spodziewanego poparcia ze strony angielskiej wsi. Zresztą nie tylko o to chodziło. Stracenie ludzi Jamiego podczas jego nieobecności byłoby aktem politycznego idiotyzmu i osobistej zdrady. A do tego nawet Karol Stuart nie był zdolny.

Nie. Sądziłam, że Cameron ma rację. Podkomendni Jamiego zostaną w końcu ułaskawieni. Jamie niewątpliwie także o tym wiedział, ale nie stanowiło to wielkiego

pocieszenia. Zdawał sobie sprawę, że jego rozkazy nie tylko nie uchroniły ludzi od niebezpieczeństw podpadającej kampanii wojennej, ale sprawiły, że trafili do jednego z najgorszych więzień w całej Szkocji. Zostali napiętnowani jako zdrajcy i skazani na haniebną śmierć przez powieszenie.

Na dodatek musiał jeszcze na jakiś czas pozostawić podopiecznych w ciemnym, plugawym więzieniu i wyjechać do Stirling. Tam natomiast przyjdzie mu stanąć przed obliczem Karola, znosić upokorzenie i błagać o ich życie. Jamie miał gorzką pigułkę do przełknięcia.

Młody Simon chwilę milczał. Marszczył w zamyśleniu brwi i szerokie czoło.

– Pojadę z tobą do Jego Wysokości – oznajmił nagle.

– Pojedziesz? – Jamie spojrzał zdumiony na wuja i zmrużył oczy. – Dlaczego?

Simon uśmiechnął się półgębkiem.

– W końcu łączą nas więzy krwi. A może myślisz, że tak jak ojciec spróbuję przejąć twoich ludzi?

– Zrobiłbyś to?

– Może – odparł szczerze Simon. – Gdybym uznał, że mi się to na coś przyda. Sądzę jednak, że narobiłbym sobie tylko kłopotów. Nie mam ochoty walczyć ani z MacKenziem ani z tobą, bratanku – dodał i uśmiechnął się szerzej. – Choćby Lallybroch było niezwykle bogate, leży zbyt daleko od Beauuly i pewnie trzeba by stoczyć niemałą batalię, by zdobyć je siłą czy na drodze sądowej. Powiedziałem o tym ojcu, ale on słyszy tylko to, co chce.

Młody mężczyzna potrząsnął głową i poprawił pas

podtrzymujący pałasz na biodrach.

– Przy armii z pewnością będzie można się bardziej obłowić. Jeśli król odzyska tron, oczywiście. A w przypadku, gdy dojdzie do takiej bitwy jak pod Preston, przyda się każdy zdolny do walki człowiek. Pojadę z tobą – powtórzył zdecydowanie.

Jamie skinął głową. Z wolna jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Dziękuję, Simonie. Bardzo mi pomożesz.

– Nie zaszkodziłoby poprosić Dougala MacKenziego, by wstawił się za tobą. Jest teraz w Edynburgu.

– Dougala MacKenziego? – Jami uniósł brwi ze zdziwienia. – Tak, ale...

– Jakie: ale? Człowieku! Nic nie słyszałeś? MacKenzie jest teraz ulubieńcem księcia Karola.

Simon rozparł się w fotelu i patrzył kpiąco na swojego bratanka.

– Dlaczego? – spytałam. – Cóż on, na Boga, takiego zrobił?

Dougal wystawił dwustu pięćdziesięciu ludzi pod broń, by walczyli o sprawę Stuartów, ale kilku innych wodzów miało większy wkład w tę wojnę.

– Dał dziesięć tysięcy funtów – wyjaśnił Simon, napawając się brzmieniem tych słów.

– Dougal MacKenzie złożył u stóp swego monarchy dziesięć tysięcy funtów w złocie.

Bardzo się przydadzą – dodał rzeczowo i wyprostował się. – Cameron mówił mi właśnie, że Karol wydał resztę hiszpańskich pieniędzy, a angielscy

popiecznicy, na których ksiązę tak liczył, dają cholernie mało. Dziesięć tysięcy Dougala pozwoli dozbroić armię i karmić ją przynajmniej jeszcze przez kilka tygodni, a przy odrobinie szczęścia wtedy Jego Wysokość dostanie kolejne pieniądze z Francji.

Ludwik uświadomił sobie w końcu, że jego lekkomyślny kuzyn wspaniale odwraca uwagę Anglików od tego, co dzieje się we Francji, więc niechętnie, ale zgodził się wyłożyć trochę pieniędzy. Długo jednak przyszło na nie czekać.

Patrzyłam na Jamiego. Na jego twarzy, tak jak i na mojej, malował się wyraz konsternacji. Skąd, u licha, Dougal MacKenzie wytrzasnął dziesięć tysięcy funtów? Nagle przypomniałam sobie, że słyszałam, jak mówiono o takiej sumie pieniędzy w lochu dla złodziei w Cranesmuir, gdzie spędziłam trzy bezkresne dni i noce przed procesem.

– Geillis Duncan! – wykrzyknęłam.

Zrobiło mi się zimno na wspomnienie rozmowy w mroku błotnistej jamy. Choć w salonie było ciepło, szczelniej okryłam się płaszczem.

Przejęłam blisko dziesięć tysięcy funtów – wyznała mi wówczas Geillis. Przechwalała się swoją przebiegłością. Podrobiła podpis męża i dzięki temu zdobyła pieniądze. Artur Duncan, którego otruła, był prokuratorem i poborcą podatkowym w okręgu. – Dziesięć tysięcy funtów dla sprawy jakobitów. Gdy dojdzie do powstania, będę wiedziała, że pomogłam.

– Dopuściła się kradzieży – powiedziałam. Przeszedł mnie dreszcz na myśl o Geillis Duncan skazanej na śmierć za uprawianie czarów, spalonej na stosie w cieniu

gałęzi jarzębiny. Tuż przed śmiercią urodziła dziecko swego kochanka Dougala MacKenziego. – Ukradła pieniądze i oddała Dougalowi albo on je zabrał.

Byłam wstrząśnięta. Wstałam i zaczęłam chodzić tam i z powrotem przed kominkiem.

– Sukinsyn! – wycodziłam przez zęby. – To tym się zajmował w Paryżu dwa lata temu!

– Czym? – Jamie zmarszczył brwi.

Simon gapił się na mnie z otwartymi ustami.

– Odwiedził Karola Stuarta. Pojechał sprawdzić, czy naprawdę planuje wznieść powstanie. Może wtedy przyrzekł mu finansowe wsparcie i właśnie obietnica otrzymania pieniędzy Geillis Duncan skłoniła Karola do podjęcia ryzyka powrotu do Szkocji. Ale Dougal nie mógł otwarcie przekazać tej kwoty Karolowi, bo żył jego brat. A Colum był zbyt uczciwym człowiekiem, by wykorzystać pieniądze pochodzące z kradzieży.

– Rozumiem. – Jamie skinął głową i przymknął oczy w zamyśleniu. – Teraz Colum nie żyje – powiedział cicho. – A Dougal MacKenzie jest faworytem księcia.

– I dobrze się składa – wtrącił Simon zniecierpliwiony wysłuchiowaniem rozmowy o ludziach, których nie znał, i sprawach, które nie w pełni pojmował. – Jedźmy. O tej porze będzie pewnie w World's End.

– Myślisz, że wstawi się za tobą u księcia? – spytałam Jamiego zmartwiona.

Przez jakiś czas Dougal był przybranym ojcem Jamiego, ale ich stosunki nie układały się zbyt dobrze. Czy zechce wstawić się za bandą tchórzy i dezertów? Narazić się na utratę łaski, którą cieszy się u księcia od niedawna?

Bardzo wątpiłam.

Młody Lis miał sporo przenikliwości ojca. Czarne krzaczaste brwi Simona uniosły się wysoko.

– MacKenzie chce położyć łapę na Lallybroch, prawda? Jeśli jednak będzie uważał, że ojciec i ja zamierzamy dochodzić zwrotu twojej ziemi, chętniej pomoże ci odzyskać ludzi.

Dużo więcej kosztowałaby go walka o ziemię z nami niż dojście do porozumienia z tobą, gdy wojna się skończy.

Pokiwał głową zadowolony. Przygryzł górną wargę i rozważał plan działania.

– Najpierw ja pomacham Dougalowi przed nosem kopią listu ojca. Dopiero potem ty wkroczysz do akcji i powiesz, że prędzej będę się smażył w piekle, niż przejmę twoich ludzi. Później wszyscy udamy się do Stirling – powiedział i uśmiechnął się przebiegle od ucha do ucha.

– Zawsze mi się zdawało, że jest jakiś powód, dla którego słowo Szkot rymuje się ze słowem spisek* [** Scot (ang.) – Szkot; plot (ang.) – spisek.] – zauważyłam.

– Co? – Obaj mężczyźni spojrzeli na mnie zaskoczeni.

– Nic takiego. – Potrząsnęłam głową. – Po prostu spiskowanie macie we krwi.

Zostałam w Edynburgu, gdy Jamie i rywalizujący z nim wujowie pojechali do Stirling, do księcia. W zaistniałych okolicznościach nie mogłam zatrzymać się w Holyrood.

Wynajęłam więc pokój w domku przy jednej z uliczek w pobliżu Canongate. Był mały, zimny i zagracony,

ale nie przebywałam w nim zbyt wiele.

Więźniowie Tolbooth nie mogli wyjść, ale odwiedzający bez przeszkód dostawali się do środka. Fergus i ja codziennie chodziliśmy do więzienia, a dzięki niewielkiej łapówce pozwolono mi przynosić ludziom z Lallybroch jedzenie i lekarstwa. Teoretycznie nie wolno było rozmawiać z więźniami bez świadków, jednak pieniądze dawane strażnikom robiły swoje. Parę razy udało mi się porozmawiać na osobności z Rossem, kowalem.

– To moja wina, pani – wyznał podczas pierwszego spotkania. – Powiniennem mieć dość rozumu, by wysłać ludzi w małych grupkach, a nie wszystkich razem. Ale bałam się, że niektórzy się pogubią. Większość z nich nigdy przedtem nie była dalej niż dziesięć kilometrów od domu.

– Nie obwiniaj siebie – powiedziałam łagodnie. – To był po prostu pech, że was złapano. Nie martw się, Jamie pojechał do księcia, do Stirling. Ani się obejrzysz, a wyciągnie was stąd.

Skinął głową i odgarnął włosy z czoła. Brudny, rozczochrany i jakby skurczony nie przypominał silnego, krzepkiego rzemieślnika sprzed kilku miesięcy. Jednak uśmiechnął się do mnie i podziękował za jedzenie.

– Bardzo się przyda – powiedział szczerze. – Dostajemy tu tylko pomyje. Czy mogłaby pani... – Zawahał się. – Czy udałoby się przynieść kilka kocy? Nie prosiłbym o to, ale czterech mężczyzn zapadło na malarię i...

– Przyniosę – obiecałam.

Wychodząc z więzienia, zastanawiałam się, jak zdołam tego dokonać. Trzon armii podążył na południe, ale Edynburg wciąż pozostawał miastem okupowanym.

Obecność lordów, żołnierzy i wałęsających się maruderów sprawiała, że brakowało wszystkiego, a towary osiągały wysokie ceny. Można było kupić koce i ciepłą odzież, lecz kosztowałyby to drogo, a ja miałam zaledwie dziesięć szylingów.

W Edynburgu urzędował bankier, pan Waterford, który w przeszłości zajmował się interesami i inwestycjami Lallybroch. Jednak kilka miesięcy wcześniej Jamie wycofał wszystkie pieniądze z banku w obawie, że aktywa mogą zostać przejęte przez Koronę.

Pieniądze wymieniono na złoto, część przesłano do Jareda we Francji na przechowanie, a resztę ukryto w zabudowaniach gospodarczych Lallybroch.

Zatrzymałam się na brukowanej ulicy. Myślałam ciągle potrącana przez przechodniów. Choć brakowało mi pieniędzy, miałam kilka wartościowych przedmiotów.

Kryształ, który Raymond podarował mi w Paryżu... samo szkło nie przedstawiało wielkiej wartości, ale podstawka i łańcuszek ze złota były drogie. Obrączki ślubne – nie, nie chciałam rozstawać się z nimi nawet na krótko. Ale perły... Pomacałam kieszeń, by sprawdzić, czy zaszyty w szwie spódnicy naszyjnik z pereł, prezent ślubny od Jamiego, wciąż tam jest.

Pod palcami wyczułam małe, twarde i gładkie paciorki o nieregularnym kształcie.

Naszyjnik, choć wykonany z pereł słodkowodnych, nie tak drogi jak orientalne, był wspaniały. Pomiedzy perełkami umieszczono przewiercone na wylot krążki ze złota.

Naszyjnik należał kiedyś do matki Jamiego, Ellen.

Pomyślałam, że nie miałyby nic przeciwko temu, by został wykorzystany dla ulżenia doli ludzi z Lallybroch.

– Pięć funtów – oznajmiłam stanowczo. – Jest wart dziesięć, a mogłabym go sprzedać za sześć, gdyby tylko chciało mi się pójść w górę ulicą do innego sklepu.

Nie miałam pojęcia, czy to prawda, ale w pewnej chwili sięgnęłam po leżący na ladzie naszyjnik, tak jakbym zamierzała go zabrać i wyjść. Właściciel lombardu, pan Samuels, szybko przykrył naszyjnik ręką. Skwapliwość, z jaką to zrobił, wskazywała, że powinnam od początku żądać sześciu funtów.

– No dobrze, trzy funty, dziesięć – rzucił kolejną sumę. – To z pewnością zrukuje moją rodzinę, ale robię wyjątek dla pięknej pani...

Zadźwięczał dzwonek zawieszony nad drzwiami lombardu. Na zniszczonych deskach podłogi rozległ się odgłos niezdecydowanych kroków.

– Przepraszam – odezwał się dziewczęcy głos.

Odwrociłam się szybko. Od razu rozpoznałam Mary Hawkins. W ciągu ostatniego roku urosła i zaokrągliła się. Zauważyłam też pierwsze oznaki dojrzałego dostojeństwa, choć przecież panna Hawkins była jeszcze bardzo młoda. Zamrugnęła oczami, a potem rzuciła mi się na szyję z okrzykiem radości. Futrzany kołnierz łaskotał mnie w nos, gdy tonęłam w jej objęciach.

– Co tutaj robisz? – spytałam, gdy wyswobodziłam się z uścisku.

– Zatrzymałam się u siostry ojca – wyjaśniła. – A może pytasz, co robię tutaj? – Wskazała obskurne pomieszczenie lombardu pana Samuela.

– O to też – powiedziałam. – Ale poczekaj chwilę. – Odwróciłam się do właściciela lombardu. – Cztery funty, sześć szylingów albo przejdę się w górę ulicy – oznajmiłam ostentacyjnie. – Decyduj się pan szybko.

Zręcząc, pan Samuels sięgnął pod ladę po kasę.

– Muszę kupić kilka koców – zwróciłam się ponownie do Mary. – Pójdiesz ze mną?

Rzuciła okiem na zewnątrz. Przy drzwiach stał niewielki człowieczek w liberii lokaja.

Najwyraźniej czekał na Mary.

– Tak, jeśli potem ty pójdiesz ze mną. Och, Claire, tak się cieszę, że cię widzę.

– Aleks wysłał mi wiadomość – zwierzyła mi się, gdy schodziłyśmy ze wzgórza.

Gdy wymawiała imię ukochanego, jej twarz promieniała, choć między brwiami widać było też małą zmarszczkę.

– Gdy się dowiedziałam, że jest w Edynburgu, s-s-kłoniłam ojca, by wysłał mnie z wizytą do cioci Mildred. Nie miał nic przeciwko temu – dodała gorzko. – Po tym, co się stało w Paryżu, nie mógł na mnie p-p-patrzeć. Był szczęśliwy, że może się mnie pozbyć z domu.

– Widziałaś się z Alekssem? – spytałam.

Byłam ciekawa, jak się powodzi młodemu wikaremu. Co się wydarzyło od czasu, gdy widziałam go po raz ostatni. Zastanawiałam się też, jak zdobył się na odwagę, by napisać do Mary.

– Tak. N-n-nie prosił mnie o wizytę – dodała szybko. – S-s-sama poszłam. – Uniosła buntowniczo lekko

drżącą brodę. – Nie napisałby do mnie, ale uważa, że u-u-umiera, i chciał, żebym o tym w-w-wiedziała.

Objęłam ją i skręciłam szybko w jedną z bram z dala od dużego ruchu ulicznego.

– Wszystko w porządku. – Poklepałam ją bezradnie, bo wiedziałam, że nie mogę zrobić nic, by jej pomóc. – Poszłaś, żeby się z nim zobaczyć. To najważniejsze.

Skinęła głową bez słowa i wydmuchała nos.

– Tak – wyszeptała w końcu. – Spędziliśmy ze sobą dwa miesiące. Ciągłe powtarzam sobie, że to więcej, niż miała większość ludzi. Dwa miesiące szczęścia... ale wcześniej straciliśmy tyle czasu... I t-t-teraz to nie wystarczy. Claire, to n-n-nie wystarczy!

– Na taką miłość nie wystarczyłoby nawet całe życie – powiedziałam cicho.

Nagle przypomniałam sobie o Jamiem. Zastanowiłam się, gdzie jest i jak sobie radzi.

Mary trochę się uspokoiła.

– Claire, pójdziesz ze mną do Aleksa – spytała, ściskając mnie kurczowo za rękę. – Wiem, że niewiele zdołasz zrobić... – Jej głos załamał się. Z widocznym wysiłkiem zdołała nad nim zapanować. – Ale może jednak... j-j-jakoś pomogłabyś.

Zobaczyła, że patrzę na lokaja, który czekał cierpliwie.

– Płacę mu – wyjaśniła. – Moja ciotka myśli, że każdego popołudnia w-w-wychodzę na spacer. Pójdziesz ze mną?

– Oczywiście, że tak.

Spojrzałam pomiędzy wznoszące się przed nami

budynki. Staralam się ocenić wysokość, na jakiej świeci słońce nad wzgórzami poza miastem. Doszłam do wniosku, że za godzinę zapadnie zmrok. Chciałam, żeby koce zostały dostarczone do więzienia przed nocą, kiedy wilgotne kamienne mury Tolbooth stawały się jeszcze zimniejsze. Nagle podjęłam decyzję: odwróciłam się do Fergusa. Stał obok mnie i z zainteresowaniem przyglądał się Mary. Wrócił do Edynburga wraz z innymi ludźmi z Lallybroch, ale udało mu się uniknąć aresztowania, bo miał francuskie obywatelstwo. Przeżył dzięki swojemu dawnemu zajęciu. Spotkałam go w pobliżu Tolbooth, gdy niósł jedzenie uwięzionym towarzyszom.

– Weź pieniądze i znajdź Murtagha – poleciłam chłopcu, podając mu portmonetkę. – Powiedz, żeby za całą sumę kupił koce i dopilnował, by trafiły do Tolbooth. Strażnik więzienny już został przekupiony.

– Ale proszę pani – zaprotestował Fergus. – Przrzekłem milordowi, że nie zostawię pani samej...

– Jamiego tu nie ma – powiedziałam stanowczo. – A ja jestem. Idź, Fergusie.

Przez chwilę spoglądał to na mnie, to na Mary. W końcu zdecydował, że panna Hawkins była mniejszym zagrożeniem dla mnie niż napad mojego złego humoru dla niego. Wzruszył ramionami i odszedł. Po drodze mamrotał coś pod nosem po francusku o uporze kobiet.

Od czasu mojego ostatniego pobytu w małym pokoju na ostatnim piętrze domu zaszły znaczne zmiany. Przede wszystkim panował w nim porządek, a zapastowana podłoga błyszczała. W spizami nie brakowało jedzenia, na łóżku leżała kołdra i widać było dbałość o wygodę

pacjenta. Mary zwierzyła mi się, że po kryjomu zastawia biżuterię matki, aby Aleks Randall miał zapewnione wszystko, co można uzyskać za pieniądze.

Niestety wielu rzeczy nie da się kupić. Twarz Aleksa zabłysła radością, gdy w drzwiach pokoju stanęła Mary. Przez chwilę nie było widać nawet oznak choroby.

– Przyprowadziłam Claire, kochanie – Mary machinalnie rzuciła płaszcz na krzesło i uklękła przy łóżku chorego. Czule ujęła wychudzoną, pokrytą niebieskimi żyłkami rękę.

– Pani Fraser – wyszeptał bez tchu, choć z uśmiechem. – Jak to dobrze znowu widzieć przyjazną twarz.

– To prawda – powiedziałam i odwzajemniłam uśmiech. Bezwiednie zauważyłam, że puls tętnicy młodziénca jest szybki i nierówny, a skóra przezroczysta. Piwne oczy Aleksa błyszczały. Jasne ogniki świadczyły o tym, że w kruchym ciele tli się jeszcze życie.

W niczym nie mogłam pomóc. Brakowało lekarstw. Jednak zbadałam Aleksa dokładnie i zadbałam o to, by leżał wygodnie, dobrze otulony. Z powodu niewielkiego wysiłku, związanego z badaniem, wargi Randalla nabrały niebieskawej barwy.

Jego stan zaniepokoił mnie, ale nie pokazałam tego po sobie. Obiecałam wpaść następnego dnia z lekarstwem na sen. Nie zwracał uwagi na moje zapewnienia, pochłonięty osobą Mary. Dziewczyna siedziała przy łóżku. Z czułością trzymała ukochanego za rękę i ze smutkiem patrzyła na szybko zapadający za oknem zmierzch.

Zrozumiałam jej zaniepokojenie: musi przed

zmrokiem wrócić do domu ciotki.

– Pójdę już. – Chciałam, by przez kilka bezcennych minut mogli być sami.

Spojrzał na mnie, potem na Mary i uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Niech Bóg panią błogosławi, pani Fraser – wymamrotał.

– Zobaczymy się jutro – powiedziałam i wyszłam. Miałam nadzieję, że tak się rzeczywiście stanie.

Przez kilka następnych dni byłam zajęta. Broń ludzi z Lallybroch została oczywiście skonfiskowana. Robiłam co w mojej mocy, by ją odzyskać: straszyłam i groziłam, wręczałam łapówki i roztaczałam swój wdzięk w zależności od potrzeb. Zastawiłam dwie broszki, które Jared podarował mi w prezencie pożegnalnym. Za otrzymane pieniądze kupiłam tyle jedzenia, żeby ludzie z Lallybroch odżywiali się przynajmniej tak, jak reszta armii – choć było to kiepskie pożywienie.

Siła perswazji utorowała mi drogę do cel, gdzie przetrzymywano więźniów. Przez pewien czas zajmowałam się leczeniem szkorbutu i innych chorób wywołanych niedożywieniem, otarć, odmrożeń, artretyzmu oraz wszelkiego rodzaju schorzeń dróg oddechowych.

Odwiedziłam też tych niewielu wodzów i lordów, którzy wciąż przebywali w Edynburgu i mogli pomóc Jamiemu, gdyby wizyta w Stirling zakończyła się fiaskiem.

Sądziłam, że niepowodzenie jest mało prawdopodobne, ale rozsądek nakazywał podjąć środki ostrożności.

W nawale zajęć rezerwowałam sobie czas, by choć

raz dziennie odwiedzić Aleksa Randalla. Specjalnie przychodziłam do niego rano. Nie chciałam zajmować czasu przeznaczanego na spotkanie z Mary. Aleks sypiał mało i źle. W rezultacie był zmęczony, omdlały i nie miał ochoty rozmawiać. Zawsze jednak, gdy przychodziłam, uśmiechał się na powitanie. Podawałam mu lekką mieszankę mięty i lawendy z dodatkiem kilku kropel syropu z maku. Po jej wypiciu na ogół zasypiał na kilka godzin i był przytomny w czasie południowych odwiedzin Mary.

Odwiedzałyśmy go tylko my dwie. Zdziwiłam się więc, gdy pewnego ranka, wchodząc po schodach, usłyszałam głosy dochodzące zza zamkniętych drzwi.

Zastukałam raz, tak jak uzgodniliśmy, i weszłam do środka. Przy łóżku brata siedział Jonathan Randall ubrany w uniform kapitana w kolorach czerwonym i płowym. Na mój widok Jack wstał z krzesła i skłonił się nisko. Miał jednak odpychający wyraz twarzy.

– Pani – powiedział.

– Kapitanie – odpowiedziałam.

Staliśmy skrępowani na środku pokoju. Gapiliśmy się na siebie wzajemnie i żadne z nas nie miało ochoty uczynić następnego kroku.

– Johnny – wychrypiął Aleks tonem ponaglenia i jednocześnie rozkazu.

Jonathan z irytacją wzruszył ramionami.

– Mój brat wezwał mnie, abym przekazał pewne wiadomości – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Tego ranka nie włożył peruki. Czarne włosy związał z tyłu głowy. Teraz bardzo przypominał brata. Aleks zaś,

blady i kruchy, wyglądał jak duch Jonathana.

– Pani i pan Fraser byliście dobrzy dla mojej Mary – wysapał Aleksander. Przewrócił się na bok, by móc na mnie patrzeć. – I dla mnie też. Wiedziałem... o umowie, jaką zawarliście z moim bratem...– Na policzki wystąpił mu lekki rumieniec. – Ale wiem również, co pani i jej mąż zrobiliście dla Mary... w Paryżu. – Obliznął językiem wargi, popękane i spieczone z powodu gorąca panującego w pokoju. – Sądzę, że powinna pani usłyszeć wieści, jakie Johnny przywiózł wczoraj z zamku.

Jack Randall spojrział na mnie z niechęcią. Był jednak człowiekiem słownym, więc przystąpił do zdawania relacji.

– Hawley zastąpił Cope’a, tak jak wcześniej przewidywałem – oznajmił. – Hawley nie ma charyzmy przywódcy, choć wzbudza pewne ślepe zaufanie wśród podkomendnych.

Nie wiem, co lepsze: toczy armaty Cope’a... – Niecierpliwie wzruszył ramionami. – Nieważne. Generał Hawley maszeruje na północ, by odzyskać zamek Stirling.

– Ile ma wojska? – spytałam.

– W tej chwili osiem tysięcy żołnierzy, z czego tysiąc trzysta to kawaleria. Lada dzień oczekuje przybycia sześciu tysięcy najemników. – Zmarszczył brwi w zamyśleniu. – Doszły mnie słuchy, że wódz klanu Campbellów wysłał tysiąc ludzi, by także dołączyli do żołnierzy Hawleya. Ale nie wiem, na ile ta informacja jest wiarygodna. Zdaje się, że nie ma sposobu, by przewidzieć, co w tej sytuacji zrobią Szkoci.

– Rozumiem – mruknęłam.

To była poważna sprawa. Armia składała się obecnie mniej więcej z siedmiu tysięcy ludzi. Mogliby podołać walce z Halweyem, gdyby spodziewane posiłki nie nadeszły.

Czystym szaleństwem było czekać, aż dotrą najemnicy i żołnierze Campbella, pomijając fakt, że górale dużo lepiej walczyli w ataku niż w obronie. Najlepiej by było, gdyby lord George Murray natychmiast otrzymał te wieści.

Głos Jacka Randalla przerwał moje rozważania.

– Do widzenia – odezwał się tonem jak zawsze formalnym. Na przystojnej twarzy o twardych rysach nie pojawił się nawet cień cieplejszych uczuć. Jack skłonił się i odszedł.

– Dziękuję – zwróciłam się do Aleksa Randalla. Zwlekałam z wyjściem, aż Jonathan zejdzie po drugich kręconych schodach. – Jest to dla mnie bardzo ważne.

Skinął głową. Cienie pod oczami były wyraźnie widoczne, miał za sobą kolejną, nie przespaną noc.

– Proszę bardzo – rzekł po prostu. – Zostawi mi pani lekarstwa? Chyba upłynie trochę czasu, zanim się znowu zobaczymy.

Zaskoczyła mnie zawarta w tym pytaniu sugestia, że o sobiście podążę do Stirling.

Rwałałam się do tego każdą cząstką mojego ciała, ale musiałam też rozważyć kwestię pozostawienia ludzi w Tolbooth.

– Nie wiem – powiedziałam. – Ale tak, zostawię lekarstwa.

Myśli kłębiły mi się w głowie, gdy powoli szłam do

wynajętego pokoju. Musiałam oczywiście natychmiast przesłać Jamiemu wieści. Wydawało mi się, że najlepiej będzie wysłać Murtagha. Jamie mi uwierzy, jeśli opiszę wszystko w liście. Ale czy uda mu się przekonać lorda George'a, księcia Perth i innych dowódców armii?

Nie mogłam zdradzić źródła informacji. Czy dowódcy dadzą wiarę niczym nie popartym słowom kobiety? Choćby nawet rzekomo posiadała nadprzyrodzone moce?

Nagle pomyślałam o Maisri i zadrżałam. To przekleństwo, powiedziała. Tak, ale nie było przecież wyboru. Mogła tylko nie mówić tego, co wiedziała. Ja też odważyłabym się milczeć.

Ku memu zdumieniu drzwi do pokoiku były otwarte, a ze środka dochodziły odgłosy szczęki broni. Odzyskane uzbrojenie przechowywałam pod łóżkiem, a gdy zabrakło pod nim miejsca składałam obok paleniska. W końcu prawie na całej podłodze leżały różne miecze i sztylety. Na jednym wolnym kwadracie desek Fergus położył koce.

Stanęłam w progu. Ze zdumieniem patrzyłam na rozgrywającą się w pokoju scenę.

Murtagh rozdawał broń ludziom okropnie stłoczonym na niewielkiej powierzchni. A byli to podkomendni z Lallybroch

– Pani! – rozległ się okrzyk z tyłu.

Odwróciłam się i zobaczyłam rozpromienionego Fergus. Na ziemistej twarzy chłopca malował się szeroki uśmiech, ukazujący kwadratowe zęby.

– Pani! Czy to nie cudowne? Milord dostał dla

swoich ludzi ułaskawienie. Dziś rano przybył posłaniec ze Stirling z rozkazami wypuszczenia ich z więzienia. Wszyscy mają natychmiast udać się do Stirling, by dołączyć do pana!

Uściskałam go z uśmiechem na twarzy.

– Wspaniała wiadomość, Fergusie!

Mężczyźni odwracali się w moim kierunku i uśmiechali się, pociągając jeden drugiego za rękawy. Mały pokój wypełniła atmosfera radości i podniecenia. Murtagh przysiadł na łóżku jak król gnomów na muchomorze. Na mój widok także się uśmiechnął, a jego twarz uległa takiej przemianie, że praktycznie trudno go było rozpoznać.

– Czy pan Murtagh poprowadzi ludzi do Stirling? – spytał Fergus. W charakterze uzbrojenia otrzymał kordelas i właśnie ćwiczył dobywanie i wkładanie go do pochwy.

Popatrzyłam Murtaghowi w oczy i potrząsnęłam głową. Skoro Jenny Cameron poprowadziła ludzi brata do Glenfinnan, ja mogę zabrać wojsko męża do Stirling, pomyślałam. I niech no tylko lord George albo Jego Wysokość spróbują zlekceważyć przyniesione przeze mnie wieści!

– Nie – powiedziałam stanowczo. – Ruszycie pod moją komendą.

43

FALKIRK

Czułam obecność ludzi w pobliżu, wokół mnie w ciemnościach. Obok szedł dudziarz.

Słyszałam skrzypiący pod jego ramieniem worek dud. Widziałam zarys sterczących z tyłu piszczałek.

Poruszały się w rytm jego kroków i wyglądało to tak, jakby niósł małe, szamoczące się zwierzątko.

Znałam tego mężczyznę. Nazywał się Labhriunn Maclan. W Stirling dudziarze klanu grali na zmianę. O świcie jeden chodził wolno i wygrywał szkockie melodie. Zawodzący dźwięk piszczałek odbijał się echem wśród zniszczonych namiotów. Wzywał wszystkich w swym zasięgu, by wraz z nastaniem nowego dnia podjęli codzienne zmagania.

Wieczorem, przy wtórce muzyki drugiego dudziarza, obóz zamierał zasluchany. Głosy cichły, promienie słońca ślizgające się po płótnie namiotów gasły. Wysokie tony dud przywoływały napływające z wrzosowisk cienie, a gdy dudziarz skończył grać, zapadała noc.

I wieczorem, i rano Labhriunn Maclan grał z zamkniętymi oczami. Kroczył pewnie tam i z powrotem po dziedzińcu. Łokciem mocno przyciskał worek dud, palcami zwinnie przebiegał otwory w piszczałkach. Pomimo zimna siadywałam niekiedy wieczorami na dworze, by popatrzeć na dudziarza i posłuchać muzyki, której dźwięki przenikały wprost do mojego serca. Maclan był całkowicie skupiony na grze, wkładał w nią całą duszę.

Są dwa rodzaje dud: małe irlandzkie, na których gra się w domu, i tak zwane wielkie północne używane do grania pobudki, zwoływania klanów na apel i wzywania do bitwy.

Maclan grał na dudach północnych.

Pewnego wieczoru poczekałam, aż wyciśnie z worka resztkę powietrza, i się do niego przyłączyłam.

Razem przeszliśmy przez bramę Stirling.

– Dobry wieczór, pani – powiedział, gdy zauważył moją obecność. Jego głos brzmiał miękko. Otwarte już oczy miały łagodniejszy wyraz niż zwykle. Mężczyzna wciąż pozostawał pod wpływem czaru granej przez siebie muzyki.

– Dobry wieczór, Maclanie. Dlaczego grasz z zamkniętymi oczami?

Uśmiechnął się i podrapał w głowę, ale dość chętnie odpowiedział.

– Chyba dlatego, że ojciec nauczył mnie grać, a był niewidomy, pani. Zawsze, gdy gram, widzę, jak chodzi po wybrzeżu z rozwianą brodą. Ślepe oczy ma zamknięte, by uchronić je od ukłuc wirujących w powietrzu ziarenek piasku. Nasłuchuje odbijającego się od głazów i ścian urwisk dźwięku dud, by określić, gdzie jest.

– A więc widzisz go i grasz dla urwisk i morza? Skąd pochodzisz, Maclanie? – spytałam.

Dudziarz mówił niżej i bardziej świszcząco niż większość górali.

– Z Szetlandów – odparł. Nazwę wymówił tak, że brzmiała prawie jak „Zetlandy”. – Z daleka.

Znowu się uśmiechnął i uklonił, gdy doszliśmy do kwater dla gości, gdzie miałam skręcić.

– Ale wydaje mi się, że ty, pani, przybywasz z jeszcze odleglejszych stron.

– To prawda – potwierdziłam. – Dobranoc, Maclanie.

Później, w tym samym tygodniu, zastanawiałam się, czyjego umiejętność grania z zamkniętymi oczami pomaga

mu orientować się w mroku. Duża grupa mężczyzn robi sporo hałasu, nawet jeśli stara się poruszać po cichu. Sądziłam jednak, że odgłosy marszu zagłuszy wycie coraz silniejszego wiatru. Tej nocy księżyc nie świecił, niebo było pokryte chmurami. Deszcz ze śniegiem chłostał mi policzki.

Szkoccy górale szli w małych dziesięcio-, dwudziestoosobowych grupach. Wyglądali jak nierówne kopczyki, usypane gdziegdzie na powierzchni ziemi. Albo jak modrzewie i olchy kroczące szeregiem w ciemności. Otrzymane przeze mnie wieści potwierdziły się: szpiedzy Ewana Camerona donieśli o posunięciach Hawleya. Szkocka armia szła mu teraz na spotkanie, na południe od zamku Stirling.

Jamie przestał nalegać, żebym wróciła do domu. Obiecałam, że będę się trzymała na uboczu. Jeśli jednak szykuje się bitwa, lekarz wojskowy musi być pod ręką, przekonywałam. Nagle zadarł głowę. Wiedziałam, że skupił uwagę na swych ludziach i rysujących się przed nami możliwościach. Jechał na Donasie, wysokim koniu, więc nawet w ciemnościach widać było cień potężnego Szkota. Kiedy uniósł rękę, dwa mniejsze cienie odłączyły się od sunącej masy ludzi i zbliżyły do wodza. Przez chwilę rozmawiał z nimi szeptem, potem wyprostował się w siodle i odwrócił w moją stronę.

– Wywiadowcy mówią, że nieprzyjaciele nas dostrzegli. Angielscy strażnicy pobiegli do Callendar House, by ostrzec generała Hawleya. Nie będziemy dłużej czekać. Pojadę z moimi ludźmi na kraniec wzgórza Falkirk. Obejdę wojska Dougala. My zajdziemy Anglików od tyłu,

a MacKenzie od zachodu. Mniej więcej pół kilometra stąd jest malutki kościółek. Pojedź tam i zostań, Angielko.

W ciemności uścisnął moją rękę.

– Jeśli będę mógł, sam po ciebie przyjadą, jeśli nie, przyślę Murtagha.

– Nie martw się – powiedziałam.

Czułam się kompletnie roztrzęsiona, ale miałam nadzieję, że mój głos mnie nie zdradza. Nie wypowiedziałam cisnących mi się na usta słów: „Bądź ostrożny”, tylko szybko dotknęłam twarzy Jamiego. Policzek był lodowaty i twardy niczym przedmiot z metalu, gładkie i zimne włosy przypominały sierść jelenia.

Skierowałam konia w lewo. Powoli manewrowałam wśród nachodzących zewsząd żołnierzy. Wierzchowiec podniecony poruszeniem podrzucał głowę, parskał i kręcił się niespokojnie. Ostro ściągnęłam wodze i trzymałam je krótko tak, jak uczył mnie Jamie.

Grunt nagle opadał stokiem pod kopytami konia. Obejrzałam się za siebie tylko raz, bo musiałam bardzo uważać, żeby w ciemnościach odnaleźć kościół. Nie dostrzegłam Jamiego. Zniknął już w mroku nocy.

Dotarłam do małego budynku z kamienia krytego strzechą, który przycupnął jak skulone zwierzę w niewielkim zagłębieniu wzgórza. Ogniska w obozie Anglików migotały w strumieniach padającego deszczu ze śniegiem. W oddali rozbrzmiewały jakieś okrzyki, nie wiadomo, Szkotów czy Anglików.

Zaczęto grać na dudach. Przenikliwy, dziwny odgłos niczym krzyk rozległ się w śnieżnej burzy. Kakofonia niesamowitych dźwięków dochodziła z różnych

stron wzgórze. W wyobraźni widziałam, jak dudziarze nabierają powietrza w płuca, przerywanymi oddechami nadmuchują worki, mocno zaciskają sine wargi na ustnikach piszczałek, niezdarnie przebierają zeszytniałymi z zimna palcami, by wydobyć z instrumentów harmonijne dźwięki.

Czułam niemal zacięty opór skórzanego worka, trzymanego w ciepłe pod szeroką kraciatą szarfą. Z początku niechętnie daje się wypełnić powietrzem, potem nagle budzi się do życia. Staje się częścią ciała dudziarza, trzecim płucem, pozwalającym oddychać, gdy na wietrze zabraknie muzykantowi tchu.

Krzyki stały się coraz głośniejsze. Docierały do mnie falami w podmuchach wiatru, który niósł wirujące krople deszczu ze śniegiem. Na wzgórzu nie było żadnej osłony, nawet drzew. Koń odwrócił się do wiatru i spuścił łeb. Szorstkie od lodu kosmyki grzywy uderzały mnie mocno po twarzy.

Kościół był sanktuarium, schronieniem nie tylko przed żywiołami, ale i Anglikami.

Pchnęłam drzwi i weszłam do środka. Konia ciągnęłam za wodze.

Wewnątrz panowała ciemność. Pojedyncze okno nad ołtarzem, z szybą zrobioną z pęcherza, stanowiło zaledwie niewyraźną plamę w otaczającej je czerni. Wokół unosił się duszący zapach zastarzałego potu. Przy ścianie obok ołtarza znajdowała się mała kapliczka. Poza tym w kościele było pusto. Brakowało nawet miejsc siedzących dla wiernych. Koń wyczuwał silny zapach ludzi, więc wciąż parskał i sapał. Podeszłam do drzwi i wystawiłam

głowę na zewnątrz.

Nie wiedziałam, co się dzieje na wzgórzu Falkirk. Iskry dobywające się z broni palnej po strzale migotały w ciemnościach. Do moich uszu dobiegał słaby, przerywany odgłos szczęki metalu i huk sporadycznych eksplozji. Od czasu do czasu rozlegał się krzyk rannego mężczyzny, wysoki jak pisk dud, jakże odmienny do celtyckich okrzyków wojennych. Potem wiatr zmieniał kierunek i słyszałam już tylko silne podmuchy wiatru.

Nie widziałam walki pod Preston. W podświadomości utkwiał mi jedynie obraz poruszających się ociężałe ogromnych armii wyposażonych w czołgi i moździerze. Nie zdawałam sobie sprawy, jak szybko rozstrzyga się zażarta, mała bitwa, w której żołnierze walczą wręcz i są uzbrojeni wyłącznie w poręczną, lekką broń.

Pierwsze ostrzeżenie, że walka ma się ku końcowi, nadeszło wraz z pobliskim okrzykiem: Tulach Ardl Przedtem, ogłuszona wiatrem, nie słyszałam, jak żołnierze wspinali się pod górę. Zawołanie: Tulach Ardl było okrzykiem bitewnym klanu MacKenziech. Rozlegało się coraz bliżej. Niektóre wojska Dougala zostały zmuszone do wycofania się i podążały w kierunku kościółka. Zrobiłam parę kroków w tył. Drzwi zostawiłam uchylone, by móc przez nie wyglądać.

Niewielka grupa uciekających mężczyzn wchodziła po zboczu. Sądząc po wyglądzie i sposobie mówienia, byli to górale. Wiatr szarpał ich brody i włosy, i kraciaste szerokie szarfy. Na tle trawiastego, częściowo zaśnieżonego stoku wyglądali jak czarne chmury pędzone

wichrem.

Szybko schowałam się w głębi kościoła, zanim pierwszy z żołnierzy wpadł do środka.

Nie widziałam twarzy, ale poznałam go po głosie.

– Jezu! – wrzasnął, gdy niechcący wpadł na mojego konia.

– Willie! – krzyknęłam. – Willie Coulter!

– Na Boga! Kto mnie woła?

Nie miałam czasu odpowiedzieć. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i uderzyły o ścianę.

Dwie kolejne czarne postacie wtargnęły do małego kościółka. Przestraszony hałasem koń stanął dęba. Rżał i wierzgał kopytami w powietrzu. Rozległy się pełne niepokoju okrzyki intruzów. Najwyraźniej sądzili, że budynek stoi pusty, potem okazało się, że jest inaczej.

Zrezygnowałam z pomysłu uspokojenia wierzchowca, bo wejście następnych mężczyzn zwiększyło panujące wokół zamieszanie. Wcisnęłam się w małą przestrzeń pomiędzy ołtarzem a ścianą i czekałam, aż zapanuje spokój.

Nagle w ciemnościach odezwał się podniesiony głos.

– Bądźcie cicho! – wykrzyknął ktoś tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Posłuchali wszyscy z wyjątkiem konia. Jednak gdy hałas ucichł, zwierzę też się uspokoiło i cofnęło w róg budynku. Wierzchowiec już tylko cicho rżał i gderliwie parskął z obrzydzenia.

– Jestem MacKenzie z Leoch – odezwał się znowu stanowczy głos. – Kto jeszcze tu jest?

– Geordie z bratem i Dougal – odpowiedział z ulgą mężczyzna stojący w pobliżu mnie. – Zabraliśmy ze sobą rannego Ruperta. Boże, myślałem, że zastaliśmy tu samego diabła!

– Gordon McLeod z Ardsmuir – przedstawił się nieznanym mi Szkot.

– Ewan Cameron z Kinnoch – odezwał się kolejny. – Czyj to koń? – spytał.

– Mój – powiedziałam ostrożnie. Wysunęłam się zza ołtarza. Znowu podniosła się wrzawa, ale Dougal stłumił zgiełk krzykiem.

– Cicho, do cholery! Czy to ty, Claire Fraser?

– Z pewnością nie królowa – odparłam złośliwie. – Willie Coulter też tu jest, a przynajmniej był minutę temu. Czy ktoś ma krzesiwo?

– Nie zapalajcie światła! – rozkazał Dougal. – Mała szansa, że Anglicy nie zauważą tego miejsca, jeśli za nami poszli. Ale nie musimy od razu zwracać ich uwagi, jeśli nas nie gonią.

– Dobrze – zgodziłam się niemrawo. – Rupert, możesz mówić? Powiedz coś, żebym mogła cię odnaleźć.

Nie wiedziałam, czy zdołam mu pomóc, w ciemnościach nie sposób było nawet dostać się do apteczki. Nie chciałam jednak, by wykrwawił się na śmierć.

Z boku, przy przeciwległej ścianie kościoła ktoś zaniósł się paskudnym kaszlem i wycedził zachrypniętym głosem:

– Tutaj, dziewczyno.

Znów zakasłał.

Po omacku sunęłam na drugą stronę pomieszczenia,

przeklinając pod nosem.

Wystarczyło posłuchać bulgotania towarzyszącego atakom kaszlu, by się zorientować, że stan rannego jest tak ciężki, iż moja apteczka na nic się nie zda. Ostatnie kilka metrów przeszłam na czworakach i w kucki z rozpostartymi ramionami, żeby na nikogo nie wpaść.

Gdy dotknęłam ciepłego rozciągniętego na ziemi ciała, wielka dłoń uwięziła moją rękę w uścisku. To z pewnością był Rupert. W chrapliwym oddechu pobrzmiwało ciche bulgotanie.

– Jestem tutaj. – Dotknęłam Ruperta czule, żeby dodać mu otuchy. Mężczyzna wydał z siebie zduszony chichot, wyprężył biodra i mocno przycisnął moją rękę do swego ciała.

– Zrób tak raz jeszcze, dziewczyno, a zapomnę o kuli z muszkietu – wycharczał.

Cofnęłam rękę.

– Może później – powiedziałam oschle.

Delikatnie przesuwalam dłoń w górę w poszukiwaniu głowy. Gdy trafiłam na grubą szczecinę brody, wiedziałam, że jestem u celu. Ostrożnie pomacałam w gęstwinie włosów.

W końcu wyczułam puls na szyi, szybki i słaby, ale wciąż dość regularny. Czoło lepiło się od potu. Skóra była wilgotna i zimna. Dotknęłam czubka nosa – był niemal lodowaty od mroźnego powietrza na dworze.

– Szkoda, że nie jestem psem – stwierdził Rupert, z trudem łapiąc powietrze i śmiejąc się cicho. – Zimny nos... to dobry znak.

– Przestań gadać – ofuknęłam pacjenta. – Gdzie

trafiła cię kula? Nie, nic nie mów.

Weź moją rękę i połóż na ranie... a jeśli położysz ją gdziekolwiek indziej, Rupercie MacKenzie, zostawię cię tutaj, żebyś zdechł jak pies.

Szeroka klatka piersiowa zadrżała od tłumionego śmiechu. Wsunął moją rękę pod kraciatą szarfę.

– Dobrze. Mam – szepnęłam.

Wyczułam małe rozdarcie koszuli, którego brzegi nasiąknęły krwią. Rozerwałam materiał. Delikatnie przeciągnęłam palcami po boku Ruperta. Skóra zadrgała i pokryła się gęsią skórką. Otwór wejściowy rany w ciele krzepkiego mężczyzny wydawał się niewiarygodnie mały.

– Czy kula przeszła na wylot? – spytałam szeptem.

W kościele panowała cisza, tylko koń kręcił się niespokojnie w swoim kącie. Przez zamknięte drzwi wciąż dochodziły niewyraźne odgłosy bitwy. Trudno było jednak stwierdzić, w jakiej odległości toczy się walka.

– Nie – wysapał i znowu zakaszał.

Poczułam, że sięga ręką do ust, więc podsunęłam mu skrawek kraciatej szarfy. Moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, ale wciąż widziałam tylko czarny kształt skulony przede mną na podłodze. Jednak niekiedy dotyk wystarczy. Krwawienie z rany było niewielkie, ale nagle poczułam wilgotne ciepło na ręce, którą przytrzymywałam Rupertowi przy ustach skrawek materiału.

Kula przeszła przynajmniej przez jedno płuco. Klatka piersiowa wypełniała się krwią.

W tym stanie mężczyzna mógł przeżyć zaledwie kilka godzin, najwyżej dzień, jeśli choć jedno płuco wciąż funkcjonowało. W przypadku, gdy osierdzie jest

uszkodzone, Rupert umrze szybciej, pomyślałam. Jedyнным ratunkiem było przeprowadzenie operacji, a tego nie potrafiłam zrobić.

Wiedziałam, że ktoś podszedł do mnie po omacku. Poczulałam ciepło i usłyszałam oddech. Gdy sięgnęłam do tyłu, wielka dłoń schwyciła mnie za rękę. Dougal MacKenzie, oceniłam.

Przykucnął obok mnie i położył rękę na leżącym na wznak Rupercie.

– Jak się czujesz? – spytał miękko. – Czy będziesz mógł chodzić?

Ranny potrząsnął głową. Mężczyźni zgromadzeni w kościele zaczęli rozmawiać szeptem.

Ręką Dougala spoczęła na moim ramieniu.

– Czego potrzebujesz, żeby mu pomóc? Apteczki? Czy jest przy koniu?

Wstał, zanim zdążyłam powiedzieć, że nie dysponuję niczym, co uratowałoby Ruperta.

Nagły trzask od strony ołtarza wywołał poruszenie wśród mężczyzn. Sięgali po odłożoną na bok broń. Jeszcze jeden trzask, odgłos darcia i rozwarł się pęcherz w oknie.

Do środka wpadł strumień zimnego, czystego powietrza z wirującymi płatkami śniegu.

– Anielko! Claire! Jesteś tam?

Zerwałam się na równe nogi.

– Jamie!

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Rozległ się szcęk rzucanych na ziemię pałaszy i tarcz.

Głowa i ramiona Jamiego przysłoniły na chwilę wpadające z zewnątrz słabe światło.

Potężna sylwetka Szkota była bardzo dobrze widoczna na tle otwartego okna. Jamie lekko zeskoczył z ołtarza.

– Kto tu jest? – spytał cicho. – Dougal, to ty?

– Tak, ja, chłopcze. Jest też twoja żona i jeszcze kilku chłopaków. Widziałeś gdzieś w pobliżu tych cholernych Anglików?

Jamie krótko się zaśmiał.

– A po co włożyłbym tu przez okno? Chyba ze dwudziestu mężczyzn penetruje okolice u stóp wzgórza.

– To na pewno te sukinsyny, które odcięły nas od głównej kolumny wojska – mruknął z niezadowoleniem Dougal.

– Z pewnością. *Ho, mo cridh! Ciamar a tha thu!*

Koń rozpoznał znajome dźwięki w panującym wokół zamęcie. Uniósł łeb i głośno, radośnie zarżał na powitanie.

– Cicho, głupcze! Anglicy nas usłyszą! – skarcił zwierzaka Dougal.

– Anglicy raczej go nie powieszą – zauważył Jamie.

– Uszy nie są potrzebne, by stwierdzić, że tu jesteście. Wystarczy dobrze się rozejrzeć. Na błotnistym zboczu wyraźnie widać ślady waszych stóp.

– Mhm – mruknął Dougal. Rzucił okiem w kierunku okna, ale Jamie potrząsnął głową.

– Nic z tego. Główne siły wojska są na południu. Lord George Murray ruszył im naprzeciw, ale od tej strony zostało jeszcze paru Anglików z oddziału, który spotkaliśmy.

Gonili mnie po wzgórzu. Czmychnąłem w bok i w

trawie podczołgałem się do kościoła.

Chyba wciąż przeczesują wzgórze.

Wziął mnie za rękę. Dłoń miał zimną i wilgotną, ale cieszyłam się, że mogę go chociaż dotknąć, być blisko niego.

– Wczołgałeś się do środka, tak? A jak zamierzałeś się stąd wydostać? – spytał Dougal.

Jamie wzruszył ramionami. Spojrzał na mojego wierzchowca.

– Pomyślałem, że zniemacka wpadnę pomiędzy nich na koniu. Nie wiedzą, że tu jest.

Może Claire udałoby się uciec w zamieszaniu.

Dougal parsknął.

– Jasne, zdjęliby cię z konia jak dojrzałe jabłko z drzewa.

– To bez znaczenia – odparł sucho Jamie. – Jakoś nie widzę, żebyście cichaczem stąd zmykali przez nikogo nie zauważeni, choć wywołałem tyle zamieszania.

Rupert głośno jęknął. Dougal i ja natychmiast przy nim uklękliśmy. Po chwili dołączył do nas Jamie.

Ranny jeszcze żył, ale było z nim bardzo źle. Miał zimne ręce, oddychał z charkotem i świstem.

– Dougal – wyszeptał.

– Jestem tu, Rupercie. Nie ruszaj się, wkrótce wyzdrowiejesz.

Wódz klanu MacKenziech szybko zwinął swoją szeroką kraciatą szarfę i podłożył ją kompanowi pod głowę. Zdawało się, że teraz Rupert zaczął oddychać trochę lżej, ale pod brodą na koszuli pojawiały się mokre plamy krwi. Zostało mu jeszcze trochę siły.

Schwycił Dougala za ramię.

– Jeśli... i tak nas znajdu... poświęć – wysapał, z trudem łapiąc oddech. – Chcę cię jeszcze raz zobaczyć, Dougal.

Dougalem wyraźnie wstrząsnęły słowa przyjaciela. Gwałtownie odwrócił głowę do mnie, ale oczywiście nie mógł zobaczyć mojej twarzy. Półgłosem rzucił rozkaz przez ramię. Rozległy się szurania i pomrukiwania. Wreszcie ktoś odciął ze strzechy wiecheć słomy, zwinął go w prowizoryczną pochodnię i zapalił iskrą z krzesiwa. Choć szybko się spaliła, w jej świetle udało mi się zbadać Ruperta. W tym czasie mężczyźni zrobili żagiew ze szczapy drewna odłupanej z żerdzi podpierającej dach.

Rupert, blady jak ściana, miał włosy zlepione potem, na dolnej wardze niewielką plamkę krwi. Ciemne kropki widziały także na czarnej gładkiej brodzie. Mimo to uśmiechał się lekko, gdy się nad nim pochylałam, by znowu sprawdzić puls. Tętno było już słabsze, bardzo szybkie i nieregularne. Gdy odgarnęłam Rupertowi włosy z czoła, dotknął mojej ręki w podzięcie.

Dougal ujął mnie za łokieć. Usiadłam na piętach i odwróciłam się do wodza klanu.

Kiedys staliśmy tak twarzą w twarz nad ciałem mężczyzny śmiertelnie poranionego przez dzika. Wówczas Dougal zapytał mnie: „Przeżyje?”. Teraz na jego twarzy odmalowało się wspomnienie tamtego dnia. W oczach widniało to samo pytanie, ale tym razem zabarwione strachem. Rupert był przecież jego najbliższym przyjacielem, krewnym, który zawsze przy nim jechał konno i walczył po jego prawicy tak, jak Ian obok Jamiego.

Nie musiałam odpowiadać, wyręczył mnie Rupert.

– Dougal – szepnął i uśmiechnął się, gdy przyjaciel z niepokojem się nad nim pochylił. Na chwilę zamknął oczy. Przygotowując się do decydującej chwili, wziął tak głęboki oddech, jak tylko mógł. – Dougal – powtórzył i otworzył oczy. – Masz po mnie nie płakać, chłopie.

W świetle pochodni było widać, jak twarz Dougala wykrzywia się w grymasie cierpienia. Na usta cisnęły mu się słowa sprzeciwu. Mocno zagryzł wargi, żeby powstrzymać od ich wypowiedzenia.

– Jestem twoim wodzem – powiedział z drżącym, słabym uśmiechem. – Więc mi nie rozkazuj. Będę cię oplakiwał, jak zechcę.

Ujął leżącą na piersi rękę Ruperta i mocno uściśnął.

Rupert słabo zachichotał. Zacharczał i zaniósł się kaszlem.

– W porządku, Dougal – wymamrotał, kiedy minął napad kaszlu. – Ale nie możesz nade mną boleć, dopóki nie umrę. Chcę zginąć z twojej ręki, *mo caraidh*, nie z rąk obcego.

Dougal drgnął. Jamie i ja spojrzeliśmy na siebie z przerażeniem.

– Rupert... – zaczął bezradnie Dougal.

– Jesteś moim wodzem, chłopie. To twój obowiązek – przerwał mu Rupert. – Posłuchaj. Zrób to teraz. Umieranie boli. Wolałbym mieć to już za sobą.

Niespokojne spojrzenie śmiertelnie rannego mężczyzny spoczęło na mnie.

– Potrzywasz mnie za rękę, gdy będę odchodził, dziewczyno? – spytał. – Bardzo cię proszę.

Nie pozostało już nic więcej do zrobienia. Przynęłam się do Ruperta powoli jak we śnie. Ujęłam w dłoń szeroką, pokrytą czarnym włosiem rękę. Ścisnęłam ją tak mocno, jakbym chciała własnym ciepłem ogrzać stygnące ciało.

Rupert chrząknął i dźwignął się trochę. Spojrzał na Jamiego.

– Powinna wyjść za mąż za mnie, chłopcze – wysapał. – Chuchro z ciebie, ale wiem, że się starasz. – Puścił do Jamiego oko. – Daj jej syna ode mnie, dobrze?

Czarne oczy Ruperta znowu spoczęły na mnie. Ostatni szeroki uśmiech rozjaśnił twarz mężczyzny.

– Żegnaj, śliczna dziewczyno – powiedział miękko.

Dougal ugodził go sztyletem pod mostkiem, mocno i prosto. Konwulsje wstrząsnęły masywnym ciałem. Z ust wyleciało powietrze i chlusnęła krew. Dougal wydał odgłos śmiertelnej uderki.

Wódz MacKenziech stał przez chwilę bez ruchu, z zamkniętymi oczami i ścisnął rękojeść sztyletu. Jamie wstał, objął wuja i zaczął coś mruzczyć do niego po celtycku.

Potem spojrzał na mnie pytająco. Skinęłam głową i wyciągnęłam ramiona. Jamie delikatnie odwrócił Dougala w moim kierunku. Przykucnęłam w objęciach z płaczącym mężczyzną.

Na twarzy Jamiego widać było ślady łez. Słyszałam westchnienia i stłumione szlochy innych mężczyzn. Lepiej, że płaczą nad Rupertem niż nad sobą, pomyślałam. Jeśli znaleźliby nas Anglicy, wszyscy zostalibyśmy powieszeni za zdradę. Rupert był już bezpieczny, wysłany w ostatnią

podróż przez przyjaciela.

Nie przyszli po nas tej długiej zimowej nocy. Siedzieliśmy jedno przy drugim pod ścianą kościoła, otuleni szarfami i płaszczami. Od czasu do czasu zapadałam w drzemkę oparta na ramieniu Jamiego. Obok mnie siedział zgarbiony milczący Dougal. Tej nocy chyba nikt nie spał. Mężczyźni czuwali przy ciele Ruperta. Leżało przykryte kraciastym materiałem w głębi kościoła, jakby po przeciwnej stronie przepaści, która oddziela martwych od żywych.

Rozmawialiśmy niewiele, ale wiedziałam, o czym myślą. Zastanawiali się, czy angielskie wojska przegrupowały się w położonym poniżej Callendar House i odeszły z głównymi siłami, czy też wciąż pełniły straż, by nikt ze zgromadzonych w kościółku nie zdołał zbiec pod osłoną ciemności.

Rozstrzygnięcie nastąpiło o brzasku.

– Hej, wy tam, w kościele! Wyjdźcie i poddajcie się!

Ktoś stojący u podnóża stoku nawoływał nas głosem z silnym angielskim akcentem.

W kościółku nastąpiło poruszenie. Drzemiący w kącie koń przerażony hałasem zaczął podrzucać łbem i parskać. Jamie i Dougal spojrzeli na siebie, podnieśli się z podłogi i stanęli ramię przy ramieniu przed zamkniętymi drzwiami tak, jakby to przedtem razem zaplanowali. Jamie dał mi znak zdecydowanym ruchem głowy, żebym schowała się za ołtarzem.

W milczeniu wysłuchaliśmy kolejnego wezwania z zewnątrz. Jamie swobodnie, bez pośpiechu wyciągnął zza

pasa pistolet. Sprawdził, czy broń jest naładowana. Ukłękł na jedno kolano i wymierzył w stronę drzwi na wysokości ludzkiej głowy.

Geordie i Willie pilnowali okna z przygotowanymi pałaszami i pistoletami. Ataku spodziewano się jednak z przodu, bo tylna ściana kościoła przylegała do stromej skarpy i zaledwie jeden człowiek z trudnością mógł się tam przecisnąć.

Usłyszałam chlupotanie błota i słaby szcęk broni w takt zbliżających się do drzwi kroków. W pewnej odległości dźwięki ucichły i znowu dobiegł nas głos, tym razem wyraźniej – szyi głośniejszy.

– W imieniu Jego Królewskiej Mości króla Jerzego wzywam was, wyjdźcie i poddajcie się! Wiemy, że tam jesteście!

Jamie wypalił z broni. Wewnątrz kościółka huk był ogłuszający. Wystrzał wywarł odpowiednie wrażenie także na zgromadzonych na zewnątrz żołnierzach. Usłyszałam stłumione przekleństwa i odgłosy pośpiesznej ucieczki po śliskim błocie. W drzwiach pozostał mały otwór od kuli. Dougal podszedł i wyjrzał przez dziurkę na zewnątrz.

– Cholera – zaklął pod nosem. – Jest ich dużo.

Jamie zerknął na mnie, potem zacisnął usta i zajął się ładowaniem pistoletu. Szkoci oczywiście nie zamierzali się poddać. Oczywiście było jednak i to, że Anglicy nie mają ochoty brać kościoła szturmem. Drzwi obstawiali przecież uzbrojeni mężczyźni. Chyba nie chcą zmusić nas do wyjścia, morząc głodem?, myślałam w panice. Z pewnością górale wrócą na pobojobisko, by poszukać rannych w bitwie z poprzedniej nocy. Jeśli przybędą, zanim Anglicy

przyprowadzą armatę pod kościół, będziemy uratowani.

Niestety ktoś na zewnątrz ruszył głową. Znowu usłyszeliśmy kroki, potem słowa wypowiedziane po angielsku rozkazującym tonem.

– Macie minutę, by wyjść i poddać się. Inaczej podpalimy strzechę.

Spojrzałam w górę przerażona. Ściany kościoła były z kamienia, ale dach pokrywała słomiana strzecha. Nawet nasiąknięta wilgocią, szybko zapłonie, pomyślałam. A jak już się dobrze rozpali, pochłona nas płomień. Przypomniałam sobie prowizoryczną pochodnię zrobioną poprzedniej nocy. Zwęglone resztki leżały na posadzce obok spowitego w całun ciała Ruperta.

– Nie! – wrzasnęłam. – Cholerne sukinsyny! To kościół! Sanktuarium!

– Kto mówi? – dobiegł ostry krzyk z zewnątrz. – Czy w środku jest Angielka?

– Tak! – krzyknął Dougal i podskoczył do drzwi. Uchylił je gwałtownie i ryknął do angielskich żołnierzy: – Trzymamy w niewoli angielską lady! Jeśli podpalicie strzechę, umrze wraz z nami!

U stóp wzgórza rozległa się wrzawa, a w kościele poruszenie wśród mężczyzn. Jamie przypadł do Dougala skrzywiony.

– Zwariowałaś?!

– To jedyna szansa! – syknął wuj. – Niech ją zabiorą w zamian za naszą wolność. Nie zrobią jej krzywdy, jeśli będą sądzić, że jest naszą zakładniczką. Potem odzyskamy dziewczynę.

Wysłałam z ukrycia i schwyciłam Jamiego za rękaw.

– Zrób tak! – powiedziałam nagłąco. – Dougal ma rację.

Spojrzał na mnie bezradnie. Na jego twarzy malował się wyraz wściekłości i strachu z odrobiną rozbawienia oczywistą ironią tej sytuacji.

– W końcu jestem Angielką – dodałam szybko.

Przez chwilę dotykał mojej twarzy i uśmiechnął się smutno.

– Tak, *mo duinne*. Ale moją Angielką.

Odwrócił się do Dougala. Wziął głęboki oddech i skinął głową.

– Dobrze. Powiedz, że ją pojaliśmy... – Zastanawiał się przez chwilę, przeczesując ręką włosy. – Na drodze do Falkirk wczoraj wieczorem.

Dougal bezwładnie wyslizgnął się z kościoła. Wysoko nad głową trzymał białą chusteczkę na znak zawieszenia broni.

Jamie zmarszczył brwi. Co chwilę spoglądał na drzwi, przez które było słyhać niewyraźne głosy Anglików. Nie potrafiliśmy rozróżnić słów.

– Nie wiem, co powinnaś im powiedzieć, Claire. Udawaj, że jesteś w szoku i nie możesz wydusić z siebie ani słowa. To lepsze, niż opowiadać jakąś zmyśloną historyjkę.

Jeśli się domyśla prawdy...– Nagle urwał i zaczął pocierać ręką twarz.

Wtedy odtransportują mnie do twierdzy Tower w Londynie, a potem najprawdopodobniej szybko stracą, dokończyłam w myślach. W popularnych jednostronicowych pisemkach wiele rozprawiano o

„Czarownicy Stuartów”, ale prawdopodobnie nikt nie wiedział ani nie podał do publicznej wiadomości, że wiedźma była Angielką.

– Nie martw się – powiedziałam trochę bez sensu. Chciałam po prostu przerwać dręczącą ciszę. Położyłam rękę na dłoni Jamiego. Poczułam szybkie pulsowanie w jego nadgarstku. – Odzyskasz mnie, zanim zdadzą sobie sprawę z czegokolwiek. Jak sądzisz, czy zabiorą mnie do Callender House?

Skinął głową, znowu opanowany.

– Tak sądzę. Postaraj się zostać sama i stań przy oknie tuż po zmroku. Wtedy po ciebie przyjdę.

Nie było czasu na nic więcej. Dougal wślizgnął się z powrotem do kościoła i dokładnie zamknął za sobą drzwi.

– Zrobione – oznajmił. Spoglądał to na mnie, to na Jamiego. – Jeśli oddamy kobietę, pozwolą nam odejść w spokoju. Zatrzymamy konia. Będzie nam potrzebny na przewiezienie Ruperta – zwrócił się do mnie przeproszającym tonem.

– W porządku – zgodziłam się bez wahania.

Popatrzyłam na drzwi, na ciemny otwór po kuli, taki sam jak w ciele Ruperta. Miałam sucho w ustach. Z trudnością przetykałam ślinę. Przez chwilę staliśmy przed drzwiami.

Żadne z nas nie chciało uczynić ostatecznego kroku.

– To ja już p-pójdę – wymamrotałam. Z trudem panowałam nad drżeniem głosu i nóg. – Będą się zastanawiać, co nas zatrzymało.

Jamie zamknął oczy, skinął głową, potem do mnie podszedł.

– Lepiej, żebyś udawała omdlenie, Angielko – stwierdził po chwili namysłu.

Wziął mnie na rękę i wyniósł przez drzwi, które przytrzymał Dougal.

Czułam, jak Jamiemu mocno bije serce i drżą ramiona. Po panującym w kościele zaduchu, przesyconym smrodem potu, krwi, prochu i nawozu końskiego, zimne świeże powietrze wczesnego poranka zaparło mi dech w piersiach. Dygocząc, przytuliłam się do Jamiego. Jego ręce zacisnęły się mocniej pod moimi kolanami i ramionami. Silny uścisk był jak obietnica, że Jamie nigdy mnie nie opuści.

– Boże – westchnął, gdy dotarliśmy na miejsce.

Usłyszałam zadane ostrym tonem pytania, wymamrotane odpowiedzi. Jamie niechętnie rozluźnił uścisk i położył mnie na ziemi. A potem było już tylko słychać szuranie oddalających się kroków. Zostałam sama wśród obcych.

44

ZŁY OBRÓT SPRAW

Przykucnęłam bliżej ognia, by ogrzać ręce. Ubrudziły się od wodzy, które trzymałam, jadąc konno przez cały dzień. Przez chwilę się zastanawiałam, czy warto zadać sobie trud i pójść do strumienia, by je umyć. Utrzymywanie higieny przy braku jakichkolwiek urządzeń wodno-kanalizacyjnych nastęrczało wiele kłopotów. Nic dziwnego, do cholery, pomyślałam cierpko, że ludzie często chorują i umierają.

Na myśl o śmierci z brudu podniosłam się i poszłam

do strumienia, choć byłam bardzo zmęczona. Buty głęboko zapadały się w błotnisty, porośnięty roślinnością brzeg niewielkiego potoczku obok obozowiska. Po chwili miałam czyste ręce, ale mokre nogi.

Powlokłam się z powrotem do ognia. Okazało się, że czeka tam na mnie kapral Rowbotham z miską czegoś, co nazywał gulaszem.

– Z wyrazami szacunku od kapitana, proszę pani – zwrócił się do mnie, zaczesując opadające na czoło włosy. – Prosił, żebym przekazał pani, że jutro dotrzemy do Tavistock. Tam jest gospoda.

Kapral był człowiekiem w średnim wieku. Na jego okrągłej, pospolitej twarzy malował się niepokój. Rowbotham zawahał się, a potem dodał:

– Kapitan przeprasza za brak wygod. Ustawiliśmy dla pani namiot na noc. To niewiele, ale może chociaż trochę ochroni od deszczu.

– Proszę podziękować ode mnie kapitanowi – powiedziała tak uprzejmym tonem, na jaki mogłam się zdobyć. – I panu też dziękuje – dodałam ciepłej.

Doskonale zdawałam sobie sprawę, że dla kapitana Mainwaringa stanowiłam zbędny balast. W ogóle nie zawracałby sobie głowy przygotowywaniem dla mnie schronienia na noc. O namiocie – kawałku płótna wspartym na gałęzi i przymocowanym z obu stron palikami do ziemi – niewątpliwie pomyślał wyłącznie Rowbotham.

Kapral odszedł. Zostałam sama. Powoli żułam przypalone ziemniaki i żylastą wołowinę. W pobliżu strumienia znalazłam kilka krzaczków gorczycy ze zwędniętymi i zbrązowiałymi na brzegach liśćmi.

Zerwałam garść i włożyłam do kieszeni, gdzie schowałam zebrane wcześniej jagody jałowca. Liście gorczycy były stare i bardzo gorzkie, ale udało mi się przełknąć z kęsami ziemniaków. Na zakończenie posiłku wyssałam sok z jagód jałowca. Uważałam przy tym, żeby nie połknąć twardego owocu razem z pestką.

Oczy zaszyły mi łzami od oleistego smaku i ostrej woni owoców. Ale przynajmniej nie czułam smaku tłuszczu i spalenizny, jaki został mi po gulaszu. Może sok z jagód jałowca i liście gorczycy zdołają uchronić mnie od skorbutu, pomyślałam z nadzieją.

W większej z dwóch skrzynek z lekarstwami przechowywałam sporo suszonych główek czosnku, owoców dzikiej róży, jabłek i nasion kopru. Nasiona i owoce uzupełniały niedobory żywieniowe w czasie długich zimowych miesięcy. Miałam nadzieję, że Jamie zjada zapasy.

Położyłam głowę na kolanach. Nie sądziłam, żeby ktoś mnie obserwował, ale nie chciałam, by widać było moją twarz, gdy myślałam o Jamie.

Na wzgórzu Falkirk udawałam zemdloną tak długo, jak mogłam. Nie upłynęło jednak wiele czasu, a zostałam ocucona przez angielskiego dragona. Usiłował napić mnie brandy z piersiówki. Moi „wybawcy” nie bardzo wiedzieli, co ze mną zrobić. Zabrali mnie więc do Callendar House i przekazali podkomendnym generała Hawleya.

Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Jednak w ciągu godziny sprawy poważnie się skomplikowały. Siedziałam w poczekalni i przysłuchiwałam się prowadzonym wokół mnie rozmowom. Wkrótce się

dowiedziałam, że to, co uważałam za decydującą, stoczoną w nocy bitwę, w rzeczywistości było tylko małą potyczką pomiędzy klanem MacKenziech a oddziałem angielskich wojsk dążących do połączenia się z głównymi siłami armii.

Anglicy dopiero szykowali się do odparcia ataku Szkotów na wzgórzu Falkirk. A więc nie doszło jeszcze do ostatecznej bitwy, pomyślałam z rezygnacją.

Generał Hawley osobiście nadzorował proces przegrupowania wojsk. Nikt nie miał pojęcia, co ze mną zrobić. Powierzono mi więc pieczy młodego szeregowca. Wręczono mu list, w którym opisano okoliczności mojego uratowania, i wyekspediowano nas do tymczasowej kwatery głównej pułkownika Campbella w Kerse. Szeregowiec, krępy osobnik o nazwisku Dobbs, denerwująco gorliwie wypełniał powierzone zadanie.

Pomimo wielu prób nie udało mi się uciec.

Gdy dotarliśmy do Kerse, okazało się, że pułkownika Campbella nie ma, ponieważ został wezwany do Livingston.

– Posłuchaj – zwróciłam się do szeregowca Dobbsa. – Pułkownik Campbell na pewno nie będzie miał ani czasu, ani ochoty ze mną rozmawiać. Poza tym co ja mu powiem.

Może po prostu znajdę kwaterę tutaj w mieście, dopóki nie zorganizuję sobie dalszej podróży do Edynburga?

Z braku lepszego pomysłu przedstawiłam Anglikom tę samą historyjkę, którą podałam Columowi MacKenziemiu dwa lata wcześniej: że jestem wdową z Oksfordu i że zamierzałam odwiedzić krewnego w Szkocji, ale zostałam napadnięta i uprowadzona przez zbójów z gór.

Szeregowiec Dobbs kręcił z uporem głową, mocno się czerwieniąc. Miał nie więcej niż dwadzieścia lat i nie był zbyt bystry, ale rozkazy wykonywał nad wyraz sumiennie.

– Nie mogę na to pozwolić, pani Beauchamp – powiedział (nazwisko panięskie służyło mi za pseudonim).
– Jeśli nie odstawię pani bezpiecznie do pułkownika, kapitan Bledsoe mnie zabije.

Udaliśmy się więc do Livingston. Jechaliśmy na najnudniejszych szkapach, jakie kiedykolwiek widziałam. Na miejscu zastałam uwolniona od uciążliwej eskorty, ale moja sytuacja nie uległa poprawie. Znalazłam się w pokoju na górnej kondygnacji pewnego domu w Livingston i ponownie opowiedziałam zmyśloną przez siebie historyjkę niejakiemu Gordonowi MacLeishowi Campbellowi, Szkotowi z gór, pułkownikowi dowodzącemu regimentem elektora.

– Tak, rozumiem – powiedział tonem, który sugerował, że w rzeczywistości pułkownik nic nie rozumie.

Był drobnym, łysiejącym człowieczkiem o lisiej twarzy, z rudymi włosami zaczesanymi do tyłu na skroniach. Jeszcze bardziej zmrużył oczy, gdy patrzył na pomięty list... który leżał na bibularzu.

– Tutaj jest napisane... – założył binokle, by dokładniej przyjrzeć się arkuszowi papieru – że jednym z pani porywaczy był członek klanu Fraserów, postawny mężczyzna z rudymi włosami.

– Zgadza się – potwierdziłam. Zastanawiałam się do czego zmierza.

Pochylił głowę i wpatrywał się we mnie

przeszywającym wzrokiem ponad krawędziami szkieł binokli, które zsunęły mu się na brzeg nosa.

– Ludzie, którzy uratowali panią w pobliżu Falkirk, odnieśli wrażenie, że jednym z porywaczy był nie kto inny tylko głośny wódz z gór zwany Czerwonym Jamiem.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, pani Beauchamp, że doznała pani szoku... – rozciągnął wargi, ukazując zęby, choć wcale się nie uśmiechał – i prawdopodobnie w takim stanie nie mogła dokonać bliższych obserwacji. Ale czy w jakimś momencie zauważyła pani, żeby inni mężczyźni zwracali się do niego tym imieniem?

– Tak. Nazywali go: Jamie.

Wydawało mi się, że tym potwierdzeniem nie wyrządę żadnej szkody.

W powszechnie rozprowadzanych ulotkach wyraźnie podawano, że Jamie był stronnikiem Stuartów. Informacja, że uczestniczył w bitwie pod Falkirk niewątpliwie zainteresuje Anglików, ale na pewno już bardziej go nie obciążą, pomyślałam.

I tak nie mogą mnie powiesić więcej niż jeden raz, powiedział kiedyś. Spojrzałam w okno. Zmrok zapadł pół godziny temu. Żołnierze chodzili z lampami tam i z powrotem i oświetlali ulicę. Jamie jest pewnie w pobliżu Callendar House i wypatruje mnie w oknach, stwierdziłam w myślach.

Nagle nabrałam absurdalnej pewności, że w jakiś sposób się dowiedział, dokąd mnie zabierają, i czeka teraz na ulicy, więc powinnam stanąć w oknie.

Raptownie wstałam z krzesła i podeszłam do okna. Na zewnątrz nie zauważyłam nikogo z wyjątkiem

sprzedawcy marynowanych śledzi. Siedział na stołku z lampą u stóp i czekał na ewentualnych klientów. To oczywiście nie był Jamie. W żaden sposób nie mógł mnie znaleźć. Nikt w obozie Stuartów nie wiedział, gdzie jestem. Zostałam całkiem sama. W nagłym przypiływie paniki mocno oparłam się rękami o szybę.

– Pani Beauchamp! Czy pani się dobrze czuje?

Z tyłu rozległ się ostry, zaniepokojony głos pułkownika.

Zacisnęłam wargi, by powstrzymać ich drzenie, i wzięłam kilka głębokich wdechów.

Widoczna w dole ulica znikła za zasłoną osiadającej na szybie mgielki. Z pozoru spokojna odwróciłam się twarzą do pułkownika.

– Tak, nic mi nie jest – odparłam. – Jeśli nie ma pan do mnie więcej pytań, chciałabym już pójść.

– Ach tak? – Spojrzał na mnie z powątpiewaniem, potem zdecydowanie potrząsnął głową. – Zostanie tu pani na noc – oświadczył. – Rano wyślę panią na południe.

Poczułam, jak pod wpływem nagłego szoku skręcają mi się wnętrzności.

– Na południe! Po co, do diabła? – palnęłam.

Zdumiony uniósł brwi podobne do sierści lisa i szeroko otworzył usta. Potem gwałtownie je zamknął i lekko wzruszył ramionami.

– Otrzymałem rozkazy, by przekazać wszelkie informacje o zbrodniarzu z gór zwanym Czerwonym Jamiem Fraserem – wycedził przez wółprzymknięte usta.

– Bądź o jakiegokolwiek związanej z nim osobie.

– Nie jestem z nim związana! – skomentowałam

ostro. Oczywiście poza węzłem małżeńskim, dodałam w duchu.

Pułkownik Campbell pozostał głuchy na moje słowa. Odwrócił się do biurka i poszperał w stercie rozkazów.

– Tak – mruknął. – Kapitan Mainwaring będzie panią eskortował. Przyjdzie o świcie.

Gdy zadzwonił małym srebrnym dzwoneczkiem w kształcie chochlika, w otwartych drzwiach ukazał się ordynans z pytającym wyrazem twarzy.

– Garvie, odprowadź panią do jej kwatery. I zamknij za nią drzwi na klucz.

Odwrócił się do mnie i skłonił niedbale.

– Myślę, że już się nie zobaczymy, pani Beauchamp. Życzę przyjemnego odpoczynku i niech Bóg panią prowadzi.

I to wszystko.

Nie wiedziałam, jak szybko Bóg prowadzi, ale z pewnością prędzej, niż przemieszczał się oddział Mainwaringa. Kapitan dowodził taborem wozów dostawczych. Po odstawieniu transportu do Lanark miał się udać z resztą oddziału na południe i po drodze dostarczyć mniej istotne przesyłki. Najwyraźniej zaliczono mnie do tej właśnie kategorii – dysponowałam niezbyt pilnymi informacjami, przydatnymi wywiadowi wojskowemu. Wędrowaliśmy już ponad tydzień, a nie było ani śladu miejsca, w którym powinnam zostać.

„Południe”, czy to oznacza Londyn?, zastanawiałam się po raz setny. Kapitan Mainwaring nie zdradził, jaki jest ostateczny cel mojej podróży, ale nie przychodziła mi do

głowy żadna inna możliwość.

Uniosłam głowę. Jeden z dragonów siedział po przeciwnej stronie ogniska i gapił się na mnie uporczywie. Twardo popatrzyłam mu prosto w oczy. Zaczerwienił się i spuścił wzrok. Przywykłam do podobnych, choć może nie tak śmiałych spojrzeń.

Tak było od początku. Nawet młody idiota, który eskortował mnie do Livingston, odnosił się do mnie z pewną rezerwą nacechowaną zażenowaniem. Dopiero po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że to nie podejrzliwość stanowiła przyczyną chłodnego dystansu, z jakim traktowali mnie angielscy oficerowie. Pogarda, zgroza, litość oraz poczucie odpowiedzialności powstrzymywały ich przed otwartym okazaniem prawdziwych uczuć.

Chodziło nie tylko o to, że zostałam uwolniona z rąk bandy chciwych, plądrujących okolice Szkotów. W niewoli spędziłam przecież całą noc w jednym pomieszczeniu z kilkoma mężczyznami. A w dodatku zgodnie z niezłomnym przeświadczeniem każdego rozsądnie myślącego Anglika: „Nie wiele lepszymi od dzikich bestii, winnymi grabieży, rabunku i niezliczonych innych równie ohydnych zbrodni”. Było zatem nie do pomyślenia, by młoda Angielka pozostała nietknięta przez takie bestie.

Nasunęła mi się smutna refleksja. Fakt, że Jamie wyniósł mnie z kościoła zemdłoną, z początku może ułatwił mi sprawę. Potem jednak niewątpliwie przyczynił się do wywołania ogólnego wrażenia, że Jamie oraz inni Szkoci przemocą zmusili mnie do uległości. Zdawało się, że każdy, z kim się spotykałam po uwolnieniu, był o tym święcie

przekonany. Dzięki treningowi, jaki przeszłam w Paryżu, bardzo dobrze pojmowałam mechanizm działania plotki.

Kapral Rowbotham z pewnością niejedno słyszał na mój temat, ale wciąż odnosił się do mnie uprzejmie. Nie robił też dziwnych min, które czasami dostrzegałam na twarzach innych żołnierzy. Gdybym odmawiała pacierz przed snem, pomodliłabym się też i za niego.

Wstałam, otrzepałam płaszcz i poszłam do namiotu. Rowbotham także się podniósł, ostrożnie obszedł ognisko i usiadł obok swoich towarzyszy odwrócony plecami do namiotu. Wiedziałam, że gdy żołnierze pójdą spać, kulturalny kapral ulokuje się w odpowiedniej odległości od miejsca mojego spoczynku, ale wciąż w zasięgu głosu.

Robił tak przez ostatnie trzy noce bez względu na to, czy zatrzymywaliśmy się w gospodzie, czy w polu.

Trzy noce wcześniej znowu próbowałam uciec. Kapitan Mainwaring doskonale zdawał sobie sprawę, że podróżuję z nim pod przymusem. Na pewno wołałby nie mieć mnie pod opieką, ale był zbyt sumiennym żołnierzem, by uchylać się od odpowiedzialności. W ciągu dnia bacznie obserwowało mnie dwóch strażników.

Nieustannie jechali tuż przy moim koniu.

W nocy zwalniano wartowników. Kapitan najwyraźniej sądził, że jest mało prawdopodobne, żebym wyruszyła na piechotę przez bezludne torfowiska w środku zimy.

Miał rację. Nie zamierzałam popełnić samobójstwa.

Jednak tamtej nocy, dwie godziny przed nocnym postojem, minęliśmy jakieś małe miasteczko. Byłam przekonana, że nawet na piechotę dotrę tam przed świtem.

W osadzie znajdowała się gorzelnia, z której wozy załadowane beczkami wyruszały do kilkunastu okolicznych miast regionu. Widziałam dziedziniec gorzelni. Beczki stały ustawione wysoko jedna na drugiej. Pomyślałam, że uda mi się wśród nich ukryć i wyjechać pierwszym porannym wozem.

W obozowisku zaległa cisza. Żołnierze chrapali przy ognisku. Wysunęłam się spod przykrycia rozłożonego starannie na skraju gaju wierzbowego i zaczęłam przedzierać się przez rozłożyste liście paproci.

Gdy opuszczałam gaj, zdawało mi się, że za mną szeleści wiatr, dopóki nie poczułam na ramieniu dotyku czyjejs ręki.

– Nie krzycz, jeśli nie chcesz, żeby kapitan się dowiedział, że wysłaś bez pozwolenia.

Nie krzyknęłam tylko dlatego, że ze strachu zabrakło mi tchu. Zobaczyłam żołnierza, dość wysokiego mężczyznę, którego koledzy przezywali „Jessie”. Uśmiechnął się, a ja trochę niepewnie odwzajemniłam uśmiech.

Spojrzał na mój biust. Westchnął, podniósł wzrok, popatrzył mi w oczy i zrobił krok do przodu. Szybko się cofnęłam.

– To nie ma znaczenia. Naprawdę, kochanie – powiedział i znów się uśmiechnął. – Nie po tym, co już się stało. Jeden mniej, jeden więcej, co za różnica? Na dodatek jestem Anglikiem – przymilał się. – A nie brudnym Szkotem.

– Zostaw tę biedną kobietę w spokoju, Jess. – Kapral Rowbotham wyłonił się bezszelestnie zza zasłony

wierzb. – Dość się już wycierpiała.

Jessie rzucił mu wściekle spojrzenie, a potem niewiele myśląc, odwrócił bez słowa i zniknął wśród liści.

Kapral w milczeniu zaczekał, aż podniosę płaszcz, i odprowadził mnie do obozu.

Odszedł na chwilę po swój koc. Skinął na mnie, żebym się położyła, a sam usiadł po turecku dwa metry ode mnie z kocem narzuconym na ramiona. Za każdym razem, gdy budziłam się w nocy, widziałam, jak siedzi wpatrzony w ogień.

W Tavistock była gospoda. Nie miałam jednak zbyt wiele czasu, by korzystać z oferowanych przez nią wygód. Przyjechaliśmy do miasteczka w południe. Kapitan Mainwaring natychmiast gdzieś wyruszył z bieżącymi rozkazami. Wrócił jednak już po godzinie i kazał mi wziąć płaszcz.

– Dlaczego? – spytałam zdezorientowana. – Dokąd idziemy?

Spojrzał na mnie obojętnie.

– Do dworu Bellhurst.

– Dobrze – powiedziałam.

Lepszy dwór niż gospoda, gdzie żołnierze grają w kości na podłodze, zapchlony kundel śpi przy kominku, a wokół roznosi się silny zapach chmielu, pomyślałam z otuchą.

Dwór stał tyłem do otwartych łąk, przodem do wyniosłego urwiska.

Podjazd, prosty i krótki, w niczym nie przypominał pięknych krętych dróg dojazdowych do francuskich posiadłości. Ale przy wejściu znajdowały się dwie

kamienne kolumny opatrzone herbem właściciela. Przejeżdżając obok na koniu, gapiłam się na znak rodowy i starałam się przypomnieć sobie, skąd go znam. Kot, może lampart, leżący z podniesioną głową z lilią w łapie. Już to gdzieś widziałam. Tylko gdzie?

W długiej trawie przy bramie coś się poruszyło. Przez chwilę widziałam bladoniebieskie oczy, gdy zgarbiona postać okryta szmatami czmychała w cień. Żebrak w łachmanach też wydał mi się znajomy. Po prostu miałam przywidzenia, chwyciłam się wszystkiego, co oderwałoby moje myśli od otaczających mnie angielskich żołnierzy.

Eskorta została na dziedzińcu. Nawet nie zsiadała z koni. Weszliśmy po schodach.

Kapitan Mainwaring walił w drzwi, a ja czekałam i zastanawiałam się, co jest po ich drugiej stronie.

– Pani Beauchamp?

Lokaj spojrział na mnie tak, jakby spodziewał się najgorszego. I słusznie.

– Tak – powiedziałam. – Czyj to dom?

Spojrzałam w głąb ciemnego przedpokoju. Gapiło się na mnie dwoje szeroko otwartych oczu, przestraszonych jak u lani.

To była Mary Hawkins.

Dziewczyna otworzyła usta, ja zrobiłam to samo i zaczęłam krzyczeć tak głośno, jak tylko mogłam. Zaskoczony lokaj zrobił krok w tył, potknął się o kozetkę i przewrócił na bok jak kręgiel. Słyszałam przestraszone głosy żołnierzy z eskorty. Pędem wbiegli po schodach.

Podniosłam spódnicę i z piskiem: „Mysz! mysz!”

uciekłam w stronę saloniku.

Wrzeszczałam jak potępieniec.

Pod wpływem mojej udawanej hysterii Mary też wydała z siebie pisk i złapała mnie kurczowo wpół, gdy na nią wpadłam. Wepchnęłam ją do saloniku i chwyciłam za ramiona.

– Nie mów nikomu, kim jestem – szepnęłam jej do ucha. – Nikomu! Od tego zależy moje życie!

Przez chwilę miałam wątpliwości, czy nie zabrzmiało to zbyt dramatycznie.

Ostatecznie jednak uznałam, że równie dobrze może się okazać szczerą prawdą. Byłam przecież żoną Czerwonego Jamiego Frasera.

Mary skinęła głową oszołomiona. Drzwi w głębi pokoju otworzyły się i wszedł jakiś człowiek.

– Co to za okropne hałasy, Mary? – zażądał wyjaśnień.

Pulchny mężczyzna z silnie zarysowaną brodą i zaciśniętymi wargami wyglądał na człowieka z gatunku tych, którzy są zadowoleni z siebie, bo na ogół dostają to, czego chcą.

– N-n-nic, tatusiu. – Mary znów zaczęła się jąkać ze zdenerwowania. – T-t-to tylko mysz.

Baronet zamknął oczy i wziął głęboki oddech, aby zachować cierpliwość. Po chwili otworzył oczy i spojrział na córkę.

– Powiedz to jeszcze raz, dziecko – rozkazał. – Ale wyraźnie. Nie pozwolę ci mamrotać i jąkać się. Zrób wdech i zapanuj nad sobą. No, dalej.

Mary zrobiła, co jej polecił. Nabrała w płuca tyle

powietrza, że aż napięły się sznurówki gorsetu. Palce zacisnęła na jedwabnej brokatowej spódnicy, jakby to w czymkolwiek mogło pomóc.

– To b-b-była mysz, tatusiu. Pani Fr... ta pani przestraszyła się myszy.

Baronet uznając tę próbę za zaledwie satysfakcjonującą. Podeszedł bliżej i przyglądał mi się z zainteresowaniem.

– A kim pani jest?

W tym momencie pojawił się kapitan Mainwaring. Najwyraźniej zrezygnował z poszukiwania myszy. Przetawiał mnie panu Hawkinsowi.

– Jak się zdaje, Jego Łaskawość ma przez jakiś czas gościć u siebie tę panią – powiedział i przekazał lokajowi list od pułkownika MacLeisha.

Ojciec Mary zdjął kapelusz z wieszaka.

– Żałuję, że nasza znajomość jest tak krótka, pani Beauchamp, ale właśnie wychodziłem. – Spojrzał przez ramię na schody. Lokaj, który zdołał już odzyskać formę, wchodził na piętro, z brudnym listem na tacy. – Jak widzę, Walmisley poszedł już powiadomić Jego Łaskawość o pani przybyciu. Muszę uciekać, bo spóźnię się na dyliżans. Adieu, pani Beauchamp.

Odwrócił się do Mary. Jeszcze przez chwilę stał przy wykładanej boazerii ścianie.

– Do widzenia, córko. Postaraj się... no wiesz. – Kąciki jego ust uniosły się w niemrawym uśmiechu.

– Do widzenia, tatusiu – wymamrotała ze spuszczonego wzrokiem.

Patrzyłam to na jedno, to na drugie. Co, na Boga,

Mary Hawkins tu robiła?

Najwyraźniej miała pozostać w dworku. Przypuszczałam, że właściciel musi być w jakiś sposób spokrewniony z jej rodziną.

– Pani Beauchamp? – Niski, pulchny lokaj uklonił się nisko. – Jego Łaskawość teraz panią przyjmie.

Gdy się odwracałam, by pójść za lokajem, Mary kurczowo zacisnęła palce na moim ramieniu.

– A-a-ale... – zaczęła.

Byłam tak zdenerwowana, że obawiałam się, iż nie starczy mi cierpliwości, by jej wysłuchać. Uśmiechnęłam się blado i poklepałam dziewczynę po ręce.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze – powiedziałam.

– A-a-ale to jest mój...

Lokaj znów się uklonił i otworzył drzwi na końcu korytarza.

Światło z okna oświetliło bogactwo brokatowych obić i błyszczącą drewnianą podłogę. Na oparciu krzesła był wyhaftowany herb rodzinny, dużo wyraźniejszy niż na zniszczonej kamiennej tarczy, którą widziałam na zewnątrz.

Lampart leżący z podniesioną głową, a w łapie bukiet lilii... A może to były krokusy?

W mojej głowie rozbrzmiały dzwonki alarmowe. Mężczyzna siedzący na krześle podniósł się i odwrócił w moją stronę. Jego cień padł na wypolerowany próg pokoju. Ostatnie udręczone słowa wyrwały się z ust Mary jednocześnie z zapowiedzią lokaja.

– Mój o-o-ojciec chrzestny – dokończyła.

– Jego Łaskawość księżę Sandringham – powiedział

lokaj.

– Pani... Beauchamp? – odezwał się książę i szeroko otworzył usta ze zdumienia.

– Tak jakby – powiedziałam słabo.

Drzwi salonu zamknęły się i zostałam sam na sam z Jego Łaskawością. Zobaczyłam jeszcze tylko, że Mary stoi w holu z oczami jak spodki. Bezgłośnie otwierała i zamykała usta niczym złota rybka w akwarium.

Po obu stronach okien, na inkrustowanych stolikach stały chińskie wazy. Na obramowaniu kominka ustawiono Wenus z brązu leżącą w kokieteryjnej pozie, dwie porcelanowe salaterki z połączanymi brzegami i posrebrzane kandelabry, w których paliły się woskowe świece. Gęsto tkany perski dywan przykrywał większą część podłogi.

W rogu salonu stał szpinet. Resztę powierzchni zajmowały meble i różne posągi.

– Ładnie tu – odezwałam się uprzejmie do księcia. Stał przed kominkiem z założonymi pod poły surduta rękami i patrzył na mnie z wyrazem rozbawienia na szerokiej rumianej twarzy.

– Dziękuję – powiedział dziwnie piskliwym głosem, który w ogóle nie pasował do beczkowatej postaci. – Jesteś jego ozdobą, moja droga. – Na twarzy Jego Łaskawości pojawił się szeroki, rozbijający szczery uśmiech.

– Dlaczego Beauchamp? – spytał. – Czy to przypadkiem nie jest twoje prawdziwe nazwisko?

– Moje nazwisko panieńskie – wypaplałam prawdę. Krzaczące blond brwi uniosły się wysoko.

– Czy jesteś Francuzką?

– Nie. Angielką. Nie mogłam jednak używać nazwiska Fraser.

– Rozumiem – powiedział.

Skinął w stronę małej, zdobionej brokatem sofy w kształcie litery „S”, zapraszając mnie, bym usiadła. Bogato rzeźbiony mebel o pięknych proporcjach z powodzeniem mógł być wystawiony w muzeum, jak wszystkie inne znajdujące się w tym pokoju przedmioty. Z gracją zebrałam przemoczone, ubrudzone błotem spódnice, do których gdzieniegdzie przyczepiła się końska sierść, i delikatnie usiadłam na atlasowym siedzeniu w kolorze pierwiosnków.

Księżę chodził powoli tam i z powrotem przed kominkiem. Patrzył na mnie z lekkim uśmiechem. Walczyłam z ogarniającym mnie coraz bardziej znużeniem wywołanym ciepłem i wygodą. Rozprzestrzeniło się po całym moim ciele, poczynając od obolałych nóg. Było niczym otchłań, która otwierała się u mych stóp i mogła mnie pochłoniąć.

Musiałam jednak mieć się na baczności.

– Kim jesteś? – spytał nagle księżę. – Angielską zakładniczką, żarliwą stronnniczką jakobitów czy francuską agentką?

Potaarłam bolące miejsce na czole między brwiami. Prawidłowa odpowiedź brzmiała:

„żadną z nich”, jednak wyznanie prawdy nie zaprowadziłoby mnie daleko.

– Gościnność tego domu w porównaniu z wyposażeniem pozostawia trochę do życzenia – powiedziałam tak wyniośle, jak potrafiłam, choć w tych okolicznościach nie było mnie stać na zbyt wiele. Przykład

dany przez Luizę, jak powinna zachowywać się wielka dama, nie całkiem poszedł na marne.

Księżę parsknął śmiechem, jakby usłyszał bardzo dobry dowcip.

– Proszę o wybaczenie, pani. Masz rację. Zanim ośmieliłem się zadać ci pytania, powinienem zaproponować poczęstunek.

Wymamrotał coś do lokaja, który pojawił się na dźwięk dzwonka, a potem spokojnie czekał przed kominkiem. Siedziałam w milczeniu, rozglądałam się po pokoju, od czasu do czasu zerkając ukradkiem na gospodarza. Żadne z nas nie miało ochoty na pogawędkę. Mimo pozorów uprzejmości było to zawieszenie broni. Oboje o tym wiedzieliśmy.

Zastanawiałam, co księżę ma wspólnego z moją sprawą. Spotkaliśmy się przedtem dwa razy i wówczas występowałam jako pani Fraser, żona dziedzica Lallybroch. Teraz pojawiałam się w jego domu jako angielska zakładniczka o nazwisku Beauchamp, niedawno wyzwolona z niewoli u bandy szkockich jakobitów. Każdy by się zdziwił. Ale stosunek Sandinghama do mnie wykraczał daleko poza zwykłą ciekawość.

Przyniesiono podwieczorek – herbatę, placuszki z jęczmiennej mąki i ciasto. Księżę wziął filiżankę i dał mi znak, żebym też się poczęstowała. Jedliśmy w milczeniu. W głębi domu rozległy się stłumione uderzenia, jakby ktoś coś przybijał. Cichy brzęk filiżanki, którą księżę odstawił na spodeczek, był sygnałem do wznowienia walki.

– A więc – odezwał się piskliwym głosem. – Pozwoli pani, że zacznę, pani Fraser.

Mogę się tak do pani zwracać? Dziękuję. Na początek pragnę powiedzieć, że wiem o pani bardzo dużo. A zamierzam dowiedzieć się jeszcze więcej. Postąpi pani mądrze, jeśli bez wahania udzieli mi wyczerpujących odpowiedzi. Muszę stwierdzić, pani Fraser, że zdumiewająco trudno panią zabić – skłonił się lekko w moją stronę z uśmiechem na ustach – ale jestem pewien, że przy odpowiedniej determinacji można tego dokonać.

Gapiłam się na niego bez ruchu. Odebrało mi mowę. Naśladując jedną z manier Luizy, pytająco uniosłem brwi i spokojnie popijałam herbatę. Potem delikatnie poklepałam usta serwetką z monogramem, którą podano do posiłku.

– Obawiam się, że uzna mnie pan za niezbyt roztropną osobę, Wasza Miłość – powiedziałam uprzejmie – ale nie mam zielonego pojęcia, o czym pan mówi.

– Naprawdę, moja droga?

Nawet nie mrugnął małymi wesołymi błękitnymi oczkami. Sięgnął po posrebrzany dzwonek stojący na tacy i zadzwonił.

Mężczyzna z pewnością czekał na wezwanie w pokoju obok, bo drzwi natychmiast się otworzyły. Był wysoki i szczupły. Z pewnością należał do służących wyższych rangą.

Świadczył o tym czarny strój w dobrym gatunku.

– Wasza Miłość? – powiedział. Podeszedł do księcia i skłonił się głęboko.

Mówił po angielsku, ale z silnym francuskim akcentem. Miał bladą twarz o charakterystycznych dla

Francuzów rysach, długi nos i cienkie zaciśnięte wargi. Uszy o jaskrawoczerwonych koniuszkach odstawały po obu stronach głowy jak małe skrzydełka. Gdy mnie zobaczył, jego szczupła twarz jeszcze bardziej zbladła. Odruchowo cofnął się o krok.

Sandringham patrzył na służącego ze zmarszczonymi z irytacji brwiami, potem spojrział na mnie.

– Nie poznajesz go? – spytał.

Właśnie chciałam zaprzeczyć, gdy nagle prawa opuszczona ręka mężczyzny zacisnęła się nerwowo. Dyskretnie robił nią znak rogów – zgiął środkowe palce, a wskazujący i mały skierował w moją stronę. Tak rozpoznałam tego mężczyznę. Miał małe znamię przy kciuku.

Bez wątpienia to on, ubrany wówczas w koszulę w groszki, zaatakował mnie i Mary w Paryżu. Teraz było oczywiste, że zrobił to na zlecenie księcia.

– Ty cholerny gnoju! – krzyknęłam.

Skoczyłam na równe nogi, przewracając stolik. Chwyciłam przedmiot, który akurat znalazł się pod ręką – rzeźbiony alabastrowy słój na tytoń. Cisnęłam go w głowę bandyty.

Ciężki słój chybił celu o kilka centymetrów i rozbił się o framugę drzwi. Mężczyzna pośpiesznie czmychnął na zewnątrz.

Gdy za nim ruszyłam, drzwi się zatrzasnęły. Stałam, ciężko dysząc. Oparłam ręce na biodrach i rzuciłam Sandringhamowi wściekle spojrzenie.

– Kim on jest? – spytałam stanowczym tonem.

– To mój lokaj – odpowiedział książę spokojnie. –

Nazywa się Albert Danton.

Niezastąpiony, jeśli chodzi o wybór szalików i zakładanie pończoch, ale tak jak wielu Francuzów trochę nadpobudliwy w innych sprawach. I niewiarygodnie przesądny. – Zmarszczył brwi, spojrzął z dezaprobatą na zamknięte drzwi. – Cholerni papiści. Są zdolni uwierzyć we wszystko, co im naopowiadają.

Uspokajałam się powoli, ale serce wciąż mi waliło pod fiszbinami gorsetu. Miałam trudności z wzięciem głębszego oddechu.

– Ty plugawy, wstrętny, obrzydliwy zboczeńcu!

Obelgi nie wywarły na księciu większego wrażenia. Ze znudzoną miną, od niechcienia skinął głową.

– Tak, tak, moja droga. To wszystko i o wiele więcej odnosi się z pewnością do mnie.

Co za pech.

– Pech? Tak pan to określa?

Niepewnym krokiem podeszłam do sofy i usiadłam. Schowałam splecione, trzęsące się ze zdenerwowania dłonie w fałdach spódnicy.

– Pod wieloma względami, moja droga pani. Pomyśl tylko. – Rozłożył ręce w geście usilnej prośby. – Wysłałam Dantona, żeby się ciebie pozbył. Jednak najpierw on i jego towarzysze postanawiają się trochę zabawić. To nic złego. Nie wiadomo tylko, dlaczego wyciągają pochopny wniosek, że jesteś czarownicą. Zupełnie tracą głowę i uciekają.

Przedtem jednak przypadkowo wchodzi im w drogę moja córka chrzestna. Deprawują dziewczynę i w ten sposób niszczą wszelkie szansę na zawarcie przez Mary

znakomitego związku małżeńskiego, tak starannie przeze mnie zaaranżowanego. Pomyśl, co za ironia losu!

Byłam tak zaszokowana, że nie wiedziałam, jak zareagować. Jednak w tym, co mówił księżę, uderzyło mnie szczególnie jedno stwierdzenie.

– Co to znaczy „pozbyć się”? – spytałam. – Czy chce pan powiedzieć, że naprawdę usiłował mnie zabić?

Pokój zawirował mi przed oczami. Dla pokrzepienia wypiliśmy duży łyk herbaty.

Niestety, nie podziałało. Nadal czułam się otumaniona

– Tak – powiedział uprzejmie Sandringham. – Właśnie do tego zmierzam. Może miałabyś ochotę, moja droga, napić się kieliszek sherry?

Przez chwilę patrzyłam na niego uważnie. Jak mógł się spodziewać, że cokolwiek od niego przyjmę, skoro przed chwilą stwierdził, iż chciał mnie zabić?

– Brandy – poprosiłam jednak. – Dużo brandy.

Zachichotał piskliwie i podszedł do serwantki.

– Kapitan Randall mówił mi, że jest pani bardzo intrygującą osobą. W jego ustach to prawdziwa pochwała. Generalnie nie ma o kobietach zbyt dobrego zdania, choć zlatują się do niego jak pszczoły do miodu. Przypuszczam, że chodzi nie o sposób zachowania, lecz raczej o wygląd kapitana.

– A więc Jack Randall pracuje dla pana. – Księżę podał mi trunek.

Obserwowałam, jak napełniał kieliszki. Byłam pewna, że w obu jest tylko brandy.

Wypiłam duży, tak bardzo mi potrzebny łyk

alkoholu.

Książę nie pozostał w tyle. Mrużył oczy pod wpływem cierpkiego smaku.

– Oczywiście – odparł. – Często wprawdzie najlepsze narzędzie jest najbardziej niebezpieczne w użyciu. Jednak człowiek nie waha się nim posłużyć. Po prostu podejmuje odpowiednie środki ostrożności.

– Niebezpieczny? Co pan wie o Jonathanie Randallu? – spytałam ciekawie.

Książę zachichotał.

– Och, zdaje się, że właściwie wszystko, moja droga. Najprawdopodobniej dużo więcej od ciebie. Angażowanie takiego człowieka na nic by się nie zdało bez środków umożliwiających sprawowanie nad nim kontroli. Pieniądze to dobre wędzidło, ale słabe wodze.

– W przeciwieństwie do szantażu? – spytałam sucho.

Rozsiadł się wygodnie i z rękami splecionymi na wydatnym brzuchu przyglądał mi się z uprzejmym zainteresowaniem.

– Ach. Uważasz, jak sędzę, że szantaż może działać w obie strony?

Potrząsnął głową, kilka ziarenek tabaki spadło na jego jedwabną kamizelkę.

– Mylisz się, moja droga. Plotki mogą mieć wpływ na moją reputację tylko w pewnych kręgach towarzyskich, a to mnie zbytnio nie martwi. Jeśli zaś chodzi o naszego dobrego kapitana, to sprawy przedstawiają się zgoła inaczej. W armii panuje dość nieprzychylny stosunek do nienaturalnych skłonności. Często są karane śmiercią.

Nie, naprawdę trudno o porównanie.

Przekrzywił głowę na tyle, na ile pozwalały mu liczne podbródki.

– Tym, co wiąże Johna Randalla ze mną, nie jest ani obietnica bogactwa, ani groźba ujawnienia wstydliwych sekretów – oznajmił. Małe wodniste oczka pojaśniały. – Służy mi, bo mogę dać mu to, czego pragnie.

Z nieukrywanym obrzydzeniem spojrzałam na korpulentną postać. Jego Łaskawość zatrzęsł się ze śmiechu.

– Nie, nie o to chodzi – wysapał. – Gusta kapitana są nieco bardziej wyrafinowane.

W przeciwieństwie do moich.

– Więc co teraz?

– Kara – rzucił półgłosem. – Ale ty o tym wiesz, prawda? A przynajmniej zdaje sobie z tego sprawę twój mąż.

Wstałam, by znaleźć się jak najdalej od księcia, bo przy nim czułam się zbrukana.

Skorupy alabastrowego słoja na tytoń walały się po podłodze. Jedną z nich kopnęłam przez nieuwagę. Odbiła się od ściany i wpadła pod sofę. Przypominałam sobie o niedawnym spotkaniu z Dantonem.

Właściwie nie byłam zupełnie pewna, czy chcę rozmawiać z księciem o nieudanej próbie zamachu na moje życie. Jednak w tej chwili poruszenie tego tematu wydawało mi się najlepszym wyjściem z sytuacji.

– Dlaczego chciał mnie pan zabić? – spytałam i spojrzałam mu prosto w oczy.

Szybko rzuciłam okiem na zabrudzony stół. Wśród

leżących tam przedmiotów szukałam czegoś odpowiedniego, co mogłoby mi posłużyć do obrony. Tak na wszelki wypadek, gdyby Jego Łaskawość zamierzał mnie zgładzić.

Wyglądało jednak, że nie ma na to ochoty. Schylił się z wysiłkiem i podniósł z podłogi czajniczek, który jakimś cudem się nie stłukł. Postawił naczynie na stoliku.

– Wówczas wydawało się to korzystne – odparł spokojnie. – Dowiedziałem się, że pani i jej mąż usiłowaliście przeszkodzić w przeprowadzeniu pewnej sprawy, w którą byłem osobiście zaangażowany. Zastanawiałem się nad usunięciem pani męża. Uznałem to jednak za zbyt ryzykowane. Ma bliskie związki z dwoma potężnymi rodami Szkocji.

– Chciał go pan usunąć? – W głowie zaświtała mi myśl, jedna z wielu, które niczym fajerwerki zapalały się i gasły w moim mózgu. – Czy to pan nasłał na niego marynarzy w Paryżu?

Księżę od niechcienia skinął głową.

– To był najprostszy, choć nieco brutalny sposób osiągnięcia celu. Ale wtedy do Paryża przyjechał Dougal MacKenzie. Zacząłem się więc zastanawiać, czy pani mąż faktycznie pracuje dla Stuartów. Nie byłem pewien, w jakie sprawy się zaangażował.

A ja zadawałam sobie pytanie, w jakie sprawy zaangażował się księżę. Z jego dziwnej wypowiedzi wynikało, że skrycie popierał jakobitów. Jeśli tak było naprawdę, po mistrzowsku trzymał to w tajemnicy.

– A potem – kontynuował – powstał problem twojej rosnącej przyjaźni z królem Francji, Ludwikiem. –

Umieścił pokrywkę czajniczka na miejscu. – Nawet gdyby twój mąż, pani, poniósł porażkę u bankierów, Ludwik mógł dać to, czego Karol Stuart potrzebował. Pod warunkiem, że przestałabyś wtykać w tę sprawę swój śliczny nosek.

Zmarszczył brwi. Popatrzył uważnie na leżący na podłodze placuszek z jęczmiennej mąki. Podniósł ciastko, strzepnął kilka nitek, które się przyczepiły, ale odłożył je na stół.

– Potem, obietnicą ułaskawienia, starałem się zwabić Jamesa Frasera z powrotem do Szkocji. Kosztowało mnie to bardzo drogo – powiedział w zadumie. – I wszystko na darmo! Przypomniałem sobie wtedy o niezmiernie wruszającym przywiązaniu, jakie okazywał ci mąż, pani – mówił z łaskawym uśmiechem na twarzy, którego szczególnie u niego nie lubiłam. – Przypuszczałem, że twój tragiczny zgon z powodzeniem odwróci uwagę Jamiego od przedsięwzięć, w które był wówczas zaangażowany. Ponadto pozbawienie życia Claire Fraser nie wywołałoby takiego zainteresowania, jakie z pewnością wzbudziłoby zamordowanie samego Jamesa Frasera.

Nagle przysłała mi do głowy pewna myśl. Odwróciłam się i spojrzałam na stojący w rogu pokoju klawikord. Na pulpicie leżało kilka arkuszy papieru nutowego zapisanych ładnym, czytelnym charakterem pisma. Pięćdziesiąt tysięcy funtów z okazji postawienia przez Jego Wysokość stopy na szkockiej ziemi, przypomniałam sobie treść zaszyfrowanego listu. „S” w podpisie znaczyło oczywiście Sandringham. Książę roześmiał się najwyraźniej uradowany.

– Wykazałaś się rzeczywiście dużym sprytem, moja

droga. To z pewnością byłaś ty.

Słyszałem o niefortunnym braku zdolności muzycznych twego męża.

– Nie, to nie ja – powiedziałam. Stałam tyłem do instrumentu.

Na stole obok mnie nie było takich użytecznych przedmiotów, jak nóż do papieru czy inne ostre narzędzia, ale szybko podniosłam wazon i zanurzyłam twarz w bukiecie cieplarnianych kwiatów. Zamknęłam oczy. Na rozpalonych policzkach czułam dotyk chłodnych płatków. Nie miałam odwagi unieść głowy. Bałam się, że zdradzi mnie wyraz twarzy.

Za oknem, nad ramieniem księcia zobaczyłam okrągły, skórzany przedmiot w kształcie dyni. Był obramowany zielonymi, aksamitnymi kotarami, przez co wyglądał jak jedno z egzotycznych dzieł sztuki należących do księcia. Otworzyłam oczy i ostrożnie wyjrzałam zza różnokolorowych płatków. Duże usta uśmiechnęły się do mnie szeroko, ukazując wyszczerbione zęby.

Nie wiedziałam, które uczucie we mnie dominuje: przerażenie czy ulga. Nie myślałam się co do żebraka przy bramie. To był Hugh Munro, stary druh Jamiego jeszcze z czasów banicji. Kiedyś nauczyciel, potem więzień Turków. Został zeszepecony w czasie tortur i zmuszony do żebractwa i kłusownictwa. Przy okazji wykonywania tych czynności z powodzeniem szpiegował. Słyszałam, że był szpiegiem armii z gór, ale nie zdawałam sobie sprawy, że jego działalność przywiodła go tak daleko na południe.

Jak długo siedział pod oknem na drugim piętrze na gałęzi bluszczu jak kura na grzędzie? Nie wiedziałam. Nie

miałam odwagi spróbować się z nim porozumieć.

Utkwiłam wzrok w punkcie tuż ponad ramieniem księcia i z pozorną obojętnością patrzyłam w przestrzeń.

Księżę przyglądał mi się z zainteresowaniem.

– Naprawdę? Ale z pewnością nie był to Gerstmann. Nie jest dość przebiegły.

– A ja jestem? Pochlebia mi pan.

Z nosem w kwiatach, z roztargnieniem odpowiadałam na pytania.

Postać za oknem trzymała się gałęzi bluszczu jedną ręką, drugą wyciągnęła w moją stronę. Hugh komunikował się gestami, bo języka pozbawili go Saraceni. Najpierw wskazał na mnie, potem na siebie, w końcu w bok. Zgiął szeroką dłoń w nadgarstku i zaczął szybko poruszać dwoma palcami. Oczywiście naśladował ruch nóg w czasie biegu. Puścił do mnie oko i zniknął.

Lekko drżałam z wrażenia. Wzięłam głęboki oddech, żeby się odprężyć. Kichnęłam i odstawiłam kwiaty na stół.

– A więc pan też jest jakobitą? – spytałam.

– Niekoniecznie – odpowiedział wesoło księżę. – Pytanie, moja droga, brzmi: czy ty trzymasz ich stronę?

Bez skrępowania zdjął perukę. Podrapał się w łysiejącą głowę, potem z powrotem ją zakrył.

– Podczas pobytu w Paryżu staraliście się zapobiec objęciu tronu przez króla Jakuba.

Gdy ponieśliście porażkę, pozujecie teraz na najwierniejszych stronników Jego Wysokości. Dlaczego?

W małych błękitnych oczkach nie było widać nic poza umiarkowaną ciekawością, a przecież to zupełnie inne

uczucia pchnęły Sandringhama do realizacji planu morderstwa.

Od chwili, gdy dowiedziałam się, kim jest mój gospodarz, ze wszystkich sił starałam się przypomnieć sobie, co Frank i wielebny pan Wakefield kiedyś o nim mówili. Czy należał do stronnictwa jakobitów? O ile dobrze pamiętałam, źródła historyczne nie zawierały pewnych danych na ten temat. Po prostu nie było wiadomo. Ja też nie miałam pojęcia.

– Chyba panu nie powiem – odezwałam się powoli.

Jedna blond brew uniosła się wysoko ku górze. Książę wyjął z kieszeni małe emaliowane puzderko i wziął szczyptę tabaki.

– Czy aby na pewno podjęłaś mądrą decyzję, moja droga? Jak wiesz, Danton znajduje się w pobliżu.

– Danton nie tknie mnie nawet dziesięciometrowym kijem – stwierdziłam bez ogródek. – Pan też nie. W każdym razie nie z tego powodu – dodałam pośpiesznie, widząc, jak otwiera usta. – A skoro tak bardzo pana ciekawi, po czyjej jestem stronie, nie zabije mnie pan, dopóki się tego nie dowie.

Książę udławił się szczyptą tabaki i zaniósł się kaszlem. Uderzał pięścią w haftowaną kamizelkę na piersi. Podniosłam się i patrzyłam na niego z góry zimnym wzrokiem, gdy kichał i prychał.

– Pragnie mnie pan przestraszyć i skłonić do zdradzenia różnych informacji, ale to nic nie da – oznajmiłam z dużo większą pewnością w głosie, niż rzeczywiście czułam.

Sandringham delikatnie otarł chusteczką łzy. Wziął

głęboki oddech.

– Dobrze więc – powiedział spokojnie. – Jak sędzę, moi robotnicy skończyli już przebudowę twojej kwatery, pani. Wezwę pokojówkę. Zaprowadzi cię do pokoju.

Gapiłam się na niego z głupawą miną, bo uśmiechnął się drwiąco i wstał z krzesła.

– Twoje poglądy nie mają zresztą znaczenia – wyznał. – Tak czy inaczej uważam cię za bezcennego gościa.

– Dlaczego? – spytałam, gdy zamilkł. Rękę trzymał na dzwonku i uśmiechał się szeroko.

– Jesteś żoną Czerwonego Jamiego – szepnął. – A on cię kocha, moja droga, prawda?

Więzienie jak więzienie – widywałam już w życiu gorsze. Pokój miał może dziesięć metrów szerokości i tyle samo długości. Jedynie salon na dole urządzone był z większym przepychem. Na podwyższeniu stało łóżko z adamszkowym baldachimem, przybranym na rogach strusimi piórami. Dwa ozdobione brokatem krzesła znajdowały się przy ogromnym kominku.

Pokojówka przyniosła miskę i dzbanek, po czym pospieszyła zapalić przygotowane na kominku polana. Lokaj zostawił tacę z kolacją na stole przy drzwiach i stanął spokojnie w przejściu. Tym samym przekreślił jakąkolwiek myśl o ucieczce w dół korytarza, jaka mogła mi przyjść do głowy. To na nic, pomyślałam ponuro. Ten cholerny dom jest tak wielki jak pałac Buckingham. Wystarczy skręcić w korytarzu, a człowiek od razu się zgubi.

– Jego Łaskawość ma nadzieję, że będzie pani wygodnie – wyrecytowała pokojówka, dygnęła i wyszła.

– Och, na pewno – mruknęłam nieuprzejmie.

Drzwi zamknęły się za nią z deprymująco głuchym odgłosem, a zgrzyt przekręcanego w zamku klucza szarpał nerwy.

Drżałam z zimna. Kurczowo objęłam rękami łokcie. Podeszłam do ognia i opadłam na krzesło. W pierwszym odruchu, korzystając z samotności, chciałam zafundować sobie oczyszczający napad hysterii. Obawiałam się jednak, że jeśli pozwolę mocno trzymanym na wodzy emocjom dojść do głosu, nigdy nie zdołam się opanować. Zamknęłam oczy.

Pod zaciśniętymi powiekami odbijały się refleksy płonącego na kominku ognia.

W tej chwili nie zagrażało mi bezpośrednie niebezpieczeństwo. Hugh Munro na pewno był w drodze do Jamiego. Nawet gdyby Jamie podczas tygodniowej podróży zgubił mój ślad, Hugh znajdzie swego druha i poprowadzi wprost do mnie. Hugh znał wszystkie zagrody i dwory w obrębie czterech parafii, każdego parobka i wędrownego druciarza. Wiadomość od niemowy będzie przekazywana z ust do ust i dotrze do adresata tak szybko, jak płyną ponad górami pędzone wiatrem chmury. Oczywiście jeśli niememu szpiegowi udało się bezpiecznie zejść z gałęzi bluszczu i opuścić ziemie księcia.

– Nie bądź śmieszna – skarciłam się głośno. – Przecież ten człowiek jest zawodowym kłusownikiem. Oczywiście, że nie został pojmany.

Słowa, które odbiły się echem od ozdobnego, otynkowanego na biało sufitu napelniły mnie otuchą.

– A jeśli tak – kontynuowałam rozważania tak

głośno, by słyszeć samą siebie – wtedy Jamie przyjdzie po mnie.

No dobrze, pomyślałam nagle. A jeśli ludzie Sandringhama się na niego zaczają.

Jesteś żoną Czerwonego Jamiego, powiedział książe. Moja jedyna bezcenna zaleta.

Byłam przynętą.

– Mam tu zwabić grubą rybę! – krzyknęłam i wyprostowałam się w krzesle.

Zrozumienie tej zniewagi tak mnie rozzłościło, że przestałam się bać. Wstałam i zaczęłam się przechadzać tam i z powrotem. Starłam się podsycić płomień gniewu. Obmyślałam jednocześnie nowe wyzwiska, jakimi obrzucę księcia podczas następnego spotkania.

Układałam coraz wymyślniejsze obelgi, gdy nagle zwróciły moją uwagę stłumione krzyki dochodzące z zewnątrz.

Odsunęłam ciężkie aksamitne kotary. Książe dotrzymał słowa. Grube drewniane kraty krzyżowały się przed framugą okienną. Były zbite tak blisko siebie, że ledwie precisnęłam rękę. Na szczęście mogłam cokolwiek przez nie dostrzec.

Zapadał zmrok. Czarne cienie przesuwwały się pod drzewami w parku. Stamtąd dochodziły krzyki. Odpowiadały im okrzyki dobiegające ze stajni, z której nagle wyłoniły się trzy małe ciemne postacie z zapalonymi pochodniami. Pobiegły w kierunku lasu.

Sosnowe pochodnie wybuchały pomarańczowym płomieniem. Silny zimny wiatr kierował ogień do tyłu. W świetle widziałam, jak po dotarciu do skraj parku powstała

ludzkie kłębowisko runęło na trawę przed domem. Siła zmagañ pozostawiała głębokie czarne smugi na wilgotnym, zamarym na zimę trawniku.

Stałam na palcach. Ścisnęłam kraty i opierałam głowę o drewno, żeby więcej zobaczyć. W blasku pochodni mogłam co najwyżej od czasu do czasu dostrzec migającą w bijatyce nogę czy rękę.

– Nie, to nie Jamie – mówiłam sobie. Staralam się opanować strach i uspokoić rozszalałe serce. Nie tak szybko, nie teraz. I nie w samotności. Z pewnością nie przyszedłby sam. Zorientowałam się, że walka koncentrowała się na jednym człowieku.

Kłęczął skulony pod ciosami gajowych i chłopców stajennych księcia.

Kiedy zwinięta w kłębek postać upadła płasko na ziemię, krzyki umilkły. Niewielka grupa służących wymierzyła jeszcze kilka uderzeń na wszelki wypadek. Po krótkiej rozmowie, dwóch mężczyzn złapało pobitego pod ramiona. Gdy przechodzili pod oknem mojego pokoju na trzecim piętrze, światło pochodni oświetliło na chwilę parę wlokących się po ziemi stóp w sandałach i strzęp oblepionego brudem łachmana. To nie był Jamie.

Jeden z chłopców stajennych z triumfem niósł skórzany gruby portfel. Byłam zbyt wysoko, by słyszeć brzęk malutkiej metalowej ozdoby zawieszanej na pasku portfela.

Zobaczyłam tylko błysk. Poczulałam, jak w przyplwywie prerażenia i rozpaczcy ulatuje ze mnie cała siła.

Do skózanego paska przyczepione były z pewnością małe przedmioty z metalu, monety i guziki oraz

niewielkie pieczęci z łoświu, które dawały żebrakowi prawo do proszenia o jałmużnę na terenie danej parafii. Hugh Munro miał cztery jako zadośćuczynienie za krzywdy doznane z rąk Turków. Złapali Huga.

Trzęsłam się tak bardzo, że z trudnością trzymałam się na nogach, ale podbiegłam do drzwi i zaczęłam walić w nie z całej siły.

– Wypuście mnie! – wrzeszczałam. – Muszę się widzieć z księciem! Wypuście mnie! Słyszycie?

Żadnej reakcji. Rzuciłam się do okna. Na dole panował już zupełny spokój. Chłopiec z pochodnią stał obok ogrodnika, który klęczał na skraju trawnika i delikatnie układał na miejsce bryły darni wykopanej w czasie walki.

– Hej! – wykrzyknęłam.

Nie mogłam otworzyć zakratowanego okna. Przebiegłam przez pokój i złapałam ciężki srebrny kandelabr. Stłukłam szybę. Nie zwracałam najmniejszej uwagi na rozpryskujące się odłamki szkła.

– Pomocy! Wy, tam w dole! Powiedzcie księciu, że chcę się z nim widzieć! Pomocy!

Zdawało mi się, że jeden z mężczyzn odwrócił głowę w moją stronę, ale żaden nie zrobił nawet kroku w kierunku domu. Pracowali dalej tak, jakby w mroku krzyczał tylko nocny ptak.

Pobiegłam z powrotem do drzwi. Łomotałam i krzyczałam. A potem znowu do okna i znowu do drzwi. Wrzeszczałam, błagałam i groziłam, dopóki zupełnie nie ochrypłam.

Uderzałam w drzwi, aż moje pięści stały się

czerwone, ale nikt nie przyszedł. Nie słysząc było żadnego dźwięku. Równie dobrze mogłam być w tym wielkim domu zupełnie sama.

W korytarzu panowała głęboka cisza jak w grobie. Nie kontrolowałam już strachu.

Opadłam na kolana i zaczęłam spazmatycznie szlochać.

Obudziłam się zmarznięta i zeszywniała, z pulsującym bólem głowy. Coś szerokiego i solidnego popychało mnie po podłodze. Stwierdziłam, że to otwierające się ciężkie drzwi przyciskają moje nogi do ściany.

– Auu! – krzyknęłam.

Niezdarnie przeturlałam się w głąb pokoju. Dalej przesuwałam się na kolanach.

Macałam wokół rękami. Odgarnełam włosy z twarzy.

– Claire! Och, bądź cicho, proszę! Kochanie, czy coś ci się stało?

Z szelestem krochmalonego batystu Mary uklękała obok mnie. Drzwi się za nią zamknęły. Usłyszałam szcęk zamka.

– Tak... to znaczy nie. Nic mi nie jest – powiedziała oszołomiona. – Ale Hugh...

Zacisnęłam wargi. Potrząsnęłam głową, żeby rozjaśnić myśli.

– Do jasnej cholery, Mary, co ty tu robisz?

– Przekupiłam gospodynię, żeby mnie wpuściła – szepnęła. – Musisz mówić tak głośno?

– Właściwie to bez znaczenia – odparłam już

zwykłym tonem. – Drzwi są tak grube, że jedynie odgłosy meczu piłki nożnej mogłyby przez nie przeniknąć.

– Odgłosy czego?

– Mniejsza o to – ucięłam krótko.

Zaczynałam myśleć jaśniej, choć oczy miałam napuchnięte, a pulsowanie w głowie było jak odgłos bębna. Wstałam z wysiłkiem. Słaniając się, podeszłam do miski.

Spryskałam twarz zimną wodą.

– Przekupiłaś gospodynię? – spytałam. Wytarłam twarz ręcznikiem. – Ale wciąż jesteśmy zamknięte w środku, prawda? Słyszałam, jak przekręcano klucz w zamku.

Świeca stopiła się, gdy spałam na podłodze. Wnętrze oświetlały jedynie żarzące się na kominku węgle. W półmroku dostrzegłam jednak, że Mary jest blada. Przygryzła wargi.

– To wszystko, co mogłam zrobić. Pani Gibbons za bardzo boi się księcia, by dać mi klucz. Zgodziła się zamknąć mnie tu z tobą na noc i wypuścić z rana. Pomyślałam, że może chciałybyś mieć towarzystwo – dodała nieśmiało.

– Och, dziękuję. Miło, że o tym pomyślałaś.

Wyjęłam z szuflady świecę i podeszłam do kominka, by ją zapalić. Lichtarz był zalepiony woskiem. Nakapałam kilka kropli na blat stołu i postawiłam świecę. Wcale nie przejmowałam się tym, że mogą uszkodzić przedmiot należący do księcia.

– Claire – odezwała się po chwili Mary. – Czy ty... masz kłopoty?

Przygryzłam wargę, by powstrzymać cisnącą mi się

na usta ostrą odpowiedź.

W końcu dziewczyna miała tylko siedemnaście lat. Jej ignorancja w sprawach dotyczących polityki była pewnie jeszcze większa niż brak wiedzy o mężczyznach.

– Tak – odparłam. – Obawiam się, że wpadłam w niezłe tarapaty.

Mój mózg znowu zaczynał pracować. Nawet jeśli Mary nie była w stanie pomóc mi w ucieczce, mogła przynajmniej dostarczyć informacji o ojcu chrzestnym i o tym, co działo się w jego domu.

– Słyszałaś hałasy koło lasu? – spytałam.

Potrząsnęła głową. Zaczynała drżeć z zimna. W tak dużym pokoju ciepło z kominka nie docierało do podwyższenia, na którym stało łóżko.

– Nie, ale jedna z kucharek mówiła, że dozorczy złapali w parku kłusownika. Jest okropnie zimno. Połóżmy się do ł-ł-łóżka – poprosiła.

Czołgała się po narzucie, szukając brzegu prześcieradła. Pod białą koszulą nocną rysowała się okrągłutka pupa.

– To nie był kłusownik – powiedziałam. – A właściwie tak, ale też przyjaciel.

Wyruszył do Jamiego, żeby mu przekazać wiadomość, że tu jestem. Czy wiesz, co się stało z tym mężczyzną?

Mary odwróciła się. Jej blada twarz wyglądała jak rozmazana plama na tle ciemnej kotary zwisającej z baldachimu. Ciemne oczy stały się ogromne.

– Och, Claire! Tak mi p-p-przykro!

– Mnie też – rzuciłam niecierpliwie. – Ale czy

wiesz, gdzie teraz jest ten kłusownik?

Jeśli Hugh został uwięziony, istniała niewielka szansa, że Mary przed nastaniem świtu zdoła go uwolnić.

Zorientowałam się jednak, że coś jest nie w porządku. Wargi Mary drżały tak mocno, że dziewczyna jąkała się jeszcze bardziej niż zwykle. Słowa stały się prawie zupełnie niezrozumiałe. Gdy już je z siebie wydusiła, ugodziły mnie prosto w serce. Ostro i znieńacka jak cios sztyletu.

– P-p-powiesili g-g-go na b-b-bramie parkowej – powiedziała.

Upłynęło nieco czasu, zanim byłam w stanie zwracać uwagę na otoczenie. Szok, żal, strach i ból z powodu straconych nadziei – wszystkie te uczucia zawładnęły mną całkowicie. Zaledwie zdawałam sobie sprawę z dotyku małej ręki Mary. Przyjaciółka poklepywała mnie nieśmiało po ramieniu i pytała, czy nie chcę chusteczki albo szklanki wody. Leżałam zwinięta w kłębek. Nic nie mówiłam, tylko trzęsłam się i czekałam, aż osłabnie skręcająca moje wnętrznosci rozpacz. W końcu załamaniem minęło. Otworzyłam zażawione oczy.

– Nic mi nie będzie. – Usiadłam na łóżku i nieelegancko wytarłam nos rękawem.

Wzięłam od Mary ręcznik i osuszyłam oczy. Dziewczyna wierciła się przy mnie zaniepokojona. Wyciągnęłam rękę i uściśnięłam jej dłoń.

– Naprawdę – dodałam uspokajająco. – Już wszystko w porządku. I bardzo się cieszę, że tu jesteś.

Nagle uderzyła mnie pewna myśl. Upuściłam ręcznik i popatrzyłam na przyjaciółkę z zaciekawieniem.

– A właściwie, dlaczego tu jesteś? – spytałam. – To znaczy w tym domu.

Zarumieniona spojrzała w dół i wzięła w dłoń narzutę.

– K-k-książę jest moim ojcem chrzestnym...

– Tak, wiem – przerwałam szorstko. – Jednak jakoś trudno mi uwierzyć, że po prostu pragnie twojego towarzystwa.

Uśmiechnęła się lekko na tę uwagę.

– N-n-nie. Ale m-m-myśli, że znalazł dla mnie następnego m-m-męża.

Zrobiła się całkiem czerwona na twarzy, gdy wypowiadała słowo „mąż”.

– T-t-tatuś przywiózł mnie t-t-tu, bym mogła go p-p-poznać.

Z jej sposobu zachowania wywnioskowałam, że nie musiałam się spieszyć z gratula – cjami.

– Znasz tego człowieka?

Okazało się, że tylko z nazwiska. Był to niejaki pan Isaacson z Londynu. Trudnił się importem towarów. Zbyt zajęty, by odbyć podróż aż do Edynburga, gdzie poznałby narzeczoną, zgodził się przybyć do Bellhurst, od razu na ślub, jeśli wszystkie strony wyrażą zgodę.

Wzięłam z nocnego stolika szcztokę ze srebrną rączką i z roztargnieniem rozczesywałam włosy. A więc książę zamierzał teraz sprzedać swoją córkę chrzestną bogatemu Żydowi, skoro nie powiodła się próba skoligacenia z francuską arystokracją.

– Mam nową wyprawę – oznajmiła Mary, siląc się na uśmiech. – Czterdzieści trzy wyszywane spódnice, w

tym dwie ze złotą nitką.

Urwała i zacisnęła mocno usta. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w swoją lewą rękę. Przykryłam jej dłoń swoją.

– Może to dobry człowiek – zasugerowałam. Staralam się dodać jej otuchy.

– Tego się właśnie o-o-obawiam.

Spojrzała w dół, żeby uniknąć mojego pytającego wzroku. Zaciskała ręce na kolanach.

– Nie p-p-powiedzieli panu Isaacsonowi o Paryżu. I m-m-mi też nie wolno o tym mówić. – Mary miała nieszczęśliwy wyraz twarzy. – P-p-przyprowadzili obrzydliwą starą kobietę, żeby mi powiedziała, jak w noc p-p-poślubną udawać, że... że t-t-to mój pierwszy raz, ale ja... och, Claire, j-j-jak mam to zrobić? – spytała, lamentując.– Aleks n-n-nic o tym nie wie! Zachowałam się jak tchórz. Nawet się n-n-nie pożegnałam!

Rzuciła się w moje ramiona. Poklepywałam ją po plecach, starając się pocieszyć, a smutek, który mnie przedtem ogarnął, nie wydawał się już tak dojmujący. Po jakimś czasie trochę się uspokoiła i wyprostowała. Napila się wody, bo dostała czkawki.

– Zamierzasz go poślubić? – spytałam.

Spojrzała na mnie. Jej rzęsy były mokre od łez.

– Nie mam w-w-wyboru – powiedziała po prostu.

– Ale... – zaczęłam mówić, lecz przerwałam.

Czułam się bezradna.

Miała rację. Młodej kobiecie bez majątku i bez mężczyzny, który przybyłby jej na ratunek, nie pozostało nic innego, jak tylko spełnić życzenie opiekunów i poślubić

nieznanego pana Isaacsona z Londynu.

Milczałyśmy z ciężkim sercem. Żadna z nas nie miała apetytu na jedzenie podane na tacy. Wślizgnęłyśmy się pod kołdrę, żeby się ogrzać. Po chwili Mary wyczerpana przeżyciami ostatnich godzin zasnęła smacznie. Choć byłam nie mniej zmęczona, nie mogłam zmrużyć oka. Opłakiwałam Hugh'a, martwiłam się o Jamiego i rozmyślałam o księciu.

Jaka jest rola Sandringhama w całej tej sprawie?

Z pozoru był jakobitą. Jak sam przyznał, pragnął popełnić czy przynajmniej zapłacić za popełnienie morderstwa, aby zagwarantować Karolowi niezbędne poparcie. Szyfr muzyczny był dostatecznym tego dowodem. Z pewnością to właśnie ksiązę skłonił w końcu Karola, by w sierpniu wyruszył w podróż morską. Przyrzekł mu pomoc.

Wielu ludzi zadawało sobie trud, by ukryć sympatie do jakobitów. Nic dziwnego, za zdradę groziły surowe kary. A gdyby się okazało, że ksiązę poparł przegraną sprawę, mógł stracić więcej niż inni.

Nie odniosłam jednak wrażenia, by Sandringham entuzjastycznie popierał monarchię Stuartów. Biorąc pod uwagę to, co mówił o Dantonie, najwyraźniej nie był po stronie katolickiego władcy. I dlaczego czekał tak długo z udzieleniem wsparcia? Karol przecież rozpaczliwie potrzebował pieniędzy.

Przyszły mi do głowy dwie prawdopodobne przyczyny zachowania księcia. Żadna nie przynosiła arystokracji szczególnej chwały, ale obie wydawały się zgodne z jego charakterem.

Może faktycznie był jakobitą, który pragnął poprzeć katolickiego króla, choć nie darzył go sympatią. Jako główny zwolennik przywrócenia Stuartów na tron mógł jednak spodziewać się przyszłych korzyści. Słowo „zasada” nie figurowało w jego słowniku, natomiast „własny interes” najwyraźniej było wyrażeniem, które dobrze znał. Może chciał zaczekać, aż Karol dotrze do Anglii, by nie roztrwoniono pieniędzy przeznaczonych na sfinansowanie ostatecznego, decydującego ataku armii z gór na Londyn. Każdy, kto zna Karola Stuarta, dobrze wie, że nie należy powierzać mu naraz zbyt dużej ilości pieniędzy.

A może Sandringham najpierw chciał się upewnić, że Stuartowie faktycznie mają zapewnione poważne poparcie dla swej sprawy? W końcu udzielenie wsparcia rebelii to nie to samo, co utrzymywanie całej armii bez niczyjej pomocy.

Potrafiłam też dostrzec bardziej ponure przyczyny warunków, od jakich książę uzależnił udzielenie pomocy. Cekał, aż armia jakobitów dotrze do angielskiej ziemi.

Zakładał, że Karol będzie się zmagał z rosnącym oporem własnych wodzów.

Przerzedzona armia niechętnie powlecze się na południe, z dala od osłony gór.

Jeśli książę oczekiwał korzyści od Stuartów za pomoc w przywróceniu ich na tron, tego samego mógł się spodziewać po dynastii hanowerskiej w zamian za zwabienie Karola Stuarta w pułapkę, zdradzenie księcia i jego zwolenników, a potem wydanie w ręce angielskiej armii.

Źródła historyczne nie podawały prawdziwych

zamiarów Sandringhama. Dziwne, bo przecież wcześniej czy później musiał odkryć swoje intencje. Oczywiście, rozmyślałam, Stary Lis, lord Lovat, potrafił działać na dwa fronty: przymilać się Hanowerom i zachowywać łaski Stuartów. Jamie też robił to przez jakiś czas. Może wcale nie było tak trudno ukryć swoich politycznych sympatii w nieustannie zmieniającym się grzędawisku królewskiej polityki.

Chłód pelzył w górę stóp. Niespokojnie poruszałam nogami. Skóra mi ścierpła, pocierałam łydką o łydkę.

Leżałam bezsennie, niespokojna i zziębnięta. Nagle zdałam sobie sprawę, że tuż obok mnie rozlega się nikły rytmiczny odgłos. Odwróciłam głowę. Nasłuchiwałam. Uniosłam się na łokciu i z niedowierzaniem popatrzyłam na moją towarzyszkę. Leżała na boku.

Delikatna, zaróżowiona skóra twarzy wyglądała jak kwiat z oranżerii w pełni rozkwitu.

Dziewczyna trzymała kciuk w miękkim wgłębieniu ust. Gdy na nią patrzyłam, lekko go ssała.

Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać. W końcu po prostu wyciągnęłam jej palec z ust i położyłam na piersi bezwładną zgiętą rękę. Zgasiałam świeczkę i przytuliłam się do Mary.

Czy to z powodu niewinności tego gestu i odległych skojarzeń z dzieciństwa, czy zwykłej wygody i bliskości ciepłego ciała, czy wreszcie tylko z wyczerpania strachem i żalem, w końcu odprężyłam się i zasnęłam.

Owinięta ciepłym kokonem pościeli spałam mocno i bez marzeń sennych. Tym większy przeżyłam szok, gdy zostałam brutalnie wyrwana z miękkiego, cichego

zapomnienia. Wciąż było ciemno. Ogień na kominku wygasł. Coś ciężkiego znalazło się nagle na łóżku, uderzyło mnie w ramię i zaczęło mordować Mary.

Łóżko kołysało się pod wpływem ostrej walki. Tuż obok słyszałam udręczone jęki i wypowiedane cichym głosem groźby, czyjaś ręka uderzyła mnie w oko.

Pospiesznie zsunęłam się z łóżka, potknęłam na stopniu podwyższenia i upadłam płasko na podłogę. Odgłosy zmagania nasiliły się znacznie. Rozległ się okropny, wysoki pisk. Uznałam, że Mary może jedynie wydać z siebie taki dźwięk, gdy ktoś ją dusi.

Usłyszałam głęboki męski głos w nagłym okrzyku przestachu. Jeszcze przez chwilę trwała kotłowanina w pościeli i pisk gwałtownie się urwał. Szybko podeszłam do stołu.

Znalazłam na stole pudełko z krzesiwem i wznieciłam ogień, żeby zapalić świecę.

Migoczący płomień wzmocnił się i urósł. Wtedy zobaczyłam to, czego się spodziewałam, słysząc celtyckie przekleństwo. Mary dziko wymachiwała rękami. Była niewidoczna pod fałdami pościeli, twarz miała przykrytą poduszką. Mój krzepki, zszokowany mąż siedział na dziewczynie okrakiem. Pomimo że cięższy i silniejszy od swojej ofiary, musiał wkładać niemało wysiłku, aby sobie z nią poradzić.

Pochłonięty szamotaniną, nie zobaczył światła zapalanej przeze mnie świeczki. Starał się złapać Mary za rękę i jednocześnie przytrzymać poduszkę przy jej twarzy. Patrzyłam na to widowisko i miałam ochotę wybuchnąć histerycznym śmiechem. Odstawiłam świeczkę,

przechyliłam się nad łóżkiem i klepnęłam Jamiego w ramię.

– Jamie? – spytałam.

– O Jezu!

Podskoczył jak na sprężynach i z na wpół wyciągniętym szytyletem znalazł się w kucki na podłodze. Dopiero wtedy mnie dostrzegł. Na chwilę zamknął oczy i odetchnął z ulgą.

– Boże drogi, Angielko! Nigdy więcej tak nie rób, słyszysz? Cicho bądź! – rozkazał Mary, która uwolniła się spod poduszki. Siedziała wyprostowana na łóżku, z wściekłym wyrazem na twarzy. – Nie chciałem zrobić ci krzywdy. Myślałem, że jesteś moją żoną.

Dużymi krokami podszedł do mnie, wziął w ramiona i mocno pocałował, tak jakby chciał się upewnić, że teraz odnalazł właściwą kobietę. Oddałam jego gorący pocałunek z zapalem. Upajałam się drapaniem nie ogolonej brody, otaczającym mnie ciepłem oraz ostrym zapachem wilgotnego płótna i męskiego potu.

– Ubieraj się – wyszeptał polecenie. – Ten cholerny dom aż się roi od służących. Na dole jest jak w mrowisku.

– Jak się tu dostałeś? – spytałam, rozglądając się za rzuconą gdzieś w kąć suknią.

– Drzwiami, oczywiście – odparł niecierpliwie. – Masz. – Chwyił z oparcia krzesła sukienkę i rzucił w moją stronę. Masywne drzwi rzeczywiście stały otworem, w zamku sterczał klucz na wielkim kółku.

– Ale jak... – zaczęłam.

– Później ci powiem – rzekł szorstko. Zauważył, że Mary wyszła z pościeli i usiłuje założyć szlafrok. – Lepiej wróć do łóżka, panienko – poradził. – Podłoga jest zimna.

– Idę z wami – oznajmiła.

Jej słowa, choć przytłumione przez fałdy tkaniny, brzmiały zdecydowanie. Gdy rozczochrana głowa wychynęła przez otwór szlafroka, ujrzeliśmy buntowniczą minę nastolatki.

– No pewnie – mruknął Jamie.

Przeszył ją wściekłym wzrokiem. Zauważyłam świeże, wyraźne zadrapania na jego policzku. Na widok drżących wargi dziewczyny z wysiłkiem się opanował i przemówił uspokajająco:

– Nie przejmuj się, Mary. Nie będziesz miała z tego powodu kłopotu. Zamknę za nami drzwi. Rano powiesz wszystkim, co się stało.

Mary nie zwracała uwagi na słowa Jamiego. Szybko włożyła pantofle i podbiegła do drzwi.

– Hej! A dokąd się wybieracie? – krzyknęła.

Przestraszony Jamie obrócił się, ale nie zdołał jej zatrzymać. Stała w drzwiach od strony korytarza w pozycji atakującego jelenia.

– Idę z wami! – powtórzyła zawzięcie. – Jeśli mnie ze sobą nie zabierzecie, pobiegnę korytarzem i będę wrzeszczeć tak głośno, jak tylko potrafię. I co mi wtedy zrobisz?

Jamie gapił się na pannę Hawkins. Jego włosy w świetle świecy iskrzyły się jak miedź, krew napłynęła mu do twarzy. Najwyraźniej był rozdarty między koniecznością zachowania ciszy a gwałtownym pragnieniem zamordowania dziewczyny gołymi rękami.

Mary gotowa do biegu patrzyła na Jamiego z wściekłością. Jedną ręką przytrzymywała w gorze połą

szlafroka. Dałam Jamiemu kuksańca w zębra, żeby przerwać jego rozterkę.

– Zabierzemy ją ze sobą – oznajmiłam krótko. –
Wiejmy stąd.

Obrzucił mnie spojrzeniem bliźniaczo podobnym do tego, jakim patrzył na Mary, ale wahał się tylko przez chwilę. Skinął głową, wziął mnie za rękę i we trójkę pospieszyliśmy w zimną czeluść ciemnego korytarza.

Deski skrzypiały pod naszymi stopami, ubrania szeleściły jak liście na wietrze.

Pokryte boazerią ściany trzeszczały cichutko, a ledwie słyszalne dźwięki w głębi korytarza świadczyły o tym, że w tajemnych zakamarkach myszkują zwierzęta. Ponad tym wszystkim panowała głęboka i przerażająca cisza wielkiego, ciemnego domu pogrążonego we śnie, który musi zostać przerwany.

Mary trzymała mnie mocno za ramię, gdy skradałyśmy się w dół korytarza za Jamiem. Poruszał się tuż przy ścianie jak cień, szybko, w zupełnej ciszy.

Gdy przechodziliśmy obok kolejnych drzwi, usłyszałam po drugiej stronie ciche stąpanie. Jamie też je wyłowił. Przywarł do ściany. Dał nam głową znak, żebyśmy poszły przodem. Czułam pod palcami zimną ścianę, gdy usiłowałam wcisnąć się w nią plecami.

Drzwi ostrożnie się uchyliły i na zewnątrz wysunęła się głowa w pękatej białej szlafmicy, odwrócona w przeciwną stronę do miejsca, w którym się znajdowaliśmy.

– Kto tam? – odezwał się głos szeptem. – Czy to ty, Albercie?

Strużka zimnego potu spłynęła mi w dół kręgosłupa.

Pokojówka spodziewała się zapewne wizyty ksiązęcego lokaja o reputacji donżuana.

Nie sądziłam, by uznała uzbrojonego Szkota za odpowiedni substytut nieobecnego kochanka. Czułam, jak Jamie się napina i stara przezwyciężyć skrupuły przed uderzeniem kobiety. Jeszcze chwila, a pokojówka obróci głowę w naszą stronę, zobaczy Jamiego i krzykiem postawi cały dom na nogi.

Oderwałam się od ściany.

– Och, nie – odezwałam się przepraszająco. – To tylko ja.

Pokojówka wzdrygnęła się. Szybko zrobiłam krok do przodu, by stała zwrócona twarzą do mnie.

– Przepraszam, że cię przestraszyłam – powiedziałam, uśmiechając się wesoło. – Nie mogłam spać. Pomyślałam, że może odrobina gorącego mleka pomoże mi zasnąć. Czy do kuchni idzie się w tę stronę?

– Słucham?

Pokojówka, pulchna panienka w wieku około dwudziestu kilku lat, gapiła się na mnie niestosownie z otwartymi ustami, ukazując dowody niepokojącego braku dbałości o higienę jamy ustnej. Na szczęście nie była to ta sama osoba, która odprowadzała mnie do pokoju. Może się nie zorientuje, że zostałam uwięziona przez księcia, myślałam z nadzieją.

– Jestem gościem w tym domu – oznajmiłam.

Mówiłam dalej. Kierowałam się zasadą, że najlepszą obroną jest atak. Spojrzałam na dziewczynę oskarżycielsko.

– Albert, tak? Czy Jego Łaskawość wie, że

przyjmiesz mężczyznę w swoim pokoju w nocy? – zwróciłam się do niej stanowczo.

Zdaje się, że zupełnie wytrąciło ją to z równowagi. Zbladła, opadła na kolana i chwyciła mnie za spódnicę. Perspektywa ujawnienia nieobyczajnego prowadzenia się była tak przerażająca, że pokojówce nawet nie przyszło do głowy spytać, dlaczego właściwie gość wałęsa się po domu przed świtem ubrany nie tylko w szlafrok i kapcie, ale także w płaszcz podróżny.

– Och, proszę nie wspominać o tym Jego Łaskawości. Z pewnością nie chce pani, żeby mnie zwolniono. Proszę się nade mną zlitować. Mam na utrzymaniu sześcioro rodzeństwa i...

– Dobrze, już dobrze – uspokajałam ją, poklepując po ramieniu. – Nie martw się. Nie powiem księciu. Połóż się do łóżka i...

Przemawiałam takim tonem, jakbym zwracała się do dziecka albo osoby chorej umysłowo. Rozwiewałam jej obawy, bo wciąż potoczyście dowodziła swej niewinności.

Wprowadziłam dziewczynę z powrotem do małej pakamery.

Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie z ulgą. Twarz Jamiego wynurzyła się z cienia.

Uśmiechał się od ucha do ucha. Nie odezwał się ani słowem, ale w ramach gratulacji pogłaskał mnie po głowie, potem wziął za ramię i pociągnął w dół korytarza.

Mary czekała przy oknie na półpiętrze. Jej biały szlafrok jaśniał w świetle księżyca, które co jakiś czas przeświecało przez pędzone wiatrem chmury. Wyglądało na to, że zbiera się na burzę. Zastanawiałam się, czy zmiana

pogody pomoże, czy przeszkodzi nam w ucieczce.

Mary schwyciła szarfę Jamiego, gdy schodził na półpiętro.

– Ćśś – szepnęła. – Ktoś idzie.

Rzeczywiście. Usłyszałam głuchy odgłos kroków na dole. Widziałam na schodach bladą poświatę. Mary i ja rozejrzałyśmy się wokół siebie w panice. To były tylne schody przeznaczone dla służby. Półpiętra, kwadraty podłóg nie zastawiono meblami ani nie ozdobiono kotarami, które mogłyby posłużyć za dogodną kryjówkę.

Jamie westchnął z rezygnacją. Skinął głową na mnie i Mary, żebyśmy cofnęły się w głąb korytarza. Wyjął sztylet i czekał ukryty w zacienionym rogu półpiętra.

Palce Mary splotły się mocno z moimi w przerażeniu. Jamie miał pistolet przewieszony u pasa, ale oczywiście nie mógł użyć go w domu. Służący zda sobie z tego sprawę i broń stanie się bezużyteczna, nawet by grozić. Pozostawał tylko nóż. Ogarnęła mnie litość dla nieszczęsnego służącego, który stanie twarzą w twarz z gotowym na wszystko, ważącym prawie sto kilogramów Szkotem. Poczułam skurcz w żołądku.

Zerknęłam na swoje ubranie. Zastanawiałam się, czy jedna z halek nada się na opatrunek, gdy ukazała się pochylona głowa osoby niosącej świecę. Ciemne włosy z przedziałkiem pośrodku były wysmarowane pomadą. Śmierdząca woń natychmiast przywołała wspomnienia ciemnej paryskiej ulicy, zamaskowanej twarzy i wygiętych w okrutnym grymasie cienkich ust.

Danton stanął na stopniu poniżej półpiętra i gwałtownie uniósł głowę. W następnej chwili został

schwytany za szyję i rzucony o ścianę. Lichtarz poszybował w powietrzu.

Mary też rozpoznała mężczyznę.

– To on! – wykrzyknęła zaszokowana. Zapominała i o tym, by szeptać, i o tym, że się jąka. – To ten człowiek z Paryża!

Jamie przygniółł wyrywającego się lokaja do ściany i przytrzymał masywnym przedramieniem przyciśniętym do klatki piersiowej. Twarz mężczyzny ukazywała się i zanikała w gasnącym i rozbłyskującym świetle księżyca. Była śmiertelnie blada. Zrobiła się jeszcze bledsza, gdy w chwilę później Jamie przyłożył Dantonowi do gardła ostrze sztyletu.

Weszłam na półpiętro niepewna, co Jamie ma zamierza zrobić, ani co chciałam, żeby zrobił. Na mój widok Danton wydał z siebie zduszony jęk i bez powodzenia próbował się przeżegnać.

– *La Dame Blanche!* – wyszeptał z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami.

Jamie gwałtownie złapał lokaja za włosy i szarpnął jego głowę do tyłu tak, że uderzyła o pokrytą boazerią ścianę.

– Gdybym miał czas, *mo garhe*, umierałbyś powoli – wyszeptał. Mówił cicho, ale z dużym przekonaniem. – Uważaj to za łaskę boską, że bardzo mi się spieszy.

Szarpnął głowę ofiary jeszcze bardziej do tyłu. Widziałam, jak Dantonowi drga jabłko Adama, gdy z oczami wlepionymi we mnie z przerażeniem przetykał ślinę.

– Nazywasz ją *La Dame Blanche* – wycodził Jamie

przez zęby. – A ja swoją żoną.

Niech jej twarz będzie ostatnią rzeczą, jaką zobaczysz!

Jamie wbił nóż w gardło mężczyzny z ogromną siłą. Aż zacharczał z wysiłku. Ciemna krew chlusnęła mu na koszulę.

Odór nagłej śmierci wypełnił półpiętro. Bulgoczące odgłosy wydawane przez umierającego człowieka, który leżał zwinięty na podłodze niczym łachman, przeciągały się w nieskończoność.

Nagle oprzytomniałam, słysząc dochodzące z tyłu dźwięki. Mary wymiotowała gwałtownie. W pierwszej chwili pomyślałam o tym, że służący będą mieli rano bardzo dużo sprzątanina. Druga myśl dotyczyła Jamiego. Stał w rozbłyskującej księżycowej poświacie. Jego twarz i włosy były obryzgane krwią. Ciężko oddychał. Wyglądał tak, jakby też miał zwymiotować.

Odwróciłam się w stronę Mary i zobaczyłam daleko w głębi korytarza błysk światła w otwieranych drzwiach. Kogoś najwyraźniej zaniepokoiły hałasy. Złapałam za brzeg szlafroka, brutalnie wytarłam nim usta Mary i pociągnęłam ją w kierunku półpiętra.

– Chodź! – powiedziałam. – Musimy stąd zwiewać!

Jamie nagle otrząsnął się z oszołomienia. Oderwał wzrok od ciała Dantona i odwrócił się w stronę schodów.

Zdawało się, że wie, dokąd idzie. Bez wahania prowadził nas zaciemnionymi korytarzami. Mary szła obok mnie, potykając się co chwila. Dyszała ciężko jak silnik w zepsutym samochodzie.

Przy drzwiach do pomywalni Jamie nagle się

zatrzymał i cicho zagwizdał.

Natychmiast w odpowiedzi odezwał się gwizd. Otwarte drzwi ukazały ciemną czeluść wypełnioną niewyraźnymi postaciami. Jedna z nich wyłoniła się z mroku i szybko do nas podeszła. Po chwili rozmowy prowadzonej przyciszonymi głosami, jakiś mężczyzna złapał Mary za rękę i pociągnął w ciemność. Zimny przeciąg świadczył o tym, że gdzieś przed nami są otwarte drzwi na zewnątrz.

Z ręką na moim ramieniu Jamie poprowadził mnie pomiędzy sprzętami w pomywalni i przez mniejsze, niesamowicie zagracone pomieszczenie. Otarłam sobie o coś nogę, ale powstrzymałam cisnący się na usta okrzyk bólu.

Gdy w końcu wydostaliśmy się na zewnątrz, wiatr złapał mój płaszcz i okręcił mnie nim jak wielkim balonem. Po szarpiącej nerwy wędrówce w ciemnym domu poczułam się tak, jakby wyrosły mi skrzydła i jakbym mogła ulecieć w niebo.

Mężczyźni wokół chyba dzielali mój nastrój. Rozległ się stłumiony śmiech i przyciszony gwar rozmów. Jamie szybko uciszył towarzystwo. Po kolei mężczyźni przemykali przez otwartą przestrzeń przed domem jak cienie w tańczącym świetle księżyca. Jamie stał przy mnie i patrzył, jak znikają wśród drzew parku.

– Gdzie Murtagh? – wymamrotał sam do siebie. – Pewnie poszedł szukać Hugh’a – odpowiedział sobie na pytanie. – Wiesz, gdzie może być Hugh, Angielko?

Zimny wiatr kąsał mnie pod płaszczem. Przełknęłam ślinę. Czułam, jak przykre wspomnienie zabija

radość z odzyskania wolności.

– Tak – odparłam.

W największym skrócie przekazałam Jamiemu złe wieści.

Pociemniał na twarzy. Gdy skończyłam mówić, oblicze Jamiego przypominało kamienną maskę.

– Macie zamiar tak stać całą noc – spytał głos za nami. – A może trzeba podnieść alarm, żeby wiedzieli, gdzie nas szukać?

Wyraz twarzy Jamiego trochę złagodniał. Z ciemności, cicho jak widmo, wyłonił się Murtagh. Pod jednym ramieniem trzymał owinięte w szmaty zawiniątko. Pomyślałam, że to mięso ukradzione z kuchni. Na materiale widniały ciemne plamy krwi. Utwierdziłam się w tym przekonaniu, gdy zobaczyłam dużą szynkę wetkniętą pod drugie ramię i sznur kielbas zawieszony na szyi niewielkiego Szkota.

Jamie pokręcił nosem i uśmiechnął się słabo.

– Śmierdzisz jak rzeźnik. Zawsze myślisz tylko o jedzeniu.

Murtagh przekrzywił głowę, patrząc na poplamionego krwią Jamiego.

– Lepiej wyglądać jak rzeźnik niż jak jego wyroby, chłopcze – stwierdził. – Idziemy?

– spytał.

W ciemnościach wędrówka przez park napawała strachem. Stare drzewa były wysokie i rosły w dużych odległościach, ale pomiędzy nimi posadzono młode drzewka, które w poświęcie księżycy nagle przybierały kształty groźnych gajowych. Na szczęście chmury

zgęstniały i księżyc rzadziej przez nie przeświecał. Gdy dotarliśmy do odległego krańca parku, zaczęło padać.

Trzech mężczyzn pozostawiono przy koniach. Mary siedziała już w siodle przed jednym z ludzi Jamiego. Najwyraźniej zawstydzona, że musi jechać okrakiem, wciąż wtykała fałdy szlafroka pod uda. Daremnie usiłowała ukryć fakt, że ma nogi.

Przeklinając ciężkie fałdy spódnicy, podciągnęłam ją wysoko. Postawiłam stopę na ręce, którą podstawił mi Jamie. Z impetem klapnęłam na siodło. Wierzchowiec parsknął i położył uszy po sobie.

– Przepraszam, kolego – powiedziałam bez cienia współczucia. – Jeśli ci się zdaje, że to było przykre, to poczekaj, aż on znowu cię dosiądzie.

Rozejrzałam się wokół. Jamie stał pod drzewem. Rękę trzymał na ramieniu mniej więcej czternastoletniego chłopca.

– Kto to? – spytałam Geordiego Paula Frasera, który podciągał popręg.

– Och, on. – Spojrzał na chłopca, a potem ze zmarszczonymi brwiami na popręg. – Nazywa się Ewan Gibson, najstarszy pasierb Hugh'a Munro. Zdaje się, że był z ojcem, gdy dopadli ich dozorczy księcia. Chłopak zdołał uciec. Znaleźliśmy go na skraju wrzosowiska.

To on nas tu przyprowadził.

Jeszcze raz mocno pociągnął za popręg. Popatrzył z wściekłością na martwy przedmiot nie poddający się jego woli, jakby czekał, czy szeroki pas ośmieli się odezwać.

Potem spojrział na mnie.

– Wiesz, gdzie jest Munro? – spytał nagle.

Skinęłam głową. Odpowiedź musiała być wyraźnie wypisana na mojej twarzy, bo Geordie odwrócił się, by spojrzeć na chłopca. Jamie obejmował dzieciaka, mocno przyciskał do piersi i poklepywał po plecach. Po chwili odsunął go od siebie, ale wciąż trzymał ręce na jego ramionach. Powiedział coś, z uwagą wpatrując się w twarz sieroty.

Dziecko wyprostowało się i skinęło głową. Jamie wykonał podobny ruch, po raz ostatni klepnął chłopca po ramieniu i odwrócił w kierunku jednego z koni. George McClure wyciągał rękę, by pomóc niewielkiemu nastolatkowi wsiąść. Jamie podszedł do nas spokojnie z opuszczoną głową. Pomimo wiatru i kropiącego deszczu nie okrył się szarfą.

Skraj szerokiego pasa materiału trzepotał swobodnie.

Geordie splunął na ziemię.

– Biedaczysko – mruknął, nie określając, o kogo mu chodzi, i wskoczył na wierzchowca.

Zatrzymaliśmy się w pobliżu południowo-wschodniego krańca parku. Konie tupały i kręciły się, gdy dwóch mężczyzn zniknęło wśród drzew. Wrócili po dwudziestu minutach, choć zdawało się, że byli nieobecni dwa razy dłużej.

Jechali teraz we dwóch na jednym koniu. Przez grzbiet drugiego wierzchowca przewieszono długi kształt owinięty szarfą Frasera. Koniom to się nie spodobało. Ten, na którym jechaliśmy, niespokojnie zarzucił łbem i stanął dęba, gdy zwierzę niosące ciało Hugh'a przechodziło obok. Jamie szarpnął za wodze i krzyknął coś gniewnie po

celtycku.

Poskutkowało.

Jamie uniósł się za mną w strzemionach i patrzył w tył, jakby przeliczał pozostałych członków grupy. Potem otoczył mnie w pasie ramieniem i wyruszyliśmy w podróż na północ.

Jechaliśmy całą noc z krótkimi przerwami na odpoczynek. Podczas jednego z postojów, kiedy schroniliśmy się pod kasztanem, Jamie chciał mnie objąć, ale zrezygnował.

– Co się stało? – spytałam z uśmiechem. – Boisz się pocałować żonę przy swoich ludziach?

– Nie – odpowiedział i od razu tego dowiedział. Potem odsunął się i dodał: – Po prostu przez chwilę obawiałam się, że zaczniesz krzyczeć i podrapiesz mi twarz.

Delikatnie dotknął zadrapań, które Mary zostawiła na jego policzku.

– Biedaku – wymamrotałam. – Nie takiego powitania się spodziewałaś, co?

– To prawda. – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Wziął dwie kiełbasy ze sznurka Murtagha i podał mi jedną. Nie pamiętałam już, kiedy ostatni raz miałam coś w ustach. Musiało upłynąć całkiem sporo czasu, bo nawet pomimo obaw, że się zatruję jadem kiełbasianym, tłuste, pikantne mięso bardzo mi smakowało.

– Myślałaś, że cię nie rozpoznam po tygodniu niewidzenia?

Potrząsnął głową, wciąż się uśmiechając, i przełknął kęs kiełbasy.

– Nie. Ale dopiero po kratkach w oknach domyśliłem

się, gdzie jesteś. – Uniósł jedną brew. – Sądząc po wyglądzie okien, musiałeś wyrzucić na Jego Łaskawości ogromne wrażenie.

– Zgadza, się – skomentowałam krótko. Nie chciałam rozmawiać o księciu. – Mów dalej.

– A więc – powiedział, przeżuując następny kęs kielbasy. Zręcznie przesunął go w stronę policzka, gdy mówił. – Wiedziałem, który to pokój, ale potrzebny mi był klucz, prawda?

– Ach, tak. Miałeś mi o tym opowiedzieć.

Szybko przełknął kęs.

– Dostałem go od gospodyni. Ale nie bez trudności.

– Podrapał się delikatnie kilka centymetrów poniżej paska.

– Wyglądało na to, że przedtem już kilka razy ją budzono i to doświadczenie nie przypadło jej do gustu.

– Jasne – parsknęłam rozbawiona obrazem wywołanym w wyobraźni jego słowami.

– Zapewne się ucieszyła na widok takiego przystojniaka.

– Wątpię, Angielko. Wrzeszczała jak potępieniec, kopnęła mnie kolaniem w przyrodzenie. Potem o mało nie rozwalila mi łba lichtarzem, gdy jęcząc, zwijałem się z bólu.

– I co zrobiłeś?

– Nieźle jej przywaliłem. Nie byłem wtedy w nastroju do okazywania damie szacunku. Związałem ją tasiemkami koszuli nocnej i wepchnąłem babie ręcznik do ust, żeby przestała mnie wyzywać. Przeszukiwałem pokój, dopóki nie znalazłem kluczy.

– Dobra robota – oceniłam. – Ale skąd wiedziałeś,

gdzie śpi gospodyni?

– Praczka mi powiedziała, gdy ją poinformowałem, kim jestem, i zagroziłem, że ją wypatroszę i upiekę na rożnie, jeśli nie udzieli mi informacji. – Uśmiechnął się smutno.

– Czasami warto być uważanym za barbarzyńcę. Teraz to już chyba wszyscy słyszeli o Czerwonym Jamiem Fraserze.

– A jeśli nie, to z pewnością usłyszą – wtrąciłam. Obejrzałam go tak dokładnie, jak mogłam w przyćmionym świetle.

– I co, praczka też dostała cięgi? – spytałam.

– Ciągnęła mnie za włosy – powiedział w zadumie.

– Wyrwała mi garść z cebulkami.

Mówię ci, Angielko, jeśli kiedykolwiek poczuję potrzebę zmiany zatrudnienia, nie sądzę, żebym zajął się okradaniem kobiet. To cholernie ciężki sposób zarabiania na życie.

Przed świtem zaczął padać gęsty deszcz ze śniegiem, ale jechaliśmy jeszcze przez jakiś czas, zanim Ewan Gibson niezbyt pewny, gdzie się znajduje, zatrzymał konia. Ociężale uniósł się w strzemionach. Rozejrzał się i wskazał na wzgórze po lewej stronie.

W ciemnościach jazda wierzchem po stromym zboczu była niemożliwa. Musieliśmy prowadzić konie. Wspinaliśmy się mozolnie krok za krokiem po błotnistym, prawie niewidocznym szlaku, który wiódł zygzakiem wśród wrzosów i granitowych głazów. Na szczyt dotarliśmy o brzasku. Grube chmury zakrywały horyzont, ale przyćmione światło wyłaniające się nie wiadomo skąd

zaczęło zastępować szarość nocy. Teraz przynajmniej można było ominąć zimne potoczki, wystające kamienie i krzewy jeżyn.

U stóp wzgórza rozciągała się mała dolina. Znajdowało się tam sześć domów, a raczej prymitywnych konstrukcji, które przycupnęły w cieniu modrzewi. Kryte strzechą, spadziste dachy niemal sięgały ziemi. Tylko niektóre chaty miały kamienne ściany.

Zatrzymaliśmy się przed jednym z domostw. Ewan spojrział na Jamiego. Wahał się, jakby stracił orientację. Jamie skinął głową. Ewan schylił się i zniknął pod nisko zwisającym dachem. Podeszłam bliżej do Jamiego i położyłam mu rękę na ramieniu.

– To chata Hugh’a Munro – powiedział cicho. – Przywiozłem starego druha do domu, do żony.

Przeniosłam spojrzenie z ciemnego niskiego wejścia na bezwładny okryty szarfą kształt. Dwóch mężczyzn ścigało zwłoki z konia. Jamie zadrżał. Na chwilę zamknął oczy.

Poruszył ustami, zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę, żeby unieść ciało. Wzięłam głęboki oddech, odgarnęłam włosy z twarzy i poszłam za Jamieem do chaty.

Nie było tak źle, jak się obawiałam. Kobieta, wdowa po Hughu, w milczeniu słuchała składanych jej kondolencji. Jamie mówił po celtycku przyciszonym głosem. Stała z pochyloną głową, łzy spływały jej po policzkach jak krople deszczu. Sięgnęła niepewnie po okrywającą ciało szarfę. Chciała ją ściągnąć, ale nie zdobyła się na odwagę. Jedną ręką dotykała całunu okrywającego obły kształt, a drugą przyciskała do siebie

małe dziecko.

Przy kominku stało kilkoro dzieci – pasierbów Hugh'a. Niewielkie zawiniątko w pieluszkach leżało w prymitywnej kołysce przy palenisku. Przynajmniej tyle pozostawił po sobie Hugh, pomyślałam. Otuchę wyparło przerażenie. Patrzyłam na smutne twarze maluchów. Hugh był ich żywicielem. Ewan, choć odważny i pracowity, miał zaledwie czternaście lat, a kolejnym najstarszym dzieckiem była dwunastoletnia dziewczynka. Jak sobie poradzą?

Twarcz kobiety była postarzała i poryta zmarszczkami. Doznałam szoku, gdy zdałam sobie sprawę, że żona Hugh'a mogła być ode mnie tylko o kilka lat starsza. Wskazała pojedyncze łóżko. Jamie delikatnie złożył tam ciało. Znowu przemówił do niej po celtycku. Bezradnie potrząsnęła głową, wciąż wpatrując się w długi bezwładny kształt.

Jamie ukląkł przy zwłokach i położył na nich rękę. Mówił cicho, ale wyraźnie. Znałam celtycki niezbyt dobrze, ale rozumiałam sens słów Jamiego.

– Przyrzekam ci, przyjacielu, i niech Bóg Wszchemogący będzie mi świadkiem. Przez wzgląd na twoją miłość do mnie. Ci, którzy należą do ciebie, nigdy nie zazną biedy, dopóki sam zdołam im pomóc.

Kłęczał długo. W chacie panowała cisza. Słychać było tylko trzaskanie palącego się torfu i miękkie uderzenia deszczu o strzechę. Pod wpływem wilgoci włosy na pochylonej głowie Jamiego ściemniały. Krople wody świeciły jak drogie kamienie w fałdach szarfy.

Jego ręka zacisnęła się w ostatecznym pożegnaniu. Wstał z klęczek.

Jamie uklonił się pani Munro, odwrócił się i wziął mnie za rękę. Jednak zanim wyszliśmy, odsunięto na bok kawałek krowiej skóry zasłaniającej niskie wejście.

Cofnęłam się, żeby zrobić miejsce dla Mary Hawkins i Murtagha.

Mary była przemoczona i oszołomiona. Wilgotną szarfę zarzuciła na ramiona, brudne kapcie wystawały spod zabłoconego brzegu szlafroka. Dziewczyna szybko się do mnie przysunęła.

– Nie ch-chciałam wchodzić do środka – wyszeptala, patrząc nieśmiało na wdowę po Hughu Munro.
– Ale pan Murtagh nalegał.

Brwi Jamiego uniosły się pytająco, gdy Murtagh składał ukłon pani Munro i mówił coś do niej po celtycku. Drobnym człowieczkiem wyglądał jak zawsze srogo, ale odniosłam wrażenie, że w jego zachowaniu pojawił się rys wyjątkowej godności. Przed sobą niósł wypchaną sakwę przytraczaną do siodła. Pomyślałam, że to może pożegnalny prezent dla pani Munro.

Murtagh położył sakwę na podłodze u moich stóp. Wyprostował się, spojrział na mnie, potem na Mary i na wdowę po Hughu Munro, a w końcu na Jamiego. Gdy już sobie zapewnił odpowiednią widownię, skłonił mi się formalnie. Kosmyk mokrych włosów swobodnie opadł mu na czoło.

– Oto twa zemsta, pani – powiedział. Nigdy przedtem nie słyszałam, żeby mówił tak cicho. Skinął po kolei Mary, pani Munro. – I sprawiedliwość za zło, które wam wyrządzono.

Mary kichnęła. Szybko wytarła nos fałdą szarfy.

Zbita z tropu gapiała się na Murtagha szeroko otwartymi oczami. Spojrzałam na wypchaną sakwę. Nagle poczułam, jak wstrząsa mną głęboki dreszcz, który nie ma nic wspólnego z pogodą na dworze. Wdowa po Hughu Munro opadła na kolana. Pewnym ruchem otworzyła sakwę i wyciągnęła z niej głowę księcia Sandrighnama.

45

NIECH DIABLI WEZMĄ WSZYSTKICH RANDALLÓW

Podróż do Szkocji odbywała się krętymi drogami. Musieliśmy przemykać się i chować w obawie, że zostaniemy rozpoznani jako ludzie z gór. Nie mogliśmy kupić żywności ani nawet jej wyżebrać. Okradaliśmy więc opuszczone chaty i zbieraliśmy nieliczne rośliny jadalne, jakie udało nam się znaleźć na polach.

Posuwaliśmy się na północ bardzo powoli. Nie wiedzieliśmy, gdzie dokładnie znajduje się szkocka armia. Postanowiliśmy podążać do Edynburga. Tam łatwiej było zdobyć informacje na temat kampanii. Przez kilka tygodni nie mieliśmy żadnych wiadomości. W końcu dowiedzieliśmy się, że odsiecz dla zamku Stirling zakończyła się klęską Anglików i że Szkoci odnieśli zwycięstwo w bitwie o Falkirk. Co stało się potem?

Gdy dotarliśmy już do wybrukowanej szarymi kamieniami ulicy Royal Mile, Jamie natychmiast udał się do dowództwa armii. Mnie polecił, żebym poszła z Mary do mieszkania Aleksa Randalla. Szłyśmy pospiesznie w milczeniu. Bałyśmy się, co tam zastaniemy.

Aleks Randall był tam. Gdy Mary weszła do

pokoju, ugięły się pod nią kolana.

Przyklękła przy łóżku chorego. Wyrwany nagle z drzemki, otworzył oczy i zamrugał.

Potem jego twarz rozbłysła tak, jakby dostąpił łaski boskiej.

– Och, Boże! – powtarzał załamującym się głosem, zanurzając usta we włosach dziewczyny. – Och, Boże, myślałem... och, Boże, modliłem się... żeby cię zobaczyć choć raz. Jeden jedyny.

Uznałam, że nie wystarczy po prostu odwrócić wzrok. Wyszłam na klatkę schodową i przez pół godziny siedziałam na schodach półpiętra.

W końcu stwierdziłam, że powinnam już wrócić. Weszłam do małego pokoju.

W ciągu kilku tygodni nieobecności Mary nabrał posępnego wyglądu i zarósł brudem.

Zbadałam Randalla, delikatnie dotykając rękami słabnącego ciała. Dziwiłam się, że przeżył tak długo. Z pewnością nie zostało mu już wiele czasu.

Wyczytał prawdę z mojej twarzy i skinął głową. Nie był zaskoczony.

– Czekałem – powiedział cicho. Wyczerpany z wysiłkiem oparł się na poduszkach. – Miałem nadzieję... że przyjdzie. Zostałem wysłuchany. Codziennie się o to modliłem.

Teraz umrę w spokoju.

– Aleksie! – krzyknęła Mary z udręką, jakby ktoś mocno ją uderzył.

Uśmiechnął się i uścisnął jej rękę.

– Wiedzieliśmy o tym od tak dawna, kochanie –

szeptała. – Nie rozpaczaj. Zawsze pozostanę z tobą, będę na ciebie patrzył, kochał cię. Nie płacz, najdroższa.

Posłusznie wytarła bladoróżowe policzki, ale nie mogła powstrzymać łez. Pomimo że pogrążona w wielkiej rozpaczycy nigdy nie wyglądała pięknie.

– Pani Fraser – odezwał się Aleks. Najwyraźniej zebrał siły, żeby poprosić o jeszcze jedną przysługę. – Jutro... czy przyjdzie pani jutro wraz z mężem? To ważne.

Wahałam się przez chwilę. Bez względu na to, czego Jamie się dowiedział, będzie chciał natychmiast opuścić Edynburg, żeby dołączyć do armii i odnaleźć pozostałych swoich ludzi. Nie potrafiłam jednak odmówić błaganiu. Oczy umierającego młodzieńca patrzyły na mnie z taką nadzieją. Poza tym jeden dzień zwłoki i tak nie wpłynie na wynik wojny, pomyślałam.

– Przyjdziemy – obiecałam.

– Jestem głupcem – gderał Jamie, gdy wspinaliśmy się po stromych brukowanych ulicach do domu, w którym mieszkał Aleks Randall. – Powinniśmy wyjechać wczoraj natychmiast, jak tylko odzyskaliśmy perły z lombardu! Czy wiesz, jak daleko jest do Inverness? A mamy nie konie, lecz szkapy!

– Tak, tak – odparłam niecierpliwie. – Ale obiecałam. Gdybyś go widział... zresztą za chwilę sam zrozumiesz.

Bez dalszych narzekań poszedł za mną po krętych schodach w górę zniszczonego budynku.

Mary na pół siedziała, na pół leżała na łóżku, wciąż w podartym ubraniu podróżnym.

Przytulała Aleksa mocno do piersi. Była z nim

pewnie całą noc.

Gdy Randall mnie dostrzegł, delikatnie oswobodził się z uścisku. Poklepał ręce dziewczyny i odłożył je na bok. Podparł się na łokciu. Jego twarz była bielsza niż lniana pościel.

– Pani Fraser – powiedział.

Uśmiechnął się smętnie. Świecąca od potu skóra i szara bladeść wskazywała na ostry atak choroby.

– Jak to dobrze, że jesteś, pani – wydyszał. Popatrzył na mnie. – Czy mąż...

przyszedł?

Jakby w odpowiedzi na pytanie do pokoju wszedł Jamie. Mary, porażona nieszczęściem, błędnym wzrokiem spojrzała najpierw na mnie, potem na Jamiego.

Wstała i nieśmiało położyła rękę na jego ramieniu.

– J-j-ja... my... p-p-potrzebujemy ciebie, lordzie Tuarach – wyjąkała.

Jamie miał ponury wyraz twarzy, ale zelzało w nim trochę napięcie. Uprzejmie skłonił głowę w jej stronę.

– Poprosiłem twoją żonę, milordzie, żeby cię przyprowadziła. Jak widzisz, umieram.

Aleks Randall wyprostował się i usiadł na brzegu łóżka. Jego szczupłe nogi pod wystrzępionym brzegiem koszuli nocnej były białe jak kość. Palce długie i szczupłe zsiniały z powodu złego krążenia krwi.

Widziałam różne postaci śmierci. Jest to przeważnie straszne doświadczenie, choć niekiedy bywa inaczej – wtedy, gdy człowiek, który wie, że jego dni są policzone, odważnie wychodzi śmierci naprzeciw. Przetrzaśnąłam zawartość apteczki w poszukiwaniu digitaliny, którą

przygotowałam dla Aleksa. Miałam szereg naparów o różnej mocy, fiolek zawierających płyny w kilku odcieniach brązu. Bez wahania wybrałam najciemniejszy preparat. W oddechu Aleksa słyszałam bulgotanie wody w płucach.

Jednak to nie digitalina, ale cel, do którego dążył, utrzymywał go przy życiu.

Rozświetlał mu twarz tak, jakby za woskową skórą paliła się świeca. Widywałam to już przedtem u mężczyzn i kobiet o woli dość silnej, by przez jakiś czas zapanować nad ciałem.

Pomyślałam, że może taka jest geneza powstania niektórych duchów. Wola i cel przetrwały, mimo że kruche ciało uległo zniszczeniu. Nie bardzo chciałam, by straszyl mnie duch Aleksa Randalla. Dlatego między innymi skłoniłam Jamiego, żeby ze mną przyszedł.

Wyglądało na to, że Jamie dochodził do podobnych wniosków.

– Tak – powiedział cicho. – Widzę. Czy chcesz mnie o coś poprosić?

Aleks skinął głową. Na chwilę przymknął oczy. Uniósł fiolkę, którą mu podałam, wypił jej zawartość. Skrzywił się z powodu gorzkiego smaku naparu. Otworzył oczy i uśmiechnął się do Jamiego.

– Tylko o twoją obecność, milordzie – odpowiedział słabym głosem. – Obiecuję, że nie zatrzymam cię tu długo, panie. Czekamy na jeszcze jedną osobę.

Czekaliśmy. Robiłam dla Aleksa Randalla, co mogłam. A biorąc pod uwagę okoliczności, niezbyt wiele. Znowu podałam mu napar z naparstnicy i odrobinę

kamfory, żeby ulżyć w oddychaniu. Zdawało się, że po zażyciu lekarstw czuje się trochę lepiej.

Przyłożyłam prowizoryczny stetoskop do zapadniętej klatki piersiowej. Usłyszałam jednak bardzo mozolne uderzenia serca, przerywane częstymi skurczami i palpitacjami.

Spodziewałam się, że w każdej chwili może przestać bić.

Mary cały czas trzymała młodzieńca za rękę, a on wpatrywał się w nią intensywnie, jakby starał się zapamiętać każdy najdrobniejszy rys twarzy ukochanej. Wydawało się, że przeszkadzamy im samą swoją obecnością w pokoju.

Drzwi otworzyły się i na progu stanął Jack Randall. Nic nie rozumiejąc, spoglądał przez chwilę to na mnie, to na Mary. Kiedy dostrzegł Jamiego całkowicie go zamurowało.

Jamie popatrzył mu odważnie w oczy, potem odwrócił się i skinął głową w kierunku łóżka.

Na widok wymizerowanej twarzy brata Jack Randall szybko przeszedł przez pokój i opadł na kolana przy posłaniu.

– Aleksie! – wyszeptał. – Mój Boże, Aleksie...

– Wszystko w porządku – wymamrotał młodzieniec. Ujął twarz Jacka w kruche ręce i uśmiechnął się do niego, usiłując pocieszyć. – Wszystko w porządku, Johnny.

Wzięłam Mary za łokieć i delikatnie odciągnęłam ją od łóżka. Bez względu na to, jakim człowiekiem był Jack Randall, zasługiwał, żeby móc na osobności zamienić kilka słów ze swoim konającym bratem. Pograżona w rozpacz

nie stawiała oporu. Poszła ze mną w odległy koniec pokoju i usiadła na stołku. Zwilżyłam chusteczkę wodą z dzbanka i dałam jej, by otarła oczy. Ale siedziała bez życia, kurczowo ściskając ją w rękę.

Z westchnieniem wzięłam od nieszczęsnej dziewczyny wygnieciony kawałek płótna i wytarłam jej twarz. Na tyle, na ile mogłam, przyglądałam też włosy.

Obejrzałam się za siebie, bo od strony łóżka dobiegł cichy, stłumiony odgłos. Jack klęczał z twarzą przytkniętą do kolan brata. Aleks jedną ręką głaskał go po głowie, drugą ściskał dłoń.

– John – powiedział. – Wiesz, że nie jest mi łatwo cię o to prosić. Ale przez wzgląd na twoją miłość do mnie...

Zakąsał, wysiłek zabarwił jego policzki gorączkowym rumieńcem.

Wyczułam, jak Jamie sztywnieje. Jonathan Randall też spał się cały, jakby czuł na sobie siłę wzroku Jamiego.

– Aleksie – szepnął. Położył rękę na ramieniu młodszego brata, jakby chciał uciszyć kaszel. – Nie martw się. Wiesz, że nie musisz prosić. Zrobię, co zechcesz. Chodzi o...

dziewczynę?

Zwrócił się w stronę Mary, ale nie potrafił zdobyć się na to, by na nią spojrzeć.

Aleks skinął głową, wciąż zanosząc się kaszlem.

– Wszystko w porządku – powiedział John. Położył obie ręce na ramionach Aleksa i pomógł mu opaść na poduszki. – Nie pozwolę, by czegokolwiek jej brakowało. Możesz być spokojny.

Jamie popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

Wolno potrząsnęłam głową.

Czułam, jak włoski jeż mi się na karku i wzdłuż kręgosłupa. Wszystko zaczynało mieć sens: rumieniec na twarzy Mary, rozpacz i pozorna gotowość do poślubienia bogatego Żyda z Londynu.

– Nie chodzi o pieniądze – wtrąciłam się nagle. – Mary spodziewa się dziecka. On chce... – przerwałam i odchrząknęłam. – Myślę, że on pragnie, żebyś ją poślubił.

Aleks skinął głową z zamkniętymi oczami. Oddychał ciężko przez chwilę. Potem otworzył jasne piwne oczy i utkwił je w twarzy oszołomionego, zdezorientowanego brata.

– Tak – powiedział. – John... Johnny, chcę, żebyś się nią zaopiekował... żeby mój potomek nosił nazwisko Randall. Możesz... dać Mary i dziecku pewną pozycję w świecie, dużo lepszą, niż ja mógłbym kiedykolwiek.

Wyciągnął rękę. Mary chwyciła ją i przycisnęła do piersi. Czule się uśmiechnął do ukochanej i dotknął lśniących, ciemnych loków.

– Mary pragnąłbym... wiesz czego, moja droga. Tak wielu rzeczy. I tak wielu żałuję.

Prócz naszej miłości. Dałaś mi największą radość. Umrę zadowolony. Obawiam się jedynie, że możesz być narażona na wstyd i hańbę.

– Wcale się tym nie przejmuję! – wykrzyknęła zawzięcie Mary. – Nie obchodzi mnie, kto się dowie!

– Ale mnie obchodzi – rzekł cicho Aleks.

Wyciągnął rękę do brata. Kapitan ujął ją po chwili wahania. Potem konający młodzieniec umieścił dłoń Mary w dłoni Jacka. Ręka Mary leżała bezwładnie, a Jacka

Randalla sztywno jak martwa ryba na drewnianej deseczce, lecz Aleks objął je razem.

– Moi ukochani, powierzam was sobie nawzajem – wyszeptał.

Powiódł wzrokiem od jednej twarzy do drugiej. Na obu malowało się przerażenie i przemożny smutek, przecucie nadchodzącej straty.

– Ale... – wymamrotał Jonathan Randall.

Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, zupełnie zabrakło mu słów.

– Dobrze. – Aleks otworzył oczy i odetchnął, uśmiechając się do brata. – Nie zostało wiele czasu. Sam udzielię wam ślubu. Właśnie dlatego poprosiłem panią Fraser, żeby przyprowadziła męża. Czy będzie pan świadkiem wraz z żoną?

Spojrzał na Jamiego, który po chwili wywołanego zaskoczeniem bezruchu skinął głową jak automat.

Nigdy w życiu nie widziałam trzech osób tak głęboko nieszczęśliwych.

Aleks był wycieńczony chorobą. Jego brat z kamienną twarzą musiał mu pomóc zapiąć na bladej szyi sztywną, białą koloratkę. Bruzdy na twarzy Jonathana stały się bardzo głębokie. Kapitan wydawał się o wiele starszy, niż był w rzeczywistości.

Zapadnięte oczy spoglądały z głębokich jak kostne jamy oczodołów. Ubrany, jak zawsze, bez zarzutu przypominał kiepsko wykonany manekin krawiecki: rysy twarzy miał jak grubo wyciosane w kawałku drewna.

Nieszczęśliwa Mary siedziała na łóżku. Szlochała bezradnie, wtulając twarz w fałdy płaszcza. Jej

rozczochrane włosy sterczały naelektryzowane. Staralam się wygładzić ubranie dziewczyny i trochę uporządkować fryzurę. Mary nie reagowała. Siedziała, dalej pociągając nosem, z oczami wlepionymi w Aleksa.

Aleks zebrał się w sobie, wyciągnął rękę w stronę biurka i grzebał po omacku w szufladzie. W końcu wyciągnął duży modlitewnik. Książka była dla niego za ciężka, żeby trzymać ją tak, jak się to zwykle robi. Nie mógł wstać, więc z wysiłkiem usiadł na łóżku. Otwarty modlitewnik położył na kolanach. Zamknął oczy. Oddychał bardzo ciężko.

Kropelka potu, która spadła z twarzy, poplamiała gęsto zadrukowaną stronicę.

– Ukochani – zaczął Aleks. Miałam nadzieję, że ze względu na siebie, jak i na wszystkich zebranych, wybrał skróconą wersję ceremonii.

Mary przestała płakać. Czerwony nosek błyszczał w bladej twarzy, na górnej wardze zostało trochę śliny. Jonathan machinalnie wyciągnął z rękawa dużą kwadratową chusteczkę i podał dziewczynie w milczeniu.

Nie patrząc na Jacka, wzięła ją z lekkim skinieniem głowy i nieuważnie wytarła twarz.

Kiedy nadszedł odpowiedni moment powiedziała „tak”. Ale sprawiała wrażenie, że zupełnie ją nie obchodzi, co mówi.

Jack Randall złożył przysięgę stanowczym głosem, ale duchem był zupełnie gdzie indziej. Być świadkiem na ślubie dwojga ludzi, którzy niezupełnie zdają sobie sprawę ze swojej obecności, to dziwne przeżycie. Oboje pozostawali całkowicie skupieni na mężczyźnie, który

siedział przed nimi z oczami utkwionymi w stronicach leżącej na kolanach książki.

Po wszystkim ani ja, ani Jamie nie spieszyliśmy się z gratulacjami. Zapadła niezręczna cisza. Jamie spojrzął na mnie pytająco. Wzruszyłam ramionami. W dniu naszego ślubu zemdlałam, a Mary wyglądała tak, jakby zamierzała pójść w moje ślady.

Po przeprowadzeniu ceremonii zaślubin Aleks siedział przez chwilę zupełnie bez ruchu. Uśmiechnął się lekko i potoczył wzrokiem po pokoju. Kolejno spoglądał na twarze: Jonathana, Jamiego, Mary i moją. Gdy na mnie patrzył, spostrzegałam światło w głębokich piwnych oczach. Ogarek świecy wypalał się, ale końcówka knota zapłonęła jasno i mocno.

Wzrok Aleksa spoczął na Mary. Potem młodzieniec na chwilę zamknął oczy, jakby nie mógł na nią patrzeć. Słyszałam powolny, mozolny, chrapliwy oddech. Ogień, który rozświetlał wymęczoną twarz, bladł i przygasał, świeca kapała.

Nie otwierając oczu, uniósł rękę. Jonathan złapał jego dłoń, objął brata za ramiona i powoli położył na poduszki. Długie dłonie, gładkie jak u chłopca, bielsze niż koszula drgały niespokojnie.

– Mary – wyszeptał sinymi wargami.

Dziewczyna złapała jego błędzące nerwowo dłonie i przycisnęła do piersi.

– Jestem tu, Aleksie. Och, Aleksie, jestem przy tobie!

Pochyliła się nad ukochanym i szeptała mu coś do ucha. Zmusiła tym Jonathana Randalla do zrobienia kroku

w tył. Stał i patrzył na nich oczami bez wyrazu.

Ciężkie powieki Aleksa uniosły się raz jeszcze, choć tylko do połowy. Szukał wzrokiem brata, a gdy go odnalazł powiedział:

– Johnny. Taki... dobry dla mnie. Zawsze... Johnny.

Mary pochyliła się nad Alekssem. Opadające loki zasłoniły jego twarz. Jonathan Randall stał nieruchomy jak skała, patrząc na brata i żonę. W pokoju słychać było tylko trzaskanie ognia na kominku i cichy szloch Mary Randall.

Poczułam, że ktoś dotyka mojego ramienia. To Jamie, wskazał głową na nieszczęsną pannę młodą.

– Zostań z Mary – powiedział cicho. – To już nie potrwa długo, prawda?

– Tak.

Skinął głową. Wziął głęboki oddech i podszedł do Jonathana Randalla. Wziął go za ramię i delikatnie odwrócił do drzwi.

– Chodź – odezwał się cicho. – Odprowadzę cię bezpiecznie do kwatery.

Krzywe drzwi zaskrzypiały, gdy wychodził, by zaprowadzić Jacka Randalla w miejsce, gdzie kapitan spędzi noc poślubną, samotnie.

Zamknęłam za sobą drzwi gospody i oparłam się o nie ciężko. Byłam wyczerpana. Na zewnątrz dopiero zapadł zmrok. Okrzyki stróża nocnego odbijały się echem po ulicy.

Jamie czekał na mnie przy oknie, patrząc, czy nadchodzę. Podszedł, gdy tylko weszłam, i przytulił do siebie mocno, zanim zdjęłam płaszcz. Rozluźniłam się w ramionach Jamiego, wdzięczna za oparcie, ciepło i siłę.

Wziął mnie na rękę i zaniósł na siedzenie przy oknie.

– Napij się czegoś, Angielko – nalegał. – Wyglądasz na bardzo wyczerpaną. I nic dziwnego.

Wziął ze stołu butelkę i przygotował napój, prawdopodobnie brandy z wodą.

Z wysiłkiem przyglądałam włosy. Wyszliśmy z domu zaraz po śniadaniu i udaliśmy się do domu przy ulicy Ladywalk Wynd. Teraz minęła już osiemnasta. Czułam się tak, jakby nie było mnie kilka dni.

– To już nie trwało długo. Biedak. Wyglądało tak, jakby czekał tylko, żeby zapewnić Mary bezpieczną przyszłość. Przesłałam wiadomość do jej ciotki. Przyszła po nią razem z dwoma kuzynami. Zajmą się... Alekssem.

Z wdzięcznością sęczyłam brandy. Paliła w gardle, opary alkoholu gęstniały w mojej głowie jak mgła na wrzosowiskach, ale nic mnie to nie obchodziło.

– W każdym razie – zaczęłam po chwili, starając się uśmiechnąć – przynajmniej wiemy, że mimo wszystko Frank jest bezpieczny.

Jamie spojrzał na mnie groźnie, rude brwi prawie zetknęły się ze sobą.

– Niech diabli wezmą Franka! – krzyknął gniewnie. – Niech diabli wezmą wszystkich Randallów! Do diabła z Jackiem Randallem i Mary Hawkins-Randall, i do diabła z Alekssem Randallem... Och, to znaczy niech spoczywa w spokoju – poprawił się szybko i przeżegnał.

– Mówiłeś, że nie jesteś zazdrosny.

Rzucił mi piorunujące spojrzenie.

– Kłamałem – powiedział.

Złapał mnie za ramiona i lekko potrząsał, trzymając

w pewnej odległości od siebie.

– I niech diabli wezmą ciebie, Claire Randall-Fraser, skoro już o tym mowa! – dorzucił. – Masz rację, do cholery! Jestem zazdrosny! Zazdroszczę każdego wspomnienia, którego nie mogę z tobą dzielić, każdej łyzy, którą wylałaś przez innego mężczyznę, i każdej sekundy, którą spędziłaś w jego łóżku! Do diabła z tobą!

Wytrącił mi kieliszek z ręki – chyba niechcący – przyciągnął mnie do siebie i mocno pocałował.

Po chwili się odsunął, by znowu mną potrząsnąć.

– Cholera jasna, Claire Fraser, jesteś moja! Moja! I nie będę się tobą dzielił z nikim, dopóki żyję. Nigdy więcej nie wymieniam nazwiska tego mężczyzny. Słyszysz!?

Znowu mocno mnie pocałował, żeby podkreślić wagę swoich słów.

– Słyszysz? – powtórzył, przerywając pocałunek.

– Tak. Gdybyś... przestał mną potrząsać mogłabym ci... wcześniej odpowiedzieć.

Trochę zmieszany rozluźnił uścisk.

– Przepraszam, Angielko. Tylko że... Boże, dlaczego... no tak, rozumiem... ale czy musiałaś...

Przerwałam chaotyczny bełkot. Położyłam Jamiemu rękę na szyi i przyciągnęłam jego głowę ku sobie.

– Tak – powiedziałam stanowczo. – Musiałam. Ale już po wszystkim.

Rzuciłam płaszcz na podłogę. Jamie chciał się schylić, żeby podnieść, ale go powstrzymałam.

– Jamie, jestem zmęczona. Zaniesiesz mnie do łóżka?

Wciągnął nosem powietrze, potem powoli wypuścił

je ustami. Cały czas wpatrywał się we mnie oczami zapadniętymi głęboko ze zmęczenia i napięcia.

– Dobrze – powiedział w końcu miękko. – Tak zrobię.

Z początku był milczący i szorstki. Jego nie wygasły gniew zaostrzał miłość.

– Ooch! – krzyknęłam w pewnej chwili z bólu.

– Boże, przepraszam, *mo duinne*, nie mogę...

– Nic nie szkodzi. – Przerwałam przeprosiny pocałunkiem.

Trzymałam go mocno. Czułam, jak złość powoli się w nim wypala, a czułość między nami narasta. Nie przerwał pocałunku. Leżąc bez ruchu, pieścił moje usta koniuszkiem języka.

Przytrzymałam jego twarz w dłoniach. Nie golił się od rana. Słaby rudy zarost przyjemnie tarł opuszki palców.

Jamie położył się trochę bardziej z boku, by nie przygniatać mnie swoim ciężarem, i kochaliśmy się dalej. Dotykaliśmy swoich ciał, połączeni bliskością. Rozmawiając bezgłośnym językiem.

Żyjemy i stanowimy jedność. A dzięki miłości śmierć nigdy nas nie dosięgnie, myślałam. Aleks Randall leżał zimny w swoim łóżku, a Mary Randall samotnie w swoim.

Lecz my byliśmy razem i nic się poza tym nie liczyło.

Dużymi ciepłymi dłońmi schwycił mnie za biodra i przyciągnął do siebie. Dreszcz, który mną wstrząsnął, poruszył także Jamiego, stanowiliśmy jedno ciało.

Obudziłam się w nocy, wciąż w jego ramionach.

Wiedziałam, że czuwa.

– Śpij, *mo duinne* – powiedział.

Choć głos brzmiał miękko, cicho i uspokajająco, zaniepokoił mnie jego ton.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam policzka Jamiego. Był mokry od łez.

– Co ci jest, najdroższy? – spytałam szeptem. – Jamie, kocham cię.

– Wiem, moja jedyna – odparł cicho. – Pozwól, że we śnie ci powiem, jak bardzo cię kocham. Bo, gdy nie śpisz, mogę jedynie raz za razem powtarzać te same, jakże ubogie słowa. A to, co w świetle dnia wydać się może niemądre, w snach będzie prawdziwe.

Zaśnij, *mo duinne*.

Odwrociłam się i pocałowałam go w szyję, gdzie pod małą trójkątną blizną bił puls.

Potem położyłam głowę na szerokiej, twardej piersi i powierzyłam Jamiemu pieczę nad moimi sennymi marzeniami.

46

TIMOR MORTIS CONTURBAT ME * [*Strach przed śmiercią przeraża mnie.]

Podążając za wycofującą się armią z gór, napotykałiśmy mnóstwo ludzi i znajdowaliśmy pełno pozostawionych przez nich śladów. Mijaliśmy małe grupy mężczyzn. Szli wytrwale z opuszczonymi głowami w zacinającym deszczu. Inni leżeli w rowach i pod żywoplotami, zbyt wyczerpani, by iść dalej. Wyposażenie i uzbrojenie leżało porzucone przy drodze. Tu przewrócony

wóz z workami, z których wysypała się mąka, tam pod drzewem mała cysterna, beczki błyszczące w cieniu.

Zła pogoda przez całą drogę opóźniała marsz. Był trzynasty kwietnia. Jechałam i szłam z dręczącym uczuciem lęku w sercu. Jak powiedział nam jeden z napotkanych MacDonaldów, lord George i wodzowie klanów, książę oraz jego główni doradcy przebywali w Culloden House. Nie wiedział zbyt wiele, więc go nie zatrzymaliśmy.

Odszedł, potykając się jak zombie, i zniknął w mgłę. Gdy Anglicy pojмали mnie miesiąc temu, racje żywnościowe były skąpe, najwyraźniej sprawy przybierały coraz gorszy obrót.

Mężczyźni, których mijaliśmy, poruszali się powoli, wielu zataczało się z wycieńczenia i głodu. Jednak zgodnie z rozkazem księcia uparcie podążali na północ, do miejsca zwanego przez Szkotów torfowiskiem Drumossie, do Culloden.

Na jednym odcinku droga była zbyt trudna do przebycia dla bardzo zmęczonych koni. Musieliśmy oprowadzić je około kilometra skrajem małego lasu przez wilgotne wiosenne wrzosowisko.

– Będzie szybciej, jeśli przejdiesz na przełaj przez las – powiedział Jamie, wyjmując wodze z mojej zdrtwiałej ręki.

Wskazał głową niewielką kępę sosen i dębów, skąd słodkawa woń mokrych liści unosiła się z nasiąkniętej wilgocią ziemi.

– Idź tamtędy, Angielko. Spotkamy się po drugiej stronie.

Byłam zbyt zmęczona, żeby zaprotestować. Z

dużym wysiłkiem stawiałam kroki.

Miałam nadzieję, że marsz w lesie po gładkiej warstwie liści i opadłych igieł sosnowych będzie łatwiejszy niż po błotnistym, zdradliwym torfowisku.

W lesie panowała cisza, zawroźdzenie wiatru milkło wśród sosnowych konarów. Krople deszczu przenikały przez zasłoneę z gałęzi i uderzały lekko o podłozę. Dębowe liście szeleściły i trzeszczały pod moimi stopami.

Leżał tylko kilka metrów od odległego krańca lasu, obok dużego szarego kamienia.

Tartan był tej samej barwy co obrastające kamień jasnozielone porosty. Odcienie brązu zlewały się z przyniesionymi przez wiatr liśćmi, które przykryły ciało do połowy. Tak bardzo zdawał się częścią lasu, że mało brakowało, a nie zauważyłabym go i potknęła się, przechodząc, gdyby nie plama jaskrawego błękitu.

Dziwny, miękki jak aksamit grzyb okrył niczym płaszczem jego nagie zimne nogi. Był jak trawy i inne rośliny leśne wkracające na jałowe ziemie.

Grzyb miał jaskrawy odcień indygo. Nigdy przedtem takiego nie widziałam.

Słyszałam o nim jednak w szpitalu polowym od starego żołnierza, który walczył w okopach pierwszej wojny światowej.

– Nazwaliśmy ten grzyb pochodnią trupa – powiedział. – Jest jaskrawo-błękitny.

Można go zobaczyć tylko na polu walki, na ciele martwego żołnierza.

Oczy starego wiarusa patrzyły na mnie zaintrygowane zza białych bandaży.

– Zawsze się zastanawiałem, gdzie rośnie w czasie pokoju?

Może jego niewidoczne zarodniki unoszą się w powietrzu, czekając na okazję, pomyślałam. Dziwny jaskrawy kolor błyszczał jak urzet, którym przodkowie martwego żołnierza malowali się przed wyruszeniem na wojnę.

Lekki wietrzyk zwichrzył jedwabiste włosy na jego głowie. Poruszyły się i uniosły, jakby wciąż żył. Z tyłu dobiegł szelest liści. Wzdrygnęłam się i ocknęłam z transu, w jakim wpatrywałam się w zwłoki.

Jamie stanął przy mnie i spojrzał w dół. W milczeniu ujął mnie za łokieć i wyprowadził z lasu. Zostawiliśmy ciało martwego mężczyzny w saprofitycznych barwach wojny i poświęcenia.

W dalszej drodze niemiłosiernie popędzaliśmy konie i siebie.

Rankiem piętnastego kwietnia dojechaliśmy do Culloden House. Zbliżyliśmy się od południa. Najpierw przejechaliśmy obok skupiska zabudowań gospodarczych. Na trakcie panował niesamowity ruch, a dziedziniec przed stajnią był dziwnie wyludniony.

Jamie zsiadł z konia i podał wodze Murtaghowi.

– Poczekajcie chwilę – powiedział. – Coś tu jest nie w porządku.

Murtagh spojrzał na lekko uchylone drzwi stajni i skinął głową. Fergus, który jechał z jednym z członków klanu, chciał pójść za Jamiem, ale Murtagh powstrzymał go szorstkim słowem.

Zesztywniała od długiej jazdy zsiadłam z konia i

podążyłam za mężem. Ślizgałam się po błocie na dziedzińcu. Czułam, że coś jest nie tak. Weszłam do stajni i uzmysłowiłam sobie, o co chodzi – było za cicho.

W budynku panował bezruch. Zimno, mroczno, ani śladu krzątanimy, jaka zazwyczaj panuje w stajniach. Nagle jednak ciemny kształt, zbyt duży na szczura czy lisa, poruszył się w mroku.

– Kim jesteś? – spytał Jamie. Stał przede mną, żeby mnie osłonić. – Alec? Czy to ty?

Człowiek na sianie powoli uniósł głowę, kraciasta szarfa opadła. Koniuszy zamku Leoch miał tylko jedno oko, drugie stracił w wypadku wiele lat temu i zakrywał czarną przepaską. Ale jedno jasnyniebieskie oko o bystrym spojrzeniu mu wystarczało, żeby wszystkiego dopatrzeć i mieć posłuch u koni, chłopców stajennych, parobków i jeźdźców.

Teraz oko Aleca McMahona-MacKenziego przypominało matowy, szary łupek.

Niegdyś potężne energiczne ciało było teraz skurczone, a zapadnięte policzki naznaczało piętno głodu.

Wiedząc, że w wilgotną pogodę staruszek cierpi na artretyzm, Jamie przykucnął obok przyjaciela, żeby ten nie wstawał.

– Co tu się stało? – spytał. – Niedawno przyjechaliśmy.

Zdawało się, że stary Alec potrzebuje wiele czasu, żeby zrozumieć pytanie i wydobyć z siebie odpowiedź. Może to tylko cisza w opustoszałej, zacienionej stajni sprawiła, że słowa, gdy je w końcu wypowiedział, zadźwięczały głucho.

– Wszystko zeszło na psy. Dwa dni temu pomaszerowali na Nairn i wczoraj pośpiesznie wrócili. Jego Wysokość powiedział, że zdobędą Culloden. Lord George jest tam teraz z wojskiem, które udało mu się zebrać.

Nie mogłam powstrzymać się od cichego jęku na wzmiankę o Culloden.

Jamien wstrząsnął dreszcz. Zobaczyłam, jak malutkie rude włoski stają mu dęba na przedramionach, ale jego głos nie zdradził niepokoju.

– Wojska są źle przygotowane do walki. Czy lord George nie zdaje sobie sprawy, że muszą odpocząć i się najeść?

Zgrzytliwy dźwięk, jaki wydał z siebie stary Alec, tylko trochę przypominał śmiech.

– To, co Jego Lordowska Mość wie lub nie, jest bez znaczenia, chłopcze. Jego Wysokość przejął dowodzenie nad armią. Twierdzi, że staniemy przeciw Anglikom na Drumossie. A jeśli chodzi o jedzenie...

Z krzaczastych posiwiałych brwi staruszka sterczały na boki grube włosy. Z wysiłkiem uniósł jedną brew, jakby nawet tak niewielki ruch był wyczerpujący. Sękaty palec wskazał puste boksy.

– W zeszłym miesiącu zjedli konie – oznajmił po prostu. – Od tamtej pory nie ma prawie nic do jedzenia.

Jamie w szoku gwałtownie podniósł się i oparł o ścianę. Stał ze zwieszoną głową. Nie mogłam dostrzec wyrazu jego twarzy, ale wiedziałam, że ciało ma zeszywniałe jak drewno.

– Czy moi ludzie dostali porcję mięsa, która im się należała? – spytał w końcu. – Donas... był... dużym koniem.

Mówił cicho, z wyraźnym wysiłkiem panował nad głosem.

Starzec podniósł się wolno z siana. Z bolesną determinacją poruszał kalekim ciałem.

Położył powykręcaną dłoń na ramieniu Jamiego. Unieruchomione przez artretyzm palce nie mogły go uścisnąć, ale sam dotyk pocieszał.

– Nie zjedli Donasa – powiedział cicho. – Zatrzymali go dla księcia Tcharlacha, by go dosiadał podczas triumfalnego powrotu do Edynburga. O’Sullivan stwierdził, że... to nie wypada... by Jego Wysokość szedł pieszo.

Jamie zakrył twarz rękami. Drżał, ciągle wsparty o drewnianą ścianę boksu.

– Jestem głupcem – odezwał się po chwili. Oddychał bardzo ciężko. – Och, Boże, jakim jestem głupcem!

Opuścił ręce. Spływające łzy tworzyły smugi na twarzy zakurzonej w czasie podróży.

Przetarł policzek wierzchem dłoni, ale łzy płynęły mu ciurkiem z oczu, jakby było to całkowicie poza jego kontrolą.

– Sprawa przegrana, moi ludzie idą na rzeź, gnijące zwłoki leżą w lasach... a ja płaczę z powodu konia! Och, Boże – szepnął, potrząsając głową. – Jestem głupcem.

Stary Alec westchnął ciężko i pociągnął ręką wzdłuż ramienia Jamiego.

– To dobrze, że wciąż potrafisz płakać, chłopcze – powiedział. – Ja nie jestem już do tego zdolny.

Stary człowiek niezręcznie zgiął nogi w kolanach i

usiadł na sianie. Jamie przez chwilę patrzył na Aleca. Łzy wciąż spływały mu po twarzy. Były jak deszcz, który obmywa gładki granitowy głaz. Potem ujął mnie za łokieć i odwrócił się bez słowa.

W drzwiach stajni obejrzałam się za siebie. Alec siedział nieruchomo, ciemna zgarbiona postać okryta szarą. Jedno błękitne oko było tak samo niewidzące, jak i drugie.

Mężczyźni rozlokowali się w całym domu. Wyczerpani do ostateczności, szukali zapomnienia przed nękającym ich głodem i nieuniknioną klęską. Nie było kobiet. Dla bezpieczeństwa wodzowie odesłali żony do domu – widmo nadchodzącej klęski rzucało długi cień.

Jamie wymamrotał słowa przeprosin i zostawił mnie pod drzwiami tymczasowej kwatery księcia. Moja obecność była tam zbędna. Cicho chodziłam po domu. Wokół rozlegały się pomrukiwania śpiących mężczyzn. Powietrze emanowało rozpaczą.

Na górze znalazłam rupieciarnię. W środku nie było nikogo. Weszłam do tego labiryntu osobliwości. Czułam się trochę jak mały gryzoń, który szuka schronienia przed światem, gdzie uruchomiono ogromne, tajemnicze siły, by dokonały dzieła zniszczenia.

Przez małe okno pomieszczenia prześwitywał mglisty szary poranek. Brzegiem płaszcza starłam brud z szyby, ale nie zobaczyłam nic poza wszechogarniającą mgłą.

Oparłam czoło o zimne szkło. Gdzieś tam w oddali znajdowały się pola Culloden, a ja nie mogłam dostrzec niczego, oprócz własnego, niewyraźnego odbicia.

Wiedziałam, że wieści o makabrycznej i tajemniczej śmierci księcia Sandringhama dotarły do księcia Karola. Kiedy mogliśmy się już bezpiecznie pokazać, przekazywał nam je prawie każdy, z kim rozmawialiśmy w drodze na północ. Zastanawiałam się, co właściwie zrobiliśmy? Czy w czasie tej nocy na dobre przekreśliliśmy sprawę jakobitów, czy może przypadkowo uchroniliśmy Karola Stuarta od wpadnięcia w zastawioną przez Anglików pułapkę? Jeszcze jedna sprawa, która na zawsze pozostanie niewyjaśniona.

Zaskrzypiała pod palcem szyba, gdy zamyślona rysowałam na niej pionową linię.

Odniosłam wrażenie, że upłynęło dużo czasu, nim usłyszałam kroki na deskach schodów wiodących do mojego schronienia. Podeszłam do drzwi. Wystarczył rzut oka na Jamiego, żeby wszystko stało się jasne.

– Alec miał rację – powiedział bez wstępu. Głód i gniew zaostrzyły zdecydowane rysy jego twarzy. – Wojska idą na Culloden. Ludzie nie spali ani nie jedli od dwóch dni, brakuje im amunicji do armaty. Ale idą!

Gniew wybuchł nagle. Jamie uderzył pięścią w chybotliwy stół. Głośny brzęk sprofanował zalegającą ciszę. Mosiężne nakrycia spadały kaskadą ze sterty naczyń kuchennych.

Jamie gwałtownym gestem wyrwał sztylet zza pasa i wbił go mocno w stół. Sztylet drżał przez chwilę od siły uderzenia.

– Wieśniacy mówią, że krew na sztylcie oznacza śmierć. – Oparł zaciśnięte pięści na stole i z sykiem wciągnął powietrze w płuca. – Widziałem ją na moim!

Wszyscy widzieli.

Wiedzą Kilmarnockowie, Lochielowie i cała reszta.
I co z tego!

Spuścił głowę. Z rękami ciągle opartymi na stole wpatrywał się w sztylet. Wydawało się, że potężny Szkot z trudem mieści się w niewielkiej rupieciarni. Przypominał tłący się stos, który lada moment zajmie się ogniem. Wreszcie bezradnie podniósł ręce, z impetem usiadł na rozwalającej się ławie i ukrył twarz w dłoniach.

– Jamie – odezwałam się i głośno przełknęłam ślinę. Z trudnością przyszło mi wypowiedzenie następnych słów, ale musiały zostać powiedziane. Wiedziałam, jakie będą wieści.– Jamie. Jest tylko jedna rzecz, którą można zrobić. Tylko jedna.

Zwiesił głowę i oparł czoło na dłoniach. Potrząsnął głową, nie patrząc na mnie.

– Nie ma wyjścia – powiedział. – Książę się zawziął. Murray starał się go odwieść i Lochiel. I Balmerino. Ja. Ale żołnierze w tej godzinie staną na polu bitwy. Cumberland wyruszył do Drumossie. To koniec.

Moc uzdrawiania jest wielką sztuką. Każdy lekarz zna siłę działania substancji, które leczą. Ale zna też moc tych, które szkodzą. Dałam Columowi cyjanek, ale nie zdążył go zażyć. Wzięłam fiolkę z powrotem. Była teraz w mojej apteczce. Niedokładnie oczyszczone, matowe, brązowo-białe kryształki wyglądały zwodniczo nieszkodliwie.

W ustach miałam tak sucho, że nie od razu mogłam mówić. Wypiłam resztki wina z butelki. Na języku został gorzki smak żółci.

– Jest tylko jedno wyjście – powtórzyłam.

Jamie obejmował głowę rękami. Długa podróż, szok wywołany przekazanymi nam przez Aleca wiadomościami i zmęczenie – wszystko to spowodowało, że dopadła go depresja. Zbaczaliśmy z drogi, by odnaleźć jego ludzi. Na większość z nich natrafiliśmy.

Stanowili nieszczęsną, ubraną w łachmany grupę. Nie różnili się niczym od otaczających ich Fraserów z Lovat, którzy wyglądali jak szkielety. Rozmowa z Karolem była dla Jamiego ostatnią kroplą goryczy.

– Tak? – spytał.

Zawahałam się, ale musiałam to powiedzieć. Trzeba było wspomnieć o tej możliwości, niezależnie od konsekwencji.

– Chodzi o Karola Stuarta – wydusiłam w końcu. – Wszystko, bitwa, wojna, zależy tylko od niego, czy nie rozumiesz?

– Tak? – powtórzył Jamie, ale tym razem zaintrygowany spojrzał na mnie przekrwionymi oczami.

– Gdyby umarł... – wyszeptałam.

Jamie zamknął oczy, z twarzy odpłynęła mu reszta krwi.

– Gdyby zmarł... teraz. Albo dziś w nocy. Jamie, bez Karola nie ma o co walczyć. Nie będzie komu wydać ludziom rozkazów pod Culloden. Nie dojdzie do bitwy.

Mięśnie na szyi zadrżały, gdy przełykał ślinę. Otworzył oczy i zbulwersowany gapił się na mnie.

– Boże, chyba nie mówisz poważnie?

Zamknęłam dłoń na przydymionym, osadzonym w złocie kryształe górskim.

Przed bitwą o Falkirk, O’Sullivan, Tullibardine i inni wezwali mnie, żebym zajęła się księciem. Jego Wysokość nie jest chory, to niedyspozycja, powiedzieli. Zbadałam Karola, kazałam mu obnażyć klatkę piersiową i ramiona, oglądałam usta i białka oczu.

Szkorbut i związane z nim schorzenia wywołane złym żywieniem. Tyle ode mnie usłyszeli. – Bzdury! – wybuchnął oburzony Sheridan. – Jego Wysokość nie może cierpieć na jakąś pospolitą chorobę niczym zwykły wieśniak!

– Odżywia się jak wieśniak – ripostowałam. – A nawet gorzej.

„Wieśniacy” jedli cebulę i kapustę, bo nie mieli nic innego. Książę i jego doradcy pałaszowali mięso. Warzywa i owoce mieli w pogardzie. Dopadł ich szkorbut, zwany też gnilcem. Nietrudno było to dostrzec na naznaczonych bliznami rozżłoszczonych twarzach wielmożnych panów. Rany po zdrapanych ropnych wypryskach gęsto pokrywały białą skórę Jego Wysokości. Wypadały i ruszały się zęby, krwawiły dziąsła.

Niechętnie myślałam o odstąpieniu bezcennego zapasu owoców dzikiej róży i suszonych jagód, ale zaproponowałam, że sporządzę z nich księciu herbatkę ziołową.

Propozycja została prawie nieuprzejmie odrzucona. Wezwano Archiego Camerona z miską pijawek i lancetem. Zamierzano sprawdzić, czy upuszczenie krwi przyniesie księciu ulgę.

– Mogłabym to zrobić – powiedziałam. Serce biło mi tak mocno, że z trudem oddychałam. – Sporządzę

odpowiedni wywar. Myślę, że zdołam skłonić Jego Wysokość do wypicia naparu.

– A jeśli umrze tuż po wypiciu podanego przez ciebie „lekarstwa”? Boże, Claire!

Zostałabyś zgładzona na miejscu!

Włożyłam ręce pod ramiona, żeby je ogrzać.

– A jakie to ma znaczenie? – spytałam, rozpaczliwie starając się zapanować nad głosem.

Owszem miało znaczenie. W tej chwili moje życie było dużo ważniejsze niż setki tych, których mogłam uratować. Zacisnęłam pięści. Drżałam z przerażenia, jak mysz złapana w pułapkę.

Jamie od razu znalazł się obok mnie. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

Podtrzymując, zaprowadził mnie do połamanej ławy.

– Masz odwagę lwicy, *mo duinne* – wyszeptał mi do ucha. – Niedźwiedzia, wilka! Ale wiesz, że ci na to nie pozwolę.

Drżałam trochę mniej, ale było mi zimno i mdliło mnie z przerażenia.

– Wymyśliłam jeszcze inny sposób – odezwałam się po chwili. – Jedzenia jest niewiele, a jego resztki przeznaczono dla księcia. Chyba nie byłoby tak trudno niepostrzeżenie dodać coś do potrawy. W takim bałaganie...

Rzeczywiście. Oficerowie spali na stołach i podłogach, wciąż obuci, zbyt zmęczeni, żeby odłożyć broń. W domu panował chaos. Ludzie wchodzili i wychodzili. Łatwo można by odwrócić uwagę służącego i dodać śmiercionośny proszek do wieczornego posiłku.

Przerażenie, jakie odczuwałam, nieco osłabło, ale okropność tego, co proponowałam, mroziła mi krew w żyłach. Jamie przez chwilę ścisnął mnie mocno, potem opuścił ramiona. Zastanawiał się nad sytuacją.

Śmierć Karola Stuarta nie zakończyłaby powstania. Sprawy zaszły już zbyt daleko.

Lord Murray, Balmerino, Kilmarnock, Lochiel, Clanranald – wszyscy byliśmy zdrajcami.

Korona pozbawi nas życia i majątku. Wynędzniała armia szkockich górali bez Karola, który skupiał ludzi wokół siebie, rozproszy się jak dym. Anglicy sterroryzowani i upokorzeni pod Preston i Falkirk zaczną zaciekle ścigać uciekinierów, pragnąc odzyskać utracony honor i krwią zmazać zniewagę.

Na to, że Henryk z Yorku, zakonnik, młodszy brat księcia, zajmie miejsce Karola, żeby kontynuować walkę o tron, nie można było liczyć. Czekala nas jedynie klęska i ruina. Teraz pozostawało już tylko ratować życie ludzi, którzy mieli umrzeć jutro na wrzosowisku.

To Karol dokonał wyboru, żeby walczyć pod Culloden. Wbrew radom generałów, kierując się uporem i despotyzmem, ruszył na podbój Anglii. I bez względu na to, czy Sandringham zamierzał mu pomóc czy zaszkodzić, jego śmierć przekreśliła nawet nikłe szansę na zwycięstwo. Nie było wsparcia z południa kraju. Garstka angielskich jakobitów wbrew oczekiwaniom nie skupiła się pod sztandarami swego króla. Karol zmuszony do odwrotu, postanowił po raz ostatni zmierzyć się z nieprzyjacielem. Na zroszonych deszczem wrzosowiskach źle uzbrojona, wyczerpana i wygłodzona armia miała stanąć naprzeciwko

ognia armat Cumberlanda. Gdyby Karol Stuart nie żył, bitwa pod Culloden mogłaby się nie odbyć. Jedno życie przeciw dwóm tysiącom. Jedno życie, ale przecież króla. Odebrane mu nie w bitwie, ale z zimną krwią.

W pomieszczeniu, w którym siedzieliśmy, był kominek. Niestety wygasły. Jamie siedział, wpatrując się w zimne palenisko, jakby w niewidzialnych płomieniach szukał odpowiedzi na swoje wątpliwości. Morderstwo. Królobójstwo. Zabójstwo dawnego przyjaciela.

A przecież członkowie klanów marzli już na otwartej przestrzeni wrzosowiska.

Przesuwali się w zwartych szeregach, bo ciągle zmieniano plan bitwy, wydawano nowe rozkazy, w miarę jak napływało więcej żołnierzy. Wśród nich byli MacKenzie z Leoch, Fraserowie z Beaully, czterystu ludzi tej samej krwi, co Jamie. I trzydziestu z Lallybroch, jego własnych.

Gdy myślał, nieruchoma twarz nie wyrażała żadnych uczuć. W czasie wewnętrznych zmagani trzymał na kolanach mocno zaciśnięte ręce. Palce kalekie i sztywne także splatały się razem. Siedziałam obok, czekałam na decyzję. Prawie nie miałam odwagi oddychać.

W końcu westchnął i odwrócił się do mnie z wyrazem niewypowiedzianego smutku w oczach.

– Nie – wyszeptał. Przez chwilę dotykał mojej twarzy. – Dałby Bóg, żebym mógł to zrobić, Angielko. Ale nie mogę.

Zaniemówiłam ogarnięta przemożną ulgą. Dostrzegł, co czuję, i ujął moje ręce.

– Och, Boże, Jamie, tak się cieszę! –

wymamrotałam.

Schylił głowę. Odwróciłam się, żeby złożyć pocałunek na jego włosach i zamarłam.

W drzwiach stał Dougal MacKenzie. Patrzył na mnie z wyrazem nieopisanego wstrętu.

Postarzał się w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Sprawily to: śmierć Ruperta, bezsenne noce spędzone na bezowocnych dyskusjach, wysiłek związany z ciężką kampanią, a teraz gorycz nadchodzącej klęski. Włosy w rdzawej brodzie posiwiały, poszarzała twarz pokryła się głębokimi bruzdami. Stał się bardzo podobny do brata. Dougal MacKenzie chciał być wodzem. Odziedziczył po Columie przywództwo, a teraz przyszło mu za to zapłacić wysoką cenę.

– Plugawa... zdradziecka... wiedźma!

Jamie raptownie uniósł głowę, jakby go ktoś uderzył. Twarz miał białą niczym padający na dworze śnieg. Poderwałam się na nogi. Przewróciłam ławkę. Stukot rozszedł się echem po pokoju.

Dougal MacKenzie podchodził do mnie powoli, odsuwając fałdy płaszcza, żeby dosięgnąć rękojęści pałasza. Nie słyszałam, jak drzwi się otworzyły. Może były nie domknięte? Jak długo stał i podsłuchiwał?

– Ty... – zaczął cicho. – Powinienem się wcześniej domyślić. Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem...

Wlepił we mnie wzrok z wyrazem przerażenia i wściekłości w zamglonych, zielonych oczach.

Nagle poczułam z tyłu ruch powietrza. Jamie położył rękę na moim ramieniu, nakłaniając, bym stanęła za nim.

– Dougal – powiedział. – To nie jest tak, jak myślisz. To...

– Nie? – przerwał mu Dougal. Przez chwilę nie patrzył na mnie. Skryłam się za Jamiem wdzięczna za odroczenie wyroku.

– Ciekawe – mówił wciąż cicho. – Słyszę, jak ta kobieta nakłania cię do morderstwa, zabójstwa twego księcia! I do zdrady! A ty mi mówisz, że się przesłyszałem?

Potrząsnął głową. Splątane, przetłuszczone rdzawe loki zafalowały. Głodował jak wszyscy. Miał bardzo wystające kości policzkowe, ale oczy gorzały w głębokich oczodołach.

– Nie ciebie winie, chłopcze – odezwał się znowu.

W jego głosie nagle zabrzmiało znużenie. Przypomniałam sobie, że był mężczyzną mniej więcej pięćdziesięcioletnim.

– To nie twoja wina, Jamie. Ona rzuciła na ciebie urok.

Jego usta zadrgały, gdy znowu na mnie spojrział.

– Tak, wiem, jak z tobą jest. Na mnie wcześniej wypróbowała swoje sztuczki. – Ogarnął mnie pałającym spojrzeniem. – Kłamliwa dziwka. Złapie faceta za fiuta i doprowadzi do zguby z pazurami zatopionymi głęboko w jajach. To urok, który na ciebie rzuciła, chłopcze, ona i ta druga wiedźma. Biorą cię do łóżka i kradną duszę, gdy śpisz z głową złożoną na ich piersiach. Odbierają męskość, Jamie.

Zwilżył wargi. Wpatrywał się we mnie wciąż z ręką zacisniętą na rękocyfeli pałasza.

– Odsuń się, chłopcze. Uwolnię cię od tej

angielskiej dziwki.

Jamie zrobił krok w stronę wuja.

– Jesteś zmęczony, Dougal – przemówił łagodnie i uspokajająco. – Masz przywidzenia. Chodź na dół i...

Nie dokończył. Dougal go nie słuchał. Głęboko osadzone, zielone oczy były wlepione w moją twarz. Wódz klanu MacKenziech wyjął sztylet z pochwy przy pasie.

– Podetnę ci gardło – powiedział do mnie cicho. – Powiniennem to zrobić, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Wszystkim zaoszczędziłbym cierpień.

Nie byłam pewna, czy nie ma racji. To jednak nie znaczyło, że zamierzałam pozwolić mu teraz naprawić błąd. Cofnęłam się trzy kroki i mocno oparłam o stół.

– Odsuń się – warknął Jamie. Stał przede mną z ramieniem podniesionym do góry jak tarcza, gdy Dougal się zbliżał.

Wódz klanu MacKenziech potrząsnął głową. Nadal patrzył na mnie oczami zaczerwienionymi jak u byka.

– Ona jest moja – wychrypiał. – Wiedzma. Zdrajczyni. Z drogi, chłopcze. Ciebie nigdy bym nie skrzywdził, ale, na Boga, jeśli osłaniasz tę kobietę, zginiesz i ty, choć jesteś moim pasierbem.

Dougal rzucił się i złapał mnie za ramię. Choć był starzejący się, wyczerpany, zagłodzony, wciąż budził grozę. Jego palce mocno wbiły się w moje ciało.

Krzyknęłam z bólu i kopałam jak oszalała, gdy przyciągał mnie do siebie. Złapał za włosy, odciągnął głowę mocno do tyłu. Czułam na twarzy gorący, kwaśny oddech.

Zapiszczałam i zatopiłam paznokcie w zapadniętym

policzku.

Powietrze gwałtownie uleciało mu z płuc, gdy Jamie grzmotnął go pięścią w żebra, a potem zadał paraliżujący cios w ramię. Wtedy Dougal puścił moje włosy. Nagle oswobodzona upadłam na stół. Jęczałam z szoku i bólu.

Dougal obrócił się, by stanąć twarzą do Jamiego. Przykucnął jak wojownik gotujący się do walki, ostrze sztyletu skierował ku górze.

– Niech tak będzie – wydyszał. Zakołysał się lekko, przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, żeby przybrać najdogodniejszą pozycję. – Przeklęte nasienie Fraserów. Macie zdradę we krwi. Podejdź do mnie, lisku. Zabije cię szybko przez wzgląd na pamięć twojej matki.

Na małym poddaszu panowała ciasnota. Brakowało miejsca, żeby dobyć pałasza.

Jamie był praktycznie bezbronny, jego sztylet dalej sterczał mocno wbity w stół.

Siostrzeniec ustawił się w takiej samej pozycji jak wuj, czujny wzrok utkwiał w zagrażającym ostrzu.

– Odłóż to, Dougal – powiedział. – Skoro pamiętasz o swojej siostrze, posłuchaj teraz jej syna!

MacKenzie milczał. Nagle zaatakował. Ostrze przecięło powietrze.

Jamie odskoczył w bok, potem w przeciwnym kierunku, żeby uniknąć mocnego uderzenia z drugiej strony. Miał młodzieńczą zwinność, ale Dougal trzymał w ręku nóż.

MacKenzie zaatakował znienacka. Sztylet ugodził Jamiego w bok. Pod rozdartą koszulą zarysowała się

krwawa linia. Jamie syknął z bólu. Odskoczył do tyłu i chwycił Dougala za nadgarstek, gdy ostrze było skierowane do dołu.

Metal zabłysł matowym blaskiem i zniknął pomiędzy walczącymi ciałami. Zmagali się ze sobą w uścisku jak kochankowie. W powietrzu unosił się zapach męskiego potu.

Wyczuwało się też miotającą nimi wściekłość. Ostrze sztyletu znowu znalazło się w górze.

Dwie ręce mocno chwyciły rękojeść. Walczący poruszyli się, szarpnęli. Nagle usłyszałam jęk wysiłku i charkot bólu. Dougal z twarzą przekrwioną, ociekającą potem cofnął się, slaniając na nogach. Rękojeść sztyletu sterczała z nasady jego gardła.

Jamie upadłby, ale w ostatniej chwili oparł się o stół. Ciężko oddychał. Oczy pociemniały mu po doznanym szoku, włosy były mokre od potu, a rozdarte brzegi koszuli zabarwione krwią.

Z gardła Dougala wydobywało się zduszone rżenie. Jamie złapał upadającego wuja i pod ciężarem zwałił się na kolana. Głowa Dougala spoczywała na ramieniu Jamiego.

Siostrzeniec obejmował ojczyma.

Rzuciłam się na kolana. Chciałam podtrzymać Dougala. Za późno. Wielkie ciało stało się bezwładne. Wstrząsnął nim dreszcz, wyslizgnął się z uścisku Jamiego. Leżał zwinięty na podłodze i szamotał się jak ryba wyjęta z wody, bo mięśnie drgały w mimowolnych skurczach.

Jamie oparł jego głowę na swoich udach. Zobaczyłam wykrzywioną twarz Dougala.

Ciemne, zaczerwienione oczy były zmrużone. Usta poruszały się nieustannie, przemawiały z wielkim przekonaniem, ale bezgłośnie. Rozległ się tylko chrapliwy bulgot z okaleczonego gardła.

Jamie poszarzał. Najwyraźniej rozumiał, co chce przekazać Dougal. Z ogromnym wysiłkiem unieruchamiał ciało pokonanego przeciwnika. Ostatni skurcz, okropny przedśmiertny jęk i Dougal MacKenzie znieruchomiał. Ręce Jamiegościskały go mocno za ramiona, jakby chciały przytrzymać zmarłego, żeby nie wstał.

– Niech Święty Michał ma nas w opiece! – dobiegł ochrypły szept od strony drzwi.

Willie Coulter, jeden z ludzi Dougala MacKenziego, stał ogłupiały z przerażenia.

Gapił się na ciało wodza i na tworzącą się niewielką kałużę moczu pod rozłożoną szarfą.

Mężczyzna przeżegnał się, nie odwracając oczu.

– Willie – powiedział Jamie. Wstał i przeciągnął drżącą ręką po twarzy. – Willie – powtórzył.

Mężczyzna był zdumiony i kompletnie oszołomiony. Patrzył na Jamiego z otwartymi ustami.

– Daj mi godzinę – wysapał Jamie. Położył rękę na ramieniu kompana i wprowadził go do pokoju. – Odprowadzę żonę w bezpieczne miejsce. Potem wrócę i odpowiem za wszystko. Słowo honoru. Ale muszę mieć trochę czasu. Dasz mi godzinę, zanim o tym komukolwiek powiesz?

Willie oblizwał spieczone wargi. Spoglądał to na ciało wodza, to na jego siostrzeńca.

Był najwyraźniej nieprzytomny z przerażenia. W

końcu skinął głową. Po prostu nie wiedział, co począć, zdecydował więc spełnić prośbę Jamiego. Żaden inny rozsądny pomysł nie przyszedł mu do głowy.

– W porządku. – Jamie z wysiłkiem przełknął ślinę i wytarł twarz szarfą. Poklepał Williego po ramieniu. – Zostań tu i módl się za duszę Dougala. – Wskazał głową nieruchomy kształt na podłodze. – Za mnie – dodał.

Wyrwał wbity w stół sztylet, popchnął mnie przed sobą i poprowadził w dół.

W połowie schodów zamknął oczy, oparł się o ścianę. Oddychał głęboko, nieregularnie, jakby miał zemdleć. Przestraszona położyłam ręce na jego piersi. Serce waliło mu jak młot. Drżał. Po chwili wyprostował się jednak i wziął mnie za ramię.

– Zawołaj Murtagha – powiedział.

Mały Szkot siedział niedaleko, w suchym miejscu pod okapem domu. Głowę miał przykrytą szarfą dla ochrony przed deszczem ze śniegiem. Fergus drzemał obok zwinięty w kłębek, zmęczony po długiej jeździe.

Murtagh rzucił tylko okiem na Jamiego i podniósł się, gotów na wszystko. Twarz mu pociemniała, malował się na niej wyraz srogości.

– Zabiłem Dougala MacKenziego – oznajmił Jamie prosto z mostu.

Przez chwilę surowa twarz była zupełnie bez wyrazu. Potem powrócił na nią zwykły wyraz rozważnej nieugiętości.

– Rozumiem – powiedział. – Co trzeba zrobić?

Jamie szperał po omacku w torbie z borsuczej skóry przy pasie i wyjął zwinięty kawałek papieru. Usiłował go

rozłożyć, ale ręce za bardzo mu się trzęsły. Wzięłam kartkę i rozprostowałam pod osłoną okapu.

U góry strony napisano: „Akt własności Sasine”. Krótki dokument stwierdzał przeniesienie tytułu własności majątku zwanego Broch Tuarach na niejakiego Jamesa Jacoba Frasera-Murraya. Rzeczona posiadłość ma być administrowana przez rodziców Jamesa Murraya, Janet Fraser-Murray i Iana Gordona Murraya, aż do osiągnięcia pełnoletniości przez prawowitego właściciela. U dołu widniał podpis Jamiego, poniżej zostawiono dwa wolne miejsca z napisem: „Świadek”. Dokument datowano na pierwszego lipca tysiąc siedemset czterdziestego piątego roku, czyli miesiąc przed rozpoczęciem przez Karola Stuarta rebelii na wybrzeżu Szkocji. Uczestnicząc w powstaniu, Jamie Fraser stał się zdrajcą Korony.

– Chciałbym, żebyś się podpisał. Ty i Claire – powiedział Jamie. Wziął ode mnie papier i wręczył go Murtaghowi. – Wiem, że nie mam prawa cię prosić, bo to oznacza krzywoprzysięstwo.

Malutkie czarne oczka Murtagha szybko przebiegły treść aktu własności.

– Nie – odparł sucho. – Nie masz prawa ani potrzeby.

Trącił Fergusą nogą. Chłopiec zamrugał i usiadł wyprostowany.

– Skocz do domu, przynieś swemu panu pióro i atrament – polecił Murtagh. – Pospiesz się. Idź!

Fergus potrząsnął głową, żeby rozjaśnić myśli. Spojrzał na Jamiego, zobaczył potwierdzające skinienie, więc natychmiast zerwał się z miejsca.

Woda spływająca z okapu kapłała mi za kołnierz. Zadrżałam. Ciaśniej otuliłam się wełnianym okryciem. Zastanawiałam się, kiedy Jamie spisał ten dokument. Fałszywa data wskazywała na to, że własność posiadłości ziemskiej została przeniesiona, zanim Jamie przystąpił do powstania, a jego dobra i ziemie podległy konfiskacie. Jeśli nikt nie zakwestionuje dokumentu, majątek bez przeszkód przejdzie na małego Jamiego.

Przynajmniej rodzina Jenny będzie zabezpieczona. Utrzymają ziemię i zabudowania gospodarcze.

Jamie dostrzegł potrzebę sporządzenia takiego dokumentu na wszelki wypadek. Nie uprawomocnił go jednak podczas pobytu w Lallybroch. Miał nadzieję, że jakoś uda mu się wrócić i objąć w posiadanie swoją własność. Teraz stało się to niemożliwe, choć mógł uchronić majątek przed konfiskatą. W żaden sposób nie uda się stwierdzić, kiedy dokument został rzeczywiście podpisany – wiedzieli to tylko świadkowie, ja i Murtagh.

Fergus przybiegł zdyszany z małym kałamarzem i wystrzępionym piórem.

Rozłożyliśmy papier na ścianie domu, otrząsnęliśmy pióro, żeby nie zrobić kleksa, i podpisaliśmy po kolei. Murtagh pierwszy. Dowiedziałam się wtedy, że jego drugie nazwisko brzmi FitzGibbons.

– Zawieźć dokument do twojej siostry, panie? – spytał Murtagh, machając arkuszem, żeby atrament szybciej wysechł.

Jamie potrząsnął głową. Deszcz błyszczał na jego rzęsach jak lzy, na szarfie zrobił mokre plamy wielkości monety.

– Nie, Fergus pojedzie.

– Ja?

Oczy chłopca stały się okrągłe ze zdumienia.

– Ty, chłopcze.

Jamie wziął ode mnie papier, złożył, przyklęknął i wetknął Fergusowi za koszulę.

– To musi koniecznie dotrzeć do mojej siostry, pani Murray. Jest warte więcej niż moje życie. I twoje.

Dzieciakowi zabrakło tchu w piersi, gdy zrozumiał ogrom ciężącej na nim odpowiedzialności. Stał wyprostowany z rękami splecionymi przed sobą.

– Nie zawiodę cię, milordzie!

Lekki uśmiech zaigrał na ustach Jamiego. Jego ręka na chwilę spoczęła na przylizanych włosach Fergus'a.

– Wiem i jestem ci za to wdzięczny – powiedział.

Z lewej ręki ściągnął pierścień z rubinem, który kiedyś należał do jego ojca. – Masz. – Podał go Fergusowi. – Idź do stajni. Zobaczysz tam starego człowieka. Pokaż mu ten pierścień. Powiedz, że na moje polecenie musisz zabrać Donasa. Weź konia i jedź do Lallybroch. Zatrzymuj się tylko na noc. Dobrze się ukryj przed zaśnieciem.

Fergus zaniemówił z trwożnego podniecenia. Murtagh spojrział na dziecko i powątpiewająco zmarszczył brwi.

– Myślisz, że poradzi sobie z tą twoją złośliwą bestią? – spytał.

– Tak – odparł stanowczo Jamie.

Fergus, ogromnie przejęty, zająknął się, opadł na kolana i żarliwie ucałował rękę Jamiego. Potem poderwał się na nogi i popędził w kierunku stajni. Drobną postacią

szybko zniknęła we mgle.

Jamie oblizał wargi i na chwilę zamknął oczy. Gdy już podjął decyzję, odwrócił się do Murtagha.

– A teraz ty, *mo caraidh*. Zbierz ludzi.

Zdziwiony Murtagh uniósł wąskie brwi, ale skinął głową.

– Tak. A gdy już to zrobię?

Jamie zerknął na mnie i znów na swego ojca chrzestnego.

– Sądzę, że są teraz na torfowisku razem z Młodym Simonem. Po prostu skupcie się w jednym miejscu. Odprowadzę żonę w bezpieczne miejsce, a potem... – zawahał się i wzruszył ramionami – ...potem was znajdzie. Czekać na mnie.

Murtagh jeszcze raz skinął głową i odwrócił się, żeby odejść. Zatrzymał się jednak i stanął twarzą do Jamiego. Wąskie usta na moment wykrzywiły się, gdy mówił:

– Chłopcze, proszę cię o jedną rzecz. Niech to będą Anglicy. Nie nasi ludzie.

Jamie wzdrygnął się. Bez słowa wyciągnął ramiona do starszego mężczyzny. Uścisnęli się mocno. Murtagh odszedł pośpiesznie, postrzępiony tartan zawirował.

Teraz nastała moja kolej.

– Chodź, Angielko. – Jamie łąpiąc mnie za rękę. – Musimy iść.

Nikt nas nie zatrzymał. Na drogach w pobliżu pola walki panował taki ruch, że przeszliśmy nie zauważeni. Za gościńcem nie spotkaliśmy już nikogo.

Jamie milczał w skupieniu. Nie odzywałam się zbyt

wstrząśnięta i przerażona, żeby rozmawiać.

Odprowadzę żonę w bezpieczne miejsce, powiedział. Nie wiedziałam, co miał na myśli. W ciągu dwóch godzin wszystko stało się jasne. Skierował swego konia na południe, ku stromemu, zielonemu zboczu Craiga na Dun.

– Nie! – krzyknęłam. Zdałam sobie sprawę, dokąd zmierza. – Jamie, nie! Nie odejdę!

Nic nie odpowiedział, ponaglił tylko konia i pogalopował do przodu. Musiałam za nim podążyć.

Miałam zupełny zamęt w głowie. Nie dość, że nie mogłam się uwolnić od myśli o przerażającej śmierci Dougala i o kłęsce w nadchodzącej bitwie, w perspektywie czekało mnie jeszcze przejście przez kamienie. Przeklęty krąg. Najwyraźniej Jamie zamierzał mnie odesłać z powrotem do moich czasów. Jeśli w ogóle było to możliwe.

Wszystko jedno, pomyślałam. Jechałam z zaciśniętymi zębami po wąskim szlaku między wrzosami. Istniała taka siła, która zmusiłaby mnie teraz do opuszczenia Jamiego.

Staliśmy razem na zboczu wzgórza, na małym dziedzińcu zrujnowanego domku, znajdującego się poniżej szczytu. Od lat nikt nie mieszkał w chacie. Okoliczni mieszkańcy utrzymywali, że wzgórze przeklęła czarownica, i od tamtej pory jest nawiedzane przez duchy.

Jamie na poły namową, na poły siłą włókł mnie pod górę. Wcale nie zwracał uwagi na moje protesty. Zatrzymał się dopiero, gdy dotarliśmy do domu. Opadł na ziemię. Jego pierś unosiła się z wysiłkiem, z trudem łapał oddech.

– Wszystko w porządku – cicho powiedział. –

Zostało nam trochę czasu. Nikt nas tu nie znajdzie.

Usiadł na ziemi i otulił się szarfą. Przestało padać, ale od strony pobliskich gór wiał zimny wiatr. Szczyty były wciąż pokryte śniegiem, a przełęcz zawiane. Wyczerpany ucieczką oparł głowę na kolanach.

Usiadłam przy nim owinięta płaszczem. Słyszałam, jak powoli uspakaja mu się oddech, gdy przeszła paniczna obawa o nasze życie. Długo siedzieliśmy w milczeniu, wysoko nad panującym w dole chaosem. Czułam, że w jakiś sposób przyczyniłam się do jego powstania.

– Jamie – odezwał się w końcu. Wyciągnęłam rękę, żeby go dotknąć, ale cofnęłam i pozwoliłam jej opaść.
– Jamie, wybacz.

Spoglądał na ciemniejącą pustkę rozciągającego się poniżej torfowiska. Myślałam, że nie słyszał moich słów. Zamknął oczy. Potem bardzo lekko potrząsnął głową.

– Nie – wyszeptał. – Nie ma potrzeby.

– Ależ tak.

Dławiłam się ogarniającym mnie smutkiem, ale musiałam wyznać Jamiemu, co myślę, Uświadomić, że wiem, jaką krzywdę mu wyrządziłam.

– Powinnam wtedy wrócić. Gdybym to zrobiła, kiedy przywiozłeś mnie tu z Cranesmuir... może wtedy...

– Tak, może – przerwał. Nagle odwrócił się w moją stronę. W jego oczach zobaczyłam wielką tęsknotę i głęboki żal, ale nie było w nich ani gniewu, ani wyrzutu.

Jeszcze raz potrząsnął głową.

– Nie – powtórzył. – Rozumiem, co mi chcesz powiedzieć, *mo duinne*. Czy sprawy poszłyby tym samym torem, gdybyśmy wtedy odeszła? Nie wiadomo. Może

kłeska nastąpiłaby szybciej. Może wszystko potoczyłoby się inaczej. A może, tylko może, nic takiego by się nie stało. Nie tylko my przyczyniliśmy się do wybuchu powstania. Nie pozwolę ci obwiniać za to siebie.

Odgarnął mu włosy z czoła. Zaczęłam płakać. Otarłam łzy z policzka.

– Nie o to chodzi. – Zrobiłam gwałtowny, szeroki ruch ręką w ciemności, jakbym wskazywała armie, Karola, głodujących mężczyzn w lesie i pole przyszłej bitwy. – Chodzi mi o to, co zrobiłam tobie.

Uśmiechnął się z ogromną czułością. Dotknął ciepłą dłońią mojego policzka, chłodnego w zimnym, wiosennym powietrzu.

– Tak? A to, co ja zrobiłem tobie, Angielko? Zabrałem cię z miejsca, do którego należysz, skazałem na biedę i banicję, prowadziłem przez pola bitew i ryzykowałem twoje życie. Czy masz mi to za złe?

– Wiesz, że nie.

Uśmiechnął się.

– Tak, więc ja też nie, Angielko.

Uśmiech powoli gasł na jego twarzy, gdy patrzył na szczyt wzgórza. Kamieni nie było widać, ale czułam zbliżające się niebezpieczeństwo.

– Jamie, nie odejdę – powtórzyłam z uporem. – Zostanę z tobą.

– Nie. – Potrząsnął głową. Mówił łagodnie, ale stanowczo. Nie dawał mi możliwości sprzeciwu. – Muszę wrócić, Claire.

– Jamie, nie możesz! – Schwyciłam go mocno za ramię. – Na pewno znaleźli już Dougala! Willie Coulter

rozniosł wiadomość o śmierci wodza.

– Tak, z pewnością.

Poklepał mnie po ramieniu. Wiedziałam teraz, że podjął decyzję, jadąc w górę wzniesienia. Widziałam to po wyrazie jego pociemniałej twarzy, na której odbijały się rezygnacja i zdecydowanie. Zobaczyłam też smutek i żal, ale na razie nie było czasu na wyrażanie tych uczuć.

– Moglibyśmy spróbować uciec do Francji – zasugerowałam. – Jamie, musimy!

Mówiłam te słowa, ale wiedziałam, że nie zdołam go przekonać.

– Nie – powtórzył cicho. Odwrócił się i wskazał dolinę oraz zacienione góry w oddali.

– Kraj jest w stanie wojny, Angielko. Porty są zamknięte. Przez ostatnie trzy miesiące O'Brien starał się sprowadzić statek, żeby ratować księcia. Zabrać Jego Wysokość bezpiecznie do Francji. Dougal mi o tym powiedział, zanim...

W nagłym przypływie żalu jego brwi złączyły się w jedną linię. Lekko wykrzywił twarz. Opanował się jednak i wyjaśniał dalej spokojnym głosem.

– Na Karola Stuarta polują Anglicy. Mnie będą ścigać nie tylko oni, ale także członkowie klanu. Jestem podwójnym zdrajcą, rebeliantem i... mordercą. – Przerwał, potarł kark i łagodnym głosem dodał: – Claire... ja już nie żyję.

Łzy zamarzały mi na policzkach, zostawiały lodowate ślady, paliły skórę.

– Nie – powtórzyłam, ale bez skutku.

– Wiesz, nie jestem niepozorny – powiedział.

Przeciągnął ręką po rdzawych włosach.

Usiłował obrócić wszystko w żart. – Czerwony Jamie nie uciekłby daleko. Ale ty... – Dotknął moich warg, przesunął palcami wzdłuż linii ust. – Ciebie, Claire, mogę uratować.

I to zrobię. To dla mnie najważniejsze. Ale potem wrócę po moich ludzi.

– Z Lallybroch? Ale jak?

Jamie zmarszczył brwi. Rozmyślając, w rozrtargnieniu wodził palcem po rękoności pałasza.

– Myślę, że uda mi się ich stamtąd wyciągnąć. Na torfowisku zrobi się zamieszanie, ludzie i konie zaczną się ruszać tam i z powrotem, a wydawane rozkazy będą sprzeczne.

W czasie bitew panuje niezły bałagan. I jeśli nawet się zorientują, co zrobiłem... – mówił dalej, choć głos mu się załamał. – Nikt mnie nie zatrzyma, gdy Anglicy znajdą się w zasięgu wzroku, a bitwa będzie się miała zaraz rozpocząć. Tak, potrafię tego dokonać.

Wyciągnę swoich wiernych podkomendnych.

Zaciśnięte przy bokach pięści podkreślały zdecydowanie.

– Pójdą za mną bez pytania. Niech Bóg ma ich w swojej opiece. Murtagh zebrał już wszystkich na moje polecenie. Wyprowadzę ich z pola bitwy. Jeśli ktokolwiek spróbuje mnie powstrzymać, powiem, że mam prawo osobiście poprowadzić żołnierzy do walki.

Nawet Młody Simon mi tego nie odmówi.

Wziął głęboki oddech. Ściągnęłam brwi. Oczami wyobraźni widziałam wydarzenia, które z nadzieją

poranka rozegrają się na polu bitwy.

– Wyjdą bezpiecznie. Pole bitwy jest szerokie, a ludzi będzie tylu, że każdy uzna, iż zajęliśmy inną pozycję. Wyprowadzę ich z torfowiska na drogę prowadzącą do Lallybroch.

Zamilkł, jakby ułożył plan tylko do tego momentu.

– A potem? – spytałam, choć wcale nie chciałam znać odpowiedzi. Nie mogłam się jednak powstrzymać.

– Wróć do Culloden – odparł. Westchnął i uśmiechnął się do mnie niepewnie. – Nie boję się śmierci, Angielko. – Usta mu się wykrzywiły – W każdym razie nie za bardzo.

Choć niektóre metody jej zadawania...

Starał się uśmiechać, ale wstrząsnął nim krótki mimowolny dreszcz.

– Wątpię, by uznano mnie za godnego usług prawdziwego profesjonalisty. Gdyby jednak do tego doszło, będzie to dla nas obu, monsieur Foreza i dla mnie, krępująca sytuacja. No wiesz, żeby serce wyrwał mi człowiek, z którym popijałem sobie wino...

Z okrzykiem bezbrzeżnej rozpaczycy zarzuciłam mu ramiona na szyję i przytuliłam się do niego mocno.

– Nie martw się – wyszeptał z twarzą zanurzoną w moich włosach. – Kula z muszkietu. Może ostrze pałasza. Szybko będzie po wszystkim.

Wiedziałam, że kłamie. Widziałam dość ran bitewnych i śmierci wojowników.

Prawdą pozostawał tylko fakt, że lepiej zginąć w walce, niż czekać na pętlę kata.

Przerażenie, które towarzyszyło mi od czasu

ucieczki z majątku Sandringhama, zawładnęło mną teraz z ogromną siłą. W uszach tętniła mi krew, serce biło jak młot, a gardło miałam tak mocno zaciśnięte, że brakowało mi tchu.

Potem nagle przestałam się bać. Nie mogłam go zostawić. I nie zostawię, zdecydowałam.

– Jamie – wyszeptałam wtulona w fałdy szarfy. – Wrócę razem z tobą.

Wzdrygnął się i spojrzał na mnie.

– Niech to diabli, na pewno nie! – krzyknął.

– Tak – powiedziałam.

Uspokoiliam się zupełnie, bo nie miałam już żadnych wątpliwości.

– Z mojego okrycia zrobię kilt. W armii jest dość chłopców. Przebiorę się i będę mogła uchodzić za jednego z młodych żołnierzy. Sam mówiłeś, że powstanie duże zamieszanie. Nikt nie zwróci na mnie uwagi.

– Nie! Nie, Claire!

Zacisnął szczęki i wpatrywał się we mnie z gniewem i jednocześnie przerażeniem.

– Jeśli ty się nie boisz, ja też nie – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. – Szybko...

będzie po wszystkim. To twoje słowa. – Pomimo zdecydowania broda zaczynała mi drżeć. – Jamie... nie chcę... nie mogę... do cholery, nie zamierzam żyć bez ciebie. To wszystko!

Otworzył usta, ale nie mógł nic z siebie wydusić. Potem je zamknął i potrząsnął głową. Światło za górami przygaszło, malując chmury matową czerwoną poświatą.

W końcu wyciągnął ręce i mocno mnie do siebie

przycisnął.

– Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? – spytał cicho. – Wiem, że cię proszę o to, żebyś wydarła sobie serce i żyła bez niego.

Głaskał mnie po głowie, szorstkie palce zaczęły o kosmyki włosów.

– Ale musisz to zrobić, *mo duinne*. Moja nieustraszona lwico. Musisz.

– Dlaczego? – spytałam zdecydowanie. Odsunęłam się, żeby na niego spojrzeć. – Kiedy zabrałeś mnie z procesu czarownic w Cranesmuir, powiedziałeś, że umarłbyś razem ze mną, że ze mną poszedłbyś na stos, gdyby do tego doszło!

Schwycił moją rękę i wlepił we mnie wzrok.

– Tak, zrobiłbym to – przyznał. – Ale nie nosiłem twojego dziecka.

Wmawiałam sobie, że drzę z zimna, że mroźny wichur przyniósł chłód, od którego zabrakło mi tchu w piersi.

– Jeszcze nie wiadomo – wymamrotałam. – Jest zbyt wcześnie, żeby mieć pewność.

Parsknął, a w jego oczach zamigotało rozbawienie.

– Akurat. Angielko, od chwili, gdy wpuściłaś mnie do swego łóżka, okres nie spóźnił ci się ani razu nawet o dzień. Nie krwawiłaś od czterdziestu sześciu dni.

– Ty sukinsynu! – krzyknęłam rozwścieczona. – Liczyłeś! Wokół krwawe jatki, a ty liczyłeś dni mojego cyklu!

– A ty nie?

– Nie!

Mówiłam prawdę. Byłam zbyt przestraszona, żeby przyjąć do wiadomości coś, czego oczekiwałam z taką nadzieją, i o co tak długo się modliłam, a przyszło za późno.

– Poza tym – ciągnęłam, starając się wykluczyć tę możliwość – to nic nie znaczy.

Mogła się do tego przyczynić głodówka. Często tak się zdarza.

Uniósł jedną brew i złożoną dłoń położył delikatnie poniżej mojej piersi.

– Tak, jesteś szczupła, a nawet koścista, ale piersi masz pełne, a brodawki zrobiły się koloru winogron z Szampanii przed zbiorem. Zapominasz, że już cię taką widziałem. Nie mam wątpliwości. I ty też nie.

Usiłowałam zwalczyć fale nudności, tak łatwo przypisywane strachowi i głodowi, ale nagle w łonie poczułam niewielki ciężar. Mocno przygryzłam wargi. Mdłości nasiliły się.

Jamie puścił moje ręce i stanął przede inną, silną postacią na tle gasnącego nieba.

– Claire – powiedział cicho. – Może jutro umrę. To dziecko... jest wszystkim, co po mnie kiedykolwiek zostanie. Proszę cię, Claire, błagam... spraw, żeby było bezpieczne.

Stałam nieruchomo, z zamglonym wzrokiem. Miałam wrażenie, że słyszę, jak pęka mi serce. Cichy, czysty odgłos, trzask łamiącej się łodygi kwiatu.

W końcu skinęłam głową. Rozległo się żałosne zawrozdzenie wiatru.

– Dobrze – wyszeptałam. – Pójdę.

Zmrok prawie już zapadł. Jamie stanął z tyłu i mocno mnie przytulił. Ponad moim ramieniem patrzył na dolinę. Zaczynały rozbłyskać światła pochodni, małe jasne punkciki w oddali. Długo milczeliśmy. Na wzgórzu było bardzo cicho. Słyszałam jedynie równomierny oddech Jamiego, bezcenny odgłos.

– Odnajdę cię – szepnął mi do ucha. – Przyrzekam. Nawet jeśli przyjdzie mi znieść dwieście lat czyśca. Tyle czasu bez ciebie to zasłużona kara za moje zbrodnie. Zabijałem, kradłem, zdradzałem i zawodziłem pokładane we mnie zaufanie. Ale jest jedna rzecz, która wszystko zrównoważy. Kiedy stanę przed obliczem Boga, powiem tylko jedno, co jest przeciwwagą dla całej reszty.

Zniżył głos prawie do szeptu i objął mnie jeszcze mocniej.

– Panie Boże, dałeś mi niezwykłą kobietę. I kochałem ją ponad życie!

Kochaliśmy się powoli i uważnie. Pragnęłam rozkoszować się każdym dotknięciem, każdą chwilą. Przechować je w pamięci niczym talizman strzegący przed pustką w przyszłości bez Jamiego.

Dotykałam każdego miękkiego zagłębienia, ukrytego miejsca na jego ciele. Pod palcami czułam wdzięk i siłę, cud mocno złączonych mięśni, szczupłych i giętkich na ramionach, gładkich i masywnych wzdłuż kręgosłupa, na udach twardych jak suche drewno dębowe.

Czułam na języku słonawy smak potu, ciepło i piżmową woń włosów między nogami, słodycz miękkich, szerokich ust, pocałunki o smaku suszonych jabłek z gorzką nutą jagód jałowca.

– Moja jedyna, jesteś taka piękna – szeptał, dotykając wilgotnej, delikatnej skóry pomiędzy moimi udami.

Jego głowa stanowiła tylko ciemną plamę na białym tle moich piersi. Niebo było zachmurzone. Przez dziury w dachu wpadało niewiele światła. Spoza kruchych ścian domu dochodziło ciche pomrukiwanie wiosennej burzy, która przechodziła nad górami.

Jego członek tkwił w moim ręku tak twardy i sztywny z pragnienia, że aż Jamie jęczał, gdy go dotykałam.

Gdy nie mógł już dłużej czekać, zagłębił się we mnie jak nóż w pochwie. Poruszaliśmy się mocno przytuleni. Tak bardzo potrzebowaliśmy tego i pragnęliśmy siebie.

Jednocześnie baliśmy się osiągnąć chwilę ostatecznego zaspokojenia, bo wiedzieliśmy, że potem czeka nas już tylko wieczna rozłąka.

Wiele razy doprowadzał mnie do szczytu rozkoszy, powstrzymując się, pohamowując, oddychając z trudem i drżąc. W końcu dotknęłam jego twarzy, wplotłam palce we włosy, mocno przycisnęłam go do siebie, wygięłam plecy. Przycisnęłam uda do jego nóg.

Ponaglałam, zmuszałam do zakończenia.

– Teraz – wyszeptałam. – Chodź ze mną, chodź do mnie, teraz. Teraz!

Oddał się mnie, a ja jemu. Rozpacz wzmogła namiętność, echo naszych okrzyków zamierało bardzo powoli, długo dźwięczało w ciemnościach zimnej, kamiennej chaty.

Później leżeliśmy bez ruchu mocno przytuleni do siebie. Czułam na sobie jego ciężar – błogosławione brzemie, tarcza i zabezpieczenie. Czy to możliwe, żeby ciało tak masywne, gorące i pełne życia miało za kilka godzin przestać istnieć?

– Posłuchaj – odezwał się w końcu cicho. – Słyszysz?

Z początku moje ucho wyłowiło tylko szum wiatru i kapanie deszczu. Potem usłyszałam mocne, powolne bicie serca Jamiego, pulsujące w przyciśniętej do mnie piersi. Czułam, jak moje serce bije tym samym rytmem. Krew krążyła w nim, w łączącym nas kruchym ogniwie, i we mnie, a potem znowu w Jamiem.

Trwaliśmy spleceni razem w ciepłe, pod naprędce narzuconym przykryciem z szarfy i płaszczka, na łożu z naszych ubrań. W końcu się ze mnie zsunął. Przyłożył ręce do mojego brzucha. Ciepły oddech ogrzewał mi kark.

– Prześpij się trochę, *mo duinne* – wyszeptał. – Chciałbym raz jeszcze zasnąć tak, trzymając w objęciach ciebie i dziecko.

Myślałam, że nie zdołam zmrużyć oka, ale byłam zbyt wyczerpana. Zasnęłam od razu, jakbym zanurzyła się w wodzie. Obudziłam się przed świtem. Jamie wciąż trzymał mnie w ramionach. Patrzyłam na nieuchwytne rozkwitanie dnia i schyłek nocy. Daremnie pragnęłam, żeby powrócił mrok dający schronienie.

Przekręciłam się na bok i uniosłam, żeby popatrzeć na Jamiego, zobaczyć, jak światło dotyka śmiałego zarysu twarzy, niewinnej we śnie, ujrzeć po raz ostatni promienie słońca w ognistych włosach.

Chyba jęknęłam, ogarnięta falą głębokiej udręki, bo otworzył oczy. Na mój widok uśmiechnął się i spojrzał mi w twarz. Wiedziałałam, że stara się zapamiętać moje rysy, tak samo, jak ja jego.

– Jamie – powiedziałam głosem zachrypniętym od snu i łez, które przełykałam. – Chcę, żebyś mnie naznaczył.

– Słucham? – spytał wstrząśnięty.

Niewielki *sgian dhu* leżał blisko mnie. Ciemna rękojeść z rzeźbionego rogu jelenia widoczna była na stercie ubrania. Sięgnęłam po nóż i podałam go Jamiemu.

– Zrób nacięcie – ponagliłam. – Dość głębokie, żeby została blizna. Chcę zabrać ze sobą twój dotyk, mieć od ciebie coś, co zachowam na zawsze. Nieważne, że będzie bolało.

Nic nie zaboli mnie bardziej niż opuszczenie ciebie. Przynajmniej, gdy dotknę blizny, gdziekolwiek się znajdę, poczuję, jak mnie dotykasz.

Położył dłoń na ręce, w której trzymałam nóż ostry jak brzytwa. Po chwili ujął rękojeść i skinął głową. Zawahał się. Podałam mu prawą dłoń rozgrzaną pod okryciem.

W zimnym powietrzu widać było ulatujące z ust obłoczki pary.

Odwrócił moją rękę dłonią do góry, dokładnie się jej przyjrzał, a potem podniósł do ust. Złożył ciepły pocałunek w jej zagłębieniu. Schwycił kciuk u nasady i ugryzł, mocno ssąc. Puścił i szybko naciął zdrętwiałe miejsce. Poczułam lekkie pieczenie, ale krew trysnęła natychmiast. Znowu przycisnął usta do mojej dłoni w miejscu nacięcia i trzymał tak, dopóki krew nie zaczęła

wolniej płynąć. Gdy opatrywał ranę chusteczką, zobaczyłam, że nacięcie ma kształt niewielkiej, nieco skrzywionej litery „J”.

Podniosłam wzrok. Jamie trzymał nóż wyciągnięty w moim kierunku. Wzięłam *sgian dhu* i z wahaniem ujęłam rękę, którą mi podał.

Na chwilę zamknął oczy i zacisnął usta, ale wyrwał mu się cichy jęk bólu, gdy zagłębiłam koniec ostrza w poduszczyce dłoni u nasady kciuka. Jak dowiedziałam się kiedyś od wróżki, miejsce to nosi nazwę „Wzgórka Wenus” i oznacza namiętność oraz miłość.

Gdy skończyłam robić małe półokrągłe nacięcie, zorientowałam się, że podał mi lewą rękę.

– Powinnam wziąć drugą – stwierdziłam. – Rękojeść pałasza będzie się ocierać o ranę.

Uśmiechnął się blado.

– Nie mogę prosić o nic więcej, tylko o to, żeby czuć twój dotyk podczas mojej ostatniej walki...

Odwinęłam zaplamioną krwią chusteczkę, mocno przycisnęłam zranioną rękę do jego ręki, splatając razem palce. Krew między naszymi dłońmi była ciepła i śliska, a nie lepka.

– Krew z krwi... – wyszeptalam.

– ...i kość z kości – odpowiedział cicho Jamie.

Żadne z nas nie zdołało wypowiedzieć ostatnich słów przysięgi: „Tak długo, jak oboje żyć będziemy”. Nie wypowiedziane słowa zawisły między nami boleśnie. W końcu Jamie uśmiechnął się krzywo.

– Dłużej – powiedział stanowczo i jeszcze raz przytulił mnie do siebie.

– Jeśli chodzi o Franka... – zaczęła i westchnęła. – Decyzję, co mu o mnie powiesz, pozostawiam tobie. Najprawdopodobniej nie będzie chciał słuchać. A jeśli jednak zechce, to przekaż, że... jestem wdzięczny. Że mu ufam, bo muszę. I powiedz... – Ręce Jamiego zacisnęły się nagle na moich ramionach. Z uśmiechem i absolutną szczerością dodał: – Powiedz mu, że serdecznie i do szpiku kości go nienawidzę!

Ubraliśmy się. Słabe światło poranka przerodziło się w dzień. Nie mieliśmy nic do jedzenia. Nic więcej do zrobienia... i nic więcej do powiedzenia.

Jamie musiał już iść, żeby zdążyć na czas na torfowisko Drumossie. To było ostateczne rozstanie, a my nie potrafiliśmy w żaden sposób się pożegnać.

W końcu Jamie krzywo się uśmiechnął, pochylił i lekko pocałował mnie w usta.

– Mówią... – zaczął i przerwał, by odchrząknąć. – Mówią, że w dawnych czasach, gdy mężczyzna szedł, by dokonać wielkiego czynu, udawał się do mądrej kobiety, żeby go pobłogosławiła. Stawał twarzą w kierunku, w którym miał iść, kobieta stawała za nim i odmawiała modlitwy. Gdy skończyła, szedł prosto przed siebie, nie oglądając się, bo to przynosiło pecha.

Dotknął mojej twarzy, potem odwrócił się do drzwi. Poranne słońce wlewało się do środka. Tysiące promieni oświetlało rude włosy. Wyprostował szerokie ramiona i wziął głęboki oddech.

– A więc, mądra kobieto, pobłogosław mnie – powiedział cicho. – Potem odejdę.

Położyłam rękę na jego ramieniu. Szukałam

odpowiednich słów. Jenny nauczyła mnie kilku starodawnych celtyckich modlitw. Usiłowałam ją sobie przypomnieć.

– Jezu, synu Maryi – zaczęłam zachrypniętym głosem. – Wzywam Twe imię oraz imię ukochanego Apostoła Jana. Oraz imiona innych świętych w Twym królestwie: Chronź Jamiego w nadchodzącej bitwie...

Przerwałam, słysząc jakiś hałas u stóp wzgórza. Głosy i tupot.

Jamie przez chwilę stał bez ruchu. Ramię, na którym trzymałam rękę, stwardniało.

Obrócił się i popchnął mnie w stronę tylnej rozwalonej ściany domku.

– Tędy! – krzyknął. – To Anglicy! Claire, idź już!

Przerażona pobiegłam w kierunku dziury w ścianie. Jamie poszedł w stronę drzwi z ręką na pałasz. Zatrzymałam się na moment, żeby po raz ostatni popatrzeć na ukochanego. Odwrócił głowę, spojrział w moim kierunku i nagle, targany rozpaczą, znów podbiegł. Popchnął mnie mocno na ścianę i z całej siły przyciągnął do siebie. Członek w stanie erekcji był przyciśnięty do mojego brzucha. Rękojeść sztyletu wrzynała mi się w bok.

– Jeszcze raz. Muszę! Tylko szybko! – powiedział ochryple z ustami zanurzonymi w moich włosach.

Zebrałam i uniosłam spódnicę, a on podniósł kilt. Właściwie nie kochaliśmy się.

Wziął mnie szybko i zdecydowanie. Wszystko trwało kilka sekund. Głosy zbliżały się, słyhać je było w odległości zaledwie stu metrów.

Jeszcze raz pocałował mnie tak mocno, że w ustach

został mi smak krwi.

– Daj mu na imię Brian – rzucił na pożegnanie. – Po moim ojcu.

Popchnął mnie w stronę dziury w ścianie. Uciekając, obejrzałam się za siebie. Stał pośrodku wejścia z pałaszem w połowie wyciągniętym z pochwy, gotowy sztylet trzymał w prawej ręce.

Anglicy zapewne myśleli, że domek jest opustoszały. Nie zadali więc sobie trudu, żeby umieścić wywiadowcę przy tylnym wyjściu. Nie spotkałam nikogo, pędząc ku gęstwinie olch poniżej szczytu wzgórza za domkiem.

Oślepiąca łzami przedzierałam się przez zarośla i gałęzie, potykałam o kamienie.

Słyszałam dochodzące z tyłu krzyki i szczęk stali. Moje uda były śliskie i mokre od spermy Jamiego. Choć biegłam co sił w nogach, zdawało mi się, że nie zbliżam się do szczytu wzgórza. Będę się pewnie przez resztę życia przedzierać przez splątane zarośla, pomyślałam.

Za sobą usłyszałam trzask. Ktoś jednak musiał zauważyć, jak wybiegam z domku.

Starłam łzy i gnałam przed siebie z wyciągniętymi rękami, a gdy zbocze zrobiło się strome, poruszałam się na czworakach. Wybiegłam na pustą przestrzeń, granitową półkę skalną, którą zapamiętałam. Na krawędzi urwiska rósł mały dereń. Był też stos niewielkich głazów.

Zatrzymałam się na brzegu kamiennego kręgu i spojrzałam w dół. Desperacko usiłowałam zobaczyć, co się dzieje. Ilu żołnierzy weszło do domku? Czy Jamie zdołał zbiec i dotrzeć do konia? Pieszo nigdy na czas nie dotrze do

Culloden.

Nagle zarośła rozchyliły się i ujrzałam błysk czerwieni. To był angielski żołnierz.

Odwróciłam się i ciężko dysząc, pobiegłam przez darń porastającą krąg. Rzuciłam się w szczelinę w glazie.

Oczy łani

47

LUŻNE ZAKOŃCZENIA

– Oczywiście miał rację. Cholerny facet, prawie nigdy się nie mylił.

Powiedziała to tak, jakby była lekko poirytowana. Uśmiechnęła się smutno.

Popatrzyła na Briannę, która z twarzą bez wyrazu siedziała na dywaniku przed kominkiem, ściskając kolana rękami. Tylko jej włosy poruszały się w płynącym do góry ciepłym powietrzu z kominka.

– To była nie tylko zagrożona ciąża, ale i ciężki poród. Gdybym podjęła ryzyko i została, z pewnością skończyłoby się to śmiercią nas obu.

Zwracała się bezpośrednio do córki. Roger powoli wyzwolił się powoli spod uroku przeszłości i poczuł się jak intruz.

– Oto cała prawda. Nie mogłam znieść tego, że go opuszczam – powiedziała cicho Claire. – Nawet ze względu na... Przez jakiś czas cię nienawidziłam, bo z twojego powodu zmusił mnie do odejścia. Przy nim nie bałam się śmierci... Lecz zrobiłam, co do mnie należało, bo go kochałam. I przeżyłyśmy obie, ty i ja, bo on kochał ciebie.

Brianna nie poruszyła się. Nie odrywała wzroku od

twarży matki. Poruszała ustami sztywno, jakby nie nawykła do mówienia.

– Jak długo... mnie nienawidziłaś?

Złote oczy, bezlitosne jak u sokoła, spojrzały w błękitne, niewinne.

– Do chwili, gdy się urodziłaś. Wtedy wzięłam cię na rękę, karmiłam piersią i zobaczyłam, że patrzysz na mnie oczami swego ojca.

Brianna zareagowała cichym, stłumionym okrzykiem, ale matka mówiła dalej. Kiedy popatrzyła na dziewczynę, jej głos stał się bardziej miękki.

– A potem zaczęłam cię poznawać, postrzegać jako istotę odmienną zarówno ode mnie, jak i od Jamiego. Pokochałam cię nie tylko z powodu mężczyzny, który cię spłodził.

Brianna zerwała się i stanęła na dywaniku przed kominkiem. Jej włosy zjeżyły się niczym grzywa lwa, niebieskie oczy zapalały jak płomień.

– Frank Randall jest moim ojcem! – oznajmiła stanowczo. – On! Wiem o tym! – Z zaciśniętymi pięściami, z wściekłością patrzyła na matkę. Głos dziewczyny drżał z gniewu. – Dlaczego to robisz? Może wciąż mnie nienawidzisz?! – Po policzkach spływały jej łzy. Gniewnie otarła je grzbietem dłoni. – Tatuś... tatuś mnie kochał. Nie potrafiłby mnie kochać, gdybym nie była jego córką! Dlaczego starasz się mi wmówić, że nie jest moim ojcem? Byłaś o mnie zazdrosna? O to chodzi? Czy tak bardzo ci przeszkadzało, że mnie kochał? Wiem, że cię nie kochał. Wiem!

Błękitne oczy zmrużyły się jak u kota. Płonęły w

trupio bladej twarzy.

Roger miał wielką ochotę wyjść, zanim jego obecność zostanie zauważona i wszechobecna wściekłość zwróci się przeciw niemu. Był zakłopotany, ale jednocześnie świadom rosnącego respektu. Dziewczyna, sycząc i walcząc jak lwica w obronie ojca, płonęła dziką siłą. Przypominała wojowników z gór, którzy rzucali się na wrogów jak wrzeszczące zjawy zwiastujące śmierć. Cienie na twarzy sprawiały, że długi, prosty nos wydawał się jeszcze dłuższy. Stanowiła wierne odbicie swego ojca. Ale oczywiście nie ciemnowłosego, cichego uczonego, którego fotografię umieszczono na obwolucie leżącej na stole książki.

Claire tylko raz otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła i patrzyła na swoją córkę zupełnie zafascynowana. Mocne napięcie ciała, elastyczny łuk szerokich, płaskich kości policzkowych. Roger pomyślał, że widziała to wiele razy. Ale nie u Brianny.

Gwałtowność, z jaką dziewczyna obróciła się na pięcie, chwyciła z biurka poźółkłe wycinki prasowe i wrzuciła w ogień, sprawiła, że oboje wzdrygnęli się. Złapała pogrzebacz i ze złością dźgała brązowiejącą masę, nie zważając na deszcz iskier wypryskujący z paleniska.

Nagle odwróciła się od szybko czerniejącego stosu papieru i kopnęła kominek.

– Dziwka! – krzyknęła do matki. – Nienawidziłaś mnie? Ja też cię nienawidzę!

Cofnęła rękę z pogrzebaczem. Mięśnie Rogera napięły się instynktownie. Był gotów natychmiast rzucić się do przodu. Ale Brianna z ramieniem odchylonym do tyłu

jak u oszczepnika odwróciła się i cisnęła pogrzebaczem w okno zajmujące całą powierzchnię ściany. Przez krótką chwilę w szybach ciemnych od mroku nocy widoczne było odbicie oświetlonej przez ogień kobiety, potem szkło z brzękiem i trzaskiem rozpadło się na kawałki w czarnej pustce.

W pokoju zaległa przejmująca cisza. Roger, który się poderwał, aby pobiec za Brianną, stał pośrodku pokoju w niezręcznym bezruchu. Spojrzał na swoje ręce, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić. Potem przeniósł wzrok na Claire. Siedziała nieruchomo, bezpiecznie zagłębiona w fotelu jak zwierzę, które zamarło na widok drapieżnika.

Roger oparł się o biurko.

– Nie wiem, co powiedzieć – stwierdził.

Usta Claire wykrzywiły się lekko.

– Ja też nie.

Przez kilka minut trwali w milczeniu. Stary dom skrzypiał. Po drugiej stronie korytarza w kuchni Fiona przygotowywała kolację. Dochodził słaby brzęk garnków.

Roger czuł, jak powoli ustępuje szok i zażenowanie, ale ogarnia go uczucie, którego nie potrafił określić. Miał lodowate ręce. Potarł je o nogi, aby trochę rozgrzać.

– Ja... – zaczął. Przerwał i potrząsnął głową.

Claire wzięła głęboki oddech. Uświadomił sobie, że od chwili wyjścia Brianny zrobiła to po raz pierwszy. Jej spojrzenie było czyste i szczere.

– Czy mi wierzysz? – spytała.

Roger spojrzął na nią z namysłem.

– Do diabła, sam nie wiem – odparł w końcu.

Odpowiedź wywołała jej niepewny uśmiech.

– Jamie powiedział to samo, gdy mu wyznałam, skąd przybyłam.

– Raczej nie mam mu tego za złe – stwierdził z wahaniem Roger.

Potem widocznie podjął decyzję, bo odszedł od biurka i zbliżył się do Claire.

– Mogę?

Ukląkł, ujął jej bezwładną dłoń i odwrócił wewnętrzną stroną do światła. Prawdziwa kość słoniowa jest ciepła w dotyku, tak można ją odróżnić od syntetycznej, przypomniał sobie nagle. Wnętrze dłoni Claire było lekko zaróżowione, ale prawie niewidoczny zarys litery „J” u nasady kciuka pozostawał biały jak kość.

– To niczego nie dowodzi – powiedziała, patrząc mu w twarz. – Mogłam się przypadkowo skaleczyć albo sama to sobie zrobić.

– Ale nie zrobiłaś, prawda?

Bardzo delikatnie, jak kruche dzieło sztuki, odłożył jej rękę na kolana.

– Tak, ale nie zdołam tego dowieść. Perły... – ręka Claire powędrowała do migoczącego na szyi naszyjnika – są autentyczne. Można to sprawdzić. Ale czy potrafiał udowodnić, skąd je mam? Nie.

– A portret Ellen MacKenzie?

– To samo. Zbieg okoliczności. Coś, na czym mogę oprzeć moje urojenia. Kłamstwa.

W jej głosie pobrzmiwał lekki ton gorzkości, choć wciąż mówiła dość spokojnie.

Rumieniec wystąpił na policzki, kompletny bezruch, w jakim się znajdowała, powoli ustępował. Tak, jakby

posąg budził się do życia, pomyślał Roger.

Podniósł się. Przemierzał pokój, przeczesując ręką włosy.

– Ale dla ciebie to ważne. Bardzo ważne.

– Tak – powiedziała.

Wstała z fotela i podeszła do biurka, na którym leżała papierowa teczka zawierająca rezultaty poszukiwań Rogera. Położyła rękę na szarym kartonie z taką czcią, jakby to była płyta nagrobna. Sądził, że nadawała temu takie właśnie znaczenie.

– Musiałam się dowiedzieć – mówiła. Jej głos lekko drżał. Natychmiast zacisnęła szczęki, żeby się opanować. – Musiałam dowiedzieć się, czy mu się udało, czy uratował swoich ludzi, czy też jego poświęcenie było daremne. I musiałam powiedzieć Briannie.

Nawet jeśli w to nie wierzy, jeśli nigdy nie uwierzy. Jamie jest jej ojcem.

– Tak, rozumiem. Nie mogłaś tego zrobić, dopóki żył doktor Randall, twój mąż... – Roger zarumienił się i poprawił się – to znaczy Frank.

Uśmiechnęła się słabo.

– Nie szkodzi. Możesz nazywać Franka moim mężem. W końcu jako małżeństwo przeżyliśmy wiele lat. Bree ma rację. Był dla niej ojcem, choć nie biologicznym.

Spojrzała na swoje ręce. Gdy rozłożyła palce, błysnęły dwie obrączki – srebrna i złota.

Nagle Rogerowi przyszła do głowy pewna myśl.

– Czy na srebrnej obrączce jest wyryty znak jubilera? – spytał, stając blisko Claire. – Niektórzy osiemnastowieczni szkoccy złotnicy je stosowali. To nie

rozstrzygający dowód, ale zawsze już coś.

Claire wyglądała na wstrząśniętą. W obronnym geście przykryła lewą dłonią prawą dłoń i pocierała palcami srebrną obrączkę z wzorem splecionych kwiatów ostu – godłem Szkocji.

– Nie wiem – stwierdziła z powątpiewaniem. Na jej policzki wystąpił lekki rumieniec.

– Nie przyglądałam się od środka. Nigdy jej nie zdejmowałam.

Powoli ściągnęła obrączkę. Na szczupłym palcu została bruzda od długiego noszenia krążka.

Z ukosa spojrzała na wewnętrzną stronę obrączki. Wstała i podeszła do stołu. Stała obok Rogera i tak nachyliła srebrny krążek, by padło na niego światło lampy.

– Wryto tu jakieś słowa – powiedziała z niedowierzaniem. – Nie przyszło mi nigdy do głowy, że on... Och, mój Boże.

Jej głos się załamał. Obrączka wypadła z rąk i z cichym brzękiem potoczyła się po stole. Roger zręcznie ją złapał. Claire odwróciła się, mocno przyciskając zaciśnięte pięści do ciała. Wiedział, że kobieta nie chce, żeby zobaczył wyraz jej twarzy. Opanowanie, które zachowywała przez cały długi dzień i w czasie rozmowy z Brianną, teraz zniknęło.

Stał przez chwilę bez ruchu. Znalazł się w niezręcznej sytuacji. Z okropnym uczuciem, że narusza najgłębszą prywatność, ale też ze świadomością, że nic innego nie może zrobić, podniósł małe metalowe kółeczko do światła i przeczytał wryte wewnątrz słowa.

– Da mi basia mille...

Ale to Claire wymówiła te słowa, nie Roger. Zaczęła płakać, ale pomału zdołała się opanować. Nie mogła przestać się kontrolować. Siła emocji, które trzymała na uwięzi, zniszczyłaby ją natychmiast.

– To Katullus. Fragment wiersza miłosnego. Hugh... Hugh Monro dał mi ten utwór w prezencie ślubnym. Był w kawałku bursztynu z zatopioną w nim ważką. – Opuściła wciąż zaciśnięte w pięści dłonie. – Nie pamiętam całego, ale znam ten krótki fragment.

W miarę, jak mówiła, głos stawał się coraz pewniejszy, ale ciągle stała odwrócona plecami do Rogera. Małe srebrne kółko błyszczało mu w dłoni. Zachowało ciepło palca, z którego zostało zdjęte.

– ... *da mi basia mille...* – szepnęła.

Po chwili zaczęła recytować przetłumaczony fragment wiersza:

Niech miłosne pocałunki spoczną

Na twych wargach, zacznij całować i całuj

Sto i tysiąc razy,

Sto i tysiąc razy więcej.

Gdy skończyła, jeszcze przez chwilę stała bez ruchu, potem powoli odwróciła się twarzą do Rogera. Policzki miała zarumienione, wilgotne, rzęsy zlepione łzami, ale z pozoru była spokojna.

– Sto i tysiąc razy więcej – powtórzyła ze sztucznym uśmiechem. – Ale nie ma znaku jubilera. A więc to też nie stanowi żadnego dowodu.

– Nieprawda – powiedział ochryple Roger, jakby coś utkwilo mu w gardle. Szybko odchrząknął. – Dla mnie to jest rozstrzygający dowód.

W głębi jej źrenic zapaliło się słabe światełko. Uśmiechnęła się. Potem straciła nad sobą panowanie. Łzy zebrały się w kącikach oczu i popłynęły po policzkach.

– Przepraszam – szepnęła.

Siedziała na sofie z łokciami wspartymi na kolanach i twarzą ukrytą w jednej z ogromnych, białych chusteczek wielebnego Wakefielda. Roger usadowił się obok, prawie dotykając Claire. Wydawała mu się bardzo mała i krucha. Zapragnął pogłaskać ją po popielato-brązowych lokach, ale się nie ośmielił.

– Nigdy nie pomyślałam... nie przyszło mi do głowy... – Wydmuchała nos. – Nie zdawałam sobie sprawy, ile dla mnie znaczy to, że ktoś mi uwierzył.

– Nawet jeśli tą osobą nie jest Brianna?

Skrzywiła się na te słowa. Wyprostowała się i zaczesła włosy do tyłu.

– Przeżyła szok – broniła córki. – Naturalnie, że nie mogła... kochała swojego ojca...

to znaczy Franka – poprawiła się szybko. – Tak przypuszczałam, że nie od razu zaakceptuje prawdę o Jamiem. Ale... po jakimś czasie, gdy to przemyśli, z pewnością zacznie zadawać pytania...

Jej głos ucichł, ramiona ugięły się pod białą, lnianą marynarką jakby pod ciężarem wypowiedzianych słów.

Chcąc odwrócić uwagę od tej sprawy, spojrzała na stół, na nie naruszoną stertę książek w błyszczących okładkach.

– To dziwne, prawda? Żyć dwadzieścia lat z uczonym zajmującym się okresem jakobińskim i nigdy nie przeczytać żadnej z prac w obawie przed poznaniem

niektórych faktów.

Potrząsnęła głową. Nadal wpatrywała się w książki.

– Nie wiem, co się stało z ludźmi, których wtedy poznałam. Nie potrafiłam zdobyć się na to, żeby się dowiedzieć. Nie mogłam ich jednak zapomnieć. Ale potrafiłam tę pamięć pogrzebać, trzymać pod kontrolą. Przez jakiś czas.

Jednak ten czas dobiegł końca. Teraz było inaczej. Roger wziął pierwszą książkę z góry, zważył w rękach, jakby brał na siebie odpowiedzialność za to, co się zdarzy. Może przynajmniej to oderwie jej myśli od Brianny?, pomyślał z nadzieją.

– Chcesz, żebym ci powiedział? – spytał cicho.

Wahała się chwilę, potem szybko skinęła głową. Chyba się obawiała, że jeśli dłużej się nad tym zastanowi, będzie żałować podjętej decyzji.

Oblizwał spierzchnięte wargi i zaczął mówić. Nie musiał zaglądać do książki. Fakty w nich opisane były znane każdemu uczonemu zajmującemu się tym okresem historycznym. Ale trzymał dzieło Franka Randalla przy piersi jak solidną tarczę.

– Francis Townsend – zaczął. – Człowiek, który dla Karola utrzymał Carlisle. Został pojmany. Sądzone go za zdradę, powieszono i rozpruto brzuch.

Przerwał, bo twarz Claire stała się zupełnie blada, jakby uszła z niej cała krew. Nie mogło już być gorzej. Siedziała za stołem naprzeciwko niego, nieruchoma niczym posąg.

– MacDonald z Keppoch i jego brat Donald pieszo brali udział w ataku pod Culloden.

Skosił ich ogień z angielskich armat. Lord Kilmaraock padł na polu walki. Lord Ancrum, rozpoznany przez zwiadowców wśród rannych, został zabrany z pola bitwy i ocalony przed ludźmi Cumberlanda. Żadna wielka łaska: został ścięty w następnym roku, w sierpniu, na wzgórzu w Tower razem z Balmerino. – Zawahał się. – Młody syn Kilmarnocka zaginął na polu bitwy. Nigdy nie odnaleziono jego ciała.

– Zawsze lubiłam Balmerino – wymamrotała. – A Stry Lis? Lord Lovat? – Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu. – Cień topora...

– Tak – powiedział.

Bezwiednie uderzał palcami w gładką okładkę książki, jakby czytał tekst pisany Braillem.

– Starego Simona sądzono za zdradę i skazano na śmierć przez ścięcie. Wszystkie relacje podają, że przyjął śmierć z wielką godnością.

Nagle Rogerowi przypomniała się anegdota podawana przez Hogartha. Przytoczył ją z pamięci tak dokładnie, jak mógł.

– Niesiony do Tower wśród okrzyków i szyderstw angielskiej gawiedzi stary wódz klanu Fraserów zachowywał się nonszalancko, prawie dobrodusznie. Nie zwracał uwagi na przedmioty, które przelatywały tuż przy jego głowie. W odpowiedzi na okrzyk starszej kobiety: „Obetną ci głowę, ty stary, szkocki kundlu!”, wychylił się przez okno powozu i jowialnie odkrzyknął: „Sądzę, że tak, ty szpetna, stara, angielska dziwko!”.

Uśmiechała się, ale to, co usłyszała, brzmiało trochę jak śmiech, a trochę jak szloch.

– Cholerny, stary sukinsyn.

– Kiedy stanął na szafocie – kontynuował ostrożnie Roger – sprawdził, czy topór jest dobrze naostrzony, i tak poinstruował kata, by wykonał dobrą robotę: „Zrób to, jak należy, bo jeśli nie, będę na ciebie bardzo, bardzo zły”.

Łzy spływały spod zamkniętych powiek Claire. Mieniły się w świetle ognia jak klejnoty. Roger zrobił krok w jej kierunku, ale powstrzymała go ruchem głowy, choć ciągle miała zamknięte oczy.

– Nic mi nie jest. Mów dalej.

– Nie zostało tego zbyt wiele. Niektórzy, jak wiesz, ocaleli. Lochiel zbiegł do Francji.

Roger przezornie powstrzymał się od wymienienia brata starego wodza, Archibalda Camerona. Lekarz został powieszony, rozpruto mu brzuch i ścięto w Tyburn. Wyrwano mu też serce i rzucono w płomień. Zdawało się, że nie zwróciła uwagi, iż go pominął.

Patrząc na nią uważnie, szybko skończył wymieniać pozostałych. Przestała płakać, ale siedziała ze zwieszoną głową. Gęste kręcone włosy zakrywały twarz i nie pozwalały dojrzeć jej wyrazu.

Gdy przestał mówić, na chwilę zapadła cisza, potem wstał i zdecydowanie ujął Claire za ramię.

– Chodź – powiedział. – Musisz odetchnąć świeżym powietrzem. Już nie pada.

Wydźmy na dwór.

Po zaduchu w gabinecie wielebnego świeże i chłodne powietrze na zewnątrz prawie odurzało. O zmroku ulewny deszcz przestał padać i teraz, wczesnym wieczorem słychać było tylko bębnienie kropel kapiących z drzew i

krzewów niczym echo wcześniejszej ulewy.

Po wyjściu z domu czułam prawie nieprzepartą ulgę. Tak długo obawiałam się wyznania prawdy, a teraz było już po wszystkim. Nawet jeśli Bree nigdy... ale nie, uwierzy. Choćby to trwało latami, w końcu z pewnością zaakceptuje fakty. Musi. Patrzyła prawdzie w oczy każdego ranka, przyglądając się swej twarzy w lustrze; to prawda krążyła jak krew w jej żyłach. Powiedziałam wszystko i poczułam lekkość duszy osoby, która wypowiedziała się z grzechów, opuściła konfesjonał nie obciążona jeszcze myślą o czekającej ją pokucie.

Pomyślałam, że przypomina to poród. Krótka chwila wielkich trudności i rozdzierającego bólu. Potem pewność bezsennych nocy, a w przyszłości szarpiących nerwy dni. Ale teraz, przez błogosławioną, spokojną chwilę, człowiek odczuwał jedynie cichą euforię, nie było miejsca na obawy. Nawet żal po ludziach, których znałam, wydawał się mniej dojmujący. Złagodził go blask gwiazd świecących przez szczeliny postrzępionych chmur.

Była wczesna wiosna. W powietrzu unosiła się wilgoć. Opony przejeżdżających samochodów szumiały na mokrej nawierzchni. Roger bez słowa prowadził mnie w stronę rzeki przez pagórki obok porośniętej mchem polanki za domem. Dwa brzegi spinał czarny stalowy most kolejowy. Przy drodze do głównej belki mostu była umocowana metalowa drabina. Ktoś wspiął się po niej i uzbrojony w białą farbę w aerozolu zuchwale wymalował na prześle napis „Wolna Szkocja”.

Pomimo przykrych wspomnień ogarnął mnie spokój. Najtrudniejsze miałam już za sobą. Bree wiedziała,

kim jest. Gorąco pragnęłam, by z czasem w to uwierzyła, nie tylko ze względu na siebie, ale także na mnie. Choć nie przyznawałam się do tego nawet sama przed sobą, chciałam mieć kogoś, z kim mogłabym wspominać Jamiego.

Przytłaczające zmęczenie ogarniało nie tylko mój umysł, ale i ciało. Wyprostowałam kręgosłup. Zmusiłam się do ogromnego wysiłku. Wkrótce będę mogła odpocząć, usiąść w samotności w niewielkim, przytulnym saloniku pensjonatu i samotnie rozmawiać z duchami przeszłości, przyrzekłam bolącym stawom, wrażliwemu umysłowi, niedawno rozdartemu sercu. Będę je spokojnie opłakiwać, a wraz z przelanymi łzami opuści mnie znużenie. W końcu poszukam chwili zapomnienia we śnie, w którym dawne postacie spotkam ponownie.

Ale jeszcze nie teraz. Zanim usnę, pozostało mi jeszcze coś do zrobienia.

Przez pewien czas szli w milczeniu. W oddali słyhać było odgłosy ruchu ulicznego, bliżej plusk wody obmywającej brzegi rzeki. Roger nie miał ochoty rozpocząć rozmowy. Nie chciał ryzykować, że przypomni Claire o sprawach, o których chciała zapomnieć. Ale już nie było odwrotu.

Wahając się i przerywając, zaczęła zadawać mu krótkie pytania. Odpowiadał na nie najlepiej, jak umiał. On też pytał. Otwartość, z jaką poruszali trzymane przez tyle lat w tajemnicy sprawy, podziałała na nią jak narkotyk. Roger słuchał zafascynowany i wbrew sobie ciągnął Claire za język. Gdy dotarli do mostu kolejowego, odzyskała energię i siłę, cechy, które od początku w niej cenił.

– Był durniem i pijaczkiem, słabym, głupim

człowiekiem – stwierdziła z pasją. – Wszyscy byli głupcami: Lochiel, Glengarry i cała reszta. Przy alkoholu pogrążali się w idiotycznych rojeniach, które roztrzaskał Karol. Gadanie nic nie kosztuje. Dougal miał rację: łatwo być odważnym, siedząc nad kuflem piwa w ciepłej gospodzie. Oglupieli od nadmiaru picia, a potem duma nie pozwalała im się wycofać. Chłostali i grozili, przekupywali i mamili swoich ludzi. Doprowadzili wszystkich do zguby... w imię honoru i sławy.

Parsknęła i przez chwilę milczała. Potem, co zadziwiające, roześmiała się.

– Czy wiesz, co w tym jest naprawdę śmieszne? Ten durny opój, jego chciwi pomocnicy i głupi ludzie honoru, którzy nie potrafili się zdobyć na to, żeby się wycofać...

mieli tylko jedną dobrą cechę: wiarę. A co najdziwniejsze, tylko to po nich zostało. Cała głupota, niekompetencja, tchórzostwo i pijacka pycha poszły w zapomnienie. Wszystko, co pozostawił Karol Stuart i jego ludzie, to chwała, której szukali i nigdy nie znaleźli.

– Może Raymond miał rację – dodała miękko. – Liczy się wyłącznie istota sprawy.

Czas zaciera wszystkie inne, zostaje tylko jej jądro.

– Czujesz żal do historyków? – zaryzykował pytanie Roger. – Do pisarzy, którzy wypaczyli fakty, zrobili z Karola bohatera? W górach Szkocji wszędzie na puszkach toffi i pamiątkowych kufiach dla turystów zobaczysz podobizny urodziwego księcia.

Claire potrząsnęła głową, wpatrując się w przestrzeń. Wieczorna mgła gęstniała, z koniuszków liści krzewów znowu zaczynało kapać.

– Nie, nie do historyków. Ich największym grzechem jest założenie, że wiedzą, co się wówczas wydarzyło, jak do tego doszło, choć dysponują tylko szczątkami informacji, łaskawie pozostawionymi przez los. Rzadko który za dymną zasłoną z przedmiotów i papieru potrafi dostrzec, co się naprawdę stało.

W oddali rozległ się słaby turkot. Roger wiedział, że to popołudniowy pociąg pasażerski z Londynu. W tak cichą noc na plebanii słyhać było gwizdek konduktora.

– Nie. Winę ponoszą artyści – mówiła dalej Claire.
– Pisarze, pieśniarze, bajarze. To oni przetwarzają przeszłość tak, jak im się podoba. Potrafią z głupca zrobić bohatera, z oboja stworzyć króla.

– A więc wszyscy są kłamcami? – wtrącił Roger.

Claire wzruszyła ramionami. Pomimo chłodu zdjęła marynarkę. Nasiąknięta wilgocią bluzka przylepiła się do jej ciała, ukazując piękną linię obojczyka i łopatek.

– Kłamcami czy cudotwórcami? – spytała. – Czy widząc kości w pyłe ziemi, docierają do istoty spraw z przeszłości? Nie. Potrafią jednak przyoblec je w nowe ciało tak, że harująca bestia przemienia się w rycerza z bajki.

– Czy według ciebie popełniają błąd? – odezwał się z powątpiewaniem Roger.

Most kolejowy zadrżał, gdy „Latający Szkot” minął zwrotnicę. Nierówne litery napisu „Wolna Szkocja” zatrzęsły się pod wpływem wibracji.

Claire wpatrywała się w białe znaki. Jej twarz rozświetlało przelotne światło gwiazd.

– Ciągle nic nie rozumiesz – stwierdziła.

Była zirytowana, ale nie podniosła ochryplego

głosu.

– Nie wiesz, dlaczego coś się stało – powiedziała. – Ani ty, ani ja nie wiemy i nigdy nie poznamy odpowiedzi. Nie potrafimy przewidzieć końca. Nie możemy ustalić przeznaczenia jakiegoś zdarzenia i wszystkich jego skutków. Czy to, co Karol zrobił ludziom w Szkocji, było wydarzeniem, które miało się stać? Albo może miało się stać tak, jak się zdarzyło, a prawdziwe przeznaczenie Karola to zostanie malowaną postacią, wizerunkiem? Czy bez niego Szkocja wytrzymałaby dwieście lat unii z Anglią, ciągle zachowując własną tożsamość? – Machnęła ręką w stronę namalowanych na moście liter.

– Nie wiem! – odparł Roger, starając się przekrzyczeć hałas. Pociąg przejechał most nad ich głowami. Rozkołysane światło reflektora oświetliło drzewa i tory.

Ponad minutę słychać było szcęk i łoskot, ziemia drżała. Stali i czekali, aż znów zapanuje cisza. W końcu stukot przerodził się w zawrodozenie i zamarł. Czerwone światło ostatniego wagonu znikło w oddali.

– Cholerny świat – zaklęła głośno. – Nigdy nie wiadomo, co robić, ale i tak trzeba działać.

Nagle rozpostarła dłonie i zgięła silne palce. Obrączki zamigotały w świetle.

– Uczysz się tego jako lekarz. Nie w szkole, ale wtedy, gdy przykładasz ręce do czyjegoś ciała i sądzisz, że potrafisz go uleczyć. A tak wiele rzeczy jest poza twym zasięgiem. I nigdy nie zdołasz ich dotknąć, pojąć istoty, bo przeciekają ci przez palce. Ale nie możesz o tym myśleć. Musisz zajmować się tylko osobą, którą masz przed sobą.

Zachowywać się tak, jakby ten pacjent był jedynym człowiekiem żyjącym na ziemi. Inne postępowanie oznacza, że jego także stracisz. Trzeba zajmować się każdym pojedynczo.

Uczyć się nie rozpaczać z powodu tych, którym nie możesz pomóc, robić tylko to, co w twojej mocy.

Odwróciła się do niego z twarzą wynędzniałą ze znużenia, ale oczami błyszczącymi światłem odbitym przez kropelki deszczu. W splotach włosów połyskiwała woda. Ręka Claire spoczęła na ramieniu Rogera, nieodparta jak wiatr, który wypełnia żagle łódki i popycha naprzód.

– Wracajmy na plebanie – odezwała się po chwili. – Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

W drodze powrotnej Claire milczała, choć Roger usiłował się dowiedzieć, o co chodzi.

Odmówiła przyjęcia podanego sobie ramienia. Szła sama z głową opuszczoną, pogrążona w zadumie. Już podjęła decyzję, pomyślał Roger. Zastanawia się tylko, co powiedzieć.

Roger też się zastanawiał. Po zamieszanu wywołanym rewelacjami dnia cisza dała mu chwilę wytchnienia. Mógł rozważyć kwestię, dlaczego właściwie Claire zdecydowała się wszystko także jemu wyjawić. Z łatwością mogła porozmawiać tylko z Brianną. Czy obawiała się reakcji córki i nie chciała sama stawiać temu czoło? A może przyjęła ryzykowne założenie, że jej uwierzy – co zresztą zrobił – i tym sposobem zyska sprzymierzeńca w walce o prawdę?

Gdy dotarli na plebanie, skręcał się z ciekawości. Najpierw jednak zdjęli z jednego z najwyższych regałów

książki i przesunęli mebel tak, by zasłaniał stłuczone okno, odcinając dopływ zimnego, nocnego powietrza.

Zarumieniona z wysiłku Claire usiadła na sofie. Roger wziął z małego barku butelkę whisky i nalał dwie szklanki. Gdy żyła pani Graham, zawsze przynosiła koktajle na tacy.

Kieliszki ustawione były na specjalnych ozdobnych serwetkach. Podawała też ciasteczka i serwetki do otarcia ust. Fiona, gdyby jej na to zezwolił, z chęcią robiłaby teraz tak samo, ale Roger wołał prostotę i sam nalewał sobie napoje.

Claire podziękowała i powoli sączyła trunka. Postawiła szklankę na stole i zmęczona, ale opanowana spojrzała na Rogera.

– Z pewnością się zastanawiasz, dlaczego chciałam, żebyś wysłuchał całej opowieści – powiedziała. Całkowicie wytrąciła go z równowagi zdolnością czytania w myślach. – Były dwa powody. Drugi przedstawię ci niebawem. A jeśli chodzi o pierwszy, uznałam, że miałeś pewne prawo to usłyszeć.

– Ja? Jakie?

Złote oczy, niepokojące jak bystre spojrzenie lamparta, patrzyły prosto na Rogera.

– Takie samo, jak Brianna. Powinieneś wiedzieć, kim jesteś.

Przeszła przez pokój ku przeciwległej korkowej ścianie. Przypięto tam fotografie, jedną na drugiej, wykresy, notatki, bilety wizytowe, stare harmonogramy zajęć w parafii, zapasowe klucze i inne śmieci.

– Pamiętam tę ścianę – powiedziała. Uśmiechnęła

się i dotknęła zdjęcia upamiętniającego wręczenie nagród w lokalnej szkole podstawowej. – Czy twój ojciec kiedykolwiek coś stąd zjął?

Roger zakłopotany potrząsnął głową.

– Nie, nie sądzę. Zawsze powtarzał, że nie znajdzie niczego, co włożono do szuflad.

Chciał mieć na widoku swoje wszystkie ważne drobiazgi.

– A więc prawdopodobnie to wciąż tu jest.

Zaczęła ostrożnie oddzielać zachodzące na siebie warstwy pożółkłego papieru.

– To chyba ten – wymamrotała po przerzuceniu kilku kartek.

Sięgnęła głęboko pod detrytus kazań i biletów z myjni samochodowej, oderwała pojedynczy arkusz i położyła na biurku.

– Moje drzewo genealogiczne – zakrzyknął zdumiony Roger. – Od lat nie oglądałem tego starocia. A zresztą nie przywiązywałem do wykresu większej wagi – dodał. – Jeśli zamierzasz mi oznajmić, że zostałem adoptowany, to się spóźniłaś. Już o tym wiem.

Claire skinęła głową pochłonięta oglądaniem mapy z nazwiskami i datami.

– Twój ojciec, to znaczy pan Wakefield, narysował ten wykres, bo chciał być pewien, że poznasz swoją prawdziwą rodzinę, chociaż nadał ci własne nazwisko.

Roger westchnął na myśl o wielebny. Zerknął też na biurko, gdzie stało małe zdjęcie w srebrnej ramce. Z fotografii uśmiechał się nieznanym młody ciemnowłosy człowiek w mundurze RAF-u z okresu drugiej wojny

światowej.

– Tak. O tym też wiem. Nazwisko mojej rodziny brzmiało MacKenzie. Uważasz, że jestem spokrewniony z niektórymi z MacKenziemi, których... poznałaś? Nie widzę danych żadnego z tych ludzi na wykresie.

Claire wodziła palcem po pająkowatych, ręcznie narysowanych liniach genealogii.

Zachowywała się tak, jakby nie słyszała, co Roger mówi.

– Pan Wakefield był niezwykle pedantem, bardzo dokładnym archiwistą – wymamrotała do siebie. – Nie dopuściłby, żeby wkraść się błąd.

Palec nagle się zatrzymał.

– Tutaj – powiedziała. – To stało się w tym okresie. Palec posunął się w dół strony. – Wszystko się zgadza. Poniżej tego punktu są zaznaczeni twoi rodzice, dziadkowie, pradziadkowie i tak dalej. Ale nie powyżej. – Palec powędrował w górę.

Roger pochylił się nad wykresem. Oczy koloru leśnego mchu były zamyślane.

– Ten? William Buccleigh MacKenzie urodzony w tysiąc siedemset czterdziestym czwartym, syn Williama Johna MacKenziego i Sarah Innes. Zmarł w tysiąc siedemset osiemdziesiątym drugim roku.

Claire potrząsnęła głową.

– Zmarł na ospę w tysiąc siedemset czterdziestym czwartym roku w wieku dwóch miesięcy.

Złote oczy spoglądały na niego z siłą, która sprawiła, że wzdłuż kręgosłupa przeszedł mu dreszcz.

– Nie byłeś pierwszym adoptowanym dzieckiem w

rodzinie – stwierdziła. Jej palec stukał we wskazywaną pozycję. – Potrzebował mamki – powiedziała. – Jego matka nie żyła, więc oddano go rodzinie, która straciła dziecko. Nadali mu imię po zmarłym niemowlęciu. To była wówczas powszechna praktyka. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby odnotować nowe dziecko w parafialnych rejestrach. W końcu ochrzczono je po urodzeniu. Nie było potrzeby robić tego po raz drugi. Colum mi powiedział, gdzie umieścili sierotę.

– Geillis Duncan – powoli Roger. – Dziecko czarownicy?

– Zgadza się. – Przekrzywiła głowę i taksowała Rogera wzrokiem. – Wiedziałam, że tak musi być, gdy tylko cię zobaczyłam. Te same oczy...

Roger usiadł. Nagle zrobiło mu się zimno, choć regał zasłaniał wybite okno, a w kominku palił się ogień.

– Jesteś pewna? – spytał.

Nie miała żadnych wątpliwości, choć cała ta historia przypominała zawiłą konstrukcję chorego umysłu. Claire siedziała bez ruchu ze szklanką whisky w ręku, niewzruszona, jakby właśnie zamierzała zamówić serowe paluszki.

Chory umysł? Doktor Claire Beauchamp-Randall, szef personalny w dużym ważnym szpitalu. Szaleństwo, obłąd, nieposkromione rojenia? Łatwiej byłoby mu uwierzyć, że sam oszalał. Właściwie zaczynał w to wierzyć.

Wziął głęboki oddech, położył dłonie płasko na wykresie, zasłaniając wpis dotyczący Williama Buccleigha MacKenziego.

– Dość ciekawe. Cieszę się, że mi o tym

powiedziałaś. Ale przecież to niczego nie zmienia. Z wyjątkiem tego, że mogę oderwać i wyrzucić górną połowę drzewa genealogicznego. W końcu nie wiemy, skąd pochodziła Geillis Duncan ani kto był ojcem jej dziecka. Wydajesz się przekonana, że nie stary Arthur, poborca podatkowy.

Claire potrząsnęła głową zamyślona.

– Och, nie, nie Artur Duncan. Dougal MacKenzie był ojcem jej dziecka. To stało się prawdziwym powodem śmierci Geills, nie czarna magia. Column MacKenzie nie mógł dopuścić, żeby ludzie się dowiedzieli, że jego brat ma cudzołożny związek z żoną poborcy podatkowego. A ona chciała poślubić Dougala. Może zagroziła MacKenziem, że wyjawia prawdę o Hamishu.

– Hamishu? Ach, tak, synu Columna. Pamiętam. – Roger potarł czoło ręką. Zaczynał mieć mętlik w głowie.

– Nie Columna – poprawiła Claire. – Dougala. Sprawny brat spłodził dziecko w zastępstwie kalekiego. Hamish był następcą wodza klanu MacKenziech. Column zabiłby każdego, kto stanowiłby zagrożenie dla dziedzica... i to zrobił.

Wzięła głęboki oddech.

– Ten fakt prowadzi do drugiego powodu, dlaczego opowiedziałam ci tę historię.

Roger z rękami we włosach wpatrywał się w leżący na stole arkusz papieru. Linie wykresu genealogicznego skręcały się jak sztuczne węże, których rozwidlone języki błędziły między nazwiskami.

– Geillis Duncan – wyszeptał ochryple. – Miała bliźnię po szczepieniu.

– Tak. I ze względu na Geillis, wróciłam do Szkocji. Kiedy wyjechałam stąd z Frankiem, przysięgam, że nigdy tu nie wrócę. Wiedziałam, że nie zapomnę, co przeżyłam, ale mogłam pogrzebać wspomnienia. Trzymać się z daleka i nigdy nie starać się dowiedzieć, co się stało po moim odejściu. Sądziłam, że zdołam zrobić przynajmniej tyle dla obu, Franka i Jamiego. I dla mającego się urodzić dziecka.

Na chwilę mocno zacisnęła usta.

– Podczas procesu w Cranesmuir Geillis uratowała mi życie. Może tak czy inaczej nie uniknęłaby śmierci. Ale jednak, żeby mnie uratować, odrzuciła wszelkie szansę.

Zostawiła też wiadomość. Dougal przekazał mi ją w jaskini w górach wraz z informacją, że Jamie jest w więzieniu. Wiadomość składała się z dwóch części. Zdania: „Nie wiem, czy to jest możliwe, ale tak mi się zdaje”, oraz kombinacji czterech cyfr: jeden, dziewięć, sześć i osiem.

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt osiem – powiedział Roger. Miał uczucie, że śni.

Z pewnością wkrótce się obudzi. – Bieżący rok. O co jej chodziło, gdy mówiła, że myśli, iż to jest możliwe?

– O powrót. Przez kamienie. Sama nie próbowała, ale uważała, że to jest możliwe.

Oczywiście miała rację.

Claire odwróciła się i wzięła ze stołu szklankę whisky. Wpatrywała się w Rogera znad okularów oczami tej samej barwy, co zawartość szklanki.

– Teraz jest tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy. Rok, w którym przeniosła się dwieście lat wstecz.

Szklanka zaczęła się wyslizgiwać z ręki Rogera. Chwycił ją z trudnością.

– Co...? Ale ona... dlaczego nie... nie możesz być tego pewna... – bełkotał. Usiłował uporządkować bezładne, chaotyczne myśli.

– Nie wiem – przerwała Claire. – Tak mi się zdaje. Jestem prawie pewna. Była Szkotką i są spore szanse, że przeszła gdzieś w górach. Pod warunkiem, że znajdują się tam jakieś stojące kamienie. Craigh na Dun to przejście dla tych, którzy potrafią z niego skorzystać. Poza tym – dodała z miną osoby, która przedstawia decydujący argument – Fiona ją widziała.

– Fiona?

Nie, tego już za wiele. Kompletny absurd. Roger potrafił uwierzyć we wszystko:

korytarze czasu, zdrady w klanie, rewelacje historyczne, ale wciąganie w to wszystko Fiony... tego rozsądek nie mógł znieść. Popatrzył przerażony na Claire.

– Powiedz, że nie o to ci chodzi – błagał. – Nie Fiona.

Kąciki ust Claire zadrgały.

– Niestety, tak – stwierdziła z odrobiną współczucia. – Spytałam ją o grupę druidów, do której należała jej babcia. Oczywiście przysięgła dochować tajemnicy, ale wiedziałam o nich sporo i... – Wzruszyła ramionami, jakby przepraszająco. – Nie było zbyt trudno nakłonić dziewczynę do mówienia. Powiedziała, że jakaś inna kobieta też zadawała pytania. Wysoka, o jasnych włosach i bardzo specyficznym, zielonym kolorze oczu.

Nieznajoma kogoś Fionie przypominała – dodała delikatnie, nie patrząc na Rogera. – Ale nie miała pojęcia kogo.

Roger stęknął i zgiął się w pasie. Schylał się powoli, dopóki głowa nie spoczęła na stole. Zamknął oczy. Czuł dotyk zimnego, twardego drewna.

– Czy Fiona zna nazwisko tej kobiety? – spytał z ciągle zamkniętymi oczami.

– Tak, Gillian Edgars.

Usłyszał, jak Claire wstaje, przechodzi przez pokój i dolewa jeszcze trochę whisky do szklanki. Wróciła i stanęła obok stołu. Na karku czuł jej spojrzenie.

– Decyzję pozostawiam tobie – powiedziała cicho. – Masz do tego prawo. Czy chcesz, żebym poszukała pani Edgars?

Roger uniósł głowę i mrugając, spojrzał z niedowierzaniem.

– Czy chcę? – powtórzył pytanie. – Jeśli to... wszystko prawda... musimy ją znaleźć.

Nie możemy dopuścić, żeby ją spalono żywcem... Oczywiście, trzeba koniecznie znaleźć Gillian Edgars! – wybuchnął nagle.

– A co potem? – zastanawiała się. Położyła szczupłą rękę na brudnym wykresie i uniosła wzrok. – Co się stanie z tobą? – spytała cicho.

Rozejrzał się bezradnie po jasnym zagraconym gabinecie ze ścianą obwieszoną różnościami. Spojrzał na obtłuczony czajniczek, na stary dębowy stół. Chwycił rękami uda, ścisnął szorstkie sztruksowe spodnie, jakby pragnął się upewnić, że żyje.

– Ale... jestem prawdziwy! – wybuchnął. – Nie mogę tak po prostu... wyparować!

Claire z troską uniosła brwi.

– Nie wiem, czy byś wyparował. Nie mam pojęcia, co by się stało. Może nigdy byś nie zaistniał? W każdym razie nie powinieneś być tym tak bardzo wstrząśnięty. Może ta część ciebie, która czyni cię wyjątkowym, dusza, czy jakkolwiek zechcesz to nazwać, będzie istnieć tak czy inaczej. Może wciąż pozostaniesz sobą bez względu na pochodzenie.

W końcu jaką część wyglądu i osobowości możesz przypisać przodkom, którzy żyli sześć pokoleń wstecz? Połowę? Dziesięć procent?

Wzruszyła ramionami. Zacisnęła wargi, przyglądając mu się uważnie.

– Masz oczy po Geillis. Ale widzę też w tobie Dougala. Nie, nie określoną cechę, chociaż wyraźne są kości policzkowe MacKenziech. Tak jak u Bree. Nie, chodzi o coś subtelniejszego, sposób poruszania się, wdzięk, szybkość... – Pokręciła głową. – Nie potrafię tego opisać. Ale czy to coś, jest ci potrzebne, aby być sobą? Czy mógłbyś się obejść bez częściowego podobieństwa do Dougala?

Podniosła się ciężko. Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, wyglądała na swoje lata.

– Ponad dwadzieścia lat dręczyły mnie te pytania. Teraz mogę ci powiedzieć jedno:

nie ma odpowiedzi, są tylko wybory. Sama dokonałam kilku i nikt nie potrafi ocenić, czy były słuszne czy nie. Może mistrz Raymond, chociaż sądzę, że on by tego nie zrobił.

Uwielbiał tajemnice.

– Zawsze trzeba pozostawić wybór.

Podniosła szklanę i wypila resztkę whisky.

Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy. Rok, w którym Geillis Duncan weszła w krąg stojących kamieni i wyruszyła na spotkanie przeznaczenia pod jarzębiną na wzgórzach w pobliżu Leoch. Nieślubne dziecko, śmierć w płomieniach.

Wstał i chodził tam i z powrotem. Patrzył na książki ustawione w gabinecie. Tomy traktujące o tym prześmiewczym, zmiennym przedmiocie, jakim jest historia.

Żadnych odpowiedzi, tylko wybory.

Niespokojnie dotknął książek na ostatniej półce. Były to monografie ruchu jakobitów, historie rebelii z roku piętnastego i czterdziestego piątego. Claire poznała kilkoro mężczyzn i kobiet opisanych w tych dziełach. Walczyła i cierpiała z nimi, ratowała ludzi jakże odmiennych od niej samej. W końcu poniosła klęskę. Straciła wszystko, co najdroższe. Ale sama dokonała wyboru. A teraz przyszła kolej na Rogera.

Czy jest szansa, że to sen, jakieś urojenie? Ukradkiem zerknął na Claire. Siedziała z zamkniętymi oczami bez ruchu, oparta na krześle. Tylko w zagłębieniu szyi ledwie widoczny bił puls. Roger potrafił na chwilę przekonać siebie, uległ złudzeniu, ale tylko dopóki nie patrzył na Claire. Chociaż nie chciał wierzyć, nie umiał patrzeć na tę kobietę i wątpić choćby w jedno jej słowo.

Położył ręce płasko na stole. Analizował labirynt linii, które krzyżowały się na wewnętrznej stronie dłoni. Czy w tych zagłębieniach spoczywał tylko jego własny los czy też życie nieznaney kobiety?

Żadnych odpowiedzi. Delikatnie zacisnął ręce, jakby trzymał w nich coś malutkiego.

I dokonał wyboru.

– Odnajdźmy Gillian Edgars – powiedział.

Nieruchoma, siedząca w fotelu postać nie wydała żadnego dźwięku. Nie poruszyła się.

Jedynym ruchem było wznoszenie się i opadanie piersi. Claire spała.

48

POLOWANIE NA CZAROWNICĘ

Staromodny dzwonek zaterkotał gdzieś w głębi mieszkania. Dom, przed którym stali, nie był położony ani w najlepszej, ani w najgorszej dzielnicy miasta. Przeważnie mieszkali tu robotnicy. Na przypiętej pod dzwonkiem kartce napisano ręcznie:

„McHenry na piętrze – dzwonić dwa razy”. Roger starannie nacisnął guzik raz jeszcze, potem otarł rękę o spodnie. Dłonie pociły mu się ze zdenerwowania, co jeszcze bardziej go irytowało.

Przy wejściu stała duża doniczka ze zwiędniętymi żonkilami. Koniuszki liści były brązowe i zwinięte, a karbowane żółte główki kwiatów opadły tuż przy jego bucie.

Claire też je zobaczyła. Schyliła się, żeby sprawdzić ziemię w doniczce.

– Nie podlewano ich ponad tydzień.

Nikogo nie ma w domu, uznał w duchu Roger. Na tę myśl ogarnęła go łagodna fala ulgi. Bez względu na to, czy wierzył, że Geillis Duncan i Gillian Edgars to jedna i ta

sama osoba, czy też nie, chciał jak najszybciej opuścić ten dom. Odwrócił się, żeby odejść, ale drzwi nagle otworzyły się ze skrzypnięciem. Na ten dźwięk serce podeszło mu do gardła.

– Tak?

Człowiek, który im otworzył, miał czerwoną, masywną twarz ocienioną nie ogoloną brodą. Patrzył na nich, zezując napuchniętymi oczami.

– Przepraszamy, że pana obudziliśmy – odezwał się Roger. Z trudem opanował drżenie rąk. Czuł pustkę w żołądku. – Szukamy panny Gillian Edgars.

Mężczyzna podrapał się w głowę, aż rozwichrzył sobie czarną szczecinę. Włosy sterczały mu na wszystkie strony.

– Dla ciebie, chłoptasiu, pani Edgars. A czego chcesz od mojej żony?

Gospodarz zionął oparami alkoholu. Roger miał ochotę cofnąć się o krok, ale zdołał się powstrzymać.

– Chcielibyśmy tylko porozmawiać – wyjaśnił uprzejmym tonem. – Proszę nam powiedzieć, czy jest w domu?

– Proszę nam powiedzieć, czy jest w domu? – Mężczyzna, z pewnością pan Edgars, z wykrzywionymi ustami powtórzył pytanie Rogera, ostrym wysokim głosem, przedrzeźniając jego oksfordzki akcent. – Nie, nie ma. Spływajcie stąd! – doradził i zatrzasnął drzwi z takim hukiem, że aż zadrżała koronkowa zasłona.

– Wszystko jasne – stwierdziła Claire, stając na palcach. Oparła się na parapecie, żeby zajrzeć do środka. – Ja też bym niechętnie z kimś takim przebywała w domu.

– Racja – skomentował krótko Roger. – Masz inny pomysł, jak znaleźć tę kobietę?

Claire odsunęła się od parapetu.

– Usadowił się przed telewizorem – poinformowała.
– Zostawmy go, przynajmniej do momentu otwarcia pubów. W tym czasie możemy spróbować zlokalizować ją w Instytucie. Fiona mówiła, że Gillian Edgars chodzi tam na jakieś kursy.

Instytut Historii i Folkloru Gór mieścił się obok dzielnicy handlowej na najwyższym piętrze wąskiego domu. Sekretarka, niska, pulchna kobieta w brązowej wełnianej kamizelce i sukience z zadrukowanego perkalu, była zachwycona widokiem przybyszów.

Chyba cierpi na brak towarzystwa, pomyślał Roger.

– Och, chodzi o panią Edgars. – Ucieszyła się, gdy usłyszała, co ich sprowadza.

W głosie pani Andrews pojawiła się nagle nuta wątpliwości, ale kobieta ciągle wydawała się pogodna i wesoła.

– Tak – dodała. – Jest stałym członkiem Instytutu. Ma opłacone kursy. Pani Edgars dość często tu przychodzi.

Wnioskując z tonu wypowiedzi, nawet dużo częściej, niż pani Andrews uważała za właściwe.

– Czy może jest tu teraz? – spytała Claire.

Sekretarka potrząsnęła głową. Posiwiałe, spięte spinkami loki zatańczyły wokół twarzy.

– Och, nie – odparła. – Dziś poniedziałek. W ten dzień tylko ja i doktor McEwan przychodzimy do Instytutu. Doktor McEwan jest dyrektorem.

Spojrzała z wyrzutem na Rogera, jakby uważała za

oczywiste, że powinien to wiedzieć. Potem, najwyraźniej uspokojona wzbudzającym szacunek wyglądem gości, trochę zmięła.

– O panią Edgars najlepiej zapytać doktora McEwana. Czy pójść i powiedzieć, że państwo przyszlście?

Gdy już wychodziła z biurka, Claire pochyliła się do przodu.

– Czy ma pani zdjęcie pani Edgars? – spytała bez ogródek.

Widząc zdumione spojrzenie pani Andrews, Claire uroczco się uśmiechnęła i wyjaśniła:

– Nie chcielibyśmy marnować czasu pana dyrektora, jeśli to nie jest osoba, o którą nam chodzi.

Usta sekretarki lekko się otworzyły. Zdezorientowana kobieta zamrugała, ale po chwili skinęła głową i zaczęła szperać w szufladach biurka.

– Wiem, że gdzieś tu są. Widziałam je zaledwie wczoraj, więc powinny być na wierzchu... och, oto one!

Wyciągnęła album z czarno-białymi fotografiami o wymiarach osiem na dziesięć i szybko go przejrzała.

– Tutaj – powiedziała. – To ona podczas jednej z wypraw wykopaliskowych w pobliżu miasta, ale nie widać jej twarzy. Zobaczę, czy nie ma innych zdjęć...

Powróciła do przeglądania, mamrocząc do siebie. Roger spojrział ciekawie przez ramię Claire na fotografię, którą pani Andrews położyła na biurku. Obok ludzi zgrupowanych przy landroverze leżały jutowe worki i małe narzędzia. Zdjęcie nie było pozowane. Niektóre osoby odwróciły się tyłem do aparatu. Claire wskazała na wysoką

dziewczynę z długimi, prostymi włosami sięgającymi do połowy pleców. Postukała w fotografię i bez słowa spojrzała na Rogera.

– Nie możesz być zupełnie pewna – wymamrotał.

– Co takiego, złotko? – spytała pani Andrews, patrząc nieprzytomnie znad okularów.

– Och, nie mówił pan do mnie. Nic nie szkodzi. Znalazłam inne, trochę lepsze zdjęcie.

Chociaż i na nim nie widać całej twarzy. Pani Edgars obróciła się bokiem. Ale jest lepsze niż poprzednie. – Z triumfalnym pacnięciem położyła na biurku nowe zdjęcie.

Ukazywało ono starszego mężczyznę w binoklach i tę samą jasnowłosą dziewczynę.

Stała pochylona nad stołem, na którym rozłożono coś, co według Rogera wyglądało jak zardzewiałe części samochodowe, a co niewątpliwie stanowiło cenne przedmioty o wartości historycznej. Włosy dziewczyny opadły na policzek. Głowę zwróciła w stronę starszego mężczyzny. Mimo wszystko wyraźnie było widać krótki, prosty nosek, słodko zaokrągloną brodę i pięknie zarysowane usta. Oczy miała spuszczone, ukryte pod długimi gęstymi rzęsami. Roger powstrzymał się od wyrażającego podziw gwizdu. Antenatka czy nie, niezła lala, pomyślał, okazując całkowity brak szacunku.

Spojrzał na Claire. Skinęła głową bez słowa. Była bledsza niż zwykle. Puls wyraźnie jej przyspieszył, ale ze zwykłym u siebie opanowaniem podziękowała pani Andrews.

– Tak, to ona. Jeśli dyrektor ma chwilę czasu,

chcielibyśmy z nim porozmawiać.

Sekretarka zerknęła na znajdujące się za biurkiem obite na biało drzwi.

– Pójdę i zapytam, kochanie. A do czego to wam potrzebne?

Roger szukał jakiejś wymówki, gdy Claire gładko wybrnęła z sytuacji.

– Jesteśmy z Oksfordu – powiedziała. – Pani Edgars ubiega się o stypendium z Katedry Studiów Starożytnych i podała Instytut jako źródło dodatkowych o niej informacji oraz pozostałych potrzebnych dokumentów. Więc, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu...?

– Och, rozumiem – stwierdziła pani Andrews. Była chyba pod wrażeniem. – Oksford.

Niesłychane! Spytałem doktora McEwana, czy zechce państwa teraz przyjąć.

Zniknęła za białymi drzwiami. Roger pochylił się do ucha Claire.

– W Oksfordzie nie ma czegoś takiego, jak Katedra Studiów Starożytnych – zasyczał.

– Doskonale o tym wiesz.

– Owszem – odparła poważnie. – Ale na świecie jest mnóstwo osób, które tego nie wiedzą. Właśnie jedną z nich spotkaliśmy.

Obite na biało drzwi uchyliły się.

– Oby wszyscy w Instytucie nie byli w tych sprawach zbyt dobrze zorientowani – mruknął Roger i otarł czoło. – Inaczej musiałybyś wymyślać nowe kłamstwa.

Pani Andrews zaprosiła gości skinieniem ręki. Claire uśmiechnęła się do kobiety i wstała.

– Nie ma problemu. Organizowałam już nawet seanse spirytystyczne dla króla Francji – szepnęła do Rogera, wyprostowała spódnicę i ruszyła w stronę drzwi, kołysząc biodrami. – To będzie kaszka z mleczkiem.

Roger stanął w progu i skłonił się przed Claire ironicznie.

– *Après vous** [*Pani przodem.]. – Gdy poszła przodem, dodał półgłosem: – *Le deluge** [*...i niech się dzieje, co chce.].

Jej ramiona zeszywniały, ale się nie odwróciła.

Ku zdumieniu Rogera rzeczywiście wszystko poszło gładko. Nie miał pewności, czy zawdzięczali to talentowi Claire do przekręcania faktów, czy zaabsorbowaniu doktora McEwana innymi sprawami, ale ich wiarygodność nie została nawet przez chwilę zakwestionowana. Naukowcowi nie przyszło do głowy, że jest wielce nieprawdopodobne, żeby łowcy głów z Oksfordu penetrowali dzikie ostępy Inverness, aby zasięgnąć informacji o przeszłości potencjalnego absolwenta uczelni. Może doktor McEwan jest pochłonięty czymś innym i nie myśli tak jasno, jak zwykle, zastanawiał się Roger.

– Pani Edgars to niewątpliwie bystra osoba. Bardzo bystra – orzekł dyrektor takim tonem, jakby chciał przekonać samego siebie.

Był wysokim, szczupłym mężczyzną. Miał długą dolną wargę jak u wielbłąda, która trzęsła się, gdy z wahaniem dobierał słowa.

– Czy państwo... czy ona... to znaczy... – zamilkł i zacisnął usta. – Czy kiedykolwiek spotkaliście panią Edgars? – wydusił z siebie w końcu.

– Nie – oparł Roger. Przypatrywał się doktorowi z pewną surowością. – Właśnie dlatego chcemy się o niej czegoś dowiedzieć.

– Komitet oksfordzki powinien dobrze poznać kandydatkę – wtrąciła delikatnie Claire. Pochyliła się do przodu i szeroko otworzyła oczy. – Informacje zebrane podczas takich rozmów są oczywiście całkowicie poufne. Ale musimy otrzymać kompletne dane.

– Sugestywnie zniżyła głos. – Pan rozumie, wymogi ministerstwa.

Roger miał ochotę ją udusić, ale doktor McEwan z rozwagą kiwał głową. Dolna warga latała mu jak szalona.

– Och, tak, droga pani. Jasna sprawa. Ministerstwo. Doskonale rozumiem. Tak, tak, więc... hm, może... nie chciałbym w jakikolwiek sposób wprowadzić państwa w błąd.

Niewątpliwie to wspaniała okazja...

Teraz Roger chętnie zamordowałby ich oboje. Claire z pewnością zauważyła, że ręce złożone na kolanach trzęsą mu się ze zdenerwowania, bo zdecydowanie przerwała bredzenia dyrektora.

– Zasadniczo interesują nas dwie sprawy – oznajmiła żywo i otworzyła notatnik.

Położyła go sobie na kolanach, jakby chciała zapisywać uzyskane informacje. Roger zerknął z ukosa: „Odebrać butelkę sherry dla pani T. i krojoną szynkę na piknik”, przeczytał.

– Po pierwsze, prosimy pana o opinię o wiedzy pani Edgars. Po drugie, pragniemy poznać pana zdanie na temat osobowości studentki. Sami przeprowadziliśmy już

wstępną kwalifikację – postawiła w notatniku znaczek obok wpisu „Wymienić czeki podróżne” – ale oczywiście pan ma o tej sprawie dużo większe pojęcie.

Doktor McEwan kiwał głową jak zahipnotyzowany.

– A więc tak... – Nadął się trochę, zerknął, czy drzwi są zamknięte, i pochylił się nad biurkiem. – Mogę państwu udzielić wyczerpujących informacji na temat poziomu jej prac. Pokażę kilka rzeczy, nad którymi pracowała. Jednak jeśli chodzi o to drugie...

Roger rzucił dyrektorowi groźne spojrzenie.

Naukowiec, zaskoczony, gwałtownie odchylił się do tyłu.

– Właściwie to nic takiego – powiedział. – Tylko... więc ta młoda dama jest bardzo tym wszystkim przejęta. Czasami jej zainteresowanie wydaje się trochę... obsesyjne.

Ostatnie zdanie tak zaintonował, jakby zadawał pytanie. Nerwowo spoglądał to na Rogera, to na Claire jak szczur złapany w pułapkę.

– A czy nie jest przypadkiem skierowane głównie na stojące głązy? Kamienne kręgi?

– zasugerowała łagodnie Claire.

– Och, a więc widać to nawet w przedstawionych przez nią materiałach zgłoszeniowych? – Dyrektor wyciągnął z kieszeni dużą, brudną chusteczkę i otarł twarz.

– Tak, właśnie tak. Oczywiście wiele osób daje się ponieść romantyzmowi, tajemnicy... – dodał. – Wystarczy spojrzeć tylko na te nie oświecone dusze w Stonehenge w dzień Świętego Jana, ludzi ubranych w kaptury i togi, monotonnie zawodzących... takie tam bzdury. Oczywiście prac Gillian Edgars nie można porównywać do...

Dyrektor mówił i mówił. Roger przestał słuchać. W wąskim biurze było duszno, kołnierzyk koszuli cisnął w szyję. Roger słyszał powolne, bezustanne bicie własnego serca, co go bardzo irytowało.

Nieprawdopodobne!, pomyślał. Absolutnie niemożliwe.

Historyjka Claire Randall była niezwykle przekonująca. Ale patrzcie tylko, jakie wrażenie wywiera na tym biednym trzęsącym się starcu, który nie ma pojęcia, co to jest stypendium. Claire pewnie potrafiłaby nawet namówić druciarza, żeby przestał naprawiać garnki.

Targany wątpliwościami i ociekający potem Roger prawie nie zwrócił uwagi, że doktor McEwan wyjął komplet kluczy z szuflady i wstał. Drugim wejściem dyrektor wprowadził gości do długiego korytarza, w którym był cały szereg drzwi.

– Gabinety do pracy – wyjaśnił McEwan.

Otworzył pierwsze drzwi. W małym pomieszczeniu szerokości około półtora metra, z trudem mieściły się nieliczne meble: wąski stół, krzesło i niewielki regał. Na stole leżał równiuteńki stos tekturowych teczek w różnych kolorach. Z boku znajdował się duży notatnik w szarych okładkach z naklejoną na wierzchu etykietką z napisem: „Różne”.

Roger zadrżał.

Z każdą chwilą wszystko stawało się coraz bardziej osobiste. Najpierw zdjęcia, teraz charakter pisma tej kobiety. Na myśl, że rzeczywiście mógłby spotkać Geillis Duncan, to znaczy Gillian Edgars, na chwilę ogarnęła go panika.

Dyrektor otwierał teczki, pokazywał i wyjaśniał Claire różne zagadnienia. Nieźle odgrywała rolę osoby, która coś z tego rozumie. Roger zaglądał jej przez ramię. Kiwał głową i co jakiś czas powtarzał: „Uhm, bardzo ciekawe”, choć dla niego skośne linie i pętle rękopisu były całkowicie niezrozumiałe.

Jest prawdziwa. Ma ciało i krew, usta i długie rzęsy, myślał. Jeśli przejdzie przez szczelinę w głazie, zostanie spalona, rozpadnie się i szernieje, a jej płonące włosy będą niczym pochodnia w ciemności. A jeśli nie spłonie... przestanę istnieć.

Gwałtownie potrząsnął głową.

– Czy pan się ze mną nie zgadza, panie Wakefield?

Dyrektor Instytutu spoglądał na niego zaintrygowany.

Roger potrząsnął głową zażenowany.

– Nie, nie, to znaczy... chodzi mi tylko... czy mógłbym dostać szklankę wody?

– Oczywiście! Proszę pójść ze mną. Tuż za rogiem jest fontanna. Pokażę panu.

Doktor McEwan pospiesznie wypchnął Rogera za drzwi pokoiku i poprowadził w dół korytarza. Potoczyście i chaotycznie wyrażał troskę o stan zdrowia gościa.

Z dala od klaustrofobicznej ciasnoty gabinetu, książek i teczek Gillian Edgars Roger poczuł się lepiej. I nie chciał wracać do malutkiego pokoju, w którym sprawdzały się słowa Claire ojej przeszłości. Podjął decyzję. Claire mogła sama skończyć rozmowę z doktorem McEwanem. Szybko minął korytarz i przeszedł przez drzwi prowadzące do biurka recepcjonistki.

Pani Andrews wpatrywała się w spoconego i pobladłego mężczyznę. Jej okulary połyskiwały, w oczach widać było troskę i ciekawość.

– Drogi panie Wakefield. Źle się pan czuje?

Roger potarł twarz ręką. Pewnie wyglądam strasznie, pomyślał. Uśmiechnął się niewyraźnie do pulchnej niskiej kobiety.

– Wszystko w porządku. Po prostu było mi tam za gorąco. Muszę wyjść na świeże powietrze.

– Och, tak. – Pani Andrews ze zrozumieniem pokiwała głową. – To przez te kaloryfery. Blokują się i trudno je wyłączyć. Zaraz się tym zajmę.

Wstała zza biurka, na którym wciąż leżało zdjęcie Gillian Edgars. Spojrzała na nie, a potem na Rogera.

– Czy to nie dziwne – odezwała się tonem osoby prowadzącej zwykłą rozmowę. – Gdy patrzyłam na tę fotografię, nagle uderzyło mnie coś w twarzy pani Edgars. Ona jest bardzo podobna do pana, szczególnie oczy. Cóż za zbieg okoliczności! Panie Wakefield?

Po chwili pani Andrews gapiła się na schody, na które wbiegł Roger. Odgłos jego kroków odbijał się echem od drewnianych stopni.

– Ale go przypiliło – mruknęła współczująco. – Biedny chłopak.

Słońce wciąż świeciło nad horyzontem, kiedy Claire dołączyła do Rogera. Czekał na ulicy. Było już późno. Ludzie szli do domu na podwieczorek. Panowała atmosfera ogólnego rozluźnienia.

Roger nie czuł się zrelaksowany. Otworzył Claire drzwi do samochodu. Nie mógł się zdecydować, o czym

najpierw porozmawiać. Patrzyła na niego ze zrozumieniem.

Poplątany labirynt nowo utworzonych ulic jednokierunkowych sprawił, że przejazd przez centrum miasta wymagał całkowitego skupienia. Dość długo jechali, zanim Roger mógł oderwać wzrok od jezdni, żeby spojrzeć na swoją pasażerkę.

– Co teraz? – spytał.

Claire siedziała z zamkniętymi oczami. Loki wymykały się ze spinek. Gdy zadał pytanie, nawet nie uchyliła powiek. Lekko się przeciągnęła i usadowiła wygodniej na siedzeniu.

– Dlaczego nie zaprosisz Brianny gdzieś na kolację? – odezwała się po chwili.

Kolacja? To nie w porządku – pójść sobie do restauracji w wirze wydarzeń, od których zależy czyjeś życie lub śmierć. Z drugiej strony Roger nagle zdał sobie sprawę, że czuje ssanie w żołądku. Przykrej dolegliwości nie wywołały rewelacje ostatniej godziny.

– Dobrze – powiedział powoli. – Jutro...

– Po co czekać? – przerwała Claire.

Teraz siedziała wyprostowana i rozchwytywała gęste, niesforne loki. Roger pomyślał, że to one sprawiały, iż wyglądała bardzo młodo.

– Po kolacji możesz znowu odwiedzić Grega Edgarsa.

– Skąd wiesz, że ma na imię Greg? – spytał ciekawie Roger. – Skoro nie chciał ze mną rozmawiać po południu, dlaczego miały się zgodzić na to wieczorem?

Claire popatrzyła na Rogera, jakby nagle zwątpiła w jego inteligencję.

– Zobaczyłam imię na liście w jego skrzynce pocztowej – wyjaśniła. – A wieczorem pan Edgars zechce z tobą porozmawiać, bo zanieziesz mu butelkę whisky.

– I sądzisz, że z tego powodu zaprosi nas do środka? Uniosła jedną brew.

– Oczywiście, że tak. To pewne. Czy zwróciłeś uwagę na kolekcję pustych butelek w koszu na śmieci?

Oparła się na siedzeniu, ręce zacisnęła w pięści i wsunęła w kieszenie płaszcza.

Wpatrywała się w ulicę migającą za oknem samochodu.

– Może weźmiesz ze sobą Briannę – wtrąciła od niechcienia.

– Powiedziała, że nie chce mieć z tą sprawą nic wspólnego – sprzeciwił się Roger.

Claire spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem. W zachodzącym słońcu jej oczy błyszczały niczym bursztyn, świeciły jak u wilka.

– W takim razie proponuję, żebyś jej nie mówił, co kombinujesz – stwierdziła tonem szefowej personelu w dużym szpitalu.

Uszy mu płonęły, ale z uporem powtórzył:

– Nie da się tego ukryć, jeśli ty i ja...

– Ja nie – przerwała Claire. – Ty. Ja mam coś innego do zrobienia.

Tego już za wiele, pomyślał Roger. Bez kierunkowskazu zjechał na bok i z poślizgiem zatrzymał samochód na poboczu. Spojrzał na Claire z wściekłością.

– Masz coś innego do zrobienia? – wykrzyknął oburzony. – Dobrze sobie! Zwalasz na mnie zadanie

omamienia pijanego faceta, który prawdopodobnie od razu mi dołoży, i zwabienia twojej córki, żeby poszła popatrzeć! A może ma zawieźć mnie do szpitala po tym, jak dostanę od Edgara butelką po głowie?

– Nie – odparła Claire, ignorując zaczepny ton Rogera. – Myślę, że tobie i Gregowi uda się zrobić to, czego ja nie potrafiłam. Przekonać Bree, że Gillian Edgars jest tą samą kobietą, którą poznałam jako Geillis Duncan. Bree mi nie uwierzy. Prawdopodobnie tobie też nie, nawet jeśli jej powiesz, czego się dowiedzieliśmy dziś w Instytucie. Ale posłucha Grega Edgarsa.

Mówiła tonem ponurym, ale stanowczym. Roger poczuł, że jego irytacja słabnie.

Uruchomił silnik i wjechał w strumień ulicznego ruchu.

– Dobrze. Spróbuję – zgodził się niechętnie. – A ty co będziesz w tym czasie robiła?

Zobaczył, że Claire kręci się na siedzeniu obok i po omacku grzebie w kieszeni. Potem wyciągnęła rękę. Kątem oka dostrzegł srebrzysty blask małego przedmiotu w cieniu dłoni. To był klucz.

– Zamierzam się włamać do Instytutu – wyjaśniła spokojnie. – Chcę zdobyć notatnik.

Roger lekko zadrżał.

Claire wymówiła się koniecznością załatwienia pewnych spraw i odeszła. Roger i Brianna pojechali do pubu, ale postanowili jednak zaczekać z kolacją, bo wieczór był nadspodziewanie ładny. Spacerowali po wąskim deptaku nad rzeką Ness. W miłym towarzystwie Brianny Roger zapomniał o swoich obawach związanych z

wizytą u pana Edgarsa.

Z początku rozmawiali ostrożnie, unikali kontrowersyjnych tematów. Później zaczęli gawędzić o pracy Rogera i dialog stał się bardziej ożywiony.

– A skąd tyle o tym wiesz? – spytał Roger, przerywając jej w pół zdania.

– Mój ojciec mnie nauczył. – Wymawiając słowo „ojciec”, trochę zeszywniała, jakby się bała komentarza ze strony Rogera. – Mój prawdziwy ojciec – dodała dosadnie.

– Z pewnością się na tym znał – odpowiedział łagodnie, nie podejmując wyzwania.

Później będzie na to mnóstwo czasu, pomyślał cynicznie. Ale to nie ja zatrzasnę pułapkę.

Idąc ulicą, Roger zobaczył światło w oknie domu Edgarsa. A więc zwierzyna siedziała w norze. Na myśl o konfrontacji poczuł nagły przypływ adrenaliny.

Weszli do pubu wypełnionego smakowitym zapachem zapiekanki z mięsem i ziemniakami. Poziom adrenaliny spadł, natomiast wzrosła ilość kwasów żołądkowych.

Prowadzili przyjacielską pogawędkę o wszystkim i o niczym. Zgodnie z nie wypowiedzianą umową nie wspominali o tym, co zaszło na plebanii poprzedniego dnia.

W drodze do pubu Roger zostawił Claire na postoju taksówek. Zauważył chłód, jaki wkradł się między Claire i jej córkę. Gdy siedziały razem na tylnym siedzeniu, przypominały dwa obce sobie koty, które z położonymi uszami machały ogonami, ale przezornie nie patrzyły sobie prosto w oczy, bo to doprowadziłoby do starcia. Doszłyby w ruch pazury, a sierść zaczęłaby fruwać.

Po kolacji, gdy on płacił rachunek, Brianna poszła po płaszcz.

– Po co to? – spytała na widok butelki whisky w ręku Rogera. – Planujesz urządzić balangę?

– Balangę? – Uśmiechnęła się do niej szeroko. – Nieźle. Czego się jeszcze nauczyłaś podczas tych lingwistycznych studiów?

Spuściła oczy z przesadnie skromną miną.

– W Stanach jest taniec, który nazywa się shag. Sądzę, że nie powinnam cię prosić, żebyś go tu ze mną odtńczył, prawda?

– Dlaczego nie? – odparł poważnie.

Oboje się roześmieli. Roger zauważył pąsy na twarzy Bree. Uświadomił sobie, że poruszyła go sugestia dziewczyny. Ciągle trzymał płaszcz przewieszony przez ramię, zamiast się nim okryć.

– Wszystko jest możliwe, jeśli człowiek wleje w siebie dość tego trunku. – Wskazała na butelkę whisky i uśmiechnęła się z odrobiną złośliwości. – Ale ma okropny smak.

– Picie whisky to umiejętność nabyta – poinformował Roger z celowo wyraźniejszym szkockim akcentem. – Tylko Szkoci się z tym rodzą. Dam ci butelkę, żebyś mogła poćwiczyć. Tę kupiłem na prezent. Obiecałem ją komuś wręczyć. Pójdiesz ze mną czy mam to zrobić później?

Nie był pewien, czy chce, żeby mu towarzyszyła, ale gdy skinęła głową, poczuł się szczęśliwy.

– Pewnie, czemu nie?

– W porządku.

Delikatnie wyprostował kołnierz jej płaszcza, żeby leżał płasko na barkach.

– To blisko. Przejdziemy się, dobrze?

W nocy sąsiedztwo znanego mu już domu wyglądało trochę lepiej. W ciemnościach nie było widać zniszczonych ścian, migocące w oknach światło padało na malutkie ogródki frontowe i tworzyło przytulny klimat.

– To zajmie tylko chwilę – powiedział Roger, gdy naciskał dzwonek.

Nie wiedział, czy lepiej mieć nadzieję, że się nie myli, czy też nie. Początkowe obawy rozwiały się, gdy otwarto drzwi. Ktoś był w domu.

Edgars najwyraźniej spędził popołudnie, hołubiąc jedną z butelek, które stały w szeregu wzdłuż krawędzi obrotowego bufetu. Na szczęście nie skojarzył wieczornych gości z popołudniowym wtargnięciem. Spojrzał z ukosa na Rogera, który właśnie przedstawiał wymyśloną po drodze historyjkę dotyczącą swojej osoby.

– Kuzyn Gilly? Nie wiedziałem, że ma kuzyna.

– A więc ma – odparł stanowczo Roger, odważnie wykorzystując niewiedzę mężczyzny. – To ja.

Z Gillian poradzi sobie, gdy ją spotka. Jeśli w ogóle spotka.

Edgars zamrugał, potarł pięścią zapuchnięte oko, jakby chciał się lepiej przyjrzeć niespodziewanym gościom. Z pewnym trudem skupił wzrok na Briannie. Dziewczyna kręciła się nieśmiało w pobliżu Rogera.

– Kto to jest? – spytał zdecydowanie Edgars.

– Moja narzeczona – improwizował Roger.

Brianna popatrzyła na niego przymrużonymi

oczami, ale nic nie powiedziała.

Zwietrzyła podstęp. Mimo wszystko bez protestu weszła do mieszkania, gdy Greg Edgars szerzej otworzył drzwi.

Wnętrze było małe, duszne i zagracone używanymi meblami. Powietrze przesycił odór starego dymu papierosowego i niedostatecznie często wynoszonych śmieci. Resztki dań na wynos poniewierały się na każdej poziomej powierzchni w pokoju. Brianna posłała Rogerowi zgorzone spojrzenie mówiące: „Ale mamy miłych krewnych”.

W odpowiedzi Roger wzruszył ramionami, jakby chciał się usprawiedliwić: „Nie moja wina”. Najwyraźniej w tym domu od dłuższego czasu nie było kobiety.

A w każdym razie w sensie fizycznym. Roger odwrócił się, żeby wziąć krzesło od Edgarsa i stanął przed dużym, zrobionym w studiu fotograficznym zdjęciem. Znajdowało się w mosiężnej ramce, pośrodku niewielkiego obramowania kominka. Ledwie zdołał powstrzymać wywołany wstrząsem okrzyk.

Zdawało się, że kobieta na fotografii patrzy mu prosto w twarz. Lekki uśmiech zaledwie igrał w kącikach jej ust. Jasno-platynowe włosy, gęste i świecące niczym skrzydła opadały na ramiona i okalały doskonałą twarz w kształcie serca. Oczy w kolorze ciemnej zieleni jak wrzos w zimie błyszcząły spod długich ciemnych rzęs.

– Fajne zdjęcie, co?

Greg Edgars spojrział na fotografię z wyrazem wrogości i jednocześnie tęsknoty.

– O, tak. Bardzo.

Rogerowi zabrakło tchu. Zdjął z krzesła zatłuszczony papier po rybie z frytkami.

Brianna z zainteresowaniem wpatrywała się w portret. Przenosiła wzrok z fotografii na Rogera i z powrotem. Najwyraźniej nasuwały się jej pewne wnioski. Kuzyni, tak?

– Rozumiem, że Gillian nie ma?

Roger zrobił odmowny gest, kiedy Edgars przechylił butelkę i pytająco spojrzął na gościa. Potem zmienił zdanie i skinął głową. Może, pijąc z Edgarsem, zdobędzie jego zaufanie? Jeśli Gillian nie było w domu, musiał się dowiedzieć, gdzie ona jest. Zajęty zdejmowaniem zębami naciętej plomby z butelki, Edgars pokręcił głową i delikatnie strącił kawałek wosku i papieru z dolnej wargi.

– Oczywiście, kolego. Kiedy Gilly się zjawia, nie ma tu takiego bałaganu. – Wskazał popielniczki wypełnione po brzegi petami i porzrzucone papierowe kubki po napojach.

– Jest może podobnie, ale nie aż tak źle.

Wyjął z kredensu trzy kieliszki do wina. Z powątpiewaniem przyjrzał się każdemu, jakby sprawdzał, czy nie są zakurzone.

Z przesadną ostrożnością, typową dla bardzo pijanej osoby, nalał whisky. Po kolei podał kieliszki gościom. Brianna wzięła alkohol, podziękowała za zaproszenie i usiadła na krześle. Z wdziękiem oparła się o róg kredensu.

Edgars od razu ciężko padł na zaśmieconą sofę z wystającymi sprężynami i uniósł kieliszek.

– Na zdrowie, kolego – wznosił krótki toast i

pociągnął spory łyk. – To jak się nazywasz? – spytał i wychylił się z zagłębienia sofy. – Och, tak, Roger. Gilly o tobie nie wspominała. Właściwie nigdy nie mówiła o swojej rodzinie – dodał markotnie. – Chyba się jej wstydzila... ale nie wyglądasz na bubka – stwierdził wspaniałomyślnie. – Przynajmniej twoja dziewczyna to ładna babka. Brzmi niezłe, co? Ładna babka! Słyszysz?

Roześmiał się hałaśliwie, pryskając kropelkami whisky.

– Tak – wymamrotał Roger. – Dzięki.

Wypił mały łyk alkoholu. Brianna obrażona odwróciła się plecami do Edgarsa i udawała, że przez nacięte stożkowo szklane drzwi ogląda zawartość kredensu.

Nie ma sensu owijać w bawełnę, zdecydował Roger. Edgars nie doceni subtelności w tej sprawie, nawet gdyby dostał nimi po łbie. Istniało też realne zagrożenie, że jeśli utrzyma tempo picia, wkrótce zapadnie w pijacką śpiączkę.

– Czy wie pan, gdzie jest Gillian? – spytał prosto z mostu.

Za każdym razem, gdy wymawiał jej imię, miał w ustach dziwny smak. Nie mógł się powstrzymać. Spojrzał na obramowanie kominka i stojącą tam fotografię. Dziewczyna uśmiechała się spokojnie mimo rozgardiaszu panującego w pomieszczeniu.

Edgars powoli machnął głową w tę i z powrotem nad kieliszkiem jak wół nad korytem kukurydzy. Był niskim, krępy męczyzną mniej więcej w wieku Rogera, ale wyglądał starzej ze względu na zarost i niechlujny wygląd.

– Nie – odezwał się po chwili. – Myślałem, że może

ty wiesz. Jest pewnie z Nacjonalami albo z Różami. Nie potrafię dokładnie powiedzieć z kim.

– Nacjonalami? – Serce Rogera zaczęło szybciej bić. – Ma pan na myśli Szkockich Nacjonalistów?

Powieki Edgarsa zaczęły opadać. Mężczyzna szybko zamrugał.

– Oczywiście. Cholerni Nacjonale. Tam spotkałem Gilly.

– A kiedy to było, panie Edgars?

Roger zdumiony spojrzał w górę. Ale to nie fotografia przemówiła, tylko Brianna.

Patrzyła uważnie na Edgarsa. Roger nie wiedział, czy po prostu chciała podtrzymać rozmowę, czy coś podejrzewała. Na jej twarzy widać było jedynie uprzejme zainteresowanie.

– Nie wiem... może dwa, trzy lata temu. Z początku było fajnie. Wyrzucić cholernych Anglików, na własną rękę przyłączyć się do Wspólnego Rynku... piwo w pubie, przytulanie w furgonetce w drodze powrotnej z zebrań.

Edgars potrząsnął głową. Snuł wspomnienia z rozmarzonymi oczami. Potem uśmiech znikł z jego twarzy. Gospodarz zmarszczył brwi i utkwiał wzrok w swoim trunku.

– Później dostała bzika.

– Bzika?

Roger raz jeszcze zerknął na fotografię. Owszem, jasnowłosa dziewczyna wyglądała na bardzo przejętą, ale z pewnością nie przypominała kompletnej wariatki. Lecz czy można to stwierdzić, patrząc na zdjęcie?

– Chodzi o Stowarzyszenie Białej Róży. „Karolek”,

moje kochanie. Czy byś do nas nie wrócił? Takie tam brednie. Kupa głupków ubranych w kilty, w pełnym rynsztunku z pałaszami i całą resztą. Nic w tym złego, jeśli ktoś to lubi – dodał. Nieudolnie starał się zachować obiektywizm. – Ale Gilly zawsze ze wszystkim przesadza. W kółko gadała o Pięknym Księżciu i co by to było, gdyby zwyciężył w czterdziestym piątym roku. Faceci przesiadywali w kuchni do rana, pili piwo i dyskutowali, dlaczego poniósł klęskę. I na dodatek gadali po celtycku. – Przewrócił oczami. – Same głupoty. – Wypił do dna, żeby zaakcentować swoje zdanie.

Roger poczuł na karku świdrujący wzrok Brianny. Pociągnął za kołnierzyk, by go rozluźnić, chociaż nie miał krawata, a guzik pod szyją był rozpięty.

– Nie sądzę, żeby pańska żona interesowała się także kamiennymi kręgami...

Twarz Brianny wyrażała już coś więcej niż tylko uprzejme zainteresowanie. Głos dziewczyny brzmiał ostro. Nie wywarło to wielkiego wrażenia na Edgarsie.

– Kamiennymi kręgami? – powtórzył.

Wyglądał na zamroczonego alkoholem. Wepchnął palec do ucha i pracowicie w nim grzebał, jakby w nadziei, że będzie lepiej słyszał.

– Chodzi o prehistoryczne głązy. Takie jak Calva Cairns – podsunął Roger. Wymienił jeden z najsłynniejszych okolicznych słupów granicznych.

Gdy się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”, pomyślał i westchnął z rezygnacją.

Brianna pewnie nigdy więcej się do mnie nie odezwie, więc może skorzystać z okazji i dowiedzieć się

jak najwięcej.

– A, rozumiem – Edgars parsknął śmiechem. – Jasne. Zwariowała na punkcie wszystkich starych rumowisk. To była ostatnia kropla. Całe dni spędzała w Instytucie.

Nic tylko kursy i kursy. Za moje pieniądze! Koń by się uśmieł. Mówię: „Nie dowiesz się tam niczego użytecznego, dziewczyno. Dlaczego nie nauczysz się pisać na maszynie?

Znajdź sobie pracę, jak się nudzisz”. Tak powiedziałem. Więc odeszła – oznajmił markotnie. – Nie widziałem jej od dwóch tygodni. – Popatrzył w kieliszek jakby zdumiony, że już wszystko wypił.

– Jeszcze jedna kolejka? – spytał i sięgnął po butelkę, ale Brianna zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Nie, dziękujemy. Musimy iść. Prawda, Rogerze?

Widząc niebezpieczne błyski w oczach dziewczyny, Roger stwierdził, że pewnie byłoby dla niego lepiej zostać i wypić resztę whisky do spółki z Gregiem Edgarssem.

Jednak gdyby pozwolił Briannie wziąć samochód, czekałby go niezły spacer do domu.

Z westchnieniem wstał i na pożegnanie podał rękę Edgarsowi. Dłoń gospodarza była ciepła, trochę wilgotna. Uścisnął wyciągniętą dłoń zadziwiająco mocno.

Edgars poszedł za gośćmi do drzwi z butelką w ręku. Zza zasłonki patrzył, jak wychodzą. Gdy szli po chodniku, nagle wykrzyknął:

– Jeśli zobaczycie Gilly, powiedzcie jej, żeby wróciła do domu.

Roger odwrócił się, machnął w stronę niewyraźnej

postaci w oświetlonym prostokącie drzwi.

– Dobrze – krzyknął, choć słowa dławili go w gardle.

Byli już w połowie drogi do pubu, gdy Brianna przypuściła atak.

– Do czego ty, do cholery, zmierzasz? – spytała gniewnym, ale nie histerycznym głosem. – Mówiłeś, że nie masz żadnych kuzynów w górach. Kim jest ta kobieta na zdjęciu?

Rozejrzał się po ciemnej ulicy, jakby szukał inspiracji. Znikąd pomocy. Wziął głęboki oddech i złapał Briannę pod ramię.

– To Geillis Duncan.

Stała jak wryta. Z rozmysłem uwolniła swój łokieć z uścisku. Delikatna nić porozumienia nawiązana w trakcie wieczoru została zerwana.

– Nie dotykaj mnie – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Czy to jakaś zagrywka matki?

Roger poczuł, jak narasta w nim gniew.

– Słuchaj, czy w tej sprawie nie umiesz myśleć o nikim innym poza sobą? Wiem, że to był dla ciebie szok. Jeśli nie potrafisz tego nawet przemyśleć... cóż, nie zamierzam cię zmuszać. Ale weź pod uwagę uczucia twojej matki. I moje też.

– A co ty masz z tym wspólnego? – W ciemności nie widział jej twarzy, ale w głosie słyszał wyraźne zdziwienie.

Nie chciał jeszcze bardziej komplikować sprawy, mówiąc Briannie o swoich rodzinnych związkach, ale było już za późno, by dochować tajemnicy. Bez wątpienia Claire

przewidziała to, gdy zasugerowała, by dziś wieczorem wybrał się gdzieś z Brianną.

W nagłym przeblasku olśnienia po raz pierwszy uświadomił sobie, o co chodziło Claire. Nie miała możliwości udowodnienia Briannie swojej historii. Była jednak Gillian Edgars. Może jeszcze nie zniknęła, nie poszła na spotkanie swemu przeznaczeniu jako Geillis Duncan, która umrze przywiązana do płonącego słupa. Nawet najbardziej upartego niedowiarka udałoby się przekonać, gdyby zobaczył, jak ktoś na jego oczach znika w przeszłości. Nic dziwnego, że Claire pragnęła znaleźć Gillian Edgars.

W kilku słowach opowiedział Briannie o koligacjach z przyszłą czarownicą z Cranesmuir.

– Wygląda na to, że mam do wyboru: jej życie albo moje – zakończył. Wzruszył ramionami, do obrzydliwości świadom, jak okropnie melodramatycznie to zabrzmiało. – Claire mnie pozostawiła decyzję. Sam uznałem, że muszę przynajmniej odnaleźć tę kobietę.

Brianna przystanęła. W przyćmionym świetle padającym z narożnego sklepu zobaczył błysk jej oczu.

– A więc w to wierzysz? – spytała.

W jej głosie nie usłyszał ani powątpiewania, ani szyderstwa. Mówiła zupełnie poważnie.

Westchnął i wziął ją za rękę. Nie stawiała oporu, dostosowała swój krok do jego tempa.

– Tak – odparł. – Muszę. Nie widziałaś reakcji Claire na widok słów wyrytych wewnątrz obrączki. To było wystarczająco autentyczne, żeby złamać mi serce.

– Pamiętasz te słowa? – spytała po chwili milczenia.

Gdy skończył opowieść, dotarli do parkingu za pubem.

– A więc... – mówiła Brianna z wahaniem. – Jeśli... – Znowu przerwała. Ciągle patrzyła mu w oczy. Stała dość blisko niego, ale nie mógł jej dotknąć. Kościół Świętej Kildy był daleko. Żadne z nich nie chciało pamiętać o grobie pod cisami, gdzie w kamieniu wyryto nazwiska jej rodziców. – Nie wiem, Roger – powiedziała, potrząsając głową. W jej włosach odbijały się refleksy purpurowego światła neonu, który znajdował się nad tylnymi drzwiami pubu. – Po prostu nie mogę jeszcze o tym myśleć. Ale... – zabrakło jej słów. Uniosła rękę i lekko jak podmuch wieczornego wiatru dotknęła jego policzka. – Pomyślę o tobie – wyszeptala.

Jeśli człowiek ma klucz, to włamanie nie jest wcale trudne. Szansa, że pani Andrews albo doktor McEwan wrócą i mnie nakryją, była śmiesznie mała. A nawet gdyby się tak stało, wystarczyło powiedzieć, że wróciłam poszukać zgubionego notatnika, a drzwi zastałam otwarte. Wyszłam z wprawy, ale w pewnym okresie umiałam oszukiwać wręcz koncertowo. Kłamstwo przypomina jazdę na rowerze, pomyślałam. Nigdy nie zapominasz, jak to się robi.

A więc to nie kradzież własności Gillian Edgars sprawiła, że serce biło mi szybko.

Chodziło o treść notatnika.

Jak mistrz Raymond orzekł w Paryżu, siła i niebezpieczeństwo czarów ma związek z ludźmi, którzy w nie wierzą. Jednak z tego, co wcześniej przelotnie widziałam, informacje zawarte w notatniku były bezładną

mieszaniną faktów, spekulacji i zwykłych fantazji, ważnych tylko dla autorki. Dotykając tekturowej okładki, poczułam fizyczny wstręt. Wiedziałam, kto prowadził zapiski, więc zdawałam sobie sprawę, czym to jest: księgą czarownika pełną tajemnic.

Jeśli istniały jednak wskazówki dotyczące zamierzeń i miejsca pobytu Geillis Duncan, to tylko tutaj. Opanowałam drżenie rąk. Wetknęłam notatnik pod płaszcz i zesłałam po schodach.

Na ulicy byłam bezpieczna. Jednak wciąż trzymałam notatnik pod pachą. Okładka zrobiła się lepka od potu. Czułam się tak, jakbym przenosiła bombę.

Doszłam do ogródka małej włoskiej restauracji w pobliżu rzeki. Noc była chłodna, ale elektryczny piecyk ogrzewał taras. Usiadłam przy stoliku i zamówiłam kieliszek chianti.

Popijałam przez chwilę. Notatnik położyłam na papierowej podstawce. Zakrywał go cień koszyczka z czosnkowym chlebem.

Za kilka dni pierwszy maja – celtyckie święto. Właśnie wtedy odbyłam podróż w przeszłość. Do teraźniejszości wróciłam w połowie kwietnia. Może przejście przez kamienny krąg było związane z datą albo ogólnie z porą roku? A może nie? Zamówiłam drugi kieliszek wina.

Niewykluczone, że tylko niektórzy ludzie posiadali zdolność przekroczenia bariery, nieprzenikalnej dla innych. Może to coś zawartego w kodzie genetycznym? Kto wie?

Jamie nie mógł jej przejść. Geillis Duncan najwyraźniej ją przekroczyła lub przekroczy.

Albo nie, to zależy. Pomyślałam o Rogerze Wakefieldzie i poczułam się nieswojo.

Zamówiłam jedzenie.

Wizyta w Instytucie przekonała mnie, że gdziekolwiek przebywała Gillian/Geillis, jeszcze nie doszło do jej fatalnego przejścia. Każdy, kto studiował legendy gór, wie, że zbliża się celtyckie święto. Ktoś planujący taką wyprawę z pewnością podejmie ją pierwszego maja. Nie miałam jednak pojęcia, gdzie może być Gillian. Ukrywa się?

Dokonuje jakiegoś szczególnego rytuału przygotowawczego, którego nauczyła się w grupie neodruidów Fiony? Może znajdę jakąś wskazówkę w notatniku?

W końcu już nie wiedziałam, jakie były moje motywy. Czy wplątałam Rogera w poszukiwania Geillis, bo zdawało mi się, że to jedyny sposób, aby przekonać Briannę?

Czy dlatego, żeby uchronić dawną przyjaciółkę przed śmiercią? A jednak, nawet jeśli znaleźlibyśmy Gillian na czas, mój własny cel mogłam osiągnąć tylko pod warunkiem, że ta kobieta wróci do przeszłości, a tym samym zginie w płomieniach.

Kiedy Geillis Duncan została skazana, Jamie powiedział: „Nie płacz, Angielko, to niegodziwa osoba”. Czy powinnam zostawić ją w spokoju i pozwolić spotkać własne przeznaczenie? Ale uratowała mi kiedyś życie. Niezależnie od tego, kim była albo kim będzie, czy miałam obowiązek starać się ją ocalić, a tym samym skazać Rogera? Jakim prawem dalej się w to wtrącam?

Usłyszałam w myślach zniecierpliwiony głos Jamiego: „To nie jest kwestia prawa, Angielko, tylko obowiązku. Honoru”.

– Honoru, tak? – powiedziałam na głos. – A cóż to takiego?

Kelner stał z talerzem tortellini w ręku i patrzył na mnie zdumiony.

– Słucham?

– Nic – odrzekłam, zbyt rozkojarzona, by martwić się o to, co sobie o mnie pomyśli. – Proszę przynieść jeszcze jedną butelkę wina.

Kończyłam posiłek w towarzystwie moich duchów. W końcu wzmocniona jedzeniem i winem odsunęłam pusty talerz i otworzyłam szary notatnik Gillian Edgars.

49

BŁOGOSŁAWIENI CI, KTÓRZY...

Nie ma bardziej mrocznego miejsca niż droga w szkockich górach w środku bezksiężycowej nocy. Od czasu do czasu w nagłym migotaniu światła przejeżdżających samochodów widziałam głowę i ramiona Rogera. Siedział skulony, jakby w pozycji obronnej przed nadchodzącym niebezpieczeństwem. Bree też była zwinięta w kłębek, wciśnięta w róg siedzenia obok mnie. Wszyscy troje, zamknięci w sobie, czuliśmy się odizolowani, ograniczeni małymi indywidualnymi przestrzeniami.

Rękami wepchniętymi w kieszenie płaszcza bezsensownie przebierałam monety i różne śmieci: postrzępioną chusteczkę higieniczną, kawałek ołówka, małą gumową piłeczkę, którą zostawił na podłodze

mojego gabinetu mały pacjent. Wodziłam kciukiem po karbowanych brzegach amerykańskiej dwudziestopięciocentówki, potem po szerokim wypukłym awersie angielskiego pensa i nacinanym brzegu klucza do gabinetu Gillian Edgars.

Tuż przed wyjazdem z plebanii jeszcze raz próbowałam się dodzwonić do Grega Edgarsa. Nikt nie podnosił słuchawki.

Gapiałam się w ciemną szybę okna samochodu. Nie dostrzegłam jednak ani swojego niewyraźnego odbicia, ani masywnych kształtów kamiennych murów i rosnących gdziegdzie drzew. Widziałam natomiast książkę w gabinecie Gillian. Stały na półce w równym rzędzie jak słoiczki w aptece. Niżej, na stole, leżał notatnik zapisany ładnym pochyłym charakterem pisma, a w środku ściśle uporządkowane wnioski wynikające z faktów i iluzji, mity i wyniki badań naukowych. Wszystko opierało się na sile marzeń.

Dla przygodnego czytelnika mogła to być albo mieszanina nie do końca przemyślanych faktów i bzdur, albo w najlepszym przypadku, szkic głupawej powieści zawierającej jednak ziarnka mądrości. Tylko według mnie wyglądało to na sporządzony starannie i z rozmysłem plan działania.

Niczym parodia warsztatu naukowego. Pierwsza część notatek nosiła tytuł „Obserwacje”. Zawierała chaotyczne uwagi, porządne rysunki i starannie ponumerowane tabele. Jedna z nich przedstawiała: „Położenie Słońca i Księżyca podczas celtyckiego święta pierwszego maja”. Poniżej wypisano listę ponad dwustu par

cyfr. Podobną tabelę wyrysowano dla trzydziestego pierwszego grudnia, Dnia Świętego Jana, oraz dla wigilii i zaduszek. Jutro przypada dzień starodawnych świąt ognia i słońca oraz celtyckiego pierwszego maja.

Tytuł środkowej części notatnika brzmiał: „Spekulacje”. Przynajmniej to określenie jest ściśle, pomyślałam z krzywym uśmiechem. Na jednej ze stron zanotowano: „Ciała uśmierconych ofiar druidzi palili w koszach z wikliny w kształcie ludzkiej postaci, jednak osoby wcześniej duszono, a gardła przebijano, żeby je wykrwawić. Który z tych elementów ofiarnych jest niezbędny – ogień czy krew?”. Gdy przeczytałam to pytanie, podyktowane ciekawością, zadane z zimną krwią, wyraźnie stanęła mi przed oczami twarz Geillis Duncan. Nie studentki o dużych oczach i prostych włosach, której zdjęcie wisiało w instytucie, ale tajemniczej żony poborcy podatkowego z półuśmiechem na ustach. Zabijała beznamyślnie, aby osiągnąć zamierzone cele.

Kilka ostatnich stron notatnika zatytułowano: „Wnioski”. To one skłoniły nas do podróży w wigilię celtyckiego święta. Zaciśnęłam palce na kluczu. Z całego serca pragnęłam, żeby Greg Edgars odebrał telefon.

Roger zwolnił i skręcił w wyboistą żwirową drogę, która wiodła wokół wzniesienia zwanego Craigh na Dun.

– Nic nie widzę – powiedział.

Po długiej ciszy jego głos zabrzmiał gburowato i wojowniczo.

– Stąd nie widać kamiennego kręgu – powiedziała niecierpliwie Brianna.

Roger chrząknął w odpowiedzi i jeszcze bardziej

zwolnił. Oboje byli zdenerwowani.

Tylko Claire zdawała się spokojna, odporna na wzrastające w samochodzie napięcie.

– Ona tu jest – oznajmiła nagle.

Roger tak gwałtownie nacisnął na hamulec, że Claire i Brianna z impetem uderzyły w oparcie przedniego siedzenia.

– Uważaj, idioto! – warknęła z wściekłością Brianna.

Nerwowo odgarnęła włosy z czoła. Z trudem przełknęła ślinę i schyliła się, żeby wyrzeć przez okno.

– Gdzie? – spytała.

Claire głową wskazała w prawo przed siebie. Ręce wciąż trzymała głęboko schowane w kieszeniach.

– Tuż za zaroślami stoi zaparkowany samochód.

Roger oblizał wargi i sięgnął do klamki.

– To samochód Edgarsa. Pójdę i sprawdzę. Zostańcie tutaj.

Brianna otworzyła drzwi. Zaskrzypiał nie naoliwiony zawias. W milczeniu obrzuciła Rogera pogardliwym spojrzeniem. Zaczzerwienił się, co było widać w przyćmionym świetle padającym z półokrągłej lampki nad głową.

Wróciła, zanim Roger wysiadł z samochodu.

– Nikogo tam nie ma – poinformowała. Spojrzała w stronę szczytu wzgórza. – Myślisz, że...?

Claire nie odpowiedział, zapięła płaszcz, wysiadła z auta i poszła w ciemność.

– Ścieżka prowadzi tędy – poinstruowała.

Claire szła pierwsza. Roger patrzył na idącą pod

górze, mającą przed nim postać.

Mimo woli pomyślał o wcześniejszej wyprawie w górę stromego wzniesienia na dziedziniec kościoła Świętej Kildy. Brianna najwyraźniej też sobie o tym przypomniała.

Zawahała się i gniewnie wymamrotała coś pod nosem. Potem złapała go za łokieć i mocno ścisnęła. Miała to być zachęta czy błaganie o wsparcie – nie wiedział. Podziałało jak zachęta. Poklepał jej rękę i włożył pod ramię. Gdy zbliżali się do szczytu, pomimo wątpliwości i niezaprzeczalnie dziwaczego charakteru całej wyprawy, czuł podniecenie.

Powietrze było przejrzyste, ale wokół panowała ciemność. Tylko leciutkie migotanie pyłków miki w świetle gwiazd pozwalało wyłowić mające w czarnym mroku kształty kamieni starożytnego kręgu. Cała trójka, przytulona do siebie jak zagubione stado owiec, zatrzymała się na łagodnie zaokrąglonym szczycie wzgórza. Rogerowi wydawało się, że jego oddech brzmi nienaturalnie głośno.

– Co za głupota! – rzuciła przez zęby Brianna.

– Nie, to nieprawda – powiedział Roger. Nagle poczuł, że zabrakło mu tchu, jakby pętla zaciskała się na jego klatce piersiowej. – Tam widać światło.

Pojawił się ledwie widoczny błysk, który zaraz zniknął, ale Roger go zobaczył.

Usłyszał, jak Claire gwałtownie nabiera powietrza.

I co teraz?, zastanawiał się. Czy powinni krzyczeć? A może hałas skłoni kogoś do szybszego działania? A jeśli tak, to konkretnie do czego?

Claire zaczęła nagle potrząsać głową, jakby usiłowała odpędzić dokuczliwego owada.

Cofnęła się o krok, dalej od najbliższego kamienia, i wpadła na Rogera.

Złapał ją za ramię i wymamrotał: „Spokojnie, spokojnie”, jak do spłoszonego konia.

Jego twarz w świetle gwiazd była zamazaną plamą. Przez ciało Claire przebiegł dreszcz niczym prąd przez przewód. Roger stał niezdecydowany, zupełnie nieruchomo.

Poczuł nagle zapach benzyny. To popchnęło go do działania. Brianna stała z wysoko zadartą głową. Gdy wyłowiła woń paliwa, odwróciła się w kierunku północnego krańca kręgu. Roger puścił ramię Claire i wielkimi krokami pobiegł przez krzewy i kamienie do środka kręgu, gdzie schylona postać tworzyła czarną plamę na tle jaśniejszej powierzchni trawnika otaczającego teren.

Z tyłu dobiegł go krzyk Claire, który rozdarł ciszę.
– Gillian! – zawołała.

Nagle rozległ się cichy syk i noc rozbłysła światłem. Oślepiiony Roger cofnął się, potknął i opadł na kolana.

Przez chwilę nie czuł nic poza bólem oczu wywołanym wybuchem jasności. Ostre światło zasnuło wszystko dookoła. Obok siebie usłyszał krzyk i poczuł na ramieniu rękę Brianny. Mocno zamrugał załzawionymi oczami i zdolność widzenia zaczęła wracać.

Szczupła sylwetka znajdowała się pomiędzy nim a ogniem, obrysowana wyraźnymi konturami. Była ubrana w długą spódnicę i obcisły stanik – strój z innego okresu historycznego.

Słyszając wołanie, postać odwróciła się. Przez chwilę widział wielkie oczy i rozpuszczone włosy. Gorący powiew

z ogniska unosił i targał jasne kosmyki.

Wstając, Roger zastanawiał się, w jaki sposób kobieta zdołała przyciągnąć na górę wielki kloc drewna. Potem w nozdrza uderzył go swąd palonych włosów i tłącej się skóry.

Nagle coś sobie uświadomił: Grega Edgarsa nie było wieczorem w domu. Kobieta-widmo najwyraźniej nie widziała, który z dwóch elementów ofiary jest niezbędny: krew czy ogień, postarała się więc o oba.

Roger prześlizgnął się obok Brianny, skupiony tylko na sylwetce wysokiej, szczupłej dziewczyny i widoku twarzy – lustrzanego odbicia jego własnej. Zobaczyła, że ktoś nadchodzi. Odwróciła się i pobiegła szybko jak wiatr ku szczelinie w kamieniu na końcu kręgu. Miała przewieszony przez ramię płócienny plecak. Jęknęła, gdy bagaż ciężko się zakołysał i uderzył ją w bok.

Z ręką wyciągniętą w stronę kamienia zatrzymała się na chwilę i obejrzała za siebie.

Mógłby przysiąc, że spojrzała mu w oczy i przez chwilę wytrzymała spojrzenie ponad barierą z ognia. Otworzył usta w bezgłośnym krzyku. Okręciła się na pięcie, lekka jak iskra tańcząca na wietrze, i zniknęła w szczelinie kamienia.

Ogień, ciało, noc zniknęły gwałtownie wśród ogłuszającego hałasu. Roger leżał twarzą do ziemi i ściszał źdźbła trawy w gorączkowym poszukiwaniu znanych doznań, żeby nie popaść w obłęd. Daremnie. Zdawało się, że nie funkcjonuje w nim żaden zmysł – nawet dotyk ziemi był bezpostaciowy, jakby Roger znajdował się w grząskim piasku, nie na granitowym podłożu.

Oślepiiony jasnością, ogłuszony trzaskiem rozdzierającego się kamienia, poruszał się po omacku. Dziko machał rękami, nie czuł kończyn. Był tylko świadom ogromnego przyciągania i potrzeby, żeby mu się oprzeć.

Czas przestał istnieć. Roger odnosił wrażenie, że już całą wieczność zмага się w pustce. W końcu czyjeś ręce schwyciły go za ramiona z rozpaczliwą siłą. Poczł duszącą miękkość piersi przyciśniętych do jego twarzy.

Stopniowo wracał mu słuch. Ktoś wołał go po imieniu i obrzucał wyzwiskami.

– Ty idioto! Ty kretynie! Obudź się, Rogerze, ty dupku!

Głos był przytłumiony, ale sens okrzyków docierał do Rogera wyraźnie. Z nadludzkim wysiłkiem złapał szczupłe nadgarstki. Przekreślił się na plecy. Zamrugał i zobaczył zalaną łzami twarz Brianny Randall i jej czarne w gasnącym świetle oczy.

Fetor benzyny i palącego się ciała był przytłaczający. Obrócił się na bok i zwymiotował gwałtownie w wilgotną trawę. Otumaniony nawet nie zwrócił uwagi, że odzyskał węch.

Wytarł usta ręką i po omacku szukał ramienia Brianny.

– Och, Boże – szepnęła. Mocno obejmowała Rogera. Drżała. – Myślałam, że nie uda mi się ciebie zatrzymać. Czołgałeś się prosto w stronę szczeliny. Och, Boże.

Nie opierała się, gdy przyciągnął ją do siebie. Nadal cała się trzęsała, łzy ciekły jej z oczu. Co jakiś czas powtarzała, jak zepsuta płyta: „Och, Boże”.

– Cicho – uspokajał dziewczynę, poklepując ją po plecach. – Już wszystko w porządku, cicho.

Wirowanie w głowie zaczynało ustępować, chociaż wciąż czuł się tak, jakby pękł na wiele kawałków, które rozprysły się gwałtownie na wszystkie strony świata.

Od strony czarnego kształtu leżącego na ziemi dochodził słaby odgłos skwierczenia, ale poza tym i poza mechanicznymi okrzykami Brianny wracała cisza nocy. Zakrył uszy rękami. Chciał zagłuszyć echo przejmującego hałasu.

– Też to słyszałaś? – spytał.

Brianna ciągle płakała, ale przytaknęła.

– Czy twoja... – zaczął. Pracowicie, kawałek po kawałku zbierał myśli. Nagle skoczył na równe nogi, bo jedna z nich przysłała mu do głowy w pełni ukształtowana. – Twoja matka! – krzyknął. Chwycił Briannę mocno za ramiona. – Claire! Gdzie ona jest?

Wstrząśnięta Brianna otworzyła usta. Wstała i dzikim wzrokiem zaczęła rozglądać się po zamkniętej przestrzeni pustego kręgu, w którym majaczyły głązy wysokości człowieka, masywne, ale ledwo widoczne w cieniach rzucanych przez wygasły ogień.

– Mamo! – krzyczała. – Mamo, gdzie jesteś?

– Wszystko w porządku – powiedział Roger. Bardzo się starał, żeby jego słowa zabrzmiały pewnie i uspokajająco. – Nic jej nie będzie.

W rzeczywistości nie miał pojęcia, czy z Claire Randall kiedykolwiek wszystko będzie naprawdę w porządku. Przynajmniej żyła, za to mógł ręczyć.

Znaleźli ją w pobliżu krawędzi kręgu. Leżała bez

czucia na trawie, z twarzą bladą jak tarcza wyłaniającego się zza chmur księżyc. Z otartych rąk wolno sączyła się ciemna krew. Serce wciąż biło. Roger przewiesił sobie bezwładne ciało przez ramię. W czasie potwornej drogi ścieżką do samochodu ciągle obijało się boleśnie o jego bok. Potykał się o kamienie, gałązki zaczepiały się o ubranie. Nie zwracał na to uwagi.

Droga w dół przekłętego wzgórza całkowicie wyczerpała Rogera. Brianna w napięciu prowadziła samochód z powrotem na plebanie, ręce zaciskała na kierownicy jak imadła.

Roger zapadł się w siedzenie obok kierowcy. We wstecznym lusterku widział ostatni słaby blask nad szczytem wzgórza. Mała świecąca chmura płynęła jak kłęb dymu z armaty, niczym nieme świadectwo stoczony bitwy.

W końcu dotarli na miejsce. Brianna kręciła się koło sofy, na której nieruchoma jak mumia leżała Claire. Roger drżał, ale nie chciał rozpaść przygotowanego na kominku drewna. Wyjął mały piecyk elektryczny. W zimie wielebny ogrzewał sobie nim stopy.

Krata gorącego piecyka błyszczała pomarańczowo. Głośny, przyjazny warkot rozpraszał ciszę panującą w gabinecie.

Roger usiadł obok sofy na niskim stołku. Czuł się bezwładny i zeszywniały. Ostatnim wysiłkiem woli sięgnął do stolika, gdzie stał telefon. Ręka zawisła kilka centymetrów nad urządzeniem.

– Czy powinniśmy... – przerwał, żeby odchrząknąć
– ...wezwać lekarza? Zawiadomić policję?

– Nie – odparła Brianna przejętym, roztargnionym

głosem. Pochylała się nad nieruchomą postacią na kanapie.
– Odzyskuje przytomność.

Półprzymknięte powieki zadrżały, zacisnęły się na chwilę na wspomnienie bólu, potem odprężyły się i otworzyły. Oczy Claire były przejrzyste i złotawe jak miód. Jej wzrok prześlizgnął się po wyprostowanej, sztywnej Briannie i zatrzymał na twarzy Rogera.

Usta Claire były blade, jak i cała twarz. Jedna próba nie wystarczyła, żeby wydobyły się z nich słowa.

– Czy ona... wróciła? – spytała ochryplym szeptem.

Nerwowo ścisnęła spódnicę. Na materiale pojawiła się ciemna plama krwi. Roger zacisnął instynktownie obolałe dłonie. Claire też wytrzymała, schwyciła się mocno trawy i ziemi, szukała choćby niewielkiego oparcia przed porywającą siłą przeszłości. Zamknął oczy. Chciał odsunąć wspomnienie wciągającej mocy.

– Tak – powiedział. – Poszła.

Przejrzyste oczy natychmiast przeniosły się na twarz córki. Brwi uniosły się pytająco.

Ale to Brianna spytała z wahaniem.

– Więc to prawda?

Ciałem dziewczyny wstrząsnął słaby dreszcz. Roger bez namysłu wziął ją za rękę.

Mimo woli skrzywił się, gdy uścisnęła poranioną dłoń. Nagle przypomniał sobie jeden z często recytowanych przez wielebnego wersetów: „Błogosławieni ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli”. A ci, którzy muszą zobaczyć, żeby uwierzyć? Z powodu skutków wiary w to, co zobaczyła, drżała bojaźliwie u jego boku, przerażona tym, w co jeszcze przyjdzie jej uwierzyć.

Gdy dziewczyna zbierała się w sobie, żeby stawić czoło prawdzie, którą poznała, zeszywniałe ciało Claire rozluźniło się. Błede wargi wygięły się w nikłym uśmiechu, napiętą twarz wygładził ogromny spokój błyszczący w złotych oczach.

– To wszystko prawda – powiedziała. Rumieniec wrócił na białe policzki. – Czy twoja matka mogłaby cię okłamać?

I znowu zamknęła oczy.

Roger wyłączył piecyk. Noc była chłodna, ale musiał opuścić gabinet – tymczasowe sanktuarium. Ciągle czuł się rozbity, ale trzeba było działać, podjąć decyzję.

Nastał świt, zanim policja i lekarz zakończyli pracę rozpoczętą poprzedniej nocy, wypełnili formularze, spisali zeznania, zebrali istotne ślady. Robili, co w ich mocy, żeby dotrzeć do prawdy. „Błogosławieni ci, którzy nie widzieli...”, pomyślał znowu Roger, „...ale uwierzyli”. Szczególnie w tym przypadku.

W końcu odeszli. Pojechali nadzorować usunięcie ciała Grega Edgarsa z kręgu kamieni, wydać nakaz aresztowania pani Edgars, która zwała męża na wzgórze, zamordowała i zbiegła z miejsca zbrodni. Delikatnie rzecz ujmując, skomentował w myśli Roger.

Kompletnie wyczerpany zostawił panie Randall pod opieką lekarza i Fiony. Poszedł się położyć. Nawet się nie rozebrał ani nie przykrył kołdrą. Po prostu zapadł w jakże upragniony stan nieświadomości. Wilczy głód obudził go przed zachodem słońca. Gdy zszedł do kuchni, okazało się, że jego goście pomagają Fionie przygotować kolację.

Posiłek zjedli w milczeniu. Atmosfera nie była

napięta. Wyglądało to tak, jakby osoby przy stole porozumiewały się w niewidoczny sposób. Brianna siedziała blisko matki. Od czasu do czasu, gdy podawała jedzenie, dotykała Claire, jakby chciała przekonać się, że jest z nią na pewno. Czasami zerkała spod rzęs na Rogera, ale nie odzywała się do niego.

Claire mówiła mało i prawie nic nie jadła. Siedziała w zupełnym bezruchu, cicha i spokojna jak jezioro w słońcu, pogrążona we własnych myślach. Po kolacji wymówiła się zmęczeniem, przeprosiła współbiedniaków i poszła usiąść w głębokim wykuszu okiennym przy końcu korytarza. Brianna zerknęła na matkę. Widoczna w ostatnich promieniach zachodzącego słońca postać siedziała twarzą do okna. Potem dziewczyna poszła pomóc Fionie pozmywać. Roger z pełnym żołądkiem był nieco ociężały, ale udał się do gabinetu, żeby pomyśleć.

Dwie godziny później ciągle rozmyślał, ale z zaskakująco miernym skutkiem.

Pootwierane książki leżały na biurku, na stole, na siedzeniach krzeseł i na sofie, zionące pustką otwory w zatłoczonym regale świadczyły o czymś wysiłku włożonym w prowadzenie niesystematycznych badań.

Dopiero po długim czasie znalazł krótki ustęp tekstu, który utkwiał mu w pamięci, gdy na zlecenie Claire prowadził poszukiwania. Ich wyniki przyniosły jej spokój. Teraz może go zburzyć. Ale jeśli ma rację? Na pewno ma. To tłumaczy, dlaczego grób znajduje się nie tam gdzie powinien, tak daleko od Culloden.

Przetarł twarz ręką i poczuł drapanie brody. Nic dziwnego, po tym wszystkim zapomniał się ogolić. Kiedy

przymknął oczy, ciągle czuł smród dymu i krwi, widział blask ognia na tle ciemnego głazu i sploty jasnych włosów, wirujące poza zasięgiem jego palców. Zadrżał na to wspomnienie. Nagle ogarnęła go złość. Skoro Claire zburzyła jego spokój, on mógł zrobić to samo. A Brianna powinna poznać prawdę do końca.

Claire ciągle siedziała w korytarzu z nogami podwiniętymi pod siebie, na wykuszu okna. Gapiła się na pustą czarną przestrzeń za szybą.

– Claire? – odezwał się bardzo szorstkim głosem. Odchrząknął i spróbował ponownie. – Claire? Mam... ci coś do powiedzenia.

Odwrociła się i spojrzała na niego z niewielkim zainteresowaniem. Twarz miała spokojną. Wyglądała jak ktoś, kto zniósł strach, rozpacz, żalobę oraz rozpaczliwy ciężar przetrwania i wytrwał. Roger poczuł nagle, że nie potrafi tego zrobić.

Ale skoro ona wyznała prawdę, on musi postąpić tak samo.

– Znalazłem coś... – Uniósł książkę. – O... Jamiem.

Wymówienie na głos jego imienia dodało Rogerowi sił, jakby wielki Szkot został wyczarowany i we własnej osobie stanął twardy i nieustraszony w korytarzu pomiędzy swoją żoną a pasierbem wielebneho. Wziął głęboki oddech.

– Co takiego?

– Ostatnia rzecz, jaką chciał zrobić... Myślę, że... poniósł porażkę.

Nagle zbladła. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na książkę.

– Chodzi o jego ludzi? Sądziłam, że znalazłeś...

– Tak – przerwał Roger. – Jestem prawie pewien, że to mu się udało. Wyprowadził ludzi z Lallybroch z pola bitwy. Ocalił ich przed rzezią pod Culloden i skierował na drogę do domu.

– Więc co...?

– Zamierzał powrócić na pole bitwy. Myślę, że to też zrobił.

Coraz bardziej nie miał ochoty wyjawiać prawdy, ale musiał. Nie potrafił znaleźć właściwych słów, więc zdecydowanym ruchem otworzył książkę i przeczytał na głos: *Po ostatecznej bitwie pod Culloden osiemnastu rannych jakobickich oficerów schroniło się w starym domu. Przez dwa dni leżeli w bólach z nie opatrzonymi ranami. Potem ich rozstrzelano. Jednemu z nich, Fraserowi, dowódcy regimentu z Lovat, udało się zbiec. Pozostałych pochowano na skraju parku.*

– Jednemu człowiekowi, Fraserowi, dowódcy regimentu z Lovat, udało się zbiec – powtórzył cicho Roger. Spojrzał w górę znad sztywnej kartki papieru i zobaczył jej oczy.

Były szeroko otwarte, niczego niewidzące, jak oczy jelenia oślepionego światłami nadjeżdżającego samochodu.

– Chciał zginąć pod Culloden – wyszeptał Roger. – Ale przeżył.

PODZIĘKOWANIE

Autorka pragnie wyrazić najserdeczniejsze podziękowania następującym osobom:

Trzem paniom Jackie (Jackie Cantor, Jackie LeDonne oraz mojej matce Jackie), aniołom czuwającym nad tą książką; czterem Johnom (Johnowi Myersowi,

Johnowi E.

Simpsonowi jr., Johnowi Woramowi i Johnowi Stithowi) za wytrwałość, przybliżenie szkockich realiów oraz entuzjazm; Janet McConnaughey, Margaret J. Campbell, Toddowi Heimarckowi, Deb i Dennisowi Parisekom, Holly Heinel i wszystkim LitForumitom, których imiona nie zaczynają się na „J” – Robertowi Riffle’owi za francuskie epitety, klawiaturę z kości słoniowej i słowa zachęty; Paulowi Sołynowi za późne nasturcje, walce, kaligrafię i porady botaniczne; Margaret Ball za pomocne uwagi, rady i wspaniałe rozmowy; Fay Zachary za wspólne posiłki; doktorowi Gary’emu Hoffowi za konsultację medyczną; poecie Barry’emu Fogdenowi za przekład z angielskiego, Labhriunnowi Maclanowi za celtyckie przekleństwa i zgodę na wykorzystanie jego romantycznego imienia; Kathy Allen-Webber za pomoc z francuską terminologią (jeśli zastosowałam złe czasy gramatyczne, przepraszam, moja wina); Vondzie N. Mcintyre za uchylenie rąbka tajemnicy zawodu; Michaelowi Lee Westowi za budujące komentarze na temat tekstu i za rozmowy telefoniczne, podczas których moja rodzina błagała: „Odłóż wreszcie tę słuchawkę! Umieramy z głodu”; matce Michaela Lee za przeczytanie rękopisu, odwiedziny i wygłaszanie wobec córki krytycznych uwag w stylu: „Czemu ty nie napiszesz czegoś takiego?” oraz Elizabeth Buchan za rady, pytania i sugestie – nie sposób przecenić tej pomocy i wkładu pracy.

KONIEC